WYPISY POLSKIE

DLA UŻYTKU

KLASS WYŻSZYCH

W C. K. SZKOŁACH GIMNAZYALNYCH.

TOM DRUGI,

CZĘŚĆ I.

Cena jednego exemplarza w oprawie 1 złr. 26 kr. m. k.

WE LWOWIE,

Nakładem c. k. galicyjskiego funduszu naukowego.

1858.

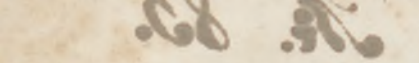

371.61:884-8|10753|
II 58679 BNP

058679

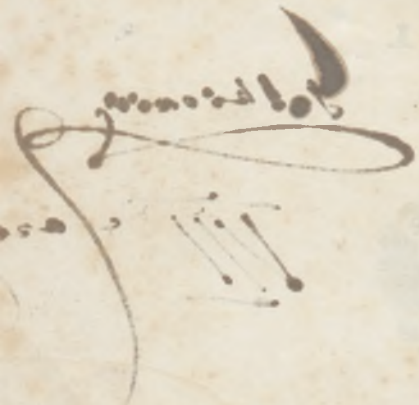

SPIS RZECZY,

W TOMIE II. CZĘŚCI 1. ZAWARTYCH.

Stronica.

1. Grzegorz Knapski 1

Thesauri polono-latino-graeci tomus (III.), continens Adagia polonica selecta, et sententias ac dicteria faceta etc., latine et graece reddita. Cracoviae 1632. . . . 2

2. Hieronim Morsztyn. 5

Antypasty małżeńskie itd. W Krakowie 1650. . . . —

a) Zwierzęta . . . . . —

b) Ptastwo 6

3. Krzysztof Opaliński 9

Satyry albo przestrogi, do naprawy rządu i obyczajów w Polszcze należące. W Amsterdamie r. 1650. . . . —

a) Satyra na parazytów, wyjadaczów, natrętów i importunów. —

b) Satyra na zmyślone i farbowane przyjaźni . . . 12

c) Satyra na ty, którzy w głębokiéj gnuśności i lenistwie leżą ponurzeni. 14

4. Szymon Starowolski 17

A) Reformacya obyczajów polskich 18

O biesiadach bezbronnych i niezdradliwych . . . —

B) Prawy rycerz. 1648. 21

a) O przedniejszych cnotach rycerskich. . . . —

b) O zachowaniu się rycerza prawego po wygranéj bitwie . 23

C) Arka testamentu, zamykająca w sobie Kazania niedzielne całego roku itd. W Krakowie r. 1648. . . . 24

a) O zgodzie chrześciańskiéj . . . . . —

b) O ślepocie i niemocie człowieka grzesznego. . . 27

D) Dwór cesarza tureckiego i rezydencya jego w Konstantynopolu. W Krakowie r. 1695. 31

Stronica.

a) O położeniu miasta Konstantynopola i budynków jego co przedniejszych 31
b) O bożnicach albo moszeach tureckich 34
c) O budynkach i miejscach tych, z których żadna intrata nie idzie 37
d) O ogrodach i bibliotece cesarskiéj 39

5. Samuel Twardowski 41

A) Władysław IV., król polski i szwedzki. W Lesznie r. 1649. . —

a) Podróż królewicza Władysława z Warszawy do Wiédnia (r. 1624.). . . . . —
b) Wjazd rzymski posła Ossolińskiego r. 1633. . . 46

B) Dafnis w drzewo bobkowe przemieniła się, napisana wierszem. W Krakowie r. 1702. 49

Scena piąta . . . . . —

C) Miscellanea selecta w różnych panegirycznych okazyach itd. W Kaliszu r. 1681. 54

1. Tren (3.) . . . . . —
2. Tren (4.) . . . . . —

6. Zbigniew Morsztyn . . . . . —

Na Boże Narodzenie (Sonet) 56
W kwartanie (Sonet) . . . . . —
Nowe Lato 1648. r. (do jmć pani siostry) . . . 57
Chłód daremny 58
Wiejski żywot . . . . . —
Pewny skarb 62
Dedykacya baletu obojgu majestatom . . . . —

7. Bezimienny 63

Orator polityczny . . . . . —

1. Mowa na pogrzeb najj. Cecyliej Renaty, królowéj polskiéj i szwedzkiéj . . . . . —
2. Mowa na pogrzeb hetmana 73

8. Andrzej Maxymilian Fredro 79

Przysłowia mów potocznych, albo przestrogi obyczajowe, radne, wojenne. W Wrocławiu r. 1809. 80

1. Przedmowa autora . . . . . —
2. Przysłowia 81

9. Mikołaj Jemiołowski 87

Pamiętnik, obejmujący dzieje Polski od r. 1648. do 1679. Lwów 1850. . . . . . —

1. Zwycięztwo pod Chocimem . . . . . —

Stronica.

10. Jan z Wielomowic Gawiński. 90
A) Sielanki polskie itd. W Warszawie 1770. . . . 91
1. Żywot ziemiański i dworski (Sielanka). . . . —
B) Sielanka i różne nagrobki itd. W Krakowie r. 1650. . 99
1. Oracz (Nagrobek) . . . . . —
2. Oracz z skowronkiem (Nagrobek) . . . . —
3. Słowik (Nagrobek) . . . . . —
4. Kobzie (Nagrobek) . . . . . —
5. Juryście (Nagrobek) 100
6. Doktorowi Morzykowi (Nagrobek) . . . . —
C) Dworzanki . . . . . —
1. Do gospodarza na zły trunek. . . . . —
2. O Milku . . . . . —
3. Na złorzeczcę . . . . . —
4. Poznanie człeka . . . . . —
5. Do gospodarza wino z wodą fałszującego . . . —
11. Bezimienny 101
Mowca polski itd. W Kaliszu r. 1689. . . . . —
Mowa Jakóba Sobieskiego na pogrzebie ks. Jerzego Zbaraskiego . . . . . —
12. Jan Chryzostom Pasek 106
Reszty rękopismu itd., wydane przez Stanisława Augusta Lachowicza. Wilno 1843. . . . . . —
1. Wyprawa do Danii . . . . . —
2. Trwoga przed bitwą pod Lachowcami . . . 115
3. Myśliwstwo pana Paska 119
4. Mowa przy zwłokach dwóch towarzyszów . . . 121
13. Jan Ostrowski Danejkowicz (Wydawca) . . . 125
Swada polska i łacińska, albo Miscellanea oratorskie itd. w Lublinie r. 1745. . . . . . —
I. List króla Jana III. do senatorów, donosząc konkurencyą elektora jmci bawarskiego o królewnę jéj mość . —
II. List króla Jana III., zapraszający senatorów na akt weselny królewnéj jéj mci elektorowéj bawarskiéj, córki swojéj 126
III. List królewicza Jakóba o zkonkludowanych kontraktach małżeńskich 127
IV. List księżnéj Maryi *de Bouillon* do senatorów, donoszący fata rodzica swego, królewicza polskiego, Jakóba Ludwika . . . . . —

Stronica.

V. Mowa Antoniego Dunina, starosty zahorańskiego do królowéj Maryi Józefy. 128

VI. Laska marszałkowska (Kazanie Macieja Kazimiérza Sarbiewskiego (*soc. Jesu*)) na pogrzebie Jana Stanisława Sapiehy, marszałka wielkiego ks. Litewskiego . . 129

14. Jan III. 149

Pożegnanie z córką Teresą Kunegundą, z Maxymilianem bawarskim zaślubioną. . . . . . —

15. Wacław Potocki 150

A) Wojna chocimska, poemat bohaterski itd. W Lwowie r. 1850. 151

1. Apostrofe . . . . . —
2. Czas 153
3. Szturm do Kozaków 155
4. Żywot spokojny 157

B) Nowy zaciąg pod chorągiew starą tryumfującego Jezusa itd., Krzyż albo żałosna historya krwawéj męki i niewinnéj śmierci Chrystusa Pana itd. W Warszawie r. 1698. . . 160

1. Przedmowa . . . . . —
2. Do czytelnika. 162
3. Czas śmierci Pańskiéj, Wiosna . . . . —

16. Stanisław Morsztyn 166

Smutne żale po utraconych dzieciach. W Krakowie r. 1698. . —

1. Żal . . . . . —
2. Żal 167

17. Wespazyan Kochowski 169

A) Nie próżnujące próżnowanie, na lyrica epigrammata polskie rozdzielone. W Krakowie r. 1674. 170

1. Wiosna . . . . . —
2. Muzy potrzebne Marsowi 171
3. Wszystko z nieba 172
4. Do lutni 173

2. Dziewosłąb wiédeński, albo wyjazd Andrzeja Olszowskiego, biskupa chełmińskiego po najj. Eleonorę, królową polską 175

B) Epigrammata polskie, po naszemu Fraszki. W Krakowie r. 1674. 176

Tak ma bydź . . . . . —
O wiérszach tych . . . . . —

Stronica.

O nichże. 176
Róża 177
Daremna . . . . . —
Koń . . . . . —
Odmiany. . . . . —
Słówko wróblem wyleci . . . . . —
Trzy drogi 178

18. Erazm Otwinowski 1

Dzieje Polski pod panowaniem Augusta II. od r. 1696.—1728. Kraków 1849. . . . . . —
Rok Pański 1709. . . . . —
Rok Pański 1716. 181
Rok Pański 1717. . . . . —

19. Władysław Alexander Łubieński 182

Świat we wszystkich swoich częściach większych i mniejszych, to jest w Europie, Azyi Afryce i Ameryce, w monarchiach, królestwach, księstwach itd., okryślony. W Wrocławiu r. 1740. —

I. a) Elekcya papiéża . . . . . —
b) Koronacya papiéża 184
c) Wjazd papiéża. 185
d) Kardynali 186
II. Państwa Niemieckie 187
III. Lwów 192

20. Kasper Niesiecki 193

Korona polska. W Lwowie r. 1728.—1743. . . . . —
1. Jan Długosz. . . . . —
2 Maciej Kazimiérz Sarbiewski 197
3. Jan Zamojski 198

21. Elżbiéta Drużbacka 201
Wiosna . . . . . —
Pochwała lasów 205

22. Józef Baka 207

Baka odrodzony. Uwagi o śmierci niechybnéj. Wilno 1855. . 209
1. Bogaczom ciemnym oświécenie . . . . —
2. Nędznym tu kmieciom 211
3. Uwaga prawdy z rozrywką 212

Stronica.

23. Stanisław Hieronim Konarski 213

O religii poczciwych ludzi przeciw Deistom. W Warszawie r. 1769. 217

I. . . . . —

II. 221

III. 222

IV. 227

24. Andrzej Kitowicz 231

Opis obyczajów i zwyczajów za panowania Augusta III., wydany z rękopismu . . . . . —

1. Szkoły . . . . . —

2. O zabawach studenckich 240

25. Alexander Sapieha 244

Podróże w krajach słowiańskich, odbywane w latach 1802. i 1805. —R. 1811. 245

Droga do Mostaru . . . . . —

26. Franciszek Bohomolec 259

Komedye Franciszka Bohomolca. W Warszawie r. 1772.—1775. 260

Ubogi pokorny, komedya . . . . . —

27. Adam Stanisław Naruszewicz 290

A) Poezye 292

1. Głupstwo, Satyra . . . . . —

2. Do konika polnego (z Anakreona) 294

3. Mirtyl, Sielanka 295

4. Zabawa moja, Oda 298

5. Pieśń ciarlatańska na jarmarkach 299

6. Hymn do czasu, Oda 301

7. Do obłoków w czasie suszy, Oda 305

8. Szczęśliwość, Oda 307

B) Historya narodu polskiego od początków chrześciaństwa. W Warszawie Tom I. —VII. r. 1803.—1804. . . 309

Przedmowa do Stanisława Augusta, króla polskiego . . —

Kazimiérz Wielki, król 310

Rok 1362. 316

Rok 1363. 317

Rok 1364. 321

Rok 1370. 223

Stronica.

C) Życie Jana Karola Chodkiewicza itd. Tom I. i II. W Warszawie 1781. 328
1. Urodzenie i pierwsze lata . . . . . —
2. Prywatne życie jego w pokoju 332
3. Odsiecz Rygi i bitwa pod Kirchholmem . . . 333

D) Tauryka, czyli wiadomości starożytne i późniejsze o stanie i mieszkańcach Krymu do naszych czasów. W Warszawie r. 1787. 345

E) Kaja Korneliusza Tacyta Dzieła wszystkie, przełożone. W Warszawie r. 1804. 349
Rok Chr. P. 69., z. R. 822. . . . . —
Śmierć Germanika 357

F) Kaja Koneliusza Tacyta Germania. W Warszawie r. 1804. 365

28. Ignacy Krasicki. 368

A) Mikołaja Doświadczyńskiego przypadki. (Dzieła Ign. Krasickiego T. V. W Warszawie r. 1803.) . . . 375

B) Historya (T. V.) 399
1. Przedmowa autora . . . . . —
2. Historya . . . . . —

C) Rozmowy zmarłych (T. VII.) 408
1. Rozmowa między Kuryuszem, konsulem rzymskim, a Apicyuszem. . . . . —
2. Rozmowa między Szwarcem, wynalazcą prochu, a Faustem, wynalazcą druku. 410

D) Życia zacnych mężów na wzór Plutarcha (T. X.) . . 413
1. Tytus . . . . . —
2. Porównanie Konstantyna z Karolem W. . . . 421

E) Pan podstoli (T. IV.) 422

E) Wojna chocimska (T. I.) 424
a) Pieśń (I.) . . . . . —
b) Pieśń (VII.) 432
c) Pieśń (IX.) 436

G) Bajki (T. II.) 442
1. Ojciec łakomy, syn rozrzutny . . . . —
2. Bryła lodu i kryształ . . . . —
3. Stary pies i stary sługa . . . . —

Stronica.

4. Skarb 442
5. Człowiek i zdrowie 443
6. Bogacz i żebrak . . . . . —
7. Ptaki i osieł . . . . . —
8. Wyszydzający . . . . . —
9. Wąbik 444

H) Satyry (T. II.) . . . . . —
1. Szczęśliwość filutów . . . . . —
2. Oszczędność 447
3. Pochwała wieku 451
4. Pochwała głupstwa 454

I) Listy (T. II.) 457
1. Do Pawła, o roztropności . . . . . —
2. Do księdza plebana, o mierności 459

K) Wiersze różne (T. II. W Warszawie r. 1805) . . 460
1. Osobność . . . . . —
2. Do myśli 461
3. Pociecha . . . . . —
4. Prostak 462
5. Nagrobek Stanisławowi Konarskiemu s. p. . . —
6. Do ks. S. P. 463
7. Do S. . . . . —
8. Do 464
9. Do p. w. r. 465
10. Do tegoż 467

29. Franciszek Xawery Dmochowski 468

Sztuka rymotworcza, poema we czterech pieśniach. W Warszawie r. 1778. 469
1. (Poezya w ogólności) . . . . . —
2. (Komedya) 472
3. (Epopeja, czyli wiersz bohatérski) 476

30. Ks. Jan Albertrandy 484

A) Dwadzieścia sześć lat panowania Władysława Jagiełły. W Wrocławiu 1847. 486
Litwa ochrzczona . . . . . —

B) Panowanie Kazimierza, Jana Alberta i Alexandra, Jagiellończyków, królów polskich, Tom 1 i 2. W Warszawie 1827. 487

Stronica.

1. Zaślubienie Kazimiérza Jagiellończyka z Elżbietą Austryaczką 487
2. Władysław czeskim królem 490
3. Charakter Kazimiérza Jagiellończyka . . . 499

31. Stanisław Trembecki 501

Dzieła poetyczne Stan. Trembeckiego. W Wrocławiu r. 1828. 502

1. Zofiówka (w skróceniu) . . . . . —
2. Przeciw paszkwilom (Satyra) 507
3. Do jmć p. Miéra, mieszkającego na wsi . . . 509
4. Balon (Oda) 511
5. Przy odebraniu czaszy wina (Anakreontyk). . . 513
6. Pani i dziéwki (Bajka) 514
7. Wilk i baranek (Bajka) 515
8. Do biskupa Naruszewicza (List) 516

32. Franciszek Karpiński 517

I. Dzieła wierszem i prozą. T. I—IV. W Warszawie r. 1806. 520

A) Sielanki (T. I.). . . . . . —

1. Tęskność na wiosnę. . . . . —
2. Pastérz do owieczki straconéj 521

B) Pieśni (T. I.) 522

1. Do przyjaciela . . . . . —
2. Trwoga człowieka blizkiego śmierci . . . —
3. Matka do córki 523
4. Do przyjaciela . . . . . —
5. O narodzeniu Pańskiém . . . . . —
6. Powrót z Warszawy na wieś (Elegia) . . . 525

C) Psałterz Dawida nowo przetłumaczony (T. II) . . 527

1. Psalm (VIII.) . . . . . —
2. Psalm (XXIX.) 528
3. Psalm (CXI.) 529

D) Rozmowy Platona z uczniami swoimi (T. IX.) . . 531

1. Wiadomość z życia Platona. . . . . —
2. Rozmowa o człowieku, jego wielkości i nikczemności . 532

II. Pamiętniki, z rękopismu wydane. Poznań r. 1844. . 540

33 Grzegorz Piramowicz 543

Wymowa i poezya dla szkół narodowych. Kraków r. 1792. 544

1. Logika . . . . . —
2. Podziały mowy 546
3. Myśli i ich przymioty 549

Stronica.

34. Franciszek Dyonizy Kniaźnin. 553
Dzieła Franciszka Dyonizego Kniaźnina T. 1.—6. W Lipsku r. 1837. . . . . . —
1. Filozof i fortuna (Bajka) . . . . . —
2. Wiosna (z Anakreona) 554
3. Róża (z Anakreona) 555
4. O starości (z Anakreona) 556
5. Na zgodę (z Anakreona) . . . . . —
6. Do złota (z Anakreona) . . . . . —
7. Żale Orfeusza nad Eurydyką 557
a) Żal (do przyjaciół) . . . . . —
b) Żal 558
c) Żal 559
d) Żal (Orfeusz wchodzi w jaskinię) . . . 560
8. Do D. H. 561
9. Do ks. A. C. 562
10. Do lutni 563
11. O arce Pańskiéj (Psalm 131.) 564

35. Aloizy Osiński. 566
Pochwała Onufrego Kopczyńskiego. Warszawa r. 1817. . —

36. Onufry Kopczyński 571
A) Grammatyka języka polskiego, dzieło pozgonne. W Warszawie r. 1817. . . . . . —
O nowych wyrazach polskich . . . . . —
B) Poprawa błędów w ustnéj i pisanéj mowie polskiéj. Warszawa r. 1808. 572

37. Euzebiusz Słowacki 577
Mowa krasomowska 579
A) Wynalezienie (Inventio) . . . . . —
Miejsca ogólne krasomowskie (Loci communes) . . 580
B) Rozporządzenie krasomowskie (Dispositio) . . 582
1. Wstęp (Exordium) . . . . . —
2. Opowiadanie 584
3. Dowodzenie i zbijanie 585
4. Domowienie 586
C) Wysłowienie (Elocutio) . . . . . —

38. Franciszek Zabłocki 587
1. Zabobonnik, komedya. Warszawa r. 1781. . . . —

Stronica.

2. Żołta szlafmyca, albo Kolenda na Nowy Rok, opera. Wilno r. 1820. 596

39. Stanisław hrabia Potocki 606

A) Pochwały, mowy i rozprawy, Część I. i II. W Warszawie r. 1816. 608

Mowa przy zamknięciu examinów w liceum warszawskiém, miana d. 13. września 1815. . . . —

B) O sztuce u dawnych, czyli Winkelman polski Część I. II. i III. W Warszawie r. 1815. 616

1. Przedmowa (w skróceniu) . . . . . —
2. O istocie sztuki, czyli o piękności . . . 621
3. O sztuce u Persów 628
4. Kamienie (i bronzy) rznięte, i malowania etruskie . 631
5. Kamei (wiedeńska i paryzka) 632
6. Laokoon 634
7. Apollo belwederski, i tak zwany Gladyator Borgezych. 636
8. Posąg konny Marka Aureliusza . . . 639

40. Aloizy Feliński, ... 640

Dzieła Aloizego Felińskiego, Tom I. i II. W Wrocławiu r. 1840. 642

A) Barbara, tragedya oryginalna . . . . —

B) 1. O wiérszowaniu, czyli budowie wiérsza polskiego . 661
2. Dyalogi, czyli rodzaj rozmów 667
3 O listach 669
4. Listy 673
a) Do Michała Wyszkowskiego . . . . —
b) Do tegoż 574
c) Do tegoż . . . . . —
d) Do tegoż 675
e) Do tegoż . . . . . —
f) Do tegoż 676

41. Stanisław Staszyc (Staszic). . . . . —

O ziemiorodztwie gór dawnéj Sarmacyi . . . 678

42. Wawrzyniec Surowiecki 686

Śledzenie początku narodów sławiańskich, Rozprawa . . 687

Religia dawnych Słowian . . . . . —

43. Tymon Zaborowski 696

Dumy podolskie za czasów panowania tureckiego. W Puławach r. 1830. . . . . . —

Stronica.

1. Potyczka 696
2. Pogoń. 697

44. Franciszek Wężyk 698

A) Bolesław Śmiały, tragedya. Kraków r. 1822. . . —

B) Okolice Krakowa, poema. W Krakowie 1833. . . 707

1. Bielany . . . . . —
2. Ostatni Tęczyński 710
3. Duma o Żegocie Szafrańcu 711
4. Mogiła Krakusa 713

45. Wojciech Bogusławski 716

Henryk VI. na łowach, komedya 718

46. Jan Paweł Woronicz 751

A) Poezye Jana Pawła Woronicza (Tomik I. i II.). W Krakowie 1832. . . . . . —

1. Sybilla, poema historyczne . . . . . —
   a) Świątynia Sybilly z pieśni I. . . . . —
   b) Bitwa (z pieśni III.) 760
2. Ślubny upominek 761

B) Kazania, tudzież nauki parafialne (Tomik 1., 2. i 3.). W Krakowie r. 1832. 763

Homilia na Nowy Rok, w Warszawie r. 1829. miana. . —

47. Jan Śniadecki. 767

Pisma rozmaite Tom (I.—IV.). W Wilnie r. 1814.—1822. . 769

1. Filozofia umysłu ludzkiego, czyli rozważny wywód sił i działań umysłowych . . . . . —
   a) Baczność, uwaga (*attentio*). . . . . —
   b) Pamięć (*memoria*), przypomnienie (*reminiscentia*), rozpamiętywanie (*recordatio*). 774
2. Rozprawa o Koperniku 779
   a) Stan astronomii przed Kopernikiem . . . 780
   b) Krótkie opisanie życia Kopernika. . . . 782
   c) Jak szedł do poznania dawnych błędów i ich poprawy . 783
   d) Zbiór i widok ogólny jego nauki i wynalazków . . 784
   e) Układ świata, na biegu ziemi zasadzony, jest własnem dziełem i wynalazkiem Kopernika . . . 785
   f) Porządek odkryty w ciałach niebieskich przez Kopernika 789
   g) Walne wynalazki Kopernika. 790
   h) Wpływ nauki Kopernika na wynalazki poźniejsze, i stan dzisiejszy astronomii 793

Stronica.

i) Wynalazki w ciałach niebieskich i w teoryi ich biegu, do których prowadziła astronomów nauka Kopernika . 795
3. Zagajenie sessyi publicznéj uniwersytetu . . . 800

48. Jędrzej Śniadecki 804
A) Teorya jestestw organicznych 806
1. Wstęp. . . . . —
2. Ustanowienie ogólnych początków i zasad, na których teorya jestestw organicznych ma się opiérać . . 808
3. Zagrzebanie materyi odżywnéj we wnętrznościach ziemi: jéj na powierzchnią powrót 810
B) Mowa o niepewności zdań i nauk, na doświadczeniu fundowanych, przy otwarciu nauk w szkole głównéj litewskiéj z r. 1800. 813

49. Ludwik Osiński 820
Wiérsz na pochwałę Kopernika. . . . . —

50. Samuel Bogumił Linde 823
Słownik języka polskiego, Tom I. VI. W Warszawie, r. 1807. – 1814. 835

51. Julian Ursyn Niemcewicz 842
A) Bajki i powieści, Tom I. i II. W Warszawie r. 1803. . 843
1. Myśl o szczęściu . . . . . —
2. Życzenia w samotności 844
3. Obraz (Bajka) . . . . . —
4 Gęś i osioł (Bajka) . . . . . —
5. Kominek (Bajka) 845
6. Wiewiórka i niedźwiedź (Bajka) 846
7. Paw i sowa (Bajka). 849
8. Małpa i jéj dzieci (Bajka) 850
9. Szczur miejski i wiejski (Bajka) 851
10. Wytrysk i strumień (Bajka) 852
11. Lew, niedźwiedź i komar (Bajka) 853
12. Jabłoń i poeta (Bajka) 854
B) Dzieje panowania Zygmunta III., Tom I., II. i III. Warszawa r. 1819. 855
1. Rokosz po odjeździe Zygmunta ze Szwecyi . . —
2. Zgon Zygmunta III 859

1. Grzegorz Knapski (Mazur).

Wychowany u Jezuitów w Pułtusku. Oblókł też Knapski sukienkę Jezuity w 14. roku życia: a odtąd pracował w zawodzie nauczyciela szczególniéj krasomowstwa.

Znając swój rodowity język wybornie i jego bogactwo, wypracował Słownik z trzech części złożony. Był on skarbem dla uczącéj się młodzieży po łacinie i po grecku, jako jedyna a wyborna pomoc w tym zawodzie. Sam Knapski w przedmowie wykłada zamiar swéj pracy: „Chciałem (pisze) rozszérzyć między rodakami „łacińskiéj mowy czystość, właściwość, oraz przyzwoite jéj używanie, i szkołom „poniekąd ułatwić sposób snadniejszego jéj uczenia i nauczenia się. Ku czemu „za zdaniem wszystkich biegłych uznałem być potrzebą naprzód: aby uczeń każdą „rzecz po łacinie nazwać, czyli, co toż samo jest, każdy wyraz polski łacińskim „oddać, wszystkie słowa łacińskie nagiąć, według prawideł gramatyki ułożyć, i myśl „całą złożyć umiał. Przytém to miałem w baczeniu i staraniu mojém, aby już od „nas wynoszącą się rodowitą mowę zatrzymać, skażoną przez mięszaniny łaciny „oczyścić, i krój jéj narodowy i właściwy przywrócić. Bolałem postrzegając wzma„gający się w Polszcze dziki zwyczaj, który polskie i łacińskie słowa, na obcy sposób „stosowane w niesforną mięszaninę tak sprzęga, że jéj ani Polak, ani Łacinnik ze „wszystkiém rozumieć nie zdoływa. Sadzący się na tę łataną łacińskiemi wyrazami „mowę, co do łaciny mniemają się być Cyceronami, co do polszczyzny Ko„chanowskimi lub Górnickimi, a nie są jak mieszańcami dzikimi i kazicie„lami obudwóch języków. Tymto wskazałem w mym Słowniku sposób, że język „nasz bez téj lichéj i szpetnéj łataniny obejść się może i powinien.“

Poprzedników swoich sprawiedliwie ocenia i pokazuje, czego w tym oddziale literatury przed nim dokonano.

„Mamy w prawdzie (mówi Knapski w przedmowie do piérwszéj części) kilka „słowników polsko-łacińskich, i odwrotnie, ale te zwać się słownikami nie są warte; „ani bowiem nie zawiérają wszystkich wyrazów, ani ich dobrze i właściwie w ję„zyku łacińskim nie wykładają, iż więcéj krzywdy, jak pożytku, językowi naszemu „przynoszą. W tych liczbie jest piérwszy Dykcyonarz Mikołaja Wolkmara od „Borneńczyka jakiegoś pomnożony, który ma wyrazów wiele nie polskich; drugie „tak są przekształcone, skaléczone i zepsute, iż do zrozumienia Polakowi są trudne, „i dowodzą oczywiście, że autor nie był Polakiem, i język polski był mu obcym. „Tegoż rodzaju jest dzieło: Zbiór wyrazów toż znacznych (synonyma) „przez Łukasza Brzezwickiego, który rzecz całą ze słownika Wolkmara „sklecił, i wszystkie błędy z niego wypisał, tém więcéj naganny, że lepiéj rodo„wity swój język znać był powinien. Nie lepszy jest Słownik Dazypodyusza „łacińsko-niemiecko-polski, w Gdańsku u Hunefelda odbity. Wiele ma słów

KATOLICKIE STOWARZYSZENIE PRZYJAŹŃ

„łacińskich, którym znaczenia polskiego nie dał, których prawopism (pisownię) „w dziwny sposób pokaléczył, mimo tego, że Słownik mój dla powtórnego wydania „u drukarza będący złupił: grecki język, tak potrzebny dla młodzieży szkolnéj, „powszechnie się go uczącéj, bez przyczyny wyrzucił, i zamiast dogodnego abeca„dłowego porządku, wszystkie słowa złożone pod piérwiastkowemi umieścił, przez„co wynalezienie ich utrudził. Słowniki zaś dwa wielkie Mączyńskiego i Kale„pina liczne wady szpecą. Piérwszy wydany roku 1564. jest wcale niedokładny, nie „różni słów dobréj i złéj łaciny, nie właściwie je tłumaczy, i polskie błędnie pisze: „Kalepin między jedynastą językami zawiéra i polski, ale tak przekształcony, iż „wielu słów rozumiéć trudno: wyraz łaciński mający np. dziesięć znaczeń, jedném „zbywa; tak jest niedostateczny i niedogodny dla Polaka, iż ledwie jego użyciu „służyć może.“

W trzecim tomie, który wydał p. n. *Adagia*, zebrał używańsze w swym wieku przysłowia polskie, i one przysłowiami łacińskiemi i greckiemi wykłada. Najwięcéj zdania obyczajowe, moralne, ma na celu, aby z wiadomością języka naukę dla młodzieży użyteczną połączył. Ale opuścił wiele przysłów historycznych zwyczajowych.

K. Wł. Wójcicki.

Thesauri polono-latino-græci Gregorii Cnapii e Societate Jesu, tomus tertius, continens Adagia polonica, selecta, et sententias morales ac dicteria faceta, honesta, latine et græce reddita. Quibus, præsertim obscurioribus, addita est lux et interpretatio ex variis auctoribus, ac multiplex eruditio passim inspersa. Cum gratia et privilegio S. R. M. Cracoviæ typis Francisci Cæsarii Anno MDCXXXII.

Bez dołu grobla, bez nakładu zysk nie będzie. —

Bez ochoty nie spore roboty. —

Trudno tego wodzić, co sam nie chce chodzić. —

Bez prace, nie będą kołacze. Leżąc wilk nie tyje. —

Kto chce co umiéć, musi ucierpiéć. Kto chce ryby jeść, musi się zmoczyć. —

Boga wzywaj, a ręki przykładaj. —

Brzuch tłusty, łeb ma pusty. Kto dojé, dopije, ten w rozum nie tyje. —

Chcącemu nic nie trudno, nie chcącemu wszystko. —

Chciéj jak najlepiéj, a przestań na tém, co może być. —

Chorego pytają, zdrowemu dają. Kto pyta, nie rad daje. —
Cnota szlachcicem czyni, abo szlachectwo daje. —
Co barziéj dokuczy, to rychléj nauczy. —
Co dziś opuścisz, jutro nie dogonisz. —
Co radzi czynimy, to i mówimy. —
Szkoda, przygoda, do mądrości droga. —
Cudze ręce lekkie, ale niespore. —
Cudze wady choć małe, widzim bystrém okiem, a swe choć wielkie, pozad rzucamy z tłómokiem. —
Gdyś na swobodzie, myśl o przygodzie. —
Czego barzo żądamy, tego się spodziéwamy. —
Długo się namyślaj, a spieszno wykonaj. —
Dobrze drugim rozkazuje, kto rozkazawszy przodkuje. —
Gdy się kto nazbyt ofiaruje, abo już zdradził, abo się gotuje. —
Gdzie rado, rzadko bywaj: gdzie nie rado, nigdy. —
Gdzie wielu rządzi, tam się często błądzi, abo łacno zbłądzi. —
Głupie słysząc pytanie, nie odpowiadaj na nie. —
Gardzić się nikim nie godzi; i napodlejszy zaszkodzi. —
Im kto głupszy, tém śmielszy, a im mędrszy, tém bojaźliwszy. —
Kiedy tego nie możemy, co chcemy, chciéjmy, co możemy. —
Kiedy nie może być co, jako chcemy; jako być może, chciéjmy. —
Kłamstwo jak szydło w worze, nie długo się zatai. —
Kogo rodzice rózgą nie karzą, tego kat mieczem, abo powrozem karze. —
Kogo się nieszczęście imie, ten i nos uciérając palec wywinie. —
Kto lecie próżnuje, zimie poczuje. Kto lecie nie zbiéra, zimie przymiéra. —
Kto na małe abo na swém przestaje, niczego mu nie dostaje. —
Kto żądze swe hamuje, niczego nie potrzebuje. Kto dość ma, więcéj nie żąda. —
Kto nie dojé nie dopije, ten mądrze długo żyje. —
Kto nie zna swéj żadnéj wady, niech pyta między sąsiady. —
Kto obcych krajów co widzi, domaki w rozum uprzedzi. —
Kucharza więc rad winuje, gdy kto goście źle częstuje. —
Lepsza cnota we błocie, niż niecnota we złocie. —
Mądrość nawiętsza każdego: znać dobrze siebie samego. —
Ma-li co? wszyscy pytamy, a jak dobry, mało dbamy. —

Miecza nie daj szalonemu, a swobody młodemu; dostatku głupiemu, a pieniędzy utratnemu abo nierządnemu. —

Młodym robić, mężom rządzić, starym modlić się przystoi. —

Nie łacno mieszek napełnić, gdy sumienie, cnota, w pełni. —

Nie rychło w mieszek utyje, który sprawiedliwie żyje. —

Oczy mu dobrze nie wypadną. Nie może się napatrzyć. —

Od złego dłużnika, plajce i plewy bierz. —

Pilnuj sam zawsze swego, nie spuszczaj się na drugiego. —

Kto okiem nie dojrzy, mieszkiem dołoży. —

Podobać się jednemu mądremu lepiéj jest, niż dziesiącim głupim. —

Po obietnicę na rączym koniu jachać trzeba. —

Przyjaciela ty ztąd poznasz prawego, jeśli miłuje ciebie, nie co twego. —

Póki komu szczęście płuży, przyjaciół mu wiele służy. Szczęście ustało, przyjaciół mało. —

Przyjacielem bądź w miarę: bo gdy się wylejesz, możesz się raz ucieszyć, dziesięć przebolejesz. —

Połowicę ulżysz złego, gdy będziesz serca wielkiego. —

Przypadki przejrzane lżejsze, niż niespodziane. — Nie tak się to barzo czuje, na co się kto wczas gotuje. —

Przyrodzone cudze wady, kto mądry znosi bez zwady. —

Dziś gody, jutro głody. —

Słodkości nie dobiéraj do gorzkości. —

Rozkoszy nie masz wiarować, jeśli cnoty (sławy) chcesz dochować. —

Sam się czci, kto drugiego czci. —

Nie zawsze sporo, co bywa skoro. Dobre ludzkie rozumienie stoi za wyborne mienie. —

Słówko wyleci wróblem, a wróci się wołem. Słówko raz wyrzeczone, nigdy nie przywrócone. —

Słuchać nigdy nie zawadzi, kto co dobrego radzi, choć też podły z czeladzi. —

Szczęście rozum odejmuje, a nieszczęście go dodaje. —

Szlachectwo bez cnoty, z łyków forboty (koronki). —

Ustawiczne obcowanie jedna lekkie poważanie. —

Trafił ze dżdżu pod rynnę. —

Trudno wiele i mądrze abo grzeczy mówić. —

Trudność ustąpi, gdy wola, chęć przystąpi. —

Ucho jedno daj skarżącemu, drugie chowaj obwinionemu.—
Wieczerza skromna daje spokojne w nocy spanie. —
Wszystko przewodzą, gdy się wszyscy zgodzą. —
Wiele słuchaj, mało mów. —
Wielkie rzeczy pomału rostą. Wielkich rzeczy małe początki. —
Wilk go ozionął. Wiłka potkał. Milczy od strachu. —
Wychowanie pieściwe czyni dzieci złośliwe, słabe, leniwe. —
Źle czynić się nie godzi, choć się dobre ztąd urodzi. —
Złego narodu i psa nie żyw. Złego drzewa i korzeń wykop. —
Złota kamieniem, ogniem doznawaj, a człowieka złotem. —
Zły to ptak, co swoje gniazdo szpeci, plugawi. —
Zwycięztwo nawiętsze, siebie samego zwyciężyć. —

---

2. Hieronim Morsztyn.

(Kanonik poznański).

Czyli ten sam Morsztyn był stolnikiem bielskim, nie wiém. Idę za świadectwem rękopisma poezyi Morsztyna: *Banaluka, czyli Historya ucieszna itd.* znany aż nadto romans. Poźniéj toż samo wydał Cezary pod tytułem: *Antypasty małżeńskie, trzema ucieszneml historyami jako wdzięcznego smaku cukrem prawdziwéj a szczerej miłości małżeńskiéj zaprawione. W Krakowie u Cezarego 1650. 4to.* Wiérsz byłby gładkim, gdyby był wypracowanym, ale wszędzie widać samę łatwość.

H. Juszyński.

a. Zwiérzęta.

...Skoro (pustelnik) w róg krzykliwy
Zatrąbił, zwiérz się skupił do niego straszliwy:
Lew idzie przed tych bestyj wojskiem niezliczonem,
Sprawując je jak hetman ogonem kręconym.
Następują gromadne pułki niestrzymanych
Łosiów, a potém koni nigdy nie chełzanych:
Żubry ciężkie z jadłymi idą niedźwiedziami,
Z drapieżnymi jelenie przyjaźni wilkami,
I prędkonogie łanie, i sarny lękliwe,
Tury szerokonogie, hodyńce gniewliwe:
Nieskłonne słonie z bystrym obok jednorożcem,
A morągie tygryny z czujnym nosorożcem.

Lampart tarentowany z wielbłądem garbatym,
I rysie cynkowate z marmurkiem kosmatym;
Szli osłowie leniwi z mułmi powolnemi,
A pierzchliwe zajączki z liszkami chytremi;
Wiewiórki podbielałe i ziemne łasice,
Drogokupne sobole, szare popielice,
Gronostaje białemu zrównane śniegowi,
I zbiki domowemu podobne kotowi.
Lew ryknął, a straszliwe natychmiast ryknienie
Uczyniło wysokiéj skały poruszenie.
Małoco odmiennemi konie i z łosiami
Rżały głosami, tylko różne kopytami:
Beczał żubr i z jeleniem, a sarna piszczała,
Łani zaś jeleniowi cienko podchlebiała.
Mruczał niedźwiedź a wilk wył, hodyńce krząkały,
Tygrys, lampart, ryś warczał, wielbłądzi parskały:
Osieł i muł huczeli, kwikał jednorożec,
Tur jęczał, zając wrzeszczał, parskał nosorożec;
Popielica z wiewiórką po cichu pryskała,
Zbik mlaskał, po nim liszka jako pies szczekała.

b. Ptastwo.

Cienkogłośną piszczałkę miał z rogu białego,
W którą gdy świsnął, ptastwo rodzaju różnego
Do niego się zleciało. Naprzód orzeł śmiały,
Po nim drapieżne sępy w kupę się zleciały,
Strusy silne, żórawie czujne, pyszne pawy,
Fenixy bystrookie, plugawe bociany:
Bąk błotny, czapla rybna, nocne ślepowrony,
Bazani smaczni, przykładne lecą pelikany.
Sokoły górnolotne, rarogi myśliwe,
Są bujne białozory, jastrzęby gniewliwe:
Krogulcowie uwabni, borowe pustułki,
Rącze kobuzy, z niemi gorące grzegżółki.
Zgodne drzemliki, kanie nieśmiałe, i wrony
Chytre, i kruki wieszcze, pożywne gawrony;

Sowy także i kraski obmierzłe wrzaskliwe,
Czyste cietrzewie, z niemi cieciórki wstydliwe.
Dropie ciężkie, a głuchych głuszców bardzo wiele:
Kuligi długonogie, leniwe chróściele:
Kawki kapturowate, sroki szczebiecące,
Puhacze nienawidne i dudki śmierdzące,
Słowikowie niewinni, jarząbki bezpieczne,
Dzięcioł tarentowany i wróble wszeteczne;
Sojki poziemne, pardwy prędkie, skowronkowie
Wdzięczni, przepiórki głupie, żołny i trzynadlowie,
Kuropatwy ciekawe, potresty śmierdzące,
Czyżykowie zieleni, i gile świszczące.
Szczygieł czerwonogłowy, leśne syrokosy,
Makolągwy gwiżdżące, rzadkie krzywonosy.
Jemieluchy łakome, obłowne kwiczoły,
Drozdy miłe, i żołny, co jadają pszczoły.
Zięba małoco głośna, i sikora dworna,
Strzyżyki malusieńkie, trukawka pokorna.
To dziwna, że więc tylko z śniegiem przylatują
Snieguły; tu się w lato z tém ptastwem znajdują:
Gołębie gruchające i huczne grzywacze,
I szpak, co nie skrowito po gałązkach skacze.
Smętne synogarlice, kominne jaskółki,
Pracowite w téj też są gromadzkie grzegżółki:
I kosy żółtonose, powietrzne jerzyki,
I papugi rozprawne, na melankoliki
Lekarstwo doświadczone; dziélatka czubata,
I kanarki kosztowne, dla pisku utrata,
Dzwonek czerwonogarły, rzepniczek szarławy,
Pokrzywniczek ucieszny, króliczek cisawy.
Lelek wieczorny, były czeczótki gromadne,
Więźniom uciekającym czajki w polach zdradne,
I wilgi świegotliwe, i piekut swarliwy,
Pliszki piszczące, słomka z zemszczykiem lękliwy;
Furmankowie przestrożni, bez sił jadowite
Iry, trukawki, ptastwu różnemu użyte:

Z przeciwnemi rozdrażne sojki puszczykami,
Trzcinne klęki z szkodnemi nikomu dzierzbami.
Wodne ptastwo nie było do tego wezwane,
Powietrzne tylko było sprawy wysłuchane,
Tam orzeł najstraszliwszym szczekał krzywonosem,
A sęp pazurowaty miąższym kłapał głosem;
Struś krzyczał, żóraw strukał, a pawy wrzeszczały,
Fenix się śmiał, bociany nosem klekotały:
Bażant piał, a bąk bączał, kraczą ślepowrony,
Miłosiernie śpiewały ciche pelikany.
Sokoł, rarog, białozor z jastrząbkami kwili,
Krogulce, drzymlikowie toż ciszéj czynili:
Plegotały kaweczki, sroki szczegotały,
Krucy, gawroni, wrony nie różnie krakały.
Sowy huczały, puszczki z puhaczem wołały,
Drop ksykał, głuszec puhał, dudkowie dudały;
Grały cietrzewie, a ich cieciórki kokały,
Prześwistują kuligi, a kraski wrzeszczały.
Ciurkał dzięcioł, wróbl świérkał, strzykały chróściele.
Słowiczek lamentował, a pardwa kokciele,
Skowronkowie wesoło pod niebem śpiéwali,
Przepióreczki zwabiały, a trznadle strykali.
Cięgocą kuropatwy, a potresty swiérczą,
Gile i szpaki świszczą, jemieluchy skwiérczą:
Świergolą syrokosy, szczygieł przekrzykuje,
Makolągwa gwiżdże, krzywonos wykrzykuje:
Psykali czyżykowie, kwiczoły piskały,
Drozdy skrzypią, a żołny nie miło skrzeczały:
Zięba *cin-cin*, sikora *ta-ra-ra* przydaje,
Strzyżyk *ci-ci*, a więcéj głosu mu nie staje.
Trukały trukaweczki, śnieguły piszczały,
Huczą grzywacze, a zaś gołębie gruchały:
Gwizdał szpak zgodnie z kosem, jaskółka piskoce,
Gorli synogarlica, grzegżółka grzegoce.
Jerowie skrzypiotały, papuga rozprawia,
Kanarek w głuchych uszach drogi pisk zostawia:

Brzmi dzwonek, lelek lęczy, dzierlatka drzeczała:
Gorczy rzepniczek, słomka pocicho krzeczała,
A kulka świegotała, piekut rżał latając,
Ziemba wietała głosy wszystkie zamykając.

---

3. Krzysztof Opaliński.

Wojewoda poznański, starosta śrzemski, osiecki. Fundował szkołę w Sierakowie, i do niéj professora z akademii zaraz sprowadził. Umarł r. 1655. O nim Potocki *in Centuria Virorum folio 344*: „Chociażby nie zacność rodu, „przodków zasługi, tedy własne jego talenta, szczególniejsza nauka, godnym go „czyniła. Od Władysława IV. za towarzysza Wacławowi Leszczyńskiemu, biskupowi warmińskiemu, przydany, jeździł do Francyi po Maryą Ludwikę.“— Poselstwo to opisał wiérszem ks. Jędrzéj Kanon, Jezuita, r. 1646.

Dzieła Opalińskiego są: 1) *Satyry albo przestrogi do poprawy rządu i obyczajów w Polszcze, na 5 ksiąg rozdzielone, wiérszem nierymowanym r. 1652.* 2) *Juvenalis redivivus t. j. Satyry albo przestrogi, do naprawy rządu i obyczajów w Polszcze należące. W Wenecyi* (w rzeczy saméj w Toruniu) r. *1698.*— 3) *Icon animorum albo zwierciadło itd.* r. 1698.

Opaliński znał charaktery osób. Wiedział ogólne wady i szczególne przywary, i dobrze je nie tylko malował, ale solą satyryczną przejął. Myślał gruntownie, i obdarzony był dosyć mocnym dowcipem. Gminne wyrazy były u niego lepszemi przeto, że bardziéj tchnęły żółcią, któréj wszędzie jest pełno. Prócztego godzien jest czytania, bo dobry daje obraz współczesnych obyczajów. — Dzieli się na ksiąg pięć zamykających satyr 52.

H. Juszyński.

Satyry albo przestrogi, do naprawy rządu i obyczajów w Polszcze należące, na pięć ksiąg rozdzielone, a roku Pańskiego MDCL. w Amsterdamie drukowane.

a. Satyra.

Na parazytów, wyjadaczów, natrętów i importunów.

I nie wstyd cię wżdy cudzych zabiegać obiadów?
I nie boisz się, abyć nie rzeczono, jako
Król on Naropińskiemu: „Ksze! umyliście się?“ —
„Umyłem Mości Królu.“ — „Idźcież jeść do domu.“

Albo jak arcybiskup Grochowski: „Nie masz tu,
Panie, dla was talerza, idźcie precz od stołu.“
Czy nie wolałbyś w domu zjeść ten kąsek chleba,
Niż słyszéć od czeladzi przymówki i śmiéchy:
Ot natręt! Ot *circuit, quærens, quid devoret!*
Wietrzy telko po kuchniach, gdzie się kurzy z garców;
Kóżdego odprowadza, lubo nie proszony,
To nowiny powiada tak długo, aż pana
Zaprowadzi do izby krzywo patrzącego
I w sobie mruczącego: Dyabeł go prosił.
Jeszczebym nie dziwował, gdybyś nie miał co jeść
W domu, ale mając swój dostatek przystojny
I z gębę chleba swego, a tak cudze stoły
I kąty rad pociérasz, aż i wstyd człowieka.
Nie widzisz tych za sobą, co się śmieją z ciebie,
Co palcem pokazują twój niewstyd obżarty.
Włożyszli kąsek w gębę: „Bodaj zjadł dyabła!
Bodaj wypił pająka! bodaj się udawił!“
Wszyscy mówią, którzy tam koło stołu stoją.
Nie dziw, bo co gospodarz dla swych nagotował,
To mu zjész z tą hałastrą, co chodzi za tobą,
Aby u inszych jedli, gdy nie masz co w domu.
Ale ty przecie mówisz: Zabić, kto wymyślił
Bydź gospodarzem w dómu, lepiéj zawsze gościem.
Dla ciebie pono lepiéj, ale nie dla kogo.
Trzebaby cię wyrzucić oknem, wyjadaczu,
Coś się to tylko spuścił na cudzą spiżarnię,
Porzuciwszy domowy dozór i staranie
Tak, że i nie pomyślisz *de pane lucrando.*
Boże, jeśli co w świecie niepotrzebniejszego,
Jako tacy? zgładź, zagub, cóż po takich muchach?
Bo się mogą bespiecznie do muchy przyrównać.
Kiedy owo u stołu jeść smaczną potrawę,
Alić mucha przyleci z tego ni z owego
I wpadnieć albo w łyżkę, gdy do gęby niesiesz,
Albo w potrawę samę. Odpędzisz raz, nic to,
Mucha drugi raz padnie. Odpędzisz drugi raz,

Nic to! mucha przyleci, i trzeci raz wpadnie
W polewkę, a ty miskę i z potrawą oraz
Do dyabła odrzucisz. Toż się i tu dzieje.
Pokażesz niesmak, nic to! nie rozumié tego
Pan parazyt; pokażesz nie wesołą cerę,
I tego nie rozumié; choć i nieochotę,
I to przyjmie; nałajesz, za to podziękuje;
Każesz iść do dyabła, posłucha ale zaś
Nazajutrz cię nawidzi, i wpadnieć w półmisek.
Łasi się i pochlebia, podobien do pieska,
Który więc piszczy, niż mu podadzą co z stołu.
Rozumiém, że Polacy pochlebstwo nazwali
I pochlebców od tego, że po chlebie cudzym
Pochlebcy zwykli biegać, za chléb pochlebiając.
Dobrze tam, powiadają, na jedném się stało
Miejscu, że takich oknem kędyś wyrzucono.
I ty się tego, plotko, spodziéwaj łakoma,
Bo gdzie kogo nie proszą, kijem go wynoszą,
Dawna niesie przypowieść! Lecz tu jeszcze przydać
Trzeba, jako więc różnych zwykli ci nawiédzać.
Gdziekolwiek więc obaczą komin murowany,
Koniecznie trzeba wstąpić, nowiny powiadać.
I tak o cudzéj strawce, drogi odprawują
Często nie swemi końmi, bo téż to jest jedno
Axioma: że tańszy cudzy, niż swój owies.
Aleć wskóra, kto takim końmi więc wygodzi,
Jakby téż swych trzewików pożyczył na odpust
Do Częstochowy komu, które prędzéj w drodze
Zdrapie, niżeli odda. Toż i z temi będzie
Końmi pożyczanemi; miasto mil pietnastu
Ujdą sto jedno i dwie, bo ów nie posiedzi;
Na dyszlu mu dokonać! tak fata przejrzały.
Do tych może się oraz drugi rodzaj ludzi
Przyszyć, nie wielą różny (luboć się ten przymiot
I w tych piérwszych znajduje), co obecnie owo
Do czynienia coś mają, traktując, pruciając.
Cóż takiego? Wielkie nic; ile w szczygłu sadła.

Waszeć dokąd? spytasz go. — Mam wielką, odpowie,
Potrzebę do naszego pana podskarbiego. —
A tam co? — Będziesz Waszmość wiedział po godzinie. —
Ztamtąd dokąd? — Trzeba mi być u pieczętarzów:
Mam siła do czynienia. — Nowiny powiada
Trzy po trzy, uszy bolą, na kogo napadnie,
Nabaje i naplecie, co się i nie śniło.
Myszy są téj natury, że o cudzéj strawie
Żyją, cudzéj spiżarni pilnują i spichrzów.
Schowająli téż co tam na zimę, dziureczką
Wemknie się i tam myszka, aż téż łapkę na nię
Zastawią, a tak strawy i smacznych przypłaci
Kąsków. Takich trzeba łapek na tych miłych
Wyjadaczów. Panowie! pomyślcie co o tém.

---

b. Satyra.

Na zmyślone i farbowane przyjaźni.

Jużeś, mój Stanisławie! zasiadł przy kominie,
A przed tobą z grzankami spory kufel stoi:
Hojny ogień z suchych drew, na dworze zaś z mrozem
Ostry wiatr w uszy szczypie, skrzypi pod butami,
A po ledzie nacięższy ujdzie wóz furmański.
Niewody wszędzie robią, i u ciebie także,
Rozumiém; zaczém w tych dniach będziesz mię miał pewnie,
Bo u mnie ryb o małe; wiész, że żyjem z sobą
Bez tych ceremonij, których teraz pełno,
A szczérości i o kość. Gdzie się one czasy
Podziały, gdy przyjaciel przyjaciela kochał,
Jak brat brata? Bywali u siebie sąmsiedzi
Żyjąc w miłości, zgodzie, statecznéj przyjaźni;
Ani się z uczynności, gdy przyjaciel prosił,
Wymawiano, i owszem za jeden dar sobie
Kóżdy miał, gdy mu służyć przyjaciel rozkazał.
Do niego *refugium* w szczęściu i nieszczęściu:
Przyjaciel był, rzec mogę, port przyjacielowi.

Niedufności nie słychać było, ani kłamstwa,
Ani zmyślonych tych to offertów, jak teraz.
Insze w gębie, a insze w sercu. Szczérość kędyś
Daleko ustąpiła: w Polszcze jéj nie pytaj.
Stronią ludzie od siebie, a jeden drugiego
Strzeże się jako ognia, jak nieprzyjaciela.
Toż kiedy trudno pojąć te cery zmyślone,
Te słowa farbowane i fałszem okryte.
Więc się w szkołach uczymy, *de Amicitia*
Co Cycero napisał: tam nam powiadają
O onych rzadkich parach przyjaciół prawdziwych:
Wiémy co był Pilades, i co był Orestes,
Co Pytyas i Damon, co i Euryalus
Z Nizusem, co Lolius z sławnym Scypionem.
Małoć na tém, że wiémy i często czytamy,
Gdy sami nie czynimy. Czemuto te czasy
Tyberyuszów tylko a Sejanów rodzą?
Frantów nazbyt na świecie, szalbierzów, oszustów:
Ale szczérych przyjaciół Dyogenesową
Laternką trzeba szukać wśród dnia, i to ich tu
Nie znajdziesz. Darmo szukasz, stary filozofie!
Nomen amicitiæ tylko nam zostało,
Sama rzecz uleciała. Gdy w dom twój przyjedzie
Przyjaciel, wrogaś nabył, nabyłeś obmowcę
Za twoje uraczenie i za dobre mienie.
W domu twym opisze cię, i żonę i sługi;
Potrawom da przyganę, da i napojowi.
Wyjachawszy za wrota, plunie: A bodaj go
Zabito! żałował mi jeść dać, koniom owsa
Z sieczką dał, nie posto i ma noga u niego!
I tak za dobre odda złém cię wspomnieniem.
Kędyż wżdy owa szczérość, owa otworzystość
Staropolska, kiedy się cieszyli sąmsiedzi
Po szelągu kart grając, albo więc warcabów
O kasztelański stolek, którego tysiąc kroć
Godniejszy byli, niż ci teraz kasztelani
Warcabowi? Natenczas przyjaźń i z szczérością

W jednéj sforze chodziły: ten wiek teraźniejszy
Wszystko to rozsforował! O czém dosyć. Milczę.

---

c. Satyra.

Na ty, którzy w głębokiéj gnuśności i lenistwie leżą ponurzeni.

Takto odednia do dnia, od nocy do nocy,
Takżeto zawsze będzie? Słońce bije w okna
A Waszeć spisz? mój drogi! już i bydło z pola
Przyszło: na półzegarzu dwunasta dochodzi.
Jużby i pijanica wyszumiał najtwardszy.
Ej! wstancisz wżdy, mój Panie! — rzecze kto z kompanów.
Aż ci się *tandem* porwie, ziéwa, a na łóżku
Siedzi: oczy wygniły, ubiéra się przez dwie
Albo przez trzy godziny. Aż dadzą śniadanie,
A za niém prędko obiad: za tym podwieczorek,
A nakoniec wieczerza, po wieczerzy szlaftrunk.
I tak cały dzień znidzie spiąc, jedząc a pijąc.
Rzecze kto: Wsieśćby na koń, i przejeździćby się?—
Odpowie: Nie czuję się sposobnym do jazdy,
A koń téż ciężko nosi. — Więcby się po ranu
Księgą zabawić, albo przepisaniem czego? —
Oczy mię zaraz bolą, gdy pocznę co czytać. —
Więcby z pieskami w polu? — Nie dobre dziś pole. —
Więcby z kopią skoczyć? — Niebezpieczno biegać:
Nie mam konia potemu. — Wymówek aż nazbyt.
O błaźnie nad błaznami! do tegośmy przyszli?
Komuż z tém gorzéj, proszę, czy mnie, czyli tobie?
A na cóż taki żywot? Czemuż się nie każesz
Powić, a tak w powiciu w kolebeczkę włożyć,
Żeby nad tobą mamka spiéwała: Lulajże,
Lulaj! lulaj! chłopieczku. Czemuż się w bawełnę
Zawinąwszy w pudełku nie zamkniesz słoniowém? —
Cóż mito te wymówki przynosisz? O ciebie
Idzie? — Gnijesz, chudzino, albo raczéj giniesz!
Podobieneś do garca niewypalonego,

W który, gdy próbując go, zabrząkasz, nic a nic
Dźwięku nie da. Tak i ty jeszcześ prostą gliną:
Terazby cię formować i w kole obracać,
Aby wżdy co urobić z ciebie wybornego. —
Ale mam swój dostatek z ojca jaki taki;
Kontentuję się choćby o chlebie o soli;
Mam co jeść i pić doma: co mi po ćwiczeniu? —
Drugi rzecze, że idę z dziadów i pradziadów
Zacnych starożytnych. Mam stryja marszałkiem. —
Cóż z tego? to już przeto gębę oddać trzeba,
I nic nigdy godnego nie robić na świecie?
Precz z tą dumą takową! Znam ja ciebie dobrze,
I wiém, co się w cię wléwa; zacnieś się urodził,
Ale żyjesz jako flis, albo jako hajduk.
Tym, dobry Boże! otwórz oczy, którzy ni przecz
Ni zacz cnoty odbieżą. Boże! niech uznają,
Coto stracić ją marnie za nic, a uznawszy
Niech żałują, że oraz z nią wszystko stracili.
Nie miał więcéj miedziany wół Falarydesa
Mąk w sobie, ani on miecz nad szyją wiszący
Strachu i trwogi więcéj, jako kto się czuje
W czém, nie mając przenigdy wolnego sumienia.
O jak tam częsta trwoga, jaki tam niepokój,
Gdy drugi cienia swego boi się, mniemając,
Że to już wié wszystek świat, co gdzie cicho zrobił!
Stanie sumienie za bicz, za hak, za katownią
Nie wiém jaką, za rózgi, za próby, za męki. —
Pomnię, że i mnie zmłodu często więc napadła
Szkolna choroba, gdy się do szkoły nie chciało.
Nie wiedziałem, com przez to tracił, i jak wiele.
Ale ty, coćto już wąs odrósł, jako ma bydź,
Cośto i filo-przebiegł-zofią, i wyższe
Szkoły, a przecie gnijesz, ani się obaczyć
Możesz, jak wiele tracisz, jak wiele szkodujesz.
Cóż wżdy masz za cel życia? dokąd ciągniesz, albo
Dokąd zmierzasz? Czy tylko bąki strzélać myślisz
Biegając, to tam, to sam samopas, jak głupi.

Wżdyć też trzeba mieć pewny koniec swych zamysłów:
Bo po czasie daremne są wszelkie sposoby.
Wpadnie kto z was w malignę, jeśli nie zabieży
I krwią jéj nie rozerwie za czasu; daremnie
Potém ją puści z dwu rąk, gdy po czasie będzie.
Na początku potrzeba chorobie zabiégać:
Nie pomoże Matezy potém, ani Fechner,
Choćbyś i sto tysięcy dawał, nie zabiegą
Już złemu, gdy się w tobie potężnie zaweźmie,
I kiedy już natura *succumbet* chorobie.
Toż *in morbis animi* rozumieć potrzeba.
Zawczasu zabiegajcie! ma rada, panowie,
A ucz się kóżdy z młodu: *Quæ sunt causæ rerum?*
(Jako mądry powiedział i stary poeta)
Quid sumus et quidnam victuri gignimur? Przytém:
Quis modus argento? quid fas optare? quid asper
Utile nummus habet? Patriæ carisque propinquis
Quantum elargiri deceat? Quem te Deus esse
Jussit, et humana qua parte locatus es in re?
Ucz się wszego dobrego. Nie zazdrość bliźniemu;
Choć też tam co obaczysz u niego więcéj, niż
U ciebie i dostatniéj, życz mu i błogosław.
Niech kwitnie i w dostatki i w sławę, a ty się
Staraj, abyś takim był. Naśladuj go, ale
Bez zazdrości i złego ku niemu affektu.
Tu mi rzecze kto z owych górnych animuszów:
Co mnie po tych wywodach, co po tych dyskursach?
Precz z skrupułami! proszę! inszegom ja cechu. —
Bardzo dobrze! dam pokój. Wolno mię nie słuchać,
Jako się komu widzi. Poczujesz napotém,
I uznasz, choć nie rychło, co przez to szkodujesz.
Jako ono więc chory zawoła doktora,
I powié: To mię boli, albo owo. — Rzecze
Doktor: Trzeba się, miły, szanować, a co dam,
Zażywać. — Dobrze! Panie Doktorze, zażyję. —
Zatém drugie i trzecie da doktor lékarstwo.
Zażyje i wykona wszystko, co rozkazał,

Aż mu się też poprawi. Rozumié, że wybrnął;
Wraca się do nałogu, niezdrowych zażywa
Potraw, pije i hula z kompaniejką, zatém
Recydywa przypadnie. Pan brat znowu mdleje;
Bo coraz gorzéj cięższa gorączka dokucza,
Która bez folgowania piecze, pali, suszy.
Wierci się chudzineczka, radby już wypełnił,
Cokolwiek nacięższego pan doktor rozkaże.
Nie chciałeś, bracie, słuchać doktora z początku;
Toż tobie! Już ten idzie precz, a ksiądz nastąpi,
A jako ów nie rychło, tak i ten, gdy dusza
W trwodze. Nie wié, co z sobą rzéc; desperacya
Przed oczami, bo *sera* pokuta *non vera*.
Dla twego odkładania stracisz zdrowie, duszę, —
Stracisz wszystko, nie mając nad to nic droższego.
Więc po doktora poślesz, gdy cię ból napadnie.
Mniejsza to bydź na zdrowiu chorym, lecz na duszy
To większa. Frasujesz, kiedy cię zaskoczy
Gorączka albo febra; a ty, ledwieć wspomni
Kto pieniądze i złoto, cięższą stokroć ciérpisz
Gorączkę, — tak cię chciwość rozpali mizerna!
A zaś gdy dadzą na stół gruby chléb, soloną
Pieczonkę, aż tu w gębie wrzód ci się urodzi,
Nie możesz tego i zgryźć i połknąć łukonu,
Tylko by smaczne kąski. Ten wrzód delikacka
I pieszczona naturka w garle urodziła.
Napadnieli cię bojaźn, prawą febrę ciérpisz;
A jeśli gniéw, gorączkę, ba i coś gorszego,
Krew w tobie wré, od jadu oczy się błyskają;
Mówisz i czynisz takie rzeczy, których nigdy
Szalony chłop nie zrobi. Sam Orestes, będąc
Agitatus furiis, przyznałby to śmiele,
Żeś jest w gniewie sto razy szaleńszym, niźli on.

---

4. Szymon Starowolski.

Starowolski, syn niemajętnych rodziców, będąc jeszcze uczniem na akademii krakowskiéj, udzielał już innym nauki. Z młodymi Ostrogskimi zwiédził Niemcy,

Niderlandy, Francyę, Hiszpanię i Włochy; potém opat wąchocki, Gostomski, wezwał go do dawania filozofii młodym zakonnikom: z klasztoru przeniósł się do dworu Karola Chodkiewicza, służąc mu do pióra, i przy nim do jego zgonu zostawał. Poźniéj trzykroć jako dozorca młodych paniąt do cudzych krajów jeździł: w kraju zwiédził wszystkie ważniejsze biblioteki, archiwa, odgrzebywał po kościołach nagrobki, zaznajomił się ze wszystkimi sławniejszymi mężami wieku swego. Usposobiony do stanu duchownego już w poźnym wieku kapłanem został, i kanonię krakowską otrzymał, a przez biskupów do rządów duchownych był używany. Umarł 1656. r. Uczonych dzieł jego wielka jest liczba, w których rozkrzewianie dobrych obyczajów, pobożności i poprawę wad miał na celu. Nie pracował bynajmniéj dla zysku, przeto nie w dostatki, ale w księgi bogatą puściznę po sobie zostawił.

Między licznemi dziełami jego ujrzysz teologiczne, polityczne, prawnicze, kanoniczne, bibliograficzne, archeologiczne, historyczne, wojskowe, po łacinie i po polsku pisane: można powiedzieć, że niéma pomiędzy naszymi pisarzami, któryby tak wiele i w tak rozmaitych przedmiotach pisał: byłto prawdziwy polihistor. Zebrał ogromny zapas dostrzeżeń i wiadomości; wszakże nie mało w nim omyłek i błędów. Dla dziejów zasłużył się Starowolski z tego powodu, że w wielu pismach swoich dotykał współczesnych wypadków. Jego *Kazania, mowy, pochwały, panegiryki, żywoty,* jego *Listy tureckie, Dwór cesarza tureckiego, Dyskurs o wojnie tureckiéj, Institutionum rei militaris lib. VIII, Pobudki na Tatary,* są pełne historycznych wiadomości. W jego pismach nazwanych *Stacye, Prawy rycerz, Eques Poloniae, Votum o naprawie rzeczypospolitéj*, lubo pełno gadaniny, wyrzekań, przesadnego morału; ztémwszystkiém różne szczegóły wieku i wydarzone odmiany, żywym, ostrym i rzetelnym napuszczone kolorem, usposobienie owego czasu i stan kraju okazują. Powszechny obraz tego stanu rzeczy narysował Starowolski w niewielkiém dziele geograficzno-statystyczném: *Polonia sive status regni Poloniae. Coloniae 1632.* Dobryto opis, i we wszystkich częściach wymierność okazujący, mogący służyć za dowód, jak dalece Starowolski w tym razie należycie pomyślał, wypracował, i zwięzłéj dopiąć umiał zupełności. Małe zaniedbania lub opuszczenia sowicie wynagrodzone zostały gruntowną swéj ojczyzny znajomością i trafnemi spostrzeżeniami. *Powtórne wydanie w Gdańsku 1652.* Dzieło to piérwszego statystę niemieckiego Konrynga zastanowiło, i przedmową swoją pomnożył *trzecie wydanie w Wolfenbüttel.* W polskim języku 16 dzieł wylicza Bentkowski, po większéj części kazania, listy, dyskursy itd.

A. Popliński.

A) Reformacya obyczajów polskich, powtóre wydana i przydatkami od autora rozszérzona.

O biesiadach bezbronnych i niezdradliwych.

Miecze i zbroje nie mają co na biesiadach czynić, lubośmy ten obyczaj noszenia broni ustawicznie przy boku od przodków swoich wzięli,

którzy, iż byli ludzie waleczni i rycerscy, tak iż w polach ustawicznie, nie w domach leżeli, dlatego się też Polakami nazwali, nigdy broni swoich od siebie nie odpasowali, ale z niemi i za stół siadali, i z niemi sypiali, i wszędzie je nosili. My w domu zawżdy mieszkając, w polach nigdy, także z bronią za stół siadamy, pachołki zbrojnymi się osadzamy, na biesiady jak na wojnę strzelbę z sobą wozimy. Mém zdaniem, kto z baczeniem na taką biesiadę zbrojno pojedzie, żadną miarą smaczno jeść i pić nie może. Czemu? Temu, że tam zdrowie na łyczku, bo się obierze wartogłów jaki, co z mózgu wyszalawszy, powiada, że ja gębę nań zakrzywiam, kiedy sobie chustką wąsy ociéram; i kiedy kichnę, on mówi, że prztykam na niego.

Czytamy o Damoklesie, dworzaninie króla sycylijskiego, że mu się ani jeść królewskich potraw, ani pić królewskich trunków, ani słuchać królewskiéj muzyki chciało, skoro ujrzał siedząc u stołu miecz goły nad swoją głową, u stropu na cienkiéj nitce zawieszony: jakoż ten ma być dobréj myśli, by też nalepsze i nakosztowniejsze trunki i potrawy przedeń stawiano, który widzi nie jeden, ale sto mieczów, nie tylko nad sobą, ale i przed sobą, i za sobą, i około boków? A snaćbyś się jeszcze mniéj lękać mógł miecza na cienkim włosieniu nad głową uwiązanego, niżeli chłopa głupiego, a ktemu jeszcze obżartego, który daleko cienszy i słabszy rozum ma, niżeli on Damoklesów włosień. Nad moją głową i około moich boków nie tylko wisi jeden miecz, ale zaraz kilka i kilkanaście strzelb do tego; nuż czekanów, bałt, buzdyganów, kijców, kul żelaznych i puinałów co niemiara, którym daleko trudniéj umknąć się, niżeli Damoklesowi przed mieczem. I mówić to muszę, że kto na taką biesiadę jedzie, testamentu piérwéj nie uczyniwszy i domu nie rozporządziwszy, nie mam go za mądrego.

Taką biesiadę wspominają też oni poetowie, z któréj się wojna sprośna stała, na któréj siła ich poległo; ale nie ludzką biesiadę, to jest Lapitów z Centaurami, którzy byli dzicy, połowica konia, a połowica człowieka. Ale nie dziw, bo bestyom przyzwoita jest rzecz z sobą się wadzić i kąsać, ale ludziom ani przyzwoita, ani przystojna, u których spólne stoły w wielkiéj zawsze uczciwości i powadze bywały, i bywać mają, i kto z kim chléb jadł, już mu był powinien być przyjacielem i z nim przystawać. Przetoż też Stołowy Jupiter w wielkiéj uczciwości u starych ludzi bywał, któremu i kościoły budowali, i pewne prawa przypisowali około stołu, do których się przystąpić bali. A sto-

łowe prawo to było, iż ktoby się temu źle zachował, z kim chleb jadł, tego za zdrajcę, a występek za zdradę mieli. Co i przodkowie nasi zachowali, którzy ten zwyczaj wnieśli, iż kto w dom do kogo przyjedzie, witając go rękę mu daje, jakoby *manu stipulata* ubezpieczając go, iż w domu jego ma się przystojnie zachować, żadnéj zdrady nie myśląc. I kiedy odjeżdża chleb jego jadszy, znowu mu rękę przy żegnaniu daje, przyobiecując mu za to być dobrym przyjacielem zawsze, iż go uczcił w domu swoim, i chlebem go swoim nakarmił: a gdy się nieprzystojnie kto zachował, a zwadził się abo z samym gospodarzem, abo z gośćmi jego, za wielką mu to sromotę na oczy wyrzucano, iż rękę dawszy, zdradziecko sobie w domu gospodarskim począł, który, gdyby był wiedział o takim gościu niespokojnym, ubralby się był w zbroję, abo w pancerz i szyszak do stołu idąc, a czeladce kazałby stać przed sobą z knotami zapalonemi pogotowiu.

Aże wszystkie uczty i biesiady dlatego bywają sprawowane, abyśmy miłość przyjacielską sobie chlebem jednali, dlategobym rozumiał, aby sąsiad do sąsiada bez strzelby jeździł, tylko z ręczną bronią, którą siadając do stołu niechby odpasał i oddał na stronę, bo tam nie po rynsztunkach wojennych, gdzie się do miłości i z miłości zjeżdżają, gdzie przyjaźń i zgodę braterską między sobą odnawiają, i dla związku lepszego wszyscy się bracią nazywają. I ztąd *viri generosi arcas sibi pecuniarum claudi parvi pendunt, dummodo corda in amicis inveniant aperta.* — A między przyjaciołmi zasię *nonnisi mutuo affectu certandum est,* nie armatą wojenną. Bo jako rzymski krasomowca mówi: *Omnium rerum, quas ad beate vivendum sapientia comparavit, nihil est majus amicitia, nihil uberius, nihil jucundius.* Bestyeto są, nie ludzie, co miłości i przyjaźni ludzkiéj nie potrzebują, i nie starają się o nie, aboli ją też, opiwszy się swemi złemi obyczajami, rozrywają. Dlatego *amicitiae parentum recte in liberos transferuntur,* mówi Aurelius Symmachus, *ut charitas semel inita successoribus eorum hereditario jure proficiat;* aby czasu przygody stawali przy sobie animuszem nierozerwanym, i wzajem się ratowali jeden drugiego.

Wiedząc przeto, dlaczego przodkowie nasi z bronią chodzili, téj gotowości też używać mamy, jako jéj też oni używali w polach, a nie w domu, na wojnie, nie na biesiadzie.

B) Prawy rycerz Szymona Starowolskiego. Przydana jest: Zgoda i Satyr Jana Kochanowskiego, przedrukowana w roku Pańskim 1648.

a. O przedniejszych cnotach rycerskich.

Między wszystkiemi cnotami napiérwsza i napowszechniejsza jest sprawiedliwość, która jest *vinculum societatis humanae*, i bez niéj żołniérz chrześciański nadziei do zwycięztwa nie ma.

Druga cnota rycerza prawego męstwo, od którego bywa nazywany mężem dobrym. *A viro virtus appellata est*, mówi krasomowca rzymski *Tuscul.* 2. *Viri autem propria maxime est fortitudo, cujus munera duo maxima sunt: mortis dolorisque contemptio.* A my chrześcianie przydajem: *et voluptatis.*

A ktemu męstwo należy na wyciérpieniu i znoszeniu przykrości cielesnych, głodu, niepogód, zimna, wiatrów, dészczów, polnego legowiska, niespania, pracy, i ran na ciele swojém, i noszenia zbroi, i na innych trudnych i ciężkich robotach, bo bez tego nic się wielkiego na wojnie nie sprawi. A nasi bracia teraz bez łóżek i pierzynek nie jadą nigdy do obozu, nie pijają jeno wino, miód a piwo, nie jadają jeno na srebrze, abolitéż na cynie. A ojcowie nasi na wojłokach sypiali, opończą się przykrywszy na zbroję, któréj *nefas erat* zdéjmować z siebie na noc; nie pijali jeno wodę, czosnku do niéj trochę abo kruty włożywszy; nie jadali jeno szpérkę a kaszę na krzynowie drewnianym, a bogaty na misie miedzianéj. A straszni byli poganom *et venerabiles* sąsiadom wszytkim, tak jako nam Tatarowie, którzy widząc, że na twardości, nie na pieszczotach dzieło rycerskie się funduje, nie zażywają potraw smakowitych, jeno tołokna, szałamachy, szołoduszc, pszennika, co wszytko z mąki a z jagieł zrobi, soli trochę a słoniny przydawszy, a o chlebie się nie pyta nigdy, ani o piwie. Wielkie delicye, gdy gorzałkę, czosnek a rybę suchą mieć może. Przespi się na ziemi, guńką się odzieje, którą starzy Rzymianie *gausape militare* zwali.

Trzecia cnota mężnego rycerza jest posłuszeństwo; bo kto się czuje być dużym na siłach, roztropnym w naukach, i biegłym w dziełach rycerskich, a kordatem przytém, takowy pospolicie nie rad słucha wodza swojego, przeczy rotmistrzowi, i w żadnéj rzeczy nie chce podle-

gać pułkownikowi, siebie samego nad wszytkich przekładając. Takowy i zniewagi odnosi od towarzystwa, i kontempty od regimentarzów, i karanie podczas od wszytkiego koła, abo hetmana najwyższego. Przeto posłusznym być trzeba, bo inaczéj rządyby żadnego, a zatém i zwycięztwa żadnegoby nie było. Gdy tedy każą na działa, na strzelbę, na włócznie, i na sam ogień wszytek, choć przed sobą trupy widzi kupami, powinien iść na rozkazanie starszego prawy rycerz; i jeśli tam zginie, ma u Pana Boga posłuszeństwa swojego zapłatę, a o rządzie i rozkazaniu wodza swojego nie ma się pytać, ani sądzić.

Takież posłuszeństwo ma być i w obozie, i na leżej, i na strażej, gdzie więc trudniéj drugdy upór zwyciężyć na rzeczy mniejszéj, niżeli na onéj, gdzie o zdrowie idzie. Często się starszym sprzeciwiają, i nieposłuszeństwo pokazują, źle mówiąc o rotmistrzach i hetmanach swoich, i drugie na nich pobudzając, zkąd zmowy i konfederacye rzeczypospolitéj szkodliwe czynią, i zniewagi starszych swoich, czego się chrześciański rycerz pilnie wystrzegać ma, samego Pana Boga czcząc w starszych swoich, od którego wszelka zwierzchność jest postanowiona. Inaczéj *omnes monarchias et respublicas funditus eversas cupit, qui obediendi praecipiendique subordinationem inter principem ac subditos, interque ducem ac milites tollit, illaque vincula incidit, quibus membra capiti ad motum gubernationemque subnectuntur. Alex. Armacandus.*

Czwarta z naprzedniejszych cnót rycerskich jest temperantia, aby żołniérz chrześciański i w obyczajach pomiarkował się, affekty swoje temperując, i w życiu nie był zbytni, grzéch na się zaciągając strojami wyniosłemi, bankietami, i pijatykami niepowściągliwemi. Ojcowie nasi szarą szlachtą się zwali, iż nie używali bławatów i purpur świetnych, jakie teraźniejsze zbytki niosą: kontentowali się suknem, które w domu robiono, abo miasteczkach poblizkich, a cnotą się świécili i szczérością bardziéj, niż teraz złotogłowami i klejnotami drogiemi: nie jadali korzenno, ani znali wina, które nam pedogry i szkorbuty rodzi; nie wozili srebra do obozów ani złota; dość było miéć kociołek miedziany, a rożen żelazny. Nie przesadzali się na kołniérze rysie i sobole, abo na rzędy kamieńmi sadzone drogiemi; rzemień u nich a żelazo w cenie było. Tygrysów nie znali ani lampartów, jeno kirysy i pancerze. Teraz służby srebrne; teraz kiece sobole, tabinami złotemi podszyte: teraz forgi, czapragi haftowane, kity z zaponami, a serce zajęcze, oczy tchórzowe, nogi jelenie. Zginęła śmia-

łość, zginęło męstwo, a rozkoszy zbytnie, których nauczyliśmy się w domu, niewieściuchami nas poczyniły. Androklides, Lakończyk niedołężnym będąc, i nogę jednę krótszą mając, że się szlachcicem urodził, nie chciał czasu próżnowaniem trawić, wyprawił się na wojnę dobrowolnie; którego hetman kaléką widząc, rzecze: „Wróć się ty, niedołęgo, do domu, bo ty nic nie sprawisz.“ Alić on mu wielkim animuszem odpowié: „Nie patrz na to hetmanie, żem chromy, ale patrz na serce moje, gdyż ja *in acie non de fuga cogitabo, sed de proelio.*“ *Plut. in Lacon.* Tak zawsze *terrent ardua viles animos, strenuos et fortes stimulant et invitant. Petr. Burgus de bello Suec.*

---

b. O zachowaniu się rycerza prawego po wygranéj bitwie.

Nabożny cesarz rzymski, *Theodosius Junior* wszystko Panu Bogu przypisując, a swojéj dzielności, męstwu i szczęściu nic nie ufając, *et ante et post proelia ad divinas provolutus aras supplicabat, et illud apostolicum (2. Corinth. 15.) identidem usurpabat: Gratias autem Deo, qui dat nobis victoriam per Dominum nostrum Jesum Christum. Theodoret. lib. 3. cap. 5.* Tak i ty, rycerzu prawy, nie masz się z tego weselić, iż się ludzka krew rozlała, ale owszem nad nędzą pobitych masz płakać, iż przy uporze swoim stojąc zaginęli, zapomniawszy miłości i zgody od Pana Chrystusa nam zaleconéj. Lecz ztąd się wesel i raduj, iż się to z tobą nie stało, co na nieprzyjacielu widzisz, który dla nieprawości twoich takeś mógł być od Pana Boga karany, jako i on, gdyby szczérą nad tobą sprawiedliwość swoję rozciągał. Ażeć miłosierdzie swoje niewypowiedziane pokazać raczył, i zachował cię zdrowo, nieprzyjacioły twoje harde pogromiwszy, dziękuj mu pokornie z tym nabożnym cesarzem: *Gratias autem Deo, qui dat nobis victoriam.*

Ma tedy rycerz pobożny dziękować Panu Bogu za zwycięztwo szczęśliwe, i co ślubował, idąc do potrzeby, ma jako najprędzéj z wielką wdzięcznością i poniżeniem oddać, aby i napotém miłosierny Zbawiciel, który go teraz prowadził i strzegł, łaskawie wysłuchał.

Ma téż prawy rycerz skromnie zwycięztwa swego zażywać, nie dokazując okrucieństwa swojego nad zwyciężonymi, kiedy abo się pod-

dają, resystencyi uczynić nie mogąc, abo pojmanymi będąc, politowania i łaski żebrzą: albolitéż gdy polegą, żeby nad ciały pobitych okrucieństwo żadne i pośmiewisko czynione nie było, ale jako najprędzéj może być, aby wszyscy przystojnie pogrzebieni byli.

Wielką sławę miał u zamorskich narodów Chodkiewicz, iż pobitych kazał przystojnie pogrześć, wodzów przedniejszych ciała sam do grobu w Rydze prowadząc z muzyką wojenną i ze strzelbą, mary szkarłatami nakrywszy. Takie bowiem ma być użalenie nad poniżonym, jakiegobyś sam w takim złym razie sobie życzył.

C) Arka testamentu, zamykająca w sobie kazania niedzielne całego roku, na dwie części rozdzielone, z których pierwsza część pars hiemalis jest rzeczona, a przez ks. Szymona Starowolskiego, kantora tarnowskiego, ku pożytkowi i zbudowaniu duchownemu nabożnym katolikom wystawiona. W Krakowie, w drukarniej Krzysztofa Schedla j. k. m. typogr., roku Pańskiego 1648.

a. O zgodzie chrześciańskiéj.

Było za starych wieków jedno pytanie, a barzo potrzebne między mędrcami greckimi, jako powiada Plutarchus: coby téż było napotrzebniejszego do zatrzymania familii jakiéj wielkiéj w swojéj ozdobie i szczęśliwości w długie wieki? Jakoto naprzykład u starych Rzymian długo panowała familia *Flaviorum*, cesarską godność w domu swoim trzymając zawsze. Między cesarzami greckimi długo *sceptrum* władali Paleologowie, u Francuzów Kapetowie, w Polszcze Jagiełłowie, i teraz u Turków Otomanowie, w Perekopie Gerejowie, a w Niemczech przezacny dom Rakuski. Atoż się starzy filozofowie pytali między sobą, coby to takiego było, coby tu *in suo flore* tak długo te familie wielkie zatrzymywało.

I kiedy przyszło zdania swoje powiadać, piérwszy mędrzec Kleobulus powiedział, iż to sprawuje miłość przeciwko podda-

nym, którzy kochając się wzajem w panu dobrym, potomkom jego całość rzeczypospolitéj polecają, póki tylko téj linii staje. Drugi powiedział, na imię Chilon, iż to czyni rząd dobry i sprawowanie państwa. Trzeci Bias powiedział, iż to sprawują prawa porządnie napisane. Czwarty Peryander powiedział, iż to sprawują bogactwa. Piąty Solon powiedział, iż tego przyczyna jest mądre szafowanie rzeczy. Pitakus szósty rzekł, że tego kwitnienia familij jest przyczyna dostatek chleba hojnie rozdanego. A siódmy i ostatni między nimi powiedział, iż nic lepiéj familij nie zachowuje w swojéj ozdobie, jako pokój i zgoda, a ten się zwał Tales na imię.

Lubo tedy dobrze wszyscy powiedzieli, bo bez miłości poddanych, bez dobrego porządku, bez praw sprawiedliwie postanowionych, bez dostatku pieniędzy, i bez szafunku dobrego jako i bez dostatniéj żywności żadne państwo stać długo nie może, żadna familia panowania swego nie zatrzyma, bez zgody jednak domowéj, i bez miłości wzajemnéj wszystko to osłabieje, wszystko w krótkim czasie rozsypie się w drobne kawałce. I dlatego Tales sam napiérwszy między Grekami jest nazwany mędrcem, iż do zatrzymania państwa i do zachowania familij wielkich tę rzecz napotrzebniejszą być upatrzył, zgodę domową, przez którą i wierność poddanych przeciwko panu roście, i miłość pana przeciwko poddanym. Ztąd téż zara roście pokój, z pokoju dostatki i bogactwa, a z bogactw sława dobra, przez rząd przystojny prawa mądre.

Starzy ludzie mieli sobie za symbolum abo znak miłości, zgody, i zjednoczenia się braterskiego, sól, któréj do potraw używamy a to z téj przyczyny, iż niemasz między rzeczoma przyrodzonemi większego przeciwieństwa, jako między wodą a ogniem, bo jedno drugie wytraca jako może nabarziéj. Aże sól jest złożona z ognia i wody, i te dwa elementy, przeciwne sobie z natury, zamyka złączone w sobie wespół, dlatego pismo święte sól przydało ludziom za znak zgody i zjednoczenia, zowiąc ją *sal foederis*. I dlatego téż ludzie, gdy między sobą za starych lat przyjaźń zawiérali, na znak utwierdzenia téj przyjaźni chléb z solą jedli z sobą. I ztąd na Rusi podziśdzień, gdy między ludem prostym nowe małżeństwo zawiérają, chléb i sól naprzód na stół przed nimi kładą; Moskwa, gdy dwu nieprzyjaciół zjednają, chléb z solą każą im jeść przy sobie; Arabowie, którzy z natury do rozboju są skłonni, kiedy którego podejmują się prowadzić przez drogę, na poka-

zanie wiary swojéj, że słowa dotrzymają, chléb z solą przy kontrakcie jedzą, jako o tém macie w *Peregrynacyi Radziwiłłowéj*.

Zgoda tedy wielkie familie długo zachowuje od upadku, jako sól mięsa wszelakie od zgniłości: zgoda czyni kwitnące królestwa, i zgromadzenia wszelakie, jako sól czyni smakowite potrawy wszelkie: zgoda nakoniec i kościół Chrystusów zachowuje w swojéj całości, mając *sal sapientiae* w doktorach i kaznodziejach, *sal foederis* w pasterzach, w owieczkach, *sal terrae* w wyznawcach świętych, i przełożonych wszystkich, którzy przykładami swojemi do świątobliwości wiernych Pańskich wzbudzając, zachowują ich od zmazy grzéchowéj, jako sól rzeczy wilgotne od zgniłości i zepsowania prędkiego.

I ztąd zgoda od Augustyna Świętego jest nazwana *vinculum amoris*, od Tomasza Świętego matka rządu dobrego, od *Boëtius'a* żywotem każdéj rzeczy na świecie, od *Celius'a* przyczyną wszelkich bogactw i dostatków, nakoniec rodzicielką pokoju od *Tybullus'a* poety, a z pokoju zasię jako ze źródła wszytko dobre płynie. Zaczém i ukochany uczeń Pana Chrystusów, Jan Święty ewangelista nie inną piosnkę przez wszytek swój żywot spiéwał, tylko zalecenie zgody. *Filioli, diligite alterutrum!*

W mieście Efezie, kędy Jan Ś. wiarę przepowiadał, i tam wiek swój strawił i do grobu poszedł, trafiło się czasu jednego, że wielkie zamięszanie stało się między obywatelami, i niezgody ustawiczne trwały między nimi przez lat kilkanaście. Senat tedy miasta onego, chcący fakcye między potężniejszemi familiami, które za sobą pociągały i lud pospolity, jakimkolwiek sposobem zgodę i jedność uczynić, radzili się filozofa jednego, Heraklita na imię, który ztamtąd też był rodzic, jakimby sposobem mogli pokój w mieście uczynić i te nienawiści między obywatelami uśmierzyć. Alić on wyszedszy na rynek, kazał wszytkiego ludu do siebie zwołać, i nic do nich nie mówiąc, wziął na tacę wody, i trochę mąki wsypał i posolił, i tak to zamięszawszy przed ich oczyma wypił, i poszedł precz do domu: przezco chciał ich nauczyć (mówi Plutarchus) skromności w życiu, a zatém oraz i zgody; bo gdy się (powiada) każdy będzie małą rzeczą kontentował, a zwłaszcza tém co dom mieć może, tedy nie może bydź między nimi żadna niezgoda, bo sobie nie będą chleba wydzierać jeden drugiemu, ale się zgodzą w skromności jeden z drugim, jako się zgadza woda i ogień w soli zamknione od natury, ze dwu rzeczy przeciwnych jedne czyniącéj.

Jako tedy Heraklitus, chcąc zachować miasto Efezkie, ojczyznę swoję, w całości, napomniał obywatelów miasta, aby się skromności uczyli, a żyli między sobą w zgodzie, tak Chrystus Pan, dolne to Jeruzalem, kościół swój święty zakładając, nauczał apostołów swoich, a w ich osobie wszytkich wiernych swoich, aby się skromnie chowali, nie łapając dostatków tego świata, ale kontentując się tém, coby jedli, i w czémby chodzili, zachowali między sobą zgodę, i miłość taką, jaką on miał przeciwko uczniom swoim, i ma przeciwko nam. Aże Jan Święty będąc kochanym uczniem Pańskim, wzajem miłością swoją z całego serca korrespondował Panu, dlatego też uczniów swoich, mieszkając w Efezie mieście, gdzie przed nim Heraklitus filozof zgody obywatelów tamecznych nauczał, nic inszego chrześcianom tamecznym barziéj nie zalecał, jako zgodę i miłość wzajemną, ustawnie one słowa: *Filioli, diligite alterutrum!* do nich powtarzając. Abowiem śmiertelnie grzészy, kto nienawidzi brata swego. Aże wszyscy chrześcianie jesteśmy synami Bożymi, tośmy też wszyscy bracia sobie w Panu Chrystusie, i mamy się wzajem miłować jako bracia, ale nie słowy tylko, i ceremonią powierzchowną, jako mówi Jan Święty: Gdy widzisz, a ono brat twój ubogi jest, ratuj go według przemożenia twojego; widzisz, że choruje, nawiédź go, usłuż mu; widzisz, że się frasuje, pociesz go, wydźwignij go z kłopotu: siedzi w więzieniu, wykup go, jeźli możesz, a nie możesz, proś zań Pana Boga, aby go wyswobodził, i staraj się z serca o jego wyswobodzenie; inaczéj (mówi tenże Jan Święty) już ten nie ma Boga w sercu, który mając się dobrze, i mogąc ratować bliźniego swego w nieszczęściu jego, nie ma nad nim politowania i nie uczyni mu dobrze. Trudno też sam ma otrzymać miłosierdzie od Pana Boga, kiedy na niego przygoda jaka, abo sama śmierć znienagła przypadnie; bo potém, choćbyś chciał barzo rad, już trudno będzie.

---

b. O ślepocie i niemocie człowieka grzésznego.

Pisze Bazyli Święty, słuchacze w Panu Bogu mili, iż między zwiérzętami leśnemi żadne zwiérzę nie jest tak nieprzyjacielem człowieka, jako ryś (a podobno dlatego, że ich siła odziéramy ze skóry na futra nasze). To tedy zwiérzę, jako skoro zoczy człowieka, zaraz

mu skacze do oczu, aby mu twarz wyżarło, bo nie może ciérpiéć wejrzenia człowieczego. I dlategoż kiedy je w Persyi i Baktryanii łowią, namalują wprzód chłopa na jakim mocnym dylu dębowym, i wkopią go w ziemię, aby skoczywszy do niego, zabawił się drapając go pazurami, a tymczasem strzelcy przyskoczywszy, abo strzelbą, abo włóczniami zabijają go.

Szatan przeklęty jestto ryś sztuczny i zazdrośny, a jest głównym nieprzyjacielem człowiekowi, że na jego miejscu ma królować w niebie, zkąd on przez swoją pychę wypadł. Nie może tedy patrzyć na twarz ludzką przez zazdrość, że w niéj jest dusza rozumna, *ad similitudinem vultus divini* stworzona, i dlategoż, kiedy się na człowieka targnie, naprzód mu twarz zepsować usiłuje, jako macie przykład w dzisiejszéj ewangelii: *Erat Jesus ejiciens daemonium, et illud erat mutum.* Opanował czart jednego grzésznika, i naprzód go oczynił niemym, aby nie wyznał grzéchu swego, aby nie dawał usty swemi chwały Panu Bogu. A wiécie o tém, iż każdy niemy jest głuchy, bo kiedyby słyszał, nauczyłby się formować słów niebieskich. A toż i ten niemy był téż od czarta ogłuszonym, aby nie słuchał słowa Bożego. A przydaje jeszcze Mateusz Święty, iż był i ślepym. Takto czart, poduszczając do grzéchu człowieka, chce i na wzroku zaślepić, i na wszytkich zmysłach okaléczyć. I dlategoż jako ryś ma czarne kropie po sobie, tak on ma rozmaite *fraudes* i sztuki w sobie na oszukanie człowieka, i raz się uczyni wężem, aby szepcąc pięknością jabłka, to jest urodą ciała, Ewę jaką oszukał, drugi raz *configurat se in angelum lucis*, aby jakiego świętobliwego człowieka mógł zwieźć z drogi sprawiedliwości pod przykryciem nabożeństwa. Drugdy weźmie na się postać ludzką, aby rozmówkami swojemi uczynił człowieka niemym, aby kichaniem swojém oślepił i ogłuszył; bo kichanie jego jest ogniste, *sternutatio ejus*, mówi Job Święty, *splendor ignis:* będzie rozumiał drugi, że to on oświéca człowieka na rozumie, że dobrze radzi, ano on swoje cherchele stroi, jakoby cię zdradził i pociągnął na wieczne potępienie, aby cię tym ogniem piekielnym sparzył. Strzeżże się go, bo zmyśloną światłością zaślepia, zmyśloném ciepłem ustać zawiéra, a trzaskiem perswazyj swoich głuchym cię czyni.

Powiedział Salomon: *Per quae quis peccat, per haec et torquetur.* Że ludzie naprędzéj słowa nieuczciwe i próżne mówią, dlatego ich téż diabeł naprzód niecnotą karze; że ustami obrażali Pana Boga, że pa-

trzą okiem pożądliwém na rzeczy zakazane, dlatego ich czyni ślepymi, że słuchają mów nieprzystojnych, czyni głuchymi.

Że tedy ludzie nie radzi patrzą na przykazanie Pańskie, na nabożeństwo kościelne, na cnoty ludzi sprawiedliwych, tedy ich też diabeł naprzód kaleczy na wzroku, aby nie oglądali Pana Boga *facie ad faciem, uti est.* Przetoż kichaniem swojém ognistém, jako Job Święty mówi, płomieniem pożądliwości, ogniem popędliwości, gniewu, wąglem rozżarzonym chciwości dobrego mienia wypala oczy człowiekowi, perswadując mu, iż to rzecz słuszna, abyś zażył świata, pókiś zdrów; abyś się zemścił, kiedy masz sposób; abyś zgromadził, kiedy się podaje okazya, choć też nie wszytko słusznie. I tak jako starzy tyrani mieli zwyczaj, ludzi pojmanych, a zwłaszcza zacniejszych oślepiać abo blaskiem słonecznym, powieki mu oberznąwszy, abo żelazem rozpalonem, humor z oczu wyciskając gwałtownie, abo po prostu je wyłupując, tak szatan zaślepia pychą człowieka, aby nie zawiérał oczu, ale tylko patrzył na honory wysokie, na dostojeństwa wyniosłe *alto et elato supercillio,* jako ów, co mu brwi i powieki poobrzynają. Pożądliwością cielesną jako blachą miedzianą rozpaloną wysusza *humorem crystallinum in oculo,* aby w błocie walał się, czystość krzyształową stłukszy: wyrywa oczy i z muszkułami, ukazując mu dostatki i splendory tego świata, aby się o nie starał, nie o chwałę niebieską.

Piszą naturalistowie o orle, jakoby miał jelenia zabijać i karmić się nim, ale piérwéj (powiadają) utarawszy się w piasku, uderzy między oczy jeleniowi, aby go tak zaślepionego łatwiéj mógł pożyć, i przywieźć kędy na roztrącenie się o drzewo. Szatan, staryto łowiec! umié ten i bystrego jelenia, i rączą łanię uchodzić, zasypie kłamstwem swojém, jako piaskiem człowiekowi rozumne oczy, że da sobie perswadować, iż to nie jest grzéch, co jego żądza pragnie. Tak Filistyjczykowie, ułowiwszy Samsona, piérwéj mu oczy wyłupili, potém go do roboty ciężkiéj obrócili, a nakoniec jeszcze go sobie na pośmiewisko na komedyę wystawili. *Philisteus* ten piekielny kiedy człowieka ułowi, naprzód go oślepi, aby w nałogu swoim trwając, nie mógł się obaczyć że ginie; potém go w robotę zaprawi, aby sobie *iteratis actibus* przyczyniał karania przez grzéch, a nakoniec jeszcze pośmiewisko sobie z niego uczyni, że go ludzie palcem sobie ukazują: A to ten na taką chorobę umarł! A to ten wydarł majętność sąsiadowi, a

syn jego teraz żebrze! A to ten zabił niewinnie onego, a to go też zabito, i syny jego pozabijano!

Nabuchodonozor, król, kiedy pojmał króla żydowskiego, Sedechiasza, naprzód *filios ejus occidit coram eo, deinde oculos ejus effodit vinxitque eum catenis, et adduxit in Babylonem.* Pyszny Nabuchodonozor, szatan, kiedy uwikła człowieka grzéchem, naprzód myśli nasze dobre, jako syny jakie pozabija; potém oczy wyłupi, aby dusza nie poglądała ku niebu; a potém powiązawszy ją grzéchami, prowadzi do piekielnego Babilonu, *ubi nullus ordo, sed sempiternus horror.*

Na puszczy tebaidzkiéj w Egipcie był pustelnik jeden, Hiero nazwany (jako o nim pisze *Cassianus*). Ten lat żył pięćdziesiąt w wielkiéj świętobliwości i z wielkim przykładem towarzyszów swoich, którzy też blizko niego budki swoje mieli. Ukazał mu się nocy jednéj szatan w osobie anioła świętego, którego on przyjął z upadnieniem na kolana, rozumiejąc go za sługę Bożego. A szatan, który jest *pater mendacii*, pochwaliwszy posty, modlitwy, i włosiennice jego, powiedział nakoniec: Mniemam (powiada) iż takiéj wagi jesteś u Pana Boga, żebyś mógł i po powietrzu chodzić; kiedybyś się tak z miejsca kędy wysokiego spuścił, kazałby cię aniołom swoim na ręku nosić. Uwierzył głupi pustelnik, i pychą uwiedziony chciał tego spróbować. Nie było miejsca wysokiego, zkądby się mógł był spuścić, ale mieli wszyscy w pośrzodku chatek swoich sposobną studnię, w którą on wszedłszy skoczył, mniemając, iż go aniołowie będą chwytać, a gdy wpadł w wodę, i ztłukł się, począł wołać na towarzysze, aby go ratowali. Ci kiedy go wyciągnęli, powiadał im, jako anioł Pański był u niego. Oni mu rzekli, że to był szatan, który cię zwiódł: a on przecie trwając przy swoim uporze, że anioł prawdziwy, umarł trzeciego dnia z potłuczenia się, nie chcąc się onym aniołem brzydzić; dlatego go bracia nie chowali między wiernymi, ale jako poganina w błocie utopili, i nie modlili się za niego.

Takto szatan i świętych i mądrych ludzi zaślepia na duszy, gdy się w grzéchu jakim zakochają! A nie chcą powstać z grzéchu, niechże tak w ślepocie swojéj poginą!

Zaślepiwszy tak grzésznika diabeł, czyni go zaraz niemym, jako wilk owcę za gardło chwytając, aby głosem swoim niewinnym ratunku nie [illegible] i przeto nie za nogę ją bierze, ani za grzbiet, ale za gardło. Tak też i szatan odradza mu wszytkiemi sposobami, aby nie

wołał o ratunek do Pana Boga, aby się nie spowiadał często; dość (powiada) na Wielkanoc, abo przy śmierci, abo kiedy się czas sposobny upatrzy. I tego się obawiając Dawid Święty, wczas głos swój podnosił do Pana Boga. Zwyczaj we wschodnich krajach, że cygani złoczyńców szablą scinają, i dla tego kata niemasz tam nigdzie. Dawid Święty prosi Pana Boga, aby go nie scinał ten cygan piekielny, tojest, aby mu mowy nie odejmował. Bo jak skoro niemym człowieka uczyni, zaraz mu też słuch odejmie, perswadując, aby kazania nie słuchał, aby nie chodził do kościoła, kiedy zadzwonią. Ale my, chrześcianie, słuchajmy rady Dawida Świętego, który nas napomina mówiąc: Jak skoro usłyszycie głos Pański, idźcież do czynienia spraw pobożnych, nie zatykając uszu serdecznych od napomnienia kapłańskiego, od nauki zbawiennéj, od przestrogi ludzi świętobliwych.

D) Dwór cesarza tureckiego i rezydencya jego w Konstantynopolu. W Krakowie w drukarni Franciszka Cezarego j. k. m. i jmć księdza biskupa krakowskiego, książęcia siewierskiego, także przesławnéj akademii krakowskiéj typografa. Roku 1695.

a. O położeniu miasta Konstantynopola i budynkach jego co przedniejszych.

Abym dostatniéj opisał dwór cesarza tureckiego, z którym Polacy blizkie sąsiedztwo mamy, muszę piérwéj opisać miasto Konstantynopole, w którém on zawsze rezyduje, i od onego czasu, jako Grecyę opanował, stolicę sobie w niém założył, wesołością miejsca, wspaniałością budynków, wygodą morza i sławą wielmożnego panowania cesarzów greckich wzbudzony.

Leży tedy to miasto jakoby na jednym klinie ziemi, morzem z obu stron oblanym, mając z jednéj strony kanał, *Hellespontum* nazwany, którym woda z morza Czarnego do morza Białego, *Propontidis* rzeczonego, pędem wielkim idzie, ryb w sobie rzecz nieprzebraną mając. Z dru-

giéj strony tego klina jest odnoga morska, która w ziemię wchodząc, oddziela miasto Galatę od miasta Konstantynopola na stajań kilka dobrych, rozlewając się nakształt rękawicy niepalczastéj ostro ku końcowi. A w tę odnogę wpada rzéka niemała z Tracyi przychodząc, nazwana *Cheathana*, gdzie za starych wieków była papiérnia sławna, od Konstantyna Wielkiego zbudowana.

Miasto to jest podługowate, a nie szérokie barzo, położone na siedmiu górach, tak jako Rzym stary we Włoszech. A te góry idą za sobą rzędem, jedna za drugą, jako kiedyby konia za koniem zdaleka prowadził wdłuż przez wszytko miasto.

Piérwsza góra, nie wysoka jednak nazbyt, leży na końcu samego klina, mając z obu stron kolo siebie morze, gdzie wybudowany jest pałac cesarski, w którym ustawnie mieszka, po turecku szaraj (to-jest dwór) nazwany. Potém inne góry idą środkiem miasta, mając na sobie rozmaite budynki wspaniałe, a ostatnia góra jest jakoby w końcu miasta od północnéj strony, z przyjazdu od Adryanopola. Między tą górą i drugą za nią na dolinie widzieć *aquaeductus*, abo prowadzenie wody sklepami, na wysokich barzo i miąższych słupach wciąż, murowanemi jeszcze od Konstantyna Wielkiego kosztem nieoszacowanym, i robotą prawie cudowną, równającą się odważnym robotom starych Rzymianów (foremniéj daleko niżeli są drugie *aquaeductus* w mieście samém), prowadzone przez mil włoskich czternaście, aż do samego pałacu, abo szaraju cesarskiego. Któreto sklepy, wojnami na niektórych miejscach popsowane, ponaprawiał sumptem wielkim Soliman, cesarz, i porozprzestrzeniał je, aby więcéj wody szło niemi nie tylko do szaraju, ale téż i do miasta na różne miejsca publiczne. Jakoż z tego jednego przyprowadzenia wody płynie fontan w mieście sześćset i czterdzieści, oprócz łazien pospolitych, w których się ustawnie kąpią ludzie rozmaitych narodów, płacąc od osoby po piąci aspi (jest to moneta turecka srebrna, podobna dziękom moskiewskim), co uczyni naszych groszy polskich pięć. A jest tych łazien w mieście dwieście i czterdzieści, prócz innych miejsc za miastem do kąpania się sposobnych, od téjże jednéj wody, którą Soliman rozszérzył, pochodzących.

Na ostatniéj tedy górze, w końcu miasta od północka położonéj, a przybliżającéj się jednak ku odnodze morskiéj, abo raczéj kanałowi płynącemu, jest staroświecką robotą zamek murowany o siedmiu wieżach, nazwany Gedykula, w którym ustawnie mieszka piénieżnych

żołnierzów, ale żonatych wszystko, dwieście pięćdziesiąt, mając każdy osobne mieszkanie swoje z żoną i dziećmi; nad którymi jest starszy kasztelan tego zamku, mając przy sobie cztérech poruczników także osiadłych i żonatych: a sam tak powinien tego zamku pilnować, że za bramę nigdzie wyniść nie może bez osobliwego pozwolenia wezyrowego, oprócz dwa razy do roku, we dwa uroczyste święta ich, w które każdy Machometan powinien być w moszei, abo kościele swoim na modlitwie, osobliwie do Świętéj Zofii.

Te siedm wież przed laty bywały pełne różnych rzeczy bogatych, bo w nich skarb cesarski chowano, to jest: w jednéj wieży monetę złotą i pręty ze złota odlewane; w drugiéj monetę srebrną starą i wielką; w trzeciéj klejnoty i rzędy kosztowne na konie, także i rynsztunki różne wojenne, złotem abo srebrem oprawne; w czwartéj rozmaite naczynia drogie staroświeckie, od złota, srebra, kryształów, bursztynów, koralów i kamieni różnych robione; w piątéj instrumenta różne do dobywania fortec i zamków; w szóstéj rozmaite *antiquitates* i galanterye tak morskie, jako też i robione z kości słoniowych, które rzeczy był przywiózł Selin sułtan, kiedy *Tauris*, miasto główne wziął pod Persami; a w siódméj zasię wieży, przy któréj jest galerya wielka, chowano pisma rozmaite i instrumenta matematyckie. Teraz wszytkiego tego mniéj się znajduje, bo Selin Wtóry, Cypru pod Wenety dobywając, siła na żołnierza z tąd wydał, i stracił też nie mało w przegranéj bitwie na morzu z chrześciany za Karla Piątego, cesarza rzymskiego: zaczém skarb wszytek co przedniejszy przeniósł do szaraju swego, gdzie mieszkał; a syn jego Amurat nic prawie już tam nie przyczynił, ale owszem jakby ostatek rzeczy co przedniejszych i droższych tam też przeprowadził. Zaczém ten zamek teraz obrócono jakoby na więzienie zacniejszych osób, kiedy abo baszę jakiego o co wsadzą, abo też chrześcian, i pogranicznych sąsiadów na wojnie jakiego wielkiego człowieka dostaną; którymto więźniom tam osadzonym wolno chodzić po zamku, jeno nie mieć noża, ani broni żadnéj: jako niedawnych lat siedział tam Hiemeni, król algierski, mając cztérech sług przy sobie, i dwaj synowie króla tunetańskiego, mając każdy osobno pokoje swoje.

Wszytkie te wieże Gedykuły są kwadratowe miąższe, do wiérzchu miasto dachu murowane ostro na kształt piramidów, pokryte ołowem. Bramy do tego zamku nie otwierają, jedno aż godzina będzie po wschodzie słońca, także godzinę przed zachodem zawierają: a w piątek

trzy godzin przed zachodem zamykają, a nie otwierają, aż godzina z południa.

Zamek ten wszelaką żywnością jest dobrze opatrzony zawsze, także prochami i strzelbą ręczną i innémi rynsztunkami, mając dział trzydzieści wielkich nad zwyczaj, a sto dział ordynaryjnych i nieco działek małych i organków. Jest tam we śrzodku łaźnia i ogród cesarski, i ogródeczki małe żołniérskie, co sobie na nich jarzyny sieją, i kościół abo moszea uprzywilejowana od cesarza z odpustami na piątki, jakiéj prerogatywy insze ich bożnice nie mają. Jest tam i źródło z ziemi wypadające z obfitą wodą tak, że zboże miele młynek o jedném kole ustawicznie, ale jest téż i insza woda rurami przyprowadzona za starych lat jeszcze tak sztucznie, że nikt nie może wiedzieć, z kąd ona przychodzi.

b) O bożnicach abo moszeach tureckich.

Przechodzi dwa tysiące bożnic tureckich w Konstantynopolu, między któremi pięć jest uprzywilejowanych i poświęconych od samego cesarza z odpustami (jako grube pogaństwo wierzy) zupełnymi wszytkich grzechów, ktoby się pewnych dni modlił. A ośm jest naprzedniejszych fabryki staroświeckiéj zacnością.

Pierwsza i nagłówniejsza moszea jest Aja Sofia, stary kościół chrześciański, od Konstantyna Wielkiego sumptem nieoszacowanym zbudowany, blizko szaraju cesarskiego, kędy pogrzebieni są synowie Otomanowi. Druga bożnica jest Sułtan Bajazet rzeczona, iż ją kosztem prawie królewskim tego imienia cesarz zbudował. Trzecia Sułtan Mechemet, którą zbudował i fundował syn Solimanów, Mechemet nazwany. Czwarta Solimania, piękniejsza z wierzchu od kościoła Ś. Zofii, którą zbudował Soliman cesarz, półtrzecia miliona czerwonych złotych na nię łożywszy: ma abowiem w sobie słupy ślicznego marmuru rozmaitéj farby; robota wyśmienita, i zaraz blizko szpital, kollegium na żaki, łaźnię i inne budynki na księża około. Piąta Sułtan Selim, którą budował cesarz Selim, żałując za grzech swój, iż ojca swego własnego zabił, aby był sam mógł na państwo co naprędzéj wstąpić. Ten za siedm lat zwojował Egipt, Syryę, Ziemię Świętą, i część państwa Perskiego, i przyczynił niemal drugie tylo intraty, ile jego antecessorowie mieli. Szósta bożnica jest z przedniej-

szych Sułtan Mechmet, którą budował Mechmet Wtóry, ten, co Konstantynopole wziął. Siódma, rzeczona Moradi, którą budował Amurat na tém miejscu, kędy piérwéj bywał kościół katedralny patryarchy konstantynopolskiego. Osma jest Sułtan Amurat, którą tego imienia cesarz wtóry budował, podobną fabryką i wielkością moszei Solimanowéj, tak téż ma w koło siebie budynków siła, ale nie jest tak piękna, jako Solimanowa, bo on do swojéj woził marmury aże z Alexandryi, z Syryi i Mezopotanii.

Świętéj Zofii jednak kościół, który Turcy na swoje bałwochwalstwo obrócili, wszytkie inne fabryki wspaniałością swoją i kosztowną architekturą łatwie przechodzi. Jest budowany na sześć grani, cztéry facyaty abo ściany mając większe, a dwie mniejsze, z rozmaitych marmurów kosztownie robione, mając portyki z takichże marmurów na koło, po ośmiorgu drzwi każdy. Ale do samego kościoła czworo tylko drzwi wielkie, przez które wchodzą że cztérech stron, na krzyż przeciwko sobie położone. We śrzodku zaś kopuła na szesnastu kolumnach marmurowych wystawiona, daleko większa i wyższa nad kopułę S. Piotra w Rzymie, pokryta wszytka z wierzchu ołowem. Te słupy, na których stoi, są okrągłe jednostajne wyższe i miąższe nad owe słupy składne z kamienia ciosanego na facyacie Piotra S. w Rzymie, około wielkich wrót kościelnych. Z których cztéry są marmuru cypryjskiego *diaspro* rzeczonego, cztéry porfiru czerwonego, cztéry sepentarye kręcone wężykowato, ale miąższejsze nad inne, a cztéry marmuru białego, mającego krople czarne po sobie na kształt tarantowaciny, tak téż miąższe, jako i one kręcone morągowatego marmuru. Kapitele mają misternéj roboty staroświeckiéj, kędy między rzezaniem stały osoby rozmaitych Świętych Bożych, na sztukę snycerską robione, ale je Turczyn kazał pozdejmować. Na tych słupach wyżéj stoją na framudze do koła inne słupy mniejsze dwadzieścia cztéry, które trzymają drugą framugę na sobie, jedne kwadratowe, a drugie okrągłe rozmaitych kolorów; znowu na téj framudze trzeci rząd słupów marmurowych także, ale jeszcze mniejszych od tych wtórych, a na nich dopiéro kopuła: a około tychże średnich słupów jest drugie dwadzieścia cztéry słupów, na koło tym piérwszym korrespondując, co framugę trzymają na sobie, także téż szerokość onéj frambugi dźwigających, a od téj frambugi dopiéro sklepienie idzie do ścian kościelnych na koło przytknione. Ściany zaś same różnymi marmurami wszytkie są ozdobione, i różne a subtelne

na sobie rzezanie mają. Także też i portyki wszytkie na koło staroświecką robotą, tylko że mozaiki nie mają takiéj, jaka jest w kościele samym w piękne kwiaty sadzona. Ale posadzka tak w kościele, jako i w portykach jest jedna, cudownem rzemiosłem sadzona, lubo ją po większéj części Machomet Wtóry, ten który wziął Konstantynopole, kazał wybrać z kościoła, a dał pawiment wszytek biały, z tłuczonego alabastru gładko robiony. Jest jednak we śrzodku pod samą kopułą zachowany obraz Najświętszéj Panny Bogarodzicielki, mozaiką misternie na koło kwiatami wysadzony, grecką robotą, który Turcy chowają nie wiémy dla jakiéj przyczyny w poszanowaniu, na koło zasłonką na słupach drewnianych zawieszoną zasłoniony: ale kto wnidzie na ganki w kopule, tedy dobrze go widzieć może z góry, i znać, że jest cudowny jakiś i poważny obraz, twarz wspaniałą i godną weneracyi mający.

Pod kościołem jest sklepów nie mało w ziemi, gdzie chrześcianie kaplice z ołtarzami Świętych Bożych miéwali, i grzebli się tam sami. To wszytko jest w cale, i nic Turcy nie ruszyli, powiadając, iż tam siła jest ciał świętych, których nie godzi się tykać nikomu. Przetoż aby tam nikt nie wchodził, kazał cesarz drzwi wszytkie pozamurować, wziąwszy z tamtąd ośm abo dziesięć dzbanów oleju jakiegoś starego, który w tych dzbanach żelaznymi pokrywkami mocno był zaszpontowany i popieczętowany. Na jednym dzbanie było napisano, że był od Konstantyna Wielkiego postawiony, a drugi dzban, według pisma, już (powiadają) ode dwu tysięcy lat stał. Olej ten wszytek był biały na kształt mléka, ale tłusty na kształt oliwy. Ulawszy tedy sobie w naczynia insze cesarz turecki, znowu te oleje kazał w jednéj podziemnéj kaplicy schować, do któréj drzwi są żelazne, aby mógł wnić, kiedy potrzeba. Są też tam z tych podziemnych kaplic lochy, daleko idące pod miasto, a prawie z każdéj kaplicy na koło, jako promienie od słońca, a na samém weściu do każdego lochu leży jedno ciało w grobie z marmuru robionym. Ale osobliwie dwa lochy są przeciwko sobie, jeden co idzie aż pod szaraj cesarski ku morzu, a drugi który idzie środkiem miasta aż ku murom miejskim, i są wrota do niego z miasta, gdzie pospolicie ci, co materye jedwabne robią, lecie tam w chłodzie snują swoje jedwabie, bo jest miejsce szerokie i widome dobrze, i płacą z tego miejsca co rok szkutów trzysta, to jest około dwu set czerwonych złotych naszych.

Budynki, które były dla kapłanów około tego kościoła, kazał poganin poobalać aż do gruntu, oprócz kanonii staréj, w któréj teraz mieszkają ich zakonnicy machometańscy, i ci, co posługują w bożnicy. A co tam była krzcilnica misternie robiona sześć grani, mając trzy piętra w sobie, to ją Turczyn obrócił sobie na armeryę, i wniósł ją do szaraju.

Moszea téż Solimanowa jest piękną robotą bardzo zrobiona, mając srogą rzecz słupów marmurowych ślicznych, których on z daleka zasiągał kosztem wielkim, i kopuła na niéj jest wielka także: dwa portyki idą w około przepyszne, które téż mają na sobie kopuł mniejszych trzydzieści i dwie, i na każdym rogu kościoła po cztéry wieże na dwanaście grani, robionych z marmuru białego, z których według zwyczaju swojego wielkim głosem księża ich wołając, lud pospolity pewnych godzin zwoływają na modlitwę, bo się im dzwonów mieć nie godzi według zakonu Machometowego. A kiedy miéwają święta swoje uroczyste, tedy z tych wież, od jednéj do drugiéj powyciągawszy powrozy, wieszają na nich lampy zapalone, robiąc z nich miesiąc, słońce, gwiazdy, konie i inne rzeczy foremne, które przez noc świécąc się, czynią cudowne widzenie, a to przez całą oktawę nabożeństwa swego.

c) O budynkach i miejscach tych, z których żadna intrata nie idzie.

Oprócz bożnic pogańskich, przy których są i szpitale, i szkoły, i mieszkania na ich księżą machometańską, jest osobno szpitalów ośmdziesiąt wielkich i dostatnich w prowizyą wszelką, nie tak przecie, jako te, które są przy moszeach i budynkami wspanialsze, i dochodami bogatsze, i rządem dobrym opatrzone lepiéj nad inne, których jest w liczbie dziewięć.

Jest téż sto dwadzieścia kollegium, w których mieszkają studenci, nazwani *sopha*, z których każdy ma swoję komórkę osobną, dwie szafce, kobierzec, dwie parze sukien na rok, cztéry bułki chleba na dzień, miseczkę jarzyny jakiéj, świécę na noc. A mistrz już jeden wszytkim lekcye czyta, które rozumi być potrzebne wszytkim; a zaś osobno mistrzowie czytają każdemu, jaką sobie kto naukę upodoba. A wszytkim tym mistrzom płaca idzie z intraty naznaczonéj do każdego kollegium. Studentom zasię wszytkim, każdemu z osobna idzie intra-

ta, skoro rok cały w którém kollegium przemieszka, naprzód po asprze na dzień przez piérwszy rok, przez drugi rok po dwie asprze na dzień, na trzeci rok po trzy, i tak co rok to więcéj, póki alkoronu wszytkiego nie wyuczy się. Mogą też sobie z osobna zarabiać, którzy nie są leniwi, pisząc księgi rozmaite (bo Turcy druku nie mają), i chodzą uczyć dzieci w domu zamożystszych ludzi. Ale pospolicie łotrowie bywają wierutni ci ich filozofowie, nie tak w Konstantynopolu wprawdzie, kędy się przecie muszą cesarza obawiać, abo raczéj janczarów jego, jako w Karamanii i w Natolii, gdzie taką wolność mają, że ich nikt karać nie może o żaden exces by największy, jeno od swego rektora piérwéj proskrybowani, i podani w ręce urzędu świeckiego. Sułtan Amurat chciał też jednego czasu wiedzieć, wiele by takich studentów abo sapientów w państwie jego było, i kazał ich był sobie na regestrze oddać, ale nie przyszło do skutku dla wojen perskich, które go były pomięszały. W saméj jednak Grecyi, i Karamanii, i w Natolii, oprócz Egiptu, Syryi i Arabii, kędy ich większa część znajduje się, już ich było naliczono dziewięćdziesiąt i kilka tysięcy.

A z tych to sofów abo mędrków jest w Konstantynopolu więcéj, niżeli dwadzieścia kaznodziejów, których *seche* zowią, to jest jakoby s t a r y c h, których ludzie mają w wielkiém poszanowaniu dla ich świętobliwości. A każdy z nich jest przełożonym nad jednym zakonem machometańskiéj religii (ci zakonnicy nie mają żon, tylko sam starszy, który jest nad nimi przełożonym), a nie mają powinności, jeno kazywać kazanie na każdy piątek co w przedniejszych moszeach. W tych zaś moszeach, kędy sam cesarz zwykł bywać, a osobliwie u S. Zofii na każdy dzień kazanie bywa, które trwa *ordinarie* dwie godziny, a czasem i więcéj. Kaznodzieja siedząc kazanie powiada, a ma przed sobą księgi wielkie otworzone, z których potrosze czyta, a zaś im wykłada. Ci zakonnicy jego schodzą się na świtaniu, a zaś wieczór wszyscy do téj moszei, która jest właśnie temu kaznodziei polecona. abo poświęcona, jako oni mówią, i modlą się wszyscy głosem, oraz siedząc na ziemi przez dwie godziny. A kiedy ich ten kaznodzieja umrze, tedy mu na urząd kaplicę w boku bożnicy zmurują, drzwi z moszei uczyniwszy, i zamykają to kratą, aby tam nikt nie wchodził. bo go za świętego mają, i rewerencyę jego grobowi czynią.

Są też między innemi budynkami publicznemi trzy dwory wielkie na kształt szaraju, z których jeden zowią *serajana*, gdzie robią sio-

dła, uzdy, strzemiona i wszytkie inne potrzeby do ubrania konia do wojny. A jest tam rzemieślnika więcéj na cztéry tysiące, którzy tam ustawnie z żonami i z dziećmi mieszkają. Obwarowany ten dwór w kwadrat wysoko w pojśrzodku podwórza ma moszeę i fontannę zdrowéj wody przed nią, a dwoje wrota są, któremi tam wchodzą, abo i wychodzą. W drugich zaś dwu dworach janczarowie mieszkają, z których jeden zowią *eschiodolar*, to jest stare mieszkania, a drugi *geniodolar*, nowe mieszkania. A ten, co nowy, dwór, jest dwakroć większy, niżeli stary, w figurę kwadratową podługowatą murowany, mając wewnątrz siła mieszkania w koło. A w każdéj izbie abo komorze mieszka jeden kapitan, którego zowią *ajbassy*, to jest wódz sławny. A jest takich wodzów sto pięćdziesiąt wszytkich, z których każdy ma dwieście janczarów pod sobą, którzy go słuchają jako samego cesarza. I żaden z nich bez pozwolenia jego nie może wyniść z dworu; a kiedy na noc te dwory zamykają, tedy klucze do starszego kapitana oddają, i on dopiéro rano pośle swego porucznika otwierać bramy: bo każdy z tych kapitanów ma cztérech poruczników swoich, których zowią *bolachibassi*.

d) O ogrodach i bibliotece cesarskiéj.

Prócz tego ogrodu, który jest we śrzodku podwórza pokojów cesarskich, są inne roskoszne barzo jakoby w tył pokojów aż do muru samego na obie stronie ku morzu. A na obie stronie ku morzu w tych ogrodach są we śrzodku (w każdym osobno) pokoiki małe, kształtnie robione barzo, a osobliwie jeden na sześć grani, na słupach marmurowych wystawiony wierzch swój mając, abo podniebienie; a między tymi słupami kryształu z gór rzezanego tablice tak spajane z sobą, że się zda, jakoby wszytkie ściany były z całych tablic kryształowych robione między onemi słupami, na których kopuła zasklepiona cudowną robotą, a z wierzchu pokryta ołowem. Na téj kopule jest latarniczka także pokryta z wierzchu ołowem, a wewnątrz wszytka srebrna, złocista z kwiatkami wybijanemi: ale téj latarniczki kolumny są z kryształu rzezanego, kolorami oprawne, jako i listwy w samym pokoju. Która stanca jest tak przeźroczysta, iż gdy słońce przez nie przechodzi, wzrok człowiekowi psuje promieniami swoimi, że patrzyć potém nie może: ale że ta stanca abo pokój, jest na wierzchu nad

innymi pokojami, tedy z niego jest wejźrzenie na wszytkie ogrody na koło tak piękne przez on kryształ, że rzecz cudowna wypowiedzieć, kto perspektywy uważyć może.

Nie daleko tych pokoików jest schowanie klejnotów cesarskich, w cudownych prawie armeryach rozłożonych. Ale osobliwie rzecz piękna jest widzieć rzędy i insze ubiory na konie, z drogich barzo pereł i kamieni drogich robione. Drugi taki gmach jest ku mieszkaniu pacholąt cesarskich zbudowany, kędy także klejnoty chowają, ale już na samę osobę cesarską, nie na konie robione: pierścienie, zapony, szable i noszenia rozmaite. A na lewą stronę zasię są dwie biblioteki wielkie, to jest jedna pospolita w tyle mieszkania pacholąt jego i pokojowych, którzy nią zawiadują, a druga sekretna, jakoby w tyle téj pospolitéj bliżéj pokojów samego cesarza postawiona, w któréj szafy z obu stron przy ścienie idą od końca do końca (bo jest podługowata), mając wszytkie drzwiczki kryształu rzezanego, oprawne kosztownie, a w każdéj szafeczce dwadzieścia cztéry księgi jednako oprawne i jednako *margines* malowane mając, robotą cudowną prawie, na których sam tylko cesarz czytywa. A że te szafy niskie są, tedy siedząc według zwyczaju swego tureckiego na ziemi na wezgłówku, widzi oraz przez ten kryształ wszytkie księgi, i nie wstając z ziemi, weźmie sobie każdą do czytania. A nad tymi szafeczkami, w których księgi są położone, drugie zasię szafki są wyższe inakszą robotą zrobione, otwarte i nie mając żadnych drzwiczek, w które to szafki na każdy wtorek kładą trzy worki pieniędzy: czerwonych złotych jeden, a dwa monety nowo i świeżo w minicy kutéj, z których worków rozdaje potém cesarz, kiedy mu się podoba, część między swoje błazny, część między głuchy i karły, część téż na jałmużny różne.

W piérwszéj bibliotece pospolitéj, do któréj chodzą pokojowi czytać, są księgi rozmaitych języków, wszytkie pisane, a nawięcéj po grecku, między któremi sto dwadzieścia ksiąg po dwa łokcia długich a na pół łokcia jeno szerokich Konstantyna Wielkiego, pięknie oprawnych, i na tak subtelnym pargaminie pisanych, że się zda jakby kitajka, na których pisano Stary i Nowy Testament, Żywoty Świętych, i różne historye, a wszytko literami złotymi. Oprawa sama jest srebrna na wszystkich złocista, perlami i drogiemi kamieńmi sadzona: i przeto na nich nie dadzą nikomu czytać, a prawie i dotknąć się, chyba sami pokojowi otwierają je, kiedy komu za wielkim faworem ukazują.

5. Samuel Twardowski.

Samuel Twardowski ze Skrzypny urodził się około 1600. roku, i żył przeszło 60 lat. W r. 1621. był sekretarzem przy poselstwie do Turcyi. Dzieła jego wiérszem pisane wszystkie prawie są treści historycznéj, a ozdobami rymotworstwa tylko upiększone, jako to: 1) *Legacya, t. j. historyczny opis poselstwa polskiego, do Porty Ottomańskiéj r. 1621. odbytego. W Kaliszu r. 1621.*—2) *Władysław IV. król polski w 5. księgach, czyli* (jak autor nazywa) *punktach. W Lesznie 1649.*—3) *Wojna domowa z Kozaki, Tatary etc. na cztéry podzielona księgi. W Krakowie 1660.*—4) *Wojna kozacka późniejsza. W Lesznie 1657.* —

Poema *Daphnis* (w Krakowie 1661. *) nazywa Załuski dramatem, w istocie zaś jest sceną liryczną. Nie wchodzą tu osoby rozmawiając dyalogicznie, ale istoty, jakoto: nimfy, pastérze, Apollo, itd., które zawsze na całkowitéj ośmiowierciowéj strofie mowę zaczynają i kończą. I myśli i wyrazów prawdziwie poetycznych w tym poemacie bardzo wiele znaléźć można.

Drobniejsze Twardowskiego poezye przedrukowane zostały pod tytułem: *Zbiór różnych rytmów Samuela z Skrzypny Twardowskiego, w Wilnie 1771.***)

Miał Twardowski wiele talentu do poezyi, ale i nieszczęściem żył w wieku, gdzie szumność już bardzo popłacała, i ta często sprawia, iż trudno nawet myśl autora objąć.

F. Bentkowski.

A) Władysław IV., król polski i szwedzki, Samuela z Skrzypny Twardowskiego. W Lesznie u Daniela Veterusa roku 1649. (in folio).

a) Podróż królewicza Władysława z Warszawy do Wiédnia (roku 1624.).

Tedy się u wielkiego ojca uprosiwszy,
I potrzebny apparat w drogę tę zrządziwszy,
Wyprawuje z Warszawy mile opuszczony,
I śluby życzliwymi daleko goniony
Od wszytkich kochających, żeby go szczęśliwie
Nieba im przywróciły: z nim w téj komitywie
Książę kanclerz Radziwił, także Pac, litewski
Tedy pisarz; z koronnych znaczniejszych: Żołkiewski,
Kazanowski i Dynof, mimo inszych sieła

*) Piérwsza edycya w Lublinie 1638. Juszyński.

**) Wyszły najprzód te wiérsze pod tytułem: *Miscellanea selecta. W Kaliszu roku 1681.* Juszyński.

Dworzan i pokojowych, kogo chęć budziela,
A godni się obrali przy jego być boku
W tak wdzięcznéj kompanii. Nie wprzód jednak kroku
Pomknie, ani przestąpi ojczystéj granice,
Aż przed pięknym obrazem cnéj Bogarodzice
Na Górze się Przejasnéj Częstochowskiéj stawi,
I tam przyobiecane śluby swe odprawi,
Oraz strawnym niebieskim znacznie posilony,
Śląskiem niegdy od swojéj odpadłym korony
Ma się prosto ku Nyssie. A już sława o niém
Rętszym leci rumorem, a niż kiedy koniem
Skrzydłastym Bellerofon rozbada po polu
Erytrejskim niezmiernem. Co naprzód w Karolu
Austryackim sprawiło, że z wielkim go przyjąć
Gotował apparatem; on, żeby się wyjąć
Mógł tym ceremoniom i pompy uchronić,
Umyślnie się pokwapi, i owych pogonić
Rozkaże kuryerów, którzy się wieszali
W drodze nad nim, i pasy różno przebiegali:
Jakoż się mu zdarzyło, że piérwéj widziany
Pod zmierzch już wieczorowy, a niż spodziewany
Stanął w mieście, gdzie i noc w téj niewiadomości
Przespał onę. Dopiéro jako się z ciemności
Dzień ochynął, i postać swoję światu wrócił,
Wszytkich na się w kościele chciwy wzrok obrócił,
Gdzie i sam arcyksiążę o! czy się nie zdumiał?
Czy nie we śnie, alboli w owym spaść rozumiał
Eneasza obłoku? że przetarłszy oczy
Dobrze z téj fantazyi, kniemu w tym poskoczy,
I zaraz przylepiwszy do niego się mile,
Po co by mu ta zdrada, i wdzięczne fortyle,
Z bratem*) bely? pytając; Po co bramy stoją
Tryumfalne i łuki, gdy nie drogą swoją
Wszedł do miasta, ani w téj przyjęty ozdobie,
Która jego przystała królewskiéj osobie?

*) Matką Władysława była arcyksiężniczka austryacka, Anna.

Czego śmiechem przyjemnym zbywając ów grzeczy,
Powié tylko, iże to próżne były rzeczy.
Więcy z tego ucieszon, czego sobie żądał.
Kiedy go tak samego szczęśliwie oglądał.
Z tym wezmą się do dworu, gdzie w zgrai wesołéj
Przejmującéj muzyki gotowe ich stoły
I ochoty czekały, i falerny różne.
Czém z głów sobie fatygi wybili podróżne.
I tu przyszło na miejscu dni kilka zabawić,
Ażby drudzy tymczasem cudzoziemskie sprawić
Mogli sobie ubiory, zaraz spół ze strojem
Ichże żyjąc humorem, nie już więcéj swojém.
Co niż stanie, nowa chęć Władysława wzbudzi
Wrocław widzieć, lubo to dla nawału ludzi
I pompy pospolitéj z kilką tylko koni
Nieznacznie się przebierze: ale im się chroni
Chwały téj i faworów sprzyjaźliwych więcy,
Tym one naciérają, tym gonią go pręcy.
Co mu się tam dostało, gdy słuchał mszy ranéj
W katedralnym kościele, że zaraz poznany
Od swych niegdy żołnierzów, którzy mu służeli
Pod Chocimem, i z jego reimentów beli.
Tylko co się nie wyda i wszytkim objawi:
Czego skoro postrzeże, nic się nie zabawi,
I prócz widząc, co widzieć beło godniejszego,
Miasto samo nad które niemasz piękniejszego
Między trzema pięknymi z Rzeskiéj wszystkiéj Ziemi,
Opasane trojako mury potężnemi,
Nazad wróci do Nissy, gdzie, gdy sporządzone
Rzeczy wszytkie zastanie, w kraje zamierzone
Ma się daléj. Tu więtszą ludzkość swoją żeby
Oświadczył arcyksiążę, nie tylko potrzeby
Opatrzyć mu podróżne rozkaże czeladzi,
Ale aż go do Wiédnia i sam poprowadzi:
W któréj to kompanii tylko co wyjada,
O tym radzą, jakoby (oważ piérwsza zdrada!)
Ozdób swoich ukreli, i niżby postrzegli,

Co ich mieli przyjmować, cesarza ubiegli
Bez wszystkich ceremonij. Jakoż na to szczęście
Wyjechał beł z pałacu tedy na przedmieście
Do ogrodu jednego pod wieczorne chłody
Dla swéj rekreacyi, któréj wnet pogody
Owi z boku użyją, i przyciąwszy koni
Na kształt gromu jakiego i raczéj pogoni,
Dojadą go z rumorem: zaraz się znać dają.
I skoczywszy z karoce nisko przywitają.
O co za dziw i jakie beło tam kochanie?
Jakie jeden na drugim słodkie poleganie,
Kto wymówi? Kiedy ten własną twarz, i ine
Podobieństwa kochane uznawał siestrzyne,
Ow matkę upatrował z jego także cery
Mało co pamiętaną. Tak już pod Hespery
Pomkną się zachodzące w tych roskoszach z sobą
Prosto ku pałacowi: tam z wielką ozdobą
Cesarzowa z siostrami i trzecim ich bratem,
Leopoldem przyjęła. Na wieczerzą zatém
Bębny zagrzmią, gdzie stoły porządki długimi
Pod różno potrawami i pasy drogimi
Dymy wonne kurzeły, a wszytkie ochoty
Bachus ze dna wyleje, że od Luny złotéj
Twarzy w bród zafarbują, i żyzne wymowy
Podhełmowe nastaną, za panów swych głowy
I zdrowie nieśmiertelne czary pełniąc spore.
A tam w mieście z dział biją, i wszytka noc gore
Przyprawnymi ogniami, aż dopiéro wstaną,
Kiedy otchnie Lucyfer zorzą ich swą raną.
Rano w drogiéj kapeli mszy słuchawszy świętéj,
Cesarz i cesarzowa z wczorajszéj zawziętéj
Ludzkości nie spuszczając i ochoty swojéj,
Wzywają Władysława, że mu się wyroi
Humor poźny, na wdzięczną perspektywę sale
I cesarskich pokojów, gdzie krwawe korale
Między się błyszczącymi wstydzą smaragdami
Po cedrowych połogach: drzwi portyerami

Zasłonione złotymi. Tam podwoje ryte
Z kosztownych topazyów i drogo obite
Sydońskimi pałają szpalerami ściany,
A pawiment aspisem szczéro brukowany,
Aż gdzie się przeźroczysta altana otwiéra,
Która, zda się, że wszytkie ozdoby zawiéra
Świata tu zniesionego, kosztowne obrazy
Przeszłych widziéć cesarzów
Rzymskiego *imperium*, na który tron święty
Między różnorzeskimi przednimi książęty
Godniejszy następował, od siedmi obrany
Elektorów, a w Rzymie prócz koronowany.
Na koniec, jako to raz do austryackiego,
Począwszy od komesa niegdy habsburskiego,
Weszło domu, trwa dotąd, ani rozerwanym
Płuży trybem. A tu już daleko równanym
Dziełem i inwencyą z wszystkimi owymi
Widziéć wielkie Karole, i Alcydowymi
Kulumnami Filipy nieograniczone,
Ferdynandy, Rudolfy, Matyasze one,
I inne tam heroy, którzy wywyższyli
Dom ten w niebo. A tym gdy oczy ucieszyli
Tak roskosznym widokiem, na dół z sobą zeszli
Do skrytszego archiwu, gdzie tak długo przeszli
Spiżowali cesarze niezmierne swe zbiory,
W czém mogła i natura swoimi fawory
Ludziom kiedy dogodzić, i co ziemia schronić
W łonie swém naskrytszego, i słońce uronić
Z prześwietnych swych promieni, i wypienić morze
Z głębokości ostatnich, — w jednéj to komorze
Wszytko widzą bogatéj. Toż obiad i owe
Wczorajsze się powrócą roskoszy stołowe.—
Tak w Wiédniu na uciechach zabawiwszy onych
Miesiąc cały, do krajów daléj zamierzonych
Czas sam już inwitował: zaczém, w pół kochania
I żądz dalszych, przyszło im z sobą do żegnania
Nie bez łez zobopolnych. Toż wyprowadzony

STOWARZYSZENIE
„PRZYJAŹŃ"

Od cesarstwa wszytkiego, w głębsze już Teutony
Ku Lincowi obróci, gdzie nie chcąc być znany,
Między swoich umyślnie wjechał zamieszany.

b) Wjazd rzymski posła Ossolińskiego roku 1633.

Aż też nowembrowy dzień nadszedł ostateczny,
Kiedy jaśniej nad zwyczaj uderzył słoneczny
W okna promień, wczorajsze rozbijając cienie,
A na tak niebywałe u siebie widzenie
Rzym gotując, jakoby starożytne owe
Wstawały mu tryumfy Pompejuszowe,
Albo Syfax w okowach, albo Jugurcine
Spiże drogie. Toż wszytkie sporządziwszy ine
Do tego apparaty festu i widoku,
Wjeżdżał poseł w prześwietnym ludzi swych obloku,
Brama gdzie Flaminijska z północy otwiéra
Wielkie miasto. Wnet jako gdy swe rozpościéra
Kramy Luzytania z augszpurskich zebrane
Zwierzciadł i galanteryj na te niewidziane
W oczu światła, Indya wszytka się zgromadzi,
I dziecinnie dziwuje; a wprzód poprowadzi
Wozy para przystawów szarlatnimi kryte
Ku ziemi oponami; po nich złotem szyte
Dawały znać Topory, że poselskie beły,
A muły urodziwe ciężko ich ciągnęły.
W trop ich dziesięć wielbłądów pokojowe nieśli
Sprzęty drogie, (o! jaki, skoro w bramę weśli,
Zgiełk beł ludzi i rumor po dużych podwojach!)
A *Persae* i Ormieni w tureckich zawojach
Po garbach im siedzieli; trębacze za nimi
W téjże barwie, pod świetno forgami strusimi
Ciągniony, potrębując kozakom cztérdziestu,
Którzy następowali. Nie inaksza Pestu
Różność słynie, i lecie rozwitego maku
W hesperyjskim ogrodzie; nie beło tam znaku
Wełny prostéj, i lada na żadnym z nich szaty,
Prócz od złota samego a prace bogatéj

Pająków morwiorodnych, ile nadjeżdżała
Młódź gdy dworska, i ubiór i ozdobne ciała
Nad wiosnę rozkwitniona, rumelskie telije
Katanki teletowe, zkąd trojaki bije
Blask od słońca, sajdaki kształtnie opuszczone
Z łuki barbaryjskimi, i tak ułożone
Nieśli do nich ramiona, jakoby się z synem
O lepszą ustrzeliwać mieli Wenerzynem.
Konie także pod nimi w piérzu niemniéj strojném,
Ich się akkomodując szumom niespokojnym,
Przepryskały wesoło, a starzec ozdobny,
Chociszewski im wodzem, zdał się być podobny
Lotnemu Pegazowi, — dzida perska w ręku,
I skrzydła roztoczone od zadniego łęku
Orle go unosiły. Toż dorodnych koni
Sześć tureckich, nie jakich przed słońcem gdzieś chroni
W Koryncie Peryander, ale ugłaskanych
Piękną ręką, szły w rzędach szczero okowanych
Dyamenty drogimi, rubiny, szmaragi,
I jakie uhaftować umiały czapragi
Trackie dziéwki, i zrobić siodła Dyarbeka
I Kozułbasz strzemiona. Od nich blask zdaleka
Oczy ludzkie urażał, a podkowy brzmiały
Same złotem, które się umyślnie padały
W łup gminowi. Także ich świetno upiérzeni
Barwiani powodzili *Persae* i Ormieni,
Już koniuszy za nimi z gronem pokojowéj
Młodzi nawyborniejszéj, w perskie złotogłowy
Równo wszyscy ubrani, w siedzenia od złota,
I szable, i andżary, a żywa ochota
Tyletroj w nich, i młode pałały ozdoby.
Po tych następowały same już osoby
Sług poselskich, pojrzeniem jako pozorniejsze,
Tak ubiory nie równo na nich kosztowniejsze,
Od rezańskich soboli i nóg przewybornych
Rysi perskich. Przed nimi porządków nadwornych
Żeleński majordomo z reimentem złotym,

Toż znaczniejszy z przyjaciół Komorowski potym,
I trzej Naruszewicy; Minocki z Wężykiem,
Lanckoroński i Korniakt, których pięknym szykiem
Przeplatały gwardye papiezkiego dworu:
Ale nikt szumniejszego z tych wszytkich humoru
Nie miał nad Cieklińskiego, na smukownym który
Anadolskim rumaku bijąc żartko z góry,
Łańcuch z złotogrzywego bończuka płynący
Rozerwał na ogniwa (czym się dziwujący
Gmin zabawił), sam w długo szacie opuszczonéj,
Od kamieni i złota wszytek oświécony,
Siedział tedy. Od niego odwiodłszy się daléj
W stateczniejszych postawach Lipski i Konkalli,
Zebrzydowski, Potocki, oba Firlejowie,
Tarnowski, Lubomirski, wojewodzicowie
Wielkich ojców, — wszyscy ci jako urodzeniem,
Tak strojniejszym daleko na koniech siedzeniem
Jeszcze tych przechodzili. Przed samym już posłem,
Trzęsąc forgi ozdobne po czele wyniosłém
Konia urodziwego, w szumnéj jechał cerze
Ossoliński stryjeczny, rękę prawą bierze
Gębicki mu sekretarz, który wnet pozwoli
Torressowi, a lewą weźmie Faustopoli,
Amazyjski infułat, między sam którymi,
Jako dwiema przednimi swiatły niebieskimi
Pałający Lucyfer poranną wdzięcznością,
Poseł śrzedni: koń pod nim strojem i pięknością
Wszytkim nie porównany, szumne ważeł nogi,
Szczéro od maniery jubilerskiéj drogi
Błyszcząc i chryzolitów; szata haftowana
W łuskę złotą, którą mu tam, gdzie zapinana,
Z dyamentów wschodowych pętlice okuły,
Czołdar perły i krwawe rubiny posuły:
Owo wszytek, jako gdy dziennéj swéj karoce
Dosiadszy, w Joniej słońce się migoce
W przeźrzoczystém jezierze, albo w szarym zmiérzchu
Rozczosany kometa; a jeśli po wiérzchu,

Cóż? zewnętrzne gracye i ozdoba ciała
Nie więcéj go daleko nad to oświécała?
Ono twarz otworzona, śmiejące się oczy,
Czoło jasne, po którém kosztowna się toczy,
Na kształt umbry południéj długo gdzieś po niskich
Pracowicie zbiérana odnogach laryjskich.
Kita czapla, że którzy wszytko to widzieli,
Większą roskosz daleko z jego saméj mieli
Napiękniejszéj urody. Po bokach i z tełu
Papiéskiéj kompanii i z inszych tam sielu
Przebranych kawalerów zgraja go zasłoni:
Na ostatku karoca w sześć tureckich koni,
Białym zewnątrz teletem kosztownie obita.
A z wiérzchu axamitem zielonym pokryta.

B) Dafnis w drzewo bobkowe przemieniła się, napisana wierszem przez Samuela z Skrzypnéj Twardowskiego. W Krakowie w drukarni akademickiéj roku 1702.

Scena piąta.

Pastérze. Apollo.

Gromada pastérzów chwalą Apollina, że zabił smoka, w czém że się niesposobnymi widzą, proszą, aby on sam spiéwał swoje chwały. Spiéwa tedy Apollo, sławiąc łuk i strzały.

1.

Pastérz 1. Jako potężną ręką wymierzony,
Bezecny Pito więcéj już nie żyje,
Już po Aulidzie zajętemi plony —
Już i krwią ludzką okrutnik nie tyje:
Leży plugawém ściérwem rozciągniony,
A z daleka go mijają bestyje:
Pod trupem ziemia szkaradnym runęła,
A z dźwięku Etna daleko zawela.

2.

Pastérz 2. Patrzyłem, — patrzył, kiedy się potykał
W deljejskim chróście z nim Apollo śmiały,

On w jamie sprośnéj tedy się zatail,
Oblowem krawym i ludzkiemi ciały,
Zgrzytał zęboma, i straszliwie kszykał.
A szczérym ogniem oczy mu pałały:
Jako postrzeże, że kniemu ktoś bieży,
Ryknie ogromnie, i ostry grzbiet zjeży.

3.

Mniemał, że także miał mieć dołękę:
Jako nad zgrają pastwił się śmiertelną
Zaczém straszliwą rozdarszy paszczękę
Puści nań chmurę krwi i jadu pełną,
Gdy w tém Apollo, wysmuknąwszy rękę,
Strzałę niechybną i nieskazitelną
Pchnie nań z cięciwy, ta prosto w pół gardła
Otwartém piekłem do serca przepadła.

4.

Serce, któremu jeden włos urazem
(Tak ma pieszczone nietykane nity)
Tym niewytrawnym przerażony razem,
Bo też inaczéj nie mógł bydź pożyty.
Grzbiet miał natwardszą łuską i żelazem,
A brzuch chropawym jaszczurem podbity:
Zgiełk wściekłych wężów wił mu się po czele,
A nastrożone toczył z strachem skrzele.

5.

Pastérz 5. Już, czym był, nie jest, ani opłakanéj
Na wieki będzie Tessaliej trwożył!
Pastérz po ciemnych kniejach obłąkany,
Wyżrał już w polu, i zginiony ożył,
Już gra w fujarkę i flet swój trzciniany,
Już ognie sobie po górach nałożył,
A świat, co bladą obszedł był Erynną,
Spędziwszy trwogi, twarz na się wziął inną.

6.

Pastérz 4. Które już dzięki usty śmiertelnemi
Apollinowi oddane być mogą?
Które tryumfy z końmi zwycięznemi
Muzyką naszą spiéwaną ubogą,
Że milszy słońca, zawitawszy ziemi,
Wrócił nam żywot, wrócił wolność drogą:
Przeto, co w piersiach ducha, dobywajmy,
A proste nasze pieśni mu spiéwajmy.

7.

Pastérz 5. Spiéwajmy, bracia: Przetoliś wygnany,
Niebieski gończe, na dół ten wzgardzony,
Byś prze Prometów zbrodzień niesłychany,
Ogień ów wrócił z nieba wykradziony?
W nasze tu z nami pustynie wmieszkany,
Takeś ukochał naród ohydzony,
Że, coś miał gniewać i srożyć się gromy,
Zbawiłeś raczéj śmierci go łakomėj.

8.

Pastérz 6. Herkulesowi równy z każdéj strony:
Bo co ważyły larwy awernowe,
Co lew nemejski krwie nienasycony,
I tropaszczękie hydry Cerberowe,
Geryonowi co odbite plony,
I konie krwawe Dyomedesowe,
To srogi Pito, w ostatniéj potrzebie –
W ostatniéj naszéj zabity od ciebie.

9.

Pastérz 7. Czeka wybranych jałowic po parze,
Czekają za to ubogie cię dary,
Zakurzą bobkiem wonnym się ołtarze,
Wspienią i mlékiem dereniowe czary,
Będą i gorzéć oliwą lichtarze,
Wdzięczności naszéj powinne ofiary:

Niech ci wóz złoty Faeton zatoczy,
Bo już śmiertelne nie zniosą cię oczy.“

10.

Pastérz 8. Spiéwajcie, lasy, cienie mu spiéwajcie!
Wściekłym dopiéro duchem zarażone:
Igrajcie, Fauni, i Nimfy igrajcie!
Nieraz w zaczętym tańcu rozgromione;
I wy, pastérze, do nas się zbiegajcie!
Zniozszy multanki i trzciny ćwiczone,
Co sił, co w piersiach ducha, dobywajmy,
A proste nasze pieśni mu spiéwajmy!

11.

Pastérz 9. Ale otoż go przed oczyma mamy!
On z poboiska wraca się wesołem:
Ciebie, o wielki zwycięzco! witamy,
Tobie tém naszém zgromadzoném kołem
Porażonego Pitona spiéwamy,
Tobie, przypadszy, bijem nisko czołem!
Przyjmij nie strojne nasze panegiry,
Wylane z serca i ochoty szczéréj.

12.

W czém, jeśli liche pastérskie osoby
Zdołać nie możem, ty sam swoje chwały
Wyspiéwaj godniéj, ty podaj sposoby,
Aby atyckim miodem się wylały;
Przypomnij i sam sobie swe ozdoby,
I łuk, i trackie złotopióre strzały:
Za wdzięczną twoją lutnią i piersiami
Obraca niebo z swemi się gwiazdami.

13.

Apollo. Które bydź nardy przyjemniejsze mogą?
Która i Pafo podobnéj wonności,
Nad niski pokłon i ofiarę drogą
Bogom niebieskim oddanéj wdzięczności?

Cieszę się i ja waszą tą ubogą
Muzyką serca i prostéj szczérości!
Po co mi dymem śmierdzieć mają stoły,
I jęczéć smutnie mordowane woły?

14.

Smoka przeważnie, prawda to, zabiłem,
Jeśliż trudnego sile co słonecznéj,
Żywot zginionym mieszkańcom wróciłem,
I Erycynom las odtąd bezpieczny;
Ogromny łupież w Delfie powiesiłem
Na wieczną pamięć i ślub sobie wieczny:
Co? co? Jupiter wszystkie miéć chce chwały
Piorunom swoim? Tęższe moje strzały!

15.

Gdyby téj broni i on był używał
Na on postępek Cyklopów zuchwały,
Ani sił wszytkich niebieskich dobywał,
Które i ziemię i morze zmięszały,
Co trząsł i niebem, co góry porywał,
I beotyckie miotał na nich skały;
Jakoby snadniéj był z łuku ich pobił,
Niż co się silił i tak wiele robił?

16.

Szlachetna broni! łuku mój złocony!
Którym cię od tąd wyniosę językiem?
Ty, coś nie dawno wisiał opuszczony,
I nie był w ręku, jedno Partom dzikim,
Teraz com pastérz dopiéro wzgardzony,
Stałem się z daru twego wojennikiem;
Na wieki za to będziesz mi przy boku,
Ani bez ciebie postąpię i kroku.

C) Miscellanea selecta Samuela z Skrzypny Twardowskiego, w różnych panegirycznych okazyach do druku

sparsim podane, teraz jako godne pamięci w jedno opus zebrane. W Kaliszu roku Pańskiego 1681.

Maryannie Twardowskiej, wdziecznéj dziecinie, jedynaczce swojéj, ojciec napisał.

1. Tren (3.).

Ledwieś mi się, jutrzenko moja, pokazała,
Ledwie na świat promyczki złote swe wydała,
A już gaśniesz, ani cię we mglistym obłoku
Dojrzeć mogę nieszczęsny, i dotrzeć się wzroku!
Cóż wdzięki twoje one z śmiechy niewinnymi?
Jedno były promieńmi przerażającymi
Serce moje. Teraześ mgłą obeszła ciemną,
Ani — ani wiecznie już rozświecisz przedemną.
Bodaj była nie weszła! bo nie tak, jak wschodzi,
Jako słońce, tém milsze, gdy już już zachodzi.

2. Tren (4.).

Cóż nam z matką zostawa, jedno z różanymi
Miéć się prędko za tobą stopeczkami twymi?
Jako umrzem wesoło, ach! ach w jednéj dobie,
Kiedy cię tam będziem miéć przewodniczką sobie?
A ty więc przeciwko nam wdzięcznéj onéj chwile
Z ręczynkami wynidziesz sciągnionemi mile:
Ta pociecha, te nasze ostatnie nadzieje,
Żalom jeśli serdecznym dosyć się tak dzieje!
Próżno! próżno! nie spuścim z myśli cię na wieki
Ani kiedy osuszą nasze się powieki.
Wdzięczna dziéwko! krótkoś nas ucieszyła sobą,
A jakoż nagrodzimy długą to żałobą!

---

6. Zbigniew Morsztyn.

Okres poetyczny Morsztyna nie o wiele przechodzi lat dziesiątek. Z rokiem 1654. kończy się najswobodniejsza i razem najpewniejsza część jego tworów, które nas doszły, lubo mało znaczące ich ślady błąkają się jeszcze poza rokiem 1677.

Wiadomość o życiu i kolejach osobistych naszego poety czerpamy tylko z jego dzieła.

Twierdzenie co do czasu urodzenia Morsztyna w tym tylko razie jest ugruntowane, jeżeli śmierć Otfinowskiego istotnie w roku 1622. nastąpiła, o czém dla braku źródeł historycznych nie mogę się upewnić. Czas jego urodzenia odnosimy do końca piérwszego lat dziesiątka XVII. wieku. Synem był Jérzego. Dom Morsztynów, jego zamożność, rozgałęzione stosunki i rosnące podówczas znaczenie publiczne zapewniały młodemu Zbigniewowi w towarzystwie pewną swobodę zewnętrzną. Jakoż nigdzie mu ciasno nie było na świecie. Powszechną formułę życia możnéj szlachty owego wieku i on ściśle wypełnił. Odebrał staranne wychowanie, poznał kraj swój, podróżował utartym narodowym gościńcem przez Niemcy do Francyi i Włoch, zapuścił się do Sycylii; następnie piastował urzędy w kraju, bywał w obozach.

Na rozbudzenie i wykształcenie jego zmysłu poetycznego silny wpływ wywarło dwóch znakomitych ludzi owego wieku: znany tłumacz poetów rzymskich, Waleryan Otfinowski, podczaszy sendomiérski, i Jan Grotkowski, sekretarz pokojowy królewski, którego nasz Morsztyn celnym poetą swojego czasu być mieni. Z piérwszym łączyły go związki pokrewieństwa, i w domu jego lata chłopięce przeżył. Owidyusza szczególnéj polubił. Przemiany więziły żywą jego imaginacyę na rozległych błoniach mitologii, z któréj się w początkowych tworach własnych rzadko otrząsnąć zdołał. Wdzięczność dla mistrza swego „że młode jego piastował lata, i do Febowéj drogę podał lutnie,“— wyraża w osobnym wiérszu, ułożonym w roku 1645. na zgon jego. — Grotkowskiego sam w życiu wyszukał. Złączeni byli ścisłą przyjaźnią, którą ożywiało wzajemne znoszenie się poetyczne. Czuł nasz Morsztyn wyższość Grotkowskiego, gdy pod zdanie jego odnosi piérwiastkowe płody, otwiéra przed nim serce swoje, wypowiada tajemnice, zmartwienia, wyszukuje to obawy, to skargi, to życzenia, któremi go aż do Włoch nasyła, gdzie Grotkowski, bawiący w sprawie summ neapolitańskich, własną muzę ożywia tworami Sannazarego, Marina i Pontana. Czas dochował nam kilka tylko pieśni Morsztyna, jako świadectwo umysłowego tarcia się dwóch tych jenialnych młodzieńców, wszystkie nacechowane wykończeniem, i wielkiéj wartości poetycznéj. Ustępy w nich, jako:

„Tyś u mnie piérwszy, i tobie przyznawam,
Że w polskim wiérszu za tobą zostawam.
I tak leniwo w trop za tobą jadę,
Jak téż po sobie pozad drugich kładę,“ —

jako i ten:

„Jakoż raz tylko usłyszawszy ciebie,
Zapomniał Parnas mówić po łacinie,
Muzy po polsku piszą, i ty, Febie,
Polskie grasz tańce niebieskiéj drużynie,“ —

wskazują, że Polska mogła mieć w Grotkowskim znakomitego poetę. Wpływowi Grotkowskiego winien zapewne Morsztyn zamiłowanie poezyi włoskiéj, któréj duch owiał dojrzalsze i razem najpiękniejsze jego twory, a która już podówczas zaczynała tracić prawo obywatelstwa w uczonéj Polsce przed wkradającą się elegancką poezyą francuzką.

Wydawca Poezyj Zbigniewa Morsztyna.

Na Boże Narodzenie.

Sonet.

Szczęśliwa nocy, w którą się nam rodzi
Dzień jasny — światło wszystkiemu stworzeniu,
I w której brudach i okropnym cieniu
Słońce jaśniejsze nad codzienne wschodzi!

Szczęśliwe bydło, które gdy mróz chłodzi,
Grzejecie pana w ciepłém swojém tchnieniu;
Luboście nieme, w takiém przysłużeniu
Zazdrościć się wam tego szczęścia godzi!

Szczęśliwa stajni, szczęśliwe pieluchy,
Które się Boskich członeczków tykają!
Szczęśliwy i żłób, szczęśliwe i siano!
Szczęśliwsze jednak nad wszystko pastuchy,
Sądzę, że naprzód dzieciątko witają,
I do zbawienia powstali tak rano!

W kwartanie.

Sonet.

Goreję, Panie! coraz większy wstaje
Ogień, palący wnętrzności w pérz suchy;
To twoje dzieło bez żadnéj otuchy
Kona, i z swym się gościem już rozstaje.
Już ośm miesięcy, jako nie ustaje
Płomień czyli mróz, na lekarstwa głuchy;
Jako wosk, miękki, jako garnek, kruchy,
Tak się ta kruszy lepianka i taje.
Te same, któreć posyłam, westchnienie,
Radnierad w sobie powciągam i duszę,
Czując z nich zbytnie w uściech upalenie:
Ach jeśli już w tym skwarze skończyć muszę,
I śmiercią samą przygasić płomienie,
Ty od wiecznego wybaw ognia duszę!

Nowe Lato 1648. r.

Do jmć pani siostry.

Wczora stary rok o wieczornéj dobie
Pogrzebion, nowy dziś w kolebce wstaje;
Tak ptak, co wonny grób uściela sobie,
I śmiercią swoją czci sabejskie kraje,
Złożywszy starość w gorejącym grobie,
Odmłodniałym się z perzyny wydaje;
Tak i Anteusz, matki naszéj plemię,
Uduszon, wstaje dotknąwszy się ziemie.

Tak i odcięta od własnéj gałęzi
Latorośl, w nowym pniaku się przyjmuje;
I smok dorosły afrykańskiéj więzi,
Łupież porzuca, kiedy wiosnę czuje;
Tak i jedwabny worek, co go więzi,
Robak na nowy żywot przegryzuje;
Tak i jaskółki zbywszy zimnych łodów,
Dobywają się lecie z mokrych chłodów.

Dziś się rok zaczął, dziś Janus dwuczoły
Twarz przednią swoję i młodą przywraca;
Dziś ten pierścionek, który swemi koły
Niebieskie wszystkie okręgi obraca, —
Dziś i egipski wąż do nas wesoły
Obrotem swoim dorocznie się wraca,
Co się zakrętem jednostajnym wije,
I ogon w gębę zacérklony kryje.

Niechżeć się ten rok szczęśliwie powodzi,
Niech ci się wiedzie, jako pragniesz sama,
Niechaj ci wiosna tak wesoła wschodzi,
Jak przed upadkiem bywała Adama;
Niech ci tak lato wszystko hojnie rodzi,
Jako wnukowi starego Abrama,
Jesień nie szkodzi żadną niepogodą,
Z ubraną w sople tęga zima brodą.

A Pan, co roczne kieruje obroty,
I wszystkich fortun zawiaduje kołem,
Niechaj od ciebie oddala kłopoty,
I dni z wesołém da zażywać czołem:
I gospodarskie przeżegna roboty
Hojnością w gumnie, w spiżarni, za stołem.

Chłód daremny.

W powszechnym świata znoju i spaleniu
Szukałem, gdzieby głowę skłonić w cieniu.
Raz się przechodzę do blizkiego gaju,
I żebrzę łaski zielonego maju:
Tam mię wspomaga dąb chaoński cieniem,
I grab twardością zrównany z kamieniem,
Piękny i jawor fladrowanéj więzi,
I szkolna brzoza drobniuchnéj gałęzi,
I żyrne buki, i klon niewysoki,
I lipa, matka pachniącéj patoki,
Jasion wojenny, i brzost, który naszem
Krajom intraty przyczynia potaszem. —
Drugi raz w gęste zapuszczam się bory,
Kędy świérk czarny rośnie w górę spory,
I modrzewina czerwi nie znająca,
I terpetyną jedlina płacząca,
I sosna wielkiéj w budynkach wygody,
I kadzidłowéj jałowiec jagody. —
Trzeci raz, różnie probując ochłody,
Chodzę po brzegach przezroczystéj wody:
Tam mam dostatnie chłody topolowe,
Olsze czerwone i wiérzby domowe.
Ale cóż po tém? Lubo ta zasłona
Schroni méj głowy od Hyperyona,
Próżno się tedy cieniem z wiérzchu chłodzę,
Gdy w sobie noszę ogień i z nim chodzę.

Wiejski żywot.

Chociaż ty, Kasiu, same tylko dwory
I miasta chwalisz, nawiédzić obory

(Wszak się i dworscy przejeżdżają radzi)
Wiejskie nie wadzi.

Nie gardź folwarkiem! Tak wielcy panowie
Zbiegali w polc po pokój i zdrowie:
Tak się bawili ludzie przed potopem
Bydłem a snopem.

Wtenczas co daly domowe okoły,
Tym się pysznily nie wyniosłe stoły,
Co splacheć rolej, co szpiklerz domowy,
I dojne krowy.

Słodkich im ze Włoch win nie niosły muły.
Nie znali węgrów, szymonów, rywuły;
Pragnienie wodą śmierzyli stokową,
Czaszą bukową.

Domowe krosna samodziałkę tkały,
Jedwabiu, złota, chałupy nie znały:
Len tylko biały wystawiał strój z pełna,
A z owce wełna.

Co wszystko miła słodziła swoboda;
Nie tknęła się ich przygoda, ni szkoda,
Ani gniew panów, ni co bieży w koło.
Fortuny koło.

Ale i teraz pojźrzyj na te kraje.
Które ziemianin własnym pługiem kraje,
Ujźrzysz, że łacniéj o pokój przy zdroju.
Niźli w pokoju.

Wierniéj spokojny wczas chałupy strzeże,
Prędzéj na górne bije piorun wieże,
Prędzéj wiatr kruszy zawiłą dębinę,
Niż gibką trzcinę.

Ten piosnki spiéwa i wieśniackie wiérsze,
Ten wianki wije, ten z sitowia wiérsze;

Ten przy skaczących po trawie barankach
Gra na multankach.

Na gospodarskie patrz tylko zabawy:
Ten rybom kopie sadzawki i stawy,
Ten na nie, chociaż niepewien, czy będą,
Zachodzi z wędą.

Tamten z konopnéj wywiéra psy sforki,
Ten tłuste tłucze kobusem przepiórki,
Ten na lep, albo w powikłane motki
Łowi czeczotki.

Ten płoty grodzi około rozsady;
Ów szczepi w pniaku, ten obrywa sady,
Ten śliwy leje na powidła w prasy,
Te rwie na lasy.

Ten większym bydłem rznie grzbiet twardéj roli,
Ten zasię w skopiec zbiérać mléka woli;
Ten żnie, ów wiąże, ten pożęte snopy
Układa w kopy.

Ten w przetak mannę za porannéj rosy
Zbiéra, ten młóci pozwożone kłosy;
Ten wieje, a ten o jasny dzień prosi,
Gdy siano kosi.

Ów séry tworzy, ten sciska twarogi;
Ten kapelusze plecie na szerzogi,
Tamten na skrzypkach na imię swéj kumy
Wyrzyna dumy.

A dokończywszy dorocznéj roboty,
Skoczy i w taniec zrzuciwszy choboty,
I szczérze myśli po dobrym obżynku
O odpoczynku.

Żaden mu rozruch nie rozerwie wczasu,
Przykrego nigdy nie słyszy hałasu,
Prócz szumu z wody, co snowi pomocy
Dodaje w nocy.

Zdrowszy mu owoc, smaczniejsza jarzyna,
Co ją wykopie rydlem, niż zwierzyna,
Niż chleb, podbitą piętą wywierciany,
Stojąc przed pany.

To pałac jego — uklecona chata,
Dworzanów trzyma parobcza zapłata,
Straż się też wierna na złodzieja sroży —
Kundel w obroży.

Ostatek dworu — baran, ciołek, woły;
Kapela — ptastwa krzyk zrana wesoły;
Piernaty — trawa, namiot pokojowy —
Cień jaworowy.

Szkarłatów nie masz, ni drogiego złota,
Lecz oprócz kwiatków, co rostą u płota,
Słońce mu daje złoto i purpury,
Malując chmury.

Po chlebie nie zna oprócz saméj wody,
W któréj się podczas przegląda z przygody;
Wierne z samsiadów, chociaż nie ma wiele,
Ma przyjaciele.

Zdrad dworskich, figlów wolen i obmowy
Zjadłych języków, a jeśli ułowy
Plastr podbiérając, żądło mu zaszkodzi,
Miód to nagrodzi.

Zazdrość tu w saméj ma miejsce ochocie,
Kiedy się żeńcy ścigają w robocie,

Albo się ptacy pieniem przekrzykują,
Gdy słońce czują.

Na nowy codzień zysk wesoły wstanie,
Sen mu zbyteczne nie przerwie staranie,
Nie dbać o złoto, nie dbać o klejnoty,
To jest wiek złoty.

Przy dobréj myśli, kto ma żyzne pługi,
Może i z dworskiéj przeszydzić wysługi,
Gdzie taka wolność, pokój i zabawa,
Fraszka Warszawa.

Pewny skarb.

Złodziéj ci gdańskie powyłupia skrzynie,
Plon cię w zagonie obiecany minie,
Piorun popali dwory i stodoły,
Nie odda lichwy z summą dłużnik goły.
Czynszów zniszczeni nie popłacą chłopi,
Szkuty ze zbożem nagły wiatr potopi:
Lecz tém, coś rozdał między przyjaciele,
Szczęście nie władnie, to swém nazwij śmiele.

Dedykacya

baletu obojgu majestatom.

I bogom wolno, porzuciwszy prace,
Któremi rzeczy sprawują podniebne,
Na skryte czasem umknąć się pałace,
Odłożyć myśli, choć wszystkim potrzebne,
A mając wdzięczny odpoczynek zyskiem,
Pozwolonym się zabawić igrzyskiem.

Ciężkie obozy, pracowite sejmy,
Około dobra poddanych staranie,
Koszty, fatygi wytrawne na przejmy,
Twe są zabawy, miłościwy panie!

Lecz i nam moment darujesz bez sporu,
Wszakeśmy wszyscy ludzie twego dworu.

W zmyślonych bogach nie zmyślone chęci
Swoich poddanych regestr widzisz długi;
Każdy ma pewnie powinność w pamięci.
I wierni słudzy i życzliwe sługi;
Obróćże myśli i oczy wspaniałe,
Wielkich przestawszy, na zabawy małe.

I ty, o nasza najjaśniejsza pani,
Godna panować boginiom prawdziwym.
Wiernych trybutów i powinnéj dani,
Którąć przynosim w affekcie życzliwym,
Odbiéraj próbę sług statecznych w wierze,
I posłuszeństwa w swoim francymerze.

7. Bezimienny.

Orator polityczny.

Mowa na pogrzeb

Najjaśniejszéj Cecyliej Renaty, królowéj polskiéj i szwedzkiéj.

Wielkiegoście męstwa a oraz i srogiego tyraństwa, nieszczęsne, ach niestetyż! wszytkiego świata dekretem na pohańbienie potwierdzone, łzami i krwią ludzką wytuczone, w wielkiém księstwie Litewskiém, w stołecznem mieście Wileńskiém dokazały fata! Z potężnym i nader gwałtownym szturmem na ozdobną natarłyście koronę polską, kiedy przez swe poczty, przez jęczenia i stękania ciężką, a tém cięższą, im niespodzianą, bo rzadko kiedy w Litwie widzianą z Wilna do korony przesłałyście nowinę! Na wielką zdobyłyście się potęgę, gdyście się tego ważyły, abyście nieustraszonego majestat monarchy, najjaśniejszego Władysława IV., króla polskiego pominąwszy, o pański jego taranem frasunku uderzywszy pokój, serce z królewskich wydarły wnętrzności,— a tak wydarły, że natychmiast wszytkim trząsnęły światem,— białego zaćmiwszy orla, w puste knieje i grobowe zapędziły lochy,— wędzidłem niezauzdaną, w swym rączym biegu żadnym hamulcem po wieki

nie poskromioną litewską pogonią, u grobu tym swym nieszczęsnym zastanowiły przestrachem,— najaśniejszy dom rakuski, senat prześwietny koronny, ojczyznę wszytkę, dwór najaśniejszy, wesołą szatę na wszytkich rozszarpawszy, płachtą i czarnym przyodziały worem! Parki, ach Parki! *non ad parcendum natae,* ale *ad trucidandum enutritae!* I takżeście niespodzianie najaśniejszéj Cecyliej Renaty berło królewskie a oraz i koronę popiołem miały potrząsnąć? I takżeście nad nadzieje i oczekiwanie podczas wesołych a boskich tryumfalnych akklamacyj, niebieskich przyszłych harmonij, miasto wdzięcznego i wesołego *alleluja*, na pokoju królewskim smutnemi certując koncertami, *requiem* załośną na instrumentach melancholicznie zabrzmiawszy, przyspiéwać miały? Panaście nieba i wszytkiego świata z grobu wzbudziły, a na jego miejsce królową polską do grobu wprowadziły. I tużeście miały tyrańskiego swego rozwijać proporce, kędy złoty pokój, *alma pax dulcisque saturat quies?* Więc te nieszczęsne Parki, nie mogąc więtszéj i głębszéj koronie polskiéj zadać rany, same jéj z głowy zdarły koronę, gdy najaśniejszą królowę polską snem śmierci uspiwszy, z ręku najaśniejszego monarchy jako małżonkę, — z ręku najaśniejszego królewica polskiego, Zygmunta Kazimiérza jako matkę,— z ręku najaśniejszego domu rakuskiego jako jedyny ukochany klejnot, — z ręku wszytkiego senatu jako panią i monarchinią,— z ręku ojczyzny jako królową polską,— z ręku dworu najaśniejszego jako opiekunkę,— z ręku zakonów, klasztorów, szpitalów, jako patronkę, szczególną dobrodziéjkę,— z ręku wszytkiéj rzeczypospolitéj jako serce wydarły i odebrały! O nieszczęsny dwudziesty czwarty dniu marca, którego dnia Renata *non renata*, ale *denata* zstawa się! Odwaga wielka! smiałość bezpieczna! męztwo téj śmierci nieustraszone! Na takiegoście monarchy napadły pokój, pod którego stopą powałem leżąc wyrosły górą tureckie, usypane trupami mogiły! takiego monarchy, na którego imię Władysława to jest w ł a d n ą c e g o s ł a w ą surowość bisurmańska, potęga otomańska z swymi sułtanami, Osmanami, owo słowem zawrę, ze wszytką swą rwać się i przesiłać musi potęgą.

O jak nie wielkim wojskiem na krzywoprzysiężcę i przymierzołomcę, na srogiego sułtana Osmana, potęgę siedmkroć sto tysięcy wojska przeciw koronie wyprawującego, a już nadzieją pociemiężenia tylko co ojczyzny naszéj nie pożerającego, twoją własną obecnością ruszyłeś się, najaśniejszy królu! O jakoś krwią bisurmańską napełnił brzegi Dnieprowe! O jakoś gęstymi gościńce i drogi wołoskie pozawalał trupami! Ruszyłeś

się ku Szwecyjej, i tam twego nieustraszonego nie zmieniłeś męstwa, ale pokój Koronie i Litwie proszonemi od nieprzyjaciela traktatami na długie zjednałeś czasy.

Nie mogłaś widzieć, śmierci! że to była Cecylia Renata, najaśniejszego domu rakuskiego pozorna orlica; nie widziałaś, że była Ferdynanda Wtórego, cesarza państwa Rzymskiego ukochana córa; nie mogłaś tego zajrzeć, że była trzynastu cesarzów rzymskich siostra, wnuczka, prawnuczka, praprawnuczka! Tychto była trzynastu cesarzów siostra, z których gdy napierwszego wspominam Rudolfa, zaraz od tryumfów zaczynając, tryumfalno brzmiących trąb dźwięk słyszę, straszno ryczących dział ogniste aż pod obłoki wzlatujące widzę błyskawice, a przytym wesołych akklamacyj, jako zwycięzcy okrzyk od rycerstwa wyprawiony, niebios samych dosięgający, uszu mych dochodzi; widzę Czeskie państwo nieprzyjacielowi z rąk wydzierającego, widzę tegoż państwa *Ottocarum* króla we krwi własnéj spływającego.

Rudolphus tylko się co z grobem przywitał, ledwo pot krwawy z nieprzyjaciół wytoczony otarł, alić następuje zwycięzca po zwycięzcy *Albertus Primus*, cesarz rzymski, a następnie, którego dwanaście razy zwycięzcę tryumfalnego nieprzyjaciel uznawając, poddaństwo oddawał. Ile razy z nieprzyjacielem się starł, tyle znacznych odniósł tryumfów. Piérzchały przed nim siły Moguntynów, potęgi i surowości Sanburgeńczyków pałaszem przytępione drżéć i drętwiéć musiały.

Za nim *Fridericus Pulcher*, od urody Grzecznym nazwany, namniéj urodzie i krwi cesarskiéj nie folgując, za obronę majestatu swego przez lat pietnaście mężnie wojując, a często i gęsto zwycięzcą będąc z Ludwikiem Bawarem, którego sobie z nieprzyjaciela w przyjaciela przemienił, Rzymskie osiągnął państwo. Najaśniejszy domie rakuski! twemu orłowi tylko widzę po grotach, po żelezcach, po pałaszach, po koncerzach latać przystoi! twego orła pióra, aczci od prochów i kurzawy wojennéj zczerniały, ale się w ogniu nieprzyjacielskim nie osmoliły; bo zawsze na laurowych tryumfalnych zasiadywać zwykły drzewach!

Nie wydaje Fryderyka w męstwie powagą i dzielnością cesarska pod przyłbicą jaśniejąca korona Wojciecha Wtórego. Ten w jednym roku czeską a oraz i węgierską osiągnąwszy koronę, jak po stopniach, po koronach królewskich do korony cesarskiéj zgodnym przywołany głosem doszedł, kędy przyszedszy, jak mężnie państwa z ręku nieprzy-

jacielskich uwolnił, świadcz, komuś straszny, ale nie Wojciechowi Wtóremu, Amuracie, coś wpadszy w państwo Węgierskie, kiedyć z burzących dział gonionego grać zaczęto, ledwoś się w kilkunastu obejrzał milach: świadcz, jakoć już o państwo wszytko twoje gra przegraną pachnęła, kiedy cię z Węgier Wojciech Wtóry wypłoszył. I jako męstwem korony doszedł, męstwem one ubraniał, tak i męstwem dokonał: gdyż nie na materacu bławatnym, ale na wojennem pobojowisku, nie na majestacie, ale w obozie, nie między drogiemi pałacami, ale na polu między prochem i ogniem koronę cesarską z swéj złożył głowy.

Idzie w domu najaśniejszym rakuskim przeplatano korona cesarska z głowy na głowę, raz na Albercie Piérwszym, za nim na Fryderyku, od Fryderyka znowu się powraca do Alberta Wtórego, od Alberta Wtórego idzie nieprzerwanie na głowę Fryderyka Wtórego. W czyim domu korony cesarskie ledwie przebywały, ledwie co na głowie ich się okazały, ale w domu rakuskim nie gościną, ale jakoby domowe nieustając z ręku do ręku sobie koronę podawały. Wziął tedy Fryderyk Wtóry koronę cesarską, i przez lat 53 piastowawszy, *amor populi, deliciae generis*, nowego sobie przez swą łaskawość i sprawiedliwość u poddanych nabył tytułu.

Fryderyk Pobożny swiętobliwie koronę donosiwszy, pomyka do grobu, a korona nazad do najaśniejszego rakuskiego powraca domu: aby tam na Maxymiliana I. głowie świeciła. A że rzeczą, a nie słowy rzekę, w samych kolebkach świat wasz, najaśniejszy z domu rakuskiego arcyksiążęta! oraz i ludźmi, oraz i cesarzami wita. I taka sławy waszéj od samych piérwiastek po wszytkim świecie rozchodzi szérokość, iż i sama waszymi cnotami, waszymi dzielmi paść się i nasycać sława, a szczęściem waszym, same się granice świata tego rozprzestrzeniać i rozmnażać muszą.

Lecz aby barziéj przy tryumfatorach i zwycięzcach śmieléj lichego dowcipu postępowała swada, do Karola V. rzecz moję prowadzę, gdzie czyli o panowaniu jego na tym cesarstwie, czyli o tryumfach i niewysłowionych, ani porównanych innym jego cesarskich przymiotach natrącać przyjdzie, nie wiém zaiste. Ile dni na tronie przepędził, tyle zwycięztw z swych nieprzyjacioł poniósł. Pisze *Herodotus* o królu na imię *Meles*, ten, gdy się mu syn urodził *Leo*, wziąwszy nowonarodzonego na ręce, obszedł z nim mury miasta Sardyej: gdzie się ten młody królewic z rodzicem po murach stawił, tam zawsze niedobyta forteca; i gdy

toż miasto ręką Persów na pował zbite było, doszli Sardyej, że do tamtéj murów strony, którą Persowie wpadli, Meles z swym nie zaszedł synem. Najaśniejszy domie rakuski! takim cię Bóg obdarzył Karolem, przed którym chyżość Achillesa, dzielność Pryama, siła Herkulesa, odwaga Ajaxa, rostropność Ulissesa, mężność Agamemnona, umbry to i martwe cienie były chyżości, dzielności, siły, odwagi, rostropności, mądrości Karola V! Tu się wszyscy dzielni Horacyuszowie, tu namężniejszy Salatynowie, tu nasroższy Alexandrowie, tu nasilniejszy stanowcie Pyrrhusowie! Stanowcie sobie kolumny, wywieszajcie Marsowi na znak swego zwycięztwa swoje obrazy, swoje armaty! wszytkie te w popiół, proch najaśniejszy dom rakuski męstwem i sławą a osobliwie mądrością Karol V. obali i pogrąży. Przed jego mądrością, wszyscy ci pomienieni *non victores, sed lictores, non bellatores, sed belluae, non armati, sed armenta.* Kędy się obozem opasał, już tam pewne, nieomylne zwycięztwo. Szesnastego nie doszedszy roku, samą Olandyą, w siedminastym Włoskie i Hiszpańskie państwo, a dziewietnastego tylko co dochodzący na cesarstwo Rzymskie same zwycięztwa, same pogromione nieprzyjacioł pułki, na tak wysoką we wszytkim świecie cesarską prowadziły go godność. Herkulesie! twoje kolumny, coś je na morzu Gadytańskim zasadził i onym inskrypcyą przydał: *Non plus ultra!* skasował i w głębinę niepamięci swym zatopił zwycięztwem Karol V.; boć daléj sławą, daléj honorami, daléj godnością, a niż Herkules, zaszedł. Kto Hiszpanią do pokoju, któryby się aż krwawemi pieczęciami i gardłem ukoić musiał, przywiódł? Karol V. — Kto Niemieckie państwo z ręku nieprzyjacielskich uwolnił? Karol V. — Kto włoskie zdrowie od wytoczenia krwi oswobodził? Karol V. — Kto Olandów, aby ich własna krew nie spłókała, od wojny odwabił? Karol V. — Kto się na Afrykę swą targnął ręką, i onę osiągnął? Karol V. — Kto Amerykę swym wynalazł i opanował orężem? Karol V. — Kto katafrakty przekonał saskie? Karol V. — Kto na wyłot koncerzami przeszywał kolety i kabaty szwedzkie? Karol V. — Kto Solimana, onego strasznego światu bisurmańca swym ustraszył męstwem? Karol V. — Najaśniejszy Karol V., przez 40 lat na państwie panując, nieustawnie z swym czarnym orłem rakuskim po świecie latał, a kędykolwiek nieprzyjaciela zoczył, tam go i pokonał. Ale czego się ważę? Dzieła chcę jego opisać! a ten wiecznemi nie przestając wieki, żadnego wymownego, subtelnego, dowcipnego rozumu konceptem opisany być nie może: abowiem, aby

tego, którego niebo na ziemi za żywota świątobliwości znało, a duszę jego w gmachy nieprzebytéj przyjęło wieczności, dostatecznie dowcip ludzki mógł wysłowić, nie jego to siły. Jeśli nieśmiertelny animusz upaść nie może, jakoż go śmiertelna praca, która zawsze skazie podległa, na swych podstawi stopach?

Spływa jasność Karolowa na rodzonego Ferdynanda I., i nie dziw, że się jasnoście cesarskie od jednego do drugiego przenaszają, i jakoby w jeden takt, w jednę harmonią cnotami swemi światu przypiewając z sobą zgadzają. Abowiem każdy z nich jest słońcem, a słońcem oraz i świécącym, i zapalającym, i ogrzéwającym. Nie trzeba przeciw jasności dowodu jasnego, w samym się Ferdynandzie I. wyjawia. Aza nie był słońcem świecącym godnością? Był. — Aza nie był słońcem, nieprzyjaciela dzielnością zapalającym? Był. — Aza nie był po trzecie słońcem, hojną szczodrobliwością ogrzewającym?

Ferdynand I. z padołu ziemie skoro na tron wiekuistéj chwały przeniesiony, niebu z cnót wszytkich przyjemnego państwu zostawił Maxymiliana Wtórego, który ani w przymiotach do sprawowania tak wielu narodów, ani w miłości u ludzi mądrych, ani w pragnieniu osoby zgodnéj na urzędy od obywatelów wszytkich nie miał sobie równego. Szczęśliwy domie najaśniejszy rakuski! w którym domu ziemia na cesarze pobożne wotuje: wszakże i niebo na też wota swoje podaje konkluzyą, ziemia losy rzuca, a niebo przywitaniem swych cesarzów, ostatni los głosem swym, *vivat et fiat Caesar!* konkluduje. Tego cesarza słowo pospolite było: *Dominus providebit.* Opatrzył téż ten pan ojczyznę onych umiejętnym gubernatorem, wiernym praw i wolności stróżem, gorliwym chrześciaństwa patronem, miłościwym mecenatem, litościwym niedołężnych opiekunem, a wszytkich panem, wszytkich ojcem.

Najaśniejszy domie rakuski! Mam za to, że w tym ani inwidyjej czyjéj, ani obrazy nie popadam, kiedy najaśniejszy wasz dom niebem nazywam. Jasne niebo, jasny i dom rakuski. Niebo wysokie, i dom rakuski wysoki. Niebo ma swój zodyak, na którym podług astrologów dwanaście znaków niebieskich porządnym szykiem, dziełem prawice Boskiéj narychtowanym w koło słońce okrążając, oświéca, a na waszym niebie ziemskich nie ma dwanaście znaków, ale dwanaście cesarzów, jako dwanaście jasnoświetnych gwiazd obrotem i kołem koroną cesarską krążąc, aż téż do saméj się górnéj jasności niebieskiéj między inne zakierowały *luminaria.* I lubo ci cesarze cień swój w popiele zastanowili, jasnoświetny

jednak uczynili, Ferdynanda III., z łaski Bożéj cesarza państwa Rzymskiego, szczęśliwie panującego, jako słońce niejakie, które aby ich oświécało, po sobie zostawili. W tym się tylko wasze niebo i wasz zodyak nie zgadza, że tameczne światła podług zdania tychże astronomów są barzo w swéj światłości błędne i niestateczne. Często tamte światła mają przenosiny, gdy się płaneta z jednego znaku, na drugi przenosi; ale w waszym niebie, w waszym domu rakuskim, a przytym i w drugim domu Jagiełłowskim idzie korona z głowy na głowę, idzie *sceptrum* z ręku do ręku. A jako w domu najaśniejszym Jagiełłowskim poczęła od Władysława Jagiełła, tak też nie ustając obszedszy i oświéciwszy innych Władysławów, Kazimiérzów, Alexandrów, Zygmuntów, przyszła ta korona do Władysława IV., króla polskiego szczęśliwie nam panującego, i daléj nieprzerwanie długiemi laty pójdzie i oświécać będzie: tak też w domu najaśniejszym rakuskim zaczęła od Rudolfa I., i że porządku mylić nie będę, zawitała do Wtórego po Maxymilianie I. Rudolfa, i szła nieprzerwanie. Świécą jedni dzielnością, świécą jedni łaskawością, a przecie jednako wszyscy świécą. Świetny to i pozorny na swym niebie, na swym cesarstwie płaneta, Rudolf Wtóry. Ale mnie cieniem przed téj jasności samą będąc umbrą, a o cesarskiéj dyszkurować jasności niebezpieczna: prędkimi tedy słowy o łaskawości, o szczęściu, o męstwie, o gorliwości przeciw wierze prawowiernéj, o obronie państwa swego Rudolfa Wtórego mówię, *quia magnis immorari parvitas mea metuit.*

Snuje się daléj po tém niebie jasność słoneczna do Matyasza I. Oświéca to niebo, ten dom rakuski w liczbie jedynastym cesarzem, a oświeciwszy dosyć już jasny, oświéca razem i wszytko państwo, kiedy mu takiego monarchę za pana podawa, którego łaskawość przeszła Wespazyanów.

Już też do Ferdynanda Wtórego, świętéj pamięci nieśmiertelnego najaśniejszéj królowéj polskiéj rodzica przystępuję. Tu mi w oczy zabiegają tak wiele zbitych i pohańbionych książąt, tak wiele królów duńskich, szwedzkich, czeskich, węgierskich: tu mi się stawią podane nieprzyjaciołom prawa, na ostatek samo na zwyciężonych włożone jarzmo, a granice męstwem i dzielnością daleko rozwiedzione. Inna tego nie zdołała ręka, aby się na taką ośmieliła odwagę, na jaką się ten waleczny Ferdynand Wtóry poważył. Nazywaj, najaśniejszy domie rakuski, koronę twą cesarską złotą! Zaprawdę i złota i żelazna, ale barziéj że-

lazem, niż złotem ustalowana; korona mocna, bo jéj żadna nieprzyjacielska do tych czas nie ztępiła siła; korona twarda, bo jéj ani pałasz, ani wojenne nie zmiękczyły ognie; korona mocna, bo nie jednego nieprzyjaciela wiary katolickiéj o ziemię uderzyła i zraniła. A że korona żelazna i złota, to nie dziw, bo niebieska, z nieba rakuskiego pochodząca. Zachcą, aby ją Mars piastował, natychmiast ją piastuje: zachcą, aby Jowisz ozłacał, wprędce pokojem ozłaca; roskażą tego nieba bożkowie, aby nieba krwawym, żelaznym dżdżem na nieprzyjaciół lały, aby z swych cekauzów gromów dobyły, aby wykrętnego ogłuszyły Szweda, aby Węgrzyna postraszyły, sprawne sprawią planety, i co pańskie roskazuje, roskazanie udziałają.

Nie wiedziałaś tedy, śmierci, że Cecylia Renata tych to była trzynastu cesarzów rzymskich siostra, wnuczka, prawnuczka! Lecz nie dziwuję się, że śmierć na taką się monarchinią swym targnęła męstwem, abowiem sama jéj natura tego po niéj wyciągała, żeby wiedziano, iż jako najaśniejsza się rodziła, tak téż najaśniejszą umierała. Urodziła się tedy najaśniejsza królowa polska w domu najaśniejszym rakuskim jako najaśniejszego Fedynanda Wtórego, państwa Rzymskiego cesarza córa, a urodziła się w Wiédniu. O szczęśliwe miasto Wiedeńskie, któreś taką monarchinią w sobie zawiérało, któréj pobożność Cecyliej rzymskiéj dochodziła, któréj pokora i mądrość Kunegundy, Konstancyej, Anny, Jadwigi w sobie wzbudziła, i przez się samę wszytkie w sobie swojéj koronie polskiéj wstawiła! Skoro się tedy najaśniejsza Cecylia Renata urodziła, natychmiast wszytek świat, wszytkie z sobą w przyjaźń zaciągnęła państwa. Gdzie się urodziwszy zaraz po cesarsku, jako cesarzowa żyć poczęła, wiedząc, iż *quo quis major genere, major* téż ma być *virtute*. Sama ją cnota i wrodzone cesarskie karmiły obyczaje, sama ją sława swymi piastowała rękoma, abowiem wiedziały, że *non otioso titulo Renatae nomen coelitus sortita, renatas Elisabethas, Annas, Constantias simulachra rara foecunditatis exempla* polskiemu w sobie wystawić miała narodowi. Tak tedy ją piastowały, żeby w onéj nic innego orzeł sarmacki nie zoczył, tylko to, co *sublime*, co *altum*, co *coelo propinquum*. Ale mnie o najaśniejszéj królowéj polskiéj pożyciu mówić, a mówić dostatecznie niepodobna! Straszy mię stanu wysokość, wstręt językowi czyni tronu niedostępność. Rzadko kiedy przy wielkim szczęściu, przy wysokich honorach, przy pańskim urodzeniu, przy bogatych dostatkach pokora przemieszkiwać zwykła. Ale w naszéj Cecyliej Renacie co rozum

myślą dosiąc, co kto sobie milszego w cnotach osiągnąć pragnie, to wszytko w onéj każdy uznał i obaczył. Miasto mléka cnotami najaśniejszych i naświątobliwszych rodziców i dziadów swoich ukarmiona w cnotach wszytkiego rosła świata: przodkowała przy najaśniejszem cesarskim urodzeniu pokora, która *Renatam coelo natam, superum amicam futuram* bydź oznaczała. Przy niéj roztropność, mądrość, skromność, pobożność, gorliwość wiary katolickiéj, jako służebne niejakie paniej swojéj usługowały. Zaprawdę nie latami rosła, ale cnotami, nie liczbą dniów, ale uczynków, *non aetate sed integritate, non annis, sed cumulo heroicarum virtutum crevit.* W jednę się gromadę te gromadziły cnoty, jakoby wiedząc, iż w Jagiełłowskim osiąść miały snopku. A jako urodzeniem wszytkich monarchów przejść, tak cnotą uprzedzić każdego, któżby sobie z monarchów nie życzył? Ale Cecylia Renata *tantum altero mortalibus eminuit, quantum altero immortalitatem meruit.* Ani téż i teraz co śmiertelnego, co ludzkiego, krom to, co grzebiemy, na tym widziémy katafalku. Wszytko nieśmiertelne Boskie dzieła! O nowa statecznością Konstancyo! o nowa mądrością Katarzyno! o nowa rostropnością Abigail! o nowa pobożnością Heleno! nie już krzyża szukająca, ale krzyż Pański pobożnością ozdabiająca! o nowa świątobliwością Cecylio, cnotami by niejaką świat uweselająca muzyką, a w tych wszytkich odrodzona Renato!

Skoro do korony polskiéj wprowadzona, witałeś ją, niezwyciężony monarcho, Władysławie IV.! Tegoś sobie po onéj obiecował, czym cię nadzieje wszytkiego świata, wszytkich państw, wszytkiego senatu, wszytkiéj ojczyzny ukarmiały, że ją *regum matrem*, matką królów narody witać miały. Tegoś się, królu najaśniejszy, spodziéwał po swéj Cecyliej Renacie, żeć miała długoletnie na majestacie z tobą panować, żeć miała Cecylia Renata swą świat wszytek uweselić harmonią: ale dziś nad nadzieje, nad spodziéwanie, nad wszytkich mniemanie żegnać się z twą małżonką, a naszą panią i królową, najaśniejszy królu, musisz, która miasto harmoniej, trenodyej nas nabawiła, iż wszyscy na ów tren Jeremiaszowéj piosnki zdobywać się musiémy: *Defecit gaudium cordis nostri, versus est in luctum chorus noster.* Przyszedszy do korony, wszytkę koronę polską w pociechy, w wesele, w ozdoby odrodziła. Szczęśliwa Renato! jakieś jasności, jakieś korony do korony polskiéj z sobą wprowadziła! Nieście oczy wasze po państwach, księstwach, królestwach, po koronach cesarskich, królewskich, hiszpańskich, szwedzkich, węgierskich,

czeskich, elektorskich, arcyksiążęcych mitrach! W te cię, narodzie polski, Renata odrodziła korony. Wspomni, narodzie mój, z jakąś ją ochotą, a jéj wdzięcznym i uprzejmym afektem do korony, do majestatu, do berła prowadził, jakoś się, narodzie polski, cieszył, żeś takiéj nabył paniej, któréj wszędzie szczodrobliwości ślady i teraz znajdziesz, opatrzności dowody uznasz, miłosierdzia wizerunki szpitałom, klasztorom, zakonom, kościołom pokazane rozsądzisz. Świadcz, prześwietny senacie, jakąć przed twym panem w poradach pomocą była: świadcz, prześwietne koło rycerskie, jak wielką u majestatu o dobru pospolitym przyczyną: świadczcie, wszytkie stany, przez czyje usta suplikom podanym satysfakcya dochodziła: świadcz téj paniej łaskę, koronny synu i litewski, jako cię w dostatki, w honory i urzędy Cecylia Renata odradzała!

Wielkie szczęście po królewsku się urodzić, więtsze po królewsku żyć, nawiętsze po królewsku umrzéć. Lecz i to jeszcze nie ostatnia: nawiętsze po królewsku do nieba iść. Nasza Cecylia Renata i po królewsku się urodziła, i po królewsku żyła, i po królewsku umarła, i po królewsku do nieba zaszła. Ty królowa polska mówiłaś, kiedyś się ze wszytkimi żegnała: *Vale terra!* bądźże już łaskawa i pozostań ziemio; *vale!* najaśniejszy królu, Władysławie IV., małżonku mój; *vale!* najaśniejszy domie rakuski, *vale!* najaśniejszy Ferdynandzie III. rodzony mój! *vale* wam, wszyscy arcyksiążęta, elektorowie, bracia moi! *vale*, synu mój jednorodzony, Zygmuncie Kazimiérzu! A wyrzekszy śmiele mówiła: *Salve coelum;* abowiem jeszcze przed śmiercią na ostatniéj leżąc pościeli, nie domowym, ale niebieskim zawołała głosem: *Arrestate me beati, vel ad vitam, vel ad aeternitatem.* O Renato! prędko się niebu odradzasz, gdy twój królewski w popiele zagrzebiasz honor, i o onym już więcéj nie pomyślasz: abowiem każdy, kto śmierci oczekawa, nie barzo o honorach, o piękności rozmyśla, nie wiele ten dba o gładkość, co uważa, iż tak napiękniejszego Adonisa, jako i naszpetniejszego kogo robactwo roztoczy. Nie dbała nic o to najaśniejsza królowa, ale prosto do nieba na Wieczerzą Pańską zaproszona, Kazimiérza Świętego jako swego w tamte kraje przewodnika mając, sakramentami w drogę opatrzona zawitała. Nauczcie się, monarchinie wszytkie świata tego, takich cnót od królowéj polskiéj, abyście mogły tak prosto, jako i ta Cecylia Renata, do nieba się przenieść, gdzie nic tam po piechocie, nic po hałastrze, nic po rysiach, nic po sobolach, nic po honorach;

audyencyej tam nie mają, oka łaskawego nie obaczą, jeżeli cnoty za nich perorować na tamtym nie będą trybunale. Szczęśliweś tedy w tym, Wilno, że przez ręce Patrona twego królową polską do pańskiego przesyłasz majestatu! Tobie, Wilno, w tym szczęście, ale najaśniejszemu królowi wielkie nieszczęście: skoro abowiem mu najaśniejszą śmierć odebrała małżonkę, porwawszy na sobie jako Dawid szaty swoje rozdarł, i wszyscy mężowie, którzy z nim byli, i płakali, i pościli aż do wieczora nad Saulem i nad Jonatą synem jego. Rozdarłeś szatę jako Dawid bolejący nad utratą małżonki twojéj, najaśniejszy Władysławie! oblałeś rzęsistemi łzami grób i stękałeś na śmierć: ale ona głucha, przetoż i politowania nie miała. Rozdarliście, jaśnie wielmożni senatorowie, szaty swoje, i płakaliście nad drugim Saulem, niezwyciężonym monarchą Władysławem IV.! płakaliście nie już nad Jonatą, ale nad Zygmuntem Kazimiérzem, synem królowej waszéj, że go rano i nie podług czasu matka odbiegla, że go nie dochowała, na stan, który mu Bóg przeznaczył, nie obróciła.

Mowa na pogrzeb hetmana.

Nawracam częstokroć oczy moje ku owym staropolskim obrzędom, nie pomału się zdumiewając, kiedy przy pogrzebach hetmańskich, przy usługach pogrzebowych bohatérskich skruszone buławy, paiże i kopije w perzynę i proch przemienione upatruję. Radbym się wywiedział, czy to dla tego, iż hetmani regimentów swych zapominając, biorą inne w popiele buławy, przed któremi i te doczesne żadnego miéć nie mogą waloru? *Fragiles vestrae majestates, fragiles honorum fasces* (mówi polityk), *ubi infragilis regit ordo.* Czy dla tego, że hetmani do nowych królów, do nowego senatu, do nowego przystępują rycerstwa, gdzie już nie jako hetmani starzy, ale jako nowi jacyś korporałowie z nową się stanowić mają buławą? *Cur quaeritis imbecilles regna? cur capitis vani diademata, si ad aeviterna* (przestrzega jeden) *aspiratis?* Czyli dla tego, że w grobie hetmani o wojnie nie myślą, bo tam i naliższemu odjąć się trudno robakowi? Czy dla tego, że tam żadnego do boju regimentować, wojska szykować, przeciw nieprzyjacielowi innym wzniecać pobudki nie będą? abowiem *animus angustus est, quem terrena in pulvere delectant.* Czy dla tego, iż idąc do grobu rumu sobie uczynić nie mogą, ale prosto i bez buławy do podziemnego trafią wojska? *Ibimus, ibimus, quocunque prae-*

cedes! woła Horacyusz. Czyli na ostatek dla tego, aby okazali, że to, co dziś z nawaleczniejszymi się dzieje hetmanami, z nami napotym w zajemnym dziać się będzie sposobem?

Mogą być abo te, abo inne, których nie mało podobieństw i przyczyn rozum ludzki wynaleść może, o łamaniu buławy przyczyny, ja jednak właściwszéj być nie rozumiém, jako téj, iż hetmani, idąc do grobu, buławy i kopije kruszyć nie dla czego innego każą, tylko aby na onych spojźrzenie pozostali potomkowie i krewni swoje boleścią i łzami kruszyli serca. Przy tym pogrzebie walecznego, a wieki teraźniejszymi ledwie kiedy zrównanego hetmana naszego, jaśnie wielmożnego jmć. pana N. niesfornie się teraźniejsze a barzo nie łaskawie znami obeszły czasy: bo nie dosyć na tém, iż nas z buławy hetmańskiéj ogołociły, i onę o grób jego własny skruszyły, ale owszem w tyraństwo się wprawiwszy, na samego się hetmana targnęły, i natychmiast w grobie onegoż samego aż w popiół przemieniły. W narodach podziemnych, kiedy umarłych grzebią, naczynia złote i drogie oraz z umarłymi zakopywają klejnoty. Dobrze ten naturę śmierci potrafił, kto ją nienasyconą nazwał. Nie nasyci się ta nędznego kmiotka ubogą chałupą, nie nasyci się bogatą włością, ale choćbyś ją i całymi majętnościami nakarmiał, jeszcze i tym nie sytna. Przejeżdża się ta nie dla innéj przyczyny, tylko aby daniny i trybuta wybiérała, a podczas wydziérała. Nie zatai się przed nią korona królewska, porwie mitrę książęcą, porwie buławę hetmańską, zsadzi z stołka senatorskiego. Co godzina, co minuta po dworach pańskich, senatorskich, jak po austeryach niejakich, nieproszoną będąc sobie pojeżdża rewizorką, a pojeżdżając na cudzych wytuczona dobrach, wykrzyka śmiele: *Festinandum est, instat a tergo mors.* Dobry zaiste śmierci dany tytuł, ponieważ z samą się zgadzający rzeczą. Azaż tego dnia dzisiejszego sami rzeczywiście nie doznawamy, kiedy widziémy, a ono śmierć w oczach naszych, nie dosyć na tém, że walecznego pogrążyła hetmana, ale wpada w trunnę, i onę dobywszy trzęsie, i zachowanych skarbów szuka. Nie znajduje! Cóż za tém działa? Widzi, że buławę nad grobem kruszą, dzielnego reprezentując hetmana, i ona téż w grobie kości jego kruszy, i z prochem porównywa.

Nieprzezwyciężony nasz hetmanie! my cię tu za niezwyciężonego wspominamy, my twoje dzieła nawaleczniejszym porównywamy hetmanom, a ty w grobie jednego przewyciężyć nie możesz robaka! I toż

to twoje zwycięstwo, jaśnie wielmożny hetmanie? Jako widzę, *omnia imaginaria sunt, et ad tempus aliquam faciem ferunt.* Wszytko, cokolwiek jest, cień i mara jest, i to do czasu, cieniem przemijającym jest. Imaginujesz sobie, wspaniała Kleopatro, że i w grobie z twoim pańskim animuszem przyjdzie się rospościerać, a ty snem takowym umrzesz, którym obumarszy nie będziesz sama o sobie wiedziała. Obiecujesz sobie, Zenonie cesarzu, na twym majestacie rok po roku szczęśliwe tryumfy, wesoło wyprawować akklamacye, a tego nie wiesz, że za rozkazaniem niezbożnéj twéj małżonki, w grobie zakopany twego dokonasz termin cesarstwa.

Z nami nie tak, ale inaczéj nasze udziałało mniemanie. Rozumieliśmy, że nieprzewyciężonego hetmana naszego i w grobie zwycięstwo na swéj się zwątliło sile, a przytém dufaliśmy, że i nasza barzo szwankowała nadzieja. Lecz jako widzę, *temeritas est damnare, quod nescias*, skąd snadno wyrozumieć możemy, że się łaskawiéj mniemanie nasze, a niż nadzieje stroiły, z nami obeszło.

Wacław, cesarz rzymski obrał sobie za *symbolum* okręt na morzu chwiejący z przydaną subskrypcyą: *Cede, licet resistere posses.* Nasz jaśnie wielmożny hetman dopiéro począł przeciw śmierci rebellizować, kiedy ona potężnym uderzywszy impetem, z tego zwycięstwa nad nim otrzymanego zaczęła swoje wyprawować tryumfy. *Maximum argumentum est imperatoris, armis virisque pollentis tuta securitas et in hostium terra.* Ten waleczny hetman nie tylko u nieprzyjaciółki téj, jak *in hostili terra*, ale owszem i w samym ręku: atoli jednak wyzywa ją na utarczkę z sobą. *Hoc tibi de me recipe, non trepidabo, ad extrema jam praeparatus sum, nihil cogito de die.* Nie rozumiéj, śmierci, abym się miał trwożyć, nie poruszony, ani przestraszony mój animusz: *nihil cogito de die.* Zastanawiaj jakie chcesz zasadzki, jako w boju, tak w pokoju zarówny u mnie zobaczysz animusz.

Cóż działasz śmierci? A to cię nasz i w grobie oczekiwa hetman! Powstań śmierci! Umiałaś grobem trzasnąć, trząśnij dopiéro, szukaj klejnotów, znajdziesz nie przeważone, odbiéraj. Czemuż się, śmierci, nie ruszysz? wszakeś ty wszytkich postrach i grom narodów? Wielkiego śmierci naszéj ubyło animuszu, wiadomo bowiem dobrze, iż jako natura, tak i ona sama *nihil eripit, nisi quod dedit, virtutem autem non dat, ideo nec detrahit. Libera est, involubilis, immota, inconcussa, sic contra casus indurata, ut nec inclinari quidem, nedum vinci possit. Adversus*

apparatus terribilium rectos oculos tenet, nihil ex vultu mutat, sive illi dura, sive secunda ostentantur. Czy poważysz się tedy, śmierci, na takie hetmana tego uderzyć serca, którego animusz nie na to zrodzony, aby był niewolnikiem ciału swemu, które nic innego nie jest, tylko jedno ogniwo, człowieczą krępujące wolność?

Nie sporo, śmierci, wracać się nazad do pojedynku; raz zwyciężywszy, już pola nie stawi, raz pogrążywszy, już tryumfuje, i kopce sobie z mogił buduje, aby na one spojźrzawszy, mogła ruminować, że tu taki hetman moją potęgą, moją kosą porażony spoczywa. Chełp się, śmierci, jako chcesz, żeś tego walecznego naszego zwojowała hetmana; mniejsza to; to większa, że cię samę zwojowano. *Vici!* Będziesz pytała: A kogom zwyciężył? Nie Persów, nie Medów, *nec si quid de his ultra bellicosum jacet.* Tom tedy zwyciężył *metum mortis, qui victores gentium vicit.* Wyprawujże już jakie chcesz *pocana*, wyprawuj, my się ztąd uweselmy, żeś tego debellatorką stanęła, którego jeden kamyczek przywalić może: ale ten hetman ztąd się ma wynosić, że ciebie zgromił, która zwycięzców narodów i państw tłumisz i porażasz.

Engippus, Argivorum król naszczęśliwszy podczas panowania swego, ktoby się na jaką u potomności sławę zdobył, za najwiętszy honor przez miasto puklerz swój nosić kazał. Prześwietna familio! twój dzielny hetman, (że opuszczę inne, gdyż je niżéj wspomnię zwycięstwa), iż taką sporkę, a sporkę dostateczną i doskonałą z śmiercią dokonał, nie już z puklerzem, ale z herbowym swym klejnotem, i z tą buławą, już nie w mieście, ale górnym się okazuje senacie. *Illum fortem virum dicam, quem bella non subigunt, nec ad motum vis hostilis exhorret.* Ta go też nie ustraszyła śmierć, że się na tę targnęła buławę, i onę w pośmiewisko sobie przeformowała, ponieważ się śmiałemu temu śmiało i odważnie na odpór stawiła nieprzyjacielowi.

Lacedemończycy na puklerzach swych rysowali *lambdu*, aby się tym znakiem Lacedemończykami ukazali: Epaminondas na swéj tarczy odrysował smoczą głowę: Scewola dzieła prapradziadów i swoje: a ten odważny hetman na swym herbowym klejnocie co wyraził, jaśnie wielmożni mm. panowie? Wyraził takowy animusz, jakowy na hetmana odważnego przynależało. Leonidas hetman, kiedy rycerstwo onego już do bitwy się przysposabiało, taką do nich wzniecał pobudkę: *Sic, commilitones, prandete, tanquam apud inferos coenaturi. Ceditius* zaś, rzym-

ski wódz, takową do swych czynił apostrofę: *Ire commilitones eo necesse est, unde redire non est necesse.* Nie takim animuszem, i nie takową ugruntowany jaśnie wielmożny nasz nadzieją, swego rycerstwa roty, chorągwie i ufce pobudzał. *Ite!* idźcie (prawi) żołnierze, moi tam, kędy was miłość wiary prawowiernéj, obrona rzeczypospolitéj, pańskich zdrowie majestatów, wasza dobra sława i wieczne prowadzi imię! idźcie tam, zkąd się wrócić z zwycięstwem potrzeba! idźcie tam, zkądbyście po krwawych drogach i zatokach brodziwszy, tak w sławie dziedziczyć mogli, żeby wam tego krwawego potu nie kto inny, tylko sama z czoła ocierała sława!

Pełne zaprawdę odwagi serce! *Rudolphus* cesarz zwycięstwa i odważnego serca swego taki wystawił konterfet: zbrojną rękę, buławę i oliwną trzymający rószczkę, z takim napisem: *Utrum libet.* Lubo pokój, lubo wojnę, jam gotów. Gdzie się kolwiek nasz jaśnie wielmożny zawinął hetman, z takowym się właśnie stanowił sercem; leciały po polach zaostrzone strzały tatarskie, a on w pojśrzodku strzał o pewnym rokował zwycięstwie. Otaczały ogniste z burzących dział moskiewskich błyskawice, a on jasny z onych błyskawic dzień nieśmiertelnéj narodu i swego rycerstwa obiecował sławie. *Magnis telis magna portenta feriuntur.* Ale onemu ani nasroższe nie zaszkodziły postrzały. Pamiętał na to dobrze mądry hetman, *quo quisque honestior genere, fama, patrimonio est, hoc se fortius gerat, memor in prima acie altos ordines stare.* Jego senatorskie urodzenie było to jako *altus ordo:* a ten sam to wiedział hetman, że *in prima* miało być *acie,* żeby wiedział nieprzyjaciel, że ten takiego narodu syn, takiego imienia hetman, takiego domu klejnot, z którego w kościele Bożym tak wielu naświątobliwszych kardynałów, arcybiskupów, biskupów, w senacie tak wielu namędrszych senatorów, w obozie tak wielu walecznych widzielimy, liczymy i liczyć nie przestaniemy, i po nas następujące będą wieki hetmanów. Karmani na bankietach swych na twarzy jednę przecinali żyłę, z któréj krew wytoczoną z winem mieszali, i na znak wiecznéj przyjaźni przepijali z sobą. Nie lada przyjaźń krwią krew przepijać! nie lada zdrowie, krwi trochę wylawszy z winem pomieszać! Ale to wielka przyjaźń, dobrém swym, sercem swym, za ojczyznę, a nie za swe zdrowie przepijać. Lecz i to jeszcze nie wielka: to większa, i dobrem, i sercem, a oraz i całym nie do siebie, ale do nieprzyjaciela za zdrowie rzeczypospolitéj przepijać zdrowiem. Umiał ten hetman i złotem

i żelazem i krwią własną za zdrowie ojczyzny przepijać. Złotem, kiedy swe zbiory i majętności dla całości ojczyzny dzielnemu rozdał i podzielił rycerstwu; żelazem, kiedy tak nie mało chorągwi swym własnym nieprzyjacielowi w oczy stanowił kosztem; krwią, kiedy się ważył za jéj zdrowie nieprzyjacielskie zarumienić pola, i jako *chenalopaee*, ptaszyna sama się w ręce ptasznikowi podaje, aby swym swoje ptaszęta uwolniła podaniem, tak właśnie i on pragnął, by do tego było przyszło, od czego prawica Boska onego uwolniła, siebie samego we krwi zatopić, a niżeli wojsko swoje z hańbą i pogrążeniem swoim na szanc i na wieczną podać niesławę.

Toć już słusznie mówić możemy, że na swym puklerzu wyraził swój animusz hetmański, a oraz i senatorski. A zatym podobno trzymać będziemy, że animuszowi temu tylko być odważnym przynależyta. Barzo się podobno na tym rozsądek nasz zawiedzie, jeżeli ostatnim szczęściem tego cnego hetmana jego odwagę bydź przyzna. A cóż, proszę, o onéj jego hetmańskiéj łaskawości i sprawiedliwości rzeczemy? Puszczę mimo się, niech ci, których onego łaskawość swoim faworu obdarzyła prezentem, o tym wspominają: to tylko natrącę: *Magni animi est, proprium esse placidum, tranquillumque est, injurias atque offensiones superne despiccre.*

Nie dopuści mi jego *modestia* wspominać onę mądrą w senacie radę, one rostropne o dobru pospolitym obmyślawanie, którym tak się wsławił, że też same przeszłe wieki swoich Antalcydesow. Teopompów wskrzesiwszy, musiałyby o jego animusz certować z sobą. Ten Antalcydes, czasu jednego zapytany, czémby się człowiek ludziom przypodobał? odpowiedział: „Jeśliby, prawi, łagodnie i łaskawie z nimi mówił.“ Nie trzeba słuchać Antalcydesów! ktoby się chciał ludziom spodobać, było wejźrzeć na tego cnego hetmana pożycie: obaczyłby tam nie jeden, jako z żołniérzem żołniérz, z senatorem senator, z jałmużnikiem jałmużnik, z pobożnym pobożny, z mądrym mądry. Doznały tego obozy, doświadczyły senaty, cudzoziemskie widziały akademie; zakony, szpitale to zawsze wyświadczały, jak hojne, jak nieprzebrane rozdał, rozdzielił, i one między nie rozsypał dobra i majętności.

Z takim tedy klejnotem i z takowym animuszem do bramy zamku niebieskiego gdy wchodzi, jako nowy hetman bierze w ręce nową buławę, a tę skazitelną kruszyć każe. Namieniłem, iże do grobu idąc hetmani każą kruszyć buławy dla tego, aby pozostali potomkowie bo-

leścią kruszyli serca swoje. Nasz waleczny hetman lubo buławę skruszyć kazał, nie dla tego jednak, aby łzy z synowskich wytoczył oczu. Nie trzeba bowiem żalem kruszyć serca, bo już dosyć skruszone; nie trzeba trenów wzbudzać, bo już dosyć trenami otoczone. *Multa sunt, quae ad exiguum tantum momentum prosunt, nec remedia doloris, sed impedimenta sunt.* I lubobyście, jaśnie wielmożni krewni, chcieli naszego hetmana zalać łzami, przecie onego nie zalejecie; bo jeśli płakać będziecie, nie tego, że umarł, ale że żyje, płakać będziecie. *Nemo liber est, qui corpori servit.*

Ponieważ tedy z tego więzienia animusz jego na wolność wyszedł, czemuż nad jego grobem bolejecie i stękacie? *Maximilianus*, cesarz rzymski za ozdobę domu swego poczytał, na pałacu swym cesarskim wszytkie honorów swoich *insignia*, koronę cesarską, berło cesarskie i majestat cesarski na ziemi położyć, a od onych wylatującego orła wymalować. Takie do tego *epigraphe* przydano: *Nil humana moror, dum super astra feror.* Przepędziwszy jaśnie wielmożny nasz tak szczęśliwie przy dobréj i nigdy nie zwiędłéj swej sławie lata, i na tak hojną i pańską u majestatu jego królewskiego miłość, u jaśnie oświeconego senatu na takowy afekt, u rycerstwa na takowy zasłużywszy sobie fawor, kiedy już przychodziło *e catenis aureae libertatis campum* wychodzić, rzucił o ziemię buławę i skruszył, mówiąc: *Nil humana moror.* Świeckie apparencye, świeckie tytuły, świeckie honory, zkąd wychodzą, niech się też tam wracają; a ja, *dum super astra feror*, do ciebie, najaśniejszy królu, monarcho Władysławie IV. upadam, żeś mi, poddanemu twemu takie konferował, godności, dziękuję, a oraz też proszę, abyś pozostałemu domowi memu takowąż, jakową i mnie oświadczał, onym nieodmienną okazywał łaskę. Skruszył tedy buławę, a skruszoną pozostali krewni wziąwszy całą w swym pozorze, lubo kosą śmierci przeciętą do nóg majestatów pańskich gdy przynoszą, nieodmienne po sobie panu poddaństwo, a rzeczypospolitéj miłość obiecują.

---

8. Andrzej Maxymilian Fredro.

Jérzy Fredro, stolnik przemyski był ojcem Andrzeja Maxymiliana Fredra, który będąc stolnikiem lwowskim, marszałkował na sejmie r. 1652., potém kasztelanem lwowskim został r. 1661., a naostatku wojewodą podolskim r. 1677., i umarł r. 1679. Był to pan pełen cnót pobożnych i obywatelskich.

Prócz kilku dzieł w języku łacińskim, napisał po polsku: *„Przysłowia mów potocznych albo przestrogi, w Krakowie r. 1664. 8vo 70 stron.“* To małe co do oka, wielkie co do rozumu zacnego niegdyś senatora dzieło (mówi Franciszek Bohomolec) sprawiedliwiéj filozofią obyczajną mógł mianować: takie albowiem i tak głębokie dla każdego ludzi stanu w tym krótkim zbiorze nauki zawiérają się, że z nich i polityk, i dworak, i obywatel, i gospodarz, i żołniérz, i kupiec ma się czego nauczyć. Krótkość ich wabić raczéj, niż odstręczać powinna czytelników, nie jest albowiem to dzieło z liczby owych, o których Horacyusz pisze:

. . . . *Brevis esse laboro,*
Obscurus fio.

Zwięzłość jego nie przeszkadza bynajmniéj jasności stylu, ani jasność zwięzłości. Miałkiegoto rozumu autorom przyzwoita, czczemi słowami pisma nadziéwać swoje, gdy im na myślach zbywa dowcipnych: doskonali ludzie więcéj rzeczy wybornych, niż słów w swoich dziełach zamykają; i ztąd to idzie, że ich czytanie, choć kilkakrotnie powtórzone, nigdy się nie przykrzy. Do tego pism rodzaju należą te *Przysłowia*. Zwięzłość ich więcéj podaje rzeczy do myślenia czytającemu, niż się zdaje w sobie zawiérać, tak dalece, iż im częściéj je czytamy, tém więcéj znajdujemy głębokich nauk, których w piérwszém czytaniu nie postrzegliśmy. Wielka to wprawdzie jest Fredra zaleta, że w takowéj zwięzłości najcelniejszym zrównał autorom, ale to większa, iż téj rzeczy tak trudnéj samym polskim językiem, bez pomocy słów obcych, dokazał. Co większa, odkrył nam jawnie dostatki mowy ojczystéj, aby najtrudniejsze filozofów i teologów wyrazy albo terminy właściwą polszczyzną wyłożył. Z tych przyczyn pomienione *Przysłowia* w takim niegdyś były szacunku, że je kilkakroć na światło publiczne wydawano. Nie mniejszą i teraz mają zaletę u tych, którzykolwiek mieli sposobność ich czytania. Rzeczy wybornéj i doskonałéj żaden czasów przeciąg umniejszyć ceny nie może.

Andrzeja Maximiliana Fredra Przysłowia mów potocznych albo przestrogi obyczajowe, radne, wojenne. W Wrocławiu u Wilhelma Bogumiła Korna, 1809.

Przedmowa autora.

Nie Greczynowie, albo Łacinnicy tylko szczycić się mogą języka swego ozdobami: dołożyła dosyć dostatku słów i wyboru swoja polskiemu językowi wymowa. Nie żaden tedy języka polskiego niedostatek, ale mowców nie usiłująca sprawuje niedbałość, kiedy więc w potoczonych rozmowach wyżebranemi u Łacinników słowami nadstawiają (rzkomo) polskiego języka niedolę, albo nazwisk właściwość

łacinnym pokrywają mianowaniem, swoje w tém raczéj odkrywając w wyrażeniu rzeczy niepochopność, a niżeli jaką rozmowie polskiéj dodając okrasę. Bez pochlébstwa cenę ważąc, i w głębszą się rzeczy uwagę wpuściwszy, prędzéj Łacinnikowi nie dostarczy wykładu, niżeli się Polakowi uskąpi co wymowy. Że wiele nie wspomnę, bardzo się Łacinnicy u Greków zadłużyli, różnych w potocznéj rozmowie nazaciągawszy słów, gdy z grecka mienią *monarchia, aristocratia, democratia, tyrannis, anarchia, geographia, geometria, arithmethica, echo, tautologia, anonymus.* Nuż budownicze nazwiska, *ichnographia, orthographia, scenographia*, i inszych czy mało? W czém niech się Polak sławi, gdy właściwą zaszczyca się polszczyzną, zowiąc: *jednowładztwo, możnorządy* (albo *możnorządztwo), gminowładztwo, prawołamstwo, bezrządztwo, krajopisarstwo, miernictwo, rachmistrzstwo, odgłos, jednomowność, bezimienny, zakład,* albo *położenie* (budynku), *skład, wystawa,* lubo *postawa,* i insze (że pominę) polityczne, albo gramatyczne, prawne, tudzież filozoficzne wyrazy, albo terminy, którym dość dostatecznie polszczyzna dogadza. Owe zaś subtelniejsze łacińskiéj filozofii *entitates, quidditates,* jako są wytworno łacińskie, jak z samego tylko wsłuchania się w przykrości swéj nie mierzione uszom zostały, tymże kształtem polskie niektóre osłuchałyby się słowa, gdyby ich gęsta o rzeczach spowszedniła rozmowa. Nie czyń tedy krzywdy, niemowny Polaku, polskiéj wymowie, nie pochlebuj tak bardzo mniemanéj obfitości obcego języka, abyś co uwłaczał twojéj polszczyznie, którać tak bogato do wymowy dostarczy, jako sam pochopno usiłować zechcesz, albo opuścisz. Oto masz te *Przysłowia* na przysługę polskiego języka wypisane, polską własnością brzmiące, uwagą głębokie, w niewielu kartach, jako w małéj bryle funt dobrego złota, nie ołowiu okazałe wielkością cetnary. Poznasz ztąd, że większą ohydę, niż ozdobę polska wymowa bierze, gdy ją gęstemi łacińskiéj mowy natykają więc słowami, a niżeli kiedyby się swą własną udawała polskich słów wspaniałością. Weź jeno trochę namysłu przed się (nie znający dobra twego Polaku!), a poradź się z uwagą: nie tylkoć dostarczy, ale zbywać nadto będzie słów polskich i wyboru.

Przysłowia.

Wszytko niechcącemu trudno.

Kto nie umié, nie może, przyczyna za pasem.

Nie chwytaj się rzeczy dla racyj subtelnych, i owszém rzecz dobra nie potrzebuje subtelności, bo ją każdy bez dowodu widzi; złe zaś rzeczy subtelniejszych dowodów i wiele racyj potrzebują, ale mówić się o nich może jako o niektórych robotach, które subtelne, a nie mocne. Symbolizował ktoś nad pajęczyną: *Subtilis inutilis.* Chociażby kuchmistrz aptékę na zaprawę obrócił, przecież z wilka nie uczyni daniela: zaprawa dobra, rzecz sama zła.

Kto nie sprosta temu, o co się kusi, niech uczyni, co może, jakby wszystkiego dokazał.

Od złego włodarza bogato racyi, pieniędzy mało.

Zły do urazy bierze przestrogę, dobry do poprawy.

Barziéj się bój jednego, kogo urazisz, niżeli się posiłku spodziéwaj od dziesiąci, którym dobrze uczynisz: bo tamten barziéj myśli o zemście, niż ci o pomocy.

Miła praca lubo trudna, póki nie daremna.

Własne rzeczy afektem, nie rozumem się sądzą.

Spokojna myśl najlepsze ludzkie szczęście.

Kogo sumienie nie strofuje, przed sąd wołany żartuje.

Co ludzi radzi słyszą, temu łacno wierzą.

Dzisia zowią prostotą, co była przedtém szczérość, skromność i cnota.

Posłuszeństwo dobréj pospolitéj sprawy dusza.

Kara tylko złość uhamuje, a chwała zaś i dobre słowa umysł podnoszą, i wzniecają cnotę.

Kto z afektem czyni, często żałuje.

Insza mądry albo rozsądny, insza uczony.

Insza prostota szczéra, bez przysady, cnotliwa, przystojna; insza prostota, co ją głupotą zowią. Bądź prostym, nie bądź prostakiem.

Żaden ochotniéj się nie ofiaruje, jako kto słowo najprędzéj rad łamie.

Nie majętność albo intrata czyni bogatym, ale rząd i umiejętny rozchód.

Złym nie upodobać się jest coś nakształt chwały. Podobny podobnego sobie smakuje.

Ze złéj gęby nie dobra mowa: nie uczerpnąć z błota czystéj wody.

Pająk jadu szuka, ale pszczoła miodu (rzeczono na podchwytujących słowa).

Cudze złe na słońcu, swoje w cieniu stawiamy radzi.

Z swojém na czoło, z cudzém do kąta, choć dobre.

Znajdzie czemu przyganić, kto nie upatruje, tylko aby przyganił czemu. Złemu oku źle się wszystko widzi.

Więcéj przykład w ludziach niż rozkazanie może.

Większa niewola, gdzie się wszystko wszystkim godzi, niżeli gdzie nic nikomu.

Kto się na swój rozum spuszcza, pyszny raczéj, a nie mądry.

Strata rozumu uczy.

Najpiérwszy wstęp do niecnoty: Nieprawda.

Długo myśl, prędko czyń.

Kwap się zwolna.

Małą szkodą zbyć się większéj, stoi to za korzyść: lepiéj zmoknąć, niżeli utonąć.

Nie dopuszczaj się wkorzeniać złemu: co dzisia łatwo wyrwać możesz, jutro siłą nie wyważysz.

Siła czas, siła zwłoka bez zawodu zléczy. Równie czasem zepsujesz, gdy skoro zabiegasz, jako gdy pózno radzisz; bo jako choroby, tak ludzkie niektóre sprawy léczeniem samém drażnią się barziéj: ale się onym wystać dać potrzeba, a tak nie lécząc zléczysz; gdy rzkomo zabiegasz, rozjątrzysz, jednak ich na pilnym oku miéć potrzeba. Żadne lékarstwo stoi czasem za wielkie lékarstwo.

Porządna zwiérzchność rada się więc zatrzymuje, głaszcząc oraz, czasem i karząc, aby z jednego było w czém się kochać, żeby oraz nie schodziło z drugiego, czego się obawiać; jedno z nich posłuszeństwo przychęca, drugie powagę zatrzymuje zwiérzchności.

Lepszy gniew rozsądnego, niż nieuważnego łagodność.

Mądrze łaskawym być, mądrze rozgniewać się, mądrze dać, mądrze ująć, takowym między ludźmi żyć i rządzić przystoi.

Pan czasowi, kto mądrze nim szafuje.

Siła zrobi, kto robi, jak potrzeba.

Wszystko zrobi, kto wedle czasu robi.

Rząd a dozór duszą jest wszelkiéj dobréj sprawy, mianowicie roboty. Rzéc się przeto może, iż duszy sprawa nie ma, kiedy nie ma dozoru.

Częsta kara nie wszystkich pohamuje, wszystkich zajątrzy.

Wydarte rzeczy w sytość nie idą.

Największa intrata oszczędność.

Nie ofiaruj się, czemu nie masz dosyć uczynić, bo im cię barziéj poważają, gdy się ofiarujesz, tém wzgardzeńszy zostaniesz na potém, kiedy nie uczynisz.

Opatrzny wódz jako gospodarz lecie myśli o zimie, coby jadł, w zimie myśli o lecie, czémby siał: tak tamten w pokoju wcześnie myśli o wojnie, czémby wojował, w wojnie myśli o pokoju, zkądby gruntowną stanowił zgodę. Nie opatrzne zaś rozumy daléj nad dzisia nie zasięgają, nikczemni dojutrkowie: dla tegoż jutro źle się onym często dzieje. Każda sprawa wczesnéj opatrzności potrzebuje.

Jest nie mądre słówko: Nie spodziéwałem się (zwłaszcza w rzeczach wojennych). Mądry zawsze się na obiedwie stronie spodziéwa, i oraz gotów; dla tegoż nic mu nagłego nie masz, i nie zaszkodzi.

Poradę każdy da, ale pomoc rzadki.

Śmiałek przed czasem wykrzyka, w rzeczy zaś saméj truchleje. Kto mężny, i serdeczny prawdziwie, przed czasem jest cichy, ale w okazyi żartko czyniący.

Żeby żołnierz był dobry, lubo zły, barziéj jest w hetmanie, niż w żołnierzu; żeby słudzy byli dobrzy, barziéj w panie, niż w sługach należy.

Dość dobrze zaczął zwycięztwo, kto opatrzył, aby nie był zwyciężony.

Wódz bijąc się, nie wiele pomoże, wiele zaszkodzi, gdy zginie: jak jeden pomoże, a zginie jak tysiąc; w jego duszy wszystkiego wojska dusza.

Na twarde drzewo twardéj potrzeba siekiery.

Leniwy zażywa rzeczy, jako skąpy zwierzyny, w ten czas ją na stół dając, kiedy się zaśmierdzi: tak nie obrotny rzeczy zaczyna po czasie, które się lepiéj udają za świeża.

Zła fortuna to ma przynajmniéj dobrego, że rozumu nauczy, a przyjaciela pokaże.

Dobry człowiek dobra sprawa; na złego nie dosyć i prawo.

Nie ma żadnéj wymówki, kto w jedném dwa razy błądzi; raz się sparzywszy, trzeba drugi raz na zimne dmuchać.

Nie będziesz miał przyjaciela, gdy wszytko do niego uważasz: niektóre trzeba przebaczyć, niektóre w nim nie widzieć, niektóre naturze jego darować, kiedy w czém gruntowniejszém dobry. Prawdy a żartów jako soli zażywać, bo prędko przesolisz.

Strzeż się skwierkliwych, bo im nigdy słusznie, nigdy dosyć, nigdy dobrze; zawsze czegoś potrzebują, nigdy im nie dogodzi, a zatém ustawne głowy ugryzienie. Lepiéj się oraz takowym odkupić, byle ich pozbyć.

Kto złego sługę zbędzie, jakby najlepszego przyjął.

Hardego zepsujesz, nie naprawisz, gdy mu się poniżasz; dla tegoż dawno rzeczono: Jest fortel na pysznego, nic nie dbać o niego.

Kto nie uważnie daje, zbestwi barziéj, niż naprawi.

W czém się pan, lub przyjaciel chroni, bądź nie widzącym, lubo wiész i widzisz; są bowiem niektóre rzeczy w najpodufalszych, które radzi widzą, aby nie były widziane.

Niektórych jedwabne słówka podobne Daryuszowym kajdanom, które, lubo złote, przecię niewolę przyniosły. Truciznę rad przycukruje, kto ją nieznacznie zadaje.

Kto o kim przed tobą, pewnie o tobie przed drugim.

Dobry pan cnotą i powagą miłość sobie jedna; zły postrachem usiłuje, przecie nie dokaże.

Trudne i ciężko idące sprawy najlepiéj dźwignąć możesz postępując z niemi sobie, jako więc twarde kruszone bywają krzemienie, które nie bez uderzenia, i nie bez ciężkiego młota, jednak oraz nie bez miękkiego podkładu kruszyć potrzeba. Tak trudne i zawikłane sprawy nie samą siłą dźwigniesz, nie samą łagodnością dokażesz, ale z przyłożeniem jednego z drugiém pięknie przywiedziesz. Sama łagodność wzgardę przynosi, sama ostrość rada więc rozjątrzy: oboje w kupie zmieszane pięknie rzeczy miarkują. Wojny, pokoju, publicznych i prywatnych spraw ten jest najlepszy kształt sprawowania.

Kiedy się rozgrzeje szyna, rób z niéj gwoździ, podkowę lub co chcesz, bezpiecznie, póki nie zastygnie.

Kto o pospolite dobro nie dba, swoje prywatne na szańc wydaje.

Małe dobro wielkiego złego nie przykrasi, małe złe wielkie dobro zepsuje. Dosyć garści piołunu na zepsowanie beczki napoju. Najmniejszy człowiek łatwo zaszkodzić, łatwo zamieszać może.

Ludzkich rzeczy wielka jest podpora, nie wszystko stosować do siebie, nie wszytko uważać, siła przebaczać, lub na inszy czas odłożyć.

Rzeczy drobniejsze na inszych spuszczaj: gdy sam chcesz wszystkiemu podołać, strapisz się, i niemożność odkryjesz. Nie po-

dobna na świecie mieć wszystko ku myśli. Miasto polepszenia często wpadamy na gorsze.

Ten rzeczy trudnych nie dostąpi, kto wielkość ich z razu nazbyt uważa. Najprędszy dokazania sposób, co masz robić, prędko zaczynać, kęs do kęsa dodawać. Woda wielką górę obali, gdy często i zwolna podmywa.

Dobrodziejstwa być powinne na kształt dészczu, nie na kształt powodzi. Dészcz częsty pomaga i odwilża ziemię, powódź wnet spłynie i ustanie. Dobrodziejstwo zbyteczne prędko się wysili, a czasem miasto pomocy zepsuje. Zwolna dawaj, dłużéj ci będzie stawało.

Niektóre rzeczy przyjemniejsze są w oczekiwaniu, niż w dostąpieniu, otrzymane, smak i pozór tracą. Nowinka prędko się przejé: zwyczajne bywają lepsze.

Lepiéj dać dobrowolnie i z ochotą temu, kto może wziąć, gdy zechce. Kto potężniejszemu odmawia, wszystko daje.

Tego, coć nie w smak, nie miéj w zwyczaju z utyskiwaniem przyjmować; inaczéj twoję słabość odkryjesz.

Kto pan czasowi, ten pan i rzeczy: wczesność najwięcéj dokazuje.

Młodzi nie mając doświadczenia, skwapliwością grzészą: starzy sparzywszy się nie na jednem, więcéj się czasem lękają niż trzeba. Śrzodkiem iść najlepiéj.

Pyszny rzadko kiedy zpanoszeje.

Kto wielu naśladuje, cudzego nie dojdzie, a swoje pomiesza.

Pochlébstwo ma w sobie osobliwszy przysmak: chociaż go kto rzkomo odrzuca, przecież ono smakuje.

Złéj naturze nie wygodzisz: jakbyś węża ugłaskać chciał, a on przecie kąsa.

Niemasz nic tak złego, żeby się na dobre nie przydało: bywa z węża dryakiew. Złe często dobremu okazyą daje.

U skąpego lub u chciwego cała w mieszku dusza.

Głodnego żołądka bajką nie zabawić, racyą nie odbyć.

Żaden morza przebrnąć nie usiłuje, bo widzi niepodobność: w kałużę łatwo każdy wpadnie, bo się spodziéwa przejechać.

Wpatrz jeno się dobrze, obaczysz inaczéj.

Sroka bije na jastrzębia i skrzekocze, przecież jastrząb jastrzębiem, a sroka sroką.

Uczy złe czynić, kto się niepotrzebnie obawia.

Cudzego nabywając, swoje często tracim. Kto po cudzą stawkę idzie, trzeba, żeby swoją stawił czasem, i zapłacił.

Szaleństwo, nie ochota silić się dla niczego.

Pokazuje, że może być oszukany, kto się łatwo stracha, aby nie był oszukany.

Nie puszczaj się w studnią, aż wprzód opatrzysz, jako z niéj wyleźć.

---

9. Mikołaj Jemiołowski.

Mikołaj Jemiołowski był ziemianinem województwa bełzkiego, i służył wojskowo w najważniejszych za Jana Kazimierza potrzebach, jakoto: beresteckiéj, cudnowskiéj i innych. Sądząc go z dzieła, widać, że należy do ludzi oświeceńszych wieku swojego, i okazuje wszędzie zdrowy praktyczny rozsądek. Zna dzieje tak ojczyste, jak obce, a opisując zdarzenia w Polsce, nie zaniedbuje dodać, co w tym lub owym roku zaszło ważniejszego w Rzymie lub u sąsiadów. Jako ziemianina zajmują prócz politycznych zdarzeń urodzaje, zmiany powietrza i nadzwyczajne zjawiska. Ztémwszystkiém opowiadanie jego zdradza człowieka, który miał więcéj do czynienia z szablą, niż z piórem. Rzuca na papiér myśl, jak się nawinie, nie przebiérając w wyrazach, ani się ściśle z niemi obliczając. Czasem brakuje słowa, które według logicznego rozkładu myśli zdawałoby się konieczne; to znowu dorzucony jest niepotrzebny pleonazm, a okres niezwiązany pozostał. Jestto osobny rodzaj doraźnego, zamaszystego opowiadania, właściwy takim pamiętnikom.

A. Bielowski.

Pamiętnik Mikołaja Jemiołowskiego, towarzysza lekkiéj chorągwi, ziemianina województwa bełzkiego, obejmujący dzieje Polski od r. 1648. do 1679. spółcześnie, porządkiem lat opowiedziane. Lwów w drukarni Zakładu narodowego Ossolińskich 1850.

Zwycięztwo pod Chocimem.

Gdy się już wojska polskie i litewskie koło Glinian i Buska do kupy zeszły, król Michał, zostawiwszy królową Leonorę w Warszawie, prędko z ludźmi, których miał przy sobie, Zamość minąwszy, do Lwowa pospieszył. Tam zastawszy Sobieskiego hetmana nie tylko się radził, ale prawie na tę wojenną imprezę iść napiérał się, ale mu to hetman

z inszymi senatorami odradzili, i aby we Lwowie czekał skutku téj kampanii, perswadowali. Usłuchał rady, i tylko pod Gliniany wyjechawszy, i wojska liczne poczęści obaczywszy, a w moc je panu Bogu i hetmanom Sobieskiemu i Pacowi, i księciu Dymitrowi Wiśniowieckiemu, hetmanowi polnemu, bratu swemu, i inszym regimentarzom poruczywszy, i przysposobić na dalszą imprezę wyprawiwszy, sam się do Lwowa wrócił, i tam zaraz po lekku chorować począł. Ruszyło się wojsko zpod Glinian na Podhajce i na Tarnopol, a wziąwszy wiadomość z podjazdów, że Husejn, basza egipski obóz nad Dniestrem pod Chocimem założył i ugruntował wałami, we 30.000 zostając ludzi, tych jeszcze, z którémi Kandyjskiéj fortecy dobył przed trzema czyli cztérema laty, więc i Wołoszy, Multanów, Serbów nie mało przy nich było, a Kattłan baszę oczekiwał z większém wojskiem, także i Tatarów, z którymiby w Ukrainę wpadł, albo do Polski. Tedy dowiedziawszy się o tém, jako się rzekło, Sobieski hetman, wojsko na dwoje rozdzielił, pod Międzyborz i Jazłowiec posławszy, gdzie on nie najgorzéj gościł, i Turków z Podola jak do matni do Kamieńca spędził, sam z litewskiém wojskiem Dniestr pod Śniatynem przebył, i złemi bardzo drogami a jeszcze przy ustawicznych niepogodach przez Bukowinę przebiérając się, trzema dniami przed Ś. Marcinem we czwartek niedaleko chocimskiego obozu tureckiego stanął z wojskiem. Lewe skrzydło od Dniestru trzymało wojsko litewskie z swymi wodzami, prawe od pola Polacy. Lekce ważył nieprzyjaciel zprzodku wojsko nasze, i tylko harcownika wyprawiwszy z okopów, jakoby żartował z naszych. Aleć i tych także harcownikiem i ochotnikiem dobrze do obozu napędzono, z koni, lubo to zobopolnie, nie mało pozwalano. Tak się dzień czwartkowy skończył, a wojska całą noc w paracie w polu stało. Nazajutrz działa ku obozowi tureckiemu z przyległych pagórków rychtowano, i wielką w nich szkodę czyniono. Wprawdzie i Turcy do naszego niemiłościwie strzélali wojska z dział także, ale z mniejszą szkodą, bo góry i pagórki wojsko zasłaniały. Więc znowu harcownikiem tylko Turcy wypadali, którym i nasi odpór po mołodecku dawali. A wtém do Wołoszy i Multanów przychodzą posłowie, prosząc żeby tylko choć zraz Polacy na obóz ich (bo osobno od Turków stali) trochę uderzyli, zaraz się zewszystkiém poddać gotowi byli, siebie samych w zakładzie dotrzymania słowa dając. Stało się tak, i zaraz Wołoszy i Multanów z kilkanaście tysięcy poddało się, i z naszém wojskiem pomięszało. Czém zalterowane wojsko

tureckie serce straciło, i o moście na Dniestrze myślało, przez któryby do Kamieńca umykać poczęło: jakoż go przez noc sporządziło. Hetman postrzegłszy już Turków zkonfudowanych, krótką z inszymi kolegami uczyniwszy radę, i dawszy hasło po wszystkiém wojsku, aby byli gotowi do szturmu do wałów tureckich, sam najpiérwszy z pułkiem piechoty regimentu swego w imię Pańskie do wałów nieprzyjacielskich skoczył, ordynowawszy, aby zewsząd taż ochota rycerska była. I poszczęścił pan Bóg intencyi jego; bo oślep co żywo na wały skoczyło, i Turków od wałów odegnawszy, wały rozrzucało, któremi zaś dziurami wojsko polskie i litewskie konne w obóz turecki waliło się. Prawda, że i w Majdanie ich obozowym z kilkanaście tysięcy Turków skupiło się było, i naszych konnych w obóz wpadających wspiérać odważyło się, ale widząc, że potęga i męztwo polskie przemaga, do tego scisłość miejsca i błoto w obozie przeszkadza, ku Dniestrowi na most brać się poczęli, do czego im sam Husejn basza przodkował. Więc trafiła się nad Dniestrem skała jedna, z któréj skakać musieli, i siła ich tam poległo, jak ich tam wojsko napędziło. Drudzy innemi dolinami uciekając na most gwałtem, uciążali tak, że ich coś tylko z Husejnem przeprawiło się, z ostatkiem most się rozerwał, i onych nie mało się potopiło. Nasi też na uciekających następowali, którzy z mostu w pław biorąc się jakokolwiek, i to nie każdy, salwowali się. Wieść ta była, że zginęło Turków w tym rozgromie 24.000, między nimi Suliman i Ibraim, baszowie, bo trzech baszów, wojskowych *alias* komendantów miało. Wzięto żywcem Turków na 3.000, i dział 25, i inszych strzelb nie mało z artyleryą, chorągwi 16, bo z inszemi pouciekali, albo się na moście potopili. Koni, mułów, osłów, wielbłądów nieznośną moc wojsko nabrało, namiotów, wołów i wszelakich dostatków w złocie, w srebrze, w statkach, w klejnotach i w inszych sprzętach niezmierna korzyść osobliwie piechocie była, ba i w pieniędzach, których piechota w sepetach (kufrach) pozostałych siła pozabiérała. Zgoła rzadki tam był, coby się dobrze nie obłowił. Tak wypędziwszy z obozu i nabiwszy Turków nie mało, zostawał przyległy zamek Chocimski kilkąset janczarów obsadzony, który gdy na ucieczkę i klęskę swoich z zamku poglądają, i o sobie dbają, ichże tedy własne i swoje działa z pełnego beluardu do nich hetman rychtować kazał, z których gdy tylko raz do zamku uderzono, zaraz chorągiew białą wywiesili, i prosili o miłosierdzie: i tak nazajutrz wypuszczeni, tylko prędko bardzo i do Kamieńca przeprowadzeni, a

zamek osadzono. Żywność jakokolwiek między piechot i żołnierzów niektórych dzielono, ale insze skarby i sprzęty sam pan Bóg wié, komu się dostały; dość na tém, żaden z nich nie partycypował żołnierzy chyba tylko co w obozie tureckim urwał. Tak z łaski Bożéj nie krwawe z strony naszéj stało się natenczas zwycięztwo, bo w téj wszystkiéj potrzebie ledwie naszych 200 zginęło.

10. Jan z Wielomowic Gawiński.

Urodzony w piérwszéj połowie XVII. wieku, odbywał nauki w akademii krakowskiéj, gdzie się także i młodszy brat jego Stanisław, podobnież zdatność do poezyi wcześnie pokazujący, kształcił. Dla wydoskonalenia się przebywał czas niejaki na dworze królewicza Ferdynanda Karola, który bacząc w Janie Gawińskim niepospolite zdolności i biegłość w sprawach publicznych, do pióra go używał. Znajomość nauki prawa powołała go potém do urzędu grodzkiego krakowskiego, gdzie zostawał jako alumn, sposobiąc się ku wyższym usługom w ojczyźnie. W czasach, gdy się nieszczęsna burza za panowania Jana Kazimiérza na całą Polskę rozlała, musiał Gawiński, równie jak i inni, chwycić za oręż i z ruszeniem pospolitém stanąć w obronie kraju przeciw Kozakom na Ukrainie. Resztę żywota swego spędził Gawiński pod panowaniem królów Michała Korybuta i Jana III. na łonie rodziny częścią w Krakowie, częścią w ojczystéj wiosce, Wielomowicach, nucąc wśród zatrudnień wiejskich swe pienia pastérskie. Umarł, ile się z szeregu pism jego pokazuje, w podeszłym wieku.

Pisma któremi sobie Jan z Wielomowic Gawiński sławę poety zjednał, są następujące: 1) *Treny żałobne na śmierć jego mości pana Stanisława z Wronowa Księskiego.* Książeczka ta, zawiérająca piérwsze słabe próby poezyi Gawińskiego, najmniéj może ze wszystkich pism jego zasługuje na uwagę. — 2) *Sielanka pod nazwą Mopsus, wraz z nagrobkami.* — 3) *Dworzanki, to jest epigrammata rozmaitéj treści.* Krótkie, gdzieniegdzie dość trafne i dowcipne wiérszyki, pisane na wzór Fraszek Jana Kochanowskiego, między któremi się także znajduje kilka tłumaczeń z łacińskiego, oraz z greckiego. — 4) *Sielanki nowo napisane.* Widać, że Gawiński przy pisaniu *Sielanek,* które właściwie pamięć jego uświetniły, zapatrywał się na niezrównane wzory Szymona Szymonowicza. — 5) *Venus polska, albo na akt weselny jego mości panu p. Janowi Andrzejowi Bairowi.* Wiérsz ten weselny piękny i godny Gawińskiego Muzy. — 6) *Fortuna albo szczęście wiérszem polerowniejszym z starego udarowana.* — Miał Gawiński zamiar dziełkiem tém, jedynie dla rozrywki pisaném, wypłoszyć zabobonną wiarę, jaką lud w podobnéj wiérszowéj kabale dawniejszego rymopisa Seweryna Bączalskiego z upodobaniem czytanéj, i kilkakroć (a nawet r. 1822. jeszcze w Warszawie) przedrukowanéj,

pokładał. Dlatego też sam powiada w przedmowie: „A pamiętaj każdy, coć się kolwiek na tych książkach stanie, bądź dobre, bądź złe, abyś temu nie wierzył, ale to miał za krotofilę i za śmiech.“ Wiérsze Gawińskiego w owém dziełku nierównie dowcipniejsze i zabawniejsze od Bączalskiego, a wyszukanie odpowiedzi cztérowiérszami na 21 zapytań zawikłańsze, przez co całéj rzeczy niejako nadał kształt gry nowéj.

Oprócz tych drukowanych dzieł, pozostawił Jan Gawiński dotąd jeszcze w całości drukiem nie ogłoszony rękopism poezyj swoich, który własną jego ręką w latach 1682. i 1683. spisany, znajdował się w księgozbiorze Towarzystwa warszawskiego Przyjaciół Nauk.

Poezyom Jana Gawińskiego nie zbywa na zapale i bujnéj tworczości, i to żywioły prawdziwego poety słusznie go wyżéj wznoszą nad zwykłych rymotworców. Widać w nich jednakże tu i owdzie obok przyjemnéj prostoty niepoprawność, niedbałość w rymowaniu, i uchybienia przeciw językowi: lecz prędzéj mu te przebaczyć można; dotyczą się one bowiem więcéj zewnętrznego kształtu, a niżeli istoty saméj. Byłato zresztą wada wieku, która się nie tylko w nim samym, ale ogółem prawie we wszystkich współczesnych pisarzach przebija.

Żegota Pauli.

A) Sielanki polskie z różnych autorów zebrane, a teraz świeżo dla pożytku i zabawy czytelników przedrukowane. Nakładem towarzystwa literatów w Polszcze ustanowionego. W Warszawie w drukarni Mitzlerowskiéj korpusu kadetów 1770.

Sielanka.

Żywot ziemiański i dworski.

Niech się zamki, pałace z tego popisują,
Że panów, ziemskich bogów te w sobie piastują,
Że i miasto przy nichże w swéj słynie wielkości,
Pokazując swe oczom zwierzchnie wielmożności,
Gdzie mocne w koło twierdze, a Mars z każdéj wieże
Miasta i pysznych grodów z wszelkiéj strony strzeże;
Ktoli z pokojem idzie, ktoli z znakiem wojny
Lub do spólnych przyjéżdża rad orszak spokojny:
Wieś wesoła z swego się pyszni położenia,
Że wygód i dobrego stolicą jest mienia,

Że dziedzica w sobie ma, z którego osoby
I swój zaszczyt, i wszelkie miejscu są ozdoby.
Kmiece domki za miasto przy dworku osadne
Panu swemu obstaną, dokąd kupy żadne
I najazdy nie śmieją; bo ich (choć bez broni)
Wszystkim miła niewinność od wszelkich trwog broni.
Niebo samo życzliwe i powietrze szczérsze
Zdrowiu czynią i życiu pożytki najpiérwsze.
Tam młodość w wiek starenny bezpiecznie przechodzi,
I w żywéj człek czerstwości w długi wiek zachodzi:
Tu pola w szachownice kształtnie rozsadzone;
Śrzodkiem wstają dąbrowy, i gaje zielone,
Tu staw, a owdzie rzéka nizkie brzegi moczy,
I role swe napawa i weseli oczy.
W dworach rozumem żyją, dobrze tam potrzeba
Głową ruszać: z brukowych ziem nie wzwodzą nieba
Daru możnéj Cerery, tylko tam popłaca
Śmiała myśl i ciekawa przy obrotach praca.
Tam wielom trzeba służyć, urazić żadnego,
Chceszli łódź twą kierować do brzegu wczesnego,
Piętą wiercić, kraje znać, póki nie zapadnie
Poźny wiek i z zdrowia cię drogiego nie skradnie:
Panem lecz ztamtąd wyniść, rzadko to jest komu,
Zwłaszcza kiedy na kogo wół nie orze w domu;
Fortuny to czyn saméj, ta na kogo względy
Będzie miéć, już złotemi łowić może wędy.
Wieś z niebem handel wiezie, bez zgryźliwéj troski
Pana swego, bo opiek z nim społkuje Boski:
Co da ziemi, stokrotnie ta mu nazad wraca,
Na taki zysk sama się ludziom wmawia praca.
Wolny wiek i bezpieczny prowadzi, ni skryty
Nieprzyjaciel dybie nań, mając miecz dobyty.
Z swojéj syt jest fortuny, bo mu bróg, stodoła,
Pewne jego dostatki, na co chce wydoła.
Małoli ma? rzéka mu daninę da rybną,
Las zwiérzynę, obora podporę niechybną,

W dworach różne postępki. Kto dwór piérwszy wita,
Te lekcye na jego drzwiach niech pierwéj czyta:
Szczérość, wstyd i pokora, niech nie chodzą blisko,
Nie tu miejsce tych święcić, tu im chodzić ślisko.
Wieś pięknych obyczajów, przyjemnéj prostoty,
Nie zganionych postępków i wszelakiéj cnoty —
Cnoty świętéj mistrzyni. Prawdy nie obrazę
Gdy wizerunek złotego wieku wieś wyrażę.
Dwór się kasze wysoko, i która powstaje
W nim wyniosłość, z niego wzór w koliczne jest kraje:
Znać ją w cerze każdego, gdy ją równie ciągnie,
I ten co się w purpurze, co i chudo lągnie.
We wsi w domeczku małym, w folwarkowym szczycie
W przyrodzonym umyśle, nie wystawne życie:
Natura przy skromności swojéj miary pilna,
Ta wszelkiéj przystojności sprawczyni nie mylna.
W dworze zbytek raz w złotéj postępuje nici,
Drugi raz się w szkarłacie i jedwabiu świéci,
Co niebo cudze ozdób, co ma swego stroju,
Do swojego to wszystko przysposabia kroju.
Tam w subtelnych żołądkach delikackie głody
Przez smaczne potraw kąski moryczą się: gody
Rzekłbyś, że to codziennie, cóż gdy zbytek miary
Nie ma, raz dosyć, drugi kształtem chudéj fary,
Aż i wina, i przednie likwory z Tokaju
W złotych flaszach wspieniają, aż widzieć rodzaju
Przewoźnego Symony, widzieć i Albany,
Coż gdy zdrowiu i rzeczom te szkodliwe piany?
Wieś według przyrodzenia piękny strój i szaty
Z jagnięcego mchu daje bez szkatuł utraty;
Lny, płótna, więc i które zawsze krosna robią
Rąbki nad śnieg piękniejsze pana swego zdobią.
Ten też zbytnich, co świat ma strojów, nie zażywa,
Oprócz co się giermakiem i szubą okrywa,
Lam wzorzystych nie szuka, telet zleca komu,
Lisia mu w lad lub skopia ferezya w domu.

Potraw dość ma nie kupnych, bo mu okół płodny
I obficie daje jeść dostatek ogrodny.
Nie zna aptek, do potraw na smaki rozliczne
Ma korzenia ogrodne i zaprawy mléczne:
Trunku nie chce winnego, bo go smaczniéj poi
Pszenny, który w piwnicznym długo chłodzie stoi,
Lub co pszczółki słodkie mu swe przyniosły dary,
Ten muszcz radniéj wypija z dereniowéj czary.
W dworach wrzawa, zgiełk, hałas, różne niepokoje
O pańskie ocierają rady się podwoje:
Trąb, bębnów, wozów, koni, bałuch pomieszany
Mięsza miasto, i same aż przenika ściany.
Tam Bachowi opilcy czynią przykre huki,
Rąbiąc drzwi i niewinne szablą krając bruki.
Ten pod łony miesięczne, skradłszy się gdzie z kąta
Spokojnego napada, lub go z świata sprząta,
Ten się bije, a ów zaś woła w pojedynek,
A nie chciéć umrzéć wstyd, i szpetny nieuczynek.
Wieś spokojna, wieś miła i lubych skarbnica
Wczasów; gdzie spojrzysz, wszędy pokój się zaszczyca.
Do niéj wielkie się dwory i miasta wynoszą,
A o żywot spokojny wsi spokojnéj proszą;
Obmierzionych hałasów, przykrego okrzyku
W niéj nie słychać, w myśliwym oprócz kiedy krzyku
Zgraja psów zwiérza goni, lub za bliski szaniec
Wilk się skradłszy, czułych psów wyzywa w targaniec.
Tu w wielkiém pomilczeniu cicho ziemia stoi,
Kiedy ptasza kapela swe muzyki stroi;
Nieba same śmieją się, wiatrek obumiéra,
Kiedy słowik lub łabędź dumy swe wywiéra.
Dwór wszelkich obłud składem w powiérzchownéj cerze,
Dość swobody wesołéj, lecz w niepewnéj wierze,
Często wewnątrz tają się troski niewidome,
Co serce pożérają jako ogień słomę.
Tam pod kształtem przyjaźni niespodziane zdrady,
Oszukania napięte i podchlebstwa jady

Udają się: jako więc lody przezroczyste,
Kryją fusy pod sobą, i wody nieczyste.
Tam przyjaciół aż nazbyt, lecz szczérych nie wiele,
Komu byś się miał zwierzać nie przyrzékam śmiele.
Szczérość, wiara, lubo ma swą prawdziwą barwę,
Często jednak obłuda tych cnót wdziéwa larwę.
Tam fortuna swém kołem niestateczném toczy,
Gdy jednych wzgórę wznosi, drugich na dół tłoczy.
Za nią dole złe chodzą, nieszczęścia przypadki
A ktoby ich nie doznał, człowiek nader rzadki.
We wsi piękny bieg życia, w jednostajnéj zgodzie
Przy cnocie niefarbownéj, przy wdzięcznéj swobodzie
Serce kwitnie; wesołość znać wewnątrz i z wiérzchu,
Nie masz wnętrznych niepogód i smutnego zmiérzchu.
Tu się między stateczna rozkrzewia sąsiady
Przyjaźń i poufanie bez żadnéj przysady,
A jeźli jaką w sobie czuje kto przywarę,
Sam sędzią nad nią bywa, sam gotuje karę.
Wiarę trzymać stateczną, nie chybiać szczérości,
Prawdę z czystém sumieniem chować, te mądrości,
Ta we wsi wszystka szkoła: obłudę, złość wściekłą,
Zdrady, figle gorzéj zaś potępia nad piekło.
Przyjacielli zawita w dom który do niego,
Za duszy część swojéj jest ważony od niego,
Sama naprzód wychodzi witać go ochota,
Która i w dom prowadzi, i otwiéra wrota.
Tam uciechy wzajemne, poradne namowy,
Uczta wedle staniku, poufałe mowy;
Żarty spólne, wesołli kto jest, swą podsytę,
Ktoli cichy, zabawy najdzie przyzwoite.
Niestateczna fortuna tam się rzadko bawi,
Bo się cnota z baczeniem jéj odporem stawi:
Gdzie animusz wyrosły, kędy wielkie duchy,
Tam swe oko obraca, tam ma swe otuchy.
W dworach zamki, pokoje i pyszne pałace
Z przednich mistrzów chełpią się przewyborne prace,

Lubo które powstały z modrzeniowych lasów,
Szumne dwory miękkich ciał dla wygód i wczasów,
Lubo zamki murowne, gdzie w śnieżne marmury
Miédź koryncka, dla ozdób lgną w złociste mury,
Lubo się piramidy i kolos wysoki
Wielmożnych w koło gmachów pną w same obłoki,
Lubo wiszą szpalery w koło zawieszone
Ręką dziewoj sydońskich sztucznie wyrobione;
Gdzie blask bije ze złota, gdzie jedwabne cienia
Oczy ludzkie uwodzą do swego wejrzenia.
Cóż gdy kłopot tam większy, cóż gdy i przypadki
Na nich z kątów czyhają? dosyć o tym gadki;
Czego wielkie doznały pałace i mury,
I same wiekom sławne tak się walą góry.
Przyodzianych sług orszak tam chodzi nie mały,
Którzy boku pilnują, lecz jak długo trwały,
Świat sam świadkiem zostawa: jak fortuna minie,
I przyjaciel i sługa każdy w stronę kinie.
We wsi domek poziomy, z niewyniosłym szczytem,
I mieszkaniem wesołém, i szczęśliwym bytem
Pana swego obdarza: pokoiczek mały,
Za gmach wielki stanie mu, i za zamek cały.
Miasto drogich szpalerów po ścianach natkniony
Z wonnemi kwiateczkami, wisi maj zielony.
Po ziemi i po stole świéci się rozsuta
Róża, goździk, barwinek i zielona ruta:
Albo w sadzie z gałązek rozkwitłych chłodniki
Tam go pod cień wzywają i letne pośniki,
Gdzie trwając czas łagodny, pod temiż gibieli
Na zielonych traw bujnych, kładzie się pościeli.
Alboli gdy domowe nasycą go wczasy,
Z miłą chęcią ukwapia w swe pobliższe lasy:
Tam pod liściem klonowym jak pod szczérozłotém
Lub bukowym spoczywa papużym namiotem.
Więc mu i sen natenczas słodki się udaje,
Na który go zachęca szum, co z wody wstaje;

Lub gdy Zefir na drzewie listeczkami dzwoni,
Do spokojnéj sen mu się smaczniéj tuli skroni.
Czeladka robót pilna — to jego dworzanie,
Taż za wiernych przyjaciół w każdy mu czas stanie:
Pracowity wół i koń — to część dworu jego,
I podpora niemylna do mienia dobrego.
Tam raz dymy sabejskie i piżmowe duchy
Po izbach zalatują, raz nieznośne cuchy
Z ulic kalnych, gdy się dészcz snuje po obłokach,
Że aż i lgnąć potrzeba w błotnistych potokach.
We wsi wiatrek gdy wieje, z ziół rozlicznych woni
W swoje skrzydła nabrawszy, wdzięczny zapach roni;
Nieboli srebrnych kropel, lub perłowéj rosy
Ziemi zdarza, swe śliczne tedy plecie włosy.
W dworze znać pański humor trzeba i każdego
Wiedzieć dowcip i przymiot, jakobyś do niego
Swój układał: jeźliże kto w tém nie jest prawy,
I natura nie dała pożyczyć postawy.
Wesołyli Jupiter, trzeba być wesołym:
Śmiejeli się, przyśmiéwać, zmarszczonymli czołem
I piorun gdzie wyciska, więc z napiętym łukiem
Boku strzédz, i pomagać swym mu gniewu hukiem;
Wenusli w sercu siedzi i ta w niém panuje,
Swe mu prawić Junony; Marsli mu smakuje,
Z nim tchnąć wojny; krzywymli postępuje krokiem,
Więc uchramać i jednym spadać na dół bokiem.
Nigdziéj czasu, jako tam, nieprzepłaconego
Taniéj ważą, bez cnych spraw uciekającego,
Oprócz co się przy trynce dzień za dniem umyka,
A przy dryjach godzina godzinę połyka.
Tam abyś się miał dobrze, źle trzeba drugiemu,
Upad cudzy inszego bywa ku dobremu:
Ten o cudzéj śmierci się i nieszczęściu pyta,
Bó ztąd swoje obrady i pożytki chwyta.
We wsi czas bacznie idzie: tam dzień i godzina
Do swych zabaw przystojnych zwykle napomina.

I pożytków codziennych: każdéj najdziesz chwile,
Czém się może zabawić i ucieszyć mile.
Tam święta i szczęśliwa mądrość jest w człowieku,
Jakiego koło ziemie zażywać opieku,
Kiedy tę zarznąć pługiem, więc jakie należy
Któréj ziarno, i kiedy z matki swéj wybieży,
W którą ziemię latorośl, i jako ją wsadzać,
W jakiéj winną macicę dziedzinie rozmładzać,
Jaką pieczą ma swą miéć kwiatków młodzież wszelka,
Tego we wsi naucza wielka rodzicielka.
Miło spojrzéć po mało co wytrwanym czasie,
Jaka w polach robota wszelka pojawia się.
Ci dojrzałe zboża rzną, owi w snopy wiążą,
A wiochny im spiéwając jako mogą dążą:
Owdzie czujna dworniczka rozmaite wódki
Z ziół wonnych pali, albo nowinne jagódki
Z rąk Satyrom wydarłszy w pobliższym gdzie lesie,
Panu nad wsze potrawy dar smaczniejszy niesie:
Owi do brogów zwożą, ci zaś za porana,
Ci bujne łąki koszą, owi grabią siana,
Manny w przetak zbiérają, ci zachodząc wszędy,
Z cichych wód różne rybki smykają na wędy:
Owi w sadach rwą owoc, owi w sztuczne niki,
Siedząc przy trzodzie, plotą z złotowiérzb koszyki.
Tu séry tłuste robią, tu masło z śmietany,
A tu inni na zimę uprawione łany
Znowu sieją: ów siedząc cicho przy gałęzi
Ptaszki siatką poławia, albo lepem więzi.
A gdy skończą doroczne roboty, w gospodzie
Wytchną sobie przy dudach już jak na swobodzie:
Więc zrzuciwszy swój giermak, z kumą w taniec skoczy,
I w ucho coś poszepce, i na stronę skroczy.
Co wyliczę? snaćby mię od porannéj zarze
Słońce bieżąc na zachód w swéj złocistéj karze
Pierwéj uszło, niźlibym wypowiedział wszytki
Wczasy, miłe zabawy wiejskie i pożytki.

Niechże w dworze swą rozkosz, jak kto chce, cukruje,
Kto we wsi syt, nie mieszka, lecz we wsi króluje.

B) Sielanka i różne nagrobki z przydatkiem innych autorów, przez Jana z Wielomowic Gawińskiego napisane, w Krakowie w drukarni Franciszka Cezarego, j. k. m. typografa, roku Pańskiego 1650.

Z Nagrobków.

Oracz.

Dobry dzień, skowroneczku, już ty spiéwasz sobie,
I ja poczynam także o téj robić dobie:
Rano, w południe, w wieczór ty spiéwasz, ja orzę:
Dobra noc, mój spiéwaku! czarne wstają zorze.

Oracz z skowronkiem.

Już spiéwasz, skowroneczku, już téż i ja orzę,
Obudwu nas w robocie dwoje widzi zorze:
Tobie krzycząc pod niebem troj pot ciecze z czoła,
A mnie przy moim pługu strugiem płynie zoła.
Bóg pomóż, skowroneczku! dodawaj nadzieje!
I tobie z mojéj prace swa poczta przyspieje.

Słowik.

Lubo wieczór zapada, lub w zaranne zorze,
Lubo w nocy, zawsze ja smutne skargi tworzę;
Pomnię dawne obelgi i dawne niewoli:
Czyli łatwo zapomnieć, gdy co kogo boli?

Kobzie.

Ja ona kobza sławna, z dereniu zrobiona,
Z cnoty nad cytry swemu panu ulubiona,
Dziś dla lutni wrzucona w kąt, brzęczę z świérszczami!
Ach cudze w cenie, swemi gardzimy cnotami!

Juryście.

Zwiedziawszy prawa wszelkie i wszelkie statuta,
Nakoniec położyłem swe zewłoki tuta:
Kata na tych wołałem, których ja broniłem!
Nie pomogli. — W méj sprawie na śmierć pobłądziłem.

Doktorowi Morzykowi.

W tém grobowém zamknięciu, w téj tu zimnéj wieży
Mistrz według zwiska swego, doktor Morzyk leży.
O śmierci! byś ty jego własności wiedziała,
Dłużéjbyś mu na świecie pewnie żyć kazała.

C) Dworzanki.

Do gospodarza na zły trunek.

Źle mię częstujesz! nie ujdziesz nagany,
W srebrnym puharze trunek ołowiany.

O Milku.

Że z tobą mieszka, Milko nam powiada:
Ach nie wie, jak źle złego miéć sąsiada!

Na złorzeczę.

Nie dbam, chociajś mi złorzectwem dokuczył:
Jeszcześ się dobrze mówić nie nauczył.

Poznanie człeka.

Nie poznawaj człeka z mowy.
Ale go uważaj z głowy;
Jednak, chcesz go uznać w głowie,
Prędko go dojdziesz po mowie.

Do gospodarza wino z wodą fałszującego.

Gospodarzu! przewiniłeś,
Bacha w wodzie utopiłeś.

11. Bezimienny.

Mowca polski etc. Tom I. w roku Pańskim 1689. w Kaliszu w drukarni kollegium soc. Jesu.

Mowa Jakóba Sobieskiego na pogrzebie książęcia Jérzego Zbaraskiego, kasztelana krakowskiego.

Jako świat światem, zawsze to on umiał, co i teraz ukazał, moi miłościwi panowie. Jego dzieło najprzedniejsze, zabawa najmilsza, *comicos actus exercere;* napożyczywszy między nie *majorum imagines*, tytułów i wysokich fortun, wystawia je na *theatrum* swoje w sławę, honory, bogactwa kosztownie i ozdobnie przybrane. Czy długoż tego? Skoro po scenie, zaraz znikną nie wiedzieć gdzie i persony: on to wszytko, czym był wygodził, odbiéra, sobie samemu *applausum*, spektatorom srogi żal czyni. Sławny po dziś dzień cesarz jeden rzymski, za którego panowania wielkiego gościa, pokój generalny, wszytek świat przywitał, nie wstydził się przy śmierci przyznać, iż on téż w téj (że ją tak nazowę) komedyej *personam agebat:* żegnając, gdy miał umiérać, przyjaciół, obróciwszy się do nich pytał: *ecquid iis videtur vitam nimium commode transegisse?* Bywszy dopiéro a już nie bydź, zdrów a umrzéć, długo świecić, a prędko zgasnąć, dziś wysoko siedzieć, a jutro w proch się obrócić, miawszy a nie mieć, tu wszystko zostawić, a nie wziąć, tak nagle, są to wszytko *rerum humanarum ludibria*, które że prawie codziennie się między nami wartają, bo i dobrze ktoś napisał: *In dies, in horas, quam nihil simus, docemur*, żyjąc tu na ziemi, znosić je musiemy, patrzać jednak na nie bez gorzkich łez nie możemy. Inszych i większych wywodów nam na to nie trzeba: dzisiejszy opłakany dzień, i ten żałośny akt, oddany od nas zasłużonéj posługi ostatniéj zacnemu ciału nieśmiertelnéj pamięci księcia j. m. niechaj świadectwo swoje wydają, jaki widok w oczach, i w sercach, i w animuszach naszych pokazały. Widzę ja *in hac lugentium turba* ojczyznę naszę, a ona wdziéra się *in partes primas doloris*. I słusznie; pozbywa bowiem rzadkiego *civem*, i drogiego syna swego, którego że nie ma, dopiéro za czasem pozna. Postradała przednią swoję i senatu wszytkiego ozdobę; pogrzebła dziś obaloną kolumnę, na któréj się zawsze i bezpiecznie wspiérała; pochowała w téjże trunnie nie tylko jednego senatora świeckiego, piérwszego a ostatniego już Zbaraskiego, ale w nim oraz dom i imię Zbaraskich, którzy *longa serie* od tak wielu

lat sławę i bezpieczeństwo jéj piastowali. Widzę ja prawa nasze, a one jęczą *consternatae*, że stracony głos ich już umilkł, głos on, który się zawsze o całość ich ozywał, który na kożdym placu *sacrosancte* tego strzegł, aby niwczém nienaruszone w dawnéj klubie i ozdobie swéj potomnym wiekom kwitnęły. Widzę przyjaciół, a oni tak nieoszacowaną szkodę i niepowetowaną zgubę swoję opłakiwają, iż im nie tylko prawdziwéj szczéréj przyjaźni konterfekt zginął, ale ledwo już i nie sama przyjaźń z nim ustąpiela: widzę nawet i nieprzyjaciół (bez których a kto kiedy żył na świecie?), a oni choć osobę jego w nienawiści mieli, ale że cnotę, godność, przeciwko ojczyźnie miłość i życzliwość *in veneratione* mieli, upadłego rzeczypospolitéj swéj filaru żałować muszą. Widzę naostatek i ciebie, bezecna zazdrości, która nie inaczéj, jedno jak cień za człowiekiem, tak za jego cnotą ustawicznie dybiesz, a ono i ty schniesz teraz od żalu, że już mu zajrzéć więcéj nie będziesz. Pojźrzawszy zaś na wszytkie strony i kąty téj korony, azaż zewsząd jednostajnego nie słychać narzekania: *Cecidit columen patriae mora fatorum?* Tak żałośne *voces* stoją mém zdaniem na tym pogrzebie za nie wiém jakie *praeficas*, które więc poganie dla pobudzenia w ludziach płaczu do takowych aktów przyspasabiać byli zwykli. Lecz pod słońcem nie masz nic trwałego, wszystko się kręci, jakaści to frasunków, to pociech mieszanina; znajdzie i największy żal słuszne *solatia* swoje, które teraz i nas potkać mogą. Wspomniawszy bowiem sobie, że lubośmy ciało tak wielkiego człowieka ziemi oddali, nie wszytkiegośmy jednak jéj powierzyli, co u nas w chowaniu i poszanowaniu było. Został po nim depozyt trwalszego i warowniejszego, a niżeli ten grób, schowania godzien, któremu nigdy nic nie uczyni w potomności ani sam szkodzący wszytkiemu czas, nic nieprzyjaciel ani przygoda, nic nie uczyni skazitelność żadna, nic ręka, ani zazdrość i złość ludzka. A tać to jest nie umiérająca pamięć cnót, spraw, postępków jego. Rzeczonoć jemu w prawdzie, jako kożdemu z nas człowiekowi: *Pulvis es, et in pulverem reverteris;* lecz cnotę wyżéj posadzono, która i *post funera vivit*, i nie czołga się po ziemi, ale się o niebo samo opiéra. Niech kto chce zważy wszytkie dni życia tego to księcia i senatora zacnego, zaraz przyzna, że po zejściu swém on żyje i żyć póty będzie, póki i ci ludzie, co mu się dziwowali, póki i te dowcipy, które próżnym od pochlebstwa, nienawiści postronném piórem narodom i potomnym wiekom poddadzą, rzekę daléj, póki pamięć sama, która aż z światem

zginie. Drudzy młodość sobie za igrzysko poczytają, on ją *ad seria* zaraz i *magna* obrócić chciał. Po odprawieniu nauk *multorum hominum vidit mores et urbes*, gdzie przypatrzywszy się wielkim i sławnym hetmanom, wojskom, udał się do dworu na obecną służbę j. k. m., gdzie tak wiele lat trawił z wielką domu swego ozdobą, co raz sobie większych przyczyniając przeciwko ojczyźnie i Panu Bogu zasług. Podała się okazya do Szwecyej, gdy się j. k. m. do ojczystego państwa brał, i on też nie chciał bez pana w ojczyźnie swéj zostać, szedł z nim za morze, a tam mu powinną wiarę i życzliwość oświadczał: podała się okazya do Multan, gdzie przeciwko Michałowi z wielkiéj pamięci Janem Zamojskim, kanclerzem i hetmanem koronnym prawie *flos* ludzi, paniąt polskich, na tę się był expedycyę wybrał: i on z bratem swym w kilkuset człowieka od ojca swego, bohatéra onego wielkiego i senatora wyprawiony z zawziętéj od przodków swoich do sławy ochoty, stawił się tam do usługi i ratunku ojczyzny. W onéj zaś nieszczęśliwéj zawierzusze domowéj nie tylko przy j. k. m. nie małym kosztem i zdrowiem stanął, ale też w mordowaniu *adversae partis* animuszów, siła *autoritate* na on czas jeszcze *aetatem superante*, siła zachowaniem i wymową swoją robił. Nie wspominam tu, jako po żałośnéj naszych klęsce był sam do wojska j. k. m. i na onę kommisyę wołoską zdrową radą i dobrym ludzi swych posiłkiem; nie wspominam, jako przeciwko Skinderbaszy jasny dał dokument, że mu dla całości i sławy ojczyzny żadne niebezpieczeństwa straszne, żadne koszty, niewczasy i trudy ciężkie nie były; nie wspominam, jako nieprzerwane trwało aż do ostatniego kresu w nim do usługi ojczyzny *studium*, iż świątobliwie to obserwował, kiedy jeno kolwiek wojska j. k. m. i rzeczypospolitéj przeciwko nieprzyjaciołom koronnym stawały, zawsze obok z niemi posyłał ludzi swych zacne pułki: tego zamilczéć nie mogę, skoro go cnoty i zasługi jego na najwyższe w téjże ojczyźnie naszéj świeckiéj wokacyej miejsce posadziły, zaraz przy tak wielkiéj godności wielkich prac wyglądał, które go nie minęły. Nie wiém dotąd zaprawdę, kto komu większy honor czynił, czy ten stołek jemu, czy on stołkowi. Widzieliście nie raz, moi mm. pp., jako się z niego na walnych sejmach więc zniżał, między młodszą bracią chodząc, a powagą, powinnością, perswazyą, prożbą swoją ich przywodząc do szczęśliwego i pożądanego publicznych konsultacyj skutku. I wierzę, że ten sam jego tak gorący, którysmy w nim wszyscy znali,

dobra powszechnego spólnéj ojczyzny *zelus* stanie na onym strasznym ostatnim sądzie przed Panem nieba i ziemi, nieprawościom jego, bez których jako człowiek nie był, ublaganiem wielkim. Nie chcąc żalu do żalu przydawać, nie będę się szérzył przypominaniem z ludźmi życia jego. Umiał on według czasu swego *senatoriam gravitatem* zachować, umiał i ludzkość oświadczać, umiał przyjaźni każdemu aż do téj, która go z nami rozłączyła, śmierci dochować. Zawsze u niego co w sercu, to w uściech; *candor et integritas* tam swoje pewne *domicilium* mieli: brzydził się wszelką w przyjaźni symulacyą, która pospolicie *pejor odio* bywa: miał téż wzajem przyjacioły, jakie sobie *parare* umiał, i bezpiecznie każdy mu mógł rzéc, co jednemu cesarzowi powiedziano: *Amicus es, nam et ipse amicos habes.* Owo zgoła, moi mm. pp., właśnie sobie tak z nim postąpiła natura, iż przedni fabryki swéj skończywszy kunszt, *manum e tabula sustulit.* Rozumieliśmy o téj robocie i pracy téj, że i im samym na podziw, i patrzącym na wizerunek od żadnéj ręki nie naruszona trwać długowiecznie miała; aliści (niestetyż!) śmierć niezbędna, która i *naturam* psuje, i fortunę najwyższą, kiedy chce, zdepce, śmiele rzuciwszy się na tak wspaniały ich budynek, obaliła go, i na większy żal przywaliła im wszytkę familią Zbaraskich: przykryła jedną w tymże kościele mogiłą dwóch prędko jednego po drugim rodzonych braci, ojczyzny dwoje *lumina*, dwoje *decora* wieku naszego.

Quicumque regno fidit, et magna potens
Dominatur aula, nec leves metuit Deos,
Animumque rebus credulum laetis dedit,
Me videat et te Troja.

Tak kiedyś ona królowa trojańska nad zburzoną Troją lamentując *ad rudera* ojczyzny swojéj, na pożałowanie i politowanie jéj ludzi zwoływała. Patrząc teraz na ten grób, rzekę i ja téż coś podobnego. Ktokolwiek jesteś, co szczęściu na zbyt ufasz, i w nim ustawicznie opływasz, co nadzieję w nadziejej pokładasz, a nie myślisz, *quid serus vesper vehat*, na ostatnie się koła, jako mówią, nie oglądasz, przystąp tu, a pojźrzy na dwie trunnie dwóch ostatnich Zbaraskich! Onić to Zbarascy, którycheśmy się napatrzyć nie mogli, onić to Zbarascy, którzy nie dawno w oczach naszych jako *robora* jakie *stant gemini fratres faeeundae gloria Matris.* A gdzież są? *Ecce nunc in pulvere dormiunt, et*

si mane hos quaesieris, non subsistent. O nieszczęście! jako często bywasz ludzkie szczęście! świecie nieświtny! toć płonne nadzieje, omylne obietnice, krótkie pociechy, zdradliwe pieszczoty twoje! Użal się dziś nad żałośném *spectaculum*, ktokolwiek jedno nie kamienne serce w sobie czujesz! Obejźrzyj się w niém, jako we zwierciedle, a poznaj, *quam fragili loco* i ty w niém stoisz! Nie dziś tylko, ale przez wszystkie dni żywota swego gorzko opłakiwać będzie książę jmć p. starosta krzemieniecki zeszcie z tego świata wuja i dobrodzieja swego: żal ten, który serce jego przeraża, zawsze z nim mowną z dobrodziejstw od nieboszczyka wziętych pamięcią zostawać będzie, a teraz ta w żalu ulga, iż patrzy na to zacne przy tym zasłużonym akcie ww. mm. pp. zgromadzenie.

I kogożby, mci księże kanclerzu koronny, nie uweseliła oraz i nie zniewoliła dobrotliwość i miłościwa łaska jego król. mci pana naszego, któréj oświadczenia i ten żałośny plac naleść, a w sercu swém królewskiém tak wielkiém i świeżym najjaśniejszego domu swego sierotom strapionym miejsce też dać raczył, i żalowi z śmierci wiernego senatora i sługi swego, uniżenie jego król. mci ks. jmć p. starosta dziękuje; dziękuje i ten, który tam już przed króla nad królmi *purissimam mentem* przyniósł, wiary swéj i życzliwości przeciwko jego król. mci, któréj zawsze doznawał jego król. mci i czas sam lepszą jeszcze pokaże, na złość złości ludzi zawisnych. Iż królewic jmć przy inszych wielu cnotach, krwi i urodzenia królewskiego godnych fortunę tak wielką swoję co raz to większą, wrodzoną ludzkością swoją czyniąc, oddawać to teraz przez wm., mci panie Lendzki, raczy *Manibus* całego sługi swego, co on za żywota zasługował, uniżenie jego król. mci jmć pan starosta dziękuje, zdrowiem i substancyą swoją, którą mu Pan Bóg przejźrzał, nagradzać będzie. Ludzkość to zwykła i zawzięty affekt przeciwko sławnéj pamięci książęcia jmci sprawuje, iż jmć ks. arcybiskup gnieźnieński, prymas ojczyznej naszéj, zeszłemu kolledze swemu, nie tylko *in senatoria dignitate*, ale i w obmyślaniu i pieczołowaniu o dobro spólnéj ojczyzny, i *post fata* jego oświadcza przez ww. mm. pp. na tym żałosnym akcie uprzejmość swoję nieodmienną: za co książę jmć wielce dziękuje. Dziękuje wielce i ww. mm., którzyście się sami stawiwszy, raczyliście *praestare* to chrześciańskie, przyjacielskie i ostatnie *officium*, tak wielkiemu w ojczyźnie i przyjaźni człowiekowi. Starać się o to ks. jmć chce, aby kożdemu z ww. mm. *sacrosancte* dotrzymając

amicitias wuja swego, na ww. mm. chęci i łaskę w pocieszniejszych da Pan Bóg okazyach zarabiać mógł.

12. Jan Chryzostom Pasek.

Jan Chryzostom Pasek, urodzony w okolicach Rawy, uczył się u tamtejszych Jezuitów; walczył pod Czarnieckim przeciw Szwedom, Siedmiogrodzianom i Moskwie; na schyłku panowania Jana Kazimiérza osiadł w Rawskiém, i chodził dzierżawami. Jan Kazimiérz i Jan III. lubili go. Umarł około r. 1690. — Rękopism po nim pozostały wydał Raczyński: *„Pamiętniki J. C. Paska w Poznaniu 1836.“* Dokładniéj jednak i staranniéj wydał te Pamiętniki Stanisław Lachowicz w Wilnie roku 1843.

Reszty rękopismu Jana Chryzostoma na Gosławcach Paska, deputata z powiatu lelowskiego na koło rycerskie za króla Michała Korybuta, a piérwéj towarzysza pancernego (1656—1688.), z exemplarza w ces. publ. bibliotece w Petersburgu znajdującego się spisane i wydane przez Stanisława Augusta Lachowicza. Wilno, nakład i druk Teofila Glücksberga, księgarza i typografa szkół białoruskiego naukowego okręgu, 1843.

1. Wyprawa do Danii.

Pod koniec sierpnia poszliśmy do Danii na sukurs królowi duńskiemu, który uczynił przeszkodę wojny szwedzkiéj w Polsce. Nie tak ci on podobno uczynił z użalenia nad nami, lubo ten naród jest zdawna przychylny narodowi polskiemu, jako dawne świadczą pisma, ale przecie mając wrodzoną przeciwko Szwedom nienawiść, i owe zawzięte w sąsiedztwie waśni, przy zdarzonéj zręczności, za którą mógł się krzywd swoich wtenczas, kiedy król szwedzki był zabawny wojną w Polsce, pomścić, wpadł mu z wojskiem w państwo, bił, scinał i zabijał. Gustaw, jak to wojennik wielki i szczęśliwy, powróciwszy ztąd, i niektóre fortece w Prusiech osadziwszy, potężnie zgnębił Duńczyków tak, że i swoje od nich odebrał, i państwo ich prawie wszystko opanował. Duńczyk tedy, koloryzując rzecz swoję, że to właśnie z życzliwości ku narodowi naszemu uczynił, że przymierze złamał i wojnę przeciwko Szwedom podniósł, prosi o sukurs Polaków, prosi téż i cesarza.

Król tedy nasz posyła Czarnieckiego z sześciu tysięcy wojska naszego. Posyła to w prawdzie z swego ramienia, jenerała Monteku-

kulego z wojskiem cesarskiém. Tam kazano nam iść kommonikiem, Wilhelm zaś, kurfirszt brandenburgski, był w osobie króla polskiego, i onto był nad temi wojskami jak gdyby zwiérzchnim wodzem. Zostawiliśmy tedy tabory nasze w Czaplinku, mając nadzieję powrócić do nich najwięcéj za pół roku.

Tam kiedyśmy wychodzili, było medytacyj bardzo wiele i różnych w ludziach wojskowych. Alterowało to nie jednego, że to iść za morze, iść tam, gdzie noga polska nigdy nie postała, iść z sześciu tysięcy wojska przeciwko temu nieprzyjacielowi do jego własnego państwa, któregośmy potencyi w ojczyźnie naszéj wszystkiemi siłami nie mogli wytrzymać. A jeszcze téż nie było postanowiono, żeby wojsko cesarskie miało z nami pójść. Ojcowie do synów pisali, żony do mężów, żeby tam nie chodzić, choćby zasług i pocztów postradać; bo wszyscy nas sądzili za zgubionych. Ojciec jednak mój, lubo mię miał jednego tylko, pisał do mnie i rozkazał, żebym imię Boskie wziąwszy na pomoc, tém się najmniéj nie konfundował, ale szedł śmiele tam, gdzie jest wola wodza pod błogosławieństwem ojcowskiém i macierzyńskiém, obiecując gorąco majestatu Boskiego suplikować, i upewniając mnie, że mi i włos z głowy nie spadnie bez woli Bożéj. Gdyśmy tedy poszli do Cieletnic i do Międzyrzécza już na granice, uchodziło siła kompanij i czeladź nazad do Polski, osobliwie Wielkopolaczków zpod tych nowozaciążnych powiatowych chorągwi, jakoto: starosty osieckiego pułku, i wojewody podlaskiego, Opalińskiego: Kozubskiego chorągiew wszystka się rozjechała, sam tylko z chorążym i z jednym towarzyszem z nami poszedł; wojewody sandomirskiego, Zamojskiego chorągiew huzarska została. Wszystka kompania, szczérze mówiąc, pouciekała; tylko przy chorągwi sześciu towarzystwa a namiestnik zostawszy, poszli przecie z nami, i włóczyli się tak przy wojsku; zwaliśmy ich cyganami, że to w czerwonych szatach była czeladź. Zpod inszych chorągwi zostało po dwóch, po trzech. Takowi tchórzowie i dobrym pachołkom serce byli zepsuli, że nie jeden wodził się z myślami. Wchodząc tedy za granicę, każdy według swojéj intencyi swoje Bogu poślubił wota. Wchodząc tedy już za granicę, zaspiéwało wszystko wojsko polskim trybem: „O Gospodzie uwielbiona!“ Konie zaś po wszystkich pułkach uczyniły okrutne parskanie, prawie aż serca przyrastało, i wszyscy to sądzili bydź dobrą wróżbą: jakoż i tak się stało. Poszliśmy tedy tym traktem od Międzyrzécza; przechodziło wojsko pagórek, z którego widać było

jeszcze granicę polską i miasta. Jakitaki obejrzawszy się pomyślił sobie: „Miła ojczyzno! czy cię też już więcéj oglądać będę!“ Obejmowała jakaś tęskność zrazu, póko blizko domu, ale skorośmy się już za Odrę przeprawili, jak ręką odjął; a daléj odszedłszy, już się i o Polsce zapomniało. Przyjęli nas tedy Prusacy dosyć uczciwie, wysławszy kommissarzów swoich jeszcze za Odrę. Piérwszy tedy prowiant dano nam pod Kiestrzynem, i tak dawano wszędy, pókośmy kurfirstowskiego państwa nie przeszli, i przyznać to, że dobrym porządkiem, bo już była taka ordynacya, żeby noclegi były rozpisane przez całe jego państwo, i już na noclegi zwożono prowianty. Gdyż postanowiona była w wojsku naszém maniera niemiecka, że przechodząc miasta, i na każdéj prezencie oficerowie z szablami dobytemi przed chorągwiami jechali, towarzystwo zaś pistolety, czeladź bandolety do góry trzymając. Karanie zaś było za excessy już nie scinać, ani rozstrzélać, ale za nogi u konia uwiązawszy, włóczyć po majdanie tak we wszystkiém, jak kogo na excessie złapano, według dekretu, albo téż dwa lub trzy razy nakoło; i zdało się to zrazu, że to nie wielkie rzeczy, ale okrutna jest męka, bo nie tylko suknie, ale i ciało tak odpada, że same tylko zostaną kości.

Ruszyło się potém wojsko do Nibolu, ztamtąd do *Apenrade;* ztąd znowu poszliśmy na zimowisko do *Haderschlewen*, gdzie wojewoda sam stanął z samym tylko pułkiem naszym królewskim i regiment jego dragonii, insze zaś pułki w Kolbryku (Koldingu) w *Horsenz* i po inszych wsiach i miasteczkach; a lubo głębiéj miało iść wojsko w Duńskie królestwo, ale uważał to regimentarz, żeby stanąć na zimę jako najbliżéj z téj racyi, aby przecie więcéj jeść chleba szwedzkiego, niżeli duńskiego. Jakoż tak było, bo przez całą zimę czaty nasze do tamtych wiosek wybiegali, i mścili się na nich krzywd narodu: a pisaćby siła, co tam z nimi robili czatownicy nasi, stawiając sobie przed oczy świeżą od nich krzywdę w ojczyźnie swojéj. Prowadzono z czat wszelakich prowiantów wielką obfitość, bydeł dosyć, owiec; dostał kupić wołu dobrego za bity talar i dwie marki duńskie: miodów przaśnych wielką wieziono obfitość, bo po polach ladagdzie przestronne pasicki, a wszystko pszczoły w słomianych pudełkach, nie w ulach: ryb wszelakiego rodzaju podostatkiem, chleba siła, wińsko złe, ale zaś petercymenty i miody dobre. Drew o małe; ziemię rzniętą a suszoną palą, z któréj węgle będą takie, jak z drew dębowych, i nie mogą być foremniejsze: jeleni,

zajęcy, sarn nad zamiar, i nie bardzo płoche, bo się go nie każdemu godzi szczwać: wilków też tam nie masz, i dla tego zwierz nie płochy, da się zjechać i blizko do siebie strzelić, a osobliwie takeśmy ich łowili. Upatrzywszy stado jeleni w polu (bo to i nad wieś przychodziło to licho jako bydło), to się ich objechało z téj strony od równego pola, a potém skoczywszy na koniach i krzyk uczyniwszy, nagnało się je na te doły, gdzie ziemię kopią do palenia, a są te doły bardzo głębokie i szerokie: to tego napadało, w doły. To dopiéro ich ztamtąd trzeba było wywłóczyć a rznąć. O wilkach namieniłem, że ich tam nie masz, bo prawo takie, że kiedy wilka obaczą, powinni wszyscy na głowę wychodzić z domów tak po miastach, jako też i wsiach, i tak długo owego wilka prześladując gonią, aż go albo umorzą, albo utopią, albo złapają; to go nie odzierając, tak ze wszystkiém na wysokiéj szubienicy, albo na drzewie obwieszą na grubym żelaznym łańcuchu, i tak długo wisi, póko kości staje. Nie tylko rozmnożyć, ale i przenocować mu się nie dadzą, kiedyż mu się zdarzy wniść na jeleninę, z tego tu tylko przystępu, który jest między morzami wązki; z inszéj zaś strony nie ma nigdzie przystępu, bo jedną stroną morze Baltyckie, a drugą stronę od północy Ocean oblewa to królestwo. Z tamtych wszystkich stron wilk nie ma przystępu, chyba żeby sobie w Gdańsku u pana prezydenta najął smagę do przewozu, zapłaciwszy od niéj dobrze. Z téj racyi zwierza wszelkiego wielka tam jest obfitość; kuropatw zaś nie masz z téj racyi, że to jest głupie, przelęknąwszy się lada czego, to spadną w morze i utoną.

Vivenda jego ucieszna bardzo, bo rzadko co ciepłego jedzą, ale na cały tydzień różne potrawy w kupie uwarzywszy, tak na zimno tego po kęsu zażywają, a często nawet kiedy młócą (bo tak tam białogłowa młóci cepami, jako i chłop), ledwo nie za każdym snopa omłóceniem, to posiędą na słomie, i wziąwszy chleba i masła, które zawsze z jaszczem stoi, to smarują i jedzą, to znowu wstaną i robią, i tak to często czynią, a po kąsku. Wołu, wieprza, albo barana kiedy zabiją, to najmniejszéj kropli krwi nie zepsują, ale ją wytoczą w naczynie, namięszawszy w to krup jęczmiennych albo tatarczanych, to tém kiszki onego bydlęcia nadzieją i razem w kotle uwarzą, i osnują wieńcem na wielkiéj misie koło głowy owegoż bydlęcia te kiszki, i tak to na stole stawiają przy każdym obiedzie, i jedzą za wielki specyał; nawet i w domach szlacheckich tak czynią, i mnie częstowano tém do uprzykrzenia. Pie-

ców w domach nie mają, chyba wielcy panowie, bo od nich wielki podatek na króla idzie, powiedali, że sto bitych talarów od jednego na rok. Ale kominy mają szérokie, przy których krzesełek stoi tak wiele, ile w domu osób; to się tak ogrzéwają posiadłszy, albo też dla lepszego izby zagrzania w środku izby jest rowek jako korytko; to go węglami napełniwszy, rozedmą z jednego końca, i tak się to żarzy i ciepło czyni. Kościoły tam bardzo piękne, które przedtém bywały katolickie.

Tam będąc w Danii znosił się z nim (kurfirsztem brandenburskim) wojewoda często, gdyż on był w osobie króla polskiego, i miał komendę jako nad naszém, tak i nad cesarskiém wojskiem, którego było 14.000 z jenerałem Montekukulim, a z nim było Prusaków 12.000. Aż tam już radzą, jako się podszańcować, jako mury rąbać. A czém rąbać, nie wspomnieli; a siekiéry kędy? Dopiéro strażnik kazał zaraz Wołoszy zpod chorągwi, żeby się rozjechali po wsiach o mil dwie albo trzy o przyczynie siekiér. Jeszcze nie świtało, a już 500 siekiér na kupie nakładzono. Skoro tedy zégary poczęły bić i z północka kazano trąbić pobudkę, sam wstał małoco spiąc, owe siekiéry kazał podzielić między chorągwie i piechotę; w godzinę po pobudce, kazał otrąbić, żeby byli gotowi do szturmu za godzinę, i żeby snopy każdy niósł przed sobą na piersiach dla postrzału od ręcznéj strzelby; ażeby wszyscy wraz skoczywszy pod mury, jako najlepiéj przycisnąwszy się do muru, żeby z góry nie rażono, a drugim odstrzeliwać. Skoro tedy świtać poczęło, podemknęło się wojsko bliżéj pod miasto. Ja też dopiéro do księdza. Rzecze mi potém: „Pan porucznik Charlewski prosi cię z ochoty do przywodzenia czeladzi.“ „Niechże tam już oni idą, a waść zostań,“ odpowiem. „Już to wszyscy słyszeli żeś mię wpan prosił; rozumiałby kto o mnie, że ja się lękam: pójdę!“ Jakeśmy z koni zsiedli, aż też zsiada Kossowski Paweł i Łącki. Było nas tedy przy czeladzi zpod naszéj chorągwi pięć, ale po staremu komenda przy mnie była; bo mi już była oddana, póko owi starsi żołniérze nie namyślili się na ochotę. Oddawszy się tedy Boskiéj i jego Najświętszéj Matki protekcyi, każdy swoje z osobna jego ś. majestatowi poślubiwszy wota, z kompanią się też już tak właśnie jako na śmierć pożegnawszy, stanęliśmy już osobno od konnych. Ksiądz Piekarski, jezuita uczynił do nas exortę. Mówił potém z nami akt skruchy i wszystkie cyrkumstancye te, co się zachowują z owymi, którzy już pod miecz idą. Przystąpiwszy się ja do niego bli-

żéj, i mówię: „Proszę ja téż, mój dobrodzieju, o osobliwe błogosławieństwo.“ Scisnął mię z konia głowę i błogosławił, a zdjąwszy z siebie relikwie, włożył na mnie, mówiąc: „Idźże śmiele! nie bój się.“ Ksiądz Dąbrowski, téż jezuita, także od inszych pułków jeździ, prawie więcéj płacze niżeli mówi; bo taką miał wadę, choć był nie zły kaznodzieja, że jak co począł mówić, rozpłakał się i nie skończył kazania.

A tymczasem powraca trębacz do Szwedów posłany, częstując ich parolem: „Jeżeli chcecie, czyńcie z nami, co wam fantazya każe kawalerska; my téż także, jakeśmy się was w Polsce nie bali, tém bardziéj i tu się nie boimy.“ A potém zaraz i strzélać poczęli. Lekce bo nas ważyli, widząc że działka i jednego nie mamy, piechoty tylko jeden regiment, a Piaseczyńskiego cztéry szwadrony i Semonow trzysta, ale bardzo dobrych. Na konnych oni mówili, że to ludzie do szturmów nie zwyczajni: pójdzie to w rosypkę, jak raz ognia dadzą, bo tak sami więźniowie powiedali. Każdy z pachołków trzyma ów snop słomy przed sobą, towarzystwo zaś w pancerzach tylko, niektórzy téż z kalkanami *): a wtém przyjéżdża wojewoda, i mówi: „Niechże was Bóg ma w swojéj opiece i imię jego święte! Ruszajcież, a jak się przez fosę przeprawicie, skoczcież pod mury we wszystkim biegu, bo już wam pod murami nie mogą tak szkodzić.“ Że nam tedy duchowni kazali to ofiarować na pamiątkę jutrzni, bo to samém było świtaniem w dzień Narodzenia Pańskiego, zacząłem ja z owymi, co w mojéj komendzie byli: „Już pochwalmy króla tego.“ Wolski także Paweł, który potém był starostą lityńskim, towarzysz natenczas królewskiéj pancernéj chorągwi, co także swojéj chorągwi czeladź przywodził, kazał toż spiéwać. Tak Bóg dał, że zpod tych chorągwi i jedna dusza nie zginęła, a u inszych, co nie spiéwali, powytykano dziesięcinę. Skorośmy tedy do fosy przyszli, okrutnie poczęli parzyć owe snopy słomy. Już się czeladzi trzymać uprzykrzyło, i poczęli je ciskać w fosę; jakitaki obaczywszy u piérwszych, także to czynił, i wyrównali ową fosę tak, że już daleko lepiéj było przeprawić się tym, co na ostatku szli, niżeli nam, cośmy szli w przodzie z pułku królewskiego; bo źle było z owemi snopami drapać się do góry po śniegu na wał. Kto jednak swój wyniósł, pomagał, i znajdowano w nich kulę, co i do połowy nie przewierciała. Wychodząc tedy z fosy, ka-

*) kalkan wyraz turecki: tarcz.

załem ja swoim wołać: „Jezus, Marya!“ lubo insi wołali: hu, hu, hu! Skoczyliśmy tedy we wszystkim biegu pod mury, a tu jako grad lecą kule! a tu jakitaki stęknie, jakitaki o ziemię się uderzy! Dostało mi się tedy z moją watahą, że przy srogim filarze albo raczéj narożniku było jakieś okno, w którém srodze gruba żelazna krata: zaraz tedy przed ową kratą kazałem mur rąbać na odmianę: ci się zmordują, a ci wezmą. Było zaś na drugiém piętrze nad nami także takie okno z takąż kratą; z tamtego okna strzelano do nas, ale tylko z pistoletów, bo z długiéj strzelby nie mógł strzelić do nas i wysadzić się nijak dla owéj kraty; chyba tam do dalszych mógł strzelać. Jam też kazał do góry nagotować pietnaście bandoletów, i jak rękę wytknie, wraz dać ognia. I tak się stało, aż zaraz i pistolet na ziemię upadł. Nie śmieli tedy już więcéj rąk pokazować, ale tylko kamienie wypychali na nas przez ową kratę; ale przecie już się tego było snadno uchronić, niżeli kuli. Tymczasem jak rąbią, tak rąbią mur, i naokolusieńko nie wiedzieć, gdzieby Szwedom ręce wrazić. Kiedy już końce owéj kraty widać, radziśmy, bo tu już grad kul na nas nie pada; roskoszby co prędzéj wniść pod dach, ale że nie było czém owéj kraty wyważyć, musieli jeszcze daléj rąbać. Skoro już mógł się jeden zmieścić, aż ja każę czeladzi włazić po jednemu. Wolski, jak to chłop chciwy, żeby to wszędy być wprzód, rzecze: „Wlézę ja.“ Tylko wlazł, a Szwed go tam za łeb. Krzyknie. Ja go za nogi, tam go do siebie zapraszają; my go też tu nazad wydzieramy; ledwieśmy chłopa nie rozerwali. Woła na nas: „Dla Boga! już mię puśćcie, bo mię rozerwiecie!“ Krzyknę ja na swoich: „Dajcie w okno ognia!“ Włożyli tedy kilka bandoletów w okno, dali ognia; zaraz Szwedzi Wolskiego puścili. Dopiéroż my po jednemu owém oknem leźli; już nas tam było z półtorasta. Tymczasem idzie kilka rot muszkieterów, coto znać ztamtąd uciekli; już prawie wchodzą do sklepu, aż tu dadzą ognia w kupę; padło ich sześciu, drudzy w nogi na dziedziniec. Wychodzimy tedy sobie szczęśliwie ze sklepu, i staniemy szeregiem w dziedzińcu, a tu coraz więcéj ową dziurą przybywa. Obaczywszy nas w dziedzińcu, dopiéro poczęli trąbić i chorągwią białą wywijać, co jest znak proszenia o miłosierdzie: odmieniwszy w krótkim czasie zwyczaj narodu swego, co powiadali, że nie prosimy kwateru. Z kupy tedy rozchodzić się nie dam, póki nie obaczę generalnéj konfuzyi nieprzyjacielskiéj. Wolski także swoim.

W dziedzińcu nie masz nic, bo wszyscy ludzie porozsadzani. każdy swojéj pilnował kwatery. Aż tu widać po wschodach z tych pokojów, gdzie sam był komendant, że schodzą na dół muszkieterowie. Mówię do swych towarzystwa: „A nąż mamy gości!“ Kazaliśmy tedy stanąć czeladzi szeregiem, nie kupą, tak jakoby miesiącem, bo nie tak razi szeregiem, jak w kupie; a kazaliśmy razem po wydaniu piérwszego ognia zaraz wziąć na szable. A tam w wojsku muzyka trąbi, w kotły hałas, grzmot, krzyk. Wychodzą tedy w dziedziniec, i zaraz stawają do ordynku, my téż do nich postępujemy, już tylko ognia dać do siebie. A tymczasem z tych pokojów, co przy bramie, poczną uciekać, bo się już był Tetwin oberszterlejtnant z dragonią złamał. Skoczymy tedy na tych, co nam w czole. Dadzą ognia: z obu stron padło, i tam téż wzięliśmy ich na szable; wpadło ich kilku na wschody, zkąd przyszli, drugich zaraz lewém skrzydłem przerznięto od wschodów: muż siéc. Co tam uciekają przed Tetwinem, prawie jako pod smycz nam przychodzą; jako tedy tych, tak i tamtych położyliśmy mostem. Dopiéro co żywo z naszego rycerstwa w rosypkę, w rabunek po pokojach; po tych tam kątach zamkowych biorą, scinają, gdzie kogo zastaną, i zdobycz wynoszą. A Tetwin téż wchodzi z dragonią, rozumiejąc, że on tam do zamku najpiérwszy wszedł: trupa leży gwałt, a nas tylko z pietnaście stoi towarzystwa, bo się już od nas porozbiegali. I żegna się mówiąc: „A tych ludzi kto narznął, kiedy was tu tak mało?“ Odpowiedział Wolski: „My, ale i dla was będzie, ono wyglądają z wieży.“ A wtém prowadzi tłustego oficera młody wyrostek. Ja mówię: „Daj sam, zetnę go.“ On prosi: „Niech go piérwéj rozbiorę, bo suknie na nim piękne, pokrwawią się.“ Rozbiéra go tedy, aż przyszedł Adamowski, krajczego koronnego towarzysz Leszczyńskiego, i mówi: „Panie bracie! gruby ma kark na wmci młodą rękę, zetnę ja go.“ Targujemy się tedy, kto go ma scinać, a tymczasem wpadli do sklepu, w którym były prochy w beczkach: pobrawszy insze rzeczy, biorą téż i prochy w czapki, w chustki, kto w co ma. Dragon zdrajca przyszedł z lontem, bierze téż proch, jakoś iskra dopadła. O Boże wszechmogący! kiedy to huknie impet, kiedy się mury poczną trzaskać, kiedy owe marmury, alabastry latać! A była tam wieża na samym rogu zamku nad morzem, na któréj wiérzchu dachu nie było, tylko płaską cyną wszystka pokryta tak, jako w izbie posadzka: rynny dla spływania wód mosiężno-złociste, a wkoło tego

balasy i statuy, także na rogach takież z mosiądzu, a grubo złociste; miejscem też osoby z białego marmuru, takie właśnie, jakoby żywe. Bo lubom ich tam całych zblizka nie widział, ale po rozrzuceniu przypatrywaliśmy się, a jednę zrzuciły prochy całą nienaruszoną na tę stronę ku wojsku, która właśnie taka była, jak kobiéta żywa, do któréj na dziwy się zjéżdżali.

Na téj wieży albo raczéj sali królowie uciechy swoje miéwali, kolacye jadali, tańce i różne odprawowali rekreacye, bo jest w ślicznym bardzo prospekcie: może z niéj wszystkie prawie królestwa swego widzieć prowincye, ale i część Szwecyi widać. Tam na tę wieżę komendant i wszyscy, co przy nim byli, uciekli, i ztamtąd o kwater, lubo nie rychło, prosili, co mogliby byli otrzymać, ale te prochy, które wprost pod tą wieżą zapaliły się, wyniosły ich bardzo wysoko, bo wszystkie owe porozsadzawszy piętra, jak ich wziął impet, to tak lecieli do góry, przewalając się tylko między dymem, że ich okiem pod obłokami nie mógł dojrzéć; dopiéro zaś impet straciwszy, widać ich było lepiéj, kiedy nazad powracali, a w morze jako żaby wpadali.

Miły Boże! jakie to sprawiedliwe sądy twoje! Szwedzi naszym Polakom tak wyrządzili w Sandomiérzu, zasadziwszy miny zdradziecko w zamku; a tu sami na się tę zbudowali samołówkę; bo im to nasi nie z umysłu uczynili, ponieważ i samych tenże przypadek pożarł ze dwunastu. Nie wiedziano tedy, kto tam z naszych zginął, ale się tylko dorozumiéwano, kiedy ani żywego, ani zabitego nie znaleziono. Widzieli to widowisko królowie obaj, duński i szwedzki, widziały wszystkie wojska cesarskie i brandeburgskie, ale rozumieli, że to Polacy tryumf jakiś czynią na cześć Bożego Narodzenia. Radziejowski tedy i Korycki powiadali królowi szwedzkiemu, przy którym jeszcze natenczas byli, że to coś inszego: nie masz tego u Polaków w zwyczaju, tylko na Wielkanocne święta. Po owéj szczęśliwéj wiktoryi, zrobiwszy tę robotę prawie we trzech godzinach, zaraz tam osadził na téj fortecy wojewoda kapitana Wąsowicza z ludźmi. Poszliśmy nazad, każdy do swego stanowiska, bo trzeba było w tak wielką uroczystość mszy świętéj słuchać. Mieliśmy księdza, ale nie było apparatu: jeno cośmy w lasy weszli, aż księdzu Piekarskiemu wiozą apparat, po który był nocą wyprawił. Tak tedy stanęło wojsko, nagotowano do mszy na pniaku ściętego dębu, i tam odprawiło się nabożeństwo, napaliwszy ogień do rozgrzéwania kielicha, bo mróz był tęgi. *Te Deum laudamus*

spiéwano, aż się po lesie rozlegało. Klęknąłem księdzu Piekarskiemu służyć do mszy, ucieszony ubiéram księdza, aż wojewoda rzecze: „Panie bracie! przynajmniéj ręce umyć.“

2. Trwoga przed bitwą pod Lachowcami.

Wyprawiono Skrzetuskiego na podjazd z komenderowanemi ludźmi, po dwóch towarzyszów z pod chorągwi; bo téż już były wiadomości, że Moskwa zbiła się już bliżéj ku nam. Poszedł tedy podjazd, i potkał się z chorągwią Horskiego: chorągiew moskiewską bardzo okrytą zagarniono. Powracając tedy nazad, obawiali się tedy pogoni: szli całą noc. Skoro téż już oddniało, stanęli pode wsią, na łąkach konie paśli, sami téż jako zturbowani, co żywo do spania, Moskwę wartą dobrze opatrzywszy. Był tedy dwór szlachecki nad rzéką blizko. Pojechało tam kilka czeladzi, chcąc się pożywić; chcieli tam coś wziąść gwałtem, nuż po sobie uczyniwszy hałas, strzélanie; podjazd się potrwożył, rozumiejąc, że Moskwa u koni już jest, aleć potém dowiedzieli się, co jest. Wolski Łukasz, Rawianin, towarzysz krajczego koronnego, porwawszy się ze snu, jak dopadł konia, tak téż zaraz i w rzékę prosto skoczył, a przepłynąwszy, że się i rozespał, i bojaźliwego był serca, (boto drugi nie porachowawszy się ze swoją fantazyą, zaciągnie się do wojska, a podobniéj żeby w domu kury sadził, a kanię od kurcząt odganiał) nie obejrzawszy się, co się dzieje, skoczył w las, i przyjechał dwiema dniami przed podjazdem. Potrwożył wojsko okrutnie.

Pozbiegaliśmy się tedy co żywo do wojewody, i on téż przyszedł uczynić relacyę. Pyta go wojewoda, co się tam stało. Ów prawi jeszcze na większy żal, jako byli nabrali Moskwę ze trzysta, jako chorągiew ze wszystkiém zagarnęli, jako mieli wielkie zdobycze, a potém przyszła pogoń, zastała spiących, obskoczyli i wycięli w pień, drudzy się w rzéce popasali, potopili. Pyta wojewoda: „A Skrzetuski czy żywcem wzięty?“ On mówi, że na oczy swoje widział, kiedy Moskwicin do niego strzelił, a potém go sciął, „to stałem długo przepłynąwszy rzékę, widziałem że nikogo żywcem nie puszczono.“ Jam nie mógł wytrwać i mówię: „A ciebie czemu nie zabito?“ Wojewoda się na mnie otrząsnął: „Dajcie pokój!“ Ale sam go pyta: „Jakoś uszedł?“ Odpowié: „Bom nie spał, do tego konia trzymałem w ręku, i zaraz uderzyłem wpław, jednak strzélano za mną kilkanaście razy, Pan Bóg jednak

zachował mię.“ Pyta: „Co za potęga mogła być tamtego podjazdu?“ Powie: „Nie podjazd to, mości dobrodzieju, ale wszystka potęga Chowańskiego, bom widział, wszystko prawie wojsko okryło pola, jako obłok, drugie pułki jeszcze się zza góry pokazowały: i szlachcica napadłem uchodzącego, który też powiedział, że ze wszystką potęgą Chowański idzie. Zalteruje się wojewoda, ale nie pokazuje po sobie, mówi: „Pan Bóg z nami! nic to, panie strażniku, kazać otrąbić, żeby zaraz stada sprowadzono.“ Tu trąbią, tu w obozie krętwa sroga, stada o kilka mil od obozu prawie każdéj chorągwi osobno. Tu każdy nos zwiesił, myśląc sobie piérwsze nieszczęście. Wolskiego pytają każdy o swego towarzysza: powiada, jaką który śmiercią ginął. Owo zgoła pełno strachu, żalu i konfuzyi.

Poszliśmy do chorągwi, każdy, koło siebie czyniąc porządek, do stad co żywo leci i na koniach i piechotą. Przyjdę, aż mój czeladniczek mego siodła rumaka. Pytam: „A to na co?“ Odpowie: „Po konie pojadę.“ Kiedy goto obuchem zajadę: „Poganinie! droższe moje zdrowie, niżeli wszystkie konie: albo tam nie masz trojga czeladzi przy koniach: będą insi swoje brać, pobierą téż i moje, a ja tu kona u koła trzymam od wielkiéj potrzeby, a kiedy co napadnie, a ty mnie i tego weźmiesz?“ Rozporządziwszy u siebie, poszedłem znowu do wojewody. Idę, minę bazar, aż Wolski u Ormianina waży łyżki srebrne zdobyczne. I mówię mu: „Panie Łukaszu! a nasz Jaworski czy nie uszedł też? bo on przecie zawsze ostrożny i na dobrym koniu.“ Aż on powieda: „Jako waszeć ucho swoje widzisz, tak już waszeć obaczysz pana Jaworskiego.“ Mówię: „Dla Boga! panie Łukaszu, czyś téż nie omylił, albo jakim sposobem nie odłączył się od podjazdu bo ja wiém, żeś ty dawno wicher?“ Począł znowuż toż potwierdzać, co i piérwie, zwierzać się oraz i gniewać. Dałem pokój i idę do namiotów, aż ksiądz Piekarski „Stój!“ rzecze, „zła nasza, panie bracie!“ Ja rzekę: „Panie bracie! pamiętajże wasze, że w tej Wolskiego relacyi połowy prawdy nie masz, bo ja naturę jego znam, że rad klimkiem rzuci.“ A wtém wojewoda wynidzie z namiotu, brodę kręci, aż jużto był znak alteracyi, albo gniewu. Przymknąwszy się do księdza Piekarskiego, rzecze: „O czém że?“ Powié mu ksiądz moje słowa. On do mnie: „Aza tę ma przywarę?“ Powiem, że to natura taka jego jest, i ojca jego, który jest poborcą pańskim; nawet w szkołach nazywaliśmy go jenerał *nugator*.“ Uderzy się wo-

jewoda ręką po axamicie, i rzecze: „A toż i ja tegoż zdania, bo jeżeli ich podjazd dognał, nie podobna, aby ich miał tak osaczyć, żeby mieli wszyscy zginąć, ale żeby wszystka potęga, to nie podobna, bo ja mam wiadomość, że dopiéro jutro ostatniemi siłami na szturm do Lachowiec gotowali się, i dopiéro im drabiny i insze rekwizyta zwożono, bo wszystko to byli potracili u piérwszych szturmów.“ Zaraz go potém kazał wołać, aż mu mówi jeden: „Bracie! czy się waszeć nie omylił? gardłowa sprawa wojsko potworzyć.“ Rzecze: „Zdrowie moje, szyja moja, jeżeli się inaczéj pokaże.“ Tak tedy między nadzieją i trwogą od samego rana całe wojsko jako powarzone. Stada, które bliżéj były, sprowadzają, drudzy bez swoich tęsknią, wyglądają, chorągwie ordynują na podjazd, aż się zemknęło ku wieczorowi. Zachodzi tedy słońce, aż widać z tamtéj strony kogoś. I mówię: „A noż mamy języka!“ Nie poznali go, bo i bachmat zdobyczny, i w kołpaku moskiewskim z perłami. Bieży przez majdan, pomija chorągwie a woła: „Musztułuk, musztułuk!*).“ Wypadają do niego, pytając go, czy dobry, czy zły. Rzekł przecie Polanowskiego mijając. Kiedyto co żywo na wyścigi za nim, aż on prawi samę rzecz przed wojewodą, że jutro da Pan Bóg komendant nasz z obfitszym, niżeli jest wysłany, gronem kłaniać będzie wmci panu, i chorągiew nieprzyjacielską rzuci pod nogi; w jednym tylko terminie mamy szkodę, żeśmy stracili w téj okazyi wielkiego kawalera, towarzysza jmci pana krajczego koronnego. Rzecze wojewoda: „Niechże będzie imie Boskie pochwalone! tego towarzysza nie straciliście, ale jutro go dopiéro stracicie. Biegajcie po niego.“ Krajczy stoi. Porucznik jego Skoraszewski, jakoby mu policzki wyszczypował. Wzięli pana Wolskiego w kajdany. I takto owa okazya wesoła i miła była z podwójnéj przyczyny, jedna, że piérwszą okazyę tak Pan Bóg pofortunił, druga, że owych, których jużeśmy byli odżałowali, obaczyliśmy zdrowych, a nad wszystko że już tak nadzieja jakaś nas delektowała. Chciano tedy Wolskiemu koniecznie szyję uciąć. Nawet go nikt z Rawianów nie nawiedzał, i wstydziliśmy się za niego. Przysłał do nas prosząc o instancyę, żaden się w to nie chciał wdać: jeden tylko ksiądz Piekarski a Skoraszowski, jego porucznik, ci go urodzili, że go przecie nie sądzono, ale kazano mu zaraz z wojska jechać, i nie powiedać się nigdy, żeby kiedy służył w dywizyi Czarnieckiego.

*) albo munsztułuk, nagroda, podarek. (Linde.)

Przyszedł tedy podjazd szczęśliwie nazajutrz po owym przysłanym towarzyszu: wchodził do obozu z tryumfem, niosąc rozwinioną chorągiew nieprzyjacielską, i pędząc przed sobą powiązanych więźniów kupę tylą prawie, jako i samych było. Gdy prezentowali więźniów, naszło się wojskowych siła do regimentarza, i jam też był. Jak już po owéj ceremonii stoję tak przy namiocie z Jarzyną Rafałem, z Rawianinem, aż wojewoda mówi: „Rozumiałem, że wszyscy Rawianie dobrzy pachołcy, aleć też widzę są i kpi.“ Ja się ozwę: „Tylko się to tu w jednéj familii panów Wolskich znajduje.“ A Wolskich stoi dwóch, grzecznych ludzi, Paweł, co był starostą potém lityńskim, i drugi co go zwano Odlewany. Wolski zpod królewskiéj chorągwi zaczął się ruszać. Aż wojewoda rzecze: „Do mazowieckich Wolskich on mówi, a wyście ruscy, a insi są rzymscy, o których pisze Owidyusz: *Saevit atrox Volscus.* Toto znać ruscy i włoscy Wolscy to dobrzy pachołcy, ponieważ ich nazywają *atroces*, a rawscy Wolscy kpi; nie ujmujcie się za nimi. Ale przecie pana Paska od dzisia będę miał za dobrego metra ludzkiéj natury, kiedy on z Wolskiego wyczytał wszystkę nieprawdę.“ Potém się żartami dyskurs skończył. Więźniów kilka posłano królowi.

Skoro tedy od Sapiehy, hetmana litewskiego przyszła wiadomość, że też już wojsko litewskie wymondorowało się jak mogąc, zaraz i my ruszyliśmy się, i poszliśmy tym traktem ku Mścibowu. Chowański też, hetman moskiewski poszedł ku nam ze wszystką potęgą, któréj miał 40,000, zostawiwszy pod Lachowcami ludzi coś nie wiele, żeby obozu pilnowali, i fortecę przecie, któréj już tak długo dobywali, żeby nie przestali atakować, i żeby jéj nie dawali odetchnąć; bo obiecował sobie ją zaraz wziąść za powrotem z imprezy, nas wprzód rozgromiwszy, i szedł właśnie tak, jako wilk na stado owiec; bo już się tak był zaprawił na Litwie, że już zawsze do nich szedł jak na pewną wygranę. Posłał tedy Naszczokina, drugiego hetmana kilką mil przed sobą z pięciu tysięcy ludzi wybornych, żeby się z nami powitał. W wigilią tedy ŚŚ. Piotra i Pawła zetknęły się z naszą przednią strażą, która że nie była tak mocna, jak on podjazd moskiewski, posłali do wojska dając znać o nieprzyjacielu, że go już widzą na oko. A wtém Moskwa impetem na nich skoczyli. Niżeli tedy chorągwie i ochotnik przyszli, w srogim opale była przednia straż, ale przecie potężnie ich wspiérali. Już było trupa i z téj stro-

ny, i z téj potrosze, aż dopiéro skorośmy przyszli, obróci się na nas połowa Moskwy, a drudzy już tam z przednią stroną konkludują. Potężnie się tedy uderzy, chcąc nas piérwszym swoim skonfundować impetem, aleśmy wytrzymali, lubo kilkanaście z koni spadło. Kiedy widzą, żeto i tu opiérają się mocno, już drugie starcie nie tak żywi pokazali. A wtém wychodzi z chojniaków chorągiew Tuczyńskiego i Antonowicza tatarska 200 koni, i zaraz wyszedłszy ryścią idą. Moskwa zaraz poczęli się mieszać, my téż natrzemy. Nuż w nich! złamaliśmy ich zaraz: dopiéro wziąwszy na szable już rzadko kto i strzelił, jeno tak cięto. Ostatek ich skoczyło w ucieczkę. Dopiéroż w pogoń dojeżdżano, a bito. Wtém zaszło słońce, wojsko téż nadeszło, i to zaraz na owém stanęło pobojowisku. Tak tedy przez całą noc konie w ręku trzymali, dwa pułki w placowéj straży postawiwszy.

Litwa téż tudzież o nas stanęli, których było 9,000 z wielkim hetmanem Buatem Sapiehą (Sapieją), a Gąsiewski, natenczas polny hetman i podskarbi w Moskwie siedział, w więzieniu od tegożto Chowańskiego schowany. Tegoż szczęścia spodziéwał się i z nami, nawet kiedy przodem tegoto Naszczokina posyłał imprezę, to mu to zlecił: „Żebyś mi się starał żywcem dostać Czarnieckiego i Polubińskiego! żeby Gąsiewski miał się z kim zabawić.“

Było tedy na 40,000 Moskwy, naszego i z Litwą tylko 15,000. Bardzo to mały kawałek, ale przecie nadzieja nas cieszyła; a to téż co trup wszystek padł za nimi głową, co zawsze wojennicy sądzą za znak zwycięstwa, kiedy trup głowami za nieprzyjacielem pada. Tak tedy owéj nocy było co, bośmy kazali nabrać sucharów w sakwy, w wozy: gorzalina téż była w blaszanych ładownicach, jakich natenczas zażywano.

3. Myśliwstwo pana Paska.

Kiedy już Straszowski widział owéj wydry przymioty, obaczył téż i insze myśliwstwo moje, jakoto zwierzyniec ptaszy, który miałem zbudowany, kratami drutowemi nakryty, a w nim ptastwo wszelkiego rodzaju, które tylko mogło się znajdować w Polsce, gniazda robiło, i lęgło się na drzewkach tam posadzonych: a nie tylko to ptastwo, co może być w Polsce, ale i insze cudzoziemskie, cokolwiek mogłem przybrać i zkądkolwiek zaciągnąć. Straszowski był téż natenczas, kiedy ptaszki na gniazdkach; widział wszystko, że mię ptastwo słucha, widział,

że się na gniaździe da pogłaskać, widział kuropatwy tam wylężone, i stadami swoje potomstwa wodzące, i na zawołanie tak jako kurczęta do sypania ziarn idące.

Bywało też to u mnie myśliwstwo z podziwieniem ludzkiém. Począwszy od ptaków, zawsze miéwałem bardzo dobre sokoły, jastrzęby, drzemliki, kobuzy, kruki, co do berła chodziły, i kuropatwy pod nimi olegały, zająca zlatywały jako rarog, — wszystko to ptastwo praktykowało swoją powinność. Jastrzębia raz miałem takiego, który był zbyt rosły, a tak rączy, że każdego ptaka uganiał, i do najmniejszéj ptaszyny nie lenił się, okraczywszy go owemi srogiemi szponami, i zawszem żywiusieńsiego odebrał. Rzuciłeś go też do największego ptaka, i tego się nie wstydził; gęsi, kurki, czaple, kanie, kruki, uganiał tak jako przepiórki, bo ich i kilka na dzień ugoni: tak był mocny, że z zającem starym związawszy się i udusiwszy, to czasem poprawił się i na drugi zagon podlatując sobie z nim, podnosząc go od ziemie jak kuropatwę. Miałem go ośm lat, póko mi nie zdechł. Do myśliwstwa zaś z charty rozmnożyłem był sobie gniazdo chartów od brata mego, pana Stanisława Paska z ziemie Sochaczewskiéj, które charty były i piękne i rosłe, a przytém tak rącze, że nie trzeba było nigdy zmykać do zająca i do liszki, tylko jedno którekolwiek na przemian, jednak do każdego zająca insze, a nigdy zając nie uciekł. Do wilka zaś to już pospolitém ruszeniem, i takieto bywało przysłowie u myśliwych sąsiadów moich, że to nieszczęśliwy zwierz, który się z panem Paskiem spotka, bo mu się już nie dostanie uciéc. W tém zaś osobliwie miałem upodobanie, żem zawsze dzikich zwierzów tak ćwiczył, że to i łaskawe było, i ze psy przestawało, i równo swego dzikiego brata goniło. Przyjechał kto do mnie, to liszka po podwórzu z chartami igra; wnijdzie do izby, to szyc pod stołem leży, a zając na nim; spotkałli mię też kto nieznajomy na polowanie jadącego, obaczył, a tu idzie kilkoro chartów pięknych, wyżłów kilka, a tu liszka między nimi, kuna, jaźwiec wydra, zając też z dzwonkami za koniem podskakuje, jastrząb u myśliwca na ręce, kruk nade psy lata, czasem też padnie na charcie, i tak się powozi. To się ów tylko żegnał: „Dla Boga! czarnoksiężnik to! zwierz wszelaki między psy chodzi! czego szuka? czemu tych nie szczuje, co za nim chodzą?“ Porwałli się też zając, to wszyscy za nim, nawet i ten chowany kiedy widział że psy skoczyły, to też i on za nimi poskoczył; ale jak się tam już zając począł modlić, to wychowaniec uciekał

nazad do konia, jakby mu oczy wybrał. To ludzie rozsławili to moje myśliwstwo na całą Polskę, jeszcze i więcéj rzeczy przykładając.

4. Mowa przy zwłokach dwóch towarzyszów.

Stojąc w Sielcach umarło nam dwóch towarzyszów, starych żołniérzów, pan Jan Rubieszowski i pan Jan Wojnowski. To jest dziwna, że ci dwaj ludzie tak z sobą żyli, że jeżeli się temu dobrze powodziło, to i mu, jeżeli temu źle, to téż i temu. Obadwa byli Mazurowie, obadwa starzy, obadwa żołniérze, obadwa Janowie, obadwa żonaci i podle siebie w regestrze obadwa jednéj fantazyi. Pod Chojnicami, gdy nas Szwedzi w nocy napadli, obódwu porąbano i rapirami pokłóto, za umarłych na placu zostawiono. Obadwa się z tak ciężkich szwanków wyleczyli, wraz obadwa królowi za pogrzeb dziękowali. Bo król widząc po okazyi tak ciężkie ich pokaléczenie, kazał im dać 600 złotych, mówiąc, że to daje na pogrzeb, nie na kuracyę. Przy podziękowaniu potém po tysiącu złotych wzięli od króla, i wojnę kontynuowali, i w Danii z nami byli, i jakoby umowę mając szczęścia i nieszczęścia między sobą, wraz obadwa w Sielcach zachorowali i jednego dnia pomarli. Gdy im tedy ostatnią należało oddać usługę, Jan Domaszowski sprawił im pogrzeb taki porucznik nasz, jako senator nie może mieć foremniejszego, w obecności okolicznéj szlachty i żołniérzów, także wiela duchowieństwa w kościele sieleckim. Z woli tedy porucznika i kompanii mnie jako Janowi także kazano zapraszać na chléb żałobny gości. Zacząłem tedy takim sensem, nie bardzo mając czasu do przygotowania należytego, bo mi owa moja stancya była impedymentem, będąc wyzywany co raz to w karty, to w szach, to w arcaby: alem się przecie starał, żeby było nie podrwić, bo wiedziałem, że jakie miało być ludzi zebranie. Wiedziałem i to, że miał od gości mówić pan Gumowski, podczaszy, wielki orator, od wojska zaś kondolencyę pan Wolborski, porucznik starosty dobrzyńskiego, Rokitnickiego. Zacząłem tedy.

„Któreby téj konstytucyi opanować wolumina, przed któremi uskarzyć się parlamentami, u któregoby z najpotężniejszych świata tego monarchów szukać protekcyi od nieuchronnéj na ludzki naród śmiertelności oppressyi, nie wiém, sposobu nie znajduję, ale widzę, że ani prawo nikogo w tém sekundować nie może, kiedy czytam hieroglifika rzeczypospolitéj Genueńskiéj: Parka kosę trzyma groźną ręką, dumny pokazującą napis: „Prawa tłumaczę, królami

rządzę, sędziów sądzę.“ Któż się takiéj sprzeciwić może potencyi? Zgoła dla ceremonii tylko, równemu przed równym, człowiekowi przed człowiekiem, śmiertelnemu przed śmiertelnym swojéj użalić się dolegliwości, potém zamilczéć, przestać, ponieważ dłużéj oskarżać wyroki możemy, odmienić nie możemy. Prawda, że to jest ciężka dyssocyacya, kiedy wrodzone krewności nie wytrzymają kolligacyi, kiedy ślubem komprobowane rozrywają się miłości związki, kiedy ojciec syna, syn ojca, towarzysz towarzysza odstępować musi najpoufalszego. Ale cóż z tém czynić, kiedy to ludzki taki przymiot przypisuje Arystoteles profesyi: Człowiek jest wzorem słabości, zdobyczą czasu, igrzyskiem losu, obrazem niestateczności, zawiści i klęski przepaścią. Ciężkito jest wprawdzie na chorągiew naszą stopień, dwóch razem téj matce tak dobrych pozbywać synów; ciężki i nieznośny ojczyźnie paroxyzm, takich przez niedyskretne losy spólnie i od razu uronić wojenników, którzy jéj najniebespieczniejsze pożogi hojnie swoją w każdych okazyach gasili krwią. Przykra całéj kompanii *jactura* tak dobrych, poufałych, nikomu nie uprzykrzonych, w każdéj z nieprzyjacielem utarczce podle boku pożądanych, i do wytrzymania wszelakich insultów doświadczonych postradać kawalerów. Ale ponieważ sama litera święta taką całemu światu podaje paremię *): „Żąć należy zboże, tak wskazuje konieczność;“ dlategoż konieczność przyzwoiciéj jest znosić, niż opłakiwać, mając przed oczami konstytucyę umówionego przed wieki ziemi z niebem układu, że nam tam deklarowano śmiercią się odrodzić, że nam tam obiecują do spólnego powrócić towarzystwa. Przyjdzie znowu dzień, który nas na światło wyprowadzi. Było to prawo w dawném Ateńskiém państwie, że się nie godziło zmarłego oddawać ziemi żołniérza, pókoby wprzód jako najzgromadniejszéj frekwencyi z swoich nie był chwalony godnie. I dokładają tam: „Chwalony był przez najuczeńszego i najwymowniejszego z żołniérzów.“ Gdyby przyszło na tém miejscu ściśle obserwować tamtych ludzi zdanie, przyznam się, żeby mi ciężką musiała przynieść konfuzyę na mnie prostaka włożona od oficera mego prowincya, albowiem więcéj ten sławy ujmie, kto czyje sławne i światu widoczne nie tak dostatecznie, jakoby potrzebowały, chwali czyny. Ale że żelazny Mars depce i gardzi złotemi wystawami, dlategoż choć nie-

*) przestrogę.

udolna Minerwa moja, tumanem salétry zakurzona, i surowością impetów baltyckich świéżo zhukana, rezolwowała się chwalić swoich kommilitonów ś. p. jmść pana Jana Rubieszowskiego i jmść pana Jana Wojnowskiego lubo niegodnie, jednak najgodniejsze świętéj pamięci przewagi, którzy z młodości zaraz swojéj, ledwie tak rzéc nie mogę, że prawie od kolebki, bo w chłopięcych latach, nie wdając się pieszczonéj Pallady w instytucyę, udali się ochotnie do przykréj krwawéj Bellony palestry. Tym zabawom naturalnie emulującemu najmniejszego czasu nie widzieliśmy Apollinowi. Starych polskich wojenników trybem, jako szlachetnéj orlicy pisklęta, ostrego za dyrektora obrali sobie Gradywa; jemu zupełnie swój cały obligowali wiek, jemu siebie za dożywotnią konsekrowali wiktymę. Bo merlińskie, cecorskie, żółtowodzie już za towarzysza odprawiwszy okazye, w niezliczone potém różnych na ojczyźnie następujących nieszczęśliwości wdali się labirynty, o których gdyby poszczególnie mówić przyszło, całodziennego o każdéj z tych okazyi niedosyćby było dyskursu, kiedy owe korsuńskie, zbaraskie, batohowskie tak ciężkie na ojczyznę przepłynąwszy inundacye, tak nieszczęśliwe na stan rycerski strawili klimakteryki, o których owego wieku żołniérzach takie było powstało axioma, że kto z tych okazyj zdrowo wyszedł, jeżeli przed tém nazywano go sokołem, mógł bespiecznie tytułować fenixem. Nie dosyć na tém chciwemu sławy animuszowi. Wielkie dusze tém wytrzymalsze, im cięższe trudności. Nie ustraszyła ich w owych przeszłych kompaniach srożącego się losu wściekłość; idą daléj w owe beresteckie, białocérkiewskie, mohilowskie, żwanieckie okazye. I tam synowie dobrzy dla ojczyzny krwi i zdrowia swego nie żałują. O takichto znać żołniérzach gdzieś tam napisano: Właściwa mężowi jest szczególnie odwaga: dwa jego główne przymioty, wzgarda bolu i śmierci. Nuż dopiéro jak nastąpiły szwedzkie, moskiewskie, węgierskie wojny, co rzékę o ruszenickich, grodeckich, wojnickich, gołębskich, waredskich, gnieźnieńskich, magierowskich, czarno-ostrowskich, i inszych wielu okazyach? Z jaką tam rezolucyą i z jakiém prezentowali się męstwem, jako wesołém czołem wszelakie ponosili przeciwności losu i niepogody nieba, już w tém jako koło poźniejszych okazyj nie trudno o wielu do świadectwa okulatów. Tym było zacnym kawalerom przypisać, co Alexandra Wielkiego żołniérzom, gdzie żołniérz, gardząc dostatkami i bogactwy, boje staczał pod nauczycielką karnością i ubóstwem; znużonemu ziemia za łoże słu-

żyła, żywnością, jaką znalazł, głód zaspakajał i krótszego snu zażywał, niż zwyczajny przeciąg nocy. W tych zacnych kawalerach widział świat pomienione attrybuta przy nieskąpém zawsze krwi i zdrowia swego szafowaniu: a osobliwie też już pod Chojnicami więcéj niż słuszna od ręki nieprzyjacielskiéj otrzymawszy, otoczony od przemagającéj liczby Rubieszowski cztérdziestą kilką razów strzelanych, sztychowych i rapirami sieczonych, na pobojowisku położony za nieżywego, którego gdyśmy w Kilim z placu zbiérali, bo ten zacny kawaler do pół boków prawie w swojéj pławił się krwi, tak że w niéj ledwie nie spłynął, lubośmy wszyscy rozumieli, że po tak ciężkiém pokaléczeniu już też obmierzi sobie wojnę. Ale nic to! rozzielenia się ranami męstwo, jako mówią: Piłka a męstwo bite większy impet bierze. Nie ustawa odważny *Cynaegirus* w przedsięwziętéj imprezie; Kodrus zdrowia pozbył dla ojczyzny; i ztąd mają na cały świat wieczystą sławę i zalecenie: a ten wszystko pokaleczone ciało niesie do ostatniéj za ojczyznę wiktymy. Kąpała Tetys Achillesa w jakichsić tam wymyślnych wódkach, żeby go żadne zabić nie mogły oręże; ja tak bespiecznie moralizować mogę, że tegoto Achillesa, waszego ulobionego kommilitona, poważniejsza jakaś od tamtych przyprawnych wódek, krwi Chrystusowéj konserwowała kąpiel, i od tak ciężkich szwanków zginąć nie pozwoliła. —

Nie wywodzę tu genealogii, bo i tak podobno naprzykrzyłem się czasowi, choć o samym tylko życiu ich dosyć krótko namieniwszy, wielką sławę jako wielki dzwón w sam tylko brzeg drobniuchną skazówką dotykając. Dosyć, że zacną województwa Mazowieckiego porodzili się szlachtą, których urodzenie choćbym wywodzić chciał, nie mogę, bo mi nie pozwala czas i licha moja wymowa. Ponieważ wielkich mężów nie chwalić, lecz dziwić się im należy, krótkiego tylko jako niegdy *Sallustius ad Carthaginem* do tych zacnych familiantów zażywszy *apostrophe*: O waszych zaszczytach jest lepiéj milczéć, niż mało mówić, to tylko przydam, że kto tak wiek prowadzi, tego szlachectwo jest podwójne. Ci rzeczywiście są szlachetni, którzy nie tylko z rodu, ale i z dzieł są szlachetnymi. A teraz chwalebni emulanci, w wiekuistą zabrawszy kompanię, żegnają przezemnie wojsko jako swego szkołę życia; żegnają chorągiew matkę, i miłą swoję kompanię, z któremi równo wdzięczno im było przeciwności i powodzenia ponosić; żegnają wszystkich krewnych i swoje pozostałe potomstwo, życząc, aby nie innym trybem postępując i ojczyźnie służąc, dni wieku swego prowadzili; żegnają wszystkich

wwmmć panów na to miejsce zgromadzonych; dziękują wielce, że jako chrześcianom chrześciańską wyświadczyć życzliwość raczyliście i usługę, ostatnie światu dając pożegnanie, nowéj zaś wieczności powitanie. A że się tam ktoś ważył o sobie mówić: Nie cały umiéram, zacniejszą siebie częścią uniknę grobu; toż nasi towarzysze zasłużyli u świata, i do wwmmć panów swoje przesyłają prozby, ażeby zasługi ich w słodkiéj wwmmć panów nie obumiérały pamięci, ponieważ dusza i słowa nie mogą być pogrzebione. A po tych wwmmć panów fatygach i wyświadczonéj pobożnie zmarłym łasce, żebyście wwmmć panowie do domu żałoby swojéj nie raczyli denegować prezencyi, imieniem jmci pana porucznika i całéj kompanii uniżenie proszę."

13. Jan Ostrowski Danejkowicz (Wydawca).

Swada polska i łacińska albo Miscellanea oratorskie itd. przez Jana Ostrowskiego Danejkowicza, j. k. m. sekretarza zebrane itd. w Lublinie 1745. r.

I.

List najjaśniejszego króla jego mości Jana III. do senatorów, donosząc konkurencyą elektora jego mci bawarskiego o królewnę jéj mość.

Wielmożny uprzejmie nam miły! Nie wystarczymy nigdy dobroci Pana i Boga naszego wysławiać, *quia benedictio Dei multa super nos,* dosyć przenajświętszéj jego łaski, że powoławszy nas na królewski zacnych narodów tron, z osoby i panowania naszego *perficit laudem et gloriam* miłéj ojczyzny. Czyż nie nowe znowu łaski i błogosławieństwa, *benedicentes Sion,* kiedy i z samych wnętrzności naszych polskiego imienia i krwi w najjaśniejszém potomstwie wynosi ozdoby, któremi jaśnieje Europa. A to po niedawno skończoném syna naszego najmilszego królewica jego mci Jakóba postanowieniu, w tych dniach poseł Kurfirszta jego mci bawarskiego stanął tu w domu naszym *narraturus* pana swego *desiderium* małżeństwa z królewną jéjmością, córką naszą najmilszą. Zacność konkurenta jest jawna, *domus imperatorum ac regum sanguini saepius immixta, et splendore suo regibus non impar.* I nie możemy tylko się przyznać, że, będzieli dalsza wola Boża, ojcowskiego na to nie godzi się umykać błogosławieństwa i pozwolenia. Nad czém samém gdy myśli nasze i intencye *exercere* przedsiębierze-

my, jako cały prześwietny senat, tak i uprzejmość waszą zabiérających się nowo w najjaśniejszy dom nasz pociech czynimy *participem*, tym jednym końcem, abyś fortuną naszą nierozdzielną nigdy od rzeczypospolitéj, jeżeli ją Bóg w téj okazyi naznaczyć raczył, cieszył się, tudzież przezorną radą swoją, którą uprzejmość wasza *ex nexu senatorio decori et utilitati reipublicae* powinieneś, i jeżelibyś w czém rozumiał, dopomógł. Cokolwiek w tém prawdziwego uprzejmość wasza wyświadczysz ku nam i pociechom naszym affektu, nie inną zostawisz nam pamięć, tylko tę, którą wzajemnym sukcessom uprzejmości waszéj z respektów naszych królewskich oddać winni będziemy. A teraz dobrego uprzejmości waszéj od Pana Boga życzymy zdrowia. Dan w Żółkwi dnia 8., roku Pańskiego 1694., panowania naszego 20. roku.

II.

List najjaśniejszego króla jmci Jana III., zapraszający ichmciów panów senatorów na akt weselny najjaśniejszéj królewnéj jéjmci elektorowéj bawarskiéj, córki swojéj.

Wielmożny uprzejmie nam miły! Nie chcemy mieć w najjaśniejszym domu naszym żadnéj tak udzielnéj pociechy, któraby *in splendores et usum* miłéj ojczyzny albo zupełnie, albo większą częścią, niż na nas samych, wydzielona nie była. To samo najjaśniejszéj królewnéj jéj mci, córki naszéj najmilszéj z księciem jmcią elektorem bawarskim postanowienie, o któréśmy nie dawno uprzejmości waszéj donieśli, cóż jest inszego, jeżeli nie rzeczypospolitéj i nie wszystkiego polskiego imienia *mansurum decus*, a nasza tylko doczesna zabawa, i ojcowskich oczu upływająca prawie z samym aktem weselnym pociecha? Ale i téj bez społecznego z całą rzecząpospolitą podzielenia mieć nie chcemy, i dlatego naznaczywszy publicznemu aktowi temu miejsce w Warszawie dnia 15. miesiąca przyszłego Augusta, *pro prima* życzymy *felicitate*, aby się dzieląc na wszystkie przyjazne serca, mógł *universorum excipi plausu*. Co gdy uprzejmości waszéj wyrażamy, pewni jesteśmy, że nie tylko *ex amore* pomnożenia ozdób ojczyzny naszéj, ale téż z osobliwszéj ku nam i najjaśniejszemu domowi naszemu propensyi, zechcesz pomienionemu aktowi nie tylko szczérym i prawdziwym affektem *adesse*, ale téż miłą i pożądaną przytomnością swoją *augere* tych *mumerum*, którzy szczęśliwości naszéj tak od publicznéj nie dzielą, jako

my publiczną z naszą zawsze nie tylko liczymy, ale też substancyą, zdrowiem i życiem własném wystawiać i pomnażać za cel jedyny mamy. Cokolwiek zaś w tém uprzejmość wasza wyświadczysz, zostawisz *prosperrimum* w pamięci i respektach naszych, które przy wszelkich podających się okazyach ofiarując, dobrego uprzejmości waszéj od Pana Boga życzymy zdrowia. Dan we Lwowie *die 22. Junii* roku Pańskiego 1694., panowania naszego 21. roku.

III.

List najjaśniejszego królewica jmci Jakóba o zkonkludowanych kontraktach małżeńskich.

Od którego życie, od tego i wszystko pochodzi, bo *ten non sorte, sed arbitrio corda principum* obraca i rządzi. Nie może być tylko pomyślna intencyi naszéj fortuna, kiedy a *tam perfecto lumine* wschód swój i początek bierze. Jest w tém i najjaśniejszych rodziców naszych wola, jest i tych wszystkich przychylny affekt i serce, których łaska i ręka *vota nostra coronat.* Gdy tedy już z najjaśniejszą księżniczką jéjmcią nejburską *in jubilum* dalszego pożycia wchodzić, *et jungere in foedera dextras* przychodzi, udzielamy téj szczęśliwości naszéj wmpanu, nic o tém nie wątpiąc, że równo z nami *et prosperis illaetari, et solennia* aktu tego *obire* zechcesz. Naznaczony jest aktowi temu dzień 25. *Februarii* w Warszawie, gdzie abyś wmpan wespół z jmcią panią stawić się raczył, i tém do wiekszéj dopomógł ozdoby, upraszamy. Co wszystko w podanéj wmpanu zawdzięczemy okazyi szczérym affektem i nieodmienną propensyą naszą. Dan w Żółkwi dnia 7. Decembra roku Pańskiego 1595.

IV.

List księżnéj jéj mości Maryi de *Bouillon* do ich mościów panów senatorów, donoszący fata rodzica swego, najjaśniejszego królewica jego mości polskiego, Jakóba Ludwika.

Nieuchronna przedwiecznych wyroków Boskich moc i siła gdy mi najjaśniejszego rodzica mojego, królewica jmci Jakóba, zasług wiekopomnych w téj ojczyznie, sławy i tryumfów ojczystych dziadowskich i pradziadowskich walecznego dziedzica, z czwartku na piątek dnia 19. miesiąca tego w noc o godzinie jedynastéj najwyższą władzą

z oczu i serca mojego zebrać kazała, i przeniósłszy to światło chęci moich w górne przybytki, mnie w gorzkich żalach z córką moją Ludwiką zanurzywszy i w siéroctwo wieczne wpędziwszy, grubą okryła żałobą; więc w strapionym życia mojego biegu wszystkie w utraconym najjaśniejszym rodzicu straciwszy pociechy, nic na świecie już odtąd nie mając milszego w rzewliwém mojém, przez ostatni chyba kończący się moment westchnieniu, a gdzież się mam nieszczęśliwa udać, jeżeli nie do tych osób, zkąd zbolałemu żalem ciężkim sercu mojemu najpewniejszy z łaski wmpana zostaje ratunek? Pewna tedy jestem, że ten mój ciężki smutek dobrotliwém sercem przyjąć wmpan raczysz, i mnie i interesa moje wesprzesz w tym siérocym stanie łaskawą manutenencyą swoją. O co z należytą konkurrując obserwancyą, jestem ze wszelką estymacyą. Datum w Żółkwi 1737.

V.

Mowa Antoniego Dunina, starosty zahorańskiego do najjaśniejszéj królowéj jéj mości, Maryi Józefy.

Już téż do zupełnego szczęścia i ozdoby swojéj tron polski powraca, kiedy nie tylko ukoronowanego pana, ale téż waszą król. mość, panią n. m. tąż ozdobioną koroną mile na sobie piastuje. Któż nie przyzna, żeśmy doskonale dni szczęśliwych zażywali za panowania najjaśniejszego przeszłego pana: to jednak szczęście nasze jeszcze się w swojéj zupełnéj nie znajdowało perfekcyi, kiedy przeszły pan nasz miłościwy, najjaśniejszy August Wtóry siedział na tronie jeden, a nie samowtóry. Osiadała z najjaśniejszéj austryackiéj waszéj król. mci prozapii ten tron polski w milém towarzystwie Elżbiéta z Kazimiérzem Czwartym, druga Elżbiéta i Katarzyna z Zygmuntem Augustem, Anna i Konstancya z Zygmuntem Trzecim, Cecylia Renata z Władysławem Czwartym. Eleonora z Michałem, najjaśniejszymi regnantami polskimi. Wasza król. mość pani nasza mił., ósma z téj najjaśniejszéj familii, gdy w ulubionéj parze z najjaśniejszym Augustem Trzecim, panem naszym miłościwym na tym sarmackim zasiadasz majestacie, inaczéj waszéj król. mci tytułować nie mogę, tylko ósmym a przeto samo najwyższém i najdoskonalszém błogosławieństwem naszém. Niechże już żadne serc naszych nie alterują przeciwności, czas ociérać wyciśnione prasą publicznego zamieszania łzy z oczu naszych, kiedy na ojczystym tronie nie

inna zasiada heroina, tylko ta, która się słusznie szczęściem i błogosławieństwem naszém nazywać powinna. Niech i te same uprzykrzone, częścią mroźne, częścią niepogodne arye w majowe się nam odmieniają delicye, kiedy przy najjaśniejszéj waszéj król. mci osobie, jako przy prawdziwém błogosławieństwie naszém, i szczęścia raj, i konsolacyi maj odbiéramy. I jakże się przy ubłogosławionéj waszéj król. mci osobie nie mamy spodziéwać wszelkiego dla nas błogosławieństwa, na które najjaśniejsza pani codziennie, ba prawie momentalnie, a co większa niespracowanie i bez uprzykrzenia zarabiasz? Wszystkie waszéj król. mci świątobliwe akcye, posty, mortyfikacye, hojnie na ubogich wysypane jałmużny, więźniom darowane życia, azaliż nie są skomputowane u nieba? Widzi to wszystko w najjaśniejszéj waszéj król. mci osobie nasz ziemski padoł, a jakże górny Olymp nie ma ich konsyderować, i nie dla naszych, ale dla twoich, najjaśniejsza pani, zasług wszelkim nas przy panowaniu twojém obdarzać szczęściem? A gdy w najjaśniejszéj waszéj król. mci osobie wszystko mamy, i chcemy z tego jak najdłużéj profitować, życzy Witebskie moje województwo waszéj król. mci pani naszéj miłościwéj, abyś na tym sarmackim tronie wespół z najjaśniejszym panem naszym i najjaśniejszą familią swoją, Nestorowe liczyła wieki, a ja na konkluzyą mowy mojéj słów polskiego zażywam poety:

Klejnocie drogi! Lechowe progi
Oddane tobie: wiekuj w nich sobie!

VI.

Laska marszałkowska, na pogrzebie jaśnie wielmożnego pana jego mci pana Jana Stanisława Sapiehy, marszałka wielkiego księstwa Litewskiego, słonimskiego, błudzińskiego, markowskiego etc. etc. starosty, w Wilnie wystawiona przez ks. Macieja Kazimiérza Sarbiewskiego *soc. Jesu*, dziekana *theologicae et philosophicae facultatis* i świętéj teologii professora w wileńskiéj akedemii téjże *societatis Jesu*. (Kazanie).

Quomodo confracta est virga fortis?
Jako złamana jest laska mocna?
Hieron. 48.

Częstom się dziwował, czemu na pogrzebach najjaśniejszych królów polskich, gdy już ciała ich do grobów ojczystych wnosić mają, marszał-

kowie i wielcy i nadworni podług starodawnéj w ojczyźnie naszéj ceremonii laski swe marszałkowskie w kościele łamią. Czy to dlatego, że jako każdy z gminu, tak i król prosto do grobu i bez marszałka trafi? *Nemo unquam mortalium erravit ad sepulchrum,* mówi Seneka. Czy dlatego, że się nikomu do grobu, by też i przed największym monarchą marszałkować nie chce? *Ibimus, ibimus, utcunque praecedes,* mówi *Horatius* lubo do kochanego Mecenesa. Czy dlatego, że do zmarłych królów inszy już dwór przystawa, insi jacyś korporałowie, nad którymi marszałkowie władzy mieć, i między nimi, by też nie wiém jakiemu majestatowi, rumu uczynić nie mogą? *Alia vos, o reges, aula deducet in sepulchrum: vermis, putredo, tenebrae,* mówi *Gerson Parisiensis.* Mogą być albo te, albo insze téj staropolskiéj ceremonii podobieństwa i uważania, ale własna przyczyna ta jest. Wszystkie wielowładztwa i rządy świata tego są rzeczy kruche i słabe. Nie masz takiéj władzy albo własnéj, albo drugim udzielonéj, nie masz takiego berła i takiéj laski, na którejby się bespiecznie wesprzéć, i śmiertelnego upadku uchronić mógł by i najpotężniejszy majestat. Augustyn S. słowa psalmu wtórego tłumacząc: *Reges eos in virga ferreae, et tamquam vas figuli confringes eos,* tak mówi: *Regis coelestis virga ferrea est, regum terrestrium virgae fragiles sunt; propter quod addit: Confringes eos* (Króla niebieskiego laska jest żelazna, a królów ziemskich laski są ułomne; dla tegoć przydaje: Połamiesz je). Uznawał to w sobie nieśmiertelnéj sławy król polski i wielkie książę litewskie, Władysław Jagiełło, który na każdéj mszy, w podnoszeniu najświętszéj ofiary nizki pokłon wszystkich królów królowi oddając, i zchylając się, na ziemi żdźbło jakie, jeśli się natrafiło, albo co takiego podobnego, brał, i łamał albo kruszył. Co gdyż tak jest, słusznie przy pogrzebach najpotężniejszych królów polskich, marszałkowie jako najprzedniejsi senatorscy *officiales* i dworu królewskiego rządzcy, a władze królewskiéj najbliżsi uczestnicy laski swe łamią, wystawując przed oczy jasny wizerunek słabości i ułomności by też i w największym majestacie i potędze świata tego.

Aleć to jeszcze nie jest zgoła zupełnym krewkości i śmiertelności ludzkiéj widokiem i dowodem: ponieważ w téj ceremonii samiż marszałkowie swe laski łamią, ba i tamże całe postaremu i nowe w ręce swe biorą. To zupełniejszy wizerunek, kiedy się laska marszałkowa z samymże pospołu marszałkiem śmierci w ręce dostanie; a ona oboje

łamie i kruszy; zwłaszcza gdy się jéj taki marszałek z taką laską, taki potentat z taką potencyą nawinie, na któréj kościół Boży i familia po wielkiéj części polega. Słuszny zaiste płacz, zupełny ułomności i słabości naszéj widok, gdy się nie tylko te nieme laski i naczynia potęgi świeckiéj, ale i same żywe kościoła Bożego i wielkich familij podpory łamią i obalają.

Idziemy dnia dzisiejszego w tym kościele, przezacni słuchacze, za starym ludu Bożego przykładem; idziemy za przykazaniem Pańskiém. Zeszliśmy się na *planctum super fracturam virgae seu fulcri*, na żałośny płacz, na chrześciańską i przyjacielską żałobę nad złamaniem przezacnéj i wielkiéj marszałkowskiéj wielkiego księstwa Litewskiego laski, i wszystkiéj ojczyzny podpory.

Boleje najjaśniejszy Władysław IV., król i pan nasz miłościwy, boleje jaśnie wielebny i jaśnie wielmożny senat, boleje wielmożne koronne i wielkiego księstwa Litewskiego rycerstwo, boleje wszystka ojczyzna nad obaloną dostojeństwa królewskiego, powagi senatorskiéj, ozdoby rycerskiéj i całości praw podporą.

Ale cóż? z samymże tylko płaczem ojczyzny i familii, z samą pokrewnych i przyjaciół boleścią z tego kościoła wyjdziemy? Bynajmniéj. *Consolamini eum omnes, qui estis in circuitu ejus, et universi, qui scitis nomen ejus, dicite, quomodo confracta est virga fortis.* Ale jakoż cieszyć się w tak wielkiéj stracie? Cieszyć tak, jako wielki on *Cassiodorus* po śmierci Aureliana Wenancyusa cieszył rodzonego jego brata Nepocyana Wenancyusa. *Hoc ipsum grande doloris solatium est, Venantium sub onere reipublicae fractum cecidisse.*

Ważę się ja do téj żałobnéj pociechy przyłożyć, przezacni słuchacze, a na pytanie, którem sobie na początku mowy mojéj zadał: *Quomodo confracta est virga fortis?* (Jako połamana jest laska mocna?) w tém kazaniu odpowiedzieć. A na końcu kazania zbiorę téj połamanéj laski jego ułomki, i spojoną laskom waszym pokazawszy, postaram się o jakiego duchownego marszałka, któryby z nią przed wielkim wielkiego księstwa Litewskiego marszałkiem do pokojów niebieskich marszałkował.

Jeśli też kto prawdziwiéj wszystek nam świat na oczy wystawił, jako go w kilku słowiech wystawił *Isidorus Pelusiotes*: *Mundus est perpetua ruinarum ruina?* (Świat jest ustawiczną obalin obaliną?). Nie mówię nic o tym maluczkim świecie rzeczonym, którym się nazywają sami ludzie, którzy, jako mówi Job S., mieszkają w domach glinia-

nych, i mają grunt ziemny; bo któż nie widzi, że ten światek, byś go też nie wiém jako wspiérał, na takim fundamencie ustawicznie się wali. Nie mówię nic i o tym drugim, w którym mieszkamy, wielkim, przyrodzonym świecie, który z cztérech nieprzyjaznych żywiołów, jako ze cztérech przeciwnych i niestwornych ścian złożony i niebem zasklepiony, ustawicznie się na nas wali, niepogodami, gradami, piorunami, powodziami, nieurodzajami, chorobami. Mówię ku rzeczy mojéj o świecie politycznym, który królestwy i carstwy, księstwy i prowincyami, powiatami i miastami stoi. Dajmy skrzydła myślom i oczom naszym, wynieśmy je pod najwyższe obłoki, a z tamtąd jednym wzrokiem na ten padoł płaczu, na tę śmiertelności naszéj scenę wejrzéć, a razem wszystkie i miejsca i czasy rzeczy ludzkich okrążyć chciéjmy, a obaczymy, że się ustawicznie walą państwa na państwa, prowincye na prowincye, miasta na miasta. Spojrzę na państwa, alić na państwo Assyryjskie wali się państwo Medskie, na Medskie Perskie, na Perskie Macedońskie, na Macedońskie wali się państwo Rzymskie. Spojrzę na części świata i rozliczne narody, alić w Afryce na Kartagenie widzę przeniesioną Azyę, a w Azyej z Alexandrem Wielkim do Babilonu widzę przeniesioną Europę, w Europie z Saracenami widzę do Włoch, Sycyliej, Hiszpanicj przeniesioną Afrykę; w Grecyi widzę Gallogrecyą, w Galii Frankonią, we Włoszech znowu, we Francyej, w Hiszpaniej widzę Gotyą, Wandalią, Sarmacyą: a w Wandaliej i Sarmacyej widzę z Lechem i Czechem przeniesioną Dalmacyą. Spojrzę na miasta: na Bizancyum, widzę Carogród, na *Memphim*, widzę Kair, na Kartaginie widzę Tunet, na starym Karrodunie widzę stojący Kraków, na samym starym Rzymie widzę nowy Rzym. A insze niektóre już nie tylko miasta, ale i prowincye i królestwa tak i w niepamięci ludzkiéj, i w swym popiele zapadły, że na równém polu szczérą nam tylko wątpliwość zostawiły, jeśli były, i gdzie albo kiedy były. Nuż spojrzę na ziemię razem i na morze, na te dwa śmiertelności place: tam w Indyach ludzie po złoto i perły w ziemię i w morze aż niemal do piekła spuszczają, i już je windują, już w okręty kładą, już do Europy nie mniéj nadętą nadzieją, niż żaglami wiozą: alić nawalności powstają, wiatry morze przedymają, okręty wywracają: alić znowu złoto i perły z samemiż kopaczami nadół. Owdzie zaś na lądzie wojska poszykowane w swych szeregach stoją; tu się już potykają, a tam już pobite leżą. Tu jedne miasta dopiéro zakładają, owdzie

drugie poorane solą posypują i zasiewają. Tu jedne królestwa powstają, owdzie drugie się obalają. Wszystkie dzieła i rzeczy ludzkie albo powstają albo upadają, i między temi dwiema kresy ledwie się trzeci znajdzie. Owo zgoła wszytek świat, już nie mówię nierządem, ale samymże niestatkiem stoi. *Conturbatae sunt gentes, et inclinata sunt regna* (Strwożyły się narody i nachyliły się królestwa); *Mundus est perpetua ruinarum ruina* (Świat jest ustawiczną jakichsi walin waliną).

Co gdyż tak jest, że świat polityckí jest ustawiczną jakąś obalin obaliną, chcemyli w nim bespiecznie pożyć, potrzeba go zawsze wspiérać. A jestże to rzecz podobna? Podobna. Dawniejsi i prostsi poganie nie malowali ani wystawiali Boga swego w jakiéj ludzkiéj albo bydlęcéj postaci, ale miasto bałwanu kij prosty czcili, nazywając go *Jupiter Tigillus* (Jupiter Podpornik albo Podpora), jakoby to bóg wszytek ten świat chwiejący się, i rzeczy ludzkie z przyrodzenia swego zawsze ku upadku nachylone wspiérał, i na sobie zadzierżywał. Romulus zaś, Rzymskie państwo zakładając, na *Capitolium* wystawił bałwan Jowisza, rzeczony *Jupiter Stator* (Jowisz Ustanawiający), dawszy mu w rękę laskę albo berło, aby nim wspiérał i utwierdzał nowozałożony świat rzymski. Potomniejszych czasów *Sempronius*, konsul rzymski kazał tamże niedaleko wystawić Wulkana, a on jakoby owoż berło Jowiszowe przekowywał w berła albo laski mniejszych bogów, już na *sceptrum* Plutonowe, już na troząb Neptunów, już na buławę Marsową, już na kaduceusz albo laskę Merkuryuszową, z dokładem: *Et vos fulciunto*. Jakoby rzekł: I wy też, mniejsi bożkowie, wy świata tego panowie, pospołu z Jowiszem ten świat wspiérajcie, a wiédzcie, że wasze wszystkie władze i berła są udzieleniem jakimsi najwyższego berła Jowiszowego. To pogańska subtelność. A owo zaś z Pawła S. najpiérwsza i najgruntowniejsza chrześciańskiéj polityki prawda: *Potestas a Deo* (Władza od Boga): berło królewskie jest cząstką jakąś, jakimsi udziałkiem berła Bożego. *Sceptrum regium supplemcntum est divini*, mówi *Tirius Maximus* (Berło królewskie jest dopełnieniem jakimsi berła Boskiego). Wspiéra Bóg świat polityckí, ma go wspiérać i król; ale Bóg swém własném, sobie jakoby z natury wrodzoném berłem, który się od władzy i saméj ręki Bożéj oddzielić nie może: bo jako złota korona wrodzona jest głowie Bożéj, *caput ejus aureum optimum*; tak złote *sceptrum* wrodzone jest ręce Bożéj, *manus ejus tornatiles aureae, plenae hiacynthis* (ręce jego Boskie są jakoby ze złota utoczone, i hiacyntami jako drogiemi kamie-

niami nakształt berła natknione: król zaś wspiéra świat polityczny berłem i laską, albo władzą i mocą, sobie od tegoż najwyższego majestatu udzieloną. Więc jako berło królewskie jest udzieleniem jakimsi i supplementem berła Boskiego: tak zaś laski marszałkowskie, pieczęci kanclerskie, buławy hetmańskie, a rzekę śmiele, kopije i szable rycerskie są dodatkami i supplementami berła królewskiego.

An nescis, longas regibus esse manus? (Ovid.) mówi poeta stary (Azaż nie wiész, że u królów są długie ręce?) Jako to u królów długie ręce? Czego kto nie może dosiąc ręką, dosięże berłem: czego nie dosięże swém berłem, dosięże marszałkowską laską, dosięże kanclerską pieczęcią, dosięże hetmańską buławą, dosięże rycerską kopiją i szablą. Pamiętajcie na to, kiedy na placach rządów i dzielności waszych z temi dostojeństwa waszego klejnotami stawacie, że te wasze laski, te pieczęci, te buławy, te kopije, te szable są supplementami, są udziałkami ręki i Bożéj i królewskiéj: zaczém *et vos fulciunto* (i wy wspiérajcie) upadający świat polityczny, a to nie tylko z królem, ale i z Bogiem.

Tu już mam rum i miejsce pokazać, jako jaśnie wielmożny Jan Stanisław Sapieha, wielki wielkiego księstwa Litewskiego marszałek téj senatorskiéj swojéj, a mianowicie marszałkowskiéj wokacyej podług chrześciańskiéj polityki dosyć czyniąc, laską swą i władzą, od króla, a naprzód od Boga sobie udzieloną ten nasz świat polityczny wspiérał, i wspiérając polegał.

Pisze *Thomacherus*, że na pogrzebie Luizego Scypiona, sławnego marszała francuzkiego i najwyższego rządce dworu tamecznego niesiono laskę złotą przed truną. Z rękojeści jéj wynikały trzy lilie (herb królestwa Francuzkiego), niżéj wzdłuż na saméj lasce te słowa rysowane były: *Non genere tantum, sed et ore, et re Scipio* (Nie tylko urodzeniem ale i wymową i rzeczą samą Scypio). Więc to słówko *Scipio* w języku łacińskim brzmi to, co kostur, albo laska, którą się wspiérają. Sens tedy był, że ten wielki marszał, był nie tylko wysokiém urodzeniem, ale i mądrą wymową, i skuteczną dzielnością Scypionem, to jest laską i podporą królestwa Francuzkiego. Tenże ja właśnie napis przy téj pogrzebnéj żałobie, ten nagrobek na téj obumarłéj marszałka lasce rysuję: *Non genere tantum, sed et ore, et re Scipio* (Nie tylko wysokiém urodzeniem, ale i mądrą wymową, i odważną dzielnością był Scypionem) był podporą i rzeczypospolitéj, i kościoła Chrystusowego.

Poczynam od piérwszego. *Non genere tantum Scipio* (Nie tylko urodzeniem Scypio).

Są niektórzy, przezacni słuchacze, którzy tylko wysokiém urodzeniem są Scypionami. Miałem pradziada wojewodę, dziada hetmana, ojca kanclerza, stryja biskupa! Chwała Bogu. Ale czyjemiżto laskami, czyjemi buławami, czyjemi pastorałami ojczyznę wspiérasz? I cudzemi, i już sprochniałemi. Nie ja, ale Święty Nazyanzenus z takim się domatorem tak rozprawuje: *Clara sum stirpe, ais! Quid ergo? Verminoso nimirum et putrido patris et avi sceptro niteris, et ruina potius, quam fulcro fulciris, solis alios sepulchris vincis, et rescriptis novis, queis scriptus, sed non educatus es.* Taki zaiste nie tylko miłéj ojczyzny, albo kościoła Bożego, ale ani własnéj familiej sławy wesprzéć może. *Innitetur super domum suam, et non stabit, fulciet eam, et non consurget* (Będzie się podpiérał domem swym, a nie ostoi się, będzie go wspiérał, a nie powstanie). Czemu? Bo *genere tantum Scipio.* Tylko się wysokiém urodzeniem gnaruje, tylko chełpliwym owym o swojéj familii i nieprzegadanym językiem, tylko ową chluby laszczką, o któréj mędrzec: *In ore stulti virga superbiae* (W ustach głupiego laska pychy); w ręku jéj u niego nie obaczysz. Pospolitato, gdzie ręką i rzeczą nie możesz, językiem i chlubą nadstawiać. Spytana Rebeka tylko o ojca, i ojca, i dziada, i babkę wywodzi. *Cujus filia es? Filia sum Batuelis, filii Nachor, quem peperit ei Melcha* (Czyjaś ty córka? Jestem córką Batuela, syna Melchy, którego urodziła Nachorowi). A Dawid zaś spytany o całą familią, tylko ojca wspomina. *De qua progenie es, o adolescens? Dixit David: Filius Isai Bethleemitae ego sum* (Z którego rodu idzie ten młodzieniec? Synem Isai, Betleemczyka ja jestem). Coli za przyczyna, że Dawid zacnéj familii zamilkł, a Rebeka i średniéj nie przepomniała? Miał Dawid w ręku Goliatową głowę, jeszcze świéżą krwią pluszcząca, oczywisty zacności swojéj wizerunek, a Rebeka tylko wiadro z wodą, i to tylko dla wielbłądów: ów dzielnością swoją i siebie samego, i familią, i ojczyznę dźwignął, owa dzielność słowy i familii wywodzeniem wetować chciała.

Co już rzekę o jaśnie wielmożnym Janie Stanisławie Sapiehy, wielkim wielkiego księstwa Litewskiego marszałku? *Non genere tantum Scipio* (Nie tylko urodzeniem wysokim był Scypionem). Prawda to, że gdy oraz spojrzę na linią familii Sapieżyńskiéj, spojrzę na jedno

gałęziste i rozłożyste drzewo, które wszystko bujno w przezacne ojczyzny i dobra pospolitego podpory, w laski już większe, już mniejsze, w pieczęci już większe, już mniejsze, w buławy już mniejsze, już większe wysoko i szeroce wyrosło: spojrzę, jako albo na onę w magareńskim rynku wyrastające, a miasto owoców hełmy i szyszaki płodzące drzewo; spojrzę, jako na onę poświęconą Jowiszowi w Dodonie dąbrowę, z której się gałęzi chyba albo Merkuryuszowi na laskę, albo Minerwie na oszczep, albo Marsowi na regiment, albo dawnym spartańskim królom na *sceptra*, albo areopagickim sędziom na palcaty, albo samemu Jowiszowi na berło odcinać nie godziło; spojrzę, jako na ognistą i płodną winną macicę, którą Astyages, król medski przez sen cieniem szerokie państwa okrywającą widział, i mówię do ciebie, jaśnie wielmożny wielkiego księstwa Litewskiego marszałku! co niegdy Ezechiel prorok mówił do zacnego w Izraelu potentata: *Mater tua, quasi vinea in sanguine tuo plantata, frondes ejus et fructus ejus creverunt, et factae sunt ei virgae solidae in sceptra dominantium, et exaltata est statura ejus inter frondes, et vidit altitudinem suam in medio palmitum suorum.* Matka twoja, przezacna familia twoja, cny marszałku, we krwi twojéj dawnych onych Sapiehów, przodków i bohaterów litewskich zrodzona: gałęzie jéj i owoce jéj urosły i stały się jéj laski mocne i trwałe. Ale jaśnie wielmożnemu Janowi Stanisławowi Sapiezie na zacnych przezacnéj Sapiehów familii dziełach i cnotach polegać, i jemi dobro pospolite dźwigać nie dosyć było: *non genere tantum Scipio* (nie tylko wysokiém urodzeniem Scypio). Mówię o nim, co rzekł wielki *Cassiodorus* o Aurelianie Wenancyuszu. *Ipso aetatis, ingenii, virtutis flore spes publicas statim fulcire coepit* (Samym wieku dowcipu i cnoty kwiatem nadzieje wszystkich zaraz począł wspiérać). Panię owo, co się zmłodu w strzemięźliwości, w czujności, w skromności, w pokorze, w nabożeństwie, w umiejętności, w gorliwości, w rzeczach do religiej katolickiéj przynależących ćwiczy, — kwiat to: co się nie ladajakiemi krotofilami bawi, ale stanowi szlacheckiemu przystojnemi zabawami, co się uczy konia przystojnie osieść, łuk ciągnąć, kopiją gładko złożyć, — i to kwiat: co pomału domowego krasomowstwa nawyka, historyki i polityki wartuje, a jeśli go do cudzych krajów poszlą, nie skokom się nie pląsom, nie baletom, ale dobrym obyczajom, zdrowym rządom, porządnym miast budynkom i twierdzom, jednostajnéj po większéj części religiej przypatruje, — i to kwiat: i już wspiéra i ojczy-

znę i kościół Boży jeśli nie rzeczą samą, przynajmniéj piękną nadzieją. O takie was kwiatki ojczyzna często prosi: *Fulcite me floribus.* Nie kryjcie się z niemi w cieniu, w pokojach, między papinkami, ani ich téż chowajcie w owych wielkich choć malowanych dzbanach: inaczéj pewnie a pewnie wiédzcie, że na zimę pomkną do piwnice. Wychowywajcie je wzorem Chrystusowym. *Ego flos campi* (Jam kwieciem polném). Pokazujcie się z niemi na słońcu, w polu akademickiém, albo w rycerskiém, albo dworzańskiém. Tylkoć się na tych warsztatach odlewają owe *capitella*, owe *cerevella* dobre i zgodne: Boć *filius sapiens corona patris* (Mądry syn jest wieńcem ojca swego). Ktemu jeśli chcecie, żeby te kwiatki wasze wyrosły téż kiedy w takież kolumny czci Bożéj i ojczystéj, jak najdaléj ich od siebie oddalajcie, a i tam nie na swawoli, nie na zbytkach, nie na roskoszach, ale w karności, nabożeństwie, a podczas i w scisłości niech wzrastają.

Są takie kwiatki, co wyrastają w jakiejś *columellas* albo słupiki, zowią je granadylami. Ale gdzie i jako rostą? Rostą daleko aż w Indyach, rostą między cierniem, gwoździami, biczami i inszemi męki Chrystusa Pana naczyniami. Rósł tym właśnie dobrego wychowania trybem Sapieha, wielki wielkiego księstwa Litewskiego marszałek. Na samym właśnie lat swoich wzniku na ćwiczenie do wileńskiéj naszéj *societatis* akademii oddany, znacznie między rówiennikami i w nabożeństwie, i w naukach wyzwolonych zakwitnął. Nie było nic w nim nierzkam swawolnego, ani porywczego, ani rozpieszczonego. Nie wstydził się syn senatorski często w processyach iść w prostym worze, i z drugimi Pana Boga prosić. Na tém polu nabrawszy w się zdrowego pobożności i poczciwych nauk soku, łacniéj i bezpieczniéj w témże wszystkiém wzrastał na cudzoziemskich niwach. Nie było historyka, polityka, krytyka, któregoby nie przewartował; nie było znaczniejszego w Europie języka, któregoby prętko nie pojął; nie było miasta albo miejsca do ujrzenia zgodnego, któregoby nie zwiédził; nie było ćwiczenia synowi szlacheckiemu i senatorskiemu należytego, w którémby między cudzoziemską młodzią nie przodkował; nie było Przenajświętszéj Bogarodzicy albo kongregacyej, albo kościoła, albo miejsca, osobliwém jakiém ku téjże Przenajdostojniejszéj Matce nabożeństwem znacznego, gdzieby wizerunku jakiego znamienitego gorliwości swojéj ku czci téjże nieba i ziemi królowéj nie zostawił. Cóż za dziw, że ten kwiat z cudzoziemskiego przesadzony pola, godzien był

zaraz pokoju wiecznéj pamięci Zygmunta III., króla polskiego? Co za dziw że się tam zaleciwszy pięknym skromności i układności, pięknym czułości i dzielności, pięknym wierności i bogobojności zapachem, stał się prędko godnym wielkiego księstwa Litewskiego i stołu, i najwyższego stołowego urzędu? Co za dziw, że w rychle potém urosł w laskę mniejszą marszałkowską, a nie długo i w wielką? *Quasi flos factus es virga* (Jako kwiat stałeś się laską). Ten jest sposób właśnie od Boga przykazany, którym wielcy ludzie w dostojeństwach swoich róść mają. *Nec quisquam sumit sibi honorem, sed qui vocatur a Deo tanquam Aaron* (A żaden sobie czci nie bierze, jedno który bywa wezwan od Boga, jako Aaron). Kiedy chciał Bóg wszechmogący powołać Aarona na wysoką arcykapłańską dostojność, kazał Mojżeszowi nabrać lasek od dwunastu pokolenia żydowskich. „Którego (prawi) z tych obiorę, zakwitnie laska jego, i zahamuje od ciebie szemranie synów Izraelskich, któremi szemrzą przeciwko wam.“ Usłuchał Mojżesz Pana, nabrał lasek od dwunastu pokolenia, i położył przed Panem w przybytku świadectwa. Nazajutrz wróciwszy się znalazł, iż zakwitnęła laska Aaronowa w domu Lewi: i gdy napęczniało pąkowie, wyszły kwiatki. Przestali zatém szemrać synowie Izraelscy, że ich minąwszy Mojżesz. samego Aarona na stopniu najwyższym arcykapłaństwa wystawił. Czém Bóg dał znać, że ten wielkich urzędów i dostojeństw najgodniejszym, który najprędzéj w przybytku świadectwa przed Panem we wszystkie cnoty Boskie i polityckie zakwitnie. A któryż się przybytek może lepiéj nazwać przybytkiem świadectwa, jako pokój królewski, jako dwór pański, jako ten wszystkim w naszéj ojczyźnie dzielności, wierności, czułości otworzony plac? Któż tu może szemrać, kiedy wielkie panięta prędko z niższych dostojeństw stopniów na wyższe postępują, gdy ich laski nie tylko urodzeniem wysokiém, ale i własną cnotą, i ćwiczeniem, i wiernemi posługami drugich często uprzedzają, i są *non genere tantum Scipiones* (nie tylko samą familią miłéj ojczyzny podporami). Ale już dalej postępuję. *Et ore Scipio* (I mową Scypio).

Jako poważna, jako mądra, jako u wszystkich przyjemna mowa jego była, wyświadczy nam sławny jego od Zygmunta III. ś. p. króla do najjaśniejszego cesarza Chrześciańskiego w wielkich sprawach poselstwo, na którém go poseł hiszpański i florencki dla złotéj i nieprzebranéj w słowiech i rzeczach obfitości *os Sarmatiae*, jako kiedyś Ateńczykowie swego Demostenesa *os Graeciae* nazywali. Wyświadczy

druga jego świeższa do tegoż niezwyciężonego cesarza Chrześciańskiego wyprawa, gdyż go tamtenże majestat dla osobliwéj skromności, obyczajów układności, serca wspaniałości, ale osobliwie dla wielkiéj w rzeczach politycich biegłości i mądrych mów, nie tylko częstą konwersacyą, ale i złotym a wolnym do swego pokoju kluczem uraczył, i tytułem państwa Rzymskiego książęcym ozdobić chciał, by się tym był skromnie, razem wspaniale nie wymówił, że w jednym szlachcica polskiego tytule wszystkie już był do Wiédnia sobie przyzwoite i podobne tytuły przywiózł.

A o lasce jego deputackiéj co powiém? Dobry sędzia nie tylko ma sprawy wielkich panów wspiérać, które przez się i nakładem, i potencyą, i respektami stoją, ale sprawy ubogich, które bez tych wszystkich podpór same przez się łacno się walą. Kto więcéj między znacznemi stanami i familiami zastarzałych kontrowersyj uspokoił? Kto baczniéj i pilniéj tam laskę marszałkowską, i potencyi swojéj *fulcra* obracał, gdzie snadniéj i prędzéj sprawiedliwość dla ubóstwa, dla niedostatku, dla bojaźni, dla uciśnienia osłabiéć i upaść mogła? Kto skuteczniéj i szczęśliwiéj *virga oris*, złotą ową wymowy swojéj podporą dźwigał na prawnym placu podupadłych ziemian, osiérociałych wdów, ukrzywdzonych siérot? Nie dziwujcie się, przezacni słuchacze! Sprawował się sam z mniejszymi stany podług miłości prawie chrześciańskiéj. W tak rozległych, szérokich, w rozlicznych dobrach i majętnościach z najmniejszymi sąsiady tak się skromnie, tak cicho, jako z równymi sobie zachował, żeśmy nigdy o żadnych w tém skwiérkach, o żadnych jego prawnych gomonach albo zaściach nie słyszeli. O! jako często w sprawy dawnością, albo upartością stron zatrudnione, a prawie opoczyste uderzał, a ztamtąd, gdzie się nikt nie spodziéwał, utajoną sprawiedliwości wodę na ochłodę utrapionych wybijał! *Dirupit petram, et fluxerunt aquae: abierunt in sicco flumina* (Rozszczepił opokę, i wypłynęły wody, płynęły wody na suszy). O Boże! jako to wielka u ciebie kościoła twego podpora nienaruszona w sądach sprawiedliwość! O jako przed majestatem twoim *virga directionis* (laska direktorska) laska trybunalska może i walące się nie wiém jakie państwo dźwignąć!

W najwyższym konsystorzu swoim stanąwszy najwyższy majestat, i zwoławszy ze wszystkich świata tego trybunałów i sędziów, mając im

owę udzielonéj swojéj władzy i majestatu inwestyturę konferować *(Ego dixi: Dii estis)*, dziwną do nich czyni przemowę: Wiédźcie to, panowie sędziowie, żeście wy nie prostymi ludźmi, ale Bogami! Uważcież, coby czynił Bóg, kiedyby sam swą osobą w oczach obudwu stron zasiadł w tychże właśnie waszych trybunałach, aby dał swoje zdanie, swoję kréskę. Z jakąby sprawiedliwości całością sądził, bez affektów, bez żadnego interesu swego? z jakąby statecznością i nieustraszoną powagą prawdę mówił bez żadnych ludzkich respektów? z jakąby gorliwością bronił pospolitego dobra i kościoła swego? z jakąby miłością dźwigał i wspiérał sprawy ubogich i osiérociałych? jakoby skutecznie karał krzywdy i uciśnienia? Tóż i wy czyńcie, boście téż Bogami, i zasiadacie na miejscu Boskiém. *Deus stetit in synagoga deorum.* Ale nie rozumiéjcie, proszę, żeby się tu w tych izbach jeden sąd, jeden trybunał ziemski odprawował: odprawuje się zaraz i drugi niebieski, a to nad ten wasz wyższy i straszniejszy. *In medio autem deos dijudicat* (A we środku bogów sądzi). *Advocavit coelum desursum, et terram discernere populum suum* (Zwołał nieba zwiérzchu, i ziemię, aby rozsądził lud swój). Owo zgoła nigdzie nie ma trybunału ziemskiego, gdzieby zaraz nie był i trybunał niebieski. O kiedybyście widzieli, panowie trybunalistowie, tudzież zaraz nad stołkiem marszałka waszego zasadzony tron Boski, majestat sędziego żywych i umarłych! O kiedybyście widzieli nad stołkami waszemi krzesła wszystkiego świata sędziów! O kiedybyście widzieli kancellaryą niebieską, nieubłaganych i nienaganionych instygatorów, świadków! O kiedybyście słyszeli kréski o kréskach waszych, dekreta o dekretach waszych? Ktoby z was przy obecności takiego majestatu śmiał w inszym sądzie potakiwać na jawne wykręty? Plato sprawiedliwość nazwał *fulcrum civitatum* (podporą miast). Cóż za dziw, że gdy się ona wali, miasto się i całe państwa walą? Cycero uczył, że bez niéj żadna rzeczpospolita trwać i w ryzach stać nie może. *Sine summa justitia stare respublica non potest.* I Seneka: *Ubi non est pudor, nec cura juris, instabile regnum est.*

Mędrzec złotą przypowieść na tronach królewskich rysuje: *Justitia firmatur solium* (Sprawiedliwością umacnia się krzesło królewskie): jako się umacnia sprawiedliwością, tak się łamie i upada niesprawiedliwością.

Chcę wystawić marszałkowską, senatorską laskę. Ta zaiste wspiéra i zadzierżywa walący się świat polityckí. Słusznie Salomon na

samych jakoby senatu swego drzwiach te kilka słów pisze: *Ubi non est gubernator, populus corruet.* Ztąd u Rzymian *Jupiter Stator* (Jowisz Utwierdzający), w kapitolium stawał: berło Jowisza Statora (jakom wprzód powiedział) *Vulcanus* tamże nie daleko wystawiony przekowywał w laskę Merkuryusza, boga krasomowców i Jowiszowego marszałka, którą potém starożytność grecka obwinęła wężami, i nazwała kaduceuszem. Taż Apollinowi, bogu także mądrości i wymowy, i synowi jego Eskulapiuszowi kładła w ręce laskę z wężem. Wiém, co ma laska do węża w rzeczach lekarskich u Eskulapiusza. W Indyach Zachodnich są drzewa lekarskie, mające gałęzie, z których owoc nakształt wężów wyrasta, i zową je kwoli temu *dracones.* Na wyspie *Cymbubon* są drzewa lekarskie, z których gałązki spadłszy, nakształt gadziny po ziemi się długo czołgają. Podobne się laski i na wyspie Malabarskiéj znajdują. I w pismie świętém lud żydowski miasto lekarstw od wężowego jadu miał zawieszonego na tyczy miedzianego węża. Ale w rzeczach politycków u Apollina i Merkuryusza co ma wąż do wymowy, do laski senatorskiéj i marszałkowskiéj? To, co utajona mądrość do odkrytéj w mowie albo szczérości, albo prostoty. Najpiérwszy i najchytrszy orator na świecie zjawił się wąż. *Serpens erat callidior cunctis animantibus* (Wąż był chytrszy nad wszystkie zwiérzęta), *qui dixit ad mulierem.* O Boże! jako łacno, a jak na ciężkie rzeczy nas namówił, a na jakie jasnego przykazania pańskiego przestępstwo! nędze i uciski, prace i poty, niedołężności i choroby, wojny i mordy! Ba i sam Bóg Mojżesza, wymawiającego się z trudnego w wielkiéj sprawie do Faraona poselstwa: *Obsecro Domine, non sum eloquens* (Proszę, Panie, nie jestem wymowny), wszytkiéj Boskiéj swojéj retoryki przez laskę i węża uczy. Co to jest (prawi), co trzymasz w ręce twojéj? Odpowiedział Mojżesz. Laska. I rzekł Pan: Rzuć ją na ziemię. Rzucił, i obróciła się w węża. Nie trzebać to przed majestatem w senacie, przed najprzedniejszemi świata tego głowami prostą zaraz mową jako laską szermować, nie mającto tam zaraz miejsca owe słowa: Źle to! Nie pozwalam na to! *Durus est hic sermo,* właśnie jakoby téż, iż tak rzekę, proste, już nie laski, ale kije z gęby wylatały. *Lingua mollis* (mówi mędrzec) *confringit duritiam.* Nie twardy, ale miękki język, łamie i kruszy twardość serca. Niech się mowa twoja w węża mądrego przewierzgnie, niech od upartości i twardości nie poczyna, niech

affekty słuchających miękkością i gładkością ujmie, niech się od prywaty i ztąd i zowąd ugina, niech się racyami jako węzłami jakiemi około saméj rzeczy zawinie i zakręci. Wyraziłeś ten retoryki Boskiéj wzór, wielki marszałku i oratorze, Janie Sapieho! kiedyś zdrową jaką i mocną radą, jaką słów okrągłością, jaką mowy łagodnością, jakiém affektów ugładzeniem, jakiém od swego interesu i ztąd i zowąd ustąpieniem, jaką przeciwnéj strony ochroną, jakiemi potężnych przyczyn węzłami zdanie swoje do stałéj i nie nachylonéj skuteczności prostował. Prosta laska obracałać się w mądrego i zawiłego węża. Dopiéroż racyami wszystko porobiwszy, rzecześ swoję umacniał; a iżeś prostą i nigdy żadnemi respektami albo przyjaźniami ludzkiemi nieprzełamioną prawdę mówił, słusznieś o sobie mawiał: *Malo esse Veronensis, quam Placentinus.* Nie zapomnią niemniéj szczérości, niż mądrości jego sądowe i senatorskie izby; nie zapomnią walne, na które, ile mógł, nie omieszkiwał, sejmy, ale osobliwie i ten ostateczny, na którym podawał zdrowe, wierne, nieomylne, z samego chrześciańskiéj i ludzkiéj polityki głębia wyczerpane warunki, i na poratowanie dobra pospolitego podpory, z wielkiém wszystkich kollegów zdumieniem i samego najjaśniejszego króla i pana naszego, Władysława IV. pochwałą, który *in virga oris ejus* (w mowach i radach jego) do samego drogiéj i nieprzepłaconéj mądrości złota ostrym rozumem i głębokim rozsądkiem przenikał, o wielkiéj jego w rzeczach pospolitych biegłości *oracula* i zalecenia czynił. Owo zgoła był *non genere tantum, sed et ore Scipio* (nie tylko wysokiém urodzeniem Scypionem, i dobra pospolitego podporą, ale i mądrą mową). — Idźmy już do trzeciéj części. *Et re Scipio* (i rzeczą samą Scypio).

Renatus Burdigalensis, sławny parlamentarz paryzki królowi, panu swemu posyłając o swym własnym chlebie trzysta koni przeciw nieprzyjaciołom, na chorągwi kazał wymalować głowę z gębą otworzoną, a przeciw niéj chléb wielki. Był do tego napis: *His juvabo* (Temi cię, króla, rzeczami będę posiłkował), jakoby téż rzekł: *Et ore, et re.*

Dwa są przednie każdego państwa filary: kościół i dwór. W kościele zasadził się majestat niebieski, we dworze majestat ziemski. Żadna rzeczpospolita jako bez tego, tak i bez owego stać nie może. Którakolwiek z tych dwu podpora się nachyli, ojczyzna się wali, zaczém trzeba razem oboje wspiérać, a chlebem wspiérać, wspiérać

dwór poczciwą o swym chlebie rezydencyą, i wierną dla rad i sądów przytomnością, wspiérać kościół hojną albo jałmużną, albo fundacyą. Oboje razem mądry król, lubo świéżo wybudowane wspiérał. *Fecit rex de lignis thyinis fulcra domus Domini, et domus regiae, et citharas lyrasque cantoribus.* (Uczynił król [Salomon] z drzewa tynowego podpory domu Pańskiego, i domu królewskiego, i cytry i gęśle muzykom). Czemu, proszę, razem z tego drzewa i cytry i gęśle robić kazał? Dlatego (mówi *Isidorus Pelusiotes*), że nie może się doskonalszy i milszy dźwięk i harmonia oddawać, jako z takiego drzewa, które dziwną jakąś i miłą zgodą wspiéra i dwór, i kościół. *Panaetion*, Greczyn, tłumacząc słowa psalmisty: *Regna terrae, cantate Deo*, tak mówi: *Regna terrae sapienter Deo cantant, in quibus privata communibus, terrena coelestibus consonant.* Nie wszyscy się świata tego panowie na takiéj harmoniej znają. Są, co prędzéj na domowe bankiety i krotofile, niż na ozdobę kościoła Bożego i dworu królewskiego portugałami brząkają. Gdzieżby to szczęśliwa jaka flota z Ofiru do nas z tém drzewem tynowém przypłynęła, żebrałbym z mantyką po ulicach, i wyżebrawszy od was by i najwięcéj piéniędzy, dałbym z tegoż tynowego drzewa luteń i gęśli narobić, coby grając napadły na dobry jaki humor chrześciańskich polityków, a przynajmniéj się dawną lutni pogańskiéj, i liryka rzymskiego melodyą zaleciły.

Cur eget indignus quisquam te divite? Quare
Templa ruunt antiqua Deum? Cur, improbe, carae
Non aliquid patriae tanto emetiris acervo?

Takąć Apollo piosnkę na lutni zagrawszy, zbudował Troję, póty stojącą, póki z niéj Grecy *palladium* pogańskiéj świątości nie wykradli: taką harmonią Amfion zbudował póty niezwalczone miasto Tebańskie, póki z niego Kreteńczycy Jowisza i Herkulesa potajemnie nie wywieźli. A jeśli się, panowie politycy, obrażacie, że was muzyką pogańską głaszczę, słuchajcież Synezyusza, sławnego w Grecyej chrześciańskiego liryka. *Pietas primum substernitor fulcrum et crepido, cui firmiter insistat simulachrum regni.* (Niech będzie wprzód pobożność podłożona jako podpora i umocnienie, na którémby mocno stanął obraz królestwa).

Co już rzeczemy o wielkim wielkiego księstwa Litewskiego marszałku? Dobrze mu ta wdzięczna z tynowego drzewa harmonia brzmiała.

Wspiérał dwór Boży, wspiérał królewski. Nie godzi mi się i kapłanowi, i zakonnikowi wielą to słów wywodzić, jaką i na sejmach, i na rezydencyach assystencyą, jaką chleba hojnością, jaką we wszystkiém przystojnością dwór królewski zdobił, jako kosztu nie litował, aby zawsze majestatowi ziemskiemu bywał przytomny z mądremi radami, któremi niektórzy tylko przy bankietach i domowych posiedzeniach ojczyznę wspiérają, a rzekłbym, że raczéj owemi pełnemi, jedno że je trudno nazwać filarami, bo je sami zowią n i e s t a w i a n e m i. Spieszę się jako kapłan do kościoła, drugiego każdéj rzeczypospolitéj filaru. Słusznie mu Symona, syna Oniaszowego *elogium* z Ekklezyastyka stosuję: *Simon Oniae filius, in diebus suis suffulsit domum, et in vita sua corroboravit templum* (Szymom, syn Oniaszów we dni swoje wspiérał dom, i za żywota swego umocnił kościół). Któż lepiéj twierdzi kościół, jako kto miasto starych i drzewianych nowe i murowane wystawia? Wystawił Jan Stanisław Sapieha, marszałek i wielkim kosztem, i pięknym kształtem murowany w Słonimie. Kto lepiéj twierdzi, jako ten, który samego Boga w osobach ubogich i niedołężnych wspiéra? Wspiérał Jan Stanisław Sapieha, marszałek, w Lachowiczach i w inszych częścią majętnościach, częścią dzierżawach, budując szpitale, i nadaniem, i porządkiem godne majestatu Chrystusowego, w nędzach i utrapionych utajonego. Kto lepiéj dźwiga kościół, jako ten, który mu mocnych od nauki i cnót podpór przymnaża? Przymnożył Jan Stanisław Sapieha, marszałek, znaczną się w Słonimie i do kościoła, i do wychowania wielebnych ojców *Minorum de observantia* summą przyłożywszy. Jako sam *Simon, Oniae filius,* był z gorącego nieśmiertelnéj pamięci rodzica katolika i kościoła Bożego podpory, gorącym katolikiem, i znaczną religii świętéj katolickiéj podporą, tak się starał o stałe téjże wiary świętéj podpory, któreby takiemiż z ojca i patryarchy były.

Opatrzność, którą ma Bóg nad ubogimi, starzy egipscy mędrcowie wyrażali, malując oko na lasce, jakoby wszędzie po świecie o lasce chodziła, i tam i sam się przypatrywała, jeśli kto w czém podupadł, a zaraz każdego wspiérała. W témże ją podobieństwie widział Jeremiasz prorok. Pyta go Bóg: *Quid tu vides, Hieremia?* (Co ty widzisz, Jeremiaszu?) *Virgam vigilantem ego video.* Drudzy czytają: *Virgam oculatam ego video.* Widzę ja (prawi Jeremiasz) laskę oczami natkniona, albo laskę z oczami czułemi: Czujna była laska, ojcow-

skiéj około podupadłych ludzi opatrzności wielkiego w wielkiém księstwie Litewskiém marszałka. Opatrowała mniéj dostatne powinne, opatrowała uboższe, ale zgodne kościołowi Bożemu i miłéj ojczyźnie *ingenia:* wspiérała je razem i dźwigała corocznym na nauki nakładem. Słusznie się jaśnie wielmożną tytułować może: jasną, bo była oczu czułych i na ubogie jasnych, wielmożną, bo wielu upadłych hojnie i możnie wspiérała. By przy oczach miała język, mogłaby o sobie wyrzéc, co o sobie mówił Job Święty: *Oculus sui coeco, et pes claudo.* Pospołu podpora i laska z okiem u niego, nad niedołężnemi opatrznym i litościwym, po kościołach, po szpitalach, po ubogich ziemian domach chodziła, we wszystkich potrzebę ratunku upatrowała, wszystkich podejmowała. Spytacie, coli téż doma i w gmachach własnych czyniła? Odpowiadam: Nie była, jako podczas u niektórych ową ogrodną tyczą, na któréj się tylko wije i wspiéra, cóż? chmiel! chmiel! tylko pijanice, tylko krotofilniczkowie, cobyto tylko do uciechy, a jeźli do pożytku, to nie do pospolitego, ale do własnego! Około wielmożnéj jego laski wiły się tylko i wzwyszały *doctarum hederae praemia frontium.* Dowcipy dzielne, sposobne do boju, sposobne do pokoju, sposobne do przymnażania pospolitego dobra i szczęśliwego, i w rzeczypospolitéj, i w kościele Bożym. Rad patrzał na takie w pokoju swoim młodziany, na takie w dzierżawach swoich ekonomy, na takie przy stole swoim męże, a (jako sam z wielką szczérością przed wielą powiadał) nic mu milszego na dworze swoim nie było, jak patrzać na ludzie godne, smaczno chléb u stołu swego jedzące. Miał pański humor króla owego, który, jako mówi Ewangelista, *intravit, ut videret discumbentes* (wszedł, aby obaczył jedzących). Czemu się ten król wprzód gościom nie przypatrzył, niż ich wprowadzono, albo u stołu posadzono? Podobno ich nie z rejestru wołano, nie z rejestru sadzono? I to może być. Ale to pewniejsza, był jakiś pan hojny, humoru wspaniałego, a takiemu nie masz nic milszego, jako patrzać na swych domowników, nie potajemnie, nie w cieniu, nie w piwnicach, nie po folwarkach swego wetujących, ale poczciwe przed sobą a hojno używających. Pięknie *Ecclesiastes: Ubi multae sunt opes?* tłumacz arabski tak przełożył: *In multitudine panis multi et qui comedunt eum: et quid prodest possessori, nisi quod cernit divitias oculis suis?* Tłumacz wenecki inaczéj trochę: *Quid gratius poterit esse domino ejus, quam videre hoc ipsum oculis suis?* A Olimpiodorus: *Principatus enim est illi, ut videat oculis suis.* (Gdzie

wiele chleba, wiele i tych, co go jedzą: i cóż może być milszego panu, jako na to samo patrzyć?). Żywyto a nie omylny szczodrobliwości Jana Stanisława Sapiehy, wielkiego księstwa Litewskiego marszałka wizerunek! Było u niego zawsze otwarte, wesołe, a, iż tak rzekę, jasne przy téj wielmożnéj chleba i pańskiéj dobroczynności lasce oko. Nigdy się przy stole na niższe, nigdy na najwyższe stany, nigdy na znajome nie zmrużyło. O wspaniałe, a nie wyczerpane ku dobru pospolitemu hojności serce! O cna, a wiecznéj pamiątki godna kościoła Bożego i nieoszacowanéj ojczyzny podporo! Chciałaś widzę i po śmierci wiecznemi czasy oboje dźwigać, ależ cię nieużyta śmierć, a razem i otuchy nasze obaliła, skruszyła, w popiół obróciła.

Lecz także bez pociechy z tego żałobnego placu zejdziem? Także te ułomki połamanéj wielkiéj wielkiego księstwa Litewskiego marszałkowskiéj laski na ziemi rozrzucone zostawiém? Chcę ja je, przezacni słuchacze, pozbiérać, chcę spojone łaskom waszym pokazać, chcę się, jakom obiecał, o jakiego marszałka postarać, któryby przed nim z tąż już znowu całą i świetną do nieba marszałkował laską.

Ta jest wszystkich tu światowych podpór, ta berł królewskich i lasek senatorskich słabość, że długo nie długo muszą się pod ciężarem by téż nie wiém jakiego majestatu, albo potęgi połamać i pokruszyć. By téż i lasami na tym świecie rosły, cóż z nich będzie? *Diu sylva, momento cinis:* a to samo biédne *diu* jako krótkie? *Quale hoc est quaeso diu, quod fine deletur?* mówi Hieronim Święty. Sadźcie się, światowi ludzie, jako chcecie, na tym śmiertelności gruncie, nie ujdziecie strasznych u Joba słów: *Vidi stultum firma radice, et maledixi pulchritudini ejus statim* (Obaczyłem głupca na korzeniu mocnym, i zarazem mu złorzeczył). Czemu zaraz Job złorzeczył? Obawiał się, że gdyby był nie zaraz złorzeczył, zarazby był nie znajdował, komuby złorzeczył, podług tego, co i król święty opiéwa: *Vidi impium superexaltatum super cedros Libani; transivi, et ecce non erat!* Cóż rozumiécie, panowie świata tego, jako krótkie, jako znikome jest bereł i lasek waszych *diu?* Jeśli téż które berło, która laska doczesnéj na tym świecie władzy dłużéj w swéj chlubie trwać miała, jak cudotworna Mojżeszowa i Aaronowa laska? Cóż? czy jéj kilka z łask waszych nie widziało w Rzymie w *sacrarium* laterańskiego kościoła już spróchniałych, nadłamanych, z ozdoby swojéj pospołu i z arką obnażonych? A jeśli rozumiécie, że to *apocryphum*, czytajcież u Baroniusza, że się ułomek téjże laski znajduje

we Francyi w kościele senoneńskim. Co jeśli temu nie wierzycie, tém samém więcéj jéj znikomość uznawacie, by jeszcze i w ułomkach na świecie była, powątpiéwając.

Co lubo tak jest, nie wszystko jednak, co się tu na ziemi łamie i kruszy, łamie się i kruszy w niebie: nie wszystko, co się przed oczyma ludzkiemi w niwecz obraca, obraca się w niwecz przed obliczem Bożém. Nie zgadza się Kalepin Boski i inwentarz śmiertelnych rzeczy z inwentarzem i Kalepinem ludzkim. Co gdyż tak jest, nie już, że się co śmiertelnego podług mniemania i myśli ludzkich złamało, złamało się i podług myśli Boskich: nie już, że się co jakoby w niwecz obróciło na ziemi, zniszczało i w niebie, ale osobliwie nie już w pamięci Boskiéj rozrzucone jego przeciw samemuż Bogu i bliźniemu zasługi i dobre uczynki; nie już pokruszona jaśnie wielmożna trybunalska i senatorska laska, że na ziemi w oczach naszych na téj żałobnéj trunie ułomki jéj leżą, albo że w niewdzięcznych jakich (jeśli się jednak takie znajść mogą), albo niepamiętnych, lubo téż nieuważnych myślach ludzkich są rozsypane. Prawda, że odprawujemy *planctum super fracturam virgae et fulcri* (płacz nad złamaniem laski i podpory)! Mamy przed oczyma ułomki jéj, prędko, niespodziéwanie, z żałością wszystkich przez śmierć rozrzucone. — Przymioty wielkie od pana Boga nadane, talenta znamienite, mądrość w radach, rostropność w mowach, dzielność w sprawach, siły same przez prace i kłopoty nie około biédnego *utile*, ale około *honestum*, około dobra pospolitego nadtargane, i sam żywot skrócony, — wielki to ułomek! Zasługi jego ku ludziom i ku Bogu, kościelne nadania, ubogich ludzi ratowania, codzienne jałmużny, insze uczynki dobre przez śmierć przerwane,— wielki to ułomek! Wspaniałe jego z miłości ku panu Bogu i téj miłéj ojczyźnie zawzięte zamysły, około budynków kilku kościołów, a mianowicie w Lachowiczach murowanego, około warowania i budowania kilku zamków, około założenia i nadania żołniérskiego szpitala, te mówię wszystkie zamysły od niego zawzięte, a niespodziéwanie przez śmierć o ziemię uderzone, — wielki to i nieoszacowany nas wszystkich podpory ułomek! *Planctus super fracturam virgae et fulcri* (Płacz nad złamaniem laski i podpory)! Ale się to wszystko przed oczy naszemi połamało, przed Boskiemi, jako mam wielką otuchę, spoiło.

Pisze *Vernerius*, sławny w Indyach medyk i o tamecznych ziołach pisarz, że z owych drzewa cymbubańskiego gałązek na ziemię

spadających, a (jakom wprzód namienił) nakształt się wężów czołgających, tamtéj krainy obywatele maść jakąś robią, którą oliwne tamtego kraju drzewo leczą, a co dziwniejsza, połamane z tegoż drzewa laski, plastrami obwinione i sznurami okręcone spajają tak, że się nakształt padalca zrastają. Pewnali to, osądzić nie śmiém, atoli się taka maść w aptékach naszych nie znajduje; musi się jednak znajdować podobna w aptékach niebieskich, bo słyszę, że się Bóg skarży na jakichsi duchownych lekarzów: *Quod infirmum fuit, non consolidastis, et quod aegrotum, non sanastis, quod confractum est, non alligastis* (Co niemocnego było, nie umacniališcie, co chorego, nie leczyliście, co połamanego jest, nie powiązaliście). Ba i sam obiecuje się to niedbalstwo duchownych medyków wetować. *Sanabo contritiones eorum, diligam eos spontanee, ero quasi ros, Israël germinabit sicut lilium, et erumpet radix ejus ut Libani, ibunt rami ejus, et erit quasi oliva gloria ejus.* Toć znać, że ma Bóg jakąś maść w lekarniach swoich niebieskich, co nie tylko rany, ale i złamaniny same leczy i spaja. Zkądże ta maść? Rozumiém, że téż z niebieskiego jakiegoś drzewa, rozumiém, że z owego, które Jan Święty w niebieskiém Jeruzalem widział. *In medio plateae ejus lignum vitae, et folia ligni ad sanitatem gentium* (Śrzód ulicy jego drzewo żywota, a liście drzewa ku zdrowiu narodów). Rozumiém, że to drzewo jest krzyż i gorzka męka Zbawiciela naszego. Jego starcie jako zawieszonego na drzewie węża i czołgającego się pokornie na ziemi robaka (*Ego sum vermis et non homo, opprobrium hominum et objectio plebis*) sprawiło nam zdrową maść, którą się rany i złamaniny nasze leczą i zrastają. Możemy do dusznych naszych nieprzyjaciół mówić: *Ne laeteris, Philistaeu, quia comminuta est virga percussoris tui, de radice enim egredietur coluber.* Nie wesel się, ani urągaj, Filistynie, że się podczas połomią laski i duchowne podpory duszy naszéj! jest taki korzeń, takie krzyżowe drzewo, które miasto gałązek ma węża, a z niego się taka dryakiew, albo raczéj taka maść robi, i do ran i ułomków naszych przykłada, że to wszystko leczy, i znowu spaja. W témże niebieskiego Jeruzalem widzeniu patrzy Jan Święty na anioła jakiegoś, który miał w ręku *mensuram auream arundineam, ut metiretur civitatem* (miarę trzcinianą złotą, aby mierzył miasto). Jakoż była trzciniana, jeśli złota? jako złota, jeśli trzciniana? Znaczyła podług wielu tłumaczów dożywotne zasługi i dobre uczynki nasze, albo cały żywot, według którego zamierzywa ten anioł każdemu z przeznaczonych chwałę i zapłatę wiekuistą. *In domo Patris mei mansiones*

multae sunt, mówi Zbawiciel. W domu Ojca jego jedne są mieszkania mniejsze, drugie większe, podług zasług mieszczan jerozolimskich. Ta tedy laska względem zasług naszych jest trzciną czczą, lekką, wątłą, a często i połamaną, ale przez łaskę Bożą i moc zasług Chrystusowych przy sakramencie pokuty świętéj, albo przynajmniéj prawdziwéj za grzéchy skrusze i szczéréj miłości Bożéj staje się złotą, pełną, ważną, stałą i całą. Zowie tę laskę *Panetion cicatricosam*, nakształt trzcinnych kolanek, mającą blizny albo znaki jakieś spojenia, dając znać, że nie ma owszeki sama z siebie mocy i całości ta ostateczna zbawienia naszego łaska i podpora, ale z ran i zasług Zbawiciela przenajdroższych. Uczy nas tego Piotr Święty w ostatecznym piérwszego listu swego rozdziale. *Deus omnis gratiae, qui vocavit nos in aeternam suam gloriam, in Christo Jesu, ipse perficiet, confirmabit solidabitque* (Bóg wszelkiéj łaski, który nas wezwał do wiecznéj swojéj chwały, w Chrystusie Jezusie, on sam doskonałe uczyni, umocni i ustali). O nieoszacowana i nieogarniona myślami naszemi dobrotliwości i łasko Boża! Jako często i przed śmiercią niespodziéwana *sanas contritos corde, et alligas contritiones eorum* (uleczasz skruszone serca, i przywięzujesz skruszenia ich)! jako wzbudzasz szczérą za grzéchy skruchę! jako sprawujesz, że zemdlałe i mimo wiadomość ludzką ujęte śmiertelną chorobą serce miłością twoją dogorywa! jako goisz rany duszne! jako cały żywot rozsypany i rozrzucony zbiérasz, spajasz, ożywiasz? jako *erigis elisos,* dźwigasz i podejmujesz w samych wieczności progach upadłych! jako na samym pielgrzymowania naszego kresie w ręce nam podajesz całą i ustaloną zbawienia naszego podporę!

14. Jan III.

*Pożegnanie z córką Teresą Kunegundą, z Maxymilianem bawarskim zaślubioną *).*

Idź, gdzie cię niesie ta fortuna twoja
Z domu rodziców, jedynaczko moja!
Idź z domu braci za ojczyste progi,
Bierz się do drogi!

*) Jan Sobieski, odprawiwszy w Warszawie 15. sierpnia 1694. wesele swéj jedynaczki córki, Teresy Kunegundy z Maxymilianem elektorem bawarskim,

Niewinny Jezus i ukrzyżowany
Niechaj cię przyjmie w swe otwarte rany,
I niechaj strzeże, zasłania i broni
W przeciwnéj toni.

Spiesz! niech ci drogę bezpieczną torują,
Za tobą i przed tobą postępują,
Którym cię dało w moc narzędzie Boże,
Anieli stróże.

Za ich modlitwą, prośbą i przyczyną
Wszelkie niechaj cię przeciwności miną,
A Bóg obfite szczęścia, łaski, dary
Zlewa bez miary.

Błogosławieństwo, co go w córkach, synach
Niebo udziela, miéj w tamtych krainach.
Życzęć pociechy z mych wnuków, twych dzieci,
Ojciec, Jan Trzeci.

15. Wacław Potocki.

Wacław Potocki, herbu Śrzeniawa był potomkiem mniéj zamożnéj rodziny szlacheckiéj, obcéj wielkiemu domowi Potockich Pilawitów. Urodził się około roku 1622., i był najmłodszy między trzema braćmi swoimi. Mieszkał na Podgórzu w okolicy Biécza, we wsi Łużna, gdzie gospodarstwem się trudniąc, oddawał się oraz naukom i w dojrzałym już wieku jął próbować sił swoich poetycznych. Piérwszym z większych płodów jego był poemat *Argenida*, który z słyn-

wśród czułego błogosławieństwa napisał na obrazie Maryi Panny własną ręką Pożegnanie, które jéj wręczył, gdy do Bawaryi odjéżdżała (13. listop. 1694.). Po niéj, jako matce królewskiego domu bawarskiego mamy najdostojniejszego potomka, a tym jest z linii macierzystéj miłościwie panujący nam teraz najjaśniejszy cesarz Franciszek Józef.

Drogi ten zabytek, malujący tak wyraźnie myśl religijną tego króla — bohatera, wypisany jest z rękopismu współczesnego o sprawach familijnych przez Antoniego Dąbrowa Łępkowskiego, sędziego kapturowego chełmskiego, a jest jeszcze w posiadaniu potomków jego.

(Z czasopisma lwowskiego: Przyjaciel domowy).

nëj podówczas powieści Barklaja prozą napisanéj, wiérszem ułożył. Okazane w téj pracy mistrzowstwo dykcyi zjednało autorowi dorazu bardzo zaszczytne miejsce w rzędzie ówczesnych poetów, jak Kochowski, Chrościński, Morsztynowie. Lecz Potocki nie pragnął sławy autorskiéj nader mało wtedy cenionéj, i wykończywszy swój ogromny poemat, pozostawił go w rękopismie. Ztąd już w roku 1674. w wiérszu do rymopisów współczesnych przymawia mu Kochowski, na co Potocki odpowiadając, tak o sobie mówi:

„Ja w swych wiérszach nie szukam próżnéj chwały dźwięku,
Alexandrów téż nie masz, którzyby w Herylu
Pokazali, co waży wiérsz dobrego stylu.
Sobie i Muzom piszę, nie frasując głowy,
Choć na tym szlaku zbiéram za wami podkowy.
Nie byłoby dobrego, nie bywszy partacza.“

Mimo tak skromnego zdania o sobie, trwał Potocki w obranym raz zawodzie poetycznym, a doświadczywszy sił na przedmiocie wpół obcym, umyślił ułożyć poemat narodowy, *Wojnę chocimską*. Jednocześnie obok prac większych pisywał bardzo wiele wiérszów pomniejszych okolicznościowych, wydanych poźniéj w zbiorze, nazwanym *Jovialitates i Fraszki*. Umarł w pomienionéj wiosce Łużna około roku 1697., zostawiwszy mnóstwo dzieł poetycznych w rękopismach, które z małym tylko wyjątkiem dopiéro po śmierci jego były drukiem ogłaszane.

Dzieła te są. 1) *Poczet herbów, Kraków* **1696**. — 2) *Argenida, Warszawa* **1697**. przedrukowana w Lipsku 1728., a następnie w Poznaniu 1743. — 3) *Nowy zaciąg pod chorągiew starą tryumfującego Jezusa, Syna Bożego nad światem, czartem, śmiercią i piekłem, Warszawa* **1698**. — 4) *Jovialitates albo żarty i fraszki rozmaite* **1747**., bez miejsca druku. — 5) *Syloret albo prawdziwy obraz męstwa* **1767**., bez miejsca druku.— Prócztego mnóstwo innych poetycznych tworów jego zostaje dotąd w rękopismie. Najznakomitszy zaś poemat jego *Wojna chocimska* wydany został drukiem po raz piérwszy dopiéro w roku 1850., i przez omyłkę autorstwo jego nie Potockiemu, ale Andrzejowi Lipskiemu przyznano.

K. Szajnocha.

A) Wojna chocimska, poemat bohaterski w dziesięciu częściach itd. W Lwowie r. 1850.

1. Apostrofe.

Grzéchy nasze, o Panie! za któremi w tropy
Na piérwszy świat chodziły ognie i potopy,
Dziś nie w wodzie dla tęcze, nie w ogniu z Gomorą,
Ale się w własnéj swojéj krwi czyszczą i piorą.
Krwią się myje, krwią poci ten świat jako w łaźni:
Wszędy pełno niezgody, pełno nieprzyjaźni,

Nawet miłość prywatna między ludźmi zgasła,
Wszystko z łakomstwem zazdrość nieszczęsna popasła.
Jeżelić kto co radzi, patrz na obie oczy,
Bo teraz każdy wodę na swe koło toczy,
Usty świadcząc ofiary, wywodzi cię w pole,
A niechętném sercem żga i od siebie kole,
Byle cię jako zażąć, albo cię mógł zażyć;
Póty termin przyjaźni, którą wyposażyć
Jeszcze trzeba. Tym kształtem zmyje cię bez ługu;
Bo jeźli mu się słowa i upomnisz długu,
Za psa twoja uczynność, krew, przyjaźń, warunek!
A drugi rychléj, niż dług, weźmie basarunek.
Wyrzekł się świat szczérości, rzadko między braty
Znajdziesz ją rodzonymi, nikt nic bez prywaty
Nie robi, i gdzie mu się praca nie nagrodzi,
Niech tonie, niech psy drażni, niech o kiju chodzi,
Bliźniemu nie usłuży, nie poradzi szczérze,
Cóż by go miał wykupić z pogańskiéj obiérzą?
Nagi człowiek, bez broni, bez biegu, bez mocy!
A wżdy teraz ani lwi, ani się tak smocy
Waśnią na się, jako on, na swe własne plemię:
Bestye, ognie, wody, wiatry, nawet ziemie
Stosuje, tu dowcipy, tu rozumy liczy,
Gdy ludzi z świata gładzi, gdy bliźnich kaléczy!
Jeszczeż pogaństwo, jeszcze co pod Mahometem
Z bydlęty za cielesnym dało się impetem,
I pobożność i prawo ostrą szablą mierza,
Nie dziw, bo nie zna Boga i jego przymierza;
Ale my chrześcianie, jako się sprawimy,
Że stokroć bardziéj sami z sobą się dławimy?
Pojrzy, o wieczny Boże! któryś niegdy tęgiem
Ujął gniéw sprawiedliwy przez niebo popręgiem,
I wiecznieś malowaną zawiązał obręczą
Swój arsenał, zkąd grozy twe nad światem brzęczą;
Pojrzy na tęczę, którą słońce twéj dobroci
We krwi i wodzie świętym rumieńcem stokroci, —
W téj krwi, którą toczyła niedołęga nasza,
W téj wodzie, co twych sądów na ludzi przygasza!

Przez tę krew, przez tę wodę, która jednym stokiem
Lała się, wytoczona Syna twego bokiem,
Proszą cię chrześcianie, Stwórco miłosierny!
Zamknij krwie w cię wierzących załośne cysterny!
Nie racz ich, nie racz, Panie, z twardym Faraonem
Za wielkie grzéchy w morzu zagubiać Czerwoném!
Niech jéj nie toczy srogi bisurmanin czopem,
Nie racz świata drugi raz zatracać potopem!
Ale niech nasze serca zwady i niesnaski
Przeciw sobie wyrzucą, a dla twojéj łaski
My, pod nowoprzymiernym którzy żyjem kluczem,
Tobie krzywdy i swoje urazy poruczem.
Ty pokarzesz, kto winien; za twych ludzi zgodą
Spuszczą rogi poganie, któremi nas bodą,
I jeżeli nie wrócą, co naszą niesforą
Wzięli, przynajmniéj więcéj już niechaj nie biorą!

2. Czas.

Rozum mistrzem wszech rzeczy, czas mistrzem rozumu:
On mostu, on nas łodzi on nauczył prómu.
Czasem człowiek lwy króci, i niedźwiedzie uczy,
Czasem słonie w wojenne beloardy juczy;
Czas, odmieniwszy w pysku przyrodzenie ptasze,
Dał srokom i papugom czwarzyć słowa nasze;
Czas wiatry chełzna, które zawarte w chomoncie,
Stawią człeka na drugim świata horyzoncie,
Gdy odąwszy płócienne na galerze buje,
Wszystkie ziemie, i wyspy, i morza osnuje.
Lata skrzydły Dedalus, lata po ojcowsku
Ikarus, póki słońca warował od wosku.
Działa łać, prochy robić, grzmieć i ognie błyskać,
Piorun zdaleka w miejsce umyślone ciskać
Granatów i misternych rac, które do góry
Wzbiwszy się, tworzą z ognia rozliczne figury.
Czas nauczył murować, czas murów ruiny
Przez potężne petardy i podziemne miny:

Cyngla ruszy, aż wszystko, co obaczą oczy,
Tak zwiérza, jako ptaka zmyślny strzelec troczy.
Czasem człek doszedł nieba i policzył gwiazdy,
Wié, która w miejscu wryta, która ma pojazdy;
Czas człeku czasy mierzyć, i choć ślepi oczy,
Wiedzieć, którędy, — wiedzieć, jako długo toczy,
Słońce koło nad światem, pokazał: i może
Pisać przed stem lat, wiele razy swe poroże
Księżyc — świécę, którą noc, słońce, którą krasi
Biały dzień, i w którą noc i w który dzień przygasi.
Czas obrotne zegary, kędy przez sprężyny
Pomiar, przez dzwonki ogłos swój mają godziny,
Albo cieniem cienkiego prącika wyznacza,
Albo w krzysztale piaskiem mieluchnym przetacza.
Czas wiedzieć, kędy ziemia który kruszec kryje,
Czas znać ludzkie persony, dawne historye,
Skoro je w miedzi ręka ćwiczona wydruży,
Skoro je malarz pęzlem na płótnie wysmuży,
Dał tysiąc lat oglądać, co już wszystko z czasem
W proch poszło za nikczemnéj gadziny opasem,
Druk, papiér i litery, któremi wykryśli,
Co mówi, co ma w sercu i co człowiek myśli,
I mogą się rozmawiać nie ruszywszy usty,
Mogą widzieć zdaleka ludzie inkausty.
Wszytkiemu czas przyczyną. O Boże dobroci!
Tedyż człowiek żywioły i naturę króci,
A przez te wszystkie wieki na grzéch i złe żydło
Znaleźć mu się dotychczas nie dało wędzidło!
Zna zwiérze, ryby, ptaki, drzewa, zioła, gady,
Wié, zkąd grom, piorun, zkąd dészcz, zkąd spadają grady,
Krótce mówiąc, na ziemi zna się i na niebie;
Wszędzie mądr, doma głupi, że sam nie zna siebie!
Wiatry chełzna, o cuda! na cielesne żądze
Dotąd mu się nie dały wynaleźć wrzeciądze.

3. Szturm do Kozaków.

Wtém Osman niecierpliwy każe palić działa.
Zaćmił słońce gęsty dym, ziemia z gruntu grzmiała,
Rozlegają się góry i przyległe lasy
Niewytrzymanym trzaskiem, strasznemi hałasy.
Tak twierdzą (jam tam nie był), że z onego grzmotu
Kilka ptaków na ziemię spadło zbywszy lotu.
Dzieli się Dniestr na dwoje, że mógł każdy snadnie
Obaczyć mokry piasek i kamyki na dnie;
Jęczą skarpy głębokie, zapadłe doliny,
A okopciałe skały równają kominy;
Grom słuch odjął, a oddech siarczyste otręby,
Wzrok dym, że sobie ludzie palce kładli w gęby.
Twierdził to i Chodkiewicz, że jak począł zmłodu
Wojnę służyć, takiego huku, dymu, smrodu
Nie uznał, jakim nas dziś głuszy, ślepi dusi,
Kiedy się żwawy Osman o Kozaków kusi.
Tylko też było szkody z onéj srogiéj burze!
Bowiem ci w swoich szańcach siedząc jako w murze,
Tak szkaradą kul gęstwą, która się tam zwali,
Jednego tylko z swoich junaków stradali.
A skoro kilka godzin bez wszelkiego skutku
Grzmi Osman, każe się swym zmykać pomalutku,
Jeśli się tam jeszcze kto morduje z tym światem,
Dorznąć go, a te działa wszytkie z apparatem
Wprowadzić do taboru, wygnać niedobitki,
A tak podciąć giaurom twardoustym łydki.
Już umilknęły działa, już nie ryczą smocy,
Kiedy tyran zajadły wszytkie wywrze mocy,
Żeby obóz kozacki, ze cztérech stron prawie
Obegnawszy, w tak strasznéj wziąść go mógł kurzawie:
Dopiéroż Turcy wałem ruszą z góry ku nam,
Tusząc, że się Kozacy tak gęstym piorunam
Oprzéć nie mogąc, albo zginęli do nogi,
Albo swoich taborów opuścili progi;

Choć, jako się wspomniało, nie bez Bożéj łaski,
Jeden tylko Wasyli zabit w one trzaski.
Nie rozsypką, jak piérwéj, kolano z kolanem,
Inaczéj się chcą pisać dzisiaj przed Osmanem,
Który z najwyższych szczytów onéj góry długiéj
Będzie sam swych rycerzów karbował zasługi:
Zielona go chorągiew, choć zdaleka, znaczy,
Zkąd każdego w tém polu swém okiem obaczy.
Długo leżą Kozacy, jako więc zwykł łowiec
Na lisa, i wilk, kiedy widzi stado owiec,
Nie piérwéj ten wypada, tamten zmyka z smyczy,
Aż się zbliżą, aż będą pewni swéj zdobyczy;
Tak Kozacy, swego się trzymając fortelu,
Nie piérwéj się objawią, dokąd im na celu
Nie stanie nieprzyjaciel: toż mu ogień w oczy
I z dział, i z ręcznéj strzelby sypą, a zuboczy
Zawadzi z nich Chodkiewicz, i o gołe brzuchy
Skruszywszy drzewa, sroższéj doda zawieruchy,
Gdy dobywszy pałaszów jako lew z przemoru,
Piérwszego bisurmanom przygasza humoru.
Zapomni się pogaństwo i strasznie się zdziwi,
Że Kozacy strzelają, i że jeszcze żywi,
Że ich wszytkich burzące nie pogniotły działa;
Smutnie przeto zawywszy swoje *halła! halła!*
Skoro ci jeszcze do nich wysypą się gradem,
Naprzód im czoła strachem podchodziły bladem,
Potém kiedy Chodkiewicz wsiędzie na ich roje,
Ze łby im ostrą szablą zdéjmuje zawoje,
Zwątpiwszy o posiłkach, zwyczajnego toru
Dzierżąc się, uciekali do swego taboru.
Nie pomoże Mahomet i carska powaga,
Gdy śmierć chwyta za gardło, gdy się serce strwaga;
Żadne względy nie idą, jeden strach ma oczy.
Tak znowu krwią pogaństwo pole uposoczy;
Bo naszy i Kozacy, co im staje siły,
Sieką, kolą, strzelają bojaźliwe tyły.

Targa włosy na głowie, gryzie sobie palce
Zjadły Osman, żurzy się na swoje ospalce;
Już nie wierzy, żeby był Mahomet na niebie,
I swych, i nieprzyjaciół, i znowu klnie siebie.
Potém się zapomniawszy, kiwa tylko głową,
Kiedy Turcy osobą gardząc cesarzową,
O jego się tak blizko ociérając strzemię,
Uciekają, nakoniec pięścią tłukąc w ciemię
Od gniewu, i samemu przyjdzie się rozgrzészyć,
Przyjdzie i nieprzyjaciól niestetyż! rozśmiészyć,
A uchyliwszy onéj prześwietnéj grandece,
Uciéc z pola, seklowi wyrzuciwszy lejce,
Zwykłe swoje ozdoby, forgi, piérza kinąć,
Wszytkichby chciał uprzedzić, wszytkichby chciał minąć.
Ale póki w polu stał, jeszcze się wstydali,
Jeszcze się jakokolwiek Turcy opiérali;
Skoro uciekł, skoro się do namiotu schował,
Wszytkich w drogę rozgrzészył i licencyował.
I armaty odbiegli, część tylko zawczasu
Umknęli jéj puszkarze, nim do dutepasu
Przyszło; więc że każde z nich przykute łańcuchem
Do drzewa, ani radzić mogło się obuchem;
Koła w trzaski i w drobne porąbawszy sztuki,
Działa w Dniestr rzucą z skały ze ściętemi buki.

4. Żywot spokojny.

A już téż rzadkie, i to wpoły przygaszoném
Światłem gwiazdy błyszczały po niebie przestroném,
Których złoty Lucyfer rozpuściwszy buje,
Rozstrzélane po sferze ogarki zajmuje.
Już nie ma zwyciężona noc władzy nad światem,
I Febe złotoroga kryje się przed bratem;
Już Hemu wysokiego, Tatr i przykréj Ety
Złotym słońce promieniem oświéciło grzbiety,
A na krzakach idejskich pełne rośnéj wody
Zdaleka się dojrzałe rumienią jagody.

Pastérz, swe trzody szronem w siwolite łąki
I przestrone obszary wegnawszy, dmie bąki,
Ciesząc się niesłychanie, kiedy mu po rosie
Iego dumy w odbitym echo wraca głosie.
Młody cielec gomołem, łbem i karkiem ciska,
Ale wytchnieć mu, kiedy pod jarzmem igrzyska
Pasą matki zdojone, w należytéj dani
Chcąc pełne mlekiem przynieść wymiona swéj pani;
A zuchwały koziołek biega jako cyga,
Co wyborniejsze ziółka ząbkami przystrzyga:
Na co wilka z krzewiny patrząc oczy bolą,
Gdyby nie psi, jużby mu zganił tę swawolą.
Słowik we dnie i w nocy przy strumieniu wodnym
Po swéj duma czystości akcentem łagodnym,
Trzepie skrzydła zroszone i mech szary puszy,
Dokąd go ciepłym słońce promieniem osuszy;
Niedojźrany skowronek gdzieś aż pod obłokiem
Pieje, i swe powtarza tyryle powłokiem.
Błędnym żeglarz Eurom i niepewnéj wodzie
Zdrowia i fortun wierzy: lecz kędyż przygodzie
Miejsca nie masz na świecie, i kogo zazionie
Wiecznym Neptun wyrokiem, na suszy utonie!
Oracz wprzągłszy do pługa pracowite cielce,
Znowu się długu wielkiéj zwierza rodzicielce;
Albo widząc dojźrałe lny, trawy i ryże,
Częścią ją goli, częścią skubie, częścią strzyże.
Drugi na podebranym brzegu wisząc śmiele,
Albo już jętą rybę prowadzi za skrzele,
Albo dający obrok swéj myśliwéj duszy,
Strzeże, rychło włosienia, rychło wędy ruszy.
Ten sobie dom buduje, groble sypie drugi,
I w miejscu poniewolne zastanawia strugi,
Żeby mu obrotnemi wiecznie snuły koły,
I ryby zawiérały. Ten osadza pczoły,
Ten owce strzyże, inszy bujne szczepi sady,
Albo wonne dziardyny, albo winohrady;

Wraca praca do ludzi i otwiéra domy,
Murowane kominy kurzy Wulkan chromy;
Albo młode wałachy, albo spaśne woły
W nadzieję założonéj szykuje stodoły.
Kto myśliwy, to w pole! krogulcem przepiórki,
Jastrząbem kuropatwy, a skoro kapturki
Zruci rarog, zająca zalatuje zgóry:
Gęsi sokół i dzikie ugania kaczory.
Mają swoje zabawy i ptaszęta drobne,
Gdy kto przy pewnych wabiach miejsce ma sposobne:
Choć je siatką przykrywa, choć zbiéra na lepie,
Kędy się bardziéj wikle, im się dłużéj trzepie.
Kto zaś smak we psich gonach i swoje ma gusty,
Wywrze ze sfor ogary w najgęstsze zapusty,
Którzy pojętnym cuchem dotąd zwiérza śledzą,
Że go nakoniec w miejscu trafią i popędzą.
To straszny rozgardyas, kiedy coraz klucze
Składa, a w szczwaczu serce z wielkiéj się zatłucze
Chęci, gdy chciwe oczy wytrzészczając czeka,
Rychło nań albo zając, albo sarna lekka,
Albo też lis rumiany, albo wilk ponury
Wypadnie; toż ze smyczy charty, jako z chmury
Piorun! więc zmyka, i sam szalenie na szkapie
Pędzi, i często szyje łomie przy herapie:
Albo się cieszy, jeśli z kręconych konopi
Z wielkim tryumfem zwiérza dobywają chłopi.
Owo wszelkie myślistwo na ziemi i w wodzie
Ucieszy, kto go lubi — przy pięknéj pogodzie.

B) Nowy zaciąg pod chorągiew starą tryumfującego Jezusa, Syna Bożego nad światem, czartem, śmiercią i piekłem, gdzie traktamentem doczesne błogosławieństwo, żołdem wesołe sumienie, wysługą korona królewska, która już niezliczonemu tego towarzystwu znaku na wieki wie-

czne kwitnącym okryła laurem skronie. Krzyż albo żałosna historya krwawéj męki i niewinnéj śmierci Chrystusa Pana, Zbawiciela świata z pism świętych, przez Wacława z Potoka Potockiego, podczaszego krakowskiego ojczystym wyrażona rytmem, roku Pańskiego MDCLXXX. dnia 1. sierpnia w Warszawie. Wydrukowano u ojców scholarum Piarum 1698.

1. Przedmowa.

Zaciąg wielkiego wodza pod proporzec złoty,
Który na wiérzchu góry podnosi Golgoty,
Myślę, jeżeli moja Urania zdole,
Echem kotłów sarmackich wyprowadzić w pole;
Gdy co żywo na wojnę z pogany się bierze,
Staną za mocny kirys nabożne pacierze.
Ale że tu gotowym szatan płaci groszem,
Boję się, żebym nie był daremnym doboszem
Borgowego zaciągu. Któż tego nie przyzna,
Że w piérwszym u żołniérza względzie gotowizna?
Jakoż nie podobna to rzecz jest w kogo wpiérać,
I radzić komu, żeby na borg chciał umiérać.
Każdy żołniérz chce żołdu wysłużonéj ćwierci,
Kwituje, choćby dawał królestwo po śmierci.
Nie Turcy, nie Tatarzy, nie ludzie, jako my,
Bo z tymi lepsza sprawa, ale czart łakomy
Dusz naszych, który w niebie z świętymi anioły
Był szermierskiéj, nim zleciał, uczestnikiem szkoły,
Przysięgły nieprzyjaciel, żadnym z nami mirem
Nie zgodzony, chciałby wziąść wszystek świat jassyrem.
Co gorsza, niewidziany, gdzie nie ufa sile,
Snadno nas może przywieść na swoje fortyle;
Albo wyperswaduje, albo co wystraszy,
Wié, co w sercu, wié, co się dzieje w myśli naszy:

Często nas niegotowych, często spiących zbiega
Łacno, gdy własne ciało nasze go przestrzega,
Świat wabi, śmierć nas straszy; kędyż, proszę, kędy
Człek święty, żeby nie miał jego połknąć wędy?
Na tegoćto niebieskich infamisa grodów
Do tych przyszło Synowi Bożemu zawodów,
Że rozwiązawszy mieszek najświętszéj krwi, dzięgi
Sypie, kto tylko bierze na nowe zaciągi, —
Sypie, i pewnie że znać pana po dostatku:
Co nam szatan iściznąą, on daje w przydatku.
Tych rzeczy, które służą śmiertelnemu ciału,
Nie kładzie w żołd, nie liczy ich do kapitału.
A że niebo nie może na nizkiéj być ziemi,
Tam się — tam porachuje z żołniérzami swemi!
Któż im w potrzebie, kto im w okazyi płaci?
W niebie ich uczci, w niebie dopiéro zbogaci:
Tam otarłszy krwawe z ciał uwielbionych poty,
Korony im i wieczne daruje żywoty,
I nagrodzi stokrotnie rany, razy, blizny.
Czart, którą dał na świecie, do téj gotowizny,
Którą Chrystus przydatkiem swoim wiernym wtrąci,
Chyba siarczystéj mazi spory kufel zmąci.
Niedaj Boże takiego traktamentu użyć!
Kwituję z gotowizny, wolę na borg służyć,
Wolę i bez przydatku obłudnego świata,
Kiedy mnie pewnie dojdzie na niebie zapłata,
Na którą dziś z ran Pańskich pijący rywułę
Odbiéram podpisaną jego krwią cedułę.
Anito śmierć, ani grób, co tu ludzi trwożą,
Zawsze na stanowisku żołnierzów położą.
Więc, o wielki hetmanie! w twoję się opiekę
Dawszy, nie skórą, ale papiérem oblekę
Lichy tołombas, który już lat dwa tysiąca
Dochodzi, jako dźwiękiem uszy ludzkie trąca.
Ale cóż? kiedy tylko tak szczęśliwe uszy
U ludzi tego wieku, serca ani ruszy!

Jakożkolwiek, ja przecie nadzieję nie tracę,
A za Boską pomocą twoją zakołacę,
Aza się jeszcze znajdzie na złym świecie który,
Co papiéru usłucha rychléj, niźli skóry:
Bo za krótszą przeprawę, niźli oka mgnienie,
Śmiertelnego żywota wieczne brzmi ciągnienie.

2. Do czytelnika.

Nową niosę Pańskiego jagodę wam ciała,
Która słońcem miłości na krzyżu dojźrzała, —
Pełen owoc roskoszy przy szczéréj pokucie,
I lekarstwo na wieczne Adamowe strucie:
Wam ją niosę, prawdziwi katolicy, gdyżem
Widział, którzy dla kształtu żegnali się krzyżem.
Osiérocony ojciec z dwojga wdzięcznych dzieci,
Bo on dlatego umarł, dlatego w dzień trzeci
Gwałci grób zmartwychwstawszy, śmierci kosę łamie,
I nie oparł aż w saméj piekielnéj się bramie,
Żeby nam ani szatan zguby naszéj pilny,
Ani śmierć, ani piekło, ani świat był silny.
Lecz że tak święta, wielka, i trudna robota
Ani jest mojéj ręki, ani mózgu z błota,
O Jezu! którego ran niezbrodzona głębia,
Racz mi pióra z onego użyczyć gołębia,
Który się (co widziała niezliczona rzesza)
Nad twoją Boską głową przy Jordanie wiesza.
A co ręka na papiér inkaustem kréśli,
Drukuj krwią swą na sercu i na mojéj myśli.

3. Czas śmierci Pańskiéj.

Wiosna.

Wiosna się po zimowym zaczynała chłodzie,
Gdy słońce Ryby z lutym zostawiwszy wodzie,

Postąpiło w Barana: dzień się równa z nocą,
Dniowi przybywa, nocy godziny się krócą;
Giną śniegi, ciepły deszcz płodną ziemię moczy,
Którą gdy z wiérzchu słońce grzeje, nie z uboczy
(Jako się w listopadzie zwykło dziać i w grudniu),
Wszelkiego ciała cienie giną o południu,
Miła wiosna nastała, któréj ta jest władza,
Że się w nię wszystkich rzeczy natura odmładza.
Sieją uprawne role, sady ludzie szczepią,
Parzą się zwiérze w boru, ptacy gniazda lepią,
Trawa roście po górach, łąki ślicznie kwitną,
Kędy barwą purpurę przetyka błękitną
Wdzięczna Flora, stosując do kolorów woni;
Zbiegło wszystko, cokolwiek zimie od nas stroni,
Ozwie się, co zmilczało przez te wszystkie czasy,
Nieme drzewa i ledwie nie przemówią lasy;
Żaby całą noc, ptacy od świtu do mroku,
Piérwsze świata początki w tym witają roku;
W tym bowiem czasie, owszem i tego miesiąca
(Co Mojżesz z rozkazania Bożego natrąca),
Fundamenty założył Bóg machinie świata,
Żeby wszystko, co chodzi, co pływa, co lata,
Mnożyło się na ziemi: wtenczas drzewo sadzi,
Którego fruktem człeka wąż przeklęty zdradzi:
Wtenczas drzewo żywota, — raczy było na nie
Zwabić naszych rodziców, złośliwy szatanie!
Wtenczas Noe z korabia, zachowawszy plemię
Wszystkich rzeczy żywiących, wychodzi na ziemię;
Wtenczas rękę do pługu obrócił od wiosła,
Gdy mu rószczkę oliwy gołębica niosła;
Winnice szczepi, żeby po ucisku swoim
Wesołym rozradował z dziećmi się napojem:
Przymieszał czart ipsymu, co mu głowę zmąci,
I z jego synów sobie trzecinę wytrąci.
Przeklęty Cham od ojca, i już łaski nie ma,
Lecz przyjdzie czas, uprzedzi kiedy do niéj Sema!

Wtenczas świata Stworzyciel znaczy miejsce tęczy,
Która zań jego mrówce — człowiekowi ręczy,
Że go nie skarze za grzéch potopem raz drugi,
Widząc różnych kolorów na niebie framugi,
Którym przypatrzywszy się każdy to obaczy,
Zielony wodę, ogień że czerwony znaczy.
Za wodę, po któréj się z resztą świata wozi
Noe, nam Bóg ślubuje, ale ogniem grozi.
Tam każdy na śmierć tonie, ktokolwiek się narza,
Tu nie zgore, ale się każdy wiecznie parza.
Wtenczas lud izraelski, co w Egipcie służył,
Skoro hardego króla dwunastą plag znużył,
Mocną Bóg wywiódł ręką; czego żeby wzmianka
Wieczna trwała, w ten czas im rznąć każe baranka:
Wtenczas Czerwone morze na dwie dzieli stronie,
Gdzie Żydzi przeszli sucho, Farao utonie.
Wtenczas gdy ku lepszemu wszystkie idą rzeczy,
Jezus umarł, Bóg umarł w naturze człowieczy!
Kiedy co żywo, na świat, on z świata załośnie
Nowemu dając światu początek i wiosnie,
Stawszy się nam barankiem onéj Nocy Wielki,
Wylał krew dla znaku serc naszych do kropelki!
W tegoćto dzisia słońce wstąpiwszy, noc skraca,
Nie w baranka, w samo się słońce nam obraca,
Które z ziemie swe na krzyż podniosłszy promienie,
Gubi z niego pogańskich zmysłów, gubi cienie
Żydowskich ustaw, czyni istotą figury,
Równają się pagórki, uniżają góry,
Krzywe rzeczy prostują, a chropawe gładzą,
Nowe się na świat nowy obrzędy prowadzą.
Nowy raj! Adam wtóry szczepi jabłoń iną
Na lekarstwo tym, którzy piérwszą struci giną.
Krzyż Jezusów korabiem na Golgocie stanie,
Gdzie w małéj liczbie z Noem na świecie zostanie:
Wszystek świat, wód szatańskich opiwszy się pluty,
Tonie w błędzie, aż gdy Jan woła do pokuty:

O cud, którego nasze zmysły nie dościgną!
Skropieni wodą, wodę szatańską wyżygną!
Taż woda, która ludzi za Noego topi,
Ożywia, kto się w imię Pańskie nią pokropi!
Krzyż Jezusów korabiem, o święty Gołębie!
Któryś rószczkę oliwy na świat przyniósł w gębie,
Znak pokoju któryś nam swym tryumfem sprawił,
I pokójeś nam swój dał, pokójeś zostawił!
Wtenczas on gołąb, co się nad Jordanem wiesza,
Ogniem swych Apostołów dwunastu pociesza.
Dziś, przed którą narody wszystkie niechaj klęczą,
Jezus różnych kolorów zawieszony tęczą,
W któréj wieczném przymierzem Bóg się z ludźmi łączy,
Rumiana krew, i woda zielona z niéj siączy,
Nową na górze Trupich Głów winnicę sadzi,
Sam gronem, krzyż mu prasą, serce miasto kadzi!
Pijany dziś miłością Chrystus w grobie leży,
Odkryty, ba odarty do naga z odzieży!
Dość zimy, dość i nocy! Jużeż, chrześcianie,
Z nową nam słońce wiosną stanęło w Baranie!
Minął zakon Mojżeszów, co się Żydom sroży,
Nowe nam zaświeciło słońce łaski Boży.
Dzisia czas przyjmowania w jego sadzie drzewu,
Czas rolą serc pobożnych wyprawiać do siewu,
Którą kiedy szczérych łez dészcz za grzechy zrosi,
Obfity panu swemu urodzaj przynosi:
Tylko w duchu siać trzeba; bo kto sieje w ciele,
Chwasty zrostą, i lada za pszenicę ziele.
O któryś nowe niebo, nową stworzył ziemię,
Wrzuć, Jezu! w serce moje słowa swego siemię;
Niech ci owoc stokrotny, skoro przyjdą żniwa,
Przyniesie, a gdzie miał być oset i pokrzywa,
Niech jodły i modrzewie, jako w bujnym lesie,
Zagęszczają na domu twojego przyciesie:
Pomóż mi krzyża swego drzewo w serce wsadzić,
Żebym czartu do inszéj nie dał się prowadzić, —

Jakich dzisia pełen świat, — dla jakich uroni
Nieśmiertelność najpierwszy rodzic nasz, jabłoni.

---

16. Stanisław Morsztyn,

Wojewoda mazowiecki — 1) *Andromacha,* trajedya z Jana *Racine* przełożona. — 2) *Smutne żale po utraconych dzieciach, w roku od narodzenia Pańskiego 1698. napisane.* Przypisał Konstancyi z Obor, żonie swojéj. W jednym roku 1698. 15. sierpnia umarła ośmnastoletnia córka, a 2. września syn, 21. rok zaczynający, będący już dworzaninem i pułkownikiem gwardyi królewskiéj. Nieutulony w żalu ojciec naśladował Kochanowskiego, opłakującego jedynaczkę swoję, i w wielu miejscach dosyć szczęśliwie, w innych atoli wiérsz poziomy, styl popsuty. — 3) *Hippolit, trajedya, jedna z dziesięciu, które wiérszem łacińskim zapisał Seneka, na polskie przetłumaczona.* Przypisał Janowi Jabłonowskiemu, chorążemu koronnemu.

Ks. H. Juszyński.

Smutne żale po utraconych dzieciach w roku od narodzenia Pańskiego 1698. napisane, w Krakowie w drukarni Mikołaja Szedla, jego król. mci ordynaryjnego typografa, roku Pańskiego 1698.

1. Żal.

O kiedyżby bez grzéchu w naszéj było mocy
Żal śmiercią uspokoić, tak jako snem w nocy,
Nie jedenby się pewnie frasunkiem zemdlony
Zaraz odważył skończyć żywot uprzykrzony,
Do grobu się na długie położywszy spanie,
Póki trąba nie zagrzmi w ostatnie świtanie!
Lecz że każdemu z nieba naznaczona miara,
I śmierć nakręconego pilnuje zegara,
Żyć trzeba, w oschłe żalem ciężki oddech płuca
Ciągnąc, kiedy się serce jako w ogniu rzuca.
I w niezmiernéj żałości ten kaganiec żywy
Poddymać, przylewając łez miasto oliwy,
Pokąd się w węgiel albo w popiół nie obróci:
A ty, Boże! gdy w żalach biédny ojciec nuci,

I przed twoim zniżony gniewem aż do śmieci,
Śmierć dwojga ukochanych opłakuje dzieci,
Przez mękę Syna i przez Matki jego smutek,
Przez twoję dobroć, któréj pewny zawsze skutek,
Przez przyczynę twych Świętych, na mdłe mając ciało
Respekt, bo z ziemie wzięte, do ziemie ciężało,
Odpuść krewkości grzéchy, odpuść nasze winy!
A za tak rzewliwych łez gorzkie oblewiny,
Jeśli nie chcesz na ziemi, daj w niebie corychli
Pociechę, gdzieby śmierć, grzéch, świat, szatan ucichli:
Tam już przestaniem płakać, w inszym będąc stanie
Po kochanéj Teresie, i po wdzięcznym Janie!
Owszem cieszyć się będziem i z niemi pospołu,
Że do nieba trafili z ziemskiego padołu,
Że zakończony żywot wieczną już nagrodą
Mają, i nas z tak świętą czekają gospodą,
Modląc się Bogu Ojcu za smutne rodzice,
Żeby tam osuszyli płaczące źrzenice:
Bowiem tu, nim zapadną ostatnim snem oczy,
Nie oschną, kiedy je żal ustawicznie moczy.

2. Żal.

A któż tak bezrozumny, że się ubespieczy,
Niestatek i niepewność widząc ludzkich rzeczy?
Wszystko tu kołem leci, wszystko się obraca,
Czas przeszły nam zabiéra, a przyszły przywraca.
Świat jako na przetaku wszystkie rzeczy mięsza;
To żal morzy, to znowu nadzieja nas wskrzesza.
Nie wié oracz, w wrzuconém co go czeka ziarnie,
Jeśli go miasto zysku nie utraci marnie:
Jako zaś, chociaż wszystkie utracił nadzieje,
Daleko więcéj może użąć, niż wysieje.
Lecz to rzadka szczęśliwość! Ustawne odmiany
Prędzéj od gęby wezmą kęs nieobiecany.
Choć wznidzie, choć i rośnie, nie zawsze dojrzeje,
Często kłos niedostały ginie i niszczeje:

Albo się kędy z słabém ździebłem zawieruszy,
Albo przy chędożeniu zepsuje i skruszy,
Zwłaszcza gdy nas ustawnie śmierć przesiewa, i to
Niestateczne ludzkiego życia trzyma sito,
Gdzie różne ziarna, choć się bez przestanku sieją,
Nie jedną przecie zwykły wypadać koleją:
Jedni się długo kręcą, drugim nagle skraca,
A zaraz spadnie każdy, którego namaca:
Spadnie stary i młody bez żadnego względu,
Kożdy naznaczonego dobiega zapędu,
I nie postrzeże drugi, jako zgóry zleci,
Aż kiedy się pomięsza między spodnie smieci.
Lecz kto sercem wspaniałém, nie mając się do dna,
Wié, ze znikoma roskosz nie jest tego godna,
Żeby się nią miał parać, i pilno się dźwiga
Ku niebu, pilno tych, co przed nim poszli, ściga.
Ten z żyzną i uprawną będąc wsiany rolą,
Gdy się już plene kłosy od ziemie wyzwolą,
Choćby szwankować przyszło świata tego niwie,
W rzęsistém Stwórcy swemu popisze się żniwie,
I odbierze nagrodę, że się tu fortelu
Ustrzegłszy czartowskiego, dopędził do celu,
Który chociaż daleki, przecie go dosięże,
Kto się w potrzebne cnoty ochotnie zaprzęże.
Każdy go myślą widzi, i nie może chybić,
Najciężéj górnym lotem od ziemie się wybić:
Ale gdy się kto zdołu pnie w niebieskie strychy,
Często mu czart przeszkodzi w ambicyi cichy:
Dlatego kiedy sieje, gdy światem kołysze,
Nie trzeba się podnosić w niepotrzebnéj pysze.
Niechaj czcze ziarno zbytnie do wiérzchu nie tąży,
Bo jako sam spadł z nieba, tak i pysznych zkrąży;
Ani się téż zaś mięszać z ciężkim prochem na dnie,
Który przesiany, prosto do piekła przepadnie;
Środku się trzymać trzeba, gdziekolwiek się sunie,
Ani przeciwić, ani podlegać fortunie.

Nie długieć są jéj rządy; zaczém każdy snadnie
Wytrwa, byle chciał, i co z jego lepszém, zgadnie. —
W miękkiém i niedojrzałém ziarku, ach niestocie!
Dzieci moje na tym bydź poczęły rzeszocie,
I choć się zieleniały i nie całe doszły,
Wsiać je gwałtem kazano, gdy do grobu poszły,
W którym kiedy ich ciała biédny ojciec kopię,
Tak żałośny siew łzami ustawnemi kropię.
Boże mój miłosierny! gdy ostatni z sitem
Dzień przyjdzie, daj mi miejsce między czystém żytem
W twoim szpiklerzu, a tę w ziemskiém życiu szkodę
Powetuj, dawszy wieczne na niebie w nagrodę!
I nas, póki świat trzęsie w przetaku téj skóry,
Brón, żebyśmy do śmierci nie przepadli wtóry!
Daj nam wstać z dojrzałemi na sądny dzień kłosy,
Z kąkolu nas i z marnéj uwolnij stokłosy!

17. Wespazyan Kochowski.

Wespazyan Kochowski, wojski krakowski, służył za Jana Kazimierza wojskowo przeciw Kozakom i Szwedom, lecz i za Jana III. był na wyprawie pod Wiédniem 1683. roku, szczycąc się tytułem nadwornego historyka tegoż monarchy. Umarł zapewne przy samym końcu siedmnastego wieku w latach zgrzybiałych. Należy do celniejszych naszych poetów lirycznych. Dzieła jego rymotwórcze są: 1) *Nie próżnujące Próżnowanie, albo lyricorum polskich ksiąg V.; tudzież epigrammata i wiérsze wesołe, w Krakowie u Alberta Goreckiego 1674.* Przedrukowane tamże 1681. Piérwsze wydanie jest w bibliotece licealnéj warszawskiéj. — 2) *Chrystus cierpiący, w Krakowie u Szedla 1681.* — 3) *Ogród panieński pod sznur pisma świętego i doktorów wysadzony, tojest epigrammata polskie z różnych tytułów o Najświętszéj Pannie, tamże 1681.* (Bezimiennie wydane to pismo). — 4) *Dzieło Boskie, czyli pieśni o wybawionym Wiédniu, w Krakowie u Goreckiego 1684.* (Bezimiennie). Właściwie jedna to jest pieśń mająca 100 strof. Autor sam wyznaje, iż będąc w wieku podeszłym, sądził się mniéj zdatnym do wiérsza, dlatego w téj krótkości rzecz tę zawarł, i z tego powodu obszerniejszy téj wojny opis ułożył prozą po łacinie, tegoż roku w Krakowie wydany. — 5) *Różaniec do Najświętszéj Maryi Panny podług trybu w zakonie kaznodziejskim używanego, drugie wydanie, w Częstochowie 1695.*

Prócz tych rymów Kochowskiego znajdował się jeszcze w bibliotece Załuskich rękopism wiérszy tegoż poety z napisem: *Ogród, ale nie plewiony, bróg, ale co snop to inszego zboża, kram rozliczneyo gatunku.* Podobnyż zbiór miał posiadać książę Jabłonowski, jak pisze Załuski w miejscu przytoczoném.

O poezyi Kochowskiego powszechne jest zdanie, iż wiele w niéj widać mocy i poetycznego zapału, lecz bardzo często spostrzegać się daje brak czystości języka i nie wykształconego smaku.

F. Bętkowski.

A) Wespazyana z Kochowa Kochowskiego Nie próżnujące Próżnowanie, ojczystym rymem na lyrica epigrammata polskie rozdzielone i wydane w Krakowie, w drukarni i sumptem Wojciecha Goreckiego, sławnéj akademii krakowskiéj typografa, roku Pańskiego 1674. dnia 6. Oktobra.

1. Wiosna.

Niech lato kopy liczy, niech jesień winnice
Uprząta, i przestrone napełnia piwnice,
Bachusowemi niech się zima mięsopusty
Szczyci, w które pozwala cnéj młodzi rozpusty,
Wiosna wszystkiemu czołem. Ona śniegi zbiéra,
I na przemarzłéj ziemi ona rozposciéra
Różnych kwiatków szpalery, taje lód żałosny,
Gdy mu gwałtem dogrzéwa lubéj ciepło wiosny;
Z ujeżdżonego grzbietu Wisła zrzuca lody,
I wszelkie w dalszéj nie chcą żyć niewoli wody;
Pogodne dni oświéca z ciepłem jasne słońce,
A ziemia śnieżnéj zbywa jak przez gwałt opończe.
Ustały zawieruchy, na to miejsce goni
Uciekające Austry z Zefirem Fawoni,
Przy których *Ethesiae*, jak i *Caurus* wieje,
Aż wszelki rodzaj kwiatków w ogrodach się śmieje.
Twa ręka, panno piękna! niechaj nie mitręży,
Niech ci z prędką nagrodą ta praca nie cięży.
Wiosna każe, bierz krzaki z piwnic rozmarynu,
Lubo są obumarłe, nieś je do dziardynu:

Gdzie jak prędko ożyją z wiosennéj wilgoci,
Więcéj twéj głowie będą pamiętne dobroci,
Toż pachniąca lewanda, tulipan, fijołki,
W różnobarwe upstrzywszy kolory wiérzchołki,
Narcysy, hiacynty i heliotropy
Tuż za biegiem słonecznym postępując w tropy.
Tu swéj blednie lilija białością natury,
Sam się róża czerwieni rumieńcem purpury;
W drugim krzaku zaś biała na słoneczne przyście
Przyjemną czyniąc wonią, swe rozwija liście.
Zefiry powiewają, woda bieżąc mruczy.
To wszytko, piękna młodzi, niechaj cię nauczy,
Jako masz kwitnącego dziś zażywać wieku,
Który raz utracony nie wróci się człeku.
Wiosna, młodość, uroda w nieścignionéj łodzi
Bystrszym Dunajca nurtem płynie i uchodzi.
Róża prędko opadnie, jesień kwiatkom szkodzi,
Które zaś przyszła wiosna powtórnie odmłodzi:
Człowiek w następującéj dalszych lat jesieni
Drugi raz nie odmłodnie, ani się zieleni;
Przeto kwitnącéj pory lat twych zażyj snaduie,
Już się ten kwiat nie młodzi, kiedy raz opadnie.

2. Muzy potrzebne Marsowi.

Darmo, mężny Gradywie!
W krwawyms ię kochasz żniwie,
A chcąc pokazać skutek twojéj siły,
Różne trofea sypiesz i mogiły.
Mała korzyść Bellony,
Chociaż liczne szkwadrony
Daryuszowe zniozszy w boju walnym,
Sama się w wieńcu niesie tryumfalnym.
Jeśli grono dziewiętne
Dam parnaskich niechętne,
A Kalliopy piórem sławne dzieje
Na świat nie wyńdą, zwycięstwo zniszczeje.

Było *Illium*, było!
I w sławie wielkiéj żyło,
Lecz by nie znało Homerowych chęci,
W wiecznéjby dawno zgasło niepamięci.
Także waleczność ona
Wielkiego Macedona
Dlatego dzisia w takowéj jest cenie,
Wziąwszy na wieczność paszport w Hipokrenie.
Coć mądre pisma mogą,
Że zwalczywszy śmierć srogą,
Nową torują drogę do wieczności,
Poźnéj podając dzieła potomności?
Kamiennéj piramidzie
Za czasem upaść przydzie,
Jeno od *Alpes* wianie Auster skory,
Miąższych kolosów rozwali marmory.

3. Wszytko z nieba.

Dominus regit me, et nihil mihi deerit, in loco pascue ibi me collocavit. Psal. XXII.

Pan mym pasterzem, Pan mi daje chleba,
Pan opatruje, czego żywnie trzeba,
Pan żywi ciało, Pan żywi i duszę,
Wielbić cię, Panie, za te dary muszę.
Pan duszę moję na paszej obfitéj
Posadził, kędy blizko znamienity
Płynie zdrój żywéj katolickiéj wiary:
Za teć, Boże mój, wprzód dziękuję dary,
Żeś w prawowiernéj chciał mię mieć owczarni,
Kędy nie błędom służą ludzie marni,
Lecz żywéj prawdzie w twym świętym kościele,
Która przez wiarę w niebo drogę ściele.
Panie! i za to dziękować ci trzeba,
Żeś gębie mojéj dał dostatek chleba:
Dosyć! mój Panie, i za toć dziękuje,
Więcéj nie pragnę, tém się kontentuję.

Cóż mi po więcéj? na czémże mi schodzi,
Gdy mi ojczysty szmat bujno zarodzi?
Pożywi czeladź, w tąż wystarczy i mnie,
Dobry przyjaciel pożywi się przy mnie.
Niechaj *Pactolus* złotym nurem sieje,
Złotem niech błyszczą mexykańskie knieje;
Ci, co to mają, przecie są ubodzy,
To pan, co chciwość utrzyma na wodzy.
Niwo! ma niwo! skibo ziemie plenny,
Ty co raz wieniec żytny, także pszenny
Spokojnie na méj gdy położysz głowie,
Za fraszkę wasze korony, królowie.
Ta mię odziéwa według mojéj miary,
Z niéj zbiéram corok bogate towary,
Chociaż me szkuty nie ucisną Wisły,
Kontent lelowskiéj czekam floty przyszłéj.
Mam przyjaciela, co od Boga dany,
Jest i na stajni sekiel farbowany,
Broń doświadczona, a do tego żeby
Był grosz (dosyć mam) jeden od potrzeby.
To tedy że mam, twoje, Panie, dzieło,
Mnie dobrze wdzięcznym bydź, a tobie miło.
Przeto dziękując za skarb ci takowy,
Zemnąć oddają dzięki Goleniowy.

4. Do lutni.

Lutni moja ulubiona!
Lutni wdzięczna, złotostrona!
Kto twe cnoty, kto przymioty,
Kto wychwali dźwięk twój złoty!
Tyś na frasunki i troski
Dar z nieba zesłany Boski,
Tyś w smutkach ludzkich jedyna
Ochłoda i medycyna.
Chcesz wiedzieć, jakiéj natury
Muzyka? Jerycha mury

Nie taranem, ani działy,
Lecz od niéj poupadały.
Przypomniéj sobie i ową
Dziwną manią Saulową,
Jak się nie wprzód ukołysał,
Aż wdzięczną arfę usłyszał.
Wspomnieć i dawniejsze czasy,
Jak tańczyły góry, lasy,
Pardowie i lwi okrutni
Na miły dźwięk trackiéj lutni.
Lecz się pewnie mało rzekło:
Jéj słuchało kiedyś piekło,
Gdy Orfeus w piekle żony
Szukał, liryk bijąc w strony.
Ale i w morzu patrz! ona
Czyni dziwnym Amfiona,
Jego w srogiéj morskiéj toni,
Lutnia trzyma, lutnia broni.
Acz i nieba kołowroty
Odprawują się obroty,
Harmoniej na głos dziwny
Nucąc Bogu zwykłe hymny.
Tak i w boju, bez przynęty
Nie bywa mosiężnodęty
Trąby? Azaż i lusztyki
Ważą co, gdy bez muzyki?
Teć muzyka ma zaloty,
Którą snadź przez cztéry młoty
Kowalskie bijący oraz
Miał wynaleźć Pytagoras.
Lubo z takiego początku,
Do tego przyszła porządku,
Że dwadzieścia głosów może
Liczyć jéj w porządnym chórze.
A słyszyszże, lutni, i ty,
Że mania gość nie zbyty?

Zaś przy tobie wziąwszy czaszę
Melancholią wystraszę.

6. Dziewosłąb wiédeński, albo wyjazd jw. jego mci ks. Andrzeja Olszowskiego, biskupa chełmińskiego podkanclerzego koronnego po najjaśniejszą Eleonorę królową polską.

Jak najspieszniéj, cny prałacie,
W téj poważnéj wsiadaj szacie
Do karoce, która stoi
Dla wygody w drodze twoi:
W niéj dorodnych sześć rże koni,
Wiatronogie i chędogie, — strzała ich w lot nie zgoni.

W szczęśliwą się rusz godzinę,
Gdzie minąwszy Szląska Pcynę,
Bystréj Odry jadąc krajem,
Staniesz, kędy nad Dunajem
Piękny Wiédeń położony,
W murach cudny, w mieszczan ludny, oko Rakuskiéj strony.

Tam poważną przez perorę
Powitawszy Leonorę,
Przed nierychłym mięsopustem
Z rzymskim rozmów się Augustem,
Wywiodłszy mu mądrą mową,
Tę dziewoję że za swoję chce miéć Polska królową.

Pokazując, ile było
Polaków się zgromadziło
Niedawno na walną sprawę
Elekcyi pod Warszawę,
W tęż zebrani kupę liczną
Przez cię proszą, prośbę wznoszą o Leonorę śliczną.

Dziewosłębie! do imprezy
Téj skończenia to należy,

Abyś użył lubéj matki
Nie o złoto, nie dostatki,
Lecz nie gardząc przedsięwzięciem,
Żeby chciała miéć Michała, króla polskiego zięciem.

Wszak rakuskich matron skronie
Nie raz były w téj koronie:
Te zna Polska z nich zadatki,
Że jéj były jako matki;
Więc i teraz wielce prosi,
Niech ją blizką towarzyszką panu swemu odnosi.

Chwała Bogu! wielkie dzieło,
Szczęśliwie się już skończyło!
Grzmią na *paean* huczne działa,
Noc ogniami rozjaśniała:
Ruszaj, pośle, od Dunaju
Nieś ku Wiśle sekret ściśle miłéj w sarmackim kraju.

B) Epigrammata polskie, po naszemu fraszki, w Krakowie w drukarni Wojciecha Goreckiego, sławnéj akademii krakowskiéj typografa, r. 1674.

Tak ma bydź.

Czemu łuskę z ryb skrobią? Mniemam temu pono,
Że gdyby piérze miały, toby je skubano.

O wiérszach tych.

Wiérsze me w swéj szczupłości, wiém, nie są bez wady,
Lecz je nie dla stoików pisałem gromady:
Nie masz w nich logogryfów. Jeślim zprosta łatwy,
Wielkie wielkim gdzieindziéj, te małe dla dziatwy.

O nichże.

Mówisz, że wiérsz mój prosty, aleć małe dziwy,
Obróćże go na ukos, to tak będzie krzywy.

Róża.

Patrz, jako śliczna róża, a nie jest bez wady;
Z niéj pszczółki miód zbiérają, z niéj pający jady.

Daremna.

Jak wiatr mierzyć, czas gonić, groch na ścianę miotać
Próżna, tak o to, co się nie wróci, kłopotać.

Koń.

Jako potrzebne bydlę, syn klaczy dorodny,
Jeżeli który człowiek, tedy ten wygodny,
Ciągnie wóz, juki nosi, i w karecie chodzi,
Sierścią sobie podobnych pięć przyprzągłszy młodzi.
Włożąli na grzbiet siodło, jako nań pan wsiędzie,
Przesadzać darsko rowy i foszaty będzie;
Przez rzéki na nim pływa, do kołeczka krąży,
Pod nim pierzchliwe zwiérzę doganiać nadąży.
Na głos trąby weselszy, rana go nie ztrwoży,
Z mężnym panem nosiciel wraz się mężny sroży;
Na nim pan goni, na nim, gdy źle bierka padnie,
On z niebespiecznych razów wynosi go snadnie.
I snadź dla téj wygody starzy tak wierzyli,
Że pół człeka pół konia centaurowie byli.

Odmiany.

Fortuna nasze dzieje jak przez przetak sieje,
Raz się na człeka zmarszczy, a dwa się rozśmieje.

Słówko wróblem wyleci.

Jak śnieg, chociaż pomału, ba i drobny leci,
A przecie wielkie czyni zaspy i zamieci;
Tak z błędu błędy rosną, z małych szeptów wieści,
Że się po wszytkim świecie echo ledwie zmieści.

Trzy drogi.

Trzy drogi ludziom trudne są po wszytkie lata:
Na świat przyjść, na świecie żyć, i dobrze zejść z świata.
Wszelkie szczęście w téj trynce zwykło się zawiérać:
Dobrze się rodzić, dobrze żyć, dobrze umiérać.

18. Erazm Otwinowski.

Dzieje Polski pod panowaniem Augusta II od roku 1696.—1728. opisał współczesny Erazm Otwinowski. Jedyny, o ile wiadomo, rękopism znajdujący się w bibliotece uniwersytetu jagiellońskiego ogłoszony był po raz piérwszy r. 1838. staraniem Edwarda Raczyńskiego. Dokładniéj wydał pamiętniki te Józef Czech w Krakowie 1849. O autorze nie wiémy nic więcéj, jak że był obywatelem województwa Krakowskiego czyli Sandomiérskiego. W Niesieckim i Duńczewskim nie masz nic o nim. W przedmowie do powtórnego wydania (1849.) mówi wydawca: „Wydajemy tę książkę jako ważne źródło historyczne dla budowy dziejów. Autor niniejszego dzieła był naocznym świadkiem wszystkich prawie skréślonych przez siebie wypadków.“

Dzieje Polski pod panowaniem Augusta II. od roku 1696. — 1728. opisał współczesny Erazm Otwinowski, Kraków 1849.

Rok Pański 1709.

(§. 12.). Król szwedzki, mając już Kozaków zadnieprskich po sobie, szedł Ukrainą ponad Dnieprem aż do ostatnich granic kozackich przeciw siedliskom tatarskim, żeby mógł z hanem krymskim wziąść swoje kointeligencye wojny przeciw Moskwie, a to wszystko czynił z rady Mazepy Wielkiego, który dawno już z Szwedem przyszedł do przyjaźni, porozumiéwał się, i *directe* z Tatarami kuł wojnę. A tymczasem car moskiewski zniósł pod Desznem 16.000 Szwedów, którzy pod jenerałem Lewenhauptem szli w odwodzie za królem swoim. Nie uważał tego pyszny Szwed, przyszedł do ostatnich prawie granic kozackich, stanął pod Półtawą, miasteczkiem kozackiém nad rzéką Worzklą; a gdy się bawił dobywaniem owego miejsca, car zebrawszy na 100.000 wojska, przyszedł pod Półtawę: tam nie tylko miasteczko wybawił od oblężenia, ale téż dawszy Szwedowi batalią, wygrał zbiwszy tak Szwedów, że ich od 70.000 regularnéj milicyi (oprócz cze-

ladzi i bazarowych ludzi rachując) ledwie z półtrzecia tysiąca wyszło. Zostało tam Szwedów zabitych i zabranych z kobiétami i knechtami na sto dwadzieścia i więcéj tysięcy ludzi. Zaczęły się utarczki dnia 21. *Junii,* co trwało dni sześć; skończona dnia 27. formalna batalia. Porobili byli Moskale szańce w kilku miejscach, i dlatego tak długo wlekła się bitwa, bo Szwed dobywał ich w owych szańcach, gdzie wielu ludzi tracił; aż szóstego dnia postrzelono samego króla szwedzkiego w nogę, a tak nazajutrz nie mogąc na konia wsiąść, kazał się na noszach wozić, i tak wojsku przewodził. Straszna zaprawdę i mało widziana była batalia, gdy przez dni sześć pasując się, złamać się nie mogli, aż dopiéro szóstego dnia przyszedł *dies feralis aegyptiacus et ineluctabile tempus* Szwedów. O troche i sam nie wpadł w ręce moskiewskie król szwedzki, gdyby go był jenerał Puniatowski z rotmistrzem lekkiéj chorągwi polskiéj Zorzewskim nie salwował, bo gdy konia jednego do noszów zaprzężonego, na których król leżał, kula armatnia zabiła, już go Moskwa brali, i zostałby był nieomylnie *in praedam hostilem,* ale Zorzewski skoczywszy ze swemi Polakami *opposuit* się *omni periculo,* aże konia inszego do noszów dodano. Tegoż dnia przegrali Szwedzi: co nie zbito, to w niewolą zabrano, a król ledwie uszedł. Wszystkie ammunicye, armaty, bagaże, skarby, apparamenty króla szwedzkiego i jenerałów jego zostały w łup zwycięzcy. To największa była szkoda, że kancellaryę wszystką szwedzką z kanclerzem Piperem i najpiérwszym konsyliarzem zabrali Moskwa, zkąd car doszedł wiele różnych sekretów, zdradzieckich korrespondencyj, które potém odkrył różnym monarchom: mianowicie cesarzowi chrześciańskiemu wiele doniósł o zdradach, przez Lutrów z Szwedem knowanych. Król szwedzki miał bardzo za złe Piperowi, że owych wozów kancellaryi nie zapalił, rozumiejąc, że lepiéj gdyby była wszystka kancellarya zgorzała, niż się w ręce carowi tak wielkie sekreta i konferencye z różnych stanów i kondycyj ludzi dostać miały; zkąd się wiele nauczył car, i umiał napotém sekwelom dogadzać, wiedział, kogo się strzédz, komu ufać. I zaprawdę słuszną miał urazę król do swego Pipera, bo był snadno mógł spalić kancellaryą; ale gdy Kozacy obstąpili te wozy, i rozszarpać ich chcieli, wołał Piper ostrzegając, żeby wcale te wozy zachowali, powiadając, że tam coś większego nad skarb jest, że wielką uczynią carowi przysługę, gdy wcale dochowają. Na te słowa obskoczyli Kozacy kancellaryi wozy, i z wielką pilnością do Półtawy miasta

STOWARZYSZENIE PRZYJAŹŃ

wprowadzili. Ten Piper nie uszedłby był strasznéj śmierci od króla szwedzkiego, lecz umarł w niewoli mizernie na stolicy moskiewskiéj. Uszło było z batalii półtawskiéj ludzi szesnaście tysięcy z jenerałem, i wozów kilka tysięcy. Chcieli się przebrać przez Dniepr w Ukrainę Bracławską: posłał za nimi car w pogoń jenerała Alarta, który w kilka tysięcy Moskwy i Kozaków dogonił Szwedów trzeciego dnia nad Dnieprem, gdzie już półtora dnia na cztérech tratwach przeprawiali się (jako mogli na prędce zbudować naczynia). Ale nie przeszło Szwedów nad dwa tysiące za Dniepr, inszych wszystkich z żonami i dziećmi obskoczyli Moskwa, i w niewolą zabrali: wozy wszystkie wyrabowali Kozacy. Tam oficerskie żony, markietanki klejnoty, pieniądze, srebra w wodę wrzucali, żeby się nieprzyjacielowi nie dostawało, a to wszystko w oczach ich Kozacy, dziwną odwagą nurzając się w Dniepr, nawiérzch wynosili. Napełnił car niewolnikami szwedzkimi fortece swoje, daleko ich po Moskwie rozsélając, zażywając ich do różnych robót, a osobliwie do łowienia ryb na jeziorach wielkich po lodach. Owi niezwyciężeni pyszni jenerałowie szwedzcy w wielkiéj biédzie i mizeryi w niewoli umiérać musieli.

(§. 13.). Od tego czasu już ów wielki, pyszny zwycięzca, król szwedzki nigdy nie mógł głowy podnieść, choć do saméj śmierci w wielkiéj zawziętości wojował, z nikim zgody nie chcąc; naostatek straciwszy wiele prowincyj, i życie swoje dość mizernie położył.

(§. 14.). Z batali półtawskiéj ledwie w sześćset koni Szwedów uszedł król szwedzki za faworem Mazepy, hetmana zadnieprskiego, który Tatarów, wiadomych miejsc i przechodów różnych miał kilku: ci przeprowadzili króla szwedzkiego dzikiemi polami do Oczakowa, miasta tureckiego nad Dniepr. Było z królem oprócz jego Szwedów kilkaset Kozaków Mazepińskich. Jak prędko pokazał się król szwedzki nad przewozem z ludźmi, przybiegli Turcy przez Dniepr, wywiadując się, coby byli za ludzie; a gdy opowiedział o sobie, czém prędzéj dodali statków, i przywieźli go do Oczakowa, a potém i ludzi jego przeprawowali, uczyniwszy sobie dobry wprzód z nich pożytek, bo zgłodniałym przez dni kilka w dzikich polach przywozili na łodziach suchary, a pokruszonych, jak wiele może nabrać w obiedwie ręce, po czerwonemu złotemu przedawali: od przewozu także wielką summę złota musiał wyliczyć król szwedzki. Ledwieco Szwedzi przewiezieni byli, aż przyszła za nimi pogoń Moskwy sześć tysięcy, lecz już nie zastali nad

przewozem tylko Kozaków Mazepińskich kilkaset, którzy, że ich tak prędko przewieźć nie możono, rzucili szańczyk nad Dnieprem, i kilka godzin bronili się w nim Moskwie: przewozu nie mogli im dodać Turcy, a gdy Moskwa zsiedli z koni, poszli gwałtem do szturmu. Kozacy nie mogąc wytrzymać, rejterowali się w Dniepr, tyłem idąc w wodę, i tak się odstrzelowali. a postępując coraz głębiéj wodę, woleli tonąć, niż się dostać Moskwie w ręce. Owi też Szwedzi, co ich się do dwóch tysięcy przeprawiło po batalii przez Dniestr w Ukrainę, przyszli jedni do Oczakowa. drudzy udali się ku Lwowu. Tych hetman wielki, Sieniawski ludzko przyjmował, traktował, i jenerałowi Krassawowi odsełał z konwojem.

Rok Pański 1716.

(§. 26.). Tego roku wpadli Turcy do Węgier w **160.000** wojska, których *6. Augusti* pod Peterwaradynem *Generalissimus* cesarski, Eugeniusz, książę Sabaudyi zbił na głowę: jańczarów **100.000**, jednych pobito, drugich w niewolę zabrano: konni tylko uszli, wszystko w łup Niemcom zostawiwszy. Wiele tam korzyści, skarbów, i armat przeszło sto sztuk zabrali cesarscy. Po téj szczęśliwéj wygranéj poszli cesarscy pod Temeszwar. Ta forteca przeszło **150** lat była w rękach tureckich, któréj dla błot nieprzebytych nigdy chrześcianie odebrać Turkom nie mogli, a że były tego roku z wielkiego sucha wyschły, dlatego ją ten jenerał odebrał Turkom *1. Octobris.* Drugiego roku wybili cesarscy sto tysięcy Turków pod Belgradem i Białogród grecki odebrali im; a straciwszy Turczyn tak wiele w jedynastu miesiącach, wszedł z Niemcami w traktat pod Passorowiczem roku Pańskiego **1718.**, którym na wiele mil ustąpił cesarzowi kraju.

Rok Pański 1717.

(§. 18.). Tego roku *opera* księdza Kozbiałowicza, ojców Paulinów przeora rzymskiego (który był rodzic z Częstochowy, a roku Pańskiego 1722. jenerałem tegoż zakonu obrany) przysłał ojciec święty z Rzymu koronę obrazowi Matki Boskiéj, w Częstochowie wielkiemi cudami słynącemu; król August też dał temu obrazowi koronę dyamentową bardzo kosztowną. Więc *8. Octobris* ten obraz Najświętszéj Panny był koronowany koroną rzymską z wielkiém nabożeństwem i solennizycyą przez jego mci księdza Krzysztofa Szembeka, biskupa

natenczas kujawskiego. Było na tym akcie opatów..., ludzi na kilkadziesiąt tysięcy nabożeństwa zażywali, że drudzy pod namiotami stali, nie mogąc się pomieścić w gospodach. Przed fortecą zbudowana była szopa, gdzie się msze święte odprawowały, gdyż się nie mogli ludzie pomieścić w klasztorze. Trwało nabożeństwo cały tydzień przy wielkich codzień tryumfach i pyrobolikach w nocy. Sporządził był Bóg dziwnie piękne pogody na ten czas, i od tego roku nastały roki dziwnie obfite, że całe dziesięć lat bywały żyzne lata.

19. Władysław Alexander Łubieński,

Urodzony roku 1703., odbywszy nauki w Kaliszu u Jezuitów, podróżował po Francyi i Włoszech: przeszedłszy różne stopnie kościelne, w roku 1741. został arcybiskupem lwowskim, a następnie gnieźnieńskim. *Świat we wszystkich swoich częściach... przez Władysława Alexandra Łubieńskiego* należy do dzieł szacownych. Jestto piérwsza najobszerniejsza jeografia w języku polskim.

Świat we wszystkich swoich częściach większych i mniejszych, tojest w Europie, Azyi, Afryce i Ameryce, w monarchiach, królestwach, księstwach, prowincyach, wyspach i miastach geograficznie, chronologicznie i historycznie okryślony, przez Ks. Władysława Łubieńskiego itd. roku 1740. do druku wrocławskiéj w Szląsku akademii societatis Jesu podany.

a) Elekcya papiéża.

Po śmierci papiéża według konstytucyi Grzegorza XV. zjeżdżają się kardynali do pałacu tego, gdzie papież umarł, ale ordynaryjnie do Watykańskiego, i tam jedenastego dnia zszedłszy się do S. Piotra, bywa spiéwana msza święta o Świętym Duchu przez kardynała dziekana, na któréj wszyscy znajdujący się natenczas kardynali assystować powinni, i kazanie się odprawuje. Po nabożeństwie krzyż papiézki niesie *magister ceremoniarum*, za którym idą kardynali biskupi, po nich presbiterowie, po presbiterach dyakoni także kardynali, przed krzyżem zaś wszyscy słudzy kardynalscy, koło krzyża kantorowie, a po kardynałach prałaci, i tak wszyscy processyonalnie idą do *conclave* już na to przygotowanego, gdzie kardynał dziekan odprawiwszy zwyczajne modlitwy w kaplicy, ordynacyą czytać każe, i Grzegorza XV. konstytucyą o

elekcyi papiézkiéj, na którą, jako i na konstytucyą Piusa V. (w któréj zakazana jest alienacya dóbr kościelnych papiéżom) wszyscy kardynali przysięgają: potym wszyscy kardynali do cel swoich odchodzą, na to przygotowanych w *conclave*, i wyznaczonych każdemu przez kardynała kamerlinga. W tym *conclave* wszystkie drzwi i okna powiérzchowne zamurowane bydź powinny, i tylko w jednych drzwiach jest okienko, przez które jadło i trunek kardynałom podają, a w prawéj stronie kaplica Ś. Mikołaja, gdzie kardynali msze święte odprawują i elekcye. Tegoż dnia po skończonym obiedzie schodzą się kardynali do kaplicy, gdzie słudzy kardynalscy, których wolno sobie kardynałom excypować dwóch, lub trzech, i medyka dla potrzeby, przysięgają na wierność: po przysiędze tego dnia aż do nocy kardynali dają jeszcze audyencye, po których w nocy *conclave* zamykane bywa, i trzech kardynałów z magistrem *ceremoniarum* z zaświéconemi pochodniami lustrują wszystkie kąty, żeby się kto niepotrzebny nie zataił. Przy tym *conclave* jest wyznaczonych gubernatorów dwóch, mających attendencyą powiérzchowną, jeden prałat duchowny, drugi książę świecki, przytym warty wielkie ze wszystkich stron stoją dla przestrogi i bespieczeństwa publicznego. Wewnętrznie zaś kardynali *scrutinia* elekcyi odprawują, *suffragia* już na to przygotowane imieniami swemi podpisując, i pieczęciami stwierdzając z wyrażeniem elekta, i w kielich kładą, ale piérwéj przed podpisaniem przy ołtarzu przysięgają temi słowy: *Testor Dominum meum, Jesum Christum, qui me judicabit, quod eligam eum, quem Deo volente idoneum puto, intendamque hoc sequi in accessu.* — Po wszystkich zapisanych suffragiach kardynali trzej, zwani *scrutatores* osobno każde *suffragium* wyjmują z kielicha, i publikują tak, że każdy kardynał może sobie notować. Do zupełnéj zaś elekcyi papiézkiéj nie większa połowa wotów kardynalskich postanowiona, ale dwie z trzech części kardynałów, znajdujących się w *conclave* zgodzić się na jedno powinni, jako postanowił Alexander III. na *concilium* laterańskim. Po zakończonéj szczęśliwie elekcyi, trzech kardynałów najstarszych: biskup, presbiter i dyakon przychodzą do elekta, z których piérwszy pyta się obranego papiéża: *Intendisne electionem super persona tua canonice factam acceptare?* Obrany zaś papiéż, pomodliwszy się, odpowiada: *Accepto.* — Potym pyta się kardynał dyakon: *Quomodo vis nominari?* I wtenczas ojciec święty imię sobie obrane publikuje, ale nie piérwéj, aż kardynalski strój z siebie zdéjmie, a zaraz papiézkie na siebie

kładzie, który ustrojony pontyfikalnie, zaraz prowadzony bywa do ołtarza w kaplicy Syxtusa V. przy spiéwanéj antyfonie: *Ecce sacerdos magnus;* przed którym siedzącym przy ołtarzu kardynałowie wszyscy klękają, i prawą nogę i rękę całują, a *magister ceremoniarum* assystuje z krzyżem kardynałowi piérwszemu, który kazawszy rozrucić ścianę na *conclave* wymurowaną, ogłasza zgromadzonemu pospólstwu rzymskiemu obranego papiéża w te słowa: *Annuntio vobis gaudium magnum, habemus Pontificem, Eminentissimum et Reverendissimum Dominum Dominum N., qui sibi eligit nomen N.* Wtym radość publiczna w pospólstwie okrzykioną bywa, i we dzwony wszystkie biją, jako i w fortecy Ś. Anioła z armat. Potym papiéż pontyfikalnie ubrany processyonalnie idzie do Ś. Piotra, i tam przed wielkim ołtarzem pomodliwszy się, najstarszy kardynał intonuje *Te Deum laudamus;* po którym skończonym kardynali siedzącemu na tronie papiéżowi całują nogę i rękę, który potym piérwszą benedykcyą daje zgromadzonemu ludowi.

b) Koronacya papiéża.

Po elekcyi w dzień naznaczonéj koronacyi papiéż przy assystencyi kardynałów idzie do Ś. Piotra, gdzie przed bramą kościelną zasiada na tronie, któremu kanonicy Ś. Piotra całują nogi, i klucze oddają: wszedłszy do kościoła, przed wielkim ołtarzem modlitwy odprawiwszy, idzie do kaplicy Ś. Jérzego, gdzie pod baldachinem siedzącemu na tronie wszyscy kardynali całują ręce, a biskupi i pralaci nogi, jakoby posłuszeństwo mu obiecując, a papiéż benedykcyą daje i zupełny odpust. Po téj ceremonii papiéż wychodzi z kaplicy, przed którym *magister ceremoniarum* uklęka, i zapala sztucznie z materyału niejakiego zrobioną stuppę, jakoby garstkę pakuł, która w momencie w ogniu pełzgnie, i mówi te słowa: *Sanctissime Pater! sic transit gloria mundi,* po trzy razy. Ztamtąd idzie papiéż przed ołtarz apostolski, przed którym go witają trzech kardynałów presbiterów najmłodszych imieniem ŚŚ. Apostołów, twarz papiézką i piersi całując, a potym papiéż z wielkiemi ceremoniami przy assystencyi kardynałów solennizuje mszą świętą. Po téj skończonéj siedzącemu na tronie kardynał archipresbiter kościoła Ś. Piotra z dwiema kanonikami imieniem kapituły ofiaruje z złota szytą i kamieniami sadzoną bursę albo worek, i w nim 25 dawnych papiézkich numizmatów, mówiąc te słowa *Sanctissime Pater! capitulum et canonici ad S. Petrum offerunt Sanctitati*

Vestrae consuetum ac debitum sacerdotale stipendium pro missa bene cantata, ex humillimo animo in contestationem subjectionis perpetuae. Po téj ceremonii przy licznéj assystencyi papież idzie na ganek bramy kościelnéj, gdzie siedzącemu na tronie bogatym najstarszy kardynał *triregnim* albo troistą koronę kładzie na głowę, mówiąc te słowa: *Accipe tiaram papalem, tribus coronis ornatam, ut scias, quia tu es regum et principum pater, judex mundi, et in terris vicarius Salvatoris nostri, Jesu Christi, cui laus et gloria in saecula saeculorum, Amen.* Ta troista korona ma bydź szacowana 1.000,000 czerwonych złotych. Po tych słowach skończonych lud wszystek wykrzykuje po trzy razy: *Kyrye eleyson,* a potém papież benedykcyą i odpust zupełny daje wszystkim, nakoniec kardynali dwaj jeden po łacinie, drugi po włosku te słowa mówią: *Hodie mundo salus facta est: hodie vobis omnibus fidelibus a Sanctissimo Domino nostro Papa N. plenaria indulgentia concessa est. In nomine Dei Patris, et Filii, et Spiritus Sancti, Amen,* a pospólstwo wykrzykuje: *Vivat Papa N.!* Po skończonéj ceremonii i rozebraniu się papiézkim w kaplicy Ś. Syxta, wita jeden kardynał papieża temi słowy: *Ad multos annos!* a wtym z fortecy Ś. Aniola z armat trzy razy biją, jako i żołniérze na placu Ś. Piotra.

e) Wjazd papieża.

Po koronacyi w dzień naznaczony wjazdowi papiézkiemu do kościoła Ś. Jana Laterańskiego na biskupstwo rzymskie, papież wyjeżdża z pałacu Watykańskiego lub na koniu, lub w lektyce niesiony przy assystencyi wszystkich kardynałów na mułach jadących, także wszystkich znajdujących się na ów czas patryarchów, arcybiskupów, biskupów, legatów albo posłów cudzoziemskich monarchów, książąt świeckich, prałatów, senatorów, trybunów, i innych ministrów i officyalistów, jako i przy kawaleryi i infanteryi pięknym porządkiem przez wpół miasta i przez *capitolium*, gdzie od senatu rzymskiego odbiéra sobie prezentowane klucze, potém przejeżdża przez arki tryumfalne, na tryumf umyślnie wystawione, i przybywszy przed kościół Ś. Jana, całuje krzyż od kardynała archipresbitera tego kościoła sobie podany, do którego tenże kardynał ma mowę, a tymczasem kardynali biało ubrani w mitrach papieża siedzącego na katedrze porfirowéj podnoszą, mówiąc te słowa: *Tu suscitas a terra inopem, et de stercore erigis pauperem, ut colloces eum cum principibus, cum principibus populi tui.* Potym

processyonalnie wchodzi pod baldachinem do kościoła przed ołtarz ŚŚ. Piotra i Pawła, gdzie tych Świętych głowy adoruje: potym idzie do ołtarza eucharystycznego, gdzie modlitwy odprawiwszy idzie do choru, gdzie na tronie siedzącemu kardynali całują nogę i posłuszeństwo sakryfikują, z których każdemu zosobna kardynałowi papież ofiaruje numizma swoje, a potém monetę miedzianą, biorąc w rękę od podskarbiego, rzuca między pospólstwo mówiąc: *Aurum et argentum non habeo, quod autem habeo, hoc tibi do,* i obróciwszy się do ołtarza, zaczyna: *Sit nomen Domini benedictum,* i daje publiczne błogosławieństwo. Ztamtąd w troistéj koronie idzie processyonalnie do pałacu, gdzie z zwyczajnego miejsca daje pospólstwu benedykcyą, a dwaj kardynali dyakoni jeden po włosku, drugi po łacinie promulgują odpust zupełny, pospólstwo zaś wykrzykuje *vivat! vivat!* a wtym monetę srebrną albo numizmata rzucać każe między pospólstwo, potym wszyscy swoim porządkiem rozjeżdżają się do domów.

a) Kardynali.

Kardynali od kościoła świętego postanowieni są na fundamencie pisma świętego (*Num. II.*), gdzie Mojżesz przybrał sobie do sądu ludu izraelskiego 70 mężów, jako to proroctwo przyznał Innocenty III. papież temi słowy: *Per venerabilem.* W ewangelii zaś świętéj Chrystus Pan przybrał sobie ŚŚ. Apostołów do współ z sobą pracowania około zaszczepienia wiary świętéj. Roku 304. to imię kardynałów wzięło swój początek za Marcella papieża, który postanowił w Rzymie parochie, a rządzących niemi nazwał presbiterami kardynałami, a którzy dyakonie znaczniejsze trzymali, nazwani dyakoni kardynali: kardynali zaś biskupi nazwani ci, którzy przyjeżdżali na elekcye papieżów, albo na radę zobopólną z ojcem świętym w przytrudniejszych materyach: i było ich 6: ostyeński, portueński, sabiński, prenestyński, tuskulański i albański. Ten był *status* piérwszy kościoła świętego podczas persekucyi. A Ś. Sylwester papież na *concilium* rzymskim (*Can. 6.*) najpiérwéj kreował kardynałów 7 dyakonów, inni papieże więcéj kreowali, i przyczyniali téj liczby aż do Syxtusa V. papieża, który postanowił liczbę 70 kardynałów, z których 50 presbiterów, 14 dyakonów, a 6 biskupów. I ten senat hierarchiczny kościoła świętego, wraz z papieżem złączony, stanowi jakoby ciało, i gdzie papież rezyduje, tam i oni muszą, ani

im się wyjechać godzi bez pozwolenia papiezkiego; gdzie zaś wysłani bywają do monarchij od papieża, nazywani zaraz są *legati a latere.*

Roku 1244. na *concilium* lugduńskiém kardynałom pozwolony kapelusz czerwony, i na sukniach kolor purpurowy od Innocentego IV., a od Pawła II. potwierdzony, a to na pamiątkę rozlanéj krwi Chrystusa Pana.

II. Państwa Niemieckie.

Ta monarchia pod imieniem cesarstwa Niemieckiego z dawności czasu była rządzona od wielu książąt przez podziały, ludzie jednak wszyscy zawsze sobie mieli wolność za największą maxymę, którą z wielką trudnością i ciężką wiolencyą utracić musieli, wielką potencyą Rzymian przymuszeni, a to tym sposobem. Cymbrowie i Teutonowie najpiérwsi dali się znać Rzymianom, bo opuściwszy własne kraje, poszli zdobywać innych, i najechali Włoskie i Golskie państwa roku od założenia Rzymu 653., ale podczas przebywania *Alpes C. Marius* ich zwojował i wygubił, a Juliusz cesarz zawojowawszy Golskie państwa roku od założenia Rzymu 695., odważył się przebyć Ren i atakować Niemców, z ktorymi ciężką wojnę długą prowadził, zdobywszy ledwie tych, którzy między Włochami i Renem się znajdują; i ci tylko do czasów Augusta i Tyberyusza byli podlegli Rzymskim państwom, bo ciż sami potym roku 200. wielkie podnosili rebellie, najeżdżali Golskie państwa. Inni zaś Niemcy między Dunajem i Elbą, i za Elbą nigdy nie byli zawojowani, i owszem Gotowie, Wandalowie, Lombardowie i Burgundowie z tamtych stron rzucili się na państwa Rzymskie, i one osiedli. Klodoweusz potém, król francuzki począł szczęścia tentować, i tym najezdnikom cudzych państw szyki łamać, jakoż ich na batalii tolbiackiéj roku 496. zwyciężył, a po nim po tyle razy jego sukcessorowie. Karol zaś Wielki, król francuzki, a potym cesarz jak nastąpił, te wszystkie państwa zawojował, aż po zaczynającą się Wisłę, i pod morze Baltyckie. Wielu pretenduje, osobliwie francuzkich autorów, że i Polska temu monarsze miała hołdować, ale historycy polscy żadnéj o tém wzmianki nie czynią, i owszem Kromer świadczy, że Polacy śmiele i nie zatrwożonym sercem i oporem stawili się Karola Wielkiego posłom. Za Karola cesarza państwa Niemieckie na różne rozdzielone były prowincye: gubernatorowie tytułować się poczęli różnemi imionami, jedni książętami, którzy

mieli największy rząd i moc nakształt wicekrólów, i reprezentowali osobę książęcą, drudzy grafami, tym były zdane władze wojskowe i administracya sprawiedliwości; dlaczego Niemcy nazwali jednych landgrafami, którzy byli sędziami prowincyonalnemi, innych burgrafami, jakoby sędziami miast.

Karol Wielki, cesarz ten naród w wielkiéj animadwersyi miał, jako zawsze skłonny do podniesienia rebellii, i wiele pracował w wydźwignieniu ich z wiary pogańskiéj; dlaczego tam wielu biskupów postanowił i missyonarzów, dla instrukcyi ich w wierze świętéj katolickiéj. Jakoż biskupstw wielka liczba i opactw w Niemczech temu monarsze powinny swoje postanowienie, który umarł roku 814.

Naród niemiecki jest wielkiego o sobie mniemania, i honor szlachectwa swego mocno utrzymuje, co z przodków swoich zachowuje, którzy zawsze dystyngwowali szlachtę od chłopstwa, i śmiercią karali tego, kto się śmiał ożenić z nierównym sobie przyjacielem.

Państwa Niemieckie najpiérwéj były rządzone pod władzą Karola Wielkiego, cesarza i jego sukcessorów Francuzów dziewięciu aż do Ludwika IV. roku 899., po którym bezpotomnym przeniesła się korona cesarska w dóm saski na osobę Konrada I., książęcia frankońskiego, brata przyrodniego Ludwika IV. z rady Ottona, książęcia saskiego, który będąc na tę godność obrany, exkuzował się starością swoją, przeniosłszy ją na osobę Konrada roku 912., a Konrad po śmierci swojéj wyznaczył koronę cesarską synowi Ottona, książęcia saskiego Henrykowi I.

Niemieckie państwa są złożone w jedno *corpus* z miast wolnych, rządzących się na formę rzeczypospolitych, z licznych duchownych rządów i świeckich, jako: przeorstw, opactw, biskupstw, arcybiskupstw, komend maltańskich, kawalerów teutońskich i ich magisteryj, także z grafów, markizów, landgrafów, książąt *etc.* Ci wszyscy rządzą się absolutną wolnością w państwach swoich, uznają jednak i mają swego monarchę, cesarza albo imperatora rzymskiego, którego przedtym panowaniu najpiérwéj cały świat, potym europejskie państwa, naostatek Włochy całe i Rzym podlegał, ale teraz tylko niektóre części trzyma we Włoszech, jako: księstwo Medyolańskie, Mantuańskie i inne partykularze.

Elekcya cesarzów lubo nie jest upewniona w autorach, kiedy się zaczęła, wielu się jednak domyśla, że najpewniéj po Ludwiku IV., bezpotomnie zeszłym Karola Wielkiego sukcessorze. Po tego śmierci panowie nie-

mieccy zgromadziwszy się wespół, obrali sobie za cesarza Ottona, książęcia saskiego: ten że dla starości exkuzował się, obrali za perswazyą jego Konrada I., książęcia frankońskiego. Po nim ta spólna elekcya trwała aż do Henryka IV., który że był detronizowany roku 1105., zdało się stanom niemieckim, aby dla uniknienia wielkiego zamieszania podczas elekcyi, z liczności panów i stanów regułowała się była ta elekcya tylko od 7 książąt najpryncypalniejszych. Inni autorowie twierdzą, że ta konstytucya stanęła za Ottona III., cesarza i Grzegorza V., papieża. Drudzy zaś piszą, że po śmierci Fryderyka II.. Inni różnie supponują: dosyć, że ten zwyczaj i konstytucya, lubo nie spomniona w ordynacyi, jednak od Karola IV. cesarza stwierdzona i nowo ordynowana, i nazwana *aurea bulla*, którą ja sam miałem szczęście widzieć, 24 kart pargaminowych mającą w sobie, zapieczętowaną pieczęcią, i przyozdobioną figurą Karola IV. cesarza w Frankforcie nad Menem. Ta książka opisuje formę elekcyi, moc i liczbę elektorów naznaczoną, i wiele innych artykułów. Godność zaś elektorska jest konfidowana, i pewnym państwom naznaczona. których kto jest panem, jest i elektorem.

Elektorowie są jedni duchowni, drudzy świeccy. Jest elektor arcybiskup moguncki, tytułujący się kanclerzem niemieckim i dyrektorem kancellaryi imperyalnéj. Drugi elektor arcybiskup trewirski, kanclerz golski. Trzeci elektor arcybiskup koloński i kanclerz włoski. Czwarty elektor świecki, król czeski, tytułujący się arcycześnikiem imperyalnym. Piąty elektor książę bawarski, arcystolnik imperyalny. Szósty elektor książę saski, arcymarszałek imperyalny. Siódmy markiezy brandeburski, arcykomornik. Ósmy elektor graf palatyn ryński, arcypodskarbi. Dziewiąty elektor książę hannowerski, arcychorąży imperyalny. Piérwszy 7 przez 400 lat obiérali cesarzów, ósmy palatyn ryński przybył roku 1648., a dziewiąty książę hannowerski przybył, od Leopolda I. cesarza kreowany roku 1692.

Arcybiskup moguncki najpiérwszy oznajmuje o śmierci cesarskiéj, elekcyi czas naznacza według prawa we trzech miesiącach, którzy zjachawszy się do Frankfortu, po wotywie o Ś. Duchu odprawionéj w kościele Ś. Bartłomieja, przed wielkim oltarzem przysięgają. Potym przystępują do elekcyi, na któréj prezyduje arcybiskup moguncki, i zbiéra wota elektorów, w których kto przewyższy, tego publikuje arcybiskup moguncki cesarzem rzymskim, i koronuje. Przedtym

cesarze po elekcyi koronowani byli koroną żelazną na królestwo Niemieckie, koroną srebrną w Medyolanie na królestwo Włoskie, a koroną złotą w Rzymie od samego papieża na cesarstwo Rzymskie: ale dóm austryacki zniósł te ceremonie, i teraz tylko, gdzie chcą, tam koronowani bywają cesarze, wraz przez trzech elektorów arcybiskupów, ale zawsze ma prym moguncki.

Elektorów moc w tych państwach jest zarówna z cesarską: tylko hołd jeden należy od nich jako piérwszemu monarsze.

Podczas wakującego cesarstwa, lub w niebytności cesarskiéj elektorowie, książę saski i reński bywali regentami państw, ale im teraz dysputuje książę bawarski. Król rzymski bywa obiérany od tychże samych elektorów za życia jeszcze cesarskiego, aby on był regentem państw w niebytności cesarskiéj, a dla uniknienia kłótni i scyssyi podczas *interregnum*, aby on zaraz po śmierci cesarskiéj władzę cesarską objął bez żadnéj już zgromadzenia elekcyi, a obrany królem rzymskim z równemi ceremoniami jak cesarz, tytuł na siebie bierze Augusta, i ma herb orła z jedną głową, bo cesarz z dwiema.

Cesarz nie ma absolutnéj władzy w państwach Niemieckich, tylko kiedy się zgromadzi z stanami albo z sejmem, który on konwokuje, i na nim prezyduje. Sejm ten łączy się z trzech kollegiów. P i é r w s z y z elektorów; d r u g i z książąt tak świeckich, jak duchownych i innych absolutnie się rządzących w państwach swoich; t r z e c i z miast imperyalnych i wolnych. Na tym sejmie wolno wypowiedzieć wojnę, stanowić pokój, podatki generalne ustanawiać, i wszystkie interesa regulować i konkludować. Deliberacye zaś sejmowe zmocnione bydź nie mogą bez konsensu cesarskiego, gdzie on sam tylko autoryzuje, i wtenczas daje inwestytury na wakujące księstwa, dependujące od jego władzy imperyalnéj.

Cesarskie intraty są bardzo szczupłe: i owszem do godności imperyalnéj żadna ziemia nie jest naznaczona, oprócz niektórych impozycyj na Żydów i kancellaryjnych dochodów, jako i inwestytur na księstwa. Ma także kontrybucye z państw sobie naznaczone, zwane m i e s i ą c r z y m s k i, które wybierali cesarze na ten czas, kiedy jeździli do Rzymu: ale i te nie wystarczyły na utrzymanie honoru imperyalnego, i dla tego N i e m c y m o n a r c h i ą c e s a r s t w a r z y m s k i e g o z w y k l i k o n f e r o w a ć w r ę c e n a j b o g a t s z e g o i n a j m o c n i e j s z e g o k s i ą ż ę c i a, jako teraz d ó m a u s t r y a c k i.

Elektorowie wszyscy i książęta w swoich państwach i ziemiach są absolutami, i mają wolność stanowić i kasować konstytucye prowincyonalne, taxy na poddanych wkładać, monetę kuć, wojska zgromadzać i werbować, aliancye czynić z inszemi monarchami i książętami, byle bez naruszenia imperyalnéj godności, mają moc życia i śmierci nad poddanemi, darować kryminały, honor wracać infamisom, sądzić bez appellacyi w sprawach cywilnych, excypowawszy niektóre, od których wolna appellacya od ich sądu, na tych zaś appellacyj uznanie są postanowione sądy imperyalne, które przedtym w Spierze, a teraz w Weczlarze się odprawują, i rada albo sądy nadworne w Wiédniu. W tych sądach jest połowa sędziów katolików, a połowa lutrów: i nie tylko na tych sądach jest rozeznanie appellacyjnych spraw, ale i innych wielu szlacheckich, grafoskich, książęcych, elektorskich, prałackich *etc.*, które między sobą często miéwają, excypowawszy wielkiéj importancyi sprawy, które *collegium* elektorskie sądzić powinno, naprzykład gdzie idzie o honor i dobra jakie wielkie.

W Niemczech są dwa rangi szlacheckie: w piérwszym rangu nazywają się *immediate,* jakoby, że tylko od *imperium* dependują; drudzy nazywaja się *mediate,* którzy od swoich absolutów władzy podlegają. Te jednak dwa rangi między sobą dysputują, i jeden prymu drugiemu nie ustępuje. Oprócz szlachty jest tu wiele kawalerów teutońskich, maltańskich, opatów i ksieniów, na które potrzeba się wywodzić z szlachectwa.

Stan duchowny w tych państwach jest bardzo mocny, bo oprócz licznych biskupów, i opatów, i ksieniów, nominujących się książętami imperyalnemi, rachuje się 7 arcybiskupstw, ale teraz tylko 4.: kolońskie, trewirskie, mogunckie i salisburgskie; bremskie zaś i magdeburskie są w rękach protestanckich, i są odmienione na świeckie państwa przez pokój westfalski, piérwsze na króla szwedzkiego, a drugie na króla brandeburskiego: siódme także pragskie przybyło, które nie jest niemieckiéj prowincyi.

Niemcy są pięknéj kompozyi, przyjaciele, czyli nieprzyjaciele od-odkryci, ludzcy, (to się zaś mowi do szlachty saméj peregrynującéj) w dobrém byciu jako jedzeniu, piciu, wygodnym spaniu się kochający, do nauk tak mechanicznych jak liberalnych się applikujący. Bitni na wojnach, i kapitanów, oficerów, generałów *etc.* mający wielu sposobnych na wojnę; jako o tym wiedzieć możemy, że się dobrze stawiali

tak przeciwko Turkom, jako i pogranicznym różnym monarchom. Inwencyj wielu ten naród z siebie ma, do których się bardzo applikuje; jako i druk, proch, działa są ich industryi.

Nauki i w nich różne scyencye w Niemczech kwitną, co się dociec może z wielu fundowanych akademij i szkół uniwersalnych w tych państwach, może dociec tamecznych nauk wielkich z samych uczonych ludzi, i doktorów, których widziemy wiele ksiąg wydanych.

W Niemczech są trzy religie: piérwsza wiara święta rzymska katolicka, i najobszerniejsza; druga sekta luterska, trzecia sekta kalwińska. Znajdują się i liczne synagogi żydostwa.

Niemiecki kraj liczyć się może między najobszerniejszemi w Europie, we środku innych położony, i w kraju zdrowym.

III. Lwów.

Lwów, miasto stołeczne całéj Rusi, biorące imię od Leona, książęcia swojego, nad rzéką Pełtew między górami położone; miasto wielkie, obszérne, i handlowne, przyozdobione dwiema zamkami, jednym w mieście, drugim na przedmieściu na górze, murem opasane od Kazimiérza Wielkiego, przyozdobione kościołem katedralnym wspaniałym pod tytułem N. Panny, i drugą katedrą uniacką z wieżą wysoką z ciosowego kamienia, a trzecią katedrą ormiańską; bo te dwie ostatnie mają swoich własnych biskupów. Przytym przyozdobione to miasto kościołem, *collegium* i szkołami oo. Jezuitów, klasztorami, dominikańskim, franciszkańskim, karmelitańskim, i z kościołami wspaniałemi, osobliwie klasztorem i kościołem oo. Bernardynów, zaszczyconym przy wielkim ołtarzu grobem Świętego Jana *de* Dukla, wielkiemi cudami słynącym. Są tu także klasztory panien zakonnych Świętego Benedykta, Bonifratrów, Trynitarzów, Teatynów, i innych wiele. Przytym przyozdobione pałacami arcybiskupów i innych panów. Miasto to najwięcéj bywało podległe najazdom kozackim, tatarskim i tureckim, ale się często okupowało znacznemi pieniądzmi. W pobliższych górach znajduje marmury, gipsmy, kamień ciosany i alabastry. To miasto przedtym było mocno ufortyfikowane, tak jako i zamki; ale teraz dużo nadwątlone fortece. Wsławione szczupakami lwowskiemi słonemi, których tu nalepiéj solą.

20. Kasper Niesiecki.

Jezuita, który umarł w r. 1743. właśnie gdy czwarty i ostatni tom wydał dzieła swego *Korona polska*.

Wyliczając autor jenealogią każdego domu, i po większéj części szczegóły życia (zwłaszcza bogobojnych osób), załącza oraz wyszczególnienie ich pism drukowanych, lub w rękopismie zostawionych. Z tego powodu dzieło to heraldyczne nader ważne do historyi literatury polskiéj zawiéra materyały. Ponieważ zaś z natury rzeczy dzieło to same tylko domy szlacheckie obejmuje, napróżnoby więc chciał kto szukać imion mężów szlachectwem nie zaszczyconych, którzy przez naukę, lub inne zalety wielką sobie zjednali sławę.

Niesiecki w Herbarzu swoim umieścił na czele piérwszego tomu opis wszystkich biskupstw i arcybiskupstw w Polszcze co do roku ich fundacyi, i przyłączył chronologiczne następstwo pastérzów każdéj dyecezyi. Niesieckiego dzieło to heraldyczno-jenealogiczne najdoskonalszém jest dotąd pismem tego rodzaju. Dziwić się trzeba nad ogromem pracy, którą Niesiecki sam jeden wykonał, a mimo tego wszystkiego nie tylko wdzięczności należnéj nie zyskał, ale nawet na prześladowanie był wystawiony tak, że manifesta obywatelów i oskarżenia o zgon go przyprawiły. W tych czasach zaczynają przyzwoiciéj oceniać wielkie i bardzo wielkie zasługi tego szanownego kapłana, który jeżeli jakowemu domowi w czémkolwiekbądź ubliżył, zapewne się to stało nie tyle przez jego winę, jak przez opieszałość tychże domów, iż mu przyzwoitych wiadomości nie udzieliły, jak dowodzą wezwania i protestacye przy końcu każdego tomu umieszczone. Jeżeli Niesiecki wśród nawału pism i materyałów, z nadzwyczajną pracą pozbiéranych opuścił (ale zapewne nie z umysłu) niektóre familie w dawniejszych już dziełach heraldycznych wzmiankowane, czyliż mu to za zbrodnię poczytać można?

Długie biografie, zwłaszcza ludzi pobożnych mają swą zaletę, i ciekawe nieraz zawiérają rzeczy. Bogobojna pani z Potockich Tarłowa, wojewodzina lubelska łożyła na wydanie dzieła tego, które ma sobie przyznaną moc prawną co do wywodów jenealogicznych. F. Bentkowski.

Korona polska przez ks. Kaspra Niesieckiego societatis Jesu, Tom I — VI roku 1728. — 1743. w drukarni Collegium lwowskiego societatis Jesu.

1. Jan Długosz.

Herbu Wieniawa, z Niedzielska się piszą. Jan, kanonik i historyk polski, w krakowskiéj akademii z wielkim cnoty i nauki zaleceniem przepędziwszy lat kilka, na dworze potém Zbigniewa Oleśnickiego, biskupa krakowskiego w osobliwszym był respekcie dla wielkiego przezoru i dowcipu, tak dalece, że w siedmnastu tylko leciech będącemu Długoszowi Zbigniew całego dworu swego administracyą zlecił. Popisała

się tam zaraz industrya jego, kiedy wszystkie monimenta, prawa, prowenta, fundacye biskupów krakowskich, które przez niedozór zarzucone, albo zaniedbane i prawie zagubione były, pięknym porządkiem zebrał i zkonnotował. Toż samo całéj dyecezyi krakowskiéj, lubo z wielką pracą swoją, wyświadczył; bo wszystkie tak kapituły tamecznéj, jako i kollegiat, kościołów, plebanij, prebend fundacye, erekcye, zapisy, dochody, *jura patronatus* w jedno *corpus* złożył i pilno wypisał, żeby jaką niepamięcią albo przygodą nie zaginęły, i to nazwał *Librum beneficiorum ecclesiae cathedralis cracoviensis.* Ten manuskrypt zachowuje przy sobie kapituła krakowska, cytują go jednak wielu autorów, osobliwie Nakielski *in Miechovia.* Za jego namową Zbigniew, biskup krakowski księstwo Siewierskie dla biskupów krakowskich kupił. Na kapłaństwo poświęcony Długosz, naprzód wziął plebanią w Kłobucku po rezygnacyi stryja swego rodzonego, Bartłomieja, potym kantoryą, daléj kustodyę wiślicką i kanonią sandomirską, daléj kanonią krakowską: wszędzie zaś pokazał, jakim affektem był ku Bogu i jego przybytkom: bo w kustodyi wiślickiéj wiosce kościół na cześć Ś. Szczepana króla, wymurował taką strukturą, że tamtych czasów między innemi przedniemi niepoślednią była; w Wiślicy grunta zkupiwszy, i od podatków i innych ciężarów oswobodziwszy, dom wystawił dla wikaryów tamecznych; w Sandomirskiém we wsi Odanchowie na cześć Matki Boskiéj kościół murowany z fundamentów wyprowadził; Ś. Stanisławowi, biskupowi krakowskiemu w téj wsi, w któréj się ten przezacny męczennik urodził, jego staraniem i industryą, kościół drewniany i lichy zrzuciwszy, nowy wspaniały z muru stanął; kamienice w Krakowie, kędy sądy konsystorskie sądziły się, z gruntu reparował; dla któréj jego szczodrobliwości Tomasz, biskup krakowski jemu i jego familiantom na ołtarz ŚŚ. Gerwazego i Protazego *jus patronatus* wiecznemi czasy przyznał; bursę *Jerusalem* od Zbigniewa biskupa zaczętą dokończył, i gdy wkrótce trefunkowym ogniem splonęła, znowu reparował i prowidował; *collegium pauperum* tak rozporządził, że najuboższym studentom dostateczną sustentacyą opatrzył; żydowską synagogę pobliższą *collegio artistarum,* zkąd częste zwadki i skargi rosły, swoim zabiegiem rugował, ich domy od siebie zkupione Cystercyensom darował; inne domy Boskie to kielichami, to monstrancyami, to aparatem bogatym pięknie przystroił; do kłobuckiego Ś. Marcina kościoła Kanoników regularnych wprowadził; na Skałkę pod Krakowem, gdzie Ś. Stanisława zabito,

oo. Paulitów, w dochody roczne wprzód opatrzonych, Mansyonarzów ośmiu przy kollegiacie sandomirskiéj fundował. Tak jednak na siebie i chwałę swoją pracującego Bóg różnemi dolegliwościami próbował; luboć to z większą potém Długosza sławą było, kiedy sam delator jego, Piotr z Szczekocina, podkanclerzy koronny, niewinność jego zważywszy, z płaczem przepraszał. Po śmierci Zbigniewa na sąd od brata jego pozwany, wierności swojéj i nienadwerężonéj usługi testamentem biskupa zmarłego oczywiście wypróbował. A gdy potym między Jakóbem z Sienna i Janem Gruszczyńskim kontrowersye o biskupstwo krakowskie zaszły, Jan Długosz za Sienińskim stojąc, nie tylko języki ludzkie i serce królewskie na siebie zajątrzył, ale też straciwszy wiele, na wygnanie uchodzić musiał nie bez oczywistego niebespieczeństwa zawziętych i na życie swoje adwersarzów; przecież nieprzełamanie przy Sienińskim dostawał póty, póki rzeczy zakłócone w ugodę nie poszły. Czym nie tylko w opinii o sobie królewskiéj żadnego uszczerbku nie odniósł, ale też król, statek jego i przezor widząc, na różne potym téj ojczyzny interesa go narażał, jako do traktatu z Krzyżakami, który że się wiecznym pokojem zakończył, siła mu ta ojczyzna powinna. Domową wojnę w Węgrzech, tam posłem wysłany, szczęśliwie uśmierzył. Elżbietę, córkę Wojciecha, rzymskiego, węgierskiego i czeskiego króla Kazimiérzowi królowi za małżonkę z Wrocławia sprowadził, gdzie też Ś. Kapistrana na to namówił, że Polskę nawiédził; kupno zamku Malborskiego jemu się powinno przypisać. Gdy się wojna zakurzyła z Maciejem królem węgierskim o królestwo Czeskie, wiele pisał, czynił i poselstw odprawił. Do Rzymu raz do Eugeniusza, drugi raz do Mikołaja V., papiéża jeździł. Palestynę i miejsca święte z wielkim nabożeństwem i ukontentowaniem swoim zwiédzał tak dalece, żeby był rad potym umiérał. Jakoż powróciwszy do ojczyzny, o niczym bardziéj nie myślił, jako żeby się był od zgiełku spraw świeckich uchylił; na usilne jednak żądanie króla Kazimiérza musiał się podjąć instytucyi synów jego, którym jaką dał edukacyą, z jednego poznać Kazimiérza Świętego, królewicza; luboć i to pewna, że Czechowie, słysząc o świętym ćwiczeniu Długosza, Władysława syna Kazimiérzowego na tron do siebie zaprosili: Długosz go do Czech odprowadzał. Tym sobie bardziéj pańskie Kazimiérza serce nakłonił, że go na wysokie godności chciał wystawić: ofiarował mu to podskarbstwo koronne, bo tych tam czasów

i przy duchowieństwie ta funkcya chodziła, to podkanclerstwo koronne: ale ich przyjąć nie chciał.

Praskiego arcybiskupstwa, gdy go z nim potykano, z tą tylko kondycyą sobie życzył, żeby Czechowie z kościołem się rzymskim pojednali: nie mógł tego jednak wmówić w odszczepieńców Długosz. Już był jednak otrzymał nominacyą na arcybiskupstwo lwowskie, atoli do possessyi téj archikatedry śmierć przeszkodziła w roku 1480. dnia 29. maja: pochowany na Skałce. Był statury rosłéj i komplexyi suchéj, nosa pociągłego i orlego, oczy u niego żywe, mowa szepląca, lubo ten defekt staraniem swoim w sobie poprawił, dowcip piękny: w obyczajach miły, i sam mądry, i w ludziach uczonych kochający się. Pisał 1. *Vitas Episcoporum Posnaniensium* aż do Uryela Górki, biskupa poznańskiego; resztę aż do Wawrzyńca Goślickiego dopisał Treter, i wydał w Brunsberdze 1604. — 2. *Vitas Episcoporum Plocensium* aż do Kazimiérza z książąt Mazowieckich biskupa płockiego. — 3. Życie Błogosławionéj Kunegundy albo Kingi, po łacinie, które na polski język przełożył i podał do druku Przecław Mojecki. — 4. *Vitam S. Stanislai, Episcopi Martyris, et Legendas Sanctorum Poloniae, Hungariae, Bohemiae, Moraviae, Prussiae et Silesiae Patronorum, in Lombardica historia non contentas, Cracoviae 1511.* — 5. Historyą polską, którą od początku tego królestwa aż do ostatniego roku życia swego przyciągnął. Przymawiając wprawdzie niektórzy, że dawniejszych przed sobą wieków dzieje konnotował, przecież żadnego po sobie autora nie przywodzi: jawnie jednak *in epistola dedicatoria* do swojéj historyi o sobie świadczy. *Superioris aetatis tempora aliorum adminiculis, quae vero in nostram incidere aetatem, Marte, ut ajunt, nostro conscripsimus;* i daléj: *Quae per varias ecclesias et bibliothecas, et alia loca sparsa erant, curavi colligere, et collecta in praesens opus utcunque deducere.* Z tego tedy poznać, że ten historyk nie wymysły swoje w historyi podał, ale co z autentycznych monimentów, z starodawnych manuskryptów przy różnych kościołach, klasztorach mógł wyczytać; i lubo go chcą mieć drudzy piérwszym polskim historykiem, przecież to pewna, że dawniéj przed nim *Anonymus Gallus*, nie wiém, czy nie ten, którego samże Długosz pod imieniem Marcina Francuza chwali w swojéj historyi, Wicenty Kadłubek, Baszko, kustosz poznański, a podobno i *Martinus Polonus* dzieje polskie pisali, z których i on osnowę historyczną dawniejszych lat przed sobą zebrał. Nadto w téjże swojéj dedykacyi powiada, że się w podeszłym już

wieku ruskiego języka wyuczył, żeby był mógł ruskich dziejopisów konfrontować z polskimi autorami. Pochwały tego naszego historyka z różnych tak polskich, jako i cudzoziemskich pisarzów dość obszernie wypisał Henryk *ab Huysen* tak na początku piérwszego tomu, w którym dwanaście ksiąg jego historyi, to jest aż do roku 1444. zamknął (bo przedtym świat jego téj pracy w druku nie widział, aż w Dobromilu w roku dopiéro 1615, i to tylko sześć piérwszych ksiąg wydano), jako i drugiego tomu, kędy trzynastą księgę, to jest od roku 1445. aż do roku 1480. położył, i w Lipsku w roku 1712. drukiem dość pięknym ozdobił. Że jednak cudzoziemski drukarz ani imion polskich, ani akcentu był świadomy, dla tego bez końca błędów w nim znajdziesz w przezwiskach czy miejsc, czy osób: znajdziesz krom tego *in Annali Minor. Vadingi* list jego, który pisał do B. Kapistrana *tom 6. num. 3.* w roku 1454. Chronografia czy Geografia królestwa Polskiego, gdzie miasta, zamki, rzéki, góry, lasy opisuje, ta wydrukowana przed początkiem historyi jego. Nadto pisał o familiach polskich i herbach, o czym świadczy Miechowita, ba i Paprocki wiele z niego wyczerpnął w swoim Herbarzu, o czym na wielu miejscach przywodzi zdanie Długoszowe.

2. Maciej Kązimiérz Sarbiewski,

Herbu Prawdzic w województwie Mazowieckim, w zakonie naszym wybornego we wszystkich naukach poleru. Retoryki, filozofii, teologii w Wilnie z taką u wszystkich imienia swego sławą uczył, że gdy w oczach Władysława IV., króla polskiego doktorski brał biret, król sygnet swój zdiąwszy, na palec go Macieja włożył z osobliwszą umiejętności jego pochwałą w roku 1636.; przedtym zaś Urban VIII., papiéż, i sam wielki poeta, szacując sobie w Sarbiewskim i prędkość, i gładkość w pisaniu wiérszów, laurem mu poetycznym głowę ozdobił: kaznodzieją potym królewskim u tegoż Władysława z żalem wszystkich na wieczne życie przeszedł w Warszawie w roku 1640. 2. apryla. Nie mógł się oprzéć usilnemu naleganiu króla Władysława IV., wzywającemu go do siebie na ambonę królewską: kazał tedy przed nim z niewypowiedzianą i imienia swego sławą, i Boską chwałą; wszakże ustawicznie się ode dworu królewskiego wyłamywał, żeby się był tym lepiéj w komórce zakonnéj do nieba przyprawił. Ciężkoć było wspomnieć o tém Władysławowi królowi, który w nim tak bar-

dzo korzystał; nakoniec jednak nakłonił się na prośbę księdza Sarbiewskiego. Wesół tedy wyjeżdża z Warszawy. W tym nadjechał do króla pan znaczny, który że się przed Władysławem wydał, jak sobie życzył przynajmniéj raz słyszéć każącego księdza Sarbiewskiego, król chcąc ukontentować człowieka, wielkim naleganiem wymógł to na Macieju, że się już z drogi wrócił, i kazania podjął, które z nieporównanym powiedziawszy plauzem, tylko co zszedł z ambony, na łóżku się położył, ciężką maligną do trzeciego dnia ztrawiony. Przyczyną skwapliwéj śmierci była kropla krwawa, która z czoła spadła Sarbiewskiego z natężeniem myślącego o kazaniu.

Urban VIII., papiéż będącemu na ten czas w Rzymie Sarbiewskiemu, chcąc doznać jego chybkości w opisaniu wiérszów, powiedział taką historyę: „Ojciec (prawi) jeden idąc przez most na Tybrze postawiony, czy z niedostatku, czy téż z gniewu własnego syna wrzucił w pomienioną rzékę, którego gdy nurt bystréj rzéki jużjuż na dno pogrążał, pies wskoczył w rzékę, i na brzeg jéj zdrowo go od zguby wyniósł.“ Kazał ją tedy we dwóch tylko wiérszach i z konceptem jeszcze wyrazić. Co ksiądz Maciej bez zwłoki żadnéj tegoż czasu tak opisał:

Projicit in Tiberim puerum pater, ac canis effert;
Hic gerit officium patris, at ille canis. —

Są te w druku jego pisma ważniejsze: 1) Mów kilka. — 2) *Liber epodon et alte repigrammaton, multoties impressus.* — Zostawił kazań, które miéwał przed Władysławem IV. tomów 4. Gotował nadto do druku: *De perfecta poësi libros 4.— Orationum librum unum. — Lechiados libros 12. heroico carmine. — De physico continuo libros 4. — De Deo Uno et Trino. — De Diis gentium libros 4. soluta oratione*, ale go w tym śmierć zaszła. Znajdziesz i niektóre listy jego.

3. Jan Zamojski,

Herbu Jelita, w Ruskim województwie, kanclerz i hetman wielki koronny, starosta i jenerał krakowski, syn Stanisława, kasztelana chełmskiego z Herburtównéj, mąż prawie wszystkich nauk umiejętnością zalecony. Nadto pobożność i męstwo, wspaniałość umysłu i submissya w ekwał z sobą certowały, pamiętnemi tak w pokoju, jako i w boju dla ojczyzny dziełami nieśmiertelny.

Jan ten kanclerz z dziecinnych lat w naukach pod Wojciechem Ostrowskim w Krasnymstawie zakładał początki. Na dwór potym wy-

słany Franciszka, delfina francuzkiego, podziękowawszy dworowi, naprzód w Paryżu *humaniores literas*, potym greckiego języka, daléj filozofii i matematyki pod godnymi uczył się professorami przez lat cztéry: do Włoch się potym udał, i w Padwie jurysprudencyi słuchał, gdzie i powagą obyczajów, i rozsądku wielkiego polerem, i wyborem umiejętności tak między wszystkimi prym trzymał, że go téż akademia padewska zgodnie sobie rektorem obrała. Było to w podziwieniu u senatu weneckiego, że Polaka, a jeszcze tak młodego na taką funkcyą wyniesiono; ale gdy się potym dowiedział, jak rostropnie, z jakim wszystkich ukontentowaniem ten urząd sprawował, niewypowiedzianą o sobie wzniecił estymacyą, osobliwie, że się tamże i księgami od siebie do druku podanemi wsławił, to jest: *1) De senatu Romano libri duo.— 2) Opus legum et institutionum academiae Patavinae.*— Inszych zaś czasów wydane do druku są te jego skrypta: *3) Oratio, qua Henricum Valesium regem renuntiat, dicta Pirisiis 1573.— 4) Pacificationis inter Domum Austriacam ac regem Poloniae et Ordines regni tractatae scripta aliquot 1590.— 5) De transitu Tartarorum per Pocutiam anno 1594.— 6) Epistola ad Cardinalem Aldobrandinum, Cracoviae 1594.*

Beierlinck, mówiąc o nim, zowie go *novum Demosthenem Polonis exortum, pacis belliquc artibus heroem praestantissimum, Phoebi Martisque sacerdotem.* Listy jego w różnych autorach znajdziesz. Księgami i cnotami zalecony, z senatorami weneckimi przednimi wszedł był w wielką konfidencyą, atoli od ojca wezwany do Polski odwrócił, i na dwór się udał Zygmunta Augusta, króla, kędy wszystkich o sobie expektatywy zwyciężył, osobliwie jednak Augustowi przypadł był do serca: więc po śmierci Sobka, podskarbiego koronnego wysłał go do odbiérania skarbu. Tam Zamojski nie wprzód wyjechał, aż metrykę koronną, dawnością lat pomieszaną, i wszystkie prawa, transakcye, przywileje królewskie należycie zkonnotował i ułożył. Wdzięczny téj pracy jego król starostwo mu Bełzkie konferował po śmierci ojca jego. Prędko i August król zszedł z tronu do grobu. Na elekcyi Henrykowéj tyle o sobie zjednał opinii, że go z inszymi po tegoż Henryka do Francyi stany rzeczypospolitéj uprosiły, kędy go imieniem wszystkiego rycerstwa witał: widział w nim wielkie przymioty ten pan, i skoro do Polski przyjechał, knyszyńskie mu starostwo ofiarował. Najwięcéj jednak Stefan Batory pokazał, jak go sobie szacował, kiedy w kilkanaście dni po swojéj koronacyi, naprzód mu pieczęć mniejszą, a potém w rok i

większą konferował; buławę mu także wielką pod Worończami na moskiewskiéj expedycyi oddał; krom bełzkiego (które spuścił, wziąwszy krakowskie) nadał mu starostwa: malborskie, międzyrzéckie, krzeszowskie, derpskie; nadto go z domem swoim zkolligował przez własną synowicę. Wesele to się w Krakowie odprawowało z pompą i magnificencyą właśnie królewską. —

Tak szczęśliwie ten Mars polski wojował, że mu się nigdy niestateczną fortuna nie stawiła: jedni to przypisują karności, w któréj wojsko trzymał, że i za kapuścianną głowę żołniérzowi głowę uciąć kazał, że ją przeciwko zakazowi hetmańskiemu zabrał: drudzy afektowi, którym do niego wszyscy ludzie rycerscy lgnęli, ile że i on kawalerskie serca nieporównanie szacując, i wynosił do senatu, i w fortunę szczodrze opatrywał; inni przezorowi jego: najwięcéj się zaś o to starał, żeby mógł był widzieć wszystkie zamachy nieprzyjacielskie, luboć i ostrożność jego wielka nie mało mu do takich tryumfów pomogła, tak dalece, że wątpliwość o sobie zostawił, czy odważniejszym był, czy ostrożniejszym w okazyi. To pewna, że do urzędów wojskowych wybiérał ludzi mądrych, trzeźwych, doświadczonych, nie pychą albo parantelą przedmuchujących, ale zasłużonych, z których jeszcze za żywota swego, razem z sobą zasiadających w krzesłach senatorskich widząc, cieszył się z tego. Przeniósł się na tryumf do nieba w roku **1605.** wieku swego 63., w Zamościu pogrzebiony, który on piérwszy założył, fundował i ufortyfikował; w nim zaś wspaniały kościół, pod tytułem Świętego Tomasza Apostoła od niego wymurowany, przy nim kollegiata z kanonikami, między któremi dziekan piérwszy i *infulatus,* ustanowiona; insze tamże kościoły i wystawił, i uposażył, i od złota, srebra bogato nadał. Akademią tamże fundował, do któréj ludzi mądrych sprowadził: chciał do Polski i owego sławnego Lipsyusza przeciągnąć i Antoniego Mureta, by był temu Grzegorz XIII., papiéż nie przeszkodził. Nie przestał jednak do niego pisywać *Lipsius.* Papiéże, Grzegorz XIII., Syxtus V. i Klemens VIII. wielce go sobie poważali. Jak wiarę świętą katolicką rzymską kochał, do któréj sam się z młodych lat nakierował, lubo z rodziców był heretyckich urodzony, osobliwie czytając doktorów świętych i innych autorów, zkąd zwykł był mawiać o sobie: *Dum latinitatem quaesivi, salutem inveni,* dowodem jest jego testament, w którym zalecając tęż wiarę synowi swemu, mówi: *Praestat non nasci, quam in hac non vivere.* Nawet dał się z tym słyszéć przed

dyssydentami: *Si posset fieri, ut omnes sitis catholici, dimidium vitae sanitatisque meae in id inpenderem, dimidium, inquam, ut ultero dimidio vitae de vestra unione vobiscum laetarer.* Co dzień mszy świętéj słuchał, pacierze kapłańskie odmawiał, *martyrologium* czytał; ile mu tylko od inszych zabaw wolnego czasu stawało, wszystek ten czytaniu ksiąg różnych dawał, żeby był próżnowania uszedł. Wymówić co przy nim było mniéj przystojnego, żwawie się o to ujmował. Na ubogich szczodrobliwy, szpitale na nich zakładał, ba i ostatnią wolą swoją pewną summę do bractwa Miłosierdzia naznaczył. Kollegium jarosławskie swoją dobroczynną ręką dźwignął, a lwowskie swoją u króla interpozycyą. Sprawiedliwości szczególniéj przestrzegał.

21. Elżbiéta Drużbacka.

Elżbiéta z Kowalskich Drużbacka, skarbnikowa żydaczowska, rodem z Wielkopolski, żyła w piérwszéj połowie ośmnastego wieku, i umarła około 1760. roku w wieku sędziwym w tarnowskim klasztorze panien Bernardynek. Wiérsze jéj porozpraszane w rękopismie zebrał i wydał Józef Załuski, naówczas referendarz koronny, w Warszawie u Pijarów 1752., któreto dzieło jest oraz piérwszym tomem *Zebrania rytmów wierszopisów żyjących.* Znajdują się tu: Wiérsze duchowne, moralne (pod tym nie właściwym napisem jest między innemi także opisanie cztérech pór roku, opis cztérech elementów), panegiryczne i światowe. Krasicki w trzecim tomie dziel swoich pisze, że Drużbacka samym instynktem natury powołana do rymotworstwa, ileże żadnego języka oprócz rodowitego nie posiadająca, dała przykład, co może sama przez się moc i dzielność umysłu. W opisach osobliwie wydaje się żywość imaginacyi i wdzięk wyrazów.

F. Bentkowski.

Wiosna.

O! złoty wieku w postaci dziecinnéj,
Wiosno wesoła! toć się pięknie śmiejesz,
Wszystko twéj ujdzie płochości niewinnéj,
Czy chłodem dmuchasz, czyli ciepłem grzejesz;
Wolnoć jak dziecku dla swojéj zabawki
Dziś urodzone straszyć śniegiem trawki.
Przecie choć straszysz, nie uczynisz szkody
Ni skrzepłym zimnem, ni przykrym gorącem;
Przyjemna pora, czas miły, czas młody,
Ma swą umowę z powietrzem i słońcem,

Wié kiedy zagrzać, wié kiedy ochłodzić,
Ma sposób starość orzeźwić, odmłodzić.
Ty okowaną i sciśnioną ziemię
Od tęgich mrozów uwalniasz z niewoli,
Jak córka matki kochająca plemię
Kajdany zimne rozpuszcza powoli,
Potym zaś bliższym ogniem gdy dosadzi,
Z lodowéj wieży więźnia wyprowadzi.
A po tyrańskiéj zimowéj opiece
Pozwalasz ziemi odetchnąć swobodnie:
Ta otworzywszy ciepłych duchów piece,
Zkościałe role rozwolnia wygodnie,
Im częste tchnienia z ust swych rozpościéra,
Wszystko się rodzi, a nic nie umiéra.
Choć się zasępisz, choć płaczem rozkwilisz,
Nie przykro patrzyć na twoje grymasy,
Spragnioną matkę swemi łzy posilisz,
Ucieszysz pola, łąki, kwiaty, lasy:
Ty wszem żywiołom pożytek przynosisz,
Gdy perłowemi wody często rosisz.
Zielone lasy w cieniach rozmaitych
Z pięknych kolorów liberye mają,
Insze na brzozach, insze w gajach krytych,
Insze na drzewkach nizkich gust wydają,
Insze na buku, grabinie i sośnie,
Insze na dębie, który sto lat rośnie.
Inszą śliczność łąkom naznaczyła,
Jedwabne trawy dawszy im za płaszcze,
Ślicznemi kwiatki jak cacko upstrzyła,
Z temi się Zefir bawiąc skrzydłem głaszcze:
Te też wzajemnie jak z dzieckiem igrają,
Jedne się wznoszą, a drugie zniżają.
Dopiéroż kwiatom, ziołom ogrodowym
Obacz! jak piękne sprawiła sukienki,
Trudno opisać, ni Appellesowym
Pędzlem malować ich kolorów wdzięki.

Niech się paryzkich fabryk materya
Wstydzi, wenecki jedwab w kłąbek zwija.
Cieszyć się Flora, że piękne partery
Pod jéj dozorem wszystkich wabią oczy,
Chodząc pomiędzy gazony, kwatery,
Każdy kwiat z pączka ledwo nie wyskoczy
Do swéj bogini, i jak słońce błyśnie,
Ten się do ręki, ów do piersi ciśnie.
Ptasząt rozlicznych głosy słychać w gajach;
Te gniazdo ścielą, te miejsca szukają,
Te już spokojne, co siedzą na jajach,
Te zaś, choć ślepe, z domków wyglądają:
Temu miód niesie, muszkę, temu mrówkę,
To pyszczkiem prosi, to nachyla główkę.
Żadne próżnować nie chce w czasie drogim,
Każde się stara mieć z piskląt pociechę,
Choć tego tuzin jest w domku ubogim,
Przecie ich bronią sowom nosić w strzechę.
Kukułka pragnąc potomstwa, co robi?
Z przymusem mamkę dzieciom przysposobi.
Tu słowik wdzięczne przemiany w swym głosie
Posyła echu, które chętnie niesie
Przyjemny koncert porankowéj rosie:
Słychać go w łozach, słychać w ciemnym lesie,
A gdzie strumyczek szemrząc płynie wązki,
Pleszcze skrzydełka, skoczywszy z gałązki.
Wkrótce z ukrytych łożysk wiodą młodzież,
Łanie jelonki, a sarny koźlęta.
Nic się nie troszczą matki o ich odzież:
Lwica wpółnagie prowadzi szczenięta;
Każde się chlubi z przymnożenia rodu,
Wiernie pilnując wydatnego płodu.
Gadzin podziemnych z okropnego lochu
Dobytych mnóstwo w różności posturach,
Ujrzysz robactwo gminami jak prochu,
W odmienne centki skropione po skórach:

Tu wąż, chcąc pozbyć przeszłorocznéj suknie,
Z bolem ją zrzuca, w nowéj się wysmuknie. —
Gospodarz pilny w zasiewie zimowym,
Z niecierpliwością upatruje świtku,
Wybiega w pole, chce wzrok cieszyć owym
Zyskiem, co w ziemię schował do pożytku;
Z niemylną wróżką prowizya chodzi,
Że mu siedm ziarnek sto kłosów urodzi:
Uważa, jeśli posiane pszenice
Bespiecznie swoje rozścielają brody,
Zagon nie brózdzi z brodą o granicę;
Bo już to sobie wymówili wprzódy,
Aby gdzie tylko golizna się zjawi,
Tam brodą, wąsem, czupryną zastawi.
Z sadów, gdzie szczepiem ulice sadzone,
Nadzieja fruktów wieść daje obfitych,
Gdzie nie tylko te, co pilnie strzeżone,
Lecz z leśnych będzie zysk w drzewach okrytych:
Z téj formy wiedzie kwiat natura członka,
Tak pigwa rodzi, jako leśna płonka.
Tak z dzikich pniaków latorośl wynika,
Tymże gościńcem na świat się dobywa,
Jako ta z szczepów wprost swój ród wytyka,
Szczepione z razu często rosną z krzywa,
Często z chropawych, nie krzesanych kloców,
Doczeka chłopek rzęsistych owoców.
Nimfa Pomona, która sadom sprzyja,
Drzewa rodzajne ma oddane sobie,
Z krzywym się nosem jak cyga uwija,
Te z wilków struże, z tych mchy siwe skrobie:
Nic tu po suchym sękowatym drewnie,
Młodych i gładkich trzeba téj królewnie.
Już wszelki żywioł, człowiek, ptak, zwierz, ryba,
Kontent z wiosennéj, miłéj, ciepłéj chwili;
Już inspekt nie dba, gdy go grzeje szyba,
I że się w krótce przymuszon wysili;

Jeśli pomocy nie będzie od lata,
Zginie kwiat, strączek, ogórek, sałata.
Wszechmocny w słowie, wszechmocniejszy w czynach,
W niebieskim domu gospodarz przezorny,
Myśląc o ludziach, bractwie ryb, zwierzynach,
Złożył rok z cztérech części zgodny, sforny,
By wiosna latu, jesień zimie były
Powolne, a tym stworzeniom służyły.

Pochwała lasów.

Zważywszy życia ludzkiego obroty,
Uchodzę w lasy i wesołe knieje,
Mając w nich więcéj gustu i ochoty:
Niech kto chce z mojéj dzikości się śmieje,
Nie dbam nic na to, wolę z swéj prostoty
Las, a niżeli świat pełen niecnoty.
Nie umiém bajek prawie szeptać w ucho,
Łaciny nie znam, ni terminów prawnych,
Wody sprowadzić tam, gdzie było sucho,
O Cyceronach nie słyszałam sławnych;
Więc kto tych czasów w téj nie ćwiczon szkole,
Niech pasie bydło, albo kopie role.
Lasy kochane, zielone chłodniki!
Drzewa przyjemny szum dające z siebie!
Trawy, pagórki, biegące strumyki!
Przy was niech mieszkam choć o suchym chlebie,
Zdrowszy mi napój z waszych źródeł żywych,
Niż drogie trunki, gdy z rąk nieżyczliwych.
Jak ranna zorza swój rumieniec śliczny
Pokaże, rosa perłowe kropelki
Pozbiéra, już ci pasterz okoliczny
Nie zaspi, a ptak wyspiéwuje wszelki.
Ci trzody owiec żeną między wrzosy,
Te mokre skrzydła otrzepują z rosy.

Wnet różnych głosów stroją instrumenta.
Po drzewach skacząc wysoko, to nizko,
Krzykną roślejsze i drobne ptaszęta,
Bespieczne, chociaż słuchamy ich blizko.
Za nic koncerty i włoskich nót sztuki,
Ich milsze głosy bez mistrza nauki.

Odpocznie ptastwo, aż zaczną pastérze
Smutne wywodzić dumy na fujarze,
Inni zaś skoczne mazury na lirze,
Tańcując z nami każdy w swojéj parze;
My wdzięczne pieśni spiéwamy koleją,
Lasy słuchają, a gaje się śmieją.

Nie wiem co tęsknić, pasąc owiec trzodę,
Z pilnością strzedz ich potrzeba od wilka:
Przebrnąwszy potok, oczyma powiodę,
Aż pastéreczek bieży ku mnie kilka:
Z temi się witam, chwytając za szyję,
Wnet jedna drugą zczesze, splecie, zmyje.

Usiędziem sobie pod jaworem ciemnym
Nad czystym źródłem pryskającéj wody:
Ze skał fontanny natura foremnym
Kunsztem zrobiła pastérzom ochłody:
Nic nam słoneczny upał nie dokuczy,
Jawor zaszumi, a strumyk zamruczy.

Zaczniemy mówić o naszych zabawach,
Na czym dzień cały przeminie godziną,
O pięknym kwieciu, w jakich rosną trawach,
Ta powie: „Jest tu miejsce nad doliną,
Na którym kwiaty w rozliczne kolory
Kwitną posiane od bogini Flory.“

Więc wszystkie w zawód bieżąc, jedna drugą
Popchnie w bok, by się wyprzedzić nie dała,
Ta w miękką trawę upadnie, jak długą,
Ta już tym czasem kwiatów nazbiérała,
Z tych wieńce wijąc głowy sobie strojem,
O brylantowe korony nie stojem.

Szczéra wesołość, śmiéch, żarty niewinne
Nikogo zgorszyć, owszem cieszyć mogą,
Prostoty naszéj niech się uczą inne,
Przystojnych zabaw z nami idą drogą.
To co ma która, wybiéra z koszyka,
Jémy sér z chlebem, i masło z jaszczyka.
Po tym bankiecie chcący trunku zażyć,
Spieszno biegniemy do naszéj piwnicy,
(Którą nad winne więcéj trzeba ważyć)
Czystéj jak krzystał pod skałą krynicy;
Z téj co dzień dzbanem pijąc nie ubywa,
W pełni zostaje, nikt jéj nie doléwa.
Gdy już z południa słońce nie zbyt grzeje,
Wychodzim z gęstych lasów na krzewiny,
Tam gdzie chłód miły od pagórków wieje,
Igramy w babkę pomiędzy jedliny,
Patrząc przez nizkie krzaczki i jałowce,
Czy dobrze nasze napasły się owce.
Samym wieczorem zbliżając ku domu,
Zganiamy trzody społem do gromady,
Poznają owce, co należy komu,
Bierzemy swoje bez swaru, bez zwady;
Żadna nie zbłądzi do cudzéj owczarnie,
Każda do swego sałaszu się garnie.
My zaś pastérki do chaty chróścianéj,
Nad pałac cichszéj spieszym na spoczynek,
Mléka siadłego na misce glinianéj
Podjadłszy, nie śląc po mięso na rynek.
Nie psują takie potrawy żołądka,
Dłużéj my, niż pan — żyjem niebożątka.

22. Józef Baka.

Urodził się około 1706. roku w możnéj i dawnéj rodzinie, pieczętującéj się tym samym herbem, co książęta Massalscy. W roku 1723. wstąpił do zgromadzenia Jezuitów, kwitnącego wtedy kilkoma niepospolitemi imionami, a na kazalnice, do konfessyonałów i katedr professorskich po swych licznych kollegiach potrzebującego ludzi zdolnych w nauce, i gorliwych w pobożności.

Zdaje się, że tym ostatnim przymiotem celował młody ojciec Józef, bo go zgromadzenie posłało do skromnéj missyi w bracławskim powiecie, we wsi Dukształach. Przykład fundatora téj missyi, Józefa Rudominy Dusiackiego, który sam będąc Jezuitą i rektorem w Mińsku, przyłożył się do rozszerzenia swojego zakonu w Litwie, natchnął Bakę żądzą zostania fundatorem. Korzystając z pobożności swojego ojca i jego dla siebie powolności, młody Baka wyprosiwszy u niego dwie wioski, Sliżyn i Januszkowice, oraz summę 10,000 zł. pol., zbudował rezydencyę z małym kościółkiem, założył missę jezuicką, i sam w niéj zamieszkiwał. Ksiądz Legowicz, wydawca nieznanéj dziś książeczki pod tytułem: *Nabożeństwo codzienne chrześciańskie przez księdza Bakę*, nazywa autora przełożonym missyi Jezuickiéj w Błoniach. Wiemy znowu z ustnego opowiadania znanego ze swych pism i prac malarskich pana Adama Szemesza, że ksiądz Baka mieszkał w którejś z małych Jezuickich kolonij na Białéj Rusi, gdzie budował lud swą gorliwą pobożnością.

Następuje jego epoka pobytu w Wilnie, jak wiémy, około roku 1760., gdzie był professorem poetyki w akademii. W tym czasie wydał swe *Uwagi o śmierci niechybnéj, wszystkim pospolitéj, wiérszem wyłożone* (*1766.*). Pobożny obywatel wileński, Xawery Stefani łożył sumpt na wydanie tego dziełka. Pan Bartoszewicz wynalazł szczegóły jego zgonu, dowodzące, że po wydaniu *Uwag* Baka żył jeszcze lat 14. Na wiosnę 1780. roku, mając już 72 lat życia, umarł w Warszawie, dokąd za jakąś sprawą na czas krótki przyjechał. —

Śmiéjcie się sobie ze mnie! a ja wam powiém, że ksiądz Baka jest jednym z ludzi, których nie umiano ocenić. Nasz wiek szyderski widział w nim tylko kolące w oczy formy, nie poznał się na myślach dlatego, że je śmieszny strój okrywał, i zrobił z narodowego naszego *Young*'a, pełnego fantazyi i humoru, straszydło na kleciwiérszów.

Każdy z czytelników nieszczęśliwego poety, nim myśl jego pojął, rozśmiał się z wiérszy; nikt nie chciał zastanowić się seryo nad duchem jego poezyi, tak jak one seryo były pisane. Powtarzam, śmiéjcie się sobie ze mnie! jest myśl poetyczna wielka w *Uwagach o śmierci niechybnéj*, ta sama myśl, którą *Young* płaczliwie rozprowadził w bladych swoich dumaniach, ta sama, którą poetyczni malarze odmalowali w Tańcu śmierci na ścianach grobowych sklepów w jednym z kościołów w Dublinie i Paryżu.

Pod względem mechanicznego składania wiérszy ksiądz Baka bez wątpienia jest bardzo nieszczęśliwy: tato niezgrabność zgubiła go i pokryła sobą obrazy pełne fantazyi i życia, któremi błyszczą wszystkie jego poezye.

Gdyby w innym żył wieku ksiądz Baka, byłby z lepszém ukształceniem smakowniéj te *Uwagi* ułożył, byłby jednym z najżywszych, najśmielszych poetów. Dość jest czytać jego współczesnych wiérszarzy, żeby się o tém przekonać: blade naśladowania tylko i tłumaczenia, otaczające nas w końcu XVIII. wieku! jeden ksiądz Baka jest istotnie oryginalnym, wszystko co napisał, jest jego własne formą i myślą. Obior przedmiotu i sposób traktowania go, uważane razem, okazują w nim obojętnego na krytykę, potężnie władnącego swoją myślą poetę, który

przejęty swoim przedmiotem wié, że nie ma wyrażenia, któreby go śmiesznym mogło uczynić; bo mówi o rzeczy najsmutniejszéj ze wszystkich, któréj samo wspomnienie, chociażby w arlekińskie przystrojone szaty, głęboko w sercu bolesne uczucia zasiéwa. Jestto obojętność człowieka, który płacze gorzko idąc za pogrzebem, chociaż nie włożył żałoby.

Trzeba być wielkiém dzieckiem, żeby czytając *Uwagi* księdza Baki, zacząwszy od śmiechu, na nim skończyć; żeby nie uczuć choć słabego odbicia na sercu wielkiéj myśli o śmierci. Jest jeszcze jeden rodzaj uczucia, który się rodzić powinien z czytania tych poezyj: pogarda świata i życia. Wymowni a drżący w duchu liryccy, wielkiemi i szumnemi wyrazami chcąc nas do tego zachęcić, wzbudzają tylko jakąś czczą niespokojność: ksiądz Baka uszczypliwie, szydersko maluje nam nędzę tego świata, i śmieje się ze strachu śmierci; bo widzi — czuje nieśmiertelność za życiem.

Baka odrodzony. Uwagi o śmierci niechybnéj, przez Władysława Syrokomlę. Wilno 1855.

1. Bogaczom ciemnym oświécenie.

O bogaczu
Godny płaczu!
Masz sepety
I kalety,
Masz gody,
Wygody,
I futra
Do jutra!
Skarbiec pełny
Złotéj wełny,—
Złote runo;
Lecz że z trumą
Twe juki,
Dokuki,
Sobole,
Są bole.
Bogacz Boga miałby chwalić
I ofiary z bogactw palić:
Bóg w niebie!
U ciebie
Bez wróżek
Skarb bożek!
Jemu serce — kłopot życia
Jest oddany, dla nabycia:
Zysk cały
Nie mały
Kłopoty,
Suchoty.
Wszak zwiędniałeś,
Ołysiałeś,
Jak skorupa,
Liczykrupa!
Twa mina
Wędlina
Dla szczurów
Zpod murów.
Wysuszyło złote żniwo,
Abrahama czeka piwo;
Po chwili
Posili

Śmierć łzami
Konwiami.
Twoje złoto
Jako błoto.
I zapasy
We złe czasy
Z lat stratą
Łopatą
Śmierć z chuci
Wyrzuci. —
Mości panie!
Z gliny dzbanie
Polewany —
Pozłacany!
Nie głucho.
Że ucho
Urwie się,
Stłucze się:

Ma świat cały cię w respekcie,
A ty wszystkich w tym despekcie,
Że czyste,
Wieczyste
Wsi liczysz,
Dziedziczysz:
Lecz ta wada,
Że świat zdrada:
Co się wznieci
Krótko świeci.
Świat burka,
Twa skórka
Niech zważa
Poważa.
Dbasz w brygady,
Dbasz w parady,
W złocie chodzisz,
W złościach brodzisz!

Ta fama
Jest plama:
Trup w szatach,
Duch w łatach.
Wszak karmazyn w małéj cenie,
Gdy w paklaku złe sumienie.
Grzbiet lśni się
Duch ćmi się;
Siérota
Hołota.
Masz tytuły
I szkatuły,
W kiesach złoto,
W sercu błoto:
Niecnota
Hołota;
Przemaga
Zniewaga.

Masz parepy, spasłe cugi,
Choć nad włosy większe długi,
Parady
Bez rady
Przychodów —
Rozchodów.
Masz rządziki,
Kapelijki,
Menuet skaczesz,
Nim zapłaczesz:
Źle żyjesz!
Zawyjesz!
Śmierć nie śmiech
Dudy w miech.
Teraz w rusa
Rwie pokusa:
A w tryszaku
Smak jak w raku.

Grasz tęgo
Z przysięgą,
Bez chluby
Rad w czuby.
Karty, szachy
Niszczą gmachy,
Z faraona
Dobra strona.
Faluje, czatuje,
Odmiana
Przegrana.
Mości panie!
Moje zdanie:
Téj minuty
Do pokuty!
Z piéniędzy
Daj nędzy,
Płać myto
Kalétą!

2. Nędznym tu kmieciom.

Biedni kmiecie! to powiecie,
Że was cetnar prac dość gniecie:
Tu praca
Jak prasa
Lud tłoczy
Roboczy.
Biéda rani i dokucza,
Jak żar rybkom z siatek — z bucza;
Atoli
Powoli
Bóg koi
I goi.
Kmiotek stęka,
Że tu męka,
Lecz przy zgonie
Nie utonie
W łez rzékach
Po wiekach,
Po potach,
Kłopotach.
Wszak weseléj, śmieléj chłopek,
Co jak mrówka dźwiga snopek,
Po cepie
Spi w sklepie,
W dolinie,
W pérzynie.
Ty oraczu
Pełen płaczu!
Śmierć macocha,
A twa socha
Cóż wskóra?
Ej skóra
Zaboli,
Gdy zgoli!
Śmierć i chłopy
Jako snopy
Z gruntów brózdy
Jako drozdy
Wybiéra,
Zawiéra,
Tratuje,
Morduje:
W czysca sieci
Jak w osieci,
Kąkol duszy
Twéj wysuszy,
Wywróci,
Wykłóci,

Naparzy,
Rozżarzy.
Twe woliki trzymasz w pługu,
A śmierć ciebie weźmie w długu:
W oborze
Z plec sporze
Odzienie
I mienie.

3. Uwaga prawdy z rozrywką.

Grzeszniku
Bez liku!
Ach grzéch, grzéch
Nie śmiéch, śmiéch!
Śmierć matula!
Jako dula
Już na nosie:
Dbajmy o się!
Grzészniku!
Indyku
Nadęty, —
Przeklęty!
Ztul ogona,
By zbawiona
Była dusza,
Ciała tusza
Od szlagi,—
Czy plagi
Śmiertelnéj —
Piekielnéj.
Prawda radzi,
Pycha wadzi.
Ta chimera
Lucypera
Zniżyła,
Wtrąciła
W łez rzéki
Na wieki.
Śmierć — babula,
Jak cybula
Łzy wyciska,
Gdy przyciska:
Twa główka —
Makówka
Nie boli
W swéj woli.
Śmierć — macocha,
Kto grzéch kocha,
Z kosy, stali
Wałkiem wali
Z miłości,
Aż kości
Wylazą
Z urazą.
Śmierć — matula
Nas przytula,
Głaszcze, wabi,
Nim zadłabi,
Grzeszniku!
W kąciku,
Nie ślicznie
Publicznie!
Śmierć — matula
Usta ztula,
W gardle kością
Stawa ością;
Co ma, tka
Ta matka;
Nic nie ma
Ta mama:

Nic i tobie nie da w grobie,
Na jéj łonie spoczniesz sobie
Ubogo
I z trwogą
Po polach
Na molach.
Gdy śmierć zmoże,
Nie pomoże
Ani duda,
Ni łez tłum
Kotłów *bum*,
Trąb *ra-ra;*
Gdy zagra,
Maski fraszki,
Oraz flaszki,
Nic muzyki,
Złe żarciki:
Za karty
Tam harty,
Za tuzy
Tam guzy.
Ty *łyk-łyku*
Smokczesz, byku!
A śmierć w szyku
Na przesmyku
Już stawa,
Przygrawa
Niestety!
Menuety.
Ty *hul-huli*
Do gębuli,
A śmierć ztuli,
Czas już *luli*,
W napoju,
Opoju!
Za szklanki
Da bańki.
Śmierć myśliwiec, —
Młodzik siwiec
Bez harapu
Capu łapu
Uszczwany,
Zszarpany,
Wnet jęknie
I stęknie.
Jednym ciągiem
Kosy drągiem
Sięga pana,
I Iwana
W łeb wali,
Obali,
Nim zgubi
Naczubi.
Śmierć — ślepucha
Koło ucha
Śmiało chodzi,
Wielu zwodzi,
Gdy *vivat*
Czyli lat
Życzymy,
Pomrzemy.

---

23. Stanisław Hieronim Konarski,

Polityk, mowca i rymopis nieporównany, wskrzesiciel dobrego smaku w naukach, i lepszego sposobu dawania edukacyi publicznéj w szkołach krajo-

wych. Najmłodszy zpomiędzy sześciu synów Jérzego Konarskiego, kasztelana zawichostskiego, urodził się w roku 1700. Piérwsze nauk początki wziął w Piotrkowie w szkołach księży Piarów, gdzie nabrał powołania do tego zakonu, i mając lat 17, obowiązał się ślubami uroczystemi w Podolińcu; a gdy tamże ukończył przepisany bieg nauk, dawał język łaciński nowoprzybyłym kandydatom: wkrótce potym przeniesiony był do kollegium warszawskiego jako professor poezyi. Tam zupełnie oddany czytaniu dzieł uczonych, począł swém światłem wielu zadziwiać, a często dając się słyszéć podczas różnych uroczystości i obrzędów pogrzebowych na ambonach, coraz bardziéj powiększał swoję sławę. Kończąc rok 25. życia, za wezwaniem i na koszta wuja swego Jana Tarła, biskupa poznańskiego, wyjechał do Włoch, i lat cztéry przepędził w Rzymie, gdzie sam się doskonaląc, i korzystając to z licznych bibliotek, to z obcowania z mężami uczonymi, w dwóch ostatnich latach dawał naukę wymowy i historyi w tak zwaném kollegium nazareńskiém swojego zgromadzenia. Z Rzymu wyjechawszy, zwiédził znaczniejsze miasta włoskie, i udał się do Paryża, jako stolicy dobrego smaku, gdzie między innymi w poufałéj był zażyłości ze sławnym Fontenellem, który w pismach swoich głębokość filozofa, wytworność krasomowcy, i wdzięki rymotworcy połączył; prócztego zaś szczególniéj zastanawiał się nad sposobem dawania nauk w tamecznéj akademii. Przebywszy półtora roku w Paryżu, powrócił do ojczyzny w jedynym celu stania się pożytecznym krajowi. Gorliwy o dobro publiczne, zajął się najprzód zebraniem statutów i porozpraszanych konstytucyj, od Kazimiérza Wielkiego począwszy, w jedno dzieło znane pod imieniem *Volumina legum,* i w roku 1736. zamiar ten całkiem uskutecznił. Samo to dzieło tak szczęśliwie dokonane, ze względu na przysługę całemu narodowi uczynioną wystarczałoby do uwiecznienia pamiątki Konarskiego; lecz w jego myśli małą to było rzeczą w porównaniu z tém, co do skutku przywiéść zamyślał. W roku 1739. będąc professorem wymowy w kollegium krakowskiém, a roku 1740. w Rzeszowie, prawdziwie wzorowym okazał się nauczycielem dla młodzieży swojego zgromadzenia, która z czasem rozeszła się po całym kraju. W latach następnych podczas swego trzyletniego prowincyalstwa dokładniejszy i do wieku stosowniejszy sposób uczenia teologii, historyi, a mianowicie filozofii temuż zgromadzeniu przepisał, katedry światłymi nauczycielami poosadzał, młodych ludzi okazujących zdolności za granicę wyprawiał, jużto udzielając im zasiłków z pensyi od Ludwika XV., króla francuzkiego sobie wyznaczonéj, jużto zbiérając na nich składki od swych krewnych i możniejszych przyjaciół. Słowem, cały sposób uczenia w szkołach piarskich odmieniwszy, zaczął nową epokę w dziejach literatury ojczystéj. Wtymże czasie powiększył bardzo znacznie bibliotekę kollegium piarskiego w Warszawie, i opatrzył ją w dzieła kosztowne i rzadkie, która chociaż w roku 1747. zgorzała, w dalszych jednakże latach za jego staraniem do dawniejszego przyprowadzona stanu, do piérwszych bibliotek w téj stolicy słusznie należéć mogła. Niemniéj ważną a w uskutecznieniu trudniejszą przysługę uczynił ten szanowny kapłan w czasie swego prowincyalstwa utworzeniem instytutu

edukacyjnego pod nazwiskiem Konwiktu dla młodzieży szlacheckiéj czyli *Collegium nobilium* w Warszawie (na wzór kollegium nazareńskiego w Rzymie), do którego dnia 18. maja roku 1743. piérwszy kamień założył. W tymto instytucie z dobranymi z całego zgromadzenia nauczycielami kształcąc młodzież piérwszych domów, stał się prawdziwie wskrzesicielem nauk i dobrego smaku w ojczyźnie. Dowodem tego jest wielu mężów, którzy w téj szkole piérwsze nauk zasady odebrawszy, a światłem swojém i pismami celując, wezwani byli potém do stéru rządu, lub do najpiérwszych w kraju urzędów. Podobneż konwikty o tymże czasie w Wilnie i we Lwowie założył. Nie tylko zaś co do powszechnéj oświaty, ale i co do teatru stanowi Konarski ważną u nas epokę. Onto dzielny upatrując środek w teatrze do dźwignienia dobrego smaku, a czując jego niedostatek w narodzie, przy założeniu konwiktu warszawskiego urządził i teatr dla młodzieży szlacheckiéj, na którym od roku 1743. grywano sztuki dramatyczne wzorowych tragików, zwłaszcza francuzkich, *Corneill'a, Racin'a, Crebillon'a,* jużto tłumaczenia jego samego, już innych piarów, jednymże duchem co on ożywionych.

Słabość zdrowia zmusiła Konarskiego udać się do wód mineralnych we Francyi dla poratowania sił, rozlicznemi pracami zwątlonych. Z téj okoliczności umiał ten mąż niezmordowany korzystać; w czasie bowiem powrotu swego do ojczyzny zwiédzając w Niemczech znakomitsze miasta i akademie, bawił się w Lipsku przez cały miesiąc, a w Dreźnie przez pół roku, aby wszelkie ustanowienia i urządzenia tameczne, do dobra kraju zastosować się mogące, poznał, i potém onez zaprowadził. Przez swoje talenta, światło i inne wysokie przymioty zwracał na siebie wszystkich uczonych uwagę, pozyskiwał ich względy, i zniewalał serca ku sobie. W roku 1748. zjechawszy do Warszawy, otrzymał ze skarbu publicznego 1200 dukatów na ukończenie budowy i różnych urządzeń w konwikcie, którato summa na opędzenie potrzebnych wydatków nigdyby nie wystarczyła, gdyby Konarski własném usiłowaniem i zabiegami reszty nie był zastąpił. A chociaż pożar znaczną część téj budowy zniszczył, ledwie atoli dziesięć lat upłynęło od czasu jéj rozpoczęcia, gdy w roku 1754. zupełnie ukończoną była, i dnia 23. października konwikt na 60 majętniejszych obywateli tamże otwarty został. Wzięłość Konarskiego równa była jego talentom i chęciom dla kraju; miał przyjaźń i ścisłe zachowanie z piérwszymi w rzeczypospolitéj mężami, i ze wszystkimi prawie celniejszych mocarstw Europy posłami, którzy w rzeczach ważniejszych częstokroć zdania jego zasięgali. Znany był i szacowany od Benedykta XIV. papieża, Augusta II. i III., królów polskich, od Stanisława Leszczyńskiego króla, któremu towarzyszył do Lotaryngii. Z łaski Ludwika XV., króla francuzkiego miał na dwóch opactwach we Francyi pewny dochód dla siebie wyznaczony. Czylito przez skromność, czyli przez obawę oderwania się od zatrudnień naukowych, stopniów duchownych, które i za granicą były mu ofiarowane, gdy w charakterze sekretarza Ożarowskiemu, posłowi polskiemu do Paryża towarzyszył, i od królów polskich dawanego sobie po dwakroć krzesła senatorskiego przyjąć nie

chciał. Ztąd poszło, iż Benedyktowi XIV. za ofiarowane mu biskupstwo, tudzież Augustowi III. za przemyskie, a nareszcie Stanisławowi Augustowi za inflanckie biskupstwo podziękował. Król ten ostatni, zawdzięczając Konarskiemu prace dla dobra współziomków swoich podjęte, gdy go niechciwym żadnych godności i urzędów kościelnych znalazł, chciał uwiecznić pamiątkę tego wielkiego męża, i kazał wybić medal z tym wiele znaczącym napisem: *Sapere auso.* Posiadał Konarski rzadkie przymioty serca, które najmocniéj się o dobro ludzi troskało. Łagodność, uprzejmość nad biédnymi, czysta i przykładna bogobojność stanowiły główniejsze charakteru jego znamiona. Mimo słabowitego i pracami nadwerężonego zdrowia doczekał przy skromnym swoim sposobie życia 73. roku, w którym z rzadką przytomnością i widoczną spokojnością umysłu, jako mąż duszy nieskażonéj przeniósł się do wieczności dnia 3. sierpnia 1773., zostawiwszy żal nieukojony w sercach, umiejących czuć taką stratę, i cenić te wysokie talenta, oraz prawdziwą zasługę, któremi on pamięć swoję tak przykładnie unieśmiertelnił.

Wydał Konarski *Leges, statuta, constitutiones, privilegia Regni Poloniae, M. D. Lithuaniae omniumque Provinciarum annexarum, a comitiis Visliciae 1347. celebratis ad ultima Regni comitia. Varsaviae in typographia scholarum piar. 1732.* Jestto pierwszy tom tak zwanych *Volumina legum,* i zawiéra statuta czyli prawa krajowe w języku łacińskim pisane. Tom zaś drugi i następne obejmują konstytucye w języku polskim stanowione, i mają następujący tytuł: *Prawa, konstytucye i przywileje królestwa Polskiego, wielkiego księstwa Litewskiego i wszystkich prowincyj należących, na walnych sejmiech koronnych od sejmu wiślickiego, roku Pańskiego 1347. aż do ostatniego sejmu uchwalone, w Warszawie u księży Piarów 1733. — 1739.* Ułożył Konarski ten szacowny zbiór za namową i radą Józefa Załuskiego w 6 tomach, do których po śmierci jego przydano jeszcze tom 7. i 8., zawiérające poźniejsze konstytucye od roku 1764. do 1780. — W języku ojczystym zostawił Konarski następujące pisma: 1) *O skutecznym rad sposobie, 5 tomów w Warszawie 1760.* — 2) *O religii poczciwych ludzi przeciw Deistom, w Warszawie 1769.* — 3) *Kazanie na pogrzebie Józefa Sapiehy, wojewodzica podlaskiego, w Warszawie 1732.* — 4) *Kazanie na pogrzebie Konstancyi Denhofowéj, wojewodziny małborskiéj, w Warszawie 1723.* — 5) *Pismo na obronę nowo założonego kollegium piarskiego,* bezimiennie wydane *w Wilnie 1638.* — 6) *Rozmowa ziemianina z sąsiadem, w Warszawie 1773.* — 7) *Listy przyjacielskie w dwóch częściach, w Warszawie 1733.* — 8) *Projekt o ustanowieniu szpitalów.* — 9) *Otton, tragedia wiérszem, przekładana z Corneill'a,* wydana bezimiennie *1744.* — 10) *Epaminondas tragedya oryginalna w 5 aktach.* — 11) *Projekt o wprowadzeniu mennicy do kraju.* — 12) *Uwaga historyczna nad niebezpieczeństwem życia Stanisława Augusta w dniu 3. listopada 1771.* Te trzy ostatnie pisma, niewiadomo czy były drukowane. — 13) *Genealogia domu Potockich,* z rękopismu jego wydana jest przy dziele Pawła Potockiego pod tytułem: *Opera omnia Pauli Comitis in aureo Potok Pilavitae Potocki, Varsaviae in typographia collegii societatis Jesu 1747.* —

Pisał prócztego Konarski wiele mów i dzieł, które bezimiennie (jak i znaczna część z wymienionych tutaj) wyszły z druku, albo w rękopismie dotąd zostają. Ogólnie mówiąc, w pismach Konarskiego widać dowcip bystry, imaginacyę żywą, wiadomość rzeczy obszerną, a nadewszystko moc rozumowania, z gruntownego rzeczy objęcia i wielkiego rozsądku wynikającą. Styl jego, lubo gładki i płynny, ale dosyć wyrazów z łaciny wziętych mający, daleki jest od téj czystości, jaką mieli pisarze za wieku Zygmuntów, albo do jakiéj doszli poźniéj po Konarskim piszący autorowie.

Ks. Ign. Chodyniecki.

O religii poczciwych ludzi przeciw Deistom, w Warszawie roku Pańskiego 1769.

I.

Taka dola jest tych, których żyjemy, czasów, że przeciw religii wszędzie burza powstaje, wszędzie jéj wypowiedziana wojna. Biją na nię z jednéj strony wielka zgraja mniéj albo nic światła i nauki mających, ale determinowanych na zgubę jéj libertynów. O tych mniejsza, bo sam ich błahy rozum, samo ich rozpustne życie i wstydu godne sprawy pokazują, że takowi ludzie nie są chrześciańskiéj wierze nieprzyjaciele tak straszni. Lecz z drugiéj strony walczą przeciw niéj filozofowie zaszczyceni naukami, a opinią wyższego nad inszych rozumu o sobie mający. Cokolwiek od najdawniejszych pogańskich wyczerpnęli mędrców, i co przed ośmnastą wokoło wieków i poźniejszemi wiekami chrześciańska już była obaliła i wyniszczyła religia, toż samo teraz wznawiają, wzniecają, i uczyć nas usiłują. Zdają się albo tego nie wiedzieć, albo nie chcieć wiedzieć, co najgruntowniejszy z dawnych filozofów, Cycero obserwował o dawnych filozofach, tak przynajmniéj mądrych, jak teraźniejsi są, i o szkaradnych ich błędach: *Nihil tam absurde dici potest, quod non dicatur ab aliquo philosophorum: nemo aegrotus quidquam somniat tam infandum, quod non aliquis dicat philosophus* (Nie można wymyśleć żadnego więcéj by najgrubszego błędu, któregoby już który nie powiedział filozof: żaden chory plugawiéj i niegodziwiéj nie marzył nad te marzenia, które się znajdują po filozofach).

Ich jednak oświeceni zdaniami, opiniami, i naukami teraźniejsi niektórzy filozofowie, torem dawnych idący, i ich uzbrojeni bronią, je-

dni gwałtownie naciérają na samę rzymską wiarę jako uniwersalną, i o któréj wielki Paweł pisząc do Rzymian powiedział: *Fides vestra praedicatur in universo mundo* (Wiara wasza jest w całym ogłoszona świecie); drudzy na wszystkie razem rzucają się religie, i żadnéj inszéj prócz filozofskiéj, prócz naturalnéj, i jak ją częściéj zwać lubią, prócz religii poczciwych ludzi, ciérpieć i mieć nie chcą, wszystkie insze całemi, ile można, obalają siłami: a wojują je nie tak ze swego dowcipu, bo oni nic nam nie przywodzą nowego, coby się nie znajdowało w marzeniach dawnych filozofów, jako wyciągnionemi z dawnych Platona, Arystotelesa, Anaxagory, Lukrecyusza, i wielu im podobnych świadectwy. Nas zaś wszystkich, którzy trzymamy się ewangelii i pisma, którzy w chrześciańskiéj, jakośmy się porodzili, tak chcemy żyć i dokonać, społeczności, którzy wiary naszéj każdy według swojéj możności usiłujemy bronić, bez excepcyi niczyjego, chociaż im przynajmniéj równego, rozumu, mędrcy ci fanatykami tępemi i nauk ich nie pojmującemi nieukami, nierozumnemi, dobrowolnie ślepemi, krótkiego zbyt i słabego rozumu ludźmi, nic nie umiejącemi dzieckami, i w dziecińskich prewencyach zatopionemi, naostatek wpółszalonemi i głupiemi mianują: z wysoka zaś swoich dowcipów na nas poglądając, albo nami jak insektami, bo nas i tak zowią, tojest drobną, po ziemi włóczącą się gadziną niezmiernie gardzą, albo czasem i nad naszą małością, drobnością i mizeryą, nad słabością naszego pojęcia, nad wkorzenionemi w nas błędami raczą nam jakąś swą litość oświadczać.

Niechże już oni w swojéj zostają wielkości! My chrześcianie, od samego wiary naszéj Autora nazwani *pusillus grex* (maleńką trzodą), nie zazdrośćmy sławy i kredytu wielkiéj i rzadkiéj mądrości tym wielkim w ich opinii ludziom. Niechaj oni sobie będą w olbrzymskiéj ich względem nas u nich mrówek okazałości, *potentes a saeculo viri famosi*, którzy wysokością i mocą swoich celnych dowcipów przeciw niebu i na wszystkie Boskie targają się tajemnice, a rozum aby pod prostą wiarę poddać, za wstyd i ostatnią poczytują ohydę; my kontentujemy się nie téj ich niezmiernéj mądrości wielką reputacyą, ale ile można wielkiéj wiary zaszczytem. *Beatus qui, credit: credo Domine, adjuva in credulitatem meam* (Błogosławiony, kto wierzy: wierzę, Panie, oświéć niedowiarstwo moje).

Ja, chrześcianin zrodzony, w méj wierze żyć chcący, całe nie zazdroszczę wyniesionym tym nad nasz gmin dowcipnym duchom naj-

wyższych — nadludzkiéj prawie umiejętności, które oni sobie zobopólnie zwykli dawać, pochwał, zazdroszczę raczéj nędznéj jednéj niewieście, danéj od naszéj wiary Fundatora pochwały: *Mulier, magna est fides tua!* (Niewiasto, wielka jest wiara twoja!). Myślę o sobie nieraz nad tą wielką i zachwaloną jéj wiarą, czyli i ja sam — czyli po nasze wieki kto chrześcianin jest, ma każdy tę wielką wiarę; ale, jak całe na to siły wywiéra wieku bezbożność, aby tę wiarę wielką i w nas samych, i w całym chrześciaństwie zmniejszyć, osłabić przynajmniéj, jeżeli nie wygubić do szczętu.

Wierzę ja Chrystusowym słowom: *Portae inferi non praevalebunt adversus eam* (że przeciw téj wierze by wszystkie piekła mocy nic nie wskurają, stać będzie, póki świat stać będzie); atoli jako każdego wieku na nię fatalna, tak i naszego wieku najfatalniejsza powstaje sekta, tym skodliwsza, że bez herszta i skryta: zowie się ta sekta *non veri Christiani, sed fucati, non Christiani, sed Christianorum simiae. [a Lapide]* (Nie prawdziwi, ale koloryzowani, czy przypiększeni chrześcianie, nie chrześcianie, ale coś podobnego do chrześcian). Lecz ta sekta znajomsza jest pod różnemi teraz imiony, jako: duchów mocnych, Teistów czy Deistów, filozofów naturalnéj religii, ale najbardziéj pod imieniem poczciwych ludzi, i nazywa się religią poczciwych ludzi, która lubo śmiertelnego dać nie może, daje jednak okrutny cios téj wielkiéj wierze.

Mówią i perswadują wszystkim nie pomiernie uczonemi, acz bez prawdziwego gruntu pismami, któremi całą zalewają Europę, ci mędrcy, że dosyć jest bydź religii poczciwych ludzi bez żadnéj inszéj; a kto im się sprzeciwia, tym samym go z ludzi rozumnych gluzują regestru, i mianują fanatykiem. Niech już będzie, jaka chce, ich o nas opinia; nasze maxymy są insze, nasze *principia* i prawdy insze, nasz sentyment jest, do którego utwierdzenia i te myśli dążą, że nie dosyć jest bydź człowiekiem poczciwym, ale trzeba być chrześcianinem poczciwym.

Biorę naprzód głębiéj tego słowa znaczenie. Imię to piękne: człowiek poczciwy, *honestus*, jak w łacińskim, tak i w naszym języku ma podobne źrzódło. *Honestus dicitur quasi honoris status, honestus quasi honoratus*, jako to słowo Tomasz, wielki doktor tłumaczy; tak téż i w ojczystym języku mówi się poczciwy, tojest, który po czci, albo według czci i honoru na świecie żyje.

Właśnie tedy mówiąc, człowiek poczciwy nic inszego nie jest, tylko człowiek czci i honoru godzien.

Aże cnota nad wszystkie najcelniejsze przymioty i dobra ludzkie niezmiernie szacowniejsza jest, lubo niektórzy filozofowie i cnotę samę, i cnoty imię mają za czczą chimerę, i mówią, że téj istności nigdy na świecie nie było i nie masz; przeciw tym jednak czy niecnotom, czy mizantropom cnota prawdziwa w narodzie ludzkim zawsze była i będzie cnotą, i człowiek cnotliwy ma i mieć będzie zawsze najpiérwsze prawo do tego tytułu, że jest poczciwy, to jest czci i honoru godny. Człowieka więc rzetelnie cnotliwego, choćby téż miał i jakie słabości ludzkie, nikt od poczciwości odsądzić nie może, choćby świat cały i wszyscy mizantropowie na niego się sprzysięgli.

Ale jako mowi Tomasz Święty (co dobrze uważyć potrzeba): *Multis aliis rebus debetur honor apud homines, quam virtuti* (Wielom inszym rzeczom prócz cnoty należy między ludźmi cześć, poszanowanie i honor); bo lubo cnota najwyższy i osobliwy mieć honor koniecznie i nieuchybnie powinna, są jednak inne rzeczy niezmiernie podlejsze od cnoty, które mieć powinny i mają u ludzi cześć i honor, jako naprzykład: bogactwa, urodzenie wysokie, moc u dworu i w kraju, umiejętność i rozum wielki, męstwo, zwycięztwa, zasługi, urzędy, magistraty, do tego i piękne naturalne przymioty i doskonałości, są zwyczajnie, i powinny być chociaż i bez cnoty honorowane i czczone od ludzi. Ztądto tedy jest, że w naszego języka dyalekt wprowadziliśmy to słowo, i dajemy go każdemu, chociażby jawnie ladaco człowiekowi: mości panie, które słowo skraca się z tych dwóch: mój poczciwy — albo czci godny panie; ztąd jest, że ta chwała człowiek poczciwy nie tylko służy ludziom samym cnotliwym, ale téż służy swoim sposobem i ludziom dobrze urodzonym, mądrym czy uczonym, mężnym, w państwie swoje liczącym zasługi, bogatym, dobrze się mającym, chociaż cale nie są cnotliwi. W tym sensie mają się rozumieć słowa *Eccl. 11. Paupertas et honestas a Deo sunt* (Od Boga są ubóstwo i *honestas*, dobrze się mienie, bogactwo). Ztąd więc jest, że ludzie zwykli mówić naprzykład: Ten człek jest podło i nierówno nam urodzony, odarty, źle edukowany, nie może się mieścić w kompanii poczciwych, to jest bogatszych i rodowitych ludzi. Ztąd naostatek jest, że ludzie i najniecnotliwsi, najbezbożniejsi, bez prawa Boskiego i ludzkie-

go żyjący, kłamcy, oszustowie i zdrajcy, byle dekretem, lub publiczną niesławą nie piątnowani, mogą mówić bezpiecznie i mówią, jak się tego nasłuchamy zwyczajnie: Jam człek poczciwy! to jest nie zbieg, nie żebrak, nie hołota, — i nie gniewają się, żeby ich tknął kto w poczciwe lub w honor. I mają racyą. Czemu? Bo choć cnoty nie mają, mają jednak *alia, quibus apud homines debetur honor*, mają inne rzeczy, tojest: bogactwa, kredyt, moc, urodzenie, odwagę, umiejętność czci u ludzi, według ludzkiéj opinii godne. I ja temu nie przeczę. Dajmy im pokój, niechaj oni kiedy chcą i jak chcą, zowią sie poczciwi, nie kontrujmy im tego tytułu. Dopiéroż nie przeczmy go odważnym i serca rycerskiego ludziom, którzy gdy w okazyach, gdzie o honor idzie, odzywają się z tym, że są ludzie poczciwi, rozumieją przez to, że bronić honoru są i z azardem gotowi, i ci pewnie mężni ludzie są poczciwi, są czci i honoru u ludzi warci.

Aleć prawdę rzekłszy, taka poczciwość alboli czci godność, która ze krwi, z bogactw i z naturalnych talentów, z odwagi i serca mężnego i nieustraszonego idzie, a cnoty nie ma, nie mówię że nic, ale bardzo mało i u świata waży. Nawet i tacy sami, którzy tylko z bogactw, męstwa i podobnych rzeczy są poczciwi, uczciwi, alboli czci godni, nie kontentują się taką poczciwością, ale przecież starają się albo o prawdziwą cnotę, albo przynajmniéj o pozór cnoty.

Tę tedy uczciwość z urodzenia, męstwa, rozumu, fortun, i tym podobnych rzeczy pochodzącą opuszczam: tego tu tylko szukam, na czym prócz tych natury i fortuny darów, do poczciwości ludzkiéj bardzo potrzebnych, na czém, mówię, ci filozofowie, ci poczciwi ludzie, na czym ta nowa religia pryncypalnie poczciwość ludzką zakładać zwykła. Potym zreflektuję się, na czym chrześciańską poczciwość zakładać potrzeba. Ztąd w myślach naszych naturalnie wyniknie ta przerzeczona prawda, że nie dosyć jest być poczciwym człowiekiem, ale trzeba bydź chrześcianinem poczciwym.

II.

Ostrzédz mi tu więc należy, że ile razy wzmianka tu — czy rzecz będzie o filozofach, rozumiéć się ma ani o filozofach, ani o filozofii, która ze zdrowych źrzódeł swoje czerpa światło i prawdy, ale o tych

tylko, którym w rzeczy saméj albo pycha i wyniosłość, albo lubieżności zwierzęce, albo insze passye zdrowy rozum przyćmiły. Trzeba zaś na to wielkiéj lekkomyślności, nierozumnéj śmiałości, a wyraźniéj mówiąc, głupstwa, żeby dobréj filozofii nie przyznać, że i ona prowadzi do poznania Boga, do cnoty i do dobrych obyczajów, ale nie w szkole Spinozy, Machiawela, Hobba, i stu im podobnych ich uczniów.

Są pewnie i w dawnych pogańskich, którzy dobrze tak przed chrześciaństwem, jak po chrześciaństwie kwitnęli, filozofach piękne do cnoty pobudki, acz często z cudownemi i szkaradnemi o Bogu i o samychże cnotach zmieszane i otrute błędami. Co w nich złego, odrzućmy, co dobrego, jest nasze, jak mówi filozof i męczennik, Justyn: *Quaecumque apud omnes recte dicta, nostra Christianorum sunt.*

III.

Żeby człowiek nie o fałszywą, ale rzetelną, nie o powiérzchowną dla oka ludzkiego, ale o wewnętrzną starał się poczciwość, największą ma do tego przyczynę, siebie samego, tojest swoje własne dobro: bo od rzetelnéj i wewnętrznéj poczciwości i pokój sumnienia jego, i stateczna dobrego imienia reputacya u ludzi, i duszy jego nie doczesna tylko, ale i wieczna szczęśliwość zawisły.

Lecz ponieważ człowiek nie dla siebie samego na tym jest położony i żyje świecie, trzeba przyłożyć i drugie wielkiéj uwagi przyczyny, dla których każdy człowiek o nieobłudną, lecz gruntowną poczciwość starać się powinien. Każdy bowiem jest członkiem i cząstką społeczności ludzkiéj, i od małości całe życie ma ustawicznie i bardzo wiele do czynienia z ludźmi, i z nim do czynienia współludzie żyjący. Jest tudzież poddany krajowemu rządowi, królowi, czy pod jakimżekolwiek imieniem panu panującemu nad krajem. Jak to więc wiele na tym i panującym rządcom, królom, monarchom, i całéj ludzkiéj społeczności zależy, żeby miéć wszystkich ile można obywatelów kraju nie powiérzchownie tylko, ale w sercu i gruntownie poczciwych! bo z tą całą, powiérzchowną, ludzkie oczy łudzącą, nie pochodzącą z duszy, nie w gruncie serca wkorzenioną poczciwością cóżto będzie za wierny poddany królowi? co za minister stanu? co za senator? co za rada? co za poseł? co za biskup? jaki to sędzia? jaki to magistrat? jaki wódz? jaki oficyer? jaki pan? jaki mąż? jaki ojciec? jaki przyjaciel? jaki

sąsiad? jaki obywatel? w każdéj biorąc go kondycyi, jakito na każdéj funkcyi i w każdéj okoliczności wszędzie człowiek będzie ladaco? Nieszczęśliwy panujący, zdesperowany kraj i naród, gdzie mało ludzi prawdziwie poczciwych!

Wiele tedy zależało na tym, zrozumieć dobrze, ile w wieku zaraz młodym, co za niezmierna różność jest między tą, która zwać się może obłudna, poczciwość ludzka, a między poczciwością istotną, rzetelną, doskonałą, wewnętrzną, gruntowną, jednym słowem chrześciańską.

Kto już więc teraźniejszą tę poczciwość ludzką chce wskróś przeniknąć i pojąć, niechaj wié, że ona na tych tylko dwóch rzeczach prawdziwie polega, tojest: aby mieć cnót niektórych pozór, i aby mocno punkt utrzymywać honoru. Te dwie jéj rzeczy dosyć. Więc kto ma dobry cnót niektórych pozór, kto punkt honoru utrzymuje, to człowiek poczciwy?

Mniemam, że mi się nikt rozsądny i zimną krwią reflexye przyjmujący w téj mierze nie sprzeciwi, i gniewać się o to wyłuszczenie ludzkiéj poczciwości nie będzie, gdy się z tego, com powiedział, wyexplikuję lepiéj. Powiedziałem: cnót niektórych, potém powiedziałem: pozór. Mówmy o tych cnotach niektórych.

To pewna jest naprzód, że ci poczciwi ludzie niektóre tylko cnoty im potrzebne dla siebie na regestrzyku mają; nie znają zaś cale i w swoich dykcyonarzach nie mają bardzo wielu cnót chrześciańskich. Wygluzowali ze swojéj pamięci wyliczone od Pawła Apostoła cnoty, *fides, spes, charitas, major autem est horum charitas* (wiara, nadzieja, i większa nad nie Boga i bliźniego miłość), które są najgłówniejsze u chrześcian cnoty. Wiary pewnie nie mają, i owszem najusilniéj przeciwko niéj biją: bo w konwersacyach rozum i sumnienie rażącemi mowami, lub niewczesnemi i gorszącemi żartami, u stolika zaś swego otrutemi niezbożnością pismami przeciwko niéj nieustannie walczą; a tymczasem na saméj wierze wszystkie chrześciańskie gruntują się cnoty.— Nadzieі nie znają: bo kto czy nie wierzy, czy, jako ci filozofi, powątpiéwa o wiecznym duszy życiu, ten pewnéj i niewątpliwéj w Bogu, że go zbawi wiecznie, mieć nie może ufności. Powątpiéwać, czy dusza z ciałem zniknie, nie jest to Boskiém Chrystusa słowom wierzyć, a zatém nie jest to mieć nieomylnéj nadziei zbawienia. Mają niektórzy opinią, że podobno może żyć wiecznie dusza, ale wiary

nie mają. Gdyby mieli niezwyciężoną o duszy nieśmiertelności wiarę, mieliby i niezwyciężoną w Bogu, że ich zbawi, nadzieję: ale gdyby mieli te dwie cnoty, inaczéjby żyli, i byliby dobrzy, prawdziwi i wierni chrześcianie. — Boga, mówią, że kochają; ale czy Bóg tych kochanków kocha, którzy ani wiary, ani w nim zupełnéj nadzici nie mają, którzy praw jego nawet i w dekalogu nie przyjmują, i one, jak im się podoba, gwałcą, którzy i z pewności nadgrody wiecznéj, i z groźb kar wiecznych szydzą, którzy pismem świętem i ewangelią gardzą, którzy passyom wszystkim bez skrupułu na sumnieniu dogadzając, swawolnego, rozpustnego, i wszetecznego życia i największych kryminałów, za grzéchy Boga gniewające, i na karę wieczną od niego zasługujące nie mają? jako księgi ich są téj pełne nauki. Ci tedy Boga kochają, i są od Boga kochani? Nie wierzyć więc, że Bóg w starym i w nowym testamencie dał ludziom prawa, odrzucać je i żyć przeciw Boskim prawom, a ogłaszać i protestować się, jak oni czynią, z wielką Boga miłością i adoracyą, nie sążto czcze słowa bez rzeczy?

Bojaźni Boga nie mają, na owo zaś: *Si ego Dominus, ubi est timor meus?* mówią, że niewolniczéj nie znają, ale bojaźnią Boga synowską się szczycą. Cóż to jest ta synowska bojaźń? Żeby Boga dla saméj jego miłości i szacunku nieskończonéj jego godności nie obrażać. Nic celniejszego, nic chwalebniejszego, jak taka bojaźń! Ale ci, którzy mówią i uczą, że Bóg w te fraszki ludzkie nie wgląda, i że to jest przeciw Boskiemu jego majestatowi, chcieć zniżać Boga do inspekcyi postępków każdego tak podłego, jak jest człowiek, stworzenia, jakże oni mogą wystrzégać się, i jakiéj to obrazy Boskiéj? kiedy Bóg, i czyli, i czym go ludzie obrażają, nie wié i wiedzieć nie chce? Kiedyż, i jak może być u nich w praktyce ta bojaźń synowska? Żadnéj dotego od Boga nie uznają kary, ani powietrza, ani głodu, ani wojen, ani nieszczęśliwych na człowieka przypadków, żeby zwoli i ręki Boskiéj miały pochodzić. *Densis Olympus fulminibus ruat, pudor fateri nos vetat impius, ictus ab ultrici tonantis ire manu, pluviasque flammas.* Tak mniemając, tak ucząc, o cóż mają bać się Boga? Nieba dla duszy, ani wiecznéj kary nie masz! za cóż bać się Boga? Mówią, że my Boga tyranem czynimy. To sprawiedliwość, bez któréj Bóg nie byłby Bogiem, jestto tyraństwo? To ma samę, jak oni chcą, dobroć, a sprawiedliwości nie ma? To za kary czy doczesne czy wieczne, któ-

remi nam surowo grozi i niemi karze, Bóg nam ma się sprawować? To chrześcianie grzészą, że się Boga,— i po synowsku boją, i drżą przed nim, jako przed strasznym i dla nie chcących się poprawić ludzi nieubłaganym sędzią?

Cnoty pokuty chrześciańskiéj cale oni nie znają; gdzie my chrześcianie trzymamy, że bez pokuty za grzéchy żaden człowiek Bogu być miły, ani wiecznie szczęśliwy nie może. Za cóż zaś ci filozofowie poczciwych religij pokutować i kruszyć się mają, kiedy żadnego przeciw prawom Boskim nie znają, ani na sumnieniu nie czują grzéchu? kiedy objawionych w pismie świętym i ewangelii praw Boskich i z pismem i z ewangelią cale nie uznają? pokory, bez któréj u chrześcian żadna cnota nic nie jest warta, oni i pojęcia żadnego, co to jest ta pokora, nie mają. Nie mówmy o pokorze, przez którą chrześcianin nad nikogo się nie wynosi, nie pogardza nikim, zna swoję nikczemność, ułomność i grzéchy,— téj pokory oni i *ideam* nie mają. Obaczmy raczéj, jeżeli oni mogą bydź pokorni przeciwko ludziom, kiedy są pyszni przeciw samemu Bogu; boć piérwszy punkt pokory chrześciańskiéj jest, znać swoje nic przed Bogiem, a Boską nieskończoną godność: przeto wyznawać we wszystkim dependencyą od Boga mamy, uniżać się i upokarzać przed Bogiem. Ci zaś filozofowie poczciwi cóż mówią z swoim Seneką i za Seneką? *Id mihi philosophia promittit, ut me Deo parem faciat* (Filozofia mnie równym Bogu czyni): podobneż słowa były i piérwszego Lucypera. *Deus non vincit sapientem felicitate, etsi vincit aetate* (Bóg od filozofa nie jest szczęśliwszy, tylko wiekiem starszy). O cnotach nawet swoich twierdzą, że ich nie od Boga, lecz cale od siebie samych mają, że Bogu o nie modlić się nie trzeba. *Bonam mentem cum possis a te impetrare, non sunt elevandae ad coelum manus.* Dawniéj toż przed nim Cycero: *Mortales sic habent, commoditates, segetes, vineta, a Diis haberi; virtutem nemo unquam acceptam Deo retulit* (Wygody, żniwa, winobrania od Bogów mamy; ale żaden człowiek nie przyzna, żeby miał cnotę od Boga, żeby Bogu swoję cnotę powinien). Owoż dependencya od Boga, ku stworzycielowi i dawcy wszystkiego, owoż pokora! Śmiecie ziemskie Boskiéj przypisują łasce, sobie rzecz najdroższą, cnotę! My chrześcianie z Pawłem apostołem wyznajemy, że i myśli jednéj dobréj bez Boskiéj miéć nie możemy łaski.

A kiedy tych cnót chrześciańskich pryncypalnych ci filozofowie, poczciwych religij ludzie nie znają, dopiéróż u nich sącb imery, wyli-

czone od tegoż Pawła cnoty, *charitas, gaudium, pax, patientia, mansuetudo, fides, modestia, continentia, castitas* (miłość chrześciańska bliźniego, pokój i radość w Bogu wewnętrzna, cierpliwość, łagodność, skromność, wstrzemięźliwość, czystość), tych oni i nie mają za cnoty. Nie rozumieją oni, jakimto językiem Apostoł mówi: *Si spiritu vivimus, spiritu et ambulemus* (Jeźli według ducha żyjemy, według ducha się sprawujmy). *Sive bibitis, sive manducatis, omnia ad gloriam Dei facite* (Czy jécie, czy pijecie, wszystko czyńcie na chwałę Bożą). Sentymenta takie są u nich od jakichsi wymyślone hypochondryków; poczciwi ci ludzie mają to wszystko według ich rozumnéj opinii za dzieciństwa, księże wymysły i baśnie.

Chcesz tym poczciwym wielkiego rozumu ludziom śmiechu narobić, powiédz im tylko *Jacobi 2.: Quicumque totam legem servaverit, offendat autem in uno, factus est omnium reus.* Kto prawa Boskie, kto przeciw nim cnotę w jednym punkcie złamie, grzészy śmiertelnie; ani im tego mów, bo cię ci krasomowcy wyszydzą. Grzéchów więc żadnych przeciw prawu Boskiemu nie uznają. Nie mają tego wszystkiego za grzéchy, duszy i sumnieniu szkodzące, a Bogu obmierzłe, co Paweł Święty wylicza: *Manifesta sunt opera carnis, immunditia, impudicitia, luxuria, idolorum servitus, veneficia, inimicitiae, contentiones, aemulationes, rixae, invidiae, charitates, homicidia et his similia:* widzieć nie chcą, i nie wierzą, żeby przeciw Bogu i jego przykazaniom grzészyli cielesnością, niewstydem, nieczystością, niedowiarstwem, czarnoksięstwem, nieprzyjaźnią i zemstą, nienawiścią i zazdrością, swarami, emulacyami, pijaństwem, obżarstwem, zabójstwem i tym podobnemi zbrodniami. Całe tego wszystkiego za kryminały nie poczytują: wszystkoto tym rozumnym i poczciwym ludziom z całą ich poczciwością, byle to honorowi ich nie szkodziło, byle reputacya ich nie cierpiała, byle im to za złe u ludzkiéj wspołeczności nie wyszło, byle ich to u dworu lub narodu nie dyskredytowało, byle na ich spokojność i fortunę złych nie pociągało konsekwencyj, — wszystkoto im, mówię, byle skrycie, godzi się. Tośmy dotąd mówili, że bardzo wielu prawdziwych cnót, a żadnego przeciw nim i przeciw Boskim zakazom nie uznają grzéchu.

Któreż więc są te niektóre, któremi się ci filozofowie, ci poczciwych religij ludzie kontentują, cnoty? A to te. Kłamcą się (waruj Boże!) nie pokazać nikomu; dane słowo dotrzymać; nikogo nie oszukać, nie zdradzić; przyjaźni dochować. I to

cnoty, i piękne cnoty! daj Boże, żeby i te w wszelkiéj swojéj doskonałości zachowane były! Ale owoż wszystka liczba ich cnot!

Gwoli czego przypominam sobie z książki. *Vanitas humanarum virtutum* intytułowanéj o nich takie świadectwo: *Honesti isti et honorati homines et plurima, et maxima contemnunt flagitia* (Poczciwi ci i honoru godni ludzie niezliczone i największe kryminały za nic sobie nie mają): *praeterquam enim, quod pro more suo nulla Deum pietate colant* (prócztego bowiem, że według swego zwyczaju żadnéj wewnętrznéj i rzetelnéj pobożności, żadnéj ku Bogu nie mają religii), *sunt superbi et ambitiosi* (są pyszni i dumni), *toti quoque carnis voluptatibus dediti* (cali są w cielesnościach zatopieni), *impatientes, vindictae cupidi* (niecierpliwi, mściwi), *et totam eorum virtutem in hac una re statuunt, prodere neminem, esse fideles amicos* (w tym jednym więc tylko całą istotę zakładają cnoty, wiernym bydź przyjacielem, nikogo nie zdradzić).

Ale przyznaję ja im jeszcze inne cnoty, chociaż u nich bardzo rzadkie: do kościoła chodzić z drugimi czy w Rzymie, czy w Londynie, czy w Turczech, czy w Chinach, jakiéjkolwiek ten jest kościół religii, aby cię ateistą nie zwano: dopomódz drugiemu, zaratować, przysłużyć się, czym można: bo to jest ludzkość, bo to jest godna wspaniałego umysłu: ludziom swoim płacić i rzemieślnikom, aby chętnie służyli, aby pięknie koło dworu było: nie szkalować przyjaciela i ująć się za niego, bo inaczéj podłość wielka: sprawiedliwość, ile się z mym interesem zgadza, zachować, i inszym ją czynić, nie dlatego że Bogu, bo on o niéj i nie wié, ale dlatego, że ludziom jest nota niesprawiedliwości obmierzła; panu bydź wiernym, bo ma czym nadgrodzić, bo bunty rujnują familie: umieć żyć z ludźmi i wszelką z niemi delikatność zachować, i insze tym podobne cnoty, do samego pożycia w społeczeństwie między ludźmi dążące.

A toż to, com powiedział, że dosyć tym poczciwym ludziom mieć niektóre cnoty, a resztę rozumieją i nazywają *vulgus et fex virtutum* (podły gmin cnót inszych).

IV.

Postawmyż portret poczciwego chrześcianina, tojest jako *justus ex fide vivit*, według chrześciańskiéj wiary sentymentów i maxym ży-

jącego człowieka, i obaczmy obyczaje jego, i na czym on chrześciańską zakłada poczciwość.

Powiedzieliśmy i pokazaliśmy wyżéj obszernie, że poczciwość filozoficzna, poczciwość téj nowéj religii na tych tylko dwóch rzeczach zalegla, tojest na niektórych cnot pozorze, nic nie poczytując za grzéch, co jest praw Boskich przestępstwem: powtóre na utrzymaniu punktu honoru. Wystawiwszy więc dotąd obraz człowieka z téj ludzi poczciwych religii, pokażmy chrześcianina, tojest na jakich przeciwnych dwóch rzeczach według niego poczciwość chrześciańska polega.

Naprzód ona żyć każe według religii, praktykując wszystkie chrześciańskie cnoty, a strzegąc się przeciw prawom Boskim wszelkiego grzéchu, a to dla szczéréj samego miłości i bojaźni Boga, i dla duszy zbawienia: potym każe swój honor pilnie, troskliwie, ostrożnie i delikatnie piastować według téjże opisów religii.

Honestatis christianae (mówi w książce intytułowanéj *De vera politice* poczciwy jeden polityk) *honestatis christianae conditio inseperabilis est, ut religionem christianam constantissime profiteare, ut ejus disciplinam exacte sequaris, ut licentiam vitae ac impietatem omnem perhorrescas* (Poczciwości chrześciańskiéj te są nierozłączone kondycye: żyć w wierze świętéj i mocno onę trzymać, sprawować się według chrześciańskich reguł, strzédz się bezbożności i wszystkiéj licencyi tak jawnéj, jak skrytéj).

Niechaj albowiem będzie i filozof i deista, jak chce, moralnie cnotliwy, uczynki jego, ile wiadome, naostatek i mowy jego być mogą cnotliwe, ale za myśli jego kto ręczy? Ten filozof nie wierzy, żeby Bóg wglądał w serce i myśli jego, żeby nim się zaprzątał; chrześcianin wierzy. Kogoż się ma strzédz ten filozof? Czyli siebie samego, jak oni mówią, wystrzégać się powinien? Aleć nie straszna straż, nie straszny sobie samemu cenzor jest człowiek, pełen ślepoty i własnéj miłości, nie ma się czego bać siebie samego, nie skarze się ciężko za myśli, pożądliwości, i pragnienia wszeteczne, za myśli bluźnierskie, złośliwe, czy insze, cnotliwego człowieka niegodne, te nawet u niego nie są żadnym grzéchem. Chrześcianin więc dobry ma ten nad niego awantaż i korzyść, że mu religia jego nie tylko źle czynić i mówić, ale i myśléć źle nie dopuszcza, i myśl złą ma za grzéch ciężki. Kiedy więc chrześcianin musi się strzédz i złych myśli, dopiéroż uczynków?

Boć poczciwy chrześciański człowiek wié i uważa dobrze, że Bóg wszystko widzi, wszystko przenika: *illuminabit abscondita tenebrarum, et manifestabit consilia cordium* (oświéci ciemności, i odkryje skrytości serca); wierzy Chrystusowym słowom chrześcianin poczciwy, że zapewne *nihil est occultum, quod non reveletur* (nic nie masz tak skrytego w ludzkich myślach i akcyach, coby odkryć się nie miało). Dlatego nie powiérzchownie tylko, ale wewnątrz, w sercu w gruncie umysłu, nie na pozor tylko, lecz prawdziwie stara się bydź poczciwym i dobrym: złości więc, gniewu, zawziętości, zazdrości, obmów, niesprawiedliwości, kłamstwa, łakomstwa, pychy i dumy, pożądliwości, nieczystości wszelkiéj, i wszystkich grzéchów całemi wystrzéga się siłami, bo to czyni nie dla ludzkiego tylko oka, ale strzeże się złego dla samego wszystko widzącego Boga. Naprzeciw dobrych uczynków, aktów religii codziennych rannych i wieczornych, kościelnych przynajmniéj we święta nabożeństw, nauk czy słuchania, czy czytania moralnych, jałmużn, postów według sił zdrowia nie opuszcza nigdy; winę i urazę daruje z serca, zemsty nie pragnie, bliźniemu z chrześciańskiéj miłości dopomaga ochotnie, przyjacielowi szczérze dotrzymuje wiary, poki go ta przyjaźń do Boskiéj nie prowadzi obrazy, prawdą zawsze i wszelką rzetelnością idzie; pokornie o sobie rozumié, zna swoje defekta i grzéchy, uniża się przed Bogiem i namiestnikiem jego, nie postponuje nikogo, cielesne lubieżności i chuci wstrzymuje, czystości serca najpilniéj przestrzega, a lubo w grzéch przez ułomność ludzką wpadnie, stara się zawsze przez Sakramenta powstać; nie ma woli we złém zaciętéj, ma szczérą i prawdziwą intencyą poprawić życia, strzeże się wszelkiéj do obrazy Bożéj prowadzącéj okazyi, za grzéchy Boga błaga, pokutuje, sprawiedliwie sługom, rzemieślnikom, dłużnikom kościołom, i co komu należy, punktualnie płaci, bo za to wszystko nie oka i applauzów ludzkich, ale saméj wiecznéj od Boga spodziéwa się nadgrody, i owszem samego w nadgrodę Boga, *ego sum merces tua magnanimis.* Otóż krótki portret chrześciańskiego poczciwego człowieka! otóż obyczaje jego płynące z religii!

Co zaś do punktu honoru należy, chrześcianin poczciwy bardzo sobie szacuje swój honor, jako doczesne największe, dane sobie od Bóga dobro, bo to i pismo święte mówi, *melius est bonum nomen, quam divitiae multae* (lepsze i szacowniejsze imię dobre, niżeli bogactwa); ale ten punkt honoru na rzeczach według Boga godziwych i sprawiedliwych

zakłada. Trzyma się, jak należy, według swego urodzenia kondycyi i stopnia, ale wyższych nad siebie i magistraty, wszelką zwierzchność i prawa szanuje, równemi nie postponuje, niższemi nie gardzi. Ambicya sama do dostojeństw i urzędów w nim nie jest naganna, i owszem umysł jego wspaniały zdobi: bo na urzędy i godności nie patrzy, jak na próżne i pyszne ozdoby, ale jak na rzeczy sposobność dające i miejsce do służenia społeczności ludzkiéj, kościołowi, ojczyznie i panu: sama koło niego magnificencya i pompa jego przyzwoita stanowi, pokazuje, że się zna na tém, co sobie i miejscu powinien: krzywdy nawet nie da swemu honorowi uczynić, od wszelkiéj dalekiéj podłości, ale go utrzymuje sprawiedliwemi i godziwemi drogami: nie zaczépia, ale przymuszony umié się bronić: reputacyą u ludzi nienaruszoną utrzymać, poczciwości i cnoty opinią o sobie ugruntować całemi stara się siłami; bo mu jest potrzebna *conscientia propter Deum, fama propter proximum,* bo człowiek bez reputacyi cóż może dla ludzi, i z ludźmi dobrego uczynić? jak może jaki dobrze sprawować urząd?

Nie tak zaś sobie ten honor i sławę doczesną szacuje, żeby jéj broniąc, Boską łaską, Boską, że tak rzekę, o sobie miał gardzić opinią, tojest żeby bardziéj starał się od ludzi, jak od samego być estymowanym Boga.' Rezunuje sobie tak z Chryzostomem Świętym poczciwy chrześcianin: *Quae utilitas hominis, si illum totus orbis admiretur, et laudet, conditor autem et judex omnium aeternum condemnet?* (Na cóż się zda człowiekowi, żeby go świat cały approbował i chwalił, jeżeli stwórca i sędzia jego dla pychy i grzechów przed ludźmi skrytych ma go wiecznie potępić?). Mówi sobie na ostatek z Pawłem Świętym: *Gloria nostra haec est, testimonium conscientiae nostrae* (Największa reputacya i sława moja jest, dobrego świadectwo sumnienia).

Ten tedy jest, krótko mówiąc, prawdziwy, choć w krótkich bez kolorów słowach chrześciańskiego poczciwego człowieka abrys, że według religii żyje, a punkt honoru i dobre u świata imię z bojaźnią Bożą i dobrym a bespiecznym stara się umieć pogodzić sumnieniem.

24. Andrzej Kitowicz.

Ścisłe stosunki Polski z Niemcami, Włochami i Francyą od czasu, jak królowie polscy w związki małżeńskie wchodzili z księżniczkami wspomnionych dopiéro krajów, wywarły zapewne wpływ na obyczaje i zwyczaje przodków naszych. Ku końcowi XVIII. wieku wszystko dawne aż do ubioru zostało zarzucone, i byłoby podobno w wiecznéj znikło niepamięci, gdyby się nie był znalazł pisarz niepospolitą przenikliwością obdarzony, malarz doskonały, któren umiérającego starca rysy uchwycił, aby je zachować i podać potomstwu. Tym pisarzem był ksiądz Kitowicz, kanonik kollegiaty warszawskiéj, człowiek ze światem dokładnie obeznany. W dziele swém kréśli obyczaje i zwyczaje za Augusta III. i w piérwszych latach panowania Stanisława Augusta. Śledczemu oku księdza Kitowicza nic nie uchodzi. Uważa on ziomków swoich w wszelkich stosunkach towarzyskich i porach życia, wystawia nam szczegółowy i wierny obraz obyczajów i zwyczajów swego wieku, w sposobie naturalnym i zajmującym.

Wydawca (Edward Raczyński) w przedmowie.

Opis obyczajów i zwyczajów za panowania Augusta III. księdza Kitowicza, wydany z rękopismu przez Edwarda Raczyńskiego.

Szkoły.

(§. 3.). Lubo niektóre dzieci pojętniejszych zmysłów od pięciu lat zaczynano uczyć czytać w domu; nie oddawano ich atoli powszechnie do szkół, aż w roku siódmym zaczętym lub skończonym.

Dla mieszkających po miastach piérwsza szkoła była parochialna przy farze lub katedrze, gdzie się znajdowała: po wsiach ztrudna gdzie przy farze znajdowała się taka szkoła: dlatego szlachcic mieszkający na wsi, nim oddał dzieci do szkół, musiał w domu wprzód je nauczyć czytać, przyjmując na ten koniec jakiego nauczyciela, jeżeli między domowymi nie miał nikogo do téj usługi sposobnego.

W szkole parafialnéj uczono samych chłopców, dziewczęta zaś oddawano do niewiast statecznych, tém się bawiących, które ich uczyły samego czytania po polsku, dziérzgania pończoch i szycia rozmaitego. Majętniejszych córek uczono języka niemieckiego i francuzkiego, który już zaczął wchodzić w modę. Panów wielkich córki uczone były tego wszystkiego w domu przez ochmistrzynie, a przytém przez metrów pisania i tańcowania.

Chłopców w szkole parafialnéj uczono czytać na elementarzu i piérwszych początków łaciny na grammatyce, Alwarze, lub Donacie. Katechizm czyli nauka religii była najpiérwszą przed wszystkiemi innemi. Kara szkolna na tych, którzy się uczyć nie chcieli, albo swawolą jaką popełnili, była niedopuszczenie jedzenia obiadu, klęczenie, albo plagi. Instrumenta kary: placenta, tojest skóra okrągła gruba, w kilkoro złożona, na dłoń ręki szeroka, na trzonku drewnianym obdłużnym osadzona, którą za omyłki w czytaniu, lub na pamięć tego, czego się nauczyć naznaczono, odmawianiu bito w rękę; za zupełne nienauczenie się wydziału swego, lub za swawolą, albo inne przestępstwo praw szkolnych instrument kary rózga brzozowa, albo dyscyplina, pospolicie rzemienna, u surowszych zaś nauczycielów z sznurków nicianych tęgo spleciona, siedm, lub dziewięć odnóg mająca, którąto rózgą lub dyscypliną bito na ciało, uderzając najmniéj trzy, a najwięcéj pietnaście razy, według przewinienia, według ciérpiętliwości ciała, i według surowości nauczyciela.

Przekrzesanych w szkole parochialnéj w piérwszych rudymentach łaciny, oddawano do szkół publicznych jezuickich lub piarskich, które po wszystkich miastach, w których się znajdowały, bywały tak liczne, że się w niektórych po tysiącu studenta znajdowało. Wszyscy mieszczanie i szlachta, i panowie najwięksi oddawali dzieci swoje do szkół: edukacya i karność dla wszystkich była równa bez względu na panicza i chudego pachołka, na szlachcica i mieszczanka, albo chłopka. Paniczowie, co do szkolnych obowiązków z najchudszymi zrównani, mieli jednak tę dla siebie preferencyą, że zasiadali w szkole piérwsze ławy, chyba, że się który źle uczył, to poszedł *ad scamnum asinorum*. Byłato ława przy piecu tak nazywana dla tych, którzy się uczyć nie chcieli.

Nauka dzieliła się na szkoły. Piérwsza szkoła u Jezuitów zwała się infima, i dzieliła się na dwie, na infimę *minorum*, i na infimę *majorum;* lubo w obydwóch niemal jedna była nauka: zgadzać *adjectivum cum substantivo*, i *casus nominum cum temporibus et modis verborum*, z tą tylko różnicą, iż w infimie mniejszéj wybiérali także składy co łatwiejsze, w infimie większéj co trudniejsze: i druga różnica, że drobniejsze dzieci, przechodzące do szkół, oddawano do infimy mniejszéj, a sporsze do infimy większéj.— U Piarów tego gradusu szkoła zwała się parwa: uczono w niéj je-

dnéj tego samego, co w dwóch infimach u Jezuitów. Po parwie następywała grammatyka, od któréj począwszy aż do końca jedna była tak u Piarów, jak u Jezuitów szkół gradycya, to jest: grammatyka, syntaktyka, poetyka, retoryka, filozofia i teologia, do któréj postępowali ci, którzy już w szkołach do stanu duchownego czuli powołanie; którzy zaś nie mieli tego ducha, szkoły najwięcéj kończyli na filozofii, a często na retoryce. Grammatyka uczyła składać małe i krótkie sensa prostemi wyrażeniami; syntaktyka dawała sposoby, jak mowę prostą okrasić rozmaitemi figurami i słów wykrętami; poetyka uczyła *quantitatem* łacińskich słów, które się krótko, a które przeciągle wymawiać powinny; także pisania wierszów łacińskich i polskich, przez które się dowcip rozprzestrzeniał: a tak już z łaciną w syntaktyce przetartą, z dowcipem w poetyce rozprzestrzenionym promowowało się do retoryki, sztuki dobrze i długo w jakiéj materyi mówienia, dobrze myśli swoich bądź w dyskursie, bądź w pisaniu tłumaczenia, co jako każdemu człowiekowi, w jakimkolwiek sposobie życia zostającemu jest wielce potrzebne, tak też edukacya młodzieży szkolnéj to za najpiérwszy cel miała, i do niego wszystkie swoje usiłowania zmierzała. Filozofia miała swój kunszt inny wcale od szkół przed sobą opisanych; dzieliła się ta nauka w szkołach ordynaryjnych tak piarskich jak jezuickich na dyalektykę, fizykę, logikę i metafizykę; dla niektórych zaś studentów kilka razy w tydzień po godzinie dawano matematykę.

W akademiach publicznych czyli generalnych, jakoto: krakowskiéj, zamojskiéj i wileńskiéj, prócz nauk dopiéro wyliczonych była nadto nauka matematyki wszelkiego rodzaju, astrologii, geografii, geometryi, kosmografii, do tego jurysprudencyi, medycyny, i zwały się te akademie *universitates*. Co się tyczé ogółem filozofii, téj patryarchów nie było więcéj, jak dwóch: Arystoteles i Święty Tomasz; ponieważ na wszystkich dysputach nie tłumaczyli się inaczéj walczący z sobą, tylko albo *juxta mentem Aristotelis*, albo *juxta mentem Divi Thomae*. W akademiach kto się promowował do godności doktora w filozofii, musiał przysięgać, jako inaczéj nie będzie trzymał i uczył, tylko *juxta mentem Divi Thomae*. Ci tedy, którzy się trzymali zdania Arystotelesa, zwali się *peripathetici*, a którzy Świętego Tomasza, zwali się *Thomistae*.

Takie było *compendium* szkół i nauk publicznych za panowania Augusta III. Te nauki nie były wolne. Każdy student, który się do nich udał, musiał albo się uczyć podług sił swoich, albo nie nauczając się, wytrzymować kary szkolne, albo nie chcąc się wcale uczyć, ustąpić ze szkół. Byłoto jakieś nakształt przykazania, którego mocno doglądali professorowie, żeby studenci oddani do szkół, koniecznie z nich podług możności dowcipu swego profitowali, osobliwie w mniejszych szkołach aż do retoryki, żeby rodzicom darmo kaszy nie zjadali. Oprócz zaś tych nauk uczono potrosze w pewne godziny języków, niemieckiego i francuzkiego, tudzież arytmetyki, ale nie z takim rygorem, jak łaciny: wolno było tych przydatków uczyć się i nie uczyć się seryo, albo tylko się przypatrywać, być na lekcyi i nie być: nie karano za to, ani nie strofowano.

Jedna tylko łacina, a raczéj konstrukcya do wszelkiego języka zdatna, była celem natężenia pracy nauczycielów. Tak tego doglądano, że nawet professor, kiedy niedbale uczył, od swojéj zwierzchności odbiérał naganę, albo był od uczenia szkół oddalony, i do innéj funkcyi niższego szacunku obrócony. Nauczycielów szkolnych, którzy niższych szkół uczyli, nazywano magistrami, i ci byli klerycy za zwyczaj *minorum ordinum:* w wyższych szkołach nauczycielów, począwszy od retoryki, nazywano patrami, a to z przyczyny, iż w tych szkołach dający lekcye już byli kapłanami.

Nie dosyć było na lekcyi w szkole dawanéj, i na professorze, czyli nauczycielu szkolnym; byli inni, nazwani dyrektorami, którzy w jednych stancyach z studentami mieszkali, tym i lekcyą szkolną, od professora zadaną tłumaczyli, powtarzali i do zrozumienia jéj, oraz nauczenia się dopomagali, z stancyi do szkoły, i z szkoły do stancyi studentów swoich zaprowadzali, na rekreacye, lub jakie nawiédziny zawsze z nimi chodzili, zgoła zawsze ich na oku mieli: a kiedy studentów zaprowadzili do szkoły, sami szli do swojéj. Tacy dyrektorowie byli najmowani i płatni od ojców studentów. Więcéj o dyrektorach będzie niżéj.

Trzeci gatunek studentów był chłopcy służący, ubogich rodziców synowie, najwięcéj szlacheccy, u synów pańskich i majętniejszéj szlachty na służbie będący: ci służąc panom swoim, czasem z nimi do szkół chodzili, i częstokroć ich w nauce przewyższali. Posługa ich była, panięciu, u którego, lub u których chłopiec służył, a przytém i

panu dyrektorowi łóżko posłać, izbę zamieść, suknie i buty wychędożyć, do stołu służyć, książki za panięciem do szkoły i ze szkoły nosić, i pójść po sprawunku, gdzie posłano. Tym sposobem bardzo wiele edukowało się szlacheckich synów, i wychodziło na wielkich ludzi. Lecz skoro księża Piarowie założyli konwikt osobny dla paniąt, a za ich przykładem z początku ganionym, poszedłszy księża Jezuici, wystawili drugi, dyrektorowie i chłopcy służący stracili sposób uczenia się w konwiktach: albowiem nie potrzebowano dyrektorów, powinność których zastępowali professorowie, ustawicznie mieszkając, jadając i przestawając z konwiktorami, na ody podzielonymi. Nie potrzebowano też i chłopców; bo na ich miejsce przyjęto lokajów, po jednemu do cztérech, a w jednéj odzie mieściło się dwóch konwiktorów. Oda jestto wielka sala, mająca po obu stronach komórki, dwa łóżka i dwa stoliki obejmujące, bez drzwi, zamiast tych firankami zasłaniane. Co dwie ody, to trzecia stancya dla Piara pod zamknięciem; w końcu zaś stancya dla professora najstarszego.

Czwarty gatunek studentów był kalefaktorowie. Bylito chłopacy sporzy, po lat 20 i więcéj mający, którzy powinność mieli w piecach palić i drwa rąbać, i jeżeli który student zasłużył, aby był karany, tedyto kalefaktor w końcu zapiecka za zasłoną sprawiał takiego winowajcę. Do jednego pieca, albo do dwóch był jeden kalefaktor, na którego zapłatę i na drwa składali się studenci możniejsi, a resztę, gdy mała kollekta była, opatrowali z kollegium Jezuici i Piarowie, dając mu przytém wikt z niedojadków refektarzowych. Narąbawszy drew i napaliwszy w piecu, resztę czasu kalefaktor z innymi studentami obracał na naukę. Z tych kalefaktorów, zazwyczaj dowcipu tępego będących rzadko który promowował się do wyższych szkół: nauczywszy się czytać, pisać i cokolwiek liznąwszy laciny, porzucali szkoły, udając się do innego jakiego sposobu życia. —

O dyrektorach to jeszcze mam przydać, iż dwojacy byli: jedni rocznie płatni, którzy służyli jednemu jakiemu panięciu, albo też i kilkom jednych rodziców synom szlacheckiéj lub miejskiéj kondycyi, drudzy, którzy miéwali pod swoją dyrekcyą zbieraną drużynę chudych pachołków, od których brali zapłatę kwartalną, po kilka złotych na kwartał od jednego, a czasem też i obiady z kolei. Kondycye takie czyli partye studentów za zwyczaj rozdawał dyrektorom ksiądz prefekt szkół, doskonalszym lepsze, podlejszym podlejsze. Tacy dyrekto-

rowie ubodzy, byle się skromnie i bez noty sprawowali, mieli wolność assystować na weselach za drużbów i oratorów do oddawania wieńca pannie młodéj, którato ceremonia jeszcze za moich szkół trwała, ale już tylko między pospólstwem, z domów szlacheckich i miejskich dystyngwowanych będąc wygnaną. Za usługę na weselu taki pan drużba biérał talar bity i chustkę od panny młodéj, co dla chudego pachołka było nie złą gratką. Urządzali się także tacy chudzi dyrektorowie za pisarzów cechowych po wielkich miastach do różnych cechów, osobliwie rzeźnickiego, piekarskiego i szewskiego, jako najludniejszych, a zatém dosyć do czynienia na schadzkach swoich mających. Samo przyjmowanie do terminowania uczniów i wyzwalanie tychże na czeladników lub majstrów, często się trafiające, potrzebowało pisarza, któryby te dzieje cechowe mądrze i pięknym charakterem napisać umiał. Było zaś według ludzi nieuczonych mądrze, kiedy niezrozumianie, — a pięknym charakterem, kiedy patent lub list wyzwolony wypisany był dużemi literami, a brzegi jego wieńcem z malarskiego złota wyklejone.

Nakoniec ewangelie wspiérały ubogich studentów. Był zwyczaj po miastach, iż dyrektorowie szkółek parafialnych wysyłali chłopaków po domach w dni niedzielne, aby tym, którzy nie byli na kazaniu, czytali ewangelią, za co słuchacze ordynaryjnie czytającemu dawali po groszu, a noszącemu wodę święconą wrzucali w dzbanek po szelągu. Te ewangelie były nie złym zyskiem dla ubogich studentów; albowiem natenczas wszyscy, nawet panowie wielcy mieli sobie za uczynek pobożny przyjmować do domów i pałaców swoich słowo Boże, i nie groszami, ale szóstakami i tynfami odbywali ewangelistę. Na końcu jednak panowania Augusta III. ten zwyczaj wyszedł z mody u panów i majętniejszych mieszczan, i nie miał przystępu, jak tylko do ludu pospolitego.

Dalsze ćwiczenie szkolne.

(§. 5.). Nie dosyć było na usilności professora, chcącego dla swojéj sławy i zasługi wlać umiejętność tego, co uczył, w uczniów; nie dosyć było przez kary wyżéj opisane przymusić gnuśnych, ażeby się koniecznie uczyli: starali się jeszcze po wszystkich szkołach nauczyciele sztucznemi, a jak najskuteczniejszemi sposobami zapalić

w studentach taką chęć do nauki, któraby ich nie dla bojaźni kary, ale dla punktu honoru po onéjże pobudzała. Wymyślono tedy emulusów, po polsku zazdrośników, dzieląc całą szkołę na pary jednego przeciw jednemu, wyrzuciwszy ostatniego, jeżeli nie miał pary, który uniknął emulacyi, ale miał za to pilniejsze nad innych na siebie oko professora. Ci tedy emulusowie przesadzali się we wszystkiém jedni nad drugich, a który nad swoim przeciwnikiem bądź w lekcyi, bądź w jakiém zapytaniu znienacka zadaném, bądź w pisaniu okupacyi otrzymał górę, za sądem magistra professora miał wolność karać zwyciężonego przeciwnika; co bardziéj gniewało i wstydziło, niż bolało, zatém do oddania za swoje przez przesadzenie w nauce pobudzało.

Druga emulacya była powszechna jednéj połowy przeciw drugiéj połowie.

Jedna strona szkoły nazywała się *pars romana*, i ta była starsza; druga strona nazywała się *pars graeca*, i ta była młodsza. Żadna strona nie czyniła rzetelnego awantażu, ani szkody; jeden punkt honoru wbity studentom w głowę, przydawał okrasy jednéj stronie, a ujmował drugiéj; nad każdą stroną na ścianie wtyle ławek wisiała tablica z napisem strony, któréj służyła, tojest: *Pars graeca; Pars romana.*

Jeżeli jedna strona popisała się lepiéj w lekcyi szkolnéj nad drugą, albo na zadane pytanie od professora odpowiedziała lepiéj, niż druga, albo przeciwnéj stronie zadała taką trudność, iż jéj owa strona rozwiązać nie umiała, a żądająca strona rozwiązała ją sama z pochwałą professora, tedy w takowym i tym podobnym razie professor zwyciężającéj stronie nadawał pochwały: *decem laudes; centum laudes; quinquaginta laudes; mille laudes.* Otóż takie *laudes* strona od professora biorąca zapisowała na swojéj tablicy, zbiérając je przez cały tydzień lub miesiąc, według obfitości lub niedostatku. Gdy przyszła sobota, albo ostatni dzień miesiąca, rachowały się z sobą strony: mająca więcéj rugowała z ławek mającą mniéj, przesiadając się na jéj miejscu, a swego stronie zwyciężonéj ustępując. I to był cały zysk wygranéj.

Która strona wygrała, zawsze się pisała *pars romana*, a która przegrała, musiała przyjmować imię *partis graecae*, chociażby przed przegraniem była *pars romana.* Professorowie te sta i tysiące, któremi tak suto szafowali, jedne nazywali *laudes*, a drugie *errores* jakoby

przeciwnéj strony, co na jedno wychodziło i nic nie czyniło, a przecież ambicyą w studentach do piérwszeństwa podżegało.

Honory takie szkolne były nie małym bodźcem do nauki. Te zaś były następujące: dyktator: *imperatores;* audytorowie; *auditor auditorum;* cenzor.

Dyktator miał swoją ławkę osobną na boku katedry professora: jak dyktator rzymski, w nagłych tylko i zdesperowanych potrzebach rzeczypospolitéj bywał kreowany, tak też i ten szkolny. Kiedy cała szkoła zagadnioną była jaką kwestyą, na którą odpowiedzieć nie umiała, a jeden jakoby salwując honor całéj szkoły, oświadczył się, iż chce na tę kwestyą odpowiedzieć, i w saméj rzeczy odpowiedział, albo w inakszy sposób podług rzeczy, o którą szło, zadosyć uczynił, tedy nieodwłocznie przez deklaracyą professora z okrzykiem całéj szkoły zostawał dyktatorem, któréjto godności te były przywileje. Piérwszy, ławka osobna: drugi, independencya od audytorów i cenzora; trzeci, że zarobione na swoją stronę *laudes* wolno mu było któréj chcieć stronie podarować, bądź *parti romanae,* bądź *parti graecae:* a że dyktator za każdą zasługę dziesięć razy więcéj zyskiwał *laudes,* niż wszyscy inni studenci, więc któréj stronie on podarował niezliczone krocie i miliony swoje, ta zazwyczaj drugą przewyższyła. Czwarty przywilej, że z żadnéj powinności szkolnéj, jakoto z pensów, okupacyi domowéj, *exercitium* szkolnego, skryptury i tym podobnych nie mógł być macany od nikogo, tylko od samego professora, który jeżeli pana dyktatora, w nadzieję swoich przywilejów opuszczonego w czémkolwiek udybał niegotowym, natychmiast degradował go *ad scamnum asinorum,* zkąd za poprawą defektu łatwo było wydobyć się, przyjść między drugich, a nawet i rekuperować miejsce dyktatorskie, na które łatwiéj się było dostać, niż się na niém długo utrzymać; bowiem o dyktatora obijały się wszystkie najtrudniejsze, i niemal enigmatyczne kwestye, od dyrektorów swoich dyscypułom dla domieszczenia ich do godności dyktatorskiéj pokomponowane. Byłto cél, do którego zewsząd strzélano, osobliwie na ten dzień, kiedy strony grecka i rzymska miały się między sobą z laudesów rachować, i miejsca sobie odbiérać; albowiem ten, który dyktatora zpędził, zostawał panem jego wszystkich laudesów. Imperatorowie mieli ten zaszczyt, że w ławkach szkolnych piérwsze zasiadali miejsce, na processyach publicznych oni z laskami

przed swoją szkołą paradowali, i taryfę studentów, każdy swojéj partyi trzymali, zapisując w nią każdego studenta podług relacyi audytora, który umiał, i jak umiał, albo wcale nie umiał *pensa*. *Pensa*, byłto wydział południowy Alwara albo grammatyki, którego pod karą plag nauczyć się trzeba było, przed południem raz, po południu drugi. Imperatorami zawsze bywali panięta, albo majętniejszych mieszczan dzieci, które w lepsze od innych sukienki przyodziane, i urodziwsze, mogły piękniejsze czoło szkoły wydawać, ale przytém, jeżeli nie lepiéj od drugich, to przynajmniéj równo z drugimi trzeba się było uczyć, i w postępkach najmniéj mieć płochości.

Audytorowie i audytor audytorów nie mieli żadnéj prerogatywy, tylko cokolwiek reputacyi, iż się dobrze uczyli, kiedy zostali audytorami: ponieważ tego urzędu nie powierzano tępym dowcipom, ale bystrzejszym i nauki pilnym. Obowiązani byli audytorowie przychodzić do szkoły przed wszystkimi, ażeby wygodnie przed nadejściem professora mogli wysłuchać pensów i podać do zapisu imperatorowi. Audytorowie po wysłuchaniu innych sami swoje pensa odmawiali przed audytorem audytorów, a ten znowu odprawiał swoje przed którymkolwiek audytorem. Oprócz pensów dziennych każdy student obowiązany był w sobotę powiedzieć, czyli odmówić na pamięć pensa całego tygodnia, i gdy ich nie umiał, był karany.

Cenzor notował postępki studentów tak w szkole, ażeby się między dziećmi jakowa nieprzystojność nie działa, jako też w kościele, i w nim najbardziéj, ażeby skromność jak największa zachowana była. Miał od tego kartelusz z imionami studentów całéj szkoły, który się nazywał *petulantes*. Byłto papiér ponastrzygany: każda nacinka miała na sobie literę początkową nazwiska swawoli, jaką kto robił. Co się lepiéj wytłumaczy saméj rzeczy przytoczeniem. Naprzykład: gadał który student w kościele, to cenzor w linii jego nazwiska zagiął nacinkę z literą *g.*, tojest *garriebat;* oglądał się, to odgiął nacinkę z literą *c.*, która znaczyła *circumspiciebat;* śmiał się, to odgiął nacinkę z literą *r.*, *ridebat*: jeżeli zaś albo szturchnął drugiego, albo za łeb pociągnął, albo inną jaką akcyą nieskromną popełnił, to zagiął cenzor nacinki z literą *p.*, *petulantiam* oznaczającą; a gdy wiele porobił rozmaitych nieprzyzwoitości, to zagiął nacinkę z literą albo jedną, albo dwiema, albo trzema *x*, która litera jedna znaczyła kilkakrotne nieprzyzwoitości, *xx* znaczyły więcéj swawoli, a *xxx* znaczy-

ły swawolnika bez końca i miary. W sobotę był examinowany od professora *petulans*, i exekucya za nim następowała według przewinienia. Jeżeli przeciw cenzora zanotowaniu czyli obwinieniu wywiódł się obwiniony świadectwem innych studentów, mających u professora kredyt, pan cenzor odbiérał karę *talionis*, po polsku wet za wet.

Wakacye od nauki rocznéj, czyli zamknięcie szkół poczynały się od Świętego Ignacego, i trwały do Świętego Idziego, tojest od ostatniego dnia lipca do 1. września. Natenczas rozjéżdżali się studenci do domów rodzicielskich, a professorowie także według zwyczaju zakonów odmieniali się do innych kollegiów, lub téż, którzy się nie odmieniali, jak to w akademiach, spoczywali przez ten czas po pracy rocznéj.

2. O zabawach studenckich.

(§. 6.). W biegu szkolnych nauk były dwa dni w każdym tygodniu studentom na rekreacyą, czyli rozerwanie umysłu pracą szkolną utrudzonego dane, a te dni były, wtorek i czwartek, i to nie zawsze całe, lecz częściéj po pół dnia, zaczynając od południa: w maju niemal zawsze bywały całe te dnie na rekreacyą studentom oddawane, kiedy zaś po wtorku lub po czwartku następowało jakie święto, to w takim przypadku nie dawano rekreacyi, ażeby wiele czasu naukom nie ujmować. Dlatego i rekreacye, albo święta zupełnie od nauki studentów nie uwalniały. Naznaczano pomierne *pensa*, których trzeba się było nauczyć, i okupacyą, którą w czasie rekreacyi lub święta trzeba było napisać; inaczéj, gdy się piérwszego albo drugiego nie przyniosło do szkoły, po wesołéj rekreacyi następowały płaczliwe pod batogiem lamentacye. Na rekreacyą wychodzili studenci hurmem z professorami i dyrektorami, lecz nie koniecznie wszyscy; kto chciał wolno mu było zabawiać się w osobnéj małéj kompanii. Zabawy na rekreacyi zwyczajne były piłka i palcat, których téż zabaw studenci i między szkołami, nim się zaczęła lekcya szkolna, zażywali. Piłka, byłto kłębek z wełny albo z pakuł, tęgo po wiérzchu niciami osnuty, potém skórą obszyty, albo téż niciami różnego koloru w siatkę obszyty. Niektórzy kładli w sam środek piłki chrząstkę rybią, lub cielęcą dla le-

pszéj sprężystości. Ta piłka używana dwojako: raz do trafiania nią w rękę na ścianie wyciągnioną, albo też do uderzenia o ziemię a łapania jéj na powietrzu: drugi raz podczas rekreacyi w polu do wyrzucania jéj na powietrze jak najdaléj, i uganiania się za nią całemi partyami. Piérwsza igraszka piłką uczyła trafności do celu ręcznym pociskiem. Znać jeszcze od owego czasu wprowadzony ten zwyczaj do szkół, kiedy na wojnach proc, kamieni i innych pocisków używano. Druga dawała gibkość ciału, szybkość w bieganiu, i sprawność w ręku chwytaniem piłki na powietrzu, która od jednego zlekka w miarę piersi podrzucona, a od drugiego kijem zboku na ukos silno uderzona, tak się w górę wysadziła, że jéj na czas okiem dojrzéć nie można było. Więc wszyscy téj strony gracze, ku któréj ta piłka rzuconą była, z natężeniem oczu w górę, i z gotowością rąk pilnowali na piłkę, nadół się spuszczającą, gdzie im się ukaże: skoro ją zoczyli, tam szybkością jak największą, jeden drugiego ubiegając, pędzili wszyscy na schwytanie piłki na powietrzu. Jeżeli bowiem nie schwytana od żadnéj ręki upadła na ziemię, już była gra przegrana, która nie miała żadnych zakładów, ani stawek, tylko same słowne chluby z wygranéj. Takowa gra zwała się palant, i zabawiali się nią wraz z dziećmi dyrektorowie i professorowie dla agitacyi.

Drugą zabawą podczas rekreacyi były kije, zwane palcatami, w które pojedynkowali studenci dwaj a dwaj z sobą. Jakoż było się czemu przypatrywać: kiedy się dwaj dobrali do palcatów, bili się aż do zmordowania, a tak sztucznie każdy się palcatem swoim układał, zastawiając się z wszelkich stron, a oraz wzajemnie adwersarza swoim przycięciem sięgając, że żaden żadnego ani w gębę, ani w głowę, ani po bokach nie mógł dosięgnąć. I tacy bylito już jak metrowie do wprawiania i uczenia drugich. Te tedy palcaty u studentów były w najczęstszém używaniu nie tylko na rekreacyach, ale nawet i w samych szkołach, nim nastąpiła godzina lekcyi. Jeżeli był który student bojaźliwy, że nie śmiał z drugim stanąć do palcata; musiał taki wiele wyciérpiéć prześladowania i urągania od całéj szkoły. —

Jeszczem zapomniał dopisać pod naukami dwóch sposobów, których zażywano do wpojenia studentom jak najmocniéj konstrukcyi łaciny. Byłyto repetycye czyli powtarzania między sobą czynione przez studentów tego, o czém się w szkole z professorem traktowało, i takie repetycye odprawowały się w pewne czasy, zwykle w dnie majowe

między szkolami. — Drugi sposób do nawyknienia łaciny był zakaz surowy, aby student do studenta nie ważył się nigdy i nigdzie osobliwie w stancyach po polsku gadać. Był na to sporządzony kawałek deszczki nakształt tabliczki półćwiartkowéj z literami *N. L.*, tojest *Nota Linguae*. Te notę najpiérwéj professor oddał któremu studentowi z umiejących lepiéj łacinę i zakredytowanych u professora, z rozkazem, aby usłyszawszy którego mówiącego po polsku choćby tylko słowo jakie, natychmiast mu oddał tę notę jako znak przełamanego zakazu. Nie wszyscy, którym język nieostrożny notę do ręki wsadził, byli za to karani, owszem żaden nie był karany, tylko ten, u którego nota albo obiadowała, albo nocowała; albowiem professor, skoro wszedł do szkoły, po zwykłéj modlitwie do Ducha Świętego, najpiérwsze pytanie czynił studentom: *Quis habet notam linguae?* Ten który ją ostatni miał, ztrudna się odezwał na pytanie professora: ale który miał ją przed ostatnim, natychmiast uwiadomiał professora, któremu ją oddał, a tak ostatni za wszystkich innych otrzymał karę: za obiad kilka placent w rękę, za noc kilka plag w siedzenie. Dlatego studenci z tą notą tak się uwijali, chcąc ją co prędzéj pozbyć jeden do drugiego, jak z złą monetą. Druga tabliczka, podobna piérwszéj, była z literami *N. M.*, znaczącemi *Nota Morum*. Tym sposobem miała kurs swój między studentami, jak i *nota linguae;* ale już nie z taką troskliwością starano się jéj pozbyć, jak piérwszéj, ponieważ *nota morum* dawana tylko była za jaką nieprzystojność popełnioną w obyczajach, gdy albo z nieumytemi rękami, lub nie oberzniętemi pazurami przyszedł student do szkoły, albo nie zdjął czapki przed kim godniejszym, albo miał piérze w czuprynie lub na sukniach, albo inną jakową około siebie nieschludność; więc gdy raz za którykolwiek z tych i tym podobnych występków został skarany, już się go na drugi raz pilniéj wystrzegał, a tak w małéj kwocie tego gatunku przestępców, rzadko się zdarzających *nota morum* nie mogła tak szybko cyrkulować, jak *nota linguae*, która czasem przez jeden dzień całą szkołę obiegła, gdyż niemal niepodobno było każdemu ustrzédz się polskiego słowa, kiedy zdrajca mający *notam linguae* naprowadził na niego pytaniem: *Quomodo hoc explicatur polonice?* a wyciągnąwszy z nieostrożnego polskie słowo, rzucał mu *notam linguae*. Gdyby zaś przez którego *nota linguae* była zgubiona, tedy z karą musiał inną szafować, co że kosztowało kilka lub kilkanaście groszy, przeto studenci, jako niepiéniężni, bardzo się zatracenia przerze-

czonéj noty chronili, a więc, gdy ją jeden porzucił i odbiegł, drugi radnierad musiał ją przyjmować, aby nie zginęła. Nie chcąc zaś przed professorem wytaczać sprawy niepewnego wygrania o notę, nie słusznie czasem sobie narzuconą, wolał szukać z nią innego mniéj także jak sam ostrożnego, niż się z piérwszym przed professorem rozprawiać. —

Dla wprawienia studentów w rzeźwość, udatność i prezencyą wyprawiano w szkołach rozmaite dzieje, jakoto deklamacye w syntaktyce i poetyce, które były rozmowy, wiérszem lub prozą napisane od professora, rozdane między niektórych studentów, czasem spiéwaniem i muzyką przeplatane, którą muzykę studenci na różnych instrumentach udawali, a muzykanci za nimi utajeni grali: zkąd się trafiało, że gdy student z muzykantem znaku umówionego nie zachował, to instrument jeszcze gral, choć go już student odłożył. Dyalogi bywały dwa do roku: jeden w zapusty magistra poetyki, drugi przed wakacyami patra retoryki. Te dyalogi były reprezentacye tragiczne i komiczne nakształt dzisiejszych oper i komedyj, ale tamtych jak w reprezentacyi, tak w strojach teatralnych nie dochodzące. –

Ostatni mozoł głowy dla studentów mniejszych szkół było *exercitium de promotione.* To *exercitium* dawali studentom przed samemi wakacyami na rozjézdném i zamknięciu szkół. Promocya z niższéj do wyższéj szkoły, albo zatrzymanie w téjże saméj na drugi rok następowało podług dobrze lub źle napisanego *exercitium*, które było złożenie kilkunastu słów polskich w mowę krótką, najtrudniejszy wykład na łacinę mających. Te tedy exercycya, od studentów zebrane, i prefektowi szkół przez professorów oddane, były losami studentów przyszłéj promocyi: dlatego pisząc te exercycya wysilali rozumy swoje i natężali pilność, aby dobrze napisać. Niektórzy zaś słabszych dowcipów żywili się od bystrzejszych, (lubo takowa pomoc wielce zakazaną była,) którato sztuka gnuśnym i źle cały rok uczącym się studentom nie pomagała do promocyi, jako z łatwością, że nie ich była płodem, od professora poznawana. Nawzajem także nie ze wszystkiém dobrze napisane *exercitium* przez zbytnie myśli natężenie, a tém samém na wszystkie reguły grammatyczne mniéj uważne, nie przeszkadzało do téjże promocyi subjektom nad innych celującym, i cały bieg roczny chwalebnie się do nauki przykładającym. Byłato tylko próba na mierne dowcipy na dobitkę używana, których pojętności z rocznéj

rozmaitéj aplikacyi wyraźnie rozeznać nie można było. Po tém odbytém *exercitium* zamykały się szkoły, a zaczynały się wakacye.

Jak do nauk, tak do nabożeństwa i pobożnego życia wprawiano młodzież szkolną przez sobotnie exhorty w szkołach i w wigilie świąt uroczystych. Dawano także co miesiąc kartki z krótką sentencyą, do jakiéj cnoty zachęcającą, od Świętego jakiego podaną, którego Świętego student, odbiérający kartkę powinien był mieć na cały miesiąc za patrona, wzywając pomocy jego do téj cnoty, którą sentencya w kartce zawiérała. Zgoła oprócz nabożeństw powszechnych i publicznych w kościołach, spowiedzi miesięcznych, wszelkiemi sposobami w pobożność i bojaźń Boską wprawiano. Mieli albowiem to za nieomylną prawdę, iż chociażby młodzież miała rozum naukami najbardziéj oświécony, jeżeli w sercu nie ma zaszczepionéj i dobrze wkorzenionéj bojaźni Boskiéj z innemi zdaniami religii, na nic dobrego nie wyjdzie, tylko na łotrów, franków, oszustów i obywateli krajowi najszkodliwszych.

25. Alexander Sapieha,

Mąż biegły w umiejętnościach przyrodzenia, matematyk i krajopis zasłużony w epoce orzéźwienia literatury i nauk, kawaler wielu orderów, członek warszawskiego towarzystwa Przyjacioł Nauk, i różnych akademij zagranicznych. W roku 1802. i następującym z wielkim kosztem i nie małemi trudami odbył podróże w krajach Słowiańskich, mianowicie w Styryi, Gorycyi, Karyntyi, Istryi, części Kroacyi, Dalmacyi, Bośnii, części Albanii, Czarnéj Górze (*Montenegro*) i Archipelagu Dalmackim. Ogłosił one drukiem pod tytułem: *Podróże w krajach Słowiańskich, odbywane w latach 1802. i 1803. przez Ks. S. 1811.* Celem tych podróży było dokładne poznanie narodów słowiańskich, dla odkrycia wartości wyrazów i znalezienia ich właściwych piérwiastków. — Ważną prócztego uczynił naukową przysługę przez wydanie drugiego dzieła pod napisem: *Tablice stosunku nowych miar francuzkich linealnych z litewskiemi i polskiemi miarami, podane zgromadzeniu Przyjaciół Nauk w Warszawie, tamże w drukarni Ragoczego 1801.* Pismo to poźniéj, gdy kommissya miar i wag, ustanowiona w Paryżu, trudność ewaluacyi odległości bieguna od równika na stopy paryzkie rozwiązała, autor zupełnie przerobił, i tak poprawione w tomie I. roczników towarzystwa warszawskiego Przyjacioł Nauk dla użytku współobywatelów drukiem powtórnie ogłosił.

Oddawszy się naukom przyrodzonym książę Alexander Sapieha, pilnym był badaczem nowych, za granicą uczynionych w chemii wynalazków. W Pamiętniku warszawskim Franciszka Dmochowskiego 1801., 1805. r. znajdują się dwa

ważne artykuły, tojest: O kwasie cytrynowym i o użytku żelaza, dowodzące biegłość księcia Alexandra Sapiehy w przedmiotach należących do chemii. Przygotował także materyały pismienne o mineralogii, o obyczajach i literaturze słowiańskiéj, i innych wiadomościach literatury ojczystéj. Naostatek nie tylko za życia, ale i po śmierci, która go ledwie 42 lat mającego w roku 1812. wcześnie zpośrod żyjących wydarła, pragnął być użytecznym w wydziale naukowym, zostawiwszy wiekopomny dowód swojéj dobroczynności w towarzystwie warszawskiém Przyjacioł Nauk, ofiarowaniem na zakład biblioteki tegoż towarzystwa przeszło 6000 książek, i na pomnożenie téjże 5000 złotych rocznego dochodu, na dobrach w województwie Augustowskiém, na lat 50 uczynionym zapisem.

Ks. Ign. Chodyniecki.

Podróże w krajach Słowiańskich, odbywane w latach 1802. i 1803. przez Ks. S., członka kilku akademiów i towarzystw uczonych.— 1811.

Droga do Mostaru.

Przybyliśmy do małéj wioski, leżącéj w tyle pasma gór, któreśmy z drugiéj strony okrążyli, i rozgościliśmy się w nikczemnéj bardzo karczmie, jeśli tak można nazwać dom pusty, dotykający się do pomieszkania wiejskiego bogatego Bośniaka tureckiego, zowiącego się K . . . . Ojciec jego zbudował był dom ten, że tak powiém, gościnny dla podróżnych, gdzie ich bezpłatnie przyjmował, i wszystkie ich potrzeby darmo opatrywał. Syn jego a teraźniejszy pan téj majętności nie był w domu. Familia jego, któréj był głową, tak była liczna, iż ilość onych przypominała familią Fabiuszów, albowiem w stanie była sto przeszło rycerzów wystawić. Dom K . . . , przed najazdem jeszcze Turków zawsze uchodził za jednę z najpiérwszych Bossyni familij. Ów ród liczny obrał swe siedlisko na górze Wrana, czyli Wraniec, gdzie kilka jeszcze innych domów ma sobie podległych. —

Tymczasem zaledwieśmy przybyli, rozłożył mój przewodnik wielki ogień na złym bardzo kominku, lecz jedynym w tym domu, i rozesłał po całéj izbie słomę do spania; ja zaś piekąc się koło ognia, zaledwiem był w stanie w kilka godzin się rozegrzać, tak dalece byłem przejęty zimnem. Resztę dnia strawiliśmy na obsuszaniu się, i bylibyśmy cały ten dzień najspokojniéj przepędzili, gdyby nie przytomność nagła jednego Turka, który koniecznie chciał mię przymusić do kupienia od niego

konia, którego chciał się pozbyć. Tak mocno był natrętny, że z największą trudnością, spoiwszy go należycie wódką, zaledwie zdołaliśmy jego zaspokoić. Uwolniwszy się nakoniec od tego napastnika, zasnąłem; uczułem na drugi dzień obrzydliwość, widząc się obsypany robactwem z owych sukien, przez mego przewodnika szczodrze mi pożyczonych. Zdawało mi się, że łatwo będę mógł złemu zapobiedz, wiedząc, że powinienem był mieć dwie lub trzy koszul w zawiniątku moim, lecz w jakąż wpadłem rozpacz nie znalazłszy żadnéj! Młody mój towarzysz, rozstając się jeszcze w Dalmacyi ze mną, przez zapomnienie wziął je był z sobą, a miałem jeszcze kilka dni przynajmniéj drogi do Mostaru. Lecz trzeba było nakoniec w potrzebie doznać wytrwania i cierpliwości! I tak wyjechaliśmy jeszcze przed świtem. Wioska, którąśmy opuścili, nic nam tak dalece nie przedstawiała ciekawego. Osada tameczna składała się z chrześcianów i kilku Turków z Duwna, którzy czasem przepędzali tutaj lato w swych domach wiejskich. Ponieważ obawiał się mój przewodnik narażać mię i siebie na spotkanie się jakie niebespieczne: wolał przeto podróż naszą w nocy odprawiać, a tak uwagi moje nad krajem równo ze dniem rozpoczynałem.

Ze świtem ujrzałem się w lasku bukowym, który leżał na spodku góry, Małą Wraną zwanéj, należącéj do plemienia K . . . Jestto góra wapienna, mniejsza nierównie od Wielkiéj Wrany, po lewéj okazującéj się stronie. Lasek ten napełniony jest grobowcami, okrywającemi popioły Turków, dawniéj tam przez Hajduków zamordowanych. W tym właśnie miejscu sławny Hajduk Soczawicza całą turecką rozbił karawanę.

Przybywszy do wierzchołka téjże góry, zaczęliśmy się zwolna spuszczać, i wnet ujrzeliśmy się na łące, która usłała spód doliny równo odległéj z morzem, i ciągnącéj się od północy ku południowi. Po dwugodzinnéj blizko jazdzie zatrzymaliśmy się u źródła małéj rzéczki w celu spoczęcia nieco i popaszenia naszych koni. Ztamtąd udaliśmy się w dalszą podróż, i po godzinnéj jeździe przybyliśmy do stanowiska dawnych grobowców, podobnego do tego, któreśmy w Lowryczu opisali: różni się jednak tym, że kamienie ostatniego są nierównie lepiéj dochowane od piérwszego, i nie tak zburzone jak tamte: jeszcze i tym od tamtych się różniły, że nie widać na nich było owych tańców i polowań, ale natomiast wiele bardzo postrzegałem linij w różnym względzie się przecinajacych, znaki symboliczne, nie znajdujące

się u tamtych, i mogę powiedzieć, że podobnego rodzaju grobowce piérwszy raz wówczas i ostatni widziałem. Przejrzawszy te grobowce, godzinę jeszcze całą wzwyżwspomnioną jechaliśmy doliną. Wtym nagle ujrzeliśmy inną dolinę, wpoprzek pod kątem prostym przecinającą piérwszą, którąśmy wprzódy przebiegli byli. Dolina ta dwieście przeszło stóp niższą jeszcze była od piérwszéj, tak dalece, że gdyśmy się na nią spuścili, tamta zdawała nam się być górą. Trzeba sobie wystawić raptowne zatrzymanie się nad jaką przepaścią, ażeby jasne i dokładne miéć wyobrażenie, jakie wrażenie na umyśle czyni niespodziéwane spotkanie się z tak dalece niższą krainą. Pochyłość piérwszéj pokryta była sośniną, a jeśli się nie mylę, modrzewiem. Spuściliśmy się w miejscu, gdzie się spadzistość zaczyna, i potym zwracając się kilka razy, bierze swój kierunek ku morzu, przyjmując do swego łona nieco niżéj Narentę czyli Nartwę. Tutaj zupełnie się kraj zmienia tak co do przyjemności położenia, jako téż co do rodzaju ziemi; piérwsza zupełnie będąc wapienna, przedstawia nam widok smutny, i mimo zieloności drzewa, które wiérzchołki gór otaczały, farba tych skał popielatawa dodawała obrazowi temu postać nierównie smutniejszą i nieprzyjemną. Lecz jaka różnica téj doliny od tamtéj! Ziemia spłodzona przez wyziewy wulkanów podmorskich, roślinność bujna, drzewa przyjemnie się rozkładające, — piękności, które za każdym krokiem w głąb jéj zrobionym, coraz się bardziéj powiększają; słowem, pyszna ta dolina, Doliniany zwana, przedstawia podróżnemu najpiękniejszy obraz, i wyznać muszę, że we wszystkich moich w tym kraju podróżach piękniejszéj i bardziéj zachwycającéj okolicy nigdzie nie widziałem. Nie postrzega się zpoczątku tak wielkiéj różnicy law; widać bowiem tylko lawy koloru czerwoniawego, wszystkim wielkim jarom Dalmacyi właściwe, i jednostajnego rodzaju z lawą, którą widziałem na Wratniku w Kroacyi; widać tam prócztego jeszcze gatunek marmuru, czyli raczéj jaspisu, który podług zdania mego jest tylko lawą, złożoną z dwóch gatunków, zupełnie od siebie odrębnych, to jest w rodzaju jaspisu, mieszającego się z szpatem wapiennym, nie wiele z kwasami burzącym się. —

Puściłem się w dalszą drogę w celu badania dalszego, lecz niespodziéwana ulewa raptownie mojéj ciekawości położyła tamę. Ponieważ droga samym spodem szła doliny, uważałem tylko kamienie, które woda z wiérzchołków gór urywała, albowiem ani czas, ani położenie

moje w tym kraju nie dozwoliły mnie zbaczać z drogi, i zagłębiać się w poboczne góry.

Może mi kto zarzucać będzie niedbałość lub lenistwo, widząc mię opuszczającego wiele śladów ciekawych i dochodzeń pożytecznych: lecz żeby mię w téj mierze doskonale osądzić, radziłbym zatrzymać swój wyrok do zupełnego zastanowienia się nad krajem, w którym podróże moje odbywałem, i żeby się wprzódy przekonać, że nie tak jest łatwo odbywać podróże geologiczne w Bossyni, jak jest naturalistom paryzkim przechadzać się po górze *Mont-Martre*, albo genewskim po skałach góry *Salere*. Zaiste gdy wędrownik wszędzie znajduje przeszkody, a nigdzie pomocy, gdy przebywa w kraju, gdzie nigdy prawie zagranicznych ludzi nie widziano, gdzie życie jego zupełnie zależy od łaski mieszkańców; jedna tylko roztropność i ostrożność największa, zasadzona na znajomości obyczajów kraju, są jedyną poręką jego bespieczeństwa. Ponieważ nie mogłem w téj dolinie uważać, tylko kamienie przez wodę ztaczane, starałem się przynajmniéj nie brać tych, które w samym korycie doliny znajdowano; bo te mogła nawet z miejsc dalekich woda przynieść, przestawałem więc na tych, które na bokach gór znajdowałem. Między temi mimo ulewy, która niezmiernie mi dokuczała, uważałem to, co następuje. Najprzód lawy porfiryczne, w horyzontalnych warstwach leżące; potym drugi onych rodzaj, którego skład tak był podobny do granitu, że można się było na tym omylić. Cząstki w téj skale dobrze były krystalizowane, ale dziurkowatości niejakie i wnęki podługowate w przyzwoitym szeregowały ich miejscu, tojest między lawami. Nakoniec daléj te wnęki w skale czyli dziurkowatości zaczęły niknąć, lawa zdawała się bydź bardziéj ściśniona, i gdyby nie nadzwyczajna okrasa i farby, które przeplatano przybiérały żyły téjże skały, istota, która w tym kamieniu zastępowała miejsce feldszpatu, i która tak jak on, krystalizowaną była, koloru była szarawego. Sądziłem nareszcie, że to musiał bydź istotnie granit, gdyż znalazłem wkrótce wielkie ułomy kamienia, *dolomite* zwanego od imienia sławnego naturalisty, który, jak pospolicie uważałem, jest zawsze pośrednim między górami piérwszego i powtórnego tworu.

Nakoniec zaczęło się zmiérzchać, i trzeba było nareszcie dogodzić żądaniom mego przewodnika, który niechętnie się zatrzymywał, i powtarzał mi zawsze, że jak się spoźnim, to kwatéry nie znajdziemy,

co w istocie nie byłoby bardzo pomyślnym, uważając słotę, która się na całą noc zbiérała. Stanęliśmy koło godziny ósméj wieczór we wsi bardzo przyjemnie położonéj w środku doliny, i szukaliśmy schronienia w domie tureckim, gdyż w tym miejscu chrześcian nie było. Zpoczątku się opiérano, nakoniec gościnność narodowa przemogła, i przyjęto nas uprzejmie. Zdaje się nawet, że te piérwiastkowe wahania się gospodarza nie były szczére, i tylko dla dania czasu kobiétom do wyniesienia się z domu zrobione. Jakoż gospodynia z swojéj się wyniosła komnaty, mnie jéj ustępując, a ja będąc wskróś dészczem przejęty i niezmiernie zmordowany, prosiłem zaraz o ogień i słomę, gdyż tego jedynie tylko potrzebowałem. Lecz gdy podchlébiałem sobie, że będę mógł spocząć, odebrałem nagle odwiédziny całéj wsi, i zwaliło się ze trzydziestu Turków, którzy całą moją komorę zabrali, i na moich tłumoczkach posiadali. Tu dopiéro tysiączne zaczęły się zapytania, jedne śmiészniejsze od drugich, którym ja lub mój przewodnik przymuszeni byliśmy odpowiadać. Nakoniec gdy coraz więcéj wybadywania się pomnażały, zacząłem się obawiać, aby nieroztropność mego przewodnika czasem mię nie wydała, i niebespieczeństwem nie nabawiła. Widząc więc, że niebespieczeństwo się pomnażało, i że odwlékać już nie było czasu, powiedziałem po słowiańsku, że byłem z Dubrownika ubogim tamecznym kupcem, i że tułając się za handlem po obcych krajach, ojczystego nawet zapomniałem był po części języka. To ich trochę zaspokoiło. Lecz potym po osobistych wybadywaniach o mnie, zaczęły się nowiny polityczne, i nie można wystawić sobie śmiészności zapytań, którym kolejno dosyć czynić musiałem. Tak osobliwe mają ci ludzie o reszcie Europy wyobrażenie! Lecz co mi najwięcéj dokuczało, była kabanica, czyli płaszcz mój, który cały dzień namokłszy, na sobie zawsze utrzymać musiałem, a zrucać nie mogłem, gdyż byłbym pokazał broń moją, któréj oni są niezmiernie ciekawi i żądni, i oraz mały kramik z różnemi cackami i kobiécemi ozdobami, który miałem zawsze przy sobie na przypadek, gdybym nie mógł inaczéj uchodzić, jak za kupca. Lecz przykrość mego położenia wkrótce się pomnożyła. Gospodarz rad naszemu przybyciu, niezmierny ogień był rozpalił. Pokój był mały, nas było ze trzydziestu: dość, że śmiało rzéc mogę, że w żadnéj łaźni się tak nie wypociłem. Widząc nakoniec, że się to nie kończyło, wyszedłem z izby, wziąłem staruszka, gospodarza domu nabok, i podziękowawszy za gościnność, którą mi dał,

prosiłem go, żeby mnie uwolnił od téj całéj zgrai, gdyż niezmiernie byłem zmordowany. Obiecał mi to, i tak dobrze się koło tego zawinął, iż za pół godziny już byliśmy wolnymi. Udałem się więc do spoczynku, bardzo szczęśliwy, żem się od tych niezbytych uwolnił gości, a razem, że gadatliwość mego przewodnika nie naraziła nas na jakie niebespieczeństwo, a najwięcéj z mojéj roztropności, żem ukrył moją broń i towary, gdyż inaczéj całą noc nie mielibyśmy spokojności.

Nazajutrz mając dużą podróż przed sobą, ruszyliśmy dosyć wcześnie, rozdawszy całemu domowi małe upominki, które wszystkim były dość do smaku. Ale ponieważ zwyczaj słowiański niesie, że trzeba coś dać w zamian upominku darowanego, inaczéj ten, zamiast przyjaźni dowodzić, stałby się obrazą uchodząc za jałmużnę, któréj samo imię obrusza pysznego Bossyniaka, musiałem w zamian przyjąć mnóstwo owoców. Próżno się wymawiałem, że nie miałem miejsca, gdzie ich podzieć; tak mię niemi obładowano, że musiałem ich połowę zostawić. Ponieważ także byłem dał upominki kobiétom, ciekawy byłem, czy te powszechnemu ulegną zwyczajowi, a to tym więcéj, iż uważałem, że te, chociaż nie śmiały wchodzić do mego pokoju, jednak dosyć się okazywały. Już byłem nawet nadzieję stracił, ale bez przyczyny, gdyż wkrótce się przekonałem, iż przepisy islamizmu, które tyle narodów przeistoczyły, nie potrafiły naruszyć wytrwałości Słowian w dawnych zwyczajach. Już byłem siadł na konia, i wolnym krokiem od domu odjéżdżałem, gdy nagle usłyszałem kogoś za mną biegącego, i odwróciwszy się, postrzegłem dwie kobiéty, z zasłonami podniesionemi, wołające na mnie, żebym zaczekał. Gdym to ledwo zrobił, każda z nich parę jabłek w zanadrze mi włożyła; ale to tak prędko zrobiły, i tak zręcznie twarz swoją odwracały, że ja nie spodziéwając się podobnéj grzeczności, zaledwo miałem czas ich ujrzéć.

Turcy w Bossyni zamieszkali są może jeszcze jedynymi z Ottomanów, którzy, obcy miękkości temu narodowi właściwéj, zachowali jeszcze odwagę i bitność dawnych muzułmanów, zaszczepioną na waleczności Słowian. Ci Turcy, z imienia tylko tak nazwani, ale istotnie jeszcze Słowianie, tak są do swych dawnych zwyczajów święcie przywiązani, że alkoran i jego przepisy nie potrafiły ich w niczym naruszyć. Zaiste znajdzie tu czytelnik nie mały dowód przywiązania Słowian do zwyczajów narodowych, które w oczach postrzegacza światłego za ślad znamienny, od inszych narodów ich różniący, służyć może.

I gdy mahometanizm, ta wiara, która winna swój postęp łechceniu namiętności człowieka, która ze stu narodów różnych, pochłonąwszy ich zwyczaje i prawa, nie zrobiła, jak jeden, nie mogła dotąd bossyniańskich Słowianów naruszyć, ci podbici przez władzę przewyższającą w chwili, gdy świat cały drżał przed jéj postępem, okupując się od niewoli i od najdzikszego postępowania zwycięzcy, przed którym musieli ulegać, przynagleni byli i zmuszeni zamienić krzyż na zawój. Turcy Bossyni są wszyscy prawie jednożenni; wielożeństwa rzadki między nimi przykład. Nie widać w nich téj dumy i buty, innym muzułmanom właściwéj, którzy w obcowaniu z innemi narodami zamieniają osobistą nadętość za ich wzgardę. Słowem, są całkowitemi Słowianami w obejściu się domowym, w sposobie udzielania drugim gościnności, nakoniec w patryarchalnym postępowaniu z swymi niewolnikami.

Wieś, w któréj nocowaliśmy, leży w samym środku rozdołu, Doliniany zwanego. Jéj zaś imię jest Złota. Powiadają, że kiedyś była bardzo obszérną, ale teraz ledwie dwieście domów mieć może. Posiadłość jéj jest przepyszna: w bujne pastwiska i żyzne role obfituje. Wychodząc z téj wsi, udaliśmy się ku górom, które po prawéj leżały stronie rzéczki i doliny. Wzgórki, na które zaczęliśmy wstępować były już wapienne, i najpiękniejszemi lasami okryte. Po lewéj stronie ciągnęła się dolina, i rozliczne wsie po niéj rozsiane. Prawie po półgodzinnéj drodze postrzegliśmy inną dolinę, ciągnącą się od południa środkiem któréj płynęła rzéka, w którą doliniański potok wpadał. Pytałem się o jéj nazwisko. Jedni ją nazywali Ramą, drudzy Naretą; lecz żadnéj nie podpada wątpliwości, że to była Narenta, po słowiańsku Nartwa, największa z rzék tamecznych.

Pożna już pora jesienna nie pozwoliła mi uważać mnóstwa roślin, w które tamta okolica obfituje. Postrzegałem jednakowo między temi, które jeszcze liści nie były straciły, że ten las usłany był gatunkiem kolącego *ruscus;* buki i dęby z małemi liściami wieńczyły gór wierzchołki. Poniżéj zaś drogi ku rzéce widziałem rozmaite gatunki rusów, czyli sumaków i lipę, przez botanistów *cordifolia* zwaną. Żółwiów ziemnych moc także była duża, i między innemi tworami uważałem ropuchę niezmiernéj wielkości, która ogromnością swoją pipę surynamską przechodziła. Była z rodzaju zwanego *rana verucosa.*—Co zaś do mineralogii tego kraju, ta mi nic szczególnego nie wystawiła, tylko rodzaj kamienia wapiennego, jednoistny z dalmackim. W samym zaś dole przy rzéce

kamień *brèche calcaire* spód góry zajmował. Przebyliśmy jedną rzékę po godzinnéj jeździe, którą Grabica zwano; most na niéj był murowany i dość wygodny; potym znowu zaczęły się lasy, a rzéka środkiem doliny płynąca, przyjmując w biegu rozmaite strumienie, dwoiła swą szérokość. Nakoniec pięknéj doliny wizerunek zupełnie ustał, która górami tuż nad łożem rzéki całkiem zajętą została. Przejechaliśmy przez kilka wodospadów czyli kaskad bardzo dużych, które jak rzéki wychodziły z boków gór, i w wielką spadały rzékę. Najznakomitsza z nich zowie się Czerne Wryło. Widok ten, który byłby zdziwił każdego wędrownika, nie przywykłego do tego jawiska, nic mi nowego nie wystawił nad to, co już w reszcie Dalmacyi widziałem. Gdyż powtarzając to, co wyżéj powiedziałem, i dla łatwości czytelnika przypominam, jeszcze raz namienię, że w krajach wapiennych i wystawionych na trzęsienia ziemi, jak Dalmacya, rzéki często koryta swoje odmieniają, powiérzchowne łożysko swoje w podziemne przemieniając, tak przez wylizanie kamienia w wodzie rozpuszczającego się, jak też przez osady tuffów. Poziemne też warstwy, *horizontales*, przemieniają się w prostopadłe: przez trzęsienia ziemi tym krajom właściwe woda myje sobie uchody pomiędzy szczelinami tychże warstw, i z czasem nowe sobie tworzy koryto. Tak też i tu znaczne te wód spady nie są niczym innym, jak uchodami rzék podziemnych. Jakoż uważając ogrom wód, które wpadają w Narentę, trzebaby sądzić, że Narenta wielkością swoją powinna Wiśle lub Dnieprowi wyrównać, co wszelako nie jest, i co jawnie dowodzi, że łożysko Narenty musi mieć także swe uchody, któremi część wody przyjętéj wyślizga się. Jakoż łoże téj rzéki jest kamieniste, skałami najéżone, i do żeglugi wcale nie zdatne.

Po pięciogodzinnéj jeździe zaczęliśmy wychodzić z lasów na równiny: tam spotkaliśmy pastérza z trzodą owiec, Greczyna, który aż z Albanii na całe lato z swoją trzodą do Bossyni był zaszedł. Tak jak bowiem mieszkańcy Alp trzody swoje na lato na wyższe miejsca zapędzają, tak też i w Turcyi tam, gdzie skwary letnie pasze wysuszają, lub nieurodzajność ziemi, lub położenie onéj nie daje, mieszkańcy na ośm miesięcy góry w Bossyni najmują u właścicielów, i tam o pięćdziesiąt i więcéj mil swe trzody zasyłają. Co czyni i właścicielom Bossyni pożytek, i mieszkańcom krajów nieurodzajnych ulgę. Pytaliśmy się onego pastérza, czy dobrą będziemy mieli drogę do

Mostaru. Radził nam nie jechać, gdyż dniem wprzódy rzéka, którą mieliśmy przebywać, tak nagle wezbrała, że most zniesionym został: i do tego dodał, ze trzydziestu Turków, rabusiów zatrzymanych jest nad brzegiem przez tę powódź, czekając onéj upływu, i że gdybyśmy tam jechali, narazilibyśmy się na największe niebespieczeństwo, nie przyspieszając nawet naszéj podróży. Pytałem się go o nazwisko rzéki: odpowiedział, że zowie się Rama. Jakoż było dosyć do tego podobieństwo, nawet według niedostatecznych kart naszych owego kraju.

Złożyliśmy radę względnie do tego, co nam należało czynić. Żadnéj w tym miejscu nie było wsi, w któréjby można znaléźć było schronienie. Prosiliśmy więc pastérza, aby nam co poradził. On długo się wahał: nakoniec spytawszy się nas, czy umiémy golić, i wymógłszy po nas obietnicę, że jeden z nas go ogoli, obiecał nam swego udzielić schronienia. Ja przystałem na wszystko, sądząc, że mój przewodnik potrafi dopełnić warunek na nas włożony; postępowaliśmy wolno z tą trzodą kilku tysięcy owiec, która sama z siebie swój kierunek wzięła ku Nartwie. Przybyliśmy tak do saméj rzéki, któréj brzegi są bardzo wysokie i przykre, skałami najéżone, i drzewami obrosłe, i zaczęliśmy się spuszczać. Owce do tego już zwyczajne, porobiły ścieżki, po których, trzymając się drzew i skał, spuściliśmy się w wysokości pięciudziesiąt lub sześciudziesiąt sążni. Przewodnik zaś mój został się na wiérzchu z końmi, które iść za nami nie mogły. Nakoniec po wielu trudach, znaleźliśmy się na dole przy samym korycie rzéki Nartwy. Udaliśmy się potrosze wlewo, i kilka jeszcze skał przebywszy, znaleźliśmy się przy wnijściu trzech jaskiń, gdzie już większa część trzody była nas wyprzedziła. Te jaskinie były obszérne, osobliwie jedna z nich do pięciudziesiąt stóp miała głębokości i tyleż szérokości. Żadna nie miała więcéj, jak dziesięć lub dwanaście łokci wysokości, lecz taż zmniejszała się przy bokach, biorąc postać sklepienia, którego końce opiérały się o ziemię. Kilka słupów ogromnych pośrodku tych jaskiń utrzymywały ciężar środkowy, i wszystkie te skały były wydrążone w kamieniu, *brèche calcaire* zwanym, to jest z rodzaju rudyngu wapiennego. Wyniesione na pietnaście stóp nad rzékę, przy ich wnijściu równego miejsca było może dziesięć kroków, i cała okolica wiérzbami, lipami i klonami obrosła, tak, że wnijście do tych tajników było niemi prawie zakryte. Miałem przed sobą Nartwę, któréj wody o łożysko skałami najéżone rozbijając się, z wiel-

kim szumem płynęły, i dziczyznę téj odludności ożywiały. Rzéka w tym miejscu ma tyle szérokości, ile Wisła pod Opatowcem, nim Dunajec z nią się złączy. Naprzeciwko wznosiły się brzegi równie skaliste, na ich wiérzchołku droga, a powyżéj góry lasami okryte. Zastaliśmy w tych jaskiniach żonę i syna naszego pastérza, którzy zajmowali najmniejszą jaskinię; dwie zaś inne służyły za owczarnię. Po przybyciu swoim pastérz wysłał syna swego do mego przewodnika, który był na górze został, aby konie zaprowadził na paszę: co téż i zrobił, i we dwie godziny powrócili nazad, obładowani trawą suchą, która dla nas miała służyć za posłanie. Ja się tymczasem zatrudniałem obziéraniem mego ustronia. Gdy gospodarz przypomniał mi obietnicę ogolenia go, ja mu się wymawiałem brakiem narzędzi: lecz i ta wymówka ustała, gdy zardzewiałéj dobywszy brzytwy, zdjął zawój, i siwą głowę pod razy moje oddał. Nie mogąc więc się cofnąć, można sobie wystawić, z jaką niezręcznością przystąpiłem do mojego działania. Woda zimna z Narenty służyła za mydło, kawałek osełki za pasek do gładzenia. Jednak postrzegłem, że nie musiał mieć do czynienia z bardzo biegłymi w tym kunszcie, gdyż mękę swoją dosyć ciérpliwie znosił, tak dalece, że zdawało się, iż ja więcéj za niego ciérpię, niżeli on z swojéj osoby. Dowiedziawszy się tym przypadkiem o talencie, którego mieć nie domyślałem się, pomyślałem sobie, że nie masz na świecie rzemiosła, choćby najlichszego, któreby czasem w życiu nie było człowiekowi potrzebnym, a nawet użyteczniejszym od najgłębszych w świecie nauk, i że często cyrulik tam wyżyje, gdzieby *d' Alembert* z głodu umarł. Zdziwiłem się dużo, gdy mi ów staruszek dziękował za tę usługę, będąc najmocniéj przekonanym, że moja niezręczność bardziéj na co innego, jak na pochwały, zasługiwała.

Najpiérwszym moim było staraniem, kazać ognia w jaskini nałożyć, i jedyną, którą miałem na sobie koszulę, dosyć zbrudzoną oddać do wyprania gospodyni, a sam zawinąwszy się w kabanicę moją czyli płaszcz, czekałem ciérpliwie na powrót mego przewodnika. Za jego przybyciem trzeba było myśléć o posiłku, i za półtora złotego polskiego pozwolono mi wybrać najtłuściejszego barana z trzody. Naszym było staraniem onego zabicie i upieczenie; gdyż naówczas będący post grecki, najściśléj przez gospodarzy zachowany, nie pozwalał im się nawet do mięsiwa dotykać. Dziwna jest rzecz, do jakiego stopnia posuniętą była u nich postu ścisłość, gdy żadnego nam naczynia,

nawet noża dać nie chciano, i jedyny w całym domu talérz drewniany dlatego, że na nim mięso jadłem, wrzucony był w wodę, i ledwie nawet uprosić mogłem gospodyni o udojenie kilku owiec. W tymto ustroniu kryjąc się ów pastérz, za każdym swoim z Albanii przybyciem znajdował bespieczeństwo przed napastnikiem, i spokojność domową. Zasiliwszy się pokarmem, poszedłem nad rzékę, któréj widokiem nasycić się nie mogłem, widząc bystrość, z jaką swe wody toczy. Lecz ta powabna jéj postać nie długo towarzyszy jéj imieniowi: zamulenie jéj ujścia przy morzu bieg jéj nagle zatrzymuje, a zatym rozléwa się, kraje dawniéj żyzne zatapia, i sławne nawet dawne grody, jak naprzykład Narona, kilkosążniową mułu zakryła warstwą. Zdaje się, że dlatego tylko się spieszy, aby zasiliła niezmierne bagna w tym kraju za Mostarem leżące, i zowiące się po słowiańsku Mostarskie Blato, które część dużą kraju żyznego zajmując, i daléj się coraz posuwając, zatrzymując nakoniec bieg rzéki, sprawuje, że ta aż do swego ujścia liczne mnoży bagna, i pobrzeża swoje najniezdrowszemi czyniąc, rozdaje zaród gorączki bardzo niebespiecznéj, którą swoim uwieczniła nazwiskiem. Jakoż okolice przy ujściu jéj, Sliwno i Zażabie zwane, po Pontyńskich Błotach są może krajem najniezdrowszym. Zdaje się, że te jaskinie musiały bydź prawie, jak wszystkie inne, podobnym do Czarnego Wryła, wód podziemnych uchodem do Narenty, i że te przez odmiany pospolite biegom wód w krajach wapiennych, inszy sobie otwór znalazły, a ten opuściwszy, uchód ten przemienił się w jaskinię, mającą zawsze wylizu wód ślady. Nazajutrz, obudziwszy się, znalazłem się wśrodku trzody owiec, i na ziemi leżącego. Owce, których z jednéj pieczary byłem wygnał, zanęcone trawą, na któréj leżałem, obstąpiły mię spiącego, i tak się koło mojéj pościeli zawinęły, że całą noc musiałem ich odpędzać. Snem znużony, zasnąłem nade dniem: odstąpiwszy pościel moją. Potym obudziwszy mego przewodnika, posłałem go po konie z synem pastérza, i ledwo po cztérogodzinnym szukaniu powrócili z niemi, dając za wymówkę, że się w nocy zdjęły, i w góry pouciekały. Pożegnawszy się z gospodarstwem, i zapłaciwszy im nocleg, wziąwszy nasze rzeczy i siodła na plecy, musieliśmy się znowu wdziérać na górę tą samą, co wprzódy ścieżką, i z niemniejszą pracą. Tam zastaliśmy nasze konie, i one pokulbaczywszy, puściliśmy się w drogę na los szczęścia, nie wiedząc, czy rabusie, o których nam powiadano, czekali jeszcze nad rzéką, lub nie. Lecz nie

długie było nasze powątpiéwanie; bo po dwugodzinnéj jeździe, wychodząc z lasu, zastaliśmy onych kupę. Obstąpili nas natychmiast, i chcieli nas obdziérać. Opiérać się im było rzeczą trudną, gdyż ich było do dwudziestu koni, i dobrze uzbrojonych. Bylito stronnicy sławnego bośniańskiego buntownika, W . . . . Spytany, kto byłem, powiedziałem się bydź z Dubrownika czyli Raguzy, i dodałem z przytomnością umysłu dosyć takiemu trafowi potrzebną, że wiém, że ich krewni i przyjaciele często tam zajéżdżają dla handlu i własnych interesów, że, jeżeli mi cokolwiek zrobią, natenczas wszyscy Turcy, którzy są w Raguzie, za to odpowiedzą. Śmiałość i głos, jakim to powiedziałem, zastanowił ich nieco, zaczęli się między sobą naradzać, a ja widząc niebespieczeństwo mego położenia, przeczułem natychmiast, że bez okupu znacznego się nie obejdzie, szczęśliwy jeszcze, jeżeli się z ich rąk tym sposobem potrafię wykręcić. Miałem w moim kramiku, o którym wyżéj wspomniałem, dosyć rzeczy drogich na podarunki, tak potrzebne w tym kraju, gdzie darowizna zastępuje miejsce zapłaty. Między niemi miałem kilka zegarków srebnych, które w Genewie kazałem robić, sposobiąc się do téj podróży, kształtem od Turków używanym. Z tych jeden był przy mnie, i ułożyłem sobie natychmiast, że byłbym najszczęśliwszym, gdybym się nim mógł okupić. Przerwałem więc ich namowę, powiadając, że potrzebuję ich pomocy w przeprawie przez rzékę, i dobrze im nadgrodzę, jeżeli mi w tym dopomogą. Tak nagła odezwa, zrobiona w czasie, gdy chciałem korzystać z wrażenia, które na nich zrobiłem, zyskała mi skutek pożądany. Zaczęli więc się zemną umawiać, a ja tymczasem uważałem, czy jest który między nimi starszym i piérwszeństwo mającym. Jakoż postrzegłem lepiéj ubranego, którego nazywali r a j e m, czyli panem. Zostawiwszy więc resztę téj zgrai, umawiającéj się z moim przewodnikiem, sam się nieco oddaliłem z starszym, dałem mu zegarek, i obiecałem dwadzieścia piastrów, żeby je rozdał między swoich ludzi. Tak się stało. Wziął na siebie, ich zaspokoić, i już odtąd w zgodzie zupełnie obracaliśmy całą uwagę względem przeprawy przez rzékę. Tak szczęśliwe powodzenie sprawiło na mię tę radość, któréj człowiek zawsze doświadcza, gdy z wielkiego wyjdzie niebespieczeństwa, i chociaż do dwóchset piastrów widziałem się bydź ukrzywdzonym, jednak to za letki okup życia uważałem.

Gdy przyszło do przebycia rzéki, konie wszystkie jedne do dru-

gich uzdzienicami za ogony poprzywiązywano. Raj siadł na piérwszym, ja byłem drugi: i tak weszliśmy w rzékę, przez którą mimo jéj bystrości szczęśliwie przepłynęliśmy. Przybywszy na drugi brzeg, zapłaciłem umówione dwadzieścia piastrów, i pożegnawszy się z naszymi rozbójnikami, rozstaliśmy się, życząc im pomyślnego połowu; a sami nader szczęśliwi, że się na tym skończyło, przy przekleństwach mego przewodnika, który nie mógł im darować, że mu gwałtem nóż w srebro oprawny zabrali, puściliśmy się w dalszą drogę, sądząc, że z nocą staniemy w Mostarze. Lecz próżne były nasze nadzieje. Ulewa niezmierna, psując nam drogę, tak dużo podróż naszą opóźniła, że ledwo o godzinie ósméj stanęliśmy we wsi o pół mili od Mostara w chacie jednego Bośniaka, Greczyna, który był poddanym, jak wszyscy tameczni chrześcianie, Turka Bośniaka. Zwyczajem tamecznym ogień był we środku chaty, a przyspy z gliny naokoło ściany służyły za sofy i za łóżka. Piérwszym było moim staraniem, przystąpić do ognia dla osuszenia się cokolwiek, i rzucić oparki czyli chodaki skórzane, jedyne obuwie, którego w tamtym kraju używają. Gdy się tym trudniłem, zawołano nagle do dworu naszego gospodarza, i wtym usłyszałem strzelanie i krzyki, które mię zaczęły nie mało trwożyć. Byłem w tych obawach, gdy zadyszany przybiegł mój gospodarz, donosząc mi, że zgraja Turków pijanych, stronników W . . . przyjechała w gościnę do pana tamecznego, który już wiedział o naszym przybyciu, i posłał po gospodarza, któremu groził i łajał za to, że niewiernych u siebie przechowuje. Ten nieborak, widząc nasze niebespieczeństwo i pana swego bez przytomności napilego, uciekł zpomiędzy nich, żeby nam donieść wcześnie o niebespieczeństwie, które nas czeka, a sam skrył się, zalecając żonie, aby jak mogąc wzięła nas w swoją opiekę. Widząc, że się nie na dobre zanosi, opatrzyłem na prędce broń, która była zamokła. Miałem jednak dwie pary pistoletów, z których jedne dwururne, fuzyą także podwójną, i widząc się nie źle opatrzonym, zaufałem w tym razie osobistéj odwadze. Rzeczy droższe, które miałem w torbie, i piéniądze podłożyłem pod głowy, resztę rzeczy na los szczęścia zostawiłem na środku izby, a sam udając spiącego, nakryłem się płaszczem, broń moją przy sobie ukrywszy. Przewodnik zaś mój, drżąc jak liść, pod kilku derkami się ukrył, i w kącie położył. Nic została się, tylko w domu gospodyni, która kądziel wziąwszy w rękę, na drugiéj przyspie naprzeciwko mnie usiadła.

Zaledwo pospiałem się położyć, gdy nagle cztérech Turków wpadło, powiadając, że są przysłani przez pana tamecznego po gospodarza. Zaczęli go wszędzie szukać, a nie mogąc go znaleźć, wzięli się do gospodyni, którą zaczęli bić, żeby się przyznała, gdzie mąż się ukrył. Lecz prócz krzyku, który na niéj ból wyciskał, nic się od niéj dowiedzieć nie mogli. Nakoniec zaczęli się pytać, co my za ludzie, i czy mamy pieniądze. Równie odpowiedziała, że nie wié, co my za ludzie jesteśmy, ale, że wszystkie rzeczy tu leżąc, mogą się sami o tym przekonać. Wzięli się więc natychmiast do naszych rzeczy, gdzie napadłszy na dwie butelki blaszane wódki, i na ostatki barana, dniem wprzódy u pastérza zabitego, będąc już na wpół pijanymi, tak się uczęstowali, że coraz mniéj dla mnie strasznymi byli; jednak ja tymczasem spiącego udając, broń już odwiedzioną miałem, czekając momentu, aby się na mnie rzucili. Jakoż jeden chciał przyswoić sobie kabanicę, która mnie nakrywała, lecz drugi go wstrzymał, powiadając, że „ten niewierny nadto dobrą wódką nas uczęstował, abyśmy mu więcéj przykrości mieli czynić.“ Tymczasem wysuszali moją flaszę, i drobiazgami memi dzielili się, i tak dobrze się opatrzyli moim kosztem, że nawet siodeł nie zostawili. Nakoniec tak się już napojem dokończyli, że nie mogąc stać o swojéj mocy, ledwo się wytoczyli z chaty, rozkazując gospodyni, aby im poświeciła: co ta najchętniéj zrobiła, chcąc się pozbyć tak nieprzyjemnych gości. Trudno wyrazić stanu, w jakim się znajdowałem. Z jednéj strony dusiłem się pod mokrym płaszczem, z drugiéj tak mi ogień dopiékał, że ledwo wyleźéć mogłem: i wyszedłem jak z łaźni. Potym powrócił stary nasz gospodarz, i wszyscyśmy sobie winszowali, żeśmy wyszli z tego niebezpieczeństwa.

Nazajutrz przed świtem ruszyliśmy do Mostara obydwa oklep, z derków porobiwszy sobie kulbaki. Stanęliśmy ze dniem w Mostarze na przedmieściu, i przewodnik mój zostawił mię w domu diaka greckiego: z jak największą tajemnicą mię tam ukrywszy i oddawszy w opiekę, sam poszedł do Mostaru przygotować mi przechowanie w mieście. Gospodynia grzeczna odstąpiła mi swego pokoju i razem bielizny, którą piérwszy raz odmieniłem, wyjechawszy z Imoskich. Dano mi przytym kawy, posłano dywan na gołéj ziemi, i drzwi zamknięto, życząc mi dobrego spoczynku. Koło godziny trzeciéj po południu, przyniesiono mi czorbę, czyli zupę i trochę ryżu, a ze zmiérzchem powrócił mój przewodnik z ubraniem dla mnie zupełnym. Przystąpio-

no więc do przebrania mego: cyrulik przyjaciel domu, głowę mi ogolił, fez czerwony czyli myckę kazano mi włożyć, i tak dobrze mię na Greczyna przerobiono, że z ciężkością można mię było rozeznać od tamecznego mieszkańca.

Pożegnawszy więc tamecznych gospodarzy, i nadgrodziwszy ich gościnność, puściliśmy się w drogę, zostawiwszy tam nasze rzeczy.

26. Franciszek Bohomolec (Ezjezuita).

Po zniesieniu zakonu swego zaszczycony był tytułem radzcy króla Stanisława Augusta, który uczonych ludzi wzywał do siebie, i często z nimi na posiedzeniach we dworze swoim zwykł miéwać uczone konferencye. Komedye jego nie tylko grywała młodzież ucząca się w szkołach jezuickich, lecz także wystawiane były na teatrze królewskim. Teatr jego dla młodzieży wyszedł około roku 1750. (miejsce wydania niewiadome), przedrukowany pod tytułem: *Komedye ks. Franciszka Bohomolca societatis Jesu, w Lublinie w kollegium Jezuitów 1757*, trzy tomiki; *we Lwowie u Jana Szlichtyna 1758.*; nakoniec *w Warszawie w kollegium Jezuitów 1772.—1775.* pięć tomów, w których znajduje się 18 sztuk oryginalnych, trzy przerobionych z *Molier'a*, a dwie przerobionych z *le Jay* i *Pore*, Jezuitów. Oprócz tego wyszły także bezimiennie: *Komedye na theatrum jego król. mci, w Warszawie w drukarni jezuickiéj roku 1767.* Jest ich cztéry; ale zapewne i pięć innych, z których ostatnie wyszły bez roku wydania, a jedna wolnie przełożona z francuzkiego autora *Destouches*, muszą być pióra Bohomolca. — Oprócz dzieł dramatycznych tłumaczył jeszcze na język polski niektóre wiérsze łacińskie Macieja Sarbiewskiego; niewiązaną zaś mową czyli prozą wydał następujące dzieła, które mają wiele zalety z gruntowności i jasności w wykładzie: 1) *Zabawki oratorskie, w Warszawie w drukarni nadwornéj roku 1779.*— 2) *Spis dziejopisów polskich,* w cztérech tomach zawarty, *w Warszawie w drukarni jego król. mci i rzeczypospolitéj roku 1764.* — 3) *Życie Jana Zamojskiego, kanclerza i hetmana wielkiego koronnego, w Warszawie w drukarni nadwornéj 1775.* — 4) *Życie Jérzego Ossolińskiego, kanclerza wielkiego koronnego, łubelskiego etc. starosty, w Warszawie w drukarni nadwornéj r. 1777.*— Te Życia przedrukowane są w Mostowskiego Zbiorze pisarzów polskich, wyszłym w Warszawie 1805. Należał także Bohomolec do francuzkiéj Historyi o podróżach pana *de la Harpe*, którą wespół z Kazimiérzem Wróblewskim i Wincentym Magierem spolszczywszy, wydał w pięciu tomach, w Warszawie w drukarni królewskiéj roku 1783.—94., oraz do bezimiennie wydanych Listów różnych, ku chwalebnéj ciekawości i chrześciańskiemu zbudowaniu służących z Azyi, Afryki i Ameryki od missyonarzów *societatis Jesu* pisanych *etc.*, w Warszawie w drukarni jego król. mci i rzeczypospolitéj 1767. — W języku łacińskim jedno tylko zostawił dziełko, które czy było kiedy

drukowane, nie wiadomo; atoli spolszczone od innéj ręki pod tytułem: *Franciszka Bohomolca soc. Jesu Rozmowa o języku polskim, najprzód po łacinie napisana, teraz z przydatkiem i odmianą na polski język przełożona przez Xawerego Leskiego, chorążyca malborskiego, w Warszawie w drukarni Mielera roku 1758.*

Bohomolec przed śmiercią swoją znaczny uczynił fundusz na podupadłych tak ze stanu szlacheckiego, jak też miejskiego obywatelów, mocą którego urząd miasta Staréj Warszawy obowiązany był corocznie na polepszenie ich stanu, pięciu piérwszych ze szlachty każdemu po 20, a dziesięciu drugim z mieszczanów po 5 czerwonych złotych wypłacić.

Bentkowski; — Wielądek.

Komedye ks. Franciszka Bohomolca soc. Jesu, w Warszawie w kollegium Jezuitów roku 1772.—1775.

Ubogi pokorny, komedya.

Osoby.

Kleander, kawaler.
Anzelm, bogacz.
Robert, **Dorant**, } przyjaciele Anzelma.
Wilhelm, przyjaciel Anzelma.
Zbrygani, lokaj Kleandra.
Johan, lokaj Anzelma.
Leopold, garkuchmistrza udający.

Akt I.

Scena I.

Kleander, Zbrygani.

Zbrygani.

Jakże? i zapewne jutro wmćpan pojmujesz córkę jmci pana Anzelma?

Kleander.

Jużem ci mówił, że zapewne. Wczora w wieczór jmć pan Anzelm dał mi parol niezawodny.

Zbrygani.

O dzień szczęśliwy! Nic nam pomyślniéj stać się nie mogło, bo też już wmćpan cały swój sprzęt kawalerski przedał: pożyczać nam

pieniędzy żaden już nie chce. Za dwadzieścia cztéry godziny już po nas byłoby. Wiwat Anzelm! Wiwat mój pan! Wiwat i Zbrygani!

Kleander.

Jednakże gdy pomyślę sobie, jak brzydko ja zawodzę pana Anzelma, chęć mię bierze upaść mu do nóg, i wyznać mu szczérze, w jakim stanie, i w jakim teraz zostaję ubóstwie.

Zbrygani.

Czemu nie? ale podług reguł teraźniejszéj polityki po ślubie to uczynić należy wmćpanu, a teraz ścisłe w tym milczenie zachować potrzeba. Pan Anzelm, o tym dowiedziawszy się teraz, mógłby nie dotrzymać parolu.

Kleander.

Znam jego serca wspaniałość, i wiém, że tego nie uczyni. Cóż? czy dla tego, żem teraz w ubóstwie, mam odstąpić honoru i poczciwości mojéj?

Zbrygani.

Nie inaczéj! trzeba, mospanie, odstąpić, albo się ze mną na zawsze pożegnać! Bo téż i mnie (za pozwoleniem wmćpana) chce się jeść. Wmćpana honor i poczciwość od głodu mię nie uwolni.

Kleander.

Niestety! sam nie wiém, co mam czynić.

Zbrygani.

Póty wmćpan nic dobrego nie uczynisz, póki wmćpanu ten honor będzie siedział w gardle. Ej mospanie! połknij go wmćpan bez ceremonii: na co go tak długo trzymać?

Kleander.

Dajże mi pokój, mój Zbrygani! Zostaw mię tu samego z mojemi myślami.

Zbrygani.

Co? mam wmćpana w tak złéj kompanii zostawować? Przepraszam, nie uczynię tego. Właśnie wmćpanu myśléć o honorze wten-

czas, kiedy co moment to inni kredytorowie atakują wmćpana, a u nas w kieszeni nie ma i jednego czerwończyka.

Kleander.

Dajże mi pokój: nie potrzebuję twéj rady.

Zbrygani.

Życzyłbym jéj słuchać: wszak, prawdę mówiąc, my się znamy z sobą i obydwa nic nie mamy. Wmćpana worek i mój żołądek w jednym są stanie. Ojciec wmćpana wyrzekł się, i od dziedzictwa oddalił; przyjaciele wszyscy wmćpana odstępują, prócz mię jednego, który *intra parenthesim* mam honor z głodu umiérać! Trzeba tedy milczéć aż do ślubu. Potym wolno czynić, co się podoba, mając w ręku posag tak wielki. A kto wié, jeśli i ojciec wmćpana, dowiedziawszy się, że się wmćpan postrzegł w swojéj rozrzutności, nie zechce znowu wmćpana do dziedzictwa swego przypuścić? To jeśli będzie, pan Anzelm, upewniam, nie będzie miał krzywdy. Cóż, mospanie, czy ja źle mówię? i filozof wmćpanu nie poradziłby lepiéj.

Kleander.

Prawda, żem wiele przemarnował, ale mię biéda teraz nauczyła rozumu.

Zbrygani.

Więc trzeba milczéć! Patrz wmćpan, to cała jest moja garderoba. Wkrótce i tego nie będzie, i wmć pan już mało masz na grzbiecie. Nie bawiąc wpólnadzy będziemy w stancyi siedzieli: piękna perspektywa! Cóż wmćpan na to? Wmćpan milczysz? Więc ja będę myślił o sobie. Kłaniam wmćpanu. Niechaj ten honor, o który wmćpan jesteś tak troskliwy, da jemu wszelkie pomyślności, ja zaś upadam do stóp pańskich, jako najniższy, najżyczliwszy, i najgłodniejszy sługa wmćpana. (Chce odchodzić).

Kleander.

Poczekaj, Zbrygani! Ty chcesz mię porzucić?

Zbrygani.

Mospanie, ja jeść chcę, i przysięgam na mój honor i apetyt, że się bez jedzenia obéjść nie mogę.

Kleander.

Ale czy pięknie byłoby to ze mną, gdybym ja zawiódł?

Zbrygani.

Mospanie! z wmćpanem nigdy gorzéj być nie może, jak teraz.

Kleander.

Ktoś widzę we drzwi puka.

Zbrygani.

Tak jest. Pewnie to musi być kto z dawnych wmćpana przyjaciół, którzy mu tak wielką kwotę piéniędzy pożyczali, i do prędszego ich przemarnowania pomagali.

Kleander.

Ale pójdź obacz, kto tam jest u drzwi. Jeśli który z kredytorów, mów mu, że moje ożenienie jest pewne, za kilka dni ich uspokoję; a najbardziéj żeby mych długów przed żadnym nie wydali, bo na tym i ich interes zawisł.

Zbrygani.

Wraz idę.

Kleander.

A jeźli kto przyjdzie od pana Anzelma, powiédz mu, że mię nie ma w domu. Boję się, żeby nie postrzegli tu mojego ubóstwa.

Zbrygani.

Prawda, ale boję się, żeby twarz moja, od głodu wycieńczona tego nie wydała. (Odchodzi).

Scena II.

Kleander; Johan zaś i **Zbrygani** na stronie.

Kleander.

Ci nieszczęśliwi, którzy mię teraz najbarziéj prześladują, są ciż sami, którzy mię w tę biédę wprowadzili, i którzy, pókim był szczęśliwy, przyjaźń mi poprzysięgali.

Zbrygani (w drugiéj stronie teatru mówi).

Jak kocham mój honor, tak nie ma pana w domu.

Johan (tamże mówi).

Ale darmo, muszę go widzieć.

Kleander.

Co słyszę! to jest lokaj Anzelma. Moje ubóstwo uczyniło go moim nieprzyjacielem. Nie mam czym go ująć za serce. Zapewne on tu przyszedł szpiegować! Otoż idzie! Skryję się w tym gabinecie, i posłucham, co też on będzie gadał.

Scena III.

Zbrygani, Johan.

Johan.

Ja sam muszę go szukać, kiedy ty nie chcesz.

Zbrygani.

Śmieszny jesteś! Czy mogę ja tego szukać, czego nie ma?

Johan.

Ale ja znam ciebie; wiém, żeś kłamca. Mów mi, gdzie pan, muszę z nim się rozmówić! Wszak wiesz, że jutro wesele ma być.

Zbrygani.

Wiém, będzie wasze i nasze wesele. Ale co też o tym myślisz, Johanie? Jak się ci zda?

Johan.

Mnie się zda, że dla twego pana nie może być lepiéj.

Zbrygani.

A czy wierzysz temu, że ja cale przeciwny jestem temu ożenieniu się pana? Ja sam, a przeciwny! Bo gdybym ja miał tyle dóbr, jak mój pan. . .

Johan.

Ach dajmy pokój! gdzie są te dobra pana twojego?

Kleander (utajony mówi).

Ach nieba! co za pytanie!

Zbrygani.

Gdzie są? . . ale kto te wszystkie wyliczy? Jestem niepoczciwy, kiedy i sami kommissarze potrafią na pamięć wyliczyć!

Johan.

Prawda; ale gdzie są wasze meble?

Zbrygani.

Mój pan kazał je przenieść do innego pałacu, gdzie jutro wygodniéj może bal dawać!

Johan.

Barzo się dobrze zdarzyło, bo téż mój pan chce tego wieczora tu jeść u twego pana wieczerzą.

Zbrygani (na stronie).

Otoż biés, któregom się nie spodziéwał!

Johan.

Ale bez wielkich zachodów! Jego kompania, z którą tu przyjdzie, nie będzie większa nad dwudziestu, a przed wieczerzą chcą w maszkach tańcować.

Zbrygani.

Tylko dwudziestu?

Johan.

Tylko. . . ale mój pan prosi, żeby w tym zbytków nie było.

Zbrygani.

Tego się lękać nie trzeba.

Johan.

Dwanaście półmisków na piérwsze noszenie dość będzie, a drugie z różnych owoców, ciast *etc.*

Zbrygani.

Rozumiém, rozumiém.

Johan.

I ja téż, chcąc honor panu twemu uczynić, zaprosiłem wszystkich znajomych lokajów tu na kolacyą. Panowie w sali, a my w kuchni sobie bal damy. Nie wątpię, że pan Kleander będzie z tego kontent.

Zbrygani.

Jakże nie? i okrutnie.

Johan.

Ale, zapomniałem pytać się o zdrowiu. . . jak się masz, kochany Zbrygasiu?

Zbrygani.

Dziękuję za tę attencyą.

Johan.

Twarz twoja, bracie, wycieńczona nie dobrze coś rokuje o twoim zdrowiu.

Zbrygani.

Jestem zdrów wyśmienicie, i apetyt mam główny do usług jmć pana Johana.

Johan.

Barzo się cieszę. Ale, miałem się pytać, co to za ludzie stoją przy téj bramie? czy nie mają oni jakiego interesu do twojego pana?

Zbrygani.

Mają, mają. To są ekonomowie z różnych dóbr pana mojego. Przywieźli teraz pieniądze, które są winni za ten kwartał.

Johan.

Czemuż ich nie zaprosisz do śrzodka?

Zbrygani.

Oni wolą stać na ulicy; bo jako rzadko w mieście bywają, tak lubią tutejszym przypatrywać się ludziom.

Johan.

Kłaniam tedy, mój Zbrygasiu. Ale patrz, żeby nam co dobrego z pańskiego stołu zeszło naprzykład: kaplón tłusty, indyk, zraz, pieczeni i tam daléj. Krzeseł ani stołków nam nie trzeba, my i stojąc bez ceremonii zjémy. Kłaniam.

Zbrygani.

Bodajbyś ostatni raz mi kłaniał!

Scena IV.

Kleander, Zbrygani.

(Stoją obydwa, smutno na siebie poglądając).

Kleander.

Widzisz, Zbrygani!

Zbrygani.

Widzisz wmćpan!

Kleander.

Giniemy.

Zbrygani.

Jużeśmy dawno poczęli.

Kleander.

Dwudziestu kompanii. . . muzyka. . . dwanaście półmisków. . . owoce. . . kapłon. . . indyk. . .

Zbrygani.

Ach zmiłuj się wmćpan, dość! dość! nie mówmy o tym, bo się mi mój apetyt barziéj pomnaża.

Kleander.

Co teraz poczniemy?

Zbrygani.

Nie wiém i ja nawet.

Kleander.

Johan zapewne dowiedział się o moim nieszczęśliwym stanie, i chce nasze pomieszać zamysły.

Zbrygani.

Bynajmniéj. Upewniam wmćpana, że ani Johan, ani pan Anzelm nie wié nic o tym. Upewniam i w tym (proszę mię pilnie słuchać), upewniam mówię i w tym, że ani Anzelm, ani jego kompania tu dziś nie przyjdzie, a wmćpan jutro weźmiesz jego córkę.

Kleander.

Ach jak to być może, mój kochany?

Zbrygani.

Tak będzie zapewne. Trzeba wierzyć, kiedy ja to obiecuję. Idę wraz do Anzelma, a wmćpan tymczasem bądź wesoł; melancholia szkodzi zdrowiu. Kiedy kto chce dokazać wielkiéj jakiéj rzeczy, powinien w tym zażyć którego przyjaciela wiernego, i mogącego tego dokazać, czego potrzeba. Rozumiész wmćpan? Ja jestem życzliwy sługa wmćpana, i wraz tego dam dowód rzetelny. *Adieu.*

Kleander.

Czyń, co się podoba, bylebyś mię z biédy uwolnił.

Zbrygani.

Wmćpan tymczasem w tym pokoju zamknij się, a ja biegnę do Anzelma.

Akt II.

Scena I.

Anzelm, Johan.

(Teatrum wyraża dom Anzelma).

Anzelm.

Dziwno mi barzo, co mówisz, że pana nie było w domu, że lokaj zmieszany, że mebłów nie ma w stancyi, i że jacyś ludzie przy bramie czekali. Powiédz mi, coby to znaczyło?

Johan.

Mospanie! to znaczy, że pan Kleander ma długów po szyję. Jutro wmćpan za niego córkę swą wydasz, i jutro będziesz musiał jéj posag podzielić między jego kredytorów.

Anzelm.

Nie wierzę temu: Kleander nie jest tak podłego serca, żeby mię i moję córkę miał zawodzić.

Johan.

Mospanie, teraz świat inny, każdy się tym pokazuje, czym nie jest, i ludzkie mniemanie zawodzi.

Anzelm.

Inni to czynić mogą, ale nie Kleander.

Johan.

Wolno mi nie wierzyć.

Anzelm.

Znam dobrze Kleandra.

Johan.

I ja go znam. Inni, którzy się udawali do córki wmćpana czynili mi przysługi, a ten jegomość żadnéj w tym nie miał attencyi.

Anzelm.

Rozumiém, ale... ktoś idzie.

Scena II.

Anzelm, Johan, Zbrygani.

Anzelm.

Otóż Zbrygani! A cóż? znalazłeś pana? czy jest jaka gotowość na bal dzisiejszy?

Zbrygani.

Ninaczym nie zbywa: jużem zamówił i muzykę i wieczerzą u garkuchmistrza, i przyszedłem tu tylko spytać się, czy nie rozkażesz mi wmćpan jeszcze czego.

Anzelm.

Pokłoń się panu twojemu, i powiédz mu, że o szóstéj godzinie będę u niego i z kompanią, gdzie najprzód zabawimy się grą jaką, a potym do stołu pójdziemy.

Johan (do Zbryganiego).

I ja z moją kompanią pokłonię się wmćpanu.

Zbrygani (do Johana).

Czekam z otwartym sercem i . . . z kuchnią.

Anzelm.

Ale powiédz mi, Zbrygani, za coś tak lekko ubrany? wszakci to dziś zimno.

Zbrygani.

Nie wiém, jak komu, ale mnie dziś aż nadto gorąco. (Wzdycha).

Anzelm.

Cóż to jest? czego wzdychasz?

Zbrygani.

Fraszka, mospanie, proszę mię nie pytać o to: zacznijmy inną mowę.

Anzelm.

Ale cóż przecie? chciałbym wiedzieć... mów mi zaraz.

Zbrygani.

Broń panie! Jak się mój pan dowié o tym. . . Ach! lepiéj, że zamilczę!

Anzelm.

Daję parol, że panu twojemu tego nie powiém.

Zbrygani.

Ale ten pan kawaler ma długi języczek.

Johan.

Kto? ja? przepraszam! nie mierzyłeś go łokciem.

Anzelm.

Ja się ręczę za Johana, że on nic nie powié.

Zbrygani.

Ale na co mam mówić? Dość mi w tym ostrzédz wmćpana, że gdy dziś pójdziesz do nas z kompanią, trzeba się dobrze uzbroić.

Anzelm.

A to czemu? mów prędzéj.

Zbrygani.

Tylko. . . ale cóż robić, muszę rzecz całą powiedzieć, kiedy mi wmćpan każesz.

Anzelm.

Słucham, nie baw się.

Zbrygani.

Czy znasz wmćpan pana Kleona?

Anzelm.

Jakże nie znam? on się do mojéj córki udawał.

Zbrygani.

Tento sam. I wmćpan mu ją odmówiłeś?

Anzelm.

Prawda, bo mi się zdał bardzo płochy, i popędliwy

Zbrygani.

Tento sam.

Anzelm.

Cóż on zrobił?

Zbrygani.

Onto zrobił, że ze mnie suknie zdarto.

Anzelm.

Jakto?

Zbrygani.

On i to zrobił, że ja man ten plastr na głowie: patrz wmćpan.

Anzelm.

Ale z jakiéjże to przyczyny?

Zbrygani.

Oto z téj. Dowiedział się on od kogoś, że wmćpan swą córkę masz wydać za pana mojego, i za to się rozgniéwawszy, zebrał hultajów kupę, z którymi czatuje na życie wmćpana.

Anzelm.

Kto? Kleon?

Zbrygani.

Ten sam. Ja będąc w tym od sąsiada ostrzeżony, postrzegłem niektórych zasadzki czyniących, i począłem im mówić. „Czy macie wy sumnienie na życie pana tak zacnego czatować? Czy rozumiécie, że to wam ujdzie bez kary?“ Ja ledwom to wyrzékł, jak się wysypią na mnie? jak zaczną mię szarpać, bić, targać? tak, że ze wszystkim na mnie suknie poszarpano.

Anzelm.

Czy żartujesz, Zbrygani?

Zbrygani.

Ach, mospanie! mnie się chce plakać, nie żartować.

Anzelm.

A pan twój co na to?

Zbrygani.

Pan nie wié ni o czém. Ach coby tu było zabójstwa, żeby to pan mój wiedział?

Anzelm.

Słuchajże! Kiedy tak, to dzisiaj nigdzie z domu nie pójdę. Niechaj da pokój pan dzisiejszéj ochocie.

Johan.

Ach, mospanie, czy wmćpan się tego lękasz? wszak będziemy mieli znaczną kompanię.

Zbrygani.

Pewnie nie trzeba się lękać. Wmćpanowie dobrze uzbrojcie się, a ja pana ostrzegłszy, zbiorę także kompanią, i razem na tych hultajów napadniemy, i weźmiem ich między dwa ognie.

Anzelm.

Cóż z tego będzie?

Zbrygani.

To będzie, że trupami ulice uścielemy.

Anzelm.

Żebym ja na te zabójstwa miał zezwolić? Nie jestem dziećię, mój bracie.

Zbrygani.

Cóż to złego zabójstwo, kiedy się broniąc popełnia?

Anzelm.

Ach! nie mów mi tego. Ostatni raz mówię, że nie pójdę dziś na bal do pana twojego; jutro zaś wiém, co uczynię z tymi hultajami.

Zbrygani.

Cóż ja panu mojemu odpowiém?

Anzelm.

Proszę cię jakkolwiek mię wymów przed nim od tego balu. Wiém, że mu to będzie przykro.

Zbrygani.

I okrutnie. Ale mogę mu powiedzieć, że wmćpan słaby, — że teraz katary panują, — że... Mniejsza o to, potrafię co powiedzieć.

Anzelm.

Co chcesz, to mów, bylebyś mię przed nim wymówił. Masz, i weź tymczasem ten czerwony złoty.

Zbrygani.

Ach! czy mogę ja przyjmować? . . .

Anzelm.

Weź, bo mię rozgniewasz.

Zbrygani.

Cóż robić? wolę tę podłość uczynić, niż rozgniewać wmćpana. Idę tedy do pana, i wiém, co mu powiém.

Scena III.

Anzelm. Johan.

Johan.

Mospanie, czy wmćpan wierzysz temu kłamcy? On co stąpi, to skłamie. Mnie wmćpan wierz; że pan Kleander nas łudzi, upewniam.

Anzelm.

Dajże mi pokój, a milcz.

Johan.

Mniejsza o to, ja potrafię i milczéć, ale Kleander. . .

Anzelm.

Już mówię, nie mów mi o nim i słówka.

Johan.

Upewniam, że nie powiém, niech pan Kleander łudzi. . .

Anzelm.

Ty znowu o Kleandrze! Ej milcz!

Johan.

Już mówię, że milczę, i słówka o jego ubóstwie nie rzeknę, wolno wmćpanu. . .

Anzelm.

Co za biéda z tym człekiem!

Johan.

Otóż milczę, i gęby nie otworzę, ale proszę potym mnie nie obwiniać, jeżeli. . .

Anzelm.

A pókiż ty będziesz gadał? Precz mi ztąd zaraz!

Johan.

Ustąpię, i nic nie będę mówił, tylko ostrzégam wmćpana jako sługa życzliwy, że. . .

Anzelm.

A już téż dłużéj ciérpieć nie mogę. Precz mi zaraz!

Johan.

Już idę, idę, i słówka nie rzeknę. (Odchodzi).

Scena IV.

Anzelm.

Zbytnia powolność ku sługom tę śmiałość czasem w nich sprawuje, że oni nasze rozkazy mniéj ważą. Ale Zbryganiego postępek mocno mię zmięszał. Nie podaję po sobie przed Johanem, że mi wierność Kleandra jest podejrzana, jego jednak rady są godne, abym ostrożniéj w téj materyi postępował. Nie wadzi czasem i prostego człowieka posłuchać.

Scena V.

Anzelm. Johan.

Johan.

Mospanie! czy wolno mi rzéc słówko?

Anzelm.

Byle nie o Kleandrze, mów.

Johan.

Już o nim nie wspomnę, upewniam: niech on jak chce uwodzi wmćpana, ja się w to. . . .

Anzelm.

Ty znowu zaczynasz?

Johan.

Jako żywo nie o nim. Jest tu inny człek jakiś, który ma list do wmćpana nie od Kleandra, nie,—ale od ojca Kleandra, i mówi, że ma pilny interes do wmćpana.

Anzelm.

Od ojca Kleandra? Cóż to ma znaczyć? gdzie on jest?

Johan.

Na dole w sali.

Anzelm.

Idźmy do niego.

Akt III.

Scena I.

Kleander, Zbrygani.

(Teatrum pokazuje dom najęty Kleandra).

Kleander.

Mówże mi, mój Zbrygani! jak ci się udało?

Zbrygani.

Przedziwnie, mospanie. Takem delikatnie ten interes tam i sam obracał, że żadnego ani o mojéj wierności, ani o wmćpana ubóstwie podejrzenia nie mają.

Kleander.

Powiédz mi tedy, jakeś ich odprowadził od tego balu i wieczerzy?

Zbrygani.

Barzo łatwo, mospanie. Powiedziałem mu..., powiedziałem mu... naprzykład, że my dawno nie mamy zwyczaju sprawować balów, boimy się, żebyśmy w czym nie pobredzili. A potym mospanie, taki mię wziął apetyt, że musiałem się mu przyznać o głodzie. . .

Kleander.

Co prawisz? zgubiłeś mię! Wszakeś mówił, żeś nie zostawił im żadnego podejrzenia o naszym ubóstwie.

Zbrygani.

Prawda, ale to piérwéj było, nim prawdę powiedziałem.

Kleander.

I tażto jest twoja sprawność?

Zbrygani.

Ale kiedy wmćpan nie chcesz mię słuchać! Moja sprawność

tego dokazała, że Anzelm chętnie wmćpanu to wszystko daruje, cokolwiek się już stało.

Kleander.

Ach! Zbrygani, mów prawdę.

Zbrygani.

Nie inaczéj. Ale tego od wmćpana wyciąga, żebyś odtąd nigdy nie raczył widzieć się z jego córką: przeto chcąc pokazać, jak wiele wmćpana sobie szacuje, przysyła mu ten czerwony złoty.

Kleander.

A to na co?

Zbrygani.

Na poskromienie naszego apetytu.

Kleander.

Żartujesz? czy zguby méj szukasz?

Zbrygani.

Piękna zguba wziąść czerwony złoty, nie mając i szeląga. Ja takiéj zguby życzę sobie częściéj. Ale kiedy to uraża wmćpana, to ja sobie ten czerwieńczyk schowam.

Kleander.

I ty widzę nie przestajesz zemnie żartować?

Zbrygani.

Godzieneś wmćpan tego, ponieważ mię dobrze znając, wątpisz o mojéj sprawności, i wiary nie dajesz?

Kleander.

Jakże? więc to, co mówiłeś . . .

Zbrygani.

Wszystko kłamstwo od nóg aż do głowy.

Kleander.

Jakże? to mię wymówiłeś przed panem Anzelmem?

Zbrygani.

Nie, mospanie! ale dlatego mi dano ten czerwony złoty, żebym jego przed wmćpanem wymówił, że on nie może dziś być na kolacyi. On, nie znając tego, żeśmy go oszukali, chce nas oszukać.

Kleander.

Ach! dziękuję ci, mój Zbrygani.

Zbrygani.

Mospanie! nie trawmy czasu na ceremoniach. Przyjmuję tę attencyą i dzięki jego, ale idź wmćpan prędzéj do Anzelma, i pokaż mu swoje zadziwienie, że nas zawodzi, obiecawszy być na kolacyi, ubolewaj nad słabością zdrowia. Dość tego.

Kleander.

Ach, Zbrygani! wszak to Johan idzie?

Zbrygani.

Bodajby go. . . ten hultaj wszystko nam psuje!

Scena II.

Kleander, Zbrygani, Johan.

Johan.

Przepraszam, że podobno. . .

Kleander.

Co to jest, mój Johanie? Jmćpan Anzelm odmienił swą wolę.

Johan.

Dla niektórych przyczyn, o których wié Zbrygani, nie może dziś kłaniać wmćpanu.

Kleander.

Jam się już był przygotował, ale mniejsza o to: Zbrygani sprowadzi tu inną dla mnie kompanią. . .

Johan.

Nie trzeba. Pan mój, prawda, że sam tu być nie może, ale ta kompania, która od nas jest zaproszona, wnet pokłoni się wmćpanu.

Zbrygani.

Ale mospanie! jam mówił garkuchmistrzowi, u którego wieczerzę zamówiłem, że już jéj nie trzeba.

Johan.

To możesz, bracie, znowu mu powiedzieć, żeby ją gotował, bo kompania nasza wnet tu przybędzie.

Kleander.

Wolałbym odłożyć, bo cóż mi za ukontentowanie bez jmć pana Anzelma.

Johan.

Tak pan mój życzy sobie. Jmć pan Robert na jego miejscu tu pokłoni. Wraz biegę ku niemu, bo podobno już idzie.

Scena III.

Kleander, Zbrygani.

Zbrygani.

Bodajbyś i ty z nim razem. . .

Kleander.

Ach, Zbrygani, zginąłem!

Zbrygani.

Nie uważaj wmćpan. — Ale ponieważ my nie mamy mebłów, więc wmćpan kompanią zaprowadź do pokojów kapitana, który w tym domu z nami ma stancyą. Niech tam tymczasem grą jaką zabawią się. Otoż już idą.

Scena IV.

Kleander, Robert, Dorant, Wilhelm, Zbrygani i Johan.

Robert.

Kłaniamy jmć panu Kleandrowi.

Kleander.

Upadam do nóg moich dobrodziejów.

Dorant.

Przyszliśmy pomnożyć radości wmćpanu.

Kleander.

Dziękuję jak najpokorniéj.

Wilhelm.

Chociaż nie mam honoru znać wmćpana, na rozkaz jednak jmć pana Anzelma pospieszyłem tu do oddania winnéj wmćpanu uniżoności.

Kleander.

Wielce jestem za to obligowany wmćpanu.

Robert.

Ale wmćpan nie rozumiéj, że to już jest cała nasza kompania: przyjdzie tu nie bawiąc z innymi w maszkach mój brat, który tu nie dawno przybył do tego miasta.

Kleander.

Będę miał za szczęście poznać jego mości.

Robert.

Zabawmy się tymczasem grą jaką.

Kleander.

Proszę do téj sali. Zbrygani! kolacya żeby była jak najprędzéj gotowa, i muzyka niech zaraz przychodzi. Proszę wmćpanów bez ceremonii do téj sali. (Odchodzą).

Johan (na stronie mówi).

Oznajmię panu mojemu, że czas już, żeby się on tu w maszce pokazał. (Odchodzi).

Scena V.

Dorant, Zbrygani.

Dorant.

Posłuchaj, bracie! ja nieco napiłem się, mam głowę ciężką, gry żadnéj nie chcę...

Zbrygani.

Pewnie chciałby wmćpan trochę zasnąć?

Dorant.

Tak jest.

Zbrygani.

W tym pokoiku jest łóżko.

Dorant.

Dobrze: obudźże mię na kolacyą. (Odchodzi).

Zbrygani.

Bodajbyś się inaczéj nie obudził, jak przezemnie... Ale co tu

robić? Pan mój na mnie się spuścił, a mnie i rozum nie staje, zkądbym miał dostać kolacyi i muzyki.

Scena VI.

Kleander, Zbrygani.

Kleander.

Nasi goście bawią się grą w sali. Tymczasem co wymyśliłeś, mój Zbrygani?

Zbrygani.

Ułożyłem wielki projekt w méj głowie, który mi się uda zapewne. Pewny jegomość upiwszy się, w tym pokoju po swych trudach uspiony spoczywa! mam nadzieję, że on nas od kosztu zastąpi, i doda swoich pieniędzy.

Kleander.

Jakto?

Zbrygani.

Oto tak, mospanie! Możnaby adresując delikatnie rączkę do jego kieszeni, pożyczyć od niego kilka czerwieńczyków.

Kleander.

Czy masz rozum? I ja na taką podłość mam zezwolić? A co będzie, jeśli się on w tym odecknie?

Zbrygani.

Jeśli się odecknie, to ja uduszę jego, i powiém, że go krew udusiła.

Kleander.

Ty żartujesz. Ale czy nie możnaby jakkolwiek tych gości ztąd wykurzyć?

Zbrygani.

Nic łatwiejszego.

Kleander.

A jakże?

Zbrygani.

Oto tak: pójdę i ten dom podpalę.

Kleander.

Ach Zbrygani, daj pokój żartom, a ratuj mię, bo ja ze wstydu umrę.

Zbrygani.

Poczekajże wmćpan. Ale... już jest. Wszakże mówił pan Robert, że ma tu przyjść brat jego: czy znasz go wmćpan?

Kleander.

Nie znam.

Zbrygani.

Dość tego. Powróć wmćpan do kompanii. Jeśli dziś nie dam pańskiéj kolacyi, nie będę Zbrygani.

Kleander.

Zmiłuj się, mój Zbrygani.

Zbrygani.

Nie bój się wmćpan, będzie dobrze. Idź wmćpan do gości.

Scena VII.

Zbrygani.

Ach Fortuno! odsłoń twe oczy, a spojrzyj na człeka poczciwego, który teraz nie wié, kędy się udać! Pokaż teraz przed całym światem, że ty nie jesteś owa dama niestateczna, która rozumnych i cnotliwych ludzi omijasz, a bieżysz za głupimi, jako mówią o tobie... ale oto i druga kompania! To musi być brat Roberta, który tu idzie w maszce: idę do niego z komplementem.

Scena VIII.

Anzelm (w maszce, udający się za brata Roberta) i **Zbrygani.**

Zbrygani.

Mospanie! pozwól mi wmćpan spytać się o pewną bagatelkę. Czy nie znalazł wmćpan worka mojego tu z pieniędzmi?

Anzelm.

Gdzie?

Zbrygani.

Tu na téj ulicy, którą wmćpan szedłeś.

Anzelm.

Ty widzę, mój bracie, jesteś pijany.

Zbrygani.

Ach! nie pijany, mospanie, ale zginiony.

Anzelm.

Jakże to?

Zbrygani.

Oto tak! dał mi pan dwadzieścia czerwonych złotych, żebym sprawił kolacyą: ja powracający od garkuchmistrza postrzegłem, że cztérech ludzi jednego z gołemi szpadami atakuje: ja nad nim chcąc się zlitować, dałem mu sukurs, i w tym zapale, gdy się mocno zawijam, nie wiém sam, czy zgubiłem, czy też mi z kieszeni kto wyciągnął te piéniądze z workiem.

Anzelm.

Czy tylko w tym zginiony jesteś? Nie bój się. Rozmówię się z twym panem, i upewniam, że ci to daruje.

Zbrygani.

Ach, mospanie! wmćpan nie znasz pana mojego!

Anzelm.

Ale słyszałem, że on jest bardzo pomiarkowany w gniewie.

Zbrygani.

I ja tak słyszałem, ale mam tego przeciwne dowody: on gotów za jeden swój szeląg sługę skaléczyć.

Anzelm.

Żartujesz, czy prawdę mówisz?

Zbrygani.

Ach, mospanie! Wmćpan widzę nie jesteś człek płochy, mogę się zwierzyć wmćpanu mego nieszczęścia. Patrz wmćpan, oto ten plastr jest dowodem jego ludzkości.

Anzelm (na stronie mówi).

Ach jaki to kłamca! (potym do Zbryganiego). Czemuż ty służysz u takiego pana?

Zbrygani.

Dlatego, mospanie, że on jest bardzo bogaty, i jak się upije, to okrutnie jest hojny.

Anzelm.

Albo twój pan pija?

Zbrygani.

Nie bardzo często, ale raz na dzień pospolicie się upija; rzadko to bywa, żeby dwa razy dnia jednego upił się. Nie wiém, co będzie, gdy się ożeni.

Anzelm.

Albo się twój pan żeni?

Zbrygani.

Jutro, mospanie, ale proszę w tym o sekret.

Anzelm.

A kogo bierze?

Zbrygani.

Córkę niejakiego Anzelma, także pijaka.

Anzelm.

Albo i Anzelm jest pijak?

Zbrygani.

I jaki! oto i teraz miał być u pana mojego, ale się upił, i dlatego nie będzie dziś u nas.

Anzelm (na stronę).

Ach kłamco bezbożny!

Zbrygani.

Ale wróćmy się do pieniędzy.

Anzelm.

Ta strata fraszka dla ciebie, ponieważ masz pana tak hojnego.

Zbrygani.

Prawda, że byłaby fraszka, tylko że ja wszystkie me pieniądze oddałem na prowizyą, i mało co sobie zostawiłem. Gdybyś mi wmć pan mógł pożyczyć przynajmniéj piętnaście czerwonych złotych.

Anzelm.

Ktoś do drzwi kołace.

Zbrygani.

Ja wmćpanu dam oblig.

Anzelm.

Ale ktoś do drzwi kołace.

Zbrygani.

Choć dziesięć czerwonych złotych.

Anzelm.

Trzeba obaczyć, kto jest tam u drzwi.

Zbrygani.

To przynajmniéj pięć czerwonych złotych.

Anzelm.

Nie dam nic.

Zbrygani.

Było dawniéj tak mówić, przynajmniéj czasu nie strawiłbym darmo. Obaczę, kto do drzwi puka. (Odchodzi).

Anzelm.

Co za kłamca! Nie widziałem sługi niepoczciwszego i wierniejszego panu nad Zbryganiego. Otóż teraz pokaże się, Kleander czym jest. Ale Zbrygani powraca. Pójdę na salę do kompanii.

Scena IX.

Zbrygani, garkuchmistrz (pijany, i jego ludzie noszący wazy z potrawami.)

Zbrygani (przed kuchmistrzem idący).

Tędy, mci panowie! tędy!

Garkuchmistrz.

Tylko czym się nie omylił? Podobno do innego domu zakupiono tę kolacyą?

Zbrygani.

Co? albo mnie nie znasz?

Garkuchmistrz.

Zda mi się, że nie barzo... Ale czy tu tylko te potrawy należą?

Zbrygani.

Rozumiész, że ja umiém kłamać? Oto w téj sali kompania już dawno czeka na kolacyą. Prędzéj, mci panowie, prędzéj! Oto ten stół! zastawujcie!

Scena X.

Ciż sami i Kleander. (Kleander postrzegłszy, że stół zastawują, mówi zadziwiony).

Cóż to? zkąd?

Zbrygani.

Mospanie, jeśli się wmćpanu nie podoba ta kolacya tak uczciwa, ja każę ją odnieść.

Kleander.

Ale zkądżeś jéj dostał? Powiédz mi.

Zbrygani.

Ktoś z naszych sąsiadów musiał u tego garkuchmistrza zamówić sobie kolacyą. Garkuchmistrz pijany, nie trafiwszy do tamtego domu, do nas zawitał.

Kleander.

Ale to zawód będzie dla sąsiada.

Zbrygani.

Czy jeszcze wmćpan z swojemi skrupułami?

Kleander.

Ale to podobno nie godziłoby się.

Zbrygani.

Biorę to na swoje sumienie.

Garkuchmistrz.

Pewnie to sam pan, który traktuje?

Zbrygani.

Tak jest, to mój pan.

Garkuchmistrz.

Więc muszę się z nim rozmówić. — Mospanie! podług rozkazu wmćpana przyniosłem tu kolacyą i starałem się, żeby była jak najlepsza.

Kleander.

Dziękuję za to.

Garkuchmistrz.

Oto, mospanie, i regestr, podług którego trzeba mi zapłacić.

Zbrygani (na stronę).

Otóż komplement!

Kleander.

Barzo dobrze; przyszlę jutro mego człowieka z pieniędzmi.

Garkuchmistrz.

Ja go uwolnię od téj fatygi, i sam teraz pieniądze odbiorę, bo ja na kredyt nigdy nic nie robię.

Zbrygani.

Ale mój pan teraz zabawny: czy rozumiész, że ci to zginie?

Garkuchmistrz.

Wiém, że nie zginie; i dlatego wnet tę kolacyą odnoszę do siebie, jeśli wnet pieniędzy nie wezmę.

Zbrygani.

Ale widzisz, że pan teraz zabawny.

Garkuchmistrz.

Boję się, żeby i jutro nie był zabawny.

Scena XI.

Ciż sami i Anzelm.

Kleander (na stronie mówi do garkuchmistrza).

Ale miéjże dyskrecyą, bo goście mogą posłyszéć.

Anzelm (w maszce).

O co tu chodzi?

Zbrygani.

Oto ten garkuchmistrz nie podług myśli pana mojego zgotował tę kolacyą: miało być więcéj potraw.

Anzelm.

Dość nam i tego będzie.

Garkuchmistrz.

Ale mnie nie dość, ponieważ. . .

Anzelm.

To widzę człek pijany.

Garkuchmistrz.

Czy pijany, czy nie pijany, ja nie chcę czekać do jutra. . .

Zbrygani (zatyka ręką gębę garkuchmistrzowi).

Co czynisz? Uważaj! czy masz ty rozum?

Anzelm.

Za co mu gębę zatykasz?

Zbrygani.

Jakże nie zatykać, kiedy on zaczyna łajać wmćpanu. (Potym mówi do garkuchmistrza). Czy znasz ty, co za pan? co on ci złego uczynił? Tyś się upił.

Garkuchmistrz.

Ale ja chcę zaraz. . .

Zbrygani (znowu mu gębę zatyka).

I jeszcze? ten pan żadnéj ci krzywdy nie uczynił. Mospanie! odéjdź wmćpan do sali, trzeba wybaczyć pijanemu.

Kleander (do Anzelma).

Idźmy do sali.

Anzelm.

Ten pijak ma gadać tak śmiało?

Zbrygani (do garkuchmistrza).

Ustąp ztąd, bracie, bo cię nieszczęście tu spotkać może. (Wyprowadza go z teatrum, i do Kleandra na stronie mówi). Mospanie! proś tego, co w maszce, czy nie pożyczy wmćpanu pieniędzy, inaczéj zginiemy.

Scena XII.

Anzelm w maszce, **Kleander.**

Kleander.

Mospanie! czas teraz spóźniony, nie dopuszcza mi posyłać po pieniądze do mego bankiera. Czy nie mógłbyś mi wmćpan pożyczyć dwadzieścia czerwonych złotych?

Anzelm.

Z ochotą, ale i ja mam prosić wmćpana o pewną bagatelę.

Kleander.

Słucham! w czym wmćpan każesz sobie służyć?

Anzelm.

Wmćpan słyszę pojmujesz córkę Anzelma.

Kleander.

Prawda.

Anzelm.

Proszę tedy wmćpana, żebyś jéj podziękował za przyjaźń.

Kleander.

Ja? i to u wmćpana bagatela?

Anzelm.

Życzę wmćpanu usłuchać méj prożby, jeśli kochasz swój honor.

Kleander.

Jakto?

Anzelm.

Anzelm nie godzien jest tego, aby miał wmćpana za zięcia.

Kleander.

Jakto nie godzien? Wmćpan żartujesz.

Anzelm.

Nie żartuję, jest albowiem to pijak wielki, i nie godzien, żeby z nim uczciwi przestawali.

Kleander.

Mospanie! za honor jmć pana Anzelma gotówem me życie azardować.

Anzelm.

Za tego pijaka? hultaja?

Kleander.

Sameś hultaj, dobywaj mi szpady. (Dobywa szpady, i porywa się do Anzelma).

Scena ostatnia.

Ciż sami i cała kompania (przychodzi śmiejąc się).

Robert.

Stój! stój! mospanie Kleandrze! Wmćpan porywasz się na jmć pana Anzelma.

Kleander.

Jakto na jmć pana Anzelma?

Anzelm (zdejmując maszkę).

Oto jestem do usług wmćpana!

Kleander.

Jakto? (upuszcza z rąk szpadę). Zginąłem!

Anzelm.

Cóż wmćpan na to, mci panie Kleandrze? W takim będący stanie, chciałeś i mnie i córkę mą oszukać?

Kleander (pada do nóg Anzelmowi).

Wyznaję mą winę. Ale zostający w tak nieszczęśliwym stanie, sam nie wiedziałem, cobym. . .

Anzelm.

Dość tego! to wyznanie pokorne przyjmuję za nadgrodę mojéj urazy. Dość wmćpan już jesteś za to skarany tym wstydem, w który go wprawiłem. Zapomnijmy o tym, panie garkuchmistrzu, przestań być pijanym. Czy znasz go wmćpan, mci panie Kleandrze?

Garkuchmistrz.

Ach mospanie! Przypomnij wmćpan sobie, że ja jestem dawny sługa ojca wmćpana, imieniem Leopold, który z dziecinnych lat wmć pana wychowałem.

Kleander.

Co ja widzę! a wszakżeś został przy ojcu?

Anzelm.

Skoro Zbrygani, wierny wmćpana sługa odszedł odemnie, wraz przybył do mnie Leopold z listem od ojca wmćpana, z którego listu

poznawszy, w jak nieszczęśliwym wmćpan zostajesz stanie, namówiliśmy się z panem Robertem to uczynić, cośmy uczynili z wmćpanem. Leopold też garkuchmistrza przedziwnie udał, niosąc tu odemnie potrawy. Ale to zasmucenie wmćpana nadgrodzę oddaniem méj córki za niego. Czytaj wmćpan ten list ojca swojego.

Kleander (czyta).

„Jestem ojciec owego nieszczęśliwego Kleandra, który bywa u wmćpana. Jeden z mych przyjaciół, który sekretnie na jego postępki uważał, oznajmił mi, że życzy on sobie pojąć córkę wmćpana. Jeśli on będzie w tych zamysłach szczęśliwy, uznam go znowu za syna mojego, i zapomnę wszelkich przykrości, których mię swym marnotrawstwem nabawił. I sam wkrótce przybędę do wmćpana.“ Ach! mości dobrodzieju! Ledwie me serce pojąć może tę radość, którą odbieram. (Pada do nóg Anzelma).

Anzelm.

Wnet będzie i muzyka, którą nająłem. Idźmyż tymczasem do sali.

Kleander.

Idę, i za wszelkie moje błędy popełnione przepraszam jak najpokorniéj wmćpana dobrodzieja. Młodość niepomiarkowana wprawiła mię w ten stan nieszczęśliwy; ale mię biéda skuteczniéj nad wszelkie upomnienia nauczyła rozumu: będzie mi ona zawsze przestrogą, żebym w podobne błędy nie wpadł. (Odchodzą).

Zbrygani.

Panu się udało, ale się moje kłamstwa szpetnie odkryły! Nie wiém, co mi pan Anzelm zaspiéwa. Boję się, Zbrygasiu! żebyś nie stracił swego kredytu, bo kłamcy i prawdę potym mówiącemu pospolicie nie wierzą.

---

27. Adam Stanisław Naruszewicz,

Urodził się dnia 30. października 1733. r. z Jérzego i Pauliny Abrahamowiczownéj Naruszewiczów, łowczych pińskich. Pochodził z familii nie bardzo majętnéj, lecz starożytnéj, i w dziejach wielkiego księstwa Litewskiego wspominanéj. Odbywszy początkowe nauki w szkołach publicznych pińskich, w roku 1748.

wstąpił do zakonu niegdyś Jezuitów. Zdatność i chęć do nauk, któremi się nad innych rówieników odznaczał, zwróciły na niego baczność przełożonych, i wkrótce wysłany został do Lugdunu we Francyi, gdzie było znakomite Jezuitów kollegium; a poźniéj, wsparty hojnością księcia Czartoryskiego, kanclerza litewskiego, zwiédził Włochy, Francyę i Niemcy. Tam przez lat kilka wydoskonaliwszy się w rozmaitych umiejętnościach, powrócił do ojczyzny, i wkrótce mianowany został professorem poetyki w uniwersytecie wileńskim. Po krótkiém piastowaniu téj godności, przeniesiony został do Warszawy, gdzie w kollegium szlacheckiéj młodzieży Jezuitów tak szczęśliwém kształceniem téjże młodzieży, jak przyjemnością dowcipu wsławiać się począł.

Wielki szacownik nauk, Stanisław August, król polski, poznawszy wartość przymiotów Naruszewicza, zbliżył go do swojéj osoby; a gdy w roku 1773. zakon Jezuitów zniesiony został, mianował go koadjutorem biskupstwa smoleńskiego, poźniéj pisarzem wielkiego księstwa Litewskiego, sekretarzem rady nieustającéj biskupem smoleńskim, a nakoniec w roku 1790. biskupem łuckim; jakotéż orderami polskiemi obdarzył, i medal z twarzą Naruszewicza i Sarbiewskiego bić kazał. Oprócz tych ze strony króla dowodów szacunku dla Naruszewicza, jeszcze i popiersie jego ze śpiżu lane umieścił w sali zamku warszawskiego w rzędzie Polaków, którzy w rozmaitych czasach stali się sławą narodu swojego.

Ile mu tylko obowiązki stanu jego wolnego czasu zostawiały, poświęcał go pracom literackim: jakoż mało podobnych mu znaléźć można, którzyby taką ilością tak użytecznych i tak powszechnie nie tylko od swoich, ale i od obcych szacowanych dzieł pochlubić się mogli. Dzieła te są następujące: 1) *Historya narodu polskiego* w 6. tomach, wyszczególniająca panowanie Piastów, królów polskich *) z obszérnemi notami i wzmiankowaniem wielkiéj liczby autorów, którzy o Polsce pisali. — 2) *Przełożenie na język polski* w 4. tomach *wszystkich dzieł pozostałych Tacyta.* — 3) *Życie Jana Karola Chodkiewicza, hetmana litewskiego,* w 2. tomach. — 4) *Opisanie Tauryki czyli Historya o Tatarach krymskich.* — 5) Cztéry tomy rozmaitych *Poezyj własnych*, w których znakomite piękności i duch rymotworczy okazuje się. — 6) *Tłumaczenie na język polski* wszystkich *Odów Horacyusza.* — 7) *Opisanie podróży Stanisława Augusta w roku 1786. do Kaniowa,* w którém znaczna część historyi polskiéj, a szczególniéj wiadomość o początkach Kozaków znajduje się.

Będąc biskupem łuckim lat sześć niespełna, umarł w Janowie dnia 6. lipca 1796. roku, w wieku życia swojego 63. Pochowany w kollegiacie dyecezyi swojéj.

Na grobie swoim kazał położyć napis z pisma świętego: *Cor meum et caro mea requiescit in spe.*

---

*) Od roku 962. aż do roku 1386. czyli wstąpienia na tron Władysława Jagiełły. — W roku 1824. staraniem i nakładem byłego towarzystwa królewskiego warszawskiego przyjaciół nauk ogłoszone zostały drukiem Po-

1. Głupstwo.

Satyra.

Stultorum plena sunt omnia.

Między głupimi żyjem, głupich znajdziem wszędzie;
Kto z cudzych głupstw nie mędrszy, głupim większym będzie.

Zacny mój przyjacielu! Nie wiém, czym się dzieje,
Że człek mędrkiem się czyni, im bardziéj szaleje;
Że lubo sam po stokroć godniejszym jest, aby
Klektał w szpitalu między swarliwemi baby,
Rad potrząsa sąsiadem, i żali się na to,
Że jeszcze z szalonymi nie siedzi za kratą.
Patrzno na tego mędrka! na ten łeb misterny,
Co opąchał kawiarnie Paryża i Berny,
Co głowę wymeblował modnemi nauki,
Umié robić pomadę, nastrzępiać peruki!
Zna się na wszystkich zgoła księgach, w jaką które —
Czy w cielęcą oprawne, czy w baranią skórę;
Dziwnemi się projekty czupryna mu jeży,
Marga jak z babilońskiéj językami wieży;
Chociaż w owym niesfornéj gadaniny tłumie,
Gładko się wytłumaczyć i jednym nie umie,
I po to tylko jeździł pocztą za granicę,
Aby przywiózł do Polski modne rękawice.
Czyliż taki latawiec upornie nie trzyma,
Że kto nie był w Paryżu, ten rozumu nie ma?
Lub kto nie trafi obcym szpaczkować językiem,
Siać mu grykę gdzieś na wsi, nie być politykiem?
Jakby to na romansach i na bredniach lada
Dzielna cnota zawisła i gruntowna rada.
Owoż za nim i fircyk utrefiony cudnie!
Legać mu tylko w betach, nim minie południe,
Albo latać, czy błoto czy kurz na ulicy,
Jeźli który nie mignie kornet z kamienicy,

---

czątkowe dzieje narodu polskiego, z rękopismów Naruszewicza po śmierci jego pozostałych zebrane, i te służą jako tom I. do *Historyi narodu polskiego przez Adama Naruszewicza.*

Aby tam biés wié jakie mowy rozpościérał,
A słuchającym gębę tęskliwe rozdziérał:
A przecie tak bezwstydną dumą upojony,
Że, choć mu się w mózgowni lęgną ślepowrony,
Choć ledwie trafi biédny sens z głowy wyłatać,
Choć mu kozom ogony, nie rymom zaplatać,
Choć mu wiérzgać u fary na pniu między żaki,
Bierze pracownych piórek dzieła na przetaki,
I tonem prawodawczym swoje głupstwo zdobi,
Ganiąc w drugim, czego sam nie zna i nie zrobi.—

Te są mym zdaniem mędrca prawdziwego znaki:
Kto jest mądrym, a nie chce mówić, że jest taki;
Który na swym nie zawsze polega rozsądku,
Bo się i najmędrszemu czasem urwie wątku;
Kto sam na się surowy, jeśli w czym wykracza,
A bliźniego omyłki łaskawie przebacza;
Kto ma oko na siebie, ani się zawistnie
Nawet z urzędu w obce postępki nie ciśnie;
Ale, jeśli wyciąga potrzeba, upomni,
Pamiętając, że wszyscy ludzie są ułomni.
Lecz złośliwa natura do tego nas wiedzie,
Cudze piszem na głazie, a swoje na ledzie:
Każdy sobie pochlebia, każdy mądrym sobie.
Spytałem raz łakomcę: „Miły panie Jobie!
Jakiż to proszę sposób życia u waszeci?
Nigdy się w domu jego kuchnia nie oświeci:
Trzemaś chatę przed gościem obwarował płoty!
Czy piątek, czy niedziela, na stole suchoty;
Chléb jadasz za pieczyste, rzodkiew za selery,
A pod pomostem dyszą krzyżowe talery.
Gdyby się każdy człowiek z tą naturą rodził,
Jużby dawno świat z torbą między dziady chodził.
Diabeł to po twéj śmierci pewnie powyciąga,
A zły synal na pogrzeb nie da i szeląga.“ —
„Milcz!“ odpowié mi „głupcze! niechaj z głodu więdnę,
Wolę prowadzić życie mądre i oszczędne:

U mnie wszystko w pieniądzach, ja gdy patrzę na nie,
I za dobrą mi suknię, i za obiad stanie.“ —
Głupi, kto się bez serca i bez sił junaczy,
Kto języka nie umié, a książki tłumaczy,
Kto z kości zysku szuka, z kart fortunę kleci;
Bo co mu z wiatrem przyszło, to z wiatrem uleci.
Głupi, kto chce mieć kredyt przez same wykręty,
Komu huczno w czuprynie, chociaż zimno w pięty.
Głupi, kto z wydatkami przychodu nie mierzy:
Kto się lada czym trwoży, lada czemu wierzy.
Kto kupuje na kredyt, a podobno i ty,
Kupcze, co gołyszowi dajesz na kredyty.
Głupi, kto się bez głowy w sprawy główne wtrąci,
Bo je miasto porady bardziéj jeszcze zmąci;
Kto się na kredytora swojego komosi,
Że go albo o procent, lub o summę prosi;
Kto formuje projekty tylko na papierze,
Kto nie kończy roboty, gdy ją przedsiębierze,
Kto scisłą poufałość zabiéra z nierownym,
Kto z księgi gospodarzem, ze szkoły wymownym,
Kto się nie tym, do czego urodził, rad bawi,
Kto wtenczas prawdę mówi, kiedy nie poprawi,
Kto na gminu prostego gadania uważa,
Kto się o lada słówko i żarcik uraża,
Kto . . . lecz mi już i karty do pisma nie staje,
A podobno z poboczy słyszę, że ktoś łaje.
Wybaczcie mi, panowie! jeśli daléj troche
Uniosły mię do rymów chęci wiatropłoche.
Zwyczajna to poetom i muzykom wada:
Jeden czasem gra nadto, drugi nadto gada.

2. Do konika polnego (z Pieśni Anakreona).

Fortunnyś stokroć, mój koniku polny!
Że od trosk i trudów wolny,
Podpiwszy sobie drobnym pyszczkiem rosy,
Brzmiące wypuszczasz odgłosy,

Siedząc, jako król na wspaniałym tronie,
Na rozłożystym jesionie.
Gdziekolwiek rzucisz z wysoka źrzenice,
Do twéj należy dzielnice.
Tobie zasiewny łan zboże wywodzi,
Tobie drzewo liście rodzi;
Ciebie kmieć lubi, że nie wnosisz szkody
W ubogie jego zagrody.
Kochają wioski ucieszną Sybillę
Za letniéj proroctwo chwile,
Tyś miły Muzom, Febus ci głos dawa,
I brzmiącym wdziękiem napawa.
Tobie ni starość zazdrości leniwa,
Scieśniając życia przędziwa,
Żyjesz, rozkoszny ziemi wychowanek,
Dudląc ustawnie w organek:
Ni czujesz, co są frasunki i bole,
Szczęśliwszy nad ziemskie króle.
Ba! śmiertelnego mało co nasienia
Mając w sobie z przyrodzenia,
Z lichą cząsteczką i kości i ciała
Równasz niebiany bez mała.

3. Mirtyl.

Sielanka.

Podczas ślicznego w lecie raz Mirtyl wieczora
Oglądać przyległego szedł brzegi jeziora,
Gdzie księżyc rozwinąwszy koło promieniste,
Na spokojne kryształy sypał srebro czyste.
Wdzięczny blask pól rozległych i głuche milczenie,
Słodkie w krzakach słowików po rosie kwilenie,
Tysiąc cudnych obrazów rozkosznéj ponęty
Trzymały zadumieniem długo umysł zdjęty;
Wróciwszy się nakoniec, kędy blizko chaty
Stał z bluszczu we dwa rzędy chłodnik w liść bogaty,

Znalazł ojca starego, a on snem zmorzony,
Na zielonéj murawie leżał rozciągniony!
Wspartą głowę bieluchną na ramieniu trzymał,
I tak sobie na chłodzie milusieńko drzymał.
Stanął syn zadumany, i na postać onę
Patrząc, z politowaniem oczy miał wlepione:
Czasem też spojrzał w niebo przez liście powiewne,
A łzy mu się z radości wytaczały rzewne.
„O ty!“ rzecze „po Bogu piérwsze me kochanie!
Ty czci moja najpiérwsza, najpiérwsze staranie!
O jak słodko zasypiasz, gołąbku mój siwy!
O jak mile spoczywa człowiek sprawiedliwy!
Pewnie cię tu zwyczajne zabawki przywiodły,
Abyś niebu wieczorne ofiarował modły,
I na tak świętéj sprawie zachwycił sen luby,
Pewnieś i za mnie bogom miłe oddał śluby!
O jakożem szczęśliwy! wiém pewnie, że w święte
Ich uszy są za syna prośby twe przyjęte:
Bez nich czyżby ma chatka stała tak bespieczna,
Albo koszary tyle zaradzały mléczna?
Albo sady dorodne hojną dań nosiły,
I pod bujnym owocem gałęzie chyliły?
Za twoimto błaganiem, Bogu ulubiony
Staruszku! plennym kłosem szumią me zagony.
Ledwo może wydołać siérpem Ceres blada;
Mnożą się po oborach ślicznych owiec stada.
Kiedyś patrząc na moją troskliwość, byś mile
Starganego do końca wieku pędził chwile,
Łzy z radości wylewał, lub wzniosłszy powieki
Do nieba, życzył, by mię nigdy z swéj opieki
Boska nie wypuszczała dobroć, kto określi,
Jak słodkie w duszy mojéj rodziły się myśli!
A ściśniona wzdychaniem gdy pierś serce tłoczy,
Rzęsiste łzy strumieniem zalewały oczy.“

„Pomnę, jako i dzisiaj, idąc do ogrodu
Zażywać w dzienny upał łagodnego chłodu,

A widząc już sad bujnym owocem odziany,
Już igrające tłuste po trawie barany,
Już na zasiane gęstym zbożem płodne niwy,
„„W radości““ rzekłeś „„głowę włos mi okrył siwy!
A wy, rozkoszne pola, smugi ulubione,
Zostańcie już na wieczny czas błogosławione!
Już was nie długo będę bystrym mierzył okiem,
Które zawistna starość ciemnym tępi mrokiem.
Wkrótce przyjdzie do obcéj wędrować dziedziny,
I bydź gościem podziemnych grodów Libityny;
Acz i tam w myśli wasze tkwić będą obrazy,
Których nigdy śmiertelne nie przywalą głazy.““

„Także, o mój najmilszy w życiu rodzicielu!
Także! dawco krwi mojéj, wierny przyjacielu!
Mam cię prędko utracić? O wyroki smutne!
O żałości niezmierna! o myśli okrutne!
Jeśli tak jest, i tak chcą niezbłagane jędze,
Aby się rychło drogich dni twych rwały przędze;
Niestety! i umarły będziesz w sercu u mnie.
Przy zimnéj ołtarz z darnia postawię ci trumnie;
A ilekroć dzień taki zaświéci na niebie,
Że będę mógł w ostatniéj ratować potrzebie,
Użaliwszy się hojnie nad nędznym człowiekiem,
Posypię grób twój kwieciem, i poleję mlekiem.“

Tu zamilkł, — i na starca wzrok obrócił wryty,
A z oczu mu się toczył strumień łez obfity.
Po chwili znowu zaczął: „Oto! jak lekuchno
Zasypia, i coraz się uśmiécha miluchno!
Co na jawie, to we śnie, utajona cnota
I przez zamknięte zmysły ma otwarte wrota.
Lubo władza języka, moc obłęgnie ręki,
Znać na czele i przez sen dobroczynne wdzięki.
Oto! jako mu główkę miękki blask księżyca
I bródkę posrebrzaną promieniem roznieca!

Jako się około niéj płochy Zefir wije,
Rozumiejąc, że mléczną całuje liliję.
Dobrzeby tu i daléj zażywać spoczynku;
Ale lepiéj, tatusiu, spocząć przy kominku.
Wietrzyk zbyt ostry szumi, rosa nazbyt chłodzi;
Co nam młodzikom miło, staruszkowi szkodzi.“

To rzekłszy, pomaluśku do niego się rzuci,
I lekkim całowaniem spiącego ocuci:
Potym wiedzie do chaty, kędy między puchem
Złożonego skór miękkich odzieje kożuchem.

4. Zabawa moja.

Oda.

W szczupłym dowcipu zamkniony obrębie,
Mórz niezbadanych Platona nie głębię,
Ani porywczéj aż w gwiaździste progi
Z bystrymi myśli puszczam teologi.

Od Muz poleskich wychowane chłopię,
Jaki mi w ręce przy mym horoskopie
Podały statek, tym na chléb zarabiam:
Brząkam na lutni, i tak serca zwabiam.

Odemnie pastérz u trzody nawyka
Piać srogie walki, kiedy byk na byka
Zemstę gotując, orze stopą ziemię,
A na pniu wsparty, twarde ostrzy ciemię.

Często i Satyr we krzu kozionogi
Słucha mych pieśni; więc i ziemne bogi
Czasem opiéwam poważniejszym tonem,
Idąc z Horacym uczeń nieścignionym.

To dzieło moje! Wesoły a zdrowy
Nie suszę dumą i zawiścią głowy,
Że kto niewolnik wyuzdanych chuci
Z swego nie kontent, a cudzym się smuci.

Umysł spokojny i nie żądny wiela,
Doświadczonego miłość przyjaciela,
Lutnię rozkoszną, — to kiedy posiadam,
Gdy umiém sobą, całą ziemią władam.

5. Pieśń ciarlatańska na jarmarku.

O cuda, cuda! o śliczne cuda!
Kto ma piéniążki, niechaj je tu da.

W téj maluśkiéj skrzyneczce, co ma świat obszerny
Najciekawszego, zawarł rzemieślnik misterny.
Tu wszystkie rzeczy nowe, a kto spojrzy na nie,
Z podziwieniem zawoła: Cuda, mości panie!
O cuda, cuda! o śliczne cuda!
Kto ma piéniążki, niechaj je tu da.

Tyś piérwszy dał piéniądze, w zielonym kontuszu,
Nie wiém, czy panie Pietrze, czyli Mateuszu:
Ja nie dbam na godności, nie dbam na klejnoty
Herbowne, to pan u mnie, co położył złoty.
O cuda, cuda! o śliczne cuda!
Kto ma piéniążki, niechaj je tu da.

Przystąp! Oto pan siedzi w złotogłowie strojny,
Pan nie dziwak, nie hardy, miły i spokojny:
Obok przy nim dworzanin, lecz nie wiercipięta,
Nie zna co to pochlébstwo, co zazdrość przeklęta.
O cuda, cuda, o śliczne cuda!
Kto ma piéniążki, niechaj je tu da.

Widzisz ten dwór wspaniały! Czyliż to nie cudna,
Że w nim nigdy nie gości fortuna obłudna?
Nie ma tu miejsca chciwość, ni utrata marna:
Słudzy płatni, czeladka poczciwa i karna.
O cuda, cuda! o śliczne cuda!
Kto ma piéniążki, niechaj je tu da.

Ten zaś, co mu sobole wiszą od kołnierza,
Pan to wielki, a długu nie ma i halerza!
Wszyscy ekonomowie na rękę mu padli,
Wiernie służą, jeszcze go dotąd nie okradli.
O cuda, cuda! o śliczne cuda!
Kto ma pieniążki, niechaj je tu da.

A toż pewnie nie dziwna, że Krezus bogaty
Nie ciśnie ubogiego, mnożąc swe intraty?
Że w dostatkach, że w sławie, że w szczęśliwéj chwili
Pomni, czym też przodkowie jego przedtym byli?
O cuda, cuda! o śliczne cuda!
Kto ma pieniążki, niechaj je tu da!

Jest się czemu zadziwić, gdy kto w jedną sforę
Złączył z wielką nauką skromność i pokorę;
Kiedy ten, co na kartach dnie i nocy trawi,
Zawsze jest przy pieniądzach, i dzieciom zostawi.
O cuda, cuda! o śliczne cuda!
Kto ma pieniążki, niechaj je tu da.

Gdy ci wierny przyjaciel zawsze równie sprzyja,
Czy fortuna w twych progach, czyli je omija;
I choć cię z swych faworów wyruguje marnie,
Do serca otwartego łaskawie przygarnie.
O cuda, cuda! o śliczne cuda!
Kto ma pieniążki, niechaj je tu da.

Pięknie się w domu małe wychowują dziatki,
Nie pieszczą ich ojcowie i niebaczne matki:
Nauczają iść cnoty niepomylnym śladem,
A czego uczą, sami ztwierdzają przykładem.
O cuda, cuda! o śliczne cuda!
Kto ma pieniążki, niechaj je tu da.

Widziałżeś kiedy mędrka, co sam wszystko umie,
Wszystko zna, wszystko gani, że jest przy rozumie?

Lub takiego patrona, który broniąc sprawy,
Popiéra tylko rzeczy, a nie szarpie sławy?
O cuda, cuda! o śliczne cuda!
Kto ma pieniążki, niechaj je tu da.

Chlubny junak, co w kącie szablą wiatry kroi,
Gdy go wyzwą, nie ztchórzy i placu dostoi;
Krytyk spraw cudzych, a sam w niczym niezganiony;
Sędzia ma czyste ręce od łez i mamony.
O cuda, cuda! o śliczne cuda!
Kto ma pieniążki, niechaj je tu da.

Pomyślne ożenienie bez mądréj uwagi,
Że nie czynią szczęśliwym piękność i posagi.
Zasługi bez zazdrości, cnota bez obłudy,
Czyliż między piérwszemi nie ma miejsca cudy?
O cuda, cuda! o śliczne cuda!
Kto ma pieniążki, niechaj je tu da.

Pieśń moja tak ucieszna, tak skromna, tak miła,
By ganiąc obyczaje, osób nie ganiła.
Gdy ją każdy pochwali, ani okiem krzywym
Rzuciwszy na nią, rzeknie tonem urażliwym:
Kto pisał, wielki musiał bydź duda.
O cuda, cuda! o śliczne cuda!
Kto ma pieniążki, niechaj je tu da.

6. Hymn do czasu.

Oda.

Istota niepojęta rozumem śmiertelnym,
Któréj ani, choć nieba zmierzył cérklem dzielnym,
Zmierzył dowcipny gwiazdarz, próżne susząc myśli,
Którą duch sam ogarnia tylko i określi,
Czasie! ty niewidomy lat i dni potoku,
Pozwól, nim lęgnę martwy w nieprzespanym mroku,

Dokąd mię nurt twój pędzi, stanąć nad tym brzegiem,
I wód bystrych wzrok napaść niedościgłym biegiem.
Któreż oko dosięże źrzódła twéj istoty?
Która myśl kres ukaże, zkąd piérwsze obroty
Lot twój żartki rozpoczął? ty sam niezmierzony,
Domierzasz ogromnemi wieczności ramiony.
Wieczność kolebką twoją! w niéj leżąc ukryty
Jużeś był, acz bez władzy, nim sklep gwiazdolity —
Nim ziemię dzielny Twórca, i co dysze na niéj,
Z mętnéj spornych żywiołów wydźwignął otchłani.
Znagła się ciemnych lochów smętne wstrzęsły progi,
Błysnął zewsząd gwiazd orszak srebrzystemi rogi,
Tyś wyszedł, Bóg ci pewne przepisał prawidła:
On lotne lekkim piérzem przyodziawszy skrzydła,
Rzekł do natury: Tobie w dziale czasy skore,
Póki świata, oddaję; ja pan wieczność biorę.

Boże! to twa istota! pod twojemi oczy
Bystry wieków ocean szumne nurty toczy
Po doczesnych lepionkach wszechwładnéj prawicy,
Lecz nigdy nieśmiertelnéj nie sięgnie stolicy.
Mijają wieków roty, rok po roku znika,
Dzień dnie ztrąca, godzina godzinę połyka.
Stoją martwe lat stosy, zaledwo je zliczym,
Cóż są one przed tobą, wieczny Panie? Niczym.
Próżnoż na tych zwaliskach, — nad tym stojąc błotem,
Mocnym się, bym nie zginął, chcę odgrodzić płotem.
Czas mię goni, czas chwyta, i me drobne lata —
Owto proszek nikczemny, rączym skrzydłem zmiata,
Że ledwo dojrzéć zdołam, jak rychło niestety!
Proch ten znika, kwapiąc się do fatalnéj mety.
Gdzie jeno rzucę okiem, zewsząd smutne zwłoki
Okropnemi zniszczenia trwożą myśl widoki:
Tu porosłe mchem groby zgniłe cisną trupy,
Tu w gruzach mury leżą, tu stłuczone słupy,
Tu, kędy stały miasta, nie masz i pamięci;
Wszędy czas srogich zębów wytłoczył pieczęci.

Niebo, ziemia, — nic jego nie oprze się mocy,
Lecz kiedy w ciemnych lochów niedostępnéj nocy
Ślepym ryje podkopem, waląc okrąg świata,
Uniesiona myśl ogniem wyżéj niebios lata,
I sama tylko, czasów nie znająca skazy,
Patrzy z góry na rumy i okropne głazy.

Wieki, których już nie masz, i co was nadchodzi!
Niech mi się jedne cofnąć, drugie przymknąć godzi.
Sam tu do mnie! Myśl moja w jedną sforę sprzęga,
Już obu świata krańców bystrym okiem sięga;
A patrząc na znikomych rzeczy błahy wątek,
Widzi razem ich koniec i piérwszy początek.
Zemdlone długim biegiem słoneczne woźniki,
Ujrzą zwolna wysychać ogniów swych poniki:
Zwolnieją kół niebieskich osie wyjeżdżone,
A jako z gór przerwanych bryły odszczepione
Lecą z ogromnym trzaskiem na nizkie padoły,
Ztoczą się w stos niekształtny skruszone żywioły.
Tu swe bezbrzeżna wieczność zacznie panowanie,
W tym wszelki czyn znikomy zniknie oceanie,
W nim się i czas ochynie jak strumyczek lichy:
Lecz duch mój śmiertelnemi nie pożyty sztychy,
Nieścigłym piór zapędem wylatując w górę,
Deptać będzie zburzoną w gruzach swych naturę.

Stwórco! tyś sam bezdenne morza ograniczył,
Tyś najdrobniejsze czasu momenta policzył,
Sobie samemu tron twój zachował to mglisty.
Kiedy przyjdzie ów moment nocy wiekuistéj,
Świat nie wié, i próżno się o to badać kusi,
To wié, że ginąc codzień, zginąć kiedyś musi.
Ludzie! gdy was okropnym bita z wieży młotem
Miedź ostrzega, jak szybkim czasy płyną lotem:
Ach! jak was hasło owe brzękiem swym przenika!
Wnet się dusza z twardego letargu ocyka,

A płoche nadstawiając uszy, mniema oto,
Że na nią: P o j d ź d o t r u m n y! blada woła Kloto.
Błędni! co wam za gruba ćmi rozum ślepota?
Moment do myśli macie, moment do żywota;
Lecz i ten, acz z nikczemnym równo znika cieniem,
Nie jestże dla was jeszcze nieznośnym brzemieniem?
Zbiéra cudze, wędzi się różnemi kłopoty,
Niebaczny marnotrawca własnéj swéj istoty:
Ledwo sam siebie poznał, ledwo zawziął siłę,
Sam się gubi, sam kopie okrutną mogiłę!
Ten z pieluch umarł, stu lat ciężarem skrzywiony,
Ów samym sobą kupczy dla marnéj mamony;
Ten szuler mózg przy kartach susząc, zdrowie stracił,
Ów bogacz wszystkim złotem radby się opłacił
Czasowi, co go dręczy. Tak żyć obelżywie,
Jest mniemać, że nie żyjąc, żyć można szczęśliwie.

Długoż tedy tak srogą zmamieni ślepotą
Błądzić będziem? Myśl naszą jedyną istotą;
Téj saméj człek prawdziwie drogim żyje darem,
Ta sama czasów naszych winna bydź wymiarem.
Kochajmy mądrość, wszak to największa nauka
Znać siebie i żyć z sobą: kto jéj pilniéj szuka,
Prowadzi wiek szczęśliwy, a na czas upłynny
Patrząc, liczy bez trwogi wszelkie swe godziny.
Jeźli me serce iść ma w gnuśne zmysłów pęta,
Czasie! skróć proszę życia mojego momenta.
Niech me kości przed czasem zawrze loch podziemny;
Wolę chwalebnie umrzéć, niźli żyć nikczemny.
Lecz, jeźli serc powolnych rymy me dolecą,
I w nich szlachetnéj cnoty czysty płomień wzniecą;
Jeźli przez nie niewinność znajdzie utrapiona
W troskach wdzięczną pociechę, w złym razie patrona:
Jeźli miły przyjaciel folgę w swych uczuje
Żalach, i łzy płynące hojnie pohamuje,
Postój chwilę! miéj baczność na me drobne latka!
Niech jeszcze przez czas długi ukochana matka

Ziemia hołd uprzejmości synowskiéj odbiéra.
Ty zaś sławo! ty cnoto! których nie umiéra
Nigdy imię, po długiéj lat moich osnowie
Złóżcie skrzydła złociste na méj siwéj głowie.

7. Do obłoków w czasie suszy.

Oda.

Córy wielkiego płodne Oceanu!
Ożywce mego łanu,
Czyste kryształy, lane z chłodnéj rosy,
W których wódz złotowłosy
Nawrotnych wieków zatoczywszy krasną
Tęczę, twarz pławi jasną,
Cóżkolwiek wasze zatrzymuje kroki,
Stokroć żądane obłoki!
Czyto w rodzinnym spoczywacie łonie,
Czy gdzie swe Wisła tonie
Ukrywa, zdroje czerpacie obfite
W wanienki złotolite,
Gotując skarby nieopłatne drogim
Kruszcem kmiotkom ubogim,
Przybądźcie rychło! oto was świat wzywa,
Co prawie dogorywa
W smutnych pożogach! za podarek wielki
Żebrze wody kropelki.
Chełznajcie skrzydła Zefirów powiewne,
A na te pola siewne
Patrzcie, w co idą prac naszych zawody!
Ptaszek nie ma gospody:
Zwierz płochy pastwy szuka, a człowieka
Blady głód w zimie czeka.
Wszystko pod ogniem w martwéj stęka ciszy,
Wietrzyk zaledwo dyszy,

W zgorzałym liściu a suchéj jabłoni
Płonną gałązką dzwoni.
Więc Narew z Bugiem, co wprzód bystro biegły,
Za brzegi na dnie legły,
Z urny srebrnemi, zostawując nagle
Piaskom maszty i żagle.
Chodzi załosna po ogrodach Flora
Od rana do wieczora,
Patrząc, jako jéj wychowanki wdzięczne
Znoszą skwary miesięczne:
Aniby mogła jednym skroni kwiatkiem
Umaić, by ukradkiem
Litośny Hesper do ziających gąbek,
Przez modry cedząc rąbek,
Wilgotnéj duszy, gdy Feb zaśnie mściwy,
Nie dał rzeszy płaczliwéj.
Czy to powolne na mych Muz błaganie,
Jak twe *), Arystofanie,
Niegdyś na pieśni, gdy szydził z Sokrata,
Już gończy wiatr zalata
Od Siedmiu kędyś północnych Tryonów,
Chłodnych postylionów
Z brzmiącemi trąbki prowadząc przed sobą.
O pożądana dobo!
Już się i za nim na dżdżystym rydwanie
Same znać dają **) panie:
Ta cudne farby od wzorów tysiąca
Na spiekłe od gorąca
Przynosi kwiaty, i ziółka i drzewa;
Ta na jasnym odsiewa

*) Arystofanes, sławny poeta grecki, na którego komedye lud cały ateński z wielką ochotą zlatywał się; ten, czyto przez własną nieprzyjaźń, czyli przez chęć przypodobania się nieprzyjaciołom Sokratesa szydził z niego w swoich komedyach i natrząsał się.

**) *Hyades; Plejades,* po polsku: baby; dżdżownice.

Przetaku rosy od gradów wilgotne
Na zasiewy umłotne.
Ale ty przecie, człecze niepobożny,
W kłamstwa i potwarz możny,
Nie ufaj wszystkim, bo tam siedzi mściwa,
Co pod płaszczem ukrywa
Piorun trojnitny, na przewrotne głowy
Wypaść zawsze gotowy.

8. Szczęśliwość.

Oda.

Patrz, jak na niebie w niezgasłym orszaku
Każda pilnuje zorza swego znaku,
A niezmieszanym od wieku szeregiem
Hetmańskim słońca bieg swój mierzy biegiem.

Wszystko się stało i trwa pewnym rządem:
Ląd się z wodami, woda wiąże z lądem;
Jeźli się ten świat i żyje i rusza,
Tysiącem istot jedna władnie dusza.

Ona wiatrami rządząc na przemiany,
Morskie podnosi i muszcze bałwany;
Jéj rozrządzeniem jedna łączy sfora
Od człeka aż do lichego komora.

Rząd a powszechne dobro moim zatym
Prawdziwym dobrem: jeźli mącę światem,
I z przepisanéj sam kluby wypadam,
Próżno się chełpię, że szczęście posiadam.

Na wszystkie członki jedna się rozlewa
Boleść i zdrowie; gdy jeden omdlewa
W powszechnym związku, długoli krótkoli
Drugi téż wyznać musi, że go boli.

Równym spojeni na świecie ogniwem
Żyjemy ludziom; kto bliźniemu krzywym,
Będzie i sobie, a taż sama wada,
Co innym szkodzi, i na niego spada.

Więc jeźli serce powolne nie skaża
Swych powinności, jeźli nie obraża
Spólnéj osnowy interes mych chuci
Gnuśny niewolnik, gdy mi nie wyrzuci

Żaden, iż w sobie samym rozkochany,
Ludzkich towarzystw wszystkie psuję stany,
Gdy czyniąc sobie, drugim dobrze czynię,
Wtenczas się nazwę szczęśliwym jedynie.

Mętnych roskoszy źrodło swym wypadem
I najkraśniejszy kwiat zaraża jadem;
Nakoło złotych dachów smutek lata,
A bojaźń i puch łabęci uguiata.

Słodka wesołość w czystym tylko rada
Sercu przebywa; tam gniazdo zakłada,
Gdzie jéj poczciwe wskazuje sumienie,
Bądź carski pałac, bądź smutne więzienie.

Temu gdy ufam, nie wiele dbam o to,
Że chciwa na krew i przemożne złoto
Ślepym podkopem czyha na mnie zdrada,
Zazdrość mię szarpie, a gmin płocho gada.

Bym miał do zgonu żywot pędzić lichy,
Nie chcę ja żebrać o litość u pychy;
Gardzę szafunkiem ludokupnéj dłoni,
Co mi chcąc cnotę wydrzéć, workiem dzwoni.

Wdzięczny pokoju, darze w ludziach rzadki!
Idź ze mną, proszę, choć do kmiecéj chatki,
Kędy na łonie nieszkodnéj rozkoszy
Niewinność snów mi słodkich nie wypłoszy.

Nie Epikurskiéj gnuśny uczeń szkoły
Oddaję panom łzami zlane stoły,
Przestając na tym, co ubóstwem scisłym
A mądrym stawię na obrus przemysłem.

Ten był od wieku los mieszkańców świata,
Że się wesołość frasunkiem przeplata:
Raz kwiaty sypie, lecz czasem chcąc wiernie
Od szwanku odwieść, prowadzi na ciernie.

Lecz kiedy ów czas przyjdzie, gdy przed oczy
Cała się rzeczy śmiertelnych zatoczy
Osnowa, którą przed ułomnym wzrokiem
Bóg niedostępnym zawinął obłokiem;

Tam się dopiéro prawdziwie ucieszę,
Gdy równym torem do kresu przyspieszę,
A same troski podjęte dla cnoty
Wieniec mi włożą w potomności złoty.

B) Adama Naruszewicza historya narodu polskiego od początków chrześciaństwa, w Warszawie Tom I.—VII. 1803.—1804.

Do najjaśniejszego pana Stanisława Augusta, króla polskiego, wielkiego książęcia litewskiego.

Najjaśniejszy królu!

Naród polski, dawniéj przez krew spólną braterski, teraz dla troskliwości o jego dobro synowski, a z woli Bożéj jest poddany berłu waszéj król. mości. Autor historyi narodowéj co do stopnia i majątku swojego jest dziełem rąk monarchy, a praca jego wydrukowana jest także owocem hojności pańskiéj. Czyje pole, rolnik i zasiéw, temu się należy piérwszy snopek, użęty dopiéro na téj obszérnéj niwie ręką moją. Stawiam go na podnóżku tronu waszéj król. mości z uprzejmą prożbą, ażebyś nie raczył gardzić tą początkową robotą, dla miłości

króla i ukochanego mu narodu przedsięwziętą. Każda epocha rządzącéj tym królestwem zwierzchności miała monarchów, którzy kazali pisać dzieje krajowe, a biskupów, którzy rozkazy wykonywali. Wincenty Kadłubek, krakowski zostawił nam dzieło swoje z woli Kazimierza Sprawiedliwego, Piasta, — a Marcin Kromer, warmiński na żądanie Zygmunta Augusta Jagiellona. Z królów wolnie obranych rzuciłeś oko wasza król. mość na mnie, w rzędzie téj hierarchii najmłodszego. Nie umiém sobie podchlebiać, abym się przynajmniéj z drugim porównał wyborem pióra i znajomością rzeczy; atoli tego jestem pewien, że niestronna a od przywar obecnego wieku czysta potomność postawi Stanisława Augusta dla dobréj jego ku narodowi swemu chęci obok z dwoma tymi laskawymi i dobroczynnymi poprzednikami. Dla mnie zaś ztąd będzie największa chluba, że chociażbym zamiaru woli i nadziei waszéj król. mości jako człowiek śmiertelny i omyłkom podległy nie dopełnił, starałem się zawsze w każdéj wieku i stanu mojego chwili być waszéj król. mości, pana mojego miłościwego wiernym i powolnym na rozkazy poddanym.

1. Kazimiérz Wielki, król.

Ziemia polska, stawszy się jednym nierozdzielnym królestwem, od czasów Chrobrego rządzona była blizko przez półtora wieku od królów, którym lubo polityka tytuły królewskie częstokroć zaprzeczała; państwom ich jednak prerogatywy królestwa nie odjęła. Ostatni z jednowładców, Krzywousty, podzieliwszy monarchią na cztérech synów w zamiarze, ażeby ten podział politycznego związku narodu nie rozrywał, najstarszemu z rodzeństwa zwierzchność najwyższą nad drugimi przyznał. Składali wszyscy książęta jedność ciała rzeczypospolitéj pod jedną głową książąt krakowskich, a różność głów w różnych księstwach panujących nie rozrywała nigdy całości narodowéj. Była Polska królestwem, choć nie miała króla, mając zwierzchnika i dziedzica w linii najstarszéj. Lecz że ta władza, acz prawdziwa, była nader słabą w równości, a częstokroć i większości sił braterskich, potrzeba było one dźwignąć mocą, a okrasić piérwszeństwem i dostojnością tytułu królewskiego dla powagi u swoich i obcych. Uczynił to piérwszy Przemysław, książę wielkopolski: uczuł naród potrzebę miéć swojego króla, i koronę mu włożył. Następca

jego Łokietek na księstwo Wielkopolskie, a sam już dziedzic wielu innych prowincyj, pozyskał tęż samę królewską dostojność, pisawszy się piérwéj książęciem różnych spadkowych prowincyj, a książęciem i dziedzicem całego królestwa Polskiego. Chciały go wszystkie ziemie mieć królem, i naprzód do Rzymu wyprawiwszy po koronę Gerwarda, biskupa kujawskiego, gdy papież dar ten zwlekał, same go wkrótce w Krakowie ukoronowały. Weszła w obyczaj odtąd elekcya i koronacya królów. Biskupi, wojewodowie i kasztelani, tudzież inni urzędnicy koronni ze stanem rycerskim, pomnożeni w majątki i powagę, wchodzący do rady pod udzielnymi książętami, lubo dziedzictwa panom swoim nie przeczyli w swoich udziałach, że jednak szło o całość panowania nad narodem, z tylu prowincyj od sobie dawniéj oddzielnych złożonym, spólne też głosy na panować mającego łączyć chcieli, a to dla potwierdzenia praw swoich i swobód osobistych przy dobru publicznym. Okoliczności kazały przychylić się do tego żądania. Linia Piastów szląska i mazowiecka wiązała się z Krzyżakami i Czechami, mogąc zawsze domowe wzniecać rozterki za ich wsparciem, jako nie chętnych mocy i porządkowi w Polszcze, a z jéj rozerwania korzystających. Nie było więc lepszego środka do bespieczeństwa publicznego i utrzymania całości nowozwiązanego kraju, jako być powszechnie wspiéranym od tego narodu, który obrał i ukoronował. Tym sposobem spokojne berło trzymali Przemysław z Łokietkiem, że ich królami swoimi Wielka i Małopolska tudzież Pomerania zgodą powszechną mieć chciały.

Po odprawionym zatym zmarłego króla pogrzebie w kościele katedralnym krakowskim, zaczęto myślić o obraniu nowego, nie że nie było przyrodzonego i testamentem ojcowskim wyznaczonego dziedzica, lecz ponieważ Jan Czeski przywłaszczył sobie tytuł króla, a książęta głogowscy czynili się też dziedzicami polskimi, chciał naród uchylić tych pretendentów, przyznając Kazimiérzowi głosem powszechności, co mu z prawa natury należało. Miał Kazimiérz miłość i sławę dla męstwa, które w ostatniéj ojca z Krzyżakami wojnie okazał, a dla rostropności i sprawiedliwości, zkąd sobie Polska wiele obiecywała. Niepewny też z Krzyżakami pokój, a słabość kraju wewnętrzna, łatwo zebranych na zjazd powszechny w Krakowie panów i szlachtę skłoniła serca do ogłoszenia królem Kazimiérza. Dopomogło do tego wysłane od Karola, króla węgierskiego świetne poselstwo.

Szwagier i przyjaciel jego życzył mu uprzejmie korony: ofiarował przytym wszelkie posiłki w ludziach i orężu, jeźliby ich w jakich przygodach nowy król i naród potrzebował. Ogłoszony więc jednomyślnie Kazimiérz królem, a na dzień S. Marka Ewangelisty, przypadający w niedzielę, uchwalona koronacya. Zachodziła niejakaś trudność ze strony Anny Gedyminowny, żony królewskiéj. Matka jego Jadwiga, wielkopolska księżna, sądziła za ujmę praw i honoru swojego, gdyby za jéj życia synowa koronę nosić miała. Dała się jednak uprosić synowi: a na większy dowód swojéj ku niemu powolności, uchyliła się z Krakowa do Starego Sandecza, gdzie habit i życie Franciszkanek przyjąwszy, resztę dni w klasztorze przepędziła. Nastąpił akt koronacyi w czasie naznaczonym. Kazimiérz, w szaty królewskie w zamku przez biskupów ubrany, i do kościoła zaprowadzony, wespół z żoną Anną otrzymał zwykłe namaszczenie przez ręce Janisława, arcybiskupa gnieźnieńskiego, przy assystencyi Janów, krakowskiego i poznańskiego, a Macieja, kujawskiego, i Stefana, lubuskiego biskupów. Dni następujące spędzone na turniejach i innych zabawach rycerskich. A że młody monarcha liczył dopiéro lat wieku dwadzieścia i trzy; przydany mu do rady i pomocy w rządzeniu państwa Jaśko z Melsztyna herbu Leliwa, mąż rozumny i ojczyznę kochający, za którego powodem wkrótce Kazimiérz skarb swój, wojnami i złym rządem wypróżniony, do znacznych dochodów przywiódł.

Potrzebna była zaiste królowi nowemu mądra rada z dzielnością jéj wykonania w tak trudnych państwa okolicznościach. Dziedzic obszernych prowincyj po ojcu Władysławie, a król i zwierzchnik najwyższy innych księstw, od pokrewnych książąt prawem feudalnym trzymanych, a do korony i królestwa Polskiego, na które był wyniesiony, należących, nie był pewnym utrzymać się na nich spokojnie dla zagranicznych i wewnętrznych przeciwności. Jan, król czeski, roszcząc sobie prawo do korony polskiéj po dwóch Wacławach ostatnich, zażywał tytułu króla polskiego: nadto przywiódłszy różnemi sposobami wielu książąt szląskopolskich do uczynienia sobie hołdu, kraj ten cały swojego berła udziałem być rozumiał. Krzyżacy, nie przestając na ziemi Chełmińskiéj, danéj sobie od Konrada Mazowieckiego z obowiązkiem jéj powrotu za zdobyciem Prus, opanowali najprzód ziemię Michałowską bezprawnie, potym Pomeranią całą, daléj ziemię Dobrzyńską, a nakoniec Kujawy mocą, kupnem niesprawiedliwym, i innemi

niegodziwemi sposobami, nie chcąc należéć do królów polskich. Książęta mazowieccy ich sprzymierzeńcy dla bojaźni, utrzymywali ligę z Niemcami, a Wacław Płocki już i czeskim został hołdownikiem, oderwawszy się równie ze szląskimi od posłuszeństwa panom przyrodzonym. Już jeźli przydamy niesforność kraju wnętrzną, przemoc możniejszych w czasie rozdziału państwa pomnożoną, małą zamków i miast warownych liczbę, niedostatek skarbu, niesprawiedliwość sądowych magistratur, uszczerbek dóbr królewskich przez odrywki onych na prywatne zyski, rozboje po drogach, i wzajemne między sobą napady, nakoniec częste od Litwy i Tatarów najazdy, — dostało się Kazimiérzowi królestwo pełne trudności, a blizkie swojego upadku.

W takowym rzeczy zamięszaniu uznał Kazimiérz za rzecz sprawiedliwą usunąć na czas oręż obcy przez zyskanie doczesnego pokoju z potężnymi nieprzyjaciołami, i najprzód się od Krzyżaków zabespieczyć. Bo lubo mu ojciec Łokietek umiérając zalecał pilnie, aby się jak najusilniéj starał wydrzéć mocą Krzyżakom niesprawiedliwe zabory, nie zdało sie z mocniejszymi w oręż, majątki, porządek i ligę wchodzić w wojnę porywczą, bez uporządzenia najprzód wewnętrznego, jakiego czas i okoliczności obecne dopuścić mogły. Ukrócił wprawdzie Łokietek zuchwałość krzyżacką pod Płowcami; lecz jéj zupełnie nie złamał. Panowie tylu krajów pewnieby dalszego z Polakami pokoju nie chcieli, gdyby ich wojny z Litwą nie rozrywały, Węgrzyn im nie groził, a Jana, króla czeskiego ambicya w nowe go trudności, jako się niżéj powié, nie wprawiła. Wysłani zatym posłowie królewscy wespół z węgierskimi do Torunia, w niedzielę drugą po Wielkiéjnocy uchwalili z Krzyżakami zawieszenie broni do Zielonych Świątek w roku następującym. W tym przeciągu czasu obrani z obu stron dawniéj królowie, czeski i węgierski traktować mieli o zupełną zgodę, a król polski dać mistrzowi assekuracyą, jako to postanowienie toruńskie wiernie i zupełnie zachowa. Krok ten piérwszy do spokojności zewnętrznéj od króla uczyniony, wielce był pożyteczny dla ojczyzny. Leżały odłogiem opuszczone od wieśniactwa role, upadł handel i rzemiosła w miastach, a z niemi razem przemysł i bogactwa. Lecz niszczyły kraj nadto zagęszczone rozboje, skutek zwyczajnéj nędzy powszechnéj, dla nieczynnych w czasie zaburzonym magistratur, a zuchwałości próżniaczego hultajstwa. Stan nawet szlachecki wolnym nie był od téj hańbiącéj skazy. Zmarły król nie czynił za życia swojego sprawiedli-

wości ze złoczyńców, bądź nie lubił krwi rozlewać, bądź zatrudniony wojnami czasu do tego nie miał. Kazimiérz za radą Melsztyńskiego użył wszelkiéj na nich surowości w piérwiastkach panowania bez względu na urodzenie, aby się zbrodnie względami i powolnością nie krzewiły. Obwołane po wszystkich jurysdykcyach rozkazy imania i kary na przestępnych oczyściły wkrótce Polskę z ludzi szkodliwych, wracając bespieczeństwo obywatelom.

Atoli trzeba było dłuższéj w kraju spokojności od zagranicznych napaści dla przyprowadzenia go do stanu odporu i powagi. Krzyżacy prócz Pomeranii, ziemi Michałowskiéj i Dobrzyńskiéj, za Łokietka zabranych, trzymali wielką część Kujaw. Wojna była potrzebna; lecz słabość narodu onéj poczynać nie pozwalała. Prócz tego nalegał papiéż częstemi listami na króla i Krzyżaków, aby zaniechawszy gorszących chrześciaństwo zatargów, oręż swój raczéj na sąsiednie Tatary obrócili. Dał ten zakon znaki niejakiéj na rozkazy papiezkie powolności, kiedy w tymże roku wysłany z Awinionu do Polski i Prus legat jego, Galiard *de Carceribus,* na wybiéranie groszów Świętego Piotra i wejźrzenie w zaniesione skargi na swoich poprzedników, nakłonił go do płacenia z Pomeranii świętopietrza, którego przez czas długi oddawać Krzyżacy do kamery apostolskiéj wzbraniali się. Negocyacya tegoż legata względem pogodzenia króla z zakonem, a przytym starania posłów króla węgierskiego tyle sprawiły, że się znowu rozpoczęły traktaty w Malborgu o przedłużenie pokoju. Mistrz Luder z Brunświka wyznaczył swoich kommendorów. Stanęła zgoda dnia ostatniego kwietnia pod temi obowiązkami. Pokój, między królem a zakonem wypłynąć mający na Zielone Świątki, trwać będzie do Ś. Jana w następującym roku, co król własnym listem potwierdzi i zabespieczy. W tym pokoju zawarci będą król czeski, oraz książęta mazowieccy, Ziemowit i Trojden, jako sprzymierzeńcy i przyjaciele krzyżaccy ze wszystkiemi swojemi państwami i ludźmi. Mistrz Luder obiecuje oddać tymczasem zamek Brzeski z miastem i ziemią do nich zdawna w całych swoich granicach należącą, oraz miastami, cłami i innemi wszelkiemi pożytkami i przynależytościami w zarękę Ziemowitowi, książęciu mazowieckiemu, lub jeźli się on wzbraniać będzie, tedy Maciejowi, biskupowi kujawskiemu. Cło w Redzcu zostanie przy Krzyżakach na utrzymywanie bespieczeństwa dróg publicznych od napaści złoczyńców. Rzeczeni zaręcznicy, lub jeden z nich objąwszy księ-

stwo Brzeskie w aktualną i rzeczywistą posessyą, wrócić one zakonowi będą powinni cztérema tygodniami przed wyjściem zgody, jeźliby w tym czasie pokój wieczysty nie stanął za pośrednictwem królów, czeskiego i węgierskiego, lub jeśliby król węgierski chciał zrywać te umowy, które się między zakonem, a posłami tak jego, jak polskimi względem puszczenia w zarękę Brześcia uchwaliły, i których król polski ma także uczynić ratyfikacyą.

Małoco przed tym postanowieniem malborskim spadły przy końcu kwietnia potężne śniegi, i przez pięć dni trwając, wielkiéj trwogi rolników nabawiły. Opatrzność zamieniła spodziéwaną klęskę w dobry skutek: roztopem tych zamrozów sprawione pola lepiéj, jak tłustemi nawozami, przyniosły wzrost i żniwo oddawnych lat nie widziane.

Zabespieczony kraj pokojem od Krzyżaków, udarzony żywnością, pomnażał się w ludzie, porządek i majątki. Zaradzał Kazimiérz wszystkim onego potrzebom; a gdy ziomków własnych nadzieję pomnażał, miał względy ludzkości na obce nawet przybysze. Każdy stan być może w kraju pożytecznym, gdy żyje pod prawem, i moc jego nad sobą czuje. Rozmnożyli się Żydzi w Polszcze od czasów niepamiętnych. Ciérpienie w narodzie a więcéj niż dwuwieczne zamieszkanie dało im istotę niejakąś błędnego obywatelstwa. Nie przywiązani do uprawy roli, ani do rzemiosł, żyli tylko z handlu i lichwy. Sposób zyskowny i próżniaczy, przy zwyczajnéj z zabobonów, obyczajów i odzienia ohydzie, narażał ich na wexy, zdziérstwa i uciemiężenia, czyniąc ich stan niepewnym, bez zasłony praw i zabespieczenia cywilnego. Ciérpieli na osobach, majątku i sławie tym dotkliwiéj, że na to rządowa zwiérzchność milczała. Bolesław, książę kaliski uczynił im sprawiedliwość. Determinował sądy według gatunku spraw; dał ważność ich przysięgom; zabespieczył żyjące osoby i mogiły zmarłych od niekarnych gwałtów; porównał ich handel z innymi; uchylił od gminnych zarzutów potrzeby krwi chrześciańskiéj, jakoby prawem nakazanéj; zabronił chwytania ich dzieci, i przymuszania do wiary. Co wszystko że się spiérało na sprawiedliwości i ludzkości, Kazimiérz, wnuk Bolesława, ponowił dziadowskie postanowienie w Krakowie, i one pod imieniem swoim i pieczęcią przez ręce kanclerza, Zbigniewa Żydom podać rozkazał. Poźniejsze wieki za Witolda i Alexandra króla dały mu większą wagę, włożywszy w statut koronny i litewski dla prawidła sądowym jurysdykcyom. —

Rok 1362.

Polska zażywała pokoju wewnątrz i za granicą, zapatrując się tylko na wszczęte wojny między sąsiednią jéj Litwą i Krzyżakami. Winryk *de Kniprode*, mistrz wielki, wtargnąwszy w kraje dzielnicy Kiejstuta na wstępie wiosny, i one széroko zniszczywszy, podstąpił pod Kowno, miasto murami i zciekiem rzék wielkich, Niemna z Wilią, sztuką i posadą warowne. Ułatwiło się oblężenie Niemcom zbiciem poprzedniczym wojsk litewskich, które Olgierd, Kiejstut i Patryk na odsiecz przyprowadzili. Bronił mężnie zamku Wojdat, syn Kiejstuta, i wielkie w postępujących pod mury nieprzyjaciołach szkody poczynił. Lecz Krzyżacy oszańcowawszy swój obóz mocnym wałem, a przekopy zalawszy wodą z téj strony, zkąd na nich Litwa, gromadząca się po piérwszéj rozsypce mogłą natrzéć, popiérali bespiecznie oblężenie nieustannym z dział biciem, tak dalece, że Kiejstut, widząc blizkie miasta wzięcie, prosił o umowę. Krzyżacy ofiarowali Litwinom wstępną bitwę: a nakoniec po kilkotygodniowym szturmie wywaliwszy mury, wzięli mocą zamek w sobotę przed Wielkąnocą. W tym oblężeniu zginęło Litwy do trzech tysięcy. Wojdat, syn książęcy ze trzydziestą sześcią ludźmi przedniejszymi w niewolę wzięty: samo miasto spalone i zrujnowane, któremu téż losowi wkrótce podpadły inne dwa zamki: Pisten i Wielona. Mistrz z kilkąset niewolników i wielkim plonem wrócił się do Malborga.

Wojna Litwę burzyła, a głód Polskę. Przy końcu wiosny, gdy osiane oziminą i jarym zbożem pola kwitnąć poczynały, wylała północ tak burzliwe wiatry, i dészcze tak obfite, że trwająca przez czas długi plutliwa chwila, otrząsłszy kwiat z kłosów, i popsuwszy młodociane wszelkiego ziarna zawiązki, płonną tylko słomę rolnikom zostawiła. Rozniosła się po całym królestwie nędza i skwiérk powszechny. Przezorny król a baczny zawsze na nieprzewidziane zdarzenia, trzymał po wszystkich prowincyach pełne szpichlerze dla przygody. Udawali się potrzebni do pewnego źrzódła, biorąc zboże za lekką cenę, a kto piéniędzy nie miał, płacił usługą publiczną, pracując około budowy zamków, opasów murami miast, naprawy dróg walnych, stawiania gmachów, sciągania w kanały wód, tudzież innych pożytecznych robot, które król gospodarny od wstępu swojego na tron pomnażać nie przestawał. Takowa dla rodzaju ludzkiego dobroczynność, rozniosła sławę imienia

jego po Europie, a skarb dworny wielkiemi dochodami napełniwszy, poważnym go i mocnym w sąsiedzkich państwach uczyniła.

Rok 1363.

Zaświadczył to rok następny sławnym dla narodu pośrzednictwem monarchy tego do zgody między cesarzem i Ludwikiem królem węgierskim. Powstały między niemi niechęci z prywatnych między graniczącymi z sobą poddanymi sporów. Ludwik wyprawił poselstwo do Karola, żądając sprawiedliwości: a gdy Karol w rozmowach z posłami wtrącił nieprzyzwoite na matkę królewską, Elżbietę Łokietkównę słowa; pomnożona zniewagą matki uraza Ludwika pociągnęła za sobą odgróżki i wkrótce wojnę otwartą. Gotował się na nią Węgrzyn, zawiérając przymierza z sąsiadami. Złożony zjazd w Prezburgu w roku przeszłym, na którym się i Kazimiérz znajdował. Tam uchwalony wzajemny przyjaźni i obrony związek między królami, polskim i węgierskim, a książętami Austryi, Rudolfem, Fryderykiem, Albertem i Leopoldem, tudzież Mejnhardem, książęciem Bawaryi, i wkrótce poczęły się zciągać wojska ku Trenczynowi. Było przedsięwzięciem Ludwika wnijść do Moraw, a tymczasem czekać na posiłki Polaków, i wciągnąć do ligi swojéj Bolkona, książęcia świdnickiego. Lecz Kazimiérz nie był w stanie pomagać Ludwikowi dla głodu w kraju w tym roku zaszłego, a cesarz téż potężne naprzeciw Węgrom wojsko przygotował, i obozem pod Brodą w Morawie stanął. Zdało się stronom, przed dobyciem oręża pomyśléć o śrzodkach pokoju. Jakoż wysłany Bolko Świdnicki do Trenczyna od cesarza tyle u Ludwika dokazał, że Węgrzyn wyprawił do obozu czeskiego Mikołaja *Kenth*, wojewodę, i Stefana *Bebek*, sędziego zadwornego, aby oni o dalszą spokojność umowy czynili. Kazimiérz zaś, ponieważ sam nie mógł jechać osobiście do cesarza dla niebespieczeństwa od Litwy i Tatarów, chcących korzystać z zaszłych między chrześciańskimi panami niesnasków, wyprawił tam Jana Jurę, wojewodę sandomirskiego, i dał mu do traktowania plenipotencyą. Wszakże przez cały czas zimowy stojący na pograniczu morawskim Węgrzy, pod sprawą Władysława, książęcia opolskiego, i Piotra bana broń zdala gotową nieprzyjaciołom okazywali.

Takowe w państwach katolickich rozruchy pobudziły Urbana V., świéżo na papieztwo wyniesionego, do pojednania królów. Wzmagała

się na wschodzie potęga Turków przez gnuśność cesarzów carogrodzkich, a zajścia domowe książąt europejskich, którzy po pierwszych krucyatach Syryą, Palestynę i inne pobliższe im kraje opanowali, wygnawszy pogaństwo. Piotr, król cypryjski, syn Hugona, objąwszy tron po ojcu przed dwoma laty, umyślił wskrzesić zatarte wiekami przodków męstwo, i powszechną na Turki w Europie podnieść chorągiew. Szczęśliwe oręża jego w Azyi Mniejszéj pierwiastki, którym złączony z kawalerami rodyjskimi, teraz Maltańczykami, miasta Satalii dobył, i już do Kalcedonu się przybliżał, wznieciły w nim tym większą chęć do rozpoczęcia krucyaty, a w papieżu do jéj ogłoszenia i poparcia. Przedsięwziął zatym odprawić podróż do Awinionu, naprzód morzem Czarném do Wołoch, potym lądem przez Polskę i daléj dla pobudzenia książąt w podróży, a ułożenia z papieżem planty powszechnéj. W tymże samym czasie Waldemar, król duński, obruszywszy na siebie miasta w Niemczech nadmorskie handlowne, wandalskiemi a potym hanzeatyckiemi nazwane, przedsięwziął także podróż do Awinionu przez Pomeranią Szczecińską dla ułożenia z niemi zgody za pośrzednictwem papieża, i dla wejścia w ligę przeciwko Turkom. Te tak pomyślne do uprojektowanéj krucyaty początki, któréj Jan, król francuzki miał być głową, tudzież rozruchy włoskie wszczęte od Wiskontych i Bernebona, które papież zamyślał poskromić przez cesarza, żeby się wojną domową Czechów z Węgrami nie trudniły; wyprawił Urban w poselstwie do Węgier Piotra, biskupa weletryjskiego dla pojednania królów. Nie ustawały jednak przygotowania wojenne. Bo gdy z jednéj strony Kazimierz zgromadzał Rusinów i Tatarów, a dla większéj mocy zapraszał Duńczyków i Pomorzanów do tego związku, Karol z drugiéj czekał na nich w gotowości. Bądź to była praca legata Piotra, który do Krakowa, Budy i Pragi bez ustanku przejeżdżał się, bądź żądza pokoju i lekkość przyczyn, związek jego targających, zdali się królowie na rozsądek Kazimierza i Bolkona Świdnickiego, aby oni zaszłe między niemi spory ułagodzili. Nie chciał w rzeczy saméj Kazimierz téj wojny, mając co do czynienia z Litwą, i widząc dobrze, że cesarz owdowiały śmiercią Anny, księżniczki głogowskiéj, żądał pojąć w małżeństwo Elżbietę Pomorzankę wnuczkę jego, jużto dla umocnienia związku krwi z królami, już dla pewniejszego na potym pokoju w domu, aby i papiezkie interesa we Włoszech popierał, i uprojektowanéj na Turki wojnie nie przeszkadzał. Pragnął nakoniec

Kazimiérz zobowiązać sobie papieża. Uchwalony zatym naprzód zjazd do Krakowa na wstępie roku, i wesele Karola.

Kazimiérz chcąc ten akt ślubny cesarza z jak największą obchodzić uroczystością, zaprosił nań królów: Ludwika, węgierskiego, Piotra, cypryjskiego i Waldemara, duńskiego, z których piérwszy, jakośmy wyżéj mówili, jadąc z Wołoszczyzny przez Ruś i daléj do Awinionu, jeszcze Krakowa nie przebył. Drugi mając także wyjéżdżać do tegoż Awinionu, zajechał do Szczecina do Bogusława, książęcia Pomeranii dla umowy z nim w interesie miast wandalskich czyli hanzeatyckich. Przybyli także do Krakowa: Ludwik węgierski przez Sandecz i Bochnią, Otton, książę bawarski, Bolesław na Świdnicy, Władysław na Opolu, książęta szląscy, Ziemowit, książę mazowiecki, tudzież inni świeccy i duchowni książęta: a nakoniec Bogusław, książę pomorski na Szczecinie z córką Elżbiétą w towarzystwie króla duńskiego, Waldemara. Nadjechał téż Karol cesarz z Pragi, którego na granicy przy Bitomiu przyjąwszy wysłani od króla liczni panowie koronni, prowadzili przez Będzyn i Olkusz do Krakowa, opatrując wszystkie potrzeby w téj podróży. O milę od miasta wyjechali konno na przyjęcie cesarza cztéry królowie z książętami w pośrzodku niezmiernego ludzi mnóstwa, na to rzadkie w świecie widowisko zebranego; a gdy już byli od siebie o kilka staj, cesarz zsiadłszy z konia, szedł ku królom; co téż i oni uczynili, i tak się z sobą pieszo złączyli. Płakali wszyscy z radości przy miłym siebie wzajemnie usciskaniu: a lud im przytomny łez wylewać dopomagał, ciesząc się z przyjaźni głów ukoronowanych, na których związku szczęście narodów zapewnione być widział. Wsiadłszy potym na konie, jechali do miasta, przed którym spotkał monarchów Bogusław książę, okazując przyszłą małżonkę cesarzowi, gronem licznym strojnych niewiast i dziewic otoczoną. Zeszła dnia reszta na prowadzeniu gości do miasta dla poprzedzających wjazd ich rycerskich orszaków, a duchownych i miejskich zgromadzenia.

Honor narodu kazał, aby tak znakomici goście z należytą ich stanowi wspaniałością byli przyjęci i podéjmowani. Król w skarby zamożny, w gospodarstwie rządny, w utrzymywaniu dostojeństwa korony okazały, miał do tego aktu wszelkie przygotowanie. Miasto Kraków, siedlisko zdawna książąt i królów, liczyło się wtenczas co do liczby i bogactw mieszkańców, a wspaniałości domów między piérwszemi w Europie. Przyjęli go do ligi swojéj miasta handlowne, hanzea-

tyckiemi nazwane. W takiéj murów rozległości i mnóstwie gmachów, pomieścił król wygodnie kollegów swoich, książąt i wszystkie ich dwory, z Piotrem, legatem papiézkim. Z wygodą łączył się przepych w złocie, srebrze, jedwabiach, powozach i kosztownych stołach: a czego kraj nie miał, już Wenetowie z Genuńczykami bogatych towarów indyjskich na morzach Perskim, Arabskim, Śródziemnym i Czarnym samokupcy Europie dostarczali. Nad wszystkimi sługami, do opatrowania potrzeb gościnnych od króla wyznaczonymi przodkował Mikołaj Wierzynek, rajca krakowski, szlachcic herbu Łagoda, urodzeniem Niemiec od Renu, który skarbem królewskim zawiadując, wszystkich rad, rozporządzeń i ustanowień jego był ucześnikiem i wykonaczem. Prócz wygód domowych, każdemu aż do zbytku szafowanych wystawiano co dzień w około rynku beczki z trunkami, naczynia z jadłem, i owies dla rozszarpania gminowi. Trzeciego dnia po wjechaniu królów, nastąpił ślub w kościele katedralnym za błogosławieństwem Jarosława arcybiskupa, a w przytomności legata papiézkiego. Posag dla cesarzowéj wyznaczony od króla w summie stu tysięcy złotych. Przez całe dni dwadzieścia trwały biesiady, różne igrzyska, posyłania gościom kosztownych upominków od króla, który przewyższywszy bogactwami poprzedników swoich, wspaniałość tronu swojego przewyższającą podziwienie hojnością chciał podówczas światu okazać. Nie pospolitą téż w dziejach narodowych zostawił pamięć Mikołaj Wierzynek. Szafarstwo skarbu królewskiego, a przytym przemysł i handlowne zyski uczyniły go najmajętniejszym w kraju obywatelem. Chełpliwy zapragnął mieć w domu swoim królów na obiedzie. Nie odmówili mu téj łaski monarchowie, pewni darów, i nadgrody honoru. Wierzynek sadząc gości do stołu, otrzymał piérwéj od nich pozwolenie, aby według swojéj woli miejsce każdemu naznaczył. Liczne dobrodziejstwa wzięte od króla i pana swojego były mu powodem do posadzenia naprzód Kazimiérza, po którym cesarz, a daléj królowie: węgierski, cypryjski i duński, — tudzież po nich inni książęta udzielni miejsca swoje zasiedli. Długosz powiada, iż Wierzynek na tym obiedzie do sta tysięcy czerwonych złotych królom i książętom w upominku rozdał. Wreszcie po zakończonym tym weselu zawarte były między królami różne przyjaźni i wzajemnéj obrony przymierza: a na Turków i inne pogany uchwalona liga. W jakich zaś punktach zgoda ta Czechów z Węgrami i Austryakami była ułożona za pośrzednictwem Kazimiérza, zaświadcza

to zeznanie Karola cesarza w roku następującym na piśmie w Brunie ogłoszone.

Rok 1364.

Wszystko się dotąd wiodło dobrze królowi; lecz nie ustawała troskliwość, że przywracając narodowi swojemu sławę, spokojność i porządek, nie widział ze krwi swojéj potomka płci męskiéj do następstwa. W takowym zamiarze zawarł nową tranzakcyą w Krakowie z Ludwikiem Węgierskim, który na początku maja do stolicy téj przybył. Oświadczył w niéj Ludwik, że lubo poprzedniczemi umowami królestwo Polskie po śmierci Kazimiérza bez potomstwa męskiego spaść miało na Ludwika, wszelako jeżliby król wszedł w związki małżeńskie z jaką księżniczką, i z niéj syna spłodził, ten tylko po nim na królestwo ma nastąpić: córka zaś, jeżliby jaka była, posagiem tylko ma się kontentować.

W tymże miesiącu założone są początki akademii krakowskiéj, matki nauk w Polszcze, a zrzódła nieustającego sławnych w ojczyźnie mężów, których ona w każdym stanie wydając, dotąd narodu zdobić i zasilać nie przestaje. Były dotąd w Polszcze po różnych miejscach szkółki prywatne, od biskupów krajowych po większéj części utrzymywane. Wojny domowe, od dwóchset prawie lat nie ustające, roznosząc szczęk oręża, głuszyły głos ów dobroczynny nauk, który niewinnym w dzikie serca, a twarde umysły wsiękaniem, tworzył w nich powoli smak pokoju, obyczajności, porządku i przemysłu, a z nich wynikających dla powszechności użytków. Sąsiedzi Czesi poznawszy tę prawdę, dźwignęli przed kilką laty w stolicy swojéj Pradze akademią za powodem Karola IV. cesarza. Rudolf, książę austryacki czynił tegoż roku staranie, aby papiéż Urban V. przychylił się do jego zamiarów w ufundowaniu podobnéj szkoły w Wiédniu. Kazimiérz, zaspokoiwszy wewnątrz i zewnątrz królestwo, uzbroiwszy je zamkami i prawami przeciwko obcym i domowym gwałtom, chciał przez chwalebną sąsiadów emulacyą uwieńczyć prace swoje zaszczepieniem nauk. Na ten koniec wydał dyploma publiczne, miejsce, rząd, bespieczeństwo i dochody dla uczących się wyznaczające, a nowy ten swój fundusz porównał ze sławnemi podówczas w Padwie i Bononii akademiami. Nastąpiła tegoż czasu submissya miasta Krakowa, jako ten króla przywilej w całości swojéj dotrzymać obiecuje: Urban téż papiéż na proż-

bę królewską powagą stolicy apostolskiéj tę szkołę główną potwierdził, i list do króla w téj saméj okoliczności z pochwałami jego napisał. Nie wzięła atoli skutku zupełnego ta królewska fundacya, a sława jéj dopełnienia dopiéro w lat trzydzieści cztéry Władysławowi Jagielle z żoną Jadwigą zachowana, w naszych zaś czasach od Stanisława Augusta pomnożona.

Nastąpiło wkrótce nowe rozporządzenie sądowéj jurysdykcyi w mieście stołecznym, Krakowie. Nadał to miasto prawem teutońskim Bolesław, nazwany Wstydliwym. Szérzyło się powoli to prawo po różnych miastach koronnych dla pociągnienia obcych osadników, których prawo polskie, lubo ze zwyczajów Niemców, Franków i innych narodów monarchicznych wzięte, jako podciągające gmin pod rozmaite powinności publiczne i prywatne, odrażało. Sądzili po rzeczonych miastach, miasteczkach i wsiach teutońskich wójtowie, adwokatami, i sołtysi, skultetami nazwani, wespół ze swoimi ławnikami. A że od tych sądów częstokroć zachodziły appellacye od stron do sądu magdeburskiego nie bez obelgi narodowéj i wielkich kosztów z utratą krajowych pieniędzy; zniósł tę appellacyą Kazimiérz, i w mieście Krakowie ustanowił najwyższy czyli prowincyonalny sąd teutoński, do któregoby wszystkie sprawy od mniejszych sądów z całéj Polski przychodziły. Sąd rzeczony złożony być miał z wójta w prawie biegłego, siedmiu wybranych mieszczan okolicznych przez starostę, od którego sądu jeźliby do króla zaszła appellacya, podówczas wyznaczonych od niego po dwu rajców, z miast sześciu, tojest: Krakowa, Sandecza, Bochni, Wieliczki, Kazimiérza i Iłkusza, ostateczny i nieodzowny wydadzą wyrok.

Zabespieczona w krajach ruskich przymierzem litewskim spokojność dała pochop królowi do pomnożenia téj prowincyi w ozdobę moc i handel. Budując lub naprawiając miasta, przywabiał do nich zza granicy osadników, lub zamieszkałych obroną ich praw i religii w obywatelstwie utrzymywał. Gdy Saraceni niszcząc wschodnie państwa, cisnęli mieczem tameczne narody, przeniosło się wiele familij ormiańskich na Ruś jeszcze za książąt ruskich. Dawali im protekcyą ci książęta, a przez nich mnożyli handel krajowy. Późniejsze Turków na tymże Wschodzie zwycięztwa i rozboje, mnożąc uciski w obu Armeniach, więcéj jeszcze ludzi tego narodu na Ruś wprowadziły. Kazimiérz, pozwoliwszy im przed kilką laty wolność sądzenia się swo-

jemi prawami we Lwowie, będąc w tym mieście tego roku przytomny, dał wolność religii; a biskupowi ich Grzegorzowi mieszkać w téj stolicy ruskiéj dopuścił. Rzecz do prawdy podobna, że Ormianie będący we Lwowie i po innych miastach ruskich, lubo swój narodowy, jak i teraz, obrządek mieli, nie podlegali temu odszczepieństwu, które ich naród w królestwie Armenii podówczas rozdzielało.

Rok 1370.

Ten rok ostatnim był życia Kazimiérza i Piastów, na tronie polskim od lat kilkuset panujących. Przezimowawszy król w mieście Krakowie, wyjechał na wiosnę do Wielkopolski, gdzie przez całe lato przemieszkał, mający przepędzić jesienną porę w księstwie Sandomiérskim, i na Rusi na zabawach myśliwskich. W tym zamiarze obrócił drogę z Wielkopolski na księstwo Sieradzkie na początku miesiąca września, i wstąpił do Przedborza, które miasto, a w nim dwór dla siebie wspaniale zbudował. Dzieńto był poświęcony Narodzeniu Matki Bożéj, kiedy królowi przyszła chęć polowania na jelenie. Niektórzy z bogobojnych dworzan radzili panu, aby dla uszanowania uroczystości na inny czas tę zabawę odłożył. Przyjęta rada z pochwałą wierności, i już powóz zaprzężony miał odchodzić, lecz jakiś niecnota odwrócił dobre przedsięwzięcie. Wyjechał król do lasów: a nazajutrz, gdy nieostrożnie i skwapliwie po krzakach jelenia dojeżdżał, spadł z konia, i ciężką ranę na lewym goleniu odniósł. Zawieziono go do dworu na wyszukanéj gdzieś w pobliżu wieśniaczéj kolesie. Lata, otyłość, szwanek na nodze, i utrząśnienie wprawiły w gorączkę, którą jednak wkrótce pilność lekarzów nadwornych uskromiła. Za polepszeniem zdrowia kończona podróż do Sandomiérza. Król w jedzeniu mniéj pomiarkowany, gdy mimo zakazy doktora Henryka z Kolonii, grzybami się, orzechami i innemi owocami obciążył, a częstych nadto łaźni zażywał, wpadł znowu w gorączkę, i gorzéj się miéć, niżeli w Przedborzu, począł. Nie przeszkodziła atoli ta słabość, ażeby według rady lekarzów, do Krakowa nie wyjechał. W téj podróży sprawiła w nim większą niemoc zimna woda, któréj się chciwie napił, i ledwo napół żywy przybył do Chrobrzan do domu Grota, kasztelana łubelskiego, herbu Rawicz.

Pomnożona gorączka zdawała się być wszystkim śmiertelną: przecież nazajutrz staraniem tychże medyków przyszedłszy nieco do sił lepszych, udał się do Koprzywnicy. Dworzanie i inni słudzy pana kochający, widząc go być nie zdolnym do jazdy w powozie, wsadzili go do lektyki, i na przemiany go nieśli aż do klasztoru Cystersów, w którym przez ośm dni spoczynku zażywał. Tam uczynił ślub, że jeźli do zdrowia przyjdzie, podźwignie z ruin kościoł płocki, zbudowany od przodków pod wezwaniem S. Zygmunta, i pewnéj liczbie kapłanów przy nim należyte da opatrzenie. Jakoż myśląc już o tym wcześnie, dał rozkaz archidyakonowi gnieźnieńskiemu, ażeby tam kogo posłał dla oglądania murów: a on to zlecił Janowi ze Skrzynna, kapelanowi królewskiemu. Za polepszeniem zdrowia jechał król z Koprzywnicy do Osieka, dworu swojego. Henryk doktor scisłą dyetę przepisał; lecz Maciéj, inny téjże professyi, mimo zakazów kollegi pozwolił królowi napić się miodu, z którym napojem gorączka i większa słabość wróciła się. Przybywszy do Nowego Korczyna, które miasto zamkiem i pięknemi gmachami ozdobił, znowu się lepiéj mieć począł używaniem lekarstw, i w dobrym zdrowiu jechał do Opatowca, gdzie się przez wiele dni zdrowo bawił. Zdawało się Maciejowi najsposobniejsze miejsce do dalszéj kuracyi w Krakowie. Król w piérwszym dniu téj podróży utrząśniony w powozie, wpadł w frebrę, która w ciągu swoim odmieniając paroxyzmy, w ostatnią go słabość wprawiła. W tym stanie przybył do stolicy dnia 31. października, a nazajutrz dnia 1. listopada spytał się przez archydyakona gnieźnieńskiego stojących w pokoju lekarzów, czyli się już znajdował w Krakowie. Zapytanie królewskie wzięte było od Macieja doktora za jakieś rozumu pomieszanie. Lecz król na to odpowiedział: „Wiém ja bardzo dobrze, że się znajduję w Krakowie; lecz utyskuję na obietnic waszych zawód i mylność, którzyście mnie w tym mieście skuteczniejszemi ziołami i innemi lekarstwami, jakie się po wsiach nie znajdują, ratować przyrzekli.“ Zawstydzeni medycy oświadczyli panu, że wszelkich używać będą sposobów do uczynienia mu folgi. Wszakże król czując się być coraz słabszym, żądał od nich rzetelnéj wiadomości, aby mu śmiele powiedzieli, jeźli ta choroba jest śmiertelną, dla uczynienia względem duszy swojéj starania, i domu rozporządzenia. Obiecywane pochlebnie długie życie nie zjednało u króla wiary. Dnia 3. listopada zrana o wschodzie słońca przyzwał do siebie Floryana,

biskupa krakowskiego, Władysława, książęcia opolskiego, wnuka swojego z siostry, tudzież Elżbiétę, księżnę świdnicką, swoją siostrzenicę, z wielą duchownych i świeckich, przed którymi mówił głośno skład apostolski: Wierzę w Boga, i zaraz testament ułożyć kazał. Zapisał naprzód Annie i Jadwidze córkom, spłodzonym z Jadwigi Głogowskiéj połowę wszystkich sprzętów w szatach, złocie, srebrze, i klejnotach, a drugą połowę ich matce; Kazimiérzowi, wnukowi z córki Elżbiéty i Bogusława, książęciu szczecińskiemu księstwa Siéradzkie, Łęczyckie i Dobrzyńskie z zamkami Kruszwickim, Bidgowskim, Bałachowskim i Wałeckim legował: Jan Zaklika wziął zamek Międzyborze w Sandomirskim księstwie, Jacek Żorawski Podgaje, a Paweł z Łodzi Niekłaj; inni dworscy i domownicy inne dobra i wójtostwa pobrali; katedra krakowska wzięła krzyż złoty, drogiemi kamieniami sadzony, ze znaczną częścią drzewa świętego, archikatedra zaś gnieźnieńska srebrny relikwiarz z biblią; a kościoł poznański relikwiarz srebrny także z ramieniem Ś. Kozmy, męczennika w podarunku wziął. Testamentu exekutorem Jan Suchywilk ze Strzelca, dziekan krakowski, kanclerz koronny wyznaczony.

Po rozporządzonych rzeczach doczesnych jako gospodarz domu, chciał umrzéć Kazimiérz jako chrześcianin i katolik. Odprawił spowiedź, wziął święty wiatyk, i zwyczajne umiérającym namaszczenie; a nakoniec dnia 5. listopada w sali dolnéj na południe w zamku krakowskim rano o wschodzie słońca w przytomności krewnych, sług i duchowieństwa umarł. Ciało zmarłego trzeciego dnia zaprowadzone do grobu przez arcybiskupa gnieźnieńskiego, Jarosława, i Floryana krakowskiego, i Piotra lubuskiego, biskupów pochowane po prawéj stronie ołtarza, gdzie widzieć dotąd nadgrobek w kościele katedralnym, osobę jego i twarz, jaką miał za życia, wyrażający. Miał Kazimiérz lat wieku swojego 60, panował lat 37. Był on wzrostu wysokiego i otyły, włosów gęstych i kędzierzawych, brody długiéj; mówił głośno, lecz nieco zająkliwie. Wsławiły go bardziéj dzieła w pokoju znakomite, niżeli wojenne sprawy. A przeto z tamtych zasłużył sobie bardziéj na imię Wielkiego, to jest, z budowy wspaniałych i pożytecznych gmachów, dźwigania zamków i miast, opasów ich murami, rozrządzenia wnętrznéj kraju ekonomiki, i innych przezornego króla i bacznego gospodarza czynów. Zjednał sobie prócz tego miłość powszechną we wszystkich stanach hojnością, sprawiedliwością, łaskawością, ła-

twym każdemu przystępem, a bogatym i wspaniałym, jak na króla przystało, w domu i podróżach obejściem. Inni mu z postaci i wzrostu nadane imię Wielkiego, przeciwnym ojcu Władysławowi sposobem, być rozumieją, pomyliwszy się podobno na nie dobrze zrozumianych wyrazach prawdziwéj łaciny. Dzieła tego króla, których szacowane ślady dotąd widzimy, sprawiedliwiéj to imię do zasług jego i przymiotów wielkich stosować każą, niżeli do wzrostu, bez wielkości duszy mało znaczącego.

Albowiem ten monarcha, potargawszy niewywikłane owe dawnych zwyczajów i szkodliwéj legislacyi na plątaninę i zagubę drobniejszych obywatelów sidła, prawa jasne, czyste, do wszystkich stanów stosowne, albo poprawione zachował, albo nowe utworzył; skargi i potrzeby uboższych nie tylko cierpliwie słuchał, ale onym dzielnie zaradzał. Nie zbytkowali za jego panowania dziedzice dóbr nad pracowitym wieśniactwem. Znał dobrze kmieć do roli urodzony powinność poddanego i stan swój, lecz nie czuł się być bydlęciem. Dla téj przyczyny nazwano tego pana królem chłopów, że ich ciemiężyć nie dopuszczał. Zabranych w czasie wojny lub napadów nieprzyjacielskich w niewolę ludzi swoich własnym kosztem wykupował. Nauki użyteczne, handel i przemysł rozkrzewiał. Surowości w ukaraniu winowajców rzadko używał, lecz publiczne występki ostro karał. Polskie królestwo, dawniejszemi wojnami i innemi klęskami z bogactw i mieszkańców wyniszczone uczynił ludniejszym, przez lokacyą prawem teutońskim wsi i miasteczek na gruntach tak swoich, jak szlacheckich i duchownych, do których w znacznéj liczbie obcy się garnęli, łagodnością praw i nadzieją własności dla siebie i potomków swoich przychęceni. Całe Podgórze ruskie i małopolskie, tudzież inne miejsca pograniczne, różnych teraz rzemieślników pełne, sąto osady pierwiastkowe tego dobroczynnego króla. Język tych ludzi nieco przygrubszy, a jakieś ze szląskim, morawskim, czeskim i pruskim podobieństwo mający, dowodem jest piérwszéj ich ojczyzny. Ztąd też poszły owe zniemczone od nowych osadników, lub nanowo nadane miastom polskim i ruskim Lambergi, Frawenstadu, Łańcuta, Pilzna, Gorlicy, i tym podobne nazwiska.

Nigdy Polska tyle zamków i miast murowanych nie widziała, jak za Kazimiérza. On zamek krakowski przyozdobił i wzmocnił, który potym następni królowie na inny kształt, wiekom poźniejszym przydatniejszy, przemienili. On w mieście tym w rynku sklepy różne dla

kupców zbudował, a za miastem zwierzyniec założył. On miasto Kazimierz, Wisłą od Krakowa oddzielone, na nowo dźwignął, a Wieliczkę, Skawinę, Olkusz, Będzyn. Lelów, Sandomierz, Wiślicę, Szydłów, Radom, Opoczno, Wąwolinicę, Lublin, Kalisz, Pyzdry, Stawiszyn, Wieluń, Konin, Piotrków, Łęczycę, Płock, Inowłodz, Lwów, Sanok, Krosno, Czczew, miasta, murami opasał, a zaś zamki w Kaliszu, Poznaniu, Sandomierzu, Lublinie, we Lwowie oba, Pyzdrach, Sieradziu, Wieluniu, Łęczycy, Kole, Płocku, Niepołomicach, Szydłowie, Piotrkowie, Przedborzu, Brzeźnicy, Bolesławcu, Ostrzeszowie, Przemyślu, Lanckoronie, Będzynie, Lelowie, Czorsztynie, Osieku, Krzepicach, Sieciechowie, Solcu, Zawichoście, Korczynie, Koninie, Nakle, Wielinie, Międzyrzeczu, Kruświcy, Złotoryi. Bidgoszczu, Sanoku, Lubaczewie, Trembowli, Haliczu, Tustanie, Opocznie, Przedeczu, Rawie, Wyszogrodzie częścią wałami i murami wzmocnił, częścią przebudował. Długosz powiada, iż ten król, zastawszy Polskę z lepianek i drewna ukleconą, kamienną i ceglaną zostawił, i że od tego dopiéro króla poczęli Polacy gust zabiérać do murów. Niemniéj był wspaniałym i hojnym w pomnożeniu świątnic i domów dla ludzi ołtarzom służących. Ufundował dwie kollegiaty w Krakowie w zamku ŚŚ. Michała i Jérzego, dwie także w Sandomiérzu i Wiślicy, kościoły w Stobnicy, Łapszycach, Szydłowie, Garwowie, Niepołomicach, Solcu, Opocznie, w Korczynie i na Skałce w Krakowie, a szpital tamże na Stradomiu, klasztory zaś w Łęczycy, Piotrkowie i nowym Korczynie. Dyecezyą płocką w dziesięcinach zabespieczył, przysądziwszy one duchowieństwu na Ziemowicie, książęciu mazowieckim. Katedrę i dyecezyą wrocławską przy podległości metropolitalnéj arcybiskupa gnieźnieńskiego, lubuskie także biskupstwo przy posłuszeństwie królom polskim utrzymał. Stan duchowny ze świeckim względem sądów i wzajemnéj powinności pogodził.

Wyrzucają niektórzy królowi temu ustąpienie Szląska Czechom, a Krzyżakom Pomeranii i ziem niektórych. Lecz ciąg interesów pod owe czasy w historyi położony, a stan narodu, domową i obcą bronią przez półtora prawie wieku zniszczonego, nierządnego i ubogiego usprawiedliwia Kazimiérza, że dla ocalenia reszty kraju i utrzymania z koroną imienia polskiego między tylu potężnymi nieprzyjaciołami, zostawić musiał losom, czemu radą i ręką zapobieżéć nie mógł. Wszakże odebrane od Krzyżaków Kujawy, hołd na nich w Pomeranii i w zie-

miach innych włożony z zachowaną najwyższą władzą, zabespieczone od nowéj monarchii granice, poskromiona Litwa z Tatarami, Ruś do korony przyłączona, wydarte z podległości czeskiéj księstwo Mazowieckie, wprowadzony i wzmocniony rząd z bespieczeństwem publicznym, pomnożona ludność, przemysł i dostatki, nadgrodziły setnie utratę Szląska i oddział zdrobniałych jego książąt, z których nienawiści naród więcéj miał zawsze szkody, niżeli pożytku z niepewnéj nigdy ich przychylności i związków. Darowała też względna na zasługi monarchy tego potomność prywatne jego przestępstwa: bo jeźli jako człowiek częstokroć przewinił, nadgradzał za życia ułomność pokutą i dobremi uczynkami, a umiérając wiary ojców dochował, i lud sobie powierzony w sławie, powadze i bespieczeństwie następcom zostawił.

C) Jana Karola Chodkiewicza, wojewody wileńskiego, hetmana wielkiego w. ks. Lit. Tom I. i II., w Warszawie w drukarni nadwornéj j. k. mci r. 1781.

1. Urodzenie i piérwsze lata.

Jan Karol Chodkiewicz, którego życie pisać przedsiębierzem, miał ojca Jana, kasztelana wileńskiego i gubernatora Inflant. Matka jego była Krystyna Zborowska, wojewodzianka krakowska, herbu Jastrzębiec. Urodził się, zdaje się z powieści wiadomych nam dziejopisów, w roku 1560., ponieważ Piasecki z Kobierzyckim, spółcześni jego, dają mu lat życia coś więcéj nad sześćdziesiąt. Śmierć jego zaszła w 1621. roku 24. września, rok urodzenia i mniemanie nasze potwierdza. Skoro doszedł wieku zdolnego do przyjęcia nauk, wysłał go ojciec z bratem starszym Alexandrem, który był potym wojewodą trockim, do akademii wileńskiéj jezuickiéj, świéżo na ówczas przez Waleryana Protasowicza herbu Drzewica, biskupa wileńskiego ufundowanéj, którą król Stefan przywilejami, równemi krakowskiéj za radą i staraniem tegoż Jana Chodkiewicza nadał. W tym nowym Muz narodowych siedlisku wziął młody Chodkiewicz znakomite we wszystkich nauk rodzajach, jakie naówczas z pożytkiem kwitnęły, początki. Wybór nauczycielów, z Włoch, Hiszpanii i Francyi sprowadzonych, wyścigi tychże z uczonymi dyssydentami, a usilność zalecenia się narodowi przy początkach

osady swojéj w Polszcze, uczyniły tę akademią sławną i pożyteczną. Żywość dowcipu, miłość honoru wkrótce mu były do znacznych postępków zachętem i pobudką. Jakoż wydała się jawnie ta jego nie próżno w szkołach przez lat kilka łożona praca, kiedy między rówieśnikami wieku i nauk swoich żadnemu w znajomości języków, historyi, krasomowstwa i jeometryi prymu wziąć przed sobą nie dał. W innych nauki, jako słodka spokojnego życia ponęta, tępią powoli i osłabiają Marsowy umysł, wrażając w duszy powabem swoim miłość pokoju i osobności; w Chodkiewiczu pokazała Pallas, że jest razem umiejętności i wojen boginią. Sama twarz do rycerskich ułożona czynów, oczy bystre, wnętrznych częstokroć świadki niepochybne skłonności, okazywały w nim zawczasu przyszłego żołniérza i hetmana. Łaskawéj grunt natury zaostrzyły niekiedy choleryczne z żądzy sławy i przodkowania zapędy, tak dalece, że w szkolnych utarczkach, uniesionemu często nad zamiar uwagi, Lesiewski jezuita, nauczyciel jego, oczy kazał zasłaniać. Oddawszy zabawom uczonym czas należyty, wychodził obyczajem szkół staroświeckich chwalebnym w pole z inną młodzieżą, gdzie walki zwodząc mniéj obraźliwą bronią, nabywając zręczności, sypiąc szańce, dobywając mniemanych zamków, pokazywał z dzieciństwa, jaki mu plac życia przyszłe losy wymierzały. Poznał to dobrze wielki ów uczonych i rycerskich ludzi badacz, Stefan Batory, król nieśmiertelnéj pamięci godny: gdy albowiem, jadąc na moskiewską wojnę i dobywanie Połocka, przejeżdżał przez Wilno, a Chodkiewicz go z innymi rówieśnikami imieniem akademii witał, zważywszy piękną w nim przytomność, głos męski i gesty poważne, pamiętne o nim wyrzekł słowa: „Zaiste ten będzie wielkim żołniérzem!“

Usprawiedliwił zdanie o sobie królewskie Chodkiewicz, kiedy tegoż roku po zaszłéj śmierci ojcowskiéj we Lwowie, a zakończonych krajowych naukach, udawszy się do obcych narodów, piérwsze młodości lata zaraz do dzieł rycerskich przysposabiać począł. Był ten starodawny zwyczaj w Polszcze, że majętniejsi rodzice wysyłali dzieci swoje albo do dworów zagranicznych monarchów, albo na służbę wojskową, żeby się tym sposobem do poznania cywilnego i żołniérskiego rządu u obcych zwyczając, polor z pożytkiem do ojczyzny przynosili. Objeżdżając Chodkiewicz Włochy, Niderland, Hiszpanią, Francyą, Niemcy, Anglią, Luzytanią, znajdował się na wielu potyczkach, któremi naówczas zaburzona oderwaniem się od Hiszpanii Holandya, a do-

mowemi niesnaskami Francya Europę uzbrajała. Idąc za przykładem ojca swojego Jana, domownika niegdyś Karola V. cesarza, sprzyjał synowi jego Filipowi II., królowi hiszpańskiemu. Najmilszą jego zabawą, obcować ze sławnymi wieku swojego wodzami, księciem Alby, Alexandrem Farnezym, księciem parmeńskiem, Maurycym z Nassawu, wodzem holenderskich prowincyj, u których sobie na wielki szacunek zasłużył. We włoskich podróżach najwięcéj zabawiał się w Malcie, smakując sobie bardziéj w tym drobnym, lecz naówczas rycerskim kraju, niżeli w innych roskosznéj téj ziemi prowincyach i miastach. Za powrotem do ojczyzny zostawał na dworze Zygmunta III., nowo obranego króla po śmierci Jana Batorego, który lubo dla pokrewieństwa Chodkiewiczów ze Zborowskimi, domem sobie przeciwnym, mógł być im nieco niechętny, jednak jako pan sprawiedliwy, a ludzi rycerskich kochający, Alexandrowi Chodkiewiczowi pospołu z bratem jego Janem Karolem, za wielkie zasługi ojca ich Jana dobra, Świsłocz nazwane, przywilejem nadał. Podobnéj użył sprawiedlowości i Zygmunt III., kiedy szacując w Karolu piękne do wojny przymioty, nie pamiętny także na to, że dom jego z przyczyny tegoż związku ze Zborowskimi przeciwnym mu był na elekcyi, podczastwem go litewskim obdarzył.

Otworzyła się wkrótce Chodkiewiczowi sposobna pora do okazania miłości ku ojczyźnie, a przysługi królowi. Kozacy, lud na Zaporożu z rozmaitego gatunku hultajstwa i zbiegów osiadły, a od króla Stefana do dzieł wojennych rządnie wprawiony, nie przestawał nigdy, mimo surowe rozkazy i kary od rzeczy pospolitéj postanowione, wybiegać na morze Czarne, łupiąc tureckie dzierżawy. Zachodziły ustawiczne skargi i wzajemne Turków w granice polskie przez tatarskie zagony napadania. Takową swywolę Kozaków rozgniewany Amurat sułtan, że się tym sposobem łamały traktaty między Polską a domem otomańskim, od dawniejszych królów polskich z sułtanami uczynione, mianowicie za króla Stefana, wojnę rzeczypospolitéj w roku 1589. wypowiedział. Na zaspokojenie Porty wyznaczony posłem Paweł Uchański, wojewoda płocki. Przewlekła się jego wyprawa dla niedbalstwa podskarbiego, który mu wcześnie ze skarbu pieniędzy nie dał. Uchański téż, złamawszy nogę około Lwowa, ledwo dla słabości w grudniu do Sylistryi, a potym do Carogrodu przybył, gdzie w krótkim czasie przed zaczęciem negocyacyi umarł. Gotowali się Turcy na wojnę. Przybył w roku 1590. do Warszawy na sejm Mikołaj Ciżewski, pod-

czaszy chełmski, sekretarz poselstwa, i toż samo ustnie na sejmie opowiedział. Byłoto srogie niebespieczeństwo, mianowicie w tlejących jeszcze domowych niezgodach. Baszowie tureccy dla większego postrachu dawali tylko sześćdziesiąt dni czasu Polakom, w przeciągu których albo wypłacić mieli 300,000 talerów za szkody od Kozaków poczynione, albo przyjąć sektę mahometańską; inaczéj odkazywali się dumnie, że cały kraj koronny końskiemi kopytami zdepcą: a tymczasem rzeczy zmarłego posła zapieczętowali, posławszy z teftenderem, czyli podskarbim do domu jego sto janczarów. Nagła trwoga, oczewistym świadectwem Ciżewskiego potwierdzona, wyciągała ratunku. Na poparcie długiéj i nieuchronnéj, jako się zdawało, wojny, potrzeba było ruszyć wszystkich sił rzeczypospolitéj. Prócz zwyczajnych poborów, nakazano pogłówne powszechne, z zaleceniem podskarbim, ażeby na kredyt publiczny zaciągnęli w koronie milion, a w Litwie 500,000 złotych. Takowa uchwała sprawiła srogie szemrania: powstały wynurzone do prywatnych uraz i zemsty nowe powody. Nieprzyjaciele królewscy i Zamojskiego hetmana, który jego elekcyi był przewodzcą, niesłychanym dotąd w narodzie czynienia sposobem przywiedli Karnkowskiego prymasa, że się poważył prywatną władzą zwołać sejmiki wielkopolskie w Kole, na skasowanie sejmowéj ustawy o poborze, jakoby się te summy nie tak na ratunek ojczyzny, jak na prywatne hetmana Zamojskiego potrzeby nakazywały. Tak gdy się rzeczy mięszały, a czas do przygotowania się na Turki zwlekał, czyniono po kraju prywatne tylko zaciągi. Chodkiewicz, nie chcąc się dać innym uprzedzić, gdy ojczyzna z własnych dochodów rychło wsparcia mieć nie mogła dla prywatnych zajściów, własnym kosztem piękny poczet ludzi rycerskich gotował. Nic przyszło jednak do wojny. Jan Zamojski, sekretarz królewski wysłany do Carogrodu, zaprzyjaźniwszy się z posłem angielskim, użył jego pomocy w nakłonieniu Turków do pokoju. Przełożył Anglik Synanowi baszy, najgłówniejszemu Polaków i chrześcian nieprzyjacielowi, że Polacy są sprzymierzeńcy jego królowéj, że handel angielski wojną Polaków z Turkami osłabiony, pociągnąłby do odpowiedzi Portę temu narodowi, że królowa angielska, potrafi Hiszpanów przeciwko Turkom uzbroić, jeźli się do pokoju nie przychylą. Takowe uwagi wzięte na dywan, oraz złożenie z urzędu Synana baszy były powodem Amuratowi, że za rabunki kozackie i za spalenie miast Tehiny, Kozłowa i Benkowa przyjął w podarunku od Zamoj-

skiego sto kilkadziesiąt sobolów, zapomniawszy na podaną dawniéj od baszów summę.

Spokojny Zygmunt ze strony tureckiéj, chcąc związkiem krwi z potężnym w Europie domem mniéj się malkontentów krajowych lękać, przedsięwziął wkroczyć w małżeństwo z Anną Austryaczką, córką arcyksięcia Karola na Gracu. Zajechał w drodze przybywającéj z Niemiec arcyksiężniczce Chodkiewicz, i z liczną nader a strojną rotą dworską do Krakowa jéj assystował. Nie długo jednak, jakom niedawno mówił, trwała spokojność między Kozakami. Ugaszony przed sześcią laty wojny tureckiéj pożar z przyczyny najazdów tych ludzi na samych Polaków wybuchnął. Symon Nalewajko, Kozak, przyuczony do łupieztwa państw Otomańskich, nie mogąc dla ostrych kar i zakazów rozpościerać swych rozbojów w kraju sąsiedzkim, wypadał w Kijowszczyznę i na Ruś Białą, a z kupą zbrojnych łotrzyków wsie i dwory szlacheckie széroko pustoszył. Po uczynionych kilkokrotnych upomnieniach złoczyńców owych, aby dobrowolnie broń złożywszy, do domów się wrócili, gdy zamiast poprawy upor się w nich natężał, ruszył wojsko koronne hetman polny, Stanisław Żółkiewski, oddawszy pod rząd pułk swój Chodkiewiczowi, już na ówczas staroście zmudzkiemu, które krzesło Zygmunt III. po śmierci Jérzego imiennika onemu ofiarował. Zwiedziono wiele potyczek różnym szczęścia losem, mianowicie pod Białocerkwią, gdzie wielu zacnych mężów z wojska Żółkiewskiego poległo. Nakoniec ścigany Nalewajko, i w ciasne miejsca, zkąd mu się trudno było wydobyć, wprowadzony, dostał się pod Łubniami w ręce hetmanów: zkąd zaprowadzony do Warszawy, po długich bezseniem męczarniach głowę stracił.

2. Prywatne życie jego w pokoju.

Po wyprawie wołoskiéj i przywróceniu Mohyłów do swoich dzierżaw król Zygmunt, nadgradzając Chodkiewiczowi prace i koszta łożone na tę wojnę, ogłosił go hetmanem polnym litewskim; starostwami, wielońskim i luboszańskim nadał. Liczył naówczas Chodkiewicz lat wieku swego 39, kiedy buławę odebrał. Wiekto był zaiste naówczas co do lat tak przeważnemu urzędowi nie równy; jednak dojźrzałość umysłu i nabyte od lat dziecinnych w rzeczach wojennych doświadczenie zdolnym go do piastowania uczyniło. W uspokojonym na czas

niejaki kraju, ażeby chęć Chodkiewicza do przyszłych prac wojskowych zależeniem pola nie tępiała, cokolwiek mu czasu od publicznych jako senatorowi, i domowych interesów zbywało, to wszystko ustawicznym ćwiczeniom rycerskim poświęcał. Wiedział on dobrze, że szczęśliwe hetmańskiéj władzy sprawowanie nie od samego tylko męstwa i siły, lecz razem od nabywania coraz większéj znajomości sztuki wojennéj zależało. Najmilszą zatym było jego zabawą, szukać nieprzyjaciela, ścigać go, i atakować nawet na papiérze. Ztąd owa pilność w czytywaniu ksiąg żołniérskich, w rysunkach figur bojowych, okopów, szturmów i szyków wynajdowaniu. Rozmyślanie potrzebuje ćwiczenia: tamto duszę do wynalazków, to ciało do ich wykonania sposobi.

Nie dosyć miał Chodkiewicz umiéć, chciał nadto być zdolnym żołniérzem i wodzem, jużto do pierścienia goniąc, już z dział do celu bijąc, już okopy sypiąc. Bywało i to często, że zgromadziwszy poddanych szturmować im do siebie, i mocą dobywać kazał. Godna zaiste szlachetnéj duszy zabawka, różna od wieku naszego próżniackich a umysł miękczących rozrywek! Spraw jego w pokoju samym walecznych świadkami są zostawione po dobrach dziedzicznych warowne gmachy. Bychów na Białéj Rusi wałem i twierdzami nakoło sztucznie otoczony; Lachowiecki w nowogrodzkim województwie zamek należycie w obrony wojenne opatrzony; liczne po innych dobrach cekauzy, działami wybornemi i bronią rozliczną napełnione. W takowych, jakom wyżéj mówił, ćwiczeniach rycerskich, gdy raz koń zapędzony pod nim się potknął, szwankowawszy z niego, goleń sobie złamał, z którego przypadku dobrze jeszcze nie zleczony, ledwo się w Inflantach szwedzka zaburzyła wojna, zaraz się do obozu wyprawił, i odtąd już prawie aż do zgonu życia, przez lat 20 z pola nie zchodził.

3. Odsiecz Rygi i bitwa pod Kirchholmem.

Było to dzień 23. września 1605., kiedy Karol książę sudermański, i jenerał szwedzki Linderson z wojskiem około dziesięciu tysięcy podstąpili pod Rygę. Zaczęła się tegoż samego wieczora robota, zwyczajnym trybem wojowania, od obietnic i pogróżek. Wysłane listy przez trębacza obszerne do magistratu z upominaniem, ażeby całe miasto zaraz bez odporu Szwedom poddał. Oświadczał się w nich Suderman, że prawnie i sprawiedliwie broń podniósł, ponieważ Polacy,

zamki i miasta, do królestwa Szwedzkiego należące wydrzéć mu umyślili; że król polski, mimo dane słowo i ustawy narodu szwedzkiego, chce papiéztwo z Jezuitami do kraju wprowadzić; że ta jest dla niego największa pobudka podniesienia téj wojny, ażeby z téj zarazy królestwo oczyścił, a Jezuitów, największych jéj rozsiéwaczów z całego królestwa, jako przed siedmią laty w Derpcie uczynił, wygnał; że gotów jest wszelkiego dołożyć starania, żeby u nich same tylko auszburskie wyznanie, jako prawowierne kwitnęło. Obiecywał, nie tylko zachować w całości wszystkie ich dawne przywileje, lecz i nowe obficie nadać; wszystkie okoliczne zamki miastu darować; dobra jezuickie przyłączyć, a kollegium ich na akademią, dla wychowania młodzieży w naukach i religii Marcinowéj obrócić. Nastąpiły potym groźby wywrócenia miasta i ponowienia w nim nieszczęścia starożytnéj Troi, lekkie ważenie wojsk polskich, które na szyderstwo r o t k a m i nazywał, tudzież inne do czasu i okoliczności széroko przystosowane pobudki. Ryżanie dali mu takową odpowiédź, jaką przed kilką tygodniami Mansfeldowi uczynili, i zaraz onę do obozu nieprzyjacielskiego przez tegoż trębacza donieść rozkazali: że nie potrzebują żadnych od niego łask, ani się lękają pogróżek; że nie chcą być tak królowi swemu krzywoprzysiężnymi, jako on sam, który podnosząc broń buntowniczą przeciwko synowcowi i panu swojemu, przez tyle lat wojną niesprawiedliwą obce państwa uciemięża, a rozbójniczemi okrętami spokojność handlu między Polską i innemi narodami mięsza; że statecznie trwając w poprzysiężonéj raz wierze Królowi Zygmuntowi, innego pana nad sobą mieć nie chcą, i gotowi są bronić się wszystkiemi siłami od uzurpatora. Co się tycze obiecanych zamków i nowych praw nadania, kontenci są z nadanych sobie dawniéj przywilejów i dzierżaw, i żadnych od niego nie żądają. Od Jezuitów i papiéża żadnego nie widzą niebespieczeństwa: w drobnych wojska polskiego siłach, nie takie mają zaufanie, jako w Bogu, który zawsze w ramieniu swoim potężny, temuż drobnemu wojsku kilkokrotne dawniéj, pod Białymkamieniem, Erlą, Karkuzem, Wendą, Kokenhauzem, Wejsenbergiem nad Szwedami dał zwycięztwo. Z obalin Troi może się nad nim samym uiścić nowy przykład. Wreszcie lepiéj jest Rydze z Troją przy wierze ginąć, niżeli ocaléć z wieczną obelgą krzywoprzysięztwa. Z tą odpowiedzią skoro trębacz za bramy wypuszczony, kazano uderzyć ze wszystkich dział na znak, że miasto było gotowe do obrony. Poczęli

zatym Szwedzi gotować oblężenie. Całe wojsko rozdzielone na jedynaście części, i po różnych miejscach około miasta dla przecięcia mu wszelkiéj kommunikacyi rozstawione. Na trzech jednak miejscach, postawiono trzy znaczniejsze obozy: jeden przy szpitalu Ś. Jérzego, drugi około lasu przy górach piaszczystych, trzeci około Dzwiny przy drodze, która prowadzi do *Blumenthal*, wioski jezuickiéj. Zegnana wszystka wojskowa czeladź z obozu i okrętów do przygotowania szturmu, z rozlicznym na tę robotę narzędziem i wielką liczbą drabin, któremi pełen statek był naładowany. Część wojska, którą prowadził Mansfeld, w krótkim nader czasie, z nieporównaną pracą usypała szańce, pokopała rowy, poryła tajemne lochy na podsadę prochów, tak dalece, że gdyby Chodkiewicz rychłéj miastu nie dał odsieczy, trudnoby mu było dla takiéj prędkości nieprzyjacielskiéj i liczby wojska ujść rąk Sudermana.

Nie mogła Ryga skutecznemi wycieczkami psować robot i zamysłów szwedzkich, dla słabego nader w zamku, jak mówiono wyżéj, garnizonu. Piérwszego dnia przybycia Sudermana, gdy na piaszczystych owych górach ku lasowi ukazał się nieprzyjaciel, wypadło z zamku sto Kozaków z rajtarami niemieckimi z roty Wahla i Donhofa. Umknęli wprawdzie Szwedzi, lecz wkrótce pokazało się znagła kilka chorągwi sudermańskich, za których ujźrzeniem cofnęli się nasi do zamku, nie mając tyle sił, ażeby się większéj sile oprzéć mogli. Szwedzi, ubespieczeni tym bardziéj trwogą i małością naszych, poczęli się zaraz wolniéj ze wszystkich stron miasta przewijać. Wyżéj Dzwiny ku Wapiennicy szpital Ś. Jérzego opanowali, pozabiérawszy na ubespieczenie obozów swoich drewna, pozostałe od domów na przedmieściach spalonych przez Ryżanów. Sama tylko armata miejska przeszkadzała skutecznie ich robotom, z któréj bez ustanku strzélając nasi, wiele ludzi i koni nieprzyjacielowi pozabijali, żadnéj prawie dla pilności obrońców, a nieumiejętności oblężeńców szkody znacznéj nie odnosząc, ponieważ ich kule i rzucane ognie do załogi domów, nie donosząc do murów, w fossę najczęściéj wpadały. Poprawił się tenże garnizon ryski dnia 26. września, uczyniwszy na nieprzyjaciela pomyślniejszą wycieczkę. Wyszła naprzeciw jazda miejska: przyłączyli się do niéj z zamku żołniérze piesi z kawaleryą, i w liczbie trzechset ludzi wyciągnęli społem ku szpitalowi Ś. Jérzego. Szwedzi, widząc niespodziane na siebie napadnienie naszych, wysłali zaraz do swoich

stojących obozem około gór piaszczystych, prosząc o ratunek. Tymczasem nasi, natarłszy potężnie około rzeczonego szpitala, ubili z nich i poranili do dwudziestu, mając tylko cztérech ranionych z pośrzodka siebie. Za nadejściem liczniejszych posiłków szwedzkich jezdnych i pieszych z obozu ustąpili nasi pod wały miejskie, i tam na nieprzyjaciela czekali. Nie śmiał on jednak do nich przystąpić, bojąc się ognia, z dział gęsto po wałach rozstawionych sypanego. Powiadają, iż Suderman lustrował tego samego czasu wojsko swoje, i mocno się zatrwożył z tego pomięszania, rozumiejąc, że się już wojska nasze na odsiecz miastu pokazywały. Jakoż Chodkiewicz ruszywszy zpod Kiesi, gdzie czekał w okopie przez cały tydzień na Szwedów, już był stanął u Iskulu, miasteczka o kilka mil od Rygi powyżéj Dzwiny leżącego.

Uwiadomiony Suderman o zbliżeniu się Chodkiewicza ku Rydze, zwołał wojenną radę. Myśl jego była, ażeby wysłać natychmiast ośm tysięcy ludzi, i bitwę wydać Chodkiewiczowi, nimby się na większe siły zdobył; resztę zaś wojska przy Rydze dla popierania szturmu zostawić. Zgodzili się na to zdanie inni wodzowie, prócz Lindersona i Szuma, którzy radzili, ażeby raczéj całe wojsko wyprowadzić w pole, znając dobrze Chodkiewicza, mianowicie Szum, którego on był przeszłego roku pod Białymkamieniem wziął w niewolę. Nie w smak była Sudermanowi ta rada rozumnych jenerałów: począł na nich diabłami według zwyczaju swojego rzucać, tchórzostwo zadawać, że jego ledwo książę Luneburski z grafem Mansfeldem ukołysać mogli. Przyszedłszy potym do siebie, zawołał: „Niechże tedy wychodzi w pole wojsko! Porzućmy, lubo tak pomyślne dotąd, całe oblężenie.“ Kazał dać znak w trąbę na zwinienie obozu, a zlustrowawszy wojsko, począł mówić do zgromadzonego żołniérstwa w ten sposób: „Teraz czas pokazać, żołniérze, męstwo i odwagę waszą: mamy pod bokiem nieprzyjaciela, lecz on nie straszny. Najlepsza pora zaraz się z nim potkać, póki mu z posiłków sił i ufności nie przybędzie. Uderzmy na Polaków następującéj nocy: dobrze się udają wojenne fortele w takowéj chwili. Nie ujdą zewsząd otoczeni rąk naszych: jeźli porzucamy oblężenie miasta, nie czynimy to z bojaźni, będąc pewni, że się nam i potym dostanie. Inflanty całe, jako nadgroda prac i zwycięztwa, naszym będzie podziałem.“ Na te słowa powstały żołniérskie wrzaski. Jedni wołali, że się bić nie chcą, póki żołd obiecany nie będzie: dru-

dzy przypominali dane sobie słowo przed zaciągiem, że ich przeciwko Polakom prowadzić nie będzie. Nie ustraszyło od ustawicznego wołania okrucieństwo Sudermana, który dwóm Inflantczykom szlacheckiego rodu, gdy się o zapłatę upominali, głowy poucinać rozkazał. Przeto chcąc łaskawością powszechne uśmierzyć nieukontentowanie, jednych upewniał, że bez bitwy i krwi rozlania zwycięzą tak lichą garstkę ludzi polskich, drugim całą z nieprzyjaciela zdobycz i dwoisty żołd pod Kirchholmem wypłacić przyobiecał. Sprawił zatym wieczerzą dla oficyerów wojskowych w *Blumenthal*, wiosce jezuickiéj, nie daleko od Rygi leżącéj. Tymczasem w pośrzodku pijatyki i przechwałek przywiedziono więźnia polskiego z związanemi wtył rękoma. Byłto Krajewski, szlachcic z Litwy, towarzysz z roty Felixa Niewiarowskiego, sławnego rotmistrza, którego Szwedzi zchwytawszy na zasadzce, stawili przed biesiadnikami. Żołnierska mina w Krajewskim, nie zmięszany niewolą umysł, szyszak na głowie, a na barkach zbroja i lamparcia skóra dały okazyą szwedzkim jenerałom do pochwał wspaniałéj rycerskiego męża postawy. Przypatrował się najwięcéj Mansfeld, i z podziwieniem rzekł do Sudermana: „Miłościwy panie! jeśli wszyscy Polacy są do tego człowieka podobni, nie wątpię o tym, że się z wojskiem naszym spotkać nie ulękną.“ Uraziła mocno ta pochwała książęcia, i obróciwszy się do Mansfelda zawołał z gniewem: „Włóż i ty na siebie wilczą skórę, a będziesz równie straszny: nie bierz miary z jednego, może być takich kilkanaście.“

Krajewski, uprzedzając pytania Szwedów, zaczął sam prosić o pozwolenie mówienia. Gdy mu one dano, rzekł: „Wojsko nasze, najjaśniejszy książę! jest mocną podróżą zmordowane, nie liczne, nie mające więcéj nad półczwarta tysiąca ludzi: posiłków chyba za dwa tygodnie spodziéwamy się; atoli hetman mój i w téj małości żołnierzów bitwę z wami stoczyć jest gotów.“ „Gotów?“ odpowié mu Suderman ze złością. „Musi być zaiste twój hetman bardzo zuchwały: wszakże on ani młodzik, ani zbyt stary, ani w rozum obrany, żeby ze swemi rotkami przeciwko wojsku mojemu, z tylu tysięcy złożonemu śmiał postawić się.“ Na co Paweł Stygiel, Pomorczyk, tłumacz Sudermana, dwakroć od naszych na wojnie poimany, odezwał się. „Znam ja dobrze,“ mówi „królu, Litwę i Polaków; nie trzeba tym ludem pogardzać: nauczył mię Karkus, gdzie przewodziłem piechocie, i dostałem się w niewolę.“ Poparli zdanie Stygiela Krzysztof Szum, obożny, poimany

przed rokiem od Chodkiewicza pod Białymkamieniem, Henryk Brand, Finlandczyk, sługa niegdyś, a potym odstępca i zdrajca króla Zygmunta, nakoniec Linderson i inni jenerałowie szwedzcy. Tu rozumiejąc Suderman, że pomięszana ochota jego rycerstwa lepiéj się orzeźwi trunkami, poił aż dopoźna pełnemi hiszpańskich win kielichami oficyerów, i do następującéj wkrótce bitwy zagrzéwał. Płochość jego i duma przychodziły do tego stopnia, że korzyść z obozu Chodkiewicza wcześnie między swoich rozporządzał. Dla Lindersona wyznaczył zdobycz po Dąbrowie, Mansfeldowi obiecał sprzęty Lackiego, książę Luneburski miał zabrać wszystkie porządki i konie Jana Sapiehy, starosty uświackiego; innym jenerałom inne majątki destynował, zachowując dla siebie wszelkie łupy po Chodkiewiczu. Żeby zaś i ku nieprzyjaciołom jakąkolwiek oświadczył ludzkość, kazał usieść Krajewskiemu do stołu, czyniąc różne pytania o wojsku i hetmanie litewskim. Po zakończonéj wieczerzy ruszyło wojsko szwedzkie około godziny dziesiątéj w nocy w liczbie jedenastu tysięcy piechoty a trzech tysięcy jazdy pod Kirchholm, chcąc Chodkiewicza niespodzianie napaść, będąc uwiadomionym od Krajewskiego, że się na tym miejscu hetman, strudzony bardzo podróżą z wojskiem położył. Stoi ta forteca o dwie mile od Rygi na wyspie rzéki Dzwiny, zbudowana niegdyś od Mejnharda, piérwszego biskupa inflanckiego, który będąc mnichem Benedyktynem w Segerku, piérwszy do Inflant przybył z kupcami niemieckimi dla przepowiadania wiary chrześciańskiéj w roku 1160., i kościółek na tym miejscu zbudował. Dziś tylko widzieć rozwaliny jego: zostało jednak imię miejsca nadane z języka niemieckiego, k o ś c i o ł znaczące. Około północy spadł znagła tak wielki dészcz z grzmotem i piorunami, że Suderman, nie mogąc nic rozpoczynać, musiał czekać aż do jutra, zwłaszcza że broń i prochy pozamakały, a dla zwolniałéj błockiem ziemi ani żołniérz iść pieszo, ani się zagrzęzłe działa ciągnąć raźno mogły. Przydawało trwogi zabobonnym umysłom zdarzone zaćmienie księżyca téjże nocy: wielu z gminu żołniérskiego miało je za poprzedniczy znak przegranéj, będąc przekonani raczéj sumieniem, że porywać się na króla i pana swego same niebo zabraniało.

Nie były tajne zamysły Sudermana Chodkiewiczowi. Dały mu zaraz znać rozstawione straże, że wojsko szwedzkie zbliżało się ku Kirchholmowi. Wezwawszy zatym do siebie Wincentego Wojnę, starostę inturskiego, porucznika chorągwi hetmańskiéj trzystakonnéj, dał mu

rozkaz, ażeby się w obozie mieli wszyscy naprzód do błagania Boga, potym do koni i oręża, a sam tymczasem w namiocie mszy nabożnie słuchał. Już się były poczęły ukazować się wojska szwedzkie około południa pod roztoczonemi chorągwiami: uplańską królewską ze światem białym na czerwonym polu; sudermańską ze lwem łuk trzymającym; ostrogską z gryfem białym na dnie czerwonym; sudermańską drugą ze lwem czarnym; fińską z gwiazdami i niedźwiedziem miecz trzymającym. Chorągiew gwardyi samego Sudermana wyrażała dwie ręce i koronę z napisem łacińskim *Sum, Sum, Sum,* któremi on słowami swoje w wojsku bytność przypominał. Niemcy zaciężni mieli chorągiew białą z herbem książęcia Luneburskiego, a sam Suderman także białą z herbem szwedzkim, trzema koronami. Polskie wojsko stało tak ukryte za górami, że Suderman w mniemaniu, jakby już z placu uciekło, chciał za nim wysłać pogoń, gdyby go był Linderson, wódz doświadczony nie zatrzymał, powiadając, iż to być mogła zdrada, i że Chodkiewicz zapewne w dobrym porządku za górami na nich oczekiwa. Poczęli się zatym szykować Szwedzi na wzgórkach dosyć o podal od naszego wojska, mając między nim a sobą wielką równinę dla dogodzenia piechocie swojéj. Czoło samo zastąpiła infanterya, rozstawiona we dwie linie tym sposobem, że każdy muszkietnik miał około siebie dwa spiśników dla wstrętu natarczywości konnego ludu, którego najwięcéj było w wojsku Chodkiewicza. Przywodzili temu korpusowi Andrzéj Stywer i Andrzéj Linderson, wódz najwyższy, mając po bokach lekką jazdę inflancką Reinholda Engelsa. Po lewéj stronie stanął miąższy huff rajtarów z pięciu rot złożony, pod sprawą Henryka Brandta, który za spotkaniem się z naszymi miał zachodzić od Dźwiny dla wzięcia tyłu. Prawe skrzydło trzymali także rajtarowie w sześciu rotach dobrze wgłąb ustawieni pod komendą hrabi Mansfelda. Natyle stanęła gwardya konna Sudermana z rotami Szuma, Fryksona i częścią także jazdy inflanckiéj. Przodem piechoty postawiono jedenaście dział polowych. Biegał Suderman między szeregami, prosząc, szczupłość rotek polskich poniżając, i czym tylko mógł, ochoty swoim dodawał. Wtym gdy mu coś o Polakach książę Luneburskie powiedział, rozgniewany zaczął go strofować: „Nie godzien jesteś być moim zięciem; osłabiasz temi niewieściemi mowami serca, czynisz tchórzami wszystkich, sam będąc takim: owoż będę miał zięcia, któremu bardziéj kądziel, niżeli broń przystoi.“ Nie wytrzymał

takiéj zniewagi młody książę, i z gniewem także Sudermanowi odpowiedział: „Niesłusznie mię, królu, nazywasz tchórzem i niewiastą: wtenczas będę takim, kiedy dziś z placu tak, jak ty nieraz, ucieknę. Na pokazanie tego, że się Polaków nie lękam, oto zsiadam z konia, i pieszo regiment mój przeciwko nim prowadzę!“ To powiedziawszy, rzucił się na ziemię, odmienił szyszak na kapelusz, odrzucił ostrogi, i pochwyciwszy kopiją, stanął na czele piechoty. Postrzegłszy się Suderman w nierostropnym gniewie, i odmieniwszy ton, począł chwalić i przepraszać księcia: potym obróciwszy się do żołnierzy, dał za hasło: Jehowa, słowo znaczące imię Boskie, które w hebrajskich literach wybijać potym na monecie rozkazał.

Tymczasem Chodkiewicz, postrzegłszy z pagórka liczbę i szyk nieprzyjacielskiego wojska, po krótkiéj rozmowie z Lackim, którego wielce kochał, i któremu w przypadku śmierci swojéj polecił, aby go w ojczystym grobie pochowano, mówił gorliwie do żołnierzy. W przeciągu téj mowy, gdy o licznych chorągwiach nieprzyjacielskich uczynił wzmiankę, niejakiś towarzysz przerwał ją głosem: „Policzymy one lepiéj, gdy Szwedów wybijemy.“ Na co Chodkiewicz: „Daj Boże! żeby się te wmci spełniły słowa: biorę je za dobry znak ochoty wmciów, i mam nadzieję w ich męstwie, że się nam dobrze powiedzie.“ To powiedziawszy, począł swoich szykować do boju; i już z obu stron stały gotowe prawie wojska do spotkania, kiedy pół godziną przed zaczęciem bitwy przyszedł na pomoc naszym książę kurlandzki, Fryderyk, mając z sobą 300 rajtarów wybranych ze szlachty kurlandzkiéj, ludzi pięknych i odważnych. A że przychodzącemu ze swojego kraju była na przeszkodzie rzéka Dźwina, z osobliwszym męstwem i odwagą puścił się wpław na drugą stronę, chcąc w czasie dać posiłek hetmanowi. Dziwnym szczęścia a bardziéj Boskiéj opatrzności zrządzeniem nie odniósł w téj przeprawie żadnego szwanku; bo przez tak ogromną rzékę, o trzy tylko mile od ujścia swego do morza trafił na bród, nikomu przedtym nie znajomy. Co hetmanowi i całemu rycerstwu w tak nagłéj potrzebie i niedostatku ludzi wielką pociechę i pomoc przyniosło. Z tym posiłkiem całe wojsko Chodkiewicza na trzy tysiące i siedmset ludzi tylko wynosiło. Wojsko nasze tym kształtem było uszykowane. Podzielił one Chodkiewicz na trzy pułki z pewnemi posiłkami. Na czele postawił pułk swój hetmański, ze trzechset wybornéj ussaryi złożony, pod sprawą Wincentego Wojny, porucznika

swego, dawszy mu w posiłek przyprowadzonych świeżo od księcia Kurlandzkiego rajtarów z Rekiem i Eucholdem, rotmistrzami. Upatrował to albowiem, że za potężnym potkaniem się pierwszym i swoim serca doda, i nieprzyjacielowi je straci. Lewe skrzydło zlecił Tomaszowi Dąbrowie, dawszy mu dwieście towarzystwa pancernego, przytym trzy lekkie tatarskie chorągwie, Ibrahima i Bohdana od stu, a Mustafy od 50 ludzi. Za nimi następowali w posiłkach Pletemberg z Sakinem, inflancka szlachta z 50 Inflanczykami: po nich Witting ze stem, Kossakowski z sześćdziesiąt, a za nimi Zachar z Achmetem, Tatarowie także ze stu spiśnikami. Naostatku stanęli ochotnicy, którzy z dobréj woli za swoje pieniądze do obozu przyszli z drobniejszemi pocztami: Jan Kiszka z szesnastą, Talwosz ze dwudziestą, Białłozor z sześcią ludzi. Nad tymi dana komenda, choć się wielu o nią ubijało, Komorowskiemu: a hetman go zmocnił rotą ussarów. Prawemu skrzydłu przywodził Jan Sapieha, starosta uświacki, wziąwszy od hetmana rozkaz, ażeby na owe rajtary, którzy w wielkim hufie po lewéj stronie z Brandtem w szyku nieprzyjacielskim stali, miał pilne oko. Miał w swojéj rocie Sapieha 200 ludzi. Przydani mu na pomoc: Niewiarowski ze stem pancernych; Młocki, porucznik chorągwi brata hetmańskiego, Alexandra, wojewody trockiego, ze stem pięćdziesiąt: Walamowski ze stem, Borkowski i Giedrojć z tyłąż ludzi. A za samym czołem dla wsparcia prędkiego ussaryi hetmańskiéj i Kurlandczyków tuż następował Teodor Lacki z chorągwią swoją dwustukonną, piechoty hetmańskiéj 400 pod sprawą Rossego, piechoty Niewiarowskiego 160, Wilkowskiego 130, Dzikowskiego 150, i Gosiewskiego 200.

To gdy się dzieje, ukazała się zboku nowa jakaś i niewiadoma milicya. Byli to ciurowie i wszelka czeladź obozowa, którą Chodkiewicz tajemnie, iż wojsko o niczym nie wiedziało, wyprowadzić z obozu, i uszykowaną, jakoby do boju, pod znakami na boku zdala postawić rozkazał. Puszczono zatym pogłoskę, o czym i sam nieprzyjaciel wkrótce się dowiedział, że Krzysztof Radziwiłł, który był potym hetmanem polnym, z nowemi z Litwy posiłkami przychodził. Z czego wojsko ucieszywszy się dziwnie, w szczupłości swojéj nowego męstwa i ochoty nabrało, a nieprzyjaciołom w bitwie serce upadać zaczęło. Przydał Chodkiewicz nowy do tego fortel, usadziwszy z początku wojsko swoje tak scisłym szykiem, że mała owa garstka jeszcze się drobniejszą wydawała nieprzyjacielowi: co on umyślnie uczynił, żeby Suderman, gar-

dząc zawsze małością naszych, bardziéj się jeszcze w zuchwalstwie ubespieczył. Nim nastąpiła powszechna bitwa, zaczęły się harce około godziny ósméj z rana, i trwały pomyślnie dla naszych aż do południa: wszakże nieprzyjaciel z posady swojéj występować nie śmiał. Zachodziła największa trudność dla hetmana, że na hufy szwedzkie, szeroko po górzystych miejscach rozstawione, z jazdą swoją, w któréj najwięcéj ufał, natrzéć bespiecznie nie mógł. Niebespieczna téż była bitwy walnéj przewłoka, na któréj wszystko zależało. Żeby więc z pagórków owych na przyległe i rozłożyste pola zdradą nieprzyjaciela wyciągnął, kazał znieść nagle owe swoje harcowniki, i uciekać im pod wojsko główne, ostrzegłszy je piérwéj, aby zmyśloną trwogą na sercu nie upadało. Widząc Suderman tak nagle naszych ustępowanie, zawołał na swoich: „Albom nie mówił, że Polacy uciekną?“ I wyruszywszy spiesznie, z nadwerężeniem nieco szykowego porządku, całe wojsko jezdne i piesze do pogoni, strzelając gęsto z dział poprzedzających, wyszedł na owe pole daleko od pagórków. Tego tylko momentu oczekiwał przezorny hetman. Harcownicy za danym znakiem miejsca swoje zastąpili: rozciągnęły się ściśnione naprzód szyki, czyniąc pozor wielkiego wojska, i czoło goniącemu nieprzyjacielowi nadstawiły. Miał albowiem Chodkiewicz między innemi doskonałego wodza przymiotami i ten nieporównany, że prędko i należycie, jako potrzeba wyciągała, wojsko, w jaką chciał stronę, uszykował.

Wydano zatym znak do walnéj bitwy z obu stron we wszystkie kotły i bębny, a po wykrzyknieniu od całego wojska naszego: Jezus Marya!, bo to było od hetmana wydane hasło, powtarzając bez ustanku te święte imiona przy strzélaniu z siedmiu działek, wpadli nasi na Szwedów z niewypowiedzianą żwawością. Piérwszy Wincenty Wojna za rozkazem hetmańskim skoczył z trzema sty ussaryi na piechotę czołową. Stał nieprzyjaciel jak mur nieprzelamany, nasrożywszy całe czoło długiemi kopijami, koląc zdala natarczywe konie, kiedy tymczasem muszkietnicy owi, mając przy sobie spiśników, gęstym jakby zza rogatek, razili ogniem. Szwedzi muszkietami lepsi odganiali naszych: nasi po wystrzeleniu na nich z ręcznéj strzelby jedni zapędem dzielnych koni tratując, drudzy kopijami bodząc, inni z dobytemi pałaszami drzewca nasrożone siekąc, rum sobie na złamanie szyku torowali. Nadbiegły wkrótce za ussaryą kurlandzkie roty, i potężnie pomięszanego już nieco nieprzyjaciela wsparły. Chodkiewicz, mając

przy sobie księcia Fryderyka, biegał pomiędzy swoimi, głosem i szablą wszystkim przywodząc. Trwała długo wątpliwa na czele bitwa, kiedy nasi, przedarłszy ów parkan spisami utkany, wolniéj już przełamanych Szwedów siekli. Upadło im serce mianowicie po stracie Andrzeja Lindersona, walecznego wodza, o którym powiadano, że odniósłszy wiele ran, gdy już ustać na nogach dla bolu nie mógł, padłszy na kolana, w téj jeszcze postaci kilku naszych zabił. W téj wrzawie Stygiel, który przywodził piechotą węgierską, umiejący nieco języka tego narodu, ustępując powoli z placu, wpadł do blizkiego kościółka, gdzie zatarasowany mocno, przez okna i z dachu ze strzelby naszych raził. Atoli Suk, sługa Lackiego, wysadziwszy drzwi mocą, jednych wysiekł, drugich w niewolę zabrał. Przemyślny Stygiel widząc, że rąk nie ujdzie, zmyślając że był Polakiem, począł swoich Węgrów zabijać: jednak poznany, a jako dwa razy przedtym wzięty na słowo, i dwa razy zmiennik, z rozkazu hetmańskiego rozsiekany został. Podobnéj sztuki chciał także zażyć Stywer, który z Lindersonem czołu przywodził. Wdziawszy na głowę szyszak polski, udawał Polaka. Wydała go nieumiejętność języka, gdy się od śmierci wypraszał: zrzucono mu z głowy nakrycie. Poznany od Kazanowskiego dostał się w niewolę.

To gdy się na czele dzieje. Tomasz Dąbrowa przywodząc lewemu skrzydłu, za posłużeniem powstającego od morza wiatru, który piaskiem i dymem oczy nieprzyjaciołom zamącił, znosił owe rajtary, pod Mansfeldem na prawym skrzydle stojące: jego szablą poległ młody ów książę luneburski, Fryderyk, którego Suderman, jako mówiono wyżéj, stanąć na czele piechoty przymusił. Znaleziono ciało z rozpłatanną głową, zranioną twarzą i ręką uciętą. Rozkazał był przed potyczką Suderman Brandtowi, ażeby w czasie potrzeby zachodził naszym ztyłu. Jakoż Brandt pamiętny na rozkaz, nie mogąc dojrzéć w owéj kurzawie, gdzie się nachylało zwycięztwo, puścił się ku Dźwinie, i trafił tam na pułk Sapiehy, który prawemu skrzydłu przywodził. Wsparł go potężnie Sapieha ze swoją chorągwią, a puszczeni w posiłkach Wilamowski z Giedrojciem i Borkowskim z świéżemi rotami, większą jeszcze uczynili klęskę. Wszelako nieprzyjaciel, uporczywszy na tym skrzydle, dwa razy się poprawował, tak dalece, że Chodkiewicz musiał wysłać Lackiego z ludźmi, za którego przybyciem poczęło się zwycięztwo nakłaniać na naszą stronę. Trwała uporczywa bitwa

z wątpliwym na obie strony losem przez trzy godziny. Lacki stawiąc się mężnie, dwa razy kulą w udo raniony. Sam Chodkiewicz w ostatnim zostawał niebespieczeństwie; albowiem gdy biegając między szeregami ratuje i zachęca swoich, przypadł znagła szwedzki rajtar, i pomyliwszy się, zamiast hetmana jednego z adjutantów jego z pistoletu ubił. Obruszył się Chodkiewicz na Szweda, i poskoczywszy za nim, głowę mu w biegu uciął. Zmordowani nakoniec Szwedzi, nie mogąc więcéj wytrzymać, ani pomięszanych z początku szyków do ładu przyprowadzić, poczęli uchodzić z placu. Tu już nie bitwa, ale rzeź krwawa nastąpiła. Bito uciekających do samego wieczora, uścielając trupami pola aż do wioski jezuickiéj *Blumenthal*. Na samym bojowisku naliczono zabitych na dziewięć tysięcy, prócz tych, którzy w pogoni z ran poumiérali, i których z pogromu uchodzących za Dźwinę w liczbie trzech set okoliczne chłopstwo z Milgrafii i w Kurlandyi po drogach i lasach pomordowało. Prócz Andrzeja Lindersona, najwyższego jenerała, męża na wojnach moskiewskich doświadczonego, i księcia luneburskiego, Fryderyka, poległo wiele szlachty i oficyerów walecznych. Mansfeld raniony uciekł lądem, udając się za rzékę Gawią. Henryk Brandt, który lewemu skrzydłu i Fińczykom wodzował, gdy jazda jego zegnana własną piechotę tratowała, poimany w tłumie, zaprowadzony potym do Krakowa, jako zmiennik i zdrajca króla ścięty przez kata. Forbes, pułkownik Szkotów, przepływając Dźwinę utonął. Sam Suderman raniony, ledwo z jedną chorągwią rajtarów, biegąc na nowy młyn około Milgrafii bez kapelusza, aż na trzecim koniu, bo dwóch pod nim zabito, do okrętów, porzuciwszy na brzegu konie, uciekł, i wpadłby był żywy lub umarły w ręce naszych, gdyby go Henryk Wrede poddaniem własnego konia nie ratował. Rozsiekała go na sztuki rącza pogoń. Suderman przez wdzięczność za swoje ocalenie wdowie i potomstwu zabitego znaczne dobra darował, a wnuczka jego Krystyna, królowa następców tytułem baronów nadała. Powiadają o Sudermanie, że napadłszy w okręcie na więźnia, Krajewskiego, szpadą go ze złości przebił. Dostali się w niewolę prócz Brandta: Witting, gubernator rewelski na miejscu Lindersona, Franciszek Wakebart, konsyliarz Sudermana, poimany w ucieczce, gdy mu konia drugiego poddawano. Innych z gminu żołnierskiego więźniów dostało się naszym do kilkuset. Wzięto cały obóz szwedzki, dział jedenaście, chorągwi sześćdziesiąt tak rajtarskich jak pieszych, i kredens srebrny

Sudermana wielce kosztowny ze wszystkiemi sprzętami książęcemi. Z wojska naszego do sta ludzi ubito, wielu raniono, a najwięcéj koni postrzelano.

D) Tauryka czyli wiadomości starożytne i pożniejsze o stanie i mieszkańcach Krymu do naszych czasów. W Warszawie r. 1787.

Między różnemi zdarzeniami politycznemi, które wiek nasz teraźniejszy pamiętnym uczynią w potomności, liczyć też można pochyłek w Europie narodu tatarskiego przez zabranie mocą rossyjską krajów obszérnych, które on tam od lat kilkuset posiadał. Jakieto są kraje, jacy ich mieszkańce nowsi i dawniejsi, jakie rządu i panów odmiany aż do czasów naszych, nie będzie próżną pracą zaspokoić ciekawość obywatelską, w tych mianowicie okolicznościach, na które z zadziwieniem cała Europa pogląda. Zbliża się Katarzyna Wielka, niosąc w mądrości swojéj światło i poznanie prawdziwego narodu tego uszczęśliwienia, w dobroci serca łaski i słodki onych użytek, a w ogromie majestatu postrach dzikiemu barbarzyństwu.

Tatarzy krymscy czyli perekopscy są częścią i plemieniem owych Tatarów, Mogułami powszechnie nazwanych, którzy wylawszy się z Azyi na początku trzynastego wieku pod wodzą sławnego w dziejach Gengiskana, i opanowawszy wiele obszernych królestw azyjskich, nawiedzili łotrowstwem swoim znaczną część Europy, a chorągwie swoje od Chin aż o Dunaj i Odrę otarli. Jedni z potomków tegoż Gengiskana, założywszy sobie stolicę w Kapczaku, Wielką Ordą czyli Złotą nazwaną, wysyłali ztamtąd liczne wojska swoje na uciemiężenie i dalsze pobicie pozostałych od piérwszéj klęski narodów. Uciérpiał od nich wiele naród polski częstemi nader na kraje koronne wypadami, lecz najwięcéj rossyjski, którego oni przywłaszczywszy sobie panowanie, władali tam według woli swojéj, posyłali baskaki swoje do miast i prowincyj dla wybiérania podatków, stanowili książąt większych i mniejszych, wadzili ich i jednali dla wzajemnego osłabienia, dopóki sami się także domowemi wojnami nie osłabili i nie poszli pod toż samo jarzmo, którym zwyciężonych Rusinów przez półtora blizko wieku cisnęli. Epocha upadku państwa Kapczaków poczęła się za Jana III. Wasilewicza, nazwanego Groźny. Piérwszyto był z książąt moskiewskich,

który kajdany tatarskie rozerwał, który posłany sobie na pismie ukaz od Akmeta, kana Złotéj Ordy względem płacenia daniny oplwał, i posłańców jego pobić kazał, a małoco przedtym królestwo Kazańskie u tychże Tatarów zdobył. Następcy Iwana III., Bazyli syn, a mianowicie wnuk jego, Iwan IV. Wasilewicz, potłumili ich do reszty, a panowanie moskiewskie aż za Wołgę i do samego ich gniazda rozciągnęli.

Atoli została jeszcze nietknięta orężem rossyjskim Mała Tatarya, związkiem religii, przymierzów, braterstwa i hołdownictwa z Turkami ottomańskimi złączona. Tę Małą Tataryą nazywamy pospolicie Krymską czyli Perekopską. Od czasu, kiedy Tuszy Kan, syn Gengiskana opanował Kapczak, a następcy jego szérzyli daléj łotrostwa swoje, pomykając się ku Donowi i Dnieprowi, była ona częścią królestwa Kapczackiego, i podlegała Wielkiéj Ordzie. Oderwali się potym kanowie krymscy, korzystając z okoliczności osłabionéj domowemi wojnami Wielkiéj Ordy, za przywodem Hatki Kereja, którego inni nazywają Adzi Kerej, około roku 1440., jako się niżéj powié.

Dzieli się Tatarya Mniejsza na kraje lądowe i na półwyspę im przyległą. Kraj lądowy ciągnie się nad morzem Czarnym i morzem Azowskim, między dolnym Dnieprem i dolnym Donem a Końską Wodą, do Dniepra, i Berdą, do morza Azowskiego wpadającemi rzekami według ustawy traktatu belgradzkiego, w roku 1736. zawartego. Półwyspa, nazwana pospolicie Krymem jestto znaczna część ziemi, zewsząd prawie morzem oblana, i wązką nader cząstką swoją lądu trzymająca się. Albowiem z jednéj strony woda, nazwana w starożytności *Palus Maeotis*, teraz morze Azowskie, a z drugiéj część morza Czarnego (*Pontus Euxinus*), oblewając tę ziemię naokół, zchodzą się z sobą u lądu tak blizko, że one tylko jeden, iż tak rzekę, pas ziemny od siebie rozdziela.

Krym leży między 51. stopniem minut 42 a 56. stopniem i 25 minut długości, i między 44. minut 25 a 47. minut 10 szerokości jeograficznéj. Dłużyna téj półwyspy dochodzi mil dwudziestu cztérech, szerzyna piętnastu.

Nazwiska półwyspy.

Najdawniejsza starożytność nadała imię téj półwyspie *Taurica, Tauris, Taurica Chersonesus.* Poźniéj ją w barbarzyńskich językach przezwano *Chazaria,* daléj *Crimea,* a nakoniec Perekop. Mówmy w szczególności o każdym tym nazwisku.

Piérwszy z historyków greckich Herodot, który żył więcéj cztermasty lat przed Chrystusem, opisując wyprawę Daryusza Histaspa, króla perskiego przeciwko Scytom, i wyliczając różne tych Scytów narody, w związku przeciwko niemu dla wspólnéj obrony będące, wspomina o Scytach, Taurami nazwanych. Daje on im siedlisko około téj półwyspy, i nazywa kraj nimi osiadły Tauryką, a półwyspę *Chersonesus*, z przydatkiem, iż ona jest nierówna, chropowata i górzysta. Rzecz do prawdy podobna, że ci Tauroscytowie prócz krajów lądowych, podług morza Czarnego od Dniepra do Perekopu leżących, posiadali samą półwyspę za czasów Herodota, i że od nich nazwisko Tauryki wzięła. Strabo, Greczyn, jeograf żyjący za Augusta cesarza wyraźnie ją nazywa Półwyspą Taurycką czyli Scytyjską; toż samo potwierdzają Pliniusz, Mela i Ptolomeusz, piérwszego wieku po Chrystusie jeografowie. Jakoż i za ich czasów siedzieli około, i na niéj Tauroscytowie, jako się niżéj mówić będzie. W poźniejszych czasach zmieniła imię Tauryka z przyległościami swojemi lądowemi, i zostało one tylko w pismach greckich i łacińskich. Chazarowie, naród barbarzyński a plemię Scytów azyatyckich, Turkami od pisarzów oryentalnych nazwanych, opanowali te kraje w VII. wieku po Chrystusie. Pod ich panowaniem Tauryka nazywała się Chazaryą, Gazaryą, które nazwisko sami Rusini w dziejach swoich dawnych onéj dawali.

Co się tycze słowa Perekop, które Tatarom na półwyspie i lądzie onéj przyległym mieszkającym dało nazwisko perekopskich, powiada Michajło, Litwin, pisarz książki o zwyczajach Tatarów, Litwy i Rusinów, iż ją Polacy tak nazwali od rowu, czyli fossy tam znajdującéj się, ludzką ręką przekopanéj. Jakoż na téj, iż tak rzekę, szyi ziemnéj, którą się Krym lądu nadmorskiego trzyma, widzieć zrobiony rów od niepamiętnéj starożytności. Herodot wyżéj cytowany wyliczając gatunki Scytów, nad morzem Czarnym ku północy mieszkających, powiada, że Scytowie nazwani *Regii, Basilii*, tojest którzy mieli królów, zachodzili położeniem swoim aż do Tauryki i do przekopu czyli fossy, nazwanéj *Oryxia*, tudzież do miasta handlowego leżącego przy jeziorze Meotyckim, nazwiskiem *Krimni*. Wyższa nieco powieść Herodota daje nam poznać czas i sprawców tego przekopu. Powiada on, że gdy Scytowie, wygnawszy Cymmerów, naród około morza Czarnego od Dniestra *(Tyras)* aż do Donu, owszem i daléj mieszkający, gonili się za nimi, a w téj pogoni wpadłszy wkrótce na państwo Medów,

zawojowali one, i tam 32 lat mieszkali. Cóżkolwiek bądź, została pamięć rowu tego i w poźniejszych od Herodota czasach. Czytamy w Strabonie, jeografie żyjącym za czasów Augusta Cezara, że Azander, królik Bosforu, który żył kilkadziesiąt lat przed Chrystusem, prócz dawnéj fossy obwarował jeszcze Taurykę w ciaśninie swojéj murem długim na 360 stadyów, usadziwszy przy tym murze na każdym stadyum po dziesięć wież warownych. Pliniusz, historyk piérwszego wieku po Chrystusie, opisując tę półwyspę, powiada, iż ona dawniéj była cała wodą oblana, że na saméj jéj cieśninie było miasto *Taphrae*, i że tymże imieniem nazywało się miejsce jego okoliczne. Wspomina o tymże Pomponius Mela i Ptolomeusz. Świadomi języka greckiego wiedzą dobrze, że to nazwisko *Taphrae* znaczy rów, fossę czyli kopanicę, która bez pochyby miejscu i miastu nazwisko dała. W dziesiątym wieku po Chrystusie za panowania na Wschodzie Konstantyna Porfirogeneta zaniedbany był zupełnie ten przekop: wody w nim oschły, a na tym miejscu lasy się tylko i gęste zarośle porodziły.

Taż sama półwyspa Tauryka nosi jeszcze czwarte nazwisko Krymu, a od niego i Tatarowie krymskimi, czyli Krymeami po naszemu nazywają się. Grecka i łacińska starożytność nie zostawiła nam śladu w pismach swoich przez kilkanaście wieków po Chrystusie rzeczonego nazwiska. Wiémy z Herodota wyżéj cytowanego, że przy morzu Meotyckim czyli Azowskim leżało miasto *Krimni, emporium Maeotidis,* i że to miasto było blizko fossy czyli przekopu. Wiémy także ze Strabona, że przy tymże przekopie znajdowało się miasto *Kimmerion*, niegdyś od narodu Cymmerów tam siedzącego zbudowane, które miasto według wyrazu Strabona, fossą i wałem ciaśninę półwyspy zamykało. Zdawałoby się zatym, że *Krimni* Herodota, było to samo *Kimmerion* Strabona, którego miasta już nie było śladu w piérwszym wieku po Chrystusie, i że na tym miejscu lub blizko osiadło miasto *Taphrae*. A jako Grecy, odmieniający w języku swoim słowa barbarzyńskie na krój mowy swojéj, zamienili może *Kimmerion* cymbryjskie na *Krimni* greckie, tak też może potym Rusini, greckiego obrządku i zwyczajów naśladowcy, mogli przez pamięć starożytnéj téj *Krimni* nazwać Krymem całą półwyspę.

E) Kaja Korneliusza Tacyta dzieła wszystkie, przekładania Adama Stan. Naruszewicza. Tom III. w Warszawie 1804.

Rok Chr. P. 69., z. R. 822.

Początkiem dzieła mojego będzie powtórny konsulat Galby z kollegą Tytem Winiuszem. Albowiem od założenia miasta cokolwiek się w przeciągu ośmiuset i dwudziestu lat przydarzyło, to nam z podania różnych jest wiadomo, kiedy się jeszcze dzieje rzymskiego ludu z równą wymową i swobodą pisać mogły. Lecz po akcyjskim pogromie, skoro dla dobra pokoju zupełność władzy na jednę głowę zlano, zniknęły wysokie owe dowcipy: prawda też z wielu miar nadwątloną została, bądź nieznajomością ojczyzny, jakby już obcéj, bądź pochlébstwem, bądź nakoniec niechęcią ku panującym. A tak w skażonych nienawiścią lub podłością duchach ustać musiało baczenie na potomność. Wszakże jako pochybne pióra ściga wzgarda pospolicie, tak obmowiska oszczerców pochopniejszym zazdrość przyjmuje uchem, ponieważ w pochlébstwach gnuśna niewolniczéj duszy zbrodnia się wydaje, a jadowite pióro zawsze powabnéj na się wolności pozor bierze. Mnie Galba, Otto i Witelliusz ani dobrodziejstwem, ani krzywdą znać się nie dali. A lubo wyznać mi należy, żem piérwiastki szczęścia mojego Wespazyanowi, pomnożenie Tytowi, a obszerniejszy wzrost Domicyanowi winien, jednak ludziom nieskażoną prawdę za cel mającym ani miłość, ani nienawiść prawidłem być nie powinna. Co jeźli mi dłuższe pozwoli życie, zachowałem szczątkowi wieku żyźniejszą i bespieczniejszą pracę w opisie dzieł Nerwy i Trajana, a to dla rzadkiéj nader czasów szczęśliwości, kiedy co się podoba rozumiéć, a co rozumiész, swobodnie mówić można.

Przedsiębiorę dzieło, płodne w przygody i srogie boje, zmącone domowemi rozruchami, w samym nawet pokoju okropne. Cztérech książąt żelazem legło. Trzy wnętrzne wojny, więcéj zagranicznych albo z obu zmięszanych: szczęśliwe na Wschodzie, niepomyślne na Zachodzie losy. Zaburzony Illiryk: chwiejące się Gallie: ukrócona i wnet zaniedbana Brytania: podniesiony na nas Sarmatów i Swewów oręż: wsławieni wzajemnemi klęskami Dakowie: ledwo nie ruszeni do broni Parci fałszywego Nerona igrzyskiem. Ile do Włoch, te bądź nowemi klęskami, bądź po długim lat obiegu cofnionemi uciśnione. Pożarte

lub leżące w gruzach żyznéj Kampanii miasta: sam Rzym strawiony pożarem; poszły w perzynę najstarożytniejsze świątynie: zniszczone kapitolium obywatelskiéj ręki podpałem; znieważone święte obrzędy, zagęszczone srogie niewstydy, pełne tułaczów morze, zakrwawione tychże mordami wyspy dzikie: okropniejsze jeszcze w saméj stolicy okrucieństwo. Szlachetność, dostatki, wzgarda urzędów, lub piastowanie za występek poczytane, niechybna zguba za cnotę. Szafowane plotkarzom nagrody, niemniéj jak zbrodnie ich nienawistne, kiedy jedni konsulskich i kapłańskich dostojeństw jak łupu dopadłszy, drudzy dworskich urzędów i pałacowéj potęgi nabywszy, mięszali wszystko gwoli wyuzdanéj zemście i łakomstwu. Z gniewu lub bojaźni podkupowani na pańskie głowy służalcy, na patronów wyzwoleńcy; a kto nieprzyjaciela nie miał, przyjacielską ręką ginął.

Nie był atoli wiek ów tak cnoty niepłodny, aby razem znakomitych przykładów nie wydał. Szły matki na wygnanie za synami: nie odstępowały w tułactwie małżonków kochające żony: nie ustawała odważna przyjaźń w powinowatych, stateczność w zięciach, uporczywa w samych katowniach sług ku panom wierność: nie przełamane wielkich umysłów na widok śmierci męstwo, i uwielbionym od starożytności zgonom równe dokonania. Prócz tych rozlicznych żywota ludzkiego przygód zjawiły się na niebie i ziemi okropne dziwy, groźne pioruny, i inne przyszłych losów poznaki,— smutne, pomyślne, oczewiste, obojętne. Nigdy się zaiste straszniejszemi ludu rzymskiego klęskami i jaśniejszemi znaki nie dało widzieć, że bogowie mało dbają o dobro nasze, czują na karę.

Lecz nim wykonam, com postanowił, zdaje mi się przywieść na pamięć, jaki był stan miasta, jakie żołnierstwa duchy, co za kształt prowincyj, jaka gdzie na okręgu świata potęga lub słabość, aby nie tylko przypadki ze skutkami swemi, które częstokroć trafunek rodzi, ale się razem przyczyny i źrzodki onych poznawały.

Śmierć Nerona jako w pierwszym radości zapędzie wesoło gruchnęła, tak wkrótce różne w umysłach nie tylko w mieście między senatem, ludem i miejskiemi pułki, lecz wszystkich zgoła wojsk i hetmanów sprawiła wrażenia, po wyjawie zwłaszcza tajemnic dworskich, że się może i za Rzymem dać głowa światu. Senatorowie, radzi przywłaszczonéj nagle swobodzie, śmieléj sobie poczynali, mając sprawę z nowym i nieobecnym panem: pierwsi z rycerstwa po senacie okazywali radość: gmin

po części poczciwy i do wielkich przywiązany domów: klientów z wyzwoleńcami wywołanych lub skazanych na śmierć panów nadzieja lepszéj doli krzepiła: motłoch próżniacki, do igrzysk tylko i teatrów przyuczony, służebna hultajska hałastra, tudzież którzy ztyrawszy marnotrawstwem ojczyste zbiory, haniebną Nerona hojnością żyli, w smutku i niesmaku czekali tęskliwie zawieruchy.

Miejski żołnierz, z dawnych lat Cezarom przysiężny, a do opuszczenia Nerona fortelem bardziéj i obcym musem, niżeli z własnéj woli przywiedziony, zrozumiawszy, że go obiecane imieniem Galby upominki chybiają, że łaska pańska uprzedzona od tych pułków, co go obrały, że większe zasługom i nagrodzie pole otwiérać będzie wojna, niżeli pokój, skłonny wreszcie do buntów, nadto jeszcze zbrodnią Nimfidyusza Sabina, pułkownika, drogę sobie do tronu scielącego poruszony, burzyć się począł. Lecz Nimfidyusza w piérwiastkowych zamysłach potłumiono. Atoli chociaż bunt herszta postradał, zostawali jeszcze społecznicy układów; ani zchodziło na takich, co Galbie starość i łakomstwo wyrzucali. Wielbiona owa przed laty, wielce u ludzi rycerskich chlubna surowość jego bodła mocno niekarnych leniuchów, którzy w przeciągu cztérnastu lat panowania Nerona tak się zbestwili, że nie mniéj występki panów, jako wprzód cnoty ich kochali. Tkwiały krom tego chwalebnie wprawdzie dla rzeczypospolitéj, lecz niebespiecznie dla osoby własnéj wyrzeczone od Galby słowa, że chce wybiérać nie kupować żołniérza; bo inne jego sprawy nie były tym krojem.

Tytus Winius i Korneli Lakona, jeden najniecnotliwszy z ludzi, co je ziemia nosiła, drugi najgnuśniejszy, obarczywszy niedołężnego starca własnych zbrodni nienawiścią, bardziéj go jeszcze do zguby sciąganiem wzgardy na swe gnuśne postępki, popychali. Podróż Galby leniwa i krwawa zamordowaniem Cyngoniusza Warrona, obranego konsula, i Petroniusza Turpiliana radnego męża. Piérwszy jako Nimfidyusza towarzysz, drugi że był hetmanem Nerona, nie słuchani, bez patrona, jako niewinni gardło dali. Sam wjazd do miasta, srogim tylu tysięcy bezbronnych żołniérzów wycięciem samym nawet siepaczom okropny, nic dobrego nie rokował. Napełniły się mury obcym żołniérstwem, kiedy prócz wprowadzonego Hiszpanów pułku i pozostałych ludzi, których Neron z wodnych żołniérzów spisał, ukazały się liczne roty Niemców, Brytanów, Illiryków, zebranych od tegoż Nerona, i po-

słanych dawniéj do cieśnin kaspijskich dla rozpoczęcia wojny z Albanami, potym cofnionych na potłumienie zamysłów Windexa. Wielka zaiste do nowych rozruchów materya, jako żadnéj w szczególności osobie nie ufna, tak każdemu, ktoby śmiał jéj użyć, zdatna do zamętu!

Zdarzyło się trafunkiem, że tegoż czasu gruchnęła wieść o zabiciu Klaudyusza Makra i Fonteja Kapitona. Makra, jawny bunt w Afryce podnoszącego, Tryboni Garucyan, prokurator z rozkazu Galby, —Kapitona w Niemczech za podobny występek Korneli Akwinus i Fabiusz Walens, legatowie pułków, bez wiedzy jego sprzątnęli. Niektórzy mniemali, że Kapito, zanurzony w lubieżności i łakomstwie, nigdy nie myślał o żadnych rozruchach, lecz legatowie, nie mogąc go nakłonić do wojny, którą radzili, włożyli nań tę chytrą potwarz: a Galba też bądź dla zmienności umysłu, bądź nie chcąc głębiéj wejźrzéć w sprawę, że co się już stało, rozstać się nie mogło, wszystko pochwalił. Wszakże oba te mordy wprawiły go w niesławę: a kto się raz poda w nienawiść, tak dobre, jako złe sprawy jego, równie są krzywe. Do tego przemożni wyzwoleńcy wystawiali na targ wszystkie łaski: służkowie w nagłéj fortunie chciwi zysku, łowili, co mogli, korzystając ze starości pańskiéj. Te same nowego dworu, co i starego narowy, lecz mniéj wymówkom podległe. Sama zgrzybiałość Galby była powodem pośmiechów i wzgardy u tych mianowicie, którzy przywykłszy do młodego Nerona, postać obu panów, jako gminowi zwyczajna, na szyderstwo z sobą porównywali.

Taki był w Rzymie, ile w niezmiernym wszelkiego ludu nacisku, kształt umysłów. Co się tyczé prowincyj, rządził Hiszpanią Kluwius Rufus, człowiek wymowny, statysta, lecz w wojennéj sztuce nie biegły. Gallia za przychylność z wodzem swym Windexem nadana prawem obywatelstwa rzymskiego, i na przyszłe czasy od części podatków uwolniona. Pobliższe jednak wojskom niemieckim miasta cześci téj nie odniosły, a niektóre, dzierżaw swych postradawszy, za równą wzięły urazę krzywdy własne i cudze zyski. Niemieckie wojska harde i rozsierdzone świeżym zwycięztwem, a co najniebespieczniejsza, trwożliwe przy wielkich siłach, jakoby przeciwnéj stronie służyły, w niespokojności zostawały. Nie rychło albowiem odstąpiły Nerona, i Werginius, ich hetman nie zaraz do Galby przystał: nie wiadomo, jeśli sam panować pragnął, ponieważ to pewna, że mu pułki berło ofiarowały. Sami ci, którzy się na zabójstwo Kapitona skarżyć nie mogli, obrażali się zgubą jego. Nie dostawało tylko przywodzcy po odciągnio-

nym pod pokrywką przyjaźni Werginiuszu, którego, że im nazad nie odsyłano, owszem za winnego osądzono, cudzy występek za własny tłumaczyli.

Pułki Wyższych Niemiec lekce ważyły Hordeoniusza Flakka. legata, że był stary, kaléka na nogi, bez statku i powagi: trudno ich było nawet w pokoju utrzymać, słabość chcącego poskromić do większéj swywoli pobudzała. Niższe wojska długo nie miały rządzcy, póki do nich Galba nie wysłał Aula, syna Witelliusza, censora i po trzykroć konsula. Dosyć się na tym zdawało; brytańskie huffy spokojne, żadne się pułki podczas wszystkich domowych rozruchów skromniéj nad nie nie zachowały, czyto że przedzielone od drugich oceanem, w odległości były, czyli że dla ustawicznych z pogranicznymi bojów nauczyły się nieprzyjaciela nienawidzieć. Nie mniejsza była spokojność i w Illiryku: lubo ruszone przez Nerona od Włoch żołniérstwo, gdy się tam ociąga, wyprawiło poselstwo do Werginiusza. Atoli długim przeciągiem oddalone od siebie wojska (co jest najskuteczniejsza do utrzymania karności), nic miały z sobą ani sił, ani występków społeczeństwa.

Wschód jeszcze stał nieporuszony. Syryą ze cztérma pułkami rządził Licyni Mucyan, mąż obojéj fortuny losami sławny. W młodości swéj ubiegał się o pozyskanie przyjaźni najcelniejszych ludzi: potym strwoniwszy dobra, gdy go z jednéj strony domowy niedostatek cisnął, z drugiéj niepewne obrażonego Klaudyusza oko trapiło, zasłany do Azyi na prywatne życie, jak blizkim piérwéj był wygnania, tak potym berła. Rozrzutność z przemysłem, duma z grzecznością czyniła w nim misterną jakąś wad i pięknych przymiotów mięszaninę. Próżnując nie znał miary w rozkoszach: w czynnościach cnót wielkich znakomite dawał dowody. Jawnie pięknie słynął, tajemne sprawy nie uszły nagany. Znajdowały się w nim dziwne powaby, któremi sobie domowników, kollegów i powinowatych serca zniewalać umiał, któremu przyzwoiciéj było dawać berło, niżeli je trzymać. Wojnę żydowską Wespazyan ze trzema pułkami, naznaczony od Nerona wodzem na tę wyprawę, popiérał. Nie miał on z Galbą ani przyjaźni, ani złéj woli ku niemu: owszem syna swego Tytusa, jako się niżéj na swoim miejscu powié, dla oświadczenia mu życzliwéj chęci i powolności wysłał. Wyniesienie Wespazyana na tron mieliśmy za przypadek, lecz skryte

niebios wyroki panowanie mu i dzieciom jego przez dziwne zjawy i wieszcze odpowiedzi oświadczyły.

Egiptu i wojsk straż trzymających miało dozor od czasów Augusta rycerstwo rzymskie zamiast królów. Zdawała się albowiem rzecz potrzebna, aby w prowincyi onéj żyznéj, zabobonami i rozpustą waśliwéj, do buntów skłonnéj, praw i rządu naszego nieznajomej zaufaną zwierzchność trymać. Sprawował ją naówczas Tyberyusz Alexander z tegoż narodu. Po strąceniu Klaudyusza Makra Afryka i pułki w niéj stojące nie brakowały jakimkolwiek panem, skosztowawszy okrucieństwa drapieżnego panka. Obie Maurytanie, Recya, Norycka Ziemia, Tracya, tudzież wszystkie inne powiaty, pod władzą prokuratorów zostające, jakiemu który wojsku był przyległym, tego się duchem napajał, idąc za tym, co mocniejszy. Bezbronne prowincye, a same naprzód Włochy stały wystawione każdemu na łup i służbę, komuby szczęście posłużyło do wygranéj. Taki był stan państwa Rzymskiego, kiedy Sergius Galba powtórnie, i Tytus Winius, konsulami zostawszy, wstąpili w rok życia swego pośledni, a rzeczypospolitéj ostatnią prawie zgubą grożący.

Nie długo po piérwszym dniu stycznia przyniesiono listy od Pompeja Propinkwa, prokuratora w Galii Belgickiéj z doniesieniem, że pułki górnych Niemiec, złamawszy powagę przysięgi, innego cesarza mieć pragną, zdając obranie onego na wolę senatu i ludu, aby podniesiony rokosz gładziéj uszedł. Ta nowina pobudziła Galbę, aby czym prędzéj do skutku przywodził zamysły względem przysposobienia syna, o czym się dawniéj z sobą i z przyjaciołami naradzał. Brzmiało przez wszystek ten czas miasto ustawicznemi wieściami, już dla starości Galby, już dla swobody i świegotliwości języka w podobnych przygodach. Nie wiele było rozsądnych, lub dobra ojczyzny upatrujących; więcéj takich, którzy dla skrytych nadziei, jako kto kogo miał przyjacielem lub dobrodziejem, temu z prywatnego przywiązania panowanie wróżył; a to przez nienawiść nawet ku Winiuszowi, który rosnąc codzień w kredyt i potęgę, sroższe pospołu nieprzyjaźni na siebie ściągał. Sama Galby przy jedynowładnym tylu łask szafarstwie powolność natężała niepohamowaną w przyjaciołach obłowu chciwość, zwłaszcza że niedołężnego i lekkowiernego starca z mniejszą bojaźnią, a sowitym zyskiem łudzić można było.

Galba po wziętéj nowinie o rozruchu niemieckim, lubo żadnéj

jeszcze pewności o Witeliuszu nie miał, strapiony z jednéj strony niewiadomością, dokąd się pożar wojenny obróci, z drugiéj nie ufając miejskiemu żołnierzowi, złożył radę względem obrania następcy, którą w tym razie sądził być ostatnim lekarstwem. Wezwawszy zatym prócz Winiusza i Lakona, Maryusza Celsa, naznaczonego konsula z Deceniuszem Geminem, prefektem miasta, i uczyniwszy krótką przemowę o swéj starości, kazał przyzwać Pizona Licyanina, nie wiedzieć jeśli go sam obrał, czyli, jako niektórzy mniemali, z namowy Lakona, który zabrał z Pizonem scisłą przyjaźń, uczęszczając oba do domu Rubella, lecz mu tylko skrycie, jakoby nie miał z nim poufałości, dopomagał. Dotego powszechna sława Pizona dodawała wagi radom wyzwoleńczym. Urodził się Pizon z Marka Krassa i Skrybonii, obu rodziców wysokiego rodu. Z twarzy i postawy wydawała się w nim prostota starożytna. Ktokolwiek o nim sprawiedliwie sądził, miał go za człowieka surowego, co nieżyczliwi srogością nazywali. Wszakże ta cząstka obyczajów Pizona, nie miła patrzącym zazdrośnie na jego przysposobienie, barzo się podobała temu, co go przysposabiał.

Ująwszy zatym Galba Pizona za rękę, w ten sposób miał do niego mówić. „Gdybym cię, jako ludziom prywatnym zwyczajna, w obecności arcykapłanów, według przepisu praw brał za syna, byłby to i dla mnie zaszczyt, łączyć się z potomkiem wielkiego Pompeja i Marka Krassa, i dla ciebie sława, widzieć krwi twojéj zacność nowemi Sulpicych i Lutacych ozdobami pomnożoną. Teraz gdy mię jednomyślna bogów i ludzi zgoda na państwo wezwała, powodem mi są zacne przymioty twoje, i miłość ojczyzny, abym ci wojną nabyte berło, o które przodkowie nasi mieczem się dobijali, w pokoju ofiarował. Uczynił tak niegdyś August, kiedy naprzód Marcella, siestrzeńca swego, potym zięcia Agryppę, daléj wnuków, nakoniec Tyberyusza, pasiérba u boku swego posadził. Lecz August w domu własnym następcy szukał; ja w rzeczypospolitéj, nie że powinowatych i wojny towarzyszów nie mam, lecz że i sam ambicyą panowania nie wziąłem, i rozsądku mego dowodem mieć pragnę, że, o własnéj krwi zapomniawszy, w twojéj nawet wyboru szukam. Masz brata, równego w szlachetności, starszego w leciech, godnego téj fortuny, gdybyś nadeń zdolniejszym nie był. Dotykasz wieku, który młodzieńczéj bujności zapędy ztępił: luboś tak żył, że patrząc pozad, nie masz w czym wymówek szukać. Sameś tylko dotąd niechętnéj doli przygody znosił.

Pomyślne losy ostrzejszym bodźcem kosztują umysłów, bo nędza hartuje serca, szczęście je psuje. Nie wątpię o tym, że statecznie wiary, wolności, przyjaźni, owychto najszacowniejszych ludzkiego przyrodzenia upominków dochować zechcesz; lecz je nikczemność obca nadwerężyć może. Wkradnie się pochlebstwo, najszkodliwsza czystych chęci zaraza, dla własnych połowu zysków. Oto my teraz z sobą jak najpoufaléj mówim; drudzy podobno chętniéj z naszym szczęściem, niżeli z nami, obcują. Trudno zaiste nader, zdrowe mocarzom podawać rady: pochlebiać każdy bezpiecznie może."

„Gdyby się ten niezmierny państwa ogrom sam przez się mógł dzierżéć i dźwigać bez rządzcy, godzien byłem, by się odemnie rzeczpospolita poczynała. Lecz od dawnych lat do téj potrzeby przyszły rzeczy, że ani ma starość lepszym ojczyznę obdarzyć zdoła upominkiem nad zdolnego następcę, ani młodość twoja nad dobre onéj sprawowanie. Wszakże nie trwoż się ztąd, że w tym powszechnym świata zaburzeniu dwa pułki jeszcze nie ucichły. Anim ja trafił na spokojne rzeczy: tuszę atoli sobie, że usłyszawszy lud o twym przysposobieniu, przestanie mię nazywać starcem, co mi dotąd jedynie zarzuca. Zbrodniowie będą zawsze Nerona żałować; my się starajmy, aby go i poczciwi nie żałowali. Dłuższego napomnienia czas dawać nie pozwala; wszystko się rozumnie spełniło, jeślim cię dobrze obrał. Najzbawienniejszym i najkrótszym rozeznania dobrych od złych chęci prawidłem jest uważać na to, co byś sam rad widział w panującym, a czegobyś nie chciał. Nie tym się albowiem trybem Rzym rządzi, jak inne państwa, gdzie jedni koniecznie służą, drudzy panują; lecz będziesz władał takim narodem, który ani zbytniéj swobody, ani całéj niewoli znieść nie umié." Te i tym podobne rzeczy mówił Galba, jakby następcę przybierał; drudzy z nim, jako już z przybranym rozmawiali.

Powiadają, iż Pizon, gdy nań obecni, a potym wszyscy patrzali, żadnéj poznaki zmieszania, lub uniesionéj radością myśli nie dał. Mówił z uszanowaniem o cesarzu i ojcu, o sobie skromnie: żadna się na nim w odzieniu i obyczajach nie ukazała zmiana, jakby więcéj miał zdolności, niż żądzy do berła. Naradzono się zatym, jeśli to przysposobienie na rostrach, czyli w senacie lub obozie ogłoszone być miało. Postanowiono iść do obozu, iż to z honorem będzie żołnierzów, których przychylność jako

złotem a prożbą szukana, mało bezpieczna, tak grzecznością i przystojnemi sposobami nabytą gardzić należy. Tymczasem otaczała pałac publiczna ciekawość, niecierpliwa wielkiéj tajemnicy, którą im barziéj kryto, tym się więcéj szerzyła.

Dziesiątego dnia stycznia zasępiło się niebo okropną flagą, srożąc się nadzwyczaj łyskaniem i piorunami. A lubo zdawna postrzegano, aby w takowéj chwili przerywać sejmowanie, nieustraszony Galba szedł do obozu, bądź trafunkowe przygody lekce sobie ważył, bądź że przeznaczone wiecznym wyrokiem losy i ostrzeżonego nie miną. Mówił w licznym żołniérstwa kole zwykłą imperatorom słów krótkością: że Pizona przysposabia, idąc za przykładem Augusta, a obyczajem żołniérskim, którym mąż męża zwykł sobie za kollegę przybiérać. Żeby zaś zamilczany bunt większego na umysłach wrażenia nie uczynił, namknął umyślnie, że dwa pułki, czwarty i dwudziesty drugi za sprawą niewielą przywodzców samemi tylko słowami i hałasami wykroczyły, i że wkrótce się uspokoją. Nie osłodził téj mowy żadną słów przyprawą, żadną podarunków obietnicą. Jednak trybunowie, setnicy i blizko stojący żołniérze milą na pozór dali mu odpowiedź; drudzy się zasępiwszy milczeli, jakoby zwykły w pokoju nawet upominków szafunek podczas wojny téj utracili. Rzecz pewna, iżby się ukoić dały żołniérskie duchy jakokolwiek skępcy starego szczodrobliwością. Zaszkodziła mu staroświecka obyczajów ostrość, i surowość zbyteczna, od któréj wieki nasze już odwykły.

Smierć Germanika.

Za konsulatu M. Sylana i L. Norbana wyjechał Germanik do Egiptu na oglądanie starożytności, pod pokrywką potrzeby wejrzenia w stan prowincyi. Jakoż kazał otworzyć publiczne spichrze dla ulżenia ceny zboża, i wiele innych rzeczy wdzięcznych ludowi uczynił, chodząc boso w greckim odzieniu przykładem Scypiona, który, gdy jeszcze kartagińska wojna wrzała, podobnie sobie w Sycylii postępował. Tyberyusz, zganiwszy w słowach dosyć skromnych odzienie i postępki Germanika, zgromił go ostro, że przeciwko ustawom Augusta, nie dołożywszy się zwierzchności, jechał do Ale-

xandryi, ponieważ August między innemi panowania tajemnicami zakazał puszczać senatorów i celniejszego rycerstwa do Egiptu bez osobliwszego pozwolenia, bojąc się, ażeby z nich który, opanowawszy tę prowincyą, twierdzę lądu i morza, gdzie z małym ludu pocztem potężnym siłom oprzéć się można, Włochów nie ogłodził.

Wszakże Germanik, nim go jeszcze list stryjowski z upomnieniem doszedł, wsiadłszy na łodzie u Kanopu, popłynął Nilem wgłąb Egiptu. Zbudowali to miasto Spartanowie na pamiątkę Kanopa, sternika okrętu wtenczas, kiedy Menelaja powracającego do Grecyi szturmy morskie na brzegi libijskie wyrzuciły. Nie daleko miasta ujście Nilu nazywa się Herkulesowym, ponieważ mieszkańcy kraju powiadają, że się Herkules u nich urodził, i najdawniejszym był z tych wszystkich, którzy dla wielkiéj siły i męztwa to imię nosili. Oglądał potym ogromne starożytnych Tebów w samych zwaliskach ślady, gdzie jeszcze na wysokich obeliszkach widzieć było wyryte egipskie charaktery, wielkość i dostatki pamiętnego tego miasta oznaczające. Wezwano jednego z sędziwych kapłanów, który starożytne pismo owe tak wytłumaczył, że tam niegdyś mieszkało siedmkroć stotysięcy mężów, do boju, i że z tym ludem Ramses król Libią, Murzynów, Medów, Persów, Baktryanów, Scytów pobił, także Syryą, Ormianów, Kappadoków, Bitynią i całą Azyą Mniejszą do morza Czarnego zhołdował. Wyrażone też były podatki włożone na zhołdowane narody, wiele z nich który miał dawać kamieni, złota i srebra, wiele koni i rynsztunku, wiele słoniowéj kości na ozdobę kościołów, tudzież kadzidła, zboża i innych potrzeb: niezmierne zaiste skarby, ile ich teraz potęga rzymska, lub zdzierstwa Partów w daninie biorą.

Oglądał i inne starożytności cuda: kamienny ów Memnona posąg, ze wschodem słońca głos wyraźny wydający; wyniosłe nakształt gór jakich tam i owdzie po piaszczystych i ledwo dostępnych dla kurzawy pustyniach piramidy, chlubne przepychu i potęgi królów znamiona; pokopane jeziora, dla ścieku wód w czasie wezbrania Nilu; głębokie pieczary, dla dziwnéj rozlicznych ścieszek plątaniny niedościgłe. Nakoniec szedł do Elefantyny i Syeny, granic niegdyś Rzymskiego państwa, które się teraz aż do morza Czerwonego rozciąga.

Powróciwszy Germanik z Egiptu, znalazł wszystkie rozporządzenia, które był piérwéj w wojsku i miastach poczynił, albo z gruntu

zepsute, albo odmienione od Pizona. Ztąd sroższe jeszcze wybuchnęły nienawiści i pogróżki. Już był Pizon postanowił wyjechać z Syryi; lecz zatrzymany słabością Germanika, wziąwszy wkrótce wiadomość, że się mu polepszyło, i że za ocalenie jego publiczne czyniono modły, posłał do Antyochii swych liktorów, którzy pozrzucawszy ofiary, księży i radosny lud rozegnali. Potym wyjechał do Seleucyi, czekając skutku choroby, w którą był Germanik wpadł. Natężało niemoc podejrzenie zadanéj od Pizona trucizny: znajdowano przy pałacu rozrzucone, albo zawieszone na ścianach członki wygrzebanych trupów, rymy czarnoksięzkie, przekleństwa, tablice ołowiane z napisem imienia Germanika, opalone i umazane posoką gnaty, tudzież inne czarownicze gusła, któremi się (jak mówią) dusze piekielnym jędzom w moc podają. Żalono się także na wysłanych od Pizona szpiegów, którzy się o stanie chorego tajemnie wybadywali.

Bolał mocno na tak niegodziwe postępki trwogą i gniewem przeniknięty Germanik. „Jeśli“ powiadał „w domu własnym otoczony, w oczach nieprzyjacielskich duszę mam wyzionąć, cóż się z nędzną żoną, co z niedorosłemi dziatkami stanie?“ Tęskno go, że mu czary oporem idą, radby dziś wojska i prowincyą sam opanował: lecz nie tak jeszcze zwątlony Germanik, żeby się zbójca z zysku swéj zbrodni miał ucieszyć. Napisał zatym listy, czyniąc z nim rozbrat, a niektórzy mówią, że mu wnet kazał z prowincyi ustąpić. Nie długo się bawił Pizon, i wsiadłszy w okręt płynął powoli, ażeby rychléj powrócił, jeśliby śmierć Germanika Syryą mu otworzyła.

Pokrzepiony nadzieją zdrowia Cezar, gdy wkrótce ustając na siłach blizki kres widział, w te słowa do przytomnych przyjaciół mówić począł: „Gdybym przyrodzoną śmiercią ze świata schodził, miałbym poniekąd żal sprawiedliwy na samych bogów, że mię w kwiecie młodości, z łona ojczyzny, rodziców i dziatek moich ukwapliwym wydzierają zgonem. Teraz gdy zbrodnia Pizona i Plancyny przed czasem życie mi bierze, ostateczne uprzejmym sercom waszym niosę prożby. Donieście ojcu i bratu, jakiemi frasunkami strapiony, jakiemi uwikłany zdrady, nędzny ten żywot niegodną śmiercią kończyć muszę. Kogokolwiek nadzieje moje lub związki pokrewne ze mną złączyły, owszem sama żyjącemu niechętna zazdrość użali się bez pochyby doli mojéj, że po tylu przygodach wojennych pełen zawsze zdrowia i sławy, z niewieściéj ginę ręki. Wzywajcie senatu, wzywajcie praw na mą

zemstę! Nie jestto najgłówniejszy przyjaźni dowód, gnuśne łzy nad umarłym ronić, lecz na wolę jego pamiętać, i zlecenie wykonywać. Zapłaczą nad Germanikiem i obcy ludzie: wam krzywdy jego zemścić się należy, jeśliście mu dotąd, nie fortunie jego sprzyjali. Stawcie przed ludem rzymskim wnuczkę Augusta, a moję razem małżonkę: wyliczajcie sześcioro sierot: znajdziecie politowanie u sądu, a zwalająca na dane sobie rozkazy zbrodnia albo wiary nie znajdzie, albo nie ujdzie kaźni.“ Poprzysięgli przyjaciele biorąc go za rękę, że pierwéj zginą, niż darują mordercom.

Potym obróciwszy się do żony, zaklinał ją na miłość małżeńską i spólne potomstwo, ażeby miarkowała swą popędliwość, uchylając się złéj chwili, a za powrotem do Rzymu niewczesną potęgi emulacyą możniejszych od siebie nie jątrzyła. To mówił jawnie, inne zaś rzeczy tajemnie, dla bojaźni, jak mniemano, Tyberyusza: i wkrótce potym z niezmiernym żalem prowincyi i pogranicznych narodów życie skończył. Oplakiwali śmierć jego obcy królowie: taka w nim była ku sprzymierzeńcom ludzkość, taka ku nieprzyjaciołom łaskawość! Z głosu i wejrzenia równie szanowny, umiał tak utrzymać powagę wysokiego stanu, że go ani duma, ani zazdrość nie dotknęła.

Pogrzeb jego bez okazałych przepychów, pochwały i pamięć cnót rozlicznych ozdobiły. Niektórzy go z wieku, postaci podobieństwa, śmierci, blizkości miejsc, zgonem obu znakomitych z Alexandrem Wielkim porównywali: oba albowiem byli wzrostu pięknego, wysokiéj rodowitości; oba ledwo trzydzieści lat zpełniwszy, w obcéj krainie domową zdradą polegli. Atoli Germanik łaskawością ku nieprzyjaciołom, pomiarkowanym rozkoszy używaniem, stateczną jednéj małżonki miłością i pewnym potomstwem Alexandra celował. Niemniéj też walecznym był wojownikiem, acz nie tak zuchwałym. Co gdyby był samowładnym wszystkiego panem, gdyby imię królewskie z powagą nosił, doścignąłby niechybnie rycerskiéj greckiego bohatyra sławy, tak jako go łagodnością, wstrzemięźliwością, i innemi cnotami przewyższył. Nim ciało na stos włożyć miano, obnażono je na rynku antyocheńskim, miejscu na pogrzeb wyznaczonym. Trudno było dociec, jeśli się na nim jakie trucizny znamiona pokazały: bo jako kto czy Germanika żałował, czyli Pizonowi sprzyjał, lub uprzedzone miał o nim rozumienie, tak sobie tłumaczył.

Złożona potym od legatów i przytomnych senatorów rada, komuby tymczasem Syryą w rządy oddać. Każdy sobie z razu życzył, lecz najusilniéj Wibius Marsus z Sencyuszem; musiał jednak spólnikowi ustąpić dla starszeństwa i uporu. Sencyusz na prożby Witeliusza, Weraniego i innych, którzy Pizona z Plancyną za jawnych już mieli winowajców, wysłał do Rzymu Martynę, niecną czarownicę, wielką Plancyny przyjaciółkę.

Tymczasem Agryppina, lubo słabością i żalem wycieńczona, łamiąc wszystkie do prędkiego zemszczenia się śmierci małżonka zawady, wsiadła na okręt z dziećmi i popiołami Germanika. Rozrzewniał wszystkich żałosny tak zacnéj pani widok, która chwilę przedtym cesarskiéj dostojności uczestniczka, wabiła na się oczy i poszanowania świetnego dworu, teraz martwe na łonie piastując zwłoki wyjéżdżała, niepewna sprawiedliwości, troskliwa o siebie, a na tyle przeciwnéj doli ciosów zostawiona. Dowiedziawszy się Pizon na wyspie *Coos* o zejściu Germanika, pobiegł z radości do kościołów, czynić bogom ofiary, a Plancyna jawniejsze jeszcze pokazując wesele, zrzuciła natychmiast wziętą po siostrze żałobę, i w świetne się szaty przyoblokła.

Przybiegali zewsząd setnicy z oświadczeniem przychylności pułków, namawiając go, aby powracał do prowincyi bezprawnie sobie wydartéj, teraz bez rządzcy zostającéj. Namyślającemu się Pizonowi, co miał w téj mierze czynić, radził syn Marek Pizon, ażeby jechał do Rzymu; że się nic jeszcze dotychczas nie stało, z czegoby się oczyścić nie mógł; żeby się nie lękał płochych podejrzeniów i wieści płonnych; że wszczęte z Germanikiem zatargi więcéj podobno gniewu cesarskiego, niżeli kary, są godne; że się nieprzyjaciołom dosyć stanie odjęciem prowincyi; że powrót do niéj gwałtowny bez zezwolenia Sencyusza wojnę domową sprawi; trudno ufać żołnierstwu i starszyznie, których umysły świeżą wodza pamięcią a starodawną Cezarów miłością z gruntu napojone, na przeciwną bez pochyby stronę przeważą.

Dowodził przeciwnie Domicy Celer, jeden z najpoufalszych Pizona przyjaciół, że trzeba z okazyi korzystać; że Pizonowi, nie Sencyuszowi powierzone prowincyi rządy; jemu siekiéry, jemu oddana pretorska władza; że jeśli-

by się co po nieprzyjacielsku działo, ten sprawiedliwéj broni dobędzie, któremu moc legata z wyraźnéj zwierzchności woli poruczona. Trzeba zostawić czas rozsianym wieściom, póki nie ustaną; częstokroć samę niewinność świeża nienawiść gnębić zwykła: lecz jeśli mieć będzie wojsko w ręku, i sił pomnoży, czego rozum opatrzyć nie zdoła, szczęśliwy trafunek na lepsze obróci. „Czyli po to do Rzymu masz spieszyć z popiołami Germanika, aby cię bez wysłuchania, bez patrona, zburzone płaczem Agryppiny pospólstwo w piérwszym gniewu zapędzie rozszarpało? Wié Liwia, coś uczynił, sprzyja ci tajemnie Cezar: wreszcie wiédz o tym, że ci najwystawniéj śmierci Germanika płaczą, którzy się z niéj najuprzejmiéj cieszą.“

Dosyć było do namowy gwałtownego w swych zapędach Pizona. Napisał list do Tyberyusza, w którym Germanika o pychę i zbytki winując, daje znać o sobie, że wygnany z prowincyi, aby szkodliwym jego zamysłom wstrętu nie czynił, znowu do wojska z taką wiernością, z jaką ją objął, powraca. Wysłał Domicego z galerą, ostrzegając, aby o podal od brzegów walnym morzem mimo wysp do Syryi płynął. Sam podzieliwszy na roty zbiegów, uzbroiwszy domową hałastrę, przybił ze statkami do lądu, gdzie chorągiew wybrańców, idącą do Syryi zabrał, listy do królików Cylicyi, prosząc o posiłki, rozpisał, a to wszystko za dzielną pomocą syna, który mu piérwéj wojnę odradzał.

Potym płynąc około Licyi i Pamfilii, napadł na flotę Agryppiny. Gniewne z obu stron żołniérstwo dobyło broni; lecz wzajemna trwoga na samych się tylko poswarkach zakończyła. Marsus Wibius wołał na Pizona, aby do Rzymu na rozprawę jechał. Lecz on go zbywając, odpowiedział, że wtenczas się stawi, kiedy Pretor, który ma sądzić o czarach, jemu i oskarzycielom jego rok poda. Tymczasem Domicy, przybywszy do Laodycei, ciągnął na zimowisko siódmego pułku, rozumiejąc, że go łacno na swą stronę przeciągnie; lecz go Pakuwiusz legat uprzedził. O czym uwiadomiony Sencyus, napisał do Pizona ostrzegając, aby mu wojska nie buntował, i wojny w prowincyi nie wzniecał; a tymczasem

zebrawszy przyjaciół Germanika i przeciwnych stronie Pizona, wyszedł w znacznym ludu poczcie, i do boju gotowym przeciwko nieprzyjacielowi, wrażając coraz potęgę Tyberyusza i dobytą broń na ojczyznę.

Widząc Pizon, że się mu początki nie według myśli szykowały, chwycił się, co być rozumiał w tym razie najlepszego. Opanował warowny zamek w Cylicyi imieniem *Celendris*, i zebrawszy pułk ze zbiegów, czeladzi domowéj, tudzież zabranych wybrańców z przysłanemi od królików posiłkami, świadczył się przed nimi, że się w osobie jego legatowi cesarskiemu gwałt dzieje; że mu nie pułki, które go do siebie wzywają, lecz ukryta kłamliwemi potwarzami prywatna Sencyusza niechęć do prowincyi od zwierzchności poruczonéj tamuje drogę. „Stańcie tylko“ mówił „na placu żaden się nie porwie, skoro Pizona, którego przedtym ojcem pułków nazywał, przy słuszności i zdolnym do odporu orężu obaczy.“ To powiedziawszy rozwinął swe hufiy na pagórku przykrym przed szańcami zamku, który z innych stron morze opasywało. Stanęli naprzeciw weterani w porządnym szyku, świeżym pozad zmocnieni ludem: tu serce i wybór, tam cała w miejscu ufność, bez męztwa, bez nadziei, bez broni nawet zdolnéj, i do gwałtownéj tylko sprawy nagle przygotowanéj. Skoro wręcz przyszło, póty się tylko nieprzyjaciel krzepił, póki Rzymianie równiny nie dopadli: pierzchnęli wnet Cylikowie, i w zamku się zawarli.

Tymczasem Pizon, usiłując próżno podejść zdradą oczekiwającą niedaleko flotę, wrócił się nazad, i stanąwszy na murach, już narzekaniem na swą niedolę, już przyzywaniem po imieniu żołniérstwa, już obietnicami nagród buntował ludzi, i tak poruszył, że orłowy szóstego pułku ze znakiem do niego przeszedł. Co widząc Sencyusz, za danym w trąby hasłem, dobywać szańcu, przystawiać drabiny, postępować co najwaleczniejszym, oraz groty, kamienie i żagwie z dział wyrzucać kazał. Złamany nakoniec uporczywy Pizon prosił, aby mu pozwolono, złożywszy broń, zostać w zamku, pókiby Tyberyusz nie odpisał, komu się Syrya w rządy dostać miała. Odrzucone prożby z samym tylko wolnego do Rzymu odjazdu pozwoleniem.

Skoro gruchnęło w Rzymie o chorobie Germanika, a jako pospolicie bywa, że odległe wieści niepewność przydatkiem na gorsze natęża, napełniło się miasto gniewem i żałością. „Nie darmo“ mówiono

„zasłał go Tyberyusz za kraj świata; nie darmo Pizonowi prowincyą oddał; do tego końca zmierzały tajemne Liwii z Plancyną rozmowy; dobrze o Druzie starzy wróżyli; podejrzana królującym popularnych synów u ludu miłość; nie dla innéj przyczyny śmierć ukwapliwa obu sprzątnęła, tylko że ludowi rzymskiemu piérwszą swobodę przywrócić myśleli.“ Takowe gminu szemrania przyniesiona wkrótce o śmierci nowina tak srodze rozżarzyła, że nie czekając publicznego z rady senatu obwieszczenia, przerwano sądy, pozamykano domy: wszędy głuche milczenie, albo same tylko ozywały się lamenty, bez wystawnéj obłudy z gruntu serca przechodzące. Atoli powiérzchowne żałoby znaki cieniem były wnętrznego utrapienia. Wtym przybyli trafunkiem kupcy, którzy za życia jeszcze Germanika z Syryi wyjechawszy, weselsze nowiny o zdrowiu jego przynieśli. Zaraz im uwierzono, zaraz rozsiano: szerzyła się powszechna radość: jeden drugiemu płochego nadstawując ucha, z przydatkiem podawał: kupiło się po ulicach pospólstwo, odbijało bożnice dla podziękowania bogom: pomogła do lekkowierności nocna chwila, i łatwiejszy w ciemnotach fałszu na prawdę frymark. Nie zabiegał płonnym wieściom Tyberyusz, czekając, aż się same z czasem rozsypią, a lud uwiadomiony, rzewniéj jeszcze, jakoby zmarłego powtórnie, opłakiwał.

Przesadzała się miłość z dowcipem na wynalezienie honorów pogrzebowych, ażeby imię zmarłego salskim rymem opiéwano: ażeby w posiedzeniu kapłanów Augusta krzesło jego dębowym wieńcem ozdobione stawiano; aby na igrzyskach cyrceńskich noszono przodem obraz ze słoniowéj kości; oraz żeby na miejsce jego żadnego kapłanem i augurem nie naznaczać, któryby ze krwi Juliuszów nie pochodził. Wystawiono jeszcze bramy tryumfalne w Rzymie, nad Renem, i na górze Amanu z napisem dzieł rycerskich, i że za rzeczpospolitą śmierć podjął: także grób w Antyochii, gdzie go spalono, i trybunał w *Epidaphne*, kędy życia dokonał. Posągów i miejsc imieniowi jego poświęconych trudno wyliczyć. Chciał mu senat zawiesić między krasomowcami złotą tarczę, większą nad inne: odpowiedział Tyberyusz, że zwyczajną i równą drugim zrobić każe: że fortuna wymowie nic nie przydaje: dosyć mu będzie zaszczytu, jeśli między starożytnymi mowcami otrzyma miejsce. Stan rycerski nazwał imieniem Germanika jeden poczet, który przed-

tym Juniuszów nazwisko nosił: postanowił także, ażeby pietnastego dnia lipca na czele młodzi rzymskiéj obraz jego noszono. Wiele z tych ustaw trwa dotychczas, niektóre albo zaraz ustały, albo je starożytność w niepamięć puściła.

F) Kaja Korneliusza Tacyta Germania. Tom IV w Warszawie 1804.

Żadnego narodu nie masz, coby tak pilnie losów i wróżek postrzegał, jak Germanowie. Sposób losowania mają prosty. Uciąwszy z drzewa owocowego rószczkę, sieką ją na kolanka, które pewnemi cechami oznaczone, rzucają trafunkiem na biały płatek. Na powszechnéj radzie kapłan narodowy, a na prywatnych schadzkach gospodarz miejsca, pomodliwszy się bogom i wejrzawszy w niebo, bierze po trzykroć każdą sztukę, i podług wyrażonego znaku tajemnicę wykłada. W przypadku niepomyślnéj odpowiedzi już się tego dnia więcéj naradzać nie godzi, przeciwnie zaś, dla większéj wiary powtórne czyni się doświadczenie. Zwyczaj postrzegania lotu i gwaru ptaków jest im także znajomy: właściwsza atoli przypatrować się obrotom końskim, i czynić ztąd wnioski na przyszłość. Chowają się te konie publicznym kosztem w tychże samych lasach i gajach, wybrawszy co najbielsze, i do żadnych jeszcze posług ludzkich nie użyte, które gdy się do świętego wozu założą, idzie podle kapłan, albo król, lub piérwszy w powiecie, z pilnym przysłuchem poryżaniu i sapom. Takowe wróżki najznakomitszą mają powagę nie tylko w gminie, ale w celniejszych nawet, i w duchowieństwie. Mają albowiem siebie za tłumaczów boskich, a konie za składy ich tajemnic. Jest jeszcze inny rodzaj wieszczby, w czasie ciężkich wojen do badania przyszłych powodzeń stosowny. Dostawszy jakimkolwiek sposobem więźnia narodu, z którym wojnę toczą, stawią mu naprzeciw wybranego ze swoich chłopa, i uzbroiwszy obu po swojemu, każą się potykać: los pacholczy jest godłem przyszłego dla strony szczęścia.

O sprawach lekszéj wagi radzi starszyzna, o główniejszych wszyscy, tak jednak, że co gmin ma postanowić, to być musi i wyżéj roztrząśniono. Schodzą się, jeśli niespodziana jaka nie zajdzie przeszkoda, w pewnych dniach, kiedy księżyc jest na nowiu, albo w pełni, rozumiejąc, że te pory są najpomyślniejsze do zaczęcia obrad. Nie mierzą czasu dniami, jako my, ale nocami, datując niemi schadzki

swoje i zapozwy sądowe. Noc tam zdaje się dniowi przodkować. Z wolności ich ta wynika wada, że się ani razem, ani na czas wyznaczony schodzą: ztąd bywa, że częstokroć kilka dni przez tę opieszałość próżno upływa. Za dopełnieniem liczby, zasiadają zbrojni. Duchowieństwo, które i tam ma prawo gospodarzyć, nakazuje milczenie. Potym król albo przedniejszy z krajowych, a za nim i drudzy według wieku, godności, zasług wojennych, przymiotów wymowy, porządkiem głosy zabiérając, sposobią umysły barziéj ważnością przyczyn, niżeli mocą rozkazów. Jeśli się zdanie nie podoba, odrzucają one powstającym gwarem: jeśli zaś do smaku, biją szablami po tarczach na znak zgody. Najszlachetniejszyto rodzaj zezwolenia, uzyskać orężną pochwałę.

Wolno téż na sejmie obwiniać złoczyńców, i gardłem karać. Każdy występek właściwą kaźń odnosi. Zdrajców i zbiegów wieszają na drzewach: gnuśników zaś, tchórzów i wszeteczników w bagnie albo w błocku, przywaliwszy kratą, grążą. Takowa różność kary dlatego jest ustanowiona, aby zbrodnie publiczne wszystkim były jawne, a sromoty osobiste w wiecznéj ugrzęzły niepamięci. Leksze przestępstwa nie są téż bez nagany według pomiaru grzéchów. Winowajca opłaca się końmi, bydłem, dając część królowi, lub miastu, część osobie pokrzywdzonéj, albo jéj krewnym. Na tychże sejmach obiérają się starsi do szafunku sprawiedliwości w powiatach i włościach, z przydaniem każdemu stu wybranych z gminu towarzyszów, którzy wespół z nimi zasiadają w radzie, i sprawy sądzą.

Żaden się nie pokaże bądź publicznie, bądź prywatnie, bez broni: nikomu jednak nie wolno jéj nosić bez uznania zdolności od współobywatelów. Gdy wiek dospieje, prowadzą młodzieńca do gromady, gdzie mu albo starszy powiatowy, albo ojciec, lub krewny daje spisę i puklerz. Ta jest u nich męzka szata, ta najpiérwsza młodości chluba: przedtym niedorostek był tylko cząstką domu, odtąd zaczyna być rzeczypospolitéj. Wysoka rodowitość, zasługi rodziców znamienite jednają często ich potomstwu acz małoletniemu piérwszeństwo między młodzieżą. Wreszcie po tym obrządku zaraz idą w poczet dojrzalszego już, i zdawna ćwiczeńszego rycerstwa; ani mają za wstyd liczyć się pomiędzy towarzystwem rządowéj zwiérzchności. Kto mu przodkuje, dzieli i wyznacza według woli swojéj pewne stopnie: zkąd rośnie emulacya w jednych, aby się rangą co najbliżéj do swego przy-

mknęli wodza, w drugich, aby najwięcéj i najżwawszych mieli przy boku junaków. Na tym ich zacność, na tym potęga zawisła, widzieć nakoło piękne wybranéj młodzieży grono, zkądby w czasie wojny zaszczyt, w pokoju ozdobę miéć mogli. Liczba takiego towarzystwa pomnaża im u swoich sławę, u pogranicznych szacunek: szukają z nimi obcy przymierza, wyprawiając poselstwa, darząc upominkami, a odgłosem potęgi same się wojny uprzedzają, lub kończą.

Gdy rzecz przychodzi do bitwy, byłaby wielka zniewaga dla przodkującego, ustąpić w męztwie towarzyszom, a tym przeciwnie, cnocie wodza nie wyrównać. Najsromotniejsza atoli, i na całe życie obelżywa, zostać przy życiu, gdyby wódz na placu poległ. Zasłaniać go od szwanku, bronić, i wszystkie dzieła osobiste ku chwale jego kierować, mają za najświętszy obowiązek. Wodzowie walczą za zwycięztwo, towarzysze za wodza. Jeśli rzeczpospolita jaka, długim pokoju przeciągiem zaległszy pole, martwieje, młodź wszystka szlachetna, która się tam porodziła, idzie do tych krajów, gdzie się wojna toczy. Prócz tego albowiem, że Germanowie nie lubią próżnować, a łatwiejszy dla nich w zdarzonych trwogach sławy nabytek, trudno utrzymać starszyźnie liczny towarzystwa poczet bez gwałtów i boju. Jakitaki naléga na swojego wodza, aby mu lub dzielnego konia, lub zmaczaną krwią nieprzyjacielską broń darował. Cały żołd stoły hetmańskie, grube i niewymyślne, ale hojnie zastawione: nagrody i darów trzeba wojną a rabunkiem szukać. Łatwiéj namówić do zaczépki nieprzyjaciół, i na sławę ciała, jak do uprawy roli i do oczekiwania żniwa. Gnuśność-to ostatnia, nabywać w pocie czoła, czego się krwią dorobić można.

W czasie pokoju bawią się nieco myśliwstwem; więcéj jednak czasu trawią na biesiadach i ospalstwie. Najmężniejszy u nich i najbitniejszy, spuściwszy dom i rolę na niewiasty, starce, lub jakiego służalca, gnuśnieje bezczynny, dziwnym jakimści przeciwnéj sobie natury zrządzeniem, że ciż sami ludzie lubiąc próżniactwo, nienawidzą razem spoczynku. Swobodne narody mają zwyczaj dawać starszyźnie podatek z bydła i zboża: każdy to czyni, lecz z dobréj woli. Takowa danina, choć pozór grzeczności i przysługi nosząca, potrzebom nawet publicznym dostarcza. Najchętniéj przyjmują upominki sąsiedzkie od stanów i prywatnych w wybornym rynsztunku, dzielnych koniach, łańcuchach i siądzeniach. Chciwość nasza już ich i pieniądze brać nauczyła.

Wiadomo jest dosyć, że Germanowie nie mają żadnych miast, i ciérpieć nawet nie zwykli, aby ich domy z sobą się ztykały. Budują się udzielnie, gdzie się któremu gaj, równina, lub źrzódło jakie podoba. Osadzają włości różnym od naszych sposobem, nie stawiąc chałup jednéj podle drugiéj: każdy około siebie znaczny plac zostawuje, bądź dla warunku od ognia, bądź dla nieumiejętności budowy. Nie zażywają nawet kamieni i dachówek, klecąc domy z nieociosanego drzewa, bez okazałości i rozkoszy. Niektóre miejsca lepią kształtnie tak czystą lśniącą się gliną, że farbistemi żyłkami malowidła naśladuje. Kopią także podziemne lochy, narzucając gnojem, dla składu zboża i przytułku w zimie. Takowe kryjówki chronią ich od mrozów: w czasie téż wojny gdy nieprzyjaciel pustoszy włości, o utajonych albo nie wié, albo ich długo szukając, sam się plącze.

Odzienie ich burka, spięta na szyi przęczką, lub w niedostatku kolcem głogowym. Wreszcie są nadzy: przeto cały dzień przy ogniu siodzą. Bogatsi różnią się szatą, nie przestronną i fałdzistą, jak Partowie i Sarmaci, ale opiętą i dobrze do ciała przymuskaną. Noszą i kożuchy zwiérzęce, lecz pobrzeżni bez wyboru, dalsi i głębsi, nie prowadzący handlu, okazalsze wdziéwają skóry. Dla téj przyczyny upatrują na łowach co piękniejszych futer: cętkują te zwłoki, lub nagromiwszy różnego zwiérza, co go pobrzeżne dalszego oceanu rodzą krainy, célują z doboru sierci błamy rozlicznych kolorów. Odzienie niewiast w tym się tylko różni od męzkiego, iż one częściéj zażywają płótna szachowanego szkarłatem: nie noszą téż rękawów, mając odkryte ramiona.

---

28. Ignacy Krasicki, arcybiskup gnieźnieński.

Mowa na obchód pamiątki Ignacego Krasickiego, arcybiskupa gnieźnieńskiego, miana na posiedzeniu publicznym Towarzystwa warszawskiego Przyjaciół Nauk, dnia 12. grudnia 1801. roku, przez Franciszka Dmochowskiego, członka tegoż Towarzystwa.

Jeżeli z rzeczy ludzkich może co sobie rościć prawo do nieśmiertelności, to zapewne geniusz. On jest i przedmiotem, i sprawcą swéj chwały, on sam tworzy dzieła godne wieków, a te same dzieła staja się dla niego niezatartą pamiątką.

Któż ze współczesnych nad Krasickiego może być pewniejszym tego gatunku chwały? kto nad niego może sobie dłuższe obiecywać życie w pamięci potomności? Póki się utrzyma język polski, ta znakomita i najkształtniéj okrzesana gałęź słowiańskiego języka, póty jego imię wspominane będzie z tém uczuciem, jakie jego dzieła w każdym z czytających wzbudzają. Co mówię! Dzieła jego przyłożą się do utrzymania tego języka. Najodleglejsi potomkowie, chciwi tych samych kosztować słodyczy, które w czytaniu Krasickiego ich pradziadowie czerpali, uczyć się będą ich mowy, i prześlą ją swoim następcom.

Zaiste mąż tak wysokich talentów, wyższy jest nad wszystkie pochwały. Żyje on i żyć będzie z siebie: i ten wieniec, który sam swoją ręką uplotł, nie potrzebuje żadnéj ozdoby z przydanych obcą ręką kwiatów.

Miał on wszystkie zaszczyty panującéj dawniéj opinii; lecz tak je zaćmił osobistą wartością, iż samo ich wspomnienie zdawałoby się ujmą jego chwały. Dowcip jego, talenta, przymioty stawią go w rzędzie najznakomitszych ludzi, jakiemi się ta ziemia w oczach Europy i potomności zaszczycać będzie.

Urodził się Krasicki roku 1734. W dziecinnym zaraz wieku okazywał bystrość w pojęciu, dowcip w zapytaniach, żywość i trafność w odpowiedziach. Troskliwi rodzice, widząc w dziecięciu szczęśliwy zaród talentów, starali się przez najlepszą, jaka natenczas być mogła, edukacyą, zasilać je i rozwijać.

We Lwowie odbył bieg nauk szkolnych. Jeszcze naówczas dopiéro co zaczynała się reforma; jeszcze lepszéj filozofii nie znano; jeszcze nauki wyzwolone nie były tém, czém być powinny. Niezrozumiane myśli, najéżone wyrazy składały najwyższą ich piękność i ozdobę. Zapewne z takich nauk nie wiele mógł korzystać Krasicki; lecz geniusz sam tworzy swoje oświécenie. Z małéj on iskierki roznieca płomień, którego blask nie tylko jemu, ale i drugim przyświéca. Czytanie klassycznych pisarzów dało mu poznać czczość owych mniemanych mistrzów, którzy nadętym i niezrozumianym mówiąc językiem, z politowaniem, a ledwie nie z pogardą na Cyceronów i Liwiuszów patrzyli. Takim sposobem kształcąc swój dowcip, zostawił daleko swoich kollegów, a stał się celem podziwienia dla nauczycielów. Wspominają ci, którzy razem z nim tym zawodem nauk szkolnych biegli, jego wiérszopiskie wyzywania. Już wtedy wyrywał się gwałtem jego przedziwny talent. W szkolnych igraszkach widać było dowcip, który w czasie miał być rozkoszą narodu.

Przeznaczony do stanu duchownego, posłany był do Włoch dla doskonalenia się w naukach stosownych do swego powołania. Lecz geniusz Krasickiego nie ograniczył się tego gatunku pracą. Zdolność jego rozciągała się do wszystkiego, i że tak powiém, pożérała wszystko. W témto siedlisku nauk i kunsztów wykształcił swój gust, który w kraju, gdzie dopiéro zreformowane zaczęły powstawać nauki, żadnegoby nie znalazł zasilenia. Tam z szanownych grobów wywoływał cienie Fedrów, Horacyuszów, Maronów, Tassów, Aryostów; tam zbogacił umysł prawdziwemi wzorami piękności, i na klassycznych brzegach Tybru usposobił się do od-

żywienia w swoim narodzie i języku owych dowcipów nieśmiertelnych, na których wzór formowały się i formować będą dowcipy wszystkich narodów.

Powróciwszy do ojczyzny, wszedł zaraz na wysokie swojego stanu stopnie przeznaczony, aby wnet stanął na najwyższych. Pomagało do tego zacne pokrewieństwo, lecz nadewszystko jego własne talenta. Obrany z arcykapituły lwowskiéj na trybunał małopolski, prezydował téj magistraturze, i tam miał sposobność poznać wszystkie obroty prawnicze, które potém tak dowcipnie i trafnie w *Doświadczyńskim* opisał. Jeżeli z jednéj strony to urzędowanie pożyteczne było do poznania licznych wad i bezprawiów, które się w administracyi sprawiedliwości popełniały, z drugiéj chwalebne dla urzędnika; bo na niém dał dowód wysokiéj cnoty, bezinteressowności, bezstronności, i wszystkich przymiotów, które prawy sędzia mieć powinien.

Gdy się pokazał w stolicy, zadziwiał wszystkich swoim dowcipem, który jaśniejący w pięknéj ciała postaci, stał się duszą i rozkoszą najświetniejszych towarzystw, jakie wtenczas liczyła Warszawa.

Tak świetne Krasickiego talenta sciągnęły uwagę króla. Stanisław August umiał je czuć i szacować. Poznał on w Krasickim człowieka, który swoim dowcipem był w stanie przyłożyć się wiele do chwały jego panowania. Starał się więc pozyskać go dla siebie, a razem zachęcić. Wyrobił mu indygenat w prowincyi Prus Zachodnich, dał kanonią warmińską; a w krótce otrzymał koadjutoryą warmińskiego biskupstwa. Jemu był winien Krasicki swoje prędkie wyniesienie na dostojeństwa kościelne, i sam to nieraz z uczuciem powtarzał. Jakoż w pismach swoich nieśmiertelną pamiątkę swojéj wdzięczności zostawił.

Wychodziło podówczas pismo peryodyczne pod tytułem Monitor, na wzór Spektatora angielskiego, którego w znacznéj części było tłumaczeniem. Pismo to moralne, bardzo dobrze układane, osobliwie w piérwszych latach, przyczyniało się wiele do oświécenia narodu i prostowania jego opinii. W niém składał Krasicki piérwsze płody dowcipu swego. Chociaż wiele piór około pisma tego pracowało, i wszystkie artykuły są bezimienne umieszczone; po tonie lekkim, wesołym, zabawnym nie trudno jest poznać Krasickiego robotę.

Śmierć Grabowskiego w roku 1766. przyspieszyła Krasickiemu objęcie warmińskiego biskupstwa. Żadna katedra w Polszcze nie miała tylu ludzi z wielkiemi talentami, co warmińska. W niéj słynął *Dantiscus*, szacowny poeta w łacińskim języku; w niéj jaśniał Hozyusz, jeden z najsławniejszych ludzi swojego wieku, który był legatem papiézkim na soborze trydenckim, a którego dzieła na wszystkie języki europejskie przełożono; w niéj siedział Kromer, dziejopis, geograf, mowca i statysta, godzien stanąć w swoim rodzaju obok piérwszych autorów Rzymu; ją zaszczycił Tydeman, że był przyjacielem i dobroczyńcą Kopernika, i usposobił go, aby został zaszczytem narodu, a nauczycielem wszystkich; jéj był głową Załuski, którego listy są szacowną dziejów ówczesnych pamiątką; jéj chwałę utrzymał Grabowski, mąż oświécony i gorliwy o rozkrzewienie nauk. Szereg tak znakomitych ludzi godnie Krasicki zakończył.

Przez podział kraju 1773. z Prusami Zachodniemi przeszło księstwo biskupstwo Warmińskie pod panowanie królów pruskich. Siedział wtenczas na tronie ów wielki monarcha, jakich ledwie wydają wieki. Rządca, filozof, bohatyr i literat, jaśniał wszystkiemi promieniami chwały: nie na wysokości tronu szukał téj, do któréj dowcip i nauki wynoszą: utrzymywał ścisłe związki z najpiérwszemi ośmnastego wieku geniuszami. Przyjaźni swojéj godnym osądził także Krasickiego, poznał jego dowcip, powziął wysoki dla niego szacunek, i szczególnemi względami zaszczycał. Wiadome wszystkim ścisłe i poufałe obcowanie Krasickiego z Fryderykiem. W jego wesołym i miłym dowcipie szukał wytchnienia w swych pracach, szukał przyjemnéj dla swojéj starości rozrywki.

Krasicki zatopił się cały w naukach. Zaczął wydawać jedne po drugich pisma, które obróciły na niego oczy powszechności, zjednały mu chwałę szczęśliwego dowcipu, i stały się najpiękniejszą literatury polskiéj ozdobą.

Rzućmy okiem na liczne dzieła Krasickiego: są one najdroższym upominkiem, zostawionym powszechności i składają najznaczniejszą część historyi jego życia.

We wszystkich prawie rodzajach literatury doświadczał sił swoich Krasicki. Jeżeli nie we wszystkich jednako wygórował, wszędzie atoli dowcip niepospolity pokazał. Najwyższe jego zasługi są w poezyi.

Najpowszechniéj znane i szacowane są *Bajki i Przypowieści* Krasickiego. Jakie wdzięki są w jego bajkach rozlane! jak myśl szczęśliwa, jak trafne obroty! jak wyraz jego tchnie szczérością i niewinną prostotą! Trudno jest w rozbiéraniu okazywać to, czego samo uczucie jest jedynym sędzią. Już wartość dzieła tego zostaje pod pieczęcią czasu, i *Bajki* Krasickiego, w ręku wszystkich będące, z ukontentowaniem czytane i odczytywane, zgodném zdaniem za dzieło najwyborniejsze uznane zostały.

Nie mniejszéj są godne chwały *Satyry* Krasickiego. Rodzaj ten nienawistny gdy z granic swoich występuje, i w paszkwil się zamienia, zamknięty w prawidła przystojności, jakie mu sam Krasicki określił:

„Satyra prawdę mówi, względów się wyrzeka,
Wielbi urząd, czci króla, lecz sądzi człowieka,“

w tych, mówię, prawidłach zamknięty, bardzo jest pożyteczny i społeczności cywilnéj, i rzeczypospolitéj nauk. Dawni i niektórzy z późniejszych umieszczali śmiało imiona osób, których wady, lub głupstwa wytykali. Tak czynili z starożytnych Horacyusz, Juwenalis, z późniejszych *Boileau* i *Pope*. Krasicki naśladując tych wielkich mistrzów, trzymał się własnego prawidła: gromił złe obyczaje, wytykał nieuwagi, żartował z śmieszności, lecz nigdy nie ranił osoby. Połączył on trafność Horacyusza z mocą Juwenalisa. Możnaż silniéj powstać na hańbę wieku swego, jak w piérwszéj satyrze W i e k z e p s u t y? albo z większym gniewem wybuchnąć na bezczelności zbrodni, jak w drugiéj pod napisem W z i ę t o ś ć? Chcemyli znowu co czytać w tonie lekkim, zabawnym, żartobliwym, czytajmy satyrę

przeciw Pijaństwu, czytajmy drugą o Oszczędności, a nadewszystko Żonę modną. Jan Kochanowski w swoim Satyrze jest tylko rozsądny. Naruszewicz jeden mógłby walczyć o palmę satyrycznéj poezyi z Krasickim. Pisze mocno, łaje, gromi; lecz w tym tylko celuje gatunku satyry: nie ma nic z téj szczypiącéj żartobliwie złośliwości, która jest tak przyjemną zaprawą satyr Horacyusza. Sam Krasicki posiadał ten rzadki przymiot, i można powiedzieć, że satyry jego nie ustępują niczemu, co najlepszego w tym rodzaju dawna i teraźniejsza literatura mieć może.

Jeszcze co do mniejszéj poezyi, wiele winien nasz język Krasickiemu. On zostawił wzory *Listów wierszopiskich;* on w drobnych wiérszach dał językowi naszemu lekkość i zwrotność, do któréj zdawał się być niesposobny. Jego *Podróż do Biłgoraju*, jego *Listy* wiérszami przeplatane, pisane z dowcipem, z żywością, naturalnością.

Gdyby Krasicki nic więcéj nie zrobił nad Satyry i Bajki, jużby stanął na czele poetów polskich: ale co większą jeszcze, a jemu tylko właściwą stanowi chwałę, on sam ubogacił ją poematami w ściślejszém znaczeniu wziętemi, których dotąd wcale poezya nasza nie miała.

Piérwsze poema Krasickiego, i najpiérwéj w porządku dzieł jego wydane jest *Myszeis*. Zdaje się, że *Batrachomyomachia* czyli *Wojna myszy z żabami*, pospolicie przyznawana Homerowi, była wzorem tego poematu. Nie wiémy, czyli krótkie poema Homera jest tylko igraszką wesołéj mysli, czy téż miał ukryty zamysł poeta wyśmiać klótnie jakiego miasta. W charakterach myszy różnych krain odrysowane są charaktery różnych narodów. Biblioteka zamieniona w spiżarnią jest szczęśliwą i stosowną fikcyą. W całym poemacie myśl trafna i zabawna. Podobna do prawdy, że poema to było w początku pisane w celu satyrycznym, potém odmienił myśl autor, i zrobił je czystą igraszką wesołego dowcipu.

Monachomachia czyli *Wojna Mnichów* powszechném zdaniem za doskonałe w swoim rodzaju dzieło jest miana. Są, prawda, niektóre przerwy w opowiadaniu, ale wesołość myśli, trafność obrazów, do tego płynność wiérsza, dowcip w krytyce, w najwyższym stopniu je zaleca. Autor napisał poźniéj *Antymonachomachią*. Wtym drugim poemacie, nie ustępującym co do tonu i sposobu piérwszemu, (mniéj tylko akcyi mającym), swoje piérwsze dzieło usprawiedliwił.

Okazawszy w *Myszeidzie* i *Monachomachii* talent do poematów komicznych, chciał go autor pokazać w materyi poważnéj, zbogacić język polski epopeą, któréj on nie miał, i napisał *Wojnę chocimską*. Nie przeczę, iż dzieło to wspaniałego epopei nazwiska nosić nie może; zgadzam się na liczne w niém uchybienia; wyznaję, że materya sama nie jest do tego gatunku poematu, że to jest raczéj historya wiérszem napisana, i niektóremi fikcyami ozdobiona; ale możnaż odmówić sprawiedliwéj chwały autorowi, że się na epopeę odważył? Od trzech tysięcy lat geniusz człowieka wysilał całą swoję dzielność na utworzenie tego bo-

skiego dzieła. Trzy tylko dowcipy ten nieśmiertelny wieniec zyskały. Homer, Wirgiliusz i Tasso stoją na wysokości góry, na któréj wiérzchołek tylu pisarzów próżno kusiło się o wstęp, a którzy za same tylko usiłowania znakomitą chwałę odniesli. W takim względzie uważana być powinna Wojna chocimska. Ci, którzy z pogardą o tém dziele mówią, nie znają, że i upadek w wielkim zamiarze nie jest bez chwały. Jeżeli Wojna chocimska nie jest dobrą epopeą, jest zawsze dziełem szacownėm. Nie samę Eneidę, ale i Farsalią czytamy. Znajdują się w niéj miejsca przedziwne, obrazy wielkie, uczucia wysokie. Taki jest opis wojny, sejmu, śmierć Zawiszy, mowa do Chodkiewicza. Wyraz zaś o pysze Osmana, nadętego widokiem wojsk nieprzeliczonych:

„A dumny mocą swego majestatu,
Wzniósł się nad człeka, i pogroził światu,“

godzien jest być umieszczony w liczbie tych, które Longin za przykład najwyższego wygórowania wystawia.

Prócz tych licznych dzieł oryginalnych, winniśmy Krasickiemu przełożenie znaczniejszéj części *Pieśni Ossyana* szkockiego barda. Chociaż dzieło to robił z pospiechem, chociaż był szczęśliwszy w oryginalném opisaniu, niż w tłumaczeniu, w wielu miejscach jego przedziwny talent w całéj świetności widzieć się daje. —

Pióro Krasickiego, obfite w wiérszu, nie mniéj było obfite w prozie. W roku 1775. wydał *Przypadki Mikołaja Doświadczyńskiego.*

W *Panu Podstolim* zamierzył sobie autor wystawić dobrego gospodarza, cnotliwego i rozsądnego człowieka, a razem wytknąć wady i przywary naszemu narodowi właściwe. W wszystkiém, co mówi i czyni Pan Podstoli, widać znajomość gospodarstwa, zdania zdrowe, sentymenta obywatelskie. Osobliwie ton tak zręcznie jest uchwycony, że trudno jest lepiéj Polaka wystawić. Druga część Pana Podstolego, poźniéj od autora wydana, nie bardzo ściśle związana z piérwszą, ale co do tonu i stylu te same ma zalety. Zrobił autor część trzecią, którą czytałem w rękopismie. Widać w niéj to samo pióro, lubo materya téj części mniéj jest ważna. Miał jeszcze Krasicki wygotować część czwartą. W niéj zamyślał wyprowadzić na scenę wuja pani podstoliny, człowieka cnotliwego, z wielkim charakterem, ale mizantropa; bo go długie życie i różne przypadki nauczyły, jak mało można polegać na ludziach. Śmierć autora dokonaniu téj myśli przeszkodziła.

W powieści pod tytułem *Historya* dowcipna zamyka się krytyka na tego gatunku pisma. Wystawia w niéj człowieka, który nie mogąc umrzéć znalazł sposób odmładzania się zapomocą pewnego balsamu. Ten człowiek, jako przytomny świadek opisuje dzieje, wytyka błędy historyków, czyni uwagi nad charakterami ludzi. Myśl bardzo szczęśliwa, ale razem niezmiernéj wiadomości hi-

storyi, i głębokiéj krytyki wymagająca. Dowcip autora okazuje się w tém dziele bardzo świetnie: uwagi jego są zdrowe, epoki historyi, nad któremi się zastanawia, z rozwagą wybrane. —

Opuszczam *Zbiór potrzebnych wiadomości*. Jestto dykcyonarz nakształt encyklopedyi. Trudno wyciągać, aby dzieło tak obszerne mogło być dziełem jednego człowieka.

Zdaje się, iż po tylu i tak chwalebnych pracach uczonych powinienby był sobie spocząć Krasicki. Nie! Żywość jego dowcipu nie mogła być na moment bezczynną. Zostawił on nam jeszcze rozmaite dzieła w manuskryptach. Naprzód: *Bajki nowe*, pisane w sposobie *La Fontain*'a. Powtóre: *O rymotworstwie i rymotworcach*. W tém pismie daje krótką teoryą o poezyi w ogólności: potém w szczegółach traktuje o różnych jéj rodzajach, i przebiega poetów, którzy w różnych wiekach, narodach i językach wsławili się: przyłącza z nich wypisy, już przez siebie, już przez drugich przełożone. Potrzecie: *Życia sławnych ludzi z Plutarcha*. Nie tłumaczył autor słownie Plutarcha, wyrzucił genealogie i inne rzeczy, które Greków tylko i Rzymian interesować mogły; ale zachował to, co charakteryzuje wielkich ludzi, to jest ich mowy i czyny. Poczwarte: *Życia sławnych ludzi na wzór Plutarcha*. W dziele tém opisywał Krasicki dzieła sławnych ludzi nie tylko swego narodu, ale i innych, tak ich dobiérając, żeby jedni z drugimi porównani być mogli. Nakoniec: *Rozmowy sławnych ludzi*. Wziął autor do naśladowania Lucyana, Fontenella, Monteskiusza. —

Tak ten żywy i płodny dowcip pracował do ostatniego kresu życia! Naukami słodził swoję starość, i umarł na łonie nauk, a można powiedzieć z piórem w ręku; bo na kilka dni przed śmiercią ukończył *Listy o ogrodach*, w których jego dowcip a szczególniéj w ostatnim miłym blaskiem jaśnieje. Wielu zacząwszy świetnie zawód nauk przerywają go wpół biegu. Krasicki szedł nim przez całe życie, nauczał i bawił naród przez lat czterdzieści; konający prawie, jeszcze się jego nauce i zabawie poświęcił. Tak słońce, które cały dzień dobroczynném ciepłem ogrzéwa ziemię, jeszcze i zachodząc miłym ją promykiem obdarza!

Bez nadwerężenia prawdy i poniżenia kogożkolwiekbądź można powiedzieć, że Krasicki był najdowcipniejszym człowiekiem, jakiego Polska wydała. Styl jego jasny, płynny, naturalny. Inni z pracą dokazali, że zostali autorami pięknych wierszy, Krasicki urodził się poetą. Imaginacya w nim żywa, dowcip obfity, zwroty szczęśliwe.

Ale przyjemność, ten wyraz słodki i lekki, który wszystko zdobi zdając się ukrywać, który tyle dziełom daje zalety, jest największą zaletą dzieł Krasickiego. Czytając Krasickiego, widzimy w nim wiele, czegobyśmy widzieć nie chcieli; postrzegamy, że w rymowaniu czasem jest za nadto wolny, że polszczyzna nie zawsze w nim dość czysta, że w niektórych miejscach widać pospiech i niepoprawę: tylą jednak i tak świetnemi przymiotami, a osobliwie czarującą przyjemnością te wady nadgradza, że prawie czytelnikowi odbiéra sposobność ich dostrzeżenia, a najsu-

rowszy krytyk, ujęty jego słodyczą, zapomina o wadach, dziwi się dowcipowi, i pismami jego nasycić się nie może.

Nie mógł być nieczułym na piękności sztuki we wszystkich jéj rodzajach ten, co w najwyższym i najtrudniejszym jéj rodzaju, w sztuce, mówię, myślenia i pisania mistrzem się okazał.

Najświetniejsze przymioty umysłu wzbudziłyby podziwienie, ale nie zapewniłyby szacunku bez tych, których czucie jest źródłem. Lepiéj jest dla człowieka, lepiéj dla społeczności, aby być rozsądnym tylko, a cnotliwym, niż przy największych talentach złym człowiekiem. W Krasickim przymioty serca równe były wysokim przymiotom umysłu: zadziwiał swoim najpiękniejszym dowcipem, a pociągał ku sobie miłość i przywiązanie najlepszém sercem. Przyjemny, ludzki, umiejący w drugich szacować talenta, bo je sam posiadał, — uczynny, skoro mu tylko możność pozwoliła, i gdyby był więcéj chciał się rachować z szafunkiem swego majątku, byłby zyskał sławę dobroczynności, bo miał serce prawdziwie szlachetne. Właściwa jest rzecz umysłom wyniosłym, nie przywiązywać ceny do pieniędzy. Tę obojętność Krasicki w najwyższym miał stopniu. Ludzie bogacili się przy nim, a on prawie zawsze był potrzebującym. Lecz mimo téj potrzeby, żadną podłością życia swego nie splamił, i sam na tém najwięcéj ciérpiał, że nie zawsze był w stanie szlachetnemu sercu swemu dogodzić. Kochający familią, i od niéj kochany, z bratem ściślejszym jeszcze od krwi węzłem, przyjaźnią złączony, dla synów jego z ojcowskiém był przywiązaniem. Wyniesiony na najwyższe stopnie, świetnemi ozdobiony tytuły, zaszczycony względami, a można powiedzieć, przyjaźnią i poufałością królów, daleki był od dumy, którą pospolicie w małych duszach pomyślność rodzi. Znał on się być wyższym nad to wszystko, i dlatego dla najniższych był grzeczny i przystępny. Dom jego można było nazwać domem gościnności. Najmilsza jest rozkosz dla wyższego rzędu człowieka, żyć z ludźmi i dla ludzi.

Do cnót wysokich łączył Krasicki najmilsze przymioty obcowania. Trudno być zabawniejszym od niego w towarzystwach: wesołość malowała się na jego twarzy, a uśmiech w jego ustach osiadał. Pełen anekdotów, obfity w dowcipne wyrazy, był rozkoszą wszystkich, którzy mieli szczęście z nim obcować. Mimo częstych słabości, którym w podeszłym wieku podlégał, wesołość humoru zachował do śmierci. *)

Dzieła Ignacego Krasickiego, Tom I—X. w Warszawie r. 1803 — 1804.

A) Mikołaja Doświadczyńskiego Przypadki (Tom V.) w Warszawie r. 1803.

Wyjechałem z Warszawy dnia 20. listopada o godzinie dziewiątéj zrana, pocztą na Kraków do Wiédnia, w karecie berlińskiéj

*) Umarł w Berlinie 14. marca 1801. roku.

posrebrzanéj, żółtą trypą wybitéj, na dwie osoby. Siedział zemną kamerdyner mój, *la Rose*, na koźle Michał lokaj z Krystyanem kucharzem.

W Drzewicy kupiłem pięknéj materyi na pięć kamizelek, i garnitur gotowy passamanów na liberye: zdadzą się w Paryżu.

Reszta drogi do Krakowa bez przypadku. Musiałem wysiadać kilka razy na mostach, jeden się pod karetą zalamał: szczęście, że na rzéczce nie bardzo głębokiéj; a jakem się dowiedział, kupcy tam mostowe płacą.

Stanąłem w Krakowie 27. w nocy, dla dróg bardzo złych. Miasto obszerne, piękne, znać, że było kiedyś w istocie stołeczne królestwa. Oglądałem ciekawe tamtejsze i okoliczne osobliwości, grób królowéj Wandy, szkołę Twardowskiego, akademią, itd. *NB.* wino tanie i dobre, ale zdaje mi się, iż beczki mniejsze, niż piérwéj bywały.

Wyjechałem z Krakowa 2. grudnia, a nazajutrz nie bez żalu porzuciłem Polskę. Piérwsze miasto szlązkie Bilsk. Szlązkiem kilka poczt jechałem, nimem się dostał do Morawy. Drogi lepsze, niż u nas. W austeryach miejscami piwa dobre, ale nazbyt mocne; nie komparacya do willanowskiego, inflanckiego, bielawskiego i t.d. Ołomuniec, miasto dość obszerne i mocne: piérwszato jest forteca, którą widziałem.

10. grudnia o wpół do jedynastéj stanąłem w Wiédniu: chcąc osobliwości krajowe widzieć, poszedłem na komedyą niemiecką. Nie rozumiałem, co gadali; jednakowo mi się bardzo podobała, a osobliwie, kiedy zaczęły się tańce. Nie pamiętam w życiu tak wysoko skaczących.

Wieża kościoła S. Szczepana z kamienia ciosowego, wyższa od swiętokrzyzkich w Warszawie.

Wino węgierskie nad moje spodziéwanie nie tak dobre, jak u nas. Chciałem się gruntownie wywiedzieć, dla jakiéj przyczyny; ale winiarz, który próbki przyniósł, nie umiał po polsku, a mego kucharza, tłumacza, nie było na ówczas w domu.

Ruszyłem z Wiédnia w dalszą podróż 21. grudnia traktem na Frankfurt. Tam zatrzymałem się dni kilka, dla pięknéj i wygodnéj austeryi. Ale téż na wyjezdném zdarł mię gospodarz za to, jak powiadał, że mi dał apartament, w którym stał podczas elekcyi *Palatinus Rheni*.

Bawiłem w Moguncyi przez pięć dni. Szynki wyśmienite, wino reńskie najlepsze. Chorowałem tam na niestrawność żołądka, podobno z szynek.

Lubo mi się dość podobały niemieckie kraje, zdało mi się jednak, żem się odrodził, gdym przebywszy most na Renie od fortecy *Kiel*, stanął w Sztrasburgu. Szkoda, że zima, bobym słyszał głos ptasząt, które zapewne we Francyi piękniéj spiéwają, jak gdzieindziéj: trawa musi być zieleńsza. Co mrozy, lubo był tego dnia, jakem przyjechał, dość przykry, tęższe są nierównie u nas. Zapomniałem był wziąć z sobą rękawa, albo go kupić w Wiédniu. Obiegłem cały Sztrasburg, nie mogłem jednak dostać białych niedźwiadków.

Drogość tu, prawda, wielka, jak mogę miarkować z regestru gospodarza; ale człowiek tak grzeczny, tak miły i do tego przychylny, iż mu z ochotą zapłaciłem za trzy dni tyle, ile we Frankfurcie za tydzień. Wracam się jeszcze do niedźwiadków: rzecz mi się zda bardzo dziwna, że w tak wielkiém mieście, a co największa francuzkiém, nie można tego dostać, o co w Brodach i w Opatowie nie trudno. Musi to w tém być jakaś tajemnica, o któréj się ja z czasem w Paryżu, da Bóg, zapewne muszę dowiedzieć.

Droga z Sztrasburga brukowana, bardzo dobra do samego Paryża; w *Metz*'u zastałem bardzo wiele Żydów; ale nie są tak ubrani, jak u nas: poznałem tam z wielkiém zadziwieniem Lejbę, synowca arendarza mojego z Sumina; jak mi powiadał, wysłał go tam stryj na naukę. Bożnica jeszcze piękniejsza, niż w Brodach.

Nie długo bawiąc w *Metz*'u, jechałem prosto szczęśliwym krajem, gdzie się wino szampańskie rodzi; w *Reims*, mieście stołecznem z wielkim moim żalem nie mogłem widzieć cudownéj ampułki Ś. Romigiusza.

Tandem po dość długiéj, wielce zabawnéj, a więcéj jeszcze kosztownéj podróży, stanąłem szczęśliwie w Paryżu 3. lutego o godzinie trzeciéj zpołudnia.

Nacisk przechodzącego pospólstwa, okrzyki przedających, tłum karet, rozmaitość widoków zagłusza i omamia, że tak rzekę, przyjéżdżających piérwszy raz do Paryża. W takowym byłem stanie, gdy kareta moja stanęła na ulicy Ś. Honorynsza, jednéj z najcelniejszych tego wielkiego miasta. Dom, gdziem wysiadł, wielką miał obszérność, i napełniony był mieszkańcami. Apartament wyznaczono mi wygodny: tam rozgościłem się natychmiast nie bez zadziwienia, że o które w Warszawie tak długo starać się trzeba, tu na piérwszym wstępie znajdują się tak dobre dla cudzoziemców stancye.

Myśl, że jestem w Paryżu, zaprzątnęła jedynie imaginacyą moję: czułem niewymowną pociechę, i ledwo mogłem wierzyć, że się znajduję na miejscu tak pożądaném. Gdym trochę odetchnął, pytałem się gospodarza, którego dnia można widzieć balet i komedyą. Odpowiedział, iż w nacisku nieskończonych innych rozrywek, codzień mogę wybiérać między operą, komedyą francuzką i włoską. „Gdzieindziéj, (przydał) myślą, żeby znaleźć jaką zabawę, tu nad tém się tylko trzeba zastanawiać, jakową wybrać.“ Nie byłem panem piérwszego impetu radości, i porwawszy za szyję, począłem serdecznie ściskać opowiadacza szczęśliwości mojéj. Zrazu się przeląkł: uśmiechnąwszy się potém, podobno z prostoty mojéj, ofiarować mi począł, ile nowoprzybyłemu i bez doświadczenia, usługi swoje. W momencie otoczony zostałem kupcami, prezentującymi coraz piękniejsze towary. Przyniesiono kilkanaście biletów: jedne opowiadały loteryą, drugie zachwalały wyborne wina, trzecie głosiły nowe widowiska, czwarte oznajmowały o tandecie: nie skończyłbym, gdybym chciał opowiadać, co się w każdym znajdowało.

Ja zaś w owych słodkich obrotach nie nasycony nowością, coraz milszym roztargniony widokiem, patrzałem, czytałem, pytałem, odpowiadałem, dawałem kommissa,— wszystko razem bez odetchnienia. Biegali w zawody za mojemi rozkazami najęci lokaje i domowa czeladź: trzy części izby zabrały zniesione towary. Zaszło dwie karet najętych, które w tym tumulcie podobno z przesłyszenia zamówili posłańcy. Chciałem jechać na komedyą, żal mi było opery; gospodarz włoskie teatrum zachwalał.

Nie rezolwowany jeszcze, gdzie miałem jechać, gdym jednę z zapłatą odprawiwszy, do drugiéj piękniejszéj, pąsowo lakierowanéj karety miał wsiadać, wstrzywał mnie znagła gospodarz, powiadając, iż suknie moje nie były zupełnie zimowe. Prosiłem o explikacyą téj tajemnicy, i dowiedziałem się, iż axamit niestrzyżony uchodzi tylko do nowembra, a koronki bruxelskie, jakie miałem, nie są nawet jesienne. Zreflektowawszy się więc, iż przestrojenie zabrałoby wiele czasu, musiałem radnierad wrócić do stancyi. Przyniesionéj wieczerzy mało co zkosztowawszy, udałem się do spoczynku, znużony podróżą, a bardziéj rozgoszczeniem.

Chciałem spać, ale daremne były usiłowania moje: wrzawa nieustająca na ulicy, a taka druga podobno, lub większa w głowie, nie dały mi oczu zamknąć.

Jeszczem był nazajutrz u gotowalni, gdzie sprowadzony najcel niejszy perukarz nowe systemata modnéj symetryi pracowicie układał, gdy lokaj najęty wszedł, opowiadając wizytę jmci pana hrabi Fickiewicz. Wszedł tego momentu pięknie ubrany kawaler: z nieskończoną radością a razem podziwieniem poznałem mego lubego sąsiada podwojewodzica, o którego siostrę niegdyś miałem honor konkurować. Po piérwszych zwyczajnych przywitaniach pytałem się jmci pana hrabi, jak mu się w Paryżu powodzi. „Wybornie!“ odpowiedział.

Wszedł zatém w obszerne wyobrażenia paryzkich rozrywek, grzeczności kawalerów tamtejszych, których on był wiernym naśladownikiem, i już nawet do tego stopnia doskonałości przyszedł, iż został autorem nowego kroju fraków. Na fundamencie więc rozmaitych jego powieści, ułożyliśmy plantę życia w Paryżu: przyrzekł być wiernym moim towarzyszem, i na dowód serdecznéj poufałości pożyczył odemnie dwieście pięćdziesiąt luidorów. Gdym mu pokazał listy rekomendacyalne od posła francuzkiego w Warszawie, zganił ten mój postępek, opowiadając, iż te listy adresowane do osób takich, których konwersacya zbyt poważna, a przeto smutna, kwadrować żadnym sposobem nie może z rzeskością kawalerów i młodych i modnych. „Znajdę ja dla wmćpana,“ rzekł daléj „nie równie większe rozrywki w tych domach, gdzie sam uczęszczam.“

Ułożyliśmy więc dla honoru narodu polskiego, wszelkiemi sposobami o to się starać, ażeby i w guście i w magnificencyi przepisać kawalerów tamecznych. Jakoż zaraz zkonfiskowane były suknie, którem z Warszawy przywiózł: owe passamany drzewieckie nie zdały się do mojéj paradnéj liberyi. Ja zaś więcéj jak tydzień musiałem czekać na wygotowanie ekwipażu, garderoby i liberyi dla cztérech lokajów, dwóch laufrów, murzyna i huzara. Gdy już wszystko było na pogotowiu, dopiéro za przewodnictwem jmci pana hrabi, i sam także hrabia, wyjechałem na świat wielki.

Moda była naówczas w Paryżu, wozić się w kolaseczkach, które tam zowią *cabriolet*. Kazałem zrobić cztéry od złota i srebra, akomodowane do cztérech części roku; ale gdy wozić się samemu przyszło, nie dobrze świadom stangreckiego rzemiosła, na środku ulicy wywróciłem się na kamienie, a w tym szwanku wybiłem dwa zęby, rozciąłem sobie wargę, i wywichnąłem prawą nogę. Miłosierni ludzie zanieśli mnie do blizkiego cyrulika: opatrzony doskonale, w domu

moim usłyszałem fatalny wyrok, iż kuracya kilka niedziel zabawi. Bolała mnie strata drogiego czasu: całą nadzieję położyłem w kompanii jmci pana hrabi, i kilkunastu poufałych od serca przyjaciół.

Jużem zaczynał do siebie przychodzić, gdy raz nie mogąc się doczekać na wieczerzą jmci pana hrabi, posłałem do jego stancyi. Przybiegł zadyszany kamerdyner, oznajmując, iż jadącego do mnie pana, warta miejska otoczywszy, zaprowadziła do publicznego więzienia.

Zmięszała nas niezmiernie ta awantura; wtém nieznajomy człowiek przyniósł mi takowy bilecik:

„Kochany przyjacielu!“—„Zaklinam cię na wszystkie obowiązki, wyrwij mię z ostatniéj toni. Życiem ci odsługiwać będę uczynność twoję. Fickiewicz.“

Gdym się oddawcy pytał, zkąd ten bilet, odpowiedział, iż jmci pan hrabia siedzi w więzieniu za naleganiem kupców, rzemieślników i innych ichmościów, którym znaczne summy winien. Odpisałem natychmiast obligując, aby nam regestr długów przysłał. W godzinie przyniesione, wynosiły na naszę monetę dwadzieścia i dwa tysiące siedmset dziewietnaście złotych. Wspaniałość umysłu i punkt honoru narodowy przezwyciężył ekonomiczne konsyderacye. Na fundamencie mojego kredytu zaręczyłem za jmci pana hrabię, i wyszedł natychmiast rozkaz uwolnienia go z więzienia.

Solenizując tak heroiczną akcyą, zaprosiłem na wieczerzą wszystkich naszych wspólnych przyjaciół: posłałem po jmci pana hrabiego karetę moję paradną. Nie zastała go w więzieniu, a co gorsza, i w stancyi; gospodarz tylko moim ludziom powiedział, iż jmci pan hrabia zpieniężywszy w godzinie, co się sprzętów zostało, wsiadł w karetę pocztową, i wyjechał z Paryża.

Że się dobre złém płaci, nauczyło mnie smutne doświadczenie. Gdyby się było skończyło na nauce, byłaby rzecz znośniejsza, ale po wyszłym już roku bytności paryzkiéj, gdy trzy razy przysłane z Polski wexle połowę tylko zapłaciły tego, co się bankierowi należało, nie chciał już daléj na kredyt dawać; kupcy, rzemieślnicy zaczęli się naprzykrzać. Chcąc uspokoić dłużników, napisałem do domu, aby mi pieniędzy tyle, ile potrzeba, było przysłano.

Gdy z niecierpliwością responsu czekam, odbieram list, w którym mi donoszą, iż dawny adwersarz wygrał sprawę w trybunale, a uczyniwszy plenipotentowi mojemu cessyą prawa swego, ten na fun-

damencie przyznanych szkód, expens prawnych, grzywien za expulzyą i summ sobie należących, ostatnią część wolną substancyi mojéj, Szumin z przyległościami zajechał.

Utrzymywały jeszcze resztę kredytu i reprezentacyi mojéj coraz zastawiane pod przepadkiem lichwiarzom galanterye i fanty. Gdy i tych brakło, a owi dłużnicy, którym za jmci pana hrabię ręczyłem, zaczęli proces, nie mając żadnego sposobu do ich uspokojenia, bojąc się losu mojego przyjaciela, zpieniężywszy kryjomo resztę fantów, wziąłem pretext przejażdżki, a dopadłszy piérwszéj poczty, wsiadłem na konia, i udając kuryera, takem spieszno umykał, iż nazajutrz byłem już w granicach Flandryi Austryackiéj. W *Mons* tylko przenocowawszy, puściłem się ku Holandyi, i nie zatrzymując się w żadném mieście, stanąłem w Amsterdamie. Miasto to, stolica handlu całego świata, widokiem niezliczonych ciekawości, innego czasu byłoby mnie bawiło nieskończenie; w téj, w któréj zostawałem, sytuacyi, na siebie jedynie miałem obrócone oczy. Ogołocony ze wszystkiego, długami obciążony za granicą i w ojczyźnie, miałem się za zgubionego. Myśl rozpaczająca nie zastanawiała się nad niczém.

Raz gdym zatopiony w takowych reflexyach nad portem chodził, przybliżył się ku mnie kapitan jednego okrętu, który miał z portu wychodzić. Gdy mnie pytał o przyczynę tak głębokiéj melancholii, odkryłem mu stan mój okropny; a gdym się od niego dowiedział, że do Batawii odjéżdża, przyszła mi w tym punkcie myśl, puścić się w tamte kraje. Przyjął z ochotą moje prozby, i zaraz nazajutrz za nadejściem dobrego wiatru, puściliśmy się na morze.

Okręt nasz był wojenny o sześciudziesiąt armatach: wiózł do Batawii urzędników tamtejszéj regencyi. Oprócz majtków i żołniérzy, było nas podróżnych kilkunastu. Piérwsze morskie kołysania, sprawiły we mnie zwyczajny skutek znacznéj słabości; pomału wdrożyłem się do tego nowego sposobu życia. Wiatry jednostajnie pomyślne przypędziły nas w dość krótkim czasie do wysp Kanaryjskich; tam wysiedliśmy na ląd dla wody świéżéj i prowiantów. Dla niestatecznych wiatrów, kilka razy musieliśmy wysiadać i odpoczywać u brzegów afrykańskich.

Kraje te, którem oglądał, dość są znajome z wielorakich relacyj; nie sądzę więc za rzecz potrzebną powtarzać to, co drudzy już

obwieścili. Dojeżdżając do kapu Dobréj Nadziei, kończącego Afrykę, szturm wielki znacznie skołatał nasz okręt, a że czasy niebezpieczne do żeglugi nastawały, zatrzymaliśmy się tam kilka miesięcy. Okręt do Batawii odmieniono, a, co gorzéj, i komendanta, który zostawszy od rzeczypospolitéj nominowanym na znaczny urząd, musiał do ojczyzny powracać.

Następca jego był człowiek surowy i nieobyczajny, jak pospolicie bywają ci, którzy całe życie na morzu trawią. Radbym był zostać się na tamtém miejscu; ale nie widząc tam żadnego sposobu do zarobku, za radą przeszłego komendanta, listami jego rekomendacyjnemi wsparty, puściłem się do Batawii. Jużeśmy byli z dość dobrym wiatrem znaczną część podróży odbyli, gdy razem wiatry ucichły, a okręt stanął wśród morza. To do zwierciadła podobne, najmniejszego wzruszenia nie pokazywało, gorącość niezmierna dokuczała nam srodze, prowianty zaczęły się psuć, wody coraz ubywało; gdy zaś do dwunastego dnia przeciągnęło się to nieznośne na miejscu stanie, połowę ludzi na okręcie chorych rachowaliśmy.

Powstał znagla wiatr, ale tak mocny, żeśmy większą część żaglów spuścić musieli: rzucono kilkakrotnie kotwice, ale te nas utrzymać nie mogły. Cały ekwipaż w niewymownéj bojaźni zostawał, ile że wiatr, dyrekcyi naszéj cale przeciwny, niósł nas ku lądom nieznajomym. Przez dni sześć trwała ustawiczna burza, wzmagały się wiatry, maszt pryncypalny złamał się, większa połowa ludzi zostających na okręcie z niewczasu, choroby i pracy nie była zdolna do roboty. Jam, ile możności, krzepił nadwerężone siły, pompując wodę, wałami niezmiernemi okręt nasz przykrywającą. Wtém jeden z majtków zawołał, iż ląd blizko: okrzyk ten w innych okolicznościach pożądany, stał się nam wszystkim wyrokiem śmierci. W jednym momencie wpędzony na skały okręt, rozbił się z nieznośnym trzaskiem.

Co się ze mną naówczas stało, opowiedzieć tego nie umiém: to wiém, iż ocuciwszy się niejako, znalazłem się wśród morza. Zalany falami, opojony morską wodą, zacząłem dobywać ostatnich sił: szczęściem zachwyciłem dość sporą deskę, porwałem ją, i takem mocno trzymał, iż mimo ustawiczne fluktami rzucania, podniesienia i spadki, napół żywy wyrzucony zostałem na piasek lądowy; bojąc się, żeby mnie powracająca nazad fala nie zagarnęła, biegłem piaskiem bez oddechu: siły mnie nakoniec opuściły, i padłem bez zmysłów.

Młodość naprzód, a potém sen, który narzekania moje przerwał, trwał długo. Nie piérwéj otworzyłem oczy, aż słońce blaskiem swoim przerażać je zaczęło: obudziwszy się, żałowałem, iżem ostatni raz oczu nie zamknął. Wracały się nieznacznie osłabione siły; a gdy rozmyślać począłem nad moim teraźniejszym stanem, rozpacz jedyną folgę znajdowała w dobrowolnéj śmierci. Byłbym zapewne wykonał samobójstwo, gdyby natychmiast wkorzenione zmłodu sentymenta religii nie wstrzymały rąk, już do wykonania dzieła tego gotowych. Przerażony zbytkiem niegodziwéj rozpaczy, wzniosłem oczy do nieba. Wtém promyk słodkiéj nadziei wkradł się w serce moje: wzniosłem ręce, i począłem wołać ratunku téj opatrzności, która i powszechnością stworzonych rzeczy rozrządza, i w szczególności najnikczemniejszego stworzenia nie opuszcza.

Wstałem z miejsca, i gdy od morza żadnego już wsparcia, ani nadziei miéć nie było można, puściłem się wgłąb téj ziemi, na którą mnie niespodziéwane wyroki zaniosły. Bałem się napaści drapieżnych zwiérząt: widok coraz nowych osobliwości bawił mnie i dziwił. Drzewa albowiem, owoce i zioła wszystkie prawie innego były rodzaju, niż europejskie. Jużem był uszedł bardzo gęstym lasem, bez znaku najmniejszéj drogi, lub ścieżki, prawie pół mili, gdym postrzegł z radością, iż się drzewa zaczynały przerzadzać. Wyszedłem nakoniec w pole, a zobaczywszy pilnie uprawne, i zbożem już prawie dojrzałém okryte, bardziéj jeszcze uradowałem się, wnosząc sobie ztąd, iż ten kraj nie tylko miał mieszkańców, ale nawet mieszkańców nie dzikich, bo znających rolnictwo, i w towarzystwie żyjących. Utwierdził to moje zdanie wkrótce widok pożądany wsi, czyli miasteczka; domy albowiem nie zdawały mi się być wspaniałe, ale obszérne, i dobrą symetryą rozłożone.

Gdym się ku temu miejscu z jak największą skwapliwością zbliżał, postrzegłem dość wielką ludzi zgraję, zapatrujących się na jakoweś widowisko. Ci skoro postrzegli zdaleka strój mój, podobno w tamtych stronach niewidziany, ruszyli się wszyscy ku mnie, i w okamgnieniu otoczony zostałem ludźmi przypatrującemi się ciekawie osobie mojéj. Wzajemne zadziwienie trwało czas niejaki: wtém przystąpił ku mnie poważny starzec, i gdy mi na znak dobrego przyjęcia rękę podał, ja padłem mu do nóg rzewnie płacząc: podniósł mnie z skwapliwością, i mówić począł łagodnie, jakem mógł z miny i gestów miarkować, ale językiem mi wcale niewiadomym.

Na hazard, że może co zrozumié, zacząłem do niego mówić po polsku, po łacinie, po francuzku; a gdy i on mnie nie rozumiał, gestami opisywałem mu sytuacyą teraźniejszą, reprezentując, ile możności, jakem płynął morzem z krajów bardzo dalekich, jak się mój okręt rozbił, jak współtowarzysze moi potonęli, ja na desce uszedłem śmierci. Zrozumieli, jakem z nich poznał, iż przypłynąłem od morza, ale tego pojąć nie mogli, gdym im nasz okręt opisywał, i krainę daleką, z któréj przyszedłem. Że zaś mi głód zaczynał bardzo dokuczać, prosiłem przez gesta o posiłek; postrzegłszy to ów starzec, wziął mnie za rękę, i zaprowadził do domu swojego.

Nie był tak, jak inne, wyniosły, ani wspaniały; czystość, porządek i piękna symetrya największą była jego ozdobą. Domy wszystkie były drewniane, ale się ściany zewnątrz i wewnątrz połyskiwały, jakby napuszczane było drzewo osobliwym pokostem; nie można albowiem było rozumiéć, iżby miały być takowe z przyrodzenia. W piérwszéj izbie ławy były naokoło, nie wiele od podłogi wzniesione: tam mnie gospodarz posadził. Przyszła za zawołaniem sędziwa niewiasta, jakem miarkował, żona jego. Ta zadziwiwszy się zpoczątku, gdy jéj mąż o mojém przyjściu powiedział, pozdrowiła mnie położeniem ręki na sercu; postawiono przedemną stolik: nie bawiąc przyniesiono potrawy z samych jarzyn, nabiału i owoców, a w naczyniu, podobném do naszych farfurowych, wodę.

Choćby mi był zbyteczny głód nie dokuczał, nie mógłbym się był jednak odjeść jarzyn, i smaku i zaprawy przedziwnéj. Owoce były nierównie lepsze od naszych, chléb podobny do żytnego ale smaczniejszy. Łyżkę tylko miałem do jedzenia. Chcąc chleba ukroić, dobyłem noża z kieszeni: zdziwiło bardzo gospodarza to zapewne w tamtym kraju niewidziane narzędzie. Poglądał nań z ciekawością, i zdało mi się, iż się go nie śmiał dotknąć; gdy mu więc do rąk ofiarowałem, wziął za ostrze, i obraził sobie palec. Postrzegłszy krew, rzucił nóż na ziemię, i wołać zaczął, a gdy się domownicy zbiegli, opowiedział im, co się stało. Chciałem zdjąć nóż z ziemi, ale mi nie dopuścili tego, i ledwiem się mógł od śmiechu wstrzymać, gdy po małéj chwili przyniósłszy jakiś instrument nakształt grabi, zdaleka mój nóż popychali ku drzwiom: wyrzuciwszy go za drzwi, przypatrywali mu się zdaleka, podobno chcąc widziéć, czy się nie rusza. Wykopali zatém dołek dość głęboki, i tam go pochowawszy, przysypali ziemią.

Przyszedł zatém do mnie gospodarz, i poznałem z gestów, iż mi wymawiał, żem go wdał w tak wielkie niebezpieczeństwo. Pytał, jeźli drugiego takiego nie mam przy sobie. Odpowiedziałem, że nie. Dopiéro prosił, żebym zakopanego noża nie ruszał. Obiecałem chętnie, a on mnie ścisnąwszy za rękę na znak przyjaźni, wyprowadził za dom do swego ogrodu, albo raczéj sadu. Drzewa zasadzone były w linią: uginały się gałęzie pod rozmaitego rodzaju owocami. Zamiast parkanu lub płotu rowek nie wielki, dla ścieku bardziéj wody, niżeli warunku, odgradzał od sąsiedzkiego. We środku sadu była sadzawka, przez którą przechodził strumyk: ten w sąsiedzkim sadzie napełniał także sadzawkę, i jakem się potém dowiedział, szły wciąż ogrody z podobną dla wszystkich mieszkańców téj osady wygodą.

Gdy się już zabiérało ku zmroku, zapalono lampę wiszącą na środku izby: siedliśmy do wieczerzy mniéj już obfitéj, niż obiad. Oprócz gospodarza i żony było synów dorosłych trzech, i wnucząt podobno dwoje. Gdy wstali od stołu, obrócili się wszyscy ku wschodowi, a gospodarz wzniósłszy oczy ku niebu, wyraźnym głosem mówił modlitwę dziękczynienia: dopiéro porządkiem ucałowawszy dziatki, wziął mnie za rękę, i zaprowadził do izby osobnéj: znalazłem tam siennik nakształt materaca, poduszkę i kołdrę obszerną, z nieznajomej mi wszystko materyi.

Gdym się obudził, postanowiłem zaraz u siebie, uczyć się języka tego kraju; bez téj albowiem wiadomości trudno mi było, a prawie niepodobna, poznać tamtejsze prawa i zwyczaje, wyrozumieć sposób myślenia obywatelów, stać się im użytecznym przez wdzięczność za tak łaskawe przyjęcie. Uważałem tymczasem pilnie to, co mi tylko pod oczy podpadło.

Osada, w któréj zostawałem, miała stu dwudziestu gospodarzów; każdy z nich miał dom, pole i ogród, wszystko pod równym wymiarem. Najwięcéj dzieci rodzicom służyły; lubo mieli innych obojéj płci domowników, ale w odzieży i wygodzie żadnéj nie było między nimi różnicy. Nie znać było najmniejszéj podłości w czeladzi: panowie nie patrzyli się na nich surowém okiem, dopiéroż kar bolesnych, albo obelżywych podobieństwa nawet nie postrzegłem. Wzrost obywatelów był mierny, twarze wesołe, cera zdrowa: kalék, lub zbytecznie otyłych, albo chudych nie widziałem. Siwizna, nie zgrzybiałość oznaczała starych.

Strój mężczyzn bardzo był prosty co do gatunku materyi, ale wygodny, nie krępował po naszemu bez potrzeby członków. Kolor wszystkich sukien był szarawy, biały, według wełny, której nie farbowano. Czarnych owiec bardzo mało widziałem; takiego zaś koloru wełnę obracają na koldry i materace. Krój odzieży podobny do tego, który widzimy pospolicie w statuach greckich i rzymskich. Spodnia suknia niżéj spadała od kolan, zwierzchnia daleko dłuższa i obszerna, nakształt płaszcza, zażywana najwięcéj bywała od starych, albo też od młodszych w czasiech zimnych, lub słotnych. Mężczyźni włosy zapuszczali równo z szyją, zprzodu je do góry zaczesywali, żeby nie spadały na oczy. U dzieci obojéj płci włosy nizko były strzyżone dla zachowania ochędóstwa.

Suknie niewiast odmiennego nieco były kroju, niż mężczyzn, materya delikatniejsza. Pudru białego, szarego, i szarawego jeszcze była moda w ten kraj nie wniosła: maszczenie włosów pomadą miały tamtejsze damy za nieochędóstwo. Nie idzie zatém, iżby ich strój nie miał być w tamtych stronach przystojny, i nawet wytworny. Chęć podobania się powszechnym jest wszędzie téj płci przymiotem.

Odmian mody w tamtym kraju nie znano. Krój sukien od wieków był jednaki: kolor, jakom wyżéj namienił, nigdy się nie odmienił; nie mieli albowiem sekretu farbowania wełny. Jakoż dowiedziałem się potém, iż gdy moje suknie examinowano, była zaś zwierzchnia zielona, kamizelka pąsowa, wnieśli sobie ztąd zaraz tamtejsi obywatele, iż owce mojego kraju były zielone i pąsowe.

Kraj ten zewsząd był morzem oblany, i całéj wyspy powszechne nazwisko *Nipu*. Język narodu dość łatwy, ale obfity: żeby im wytłumaczyć skutki i produkcye kunsztów naszych, musiałem czynić opisy dokładne, i dobiérać podobieństw. Nie masz u Nipuanów słów wyrażających kłamstwo, kradzież, zdradę, pochlébstwo. Terminów prawnych nie znają. Choroby nie mają szczególnych nazwisk; ale też ani dworaków, ani jurystów, ani doktorów nie masz.

Pod dyrekcyą mojego gospodarza trawiłem czas nad nauką tamecznego języka; jakoż w kilka miesięcy mogłem się już rozmówić. Przez cały ten czas postrzegałem, iż stronili odemnie tamtejsi mieszkańcy; obchodzili się, gdy tego konieczna potrzeba wymagała, względem mnie z wszelką ludzkością; odpowiadali na moje pytania w krótkich słowach: ale znać było w tych powierzchownych oświadczeniach

jakowyś przymus i odrazę. Martwiła mnie ta ich niewiara i zbyteczna ostrożność; ale sądziłem, iż musiała pochodzić z przyczyn mi niewiadomych, a według ich sposobu myślenia uczciwych i należytych. Sam mój gospodarz, gdym się go wypytywał o zwyczajach, prawach i historyi krajowéj, zbywał rozmaitemi sposoby ciekawość moję: bojąc się niedyskrecyi, milczałem. Że zaś pokazywał wielką ciekawość wiedzieć najmniejsze krajów naszych okoliczności, ile możności starałem się, ażeby tę jego ciekawość nasycić i uspokoić.

Jednego dnia, gdy się przechadzałem zamyślony nad moim teraźniejszym stanem, przystąpił do mnie z wesołą twarzą gospodarz, oznajmując, iż dnia jutrzejszego będę przyjęty do powszechnego towarzystwa.

Powróciwszy do siebie, ciekawie czekałem, jakie będą obrządki przyjęcia mnie do obywatelstwa i społeczności Nipuanów; a wiedząc, że ten naród jest uprzejmy i obyczajny, ale z drugiéj strony co do nauk, kunsztów i sposobu życia, dziki i niewiadomy, wziąłem sobie za punkt największéj wdzięczności, oświecić ich niewiadomość i prostotę. Na tym więc fundamencie zkomponowałem sobie mowę, którą do nich mieć miałem nazajutrz, podając im sposoby, przez które mogliby wyjść ze stanu swojéj dzikości, i wkroczyć w ślady narodów europejskich, wszystkie inne doskonałością i wiadomością rzeczy celujących.

Już się zabierało nazajutrz ku południowi, gdy przyszedł do mnie mój gospodarz, i zaprowadził do domu jednego. Zastałem tam zgromadzonych wszystkich osady gospodarzów: przyjęty od nich byłem mile; a gdyśmy z darnia zrobione stoły w chłodzie drzew sadu zasiedli, stawiono przed każdym zwykłe potrawy. Gdy już się miał obiad kończyć, najstarszy z stołowników, zawoławszy mnie do siebie, rzekł: „Bracie! bądź z nami, używaj darów przyrodzenia, a pamiętaj, że istotne obowiązki towarzystwa m i ł o ś ć i z g o d a.“ Ułamawszy więc kawałek chleba, rozdzielił go na dwie części: sam jednę włożywszy w usta, mnie drugą oddał. Wziąłem z uszanowaniem, a zjadłszy udzielony kawałek, gdym chciał oświecać ten dobry a dziki naród, mój gospodarz tak zaczął mówić: „Człowiek ten, którego mi zleciliście, zachował się dobrze u mnie, i już piérwsze kroki są uczynione. Sposoby jego myślenia, mówienia, działania, są zdrożne, ale trzeba mieć litość nad niewiadomością, prostotą i zaślepieniem człowieka, który zapewne temu nie winien, że się wpośrodku

grubych i dzikich narodów urodził. *Xaoo* właśnie teraz nie ma czeladnika, może go wziąć i na naukę, i do pomocy.“

Zapomniałem z gruntu oracyi mojéj, słysząc tak niespodziewane słowa. Ja, który prostaków i dzikich uczyć rozumu chciałem, od nich samych osądzony za dzikiego, i oddany na naukę, spuściwszy oczy, siedziałem w zamyśleniu, gdy ten *Xaoo*, — mój, nie wiém, czy pan, czy nauczyciel, wziąwszy mnie za rękę, do domu swojego przywiódł, a oprowadziwszy po gumnie, oborze, stodole i polu, rozdzielił zabawy dnia na dwie części: rano w pole miałem wychodzić do pracy, reszta czasu miała być obróconą na doziéranie domowego gospodarstwa.

Czylim się ja mógł tego spodziéwać, żebym kiedy przystał za parobka? Trzeba jednak było uczynić z potrzeby cnotę, i ten nowy sposób nie tak szkoły, jak nowicyatu odważnie zacząć. Gdyby mi nie dawał przykładu z siebie mój pan i nauczyciel, byłby mi się wydawał mój stan nieznośny; ale widząc podłość prac moich uszlachetnioną pana mojego współeczeństwem, nieznacznie pozbyłem odrazy, a z czasem poznałem niesprawiedliwość uprzedzenia, hańbiącego rolnictwo, i inne gospodarskie rzemiosła części i obowiązki.

Czekałem z niecierpliwością jakiegokolwiek przynajmniéj podobieństwa nauki, na którą mnie oddano: ale nic takiego z ust nauczyciela nie wychodziło, coby mogło zmierzać do tego celu. Gdyśmy szli razem na robotę, zadawał mi tak, jak i piérwszy, nieustanne pytania, z których znać było, iż chciał być jak najdokładniéj informowanym nie tylko o obyczajach, prawach, dziełach i kunsztach europejskich, ale i o moim sposobie myślenia. —

Już trzy miesiące mijały mieszkania mojego, gdy wziąwszy mnie z sobą w pole *Xaoo*, a odmieniwszy sposób mówienia, na samych przedtém pytaniach zasadzony, zaczął wkrótkości słów zwięźle przekładać, jak wiele każdemu człowiekowi na tem zależy, aby umiał złe swoje skłonności poskramiać, i uprzedzenia wykorzeniać. Proste, ale właściwe rzeczom były jego słowa, ułożenie zaś takie, iż jedna rzecz z drugiéj wypadała, a dyskurs cały zdawał się być łańcuchem, z koniecznie potrzebnych ogniw złożonym i spojonym. Przyrównał edukacyą do rolnictwa.

„Trzeba“ rzekł „wprzód poznać, żeby wiedzieć, jak się wziąć do uprawy, a osobliwie wtenczas, gdy się nowy grunt wydobywa. Jeżeli,

gdzie ma być pole, były przedtém krzaki i drzewa, nie dość na tém, żeby drzewo zciąć i krzaki zrzynać, trzeba ile możności o to się starać, żeby i drzew i krzaków korzenie wydobyć z ziemi, inaczéj i miejsca wiele zabiorą, i pług będzie się na nich zastanawiał i psował. A do tego gdy w ziemi korzenie trwać będą, zostanie w nich wigor, który coraz szkodliwe, a na nic niezdatne latorośle będzie wydawał. Jeżeli nie będą na nowym gruncie drzewa i krzaki, będą zielska, choć nie tak mocno, gęściéj jednak wkorzenione. Uprawnik więc dobry nie będzie żałował pracy, żeby te pasma korzónków pomału wybiérał: co większa, korzystać z nich potrafi, gdy popiołem spalonych czczą ziemię utłuści. Obiecywać sobie wykorzenienie namiętności, rzecz płocha i nierozumna: jako ciało żywiołami, umysł namiętnościami trwa, złe ich użycie, czyni nieprawość."

Z gustem niewypowiedzianym słuchałem dyskursów nauczyciela mojego. Te zwyczajnie poprzedzane były pytaniami. Nim zaczął mówić o naukach, kunsztach, lub innych okolicznościach, tyczących się krajów naszych, powtarzał naprzód definicye albo opisy tychże, przedtém jemu odemnie czynione. Zadawał nowe pytania w rzeczach, o których miał należytą informacyą; traktował o każdéj materyi uważnie; zarzutów moich ciérpliwie słuchał: a gdym się nie odzywał, pobudzał mnie sam do tego, abym mu odkrywał wątpliwości i zdania, nie zgadzające się z moim sposobem myślenia. Nie umiał on brać na siebie postaci wspaniało-ponuréj; nie umiał ustawicznie myślić, albo udawać myślącego; dystrakcye, które tak zdobią i dystyngwują mędrców naszych, nie były mu wiadome; ton głosu jego nie był wyniosły; nie definiował tego, na czém się nie znał: ale to był człowiek dziki.

Zabawa rolnictwa jak pożądane za sobą prowadzi skutki, uczułem własném doświadczeniem. Praca, która z początku zdawała mi się nieznośna, stała się z czasem zabawą przyjemną. Spazmy, wapory, reumatyzmy, z których mnie nie mogły wyprowadzić wody selcerskie i karlsbadzkie, ustąpiły dobrowolnie z rzęsistym potem. Apetyt, który soczystemi bulionami musiał wzbudzać i krzepić zpoczątku mój kucharz Krystyan, Niemiec, daléj jmci pan *Sosancourt*, Francuz, sam się powrócił, a rzepa do pracy lepiéj smakowała, niż przedtém podlaskie kuropatwy.

Praca i myśl wolna wzmocniły słaby niegdyś mój temperament. W niedostatku zwiérciadła, gdym się w wodzie przeziérał, postrzegałem

płeć moją, prawda, przeczernioną, ale twarz pełną i rumieniec żywy. Sen smaczny a nieprzerwany orzeźwiał strudzone dzienną robotą członki, a czerstwość samą się pracą pomnażała.

Mając iść w dość daleką podróż, wziął mnie *Xaoo* z sobą. Piérwszy raz natenczas zdarzyło mi się widzieć kraj ten dość rozległy, i gdym się pytał, jaka jego obszerność, odpowiedział, iż idąc prosto aż do drugiego brzegu od morza, jedenaście dni drogi, szérokość zaś kraju równa była prawie długości. Gdziekolwiek szliśmy, widać było wszędzie dobrą uprawną ziemię; osady były dość gęste, każda zaś miała tyle lasu, ile jéj potrzeba było: i jakem mógł miarkować, po równych wydziałach, znać, iż gdzie ich było nadto, tam zbywające części na pola były obrócone; gdzie zaś ich brakło, umyślnie były zasiane.

Ósmego dnia podróży po lewéj stronie pokazał mi mój gospodarz pole dość obszerne, pięknemi drzewy naokoło obsadzone: wśrodku był dom niewielki, nieco jednak ozdobniejszy od innych. Gdyśmy się ku niemu zbliżali, wyszedł z pobliższego domu poważny starzec, i pozdrowiwszy nas mile, zaprowadził ku drzwiom. Tam gdy stanął *Xaoo*, rzekł: „Pozdrawiam cię, słodka pamięci ojca naszego!“ Wszedłszy do izby, znaleźliśmy zupełną czystość i ochędóstwo, a pośrodku była szafa dość kunsztownie zrobiona. Otworzył ją ów starzec, i gdym się spodziéwał obaczyć co osobliwego, z podziwieniem wielkiém nic więcéj nie postrzegłem, tylko starością już prawie zbutwiałe instrumenta rolnicze. Brali je w ręce z uszanowaniem obadwa starcy; *Xaoo* zaś, chcąc uspokoić ciekawość moję, rzekł:

„Pole, które ten dom otacza, rękami naszego powszechnego ojca uprawione i wydobyte było: tych instrumentów, które wdzięczność nasza z uszanowaniem od wieków strzeże, używał Kootes. Ten podobnym może, jako i ty, sposobem z cudzéj ziemi z żoną, z dwojgiem dzieci, tu do pustéj naówczas wyspy przybywszy, własnemi rękami tego gruntu dobył: poszczęściła najwyższa istność pracy jego, przyszedł do ostatniéj starości, i przed śmiercią widział czwarte pokolenie swoje. Tkwią nam w szczéréj pamięci jego przykazy, żeby zaś było cokolwiek takiego, coby nam ustawicznie przypominało jego obcowanie, instrumenta, których do rolnictwa używał, chowamy z pilnością, i każdy je raz przynajmniéj w życiu oglądać powinien.“

„Pole, które wydobył, należy do wszystkich w powszechności: kolejno je uprawiają obywatele, a zboże na tyle części, ile osad w wyspie, rozdzielone jest. Gdy cząstka do osady przyniesiona bywa, robi się z niéj chléb, i ten na tyle kawałków, ile jest obywatelów w osadzie, podzielony, przy końcu żniwa, każdy z wdzięcznością i uszanowaniem pożywa na pamiątkę, iż jesteśmy wszyscy zarówno jednego ojca dzieci. Przy téj najuroczystszéj uczcie opowiada najstarszy każdéj osady przyjście piérwszego ojca, jego prace, jego nauki, dzieje ojców naszych, ich przymioty chwalebne, rady i napomnienia, wynalazki zbawienne i pożyteczne. Kończyć się zwykły te uczty pieśniami młodzieży obojéj płci, w których pamięć dobrodziejstw naszych przodków jest zawarta.“

Po kilkudniowéj podróży wróciliśmy się do domu. Zaszli nam drogę mieszkańcy, i część owę zboża, z któréj miał być chléb powszechny uczyniony, przyjęli z radością i uszanowaniem. Trzeciego dnia przypadła wielka uczta; na tę wezwany byłem. Gdy przyszło ów chléb ojczysty na części dzielić, najstarszy z zgromadzenia opuścił mnie; to gdy postrzegł mój gospodarz, prosił, żebym i ja, ile już współobywatel, mógł być jego uczestnikiem.

Gdy się już wszyscy nasycili, powstała z miejsc swoich młodzież, i otoczyła starszyznę. Najsędziwszy tak mówić począł:

„Wiek wiekowi podaje pamięć, dzień dniowi daje naukę. Jedliśmy chléb naszego ojca, słuchajmy napomnienia jego.“

„Bóg jest źródłem wszystkich istności: Bóg jest początkiem wszystkiego dobra. Bóg być powinien jedynym celem i końcem wszystkich spraw naszych.“

„Rodzicom należy się miłość, uszanowanie, posłuszeństwo. Chcecie mieć wdzięczne dzieci, bądźcie wdzięcznemi dziećmi.“

„Jesteśmy wszyscy jednego ojca potomkowie; pamiętajmy o tém nieustannie, żeśmy bracia.“

„Wychowanie młodzieży, niech będzie szkołą cnoty.“

„Nadgroda cnoty w tém życiu największa, wewnętrzne przeświadczenie; inszych nie szukajcie: gdy zaś karzecie występki, żałujcie występnych, pamiętajcie, że i wy możecie zgrzészyć.“

Nazajutrz z okazyi owéj piérwszego ojca maxymy, że nauka młodzieży powinna być szkołą cnoty, prosiłem *Xaoo*, aby mi raczył wytłumaczyć, jakiemi sposobami ta szkoła do nauki cnót prowadzi.

„Niemasz w tém żadnego przemyślnego kunsztu“ rzekł *Xaoo*. „Na-

uki rozumu nie są nam znajome: serca sposobimy do cnoty. Żeby zaś dójść ile możności tego pożądanego skutku, podzielamy naukę obyczajności na cztéry części "

„Piérwsza nie zatrudnia ucznia, ponieważ natenczas sam nauczyciel uczy się poznać gruntownie, jakie są jego skłonności, jaki grunt serca, jakie sposoby myślenia, konstytucyą co do humorów krwi i innych przymiotów i skutków temperamentu. Przypomnij sobie owe odemnie dawniéj wspomniane podobieństwo do roli: słyszałeś, iż rolnik naprzód powinien grunt poznać, żeby wiedział, jak go uprawić w czasie, i co na nim siać. Poznanie więc doskonałe dziécięcia jest u nas fundamentem edukacyi. Ztąd nauczyciel brać miarę powinien, czyli słodkiém napomnieniem, czyli zabawnym dyskursem, czyli gruntowną umysłu konwikcyą, czyli częstém powtórzeniem, obietnicą nadgrody, punktem honoru, lub nakoniec, gdyby wszystkie inne sposoby były nieskuteczne, bojaźnią kary umysł wzruszać, i do dobrego kierować ma."

„Drugi stopień edukacyi zmierza do wykorzenienia złych skłonności, już poznanych przez nauczyciela. Lubo w piérwszych leciech niemowlęctwa zabiega się temu ile możności, aby nie nabiérało dziécię jakowych przywar i uprzedzeń, trudno jednakże odłączyć niejaką słabość od miłości rodziców. Ta, choć rozumem powściągniona, niekiedy z obrębów wypada. Pieszczoty nieznacznie wprawiają w upor i dobre o sobie rozumienie; ztąd krnąbrność, ztąd odraza od pracy, ztąd hardość rośnie. Stara się więc nauczyciel przełamywać te piérwiastkowe przywary, zawsze w początkach łatwiejsze do pokonania."

„Zasiéwa przyzwoitém ziarnem wyczyszczoną już i uprawioną rolą nauczyciel w trzecim stopniu, wielbiąc cnotę w powszechności, a w szczególności każdy jéj rodzaj opisując. Obowiązki stanów opowiada: przykrość nawet w pełnieniu cnót nie tai się, ażeby przestrzeżona tym sposobem młodzież, nie odrażała się z czasem od pełnienia przykrych i trudnych częstokroć obowiązków."

„Czwarty a ostatni stopień gruntuje się na roztropności. Nie dość na tém, że uczeń wié definicyą cnót rozmaitych, trzeba, żeby je do skutku przywodził. Trzeba, żeby wiedział, jak i kiedy pełnić je ma. Trzeba, żeby każdéj rzeczy przystojną miarę zachował, żeby naprzykład zbytek odwagi nie stał się zuchwałością, a nadto wielka rozmyślność bojaźnią i lenistwem, i t. d."

„Te są proste, ale doświadczeniem stwierdzone w skuteczności swojéj reguły edukacyi młodzieży naszéj." —

Przechodząc się raz sam jeden nad tym brzegiem morskim, gdziem po rozbiciu okrętu mojego był wyrzucony, zastanowiłem się myślą nad moim teraźniejszym stanem: począłem daléj rozważać wszystkie życia mojego przypadki, nie doskonale jeszcze u siebie przeświadczony, czylim zyskał, czy stracił na aktualnéj mojéj sytuacyi.

Gdy w zapalonéj żywemi obrazami imaginacyi coraz się insze myśli snuły, pod brzegiem wiszącéj nad lądem skały postrzegłem część znaczną rozbitego okrętu, którą fale unosząc, wbiły w piasek brzegowy, a zwyczajny morski odwrót zostawił naówczas oschłą. Miejsce to było na ustroniu: nie obawiając się więc, żeby mnie postrzeżono, skoczyłem ku temu miejscu, i poznałem, iż to była tylna część okrętu, gdzie pospolicie bywa izdebka kapitańska i inne najszacowniejsze składy.

Z ciężkością przedarłem się do téj izdebki, i wielem w niéj rzeczy znalazł. Te, które wilgoć zepsuć mogła, zupełnie już były zbutwiałe, inne, jakoto: pistolety, fuzye rdza okryła; zdatne jednak być mogły do użycia. Nie mogłem napaść oczu tak niespodziéwaną zdobyczą. Żeby więc ukryć przed obywatelami tamtejszymi korzyść moję, poszedłem pod blizką skałę, i znalazłszy w miejscu nieznaczném sporą pieczarę, skrzętnie tam zacząłem znosić łupy moje.

Jużem był prawie wszystkie zgromadził, gdy w jednym kącie izdebki kapitańskiéj postrzegłem nieznaczną kryjówkę, któréj przykrycie odstawało trochę od reszty podłogi. Zerwałem ją natychmiast, i piérwszy raz od lat trzech blask złota w oczy moje uderzył. Lubo ów kruszec na tamtém miejscu do niczego zdatnym być nie mógł, przecież słodka pamięć tego, do czego przedtém służył, tak dalece rozżarzyła imaginacyą moję, iż nie mogłem się wstrzymać od najżywszego radości uczucia. Poznałem z cechy, iż te piéniądze były luidory francuzkie; przeniosłem je spiesznie do pieczary, aże już słońce skłaniało się ku zachodowi, żeby mieszkańcy nie domyśleli się o przyczynie spóźnienia mojego, udałem się jak najspieszniéj do osady.

Przez całą noc oka zmrużyć nie mogłem. Widząc się być possessorem znacznego skarbu, żałowałem niezmiernie, iż zostawałem w takiém miejscu, w którém mi żadnéj korzyści przynieść nie mógł. Stawiałem się myślą w ojczyźnie, i natychmiast kupowałem wsi, miasta, budowałem pałace, plantowałem ogrody. Byłem nieszczęśliwy wśród szczęścia mego, mając, a użyć nie mogąc tego, co mi jak na przekorę los, w pieszczotach swoich fałszywy i zdradny użyczył.

Skoro tylko nazajutrz słońce zaszło, poszedłem do mego gospodarza, i zmyśliwszy ciężki ból głowy, opowiedziałem, iż dzień cały stracę na chodzeniu, dla nabycia sił przy dyecie i exercytacyi. Chętnie zezwolił; ja zaś wziąwszy z sobą nieco pokarmu, chyżéj, niż strzała, pobiegłem do moich łupów. Nim jednak przyszło examinować to, com ukrył w pieczarze, zobaczywszy wprzód, że rzeczy nie były tknięte, puściłem się znowu na nową zdobycz, a szukając po wszystkich kątach owéj sztuki okrętu, zdobyłem zostawioną w jednym kącie pakę: tę odbiwszy, znalazłem ksiąg wiele, nie zupełnie jeszcze przemokłych i zbutwiałych. Dostało mi się jeszcze znaléźć baryłkę prochu i worek kul i śrótu.

Zniosłem te drogie sprzęty do mojéj pieczary, a gdym się raz jeszcze zapuścił ponad brzeg patrzyć, jeżeli kogo z mieszkańców, mnie szpiegującego nie obaczę, postrzegłem o kilka staj stojącą przy brzegu łódź zapewne od owego okrętu. Poszedłem ku niéj: nic nie znalazłem, prócz dwóch wioseł; zaprowadziłem ją natychmiast w blizkie ujście rzéczki, do morza wpadającéj. Tam powrozem, którym był z okrętu zdobył, przywiązałem ją do jednego drzewa w takowém miejscu, gdzie gęsta zarośl zupełnie ją od oczu ciekawych zasłonić mogła.

Wróciwszy się nazad do pieczary, dopiéro spokojnie zacząłem examinować bogactwa moje. Przystąpiłem nasamprzód do szkatuły i worków z pieniędzmi; znalazłem w złocie czerwonych złotych francuzkich podwójnych sztuk 4,862, pojedynczych 3,716, monety nie wiele było. Oprócz tego w osobném szkatuły puzderku dyamentów znacznych, jeszcze nie brylantowanych kilkadziesiąt, mniejszych kilkaset, kamieni kolorowych, rubinów, szmaragdów, szafirów bardzo wiele.

Że zaś osobliwém szczęściem do owéj szkatuły woda nie zaszła, dobyłem kilka fascykułów papiérów: te wziąłem do siebie, chcąc je spokojnie w domu przeczytać. Książki, że były po części zamokłe, wydobyłem z paki, i rozłożyłem na piasku, żeby się wysuszyły. Reszta sprzętów takowa: dwie fuzye; trzy pary pistoletów; cztéry szpady; perspektywy dwie przemokłe i niezdatne; trąba morska do gadania nadół; zegarków złotych trzy, jeden z repetycyą; waza srebrna; półmisków sześć; talérzy dwanaście; klatek drucianych siedm, (znać jeszcze było po piórkach, że w nich były papugi); pudło, gdzie musiały być peruki (co można było poznać z wielości włosów, zsiadłéj pomady, i zapachu *Bergamotte:* do téj obserwacyi i to mi nie po-

mału pomogło, gdym znalazł w témże pudle żelazek dwa do papilotów i jedno do tupetu); skrzypców troje popsutych; lutnia; dwie par klarynetów i jedna waltornia; szkatułka z drzewa *de Mahon,* w mosiądz oprawna, w niéj dwanaście flaszek wódki lewandowéj; tabaki *de Maroco* funtów cztérdzieści dwa: ta zupełnie była zepsuta. Resztę, jakoto: suknie, bielizny, woda morska zżarła. Były jeszcze obrazy, ale z tych farba zeszła, i nie można było rozeznać, co mogły reprezentować.

Słabość wczorajsza zaciągnęła dzień następujący. Pod tym więc pretextem wziąwszy z sobą prowiant, pospieszyłem do moich skarbów. Dowiedziawszy się z papiérów, iż okręt rozbity był armaturą francuzkiego miasta *de S. Malo,* znalazłem między niemi wexle, jeden do Amsterdamu na 12,000 czerwonych złotych, drugi do Londynu na 22,000 czerwonych złotych, trzy do Genui, każdy na 6,500 czerwonych złotych. Nie gardziłem i tą zdobyczą w nadziei, że może się zda kiedykolwiek: zachowałem ją ze złotem.

Żeby nie popaść jakowéj suspicyi u Nipuanów z okazyi częstych moich przechadzek, umyśliłem za powrotem dać znać mojemu starcowi, iż postrzegłem część okrętu krajów naszych: żeby zaś nie pomiarkował, iż zdobycz w nim znalezioną dla siebie zachowałem, zaniosłem nazad do izby rotmańskiéj fuzyą jednę, pistoletów dwa zardzewiałych, instrumenta muzyczne, i pakę z wysuszonemi już książkami; te zaś umyślnie dlatego, abym mu je potém tłumacząc, dał uczuć, jakeśmy w rozmaitych naukach biegli. Stało się tak, jakem ułożył.

Xaoo nie tak ciekawy, jak pragnący zabieżéć szkodliwéj w skutkach ciekawości współobywatelów, równo ze świtem poszedł ze mną do owéj reszty rozbitego okrętu. Oglądał każdą część pilnie, pytał się o przyczynę i zdatność każdéj; fuzye i pistolety, gdym mu ich użycie opowiedział, wrzucił w morze, książki pozwolił zanieść za sobą, instrumenta w okręcie zostawił. Nazajutrz zwołał starszych, i nimem się obudził, już oni spalili to, co się z owego okrętu zostało. Obudził mnie za powrotem swoim i opowiedział, co starsi wraz z nim uczynili. Że zaś w powszechności o łodzi mówił, zląkłem się niezmiernie, czy nie trafili na ową, którąm w zakryciu drzew nadbrzeżnych zostawił. Prosił mnie zatém, żebym mu tłumaczył, co księgi w sobie zawiérały: obiecałem, z tym jednak dokładem, żeby mi pozwolił czasu do rozpatrzenia się w nich należytego.

Zasiadłem nad tą pracą, aże wszystkie były francuzkie, łatwe mi były do zrozumienia. Nie kładę ich rejestru, ileże od tak dawnego czasu nie mogłem sobie wszystkich tytułów przypomnieć. To wiem, iż znalazłem Komedye Moliera; Romansów trzydzieści ośm; O ekonomii politycznéj ksiąg cztéry; Aryj *de l' Opéra comique* zbiór wielki; Anakreonta z kopersztychami; Newtona filozofii tom trzeci; Sposób robienia pasztetów, i cztéry planty Paryża.

Po wyszłych dniach kilku naglił mnie *Xaoo*, żebym mu opowiedział cokolwiek z tego, co te księgi w sobie zamykały. Tłumaczyć wdzięk pieśni Anakreontowych obywatelowi wyspy *Nipu*, byłaby rzecz trudna i niewczesna; nadto była w nich wielka różność od tamtejszych, żeby można było grzecznie kłamstwa pisać. Naród tamtejszy tego nie pojmował: musiałem więc romanse porzucić; arye, opery, nie miałyby szacunku u nie znających się na muzyce; filozofii zaś Newtona nie rozumiałem. Udałem się więc do Moliera, i z ichże własnych pieśni wziąwszy asumpt, zacząłem mu explikować naturę komedyi, jako być powinna szkołą obyczajności pod pokrywką zabawy, przezentując jak najnaturalniéj w wyobrażeniu charakterów ludzkich, jak cnota przeszkody zwycięża, jako występek kiedyżkolwiek odkryty na złe wychodzi.

„Prawa u nas“ rzekłem „karami występki straszą; napomnienia starszych przekładają łagodnemi, nie mniéj jednak dzielnemi sposoby wszystkie życia towarzyskiego obowiązki; komedya równie dzielnego, a może skuteczniejszego sposobu na ohydzenie występków używa, wyśmiéwając występnych, tak dalece, iż częstokroć czego poważniejsze środki nie potrafiły, ten sposób dokazał. Wzgarda osobliwym sposobem obraża miłość własną; ztąd żart dzielność swoję bierze, byleby był uczciwy i umiarkowany.“ Chcąc to, com mówił, przykładem wesprzéć, udałem się do tłumaczenia jednéj komedyi Moliera, wybrałem Mizantropa.

Jakem po dniach kilku tłumaczenie skończył, i jemu przeczytał, rzekł *Xaoo:* „Musiał się dobrze znać na ludziach ten, który tę rzecz napisał. Namiętności dobrze są wyrażone, zbytek osobliwości doskonale wytknięty. Ale, zda mi się, iż autor kilku rzeczy w tém swoim dziele nie postrzegł. Naprzód albowiem czyniąc swojego odludka cnotliwym, zdał się nieznacznie przestawać na tém, iż cnota ma w sobie jakowąś odrazę. Cnotliwemu mizantropowi odjął największą cnoty za-

letę, roztropność, gdy umieścił w ustach jego niedyskretne i niewczesne krytyki. Przydał mu nadto zbyteczną miłość własną, gdy go wystawia idącego wbrew obojętnym nawet zwyczajom towarzystwa.“

„Nie takie są, mój synu, prawdziwéj cnoty znamiona. Czuje prawy człowiek różnicę postępków swoich, ale go to uczucie w pychę nie podnosi. Ma wstręt naturalny od towarzystwa występnych, ale się go nie chroni, wtenczas osobliwie, gdy poznać może, iż jego przykład może być zdatnym. Nie przywdziéwa na siebie postaci osobliwéj, żeby nie czynił od siebie wstrętu. Ile możności słodzi przykre czasem przepisy obowiązków, żeby zbyt surowa z piérwszego wejrzenia powiérzchowność, nie odraziła umysłów, między złém a dobrém chwiejących się. Możeś chciał uczynić delikatną komparacyą dyskursów tego mizantropa z mojemi: i nie powinienem miéć ci za złe téj myśli, ile jeszcze do naszych zwyczajów nie zupełnie wdrożonemu.“

„Ale racz uważyć, iż ze zdań zadziczałych, a prewencyj nie wykorzenionych, nie ja względem ciebie, ale ty względem nas jesteś osobliwym człowiekiem. Ciebie więc do nas przystosować moim jest obowiązkiem, a przeto dzielniejszych używać sposobów muszę, gdy z tobą mówię o narowach ludzi, wpośrodku których urodziłeś się i wychował. Gdyby mi z wami żyć przyszło, nie chciałbym się różnić od innych najmniejszą powiérzchownością; szedłbym ślepo za waszym przykładem w tém wszystkiém, coby się nie tykało istotnych obowiązków. Jeżeliby jednak bez uszczerbku cnoty nie można ujść osobliwości, przyznaję się szczerze, iż wolałbym ujść za dziwaka, odludka i mizantropa, niż być modnie niepoczciwym.“ —

Prawdę powiedzieli starzy, iż słodki dym ojczyzny. Widoki europejskie wzbudziły we mnie chęć widzenia Europy. Złoto, lubo na téj wyspie do niczego nie zdatne, ułudziło mnie zupełnie. Stałem się chciwym bez nadziei zysków, trwożnym w zupełném bezpieczeństwie. Possessor znacznego skarbu, czułem ustawiczną niespokojność, formowałem projekta, rachowałem istotę mojego dobrego mienia: gdy zaś nad tém zastanowić się przyszło, iż na mojéj wyspie żadnego z tych projektów do skutku przywieść nie można było, wpadłem w rozpacz, i narzekałem na igrzysko losu mojego, który mi wtenczas dodawał sposobów, kiedym z nich korzystać nie mógł.

Jużem się był przyzwyczaił do sposobu życia Nipuanów; jużem zaczynał doznawać skutków szacownéj spokojności; kruszec złoty nie

dość że mnie uczynił nieszczęśliwym w Europie, dognał za światem. Pasowałem się nieskończenie sam z sobą. Przywodziłem sobie na myśl niesposobność korzystania z tego złota, niopodobieństwo wydobycia się z wyspy, hazard podawania się na nowe niebezpieczeństwa, niewdzięczność ku dobrodziejom.

Te i inne uwagi konwinkowały mnie zupełnie co do rzeczy, serce się jednak temu wszystkiemu statecznie sprzeciwiało. Jużem był przedsięwziął uczynić heroiczną ofiarę, i to złoto wraz ze wszystkiemi innemi Europy zdobyczami w morze wrzucić; ale gdym kilka worków z jaskini wydobył, takim wstręt uczuł od wykonania tego zamysłu, iż widząc, że się żadnym sposobem przezwyciężyć nie mogę, przedsięwziąłem na owéj zachowanéj z okrętu łodzi puścić się na zgubę oczywistą prawie, byle z téj wyspy wyniść.

Postrzegł nadzwyczajne moje pomieszanie *Xaoo:* jam wszystko składał na słabość zdrowia, dlatego najbardziéj, żebym pod pretextem przechadzki mógł częściéj nawiédzać skarby moje.

Odwiédziłem więc łódź moję, i gdym ją opatrywał, znalazłem, iż w niczém nie była uszkodzona. Zrobiłem do niéj maszt, sporządziłem żagle, wiosła były na pogotowiu.

Rozdzieliłem łódź na trzy części: piérwsza miała w sobie zawiérać prowiant, druga wodę w beczkach, trzecia sprzęty i skarby. Miejsce na proch było osobliwe, fuzye i pistolety dobrze opatrzone. Tak zaś chętnie chodziłem koło tego wszystkiego, iż w dni kilka wszystko już było na pogotowiu.

Jużem był wszystkie moje sprzęty, skarby, prowianty i amunicye upakował, gdy raz według zwyczaju przyszedłszy zrana do mojéj łodzi, postrzegłem, iż jéj nie było. Żem tego momentu nie umarł, albo z rozpaczy nie skoczył w morze, osobliwą w tém opatrzność Boską dotąd uznaję. Stanąłem w miejscu jak wryty, i utraciwszy zupełnie przytomność, przetrwałem w tym stanie nieczułości czas nie mały. Ocknąwszy się niejako, począłem rzewnie płakać, a widząc, że próżny żal do niczego nie pomoże, szedłem rzéką ku morzu. Wtém postrzegłem, jako zwyczajny morski odwrót w toż właśnie miejsce łódkę moję prowadził: skoczyłem wpław ku niéj, a bojąc się podobnych przypadków, mając wiatr po temu, puściłem się na morze.

B) Historia, Tom V., w Warszawie r. 1803.

1. Przedmowa autora.

Między Biłgorajem a Tarnogrodem jest karczma w lesie: w téj gdy na popas stanąłem, postrzegłem siedzącego na podsieniu kozaka, który, gdy mu zgasł tytuń, poszedł do stajni, i ztamtąd zwinięty papiér w trąbkę wyniósłszy, zapalił go od końca, a przyłożywszy go do lulki, gdy zgasły ogień rozniecił, rzucił papiér na ziemię, sam wsiadł na konia, i pojechał. Że reszta papiéru nie dogorzała, podniosłem go, i w małym, który się został kawałku, przeczytawszy te słowa: „Gdyśmy się więc przeprawiali przez rzékę, obróciwszy się Lech do sw...“ Chcąc wiedzieć, co daléj następowało, pobiegłem na owo miejsce, gdzie kozak chodził; tam w sianie pod żłobem znalazłem tę *Historyą*. Ktoby się spodziéwał takiego skarbu między Biłgorajem a Tarnogrodem!

2. Historya.

Wszyscy o tém wiedzą, że w kraju Lugnagianów są ludzie takowi, którzy umrzéć nie mogą.

Tego jestem rodzaju ja, który przypadki życia mojego pisać przedsięwziąłem. Do lat ośmdziesiąt żyłem w ojczyźnie zwyczajnym trybem, ożeniłem się w dwudziestu pięciu. Żona moja umarła, gdy miała lat siedmdziesiąt dziewięć. Aże wyborne jéj przymioty słodziły przykrość życia mojego, właśnie od czasu jéj śmierci zacząłem czuć niezmierny ciężar trwałości mojéj ustawicznéj. Ci, z któremi od młodości miałem zachowanie, krewni, przyjaciele wymarli, ich następcy stronili od towarzystwa, nierównego wiekiem i sposobem myślenia. Współnieśmiertelni też mając, co i ja, przywary, nienawidzili mnie tak, albo bardziéj jeszcze, niżeli ja ich, zgoła próżny ciężar ziemi, sobie przykry, innym nieznośny, w śmierci, któréj dostąpić nie mogłem, zakładałem największe szczęśliwości.

W tak okropnym stanie przetrwałem lat trzydzieśic dwa; gdy jednego czasu nie mogąc znieść wzgardy publicznéj, z którą mnie traktowano, myśliłem porzucić towarzystwo ludzi, i wpośród zwiérza życie przepędzać, żebym mógł zostać łupem ich żarłoczności, Nie wiedząc sam, gdzie idę, szedłem ku południowi, i minąwszy wiele miast i wsi, nieznacznie zaszedłem w dzikie stepy, daléj w lasy nieprzebyte.

Szedłem więc coraz daléj, przepływając bez żadnego niebezpieczeństwa rzéki szerokie i bystre, przebywając góry ledwie dostępne, przepaści głębokie. Że zaś gorącość powietrza zbytecznie poczęła mi dokuczać, udałem się na północ, i po długiéj podróży upatrzyłem miejsce jedno dość przyjemne, gdzie między skałami piękną dolinę dzielił piękny, po kamykach spadający strumyk. Cień cedrów stoletnich uśmierzał upały słoneczne, a w poblizkiéj skale jakby kunsztem ręki ludzkiéj sporządzone pieczary stały mi się miejscem wygodném dla spoczynku i ochrony. Kontent, ile w moim stanie być mogłem, przepędziłem w tém miéjscu lat kilka; gdy razu jednego, wyszedłszy pomiędzy skały, a przypatrując się strumykowi, który z wielkim szumem z wiérzchołka prawie jednéj z nich spadał w dolinę, nieznacznie miłym ujęty snem, rzuciłem się pod cień niewielkiego drzewka, i zasnąłem smaczno.

Obudziwszy się, drzewu temu, wcale mi przedtém nieznajomemu zacząłem się przypatrywać, a postrzegłszy, iż ze rdzenia jego tłusta jakowaś massa nakształt żywicy wychodziła, wziąłem jéj nieco, i włożywszy na usta, uczułem smak przedziwny, i tegoż momentu, nie wiém, czy sen, czyli mdłość tak mnie opanowała, żem zupełnie od siebie odszedł. Obudziłem się, gdy świtać poczynało, a żem około południa owéj massy skosztował, mniemałem więc, iż w tym stanie musiałem być godzin kilkanaście.

Czułem po przebudzeniu jakowąś odmianę i wewnętrzną rewolucyą, i ledwom sobie mógł wierzyć, gdy przedtém nie mogąc się prawie ruszyć bez pomocy laski, porwałem się rzesko i stanąłem na nogach. Nie opłonąwszy z piérwszego jeszcze zadziwienia, skoczyłem ku strumykowi, i w czystéj jego wodzie zobaczyłem się w postaci młodzieńca pietnastoletniego, bez zmarszczków, bez siwizny, a co najpożądańsza, ledwo objąć mogło serce moje zbytek radości. Tej impet piérwszy gdy się nieco ukoił, padłem na twarz, i adorując najwyższą opatrzność, dziękowałem za tak wielkie dobrodziejstwo. Udałem się natychmiast do owego szczęśliwego drzewa. Z wielkiém staraniem zebrałem wszystek ten zsiadły sok, i napełniłem nim dość sporą puszkę w téj nadziei, że gdy do sędziwych lat przyjdę, tym sposobem znowu może będę mógł odmłodnieć. Patrzałem, czyli podobnego drzewka nie znajdę, ale zabiegi moje były próżne.

Chęć powrócenia do ludzi opanowała natychmiast serce moje;

udałem się więc w tęż stronę, jak mi się zdawało, z której przyszedłem: ale po trzymiesięcznéj podróży żadnego człeka nie znalazłszy, resztę drogi odprawiłem już na domysł, i po bardzo długiém pielgrzymowaniu poznałem nakoniec, żem zaszedł do kraju mieszkalnego.

Kraj ten nazywał się *Poro-stan*, monarcha *Poo-roch*, którego Grecy według zwyczaju swego nazwali Porusem. Gotował się na wojnę; wieść się albowiem w okolicach rozeszła, iż lud jakiś od zachodu, wojenny, pod wodzem bitnym, zuchwałym, wiele innych narodów zwojowawszy, zbliżał się ku Indyi.

Rozumiano zrazu, iż byłem szpiegem tego wojska, i dlatego straż mi była przydana: gdy więc poznali, iż zkąd inąd przyszedłem, rządca posłał mnie do króla. Nie było go w stolicy, wyszedł był albowiem z wojskiem, chcąc nad brzegami Hidaspu bronić wniścia tym zbójcom przychodniom i ich hersztowi; tak albowiem lud ten gruby nazywał Macedonów i sławnego w Europie dotąd Alexandra.

Król, jakem był przed niego stawiony, nie czynił mi wiele kwestyj, ale kazawszy mnie zmierzyć, i widząc, żem miał wysokości stóp pięć i calów półjedenasta, wziął mnie do swojego pułku. Dano mi łuk, strzały, dzidę jednę większą, drugą mniejszą: a żem się nie umiał z tą bronią obchodzić, setnik tak rzęsisto względem mnie używał kija, iż w kilka dni stałem się rycerzem ćwiczonym, i w mojéj professyi biegłym. W naszym kraju ten rodzaj nauki nie był używany, ale też nie było rycerzów.

Ruszyło się w kilka dni wojsko nasze, ileże wieści coraz świeższe przychodziły, iż ów Alexander, zwyciężywszy króla Taxyla, ku nam się zbliżał. Część wojska była nad rzéką pod komendą brata Porocha, Nazardynga. Król przeświadczony o tém, iż przytomność monarchy w podobnych okolicznościach najwięcéj pomaga, spieszył się ile możności, ażeby całe wojsko zebrane razem, broniło przejścia rzéki. Niedostateczną czyni o tém wzmiankę Kurcyusz, historyk Alexandra; aże bardzo wiele podobnych omyłek znajduje się w jego księdze, ja jako świadek oczywisty tych dziejów, mam tu za powinność, ażebym, ile możności, czytelników z błędu wywiódł, powiadając szczérze, co się i jak się kiedy działo. Mniemam, iż moje rzetelne powieści przywiodą uczonych do nowéj edycyi tego autora: ręczę, że będzie najlepsza, bo prawdziwa.

Pisze Kurcyusz, iż wojska Porusowego było 30.000 pieszych; było nas tylko 22.000: słoniów 85; było tylko 32: o wozach wspomina, że było 300: tych liczby nie pamiętam, ale w tém nagany godzien, że o jeździe nie czyni wzmianki, a było nas 6.000. Pisze o Porusie, że był postaci ogromnéj, dodając te słowa: *Par animus robori corporis, et quanta inter rudes poterat esse, sapientia.* Kraj indyjski nie był dziki, tenże sam autor zapomniał o tém, iż tamtejszych mędrców, brachmanów chwalił.

Pisze daléj Kurcyusz, iż Alexander fortelem Porusa zwyciężył, kazawszy rozbić namioty swoje nad brzegiem Hidapsu, tam gdzie go przebywać nie miał. Attala, podobnego do siebie, w własne swoje szaty ubranego tam osadził. Indyanie mniemając, że sam Alexander przybywa, moc wojska swego na przeciwnym brzegu postawili, a tymczasem Alexander drugą stroną rzekę przebył. W całéj téj powieści podobieństwa prawdy niemasz. Alexander zuchwały i dumny nie umiał fortelem kraść zwycięztwa, jako piérwéj Parmenionowi oświadczył. Attal nie był podobny do Alexandra: wzrostu był wyższego, ospowaty, i miał brodawkę na nosie, która go mocno szpeciła.

Żeśmy byli zwyciężeni, temu przeczyć nie mogę, ale dyskurs Porusa z Alexandrem na pobojowisku fałszywy. Sam się Kurcyusz w téj mierze z sobą nie zgadza: mówi, iż zdjętego ze słonia Porusa napół umarłego do Alexandra przyniesiono. Człowiek w tym stanie nie zdobywa się na odpowiedzi, zwłaszcza gdy ani Alexander po indyjsku, ani Porus po grecku mówić nie umiał. To prawda, iż Poroch traktowany był po królewsku: gdy do sił przyszedł, odwiédził go Alexander; ale co z sobą mówili, nie wiém, bo do namiotu nas nie puszczono. Weszło z Alexandrem kilku przedniejszych wodzów i tłumacz.—

W tém miejscu niech mi się pozwoli zastanowić nieco czytelnik nad lekkomyślnością i zuchwałością kronikarzów, którzy rozmowy wielkich ludzi kładą tak, jak gdyby ich byli świadkami, gdy pospolicie takowe rozmowy bywają albo samnasam, albo w przytomności dworzan dyskretnych, którzy wiedzą, jak sekreta powierzone chować należy.

Taż sama uwaga służyć może do przemów, które częstokroć w ustach wodzów przed bataliami autorowie kładą. Pełno ich jest w Liwiuszu. Baczny czytelnik nie inaczéj je czytać powinien, tylko

jak przydatek autora, chcącego pokazać, że nie tylko jest doskonałym dziejopisem, ale i krasomowcą.—

Po nastąpionéj porażce, ja, który na odwodzie i na moje szczęście stałem na warcie u namiotu Porusa, byłem wzięty w niewolą przez Eurydyka, rotmistrza pułku Ptolomeuszowego, który potém był królem Egiptu. Ten rotmistrz zaprowadził mnie do wodza swojego. Szczęściem podobałem mu się z piérwszego wejrzenia. Aże zostawiono wolność powrotu żołniérzom indyjskim, kazał mnie się pytać Ptolomeusz, czylibym nie zechciał przy nim zostać. Przystałem z ochotą na woli jego, i byłem policzony między domowniki tego pana.

Udaliśmy się wkrótce z Alexandrowém wojskiem ku morzu, ale wprzód odwiedziliśmy kraj Pambor, którego narodu obywatelów Kurcyusz, nie wiém, dla jakowéj przyczyny, nazwał Sofitami.

Wkrótce potém piérwszy raz doznał nieposłuszeństwa wojska swojego Alexander, i chcąc iść daléj za Ganges, buntem żołniérzy tak był przestraszony, iż ze wstydem i rozpaczą powrócić musiał. Lenus albo Lennus, który był autorem buntu, i imieniem żołniérzy miał mowę do Alexandra, w kilka dni umarł na gorączkę, o któréj naówczas rozmaicie mówiono.

Że dla sławy kazał Alexander w miejscu, gdzie obozował, pozostawić żłoby nader wysokie, dlatego, żeby potomność rozumiała, iż ludzie nadzwyczajni pod jego przewodnictwem tam zaszli, wyraża Plutarch. W Kurcyuszu jest wzmianka, iż umyślnie większe łóżka, dla żołniérzów niby zrobione, zostawić kazał. Nadto był oświécony Alexander, żeby się na takie dzieciństwa zdobywał. A wreszcie gdyby był chciał omamić potomność, lepiéjby było żłoby dla koni, łóżka dla ludzi robić mniejsze od zwyczajnych, żeby następcy słuszniéj się dziwować mogli, iż karli, a nie olbrzymi pod Alexandrem świat mogli zwyciężyć, i słusznych ludzi zwojować. — W podziale łupów między wojsko zarobiłem znacznie, co według zwyczajnego u dworów trybu bardziéj pana protekcyi, niż męztwu i zasługom moim przypisać powinienem. Dostało mi się daryków złotych 245, naczynia srebnego grzywien 39, trzy bardzo piękne kobierce perskie, muślinu indyjskiego sztuka, i dwa wielbłądy.

Od téj pory przestaliśmy wojować, a powrót nasz do Babilonu był ustawicznym tryumfem. Śmierć Hefestyona przerwała nasze radości, i lubo pan mój faworyta tego ciérpiéć za życia nie mógł, po

śmierci na znak żałoby kazał sobie włosy ostrzydz, i brodę zapuścił. Wziął za to znaczną część sukcessyi po nieboszczyku: i mnie się z téj puścizny dostał puhar złoty za to, żem rejestr ruchomości z rozkazu pańskiego pisał.

Nastąpił wkrótce powrót i wjazd Alexandra do Babilonu. Rządca tamtejszy, który obywatelów krzywdził, i jak mówiono, znaczną część skarbów zostawionych na swój pożytek obrócił, bojąc się, aby w jego sprawy nie wejrzano, przekupił wieszczków, aby królowi śmiercią pogrozili, jeżeli do Babilonu wjedzie. Stało się tak: ale Ptolomeusz, który chciał na tém miejscu brata swego osadzić, dał znaczną summę Bogoasowi, który naówczas w wielkiéj był łasce, ażeby wybił z głowy królowi te płonne przestrachy. Jakoż mimo przestrogi, wieszczby i prośby, Alexander wjechał z tryumfem do Babilonu. Rządca jednak miejsca nie stracił dla wkrótce nadeszłéj śmierci tego monarchy, któréj okoliczność Plutarch w księgach swoich wyraził dość obszernie, mniéj jednak rzetelnie, co się tamtemu zbyt łatwemu do wierzenia autorowi częstokroć przytrafiło.

Zwyczaj prawie powszechny zawsze jakowe niezwyczajne okoliczności śmierciom wielkich monarchów i wodzów oznaczył i przydawał. Nadto był sławny Alexander, ażeby go w tym poczcie nie umieszczono. Ztąd owa bajka o truciźnie, w kopycie mulim do Babilonu przywiezionéj; ztąd porozumienie o Antypatrze „Arystotelesie“, a co większa, o samejże matce Alexandra. Żałowałem, jak inni, tego wielkiego człowieka, nie znałem jego matki i nauczyciela; ztémwszystkiém śmiele upewnić mogę, iż nie był otruty.

Skorośmy wjechali do Babilonu, moda do dworu weszła, pić jak najwięcéj. Dworzanie, którzy dla przypodobania się panu karków sobie byli ponadkręcali, widząc, że mógł wiele wina w dobréj ochocie znosić, poczęli wielbić w nim ten nadzwyczajny przymiot szczęśliwego przyrodzenia. Ztąd emulacya, kto lepiéj pana naśladować potrafi. Jeden dla téj przyczyny, wypiwszy duszkiem półtora garnca starego wina, umarł na placu, drugi dla zakładu oszalał; ja sam, upiwszy się wielokrotnie, dostałem febry kwartannéj: byłbym może maligną przypłacił téj niewczesnéj ochoty, gdybyśmy w domu dobrego lekarza nie mieli.

Alexander, zwycięzca narodów, przyzwyczajony w każdym punkcie do piérwszości, mniemał, iż wielkość jego rozciągała się nawet do

pijaństwa. Filip, lekarz ten, który go po owéj kąpieli w Cydnie do zdrowia przyprowadził, wszedł raz do sali bankietowéj, i zaczął nawracać do wstrzemięźliwości Alexandra. Ten trzymając w ręku kielich wybornego wina, przedsięwziął nawrócić Filipa: skończylo się na tém, iż i króla i doktora od stołu wyniesiono. Nazajutrz legli obydwa. Doktor nie przyzwyczajony leżał dwa dni bez pamięci; Alexander wyszumiawszy się nieco, zaczął pić w najlepszą, i tak dobrze, iż powtórnie zaniesiony na łóżko, już z niego nie wstał. Czynił Filip, co mógł, ale przesilony temperament starania jego uczynił płonne. Umarł więc Alexander, strawiony maligną: następcy wyznaczyć nie mógł, bo przez cały czas choroby był bez zmysłów i przytomności.—

Nad tém się zastanawiać zwykli prawi kronikarze, ażeby opisawszy dzieje zacnych ludzi, ich charakteru, sposobu działania i myślenia określili wyobrażenie. Tym sposobem oświécony czytelnik poznaje doskonale osobę, któréj dzieje czyta, wchodzi w najskrytsze jéj wzruszenia, a jąwszy się tego pasma docieka łatwo, jakie być mogły pobudki czynów, nad któremi się zastanawiał. Historya tym sposobem uważana, nauką jest obyczajów.

Jeżeli kto, zapewne Alexander godzien ze wszech miar zastanowienia się czytelników uważnych i bacznych. Oprócz tych, którzy wiadomości tego wieku doszli, miał wielu innych historyków: jedni go nad ludzi wynieśli, drudzy zbyt ostrzy, ledwo go w ten poczet kładą. Zbytek chwalby i nagany podejrzany jest; temu, co widział i słyszał, najbezpieczniéj wierzyć można.

Mijam cuda, poprzedzające urodzenie tego bohatyra. Lekkowierny Plutarch obficie niemi obdarzył czytelników; a kiedy chciał zażartować z prognostyku zgorzenia téjże nocy, w któréj się Alexander urodził, kościoła Dyany w Efezie, żart mu się nie udał. Był Alexander piérworodnym synem, i następcą Filipa. Ten z wszech miar znakomity monarcha lubo nie był zwycięzcą Azyi, jemu przecie najlepszą część powodzenia Alexandrowego przypisać należy; on albowiem postawił naród i syna w stanie sposobnym do przedsięwzięcia takowego.

Wychowanie Alexandra takowe było, jakie zwyczajnie dzieci królewskich. Sprowadzony Arystoteles lepiéj się jeszcze znał na dworszczyźnie, niż na filozofii. Uczeń z wiadomością niektórych terminów uczonych, zyskał wielką o sobie opinią, mistrz fawor u dworu. Ów sławny list Filipa do Arystotelesa, w którym bardziéj się cieszy z przyszłego

mistrzostwa tego mędrca, niż z urodzenia syna, dziełem był płodnéj imaginacyi uczniów Arystotelesowych.

Między innemi korrespondencyami kancellaryi królewskéj znalazłem był w archiwum Ptolomeusza, mojego pana list, za którym Arystoteles do dworu Filipa był sprowadzony. Pisał go Pauzaniasz, podkomorzy. Był zaś takowy: „Ze zlecenia królewskiego donoszę ci, iż jesteś wyznaczony nauczycielem młodego królewicza. Jurgieltu będziesz miał dwa talenty, stół u dworu, mieszkanie, i oprócz tego wszystkie inne wygody. Winszuję ci łaskawych względów pana mego. Oddawca co potrzeba będzie na drogę, zapłaci. Bądź zdrów.“

Pensya dobra więcéj ucieszyła Arystotelesa, niżby był ukontentował czczy komplement. Już i tamtego wieku filozofowie zaczynali nie gardzić bogactwy. —

Dalsza historya Alexandra wiele podobnych fałszywych zamyka w sobie okoliczności. Zastanawiać się nad wszystkiemi, wieleby czasu zabrało; niektórych więc tylko lub fałsz, lub niedostateczne opisanie wyrażę. Po zburzeniu Tebów, że dom Pindara ocalony został, Plutarch, tego poety sprawiedliwy wielbiciel przyświadcza. I wprawdzie gdyby tak było, akcya ta umniejszyłaby nieco dzikości postępku Alexandrowego: ale rycerz ów młody i popędliwy, dobywając tak sławnego miasta, nie miał czasu myśléć o odach Pindarowych, których po większéj części może tak nie rozumiał, jako my teraz, a podobno i wszyscy Grecy. Opłonąwszy nieco, prawda, że w dalszym czasie kazał mieć wzgląd na jego potomków; ale dom Pindara tak zgorzał, jak i drugie. Choćby albowiem chciano go utrzymać, byłaby rzecz niepodobna w powszechném pogorzelisku. Był chwalony za to od Greków szczérzéj zapewne, niż za zwycięztwo pod Cheroneą.

Był z nim Ptolomeusz w Atenach: wziąłem więc jednego razu smiałość, pytać się o okolicznościach rozmowy Alexandra z Dyogenesem. „Gdyśmy byli w Atenach“ rzekł „oglądał Alexander ciekawie wszystkie tameczne osobliwości. Naród Ateńczyków płochy, nie mogąc się nad niczém trwale zastanowić, lubił rzeczy osobliwe: znajomi téj przywary ludu przedniejsi obywatele, starali się o to, aby go bawić nadzwyczajnemi widokami. Ich mędrcy, rodzaj zwyczajnie dumny, chcąc zyskać jak najlepszą o osobie opinią, a przeto i poważanie, z swojéj strony omamiali osobliwością te, że tak rzekę, dorosłe dzieci.“

„Dyogenes nie mogąc co innego wymyślić, wlazł w beczkę. Postrzegł go w téj postaci Alexander, i kazał go do siebie zawołać. Filozof kontent, że mu się dobra okazya do dystyngwowania od drugich zdarzyła, nie chciał wyniść. Gdy się o tém Alexander dowiedział, w piérwszym impecie popędliwości swojéj, kazał mi pójść z kilkunastu żołniérzami, a zabiwszy dno u beczki, toczyć w niéj Dyogenesa aż na miejsce, gdzie miał jeść wieczerzą. Nie było bezpieczno czynić mu remonstracyi, kiedy był w passyi: jużem więc był poszedł, gdy opłonąwszy z passyi, kazał mi się nazad wrócić, a śmiejąc się z dumy mniemanego mędrca, rzekł, iż wzgarda takiego grubiaństwa największą jest karą.“

„Kazał nam zatém wszystkim, żebyśmy się przechodzili koło beczki, a żaden żeby na nię nie spojrzał. Ten rodzaj kary tak rozgniewał filozofa, iż ku wieczorowi z beczki wylazł, i nieproszony do Alexandra przyszedł. Ale przestrzeżeni odźwierni nie puścili go. Tak się tém zmartwił, iż tegoż samego dnia zachorował na żółtaczkę, i leżał u jednego z admiratorów swoich kilka niedziel.“

Grecy najpiérwsi pisali wojny Alexandra: żeby się był téj pracy Pers lub Indyanin podjął, nie takby się dobrze wydawała, a może obóstronne pióro najlepiéjby nam dało poznać, jako i on i jego koledzy szczęśliwym hazardom winni największą wdzięczność.

Batalia pod Granikiem decydowała o szczęściu i sławie Alexandra; gdyby ją był przegrał, byłby w piérwszym poczcie szalonych zuchwalców. Szła daléj pasmem jego pomyślność, najwięcéj był winien gnuśności Persów. W Tyrze najpiérwéj znalazł ludzi, ale téż ten, który przejazdem królestwa zabiérał, pod jedném miastem siedm miesięcy strawił.

Pisał Ptolomeusz dyaryusz życia Alexandrowego, ale że był szczéry, nie wyszedł na świat. Po śmierci jego dostałem kopią, i ztąd najwięcéj dostałem wiadomości, i lepiéj, niżeli gdym na żywego patrzył, poznałem Alexandra. Batalia pod Arbellą od Kurcyusza i Plutarcha inaczéj jest opisaną, niż w tym manuskrypcie. Według ich powieści siedział Daryusz na wozie złotym, stały posągi z drogich kruszców w kraju, gdzie przez religią Magów reprezentacye takowe były zakazane: zobaczył unoszącego się orła nad Alexandrem wieszczek, który był na odwodzie.

Alexander nie był nabożny: wieszczkowie tamtejszych wieków zwyczajnym duchowieństwa trybem nie byli odważni. Kto widział batalie, wie dobrze, iż w kurzu i zamięszaniu nie tylko jednego, ale całego stada orłów postrzedzby trudno. Ptastwo każdy zgiełk i wrzawa straszy. Orzeł, choć go królem innych nazywają, tak wtenczas ucieka, jako i wrona. Wszystkie te złączone razem okoliczności, sprzeciwiają się bajce, prawda, że zabawnéj, ale nie dobrze wymyślonéj.

Nad ciałem Daryusza, którego Bessus zabił, płakał Alexander według powieści swoich kronikarzów: to samo miał uczynić Cezar, gdy mu głowę Pompejuszową przyniesiono. Takowe płacze albo nieszczere, albo nierozsądne. W mocy było płaczących nie dawać sobie okazyi do żalu: a jeżeli czynili dla ostentacyi, grzészyli nieludzkością wedwójnasob.

C) Rozmowy zmarłych, Tom. VII. w Warszawie r. 1804.

1. Rozmowa między Kuryuszem*), konsulem rzymskim, a Apicyuszem**).

Apicyusz. Musiała osobliwego być smaku ta rzepa, którą przeniosłeś nad złoto, gdy ci je posłowie Samnitów ofiarowali?

Kuryusz. Dlaczego mnie o to pytasz?

Apicyusz. Boby się to zdało da mojéj księgi.

Kuryusz. Nie spodziéwałem się tego po twojéj spasłości i żywym rumieńcu, iżbyś się bawił uczoném rzemiosłem.

Apicyusz. Moja księga do tego służy.

---

*) M. Anniusz Kuryusz, z przydomku *Dentatus* (Zębaty), sławny wódz rzymski wielokrotnie otrzymał zwycięztwa. Gdy mu wojna z narodem Samnitów zlecona była, a wysłani od nich posłowie pieniędzmi i złotemi naczyniami przekupić go chcieli, przyjął ich, skrobiąc rzepę przed kominem; a gdy ztąd oznaczyli zadziwienie, rzekł: „Kto na rzepie przestaje, złota nie potrzebuje. Wiédzcie zaś o tém, iż wolę bogatym rozkazywać, niż być bogatym.

**) Apicyusz, sławny żarłok, niezmierny majątek stracił na biesiadach, i gdy mu jeszcze dość znaczne zbiory zostawały, mniemając jednak, iż następnym zbytkom niewystarczą, trucizną życia dokonał. Napisał księgę *De re culinaria.*

Kuryusz. To nowy rodzaj pisma być musi, bo choć i ja, i mnie podobni w piérwiastkach Rzymu nie zatrudnialiśmy się naukami, słyszałem jednak, iż one nie tuczą. Trafiło mi się widzieć niekiedy filozofów: pospolicie byli wybladli i chudzi.

Apicyusz. Bo albo nie chcieli, albo (co się najczęściéj filozofom trafia) nie mieli co jeść; jam sam zjadł może tyle, ile oni wszyscy.

Kuryusz. I książki piszesz?

Apicyusz. A właśnie mi rozdziału o r z e p i e brakuje.

Kuryusz. Jeźli tak jest, jak mówisz, wiédzże o tém, iż się nic nowego odemnie nie dowiesz; moja rzepa taką była, jaką jest, i jaką będzie, póki tylko jéj na świecie stanie.

Apicyusz. A dlaczegożeś ją nad złoto przeniósł?

Kuryusz. Dlatego, żem na rzepie przestał.

Apicyusz. Więc może rzepa była zwyczajna, ale ty wynalazłeś przyprawę, która ją uczyniła tak szacowną.

Kuryusz. Mój kochany, ja ciebie nie znam, i przyznam ci się, iż nie rozumiém, czego ty chcesz. Powiedziałem ci już, iż moja rzepa, taka była, jakie są wszystkie inne; powiadam ci teraz, iż nie miała żadnéj przyprawy. Położyłem ją w popiele żarzystym, żeby się upiekła, i właśniem ją wygarniał i strugał, kiedy mnie posłowie Samnitów zeszli.

Apicyusz. I ofiarowali ci złoto?

Kuryusz. Ofiarowali.

Apicyusz. I tyś go nie przyjął?

Kuryusz. Nie przyjąłem: a jakem im wówczas powiedział, żeby mi dali pokój, tak i tobie teraz toż samo powiadam.

Apicyusz. Więc sposób pieczenia dawał owéj rzepie smak nadzwyczajny?

Kuryusz. Co tobie do tego wiedzieć, jak ja rzepę piekłem. Ja ciebie o to nie pytam, jakeś ty sam jeden tyle mógł zjeść, ile wszyscy filozofowie, którzy tylko byli, są, a może którzy i potém będą.

Apicyusz. Jużem ci powiedział, piszę księgę.

Kuryusz. A mnie co do tego, że ty księgę piszesz?

Apicyusz. Że mi właśnie rozdziału o r z e p i e brakuje.

Kuryusz. Niech brakuje i o marchwi, mnie to bynajmniéj nie obchodzi.

Apicyusz. Więc nie jesteś przyjacielem ludzkości?

Kuryusz. Rzepa do tego nie należy.

Apicyusz. Należy i wielce, kiedy ja tobie powiém, o czém piszę.

Kuryusz. Mów co prędzéj, bo nie mam czasu.

Apicyusz. Piszę księgę znamienitą, kunsztowną i dowcipną.

Kuryusz. To nie dobrze, kiedy się kto sam chwali.

Apicyusz. Nie siebie ja chwalę, ale kunszt, o którym piszę.

Kuryusz. Jakiżto ten kunszt?

Apicyusz. Kuchenny; i o nim moja księga, któréj tytuł: *Claudii Apicii de re culinaria &c.* W téj księdze potrzebny rozdział o rzepie, na dopełnienie którego ciebie ja, jako tego, który najlepiéj o niéj sądzić może, wybrałem.

Kuryusz. Mości panie Klaudyuszu Apicyuszu, autorze księgi *De re culinaria!* Na to, czém mnie zagadłeś, tojest względem rzepnego rozdziału, tak odpowiadam, iż gdybyś był żył za moich czasów, a śmiał się takowemi baśniami zaprzątnąć i innych trudzić, skazanoby cię do kuchni obozowéj, żebyś lepszym od siebie rzepę strugał. To za przedmowę do twojéj księgi *De re culinaria* położywszy, do rozdziału mnie wyznaczonego, tak się przykładam. Rzepa Kuryusza droższą była nad złoto Samnitów; bo cnota Kuryuszowa nie była na przedaż: rzepa Kuryuszowa dlatego była smaczna, iż ją poprzedzała praca, a towarzyszyła jéj wstrzemięźliwość; tych dwóch przypraw do jadła kto używa, obéjdzie się bez księgi Apicyuszowéj *De re culinaria.*— Bądź zdrów, a jak staniesz przed Minosem, który cię ma sądzić, taj jak możesz rzemiosło twoje, żeby cię do kuchni Plutonowéj nie odesłał.

2. Rozmowa między Szwarcem*), wynalazcą prochu, a Faustem**), wynalazcą druku.

Faust. Jak ty się tu możesz mieścić? a gdyś już nie wiém jak zaszedł, jak śmiész usprawiedliwiać wynalazek, który cię najsroższym

---

*) Bertold Szwarc, zakonu Ś. Franciszka, rodem z miasta niemieckiego, Fryburga, czyniąc chemiczne doświadczenia, gdy tłukł w moździérzu salétrę, a ztąd ogień wybuchnął; doszedł sposobu robienia prochu. Piérwszy raz w wojnie był użytym od Wenecyanów w roku 1380.

**) Jan Faust, obywatel Moguncyi, wraz z towarzyszem swoim, Janem Gutenber-

i najniebezpieczniejszym winowajcą uczynił? Zbrodnia twoja wynalezienia prochu tyle klęsk narodowi ludzkiemu przyniosła, iż niemasz kary takowéj, na którąbyś nie zasłużył; i choć jéj za życia twojego nie odniosłeś, pewien jestem, iż sama postać nieszczęść, które przewidzieć musiałeś, najokropniejszą była dla ciebie męczarnią.

Szwarc. Na tak żwawe powstanie nim odpowiém, od tego zaczynam, iż chwalę żarliwość twoję; zbyt dobrze albowiem o tobie sądzę, iżbym mniemał, iż cię zazdrość unosi.

Faust. Mnie? Ten wyraz niby grzeczny źle pokrywa jadowitość twoję: wstydzić się jéj powinieneś tak, jak twojego niegodziwego wynalazku, zwłaszcza iż byłeś zakonnikiem.

Szwarc. Nic się przeciw zakonności nie działo, gdym czas, który mi zbywał od moich obowiązków, łożył na nauki i fizyczne doświadczenia.

Faust. Piękne doświadczenie, jak ludzi gubić!

Szwarc. O tém nie myślałem: znać z twoich wyrazów, iż fałszywe powieści dają ci pochop do chwalebnego wprawdzie z powodu, lecz zdrożnego dla nierozmyślności zapału twojego. Wiédźże o tém, iż mój wynalazek był skutkiem przypadku, iż zrobiwszy proch, nie myślałem o prochu, i tak dalekim byłem od przewidzenia, co ztąd wyniknąć miało, iż ledwom wynalazku mojego życiem nie przypłacił.

Faust. Zachowały cię przeciwne rodzajowi ludzkiemu losy: gdybyś był albowiem życie stracił, zginąłby wraz z tobą twój nieszczęsny wynalazek.

Szwarc. Nie po ludzku bronisz ludzkości, żarliwy jéj obrońco. Zdziwię cię może powieścią moją; przekonany jednak jestem u siebie, iż szkodowałaby raczéj na tém ludzkość, gdyby był mój wynalazek wraz zemną zginął.

Faust. Ciekawy jestem dowiedzieć się o téj tajemnicy, a raczéj słyszéć, jakich zażyjesz sposobów do usprawiedliwienia rzeczy, która z piérwszego zaraz wejrzenia tém, czém jest, to jest najszkaradniejsza się obwieszcza.

Szwarc. Nie rozumiéj, iżbym na usprawiedliwienie moje używał kunsztownych i dowcipnych wyrazów, na wzór owych pisarzów, którzy

---

giem, piérwsi księgi drukować zaczęli: liter jednak, służących do ułożenia drukarskiego, a przeto odlewanych lub rzniętych miał być wynalazcą Szeffer służący u Fausta.

muchy, osła, choroby i głupstwa*) pisali pochwały: żartem było ich przedsięwzięcie: ja z przekonania to, co o moim wynalazku sądzę, opowiém. Już wiész, iż był skutkiem przypadku: z jednego więc, jako i twój, źródła pochodzi.

Faust. Nie przyjmuję tego porównania: mój był skutkiem przemysłu i uwagi.

Szwarc. Naprzódby się i nad tém zastanowić należało, czy był twoim: wielorakie są o tém powieści.

Faust. Zazdrość je stworzyła, i rozniosła: lepiéjby było dla ciebie, gdyby twój wynalazek do ciebie nie należał. Ale znać, że zły, gdy się do niego nikt przyznać nie chciał.

Szwarc. Chińczykom go niektórzy przedemną jeszcze przypisują. Cokolwiek bądź, wracam się do mojéj powieści, którąś przerwał. Doświadczenia fizyczne zaprowadziły do poznania mocy prochu: użyli go potém do wojny, i wówczas, gdy się zupełnie jéj sposób odmienił, rozsławił się mój wynalazek, nie tak sprośny, obelżywy, bezbożny, jak go ty mienisz.

Faust. Więc chlubisz się z skutków jego.

Szwarc. Chluba poziomych umysłów jest właściwym przymiotem: nie chlubię się, ale ciebie z uprzedzenia wyprowadzić usiłuję.

Faust. Rzecz ciężką a prawie niepodobną przedsięwziąłeś.

Szwarc. Może uporu nie przeprę: jednak pozwól mi dokończyć, com zaczął.

Faust. Słucham ciekawie.

Szwarc. Mimo powszechne mniemanie, to, co się najwięcéj miało przyłożyć do straty ludzi, stało się poniekąd ich ocaleniem. Dawny sposób wojowania orężem nierównie więcéj ludzi tracił, i liczba zabitych i rannych w bitwach nierównie większa przedtém była, niż jest teraz. Przepatrz się w kronikarzach, znajdziesz jawne dowody, zwłaszcza gdy będziesz porównywał to, co nam świéższe historye o wojnach i bitwach w nich zdarzonych obwieszczają. Sposobu wojowania, który taktyką zowią, odmiana przez prochu użycie, zdarzyła to ulepszenie. W teraźniejszych nawet czasach z świadectwa powszechnego,

---

*) Erazm z Rotterdamu pisał pochwałę głupstwa: *Elogium moriae.* Dzieło to dowcipną jest satyrą.

wspartego doświadczeniem, takowe bitwy najsroższe, gdzie w zamięszaniu do oręża przychodzi.

Faust. Jednakże tak proch zabija, jak i żelazo.

Szwarc. Ale mniéj zabija od żelaza. Mniejsze złe lepsze jest od większego.

Faust. Aże mniejsze złe nie jest dobrém, nie masz się z czego wynosić.

Szwarc. Upokarzałbym się, gdybym wojnę wynalazł; ale ta wraz z ludźmi zeszła: zmniejszać jéj srogość dobrém jest dziełem.

Faust. Mów, co chcesz, najwięcéj dokażesz, gdy zmniejszysz odrazę. O chlubie nie myśl: dobrego dzieła sprawcom ona przystoi.

Szwarc. Własna nie przystoi nikomu, innym to zostawić należy.

Faust. Jakoż powszechnym okrzykiem uwielbiony zostałem, i dotąd jestem, żem wynalazkiem druku uwiecznił i to, co nam starożytność wiadomości podała, i co następnie ku oświéceniu, a zatém uszczęśliwieniu rodzaju ludzkiego służy.

Szwarc. Prawda, iż wiele dobrego wynalazkowi druku świat winien; ale pozwól, iż ci powiém, że i on gorszy czasem od prochu.

Faust. To powieść śmiała!

Szwarc. Niemniéj jednak prawdziwa. Nie rozszérzam się z dowodami na poparcie zdania mojego; dość to powiedzieć, iż jak ja złe zmniejszyłem, tyś dobro nadto rozpostarł: uwieczniając prawdy, toż samo nadałeś błędom, a w ówczas więcéj podobno złego narobił druk, niż wojna, zwłaszcza, iż on jéj po większéj części dotąd bywa i jest przyczyną.

D) Życia zacnych mężów na wzór Plutarcha, Tom X. w Warszawie r. 1804.

1. Tytus.

Wytrzymawszy Rzym dość długą niewolę, piérwszy raz pod Wespazyanem odetchnął. Tego synem był Tytus, i co się prawie niepodobieństwem zdawało, przeszedł ojca w dobroci. Pisze Swetoniusz, iż jeszcze za czasów jego ukazywano nie daleko miasta Ryety, w kraju niegdy Sabinów dom, w którym się urodził: bez żadnych zwiérzchnich ozdób, oznaczał mierność naówczas majątku ojca jego; że go zaś i

w najwyższéj władzy ani Wespazyan, ani Tytus nie powiększyli, szacowną zostawili pamięć cnotliwéj skromności swojéj.

Przepędziwszy wiek młody w żołniérskiéj służbie Wespazyan, w domu potém spokojnie życie prowadził. Że zaś starszy brat jego, Sabinus, udawszy się do Rzymu, dostąpił najwyższych godności, wzbudziło to i w Wespazyanie chęć opuszczenia ojcowskiego siedliska, a bardziéj jeszcze namowa matki, która mu nieczułość jego wymawiając, stawiała przed oczy wzniesienie starszego brata. Dostąpił więc urzędu edyla, daléj pretora za czasów Nerona: że zaś temu dla obyczajów cnotliwych i skromnych nie był miłym, a ztąd najbardziéj, iż na wzór innych nie był podłym uwielbiaczem spraw jego, oddalony ode dworu, wrócił się do téj, któréj jedynie pragnął, spokojności wiejskiego życia. Przez lat kilka cieszył się nią, i gdy mniemał, iż był zupełnie zapomnianym, odebrał rozkaz stawienia się na czele wojska ku poskromieniu buntu, który właśnie w owym czasie naród żydowski wszczął był, powstając przeciw Rzymianom.

Powierzone mu zatém były rządy Syryi, gdzie tak się sprawił, iż wielokrotnie zwyciężywszy zbuntowanych, zbliżał się ku saméj stolicy, gdy go wiadomość doszła o śmierci gwałtownéj Nerona, wyniesieniu Galby. Posłał natychmiast do niego Tytusa, mającego naówczas lat dwadzieścia i ośm. Aże sława tego młodego rycerza już się była wówczas rozniosła nie tylko z czynów walecznych, ale z przymiotów niepospolitych, dobroci serca i ludzkości ujmującéj każdego; mniemali wszyscy, iż go Galba przyzywał, i w wieku podeszłym będąc, chciał go po sobie wyznaczyć następcą. Mimo pospiech podróży wykonać jéj zamiaru Tytusowi nie przyszło; w Koryncie albowiem dowiedział się o jego śmierci, o wzniesieniu Ottona, i powstaniu przeciw niemu Witelliusza. Zatrzymał się więc nieco, i po naradzeniu się z towarzyszami podróży, nie zdało się narażać na oczywiste niebezpieczeństwo, zwłaszcza iż obiedwie strony, obawiając się przemocy Wespazyana, mającego po sobie azyatyckie wojska, skoroby którakolwiek z nich dostać go mogła, trzymałaby u siebie jak rękojmią. Przyczyniła się do powrotu pochlebna nadzieja najwyższéj władzy, którą tém łatwiéj (co się i stało) osiąść miał Wespazyan, ileże zachodnia część państwa Rzymskiego, rozdwojona między Ottonem a Witelliuszem, słaby tylko mogła dać odpór.

Powrócił więc do ojca, i zastał go sprzeciwiającego się dotąd żądaniom powszechnym, nie żeby odrzucał, co mu los zdarzał, ale jako mąż roztropny, a z laty wielkiego doświadczenia, wolał rzecz zwlekać, i zapewnić się wprzód o skutku, niż stać się ofiarą niewczesnéj porywczości. Rozsiane proroctwa, czyli z umysłu, czyli też ze zwyczajnéj, jak to bywa w takowych okolicznościach, pospólstwa niespokojnéj ciekawości, utwierdziły umysły w zdaniu, iż jak pod Wespazyanem pomyślnych dla siebie spodziéwali się czasów, tak właśnie on był, którego nieba do rządów państwa Rzymskiego usposobiły i wiodły. Sam Tytus, radząc się wieszczb w *Paphos*, pomyślną dla ojca zyskał odpowiedź: a jak twierdzi Dyon, nic lepiéj wróżek nie usprawiedliwiło, jak skutek następny, którego i bez wróżek spodziéwać się można było.

Za piérwszą jeszcze wieścią po śmierci Nerona zniósł się był Wespazyan z Mucyanem, wodzem wojska, i rządcą krajów dalszéj Syryi; i za wspólném naradzeniem uznali Galbę za następcę po jego śmierci. Skoro Tytus powrócił, postanowili czekać, jaki będzie skutek wszczętéj między Ottonem a Witelliuszem wojny: ale gdy w bitwie pod Bedryakiem przemógł Witelliusz, a śmierć Ottona nastąpiła, lubo nie przestawał wstrętu okazywać Wespazyan, dał się jednak ująć naleganiom Mucyana, i powszechnemu wojsk zdaniu. Z odrazą tedy, czyli jéj udaniem najwyższą godność w Alexandryi przyjął.

Nie długo tam bawiąc, przybył do Antyochii, gdzie między innemi rozrządzeniami dokonanie zaczętéj w Judei wojny Tytusowi polecił. Odprowadził ten powracającego ojca do Alexandryi: i gdy z Rzymu przyszły wiadomości o złych postępkach Domicyana, który wzniesieniem domu ośmielony rozmaite nieprzyzwoitości popełniając, już zaczynał okazywać, czém miał być potém; błagał zagniewanego ojca Tytus, lubo sam nie miał przyczyny być dogodnym tak odrodnemu bratu. Wespazyan więc dowiedziawszy się, iż w jednym dniu prowincyj dwudziestu rządców z własnego domysłu oznaczył, skazał do niego, iż czeka na to, póki i jemu następcy nie wyznaczy. Jakoż od tego czasu tak sobie Domicyana ohydził, iż póki żył, żadnego nie tylko dowodu przywiązania, ale nawet względów od niego nie doznał. Przeciwnym sposobem Tytusa nie tylko dla cnót i powolności jego kochał, ale znając jego zdolność i przymioty, tak dalece poważał, iż go prawie wspólnikiem władzy swojéj uczynił. Znać to było z wyznaczenia

konsulatów, której godności siedm razy mianował go współtowarzyszem. Tryumf po zburzeniu Jerozolimy wspólnie z nim odprawił.

Széroce przez Józefa opisana jest wojna Rzymian z narodem żydowskim, wszczęta przez Wespazyana, dokonana wzięciem i zburzeniem Jerozolimy przez Tytusa. Udał on się tam po wyjeździe ojcowskim, i ponieważ cały już kraj oprócz stołecznego miasta był w ręku rzymskich, sposobiąc się ku oblężeniu, wszystkie do tego potrzebne przygotowania czynić zaczął. Jakoż nader ciężkie było zdobycie obwarowanego z wszech stron i napełnionego ludem miasta. W samych początkach oblężenia odpór tak był żwawy, iż wielokrotnie z znaczną stratą Rzymianie wracać musieli, i kto wié, czyliby Tytus mimo przemoc swoję odstąpić nie był przymuszony, gdyby mnóstwo niezmierne ludu tam zewsząd zgromadzonego nie sprawiło głodu, a wewnętrzna niezgoda mieszkańców nie przysporzyła ostatniego upadku.

Gdy już po zdobytych niektórych twierdzach większa nierównie połowa miasta była w ręku zwycięzców, słał Tytus poselstwa do pozostałych w okolicach kościoła i wyższéj części miasta obywatelów, nakłaniając ich ku dobrowolnemu poddaniu się, zaręczając ocalenie reszty, a mianowicie świątnicy, w owym czasie jeszcze wspaniałością i bogactwy znamienitéj. Ale gdy te względne oświadczenia ze wzgardą odrzuconemi zostały, przymuszony do przypuszczenia szturmu, mimo najżwawszy odpór, z wielką swoich, lecz nierównie większą oblężonych stratą, ostatnie te Jerozolimy twierdze mocą posiadł: i lubo jak najsurowiéj przykazał, iżby kościoł był oszczędzony, w zgiełku i wrzawie zajadłość żołniérzy wstrzymana być nie mogła, i ów gmach, wiekami trwały, spłonął. Zdobycz zwycięzców była niezmierna, jeńców zaś tak wielka liczba, iż ich na wzór bydła zabezcen przedawano. Oglądając pozostałe twierdz i gmachów wspaniałe ostatki, a dziwiąc się wzniosłości i gruntowności murów, rzekł: „Bożemu jedynie wyrokowi nad tém nieszczęśliwém miastem winniśmy zwycięztwo: nie my, ale bóg na ten naród zagniewany wziął mu te twierdze, którychby ani ręka, ani przemysł ludzki zdobyć był nie mógł.“ Józef w opisach téj ostatniéj klęski narodu swojego twierdzi, iż tak w wojnie, jak w oblężeniu po ścisłém obrachowaniu poległo współobywatelów jego milion trzykroć trzydzieści siedm tysięcy cztérysta dziewięćdziesiąt.

Bawił jeszcze czas niejaki po zdobyciu Jerozolimy w krajach wschodnich, i uczyniwszy takie, jakiego potrzebowały, urządzenia, udał

się do Egiptu; ale i tam nie długo bawiąc, wrócił się do Rzymu, gdzie wraz z ojcem tryumf odprawił. Jest dotąd jego pamiątka w bramie, umyślnie naówczas postawionéj, gdzie jeszcze wydają się łupy ze świątnicy jerozolimskiéj, stół złoty, na którym chleby stawiano, i lichtarz o siedmiu gałęziach. Wielu z niewolników zyskało za wstawieniem się Tytusa wolność: rozproszonym po całém państwie Żydom bezpieczeństwo życia i majątku obwarowano. Żeby nie zostało żadnego znaku dawnego przybytku, i te reszty, które pozostały, zburzyć i rozebrać nakazano; kościoł nawet, który był przeciw prawu narodu Oniasz w Alexandryi wystawił, zniszczony został, iżby miejsca zgromadzania się ku odprawowaniu obrządków i ofiar naród ten nie miał.

Już się wyżéj namieniło, w jakiém poważaniu był u ojca swojego Tytus. Przypuszczony do najtajemniejszych obrad, najcelniejsze urzędy piastował, a nawet prefekta pretoryi, który stopień, zrazu wojskowy, stał się zczasem piérwszéj władzy panującego namiestnikiem. Im zaś większą pociechę i wsparcie miał z niego Wespazyan, tém dotkliwsze umartwienie od młodszego, Domicyana. Syn ten wyroduy ustawicznie czuwał na to, iżby posiadł najwyższą władzę; ale miłość powszechna najlepszą była strażą Wespazyana i Tyta; a ten lubo był przekonanym o niegodziwych jego zamysłach, taił je i ukrywał, jak mógł, przed ojcem, najłagodniejszemi zaś sposoby starał się zmiękczyć nieczuły brata umysł. Nadaremne były usiłowania jego, i owszem im więcéj doznawał względów, tém bardziéj utwierdzał się w niegodziwych zamysłach swoich. Przyszedł nakoniec kres życia Wespazyana. Cnotliwy starzec z powszechnym narodu całego żalem w siedmdziesiątym roku wieku swego dokonał, a na jego miejsce mimo najusilniejsze starania młodszego, starszy Tytus zgodnemi głosy senatu i ludu władzę najwyższą osiągnął. Chciał Domicyan, nie mogąc już brata oddalić, być przynajmniéj władzy najwyższéj wspólnikiem, ale i tego dokazać nie zdołał.

Najwyższéj władzy osiągnienie częstokroć bywało przyczyną skażenia i najcnotliwszych ludzi. Wolność czynienia i sposobność ku dogodzeniu wszystkim zamysłom zbyt niebezpiecznemi pospolicie bywają ponętami, którym kto się mężnie a statecznie oprzéć zdoła, trudne nader, ale najchwalebniejsze nad sobą samym otrzymuje zwycięztwo. Wykonał to Tytus po śmierci ojca, a co najdziwniejsza, iż gdy wśród chwalebnych działań jego wkradły się były dość znaczne zdrożności,

tak je wszystkie, osiągłszy jedynowładztwo, umorzył i wykorzenił, iż i śladu ich w przeciągu jego panowania nikt postrzédz nie mógł. Sprawiedliwie zatém powszechnym a trwałym odgłosem, rozkoszą i ozdobą rodzaju ludzkiego mianowanym został, i dotąd się tém chwalebném znamieniem szacowna wiekom pamięć jego zaszczyca.

Odziedziczył był z ojca mniéj przystojną chciwość zbioru, i powszechny był odgłos, iż nie tylko zarobków jego bywał uczestnikiem, ale nadarzał częstokroć ku ich pozyskaniu sposobność. Obawiano się zatém, iżby się takowa przywara bardziéj jeszcze po osiągnieniu najwyższéj władzy nie wydała; ale okazał na piérwszym wstępie, jak się z niéj wyzuł, uwalniając wszystkich obywatelów od zwyczajnéj opłaty przy zaczęciu każdego panowania.

Gdy brał urząd najwyższego kapłaństwa, ztém się oświadczył, iż chcąc czyste ku bożéj ofierze zachować ręce, krwią żadnego obywatela nie zmaże: i dochował przyrzeczenia w ciągu panowania swojego. Gdy wkrótce potém dowiedział się, iż dwaj znamienici obywatele czyhali na jego życie, kazał ich do siebie przywołać, i przełożywszy szkaradność zamysłu, zapewnił o życiu, z tym dodatkiem, iż takowe żądanie imże samym byłoby szkodliwe, gdyby go do skutku przywiedli, w innych zaś, byleby godziwe były, gotów im dogodzić. Aże jednego z nich matka nie była naówczas przytomna w Rzymie, do tego stopnia rozciągnął dobroć swoję, iż bojąc się, aby odkrycie zamysłów syna nie przywiodło ją do zbyt dotkliwego uczucia, jak najspieszniéj słał do niéj gońca, donosząc o tém, co się stało, i zapewniając, iż nie tylko życia nie utraci syn jéj, ale żadnéj kary nie odbierze.

Tyle okazanych względów dla brata za życia ojcowskiego nie zyskały mu jego serca: wzniesienie Tyta poczytując sobie za krzywdę Domicyan, jeszcze bardziéj go znienawidził, i szukał tylko sposobów, iżby zemście swojéj dogodził. Przyszła ona do tego stopnia, iż wzbudzał otwarcie wojsko do buntu; ażeby się zaś stawił na czele rokoszanów, największa była jego usilność, iżby się mógł z Rzymu oddalić. Wiedział o wszystkich jego zamysłach i spiskach przeciw sobie Tytus, i choć oczywiste miał dowody zdrady jego, nie mógł jednak tego na sobie przewieść, iżby mu jakimkolwiek sposobem odrazę jakową oznaczył.

Pozór dobra publicznego i bezpieczeństwa namnożył był wielką liczbę szpiegów i oskarzycielów, którzy albo chcąc się podobać mo-

narsze, albo zemścić nad nieprzyjaciołmi, oczerniali obywatelów doniesieniami tajemnemi, i częstokroć bywali przyczyną ich zguby. Brzydził się tak podłym ludzi rodzajem Tytus, i przystępu im do siebie zabronił. Tak zaś o tém zwykł był mawiać: „Albo rzecz do mnie się ściąga, albo do moich poprzedników. Jeżeli do mnie, niczego się nie boję, bo staram się czynić zadosyć powinności mojéj: poprzednicy zaś, jeżeli są, jak wieść niesie, uczestnikami bóstwa, mają moc większą jeszcze, niżeli ja, mścić się krzywdy swojéj.“ Nie dość jeczcze na tém mając, iż im przystępu nie dał, kazał dochodzić prawnie wszystkich zbrodni, których się dopuścili: mniéj winnych z Rzymu wypędzić kazał, tych zaś, którzy na większą karę zasłużyli, wśród igrzysk chłostać, i albo jak niewolniki przedawać, albo na dzikich wyspach osadzać.

Chęć dobrze czynienia była niekiedy przyczyną, iż gdy nie mógł zadość uczynić żądaniu proszącego, cieszył go obietnicą, wczém gdy go ostrzégali namiestnicy, iż więcéj obiecywał, niżeli uiścić mógł, rzekł: „Może się i to zdarzyć, ale jak ma odéjść stroskanym ten, kto do mnie przychodzi?“ Ztąd poszły owe wiekom pamiętne słowa, gdy sobie w poźną noc wśród poufałych przy wieczerzy przypomniał, iż nikogo od poranku nie uszczęśliwił, rzekł: „Przyjaciele! dzień straciłem.“ —

Za życia ojca że zbyt sobie niekiedy pozwalał w igraszkach i ucztach, obchodziło to Rzymiany, zwłaszcza iż Wespazyan wielce był skromnym, a nawet miarę wstrzemięźliwości przebiérając, zdał się to bardziéj czynić ze zbytniéj oszczędności, niżeli z innego powodu. I w tém odmienił sposób dawny postępowania Tytus. Nie przestał wprawdzie dawać biesiad, ale te nie z przesady zbytku, ale z wyboru stołowników miały swoję zaletę. W słodkich, czułych i uczonych rozmowach był spoczynek po dziennéj pracy z przyjaciołmi swymi miał ich albowiem, choć był monarchą, co się rzadko zdarza; ale téż godzien mieć przyjacioły, bo umiał dobiérać podobnych sobie.

Odmiana zupełna sposobu działania w Tytusie powszechne sprawiła zadziwienie: czyniła go zaś tém szacowniejszym w oczach poddanych, iż i przedtém będąc powszechnie kochanym dla łagodności swojéj i wielkich przymiotów, tém bardziéj jeszcze zasługiwał sobie na miłość, im surowiéj uskramiał i wykorzeniał przeszłe zdrożności swoje. Dał to poznać razu jednego, odmawiając uczynić, o co był proszony: gdy albowiem proszący przypomniał mu, iż w témże samém żądaniu

przyczyniał się za nim do ojca, tak mu na to odpowiedział: „Jaka jest różnica między tym, co żąda, a tym, co żądaniu zadosyć uczyni, takaż sama znajduje się między tym, co za żądającym prosi, a potém jak sędzia nad prośbą się zastanawia.“ —

Używał Rzym pożądanych czasów pod nowém panowaniem, gdy klęska z wybuchnienia straszliwego Wezuwiuszowéj góry napełniła nieszczęściem kraje okoliczne. Góra owa nagle rozgorzała, a płomienie na wzór strumieni płynące, pożarły miasta *Herculanum*, *Stobeji* i *Pompeji*. Co ocalało od ognia, przysypane zostało popiołem, i ledwo znaki zostały rozkosznych okolic Neapolu. Odkryte przypadkiem reszty tych miast zawalonych dają poznać niezmierność klęski. Ta zwiększyła się stratą zbyt ciekawego Pliniusza, gdy się umyślnie wyprawiwszy z portu Mizeny, chciał zblizka przypatrzyć się owym wyrzutom. Do samego Rzymu leciały uniesione wiatrami popioły.

Wszystkich, na które tylko zdobyć się było można sposobów, użył nieodwłocznie Tytus na wspomożenie obywatelów, naprawę budynków i dróg publicznych. Otworzono powszechne szpichlérze ku wyżywieniu pospólstwa, i rozdawano z rozkazu jego wszystkim, którzy tylko szkodowali to, czego tylko potrzebować mogli. Nastąpiło wkrótce powietrze nagłe, zaraźliwe, i w téj okoliczności nie ubliżył starania, sam się narażając na wszystkie niebezpieczeństwa: i tak była szczęśliwa usilność jego, iż nie długo zaraza trwała. Jakby się wysiliła moc nieszczęścia, wszczęty pożar i trwający przez trzy dni wielką część Rzymu pochłonął. Natychmiast publicznym wyrokiem ogłosił, iż całą szkodę i wszystkie straty na siebie bierze. Nie było to próżne oświadczenie, i pozór zwierzchniéj czułości monarchy. Co obiecał, skutkiem uiścił, i byłby zupełnie wszystkie szkody nagrodził, gdyby śmierć przedwczesna wkrótce z dotkliwéj czułości nad nędzą ludzi nie nastąpiła.

Chcąc i sobie i swoim osłodzić tak przykrą porę, sprawił wielce wspaniałe igrzyska, i lubo się przymuszał do okazania wesołości, znać jednak było przemagający żal i wewnętrzną boleść jego: postrzeżono nawet, iż od łez niekiedy wstrzymać się nie mógł. Gdy się igrzyska skończyły, a słabiéć począł, nieść się kazał do ojczystego domu niedaleko Ryety: tam, jak wieść niosła, brat własny Domicyan trucizną przyspieszył zejście jego. Z płaczem powszechnym przyjmował lud rzymski niesione do grobu ojca zwłoki jego, jakby przeczuwał po

tak słodkiém panowaniu, co miał pod następcą jego ponosić. We cztérdziestym piérwszym roku dokonał życia: panował lat dwa, miesięcy dwa i dni dwadzieścia.

2. Porównanie Konstantyna z Karolem Wielkim.

Prawem następstwa Konstantyn po ojcu, Konstancyuszu Chlorze, Karol po Pipinie, objęli najwyższą władzę; a ci, po których ją objęli, przymiotom i czynom dzielnym winni byli stopień wywyższenia swojego. W równym prawie wieku objęli rządy, i zaczęli je od wojownictwa, Konstanty z Maxencyuszem, po którym Rzym zyskał, Karol z Dezyderyuszem, któremu i wolność i zadziedziczałe w jego rodzie królestwo Lombardyi odebrał. I w tém ich zdarzenie podobnymi uczyniło, iż teściom swoim, Konstantyn Maxyminowi życie, Karol Dezyderyuszowi, rozwiódłszy się z córką jego, panowanie odjął.

Konstantyn wiarę chrześciańską przyjąwszy, ustawy jéj i obrządki rozszérzał i wzmagał; Sylwestra papiéża czcił; kościoł w powszechności rzymski szczególnemi przewilejami zmógł, dostatkami ubogacił. Szczodrobliwszym jeszcze w téj mierze był Karol, gdy wstępując w ślady ojca swego, dary jego nie tylko ztwierdził, ale i powiększył.

Do dzieł wojennych z piérwszych lat życia swojego sposobionymi byli: Konstantyn przy Dyoklecyanie, Karol pod ojcem, najznamienitszym wojownikiem. Dawali dowody w przeciągu panowania waleczności osobistéj, i sposobności do rządów wojska, wielokrotnie zwyciężając postronne narody. Karola jednak wyprawy przewyższają Konstantynowe, gdy ustawiczne wojny prowadząc, państwo swoje wtrójnasob powiększył, i sam przez się był sprawcą przemocy swojéj. Życie wstrzemięźliwe, ustawiczna praca, pilność nie znająca spoczynku, przywiodła go do piérwszeństwa nie tylko panowania, ale i sławy: a co go najbardziéj zaleca, iż strasznym będąc nieprzyjaciołom, wraz z uszanowaniem miłość u swoich zyskał. Nie można téj pochwały przywłaszczyć Konstantynowi, walecznemu wprawdzie i czynnemu w piérwiastkach swoich, ale nie dotrzymującemu do końca, co był z zaletą i sławą swoją zaczął.

Szczególne domowe zdarzenia uczyniły dość znaczne między nimi podobieństwo. Zbyt wielkie pobłażanie Fastradzie przyczyną było

powstania Pipina przeciw ojcu, i jeżeli nie odjęcia mu życia, to niewoli i postradania następstwa: Faustyna przyczyną stała się śmierci Kryspa. Błąd jednak swój Konstantyn, skazując na śmierć syna i żonę, okrucieństwem swojém powiększył.

Konstanty drugą stolicę, miasto od imienia swojego założył: Karol równie w zbudowanym od siebie Akwisgranie najczęściéj przemieszkiwał, i tam życia dokonał. Cel Karola w obraniu mieszkania był zdatny: nie oddalając się albowiem od świeżo podbitych narodów, miał sposobność mieć oko na dawne poddane swoje. Taż sama skromność, która jego dziełom towarzyszyła, wydała się w budowli Akwisgranu. Nienawiść przeciw Rzymianom pobudką była Konstantynowi do założenia nowéj, od imienia własnego mianowanéj stolicy. Lepiéj jeszcze miejsce od Karola Konstantyn wybrał, ale go w skromności nie naśladował: chcąc bowiem swoje dzieło wznieść nad Rzym dawny, i zamysłu nie uskutecznił, i wydatkami niezmiernemi poddanych uciemiężył.

Większą miał sposobność do nauk Konstantyn, niżeli Karol: jednakże od jego czasów upadek nie tylko nauk, ale i kunsztów najbardziéj dał się uczuć. Lubo i w nowozałożonem mieście i szkoły, i publiczne księgarnie założył, budowaniem zaś nie tylko Konstantynopola, ale i miast innych ustawicznie się zatrudniał; kunszt budowli, rzeźby i malowania tamtych wieków początki skażenia oznacza. W wojennym narodzie, wśród dzikości urodzony i wychowany Karol, sam z siebie zyskał wiadomość rzeczy lubo mierną, znaczną jednak i osobliwą w zaczynającym. Zgromadzał do siebie uczonych, szkoły wznawiał, i jak się z pozostałego dotąd akwisgrańskiego kościoła okazuje, kunszt w nim architektury przechodzi następne budowle.

Zbłądzili równie w podziale państw swoich. Lubo dział Karola dla śmierci zeszłych synów skutku nie wziął, ziścił się pod Ludwikiem na wnukach, a równie jak w następcach Konstantyna, tak i Karola był przyczyną upadku państw, które po sobie zostawili.

E) Pan Podstoli. Tom IV. w Warszawie r. 1803.

Nie często odwiédzał pana podstolego ks. pleban, zatrudniony obowiązkami urzędu swojego, już téż i laty, a bardziéj pracą zwątlony: kiedy do dworu przychodził, starałem się ile możności z rozmów

jego korzystać. Gdy więc dnia jednego pan podstoli pocztą zabawiony, do siebie odszedł, poszliśmy z ks. plebanem do ogrodu, i gdy przyszła wzmianka o wizycie modnéj pani, ks. pleban rzekł: „Smutnyto jest wielce widok, zapatrywać się na to, jak coraz bardziéj pobożność słabieje, i przepisy religii są zaniedbane. W zakątkach wiejskich jeszcze jad niezbożności zarazy swojéj nie wywiéra; ale, jak słyszę, w miastach celniejszych, w familiach zacnych młodzież niby-to polerowana a niebaczna, talentów danych sobie od Pana Boga na złe używa. Dobry jest i zdatny niekiedy zwyczaj, szukać za granicą poloru, ale nie na tém polor zawisł, żeby cnotę i religią tracić. Nie tak więc na podróże zagraniczne narzékać trzeba, jak na ich złe użycie. Wysilają się rodzice na koszt częstokroć uciążliwy w pomiernym majątku, gdy dziatki swoje do cudzych krajów wyprawują; odejmują sobie samym, żeby dogodzić chęci wydoskonalenia potomstwa swego.“

„Po kilkoletném a bardzo kosztownėm pielgrzymowaniu rzadki dom, któryby się z powrotu zbyt kosztownego pielgrzyma ucieszył. Poprzedzają peregrynanta listy dłużników, a opłaciwszy sowicie podróż, zmartwieni rodzice tę tylko korzyść odnoszą z przybyłego w dom swój gościa, iż krajem swoim gardzi, im poszanowania winnego nie oddaje, a zamiast poczciwych maxym i sentymentów, w których był wychowany, nowe jakieś przeciwne zdania obwieszcza. Co miał dobrego w ojczyźnie, zapomniał i porzucił, co najgorszego za granicą znaleźć mógł, przyniósł. Chce udawać Francuza przez lekkomyślność, Anglika przez dziwactwo, Włocha przez wykręt, nie pomniąc na to, iż nie w złém, ale w tém, co dobre i uczciwe, naśladować innych potrzeba. Trzpiotostwa wstydzi się Francuz doskonały, gardzi dziwactwem roztropny Anglik, kocha rzetelność uczciwy Włoch. Do takich się udawać peregrynanci nasi powinni. Nie na komedyą posyłają ich do Paryża, nie na biegi końskie do Londynu, nie na intrygi do Włoch. Widząc złe gdzieindziéj, niech się uczą z tego widoku poznać, jak zdrożności strzédz się należy, a niech usilność na to jedynie obrócą, jak postronnych w dobrém naśladować.“

„Niedawnemi czasy“ mówił daléj ks. pleban „widziałem u pana podstolego świéżo przybyłego z cudzych krajów młodzieńca, którego rodzice o mil kilka ztąd mieszkają. Powóz wcale inszy, jak nasze, stangret wcale ani po naszemu, ani po niemiecku, służący ustrojeni po

dziwackiemu: on sam jakowąś osobliwszą postać na siebie przywdział. Żem wieśniak, przypisywałem zadziwienie moje z tego widoku zwyczajnéj nam niewiadomości, udałem się więc do mego kollatora, pana podstolego, i znalazłem go równie zadziwionego, choć to on nie raz i w Warszawie bywał. Chcąc się o sposobie myślenia owego panicza dowiedzieć, pan podstoli wstęp zaczął rozmowy od pytania, jakie daje zdanie w szczególności, i ogólnie o tém, co widział w peregrynacyi swojéj, i dowiedzieliśmy się z odpowiedzi przeplatanéj francuzczyzną (bo, jak twierdził, rzecz była niepodobna językiem polskim niektóre rzeczy wyrażać), iż te tylko chwile mianował życiem, które za granicą a osobliwie w Paryżu przepędził. Nie pamiętam, co on nam daléj bajał, to wiém, iż się rzecz jedna drugiéj nie trzymała, iż powziął ton decydujący, jakby na trybunale siedział, terminów uczonych zażywał, a znać było z aplikacyi onych do dyskursu, iż sam nie wiedział, co one znaczyły, na nasze zagadnienia i odpowiedzi albo śmiechem, albo podniesieniem ramion odpowiedział, a gdy nakoniec zaczął ziewać, wstaliśmy od stołu. Powrócił, słyszę, mimo wolą rodziców do cudzych krajów, i siedzi w Paryżu uwięziony za długi. Słyszałem, że nasi peregrynanci często takowe miejsca odwiedzają."

F) Wojna chocimska (Tom I. w Warszawie r. 1803).

a) Pieśń (I.).

Osman przedsiębierze wykorzenić chrześciaństwo. Duch zły w postaci Mahometa zapala go do tego. Skinder wnosi na radzie, aby miecz obrócić na Polskę. Zgromadzają się liczne wojska za rozkazem Osmana.

Już się był mieczem zwycięzkim zbyt wsławił
Naród, na zemstę od Boga zesłany;
Już w krwi niewinnéj od wieków się pławił;
Jednak w zapędzie nieuhamowany,
Niesyt, że tyle dzieł okrutnych sprawił,
Dumny potęgą, i sławą zagrzany,
Groził i reszcie, a srogim bułatem
Chciał przelęknionym zawiadować światem.

Na państwa Greków wspaniałych ruinach
Tron swój postawił bisurman zuchwały;
Rozciągnął władzę po wielu krainach,
Mnogie królestwa jemu hołdowały:
Miasta i grody zagrzebał w perzynach;
Na hasło jego narody zadrżały,
Zadrżały państwa trwożnemi odgłosy,
Kiedy się wzmagał na śmiertelne ciosy.

Miasta Pańskiego padły świetne mury,
Córki Syonu jęczały od wieka;
Gmachy wybornéj upadły struktury,
A które wielbił przychodzień zdaleka,
Opustoszałe miejsca świętéj góry,
I grób, co chował Boga i człowieka,
I gdzie zbawienia dzieło rozpoczęte,
Sprośny pohaniec deptał miejsca święte.

Osman waleczny nad nimi panował,
Osman, co państwa granic rozprzestrzenił,
W ślady ubite swych ojców wstępował,
I do dzieł wielkich nigdy się nie lenił:
Żeby ich jednak lepiéj naśladował,
Pragnął, ażeby wiernych wykorzenił.
Bezbożny! mniemał że to ludzka siła
Zniesie, co Boska ręka uczyniła.

W tych był zamysłach, a duchy piekielne
Coraz gorącéj chciwe żądze pasły;
Snują mu w oczach laury nieśmiertelne,
I uszy pieszczą zwycięzkiemi hasły:
Mienią płacz nędznych w okrzyki weselne,
A w sercu niecą ogień niewygasły.
Tymto pozorem szczęśliwi i zręczni,
Gubią narody zbójcy stutysięczni.

Nie zna spokojność gmachów okazałych,
Częściéj sen smaczny w lepiankach się mieści,

Ucieka z tłoku projektów wspaniałych,
Rzuca monarchów, z rolniki się pieści;
Nie może zamknąć powiek ociężałych.
Osman, chociaż się w miękkiém łożu mieści:
Już nad świtaniem blask jutrzenki gasnął,
Kiedy ztrudzony mdłym snem ledwo zasnął.

Ten, co fałsz sieje i nieprawość miota,
Duch odrzucony od stwórcy oblicza,
Staje przy łożu, gdzie kotara złota
Skłniła, danina Indów hołdownicza,
Zmyśla postawę, a tajemna cnota
Głos mu człowieczy i członki użycza:
Wziął Mahometa podobieństwo na się,
I tak do tego, co spi, odzywa się:

„Nie czas, o synu! na miękkiéj pościeli
Wygody szukać i rozkosz używać!
Już świetna zorza poranek weseli,
Już gwiazdy zgasły, już się pokazywać
Zaczyna słońce: czas, by cię widzieli
Ci, którym dzielnie zwykłeś rozkazywać.
Wstań, i daj przykład obudzony wcześnie,
Że nie gnuśniejesz zatopiony we śnie!“

„Wstań, a bądź takim, jakim bydź przystoi
Temu, kto rządzi zwycięzkim narodem!
Bo nie do piérza przywykł, lecz do zbroi,
I słońce czuły uprzedza przed wschodem;
Już cię na placu oczekują twoi,
Ukaż się, i bądź do tego powodem,
Ażeby mężność, co twój naród wzniosła,
Wzmogła się jeszcze i bardziéj urosła.“

„Masz pole do niéj otwarte przed tobą,
Sława, cel wielkim duszom pożądany
Niechaj cię wzbudzi; sam twoją osobą
Staw się na czele wojsk, zgnęb chrześciany!

Niech się ich ziemia okryje żałobą,
A krwią niewiernych miecz zafarbowany
Niech czyni twoim wdzięczne widowiska
Miecz ottomański, co się na śmierć błyska.“

Jak żubr ogromny, co w pieczar zaciszy
Mocnym snem zdjęty, na miękkim mchu leży,
Kiedy głos trąby myśliwskiéj usłyszy,
Powstaje z rykiem, grzywa mu się jeży,
Pryska zajadły, i okropnie dyszy,
A próżen strachu oślep w odgłos bieży;
Takim się z łoża porwał Osman skokiem,
Wskróś przerażony prorockim widokiem.

Wznoszą się zewsząd natychmiast okrzyki
Za rozgłoszonym tyrana rozkazem;
Bojów okrutnych srogie poprzedniki, —
Błyszczą zbrojownie hartownym żelazem:
Idą na pałac piérwsze urzędniki,
I wodze wojska zawołani razem:
Na dzielną rzeszę dumném okiem z góry
Rzucał niekiedy monarcha ponury.

Zasiadł na czele górnego dywanu,
I żądze dumne natychmiast ogłosił:
Rzesza pochlebna uniża się panu,
Wielbi fatygi, które dla nich znosił.
Rzekł z nich najpiérwszy: „Twierdzo alkoranu!
„Skoro zwycięzki miecz będziesz podnosił,
Zgnębisz niewiernych, a we mgnieniu oka
Pozna świat prawo wielkiego proroka.“

Tak jak się wszczęło, wspiéraj go orężem,
Rozpostrzéj święte po świecie ustawy:
W jarzmo poddaństwa nieposłusznych wprzężem,
Posłuszni wyrok niech mają łaskawy:
Najdalszych krain zwycięzko dosiężem
Pod hasłem dzielném téj świętéj wyprawy,

A Rzym, co niegdyś piérwszeństwa tytułem
Dumnie się chełpił, padnie przed Stambułem."

Między piérwszymi siedział w owém gronie
Skinder, zwycięztwem sławny nad Cecorą.
Rzekł: „Co na piérwszym świata siedzisz tronie!
Słuchaj, co mówi twój sługa z pokorą:
Zemścij się naprzód na Polskiéj koronie,
Niech karę swojéj hardości odbiorą!
Jużeś to zaczął, a w boju zuchwali,
Wojsko i wodza świéżo postradali."

„Wiódł ich zuchwale na okropne boje
Wódz ich, Żołkiewski, co się w wojnach zstarzał;
Wywiedli w pole liczne wojska swoje,
Hetman im dawne czyny gdy powtarzał,
Bluźnili imię, Mahomecie, twoje;
Ale ty, któryś dumnych upokarzał,
Wspomogłeś twoich, a pamiętnym cudem
Dałeś zwycięztwo nad zgubionym ludem."

„Bojaźń téj klęski trwoży ich i miesza,
Łatwo rozproszyć przeklęte ostatki;
Pójdzie w rozsypkę niedobitków rzesza,
Doznają naszéj dzielności zadatki:
Spuść miecz, nad karki co się ich zawiesza,
Niech idą w jassyr i dzieci i matki
Jeźli się który w sile ubezpiecza,
Niech pozna, jakie cięcie twego miecza."

„Lud ten w dzielności zaufany swojéj,
Dotąd się, panie, jarzma twego wzbrania,
Łaskami gardzi, groźby się nie boi,
Nierządny, przecież wpośród zamieszania
Za mur i tarczę innym państwom stoi,
I od nas mężnym odporem zasłania:
Od nich zaczynaj, pójdzie reszta snadno,
Skoro te piérwsze zastępy upadną."

Tak mówił Skinder, a przytomna rada,
Milcząc dalszego czekała wyroku.
Ten, co na tronie niewiernych zasiada,
Osman łagodzi dzikość swego wzroku:
Miła nadzieja dumném sercem włada.
I dobre wróżki szle przy piérwszym kroku.
Dał znak, że mu się podoba to zdanie,
Kazał do boju mieć przygotowanie,

I dodał nadto, iże sam na czele
Niezwyciężonych wojsk swoich się stawi.
Objęło serce poddanych wesele,
Każdy monarchę wielbi, błogosławi;
Za nic są w oczach tam nieprzyjaciele,
Gdzie sam w obozie rządca kraju bawi:
Gdzie wódz odważny sam kroku dostoi,
Tam żołniérz chętny śmierci się nie boi.

Już są po kraju rozesłane posły,
Już lud do boju garnie się ochoczy,
Już się radośne okrzyki rozniosły,
Nowym widokiem już bawią się oczy:
Czy starzec, czyli młodzian niedorosły,
Raźny ochotnik w zaciągi się tłoczy;
Każdy chce służyć ojczyźnie i panu,
I życiem stwierdzić prawo alkoranu.

U szczytu bramy cesarskiéj zwysoka,
Na najbogatszém złotogłowiu szyta,
Sklni się ozdobna chorągiew proroka,
Drogiemi hafty i perły okryta:
Nie śmié lud trwożny podnieść wgórę oka,
Z strachem wyznanie wiary na niéj czyta:
Jeden Bóg tylko wszechmocny, niezmierny,
Jeden Mahomet, prorok jego wierny.

Skoro się tylko zdaleka wskazała,
Dały się zewsząd słyszéć grzmotne huki;

Wrzaskiem ją rzesza janczarów witała,
I spahy w świetne uzbrojone łuki;
Ziemia w odgłosach ogromnych zadrżała,
I siedmiotulne skłoniły buńczuki;
Powstał i Osman, zniżył hardą głowę,
A mufty taką uczynił przemowę:

„Wierni! wybrani wśród narodów wiela
Na czyny święte i waleczne sprawy,
Prawowiernego syny Izmaela!
Idźcie za hasłem nieśmiertelnéj sławy,
Idźcie z weselem na nieprzyjaciela!
Wyrok wam nieba ogłaszam łaskawy:
Znak Mahometa wzniesion na powietrze
Blaskiem niewiernych zagnębi i zetrze.“

„A ty, o wielki rządco wszystkich wiernych!
Ciesz się zawczasu prac dzielnych zapłatą,
Znajdziesz nagrodę twych czynów niezmiernych,
Gdy naród wzniesiesz zwyciężonych stratą;
Dokonaj resztę nędznych i mizernych,
Niechaj zdziwieni wszyscy patrzą na to,
Niechaj drżą hardzi! Ty żyj jak najdłużéj,
A jak powinien, niechaj ci świat służy.“

Zatém prorockie księgi w ręce bierze,
I czyta baśnie swego alkoranu;
A kiedy skończył bezbożne pacierze,
Dumnemu naprzód błogosławi panu;
Potém waleczne wzmiankuje rycerze,
I lud powszechny wszelakiego stanu:
Dopomagają jego towarzysze,
Liczne santony, mołny i derwisze.

Gdy się tak piérwsze obrządki skończyły,
Powrócił cesarz w zamek Carogrodu.
Nieraz się basze na dywan zchodziły,
Żeby uniknąć wszelkiego zawodu:

Zewsząd się liczne zaciągi spieszyły,
I jak najpilniéj ciągnęły od Wschodu.
Surowy rozkaz sciąga wojska liczne :
Okryły wkrótce pola okoliczne.

Z dalekich krain roty pozbiérane
Kwapią na wyższe od tronu wyroki :
Gdzie Eufrat wody szeroko rozlane
Pędzi pomiędzy nadbrzeżne opoki,
I kędy Tygrys spławy pożądane
Nosi w swych nurtach, szybki i głęboki,
I gdzie Araxes, szumiący na głazie,
Rwie twarde brzegi w skalistym Kaukazie ;

Ogromnym spadkiem kędy Nil wspaniały
Wchodzi, i Egipt wolnym biegiem porze,
Żyzną powodzią orzeźwia kraj cały,
I siedmiorakim wstępem wpada w morze.
Stawa Numidów poczet okazały,
I Maurytany najpiérwsze w wyborze ;
Mnogiemi tłumy nadchodzą w też tropy
Z zapadłych krain czarne Etyopy.

Piaszczystych stepów błędliwi mieszkańcy,
Idą Araby słońcem ogorzałe,
Nadmorskich brzegów idą krnąbrni brańcy,
Fezu, Algiéru junaki zuchwałe ;
Idą prorockiéj ziemi wychowańcy,
Mekki z Medyną hufce okazałe :
Za nimi poczty ochotników wielu
Od puszcz Libańskich i góry Karmelu.

Któż objąć zdoła mnogość zjadłéj dziczy ?
Snują się coraz tłumy niezliczone ;
Patrzy monarcha na lud hołdowniczy,
Patrzy z weselem na pułki skupione :
Już mnogie państwa mniema mieć w zdobyczy.
Pasł tym widokiem żądze rozjuszone,

A dumny mocą swego majestatu,
Wzniósł się nad człeka, i pogroził światu.

b) Pieśń (VII.).

Turcy z licznem wojskiem przypuszczają szturm do okopów. Zawisza już prawie przemagających odpiera. Zabija w boju pojedynkowym Karakasa, jednego z dowódzców tureckich, a sam zboku od Hussejna strzałą przeszyty. Żal w obozie polskim po jego zgonie.

Wdzięczne już zorze wschodzić poczynały,
Gdy się tłum zbrojny pokazał zdaleka;
Wstąpił Chodkiewicz na obronne wały,
A gdy obrotów przeciwnych docieka,
Chrapliwy odgłos trąby wydawały:
Żołnierz się kupi i na hasło czeka,
Starsi je wiodą na wały i szańce,
A wtém przybyły szpiegi i posłańce.

Głoszą, że Osman z niezliczoną zgrają
Coraz się bliżéj pod obóz przymyka;
Wszyscy natychmiast wodza otaczają,
A na rzeskiego czele ochotnika
Stawa Zawisza: ochotą pałają,
Zgromić na piérwszym wstępie przeciwnika.
Chwalił Chodkiewicz ochotę wspaniałą,
Wstrzymać ją jednak w téj porze się zdało.

Słychać dźwięk muzyk, a wrzawy hałasów
Uszy okropném wyciem przerażały,
Odgłos trąb, kotłów, surm i tułumbasów
Zajadłéj tłuszczy pomnażał zapały:
Echa zpomiędzy padołów i lasów
Stokrotnym jękiem głosy powtarzały.
Bluźnili, Panie! święte imię twoje,
Dumni potęgą, kiedy szli na boje.

Bóg, co się krnąbrnéj hardości sprzeciwia,
Pokornych szczęsnym co wzmaga wyrokiem,

Bóg, który wierne sługi uszczęśliwia,
Raczył łaskawém rzucić na nie okiem;
Już je niezmierność tłumów nie zadziwia,
Nieustraszonym szli na odpór krokiem:
Chodkiewicz piérwszy, a za nim w też tropy
Młodzież, starszyzna — biegli za okopy.

Gdy ku obronie wojska się zebrały,
I każdy stanął, gdzie mu poruczono,
Grzmotnym się hukiem działa odezwały,
Bomby, kartacze razem wypuszczono;
Szedł śmiało w ogień bisurman zuchwały,
Wybrane spahów i janczarów grono,
Ledwo widziani przed gęstą kurzawą,
Pod same szańce cisnęli się żwawo.

Tam gdzie Sapieha trzymał mężne roty,
Najpiérwszy atak, najżwawsze spotkanie;
Sam Osman swoim dodawał ochoty,
Lecieli oślep na jego wołanie;
Niezmierne działa wydawały grzmoty,
Równe z obozu było odstrzelanie.
Zadrżała ziemia krzyki straszliwemi,
Skryło się słońce przed dymy gęstemi.

Już przystawione do szańców drabiny,
Fosy głębokie już przeprawom zdolne;
Już zewsząd widać zdziałane ruiny,
Od armat baszty słabieją okolne;
Broni Sapieha, sławny swemi czyny,
Męztwo i rozpacz wowczas obopolne;
A punkt honoru, wstyd bitwy przegranéj
Jadem niezwykłym srożył bisurmany.

Już Mahometa proporzec ozdobny
Blizko się wiérzchu okopów unosił,
A odpór w słabych miejscach mniéj sposobny
Wygraną wojskom niewiernym ogłosił:

Skoczył na odsiecz Zawisza nadobny,
Niewiernych znaki już tkwiące poznosił;
Za nim odwagą i dzielnością znaczny,
Z zadnieprskim hufcem mężny Sahajdaczny.

Wsparli w piérwiastkach nadto zaufanych.
Zmienił się tryumf i radośne krzyki,
Jęk z srogich ciosów dzielnie zadawanych,
Wydała dzicza okropnemi ryki;
Na nieprzyjaciół z hańbą odegnanych
Padli z stanowisk swoich Lisowczyki.
Cofa się zgraja na pobojowiska,
A miecz zwycięzki nad karki im błyska

Mężnym zapałem wszystek rozżarzony,
Sciga Zawisza piérzchającą zgrają,
Wyrwał wśród pułków sztandar podniesiony,
Oczy mu ogniem jaskrawym pałają,
Śmierć mieczem miota, a na wszystkie strony
Niewiernych tłumy zajęte padają:
Strach objął serca, a owi zuchwali
Sromotnym pędem z boju uciekali.

Na wrzask okropny uchodzącéj tłuszcze
Karakas mężny wywiódł hufce swoje,
Co na odwodzie stały, tam gdzie puszcze,
A świéżym ludem wzmagające boje.
Krzyknął: „Żadnemu z zdrajców nie przepuszczę,
Krwią się nasycę, lub śmiercią ukoję,
Kogo nieprawa śmiałość ubezpiecza,
Niech dozna, jakie cięcie mego miecza.“

„Dumny pohańcze!“ ozwał się Zawisza.
„Nie takich nasi gromili mocarze,
Znajdziesz każdego z moich towarzysza,
Co twoją hardość zgnębi i ukarze.“
Zobustron zatém wrzawa się ucisza.
Oni zaś w dalszym nie bawiąc poswarze,

Zwróciwszy końmi ku dolinie blizkiéj,
Rzucili na się hartowne pociski.

Szybkiém zchyleniem ustrzegł się od grotu
Piękny Zawisza, i raźny i hoży;
A nagłym skokiem rzeskiego obrotu
Tnie w kark pohańca, i trupem położy:
Padł, a chrzęst zbroi, podobny do grzmotu
Zdziczałe tłumy gdy razi i trwoży,
Hussejn, co na bój ku Zawiszy spieszył,
Zboku go strzałą jadowitą przeszył.

Jako kwiat polny, co mu rosa sprzyja,
Gdy żywą farbą wdzięczne pasie oczy,
Podcięty kosą zwiędłe kołki zwija:
Tak grot śmiertelny słabi go i mroczy.
Na pierś śnieżystą mdła skłania się szyja,
Padł śmierci łupem młodzieniec ochoczy,
Rumiane lica gasną i drętwieją,
Usta, przyjemne uśmiechem, sinieją.

Kto żal, kto rozpacz przytomnych opisze,
Na tak okropne zbiegłych widowisko?
Przypadli tłumem wierni towarzysze,
A zwłoki w puszczą gdy zanieśli blizką,
Tam je w posępną złożyli zaciszę,
Sami zaś biegli na pobojowisko
Mścić się na reszcie piérzchającéj rzeszy,
Co trwożna do swych stanowisk się spieszy.

Zapłakał Wejher, kiedy się dowiedział
O nieszczęśliwéj młodzieńca utracie,
Ani się dłużéj w okopach osiedział;
Ale o mściwéj myślący zapłacie,
Wypadł w tłum dziki, który coraz rzedział.
Więc w pożądanéj nasi alternacie
Gromią niewiernych, i na wszystkie strony
Obfitych zwycięztw odbiérają plony.

Wysłał Chodkiewicz, aby hamowali
Starsi żołnierza impet zbyt rozjadły:
Więc się zwycięzcy nazad powracali,
I mężne hufce, zkąd wyszły, osiadły.
Bogu cześć winną wszyscy oddawali,
A gdy już nocne ciemności zapadły,
Szli na spoczynek, lecz im nie był miły,
Zwłoki Zawiszy gdy w obóz przybyły.

Gmin rozmaity, żołnierze i wodze
Wyszli na przeciw w żałośnéj postaci,
Żal ciężki wszystkich dotykał zbyt srodze,
Ale największy był jego współbraci.
Grono młodzieńców stanęło na drodze,
Grono młodzieńców, co swój zaszczyt traci:
Płakali rzewnie na piérwiastki smutne,
Co losy nagle zdziałały okrutne.

3. Pieśń. (IX).

Władysław, królewicz nadciąga z wojskiem. Wysłany od niego do Chodkiewicza Zawisza, spotyka zwłoki syna, z pogrzebnym obrządkiem niesione. Rozpacz starca. Pustelnik go cieszy. Władysław staje w obozie. Bitwa przerwana ciemnością, którą Omar sprawił.

Spieszył na kraju swojego obronę
Władysław, w zacne już wprawiony dzieła,
Spieszył, a sławą myśli rozżarzone
Pomoc ojczyzny gorliwiéj ujęła,
Patrzył na pole męztwu otworzone,
Gdzie się zwycięzka korzyść rozpoczęła;
Przynaglał kroki, chcąc przed mężnym szykiem
Czynów chwalebnych zostać uczestnikiem.

Już tych przyjemnych okolic dochodził,
Gdzie bystrym biegiem Dniestr szumiący płynie,
A co swe nurty széroko rozwodził,
Rwie twarde brzegi w skalistéj cieśninie;
Tam, żeby swemu żądaniu dogodził,
Zsyła do wojska o téjże godzinie
Wiernego podróż swoich towarzysza:
Z ochotą bierze poselstwo Zawisza.

O nędzny starcze! nie wiész, coć los niesie,
Ojcze nieszczęsny! nie wiész, co cię czeka!
Próżno z widzenia syna raduje się,
Próżno na zwłokę wyjazdu narzéka.
Wyjéżdża. — W blizkim odpoczywał lesie,
Blask nadzwyczajny gdy postrzegł zdaleka,—
Przy ciemnéj nocy postrzega dowodnie
Gęstemi światły błyszczące pochodnie.

Wstręt go niezwykły natychmiast ogarnie,
Nie śmie, co znaczy ten widok, wybadać:
Przybliżały się światła i latarnie,
Patrzy na swoich, a nie może gadać;
Sili się z konia spuścić, ale marnie,
Porwali mdłego i pomogli zsiadać:
Trzykroć ku światłu siłący się rzucił,
Trzykroć, jak mocą odparty, powrócił.

Wtém się ozwały żałobne spiéwania,
Krokiem leniwym światła się zbliżały,
Coraz płacz słychać, jęki, narzekania,
Coraz je smutne echa powtarzały.
Zdrętwieli wszyscy na te powtarzania,
Wtém się ozdobne mary okazały:
A gdy się zbliżył do ciała martwego,
Poznał nieszczęsny ojciec syna swego.

Stanął — i wszystkich zdrętwiały przelęknie,
Gdy w zwłoki syna suche wlepił oczy;
Cichym odgłosem niekiedy zajęknie,
Wokoło wzrokiem zmieszanym powłoczy;
Drżący natychmiast wzdychając uklęknie,
Porwie się, znagła do ciała przyskoczy.
„O synu!“ — głosem płaczliwym zawołał,
Zemdlał, — i więcéj już mówić nie zdołał.

Cichość posępna zatém nastąpiła,
Na tak okropne patrząc widowiska,

Boleść niezmierna przytomnych dręczyła.
Kapłani płacząc, przystąpili zblizka,
Chcąc starca odwieść. — Próżna praca była,
Niezwykłą mocą martwe zwłoki sciska:
Jęczy, a smutne wznosząc w niebo oczy,
Przytula syna, i łzy rzewne toczy.

Ten, który płacze strapionych osusza,
I wskróś skrytości serc ludzkich przenika,
Naówczas mocą niezwykłą porusza
Do wyjścia z domku swego pustelnika:
Idzie, gdzie dzielny instynkt iść przymusza,
Wtém, kiedy smutną gromadę potyka,
Dał mu Pan poznać, że na to się spieszył,
Ażeby starca strapionego cieszył.

Więc się przybliżył, a łzami zalany,
Pełen litości podnosił go z ziemi;
Ani go postrzegł starzec obłąkany,
A serca krajał jęki płaczliwemi.
Wtém rzekł pustelnik, w Bogu zaufany:
„Wstań, co wykraczasz żalami zbytniemi!
Niewiernych podział — dręczyć się rozpaczą:
Gdy ojciec karze, nie tak dzieci płaczą.“

Porwał się starzec zpłakany i zbladły
Na głos, z Bożego co słyszał natchnienia:
W skrytości serca te słowa się wkradły,
Czuje niezwykłe wewnątrz zasilenia,
Zda mu się, z oczu że zasłony spadły,
A rozrzewniony, pełen zadumienia,
Gdy go niezwykła dzielność wskróś przenika,
Tak do świętego mówił pustelnika:

„O ty! czyś człowiek, czy Boskiém zrządzeniem
Anioł, na moją pociechę zesłany,
Ty, który dzielném umysłu wzruszeniem
Sprawiasz niezwykłe w mém sercu odmiany,

Objaw się! Niechaj powinném uczuciem
Bóg, co cię zesłał, będzie uwielbiany.
Czyś człowiek, jak ja, czy nieba osiadasz,
Powiédz, czém jesteś ty, co sercy władasz.“

Rzecze pustelnik: „Człek jestem mizerny,
Człek, co się w nędzy rodzi i umiéra;
Słabe naczynie w dobroci niezmierny
Na okazanie mocy Pan obiéra;
A w swych obietnic dotrzymaniu wierny,
Tych, którzy płaczą, łzy suszy, ociéra:
Temu cześć dawaj, co gdy chłostę spuszcza,
Dotknie, zasmuci, ale nie opuszcza.“

Jak deszcz, na ziemię co spragnioną pada,
Tak dzielne były słowa pustelnika.
W sercu Zawiszy spokojność osiada,
I łaski Bożéj wzruszenie przenika:
Rozbrat wieczysty światu wypowiada,
I sam się w dzikiéj pustyni zamyka,
A gdzie strumyczek mruczał wśród opoki,
Tam pogrzebł syna ulubione zwłoki.

Odtąd na Boże usługi wylany,
Świętą modlitwą troski swoje słodził;
Spełzł mu świat w oczach, niegdyś zbyt kochany,
Świat, co goryczą pieszczoty nagrodził,
Został żal w sercu, lecz umiarkowany.
Codzień nad smutny grób syna przychodził;
Błagając nieba pieniem, modlitwami,
Codzień rzewnemi oblewał go łzami. —

Na czele wojska, co do boju stawa,
I do zwycięzkich laurów żniwa spieszy,
Wesoł Chodkiewicz witał Władysława,
Witało grono bohatérskiéj rzeszy;
Ochocza w pułkach rozniosła się wrzawa,
Widok je miły zasila i cieszy;

Zatém Władysław objéżdżał szyk cały,
Wojska go krzykiem radośnym witały.

Srogiemi bitwy sławne Lisowczyki
Za daném hasłem żwawo naciérali;
Wspiérał Tyszkiewicz mężne wojowniki,
Wstrzymali impet spahowie zuchwali:
Drugim zawodem kiedy wpadł w ich szyki,
Z nim Czartoryski, spahy uciekali.
Hussejn z janczarmi przypadłszy od puszcze,
Próżno zasłaniał potrwożone tłuszcze.

Gdzie z Władysławem Chodkiewicz był mężny,
Tam krwi niewiernéj potoki pluszczały;
I lubo odpór dawał im potężny
Skinder, w zwycięztwach dawnych zaufały,
Poznał, że w sile swojéj niedołężny,
Poznał, iż przyszedł koniec jego chwały:
Pełen rozpaczy, i na pomstę skory,
Rzucał się oślep zwycięzca Cecory.

Tak w dzikich stepach znagła obskoczony
Lew, co go zwycięztw ośmiela ochota,
Nieukojonym jadem rozjuszony,
Leci na bitwę, w oszczepy się miota;
Nie czuje razu, którym obrażony,
Drzewca pocisków łamie i druzgota;
A jéżąc grzywę, wspaniały i w klęsce,
Okropnym rykiem przeraża zwycięzce.

W odmiennéj zatém szczęścia alternacie
Wsparł losy Skinder rozpaczą wspaniałą:
Już padł Zienkowicz, mąż zacny w senacie,
Już i chorągiew wodza okazałą
Posiadł niewierny! O takiéj utracie
Słysząc wódz, zwrócił tam potęgę całą,
Gdzie dumny mocarz z janczary i spahy
Strwożonym pułkom przymnażał postrachy.

Już się zoczyli, już zmierzone groty!
Postrzegł to Omar, a swemi czarami
Nagle sprowadza szumy i łoskoty;
Czarne obłoki snuły się pasmami,
Srogiemi trzaski przerażają grzmoty,
Strasznemi niebo sklni błyskawicami,
Wzmaga się burza, a zrażone oczy
Blask nagły ślepi, gruba ciemność mroczy,

Leciały piekieł mocarstwa i siły
Na czarnoksięzkie zaklęcia straszliwe;
Okropnym jękiem ćmy nocne zawyły,
Zewsząd się wzniosły wrzaski przeraźliwe,
Z gradem ulewy srogie nastąpiły,
Okropne grzmoty i wichry burzliwe;
Jaskrawym ogniem błyskały obłoki,
Z gór zapienione leciały potoki.

Stanęły wojska w okropnéj ciemności, —
Stanęły, strachem przerażone srodze;
Ustał wzajemny spór zapalczywości,
Nie wiedzą, gdzie są żołnierze i wodze.
W równéj zostają wszyscy ciérpliwości,
Jak się ratować w tak gwałtownéj trwodze:
Leci na domysł obłąkana tłuszcza,
I plac potyczki z obu stron opuszcza.

Bluźni rozpaczą ostatnią rozżarty
Skinder, przeklina guślarstwa i czary,
Łaje piekielnym mocom, co go wsparły:
Chodkiewicz słuszniéj strapiony bez miary,
Gdy z rąk zwycięztwo losy mu wydarły,
Choć umartwiony z dotkliwéj ofiary,
Widząc, że niebios taka była wola,
Korząc się Bogu, zwrócił wojska z pola.

G) Bajki. (Tom II. w Warszawie r. 1803.).

1. Ojciec łakomy, syn rozrzutny.

Zawsze się zbytek kończy doświadczeniem smutném.—
Płakał ojciec łakomy nad synem rozrzutnym:
Umarli oba z głodu. Każdy z nich zasłużył,
Syn, że nadto używał, ojciec, że nie użył.

2. Bryła lodu i kryształ.

Bryła lodu, spłodzona z kałuży bagnistéj,
Gniewała się na kryształ, że był przeźroczysty:
Modli się więc do słońca. Słońce zajaśniało,
Skłni się bryła, ale jéj coraz ubywało;
I tak chcąc los polepszyć, niewczesnym kłopotem,
Stajała, wsiąkła w bagno, i stała się błotem.

3. Stary pies i stary sługa.

Póki gonił zające, póki kaczki znosił,
Kasztan, co chciał, u pana swojego wyprosił:
Zstarzał się, aż z owego pańskiego pieścidła
Psisko stare, niezdatne oddano do bydła.
Widząc, że pies nieborak oblizuje kości,
Żywił go stary szafarz, niegdyś podstarości.

4. Skarb.

Znalazł skarb człek bogaty: widział to ubogi.
Gdy więc bluźni opatrzność, skarży się na bogi,
Rzekł mu Jowisz: „Poczekaj! co się daléj stanie.“
Wtém ów bogacz, skończywszy skarbów odkopanie,
Przenosił je do domu: aże dźwigał w nocy,
Wpadł w chorobę z niewczasu, i umarł z niemocy.
„Bierz tę zdobycz“ rzekł Jowisz „a nie sądź z pozoru:
Karze czasem opatrzność, gdy przyczynia zbioru.“

5. Człowiek i zdrowie.

W jednę drogę szli razem i człowiek, i zdrowie.
Na początku biegł człowiek. Towarzysz mu powie:
„Nie spiesz się, bo ustaniesz“.. Biegł jeszcze tém bardziéj.
Widząc zdrowie, że jego towarzystwem gardzi,
Szło za nim, ale zwolna. Przyszli napół drogi,
Aż człowiek, że z początku nadwerężył nogi,
Zelżył kroku na środku. Za jego rozkazem
Przybliżyło się zdrowie, i odtąd szli razem.
Coraz człowiek ustawał, a że się zadysza,
„Prowadź mię, iść nie mogę“ rzekł do towarzysza. —
„Było mnie zrazu słuchać“ natenczas mu rzekło:
Chciał człowiek odpowiedzieć, lecz zdrowie uciekło.

6. Bogacz i żebrak.

Żebrak panu tłustemu gdy się przypatrował,
Płakał. Tegoż wieczora tłusty zachorował,
Pękł z sadła. Dziedzic po nim gdy jałmużny sypie,
Śmiał się żebrak nazajutrz, i upił na stypie.

7. Ptaki i osieł.

Był dyskurs o słowiku. „Wdzięk jego spiéwania“
Rzekł czyżyk „tak jest miły, że aż do świtania
Od zmroku gotów jestem słuchać jego pieśni.“
Toż samo powtarzali spiéwaczkowie leśni,
Toż samo i zwiérzęta. Osieł mało dbały,
Gryzł chwasty na ustroniu: więc się go spytały:
„A ciebie czy ten jego głos wdzięczny poruszył?“ —
„Mnie?— Jakem się odezwał, zarazem go zgłuszył.“

8. Wyszydzający.

Żartował, a od śmiechu trzymał się za boki,
Na ślepego kompana patrząc jednooki.
Nadszedł, co krzywo patrzył: śmiał się. Nadszedł stary:
I ten się śmiał, włożywszy na nos okulary.

Przyszedł nakoniec jeden z dobrze patrzających:
Żałował i wyśmianych, i wyśmiewających.

9. Wabik.

Wabił strzelec tak dobrze, iż zwodził zwierzęta:
Szły na głos, albo raczéj na śmierć niebożęta.
On zaś i gubiąc zwierze i ptaszęta liche,
Jeszcze się z nich naśmiéwał i podnosił w pychę.
Trafiło się, iż gdy raz z wabikiem polował,
Drugi strzelec, co także na ptaszki czatował,
Głos słysząc, gdy na ten krzyk strzelić się ośmielił,
Zamiast ptaszka kompana swojego postrzelił.
I to może bydź nauką:
Gubi się frant swoją sztuką.

H) Satyry. (Tom II. w Warszawie r. 1803.).

1. Szczęśliwość filutów.

Rok się skończył, winszować téj pory należy. —
Komu? — Wszystkim. Niech Jędrzej z winszowaniem bieży,
Jędrzej, co to zmyśloną wziąwszy na się postać,
Szuka, gdzieby się wkręcić, lub zysk jaki dostać,
A przedajnym językiem, drogi albo tani,
Jak zgodzą, jak zapłacą, tak chwali, lub gani.
Albo Szymon, miłośnik ludzkiego rodzaju,
Co złych i dobrych wspołem chwaląc dla zwyczaju,
Gdy cnotę i występki równą szalą mierzy,
Tyle zyskał w rzemiośle, że mu nikt nie wierzy.
Niechaj tacy winszują, ja milczę! — Źle czynisz.
— Alboż wszystkich zarówno potępiasz i winisz?
Alboż wszystkim źle życzysz? — Owszem, dobrze życzę.
Są cnotliwi, a chociaż nie wiele ich liczę,
Chociaż ledwo ten rodzaj w złych się tłoku mieści,
Są dobrzy i w płci męzkiéj, są i w płci niewieściéj.
— Więc im winszuj. — A jakaż winszować przyczyna?
— Stary się rok zakończył, a nowy zaczyna.

Cóż mam dobrym powiedzieć? W starym uciérpieli,
I w przyszłym ciérpieć będą zapewne musieli.
Nie kończy się poczciwych niefortuna z rokiem,
Rzadko się cnota szczęsnym ucieszy wyrokiem.
Do was więc mowę zwracam, sztuczni a ostrożni
Filuci, oświeceni i jaśnie wielmożni!
Wielmożni i szlachetni z zgrają waszą całą!
Winszuję, że w tym roku dobrze się udało.
Coście tylko pragnęli, wszystko wam los zdarzył,
Wyście się tam ogrzali, gdzie się drugi sparzył.
Fortuna, któréj koło ustawnie się toczy,
Była ślepą dla innych, dla was miała oczy.
Więc winszuję wszem wobec, każdemu zosobna.
Tobie naprzód, którego dziś postać ozdobna,
Którego oko śmiałe, a czoło jak z miedzi!
W twoich progach los spoczął i fortuna siedzi.
Płyną ci dni pomyślne, a przędziarka Kloto
Pasmo życia nawija na jedwab i złoto.
Gdzie stąpisz, wszystko w kwiecie, gdzie spojrzysz, w owocach:
A gdy bierzesz spoczynek w twych rozkosznych nocach,
Ty spisz, a szczęście czuje. Brzęczą złota trzosy,
Wrzask cię chwały otacza, a pochlebne głosy
Im bardziéj natężone, im ogromniéj wrzeszczą,
Tém wdzięczniéj słuch twój mamią, uszy twoje pieszczą.
Umiész słyszéć, coć miło, na przymówkę głuchy:
A gdy czasem mniéj wdzięczne zalecą podsłuchy,
Umiész i nie dosłyszéć. Talent dziwny, rzadki!
Takie więc szczęścia twego gdy widzę zadatki,
Winszuję ci, a naprzód, żeś ocalał zdrowo;
Wieluż za mniéj los srogi ukarał surowo,
A bardziéj sprawiedliwość, któréj wiek zepsuty
Nie zna teraz! A przeto szczęśliwe filuty!
Winszuję, jak ty inszym, że tobie nie mierzą;
Winszuję, żeś choć zdradził, przecież jeszcze wierzą;
Winszuję, żeś choć okradł, nie każą ci wracać,
Możesz łupu zdartego, na co chcesz, obracać.

Jest więc czego winszować. — A tobie, Konstanty!
Coś się zgrał na wsie, wexle, pieniądze i fanty,
Przecież grasz! Czego srogi los niegdy pozbawił,
Przemysł sztuczny to zleczył, fortunę poprawił:
Odzyskałeś, coś przegrał, już brzękasz wygraną,
Winszuję, że cię na złém dziele nie złapano. —
A tobie, panie Pawle, jest czego winszować.
Przed rokiem musiałeś się o szeląg turbować,
Teraz krocmi rachujesz. Jak to przyszło? — Sztuka!
Zyskałeś — cożeś zyskał? — Nowa to nauka!
Nie powiém. I satyra nie ma bydź zbyt jasną.
Takto nowe światełka wschodzą, stare gasną. —
Panie Pietrze! a waszeć coś wskórał w tym roku?
Utyłeś, więc winszuję dobrego obroku.
A jak? Mamże powiedzieć, czyli mam zasłaniać?
Zasłonię: proszę jednak jéjmości się kłaniać. —
A waść, panie Wincenty! coś majętność kupił,
Nie dawszy i szeląga? Czyś okradł, czyś złupił,
Dość, że wioska już twoja. Niechaj płacze głupi,
Poco nie był ostrożnym? już jéj nie odkupi.
Zły téżto był gospodarz, grunt leżał odłogiem,
Pola były zarosły chwastem, łąki głogiem;
Ty przemysłem naprawisz, coś zyskał fortelem,
I tak się wysłużonym już obywatelem
Staniesz twojéj ojczyźnie. Tak pięknéj przysługi
Winszuję, a choćby się zgorszył może drugi,
Że gardzisz skrupułami, winszuję i tego:
Znak to jest mocnéj duszy, umysłu wielkiego!
A wam, co mam powiedzieć, cnotliwa hołoto?
Dobrzy! ciérpieć wasz podział, ale ciérpieć z cnotą.
Modnéj maxym nauki że się nie trzymacie,
Trzodko mała wśród łotrów! Nie wiele zyskacie,
Nie rozpaczajcie jednak: patrzajcie, jak daléj
Los tych, których rozpieścił, wesprze i ocali.
Rzadko się niepoczciwość tak, jak zacznie, kończy:
A cnota, co się nigdy z chytrością nie łączy,

Choć jéj często dokuczą troski, niepokoje,
Poźniéj, prawda, lecz lepiéj wychodzi na swoje.

2. Oszczędność.

Naucz, panie Alexy, jak to zostać panem.
Nie o takim ja mówię, co wysokim stanem
I wspaniałym tytułem dumnie najéżony,
Albo jaśnie wielmożny, albo oświécony,
Cotydzień daje koncert, codzień bal w zapusty,
A woreczek w kieszeni maleńki i pusty:
Ale o takim mówię, co w czarnym żupanie,
I w bekiesie wytartéj, rano na śniadanie
Zkosztowawszy z garnuszka piwa z sérem ciepło,
Lub wczorajszą pieczonkę przypaloną, skrzepłą,
Na saneczkach łubianych do Lwowa się wlecze,
Trwożny, czy z prowizyjką panicz nie uciecze:
A tymczasem w szkatule dębowéj, okuty,
Nowy więzień pospiesza na pańskie reduty.
Jam mniemał, że to wielkich włości dziedzic będzie.
— Ma wieś jednę w zastawie, a dwie na arędzie.
— Zkądże on ma te zbiory? Czy jadących złupił?
Czy skarb znalazł, że tyle pożyczył i kupił?
— Nie. — Może jakim szczęśliwym przypadkiem
Po nieboszce małżonce wziął majętność spadkiem?
— I to nie. — To zapewne pieniając zuchwale,
Wygrał w ziemstwie fortunę, albo w trybunale?
— I to nie. — Może, żeby zbiorów przysposobił,
Wynalazł alchimistę, co mu złoto zrobił?
— Nie. — Zkądże ta szkatuła, co niosą na drągach?
Zgadnij. — Nie wiém? — Zkąd przecię? Znał się na szelągach.
— Wszak w groszu trzy szelągi? — Cóż ztąd? — Ale proszę.
— Wszak w groszu trzy szelągi? — W trojaku trzy grosze.
— Ale nie, nie to mówię: zamilknę, albowiem
Kto mi nie da dokończyć, ja mu nic nie powiem.
— Już milczę. — Więc zaczynam. Nie każdy bogatym
Urodził się, lecz szczęście nie zawisło na tém,

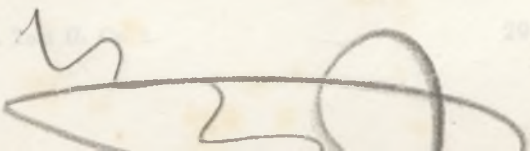

Owszem według mnie zawdy szczęśliwsi są tacy,
Których nie los zbogacił, ale skutek pracy.
Ten co jechał do Lwowa na saniach łubianych,
Ażeby dostał zysku bogactw pożądanych,
Zbyt je drogo zapłacił. Naco sobie szkodzić?
Naco zbiory, jeżeli nie mają dogodzić?
Dla nas są, nie my dla nich. Niech dogodzą miernie.
Ten, co żądze w zapędach rozpuszcza niezmiernie,
Światem się nie nasyci, jak ów, który stękał,
Że nie stało narodów, któreby ponękał.
Mówmy więc, o czém piérwsze mówienie się wszczęło:
Zostać panem, największe, prawda, to jest dzieło.
— Cnota teraz za złotem. — Tak i przedtém było,
Ale nie! nie tak złoto, jak teraz mamiło!
Cokolwiek bądź, powtarzam, com mówił; a zatém
Poznaj się na szelągach, a będziesz bogatym.
Z małych się rzeczy wielkie sklejają i wznoszą,
Z szelągów się, nie z złota, ubodzy panoszą.
Nim się skleci z odrobin małych piéniądz złoty,
Nad miedzią zastanowić trzeba nam się póty,
Póki ten lichy kruszec srebru nie wyrówna.
Od srebra aż do złota praca niewymowna!
Piérwsze kroki najcięższe. Skoro złoto błyśnie,
Do kruszca wybornego podlejszy się ciśnie.
Łatwo już reszta idzie. Tak początek mały
Z pracą, czuciem, staraniem rośnie w kapitały.
Trzeba więc czcić szelągi: nieznaczne wydatki,
Potoczne ujścia, te są utraty zadatki. —
Zbiérał Piotr, z arend Żydów przenosił i zsadzał;
Ten ciemiężył poddanych, ten w percepcie zdradzał,
Niedbały na rozkazy scisłe jegomości,
Wziął pięćdziesiąt gumienny, sto plag podstarości.
Nieustannie powtarzał, co rano przykazał,
Codzień nowe rozkazy i pisał i mazał.
Do gumien, obór, stodół porozsyłał sługi,
Chodził rano i w wieczór, gdzie orały pługi;

Jedne zyski wyprosił, a drugie wyfukał,
Zwiózł wcześnie, przedał dobrze, i kupca oszukał.
Rok się skończył, — perceptę gdy z expensą liczył,
Poszedł handel z intratą, i jeszcze pożyczył.
— To pewnie były zbytki? — Źle jadł, źle się nosił.
— Pewnie w święta? — I to nie, w dom gości nie prosił.
— Może jéjmość? — Ta zawdy siedziała nad przędzą,
Przy niéj kapłony tuczą i pieczenie wędzą.
— Cóż tę stratę przyniosło? — Szelągi i grosze.
Nie znał się na nich, dawał, upuszczał potrosze,
Zrobiły się z nich złote, tynfy i talary:
I tak za małe fraszki, za drobne towary
Wyszła summa, a ten, co poddanych uciskał,
Pracując, stracił jeszcze, zamiast coby zyskał.
Nie tak czynił Pan Michał. — Jakże? — Ale proszę, —
Proszę mi nie przeszkadzać. Znał pan Michał grosze,
Znał szelągi. — Któż nie zna? — Ale nie, nie znacie!
Nie jest to znać, kto małéj nie zabiega stracie.
Pan Michał nim dał szeląg, piérwéj się zatrzymał,
Obejrzał go dwa razy, a chociaż się zżymał,
Choć już rękę wyciągnął, nazad w kieszeń zchował,
Został szeląg z drugiemi, w grosz się porachował:
Przyszło więcéj, woreczek coraz się dął spory,
Aż nakoniec z woreczka zrobiły się wory.
„Piérwszy szeląg schowany, co się w grosz pomnożył,
Ten grunt milionowéj fortuny założył.
Złoto się samo strzeże, miédź wstrzymać należy,
Czerwony złoty siedzi, ale szeląg bieży:
Trzeba go miéć na oku, a gdy zbieg uciecze,
Zwracać nazad, bo drugich za sobą wywlecze.“
Tak mówił nasz pan Michał, co krocie rachował.
— Nic téż nie jadł! — Jadł dobrze, sobie nie żałował,
Żył uczciwie, wygodnie, chociaż nie wspaniale,
Lepsze miał wino w kubku, niż drugi w kryształe:
Tuczniejszy jego kapłon, niż pańskie bażanty.
Wydawał on, gdzie trzeba, ale nie na fanty,

Nie na fraszki, co z wiérzchu sklnią się, wewnątrz puste,
Nie na zbytki kosztowne, lub modną rozpustę.
Brał rzeczy, jak brać trzeba, i cenił istotą;
Znał on, co jest pozłota, znał co szczére złoto.
Tym sposobem zgromadził, wspomógł się i użył:
Godzien szczęścia, bo na nie gruntownie zasłużył.
Nad nasz polor prostotę ja dawną przenoszę.
Niegdyś za naszych ojców rachowano grosze,
Trzymały się téż lepiéj, szły w liczbie na kopy;
Bogatsze były pany, majętniejsze chłopy.
Teraz modniejszą jakąś przywdzialiśmy cnotę,
Rachujem na talary, na czerwone złote,
Wstydzimy się szelągów, złota trzosy nosim,
Cóż potém, kiedy z lichwą ledwo je uprosim?
Albo czyniąc bezwstydną zyskowi ofiarę,
Przedajemy za złoto poczciwość i wiarę?
Złyto handel, o bracia! nikt na nim nie zyska.
Choć ostatnia potrzeba gnębi i przyciska,
Lepiéj bydź i żebrakiem, ale żebrać z cnotą,
Niż siebie i kraj wieczną okrywać sromotą.
Zbytek nas w to wprowadził, z nim duma urosła:
Ta z kraju krwawą pracę poddanych wyniosła,
Ta panów ogałaca, ta poddanych gnębi,
Ta naród w przepaścistéj klęsk zanurza głębi.
Chciéć być, czém być nie można, duma to jest podła,
Chcemy bogactw, wróćmy się do dawnego źródła.
Niechaj się każdy zbytków niepotrzebnych strzeże:
Nie szpeci wstrzemięźliwość i proste odzieże.
Lepszy szeląg z intraty, chociaż jest miedziany,
Niż piéniądz złotostemplny, ale pożyczany.
Takiemi się ojcowie nie obciążywali,
Po szelągu, po groszu, oni rachowali;
I mieli co rachować. My z pozoru drodzy,
Choć tysiące rachujem, przecieśmy ubodzy.

3. Pochwała wieku.

Lepiéj teraz, niż przedtém. — Dlaczego? — Bo lepiéj.
— To dowód oczywisty. — Świat się coraz krzepi,
Nabrał z laty rozumu, a im bardziéj stary,
Tém dzielniéj zeszły, co go szpeciły, przywary.
— Ale dlaczego lepiéj? — Dlatego, że byli
Lepsze syny od ojców, co nas poprawili.
— Więc zmyślał ów Horacy? — Zmyślał. — Toć i wierzę.
— Człowiek przedtém był prosty i dziki, jak zwierzę,
Dziś jest istność rozumna, ale jak rozumna!
Z szkół, z obozu, z warsztatu, nawet i od gumna,
Wszystko tchnie wytwornością, wszystko się zwiększyło;
Zgoła zawsze dziś lepiéj, niźli wczoraj było.
— Ale przecież o świecie zła się wieść roznosi;
Powiadają, że się coś popsuło u osi,
Ztąd już lato nie lato, a zima nie zima.
— Bajki, powieści, godne mamek, lub pielgrzyma,
Nawet i kalendarza! Ale to ogólnie:
Chcesz, abym lepszość naszę dowodził szczególnie?
— Zgoda. — Więc... ale zkądże wywodzić pochwały?
— Naprzykład pisma nasze. — To oryginały,
I choć czasem zdaje się, iż dawnych skradamy,
Gdy im czynim ten honor, wtenczas poprawiamy.
Drzymał Homer niekiedy, — fraszka zadrzymanie,
My nie drzymiem, ale spim; lecz to nasze spanie
Roi sny, których różność, wdzięki i wspaniałość
W saméj treści zawiéra wszystkę doskonałość.
Żółwim krokiem szły przedtém nauki kłopotne;
My orły wybujałe, orły bystrolotne,
Wzbiwszy pod same nieba rozpostarte skrzydła,
Z góry patrząc, widzimy treści i prawidła:
Darmo się matka rzeczy z swém działaniem kryła,
Bystrość nasza zakąty ciemne wyśledziła:
Darmo wyrok najwyższy granice oznaczył,
Przeszedł człek, zdarł zasłonę, i jawnie obaczył,

Co było wiekom tajno. Więc sędzie dobrani,
Każdy, co jest, wychwala, a co było gani,
Przewraca dawnych mozoł działania na nice,
A rozpostarłszy bystre pojęcia granice,
W taki się lot zapuszcza, iż możnaby myśléć,
Jak co lepiéj wynaleźć, alboli określić.
Ten jest odgłos zbyt częsty, ale czyli bacznych —
Czy prawdy głosicielów, czy błędów dziwacznych
Niech ci sądzą, co myślą, a myślą, jak trzeba.
Pamięć, bystrość, pojęcie sąto dary nieba:
Ale ten skarb dzierżących nie zawsze bogaci,
Użycie go powiększa, użycie go traci.
Czytał Szymon! wié, co, jak i kiedy się działo,
Lecz na tém zasadzony zbyt dumnie, zbyt śmiało,
Czyli się w pismie uda do prozy, czy wiérszy,
Za siebie tylko patrzy, i mniema, że piérwszy.
Ztąd wyroki i w stylu i w zdaniach opacznych,
Ztąd nowe wynalazki systemów dziwacznych,
Ztąd staremi pogardza, innych mało ceni.
Nie tak czynili, — czynią prawdziwie uczeni.
Wiek mało dla nauki: powoli przychodzi,
Długo trzeba pracować, nim prace nagrodzi;
Ale téż choć niespieszna obfita nagroda,
Co powié prawy mędrzec, wiek wiekowi poda:
A te nasze światełka, co błyszczą dość jasno,
Jak się w punkcie rozświécą, tak w punkcie i zgasną!
Tłum mędrców! przedtém ledwo znaléźć było w tłumie.
Czyż się nowe przymioty odkryły w rozumie?
Czyli wspacznym obrotem wrócił się wiek złoty?
Czy świat dzielniejszą zyskał istność i obroty?
Też same, co i piérwéj: jest tak, jak i było,
Lecz, co się wszérz zyskało, wgłąb się utraciło.
Poszła w handel nauka, kramnicą drukarnie,
Głód kładzie pióro w rękę, zysk do pisma garnie.
Mają dowcip na zbyciu w ten jarmark otwarty,
Jak kramarze na łokcie, autory na karty.

Aże w rzemiosło handlu wkrada się łotrostwo,
Ztąd owo, co nas gnębi, ksiąg rozlicznych mnóstwo,
W których rozum, naukę, dowcip, wynalazki
Zastępuje druk, papiér, pozłota, obrazki:
Ztąd niby gazą kryte wyrazy wszeteczne,
Ztąd fałsze modnym tonem, ztąd bluźnierstwa grzeczne,
Ztąd owe nudne muzy, a niezmiernie płodne,
Ztąd zbiory anekdotów czytania niegodne,
Ztąd pod nazwiskiem żartów dowcipnych potwarze,
Bajki w rząd abecadła, ztąd dykcyonarze,
Zgoła pisma, nie warte nawet ksiąg nazwiska.
O Fauście! z twojéj łaski druk głupstwa wyciska,
Dałeś łatwość naukom, dowcipowi cechę:
Ma świat, prawda, z przemysłu twojego pociechę;
Lecz z tych skarbnic mądrości nieprzerachowanych
Za jedno dobre pismo sto głupstw drukowanych.
Bajkami się lud bawi, drukarnia bogaci,
Nim Diabła Bohomolec dał w swojéj postaci,
Wieleż książek, powieści, o strasznych poczwarach,
O wróżkach, zabobonach, upiorach i czarach
Trwożyły naszych ojców! Ująwszy gromnicę,
Palił ławnik z burmistrzem w rynku czarownicę:
Chcąc jednak piérwéj dociéc zupełnéj pewności,
Pławił ją na powrozie w stawie podstarości.
Krzewiły się kołtuny, czarami nadane,
Gadały po francuzku baby opętane,
A czkając po krużgankach na miejscach cudownych,
Nabawiały patrzących strachów niewymownych.
Co zbytniém dowierzaniem upłodził wiek przeszły,
W teraźniejszym podłące te przywary zeszły;
Ale też zbyt porywczym zaciekłszy się pędem,
Często, gdy błąd poprawia, śmié prawdę zwać błędem.
Roztropną zdania nasze szalą trzeba mierzyć,
Źle jest nadto dowierzać, gorzéj nic nie wierzyć.
Że się obrzask pokaże w źle chowaném winie,
Nie likwor temu winien, ale złe naczynie.

Trafia się płód odrodny, choć cnotliwéj matki:
A dzikich latorośli poziome ostatki
Gdy ucina ogrodnik, drzewu to nie szkodzi,
Owszem piękniéj wybuja, lepszy owoc rodzi.
Jest granica, za którą przechodzić nie wolno.
Mając porę, ochotę i sposobność zdolną,
Dociekajmy, co możem, co dociéc się godzi:
Wiek nasz w wielu odkryciach dawniejsze przechodzi:
Dzień dniu prawdę obwieszcza, godzinom godziny,
Z pracy ojców szczęśliwe korzystają syny,
A do zdatnego rzeczy stosując użycia,
Nowe wiekom poźniejszym gotują odkrycia.
— Więc lepiéj rzeczy idą, bo żywiéj, bo sporzéj.
— Sądź, jak chcesz: może lepiéj, może téż i gorzéj.

4. Pochwała głupstwa.

A ja mówię, że głupstwo nie złym jest podziałem!
— Mądrość przecież zaszczytem, nierozum zakałem.
— Nie wchodzę ja w dysputę: rzecz jest niby jawna,
Maxyma teraźniejsza tak, jako i dawna,
Każe szukać mądrości, a głupstwa się chronić.
Umieli zawsze ludzie od dobrego stronić,
A że głupstwo jest dobrém, stronili od niego.
Patrz na mędrca tetryka, głupca wesołego!
Tu pryska z twarzy zdrowie, tam zapadle oczy,
Wlecze się chuda mądrość, spasłe głupstwo toczy:
A co lepsza, kto głupi, mądrością jest dumny,
A co gorsza, kto mądry, zna, że mniéj rozumny.
Nasz pan Paweł, choć w głupstwie dni swoje postradał,
Skoro wszedł, wszystkich zgłuszył, Michała przegadał,
Michała, co wiek z księgą trawi w gabinecie!
Prawda, Paweł razporaz nic do rzeczy plecie,
Ale żwawo i głośno, więc go zgraja słucha:
Zmiłuje się nakoniec, przecie udobrucha,
Da mówić Michałowi, który w kącie wzdycha.
Zaczyna, — dobrze mówi, ale — mówi zcicha!

Aż w śmiéch, co go słuchali! Więc milczy zlękniony:
Dopiéroż tym tryumfem głupiec uwielbiony,
Łże, bredzi, decyduje, a w zgrai nacisku
Odbiéra plauz mądrości, i ma sławę w zysku.
„Ale“ rzeczesz „pan Paweł nie probuje rzeczy:
Że czasem przykład jeden doświadczeniu przeczy,
Nie idzie, żeby zawsze podobne bywały.“
— Prawda, ale w téj mierze dowód okazały,
Pawłów jest tysiącami, a rzadki w złym stanie:
Każdy w podobnym sobie ma upodobanie.
Więc głupi prędko znajdzie, komu się spodoba,
Mędrzec wieku okrasa, i kraju ozdoba
Laur ma, prawda, ale ten nie grzeje, ni tuczy;
Głupstwo go jawnie nęka, zazdrość w kącie mruczy.
Półmędrków rodzaj zjadły zblizka i zdaleka,
Gdy nie może ukąsić, jak szczeka, tak szczeka.
Sroga bitwa! A o co? O liść, lub kadzidła.
Bogdaj to w bractwie głupich! tam szczęścia prawidła,
Tam korzyści, tam rozkosz coraz żywsza z wiekiem:
Każdy kontent bo czuje, że jest wielkim człekiem.
Fraszka sława na potém! co teraz, to moje.
O Pawle! niech ogłoszę uwielbienie twoje!
Pozwól.... Śmieje się... Wielkiś... Śmieje się i wierzy.
A że szczodrym wydziałem łaski swoje mierzy,
Za to, żem winny jemu szacunek oznaczył,
Lekkiém głowy skinieniem obdarzyć mię raczył.
Tak Jowisz u Homera utwierdzał wyroki.
Choć stopień uwielbienia posiada wysoki,
Zniża się czasem Paweł, kiedy tego godni
Jurgieltowi chwalacze, autorowie głodni,
Ci, których niezmazana w sądzeniu rzetelność,
Gotowa za grosz patent dać na nieśmiertelność,
A przypisując dzieło temu, co druk płaci,
Piéniężnym bohatérem kronikę bogaci.
Indy, Persy i Medy, Party, Baktryany
Zwyciężył Alexander; więcéj zawołany

Nasz mecenas bohatér zdziałał i dokazał!
Zapłacił szczodrobliwie, dawne dzieje zmazał!
On sam sławy posiadacz, a prawem dziedzicznem,
Bo się przodków szeregiem zaszczycając licznym,
Pomimo Niesieckiego, sławny antenaty,
Stryjeczne i cioteczne licząc majestaty,
Tam gdzie słońce zapada, gdzie powstaje zorza,
Sławny z dzieł, z krwi, z talentów, od morza do morza.
Co druk głosi, to prawda! od czegożby służył?
Płaci on, wielkim mężom w czém się świat zadłużył:
Płaci sławą, aże się wszystko w świecie płaci,
Głupi możny głodnego gdy mędrca bogaci,
Staje się jeszcze większym i mędrszym nad niego. —
Po sławie cóż nad zdrowie jest pożądańszego,
A może i przed sławą? To dobro jedyne:
Coż po tém, w życiu niezdrów, że po śmierci słynę?
Co mi po dobrém mieniu, gdy użyć nie mogę?
Co po wszystkiém, gdy słabość wznieca śmierci trwogę?
Tam, kędy zdrowia niemasz, jakiż zysk powabi?
Rycerstwo króci życie, mądrość zmysły słabi;
Praca siły wywnętrza, skrzętność zbyt zaprząta,
Wszędzie gorycz wpośrodku korzyści się pląta,
Zgoła w zysku bez zdrowia musimy szkodować.
Jakże siły utrzymać? jak czerstwość zachować?
Próżno krzyczy Hipokrat, próżno Galen szepta!
Głupstwo, głupstwo, o bracia, jedyna recepta!
Skarbie nie dość wielbiony! choć wielu bogacisz,
Nie przebierzesz się nigdy, ceny nie utracisz:
Obdarzasz, lecz niewdzięcznych, choć miła spuścizna,
Głupców tłumy niezmierne, a nikt się nie przyzna.
Wszyscy mądrzy. Nikt siebie prawdziwie nie widzi:
Czém nie jest, tém bydź pragnie, czém jest, tém się brzydzi.
Pełno w świecie obłudy, wkrada się i w fraszki,
Wewnątrz skryta osoba, zwiérzchu same maszki:
Zrzućmy je, niech odkryte głupstwo światem włada,
Sławę, honor, bogactwa, rozkosze posiada.

Czemuż się szczęścia wstydzić ? Dzień po nocy wschodzi,
Zrzucił świat uprzedzenia, wiek złoty się rodzi.
Niechaj mądrość, jakie chce, przepisy stanowi,
Próżne są. Mądrzy sławni, ale głupi zdrowi.

I) Listy. (Tom II. w Warszawie r. 1803.).

1. Do Pawła.

O roztropności.

Gdzie nie jest obowiązek, czy dobrze jest wierzyć?
Powiédz, Pawle! co zdanie tak umiałeś mierzyć,
Iż twoja cnota miła, a grzeczność nie płocha,
Uczyniła cię cudem, co cię każdy kocha.
Roztropność każe wszystko i bacznie roztrząsać,
Mądrość — lecz czasem i ta, gdy się zacznie dąsać,
Czyni mędrca dziwakiem. Ta więc mądrość zda się
Czasem sądzić porywczo, czasem po niewczasie.
Ztąd owe filozofy nibyto nieczułe,
Ztąd ów głupi, co w morzu utopił szkatułę,
Ztąd ów głupszy od niego, co się zamknął w beczce;
W téj więc sławnéj, a często powtarzanéj sprzeczce
Mówmy z sobą po prostu, jak to gminni ludzie.
Jużem wyżéj namienił o twoich spraw cudzie:
Umiałeś rodzajowi ludzkiemu dogodzić.
Czyli więc dowierzenie mogło ci zaszkodzić?
Czyli, strzegąc się wszystkich, doszedłeś twéj mety?
Wielu ludzie malują, różne są portrety.
Jedni aż nadto czernią, drudzy nadto bielą,
A ja z tymi, mój Pawle, co rzeczy weselą.
Niech nudne Heraklity stękają i płaczą:
Jeśli mędrcy w swych zdaniach niekiedy dziwaczą,
Idźmy za dziwakami, co raczą przebaczyć.
Jakoż gdyby szperaniem ścisłém rzeczy znaczyć,
Możeby się znalazło, czego się nie szuka.
Poznać ludzi, istotna, najpiérwsza nauka.
Lecz kto ją zacznie, w dobroć niechaj się uzbroi:
Ta wątpliwość uśmierzy, trwogę uspokoi,

Ta, jeżeli maluje, nie przykre ma farby,
Ta, jeżeli rozmierza, własne kładnie karby:
Wzrok jéj nie nadto bystry, lecz trwały i czysty.
Widok rzeczy, mój Pawle, nie jest oczywisty!
Tłumi go, miesza chytrość tych, co poznać chcemy,
Częstokroć i my winni ztąd, iż źle patrzemy.
Z ludźmi żyjem, podlegli błędom i obłudzie,
Bierzmy miarę z nas samych, czém są inni ludzie:
Że poznać nie możemy, nie traćmy ochoty,
Może pozór błąd ukryć, może kryć i cnoty.
Świat jest wielkie teatrum, a ludzie aktory,
W jednych dzielność popłaca, a w drugich pozory.
Zły częstokroć plauz zyska, a z dobrego szydzą,
Mylą się patrzający, lecz wielbią, co widzą.
Źli ludzie, lecz nie rodzaj: jest w sercu grunt cnoty.
Czy więc godni nagany z dzieła, czy z ochoty,
Nad słabością się godnych nagany użalmy,
Mniéj dzielnych oszczędzajmy, więcéj dzielnych chwalmy.
Chciéć i czynić, to cnoty prawidło istotne.
Czujem wszyscy wśród siebie wzruszenie ochotne:
Miła cnota każdemu, lecz powabne zbrodnie,
Rozum światło zapala, złość gasi pochodnie.
Ślepi w żądzy, w działaniu nie wiémy, co gasim,
I chociaż, co złe z siebie, sztucznym kunsztem krasim;
Spada postać, rzecz, czém jest, widzi się odkryta.
Zdziérca, chytry, lubieżny, dumny, hipokryta —
Spytaj go! Dobry człowiek, a choćbyś nie pytał,
Gdy nie masz téj dzielności, iżbyś w sercach czytał,
Tak układa postawę, iż poczciwym zda się.
Wśród tłumu, zbrodnia, czém jest, zawsze odkrywa się:
Ale wyżéj kunszt strzeże, ciężka ku odkryciu.
Jakiż sposób poznania, czém kto ku użyciu?
Roztropność! i tę jednak trzeba trzymać w mierze:
Często ona zawodzi, gdy miarę przebierze,
A ścigając zbyt mocno skryte działań tropy,
Gdy obmierza ściganych, czyni mizantropy.

Więc jest lepiéj dowierzać, niźli zbyt nie wierzyć;
Strzegąc się, by nie ująć, lepiéj i nadmierzyć.
Mała szkoda, a cudzéj krzywdzie się zabiega;
Niebezpieczny wzrok taki, co nadto postrzega,
Bystrością się osłabia, a wreszcie utraci.
Ten, co w współłudziach swoich uznaje współbraci,
Choćby go z ich przyczyny dotknęła i nędza,
Im więcéj ich poznaje, tém bardziéj oszczędza.
Więc i my tak działajmy, nie lepsi od innych,
A jeśli niby lepsi, w staraniach uczynnych
Naprawiajmy, choć sami godni poprawienia;
Ale w dziele poprawy, w sposobie czynienia,
Taką miarę trzymajmy, jaką trzeba trzymać:
Darmo się mniéj upadłym nad upadkiem zżymać.
Myślmy, patrząc na zdrożność, czy wielką, czy małą,
I nas to mogło spotkać, co innych spotkało.

2. Do księdza plebana.

O mierności.

Można przestać na małém, mój księże plebanie!
Dogodzić miernym chęciom, na to zawsze stanie,
Byle tylko mieć chęci na roztropnéj wodzy,
W jakimkolwiek bądź stanie, nie będziem ubodzy.
Czegoż trzeba istotnie? Zaprawdę nie wiele.
My się zbyt kochający, my nieprzyjaciele,
My jesteśmy nieszczęścia naszego działacze.
Ów głupi, co świat posiadł, a posiadłszy płacze,
Bo już nie miał co posiąść. Niechby Jowisz zatém,
Chcąc go więcéj szczęśliwym czynić i bogatym,
Stworzył jeszcze świat drugi, a właśnie dla niego,
Posiadłby go, i płakał, iż nie masz trzeciego.
Nie posiędziem my świata, Alexandry nowe,
A choćbyśmy posiedli cały, lub połowę;
Gdy nie wiémy, w czém miara, i jak miara bywa,
I takby nasza istność była nieszczęśliwa.
Nie to, co mam, szczęśliwi, choć w wszystko opływam:
Lecz to, jak miarę dzierżę, i jak jéj używam;

Różnicę czyni żądza mierna, rozżarzona.
Grosz cichy troskliwego znosi miliona.
Więc i groszem kontenci, gdy z poczciwéj pracy,
Jak niegdyś Kochanowski, a przed nim Horacy,
Użyjmy dobréj chwili, mimo zdania gminne:
Śmiéchy, żarty, zabawki, czułe a niewinne
Niechaj liczbę zbyt małą dni naszych przedzielą.
Źli silą się weselić, dobrzy się weselą.
Święta cnoto! tyś nie jest ponura i dzika,
Tobie niosę ofiary wśród mego chłodnika;
Ofiary niegdyś łatwe, winą naszą trudne:
Umysł bez uprzedzenia, serce nie obłudne.

K) Wiersze różne. (Tom II. w Warszawie r. 1803.).

1. Osobność.

Spokojny kącie, w którym się ukrywam
Od uprzykrzonéj natrętników zgrai!
W twojéj zaciszy we wszystko opływam,
Pewien, że głos mój i myśl się utai;
Złemi widoki utrudzony srodze,
Pozwól, niech w tobie przykrość moję słodzę.

Dość długo byłem fortuny igrzyskiem,
Czas już rozpięte dawno spuścić żagle:
Niech się świat bawi innem widowiskiem,
Niech jednych wznosi, spuszcza drugich nagle;
Nie chcę i myśléć o fortuny kole,
Byłem na górze, byłem i na dole.

Póki wiek rzeski niepewne zawody
Przyszłego wieku uwdzięczał i słodził,
Biegłem za szczęściem mniéj baczny, bo młody:
Niech téż odetchnę, dościem się nachodził!
Patrzcie na innych Argusy stooczne,
Ja sobie w kącie tymczasem odpocznę.

2. Do myśli.

Myśli słodka! gdy spokojna,
Bodaj zawsze byłaś u mnie!
Czyto pokój, czyto wojna,
Czy pełno, czy pustki w gumnie,
Słodzisz pracę i daremną,
Gdy ja z tobą, a ty zemną.

Bywaj myśli pożądana!
Co po życiu, kiedy w troskach:
Biedzisz z mroku aż do rana,
Smutna w miastach, rzeźwisz w wioskach;
Tu przestajesz być nikczemną,
Gdy ja z tobą, a ty zemną.

Myśli słodka i spokojna!
Uszczęśliwiaj pokryjomu.
Myśli prawa i dostojna!
Jakeś weszła, trwaj w mym domu;
Wszystko ma postać przyjemną,
Gdy ja z tobą, a ty zemną.

Przyjaciele! siądźmy w cieniu —
Siądźmy w cieniu téj topoli,
Orzeźw słodka w odpocznieniu,
Daj się ucieszyć do woli!
Niech czuję rozkosz wzajemną,
Gdy ja z tobą, a ty ze mną.

3. Pociecha.

Gdy się los uprze czynić nieszczęśliwym,
Co czynić, widząc smutną alternatę?
Być trwałym w zdaniu, w przygodzie cierpliwym,
I rzeczą zmienną zwać korzyść i stratę.

Mienią się rzeczy, tak jak my zmieniamy,—
Obrot to zwykły. Nie trzeba narzekać.

Nie nasze to jest, co losem trzymamy,
Zły? uczuć, wzmódz się, pracować i czekać:

Myśléć, co innym, to téż przyszło do mnie,
Myśléć, dla innych gorzéj się rzecz wspaczy.
Przyjdzie los dobry, bierzmy dary skromnie,
Nie przyjdzie, podléj strzeżmy się rozpaczy.

Wzbić się nad ludzkość, to dumne mniemanie,
Łez nie wstrzymujmy, gdy boleść wyciska.
Nie grzéchem uśmiéch w pożądanym stanie,
A cnota cnotą, czy traci, czy zyska.

4. Prostak.

Szczęśliwe mędrcy! A my prostacy
Czyli téż możem bydź szczęśliwemi?
Im wszystko łatwo, nam wszystko z pracy.
Przecież na wspólnéj mieszkamy ziemi;
Oni w przymiotach mając załogę,
Tak myślą, jak chcą, ja tak, jak mogę.

Prostak, co ojciec i matka rzekli,
Ja to wypełniam w mojéj prostocie,
Widzę, iż drudzy więcéj dociekli,
Słyszę, iż mówią górnie o cnocie;
Ja tak nie umiém. Kiedy się wzmogę,
Chcąc bydź cnotliwym, czynię, co mogę.

Nie mam honoru być kapucynem,
Ale mam zaszczyt być dobrym człekiem;
Więc po mojemu idę za gminem,
Idę za losem, idę za wiekiem,
I bitą sobie obrawszy drogę,
Mówię, jak myślę, czynię, jak mogę.

5. Nadgrobek Stanisławowi Konarskiemu, *scholarum piarum.*

Ten co piérwszy zdziczałe ciął gałęzie wzniosłe,
I śmiał ściéżki odkrywać wiekami zarosłe,

Co nauki, co miłość kraju wzniósł i krzepił,
W cieniu laurów spoczywa, które sam zaszczepił.

6. Do ks. S. P.

Zagrzebanie się w domu jest czasem skutkiem uwagi, czasem melancholii, najczęściéj okoliczności, w których zostajemy.

Wielu się w swoich domach zagrzebało
Nie bez przyczyny. Ów, co zyskał, zgubił;
Temu się w dworskiém życiu nie udało;
Ten chciał znać ludzi, poznał, i nie lubił:
Źli i otwarcie, źli i po kryjomu.
Rozum po szkodzie: najlepiéj żyć w domu.

Zabawno patrzyć na fortuny losy,
Jak jednych wznosi, drugich upokarza;
Jednakże martwią jéj dotkliwe ciosy,
A widok, który codziennie się zdarza,
Uczy, jak źle być w polu podczas gromu.
Cóż zysk z bojaźnią? Najlepiéj żyć w domu.

Dobry dostatek, gdy się coraz mnoży,
A pora sprzyja, ażeby się mnożył;
I ten stan przecie nieraz możność tworzy:
Dzień jeden wspomógł, dzień drugi zubożył.
Bodaj żyć, złego nie życząc nikomu,
Sobie wystarczyć, i skończyć los w domu.

7. Do S.

Nieraz myślałem o przywarach każdego stanu, i skutek mojego myślenia ten był, iż niemasz w świecie sytuacyi takowéj, któraby nie miała w sobie jakowéj zdrożności; mniéj ich, lub więcéj czyni to, co my zowiemy szczęściem. To najgorzéj, iż co dobre, traci czasem swój powab, co złe, im dłużéj trwa, tém przykrzejsze. Ztąd téżto podobno owi dawni filozofowie sekty Stoików w nieczułości kładli doskonałość człowieka. Ale i ten stan martwy równie przykry! Jeżeli bowiem oszczędza umartwienia, nie daje uczuć słodyczy, a jedno z drugiém pospolicie życie nasze przeplata. Zostawmy więc rzeczy tak, jak są: wykwintność je nasza nie poprawi.

Być księdzem — praca, kłopot, i biskup i sądy,
Być młodzianem — czcza pora, złe chwile, złe rządy,
Być żonatym — staranie o dzieciach i żonie,
Być wdowcem — żal lat przeszłych, tęskność w każdéj stronie,
Być dworakiem — niewola w powabnéj postaci,
Być żołniérzem — zysk trudny i życie się traci,
Być w domu gospodarzem — i tam złe znajdziemy;
Czémże być? Wszędzie przykrość! Żyjmy, jak możemy.

8. Do . . . .

Często zwykłem odbiérać pytania, podobne temu, które wmpan czynisz, czyli się w zakącie moim nie nudzę. I w miastach się nudzą. Nie idzie więc o to, żeby się wcale nie nudzić, ale żeby mniéj nudności doznawać, niżeli inni doznawać zwykli. Mędrcy dawnych wieków powiadali, a teraźniejsi ustawicznie powtarzają:

Iż kto wgłąb rzeczy docieka,
Wzniéść się może nad człowieka.

A jednakże gdyby i tych mędrców kto dobrze szpiegował, znalazłby ich może i nieraz ziéwających.

Wewnątrz nas ułomność siedzi;
Chybabyśmy byli z miedzi,
Gdybyśmy nie doznawali,
Czego i wielcy i mali,
Co ludzką naturę mają,
Ustawicznie doznawają,

Tojest niespokojności, trosków, zgoła chwil przykrych.

Wieśniak chwali łąki, kwiatki,
Co powabne oczy łudzą;
Jednak te wdzięków zadatki,
I wieśniaka czasem nudzą.

Miast mieszkańce wśród rozkoszy
Wielbią różność i wspaniałość:
Zbytek zabaw radość płoszy,
Słabi czucie ciągła trwałość.

I ci, w których ręku dzielnych
Dary fortuna złożyła,
Uznali czczość skazitelnych:
Sama wielkość trudem była.

Zgoła wszystkie świata stany
Losu ludzi nie przewrócą; —
W biegu swoim na przemiany,
Raz się cieszą, drugi smucą.

Niemasz więc ani ciągle wesołych, ani ciągle smutnych chwil: a co starożytność podaje o Heraklicie ustawnie płaczącym, śmiejącym się Demokrycie, między bajki kłaść należy.

Radość smutkiem, czczość użyciem
Nie źleto, iż się przeplata;
Nie byłoby życie życiem,
Gdyby był los inszy świata.
Jak lato idzie po wiośnie,
Jak jesień idzie po lecie;
Tak w nas radość, smutek rośnie,
Tak szczęście z nędzą na świecie.

9. Do p. w. r.

Nie byłem interesowanym i nie jestem: przypominam obiecaną wilczurę. Assumpt nie zdaje się kwadrować z konkluzyą, przecież gotów jestem dowieść, iż można o wilczurę prosić, zachowując nieskazitelność wspaniałego umysłu;

Wszak i Seneka, mędrzec zachwalony,
Wielbił ubóstwo, a kradł miliony.

Zapędziłem się w erudycyą, wracam więc od Seneki do wilczury, a wpadając w moralność, mam honor, ile proszący, z uszanowaniem przełożyć,

Iżto powszechnym na świecie okrzykiem,
Kto raz obiecał, ten został dłużnikiem.

Prawda, iż wiek teraźniejszy zdaje się poniekąd stare maxymy znosić;

Przecież pomimo wszelkie konjektury,
Niech się to mojéj nie tyczé wilczury.

Nadchodzą zimowe czasy, a jwwmć panu wiadomo, iż brzegi Baltyckiego morza nie są siedliskiem Zefirów i Fawoniuszów. Sławnéj pamięci Owidyusz dmuchał w palce nad Dunajem; cóż dopiéro tam, gdzie w porównaniu taka różnica od Dunaju, jaka była Dunaju od Tybru! Cóżkolwiek bądź, lubo rymotworskie umysły dość bywają rozgrzane, jednakowoż

Zapał umysłu czy w wiérszu, czy w prozie,
Buja, gdy ciepło, ustaje na mrozie.

Jest cito, prawda, od téj przygody piec, albo komin, ale że się i poza domem wspaniałe myśli częstokroć marzą;

Dobra wilczura od takowéj pory,
Pod nią się roją pięknych myśli wzory,
Pod nią gdy członki wzmaga miłe ciepło,
Myśl rozżarzona rzeźwi czułość skrzeplą.

Racz zatém wiedzieć, jw. mecenasie (wielu i wilczury nie dawszy, ten tytuł noszą), racz wiedzieć, ile dobrego literaturze ojczystéj uczynić możesz szczodrobliwością swoją. Imaginuj sobie rozrzewnienie poetyckie na widok szacownego daru.

Wzbiwszy się wgórę na twoje pochwały,
Wpadnę na Parnas, wzruszę Olimp cały;
A grzmotném hasłem głosząc twoją sławę,
Wśród Zodyaku osadzę Pilawę.

Mogło się z łaski ichmościów astronomów pomieścić na niebie *scutum Sobiescii*, czemużby ojczysty klejnot jw. mecenasa nie mógł mieć miejsca na okręgu słonecznych obrotów?

A cóż lepszego Niedźwiadek i Raki,
Co je chaldejskie tam kładły dziwaki? —

Z tych więc moralnych, historycznych, geograficznych, astronomicznych pobudek obiecanéj wilczury z niecierpliwością oczekuję: a gdy przyjdzie, dam dowód, iż, jeżeli umiém prosić, umiém i dziękować.

10. Do tegoż.

Kiedy też ów piękny, rzadki, szacowny wilk, wyprawiony w styczniu, dopiéro w lipcu do mnie zawitał wraz z listem dawcy; nie moja więc wina, żem się z podziękowaniem opóźnił.

A jakto nie dziękować, zwłaszcza gdy jest za co?

Drugiego wiérsza nie dokładam, boby w brzmieniu był, prawda, do składu, ale dla kadencyi musiałoby się położyć ą zamiast o. Że mi się więc, jak to mówią, na piérwszym podskoku, nie powiodło, ja przeto fantazyi nie tracę:

Choć się myśl rymotworska nie nadała piérsza,
Przecież w nowym zawodzie powracam do wiérsza.

Najéżywszy się więc tak, jak moi współbracia umieją,

Będę ci dziękował odą,
Zacny ruski wojewodo!

Brzmij Kalliopo, a wspaniałem ruchem,
Kastalskich bełtów napuszona duchem,
W grzmotliwym górnych prawideł oddechu
Pędź w swym pospiechu.

Co widzę! oto zżymają się skały,
Kręty Eryppu huczno się wezbrały,
Nurty się mącą, a zdroje w zawody
Pienią swe wody.

Gdzieżeś Pindarze?....

Ale że się Pindar nie odzywa, więc i ja z górnego tonu spuszczam,

A potknąwszy się już to razy kilka,
Wracam do wilka,

I powiadam,

Iż to prawnuk téj wilczycy,
Któréj owi ludzie dzicy
Dali karmić Romulusa,
I brata jego Remusa.

Prawda, iż daleko z Rzymu do Tulczyna; ale czyliż w przeciągu dwóch tysięcy lat nie mógłby który wilk włoski zawędrować na Ukrainę? A wreszcie, czy zawędrował, czy nie zawędrował,

Czy on z Północy rodem, czy ze Wschodu,
Wart być potomkiem tak zacnego rodu.

Dość to na jego pochwałę, a ja za szacowny podarunek i za miłą odezwę z wdzięcznością dziękuję.

29. Franciszek Xawery Dmochowski,

Rymopis, polityk i mowca zasłużony w literaturze polskiéj za panowania Stanisława Augusta. Urodził się na Podlasiu roku 1762. Piérwszych nauk początki odbywszy w Drohiczynie u księży Piarów, mając lat 17 wstąpił do tego zgromadzenia. Wymowa, rymotworstwo, piękne sztuki panującą były żywego umysłu jego rozkoszą. W Radomiu, Łomży i Warszawie z niemniejszą chwałą dla siebie, jak pożytkiem dla uczniów pracując w zawodzie nauczycielskim w publicznych szkołach piarskich, i rozwinąwszy swoje talenta w pismach wydanych na świat, zasłużył sobie na względy piérwszych osób w narodzie. Od roku 1795. lat kilka przebywał w Niemczech, we Włoszech, a najwięcéj w Paryżu, dopóki za pośrednictwem Ignacego Krasickiego, arcybiskupa gnieźnieńskiego na dworze berlińskim nie uzyskał pozwolenia, aby znowu powrócił do kraju. Daną sobie *in Collegio Nobilium* w Warszawie katedrę wymowy i poezyi przez dwa roki ze zwyczajną swych prac zaletą utrzymywał. Za utworzeniem się w roku 1801. towarzystwa warszawskiego Przyjaciół Nauk mianowany sekretarzem jego, on prawie piérwszy otworzył pole krytyki naukowéj, i na niém największe położył zasługi. Działał pismem i radą ustną, do któréj się wszyscy cisnęli tak, że śmiało powiedzieć można, iż nie ma znakomitszego dzieła spółczesnych jemu młodych autorów, któreby mu mniéjwięcéj nie było winne swego poloru. On i Szymanowski byli Arystarchami polskiego Parnasu. Krom tego zrobił Dmuchowski w rymotworstwie polskiém epokę przez ulepszenie mechanizmu wiérsza. Oddany ciągle naukom, pracował w zawodzie literatury ojczystéj aż do śmierci, która dnia 20. czerwca w roku 1808. a 46. wieku życia zawcześnie go wydarła zpośród żyjących. Sławie uczonego męża, na posiedzeniu towarzystwa warszawskiego Przyjaciół Nauk Ludwik Osiński, tegoż towarzystwa sekretarz i członek dnia 19. stycznia 1809. w mowie swojéj oddał sprawiedliwe zalety.

Pisma Dmochowskiego: 1.) *Sztuka rymotworcza, poema we 4 pieśniach.*— 2.) *Sąd ostateczny, poema Edwarda Young'a Anglika, z tłumaczenia francuzkiego p. Turner, wiérszem przełożone.* — 3.) *Iliada Homera* w 3. tomach. Płynnym wiérszem przełożył Dmochowski to dzieło, w którém myśli ojca poetów z wielką gładkością przelał na język polski. Zamyślał także o przełożeniu Odyssei Homera; wczesny atoli skon jego nie dozwolił mu to poema ukończyć, którego

znaczną część już był przełożył wiérszem. Trudnił się także tłumaczeniem Eneidy Wirgiliusza, którą aż do księgi IX. dociągnął. Naostatek znaczną część Listów Horacego gładko i wiérszem pełnym harmonii przełożył. Do pism Dmochowskiego wiérszem wydanych należy jeszcze urywek z *Bicza kręconego.*

W niewiązanéj mowie czyli prozie następujące dzieła pisał: 1.) *O cnotach w towarzystwie najpotrzebniejszych, i wadach im przeciwnych.* — 2.) *O religii jako jedynéj zasadzie szczęśliwości ludzkiéj,* tłumaczone z francuzkiego dzieła pani *Genlis.* — 3.) *Mowa o potrzebie i sposobach uczenia łacińskiego języka.* — 4.) *Zakus nad zaciekami wszechnicy krakowskiéj.* — 5.) *Pochwała p. Karpia, chorążego upitskiego.* — 6.) *Mowa przy obchodzie pamiątki pogrzebowéj Ignacego Krasickiego, arcybiskupa gnieźnieńskiego.*

Ks. Ign. Chodyniecki.

Sztuka rymotworcza, poema we czterech pieśniach, w Warszawie r. 1788.

1. (Poezya w ogólności).

Wielu idąc za zwodnym blaskiem farb pozornych,
Nie tak z myśli prawdziwych, jak raczéj wytwornych,
Szukają swéj zalety, i szumnemi słowy
Chcą zastąpić ubóstwo nie myślącéj głowy.
Tak fałszywy dostatek dzieła nie zbogaca:
Niech obfitością myśli jaśnieje twa praca.
Inni wsławionych mistrzów pogardzając torem,
Uwodzą się fałszywéj piękności pozorem,
I gdy ich wyobraźnia za nadto uniesie,
Dzika malują w morzu, a delfina w lesie.
Trzeba prawa natury miéć zawsze na względzie,
A pomysł wykonaniu odpowiadać będzie.
Wiele jest dróg do błędu, lecz jedna prowadzi
Do prawdziwéj piękności. Tą rozum iść radzi.
Natura jest jedynym wszystkich ozdób wzorem,
Byleś z nich umiał trafnym korzystać wyborem;
W niéj się zielenią lasy, w niéj się łąki śmieją,
Grzmią pioruny, wrą morza, dmą wiatry, dżdże leją;
Pasą się liczne trzody, młode kózki skaczą,
Zamki zwalone w gruzach swéj wielkości płaczą,
Ryczy w odległych puszczach głodem zdjęte zwierzę,
Rybak chytre w jeziorach zastawia więciérze,

Tysiącami gwiazd nieba zdobi się sklepienie,
W cichéj nocy okropne panuje milczenie:
Gdy trwoga i samotność przyrodzeniem włada,
Jutrzenka gwiazdy dziennéj powrót zapowiada,
I w zdrętwiałą naturę nową dzielność wléwa;
Widzisz pola żyjące, spiéwające drzewa.
Wszystko może w naturze do twych pieni służyć,
Byleś tylko miał dowcip i umiał jéj użyć.
Zmyślenie jest żywiołem i duszą poety,
Gdy wytkniętéj rozumem nie przechodzi mety.
Czyż można delfinami zaludniać zwiérzyńce,
Lub po morzu płynące wystawiać odyńce?
Czyliżby zająć zdołał obraz téj osoby,
Do któréj brałbyś zewsząd niesforne ozdoby,
I z różnych części skleił nieforemną całość?
Dobór rysów stanowi dzieła doskonałość:
Lecz niechaj zdrowy rozum zawsze cię prowadzi.
Ten który mi dzielnego bohatéra zgładzi,
A potém zapomniawszy, że wziął raz śmiertelny,
Wiedzie go na plac, w rękę kładzie oręż dzielny, —
Znajdzieli u mnie wiarę? — Pocci! malarze!
Umiejcie żywość myśli w pewnéj trzymać miarze,
I zamiast wdzięcznych tworów nie róbcie straszydeł.
Kto się z wiecznych rozumu wyłamie prawideł,
I łudząc się zwodnemi piękności pozory,
Bez prawdopodobieństwa kréśli dziwotwory,
Na chwilę tylko zyska głów niebacznych zdanie,
Lecz w wieczném pośmiewisku u mądrych zostanie.
Piérwszy przymiot trafnego rzeczy wynalazku,
A drugi utrzymania. Co po złotym blasku,
Po sztuce purpurowéj, która pięknie świéci,
Jeźli ją brzydka łata i szych podły szpeci?
Niech się piętno rozumu w każdym wyda rysie:
I cóż w obrazie twoim po pięknym cyprysie,
Gdy tonącego w morzu malujesz rozbita? —
Każda rzecz z siebie saméj niech będzie obfita,

Obce krasy ją szpecą, a jeżeli sucha,
W twardy kamień czułego wlać nie można ducha,
I kto się na wyborze dzieła swego myli,
Źle zaczął, próżno dobrze wykonać się sili.
Jak stos głazów niekształtnym jest zawsze ogromem,
I, by został porządnie ułożonym domem,
Potrzebuje biegłego architekta ręki:
Tak i dzieło ma tylko rozsypane wdzięki,
Błyszczące nie na miejscu, świécące bez ładu,
Jeżeli potrzebnego niemasz w nim układu.
Ten który ma porządek w przyzwoitym względzie,
Wié, co na którém miejscu, stosowniejszém będzie;
Wié, jakich gdzie kolorów używać przystoi;
On się w swoich utworach usterku nie boi,
Nie braknie mu wymowy, na wdziękach nie schodzi;
Zna, co dzieło ozdobi, zna, co mu zaszkodzi,
Co w początku, co w środku, co położyć potém:
Tak zawsze doświadczonym puszczając się lotem,
Dąży do celu swego i gładko i snadnie,
Nie wzbija się zbyt górno, zbyt nizko nie padnie:
Zawsze dzieła osnowę mając przed oczyma,
Przyzwoitego toku swéj rzeczy się trzyma.
Zbytnie dokładny pisarz w dziele przedsięwziętém,
Póty pisze, aż wszystko wyczerpnie ze szczętem,
I żeby czytających hojnie ubogacić,
Najmniejszego szczegółu nie radby utracić.
Maluje pałac? zewsząd chce go wydać oku,
Obchodzi go i ztyłu, i zprzodu i zboku:
Idą na plac zrobione pięknym kształtem blanki,
Idą bindy, i rzeźby, i okna, i ganki:
Cóż gdy zacznie prowadzić od schodu do schodu?
Dziesięć kart czytam, niźli zajdę do ogrodu.
Nuż tam dopiéro liczyć ozdobne kwatery,
Nuż drzewa, i dziczyzny, i pyszne szpalery:
A daléj i owoce, i zioła, i kwiaty;
Piękny widok, lecz nudny, bo nadto bogaty!

2. (Komedya).

Gdy Melpomena pięknéj dostąpiła sławy,
Wystawując ludowi bohatérskie sprawy,
Zwróciły się dowcipy do innéj uciechy;
Nie samą tylko trwogą, lecz trefnemi śmiechy
Starały się lud bawić: ujrzały Ateny
Nieznany im dotychczas wzór komicznéj sceny.
Greczyn, trefny z natury, lubił z drugich szydzić,
Nikomu nie darować, każdego zawstydzić.
Do szyderstw Eupol, Kratyn, Arystofan skory
Tego, kto bez zasługi odbiérał honory,
Kto się wyniósł tą drogą, którą nie należy,
Kto swą zrobił fortunę z publicznéj kradzieży, —
Wolno grali na scenie, a szpetnym wyrazem
Gdyby nie wykraczali i złością bezwstydną
I oszczędzali ludzi, karcąc ludzkie wady,
Daliby wielkie sceny komicznéj przykłady.
Lecz zbyt wolne teatru otworzyli wrota,
Nie uszła ich szyderstwa ni mądrość, ni cnota,
A nawet sam Sokrates, mąż nieporównany
Przed głupiém był pospólstwem na teatrze grany.
Trzeba było aż prawem swawolą poskromić
I poetów ukarać, i aktorów zgromić,
Zakazać twarz udawać, wymieniać nazwiska:
Stały się przystojniejsze zatém widowiska,
Został wesoły dowcip, lecz bezczelność znikła,
I od podłéj potwarzy Talia odwykła:
Karciła obyczaje, wyszydzała błędy,
Lecz szacowała cnoty, zasługi, urzędy.
W skromnym wiérszu Menandra dokładnie wydany
I skąpiec nieużyty, i oszust doznany,
I bezecny łakomca, i kostera goły
Szedł na scenę: każdy się śmiał z innymi wspoły,
Widząc takie obrazy, żartował i szydził,
A znalazłszy ich w sobie obraz, sam się wstydził.
Tak zręczną komedya ubarwiona sztuką
Była zabawą ludu, a razem nauką.

Kto więc bawić i karcić na teatrze żąda,
Niechajże bystrém okiem w serce ludzkie wgląda,
Niech zna jego słabości, co dziwak, co sknéra,
Co skąpiec nieużyty, co brzydki przechéra,
Co łgarz z wytartém czołem, co zuchwalec butny,
Co rozrzutnik, co podły, co filut wierutny,
A co człowiek poczciwy: biegły w świata szkole,
Pewnie dobrze każdego potrafi grać rolę.
On wszystkim stanom własne nada charaktery,
On ludzkich obyczajów obraz wyda szczéry.
Jedna słabość nad tego przewodzi umysłem,
Druga tamtego serce w jarzmie trzyma scisłém:
Ten się za tém ugania, czém się tamten brzydzi,
Jeden to lubi, czego drugi nienawidzi:
Każdy ma swe zamiary, każdy ma swe żądze,
Dumny lubi ukłony, łakomy piéniądze.
W jedném oka rzuceniu dusza z nas wybiega,
Ale nierównie każde oko ją postrzega.
W ciasnéj duszy zamknięty, łakomiec nieczuły,
Na same tylko patrzy z piéniędzmi szkatuły,
Nie zna dobroczynności, i byle miał więcéj,
Byle kilka do skrzyni przygarnął tysięcy,
Nie dba, że go przeklina człowiek nieszczęśliwy:
Ni z niego obywatel, ni człowiek poczciwy.
Filut grzecznie się kłania, pochlebia i sciska,
A gdy zwiedzie głupiego, kiedy na nim zyska,
Z swoich sztuk się przechwala, z prostoty się śmieje.
Płochy wielkie na piasku zakłada nadzieje,
Które jednym podmuchem lada wietrzyk zciéra:
Jedną daje rozrzutnik ręką, drugą zdziéra:
Człowiek poczciwy wszystko dla Boga i ludzi
Gotów uczynić, jego nędza bliźnich budzi.
Chętnie się z nieszczęśliwym majątkiem swym dzieli,
Kiedy dobrze uczyni, z tego się weseli,
Upadek ma w nim wsparcie, smutek pocieszenie,
Zdrową radę wątpliwość, przyjaźń zasilenie:

Dobro ludzi jedynym starań jego celem,
On prawdziwym ludzkiego rodu przyjacielem.
Jeźli wiernie tak cnoty, jak błędy wystawisz,
Tak znakomitą pracą na zawsze się wsławisz. —
Wszystko z następstwem czasu mieni się, i z wiekiem
Człowiek coraz to innym staje się człowiekiem.
Dziecię, co już na ziemi krzepkie stawia kroki,
Na kiju z rówienniki płoche czyni skoki,
Niesposobne do statku, z lada czego płacze,
Znowu, lada łakótką utulone, skacze.
Młody, gorący w chuci, niestateczny w myśli,
Coraz inne układy w pustéj głowie kréśli;
Nowa coraz odmiana idzie za odmianą,
Tego w wieczór nie lubi, w czém się kochał rano:
Mało zważa na przyszłość, wolne puszcza żądze,
Traci płocho na próżne uciechy piéniądze,
Jak wosk, przyjąć na siebie wszelkie zdolny wady,
A niechętném przyjmuje uchem starszych rady,
Człowiek dojrzały wszystko roztropnie poczyna,
Chciwie się na honory i urzędy wspina,
Rad pomnaża fortunę, gdy ma, więcéj żąda,
I uważném się okiem na przyszłość ogląda.
Zimny starzec łakomie lubi zbiérać skarby,
A pod scisłe zamyka dostatki swe karby,
Długo myśli, i wszystko nadal rad odkłada,
Przeszłe lata wychwala, na dzisiejsze gada,
Twardy młodych poprawiacz, wszystkiemu przygania,
Czego użyć nie może, młodości zabrania.
Trzeba znać, jakie wieku każdego przywary. —
Nie tak ma mówić młody, jak zwykł mówić stary,
Albo znowu przeciwnie, — znać dwory, wsie, miasta.
Inne dziś obyczaje, a inne za Piasta.
Inaczéj ten, co ziemie rznie ostremi pługi,
Inaczéj co dla zysku świat przebiega długi,
Inaczéj mówi dworak w różne sztuki płodny:
Każdy, ze swoim stanem winien ton miéć zgodny.

Dotego wady w różnych nie jednéj natury:
Nie te ma lekki Francuz, co Anglik ponury.
Znajdęż tam narodowych charakterów znaki,
Gdzie mi z mieszczan paryzkich wystawiasz Polaki *).
Nie dosyć do udania przyzwoitéj roli,
Że się Francuz zaczesze, a Polak ogoli:
Trzeba sięgnąć do serca. Zwierzchność mię nie zwodzi,
Sama wydana dobrze natura dogodzi.
Tak wystawując ludzi w przyzwoitym względzie,
I uczyć nas, i bawić komedya będzie.
Ponuréj trajedyi płaczem nie rozrzewnia
Wesołym sobie tonem przychylność zapewnia,
Ale chroni się albo grube czynić żarty,
Albo kopami z piekła wywoływać czarty:
W niéj się miła wesołość i przystojność wiążą.
Niechaj rzeczy przy końcu szybkim biegiem dążą,
Niech w scenach przerwy nie ma, wydane dosadnie,
Niech wszystko naturalnym obrotem wypadnie.
Ciężko ten przeciw sztuce poeta wykracza,
Który mowę wśród aktów zwraca do słuchacza:
Znika całe złudzenie. Rzecz dzieje się w domu
Między swymi, przystoiż mięszać się w nią komu?
Twe zmyślenie miéć winno taką prawdy postać,
Że nawet i ślad sztuki nie może w niém zostać.
Nie dosyć jednak umieć ludzkie wyśmiać wady,
Trzeba nam jeszcze cnoty wystawić przykłady.
Tego niezwiędły wawrzyn u potomnych czeka,
Który nas powinności nauczy człowieka,
Który wyda ludzkiego towarzystwa związki,
Jakie są ojca, jakie syna obowiązki,
Jakie dobrego męża, jakie dobréj żony,
Jakie tych, którym dozór młodych powierzony.

*) Sciąga się to do wielu komedyj francuzkich po polsku przebranych, gdzie imiona aktorów odmieniwszy na Staruszkiewiczów, Burdeckich, Wiernickich, Roztropskich i t. d. rzecz od autora do obyczajów francuzkich stosowana, całkiem jest do Polaków przez tłumacza przeniesiona. Przecieżby więcéj należało uważać na charakter narodów.

Więcéj bowiem przystojność sprawuje uciechy,
Niż to, co na wzgardliwe zasługuje śmiechy;
Tu rozsądku, powagi, tu potrzeba zdania,
Tu mocy, która serce do dobrego skłania,
Tu zgłębić serce ludzkie, poznać należycie,
Co szczęśliwe uczyni między ludźmi życie.
Tak napisana sztuka lepiéj lud zabawi,
Niż ta, co tłuste żarty i szyderstwa prawi.
Śmiéch prędko niknie, czułość wskróś serce przenika:
Ten co wydał człowieka, którego dotyka
Ludzkość, że jest człowiekiem, i przez to poklaski
Wzbudził całego Rzymu, nie dbał o te wrzaski,
O te śmiéchy, co tylko puste serca łechcą;
Innego, prócz wzruszenia, czucia dobrzy nie chcą.
Nadewszystko niech widzę dobry koniec w dziele:
Niechaj się poróżnieni zgodzą przyjaciele,
Niechaj zagniéwanego ojca syn przeprosi,
Niechaj przwrotność hańbę, złość karę odnosi,
Niech zawsze należytą ma cześć wiek sędziwy,
Niechaj góry nie bierze człowiek niecnotliwy,
Niech złość, chytrość, bezczelność, na co serce boli,
Nie grają same brzydkiéj, jak w Dziedzicu, roli,
Wtenczas za pożyteczne twe dzieło uznaję,
Gdy szanujesz przystojność, gdy czcisz obyczaje.

3. (Epopeja czyli wiérsz bohatérski).

Ta która czyny wielkich bohatérów głosi,
Na sam się szczyt Parnasu, epopeja wznosi:
Zawsze dążąc do celu jednéj wielkiéj sprawy,
Tysiącem zmyśleń zdobi ciąg długiéj postawy,
Na zmyśleniu polega, zmyśleniem się wzmaga:
Tak w niéj trafnie się łączy, tkliwość i powaga,
Że jéj mocy i wdziękom nikt nie wzbroni ucha:
Wszem użycza istnościom i ciała, i ducha,
I twarzy, i języka, i miłéj postaci,
Całą wzrusza naturę, i życiem bogaci.

Każda w niéj cnota bóstwa nazwisko przybiera:
Roztropność jest Minerwa, a piękność Wenera,
Wojnę krwawy Mars znaczy, a na zgubę świata
Z piekielnéj paszczy wściekła Niezgoda wylata:
Pioruny nie są skutkiem ziemnego wyziewu,
Jowisz przez nie oznacza pogrom swego gniewu;
Kiedy nawalność miota odmęty niezgłębne,
Znać Neptun rozgniéwany wstrząsł berło trójzębne;
Tak szlachetnym poeta dowcipem bogaty,
Zewsząd zbiéra przydatne do prac swoich kwiaty:
Martwa istota kształtną wyjdzie z jego ręki,
I kamień ma swą piękność, i głaz swoje wdzięki,
Wszystko zręcznie w przystojne okrasy przywdzieje:
Wszystko u niego rośnie i wszystko się śmieje.
Homer bohatérskiego wiersza jest autorem:
W tysiąc lat Wirgiliusz poszedł jego torem,
A po nim drugie tysiąc odważnemi kroki
Udał się Tass przyjemny, i Milton wysoki.
Możnali mniejsze równać dla sztuki z wielkimi,
Idzie autor wesołéj Myszeidy z nimi.
Wielu bardzo próżnemi biegało zawody:
Tak rzadkie są wielkiego geniuszu płody!
Że nawalność powstała i trojańskie łodzie,
Jedne w wzburzonéj wichrem zatopiła wodzie,
Inne wbiła na piaski, innym starła wiosła,
Inne w dalekiéj kraje Afryki zaniosła,
Nic tu dziwnego niemasz. Ktokolwiek się kusi
Śmiałém wiosłem pruć morze, flag doznać tych musi:
Lecz że mściwéj Junony gniéw nieubłagany
Bez odetchnienia ściga nieszczęsne Trojany;
Że Elol na jéj prośby, na jéj obietnice
Wodze rozpuszcza wichrom, wznieca nawałnice,
Mięsza ziemię, powietrze, i niebo, i wody,
Neptun wszystko skinieniem przywodzi do zgody,
Zpycha ze skał okręty, bałwany uśmierza,
To nas i miło bawi, i mocno uderza.

Bez tych ozdób się wlecze wiérsz twardy, niemiły,
W obrazach niemasz wdzięku, w rymach niemasz siły.
Zimny autor, co same dzieje nago prawi,
Unudzi czytelnika, nie słodko zabawi.
U dawnych bóstwa były wszystkiego sprężyną.
To greckiéj, to trojańskiéj krwi strumienie płyną.
Palą się nawy Greków, trojańska młodź ginie,
Mści się Achil Patrokla, z Hektora krew płynie.
Wszystko idzie od Bogów wsparcia i obrony:
Ci dla téj niosą pomoc, ci dla tamtéj strony.
Mściwa Juno z Palladą, że minął je chlubny
Honor piękności, Troi gotują los zgubny,
A Wenus, co wygrała zaszczyt pożądany,
Za przychylnymi sobie stawia się Trojany:
Nie lubiąc się w zaciętych kobiét mięszać zwady,
Jowisz u odwiecznego *fatum* szuka rady.
My, którzy inne mamy Boga wyrażenie,
Wiémy, że jest istnością mądrą nieskończenie,
Nie ma granic swéj mocy, jak wszystko z niczego
Wyprowadził, tak wszystkiém rządzi wola jego,
I cokolwiek w przedwiecznych wyrokach układa,
To będzie, to odmianie żadnéj nie podpada:
Przez winne wielmożności jego poważenie
Nie możem go jak dawne bogi kłaść na scenie.
Z tych miar więcéj Wirgili i Homer korzysta,
Jednakże rozum zdrowy, religia czysta,
Wielki serca charakter, niezłamane męztwo,
Odniesione w zapale nad sobą zwycięztwo,
Cnota zawsze wysoka, ufność w Bogu szczéra,
Może u nas wielkiego zrobić bohatéra.
Zamiast bajek pogańskich w rzeczy przedsięwziętéj
Można poruszyć piekło, gdzie w złości przeklętéj
Pragną duchy buntowne zniszczyć dobroć nieba,
Ale im nadto mocy przyznawać nie trzeba:
By chytrością i siłą prawicy swéj wsparci,
Na swą stronę wygraną przeważali czarci:

Byłoby to zniżeniem Bóstwa majestatu.
Tass i Milton szczęśliwie okazali światu,
Jak się duchy piekielne siliły na zdrady,
A jak Najwyższy dumne zawstydził ich rady.
Grzech mięszać prawdę z fałszem, jakby mogło właśnie
Iść razem objawienie i pogańskie baśnie.
Kto nierozmyślném piórem prawdę z fałszem braci,
Ten samę prawdę w bajki wystawia postaci.
Nie może wieszcz przyzywać córek Helikonu,
I razem wsparcia Pani wielkiego Syonu,
Ni Pityi z prawymi umieszczać proroki,
Trzeba dobre mieć zdanie rozsądek wysoki:
Świętym dawnych bożyszczów nie przyznawać chuci.
Niezgoda szczęścia w niebie wiecznego nie kłóci,
Niemasz w zdaniach różności, niemasz w radzie sporów,
Niemasz rozpustnych biesiad, ni skocznych wieczorów,
Ni śmiéchów nieprzystojnych. Bóg nasz — Bóg prawdziwy,
Zawsze mądry i święty, wielki, sprawiedliwy,
Skarby dobroci swojéj z stworzeniami dzieli;
Jego twarzy widzeniem szczęśliwi anieli,
I te błogosławione duchy, które złote
Domy wzięły dziedzictwem w nagrodę za cnotę:
On sam panem wszystkiego, on karze, nagradza,
Jego nieokréślona wszystkiém rządzi władza;
On pełni w czasie swoje wieczne przeznaczenia,
A wszyscy ze czcią jego przyjmują skinienia.
Jednak nie wcale bajki znosimy użycie,
Od niéj bowiem rzecz bierze i postać, i życie:
Niechaj piekielny żeglarz umarłych przewozi,
Niech Minos winowajcom szalą sądów grozi,
Dyana z łukiem, Pallas niech będzie z puklerzem,
Herkulowi maczugi ogromnéj nie bierzem,
Ni Bachowi szklenicy, i Słońcu wóz złoty
Zostawim, którym roczne sprawuje obroty.
Można zręcznie połączyć to wszystko w ozdoby,
I cnoty, i występki przekształcić w osoby:

Sprawiedliwości panią wydać z szalą w rękach,
Ślepą losów szafarkę, nędzę w gorzkich jękach,
Szumnym wiatrom przyprawiać bystrolotne skrzydła,
Zabójcze ująć gniewy w hartowne wędzidła.
Straszną wojnę z miedzianém odmalować czołem,
Czas ważący niechybném losy królestw kołem,
Przed zwycięztwem strach puścić, za niém spustoszenie,
Z pokojem nieść wesele i uszczęśliwienie.
Piękna przenośnia cechą rymotworczéj sztuki,
Słodko przyprawne lepiéj smakują nauki;
Na to tylko powstajem, na to tylko walczym,
By w wiérszu chrześcianem nie być bałwochwalczym.
Jeżeli epopeja chce mile zabawić,
I nigdy czytelnika w tęsknotę nie wprawić;
Niech dzieje bohatéra wielkiego opiéwa,
Takiego, co się chwały miłością zagrzéwa,
Który przez cnoty swoje, przez oręża dzielność,
Sprawiedliwie zarobił sobie nieśmiertelność.
Niechaj w nim coś wielkiego same wady mają.
Przystoiż mieścić tego między podłą zgrają,
I z najlichszym pospólstwa zarówno kłaść gminem,
Którego wprzódy boskim uczyniłeś synem,
I dawszy wielkie jego cnót wyobrażenie,
Poświęciłeś mu arfy bohatérskiéj pienie?
Także cnoty pomiernéj nie uchodzi chwalić.
Czyliż może nas taki bohatér zapalić,
W którym nic szczególnego nie widzisz nad ludzi?
Cnota tylko, — a cnota wysoka nas budzi.
Nie znajduje się w sercu ludzkiém doskonałość;
Może w niém świecić wielkość, powaga, wspaniałość,
Męztwo nieprzełamane; lecz i rycerz dzielny
Może zbłądzić, i wskazać umysł skazitelny.
Te są Homerowego Achilla zaszczyty,
Lecz nawet i w słabościach swych niepospolity:
I mimo wad swych więcéj Achilles nas wzrusza,
Niźli stała w Wirgilim Trojańczyka dusza.

Niech wielkość serca wszystkie postępki ożywia,
Ta sprężyna dzieł wielkich najbardziéj zadziwia.
Tass, wiekopomny spiéwak zdobycia Solimy,
Tass, tak pięknie polskiemi przełożony rymy,
W tém dzieło upośledził, w tém sobie zaszkodził,
Że bohatér w niém mały. Godfredci dowodził,
Godfred wygrywał bitwy na nieprzyjacielu:
Lecz najprzód mało znaczy wśród rycerzów wielu,
Którzy dokazywali cudów dzielną dłonią,
I więcéj działa radą, i męstwem, i bronią.
Wszystko złe bez porządku: jak w matni się zgubię;
Wszakże prostego rzeczy wykładu nie lubię,
Gdy mi z pewnych początków pewne czynisz wnioski.
Kogo zagrzał do dzieła wielkiego duch Boski,
Kto w silnym obejmuje rzecz całą rozumie,
Ten w samym nieporządku porządnym być umié.
Jako w pięknym ogrodzie wiele jest pościeży,
A każda do najpiérwszéj różną stroną bieży,
By rozmaitość milszym bawiła widokiem;
Tak rozliczne sprężyny krają się przed okiem,
I na pozór zbłąkana, wśród ustroni wielu
Idzie stucznemi drogi rzecz do swego celu:
Zdaje się coś być obcém, choć do niego zmierza,
Jednak niech się w ustępach zbytnie nie rozszérza.
Mnóstwo różnych widoków przyjemnie mię nęci,
Ale mi główny zamiar wytrąca z pamięci.
Jeden gniéw Achillesa pod piórem Homera
Osnowę Iliady całéj rozpościéra;
Różne się z tąd odmiany, różne losy rodzą,
Wszystkie atoli z jednéj przyczyny pochodzą:
Tak w Maronie Junony gniéw nieubłagany
Na tyle różnych nieszczęść naraża Trojany.
W tém sztuka, umiéć związać treść całego wątku,
Żeby wszystko z jednego płynęło początku.
Nie wiele taki zyska, co się rozprzestrzeni,
I dom mały nadstawić chce wielkością sieni.

Czasem ubóstwo rodzi zbyteczna obfitość,
I tam niesmak nastąpi, gdzie zupełna sytość.
Związłość i żywość, pierwsze zalety powieści:
Niechaj się nic zbytniego nigdy w niéj nie mieści.
I płynnego jéj toku grube nie rwą rysy:
Wspaniałość i powagę kochają opisy.
Tu rymotworcze pióro maluje obrazy,
Wszystko wydane kształtnie, żadnéj niemasz skazy,
Ciągiem rzeczy strudzony, tu sobie odpocznę:
Precz ztąd okoliczności podłe i poboczne!
Któremi, kiedy wątku nie dostaję w głowie
Zwykli napychać pisma chudzi autorowie.
Niechaj rzecz ma rozciągłość sobie przyzwoitą,
A niech będzie tak w myśli, jak w słowa obfitą.
Wielkość przystojna z dobrym złączona porządkiem,
Piękna postawa równym przeplatana wątkiem,
Wyborne czyni dzieło; kiedy i wymowa,
I charakter, i cała dobrana osnowa,
Kiedy wszystko jest piórem wydane szczęśliwém,
A dla większéj zabawy okraszone dziwem.
Część piękna się podoba, ale próżna praca,
Gdy całą sztukę jedna nić droga pozłaca:
Natenczas ma zupełną dzieło doskonałość,
Gdy i części w niém piękne, i piękna z nich całość.
Proste, skromne powinno być dzieła zaczęcie,
Bez najmniejszéj wysady. Ten który nadęcie
Hukliwą trąbą dzieje opiéwać zaczyna
Swojego bohatéra, i Latony syna
Śmiało na pomoc wzywa, cóż w dalszéj osnowie,
Żebyśmy nie zasnęli, godnego nam powié?
Czyliż zniesie do końca pracy swojéj brzemię?
Ledwieco podniósł skrzydła, już spada na ziemię.
Nie dotrzymał nam słowa, choć obiecał siła:
Równie góra w połogu myszkę urodziła.
Lepszy ten, który swoje ogranicza cele,
Co mało obiecuje, a dotrzyma wiele,

Podając bohatéra czasom wiekopomnym,
Tak zaczyna swe dzieło tonem prostym, skromnym:
„Broń i męża opiéwam, co losy wiecznemi
Uszedłszy z Troi, przybył do Italskiéj ziemi:
Wiele ten był i ziemią, i morzem trapiony
Gwałtem bogów i gniéwem okrutnéj Junony;“ —
Potém się coraz wyżéj bystrym lotem wznosi,
Szumy wiatrów i srogie flagi morza głosi,
A daléj śmielszym jeszcze postępując rymem,
Tajne bogów wyroki ogłasza nad Rzymem,
Jak nad całym obejmie światem panowanie;
Toż się w czarne spuściwszy Erebu otchłanie,
Liczy straszne piekielnych dziwolągów mary,
I okrutne bezbożnych ludzi w piekle kary,
I sędziów nieujętych wyroki straszliwe:
Wreszcie wszedłszy na pola Elizu szczęśliwe
Stawia duchów wybranych orszak znakomity,
Którym winien Rzym rady i miecza zaszczyty.
Nie zawsze trzeba górno na Pegazie latać;
Lecz wspaniałą słodyczą, wdzięk mocą przeplatać,
Tysiączne z rozmaitych stron ozdoby sciągnąć,
Wspaniałość z przyjemnością słodkim węzłem sprzągnąć,
Wystawić bohatéry podziwienia godne,
I w szczęściu, i w nieszczęściu zawsze z sobą zgodne,
Wspaniałém tchnące sercem, w urazach otwarte,
I pomimo wad swoich prawéj cześci warte.
W tém Homer jest przedziwny, Homer niezrównany:
U niego jedne idą po drugich odmiany;
W wszelkie bujny piękności, mocą utworzenia
Czego się tylko dotknie, to w złoto zamienia,
Umié wydać naturę, umié wydać ludzi,
Zawsze bawi przyjemnie, i nigdy nie nudzi.
Nie zna niewolniczego w swych dziełach porządku,
Idzie prostym do końca biegiem od początku;
Sama się rzecz wykłada, a w długiéj osnowie
Nic zdrożnego od swego zamiaru nie powie,

W nim więc sobie smakujmy; kto go cenić będzie,
Nie w ostatnim pisarzy umieści się rzędzie.
Któż u nas, twórczy dowcip dostawszy udziałem,
Na coś większego piórem odważy się śmiałém?
Kto przykładem Chocimskiéj Wojny zapalony,
Dla chwały bohatérów w głośne zabrzmi struny?

---

30. Ks. Jan Albertrandy,

Exjezuita, biskup zenopolitański, i najpiérwszy prezes towarzystwa Przyjaciół Nauk w Warszawie, urodzony tamże roku 1731. Ojciec jego przyszedłszy z Włoch do Polski, starał się najlepsze dać mu wychowanie. Zakon Jezuitów, u których początkowe pobiérał nauki, upatrując w młodzieńcu bystrość dowcipu, niezmordowaną czynność, w nadziei obfitéj z niego dla nauk korzyści, skłonił go do przyjęcia swoich ślubów zakonnych. Już w dziewietnastym roku życia przeznaczony był na publicznego professora w kollegium Jezuitów w Pułtusku, poźniéj w Płocku, Nieświéżu i Wilnie, gdzie pomiędzy uczniami swymi liczył wielu wiekiem od siebie starszych. Albertrandy z niewymowną łatwością czerpał nauki w samém ich źródle, wyuczył się języka hebrejskiego, greckiego, łacińskiego, i tak je posiadał, jak polski, francuzki, włoski, niemiecki, a niektóremi z nich pisał nawet poprawnie. Józef Załuski, biskup kijowski, otworzywszy sławną bibliotekę publiczną w Warszawie, wezwał go do uporządkowania tak ogromnego księgozbioru. Albertrandy odpowiedział godnie nadziei w nim położonéj, spisał i ułożył tak liczne dzieła, i niezmordowaną czynnością wydobył nowe źródła, ukryte w tym skarbie umiejętności. Po ukończonéj téj pracy Łubieński, prymas koronny w r. 1764. wezwał go do siebie, i poruczył mu wychowanie swojego wnuka, Felixa Łubieńskiego, który był poźniéj ministrem sprawiedliwości w księstwie Warszawskiém. Zwrócony niejako do swoich piérwotnych zatrudnień, chciał się zupełnie oddać nowemu przedmiotowi, lecz prymas licznemi obarczony trudami, odrywał go często od nich, wzywając go do swojéj rady.

Po zgonie prymasa nie odstępował powierzonego dozorowi swemu młodzieńca. Udał się z nim najprzód do konwiktu Jezuitów, zostającego pod rządem uczonego Wyrwicza. Tam poświęcił czas niejaki astronomii, a zbiérając dla ucznia swego materyały, napisał Historyę rzymską, jakoteż i polską. Gdy opiekuni młodzieńca osądzili za potrzebę wysłania go do akademii sienejskiéj we Włoszech, Albertrandy towarzyszył mu w téj podróży, i w ciągu onéj przeszedł z nim kurs botaniki i mineralogii.

Poznawszy, że obowiązki zakonne (chociaż był zawsze wierny swym ślubom) kładły mu niektóre zawady, zwierzył się tego tamecznemu rektorowi aka-

demii, *Possini*, i otrzymał przezeń od jenerała Jezuitów (księdza *Ricci*) dozwolenie na przejście do stanu kapłanów świeckich. Chwalebne do tego powody sprawiły, że owi światli ludzie nie wstrzymywali jego zamiarów najmniejszą zwłoką, owszem przywiązanego stale do ich zgromadzenia mieli w powadze aż do końca.

Pobyt Albertrandego w Rzymie ze swoim uczniem zaczął stanowić epokę najważniejszą w jego literackim zawodzie. Po powrocie do Polski zaczął już także i uczeń jego poświęcać swe usługi krajowi, co było powodem Albertrandemu do poznania się z opiekunem nauk, Stanisławem Augustem. Król ten, gdy nabył od ucznia jego piękny zbiór starożytnych medalów, zlecił mu onegoż dozór, a chcąc korzystać z jego pamięci, znajomości języków, i łatwości w tłumaczeniu się, zrobił go swoim lektorem, znając zaś biegłość jego w literaturze i bibliografii, oddał mu pod rząd bibliotekę, i zlecił mu swój zbiór kopersztychów. Tylu przedmiotami ciągle zajęty, kilka lat na uporządkowaniu wszystkiego przepędził; dostrzegłszy jednak przy swoich obszernych wiadomościach niedostatków w niektórych zbiorach, przełożył je królowi, który zlecił mu udać się do Włoch, aby dla dopełnienia zbiorów wyszukał tak w bibliotece watykańskiéj w Rzymie i innych zamożnych księgozbiorach, jakotéż w rozmaitych archiwach wszystkiego, co tylko z historyą polską zostawało w jakim stosunku.— Od roku 1782. trzy lata przepędził nad porobieniem wypisów z porozpraszanych materyałów, i więcéj jak sto woluminów własną napisał ręką; nadto pomnożył jeszcze zbiory starożytności wszelkiemi płonami z *Herculanum i Pompeji*, i z temi skarbami powrócił do Warszawy. Przyjął król mile tę pracę Albertrandego, a oceniając godnie jego rzadkie talenta i zasługi, obdarzył medalem złotym z napisem: *Merentibus*, zaszczycił dostojnością biskupią, wyniósł do stanu szlachty, i ozdobił orderem Ś. Stanisława.

Dla dokładności w dziejach potrzeba jeszcze było szukać niektórych zabytków w Szwecyi. W tym celu wysłany Albertrandy od króla do Upsali i Stokholmu, w obfitym księgozbiorze tamecznym i w prywatnych archiwach pomoc znajdując, znowu kilkadziesiąt woluminów własną wypisał ręką. Nie mógł atoli ani król, ani Albertrandy korzystać z tak licznych zbiorów. Po śmierci króla utracił on najlepszego dobroczyńcę, a będąc zajęty ciągle naukami, nie zwrócił nawet uwagi na oczywiste swoje potrzeby, przestając na szczupłym dochodzie, który pobiérał jako duchowny. —

Poważany w kraju dla sumiennego dopełniania kapłańskich obowiązków, mąż ten uczony był punktem, około którego zgromadzali się wszyscy uczeni; tych posiedzenia zaczęły być coraz bardziéj interesujące, a poźniéj przybrały tytuł towarzystwa Przyjaciół Nauk, zyskawszy potwierdzenie króla pruskiego, Fryderyka Wilhelma III. Obrany jednozgodnie pierwszym prezesem onego, sprawował ten urząd przez lat ośm, i niedługo przed zejściem swojém (d. 10. sierpnia 1808.) wyrobił mu u Fryderyka Augusta, króla saskiego i książęcia warszawskiego nowe potwierdzenie i tytuł towarzystwa królewskiego —

Albertrandy posiadał rzadkie natury talenta, pojęcie szybkie, rozsądek trafny, pamięć nadzwyczajną, dar wysłowienia szczęśliwy, i inne władz umysłowych przymioty, które przez niezmordowaną pracę prawdziwym go uczyniły polihistorem.

Pisma jego z druku wyszłe następujące mamy: *1.) Dzieje rzeczypospolitéj rzymskiéj od założenia Rzymu aż do cesarzów, z francuzkiego P. Macquer, w Warszawie u Grela 1768. 2 tomy.— 2.) Dzieje królestwa Polskiego, lat porządkiem opisane w Warszawie u Grela 1768.* Historya ta bezimiennie wydana, jest tłumaczeniem dzieła: *Abrégé chronologique de l' histoire de Pologne par F. A. Schmid. à Varsovie et Dresde 1763.* Dla wielu dodatków i poprawy, a w szczególności przyłączonego panowania Augusta III. nie można tego pisma nazwać prostém tłumaczeniem.— *3.) Zabytki starożytności rzymskich w pieniądzach, pospolicie medalami zwanych z czasów rzeczypospolitéj i 16 pierwszych cesarzów, 3 tomy, w Warszawie u Pijarów 1805.* W Rocznikach zaś towarzystwa warszawskiego Przyjaciół Nauk zawiérają się po części jego rozprawy i mowy, czytane na posiedzeniach publicznych. Wreszcie zostały się po nim liczne zapasy w rękopismie. Z tych wydał zpod prasy Żegota Onacewicz, professor statystyki i dyplomatyki przy uniwersytecie wileńskim: *4.) Panowanie Henryka Walezego i Stefana Batorego, królów polskich, 2 tomy, w Warszawie u Zawadzkiego 1823.— 5.) Panowanie Kazimierza, Jana Alberta i Alexandra Jagiellończyków, 2 tomy, tamże drukiem Brzeziny 1827.— 6.) Zbiór wiadomości gospodarskich.*

Ks. Ign. Chodynicecki.

*A). Dwadzieścia sześć lat panowania Władysława Jagiełły, w Wrocławiu r. 1845. *).*

Litwa ochrzczona.

W roku 1387. król Jagiełło z wielkim dworem, królową, Ziemowitem i Januszem, książętami mazowieckimi, Bodzantą, arcybiskupem, wielą przedniejszymi panami koronnymi, do Litwy wyjechał, przybrawszy do tego liczny poczet duchowieństwa tak świeckiego, jako i zakonnego. Była ta podróż przedsięwzięta w zamiarze uiszczenia się w obietnicy przyprowadzenia Litwy do wiary chrześciańskiéj.

Tam przybywszy, najpiérwsze króla staranie było, zniszczyć to wszystko, co przedmiotem czci dla zabobonności pogańskiéj było. Zgaszono ogień wieczysty, od kapłanów pogańskich dotąd w Wilnie utrzymowany; wytępiono święte lasy, bogów, jak pogaństwo mniemało, mieszkania; poscinano one starożytne drzewa, bogom poświęcone; wywrócono i zburzono ołtarze; pozabijano węże, za bogi domowe miane, i z wielką czcią żywione. Wszystko to czynili Polacy w obecności

*) Z pozostałego rękopisma.

Litwinów, zdumiałych, że im to bezkarnie uchodziło; przezco tém łatwiéj byli do chrześciańskiéj wiary, tak nad ich bogami przemożnéj pociągnieni. Strawiono zatém dni kilka na wyuczenie główniejszych artykułów wiary. Sam król, co niedawno do poznania jéj przyszedł, opowiadać ją dla niedostatku kapłanów, język litewski umiejących musiał. Nastąpił chrzest, pojedyńczo dla przedniejszych panów, a dla pospólstwa, podzielonego na różne pomierne kupy mężczyzn i kobiét, razem całym zgrajom kropieniem dawany. Nacisk do chrztu tém większy był, iż król ochrzczonym kazał rozdawać suknie nowe ochędożne, z Polski sprowadzone, które, przywykli do nikczemnych siermięg, chętnie brali. Przytém założył król kościoł katedralny w Wilnie, którego ołtarz wielki tam właśnie był zbudowany, gdzie przedtém stał ołtarz ognia wieczystego. Piérwszym biskupem postanowiony Andrzej Wasilo zakonu Franciszkanów, przedtém spowiednik Elżbiéty, królowéj węgierskiéj. Obmyślone jemu i duchowieństwu były przystojne dochody: i siedm kościołów parafialnych po różnych miejscach król wystawił i nadał.

B). Panowanie Kazimierza, Jana Alberta i Alexandra, Jagiellończyków, królów polskich i wielkich książąt litewskich, Tomów 2, w Warszawie r. 1827.

1. Zaślubienie Kazimiérza Jagiellończyka z Elżbiétą Austryaczką.

Kazimiérz król, dochodzący lat wieku swego 25, o postanowieniu swojém myśléć począł. W Krakowie jeszcze będąc, wysłał posłów: Mikołaja Szarleja, wojewodę inowrocławskiego, (u Długosza brzeskiego) i Dersława z Rytwian sandomirskiego, dla zjednania mu w związki małżeńskie Elżbiéty, córki Olbrachta, cesarza zmarłego rzymskiego. Ci z poselstwa powróciwszy, królowi w Litwie mieszkającemu donieśli, iż Władysław, król węgierski, Ulryk hrabia *Cilyi*, opiekun, i Jan Huniad, królestwem Węgierskiém w małoletności Władysława rządzący, na to chętnie przyzwalali. Z nimi przybyli dwaj posłowie tak od króla węgierskiego, jako i od hrabi *Cilyi*,, aby się

o tém z ust samego króla zapewnili, oraz obyczajom jego i postaci (pewnie naonczas mało portretów znano, albo mało im wierzono) przypatrzyli. Kromer o tém z Polski wysłaném poselstwie pisze, iż zdanie było niektórych, iż wyprawione było dla uczczenia koronacyi młodego Władysława, posłowie zaś z domysłu swego wzmiankę związków małżeńskich uczynili, i dlatego przybyli od Władysława i od hrabi *Cilyi*, aby myśl królewską względem tego postępowania wyrozumieli. Ci z Grodna około 10. listopada, bogatemi upominkami obdarzeni, do swego kraju powrócili. Udał się natychmiast w tęż stronę powtórnie Dersław, aby i z królem węgierskim, i cesarzem Fryderykiem czas i miejsce ułożyć na dopełnienie tych zamysłów.

Po sejmie w r. 1453. do końca doprowadzić przedsięwzięto interes małżeństwa królewskiego. Tym końcem umówiony był zjazd w Wrocławiu posłów z jednéj i z drugiéj strony, mających zobopólne warunki ułożyć. Od króla tam pojechali: Jan wrocławski, i Andrzej, poznański — biskupi, Jan z Czyżowa, kasztelan, Jan z Tenczyna, wojewoda — krakowscy, Jan z Koniecpola, kanclerz, Dersław z Rytwian, kasztelan rozpierski, Piotr Zajączek, podkomorzy sieradzki, Andrzej Zakowicz, starosta potocki, i Jan Niemirowicz. Posłowie nasi zastali w Wrocławiu liczne poselstwo Władysława króla. Dnia 11. sierpnia rozpoczęły się umowy, i całe dni dziesięć trwały. Dnia 19. tegoż miesiąca na ratuszu wrocławskim warunki tego zaślubienia były ogłoszone, tojest: iż król Kazimierz miał zaślubić sobie Elżbietę, córkę Olbrachta cesarza; że ta aż do Cieszyna miała być odwieziona na dzień 5. miesiąca lutego roku następującego; że król miał się starać o jéj koronacyę; że posagu miano jéj dać sto tysięcy czerwonych złotych bez wrócenia onego, choćby królowa nawet nie zostawując potomstwa umarła; że król ten posag oraz reformacyą zapisać miał na ziemi Sandomirskiéj i Łęczyckiéj, mianowicie na miastach Kole, Opocznie i Przedeczy.

Posłowie nasi, z Wrocławia powracający, przywieźli z sobą Ś. Jana Kapistrana zakonu Ś. Franciszka Obserwantów, męża z świętobliwości i nauki wielce zaszczyconego, którego listami swemi i król, i kardynał Zbigniew już dawno do Polski zapraszali. W Krakowie przez ośm miesięcy bawiąc, codzień przez dwie godziny miéwał łacińskie kazania na rynku, a zimą w kościele P. Maryi, które polskim językiem dla pospólstwa powtarzano. Świętobliwość jego i gorliwość, a ztąd wynikające niezliczone pożytki sprawiły, iż zakon jego, dotąd

w Polszcze nieznajomy, w krajach tych rozkrzewić umyślono. Dlatego zakonnikom, życia jego naśladowcom Zbigniew kardynał w Krakowie na Stradoniu klasztor i kościoł zbudował. Od tego kościoła ku czci Ś. Bernardyna, w poczet świętych policzonego, zakonników tych w Polszcze Bernardynami nazwano. —

Podług tego, jak umówiono, przybyła do Cieszyna Elżbiéta, córka Olbrachta cesarza, przyszła małżonka króla Kazimiérza dnia 2. lutego 1454. r., dokąd na przyjęcie jéj wysłał król Jana z Czyżowa, kasztelana, i Jana z Tęczyna, wojewodę — krakowskich z żonami, Stanisława Ostroroga, wojewodę kaliskiego, Piotra z Szamotuł, kasztelana poznańskiego, i Jana Felixa z Tarnowa z żoną i pocztem świetnym, najmniéj dwa tysiące ludzi wynoszącym. Po dwóch dniach spoczynku w Cieszynie oddana Elżbiéta Polakom, udała się w dalszą do Krakowa drogę, i do Skawiny przybyła dnia 6. lutego, gdzie, że do przyjęcia jéj w Krakowie nie była jeszcze zupełna gotowość, zatrzymała się dni trzy. Dnia 9. lutego król z matką swoją, arcybiskupem gnieźnieńskim, biskupem wrocławskim, poznańskim i przemyskim, mając z sobą bardzo wiele panów polskich i książąt, Wacława, raciborskiego, Wacława i Jana, oświécimskich, wyjechał naprzeciw królowéj. Po przywitaniu królowa matka wzięła ją do pojazdu swego, i tak z osobliwszą wspaniałością wjazd odprawiła do Krakowa, przyjęta przed kościołem katedralnym od kardynała, prałatów i kanoników krakowskich. W niedzielę następującą 10. lutego wielki powstał spór między Wielkopolanami i panami ziemi Krakowskiéj, do kogo obrządek zaślubienia króla z Elżbiétą należał, kardynała, czy arcybiskupa. Gdy ten spór przeciągnął się do południa, zgodzono się, żeby zdać tę rzecz pod sąd stolicy apostolskiéj, tymczasem zaś aby obrządek ten sprawował Jan Kapistran, przytomny w Krakowie. Wezwany ten święty mąż dowodził, że prawo sprawowania sakramentów zupełnie do biskupa miejscowego, nie zaś do arcybiskupa należy (co nie wątpliwą jest prawdą, wyjąwszy, gdy to sprawowanie biskup odmawia, co nie było w onéj okoliczności). Dodał ten święty, iż się nie podejmie téj funkcyi inaczéj, tylko za wyraźném zezwoleniem kardynała. Jakoż gdy do samego obrządku przyszło, Kapistran padł przed kardynałem na twarz, prosząc o pozwolenie wykonania téj ceremonii; ale nowa zaszła przeszkoda; Kapistran ani polskiego, ani niemieckiego

języka nie umiejący, nie miał sposobności przełożenia zwyczajnych w takich okolicznościach pytań: zatém kardynał, oba te języki posiadający, musiał ten obrządek wykonać. Pa zaślubieniu króla miał mszę arcybiskup, i na niéj podług niezaprzeczonego prawa swego królowę koronował. Przez dni ośm następujących wielkie u dworu były rozrywki, zabawki i igrzyska, po których panowie, co z Węgier, z Czech i Austryi z królową przyjechali, hojnie obdarzeni odjechali.

2. Władysław czeskim królem.

Rudolf, biskup lawentyński, legat stolicy świętéj, otrzymawszy u króla audyencyą, zagaił rzecz, która główniejszym zamiarem legacyi jego była, i dla któréj tak usilnie około pruskiego pokoju pracował. Byli téj audyencyi przytomni: Jan, arcybiskup gnieźnieński, Jakób, wrocławski,— Łukasz, poznański biskup, i Jan z Rytwian, marszałek koronny. Przełożył legat, jak haniebną było rzeczą, iż na wzgardę prawowiernéj religii, przeciw wszelkiemu prawu, przez wykręty i matactwa Jérzyk sobie tron czeski przywłaszczył, pozbawiwszy życia króla Władysława, a Elżbiétę, królewską małżonkę, z pradziadów do królestwa tego prawa mającą, niesłusznie oddalając; okazał potém, iż w oném królestwie nie mało jest przedniejszych panów, także miast główniejszych, między któremi i Wrocław, także książąt szlązkich, żądających być pod panowaniem króla polskiego, którzyby wnet Jérzyka odstąpili; zachęcał go tedy, aby powstał, i przez wzgląd na wiarę, na pobratymstwo Polaków z Czechami, na prawa swoje, które miał do Czeskiego królestwa niewątpliwe, uwolnił królestwo one od jarzma i herezyi, i przywłaszczającéj sobie panowanie tyranii: a gdyby przywiązanie i miłość ojczystego państwa tego mu nie dozwalała, przynajmniéj aby syna swego starszego, Władysława, albo którego z młodszych synów podał na to królestwo, i do Wrocławia wyprawił, gdzieby bezpieczne znalazł siedlisko, pókiby inne czeskie ziemie do niego się nie przywiązały. Nakoniec przydał, iż żaden z panów chrześciańskich nie waży się o królestwie Czeskiém zamyślać, póki król polski i jego potomstwo żyje, o których prawie wszyscy są najmocniéj przekonani. Król ze swoimi się naradziwszy, na to odpowiedział, iż rzecz ta niemało ma trudności, i że dostatecznie odpowiedzieć na to nie może, gdy

panowie rady jego, znużeni wojną pruską i przed morową zarazą uciekający, na różne strony rozeszli się. Przeto wezwał go na sejm piotrkowski, na początku maja odprawiać się mający, gdzieby liczniejsze znalazł zgromadzenie przedniejszych osób, do rady swojéj należących.

Sejm piotrkowski walny zaczął się dnia 3. miesiąca maja roku 1457. Podczas tegoż przybył poseł od Jérzyka, króla czeskiego, żądającego, aby król zawarte w Głogowie przymierze w całości zachował, a buntującym się panom czeskim i Wrocławianom nie sprzyjał, ani się w wojny ztąd pochodzące nie wdawał, ofiarując ze strony swojéj poprawę wszystkiego tego, coby królowi do uskarzenia się mogło być powodem. Króla odpowiédź na to była, iż do czasu onego nienaruszone przymierze głogowskie zachował, lubo ze strony Czech w wielu rzeczach było zwątlone: nie odmawia jednak i nadal zachować je w całości, byleby i z drugiéj strony było strzeżone, a krzywdy ponoszący nagrodzeni.

Po sejmie nadeszły do króla listy od strony w Czechach katolickiéj, któremi proszono króla, aby w królestwie rodu sławiańskiego, i do nikogo, jak tylko do króla i potomstwa jego prawnie należącego, nie dopuszczał panować kacerzowi, prawowiernych prześladującemu, ale raczéj ich uciśnionych swoją wsparł pomocą. Odpisano im, iż się rada królewska z Piotrkowa rozjechała, bez któréj nie godziło się nic stanowić o rzeczy, nie mało trudności mającéj.

Dnia 2. lipca tegoż roku do Krakowa przybyło nowe od króla poselstwo, od katolików czeskich, od legata papiézkiego, i od miasta Wrocławia, ponawiając dawne prośby. Przyjechał z tém i legat sam dnia 28. lipca z innymi, od papiéża przydanymi posłami. Okazywali oni bulle papiézkie, odsądzające Jérzyka od królestwa, jako człowieka, co zrzekłszy się kacerstwa, odpadł w nie. Okazywali wyrok elekcyi na królestwo Czeskie króla polskiego, uczyniony za przyłożeniem się papiéża w Igławie za jednostajną katolików zgodą. Obiecowali do tego królowi pomoc od papiéża, od cesarza, od książąt niemieckich i szlązkich, także od wszystkich panów katolickich w Czechach, Morawach i Luzacyi. — Prawie przez cały miesiąc roztrząsano, jaką dać miano posłom tym i legatowi odprawę; szło bowiem o zachowanie w całości prawa królewskiego i potomstwa jego do korony czeskiéj, szło oraz o uniknienie jawnego niebezpieczeństwa wojny, gdyby król zbyt skwapliwie przyjął. Naostatek dnia 28. sierpnia wyraził król w odpo-

wiedzi swojéj, iż niezmierne dzięki oddaje papiéżowi i panom czeskim za ofiarowane sobie królestwo, sobie ludzkiém i Boskiém prawem należące; ale jednak ani jemu, ani tak ważnéj rzeczy nie jest przyzwoita, dać odpowiédź dostateczną bez dołożenia się prałatów, książąt i panów królestwa swego, którzy go wesprzéć swoją pomocą w wykonaniu takowego przedsięwzięcia mają, że zatém sejm walny na to powinien być złożony, i po zasiągnieniu na nim rady, co wszyscy uchwalą, będzie przełożono. Tymczasem ofiarował król głównych posłów: Stanisława Ostroroga, wojewodę kaliskiego, Jakóba z Dębna, podskarbiego niższego, starostę krakowskiego, i Jana Długosza, kanonika krakowskiego, wysłać do Jérzyka, namawiając go do powrócenia ku jedności wiary, i upokorzenia się stolicy apostolskiéj; aby jednak tym czasem ani klątwy przeciw niemu, ani krzyżowa wojna była ogłoszona. Z taką odprawą legat papiézki i posłowie wyżéj wspomnieni, żalem i smutkiem przejęci odjechali.

Posłowie, od króla do Czech wyznaczeni, gdy tam stanęli, dnia 22. miesiąca października mieli audyencyą publiczną u króla Jérzyka, którego napominali, aby sam z swym narodem posłuszny był papiéżowi, zaniechał błędy, zgodził się z innymi chrześciańskimi pany w nauce i w obrządkach wiary, a poprzestał wojną trapić panów i miasta katolickie. To poselstwo z przykrością od Jérzyka, jako zbyt śmiałe, od innych różnie podług różnego ułożenia było przyjęte. Ale dłuższe z posłami polskimi obcowanie nieco powolniejszym Jérzyka uczyniło, iż się co do uspokojenia państwa swego na króla polskiego zupełnie zdał; zaś co się tyczé religii, oświadczył, iż trzymał się dawnéj umowy, że winnego papiéżowi posłuszeństwa nie odstąpił. Wyjechali posłowie ztamtąd do Igławy, gdzie przytomnych czeskich panów, katolików do pokoju nakłaniali, dowodząc im, że dla słusznych przeszkód król polski nie mógł ani dla siebie, ani dla syna swego objąć królestwo Czeskie, kiedy tylko od wojny pruskiéj odetchnął. Panowie Czesi radzi z swojéj strony sprawę swoją pod rozsądzenie króla polskiego poddawali, byleby inni książęta i panowie na to pozwolili, względem czego zjazd na dzień 13. grudnia w Wrocławiu mieć żądali; ale przyłączali do tego warunek, aby ich król, Jérzyk poprzestał w oblężeniu różne panów zamki trzymać. Posłowie do Pragi powróciwszy, nie bez trudności i to u Jérzyka wyjednali. Stanął rozejm od dnia 2. marca w roku następującym do czasu pewnego pod pewnemi warun-

kami, w którym przeciągu czasu król polski miał ogłosić wyrok, od którego żadnéj stronie nie godziłoby się odstąpić. Wielkie, któremi Jérzyk obdarzyć chciał posłów polskich w złocie i koniach podarunki, odesłane mu były z wielką tychże posłów zaletą. Na dzień 13. grudnia ci sami posłowie stawili się w Wrocławiu, gdzie zjazd był liczny prałatów, książąt szlązkich, i panów czeskich katolików, przy których był i Rudolf, legat papiézki. Ponawiali oni jednomyślnie żądanie swoje, aby król polski czeską przyjął koronę; a gdy posłowie temiż co przedtém przyczynami, króla od tego wymawiali, prosili naostatek, aby przynajmniéj syn starszy królewski z tysiącem tylko jazdy polskiéj był im przysłany, któryby z rąk legata wziąwszy w Wrocławiu koronę, kierował sprawami, tyczącemi się królestwa. Ale i na to posłowie odpowiedzieli, iż jeden tylko król o tém stanowić może; wszakże jednak powróciwszy do Pragi, otrzymali rozejm do S. Wojciecha 23. kwietnia, i przeciągnienie onego do 26. maja, to jest Wniebowstąpienia Pańskiego w roku następującym.

Gdy król z Litwy do Krakowa powrócił, przyjechał do niego Protazy, biskup ołomuniecki, nibyto od siebie donosząc królowi o wielkich przygotowaniach, które Maciej, król węgierski, i cesarz Fryderyk przeciw Jérzykowi czeskiemu uczynił, i jak groźna przeciw niemu krucyata panów katolików z Czechów nawet katolików powstaje, zachęcając króla, aby ze strony swojéj na tegoż Jérzyka powstał, i królestwo, sobie i potomstwu swemu wszelkiém prawem należyte odzyskał. To biskup ołomuniecki publicznie przekładał, ale w tajemniejszéj rozmowie, na któréj pięciu tylko z rady królewskiéj było, przekładał królowi żądania tak Macieja, króla węgierskiego, jako i Fryderyka cesarza, z których piérwszy Jadwigę, starszą córkę królewską żądał przybrać sobie za małżonkę, drugi pragnął, aby w takież związki z młodszą córką królewską, Zofią wszedł syn jego Maxymilian. Dowodził biskup, iż tym sposobem uspokojone byłyby sprawy o kraje, do których po żonie swojéj król miał niezaprzeczone prawo. Król względem Czech odpowiedział biskupowi, iż się nigdy nie zrzekł ofiarowanego sobie królestwa od papiéża i czeskich panów, ale że dla słusznych względów rozwagę téj rzeczy odłożył do sejmu walnego, odprawić się mającego 24. siérpnia 1468. r., że jednak, gdyby tymczasem chciał kto przywłaszczyć sobie królestwo Czeskie, do siebie i synów swoich wszelakiém prawem należące, przy pomocy Boga obrońcy spra-

wiedliwości użyłby wszelkich sposobów, aby się z takowéj niesprawiedliwości długo cieszyć nie potrafił: a co się tknie Macieja króla, że nie przystoi wybrać tego za zięcia, który nieprzyjaźni swojéj ku Polskiéj koronie tak jawnie dał dowody, podwarazy Spiską ziemię pustosząc, i świéżo, nie wypowiedziawszy pokoju, targnąć się na Stefana, multańskiego księcia, hołdownika polskiéj korony; zatém jeśli w związki z córką swą małżeńskie wnieść tak bardzo pragnie, poprzedzić powinno za umową wspólną obudwóch królestw rady nagrodzenie krzywd wyrządzonych.

Rychło potém przybył od króla czeskiego główny poseł, Wojciech Kostka, który w licznem zgromadzeniu panów rady królewskiéj słuchany, usiłował Jérzyka, króla swego usprawiedliwić postępki, a królowi dziękował, iż przez swoich posłów wojnę w Czechach przygasił, ofiarując szczérze poddać swoje wszystkie spory pod wyrok królewski; prosił oraz, aby wysłaniem nowych posłów odwrócił od niego wojnę, którą Maciej, król węgierski na nowo w Czechach wzbudził. Oświadczał oraz, iż Jérzyk wszystkich panów, obywateli i poddanych czeskich prośbą, radą, namową nakłoniony, tak rzeczy ułożył, iż własnych synów pominąwszy, dostać się królestwo Czeskie miało synowi Kazimiérza nie prawem dziedzictwa, którego toż królestwo, zawsze wolne nie zna, ale prawem przychylności całego narodu, przeto ostrzegał króla, aby na sejm czeski posłów zesłał, którzyby zaręczenie o tém odebrali. Na to poselstwo odpowiedział król: iż jako dawniéj, tak i teraz chętnie się przyłoży do zaspokojenia królestwa Czeskiego, i posłów na to wyśle; że i Jérzyk, i naród czeski mądrze postąpią, kiedy sobie nie innego króla, tylko syna króla polskiego przybiorą, do którego dziedzictwo czeskiéj korony najsprawiedliwiéj należy; że przyczynić się nie zaniecha do pogodzenia Jérzyka z papiéżem, byleby jawnym dowodem okazał swoją prawowierność, i szczérze się, nie zaś na pozór zrzekł błędów swoich. Tak odprawiwszy posła czeskiego, wysłał do Czech tych co przedtém posłów, wyjąwszy Długosza, na którego miejsce wybrany był Mikołaj Skop, kasztelan oświęcimski.

Posłowie ci przybyli do Czech w czasie największéj wojennéj wrzawy, gdy Jérzyka zewsząd Maciéj, król węgierski, inni książęta i Krzyżowcy przyciskali. Namawiali go oni jak najusilniéj, aby się z papiéżem pogodził, wspomnieli i to, aby Jérzyk królestwo dla którego z synów królewskich odstąpił; ale on wzbraniając się to uczynić

za życia swego, przyrzekł jednak uroczyście królestwo zostawić nie synom swoim, ale potomstwu króla polskiego, i na to listy swoje dał, i przysięgą to zatwierdził. Posłowie polscy, chcąc wojnę przytłumić, udali się do Ołomuńca, gdzie był Maciej, król węgierski: przybyli tamże dwaj legaci papiezcy, Wawrzyniec, ferrarski, i Rudolf, wrocławski, — biskupi: pracowali wspólnie około przywrócenia pokoju, lub przerwania rozejmem wojny, ale wszystkie ich usiłowania skutku pozbawione zostały.

Zjechał król z Prus do Piotrkowa, gdzie sejm walny był wyznaczony na dzień 9. października. Naprzód słuchał na nim król posłów od legata papiezkiego, Rudolfa, biskupa wrocławskiego przysłanych, przez których napominał króla, aby klątwę na Jerzyka rzuconą, i wojnę przeciw niemu krzyżową w państwach swoich ogłosić kazał: słuchał i posłów Jerzyka, narzekających na osłabienie króla swego przez rozejm, na usilne żądanie posłów królewskich pozbawiony. Dlaczego żądał od króla Jerzyk, aby królestwo rodu i języka pobratymskiego zwątlić nie pozwalał, ale wsparł go swoją pomocą, i z papieżem go pojednał, gdyż sprawę z postępków swoich oddać jest gotowy, byleby tylko był słuchany, i we wszystkiém pokazać się chce stolicy apostolskiéj posłusznym. Jedna odpowiedź i tym, i tamtym posłom była dana, iż król wysłać miał posłów wielkich do papieża, którzy po drodze wstąpią i do legata, i do Jerzyka króla, i zamysły im królewskie przełożą. Tych posłów natychmiast naznaczono: Jakóba Dąbieńskiego, podskarbiego mniejszego koronnego, starostę krakowskiego, i Piotra z Głowny, dziekana krakowskiego.

W Czechach nastały nie małe odmiany. Strona albowiem katolicka, legatów papiezkich na czele mająca, Jerzykowi królowi czeskiemu przeciwna, zrażona zwłoką króla w przyjęciu dla siebie, lub którego z synów królestwa Czeskiego, obrała na toż królestwo Macieja, króla węgierskiego, między którym i Jerzykiem, choć teściem jego, żwawa toczyła się wojna. Od téj katolickiéj strony przyjechali do króla do Krakowa posłowie, którzy przekładając poselstwo swoje, naprzód z tego, co uczynili, usprawiedliwić się usiłowali, pokazując, iż uciśnieni od Jerzyka, opuszczeni od króla, ociągającego się z przyjęciem korony czeskiéj, innego sposobu ratowania się nie mieli, jak tylko Macieja na tron czeski wybierając. Prosili zatém króla, aby ich stronie sprzyjał, i w przyjaźni z królem Maciejem zostawał, okazując ztąd wynikające najważniejsze dla obudwóch królestw pożytki, przytém też

wsparcie niezawodnie prawowiernéj religii w Czechach i kacerstwa wytępienie. Król, acz w niestałości w przedsięwzięciu panów czeskich nie mało zasmucony, przyjął jednak to poselstwo łaskawie; ażeby zaś prawom swoim nie ubliżył, przestał na samém oświadczeniu, iż naradziwszy się z swoimi pany rady, którzy naonczas przytomni nie byli, da odpowiédź dokładniejszą.

Jeszcze w Krakowie posłowie ci byli, kiedy szerzyć się poczęła pogłoska, iż za staraniem Jérzyka Władysław, syn starszy króla polskiego wybrany został i obwołany królem czeskim, następcą Jérzyka. Że nie płonna była ta pogłoska, pokazało się rychło, kiedy do króla, w Radomiu, na dniu 29. czerwca naradzającego się względem obrony królestwa, gdyby jaka od Macieja, króla węgierskiego nań przytrafiła się napaść, przybyli posłowie od Jérzyka, którzy wyliczywszy wszystkie rozprawy zaszłe między królami, polskim, węgierskim i czeskim, nakoniec donosili, iż zważywszy słabość Jérzyka, z otyłości zbytecznéj pochodzącą, Władysława, syna królewskiego starszego wybrali na królestwo Czeskie, pod warunkiem jednak, aby Jérzyk do śmierci berło posiadał, król polski bronił go od napaści wszelkiéj nieprzyjacielskiéj, z papiéżem go pojednał, a gdyby się to stać nie mogło, jednak nigdy nie opuszczał, małżonce Jérzyka, Joannie wszelkie prawa posażne dotrzymał, synów Jérzyka własnych na księztwach, panów na urzędach zachował, a postawionych od Macieja króla złożył. Do tych tak ważnych warunków jeden jeszcze bardzo uciążliwy przyłączono, aby Władysław syn królewski pojął w małżeństwie Ludwikę, Jérzyka córkę: od wypełnienia zaś tego warunku chciano, aby całe dzieło elekcyi zawisło. Rada królewska na różne zdania przeciwne sobie podzielona była, acz cała nieprzystojność małżeństwa tego, zacności domu królewskiego ubliżającego uważała. W takiéj zdań różności przystano na wyznaczenie posłów nowych: Jana Tarnowskiego, wojnickiego — i Stanisława Wątróbki, sanockiego, kasztelanów wysłanych do Czech, aby co w warunkach tych było zbyt uciążliwego, mianowicie małżeństwo Władysława z Jérzyka córką, uprzątnęli. Postanowiono także, aby sejm walny w Piotrkowie na dzień 21. października był złożony, któryby podług okoliczności o sprawach tych wszystkich stanowił.

Nastąpił w czasie wyznaczonym sejm walny piotrkowski. Na tymże sejmie wielkie poselstwo od Czech stawiło się. Od tych w radzie prywatnéj ponowione były one, w Radomiu podane dawniéj wa-

runki, do których te jeszcze przydane były, aby Jérzyk i tytuł, i władzę nad królestwem Czeskiém do śmierci dochował, a Władysław, syn królewski dopiéro po jego śmierci na królestwo nastąpił, a w każdéj potrzebie wojskiem go swojém wspiérał. Te warunki gdy się ani sprawiedliwe, ani nawet przystojne być nie zdawały, odpowiedziano na nie, iż król wszystko na papiéża wolą zdaje, i bez niego nic w tém, co się tyczé przyjęcia królestwa Czeskiego nie przedsięweźmie, zatém czekać chce, z czém legat papiézki przybędzie, a dopiéro wtedy da odpowiedź dokładniejszą.

W roku 1470. przybył król po Wielkanocy do Korczyna, gdzie legat papiézki, Alexander, biskup forliciński przyjechał, imieniem papiéża napominając króla, aby Jérzyka, kacerza i kościoła rzymskiego przeciwnika ze stronnikami jego sprzątnął, a z Maciejem, królem węgierskim przymierze i powinowactwo, wydając za niego córkę, zawarł: upewniał legat, iż nikomu bardziéj papiéż nie życzy królestwa Czeskiego, jak synom królewskim: Macieja jednak odsunąć od tego królestwa tém mniéj mógł, iż się najlepiéj kościołowi rzymskiemu, tak wielkie Jérzykowi ciosy zadawszy, zasłużył.

W Czechach wielkie obietnice Macieja, króla węgierskiego, złączone z powszechną obywatelów onego kraju żądzą uwolnienia się od uporczywéj, którą ich trapił Maciej, wojny, przywiodły były rzeczy do tego kresu, iż pominąwszy potomstwo Kazimiérza, byłoby to królestwo Maciejowi zapewnione. Już się rzecz ta na zjeździe w Pradze dnia 14. lutego 1471. stać miała, kiedy przejeżdżający królewscy posłowie przez Pragę do Rzymu, tak żywo przełożyli niegodziwość takowego gwałcenia obietnic i dawnéj umowy, iż przecie otrzymali wstrzymanie się od wiarołomnego kroku tego aż do swego z Rzymu powrotu. Rychło téż potém, tojest dnia 23. marca pożegnał się z tym światem Jérzyk, król czeski, przezco nastąpiła zupełna względem Czech odmiana. Czechowie rozstrychnęli się na różne partye. Byli, co Kazimiérzowi, królowi polskiemu sprzyjali; byli, co sobie Macieja, króla węgierskiego życzyli; miał stronników swoich i Henryk, Jérzyka syn, zwłaszcza tych, co kacerskiemi błędami byli zarażeni. Król zaś Kazimiérz wyprawił do Czech posłów: Pawła Balickiego, Marcina Wrocimowskiego i Dobiesława z Kurozwęk, którzyby stanom czeskim dawne ich przyrzeczenia przypomnieli, i nakłonili je do obrania Władysława, starszego z królewskich synów. Przy górach pod Kutnem zjazd się

ostateczny odprawował na obranie króla; tam wysłał Maciej posłów swoich głównych z wielkiemi obietnicami, sprawując się, ile tylko mógł, z dawnych okrucieństw w Czechach wyrządzonych. Na tym zjeździe słuchany był Dobiesław z Kurozwęk, i tak kształtnie wesprzéć sprawę króla polskiego potrafił, że jemu wszystkich serca i umysły pozyskał; zatém i Macieja, i innych ubiegających się o królestwo Czeskie opuściwszy, jednostajnemi głosami Władysław, syn najstarszy króla polskiego został czeskim królem obrany dnia 27. maja 1471.

Czechowie uroczyste wysłali poselstwo do Krakowa, donosząc o zgodnéj zaszłéj elekcyi Władysława, z prośbą, aby tę siebie elekcyą i berło czeskie raczył przyjąć, i do Pragi przybyć na koronacyą z obroną swego królestwa. Dnia następującego warunki, pod któremi stanęła ta elekcya, należycie ułożywszy, a niektóre z nich wyrzuciwszy, dnia 15. czerwca w pokojach prywatnych Władysław sekretnie przyjął elekcyą, a w niedzielę następującą 16. czerwca na sali publicznéj posłowie powtórzyli swoje poselstwo, a Władysław w obecności króla ojca swego, prałatów, panów rad, szlachty, mieszczan i gminnego ludu miał w polskim języku tak przenikającą wymowę, iż nie jednemu łzy wycisnął, w któréj wyrażał, iż ku chwale Boga wszechmocnego, dla rozszerzenia wiary, i dla zaszczytu rodu przyjmuje ofiarowane sobie królestwo Czeskie. Dnia 25. lipca ruszył z Krakowa do Czech Władysław, w Oświęcimiu trzy dni zabawił, czekając na tych, co mu towarzyszyć w téj drodze mieli. Dnia 29. lipca pożegnawszy się z ojcem, który go aż za Oświęcim odprowadził, puścił się w dalszą drogę. Miał z sobą trzech biskupów: Mikołaja, kamienieckiego, Wincentego, chełmińskiego i Pawła, laodycejskiego; sześciu książąt szlązkich; Stanisława Ostroroga, kaliskiego —, Mikołaja z Kutwa, łęczyckiego — wojewodów; Jana Długosza, kanonika krakowskiego, który jego i braci królewiczów był dozorcą i nauczycielem, Pawła Jasieńskiego, stolnika sandomirskiego, bełzkiego i chełmskiego starostę, naczelnika wojska, i wiele innych. Wojsko przy nim znajdujące się złożone było z cztérech tysięcy jazdy i dwóch tysięcy piechoty.

Dnia 11. sierpnia w Głacu przysięgą się obowiązał do zachowania praw i przywilejów Czeskiego królestwa. Przybył do Pragi 19. tego miesiąca, przyjęty z największą radością i oświadczeniem czci od wszystkich obywatelów. Dnia 21. koronowany był i namaszczony w kościele katedralnym praskim od Mikołaja Prochnickiego, biskupa

kamienieckiego, któremu do tego obrządku assystowali: Wincenty, biskup emieński, i Paweł, laodycejski. Oprócz książąt, magnatów, szlachty i mieszczan czeskich byli tam przytomni wielcy posłowie Olbrachta i Ernesta, margrabiów miśnieńskich, i Olbrachta, margrabi brandeburskiego. Na tym obrządku Władysław najświętsze tajemnice pod jedną osobą przyjmował. Dni następujące strawione były na rozpoznaniu długów, przez Jerzyka na wojnie i w pokoju zaciągnionych, które do 300.000 złotych wynoszące, na Władysława spadły. Odprawił zatém Ostroroga i Mikolaja z Kutna, wojewodów, i Jana Długosza, kanonika, i z wszystkimi, do dworu króla Kazimiérza należącymi odesłał do Polski.

Cesarz Fryderyk straciwszy wiele czasu i nakładu nad Renem, gdzie w różne układy wchodził z książęciem burgundskim, przybył do miasta *Rotenberg* dnia 13. lutego 1474., dokąd posłowie polscy i od Władysława, króla czeskiego, razem z królem duńskim i Olbrachtem, margrabią brandeburskim przyjechali. Przyjęci łaskawie, do Norymbergi sprowadzeni byli, dokąd i kardynał S. Marka, legat papiézki przybył. Stawili się tamże elektorowie państwa Rzymskiego, i książęta niemieccy w wielkiéj liczbie. Tam cesarz przychylność swoją i przyjaźń królom, polskiemu i czeskiemu okazując, z porady elektorów i książąt Władysława, pana cnotliwego, najsprawiedliwsze prawo do korony mającego, uznał królem czeskim i elektorem, Macieja od obojéj téj godności odsądzając; wybranie zaś czasu na oddanie hołdu do woli samegoż króla zostawił. Przymierze potém nowe zawarte zostało, mocą którego wszyscy trzej monarchowie mieli Macieja wojować, i nie prędzéj odstąpić przedsięwzięcia swego, aż go zupełnie pokonawszy.

3. Charakter Kazimiérza Jagiellończyka.

Charakter Kazimiérza Jagiellończyka był składem wielu przymiotów i wad ojcowskich: jakoż wielce był do ojca podobny. Rozum pomierny, trochę więcéj oświécenia, niż ojciec, mający, w tém sylko upośledzony, iż ojciec miał wybornego poradnika w osobie Witolda, i tegoż poradnika zwyczajnie słuchał, i nic prawie bez zasięgnienia jego rady nie czynił; Kazimiérz takowéj pomocy nie miał, a choćby ją w niektórych panach koronnych, jakoto: w Zbigniewie Oleśnickim, Tęczyńskich i innych znalazł, jednak nie był skory ani do szukania

w ich radzie pomocy, ani do kierowania nią swoich postępków, aby snadź nie zdawał się pozwalać, aby nim rządzono; ale i w sobie pewnego postępków prawidła nie najdował. Zawsze w wątpliwościach zaplątany, zawsze widokiem trudności ztrwożony i zmieszany, nic stałego nie umiał przedsięwziąść, nic nadał porządnie i ciągle ułożyć, ale przytomną okolicznością powodowany, stanowił w jednym czasie, co w drugim tuż następującym odmienić należało, a najczęściéj nic nie stanowił, ale zwłoką i ociąganiem się czekał, ażeby jakie zdarzenie z przytomnych trudności wywikłało. Jak ojciec ze zwycięztw największych, tak on z pomyślności najznaczniejszych korzystać nie umiał; a złożone w ręce jego szczęścia dary skaził, wielką część onych przez niebaczność swoją i bezczynność straciwszy. Słabość w sprawowaniu rządów, w sztuce wojennéj niebiegłość, niedostatek odwagi i waleczności sprawiły, iż mało był w Koronie szacowanym: do czego przydać trzeba, iż nie tylko dobroczynnym się w Koronie pokazać nie mógł, ale owszem nieustannie o posiłki pieniężne na wszystkich sejmach i zjazdach nalegał, częstokroć nie na publiczną, ale na swoją własną i familii swojéj potrzebę. Dlaczego téż wielki uszczerbek powaga królewska w Koronie odniosła; za niego albowiem poczęto króla jawnie i nieprzystojnie strofować, odmawiać podług zapędu passyi pomocy, albo osobistéj na wyprawach wojennych, albo pieniężnéj na zastępujących szlachtę zaciężnych żołnierzy, nie słuchać rozkazów panującego, choć wyrokiem rady wspartych, domagać się zezwolenia szlachty na obmyślenie nieuchronnych potrzeb krajowych, i nadanie jéj przemożnéj reprezentacyi. W Litwie, którą kochał ślepo nawet z ubliżeniem tego, co był winien Koronie, nie był kochany; dostrzegli albowiem Litwini, iż to ku nim przywiązanie z nałogu młodości, z słabości umysłu, z sposobności dogadzania ulubionym sobie passyom pochodziło. Dlatego téż i spiski tam były częste na niego, i natrętne żądania, i bezczelne domagania się, aby tam wielkiego księcia na miejsce swoje postanowił. Miał jeszcze i to z ojcem swoim podobieństwo, iż jak nad ojcem Zygmunt, cesarz, król węgierski, tak nad Kazimiérzem przewodził Maciej, król węgierski gorującym rozumem, intrygą i w sztuce wojennéj biegłością. Słowem, cokolwiek za Kazimiérza zdarzyło się pomyślnego Polszczc, — a pewnie Prus przyłączenie i Krzyżackiego zakonu uskromienie za pomyślność poczytać należy,— wszystko to z przypadku wyniknęło, cokolwiek zaś niepomyślnego przytrafiło się, przypisać

zwolnionym rządu sprężynom dla niedostatku geniuszu do rządzenia Kazimierza należy. Wszystko w nim osobliwsze i dziwne było: miał wyniosłość, a nie miał ani pychy, ani ambicyi; miło mu było być chwalonym, a naganą nawet ostrzejszą nie bywał obruszony; hojny bez rozwagi i z popędliwości, obdarzał zwłaszcza w Litwie możnych, a obojętném okiem na nędzę i ucisk gminu patrzał; wzdrygał się pracą, a rozrywki go nawet nudziły; nieczuły na złe poniesione przygody, lekce ważył i te, co nastąpić mogły. Nic go nie obchodziło, właśnie jakby ta zimna na wszystkie zdarzenia obojętność była stopnia jego prerogatywą. Trzeźwy był, i wzdrygający się nawet zapachem trunków mocniejszych, a biesiady długo przeciągnione lubiący. Wzdrygał się pracą, a większą część życia na łowach przepędzał, do których takie miał przywiązanie, iż gdy posłane mu podarunki Władysław, książę rybnicki przejął, i królowi się upokorzył, pozwolił mu wszystko zatrzymać, byleby psy do myśliwstwa służące przywrócił. Chełpił się z tego, iż zbudowane od innych zamki w Prusiech jemu się dostały, a właśnie swoje w Polszcze zaniedbał, iż pokrycia nie mając, za jego czasów przemieniły się w zwaliska.

Był ten król wzrostu wysokiego, chudy, twarzy pociągłéj, łysy, nieco w mowie szepleniący, trzeźwy, na saméj wodzie przestający, myśliwstwo nad wszystkie rozrywki, a czasem i nad potrzebne zatrudnienia przekładający.

31. Stanisław Trembecki.

Urodził się około roku 1730., umarł 1812. Większą część młodości strawił na podróżach po całéj Europie, a szczególniéj na dworze Ludwika XV. Znaczny przeciąg czasu przepędził na dworze króla Stanisława Augusta Poniatowskiego, którego był szambelanem, a ostatnie lata w Tulczynie w domu Szczęsnego Potockiego (gdzie wzniosłym wzrostem, postacią swoją i ogromną laską zwracał uwagę, kiedy się zjawił w towarzystwie). Lat 30 mięsa nie jadał i wina nie pijał; z tego powodu król Stanisław zwał go Pitagorasem. (Na rok przed śmiercią, zaczął jadać mięso, i do wina powrócił.) Uprzejmość i politykę, do któréj się na dworze Ludwika XV. przyzwyczaił, zachował doostatka. Miał lat siedmdziesiąt kilka, kiedy pisał Zofiówkę, a przytomność umysłu zachował do ostatniéj chwili życia.

Utwory jego są następujące: 1) *Zofiówka*, poemat opisowy. — 2) *Polanka i Powązki*, poemata opisowe. — 3) *Bajki, listy i wiersze rozmaite.* — Pomiędzy

przekładami najznakomitszy przekład, a raczéj naśladowanie wyborne dramatu Woltera: *Syn marnotrawny.*

Byłto człowiek nadzwyczajnéj siły rozumu; miał niesłychaną łatwość przejęcia się każdym rodzajem pisania; doskonale znał literaturę łacińską, pisał po francuzku równie biegle, jak po polsku; znał gruntownie pisarzy epoki Zygmuntowskiéj i języki sławiańskie, i władał po mistrzowsku językiem ojczystym: wiele też winien mu język, bo nie mało utworzył wyrazów prawdziwie polskich, które są dziś w powszechném narodu użyciu.

Dzieła poetyczne Stanisława Trembeckiego, Tom I. w Wrocławiu r. 1828.

I. Zofiówka (w skróceniu).

Pędzę z utrudzonego nie zstępując konia,
Aż gdy mnie Zofiówki otoczyła wonia:
Stworzenie wszędy świéże poznawa źrzenica,
To mnie bawi, to cieszy, to zmysły zachwyca
Chudą piérwéj golizną swiécące pagórki.
Zdaleka przyniesione pocieniły borki,
Gdzie między krajowemi umieszczone drzewy,
Są z Libanu, z Atlasu, z antypodów krzewy.
Od nich mnie po kamieniach noga niesie letka
Ku niższéj grocie, króla rzeczonéj Łokietka:
Nie wszystkim w tę jaskinię uczęszczać się godzi.
Młodszy świat jéj używa, Patagon nie wchodzi,
A ztamtąd pochodziste przebiegłszy zielenie,
Starowniéj kuta grota większe ma przestrzenie.
Z czoła olbrzymi granit zamiast słupca stoi,
Krynica ją z opoki wytłoczona poi:
Tam słodki wiérsz, którego żaden wiek nie zmaże,
W tę grotę wchodzącemu szczęśliwym być każe.
Smutném nieposłuszeństwem ciężko jest przewinić,
Ten kazał, co szczęśliwych chce i może czynić.
Idąc, gdzie znęcająca murawa się ściele,
Znak skończenia naszego przerwał mi wesele.
Posępne stoją cisy, ukochane cienie,
Wam na cześć, Konstantemu, Mikule, Helenie:

Bez względu na maleństwo zamknął los do trumny
Wielkie domu nadzieje i przyszłe kolumny:
Żyjecie dotąd w sercach, a wasze wspomnienia
Łzy matki wyciskają i ojca westchnienia.
Nikłą im radość, długą sprawiliście żałość,
Mający krasę kwiatów i kwiatów nietrwałość!
Co nam zostaje życzyć, niech do téj ustroni
Popioły z ciałek waszych przynasza Fawoni.
Święte pola Elizu opuściwszy czasem,
Bawcie się z nasadzonym od rodziców lasem;
Niech was dziecinny szelest świadczy tu przytomnych,
Zmieszany z szmerem zdrojów i powiewów skromnych!
Ztąd krążę, gdzie rozlewu pilnujący scieków,
Z jednego most granitu kły wyzywa wieków:
Inne z kruszcu Chalybów wytopione sztucznie,
Mniemam, że je ulali Mulcybera ucznie.
A na rzucenie z procy czworograniną miarą,
Leży ucieczka pewna udręczonych skwarą.
Gmach ten z miąższego muru, od wiérzchu do dołu
Z płynącego namiotem okryto żywiołu.
Pan miejsca, na pamiątkę szczególnéj przygody
Wskrzesił chłodnik Tetydy, odziały go wody.
O tym przypadku, myśli roztargniony tłokiem,
Minąwszy obłąkanym zwykłe ścieżki krokiem,
Widzę łódź, któréj strzeże przewoźnik sędziwy *),
Kędzior modrawą brodę zagęszczał mu siwy;
Wzrokiem błysnął ponurym, ani mię powitał,
Ani wsiadającego, gdzie chcę płynąć, pytał.
Mamli wstyd mój wyjawić? Tylko ruszył wiosła,
W podziemne mię ciemnice jego barka niosła.
Żegnam cię, słońce drogie! Za cóż tyle kary?
Żywy, siodmym przykładem wchodzę między mary.
Tu więc na mnie czekałeś, o Charonie chytry!
Ani trackiego wieszcza nie mam z sobą cytry,

*) Kanał podziemny.

Ani Sybilla złotéj dała mi gałęzi:
W swych głębinach bezdennych Pluton mię uwięzi!
O! jak przykre, jak długie zdają się tu pory.
Kędy noc wieczna rzeczom wydarła kolory!
Głos mój niknie, krew ziębnie, aż postrzegam zorze.
I barka się na Słodkie wysunęła morze *).
Dreszcz mię dotąd przechodzi, ledwie duch mój ożył.
Tak mię srodze ten przewóz okropny zatrwożył!
Po morzu tém szedł okręt, sprawném cięty dłótem,
Ujaśniony farbami i lśniący się złotem:
Wiatrom on igrającym bisiory nadstawiał:
W takim się wódz Wenetów uroczyście pławiał,
I na takim zaślubiał Adryańskie wody
Wprzód, nim mu poniewolne dał Francuz rozwody.
Okręt dążył do wyspy acz nie wielkiéj miary,
Wielkiemi ją bogowie uczcili obdary:
Postać ma w długi okrąg, *Anti-Circe* miano.
Które jéj dla dzielności osobliwszéj dano.
Łakoma swoje *Circe* bogacąc obory,
Cnych rycerzy w podlejsze zamieniła twory;
Bystrzejszym z przyrodzenia napełnionych duchem,
Tych szczecią nikczemniła, tych przydłuższém uchem.
Tu przeciwnie, przybywszy bydlątko i zwierzę,
Każde z nich lepszość, każde twarz człowieczą bierze.
Tygrys, którego na to chce natura chować,
Żeby miał co na ziemi psuć, niszczyć, mordować,
Jak tylko kroki stawił na błogim tym brzegu,
W mężów ludzkości pełnych uczuł się szeregu.
Małpeczka przez krój szaty, ruszenia i miny
Dalekiéj przetwarzała mieszkańców krainy;
Tu rzuciwszy nowotki, przestawszy być modną,
Stała się obyczajów naśladowań godną.
Wieprz, którego zabawa przemyślać o jadle,
Cała rozkosz w próżniactwie, cały zaszczyt w sadle:

*) Wody zgromadzone w Zofiówce noszą imię Słodkiego morza.

Żarłoctwo i lenistwo czyniło go winnym,
Teraz jest wstrzemięźliwym i z rychłością czynnym.
Gryf, trudniący się złota nadpotrzebném kryciem,
Głośny był potém kruszców przystojném zażyciem:
Kret, który w ziemskie tylko rzeczy wglądał,
Pojźrzał w niebieskie gmachy i być w nich zażądał:
Motyl, który wpadając między kwiatów gminy,
Swawolnie z jednéj latał do drugiéj rośliny,
Płochéj na tém ostrowiu przestawszy podróży,
Stałym został, i znalazł trwałe smaki w róży.
Tak pomyślne przemiany, takie cuda zdarza
Wyspy moc i czcigodne wzory gospodarza!
Wraz mię na wszystkie strony rozmaitość woła,
Piérwszość otrzyma brzegów zieloność wesoła:
Mierzę potém, na garbek wstępując wysoki,
Jedne więcéj nad drugie żądniejsze widoki.
Spuszczając się w niziny dobiegłem ponika,
Który hojnie z otworów kamiennych wynika:
Wkoło kryty, gałązka żadna go nie trąci,
Ani promień rozciepli, ani ptak zamąci;
Przejźrzystość dyamentu a lekkość dészczowa
Sprawia, że się ta woda zda innych królowa:
Podoba się smakowi, podoba się oku,
Pragnienia nigdy w milszym nie złożyłem stoku.
Gdyby taki znaleźli Arabowie spiekli,
Samiby się o jego użycie wysiekli.
Okoliczne osady, bliższe tego zdroju!
Jak wy szukać innego możecie napoju?
Wszak on wszystkich, którym go kosztować się godzi,
Cieniuchną rzeźwi treścią, odwilża i chłodzi,
A trunkiem wyrabianym napełnione czasze,
Obrażając wnętrzności, ćmią pojęcia wasze!
Ziemia, przychylna matka, odpędzając głody,
Na pokarm dała ziarna, owoce, jagody;
Ale my onym inne stanowiąc przepisy,
Przez sztuczne pokarm w napój mienimy zakisy.

Pracował ludzki dowcip i doszedł sposobu,
Ująć sobie rozsądku, a przysunąć grobu.
Gwar ciżby, lin skrzypienie, głośne szczęki młotów,
Zwróciły moje kroki w stronę tych łoskotów.
Gdzie długi głaz, z wnętrzności wyrobiony skały,
Mnogie siły złączone z trudnością dźwigały:
Z ciemności wydostany, to będzie miał zyskiem,
Chmury swym dzielić końcem, zwać się obeliskiem.
Komu on wystawiony, świadczy napis ryty:
„Wnuk Dyony dla czwartéj wystawił Charyty."
W głębszym gładzonych ciosów leżą stosy lesie,
Z których się znakomita piramida wzniesie,
Nie inne w każdym boku strzegąca rozmiary:
Takiéj dla Cesteusza Rzym pozwoli stary.
Ta bolesném wspomnieniem rażąca mogiła,
Czyjeś niepospolite zwłoki będzie kryła:
A choć o wszelką nowość przywykłem się badać,
Czyje? boję się pytać, i nie pragnę zgadać.
Niechaj ta za dni naszych nie nadchodzi pora,
By miała zniknąć ziomków w nieszczęściu podpora!
Nie spiesz się, budowniczy! słuchaj ludów głosu!
Nie kładź rychło piérwszego pod mogiłę ciosu:
Aż kiedy dwa od dzisiaj miną pokolenia,
Dopiéro — nie kładź jeszcze i wtedy kamienia.
Nagły mię smutek objął, i walczy z rozumem:
Pójdę tam, gdzie gwałtownym rzéka lecąc szumem,
Gdy słuch zaprząta brzękiem, i wéjźrzenia bawi,
Zbyt ściśnionemu sercu jakąś ulgę sprawi.
Dostatek, moc przemysłu i sztuka rzemiosła
Bliższe wody sciągnęła, złączyła, podniosła:
Z nich kanały, fontanny, z nich obrusy szklane
Słyną, skaczą, i błyszczą, pod wagą rozlane.
Ale przemogła inne ogromna kaskada,
Która, od siebie większą, Kamionka wypada.
Rozscielać się, nurkować, czy piąć się na głazy,
Wzięte posłuszna nimfa dopełnia rozkazy.

I mimo praw swéj równi służąc do igrzyska,
Albo ryje otchłanie, albo w obłok tryska.
Kto gajów tuskulańskich smakował ochłody,
Kto uwieńczał Tyburu spadające wody,
Kto straszne Pauzylipu przebywał wydroże,
Jeszcze i w Zofiówce zadziwiać się może,
I przyzna, jeźli szczérość usty jego włada:
Czém tamte w częściach słyną, ta razem posiada.

2. Przeciw paszkwilom (Satyra).

Co was dziś do pisania złych wierszy zapala,
Godni wieszczkowie Jasnéj Góry i Sokala?
Złość czy zemsta? bo mogę powiedzieć zawczasu,
Że was rządca mądrego nie zagrzał Parnasu,
Ni muzy słodkiéj Safo, ni Horacyusza,
Ale raczéj Belzebub, albo podła dusza.
Czem szabli nie weźmiecie w rękę zamiast pióra,
Kiedy wam odmówiła swych darów natura?
Albo czem nie włożycie groźnéj ładownicy,
Nie mając przywilejów, ani praw wszechnicy?
A zostawcie tak Parnas, jak i jego bogi
Szczęśliwym, bo do niego nie znajdziecie drogi.
Albo powiększcie talent, dotąd jeszcze słaby,
Ani skrzeczcie tak głośno, Helikonu żaby!
Siedźcie sobie spokojnie, i patrzcie zdaleka
Na źrzódło, którego brud tylko na was scieka.
Więc wam radzę porzucić pełne jadu pióro,
Co się zgina pod wiérszem, i wadzi z naturą:
A jeśli was chęć weźmie kiedy do pisania,
Niechaj roztropność z prawdą krasi wasze zdania,
Niech duch, co was napuszy, zuchwale nie gada,
Żeby zemsty nie sciągnął na siebie sąsiada:
I wprzód niechaj się serca i sił swych poradzi,
Nim o dom cudzy zębem szaleństwa zawadzi.
Uczcie się wprzód poznawać własności człowieka,
Niźli się wasza nad nim rozciągnie opieka,

I raczcie go malować częściéj z prawéj strony,
Nie sięgając w nim nigdy wad przez wszystkie tony:
Sąto znaki wściekłości i mózgu choroby,
Czernić węglem złéj sławy najpiérwsze osoby,
Których wielkość imienia każe czcić z urzędy,
A wy, cnót kaznodzieje, stwarzacie w nich błędy!
A wy, zamiast na widok ich czyny pokazać,
Chcielibyście w nich nawet własną miłość zmazać!
Ale nie dosyć na tém, bazgracze zuchwali!
Żeście w źrzódle szalbiérstwa pędzel wasz zmaczali,
Żeście się śmieli porwać, dogadzając złości,
Na bacznych stróżów prawa, jako i wolności;
Trzeba wam było jeszcze, przez miłość potwarzy
Szukać z pochodnią zmarszczków i zdrad w cudzéj twarzy;
Trzeba było, bezwstydni występków szafarze!
Osuszyć na płci słabéj wasze kałamarze.
Ten krok zuchwały kogoż na was nie obruszy?
Chyba tych, co nie mają ni serca, ni duszy, —
Chyba tych, co bóg zemsty i zawziętość wściekła
Wyrzuciła na ziemię z dziedzicami piekła.
Was więc wzywam, auzońskich gór prawi czciciele,
Nieśmiertelni płci ślicznéj i cnót przyjaciele!
Was, których mężne pióra już w kościele chwały,
Nie jeden wieniec ręką zwycięztwa zerwały,
Wzywa ze mną sił waszych honor płci tak drogi,
Dla któréj w niebie nawet swarzyły się bogi.
Czy możecie dla siebie więcéj znaleźć sławy,
Jako wygnać pieniaczów paszkwilu z Warszawy,
I poskromić zuchwałą czeladkę Parnasu,
By w jego nie czyniła przysionkach hałasu?
Wy zaś, piór zajadliwych niewinne ofiary!
Chciéjcie patrzéć z pogardą na wszystkie poczwary,
Których tak podżegacze, jak i twórcy skryci
Niech wiedzą, że się złota nigdy rdza nie chwyci.

3. Do jp. Miera, mieszkającego na wsi.

Zazdrości naszéj godne te chwile,
Wieśniaka który lepszym wyborem
W odległych włościach bawisz się mile,
Z niwą, sadami, łąką i borem.

Tam wolen trosków, w myślach swobodny,
Wdzięczniejszą rzeczy oglądasz postać;
Tam łatwo toczy dowcip twój płodny
Rymy, w pamięci mające zostać.

Cieniste góry i łyse skały,
A nieciérpliwym pyszne potokiem,
Jeśli chcesz, by ci rozrywkę dały,
Masz je pod twojém codziennie okiem.

Piérwszém ci skrzydłem pędzić zaczyna
Zefir powietrze, natchnione wonią,
Które wyciska z siebie drzewina,
I ziółka pełne balsamów ronią.

Dalekim biegiem znużone wody,
Krótki spoczynek biorące w stawie,
Różnych kolorów, — różnéj urody
Chowają rybki ku twéj zabawie.

Ta się zgubiła, ta chwyta znowu,
Ile im wędkę zapuścisz razy,
Nadpotrzebnego chciwe obłowu,
Śmiészne łakomców dają obrazy.

Jeśli cię nęci ptastwa łowienie,
Pod starożytnym ukryty klonem,
Skoro wystawisz rozkoszy cienie,
Latacze twoim stają się plonem.

A gdy miłośnik zapamiętały,
Cietrzew nieborak w twe wpada sidła,

Pomnij, aby cię nie uplątały
Podobnie kiedyś jakie pieścidła.

Zajączek ci się łatwo dostanie,
Choć zawsze patrzy i słyszy zdala:
Z wiatrem o rączość grające łanie
Niech twój raźniejszy połów obala.

Lecz niech ma pokój niedźwiédź mrukliwy,
I dzik, który się upornie broni:
Jak on jest srogi, jak on jest mściwy,
Podobny tobie doznał Adoni.

Na wsi jest tylko rozkosz prawdziwa!
Tam lud niewinny, szczéry, rzetelny,
Tam radość mieszka i czułość żywa, —
Do wsi zrodzony każdy śmiertelny.

Patrz, jak ten bogacz, czczony z pozorów!
W mieście go wiąże błyszcząca dola,
Lecz mimo zbytków, i złota worów,
I nudnych szczytów, tęskni do pola.

Zwozi murawy, zasadza gaje
Wpośrzód kosztownéj w mieście struktury;
A choć się od niéj oddzielać zdaje,
Przemałpia jednak dzieła natury.

Miałyby więcéj role zalety,
Nigdybyś z tamtych nie wyszedł krajów,
Gdybym ci wierne przesłał portrety,
Tutejszych przywar i obyczajów:

Obfite żniwo! lecz zamysł taki
Mojéj nie zdobi wesołéj liry,
Innym, gorzkawe lubiącym smaki,
Zostawiam snadne pisać satyry.

Szanuj statecznie wiejskie przybytki,
Gdzie cię przychylne trzymają losy,

Gdzie trzy boginie na twe pożytki
Karmią owoce, kwiaty i kłosy.

Lecz kiedy roku podlejsza pora
Za oddaloném słońcem nadbiegnie.
Pocznie cię dziwić długość wieczora,
Śnieg obnażone gałęzie zegnie:

Kiedy rozległe na sto mil lawy
Same na siebie rzéki uścielą:
Wtenczas ku murom zbliż się Warszawy,
Niech i stołeczni tobą się dzielą.

Albo lapońskie zaprzężesz reny,
Które cię w szybkiéj przyślizną sani:
Albo z odwagi chcąc być imienny,
W Mongolfiera nawiédź nas bani.

Korzystaj z Franków latania daru:
Im te wynaléźć przystało dziwy,
Mającym z siebie najmniéj ciężaru.
Wieszli początek ich osobliwy?

Pan, co przed wieki Olimpem władał,
Liczne po świecie tworząc narody,
Chemicznym one porządkiem składał,
Z ognia, powietrza, ziemi i wody.

Przyszła więc kolej Franków zdziałania:
Ci, gdy dwa piérwsze żywioły wzięli,
W lot, nieczekając reszty dodania,
Z rąk się swojego twórcy wymknęli.

4. Balon (Oda).

Nil mortalibus arduum.

Horat.

Gdzie tylko bystrym orzeł polotem
Pierzchliwe pogania ptaki,

A gniewny Jowisz ognistym grotem
Powietrzne przeszywa szlaki,

Niezwykłych ludzi zuchwała para,
Zwalczywszy natury prawa,
Wznawia tór, klęską sławny Ikara,
I na podniebiu już stawa.

Nabrzmiały kruszców zgorzałych duchem,
Krąg lekkiéj przodkuje łodzi;
Los dla niéj rudłem, nici łańcuchem,
Z wiatrami w zapasy chodzi.

Już im te złotą wyniosłe pychą
Znikają zprzed oczu domy!
W gruzów nikczemnych potrzaskę lichą
Wzrok przeistoczył poziomy.

Król, wódz, senator, kmieć pracowity,
Czy rządzi, czy ryje ziemię,
W błahych się zlepkach czołga ukryty,
Jak drobne robaczków plemię.

Jak z kilku kropel strumyk kreślony
Dziecinnym palcem na stole,
Ledwo się sączy na tym padole
Nurt szumnéj Wisły zmieniony.

Gminie, ku rzadkiéj zbiegły zabawce!
Jakież ci cuda mózg kreśli?
Ty sobie roisz czary, latawce,
Filozof inaczéj myśli.

Choć się natura troistym grodzi
Ze stali murów opasem:
Rozum człowieczy wszędzie przechodzi,
Niezłomny pracą i czasem.

Temi on wsparty, tory wędrowne
Burzliwym morzom poruczył,

Wydarł z otchłani kruszce kosztowne,
I szukać głazy nauczył.

Zbywają dzikiéj mocy żywioły
Pod jego dzielnym rozkazem,
Leniwa woda opuszcza doły,
A góry ścielą się płazem.

Tego się stéru w pogodnéj porze
Gdy ujął mężny Sarmata,
Choć go opuścił i wiatr i zorze,
Już wolniéj sobie polata.

Wszystko zwyciężysz, łódko szlachetna,
Na ciosy przeciwne twarda!
Statek twój sława uwieczni świetna
Chlubniéj, niż podróż Blanszarda.

5. Przy odebraniu czaszy wina (Anakreontyk).

O wdzięków zbiory,
Piękności wzory,
Panie, królowe, boginie!
Niech wasze oko
Sięga głęboko,
Nie sądząc gracza po minie.

Włos mi ubielił,
I twarz rozdzielił
Srogi czas w różne zagony,
Lecz za tę szkodę
Dał mi w nagrodę
Serdeczny upał zwiększony.

Tak Hekla siwa
Śniegiem pokrywa
Swoje ogniste pieczary;

Wiérzch ma pod lodem,
Zielona spodem,
I wieczne karmi pożary.

Płyń mi w potoku,
Bachowy soku,
Ręką przelany życzliwą,
Gdy na cześć waszę,
Pełniąc tę czaszę,
Przygaszam ogień oliwą.

6. Pani i dziéwki (Bajka).

Byłato jedna staruszka w Warszawie,
Miała dwie służebnice: Magdeczkę i Kachnę,
O których powiadają, że w przędzenia sławie
Przeszły lidyjską Arachnę.

Częstokroć dobry przymiot niewygodny bywa
Napędzała je często baba do roboty,
Zwieczora paląc łuczywa;
Alić znowu jeno brzask, furczą kołowroty.

Tak do nocy od poranku
Musiały prząść bez ustanku.
Kiedy było blizko rana,
Kogut piał, jak opętaniec;
Baba zaraz hyc z tapczana,
Porwawszy na się zbrudzony odziéwek,
Biegła rozświécić kaganiec,
A potém prosto do dziéwek!

Te w grochowinach spiące po pracy głęboko,
Jedna się poczęła drapać,
A druga, jedno otworzywszy oko,
Chce jeszcze troszkę pochrapać.
Lecz darmo! bo nad głową hałasuje jędza:
„Wstajcie dziewki! gdzie jest przędza?“ —

Musiały zatém wstawać, murkocząc pod nosem:
„Czy cię piekielnik rozpieprzył, psi ptaku,
I z twoim przemierzłym głosem?
Przebeczysz ty twego gdaku.“

Słowo do słowa, nakoniec się zdarza,
Że zagniotły złośnice pana excytarza.
Aleć im to zabójstwo nie zdało się na nic;
Bo nie mogąc rozeznać dnia i nocy granic,
W nocy baba latała jak kot zagorzały.

Dziéwki więc jeszcze mniéj spały:
Trafiły tedy z dészczu pod rynnę niebogi.
Ktokolwiek chcesz jechać sporzéj,
Więc na ścieżkę z gościńca nie bocz dla złéj drogi,
Bo często zawiązgniesz gorzéj.

7. Wilk i baranek (Bajka).

Racya mocniejszego zawsze lepszą bywa:
Zaraz wam tego dowiodę.
Gdzie bieży krynica żywa,
Poszło jagniątko chlipać sobie wodę.
Wilk tam naczczo nadszedłszy, szukając napaści,
Rzekł do baraniego syna:
„A któżto ośmielił waści,
Że się tak ważysz mącić mój napitek?
Nie ujdzie ci bezkarnie tak bezecna wina! —
Baranek odpowiada, drżąc z bojaźni wszytek:
„Ach! panie dobrodzieju! racz sądzić w téj sprawie
Łaskawie;
Obacz, że niżéj ciebie, — niżéj stojąc zdroju,
Nie mogę mącić pańskiego napoju.“ —
„Co! jeszcze mi zadajesz kłamstwo w żywe oczy?
Poczekajno, języku smoczy!
Przed rokiem zelżyłeś mnie paskudnemi słowy.“ —
„Ja zaś? jeszczem i na to poprzysiądz gotowy,
Że mnie zeszłego roku nie było na świecie.“ —
„Czy ty, czy twój brat, czy który twój krewny,

Dość, że tego jestem pewny,
Że wy mi sławę szarpiecie,
Wy, pastérze, i z waszą archandryą całą
Szczekacie na mnie, gdzie tylko możecie:
Muszę tedy wziąć zemstę okazałą."
Po téj skończonéj perorze,
Capes jak swego, i zębami porze.

8. Do biskupa Naruszewicza (List).

Szczygieł między kanarki w ptaszarni zamknięty,
Słabym głosem przetwarza melodyjne tony:
Gdy się ozwiesz słowiku, nucą drudzy ptacy,
Lecz w rozpaczy zostawiasz znęcone do pracy.
Tobie, poeto sławny dowcipem i gustem,
Należało się rodzić pod rzymskim Augustem,
Lecz jego rówiennika fortuna łaskawa
Chcąc uczcić, przeniosła cię w czasy Stanisława.
Czyli wiejskie piosneczki zadmiesz na fujarze,
Czyli na lirze zagrasz, któż lepiéj dokaże?
Horacego następco! komuż to zaszczytem
Będzie, gdy cię z uprzejmym równa Teokrytem?
Wielu się pnie za tobą, kędy droga ślizka
Zdradzając, spadających daje w pośmiewiska.
Ten, który chciał sto sążni bujać nad sokołem,
Potknął się, i w szkaradnym błocie ryje czołem.
Niezrażony przykładem i ja stawię stopy,
Na podwójnym pagórku wdzięcznéj Kaliopy;
Jeśli mi rękę podasz, dzielny przewodniku,
Kierując moje kroki po twoim chodniku*),
Wzbiję się nad obłoki, potém tak wysoko,
Że mię ledwie nie dojrzy przytępione oko.
Ja chcę wieniec przybarwić pachniącemi ziołki,
Po najbliższym nadziomku zbiérając fijołki,

*) Chodnik, słowo zdawniałe, znaczy ścieżka.

Ty sobie po najwyższym Parnasowym głazie
Na bystrolotnym rzesko galopuj Pegazie:
Ja słaby, upragnionéj wkrótce dojdę mety,
Gdy między piechotnymi liczysz mnie poety.

---

32. Franciszek Karpiński.

Urodził się dnia 4. października r. 1741. we wsi Hołoskowie, w powiecie kołomyjskim dawnego województwa Ruskiego, w owéjto ziemi, która przed dwoma wiekami wydała dwóch poprzedników Karpińskiego w sielskiéj poezyi: Szymonowicza i Zimorowicza. Piękna ziemia i słodkie obyczaje ludu natchnęły go poezyą, która w dziecinnym już wieku w nim się zdradzała. W ósmym roku oddany był do szkół Jezuickich w Stanisławowie, jako najbliższych ojców jego zagrody.

Matkę pełną dobroci i wrodzonego rozsądku wcześnie utracił. Ojciec Karpińskiego wpływał więcéj na jego charakter, niżeli wszystkie poźniejsze stosunki. Wystawia on dokładny obraz surowości, z jaką Polacy ówcześnie synów wychowywali. Miłość synowska u przodków naszych, połączona z najwyższém uszanowaniem i bojaźnią, miała w sobie coś szczególniéj wzniosłego i patryarchalnego. Najmniejsza poufałość, zabranie miejsca przy ojcu, lub wdanie się w rozmowę nawet w dorosłym wieku było wtenczas przewinieniem przeciw powadze ojcowskiéj. — Ojcu, acz tyle surowemu, dziękował Karpiński przez całe życie za religijne i moralne uczucia swoje. Nauk i zasad jego aż do poźnéj starości pilnował; otwartość i prawdę kochał aż do sciągnienia wielu przykrości sobie i drugim. Do tego stoickiego wychowania dołączył wrodzoną łagodność serca, co razem uczyniło go niewinnym i czystym we wszystkich pomysłach i czynach. Pobożność ojca, jak sam powiadał, obudziła w nim razem nierozdzielne uczucia religi i poezyi.

Kończył szkoły Jezuickie we Lwowie, które wtenczas postać akademii przybiérać zaczęły. Zgodnie z wolą ojca szukał szczęścia w palestrze; lecz wnet przekonał się, jak mało prawnictwo jego powołaniem być mogło. Postanowiwszy swój zawód porzucić, znany już nieco z talentu, otrzymał od króla Augusta patent na kapitana, którego tytułu potrzebował do podróży za granicę przedsięwziętéj. Półtora roku pobytu za granicą, szczególniéj w Wiédniu, poświęcił swobodnemu rozpatrywaniu się w świecie, i dziełach szczególniéj klassycznych.

Wabiły go jednak do zagród domowych wszystkie uroki, jakiemi młodzieńcza imaginacya przyszłość naszą upięknia. Na łonie tych przyjemności wyobrażał sobie skromne, ale najprawdziwsze szczęście człowieka: atoli, jak najczęściéj bywa, los wszystkie te piękne nadzieje zburzył. Z powrotem do kraju utracił ojca, który przy bardzo szczupłym majątku n a k a z a ł mu na łożu śmiertelném ś w i ę c i e s i ę p r a w d y t r z y m a ć; zamiast łan ojczysty uprawiać, po polach najętych tułać się musiał. —

Zbieg takich wypadków w wieku zajętym najmilszemi nadziejami, sprawił mocne na umyśle Karpińskiego wrażenie: pozostała mu jedynie cieszycielka, poezya, która istotne jego nieszczęścia tkliwemi marzeniami koiła; obudziły się w nim zarazem wyższe uczucia i czynności władz umysłowych. Skromne imię Karpińskiego głośne być zaczęło między sąsiadami: sławili go wszyscy jako poetę, kochali jako dobrego ziomka. Zdziwili się i dawniejsi Polacy, jak potrafił śpiéwać do ich serca ten, który w prostocie swojéj dalekim był od dziwacznego smaku, a który przed laty tyle papłacał.

Coraz głośniéj rozchodziła się wieść o powszechném dążeniu narodu ku poprawie i rozszérzeniu oświaty, o hojności dla nauk króla, a mianowicie księcia Adama Czartoryskiego. Zapragnął i Karpiński szukać wyższéj sławy i losu na wielkim świecie. Wydał piérwszy zbiór pism swoich we Lwowie, przypisany księciu generałowi. Wspaniały ten mecenas otworzył dla niego dom swój, ów przybytek światła i smaku; nadto zjednał mu wstęp do domów znaczniejszych, w których Karpiński, coraz z talentu głośniejszy, zawsze mile był przyjmowany. Wkrótce powołał go do Warszawy, gdzie Karpiński jako sekretarz do czynności zagranicznych przy nim zostawał.

W 40. już roku życia pospieszał Karpiński do stolicy, zajęty powtórnie nadziejami, lecz innemi wcale od tych, które go z zagranicy do ziemi ojczystéj nęciły. W tym wieku męzkim, w którym miejsce uroków imaginacyi coraz więcéj rzeczywistość zajmuje, odezwała się w nim żądza sławy obywatelskiéj, i chęć zapewnienia sobie przytułku dla nadchodzącéj starości. Duch przez Konarskiego natchniony, coraz się świetniéj rozszérzał. Ludzie światli i utalentowani mieli wtenczas wszędzie szacunek i zachęcenie. Po domach panów polskich miejsce dawnych biesiadników zajęli. Pomiędzy uczonymi panowała jedność i wzajemny szacunek. Młodzi nie gardzili starszymi, i ci wzajem cieszyli się, widząc nowe wzrastające talenta. Naruszewicz, najbliższy wstęp do króla mający, przedstawił mu Karpińskiego. Odtąd miał wstęp do dworu, i był uczestnikiem znanych czwartkowych obiadów. Najściślejsza atoli przyjaźń łączyła Karpińskiego z Kniaźninem i Zabłockim, których smak i czucie więcéj do siebie zbliżały.

Karpiński, postępując zawsze drogą prawdy i pracy, zajmował się po domach znakomitych kształceniem młodzieży; lecz nie umiejąc nigdy swego sposobu myślenia do obcéj woli stosować, nie był w tym zawodzie szczęśliwy. Omylony w nadziejach, z jakiemi do stolicy pospieszał, wrócił do szczupłéj rodzinnéj zagrody w myśli, że z roli wygrzebie pewniejsze wyżywienie sobie i ciérpiącéj rodzinie. To pożegnanie wielkiego świata i zmiana życia dało powód do znanéj elegii, Powrót z Warszawy na wieś. —

Atoli król Stanisław August nanowo do Warszawy Karpińskiego powołał. Umówiwszy się z księciem Maciejem Radziwiłłem, polecił mu wychowanie osieroconego księcia Dominika, kilkudziesiąt milionów dziedzica. Posłuszeństwo monarsze i bardzo korzystne warunki skłoniły Karpińskiego do porzucenia wiejskiéj zagrody. Przyjął nanowo obowiązki nauczyciela, przewidując, iż nie długo peł-

nić je będzie: lat 50 już licząc, wzdychał do skromniejszéj, byleby prędszéj, uchrony na starość. Rok tylko przy młodym Radziwile przebywszy, zdołał nakłonić króla, iż mu dozwolił wrócić do pożądanéj wolności. Nakoniec, za wdaniem się znakomitych przyjaciół otrzymał Karpiński przywilej na 50letnie trzymanie dzierżawy Kraśnik w powiecie prużańskim. Wprawdzie byłoto tylko puste pole, i miejsca podobne z łatwością na tyleż lat otrzymywał każdy, kto o to się podał; atoli dla Karpińskiego znudzonego światem byłoto prawdziwe dobrodziejstwo. Skromne życie zapewniało mu jeszcze długą starość, doświadczenie nauczyło go w ustroniu szczęście znajdować: wrodzona poetom tęskność do wiejskich wczasów, chęć nakoniec dobrze czynienia kochanym zawsze od niego wieśniakom, oto były pobudki, dla których ten wiejski zakątek uważał jakby za port rodzinny po długiéj i przykréj żegludze.

Odtąd blizko druga połowa życia Karpińskiego poświęconą była jedynie rolnictwu i cnotom sąsiedzkim, które wprzód tyle w poezyach swoich uwielbiał. Wiek późnéj starości tak przepędził, jak sobie życzyć może każdy cnotliwy. Spoglądał na pola, pracą jego w żyzne łany zmienione, na chatki obdarzonych wieśniaków, którzy z nim się razem starzeli: bezżenny otoczył się rodzeństwem, które winne mu było swą pomoc, i przykrą mu starość słodziło. Szacowany od osób najznakomitszych, orzeźwiał się i cieszył, słysząc młodzież dawne pieśni jego wyśpiéwującą. W pociechach religijnych tę niepospolitą czuł słodycz, że tkliwe pienia jego pobożne lud prosty w kościółkach, i przy pracy rolniczéj powtarzał. Sam rano i wieczór, z gitarą w ręku do kościółka odwrócony, starzec niknącym śpiéwał już głosem zpod cienistego podwórza psalmy i pieśni swoje.

Zapewniwszy na łożu śmiertelném los rodzinie swojéj i znaczne ulgi włościanom, zakończył cnotliwe życie dnia 4. września roku 1825. Pochowany na cmentarzu w Łystkowicach pomiędzy grobami kochanych swoich wieśniaków.

Wiémy wszyscy, że naród przyznał Karpińskiemu tytuł poety serca; nie łatwy zatém jest rozbiór dzieł jego, przy których więcéj czuć, niż rozumować potrzeba. Najistotniejszą jego cechą, jak się trafnie jedna z znakomitych autorek wyraża, jest dowcip serdeczny, trafiający razem do smaku i czucia, a do naśladowania niepodobny.

Między Krasickim i Karpińskim mieli Polacy kilku wyborniejszych poetów, atoli po Krasickim jego najwięcéj cenili. Czém bowiem był piérwszy dla umysłu, tém był drugi dla serca. Tamten miał dowcip prawdziwie narodowy, ten czucie. Obadwaj w swoim zawodzie okazali jednaką łatwość i prawdę: ztąd każdy Krasickiego pojmował, każdy czuć umiał z Karpińskim. Nigdy piérwszy nie rozśmieszył bez skutku, ani drugi bez wrażenia cnoty rozrzewnił.

W pismach w lekkim rodzaju żaden mu jeszcze z poetów naszych nie wyrównał. Każde składa porządną całość, wysłowienie łagodne i proste, tudzież wylanie jednego czucia: co téż właśnie powinno być cechą wszystkich do śpiéwu przeznaczonych poezyj.

W pieśniach wyższego rzędu mniéj jest Karpiński szczęśliwy, gdyż zawsze czucie przewyższa w nim imaginacyą. Muza jego jest mieszkanką dolin, gajów

słowiczych, dumającą nad strumykiem spokojnie płynącym; nie dla niéj są wzniosłe siedliska orłów, i głos jéj słabieje przy gór huczącym potoku. To okazuje szczególniéj jego przekład Psalmów Dawida i własne jego Pieśni pobożne. Przerobił on tylko psalmy przez Kochanowskiego przełożone, i więcéj je do spiéwu zastosował. Atoli mniéj daleko, niż Kochanowski, przejąć się zdołał Dawidem tam, gdzie tenże wzniosłe wystawia obrazy; tam tylko, gdzie łagodne obrazy i spokojne psalmista uczucia maluje, oddał go należycie, i często Kochanowskiemu wyrównał. W własnych pieśniach pobożnych odstąpił Karpiński zupełnie od wzorów psalmisty, i poszedł drogą dla siebie właściwszą. Dawid spiéwał jako król, łączący w sobie razem najwyższą władzę kapłańską; Karpiński miesza się z prostymi pastérzami i rolnikami, z nimi razem jak z dziećmi rzewne modły do Boga zanosi.

Elegia Karpińskiego Powrót na wieś należy do najpiękniejszych tego rodzaju poezyj w polskim języku. — Poema Ogrody, przełożone z Delilla, mniéj może właściwe były smakowi Karpińskiego, i pracę tę wykonał nie z własnego natchnienia — Mniéj pomyślnie doświadczał Karpiński sił swoich w zawodzie dramatycznym. Tragedya Bolesław III. nie może wytrzymać sądu krytyki, i nigdy na scenie wystawioną nie była. Są jednak i tu miejsca, zdradzające smak i uczucia Karpińskiego.

W pismach prozą pisanych maluje się cnotliwe serce Karpińskiego, polszczyzna czysta, lubo nie wszędzie wygładzona: wszędzie czucie pióru jego przewodniczy.

W ogólności poezye Karpińskiego są tylko owocem jego serca, dalekie od genialnych pomysłów i wydoskonalenia sztuki. Tylko pieśni jego i niektóre sielanki zjednały mu powszechne zamiłowanie w narodzie, i przez nie żyć będzie.

K. Brodziński.

I) Dzieła Franciszka Karpińskiego wierszem i prozą. Tom I—IV., w Warszawie r. 1806.

A) Sielanki (Tom I.).

1. Tęskność na wiosnę.

Już tyle razy słońce wracało,
I blaskiem swoim dzień szczyci;
A memu światłu cóżto się stało,
Że mi dotychczas nie świéci?

Już się i zboże do góry zbiło,
I ledwie nie kłos chce wydać,
Całe się pole zazieleniło;
Mojéj pszenicy nie widać!

Już słowik w sadzie zaczął swe pieśni,
Gaj mu się cały odzywa,
Kłócą powietrze ptaszkowie leśni;
A mój mi ptaszek nie spiéwa!

Już tyle kwiatów ziemia wydała
Po onegdajszéj powodzi,
W różne się barwy łąka przybrała;
A mój mi kwiatek nie schodzi!

O wiosno! pókiż będę cię prosił,
Gospodarz zewsząd stroskany?
Jużem dość ziemię łzami urosił,
Wróć mi urodzaj kochany.

2. Pastérz do owieczki straconéj.

Na te bezdroża, owco ulubiona,
Idziesz bez twego pastérza!
Burzliwy wicher, zima uprzykrzona
Ciężkie ci przejścia zamierza.

Przez którekolwiek krainy przechodzić
Będziesz, méj trzody ozdobo!
Wszędzie mój smutek za tobą ma chodzić,
I tęskność moja za tobą.

Może cię niebo w twych trudach pokrzepi,
I da bezpieczne noclegi:
Może cię jako zwiérz dziki prześlepi;
Boś jest tak biała, jak śniegi.

Owieczko moja! duszy mojéj duszo,
Nadziejo mojéj zagrody!
Żadne mię teraz rozrywki nie wzruszą,
Bom stracił czoło méj trzody.

Ja się po tobie dość nie zasmucę,
Nie strawię żalu przyczyny;
Ja dziewięćdziesiąt i dziewięć porzucę,
Pójdę cię szukać jedynéj.

B) Pieśni (Tom I.).

1. Do przyjaciela.

Ty jeden umiész łzy z oczu ociérać,
Ty strapionemu sercu folgę czynić;
Od ciebie można zarówno odbiérać,
Czyli chcesz chwalić, czyli za co winić.
Na twojém łonie zasnąć mi najmiléj,
I twoja rada najlepiéj posili.

Na równe części los mój z tobą dzielę,
Ty jeden wchodzisz w skrytość mego ducha;
Razem się z tobą smucę, czy weselę,
Ciebie uparta nawet skłonność słucha.
Twój rozum moję popędliwość trzyma:
Takimbyś miał być, ale cię nikt nie ma.

2. Trwoga człowieka blizkiego śmierci.

Już się dach zepsuł, i przez mdłe ściany
Lada się wicher przekradnie;
Słusznie gospodarz chodzę stroskany,
Widząc, że mi dom upadnie.

Jeszcze na wstręcie wiatrów upartych
Jak na nieszczęście stawiony,
Sto do upadku ma bram otwartych,
A żadnéj znizkąd zasłony.

Cóż to za szelest? kto mi ma szkodzić?
Trzęsienie z jakiéj przyczyny?
Któż będzie gwałtem w drzwi moje wchodzić? —
Idą posłowie ruiny.

Ach widzę, jako już wszystko ginie,
Co miałem, i co nie miałem!
Jednę przynajmniéj ratujcie skrzynię,
W któréj nadzieję schowałem!

3. Matka do córki.

Śmiało! Anusiu, córko ulubiona!
Oto jest ciężar, a ty masz ramiona.
Widzisz tę górę, — po niéj ostra ścieżka,
Na samym wiérzchu piękna cnota mieszka.
Wszystko zostaw tu na dole,
Spiesz się do góry:
Tam łagodzi nasze bole
Niebo bez chmury.

4. Do przyjaciela.

Na tém tu miejscu z wami ja żyłem,
Z wami tu wodę Niemnową piłem;
Też same brzegi, też same ściany,
Gdzie was kochając, byłem kochany.
Ściśnij mię, Filon, wzajem ściśnięty,
Spiéwajmy słodycz przyjaźni świętéj.

Za co mi stanie, że mówię śmiało,
„Nic mię od ciebie nie oderwało."
Ktoś kłóci ludzi, ktoś miasta wali,
My się w zaciszu stale kochali.
Ściśnij mię, Filon, wzajem ściśnięty,
Spiéwajmy słodycz przyjaźni świętéj.

Niech mi tu twardy kamień postawią,
Którego poźne lata nie strawią;
Na nim dam napis niestarty wiekiem:
„Dwóch ludzi było jednym człowiekiem."
Ściśnij mię, Filon, wzajem ściśnięty,
Spiéwajmy słodycz przyjaźni świętéj.

5. O narodzeniu Pańskiém.

Bóg się rodzi, moc truchleje,
Pan niebiosów, obnażony;
Ogień krzepnie, blask ciemnieje,
Ma granice nieskończony.

Wzgardzony, — okryty chwałą,
Śmiertelny, — król nad wiekami!
A Słowo Ciałem się stało,
I mieszkało między nami.

Cóż, niebo, masz nad ziemiany?
Bóg porzucił szczęście twoje,
Wszedł między lud ukochany,
Dzieląc z nim trudy i znoje:
Nie mało ciérpiał — nie mało,
Żeśmy byli winni sami:
A Słowo Ciałem się stało,
I mieszkało między nami.

W nędznéj szopie urodzony,
Żłób mu za kolebkę dano!
Cóż jest, czém był otoczony?
Bydło, pastérze i siano.
Ubodzy! was to spotkało,
Witać go przed bogaczami!
A Słowo Ciałem się stało,
I mieszkało między nami.

Potém i króle widziani
Cisną się między prostotą,
Niosąc dary Panu w dani,
Mirrę, kądzidło i złoto.
Bóstwo to razem zmieszało,
Z wieśniaczemi ofiarami!
A Słowo Ciałem się stało,
I mieszkało między nami.

Podnieś rękę, Boże Dziécię!
Błogosław rodzinę miłą,
W dobrych radach, w dobrym bycie
Wspiéraj jéj siłę swą siłą,
Dom nasz i majętność całą,
I twoje wioski z miastami.
A Słowo Ciałem się stało,
I mieszkało między nami.

5. Powrót z Warszawy na wieś (Elegia).

Otóż mój dom ubogi! też lepione ściany,
Też okna różnoszybne, piec niepolewany,
I nizka strzecha moja! — Wszystko tak, jak było,
Tylko się ku starości więcéj pochyliło! —
Szczęśliwy, kto na małym udziale przebywa,
Spokojny siadł przy stole wiejskiego warzywa:
Z swéj obory ma mięso, z ogrodu jarzynę,
Z domu napój, i wierną przy boku drużynę.
Obym ja był tak dawniéj myślił, oszukany!
I w ukrytym gdzie kącie żył raczéj nieznany,
Gdyby o mnie w powiecie nawet nie wspomniano,
I tylko mię sąsiadem dobrym nazywano!
Bym się żywił z krwawego rąk moich wyrobku,
Żył na świecie bez wieści, umarł bez nagrobku!

Com zyskał, że rzuciwszy ubogie zagrody,
Chciałem nieopatrzony płynąć przeciw wody?
I widząc na me oczy, jak drudzy tonęli,
Jam sobie myślił: „Oni płynąć nie umieli!“ —

Com zyskał, na wysokie, pańskie pnąc się progi!
Gdzie po ślizkich ich stopniach obrażając nogi,
Nic się z moim lepszego nie zrobiło stanem,
Prócz marnego wspomnienia, że gadałem z panem!
Kiedy mię ojciec stary żegnał przy swym zgonie,
„Idź“ mówił „synu, na świat! w jakiéj będziesz stronie,
Pamiętaj, że na prawdzie nikt nigdy nie traci:
Zostawiam cię ubogim, prawda cię zbogaci.“
Słuchałem cię, ojcze mój, goszcząc między pany,
Takem pisał, lub mówił, jak był przekonany;
Nie brałem sobie za cel, ludzkie głosić winy,
A jeźlim kogo chwalił, nigdy bez przyczyny.
Cóżem zyskał, pochlebstwem nie służąc nikomu?
Otom wrócił uboższym, niż wyjechał z domu.

Nie przeto, święta cnoto! porzucić cię trzeba,
Że wieku dzisiejszego nic nie dajesz chleba,
Choćby mi jeszcze wolniéj miało szczęście pociec:
Bo iz prawdą pięknie jest, i tak kazał ociec.
Trzeba wyznać, jak było, że mi coś dawano,
Ale wszystkie godziny życia kupić chciano,
Żebym wieczny niewolnik, nosił jarzmo czyje,
Żył cały komuś, a sam zapomniał, że żyję:
A wreszcie mi nadzieją szafowano szczodrze.
Nikomum źle nie zrobił, ani mnie nikt dobrze.
Nadziejo! czyż ja ciebie w złotéj chciał mieć szacie,
Żeby oczy pospólstwo obracało na cię?
Żebym słynął majątkiem? drugimi pomiatał?
Nie o tom ja pod drzwiami fortuny kołatał.
Jedna wioska do śmierci, jeden dom wygodny,
Gdziebym jadł nie z wymysłem, ale wstał nie głodny;
Gdziebym się nie usuwał nikomu do zgonu,
Swym pługiem zoranego pilnował zagonu,
Spokojny będąc na tém, co stan mierny niesie,
Stałbym sobie na dole, niech kto inny pnie się.

W tym zamiarze praca mię całe życie tłoczy,
Nad książkami straciłem i zdrowie, i oczy,
Nad książkami, które ja, co gębie odjąłem,
Może zbytecznym na mnie nakładem sciągnąłem.
Cóż mi książki oddały? Jak niewierna niwa,
Co zgubiła nadzieję rolnikowi żniwa.
Po wieku mego wiosny niewróconéj szkodzie,
Nachylony ku zimie, zostałem o głodzie.

Za lat Symonidesów, albo Kochanowskich
Może znalazłbym sobie Zamojskich, Myszkowskich,
Przy którychbym wygodnie wieku mego użył,
I pismem pożytecznem narodowi służył.
Dziś, zabierz mi kto księgi, — ten sprzęt nieszczęśliwy,
Do których mię przywiązał nałóg uporczywy,
I, co mi będzie lepiéj w ubóstwie usłużne,
Zamieniaj na motyki, i żelaza płużne.

Porzucę nad pismami myśli kłopotliwe;
A serce niech mi tylko zostanie dotkliwe,
Żebym się mógł nad losem biédniejszych litować,
I przy pracy miał sposób bliźniego ratować.

Maryo! siostro moja! Jakżeś się kwapiła!
Prawieś wraz z mym powrotem i ty tu przybyła!
Czego stojąc w tym kącie z twarzą wyniszczoną,
Otoczona dziatkami nieszczęśliwa żono,
Poglądasz mi na ręce, rychło jakim datkiem
Wesprę cię już goniącą majątku ostatkiem?
Nędza was jak popadła, tak statecznie gniecie!
I tyś także, jak widzę, prawdą szła na świecie!
Opłakana rodzino! Wy myślicie ślepi:
„On był między panami, i nam będzie lepiéj.“
Byłem, — i byłem pewnie panom na coś zdatny, –
To wiém, a tego nie wiém, za com niepopłatny.
Stało się! nie mam swojéj, kopmy cudzą grzędę,
Podeprzeć tę lepiankę! jeszcze w niéj przebędę.—

C) Psałterz Dawida nowo przetłumaczony (T. II.).

1. Psalm (VIII).

Wszechmocny Panie! wiekuisty Boże!
Któż się twym sprawom wydziwować może?
Kto rozumowi, którym niemierzona
Ziemia stworzona?
Gdziekolwiek słońce rzuca ognie swoje,
Po całym świecie słynie imię twoje,
A sławy niebo ogarnąć nie może,
Potężny Boże!
Niech źli, jako chcą, ciebie ważą sobie,
Z ust niemowlęcych wyjdzie chwała tobie
Ku większéj hańbie, i ku potępieniu
Złemu plemieniu.

Twój czyn jest niebo, twoich rąk robotą
Gwiazdy, te w górze jaśnieją nad złoto;
Ty coraz nowém światłem zdobisz wdzięczne
Koło miesięczne.
A człowiek cóż jest, że ty niestworzony,
Wszystkiego twórca, i pan niezmierzony,
Raczysz nań wspomnieć? Zkądto syn człowieczy
Godzien twéj pieczy?
Takeś go uczcił i w dary pomnożył,
Żeś go z anioły ledwie nie położył:
Postawiłeś go panem nad wszystkiemi
Czyny twojemi.
Dałeś w moc jego wszystkie bydła polne,
Dałeś i leśne zwierzęta swywolne;
On na powietrzu ptastwem, pod wodami
Władnie rybami.
Wszechmocny panie! wiekuisty Boże!
Któż się twym sprawom wydziwować może?
Kto rozumowi, którym niezmierzona
Ziemia stworzona?

2. Psalm (XXIX.).

Będę cię wielbił, mój Panie!
Póki mię na świecie stanie,
Żeś mię w przygodzie ratował,
I śmiechów ludzkich zachował.

Panie! wołałem ku tobie,
A tyś mię wsparł w méj chorobie;
Dodałeś mi swéj pomocy,
Żem nie doznał wiecznéj nocy.

Zborze Pański! spiéwaj swemu
Obrońcy najpewniejszemu;
Uczyń cześć powinną z chęci
Jego najświętszéj pamięci.

Gniew jego prędko ustaje,
A wiek długi w szczęściu daje:
Kogo wwieczór zafrasuje.
Tego rano pożałuje.

Mnie zuchwałe szczęście było
Tak dalece ułudziło,
Żem śmiał rzéc: „W téj klubie stoję,
Że się odmiany nie boję.“ —

Łaska twoja, panie! była,
Tak mocno mię utwierdziła;
Ale skoroś twarz odwrócił,
Wneteś moję hardość skrócił.

Cożem ja miał począć sobie?
Jedno głos podnieść ku tobie:
„Cóż za korzyść mocny Boże,
Z mego zginienia być może?“

„Zalić proch cześć będzie dawał,
Albo twą dobroć wyznawał?
Pan usłyszał głos mój lichy,
Wsparł mię, zmazał moje grzéchy.

Użyłeś zwykłéj litości,
Obróciłeś płacz w radości;
Zdjąłeś ze mnie wór żałobny,
A włożyłeś płaszcz ozdobny.

Przeto cię wesoło wszędzie
Lutnia moja wielbić będzie.
Chwała twoja, wieczny panie!
W uściech moich nie ustanie.

3. Psalm (CXI.).

Szczęśliwy i nie zna kaźni,
Kto w pańskiéj żyje bojaźni!
Najmilsza jemu jest droga,
Iść według przykazań Boga.

Krew jego zacna na ziemi
Porówna zawżdy z możnemi;
Ród się cnotliwych rozpleni,
I będą błogosławieni.

Dom jego będzie obfity
W zbiory i trwałe zaszczyty;
A cześć poczciwego człeka
Pójdzie od wieka do wieka.

Niechaj noc zaćmi mgły swemi,
Światło jest nad cnotliwemi;
Zawsze im pan jest życzliwy,
Litośny i sprawiedliwy.

Człek miły, pełen wesela,
Gdy drugim z swego udziela,
W słowie się swojém tak rządzi,
Że co wyrzecze, nie zbłądzi.

Ludzka pamięć jego sprawy,
Uwieczni: „Byłto mąż prawy!“
I zły go język nie trwoży,
Bezpieczen w nadziei Bożéj.

Stateczność jego cnéj duszy
Żadną się rzeczą nie wzruszy;
Wydoła złéj chwili snadnie,
Aż nieprzyjaciel upadnie.

Rozsypał swoje szczodroty
Na wdowy, biédne sieroty:
Przeto uczynnością słynie,
I chwała jego nie zginie.

Zły na to patrząc, boleje,
Zgrzyta z radości, i śmieje,
Taki, co w głowie uradzi,
Do skutku nie doprowadzi.

D. Rozmowy Platona z uczniami swoimi (Tom IV.)

1. Wiadomość z życia Platona.

Platon, Ateńczyk, syn Arystona, pochodził od ostatniego króla ateńskiego, Kodrusa, a z matki od Solona, prawodawcy: tak ród jego szlachetny był między najpiérwszemi z Ateńczyków. Z młodych lat ćwiczył się w malarstwie, muzyce i w gimnazyach ciała umocowaniem, a mając dowcip żyzny i mocną imaginacyą, chwycił się poezyi i epiki; ale porównywając swoje wiérsze z Homerem, spalił je, i spodziéwając się, że mu się lepiéj powiedzie w tragedyi, gdy już aktorowie grać mieli na teatrze sztukę jego, poznawszy sławnego natenczas mądrością Sokratesa, zarzucił zupełnie pisma poezyi, i przy tym mistrzu do jego śmierci bawił, po któréj oddał się zupełnie naukom.

Odprawił podróże: do Włoch, do Cyreny, do Egiptu, wszędzie zbiérając, coby go oświécić mogło. Był dwa razy w Sycylii u starego i młodego Dyonizego: z piérwszym wolniéj nieco umawiając się, mało życia nie stracił, i tylko na zaprzedaniu go w niewolą skończyło się; zkąd potém od przyjaciół wykupiony, powrócił do Aten, gdzie w domu swoim przy ogrodzie Akadema spokojnie pisał księgi, i uczniów swoich naukami się zatrudniał. Prócz inszych wielu między piérwszymi uczniami jego byli: Dyon Syrakuzanin, Arystoteles Stagirita, Speuzyp, jego siostrzan, Xenokrates Chalcedończyk, Demostenes, Focyon, Eschines, Hipperyd i Likurg, — Ateńczycy, wszyscy sławni ludzie w dziejach dawnéj Grecyi.

Cnoty jego i pisma, przy prawdzie śmiałe, zrobiły mu wiele nieprzyjaciół, którzy wszelako spokojności umysłu jego nie pomieszali. Był najsłodszym i najpoufalszym dla uczniów swoich, którzy największe mu czynili uszanowanie, nawet przez pochlebstwo tak dogóry ramiona wznosząc, jak u niego naturalnie były podniesione. Miał twarz wspaniałą, ale zawsze zamyśloną, wejrzenie słodkie, czoło duże, piersi szérokie, powagę w chodzeniu, skromność w całéj powiérzchności, i zacność jakaś się w nim na samo wejrzenie wydawała.

Wszystkie krainy Grecyi jaki dla niego szacunek miały, pokazało się to na igrzyskach olimpijskich, gdzie się raz przez ciekawość widzenia znajdował. Z całéj Grecyi kilkadziesiąt tysięcy zacniejszych ludzi zgromadzonych, sami nawet ubiegający się o wygraną, zaniechaw-

szy zawodów swoich, powszechne czynili okrzyki Platonowi. Był skłonny do melancholii, równie jak jego nauczyciel, Sokrates, często sam przydłużéj chodząc zamyślony: po któréj zwyczajnie go weselszym widywano. I to mu pewnie zdrowia nie nadwerężało, jak długie podróże, po których był zawsze słabszym; ale potém jedząc i pijąc najmierniéj, i jak można najmniéj ulegając namiętnościom, poprawił zdrowie. W rocznicę urodzin swoich wesoł z przyjaciołmi, tyle jedząc i pijąc, jak zwyczajnie czynił, nawet kilka wierszy napisawszy, poprawiając traktat swój o rzeczypospolitéj, bez żadnéj choroby stracił razem pamięć, i w pośrodku przyjaciół, lat mając ośmdziesiąt jeden, umarł przed narodzeniem Chrystusa na lat trzysta kilkadziesiąt.

W pismach Platona widać często styl wyniosły, w jaki sposób pisania wprawił się pewnie w początkach, idąc drogą poezyi: wszelako skromna w prozie jego wyniosłość, nie tylko nie odraża, ale nawet zachwyca, że go prawdziwie wymownym nazwać należy. Układając te rozmowy Platona z uczniami swoimi, starałem się naśladować styl jego, i wiele myśli z pism jego wyjętych całkiem do tego dzieła przenieść: insze zaś, czasem niezgodne z teraźniejszém oświeceniem odrzucić musiałem, albo nawet przeciwnie utrzymywać, kiedy dwudziestu dwóch wieków po Platonie wynalazki i dociekania, tyle dawnego świata błędów poprawiły.

2. Rozmowa o człowieku, jego wielkości i nikczemności.

(Rozmowa ta jest w ceramiku, czyli na cmentarzu Ateńczyków.)

Platon. Człowiek podniósł głowę swoję nad twory ziemskie, pogroził reszcie stworzenia. Wszystko mu na ziemi ulega, co tylko żyje, i zdaje się, że tylko żyje dla niego. Dosięga myślą Boga, słońca i planet, a tak przybliża się do pokrewnych sobie,— ducha i ciała. Dziecko natury, przystraja matkę swoję, i sam rozumem swoim przybrał się w odzienie wygodne, znalazł powietrze zdrowe, pomierzył niebo, podbił wodę, i dobiegł lotu błyskawicy między chmurami. Rzekł żywiołom zawaśnionym: „Ustąpcie, bo mam przechodzić!“ i dały mu miejsce przechodu. W potrzebie robi sobie chłody przez wykopane podziemne gmachy, albo na ziemi ciepło przez wytrzebione lasy niedostępne. Rozkazał morzu: „Usuń się, żeby mi była ziemia przestroniejsza,“ i usłuchało go morze. Płynie okrętem po grzbiecie jego, a to mruczy, ale słucha pana, który go podbił.

Wiatrów i ognia używa do wygody swojéj, i położył tamy, któreby zatrzymywały ich natarczywość. Porusza wnętrzności ziemi, i dobywa z nich drogie kamienie, metale, sole i marmur, dla pożytków albo ozdoby swojéj. Szpiegując skrytości natury, zbiegł ją nad warsztatem jéj, i widział sprężyny, któremi działa. Poszedł na bagna niezbrodzone i lasy nieprzebyte: a pod nogami jego stały się polem urodzajném i piękną łąką, że zdaje się, jakoby natura świat jeden wystawiła, a przemysł człowieka drugi. Rozumto ludzki ugłaskał jedne zwierzęta, które dziesięćkroć silniejsze od człowieka, pracują cierpliwie na pożytek jego; drugie zaś, które w dzikości swojéj pozostały, sprawnością swoją więzi, albo zabija. Wół wziął od natury siłę do znoszenia najcięższéj pracy; koń rzutkość, piękność i dzielność: lew zaś moc największą i śmiałość: a człowiek, który na swój udział wziął tylko rozum, zjada wołu, wsiada na koń, i lwią się skórą przyodziéwa. —

Człowiecze! pokazałeś mi, jak wiele możesz, a ja ci pokażę, jak słabym jesteś! Oto ceranik, koniec wielkości ludzkich! gdzie mędrzec albo bohatér równie ze zdechłym robakiem ginie! Cmentarze sąto miasta najludniejsze, ale cichości i pokoju. Jakże jest wymowne milczenie popiołów tych! Jakże toż samo nam powtarzać zdają się, co Sylen Midasowi powiedział, że możeby lepiéj było, aby się człowiek nie rodził; a blizko tego, ażeby urodziwszy się, zaraz i umarł. Dziécię z matki wychodzi na świat, którego tyle na ziemi trudów, tyle niebezpiecznéj przeprawy czeka! Wychodzi z nasionami miłości i nienawiści, które z nim razem w potężne wzrastają namiętności; a te obiedwie wszystkie nasze zabiegi w życiu poruszają. Dziécię jak mdłe i nagie, gdyby go nie chroniono, zgniótłby go poddany jego zwierz, albo żywioły. Królu ziemi! gdzież twego panowania znaki?

Po przykrościach w dzieciństwie, po ostrości ćwiczenia młodego wieku, wiek męzki tysiące trudów odkrywa; potém przychodzi starość, w któréj pogardzają, i śmierć, po któréj zapominają o człowieku. Każdy z ludzi żyje pysznym, bo każdemu miłość własna pochlebia, a umiéra niewdzięcznym, bo nigdy się Bogu, a często i ludziom nie wypłaci. Zdrowie byłoby największym skarbem dla nas, przecież my go niszczymy, jedząc bez głodu, pijąc bez pragnienia, spiąc bez potrzeby, i gniéwając się bez miary. Namiętności nasze jakże często pogardziły rozumem, tym stérnikiem swoim, i na skopuł niebacznie

zabiegły. Oświécenie się, czyli wiadomość rzeczy w człowieku jakże wiele w nas żądań obudziło, które beztego nigdyby znajomemi nie były! I kiedy dobro istotne albo pozorne porusza w nas miłość własną, w tym razie rozum powinienby rozeznawać i miarkować jéj zapędy: ale jakże często, gdy myślimy, że on nam panuje, namiętność jaka, rozumu pochlebnica, rządzi człowiekiem! Prócztego kiedyż w człowieku zgodziło się zupełnie to kłótliwe rodzeństwo: rozum z namiętnościami? Rozum, kazał mi przed niemi serce zamykać, ażeby się tam nie zagnieżdżały: że jak tylko wnijdą, razem z sobą i niepokój wprowadzą: ale one u mnie już były w domu, i trzeba z niemi codzień wśród mego podwórza walczyć.

Zostawmy namiętności nasze, z któremi każdy przez całe życie ma co do roboty. Jakżeto zkądinąd nędznym jest człowiek, kiedy niémasz na świecie nic tak słabego i tak drobnego, żeby mu szkodzić nie mogło! Któż był, żeby od rana do nocy najmniejsza mu się przykrość nie zdarzyła? Odłączmy na stronę jedynego na ziemi Sokratesa, który jednakiém przyjmowaniem zdarzeń wszelakich prawie się podniósł nad człowieka, i mówmy tak o reszcie ludzi, jakiemi są powszechnie. Nasze nadal układy cieszy prawda i osładza nadzieja; ale zawsze przy niéj stoi i bojaźń, która do wszystkiego goryczy swojéj przymiesza. A wstąpiłeś wysoko! bój się upadku; a stoisz nizko! czekaj w nędzy twojéj upodlenia. Ten chodzi wzdychając, i za każdym krokiem zdaje mu się, że na ciernie nastąpił; a on cierń w sercu swém nosi, w żadném miejscu nic go nie bawi, bo wszędzie z sobą siebie samego włóczy. Ów cnotliwy w gnoju leży; i chociaż mu nie żal, że był cnotliwym, wszelako płacze: tymczasem życie bogacza bezbożnego szybko upływa z szumem, jak rzéka wezbrana a mętna! I nie myślmy, ażeby i on szczęśliwym był; zazdrość pycha i sumienie, oto jest, co go udręcza. Rozum ludzki,—ten dar dla nas największy, jakże on często staje się karą naszą! Anibym tyle ucierpiał z wniosków okropnych, które czynię, gdybym go nie miał; anibym tak często błądził, gdybym się nim nie zagłębiał. Z czegoż tak, marny człowiecze, możesz się chełpić? Życie twoje pełne kłopotów, jak pole dzikie, po którém idąc ledwie kiedy kwiatek nadybiesz. Nie kontent z dnia dzisiejszego, ustawicznie myślisz o jutrze, aż póki nie stanie jutra. To co masz najlepszego, cnoty, talenta, umiejętność, nie możesz zostawić spadkiem dla dzieci swoich; zostawiasz im albo ubóstwo,

które uciska, albo majątek, który obłąka, albo imię szlachetne, które nadyma. „Jaki to człowiek!“ mówił Momus „ma oczy tylko na świat patrzące, a w siebie patrzących nie ma; ale on nie ma i okna do serca.“ Ta nakoniec ziemia jestto więzienie, napełnione samemi zbrodniarzami, potępionemi na śmierć: czas w momentach wyznaczonych jednego po drugim, wyprowadza kogoś i zabija. Ród człowieczy, jak liście drzewa, co już opadło, i wiatr je po ziemi rozniósł; a na jego miejscu drugie zieleniéć zaczyna, tegoż samego losu czekając. Wypuść mnie, Boże, z tego więzienia! oto drudzy po mnie następują, i robi się ciasno.

Focyon. O Platonie! Ja ubogi, że mała miedza w Atenach ledwie mnie wyżywić może. Nie zarobiłem na sławę, żebym miał względy, ani na wielu przyjaciół, żebym miał od nich wsparcie; a przecie nie żądam śmierci, ale codzień jak mogę walczę z przeciwnościami. Ciebie Grecya cała uwielbia, zagraniczne narody zazdroszcząc nam wspominają; i gdybyś był w niedostatku, co nie jest, Focyon głodny przyniósłby ci jedzenie swoje; przecież ty żądając śmierci, chcesz nas porzucić. Ktoż od ciebie lepiéj nam objaśni prawdy człowieka? I kiedy ty iść zaczniesz, ktoż się ośmieli iść piérwéj?

Platon. Jużem się zestarzał, Focyonie, i nie mogąc ludziom tak być użytecznym, jak żądam, wolałbym przyjść do śmierci, jak muszę. Człowiek, który w życiu starał się o cnotę, pogląda na grób swój, jako na miejsce, gdzie złoży słabości i troski swoje, od których się uwolnić ma. Tak jest! Umiérający składa niewygodne odzienie, które używaniem przytarło się: czegoż się smucić, że wezmę nowe? I jeżeli to życie było dla nas po wielkiéj części goryczy ucztą, czegoż się troskać, że się ta uczta skończy? Wypłaciwszy się jak mogłem ludziom, widząc się coraz do służenia im mniéj zdolnym, usuwam się, jak ów po skończonym dniu swoim spracowany robotnik, któremu już siły na jutro nie zostało. Prócz tego dusza moja po śmierci nie może być w ciaśniejszy kąt zamkniętą, jak była w ciele; i śmierć nieprzyzwoicie ktoś nazwał skopułem: ona bardziéj portem jest naszym! Próżne żądania i układy, które sobie starzec czyni, nie mając siedliska na świecie, wracają się nazad do serca jego, i zdaje się, że Bóg umyślnie tyle przykrości do starego wieku przywiązał, ażebyśmy tak bardzo życia nie żałowali.

Dyon. Jeżeli nie dla ciebie, Platonie, to przynajmniéj dla nas żałować go powinieneś. Ty albo przykładem, albo nauką poprawiasz błędy, i tamujesz zapęd naszych namiętności. Pod okiem twojém nie mamy śmiałości rozgniewać się, zemścić się, chodzić za nierządem, i dogadzać miłości własnéj, a bojąc się, żebyś czego po nas nie widział, przywykamy do cnoty, chociaż na nas nie patrzysz. Ale ponieważ nie tylko wiek podeszły, ale i my młodzi, ledwie nie codziennie w życiu przykrości doznajemy; naucz nas, Platonie, co robić z tém sercem, które tak z natury swojéj tkliwe, albo skłonne do złego, i z tym rozumem, który z jednego nieszczęścia czyniąc sobie wnioski jeszcze okropniejsze, przydaje ciężaru tkliwości naszéj.

Platon. Ty się odemnie jakiego ratunku spodziéwasz, a ja nie lekarz, ale także chory. Namiętności z latami stygną, nie niszczeją. W żywszym wieku jakże wiele napracowałem się z niemi! W piérwszych początkach zaraz je postrzegając, jaki cel mają, zapęd ich miarkować powinniśmy. Tkliwość serca dobra natura dla jego dobra udzieliła człowiekowi, i kto nie ma serca skłonnego do litości, mało miéć może cnoty. Ale każdy zbytek na złe wychodzi. Długo płakać nad stratą swego dziécięcia albo przyjaciela, słabością jest: być zaś nieczułym w stratach takiego rodzaju, znakiem jest więcéj twardości serca, niżeli filozofii. Mądrego rany rozum prędko zagoi, wtenczas kiedy głupi czasu długiego potrzebuje. Prawda, że rozum w zdarzeniach ciężkich całą rozległość nieszczęścia rozbiérając, większéj mu przyczynia okropności; ale téż onże sam, jak owa włócznia Achillesa i zada, i może ranę zagoić. Wystawia on człowiekowi piękność zwycięztwa, konieczność znikomości, i uczy go ciérpiéć bez mruczenia, co ciérpi bez swojéj winy.

Arystoteles. Natura ze swojemi skłonnościami przychodzi do człowieka najpiérwéj, i osiada go: rozumowi, który potém przyszedł, ciężko walczyć z namiętnościami, od dzieciństwa w ludziach zasiedziałemi. Nawet ten sam rozum leniwym sługą jest; albo wcale nie przyjdzie, albo często próżno przychodzi, że podobno lepszy u zwiérząt instynkt, który je prędzéj wspomaga. Ale ten rozum wyniósłże człowieka aż do panowania nad resztą całą tworów téj ziemi? Tak jest! I to téż tylko pochlebia pysze jego, (chociaż zkądinąd żartuje lew z téj wielkości ludzkiéj, i kiedy głodny, albo obrażony, rozedrze i pożéra człowieka). Jednakże i tego nie zaprzemy, że natura ze swojemi

namiętnościami nie tyle nam złego zrobiła, ile danym nam rozumem, który my jeszcze darem nazywamy.

Rozumowania ludzkie, nabywanie wielu wiadomości, rozszérzyły daleko sferę chuci człowieka; bo nie żądamy nigdy tego, czego nie znamy: i gdyby on schodził ze świata takim, jakim nań przyszedł, umiérałby zapewne niewinniejszym. Że lepszymi się rodzimy, niżeli umiéramy, całato wada rozumu, nie natury; bo według jéj rozporządzenia zwiérzęta i owoce w swojéj dojrzałości są lepszemi. A tak ten człowiek — to głupstwo rozumne samą wielkością i ciężarem przemagającym na stronę rozumu, upadł, który, gdyby był mniéj miał rozumu, daleko byłby szczęśliwszym. Niewiadomość rzeczy, ta siostra niewinności, która się z nią razem urodziła, dana nam jest od natury, jak dobro wrodzone: czemuż człowiek rozumem swoim chce się zrobić lepszym, kiedy zyskowniéj dla niego byłoby przy saméj zostać niewinności?

Platon. Nie twójto rozum, ale ty leniwym dla dobra twojego jesteś, kiedy rozumu w zdarzeniach napaści od twoich namiętności nie wzywasz. On zawsze będzie nadoręczu: tylko ty uprzedź samego siebie, i stale samemu sobie powiédz: „Ulegać namiętnościom nie będę, bo mnie upodlają, ale owszem tak niemi kierować chcę, ażeby nawet do dobra mojego przyczyniały się.“ Tak przygotowany, nie stracisz przytomności w przygodzie. Widząc dotego, że pod tym zakładem życie udzielone człowiekowi, ażeby z sobą i ze złym losem walczył ustawicznie, przed przykrą fortuną nie zaraz, jak bojaźliwy, pochylisz się, ażebyś tak powołaniu swemu dogodził. Ale że instynkt zwiérząt przekładasz nad rozum, wyznaj szczérze, czy chciałbyś z niemi zamiany? Obacz, co człowiek rozumem swoim zrobił ze zwiérzętami, a jak ich instynkt niedołężnym na człowieka. Niech zwiérz jeden choćby najdzikszy i najmocniejszy z całą swoją siłą, a z drugiéj strony człowiek z całym swoim przemysłem przeciwko zwiérzowi stanie, człowiek zapewne zwiérza pokona.

Prawda, że wiadomości ludzkie rozszérzyły sferę żądzy człowieka; ale czyliż na to dana umiejętność, żeby jéj na złe zażywać? Ona tylko twoją bronią być powinna, którą się w potrzebie zasłaniać masz, a ty tę broń przeciwko sobie samemu obracasz! A tak zawsze na tém się skończy, że rozum i wiadomość rzeczy są największym zaszczytem ludzi, i tylko złe ich użycie

hańbą. Mówisz, że się lepszymi rodzimy, niżeli umiéramy. Jeżeli, jak się spodziewam, maczéj myślisz o Sokratesie, a cóż ci przeszkadza być Sokratesem? Mówisz, że niewiadomość rzeczy jest dobro wrodzone, bo nam ją dała natura! a wszakże i nagość dała natura, a przecież się w potrzebie przyodziéwasz, włosy i paznokcie przycinasz. Kimże ty być wolałbyś, czyli obdarzonym dobrami natury, zdrowiem, siłą i ogromnością ciała? Polifenem, czyli roztropnym Ulissesem? Wszakże taż sama natura dała nam i rozum, a rozum taki, który nieskończenie może się wydoskonalać: czyliżby ona chciała naprożno tego nam daru udzielać?

Xenokrat. Przynajmniéj wiele jest rzeczy, o których lepiéj byłoby, żeby był człowiek nie wiedział. Powszechnie mówiąc, rozumu celem jest, prawdę wyszukiwać; ale jakże wiele błędów nazbiérał, niżeli kto na jednę prawdę natrafił? I zaco natura tak wielką nam dała ciekawość do wszystkiego, kiedy poznanie nasze tak jest ograniczone? Proch drobny, który nogami depcemy, ziele, kamień i t. d. kto z ludzi chlubić się może, żeby zupełnie natury ich dociekł, i zgadł koniec, na który cel na ziemi położone? A bez przyczyny zapewne nie są namnożonemi, bo Bóg i natura nic nie robią nadaremnie. A tak, kiedy rozum ludzki w tak drobnych rzeczach ustaje, czegoż się po gwiazdach zapuszcza? Zdaje się, że dosyćby miał do roboty z namiętnościami swojemi, i ten mędrzec, co za najpiérwsze w życiu prawidło człowiekowi naznaczył: „Znaj siebie," wielkie słowo powiedział.

Platon. Stało się, Xenokracie, że człowiek szukając rozumem uszczęśliwienia siebie, wiele rzeczy takich wynalazł, które dla niego niepotrzebnemi, albo szkodliwemi były. Ale sam przyznasz, że przy tak ograniczonem poznaniu naszém gdyby nam natura nie dała była téj ciekawości, jaką mamy, czémżeby ta ziemia była, i czém człowiek, który ją tak pięknie wykształcił? Że tysiączne błędy w szukaniu dobra założonego zdybujemy, czyliż dlatego szukać już prawdy nie trzeba? Że siéć twoja z wody same niezdatne żaby, albo szkodliwą gadzinę wyciągnęła, czyliż nie zapuszczasz na nowo siéci, ażebyś potrzebną ci rybę ułowił? Ale skończyłeś najpiękniéj, że dosyć roboty dla rozumu człowieka, walczyć z namiętnościami, i to powiedziane „Znaj siebie" znaczy ich poskromić.

My jednak pospoliciéj w pokoju z naszemi namiętnościami żyjemy, a na cudze tylko podnosić się wolimy. Jeżeli znasz siebie, jakeś

powinien, poznajesz i słabość swoję, przez poznawanie siły swojéj: nie pnijże się do rzeczy, którym sprostać nie możesz. Czemuż chcesz mieć wzrok taki, jak orzeł? słuch, jak wieprz dziki? albo jak sęp powonienie? Kiedy z takiemi zmysłami, jakie posiadasz, bóstwo chciało cię utworzyć, znać, że mu takiego człowieka potrzeba było, żeby on mógł zgnieść mrówkę, a słoń jego, i na tém zaspokoić się powinieneś. Czemu tak wysoko aż ku gwiazdom wzlatujesz, i nie masz bojaźni, ażebyś ciężarem swoim nie zleciał w błoto, z któregoś wyszedł? Nie znasz ziemi, a rozgraniczasz między sobą planety! Zbierz myśli twoje nad samemi tylko obowiązkami, ciebie, albo dobra ludzi, twoich braci się tyczącemi. Czemu o tych istotnych twoich zapomniawszy powinnościach, biegasz żądzami twojemi za tysiącem przedmiotów, i dobrowolnie robisz się, jak ów chory, niespokojnym, który z miejsca na miejsce przenosi się, a wszędzie jest chorym? Pomuiąc, jak wyszedłeś na świat, i jak z niego schodzić będziesz, jakże mało rzeczami zaspokajać się powinienbyś! Ale od mléka i pieluch, dwóch tych drobnych w dzieciństwie twojém potrzeb, często ci potém największe królestwa nie wystarczają!

Znaj siebie, a znać będziesz i inszych ludzi, oto wielka zasada towarzystwa! bo czego sobie nie życzysz, tego drugiemu czynić nie będziesz. Czyń nawet dobrze inszym, ile tylko wydołasz, bo nad tę jeszcze wielkość, którą pokazał człowiek w przyozdobieniu ziemi téj, większym jest każdy, który wielu dobrze uczynił. Żebyś spokojność duszy, jak można, zyskał, pogardzaj ślepemi losami, nie miéj wiele przywiązania, wiele zatrudnienia i wiele nadziei. Chciéj to, co mieć możesz snadnie, a będziesz miał to, co zechcesz. Bieży wiek cicho, i zdradza mieszkańców świata, a tymczasem człowiek zakłada gmachy, których nie dokończy, albo snuje w głowie układy, których nie zacznie, i tak jest niebacznym, że nie wiedząc, na którém miejscu śmierć go nadybie, nie dba o siebie, żeby przygotowany czekał jéj na każdém. Grób jest końcem powszechnym, a na tę jednę drogę do grobu wszystkie nasze gościńce schodzą się, czyli kto z ubogiéj chaty o nędznym kęsie chleba, czyli z pańskiego gmachu, otoczony tłumem służebnych wyszedł.

Patrząc powszechnie na ziemię, tak przemysłem człowieka wykształconą, szczególniéj zaś na naszę Grecyą, tylą wspaniałemi miastami ozdobioną, patrząc na te piękne Ateny, nad które ziemia nic

wytworniejszego nie pokaże, a razem stojąc nad temi popiołami ceramiku, wspomniawszy na tyle słabości, które i najwięksi ludzie miewali, jakże myślicie, czy wielkość, czylitéż nikczemność ludzka przemaga?

II) Pamiętniki Franciszka Karpińskiego z rękopismu wydał J. Moraczewski, Poznań r. 1844.

Przyjechaliśmy nakoniec do Wiédnia, do tego miasta tak żądanego odemnie. Puzyna z Kobylańskim zajechali prosto do *Theresianum Collegium*, gdzie młody Puzyna w tym konwikcie miał się edukować.— Ja przed wyjazdem ze Lwowa poznałem się tamże z Trynitarzem, który miał ojca w Wiédniu. On mi napisał list do ojca swego, mieszkającego w Wiédniu, pod znakiem Złotego Pelikana, na przedmieściu *Josephstadt* nazwaném, zapewniając, że pewno u ojca jego stancyą mieć będę. Z takim listem, przenocowawszy w *Theresianum*, nie umiejący języka niemieckiego, prócz słów najpotrzebniejszych kilkudziesiąt, wyszedłem szukać w tém ogromném mieście przedmieścia *Josephstadt*, Złotego Pelikana, i bildhauera czyli snycerza, Szwarca nazwiskiem. Tak szczęście zdarzyło, że do południa wszystko znalazłem, i kiedy list ojcu od syna oddałem, a on go przeczytał, rzucił się na mnie spłakany starzec, i z uczuciem największém, powtarzając imię syna, o którym od kilku lat żadnéj nie miał wiadomości, ścisnął mię serdecznie, i zaraz porządny alkiérz, w którym miał warsztat snycerski, wyprzątnąć kazał, a sprowadzenia się mojego, jakem to mógł wyrozumieć, jak gdyby syna własnego czekał. Nazajutrz sprowadziwszy się do niego, doznałem po ćwierć roku mieszkania tam, że prawdziwie rad mi był w domu swoim, nawet z ciężkością przyjął miesięczną opłatę od stołu i mieszkania mego. Tak miłość syna, którego on dawno nie widział, zrobiła mi przyjaciela w ojcu, którego nigdy nie znałem!

Do Wiédnia przybyłem w roku 1769. w marcu, którego piękne położenie nad Dunajem, forteca miejska najwarowniejsza, przedmieścia najrozleglejsze, a ludności do 300.000 mieszkańców mające, w początkach bawiły mnie. —

Że z przedmieścia *Josephstadt* daleko było do miasta, gdzie wiele rzeczy uczyć się zacząłem, przeprowadziłem się do miasta, a mój poczciwy gospodarz bildhauer płakał rozstając się zemną, i najmniéj

mnie dwa razy wtydzień nawiédzał. W mieście wygodniéj mieszkałem u metra francuzkiego języka; tańczyć i nauk w uniwersytecie, jakich tylko żądać mogłem, zręczniéj uczyłem się. Najbardziéj mnie bawiła fizyka experymentalna, przez sławnego księdza *Franz*, Jezuitę dawana, i chemia przez sławniejszego jeszcze w Europie *Jaquin*, professora. Zgromadzenie na lekcyach bywało największe, z piérwszych nawet w mieście ludzi i dam zacniejszych zebrane. Szkoła botaniki, anatomii, chemii, jak i medycyna experymentalna w *Bürgerspital* pod starcem professorem, Antonim *Ham* głośna. Cesarska biblioteka każdemu otwarta: teatr, hece, widowiska różne, licytacye i fajerwerki tygodniowe na przemiany mnie zabawiały.

W tych czasach księżniczka Antonina, córka Maryi Teresy, ta najpiękniejsza panna w Wiédniu, szła za delfina natenczas, a potém nieszczęśliwego Ludwika XVI., króla francuzkiego: biskup sztrasburgski, kardynał *de Rohan* był posłem Ludwika XV. do ukończenia małżeństwa tego. Szła do dworu cesarskiego kosztowna z posłem kareta, piechotą przed nią pietnaście liberyi, dwóch kamerdynerów i dwóch strzelców, wszyscy bogato, galonami uszamerowani.

Gdy był ślub z arcyksiężniczką imieniem delfina ukończony, wieczorem była wielka illuminacya miasta, ale najbardziéj od *Schotner*-bramy, aż do przedmieścia, na którém stał poseł francuzki: cała ta niezamieszkalna odległość między miastem i tém przedmieściem, miała ulicę szeroką ze słupów nowozrobionych, na których wiérzchach delfiny były snycersko wyrobione. W środku zaś téj rozległości były świéżo zrobione cztéry niby baszty, na których muzyka grała najpiękniejsza, i z których dla pospólstwa wino austryackie rynnami ciekło, i pieczywa rożne z chlebami rzucane były. A te cztéry baszty cztérema nazwiskami różniły się: baszta cesarza, Maryi Teresy, arcyksiężniczki Antonii i baszta delfina. Kiedy arcyksiężniczka z posłem już miała wyjéżdżać do Francyi, i dany był wielki obiad pożegnalny w pałacu cesarskim, na ten obiad poszedłem, aby się napatrzyć okazałości dworu, i widziéć etykietę jego.

Stół był ustawiony w literę N. Na brzegach w górze zasiedli: cesarz Józef po prawicy, a cesarzowa Marya Teresa, matka po lewéj stronie, koło cesarza delfinowa, arcyksiężniczka Krystyna, Albrechta Sasa, królewicza żona, i Elżbiéta arcyksiężniczka. Po lewéj stronie, koło cesarzowéj wdowy Maryi Teresy syn jéj, arcyksiążę Ferdynand,

drugi syn jéj Maxymilian, a trzeci Albrecht, książe saski, i już wszyscy, którzy siedzieli u stołu, po brzegach jego: w środek zaś stołu wchodziła tylko służba, podająca i odmieniająca półmiski. Było dzień sobotni, i Marya Teresa, surowa katoliczka, z postem ten stół zastawić kazała. Cesarz raki tylko i bułkę chleba zjadł, a jam pomyślał: „On cesarz, a tyle go obiad kosztował, co i ubogiego jakiego w mieście.“ Muzyka najpiękniejsza w czasie obiadu grała, a gwardya węgierska wkoło stół dla uniknienia scisku okrążała.

Do tylu wyżéj wymienionych rozrywek téj stolicy przyczyniłem jeszcze oglądanie galeryi obrazów, jaka jest cesarska, Lichtensztejna, i innych. Oglądanie także zwierząt różnych dzikich, tak cesarskich, jako i przybyłych bawiło mnie.

Biblioteka cesarska, wolna każdemu do czytania, byleby książek do domu nie brać, nad insze rozrywki najwięcéj mnie bawiła. Pokazują tam rejestr wszystkich książek, żądaną książkę proszącemu zaraz podają.

Wybrałem się z Wiédnia ku końcu septembra 1770. roku, bawiąc tam więcéj półtora roku, a wybrałem się przez Węgry powracać, ażebym i ten kraj cokolwiek poznał. Dunajem do Peszta popłynąłem, a w téj podróży dopływając do Preszburga, miasta stołecznego Węgier, gdzie na dnie téj rzéki są skały, Dunaj z większym tam i tak niebezpiecznym płynie impetem, że gdyby wiosłami najżywiéj robiąc, nie wstrzymywano impetu, od pędu wody każdyby statek zatonąć musiał.

Preszburg, stolica Wyższych Węgier, jest miasto piękne nad Dunajem, mające zamek na blizkiéj górze mocny. Na drodze, Dunajem płynąc, jest nad brzegiem miasto Komorn, sławne zamkiem nigdy od Turków nie dobytym. Jakoż jest tam przy bramie zamkowéj panna, z kamienia ciosowego wyrznięta, figę pokazująca, co ma znaczyć, że się Turków nie boi. Tamże kościoła murowanego i wielu domów świéże zastawszy rozwaliny, kiedym się pytał murujących nanowo, zkąd tyle rozwalin w mieście, a oni przeszłoroczne trzęsienie ziemi dali za przyczynę, dodając, że tego często doświadczają: pytałem daléj dziwiąc się: „Czemu się na tak niebezpiecznem miejscu znowu murujecie?“ — „My tu przywykliśmy do miejsca, bo tu dziadowie nasi mieszkali“ odpowiedzieli mi.

Przypłynęliśmy nakoniec do Pesztu, téj drugiéj stolicy Niższych Węgier. Miasto nadole porządne, z domem dla inwalidów najwspanialszym; z drugiéj strony Dunaju, na którym most był na łodziach, drugie miasto na górze położone, nazwiskiem Buda, które razem sławną tortecą jest, tyle razy od Turków napadaną. Peszt, w czasie jarmarkowym znalazłem najludniejszym, gdzie i naszych kupców ze Lwowa poznałem, z którymi o powrót mój umówiłem się. W tém mieście bawiąc dni kilka, miałem czas napatrzyć się ludu węgierskiego obojéj płci, i wielu nawet znaczniejszych obywateli widzieć.

Kraj węgierski ze wszech miar jest najszczęśliwszy, powietrze zdrowe, klima ciepłe, rzéki spławne i najrybniejsze, pszenica i bydło najpiękniejsze, ma swoje złoto i wino między najlepszemi w Europie. Krajowi temu nazwisko raju ziemskiego daćby się powinno. Pastwiska tam tak żyzne, że mięso bydląt, na nich pasących się, najsmaczniejsze jest, i doświadczałem tego w Wiédniu, jedząc z krain innych i z węgierskich wołów mięsiwa. Owoce ogrodowe, zacząwszy od sławnych ich śliwek, najsmaczniejsze. Są zaś niektóre zdroje w górach węgierskich, w które wrzucone żelazo za kilkanaście lat w miédź się obraca; a miedzi, i to najlepszéj w Europie, najwięcéj w tym kraju znaleziono. Taniość zaś w wyżywieniu się jest taka, że za dwanaście groszy polskich kupiony karp dwóch ludzi do sytości nakarmił.

Z Pesztu przez Tokaj, Ungwar, na Lisko przebiérałem się do ojczyzny. Przeprawiając się przez góry węgierskie, kiedy na największéj ich wysokości stanąłem, widziałem Węgry całe, i ziemię moję ukochaną. Taka w tém miejscu gór była wyniosłość, że chmury kawałkami przechodzące, twarz mi odwilżyły.

33. Grzegorz Piramowicz.

Urodzony w Lwowie roku 1735., uczył się u Jezuitów, a wstąpiwszy sam do tego grona, był nauczycielem poetyki, retoryki i filozofii. Po podróżach do Francyi, Włoch, i po zniesieniu zakonu Jezuitów został plebanem w Kurowie, a potém sekretarzem Komissyi Edukacyjnéj i Towarzystwa do ksiąg elementarnych, po 1795. roku proboszczem w Międzyrzéczu, umarł 29. grudnia 1801. Pracowity i cnotliwy Piramowicz zajęty pomyślnością społeczności, był dobrym kaznodzieją dobrym mowcą. Jako sekretarz towarzystwa do elementarnych książek zostawił po sobie: *Mowy w dzień rocznicy otwarcia Towarzystwa do ksiąg elementarnych*

miane, w latach 1779., 81., 82. i 83. Te mowy zjednały mu sławę krasomowcy i komissya edukacyjna wezwała go do napisania książki elementarnéj w tym rodzaju, w skutek czego wyszła jego: *Wymowa i poezya dla szkół narodowych cz. I. Kraków 1792.* Przypominamy też wyborne dziełko jego: *Powinności nauczyciela, mianowicie w szkołach parafialnych, Warszawa 1787. (Kraków 1850.).*

L. Łukaszewicz.

Wymowa i poezya dla szkół narodowych, Kraków r. 1792.

1. Logika.

Zdrową logiką nazywam ów przyrodzony człowieka rozsądek, uwagą, wzwyczajeniem, pilném rzeczy we wszystkich swoich częściach baczeniem ztwierdzony i kierowany. Niémasz żadnego wieku, żadnéj sprawy człowieka, żadnéj mowy jego, żeby pod rządem, że tak rzekę, logiki nie zostawała; bez niéj wszystko jest błędne, wszystko bałamutne. Nauczyciele powinni być tą uwagą przejęci, i w całém postępowaniu swojém, w całym rządzie młodzieży kierowani.

W czytaniu i rozbiorze dzieł uczonych wymownych wytykać często należy, czyli z pozorną pięknością, z okrasami w pisaniu jest w saméj rzeczy złączona ta logika, czyli jest związek rzeczy i myśli, czy porządek ich nie jest przewrócony. Rozbiór mów krasomowskich, wywodów i roztrząsań filozoficznych tym sposobem i w tym zamiarze ma być czyniony. Zgoła cały i jedyny zabezpieczenia się o prawdzie, nieodstąpienia nigdy od zdrowéj logiki sposób jest, aby z piérwszych lat młodości przywyknąć do obziérania, że tak powiém, każdéj rzeczy, ze wszystkich jéj stron, i rozbiérania jéj na swe cząstki; co w logicznem wyrażeniu nazywają t o r e m r o z b i o r o w y m, *methodus analytica.* Wchodzisz w piękny ogród. Naprzód ci się razem i nieoddzielnie stawiają w oczach drzewa, zioła, kwiaty, ulice, ściéżki. Póki tym tłumiącym wzrok i myśl sposobem jedno z drugiém bez oddziału widzisz, nie możesz mówić, żeś poznał ogród. Dopiéro zastanowienie się osobném baczeniem nad częściami jego, nad położeniem, gatunkiem i pojedynczą postacią roślin i ozdób daje ci prawdziwe poznanie ogrodu. Natenczas sądzić o nim rzetelnie, mówić dokładnie możesz. Tak się rzecz ma we wszystkiém, co pod zmysły i pod rozum nasz podpada, we wszystkiém, co ten rozum dziwną władzą swoją od rzeczy zmyślnych oddziela, i w ogólne rzędy rozstawia.

Obejmować, ile słabość ludzka pozwoli, rzecz całą przez rozbiór, poznawać jéj części, to wiadomym, to umiejętnym czyni. Takowe rzeczy objęcie, takowe wszystkim jéj stronom i częściom przypatrzenie się dziwnie do wymowy, do zupełnego wyłuszczenia pomaga, obfitą do mówienia i pisania równie gruntownego, jako i pięknego materyą podaje. Owszem mowcą bez niego być nie można. Przykaz retorów dla chcących obszerniéj i z wyłuszczeniem mówić, aby na okoliczności osoby, sprawy, czasu, miejsca, przyczyn, sposobu, baczność mieli, na téj się którą tu przekładamy, prawdzie zasadza. Logikę miał na widokn wielki nauczyciel Kwintylian, gdy sposobiącym się do téj zabawy naukę geometryi radził. Bo geometrya jest taką, jakeśmy tu krótko wystawili, logiką.

Jakby wiele języków zamilkło, jakby wiele mów nie znało świata, nie zabrało potrzebnego na inne sprawy czasu, nie znudziło czytelnika i słuchacza! Jakby wykręty i czcze spory nie znajdowały w ludzkie sprawy i mowy wstępu, albo zbyt śmiałe w samym wstępie niknąćby musiały, gdyby nic nie mówiono, nie pisano bez myśli, bez logiki!

Bardzo rozumnie o czczych bez myśli mowcach dawni mawiali, że ich mowa w samych się uściech, a nie w sercu rodzi. Przeciwnie Homer wystawiając nam człowieka mądrze, i jak należy, mówiącego, tym go wyrazem maluje: „Słowa on swoje z głębokości duszy puszcza. Dusza, rozum, serce przez usta tłumaczyć się powinny.“ Nigdy nie można spuszczać z oka owéj wielkiéj prawdy i nauki, od Horacyusza pięknie i zwięźle podanéj, że wszelkiego dobrego pisania i mówienia początkiem i źródłem jest myśléć, miéć rozsądek. (*Scribendi recte sapere est et principium, et fons*).

Tu właśnie służy przytoczyć postrzeżenie Walerego Maxyma względem jednego miejsca w dziele Sallustyusza. Gdzie teraz czytamy: *satis eloquentiae, sapientiae parum* (dosyć wymowy, mądrości mało), czyta Walery Maxym: *loquentiae satis, sapientiae parum* (gadactwa dosyć, mądrości mało). Wymowa ze wszech miar prawdziwa bez mądrości być nie może, gadatliwość zwyczajnie bez niéj bywa. I ów mowca rzymski, Cycero, tak obfity w mówieniu, którego wymowę do szérokiéj i pełnéj rzéki przyrównywano, który chciał być wzorem mówienia młodzi swego narodu, osobliwszy wstręt oświadczył od bezrozsądnego, choć na pozór wymownego gadania. „Wolałbym“ rzekł w dziele swojém o krasomow-

stwie „roztropność niewymowną, niż głupią gadatliwość.“ (*Malim indisertam prudentiam, quam stultam loquacitatem.*) Bo prawdziwie coś jest podobnego do szaleństwa, nagadać słów wiele pięknych, wspaniałych, górnych, próżny dźwięk i brzmienie wydawać, a w tém wszystkiém żadnéj umiejętności, żadnéj wiadomości, żadnéj myśli niemasz. Ztąd pochodzi wielka owa różnica jednego mowcy pełnego rzeczy i myśli, drugiego przy kształtnym sposobie pisania i wyrazów mniéj w myśli obfitego. Taką różnicę Fawoniusz, filozof rzymski upatrywał, i wytykał między dziełami Platona i Lizyasza. „Jeżeli“ mówił on „z Platona mowy odetniesz słowa jakie, żaden się uszczerbek nie stanie; odejmiesz tylko okrasę: jeżeli ze słów Lizyasza, tém samém odejmiesz myśli.“

Czytać i słuchać będą młodzi nasi na nieszczęście więcéj takich mowców, którzy pełni słów, ledwie sami wiedzą, co wmawiać w słuchacza, czego dokazać mają. Zdobyli się oni na piękne, okrągłe, brzmiące słowa i peryody, i na tém przestali. O jakby dla nauk i saméj rzeczypospolitéj dobrze było, żebyśmy ani rzeczy, ani tych nazwisk nie znali, w które Rzymianie do mianowania takich mowców obfitowali. Nazywali oni ich upodlającemi wyrazami, *locutulejos, blaterones, linguaces* (gadaczami, bałamutami, języcznymi). Przynajmniéj wtenczas druku jeszcze nie znano, i często próżnéj gadatliwości nuda z samém brzmieniem i głosem niknęła. My w tém nieszczęśliwsi, że takowe bałamuctwa druk roznosi, i trwałemi czyni.

Jedną tu przestrogę w téj mierze przydać należy, że młody przez żywość i bujność swoją w słowa, wyrazy, ozdoby obfitszy być musi. Nieznanie wielu rzeczy, niedoświadczenie, przestawanie na nabytych naukach sprawują, iż tyle myśli i treści w mowie młodego być nie może, ile w dojrzałego człowieka być powinno. Nie powinna być zatém ze wszystkiém naganiona ta młodzieńcza bujność (*juvenilis redundantia*): czas sam okrzesze ją i umniejszy, przyjdzie nakoniec do tego, że, jak Cycero mówi, i mowa siwieje. Ale tego nieodbicie przestrzegać należy, żeby obfitość mowy nie była przeciwna rozsądkowi; żeby w swojéj mierze do wieku i okoliczności obszernie mówiącemu nigdy nie było wolno mówić bałamutnie, nielogicznie, bez przyrodzonego porządku.

2. Podziały mowy.

Łatwo jest widzieć, że jako do wyłuszczenia dokładnego nic bardziéj nad podział nie pomaga, tak największa pisarza i mowcy

baczność obrócona być powinna ku dobremu użyciu tego środka. Zaiste stósując się do podanego sposobu uczenia się i nauczania innych, którymeśmy rozbiór czyli *analysim* skazali, podzielenie na części przedsięwziętéj rzeczy ku oświeceniu rozumu, ku daniu dokładnéj czytelnikom i słuchaczom wiadomości za istotną uznajemy drogę. Ztąd owo przysłowie: *Qui bene dividit, bene docet* (Kto umié podziały czynić, umié uczyć). Podział mowcę i słuchacza, pisarza i czytelnika ochrania od tęsknicy i uprzykrzenia, tak właśnie, jak podróżnemu ulgę czynią kamienie, które po drogach mile oznaczają. Rad poznajesz, wieleś odrobił, odbył, uszedł; pokrzepia cię ta wiadomość do dalszéj podróży i pracy; dowiadujesz się, ile ci jeszcze do przebieżenia zostaje. Lecz są w czynieniu podziałów wady, które zamiast pomocy i nauki psują zamierzony skutek. Trzeba zatém wiedzieć, przezco podzielenie dobrém, a przez co złém się staje.

1. Podział ani na więcéj, niż do poznania rzeczy potrzeba, ani na mniéj części czyniony być powinien. Jeżeli zbyt wiele cząstek poczynisz, będą ułomki trudne do spojenia; darmo rzecz twoją przedłużysz, i co do objęcia całości słuchaczowi twemu pomódz miałeś, to wielością odrobin zaćmisz, zatłumisz i zmordujesz rozum i pamięć jego: natężać będzie pilność swoją, i strudzony opuści szukaną naukę; zaniedba sprawę, w któréj go do zamierzonego zdania nakłonić chciałeś. Jeżeli podział mniéj, niż potrzeba, wytknie części, oczywista, iż pojęcie całkowitości niedostateczne będzie; opuści się podobno, co najistotniéj do okazania rzeczy służyć miało: błąd i opaczne zdanie, zawodna nauka nastąpi. Ta przestroga najwięcéj potrzebna tym, którzy podziały znowu na podziałki, że tak powiém, drobić lubią. Zbyt szczupłe cząstki, jak przed rękami i oczyma, tak przed rozumem uchodzą. Śmieszny jest tych nauczycielów przepis, śmieszne wielu naśladowanie, którzy wszystkim mowom i pismom podział na trzy części określony być rozumieją.

2. Kiedy w podziale twoim niémasz pewnych i znacznych miedzy i kresów, jedną cząstkę odłączających od drugiéj, mięszają się one z sobą; co się w jednym punkcie podziału kładzie, to się powtarza w innym: złe zatém jest podzielenie. Znać prawdziwe ograniczenie i miarę części, umieć je wytknąć i odbić wzajemnie, jasnego jest rozumu dziełem, jasnego poznania w uczniu, w słuchaczu, w czytelniku środkiem nieochybnie potrzebnym.

KATOLICKIE STOWARZYSZENIE ROBOTNICZE „PRZYJAŹŃ" W

3. Nie zachować porządku w podziałach, tojest, mówić to poźniéj, co piérwsze powinno mieć miejsce, mówić, co za dowiedzeniem poprzedzającéj części już się stało niepotrzebném, jest wykraczać przeciw rozsądkowi, przeciw logice. Tak n. p. w obronie księcia Dymitra Sanguszki dzieli swoją mowę patron jego: „Pokażę, iż gwałtu kniaź Dymitr uczynić nie mógł: pokażę, iż go nie uczynił.“ Jeżeli dowiedzie, iż obwiniony gwałtu uczynić nie mógł, już niémasz potrzeby okazywać, iż go nie uczynił: bo tém samém pewna, że to się nie stało, co się stać nie mogło. Gdyby zaś piérwéj był sobie założył, że nie było gwałtu, a potém postąpił do okazania, iż nawet być nie mógł, byłby przyrodzony porządek zachował, i nowéj dowodowi swojemu mocy przydał. Podobna jest wada tego podziału, od jednego z mowców użytego: „Pokażę, iż oskarżony o zabójstwo nie takiego jest życia, żeby podejrzenie o tę zbrodnię na niego padać mogło: pokażę, iż nie miał żadnéj zabicia pobudki: pokażę, że wtenczas, gdy zabójstwo popełniono, był za morzem.“ Naco dwie piérwsze części dowodzenia? Powiédz ostatnie, i dosyć. Jeżeli w czasie popełnionego morderstwa był za morzem, choćby podejrzenie na niego padać mogło, choćby miał pobudkę zabicia, zapewne już nie zabił.

4. Mowca, pisarz gładki stara się, żeby podziały jego nie były koniecznie wydatne, i zbyt wyraźne. W dziele jakiém saméj nauki, gdzie zwięzłość i dokładność bez względu na okrasę i kształtność istotnym ma być przymiotem, tam wydatności, tam wyraźności wszystko ustąpić powinno: lecz gdzie bez ujmy jasności i dokładności utaić te związki, te, że tak rzekę, stawy, z których się dzieło twoje składa, wygodnie możesz, na cóż te kości stérczyć, te żyły wyprężone być mają? Mowa, jak piękna osoba, niechaj najlepiéj spojona i uczłonkowana będzie, ale, jak piękna osoba, niech ma spojenia i członków podziały ciałem pokryte: dopiéro postać jéj kształt ma przyzwoity, dopiéro podobać się może. Bywają i w inszych dziełach takie okoliczności, że się bez wytknięcia części nie obéjdzie: albo potwierdzenie tego, co mówimy, albo zbicie zarzutów, albo skład saméj sprawy, o którą się naradzamy, lub która pod sąd przechodzi, koniecznie tego wyciąga. Lecz że jeden mowca, pisarz sławny szczęśliwie używał podziałów w swych mowach, rozumiéć, że wszyscy i zawsze toż czynić mają, robić sobie z tego prawo i niejako modę, szkodliwym jest nie tylko dla ozdób i piękności, ale też i dla saméj treści mowy błędem. Tak te podziały osłabiają moc wy-

mowy, jak mowę nierówną, chropowatą, przepadzistą, jak oziębłą i chudą czynią, jak w niéj ogień i zapęd psują. Czemuż nie ma być porządek i podział w samych myślach, w saméj rzeczy? Zaco koniecznie wyrażać: „To będzie piérwszą, to drugą, to trzecią mowy mojéj częścią?“ Wiem ja, że się ciało twoje z kości i stawów składa, ale widzieć ich nie chcę. W tysiącznych przykładach tę wadę wytknąć można.

3. Myśli i ich przymioty.

Dobroć i piękność myśli obléka się w wyrazy, jakoby w przystojne szaty, i tak się zmysłom człowieka stawia. W takim względzie tu myśli uważamy. Ktoby z uszczerbkiem ich całą usilność obrócił na ozdoby słów, chybiłby przeznaczenia natury. Słowa bowiem dla myśli, a nie myśli dla słów są postanowione: *Nihil verborum causa esse faciendum*, mówił Kwintylian, *cum verba ipsa rerum gratia sint reperta.* Ztąd ważność téj uwagi chcąc wytknąć tenże, mówił uczniom swoim: „O słowa starać się macie, ale jak nyjwiększą troskliwość o myśli i rzeczy mieć wam należy. *Curam ego verborum, rerum volo esse solicitudinem.*“ Tak uważane myśli, tojest wprowadzone w mowę człowieka nazywali Łacinnicy *sententias*, niby sensa, oddzielając je od wyrazów wziętych, ile tylko są wyrazami, które być mogą czcze, próżne i bez rzeczy, o którąby się opiérały. Tych myśli jakie są własności, jakie przymioty, wiedzieć młodemu, wiele należy do dobrego mówienia i pisania.

A naprzód, kiedy w tém rozumieniu mówimy, że myśli być powinny prawdziwe, nie tylko przezto znaczymy, aby nigdy fałszu nie udawać za prawdę, nigdy sędziego, słuchacza, narodu mową swoją nie zwodzić: ale przestroga jest, aby nawet w tych rzeczach, w których nie idzie o zdanie i wyrok sędziego, albo zgromadzonego ludu, myśl była zgodna z naturą przedsięwziętéj rzeczy, aby była podana od rozsądku, aby nie zawisła od wymysłu mówiącego: niech się rodzi z rzeczy saméj tak, iżby się zdawało, że o niéj nie można było ani myśléć, ani mówić inaczéj. Bez téj prawdy niémasz myśli pięknéj, jako niémasz ciała pięknego bez zdrowia. Pozor łudzący, farba przybrana może uwodzić młodego słuchacza, albo ludzi, których gust i rozsądek jeszcze nie jest pewny i ustanowiony, lub dał się łatwo zepsuć i skazić: lecz rozwaga i rozsądne zastanowienie się własne, lub przewodnictwo nauczyciela, człowieka mającego prawdziwy gust, obnaży, że tak rzekę, myśl z téj obłudy, i okaże jéj fałszywość. Tak n. p.

Plutarch sprawiedliwie naganiał ową myśl jednego z dziejopisów, mówiącego o spaleniu kościoła Dyanny efezkiéj: „Nie trzeba się dziwować, że ten kościoł téj saméj nocy ogniem spłonął, któréj Olimpia urodziła Alexandra; bo przytomna temu rodzeniu Dyanna świątyni swojéj ratować nie mogła. Nie od rzeczy jest, przytoczyć tu uwagę *Rollin*'a. „Dziwna“ mówi on, „że się ta myśl piękną Cyceronowi zdawała, który zdrowo i gruntownie zwykł myśléć, i z gustem myśli tłumaczyć; lecz jeszcze dziwniejsza, że Plutarch, tak surowy sędzia, zapomniał się w téj okoliczności, gdy napisał, że dopiéro wspomniona myśl tak jest zimną, iżby sama była wystarczyła do zgaszenia owego pożaru.“

Kiedy myśli będą miały ten przymiot prawdy i gruntowności, uważać je mamy jak ciało zdrowe i mocne; ale jak ciału wdzięk i piękność, tak myślom prawdziwym i gruntownym potrzebne jest przymilenie, okrasa i kształtność, aby się podobać mogły. Prawda, bardzo pospolicie powiedziana, nie zastanawia, nie razi; często minąwszy słuchającego uszy, nie zostawia wrażenia w pamięci. Tak i kształt mowy, dany zdaniom i prawdom zwyczajnym, sprawuje tę przyjemność, i czyni myśl miłą: w czytaniu pisarzów klassycznych w każdym języku wszędzie przykłady takowych myśli napotkasz. A co często młodzi, w mówieniu i pisaniu ćwiczącéj się wbijać należy, im lepsi, im w rodzaju swoim doskonalsi są pisarze, tém naturalniejsze myśli ich znajdujemy. Niémasz w nich konceptów, niémasz owych igraszek i wyskoków dowcipu. Ta przedziwna ich prostota czyni, że się najłatwiejszymi zdają, że każdy rozumié, iżby tak myślał, i tak myśli tłumaczył: i to jest cecha prawdziwéj piękności. Będą między pięknemi myślami jedne wspaniałe, i jakąś wielkość oznaczające, poważne i wyniosłe; ale niémasz w nich nadętości i śmiésznéj górności. Inne z żywego na piękność w swych dziełach natury uczucia, z tkliwego serca nabywają miłéj i głaszczącéj duszę przyjemności, wszystko w nich, jak w przyrodzeniu, które się przez nie maluje, wszystko spokojne, składne, bez wykwintnego, i wysiloną imaginacyą wyrobionego niesfornych z sobą rzeczy połączenia. Inne przez obok stawione podobieństwo albo sprzeczność zręcznie wydaną, przez *antytezy*, podobają się umysłowi; ale w użyciu onych trudna jest miara. Tak zbytek tych ozdób i zbliżających się nawzajem farb łechce tych, co się za błyskotkami ubiegają, i zwyczajnie okazuje złe użycie dowcipu i niedostatek gustu.

W wiekach, w których kwitnęli ludzie z rozsądkiem i gustem, uczeni i dowcipni, wtedy pisarze dalecy byli od sposobu, który późniejszych się czasów w szkoły i uczone dzieła wcisnął, kiedy nie chciano prawie mówić i pisać z naturalnością i wspaniałą prostotą, ale wszędzie starano się natykać myśli żywych, krótkich, podrobionych, szczególnych, wytwornie kształtnych. Za czasów Kwintyliana przykład Seneki namnożył takich dowcipków: Seneka nadany bystrością w myśleniu, odstępując od zdrowego dawniejszych Greków i Rzymian gustu, Seneka porobił gorszych od siebie naśladowców. Wady jego były rzetelne, ale (jak mówi Kwintylian) były słodkie i miłe, a tém samém stały się niebezpieczniejsze. *Abundat dulcibus vitiis.* Weszło zatém we zwyczaj, żeby żadnéj części mowy, żadnego peryodu inaczéj nie zakończyć, tylko dowcipnym jakim słów i myśli tokiem, jakąś sentencyjką szczególną; żeby robić sensa podrobione, oderwane jedne od drugich, nie mające przyzwoitéj rozciągłości. Nie gani pomiarkowanego tych piękności używania rozsądny Kwintylian, lubo i sam rzadko wprawdzie wpadał w tę wadę: ale bez braku, bez miary ubieganie się wszędzie, naciągnienie takiego kształtu sprawiedliwych jego uwag i przestrog dla młodzi wyciągało. Niech będą te światła, te piękne oczy, jak on nazywa, wymowy: lecz któżby chciał mieć oczy po całém ciele? Gęstość w sadzeniu drzew, farby bez cienia w malowaniu, przytłumiają wzrost i piękność. Prostackie wyrazy, pospolity sposób w tłumaczeniu myśli, grubość starodawna, czyniłaby uczone dzieła nieprzyjemnemi, odstręczałaby słuchacza i czytelnika dni naszych. Podobnie jak w ubiorze, mieszkaniu i obcowaniu polor przydaje wprawdzie gładkości i okrasy: ale jest pewna między niezgrabnością, nieochędóstwem i chropowatością, a zbytkiem, dumą i wytwornością granica, pewny środek: tak na tęż miarę w robotach dowcipu wzgląd mieć zdrowy gust i rozsądek przykazuje. Bo jedno ze dwóch wybierając, wolałbym staroświecką ową grubość, niż tę nową zbytnią wolność i lekkość.

Przykład z Seneki, który tu przytoczę, osądziłem być bardzo zdatny do ostrzeżenia młodzi w mówieniu i pisaniu ćwiczącéj się, jak piękne na pozór myśli, dziwnie się temu wiekowi podobające, mogą być czcze, wytworne, przeciwne, nadto powtarzane, a zatém z dobrym gustem, z rozumem nieskażonym niezgodne. Sąto uwagi Seneki nad słowami Augusta. Seneka przywodzi słowa tegoż cesarza, który

żałując, że sam był przyczyną rozgłoszenia niedobrych obyczajów swéj córki, mówił, iż byłby téj niebaczności nie popełnił, gdyby Agryppa albo Mecenas do owego czasu żywi zostawali. Seneka dla lepszego wytknięcia tych słów czyni tę uwagę pełną rozsądku: Mającemu tyle tysięcy ludzi dwóch straconych nagrodzić sobie trudno jest. „Wycięto pułki, i zaraz inne zaciągnione: zniesiona flota, i w kilka dni widziano żeglującą nową: srożył się pożar na gmachy publiczne, i powstały lepsze od spłonionych. Przez całe Augusta życie Agryppy i Mecenasa miejsce próżne zostało.“ Nic niemasz piękniejszego, ani gruntowniejszego nad tę myśl: wszystkie straty nadgrodzić się mogą, wyjąwszy stratę przyjaciela. Nie przestał Seneka, i dodał: „Cóż mam rozumiéć, czy, że schodziło na podobnych ludziach, którychby August mógł był do boku swego przyzwać, czy jego samego winą było, że wolał utyskiwać, niżeli szukać? Nie możemy rozumiéć, żeby Agryppa i Mecenas zwykli byli prawdę cesarzowi mawiać, którzy, gdyby jeszcze byli żyli, zapewneby łączyli się z tymi, co prawdę utajali.“ Te drugie jego uwagi obalają i niszczą piérwszą. Tamta kładzie za rzecz prawdziwą, że bardzo trudno znaléźć przyjaciela na miejsce straconego; drugie zaś mówią wcale przeciwnie. A dotego czemu Seneka czyni tę Augustowi, albo raczéj dwóm jego przyjaciołom krzywdę, zadając im, że nie zwykli byli prawdy mówić temu panu, i że nie śmieliby w okoliczności tu wspomnionéj wiernie zdanie swoje przełożyć? Owszem przeciwne ich z Augustem postępowanie było. Mecenas zwyczajnie mówił mu z wolnością, i wiadomo jest, iż na jednym sądzie, w którym August zdawał się być skłonnym do okrucieństwa, Mecenas, nie mogąc się do niego dla ciżby zbliżyć, rzucił mu kartkę z temi słowy: „Wstań, a nie rób się katem.“ Widać przezto, że Seneka chybiał w istotnym mowcy i pisarza przymiocie, tojest, umiéć się utrzymać w granicach prawdy i rzetelnéj piękności, a surowo odcinać, co daléj za te granice zachodzi, podług onéj nauki Horacego: *Recideret omne, quod ultra perfectum traheretur.* Nadto się kochał w swoim dowcipie. Nie mógł się odważyć na stracenie jednéj myśli, która mu się ładną zdawała, i często przez te cienkie i drobne myśli osłabiał i upodlał, co wprzód wspaniale i mocno powiedział.

Te przestrogi tém potrzebniejsze w nauce, że ten sposób dowcipny bardziéj się młodym podoba, bardziéj ich do naśladowania pociąga.

34. Franciszek Dyonizy Kniaźnin.

Urodził się dnia 4. października 1750. roku. Oddany wcześnie do szkół Jezuickich w Witebsku, zdatnością i przykładaniem się do nauk sciągnął na siebie baczność zgromadzenia. Zaledwo w cztérnastym roku życia, przywdział sukienkę zakonną, i wkrótce jako nauczyciel do szkół warszawskich przeniesionym został.

W roku 1773., gdy zakon Jezuitów w Polszcze rozwiązanym został, Kniaźnin, nie mający jeszcze żadnego święcenia, powrócił do świeckiego stanu, i przyjąwszy obowiązek pomocnika przy bibliotece Załuskich, zostawał w niéj czas niejaki pod przewodnictwem Janockiego.

W tym właśnie czasie dobroczynny miłośnik nauk, książę Adam Czartoryski, generał ziem Podolskich, oceniając w nowo wydanych dziełach Kniaźnina znakomity, lubo jeszcze naówczas nie wykształcony talent, wezwał go do domu swojego, stojącego zawsze otworem dla każdego rodzaju zasługi, i mianował go przybocznym sekretarzem swoim.

Na początku 1796. roku wpadł w obłąkanie zmysłów, z którego najgorliwsze starania uleczyć go nie mogły. Gdy wzmagająca się coraz choroba żadnéj już nie zostawiła nadziei, przeniesiono go do Końskowoli, gdzie najmilszy jego przyjaciel, znakomity pisarz komedyj, Franciszek Zabłocki, po stracie żony poświęciwszy się stanowi duchownemu, obowiązki proboszcza sprawował, w religii i towarzystwie mieszkańców puławskich jedyną znajdując pociechę. Przez lat jedynaście nieszczęśliwy Kniaźnin doznawał najtkliwszéj przyjaciela opieki, i na ręku jego życia dokonał.

Książę Adam Czartoryski, generał ziem Podolskich, pamiątkę nieszczęśliwego przyjaciela uczcił wzniesionym pomnikiem na cmentarzu kościoła. Umarł 25. siérpnia 1807.

Dzieła Franciszka Dyonizego Kniaźnina. Tomików 6. W Lipsku 1837.

1. Filozof i Fortuna (Bajka).

Raz filozof zamyślony,
Co nad morskim chodząc brzegiem,
Godził sprzeczne z sobą strony, —
Los człowieka z świata biegiem;
Wtém się daje mu widzieć na kole Fortuna
Złotopłynném lecąca; hojna nader łuna
Promieniła jéj głowę, jak okrąg miesięczy:
Jedną nogą potocznéj tyka się obręczy,
Drugą dzieli powietrze. Leci niewściągniona
Naoślep, kryje bowiem jéj oczy zasłona,

Sama u niéj swoboda! Kędy pęd obróci,
Ziemia albo zakwitnie, albo się ozloci.
„Czekaj!“ filozof zawoła
„Oto, jak żyję dosyć wiek długi,
Jeszcze u twego nie byłem koła.
Omijasz rozum, cnotę, zasługi;
A na ich miejscu niegodnie
Uwieńczasz zbrodnie.“ —
Ona mu na to: „Kołowrot mój ślizki!
A zresztą ślepam. Komu miłe zyski,
Niech leci za mną. Nie skąpam! Oto
Sypię i kwiaty i złoto!“
Rzekła, i daléj. — „O! niechże téj drogi
Chwyta się“ mówił „kto ma tylko nogi:
Nie nogi u mnie, lecz pracuje głowa.
Leć sobie zdrowa!“

2. Wiosna (z Anakreona).

Oto nam wiosna miła
Róże wdzięczne rozwiła!
Cisza łagodzi morze,
Żóraw zdaleka leci,
Pływa gęś po jeziorze,
Słońce się jasno świéci;
Pagórki zielenieją.
Idzie praca z nadzieją,
Na łąki i na niwy,
Którym się lasy śmieją,
Bujne zboża runieją;
Pęka się kwiat oliwy,
Winorośle sok leją.
Hojnie wszystko rozkwita,
Będzie jesień obfita!

3. Róża (z Anakreona).

Różę uwielbić pieniem,
Duch mię z wysoka budzi:
Róża i bogów tchnieniem,
I rozkoszą jest ludzi.
Nad jéj krasą i wonią
Gracye serca ronią.
Róża i muz pieszczotą:
Z niéj lube rymy plotą.
Miła do róży ścieżka,
Choć za cierniami mieszka.
Róża i mędrcom służy:
Uciecha z nią pospołu,
Przy święcie i u stołu,
Cóż być może bez róży?
Róża do wszystkich rzeczy.
Ona i chorych leczy,
I umarłych ochrania,
I czasowi się wzbrania:
Róża w swojéj starości
Tchnie zapachem młodości.
Jakież jéj urodzenie?
Gdy Wenus uroszona
Piérwsze dobyła tchnienie
Z piany morskiego łona;
Gdy szumna z Jowiszowéj
Pallas wynikła głowy,
Straszna niebom bogini;
Wtedy róż krzaczek nowy
Ziemia, cudów mistrzyni,
Z hojnéj wymknęła skrzyni.
Szczęśliwych rada bogów
Płodu zacność uchwali:
Nektarem swym oblali,
I pyszną pośród głogów
Różę na świat wydali.

4. O starości (z Anakreona).

Łysa już moja głowa,
Skronie śniegiem bieleją,
Przyjemna młodość owa
Uszła, zęby się chwieją;
I słodkiego już mało
Życia dla mnie zostało!
Dlategoćto ja stękam,
I otchłani się lękam.
Przepaść to nader sroga!
Okropna do niéj droga:
A doszedłszy do końca,
Już nie obaczę słońca.

5. Na zgodę (z Anakreona).

Podaj mi, panie młody,
Kufel ze złotym uszkiem!
Niech go wypiję duszkiem.
Naléj weń dziesięć wody, —
A pięć kieliszków wina,
By nie tracić rozumu
Zbytkiem winnego szumu.
Jaki to hałas wszczyna
Junaków tych drużyna?
Plac uciech i pokoju
Nie jest placem do boju.
Zgoda! rycerze moi!
Niech wino zbyt nie broi.

6. Do złota (z Anakreona).

Złoto! o marne złoto!
Nie stoję najmniéj o to,
Że kogoś blask twój łudzi:
Ty bowiem drogą zdrady
Przez ohydne szkarady
Nęcisz ku sobie ludzi.

Zmykaj, powabie chytry!
Ja się tém nie zasmucę,
Ani na chwilę cytry
Dla ciebie nie porzucę.
Obłudnym i niewiernym,
Co darów muz nie znają,
Tyś w szacunku niezmiernym;
Ale ja przed tą zgrają,
Co od chwały ucieka,
Umknąwszy się zdaleka,
Staram się w moim rymie
Pamiętne zyskać imię.

7. Żale Orfeusza nad Eurydyką.

a) Żal. Do przyjaciół.

Luba drużyno! przyjaciele moi!
Pocieszcie, jeźli możecie:
Ale żal jątrzyć każdy się z was boi,
I cieszyć nawet nie śmiecie.

Niemasz cię, moja Eurydyko droga!
Onać mnie tylko cieszyła!
Ach! taka pamięć jak miła, tak sroga,
Ranę w mém sercu wzruszyła.

Zbyt mię scisnęło! Może koniec złemu, —
Może ten ciężar dogniecie;
Płyńcie, łzy gorzkie, ale zbolałemu
Folgę smutniejszą dajecie.

Nie tamujcie ich, towarzysze mili!
Pozwólcie, niechaj wypłyną!
Niech moja żałość niewstrzymana kwili:
Łzy jéj pociechą jedyną.

Filonie! słodka twéj przyjaźni rada
Piérwszy raz u mnie daremną:
Abym nie płakał, próżno mi przekłada
Ten, który płacze sam zemną.

Nie rozerwiesz mnie i ty, Sylorecie!
Chciéj mnie samego zostawić.
Niestety! nie masz uciechy na świecie,
Któraby mogła żal bawić.

b) Żal.

Jak ów ptak wierny, — ptak osierocony,
Nieszczęsny, smutny, leci w obce strony,
Tam, gdzie bór dziki, i gdzie gałąź sucha,
Z jednéj na drugą przepadając, grucha,
I wiecznie jęczy; tak i ja za tobą,
Za mojém światłem, duszy méj ozdobą!

Błędny, strapiony, sam nie wiedząc kędy,
Troskliwy jednak postępuję wszędy;
A serce roniąc i gubiąc myśl biédną,
Za tobą tylko uganiam się jedną:
Samėj cię żądam, i szukając płaczę,
Lecz nie znajduję, i już nie obaczę!
Niestety! tyś mię na zawsze rzuciła,
Moja pociecho, Eurydyko miła!

O gdyby jeszcze podług méj niedoli
Bóg mi dozwolił użyć własnéj woli:
Nie kamieniem ja, ani drzewem jakiém,
Nie marnym kwiatem, ani błędnym ptakiem,
Ale stałbym się łzami, — tylko łzami!
Bym się gorzkiemi zalewał zdrojami
Nazawsze: boś mię na zawsze rzuciła,
Moja pociecho, Eurydyko miła!

Zazdroszczę owéj płaczącéj Niobie.
Szczęśliwa! ległszy w skamieniałym grobie,

Leje łzy wieczne, a z najgłębszéj rany
Tryska ich strumień, żalem wyciskany:
Roztapiając się miłość jéj troskliwa,
Słodycz przechodniom z goryczy dobywa.

Tak i ja teraz, takbym się rozpłynął!
Nie ginąc nigdy, niechajbym tak ginął:
Podałbym pamięć w najpoźniejsze wieki,
Żem cię utracił! Przychodzień daleki,
Gdyby się skłonił do żywego zdroju,
Jękby mu doniósł przy czystym napoju,
Że to łzy męża, któregoś rzuciła,
Moja pociecho, Eurydyko miła!

c) Żal.

Już noc opada, już dnieje,
Słońce za chwilę powróci,
Ze snu szczęśliwych przecuci,
I świat się cały rozśmieje.

Dawco powszechnéj radości!
Już swe wydałeś promienie.
Każde się cieszy stworzenie;
Ja tylko w żalach, w tęsknocie.

Ledwoś blask rzucił na góry,
Rzesza w tych lasach ukryta
Zgodnym cię okrzykiem wita;
Ja jeden niemy, ponury!

Rzuciwszy wczora te strony!
Znowu raczyłeś pospieszyć,
Żeby nas wszystkich ucieszyć,
Ja jednak niepocieszony!

Życiem darzyć, twe dzieło:
Szczęśliwe tych ptasząt pary
Z weselem nucą twe dary;
Moje mi szczęście zniknęło!

Utrata wieczna mię smuci,
Napróżno tęsknię i żądam:
Już nigdy jéj nie oglądam;
Słońce się moje nie wróci!

d) Żal.

(Orfeusz wchodzi w jaskinią).

Ledwo tu blady gdzie promień dolata:
Między skał przerwą te jodły posępne
W straży trzymają wejście niedostępne;
Tu się nieszczęsny uchylę od świata!

Jeszcze tu widzę nie postał nikt żywy,
Od wieków te mgły nikomu nie znane:
Piérwszy tu wszedłem, i piérwszy zostanę,
Bo téż i piérwszy takem nieszczęśliwy!

Coś tam o podal chrusnęło z szelestem!
Zwiérz jakiś na mnie srogim wzrokiem błysnął!
Strach go przeraził, i w stronę się cisnął;
I on tu nie śmié przystąpić, gdzie jestem!

Okropność jakaś panuje tu cicha!
Gdzież ta pod ziemię pieczara prowadzi?
Strach mię cofając wnijść do niéj nie radzi:
Lecz każe smutek, a żałość popycha.

Idę! niech moję rozpacz tam ukrytą,—
Niech resztę serca dokonają żale!
Jednak nim wnijdę, na téj twardéj skale
Pamięć, żem tu był, zostawię wyrytą.

Jeżeli kogo żal podobnie dziki
Do tego lochu przywiedzie w rozpaczy,
Stropi się, kiedy te słowa zobaczy:
„Już tu Orfeusz płakał Eurydyki!“

1. Do D. H.

Pogodne dla nas tu chwile płyną,
Śmieją się pola kwitnące;
Drużbo! usiądźmy pod tą buczyną,
I okiem rzućmy po łące.

Oto przeleciał krasny motylek!
Lilijka gościowi rada:
Kilka się u niéj zabawił chwilek,
I wnet przy innéj usiada.

Słodyczy szuka ta, widzę, pszczoła
Po cząbrze, róży, melissie:
Żadne jéj więcéj nie bawią zioła,
Aż póki onych nie wyssie.

Cień, co go chmurka mijając rzuci,
Tam się i owdzie przemyka;
Śmieje się jeden, drugi kwiat smuci,
Jak słońce świéci, lub znika.

Łagodny wietrzyk powiewem wzdycha,
Liście téj brzozy pokłócił;
Ona się k'niemu wdzięcznie uśmiécha
Ale on westchnął i rzucił.

Uważmy sobie nad tym strumykiem;
Bieg jego czegoś nas uczy:
Mus wodę krętym pędzi przesmykiem,
Słuchać go musi, choć mruczy.

Na jednym krzaku owe ptaszęta
Coś, widzę, razem dumały,
Niesmak, czy jakaś wzbudzi ponęta:
I z sobą się rozleciały.

Nadchodzi burza, słychać ją z gromu,
Kryją się zwierze i ptaki:
Ach, przyjacielu! pójdźmy do domu. —
A cóż? i nasz los nie taki?

9. Do ks. A. C.

(Gdy dobra swoje objeżdżał.)

Widzisz te pracy i pożytku roje?
Wybiegły z siedlisk twarz oglądać twoję:
Samać na czołach rzetelnie wyryta
Wesołość wita.

Sędziwi starce przed młodzieży gronem
Korzą swe lata winnym ci pokłonem,
Przyjmując pana, co piérwszą ich dolą,
Chlebem i solą.

Leci tłum, a kto piérwszy cię obaczy,
Więcéj rozkoszy w swych oczach naznaczy,
I piękną drugim z chlubnego wesela
Zazdrość rozdziela.

Muzo! gdy niegdyś pyszne Scypiony
Wiózł wawrzynami tryumf uwieńczony,
Ciągnąc za sobą dla większéj przewagi
Hańbę Kartagi,

Byłaś zapewne przytomna téj dumie,
Kiedy w okrzykach i klaszczącym tłumie
Przed jedném miastem bohatér się chlubił,
Że drugie zgubił.

Któryż cię bardziéj, — strasznego hetmana,
Czyli miłego swoim ludziom pana,
Poruszył widok? Tamten serce przeszył,
Ten zaś ucieszył.

Co widzę? postać tłumi się wesoła,
Strach jakiś zmienił i twarze i czoła;
Oczy łez chciwe, a pełne szczérości,
Żebrzą litości.

Książę! rzuć okiem! czołem tobie biją,
Rzuć okiem na tych, co dla ciebie żyją!
Szukając w tobie za prace i plony
Własnéj ochrony.

Trzodato bliźnich, co się dla nas znoją,
Przez których państwa i narody stoją.
Muzo! umilknij. — Dobroć tobie znana
Zacnego pana.

10. Do lutni.

Ducha Boskiego udziale,
Którym cię czucia unoszą,
O lutni! ku jego chwale,
Napój me serce rozkoszą.

Brzmienia twojego uroczne tknięcie
Zmysłami memi rozrządza:
Posłuszne twojéj we wszém ponęcie,
Jak wdziękom miłość i żądza.

Co chcesz przyjmuję: żal, tęskność, nadzieję;
Zapalisz? gorę; rozrzewnisz? łzy leję.
W miarę twych wdzięków — smutną lub radosną
Uczucia tkliwych namiętności rosną.

Serce przywrzałe do zbrodni
Twoich zapałów nie czuje:
Niechże się lęka pochodni,
Którą Bóg mściwy gotuje.

Ty gasisz ogień wszechmocnéj ręki,
A nad piorunem, co pała,
Dobroć na twoje zmiękczona jęki,
Uśmiech po niebie rozlała.

Ucichną wichry, czarne nikną chmury,
Słodzi się postać wzburzonéj natury:
Nadziei wdzięcznéj niech ustąpi trwoga,
Ty zabrzmisz wielkość łaskawego Boga.

Tam kędy widzi twarz jego
Rzesza, nim samym szczęśliwa:
Rozgłosem brzmienia twojego
Wieczna go pamięć opiéwa:
Jak jedném słowem świat światów stworzył,
Jak życie rozdał swém tchnieniem,
Jak zgładził zbrodnię, a śmierć umorzył
Sam równém sobie plemieniem.

Tłum świętych duchów na wieczności łonie,
Pijąc tę rozkosz, w uwielbieniach tonie,
A ten, przed którym tańczą światów kręgi,
Jaśnieje chwałą w cudach swéj potęgi.

Jedno zaś dźwiękiem wspomnienie,
Jak dumne strącił anioły,
Wzruszy drżące nieb sklepienie,
Burząc po światach żywioły.
Zdaje się słyszéć ta zemsta sroga
Z całéj natury truchleniem,
Gdy wzrok żywego wystrzelił Boga
Grzmiącym na pychę płomieniem,

Którym potwory, na łeb lecąc tłumem,
Z hałasem, waśnią, zgrzytem, wrzawą, szumem,
Runęły w przepaść; zlękłe zaś otchłanie
Zamkną rozpaczy wieczne zamieszanie.

11. O arce pańskiéj. (Psalm 131.).

Pamiętaj, panie, na Dawida, który
Cichym szedł sercem i duchem pokory:
Jako ci przysiągł, tak dopełnił ślubów,
Boże Jakubów!

„Nie wnijdę“ mówił „do domu mojego,
Dopóki miejsca nie znajdę świętego,
Gdzieby twój stanął przybytek i chluba,
Boże Jakuba!“

Oto w Efracie *) święta skrzynia ona
Pomiędzy lasem w polu znaleziona!
Idźmyż w to miejsce, i uczcijmy drogi
Ślad pańskiéj nogi.

Powstań, o panie! ty i arka twoja
Wnidź z uwielbieniem do swego pokoja;
Niech cię tam twoi w pobożność odziani
Chwalą kapłani.

Na twego sługi Dawida wspomnienie,
Przez twoję litość i nasze zniżenie,
Nie chciéj odwracać twarzy swéj twojemu
Namaszczonemu!

Dałeś twéj prawdy słowo Dawidowi
(Rzetelne słowa, które Bóg wymówi):
„Ten, który na twéj stolicy zasiędzie
Krew twoja będzie.

Jeźli zakonu mojego przestrzegać,
A prawom będą twe dzieci podlégać;
Wiecznie ojcowską posiędą stolicę
Wieczni dzi dzice.

Pan sobie wybrał mieszkanie Syonu,
I w nim oznaczył cześć swojego tronu:
Syon mnie miły! wieczne tu zostanie
Moje mieszkanie.

Tu moja będzie nad wdową opieka,
Chlebem nakarmię ubogiego człeka,
Tu będą jaśnieć w pobożność odziani
Moi kapłani.

Tu tron Dawida wzniosę wiecznotrwały, —
Tron dostojności, zbawienia i chwały.

*) Efrata, kraina około Betleem, gdzie wczasie lat dziecinnych przebywał Dawid.

Świetną pochodnię zgotowałem memu
Namaszczonemu.
Dosyć tém jego nieprzyjaciół zkarzę,
Kiedy wstyd ciężki rzucę na ich twarze:
A moja świętość z łaską starożytną
Nad nim rozkwitną!“

35. Aloizy Osiński.

Urodził się roku 1770. w ziemi Chełmskiéj. Nauki odbył w Podoleńcu jako pijar pod Onufrym Kopczyńskim: wezwany poźniéj przez Tadeusza Czackiego, był professorem literatury łacińskiéj w Krzemieńcu, w roku 1815. sekularyzował się, w roku 1821. mianowany kanonikiem wileńskim, w roku 1833. rządcą akademii duchownéj rzymsko-katolickiéj w Wilnie, i officyałem.

Pisma jego: 1.) *Nauka ojca, dana synowi jadącemu do akademii. Warszawa 1801.* — 2.) *Słownik mitologiczny. Warszawa 1806—1812.* 3 tomy. — 3.) *Żywot Piotra Skargi. Krzemieniec 1812.* — 4.) *Życie Tadeusza Czackiego. Krzemieniec 1813.* — 5.) *Pochwała Onufrego Kopczyńskiego. Warszawa 1817.* (Druga edycya r. *1819*.).

Umarł r. 1842. — Mąż prawdziwie uczony, gruntownie znający i język ojczysty, i literaturę, pracował nad dziejami literatury polskiéj. Żywoty, jakie skréślił, oprócz pięknego wykładu i obrobienia, zalecają się niepoślednią erudycyą, która okazuje rozległą Osińskiego znajomość literatury polskiéj. — Żałować potrzeba, że nie wydał dla współziomków żadnego dzieła, godnego swéj nauki; rękopisma bowiem, jakie zostawił, dotąd w ukryciu zachowane.

K. Wł. Wojcicki.

Pochwała Onufrego Kopczyńskiego. Warszawa r. 1817.

Już prawodawca języka polskiego przeniósł się do wieczności! Czerniów w województwie gnieźnieńskiém wsławił się wydaniem na świat Onufrego Kopczyńskiego*). Jakikolwiek dziś los tego rodzinnego miejsca, równie miłém staje się Polakom, jak było niegdyś przyjemne Rzymianom gniazdo Terencyusza Warrona.

Życie wielkiego człowieka samo przez się jest ważném, i rodzinnych wywodów wcale nie potrzebuje; bo na doskonalenie przymiotów i same dzieła zwraca tylko uwagę potomność.

*) 30. listopada 1735.

W szkołach warszawskich sposobił serce i umysł do zaszczytów, któremi uzacnił imię Polaka. Przy ochocie i pracy, przy pamięci żywéj i trwałéj łatwo mu było celować współuczniów. W siedmnastu latach przywdział w Podoleńcu szatę Konarskich. Pierwiastkowe usposobienie winien był troskliwemu pielęgnowaniu zgromadzenia, które zawsze słynęło, i słynąć nie przestaje wybornem kształceniem nauczycielów. Urządzenia szkół piarskich, potwierdzone od Benedykta XIV. papieża*) dotąd jaśnieją dowcipem Konarskiego. W nich podał sposób uczenia, w nich wskazał źródła, z jakich czerpać się ma oświecenie prawdziwe. Dwa lata rozpatrywał się Kopczyński w ustawach, na których osadzony jest zakon Ś. Józefa, a poznawszy zgodność ich z wolą, obowiązał się ślubami Bogu**), pomnażać chwałę jego i pracować dla oświecenia młodzieży.

We dwudziestym piérwszym roku rozpoczął zawód nauczycielski i sprawdzenie nadziei o sobie powziętych. Oderwany myślą od zabaw świata, całego siebie naukom poświęcił, i osładzał niemi swoję samotność.

Cztérogodzinne w dzień chodzenia do szkół w latach kilkunastu, i powtarzanie tego, co z przepisów wynika, nie mogą utworzyć znakomitym i wielkim człowieka. Należy zawód rozleglejszy badaniom umysłu zamierzyć, należy całkowicie naukę zgłębić, i tysiączne płody rozumu ludzkiego roztrząsnąć. Kto kilkanaście kartek rzymskiego pisarza wytłumaczy dokładnie swym uczniom, nie może ztąd rościć sobie mniemania o zupełnéj doskonałości tego języka, i o poznaniu tych wszystkich piękności, które w tysiącznych cieniowaniach przedstawiają się znawcom. Życie krótkie i praca ogromna w każdéj odnodze nauk każe celniejszym dowcipom puszczać się w zawód ulubionych przedmiotów, i na tych niwach rozległych zbiérać wszystkie plony wiadomości podanych, a z nich dopiéro budować układy, i oczyszczać z błędów myśli poprzedników. Tak się dostępuje chwała prawdziwa nauki! Nie każdy wykonać to zdoła: ale Kopczyńskiemu łatwo było prześcignąć niemal wszystkich pracujących nad polskim językiem, względnie z łaciną; bo całą usilnością zgłębiał mowę Rzymian i swoję.

Maron tkliwemi myślami duszę jego rozczulał; Horacy, wzdychający do spokojności na dworze Augusta, władzcy świata, stawiał mu

*) 1750. roku. **) 1754. roku.

przyjemny widok cieniów zakonnych. Cyceron i Liwiusz płynnością, Salustyusz i Tacyt mocą i wyrazistością zachwycał Kopczyńskiego, a Warron rozbiorem języka natchnął w nim myśl tak szczęśliwą, zajęcia się podobną pracą nad jedną z okrzesanych gałęzi języków słowiańskich. Czułe serce Kopczyńskiego, i bujny dowcip w dziejach religii i wyobraźni znalazły to wszystko, co i uprzyjemnia losy śmiertelnych, i dla dobra współziomków i potomności pracować zniewala. Radom, Piotrków, Rzeszów i Złoczów przenosiły go myślą do Rzymu, stolicy niegdyś nauk i świata; oswajanie się bowiem z dziełami nieśmiertelnemi wieku Augusta było jego pociechą serca, i ciągłym rozumu żywiołem. Płynność, jasność i wyrazistość byłyto pism jego znamiona; bo w czuciu i pamięci swojéj miał obecne z czytania wzorowe piękności. Uczniowie powtarzali swoim rodzicom: „Nikt nam jaśniéj i gruntowniéj nad Kopczyńskiego nie wykłada nauki, nikt z nami nie postępuje łagodniéj;“ a rodzice wieńczyli prace jego wziętością powszechną i przywiązaniem.

Naczelnik zgromadzenia postrzegł w nim widocznie górujące talenta i wiadomości rozległe, a chcąc widzieć podobnych mu wielu, poruczył mu prowadzenie sposobiących się do nauczycielstwa młodych Piarów.

Rząd oświecenia narodowego trafny okazał wybór w przybraniu go do towarzystwa ksiąg elementarnych, w poruczeniu układu kilkukroć stu tysięcy książek sławnego zbioru Załuskich, z których tak umiejętnie wyprowadził całą budowę języka.

Grammatyka dla dzieci w oczach mniéj bacznych zdaje się być dziełem dziecinném, dziełem mechaniczném, wykładającém prawidła od innych podane albo w skróconém osnowaniu, albo z małą jaką przemianą. Nie taką grammatykę napisał Kopczyński, bo nie był z rzędu owych zbieraczów, których zastarzały a pospolity uczenia zwyczaj trzymał w niewoli, — u których starożytna powaga grammatyków więcéj miała znaczenia, niż odkrycie prawdy, — dla których prawie wszystko byłoby świętém i nieodmiennem, co Albin, Bebelius, Dyomedes, Eoban, Gwalter, Linacer, Zaborowski, Lupulus, Honter, Wojciech ze Szczebrzeszyna, Mesgnien, Wojna i inni zamknęli w swych dziełach. Tych wszystkich pisarzów, wstępujących niewolniczo w swe ślady, Kopczyński filozoficznie osądził; a powaga Arystotelesa, Warrona i Kwintyliana tam tylko miała wartość u niego, gdzie rozumowania zgadzały się z natu-

rą rzeczy. Uwagami ważnemi Bakona i Kartezego przejęty, nie przywiązywał wiary do ludzi i wieków, ale wszędzie własnym rozumem i doświadczeniem przekonywał się o prawdzie oczywistéj. Dosyć jest przeczytać układ grammatyki, aby się o tém przekonać.

Co za przestrzeń rozległa! Jakiéj tu przenikłości, jak bacznéj uwagi potrzeba było, aby te matwaniny, wikłające pojęcia młodych rozplątać, aby naukę mowy z dawnych ciemności wydobyć, aby logicznie i jasno wyłuszczyć te prawidła, które przez tyle wieków niemiłosiernie męczyły młodzież, i stawały się jéj nieprzełomną zaporą do uczucia piękności Horacych i Wirgilich, otaczanych kolcami i cierniem? Dosyć powiedzieć, język umarły i mnóstwo grammatyków łacińskich, dosyć powiedzieć, tysiączne dzieła polskie, pod berłem Zygmuntów i Stanisława Augusta nietknięte w rozbiorze mowy, aby sobie wystawić cały ogrom trudów dla Kopczyńskiego. Puszcza się on bez przewodnika na tę przestrzeń rozległą pola językowego, na ten świat umysłowy.

W wieku XVI. Stanisław Zaborowski napisał cztery kart po łacinie o wymawianiu polszczyzny, Jan Seklucyan mniéj jeszcze, Jan Kochanowski i Januszowski nieco obszerniéj. Nieszczęsnym losem dwaj piérwsi wykładacze pisowni polskiéj nie byli Kopczyńskiemu znajomi.

W wieku XVII. grammatyka *Mesgnien'a*, Francuza była za śmiała na cudzoziemca, a dla Polaków niedostateczna. Następni narodowi pisarze nie byli szczęśliwymi w zgłębieniu ducha mowy ojczystéj. Wojna z Jasienicy odkrył tylko niektóre prawidła. Słowniki Mączyńskich i Knapskich nie zgromadziły całkowitego zbioru polskich wyrażeń, nie przygotowały grammatycznych materyałów. To wszystko nader szczupłą przynosiło pomoc. Kopczyński w nowym zawodzie nową sobie torował drogę w odkryciach, i tę innym wskazał: i to jest najlepszy sposób uczenia. Z pracą niezmierną kilka tysięcy tablic układa, cały w nich prawie polski język zamyka, uważa własności gramatyczne we dwudziestu dwóch względach, i całkowite pasmo języka wywija z natury rzeczy i zwyczaju narodowego. Zgromadza, szykuje, porównywa, odciąga tysiączne zgodności i różnice, sprostowywa nadużycia, wyprowadza nowe i pewne wnioski, zgoła język cały polski i łaciński roztrząsa i rozporządza, ślęczy nad grammatyką polsko-łacińską lat dziesięć, i opisuje mu pewne i jasne prawidła. Żadne przesą-

dy, choć najdawniejsze, żadna powaga, choć najznakomitsza nie mogła Kopczyńskiego obłąkać, który w rozbiorze języka samą naturę ludzkiéj myśli i zwyczaj pospolitszy w narodzie miał przewodnikiem.

Co za wytrwałość bezprzykładna! co za ciągłe i nieprzerwane natężenie myśli na jeden przedmiot, suchy na pozór, ale tak płodny we wnioski dla zdrowéj logiki i bujnego dowcipu! O niczém nie stanowi płonnie, i w najdrobniejsze nawet szczegóły myśl swoję zapuszcza. Wszędzie postępuje logicznie od rzeczy znajomych do nieznajomych, od łatwych do trudnych, od żywotnych do nieżywotnych, od podobieństwa języków do ich różnicy, od słów zmysłowych do wewnętrznego ich znaczenia, tojest, od mechanizmu do logiki. Odkrywa związek głosu z pismem, myśli z mową, cały ciąg uwag zbiéra porządnie w jednę osnowę; a z tych jasnych i pewnych postrzeżeń wywija prawidła. Tak prowadzeni młodzi sami natrafiać mogą na wnioski, które im autor grammatyki wykłada, i przyznają sobie nawet równą biegłość z autorem, bo im się wszędzie jasno tłumaczy, bo go łatwo pojmują. Tak zaostrza się i dowcip młodego, i praca nauczyciela przyzwoity bierze kierunek do rozwinienia talentu.

Zwyczaj u Kopczyńskiego jest gruntem każdego języka; ale wtenczas przestaje wydawać dziczyznę, kiedy go umiejętne ręce rolnika uprawią. Z tegoto zwyczaju w stanie dzikości wyprowadza zamącenie form logicznych, i bezrząd w szyku i osnowie mowy.

Mamże wyliczać Kopczyńskiego uwagi, postrzeżenia i odkrycia? Tyle ich jest na każdéj karcie, ile względów językowych. Nic takiego nie puścił w niepamięć, co się łączy z mową. Narzędzia głosowe, czulne i widzialne stają się celem jego zagłębień. Od wymawiania głosek aż do najgładszego ułania przemiany słów i imion ciągną się nieprzerwaném pasmem prawidła pewne i nieomylne, bo wydobyte z rozbioru języka, a tém chlubniejsze, iż po większéj części są płodem własnych jego rozumowań i ślęczeń całego życia.

Te są znamiona prawdziwéj doskonałości grammatyki narodowéj. Od początku do końca nie zapomina o sobie i rzeczy. Dzieci naucza zrozumiałym zawsze językiem, a nauczycielom jeszcze wyjaśnia głębsze uwagi o myśli, języku, piękności i smaku. Nie dziw! Kopczyński poznał dobrze naukę mowy, i sprawiedliwie żądał, aby ją z równą doskonałością i nauczyciele i uczniowie objęli. Doświadczenie lat trzydziestu siedmiu dowiodło użytku tych badań. Autor uznany

za ozdobę narodu, a oddający mu nawet nagrodę, sami się oznaczyli wybornem zdaniem i ocenieniem wartości dzieła.

---

36. Onufry Kopczyński.

A) Grammatyka języka polskiego, dzieło pozgonne w Warszawie r. 1817.

O nowych wyrazach polskich.

Ponieważ już się poczyna nowe języka naszego pokolenie; słuszna jest rzecz, aby je językowemi powitali przestrogami.

Że nowe słowa w żyjącym języku tworzyć można, nigdy nie wątpiono. Pełno na to jest w starożytności świadectw, pełno dzisiaj świeżych przykładów. Żaden wyraz nie spadł z nieba, wszystkie się na ziemi urodziły. Wszystkie niegdy były nowe, bez czego nie mielibyśmy starych. Nowe wyrazy bogacą język, i łańcucha wyobrażeń przyczyniają, byle rozsądnie i stosownie były utworzone. Zdaje się jednak, że sama potrzeba matką ich być powinna.

Potrzeba największa jest wtenczas, kiedy nowa się rzecz wynajdzie, albo nieznajoma jeszcze krajowi nauka od cudzoziemców się przenosi. Wtedy autorowi albo tłumaczowi wolność ojcostwa nie może być zaprzeczona.

Wszakże, jeżeli prawda, co Platon powiada, że twórcy piérwszych wyrazów musieli mieć boski dowcip, aby stósowne rzeczom naśladowali imiona; nie lada komu porywać się trzeba na ślizkie to dzieło, bo najczęściéj się trafia, że takie dzieci na bęsiów żarty wychodzą, albo kalają tylko i zatrudniają język.

Przystałoby na grammatyka przepisać na nowe wyrazy prawidła: uczynię to za wielkiém pozwoleniem zacnych mowców i pisarzów.

Naprzód. Bez oczywistéj potrzeby nie mnożyć językowéj drużyny. Mamy dosyć spółznacznych wyrazów, które niektórzy mają za ciężar języka: poco ich więcéj mnożyć? Nie lenić się czytać starych książek, albo przynajmniéj zebranych z nich słowników, jakim jest podobno jedyny, a mało komu znajomy, bo w Rzymie wybijany ks. Włodka, Jezuity Słowniczek przydany na końcu książki, o naukach wyzwolonych, gdzie się znajdują stare słowa prawdziwie polskie, które lepiéj wskrzesić, niż dziwolągi tworzyć.

Powtóre. Zachować podobność czyli analogią ojczystych i dźwięków, i zakończeń. N. p. mając wyrazy stare, zakończone na elny, znaczące możność bytu, jakoto: śmiertelny, skazitelny *ect.*, bezpiecznie tworzyć można na tę formę: nositelny, podzielny, chwalny, doskonalny *ect.* Mając wyrazy na nia, znaczące nie miejsce tylko, n. p. kuchnia, wozownia, *ect.*, ale rzeczy same, n. p. kania, pochodnia, suknia *ect.*, stosownie więc zrobione być się zdają: pisownia, dodatnia, wyrzutnia *ect.*

Po trzecie. Żeby wyraz znaczył prawdziwie i jasno wyobrażenie, którego jest znakiem. Boscy owi twórcy nowych wyrazów, Grecy, nie zawsze to istotne zachowali prawidło: n. p. komedya, tojest, gra wiejska; tragedya, tojest, gra za kozła *ect.* jak nie prawdziwie i ciemno znaczą wyobrażenie! Toż i o Rzymianach rozumieć, n. p. litera, znaczy mazanie: nie lepszyż, choć nowy, wyraz polski głoska, od znaczenia głosu? Zamiast *substantivum*, niby podbyt, *adjectivum*, niby dorzut, jak prawdziwiéj znaczą, co znaczyć powinny: rzeczownik i przymiotnik?

B) Poprawa błędów w ustnéj i pisanéj mowie polskiéj, Warszawa r. 1808.

Pozwólcie, kochani ziomkowie! ażeby starzec już ku grobowi nachylony, a przeto mniéj nadziei i bojaźni podlegający,— starzec, który zjadł zęby i osłabił oczy na śledzeniu ducha językowego, odezwał się śmieléj i szczérzéj w powszechnéj sprawie narodowego języka. Starość sama daje prawo do mówienia każdemu prawdy; a długoletnie śledzenie tajemnic znaléźć powinno wiarę. O godni z innych miar uwielbienia, mowcy i pisarze nasi! Posłuchajcież cierpliwie doświadczonego weterana, powiadającego wam łagodnie przykrą pospolicie prawdę o błędach waszych w ojczystéj mowie.

Ktokolwiek ośmiela się mówić jawnie do zgromadzonych rodaków, dopiéroż kto swój głos odległym krajom i wiekom przesyła drukiem, bierze na siebie wyższą nad równość osobę, jaka jest pospolicie wyższość nauczyciela nad uczniów. Taka wyższość nauczycielska potrzebna jest istotnie narodowi, szukającemu powszechnego oświécenia. Bo rzecz jest niepodobna, aby każdy obywatel miał równą zda-

tność i czas do oświécenia samego siebie. Nie próżno każda społeczność dzieli się na różne stany, do osobnych prac przeznaczone. Król rządzi, sędzia sprawiedliwość wymierza, rolnik opatruje żywność, kupiec i rzemieślnik wygodom pospolitym służy: a nauki i oświécenie onemiż wszystkich samym literatom powierzono.

Wszystkie stany mają swoje czasy od robót wolne, jakie są świętą i wieczory. Kościoły dla wszystkich, księgi dla majętniejszych są szkołami oświécenia, a o ś w i é c e n i a tego przyrodzoném i jedyném n a r z ę d z i e m j e s t o j c z y s t y j ę z y k.

A jakimże ma być ten język? Przed półtrzeciasta lat tak o nim napisał Jan Januszowski: „Wszelki naród, chcący się wypolerować i wsławić przez nauki, a nie mając innego, że tak rzekę, przewozu, krom ojczystego języka, musi przedewszystkiém opatrzyć zewsząd ten okręt, i do umieszczenia w nim drogich towarów przysposobić. Tak robiły i podziśdzień robią uczone narody, pisząc osobne księgi o swoim języku: a jest ich kilka, które oddzielne na to stanowią towarzystwa, któreby pisały prawa językowe, wytykały przeciwko nim omyłki, a publiczném napomnieniem ostrzegały czytelników i pisarzów poprawiały.“

Jeżeli tedy, bez nauki nie może być polor narodu, nauki też nie mogą być przydatne wszystkim bez języka ojczystego, język nakoniec nie może być bez grammatyki polerowanym; cóż sądzić o takich narodowych oświécicielach którzy nie znając nauki języka swego, jako fundamentu nauk wszystkich, ośmielają się mówić i pisać do narodu? Niemasz żadnéj umiejętności, żadnego kunsztu, żadnéj najpospolitszéj roboty, któraby nie potrzebowała jakich opisów, jakich prawideł, jakich przestróg; jedna najmisterniejsza tłumaczka myśli samaż albo zostanie w piérwotnéj swojéj dziczyźnie, albo samowolnemu każdego dziwactwu do poloru będzie poruczoną? Stroimy się według reguł, gramy według reguł, tancujemy według reguł; mówić i pisać nie zechcemyż według reguł?

Wina tak ohydna i szkodliwa wszystkim stanom spada na samych literatów, obowiązanych szczególnie do polerowania narodu przez nauki. Co za niebaczność tego stanu? Są jedni, którzy nie znając grammatyki narodowéj, wołają na ziomków, aby od niéj jak od zaraźliwego powietrza uciekali. Są drudzy, którzy nadęci innemi wiadomościami, naukę językową sądzą i głoszą za poziomą, i dzieciom tylko

służącą, a przeto rzędu umiejętności nie wartą. Ale znał się na niéj lepiéj Kwintylian, gdy pisał: „Drobna na wstępie wydaje się grammatyka, lecz zapuszczającemu się wgłąb téj świątyni odkrywa wiele bardzo rzeczy subtelnych, które zdołają nie tylko dziecinne dowcipy zaostrzać, ale najgłębszych mędrców zastanawiać. Nikt nie będzie mowcą, kto się nie obeznał z grammatyką.“

Naszych literatów opinia o grammatyce podobna jest do owych w Jerozolimie żebraków, którzy bojąc się utracić zyski ze ślepoty swojéj, chronili się cudotwornych Apostołów. Cóżto już za wniosek do dziecinności grammatyki ztąd, że się pospolicie daje dzieciom? Taką rzeczą to i religia, i rachunki, i historya it.d. będą dziecinnością. Szczérze mówiąc, każdy kto nie umié, jest dzieckiem, choćby miał lat sto: takie imię dawali Egipcyanie Grekom nie umiejącym dawnych dziejów. Uczą dzieci nie dla szkoły, ale dla dalszego życia. Spalićby trzeba elementarne książki, jeżeli dziecinnym tylko latom służyć mają. Nie młodym był fundator najsławniejszego zakonu, gdy piérwszy raz poszedł do szkoły. Sędziwy Solon przy skonaniu nawet chciał się czego nauczyć. Nie uczenie się, ale nieumienie wstyd równie młodym, jak i starym czyni, zwłaszcza tym, którzy najchlubniejsze noszą imię narodowych nauczycielów: inaczéj ślepy ślepego prowadząc, w dół z nim wpadnie.

Ostrzega tedy czysty duch językowy rodaków naszych, aby mieli na baczności mowców i pisarzów dzisiejszych, nie znających, krom zwyczaju, ojczystego języka swego; ponieważ od splamienia pociągną go na zgubę. Czyby ich nie można poprawić, albo przynajmniéj od złego nauczycielstwa odstręczyć wznowieniem tebańskiego prawa na malarzów? „Każdy malarz, który nie szanując publiczności, wystawi na widok niedoskonałe dzieło swoje, zapłaci grzywnę srebra.“

O ubogi dzisiaj, nasz kraju! jakbyś się prędko z takich grzywien zbogacił! Lecz jeżeli chudego literata, i szukającego często chleba w drukarni nie stanie na taką opłatę, naznaczyć mu stosowniejszą pokutę, aby przed wzięciem pióra w rękę przeczytał Horacyuszowski list do gotujących się na literaturę Pizonów, i tam się nauczył, co, i jak umieć powinien dobry pisarz? jak szanować język swój? jak pismo swoje poddawać pod cudzą krytykę? jak długo ociągać się z drukowaniem?

Lubo już nauka mowy rozciąga się równie na myśli, jak na słowa, atoli, ponieważ mój zamiar teraźniejszy poprawiania błędów sciąga się do powierzchowności więcéj, niż do wewnętrzności mowy, rzucę zasłonę na błędy myśli w mówieniu i w pisaniu. Nawiasem chyba radbym przestrzédz mowców i pisarzów naszych, aby się nie stawali nudnymi dla przewlekłości, niezrozumiałymi dla złego wyobrażeń szyku, dziwacznymi dla naśladowania ościennych umysłowców czyli metafizyków, którzy wygrzebują z popiołów zarzucone zagorzelców arabskich wyobrażenia, i swoje niedościglejsze jeszcze malują, nic do narodowego oświécenia nie czyniące.

Sfingowe zagadki w logogryfach i szaradach, przez gazetę publiczną cotydzień do rozwiązania podawane, nie z takiéjże wychodzą kuźnicy? nie takąż bez żadnego pożytku, prócz rozśmieszenia dzieci, pisarzowi i czytelnikowi zadają męczarnią?

Głowy polskie, zrobione i przyzwyczajone do prostego i jasnego myślenia toku, chcące być w potrzebną miarę, a nie nadto mądremi, durzą się, mącą i ciemnieją przesadzonemi błyskotkami. Sokrates wybujałym nad miarę pożytków obywatelskich filozofom greckim mową, przykładem radził, aby mądrość swoję z nieba na ziemię sprowadzili. Nie źle także jednemu z takich pisarzów powiedział czytelnik pewny, ażeby listy swoje, niby po polsku pisane, po polsku prawdziwie kazał przełożyć.

Ale dosyć téj nawiasowéj o myślach przestrogi; czas jest do słownych błędów i ich poprawy przystąpić.

Nie zaszkodzi nawet wyciągnąć z domowych dziejów piérwszy pochop czyli przyczynę grammatycznego prawodactwa, i ciąg jego aż do czasów kommissyi edukacyjnéj.

Pisze Górnicki, świadek oczywisty, że poseł jeden francuzki, mało bardzo o polorze państwa naszego trzymający, będąc u wielkiego kanclerza i hetmana, Jana Zamojskiego, lubo był przyjęty królewską właśnie wspaniałością, tak że się dziwił nie tylko przepychowi domu, stołu i sprzętów, ale nadewszystko zbiorowi Polaków, wszystkiemi językami o wszystkich naukach wymownie rozprawujących, czego nawet w Paryżu nie widział; nie biorąc miary z jednéj kanclerza osoby do całego narodu, zapytał się o pewniejszą poloru narodowego cechę, tojest o liczbę grammatyk polskiego języka. Zmieszał się nieco kanclerz niespodziéwaném zagadnieniem; atoli wywinął się z niego

dosyć obrotnie, choć krzywo, bo skazując na siedzących i uczenie rozprawujących: Kochanowskiego, Januszowskiego, Orzechowskiego, Gornickiego: „Oto są“ rzecze „żywe grammatyki polskie!“ Zamilkł poseł z uśmiéchem, a Zamojski po skończonym stole, zaklął wspomnionych literatów na miłość ojczystego honoru, aby jak najprędzéj grammatycznem dziełem starli plamę z narodowego imienia. Jakoż wzięli się wspólnemi siłami wszyscy pracować. Ale, czy dla trudności przedsięwzięcia, czy dla innych prac chwalebnych w prawdzie dla narodu, i pożytecznych dla języka, ale od jego teoryi dalekich na saméj ortografii zakończyli.

Nie był szczęśliwszy ciąg tak głównego w literaturze polskiéj dzieła, aż do czasów kommissyi edukacyjnéj. Dwóch cudzoziemców w Polsce zdawna osiadłych, ale niezdolnych do wyśledzenia, jak przystoi, wszystkich nie rodowitego języka tajemnic, ledwie tysiącznemu rodakowi przystępnych, *Mesgnien* Francuz i Stacyusz Niemiec, wydali krótkie grammatyczki polskie połacinie. Takimże językiem pisał trochę obszérniejszą o tém książkę Wojna, szlachcic litewski, a najpoźniéj i najwięcéj napisał Trąbczyński dla Francuzów. Ale ci wszyscy więcéj około mechanizmu, niż około teoryi języka naszego pracowali. A co niedarowana, jedni błędów zwyczajowych dla bojaźni nie znieśli, ale naumożyli, drudzy nie mający potrzebnego światła, mniemaném niepodobieństwem wywikłania się z językowych trudności następców swoich od dalszéj pracy odstręczyli. Kommissya dopiéro edukacyjna przy pomocy elementarnego towarzystwa, i przy obszerném świetle prezesa, Ignacego Potockiego, nie tylko starła odwieczną narodu plamę, ale piérwsza pokazała światu rozbiorową drogę do pisania prawdziwych grammatyk, łączących słowa z myślą.

Ten był pochop, ten bieg językowego w Polsce prawodactwa. Komuż teraz słusznie i prawdziwie przysądzić imię prawodawcy? Ja tak mniemam, owszem tak sądzę, że ani ten, który spisywał, ani dozorcze towarzystwo, ani najwyższa magistratura edukacyi narodowéj, lubo warci chlubnego imienia pomocników, imienia prawodawcy przywłaszczyć sobie nie mogą. Komu innemu ten się honor należy. Jest osoba moralna, wzrokowi tylko rozumu widoczna, wcale bezstronna, ani na łaskę, ani na guiéw nie zważająca, która, te prawa, w przyrodzoném łonie polskiém głęboko ukryte, odsłoniła, urządziła, podyktowała: a to zowie się — duchem językowym.

Tento duch przenikliwy widzi we mgnieniu oka wszystkie duszy i ciała przymioty: widzi najskrytszy węzeł między myślą a głosem, między ustną i pisaną mową; zna zupełny skład rozmaitych części głosowego narzędzia, czy widzialnego, czy czulnego tylko; widzi zrozumiałe i muzyczne tego narzędzia użycie, tojest, podług wyższych lub niższych, cienszych lub grubszych tonów; porównywa szczególne zwyczaje mówienia i pisania podług rozmaitości czasu, osób, miast i wiosek, powiatów, ziem, województw i prowincyj, ażeby osądził, kto z nich harmonijniéj wymawia; zna na palcach wszystkie formy odmian w imionach i słowach: zna ich szyk i rząd stosownie do wyobrażeń w myśli, i nie przepomina przestanków nawet po głosie.

Z tak rozlicznéj, głębokiéj a jasnéj znajomości wszystkich największych i najmniejszych części myśli i mowy trudnoż temu logicznemu duchowi wydobywać, składać i dyktować grammatyczne prawidła? nie godzienże przeto wiary i posłuszeństwa u wszystkich?

Statut już, czyli kodex albo porządny zbiór praw wszystkich językowych znajduje się w grammatyce, jeżeli ta poznała prawdziwie językowego ducha, i wypisała wiernie, co on dyktował. Nic tu osobisty domysł, nic stary przesąd, nic uleganie przez bojaźń czyjéjkolwiek powadze, nawet zwyczaju pospolitszego ważyć nie powinno: sam jeden duch językowy, wszystko widzący, wszystko na szali logicznéj ważący, stanowi i przepowiada piszącemu.

37. Euzebiusz Słowacki.

Urodził się 15. grudnia 1772. roku. Wieś Podhorce w Galicyi Wschodniéj, znakomita w piérwszéj zeszłego wieku połowie wydaniem na świat Jérzego Skopa, rymotwórcy łacińskiego, była miejscem urodzenia tego pracowitego professora. Syn nie bogatych ze stanu szlacheckiego rodziców, w siódmym roku postradawszy ojca, został z dwoma młodszymi braćmi i dwiema siostrami pod opieką matki i stryja.

Zakończywszy młodo nauki w Krzemieńcu, Słowacki, pozbawiony środków do dalszego utrzymania się przy szkołach, lub udania się do któréj akademii, wyjednał sobie przez przyjaciół w Warszawie patent na geometrę królewskiego, i obrał ten zawód życia, do którego się równie był w szkołach usposobił. Lecz ta praca, jakkolwiek mu znaczną część wiosny jego wieku zabrała, nie mogła przywiązać do siebie człowieka, który w owém miejscu mało mając pomocy do rozszérzania swoich względem niéj wyobrażeń, w ograniczeniu i jednostajności jéj

działań nie znajdował pokarmu dla duszy, obdarzonéj bystrém pojęciem, czułością i żywą imaginacyą. Tém więcéj zaś do odmiany tego sposobu życia tęsknić poczynał, że delikatna organizacya jego ciała, i słabość oczu ledwie wystarczały potrzebie przebywania ciągłego pod otwartém niebem, i wysilania wzroku nad rysunkiem.

Do téj odmiany nadarzył mu sposobność jeden ze znakomitych obywateli Wołynia, który wezwał go do domu swego, i dzieci mu swoich wychowanie powierzył. W témto miejscu dopiéro poznał Słowacki rzetelne powołanie swoje, i stan uczony uczynił stanem całego życia. Przypomniał i ułożył w porządek, co dawniéj umiał, i z punktu usposobienia, na którym stał, a od którego powtórnie, iż tak powiém, zawód swój rozpoczął, przejrzał całą przestrzeń drogi, do przemierzenia przed nim leżącéj. Rzucił się na nią z dziwną wytrwałością i natężeniem sił aż do zbytku, nawet z uszczerbkiem zdrowia, już tak z natury wątłego. Wydoskonalił sobie smak prawdziwy i pewny w dziełach nauk wyzwolonych, zgłębił jego prawidła, których potém z takim pożytkiem był tłumaczem.

Liczne przekłady, jako i oryginalne roboty, w téj epoce czasu dokonane uważał sam Słowacki za piérwsze doświadczenie sił swoich i środki do nabycia wprawy w pisaniu mową wiązaną. Henryada, mimo chęć i wiedzę Słowackiego drukiem ogłoszoną została w Warszawie 1803. Zdarzenie to dla niego niespodziéwane tém więcéj go zasmuciło, iż mając smak wyćwiczony, wiedział doskonale, jak w robotach tego rodzaju wielka jest różnica między piérwszym rzutem pióra a staranném dzieła wykończeniem. Natrafić jednak można w tym przekładzie na wiele wiérszy szczęśliwych, które okazują niepospolity jego talent do poezyi.

Wkrótce potém poznany od ś. p. Tadeusza Czackiego, i przez niego zalecony uniwersytetowi wileńskiemu, wezwanym został na nauczyciela wymowy do gymnazyum krzemienieckiego,—do téj samėj szkoły, w któréj się niegdyś uczył.

W czasie pobytu swego w Krzemieńcu wypracował kilka rozpraw w materyach naukowych, równie dobrze wybranych, jak jasno i porządnie wyłożonych. Opisał życie i prace uczone Józefa Czecha, w których dokładnym rozbiorze okazał, że nauki matematyczne nie były mu obcemi.

Nakoniec konkurs do katedry wymowy i poezyi w uniwersytecie wileńskim, roku 1809. ogłoszony, podał mu sposobność do rozwinienia swego talentu, i dopełnił jego wziętości. — Rozprawę o sztuce dobrego w polskim języku pisania, przez niego wypracowaną przyjął uniwersytet na początku roku 1811., i wezwał go na publicznego professora wymowy.

Pomnażając ustawicznie swoje zatrudnienia, w rok od zaczęcia professorskich w uniwersytecie obowiązków przyjął redakcyą gazety Kuryera litewskiego, i utrzymywał ją przez półtora roku aż do czasu ostatniéj choroby, która zgon jego poprzedziła. Czystość mowy, przyzwoitość, wybór i interes rzeczy ogłaszanych zalecają szczególnie tę jego pracę.

Lecz ważniejsze roboty Słowackiego zostały w rękopismach, które ogłoszone zostały roku 1824. — 1826. Można je we trzech zamknąć oddziałach. Piérwsze miejsce trzymają pisma o wymowie i poczyi, składające kurs nauki, którą wykładał w uniwersytecie. Drugi zbiór składają materyały przygotowane przez Słowackiego do krytycznéj historyi pisarzów polskich. Do trzeciego nakoniec rzędu należą własne jego twory tak w prozie, jak w rymie; kilka sztuk dramatycznych, już oryginalnych, już tłumaczonych; przekładanie Lukana niedokończone, i wiele innych szacownych pamiątek jego talentu i pracy.

Człowiek, który z takiém upodobaniem kształcił swego umysłu zdolności, posiadał w wysokim stopniu szlachetne serca przymioty. Mnogie przykłady jego usłużności i pomocy wdzięczna młodzież i przyjaciele z czułością powtarzają, i życie jego jest w ich ustach i sercach. Przenikniony prawdami religii i moralności, z spokojnością duszy i przygotowaniem zbliżył się do ostatecznego kresu. Umarł dnia 29. października 1814. roku, mając lat 42. niezpełna.

Z życiorysu, umieszczonego na czele tomu I. Dzieł Słowackiego.

Mowa krasomowska.

Mowa krasomowska jestto zbiór myśli, rozumowań i dowodów, mających za cel przekonanie o jakiéj prawdzie, ułożonych w porządku oznaczonym przez prawidła sztuki. Mowa krasomowska jestto obszérne pole, na którém wymowa popisuje się ze wszystkiemi bogactwami rozumu i imaginacyi. Ona w przybytkach Bóstwa ogłasza ludowi wysokie prawdy religii; ona chwali bohatérów i dobroczyńców ludzi; ona w świątyniach sprawiedliwości broni życia, sławy i majątku obywatelów, albo w towarzystwach uczonych ogarnia przedmioty stosowne do nauki i kunsztów; ona nakoniec w radzie stanu roztrząsa sprawy publiczne narodu. —

W każdym rodzaju wymowy rozsądek wymaga, abyśmy najprzód wynaleźli to, o czém mówić mamy: powtóre, ułożyli w pewny porządek myśli i rzeczy nasze; potrzecie, wyrazili je sposobem najprzyzwoitszym. Piérwsze działanie nazywają retorowie wynalezieniem *(inventio)*, drugie rozporządzeniem *(dispositio)*, trzecie wysłowieniem *(elocutio)*.

A. Wynalezienie *(Inventio)*.

Nie jest tu mowa o tém wynalezieniu, które tworzy myśli i wyobrażenia nowe, odkrywa piękności nadzwyczajne, podnosi się do

niedojrzanéj w naukach wysokości, i nowe stwarza układy. Takie wynalezienie jest tylko geniuszu udziałem, którego sztuka nauczyć nie może. Jest tu mowa o tém wynalezieniu w krasomowstwie, które z rzeczy saméj wynika, i które wprawa i nauka ułatwia. Przekonać jest każdego mowcy przedmiotem: aby tego dostąpił celu, powinien nauczać, podobać się, wzruszać. Nauczać jestto oświecać rozum i dać poznać prawdę; podobać się jestto bawić imaginacyą, przymuszając ją uwielbiać z zadziwieniem tęż prawdę: wzruszać jestto opanować duszę, dając jéj uczuć całą ważność i całą siłę téjże prawdy. W piérwszym razie mowca powinien używać przekonywających dowodów; w drugim malować obrazy przyjemne i prawdziwe z natury, tudzież znać obyczaje ludzi: w trzecim powinien zgłębić serce człowieka, i umieć w niém wzniecać, lub uciszać namiętności.

Retorowie pospolicie w trzech je zawiérają podziałach: piérwszy rodzaj wymowy chwalącéj *(demonstrativum)*; drugi wymowy radnéj *(concionale)*; trzeci wymowy sądowéj *(judiciale)*. W piérwszym razie chwali się lub nagania rzecz lub osoba: w drugim zachęca się do przedsięwzięcia jakiego zamiaru, i podają się rady: trzeci nakoniec jest obronie lub oskarzeniu poświęcony.

Miejsca ogólne krasomowskie *(Loci communes)*.

Dawni nauczyciele wymowy, którzy wszystko chcieli podciągnąć pod prawidła sztuki, poddali także pod nie wynalezienie krasomowskie. Układając w pewny porządek wszystkie okoliczności i względy tak wewnętrzne, jako i zewnętrzne jakiéjkolwiek sprawy, chcieli dowcipowi samemu podawać rękę przewodniczą, i okazać mu za jednym rzutem oka wszystkie dowody, których potrzebować może. Miejsca ogólne krasomowskie sąto, że tak powiém, zapasy i składy myśli, z których mowca stosownie do swojéj rzeczy czerpa. Pomoc ta czasem pożyteczną być może, ubezpieczając pamięć naszę od przemilczenia myśli ważnych i mocnych dowodów.

1.) Piérwszém w tym względzie jest określenie, czyli definicya: przez nie mowca znajduje w naturze rzeczy, o któréj mówi, dowody do przekonania o prawdzie tego, co twierdzi.

2.) Źródłosłów czyli etymologia dostarcza także czasem dowodu mowcy, tak n. p.: „Jeżeli filozofia jest miłością mądrości, bądź więc mądrym i umiarkowanym, ty, który się chełpisz, iż jesteś filozofem.“

3.) Wyliczenie rozmaitych okoliczności i części rzeczy (*enumeratio argumentorum*): przez to mowca zgromadza stosowne do swego przedmiotu myśli, i raz po razie, że tak powiém, zadaje. *Bossuet* w mowie na pogrzebie królowéj angielskiéj: „Obaczycie w tém jedném życiu wszystkie ostateczności rzeczy ludzkich: najwyższą szczęśliwość i ostatnią nędzę; wszystko to, co może nadać najchlubniejszego wysokie urodzenie i wielkość, i wszystko to, czém zawzięta fortuna uciskać zwykła; dobrą sprawę, któréj zpoczątku towarzyszyła pomyślność, a potém nieszczęścia i klęski; odmiany nadzwyczajne, bunty i rokosze, swawolą bez wędzidła; prawa stargane, powagę królów zhańbioną przez zamachy do téj pory jeszcze nie znane; ucisk i przywłaszczenie pod imieniem wolności; królowę zbiegłą, która we trzech królestwach nie znajduje przytułku, i dla któréj własna ojczyzna staje się smutném wygnaniem; dziewięciokrotną żeglugę po morzu pomimo nawalnice i niepogody; ocean zadziwiony, iż go tak często przebywano w okolicznościach tak różnych, dla przyczyn tak rozmaitych; tron niegodnie wywrócony i wzniesiony cudownie.“

4.) Rzecz przeciwna (*contraria*) służy często do wystawiania jaśniejszego myśli. Mowca wykłada naprzód, czém rzecz jego nie jest; umysł słuchacza lub czytelnika zaczyna działać, i przychodzi sam do znalezienia tego, czém jest w istocie. *Flechier* w mowie na pogrzebie Turena: „Odwaga jego, która słabo w wojnach domowych działała, zdawała się podwajać w wojnach obcych. Nie rozumiéjcie przez ten wyraz śmiałości próżnéj, nieroztropnéj i zapalczywéj, która szuka niebezpieczeństwa dla niebezpieczeństwa samego, — która się naraża bez potrzeby, ubiegając się jedynie za sławą i oklaskami ludzkiemi. Mówię o téj odwadze roztropnéj i umiarkowanéj, która się ożywia na widok nieprzyjaciół, która w niebezpieczeństwie przenika wszystko, i żadnéj nie opuszcza korzyści, lecz która się mierzy ze swojemi siłami, która przedsiębierze rzeczy trudne, ale nigdy niepodobnych, która nic nie powierza losowi z tego, co roztropnością upewnić sobie może, gotowa nakoniec umrzéć na łonie zwycięztwa, albo przeżyć klęski i nieszczęścia dopełniając swych obowiązków.“

5.) Okoliczności związek mające z rzeczą, to, co ją poprzedziło, i co nastąpiło, jéj przyczyny i skutki, wszystko to są źródła z których ważne krasomowca czerpać może dowody. Oprócz tych źródeł wewnętrznych są jeszcze zewnętrzne, jakoto: ustawy krajowe, pra-

wa, należytości, powszechne mniemanie, przysięgi, świadectwa, które biorąc je oddzielnie, mogą należyć albo nie należyć do sprawy.

Oto są celniejsze źródła i kształty dowodów, których stosownie do okoliczności i natury rzeczy używać należy!

W dziełach Cycerona i Kwintyliana o krasomowstwie znajdziemy obszérne w téj mierze opisy. Nie należy pogardzać tą pomocą, któréj sztuka geniuszowi udziela. Jestto sprawa, którą rozum zdaje przed sobą samym ze sposobów, jakich użył do przekonania i wzruszenia. Jestto wierny przewodnik wśród ścieżek częstokroć mylnych i niepewnych. Mamy naprzykład wysławiać człowieka nadzwyczajnego! Nie pytamyż siebie samych: „Co jest być człowiekiem nadzwyczajnym?“ — „Jestto mieć cnoty lub wady, które przewyższają pospolitą miarę. Ten o którym będę mówił, miałże takie? Przebieżmy dzieje jego życia. Tu on okazał umiarkowanie niepospolite; dusza zwyczajna byłaby poszła przeciwną drogą: tam zadziwiającą biegłość i roztropność: tu sposób, którego użył, sprowadził skutki, których nawet nie śmiano się spodziéwać — i tym podobne.“ Im więcéj zrobimy sobie takich zapytań i uwag, tém jaśniéj wyłożymy rzecz naszę, tém pewniéj trafimy do przekonania słuchaczów lub czytelników.

B. Rozporządzenie krasomowskie *(Dispositio)*.

Rozporządzenie w krasomowskiéj sztuce zależy na ułożeniu części dostarczonych zapomocą wynalezienia, podług natury przedmiotu, o którym mówimy. Bystrość i płodność dowcipu okazują się w wynalezieniu, roztropność i rozsądek w rozporządzeniu przewodniczyć powinny.

Każde dzieło, gdy jest całe, musi mieć: początek, środek i koniec. Z przyrodzenia więc wynika, aby w każdéj mowie krasomowskiéj był: wstęp, opowiadanie i dowodzenie, a nakoniec domówienie czyli zawarcie mowy.

Uczyńmy uwagi krótkie nad temi częściami mowy, i zobaczmy, co w tym względzie sztuka przepisuje krasomowcy.

I. Wstęp *(Exordium)*.

Wstęp jest ważną bardzo mowy częścią. Idzie tu o przygotowanie umysłów do przyjaźnego słuchania tego, co się do nich mówić będzie. Ztąd nauczyciele wymowy przepisują, aby wstęp zawiérał

w sobie coś dowcipnego i uderzającego, aby był skromny, krótki, i wyprowadzony z saméj istoty rzeczy.

Czytając wzory greckich i rzymskich mowców, widzimy, iż oni brali pospolicie wstępy mów swoich albo od siebie, albo od tych, do których mówili; od oskarzyciela, albo oskarzonego; od sędziów, od okoliczności miejsca i czasu; albo nakoniec, co najlepiéj jest, z gruntu saméj sprawy. W wymowie teraźniejszéj nie zawsze sztuka tak się jawnie okazywać powinna. Często, zwłaszcza gdy nie mamy czasu myśléć o wstępie, zaczyna się mowa od rzeczy saméj.

„Rzeczą najważniejszą dla mowcy“ mówi Cycero „jest zniewolić sobie słuchacza:“ a chociaż wszystkie części mowy do tego celu dążyć powinny, jestto jednak szczególniejszą zaletą wstępu.

Obszérne są prawidła względem wstępów, które jednak do następnych sciągnąć można.

Wstęp powinien być stosowny do rzeczy, stosowny do obszérności mowy, skromny i ważny.

Będzie niestosowny, gdy nie wynikając z natury rzeczy, zdaje się być przyszytym, i niezręcznie spojonym.

Wstęp zbyt długi znuży uwagę słuchacza; a gdy stosownéj rozległości mowie nadać nie będzie można, będzie podobnym do głowy olbrzyma na ramionach karła.

Skromność ma być szczególniejszym przedmiotem wstępu. Dawni mowcy okazywali pospolicie bojaźliwość i nieufność w talentach swoich. Przymiot ten podwyższa szacunek, i nie obraża drugich miłości własnéj.

Wstęp nakoniec powinien być ważny, tojest, zawiérać coś szczególnego i porywającego uwagę.

Pospolite kształty i rzeczy zwyczajne, które na początku każdéj mowy umieszczać można, są wadą wstępu. Lecz równie nadętość i zbytnie ozdoby zaletą jego nie będą. Najpiękniejszy wstęp byłby piękną wadą, gdyby przez swą okazałość i blask ćmił resztę mowy, albo gdyby mowca wyczerpał w nim wszystkie swoje siły. Możnaby go porównać do wspaniale ozdobionego przedsienia, któreby prowadziło do ubogiéj chaty.

Rozróżniają pospolicie dwa rodzaje wstępów. Piérwszy, kiedy mowca zwolna przygotowywa umysły słuchaczów, i sprowadza ich na

drogę, którą chce aby się udali. Kazania, mowy sądowe, i wszystkie inne, stosowne do słuchaczów żadną gwałtowną namiętnością nie wzruszonych, tak się zaczynać powinny. Mowca, któryby w podobnym przypadku zaczął piorunować od piérwszego słowa, byłby podobny, jak mówi Cycero, do człowieka pijanego, któryby rozprawiał wpośród trzeźwego zgromadzenia, *ebrius inter sobrios*. Lecz gdy żal mocny, albo wielka radość, albo gniéw gwałtowny mieszczą się w sercach słuchaczów, może się naówczas śmiało odważyć mowca wyrazić we wstępie samym całą popędliwość i gwałtowność swoich namiętności. „Dopókiż, Katylino! nadużywać będziesz ciérpliwości naszéj? Dopóki będziemy igrzyskiem twojego szaleństwa? Gdzież kres swój położy twoja niepohamowana zuchwałość?“ Tak Cycero zaczyna piérwszą przeciwko Katylinie mowę. Senat był zgromadzony: mowca miał głos podnieść. Katylina wchodzi; senatorowie są przerażeni: Cycero nie mniéj jak oni zmięszany, ale zagniéwanie przewyższyło wszelkie inne uczucia. Spada na nieprzyjaciela swojego jak piorun. Czujemy tu, że wszelki inny wstęp byłby w takim razie niewczesny.

Z natury rzeczy wynika, że przy końcu wstępu znajdować się powino założenie (*propositio*). To ma być jasne, krótkie, w niewielu słowach, aby mocno utkwiło w pamięci słuchaczów.

2. Opowiadanie.

W rodzaju wymowy sądowéj opowiadanie jest istotną mowy częścią, i po jéj podzieleniu zwykle następować powinno. W niém mowca rzucić powinien piérwsze zasady dowodów, których ma użyć dlatego, aby się prawdziwszemi i ważniejszemi zdawały, gdy z opowiadania wzięte i przystosowane będą.

Porządek i szczegóły opowiadania dążyć mają równie do tegoż celu. Stawiamy w miejscach najwidoczniejszych okoliczności, które nam najbardziéj sprzyjają, i jak największe staramy się na nie rzucić światło: przeciwnie zostawiamy w cieniu te, które są nam przeciwne; i lubo je przemilczéć nie wolno, dotykamy ich słabo, i pomijamy jakby w przechodzie. Znajdziemy wiele przykładów doskonałego opowiadania w Demostenesie i Cyceronie, a szczególniéj w mowie tego ostatniego za Milonem.

Nie tylko w rodzaju sądowym, ale i w innych opowiadanie miejsce miéwać zwykło. Częstokroć potrzeba jego kilkakrotnie ponawia się w przeciągu jednéj mowy. Już to wystawia się historyczny obraz całego wieku albo narodu, jużto początek i postęp jakiéj nauki, jakiego ustanowienia, cnoty albo wady. Zawsze w takim rodzaju mówienia zachować należy porządek i wybór w zbiéraniu ważniejszych okoliczności, żywość i moc w malowaniu obrazów.

3. Dowodzenie i zbijanie.

W dowodzeniu mowca dwa sobie zakłada cele: piérwszy, wesprzéć założenie swoje wszystkiemi dowodami, których mu sprawa dostarcza; drugi, zbić dowody swojego przeciwnika: trzeba albowiem umiéć i budować i walić.

Czasem zaczynamy od zbijania, a to wtenczas, gdy widzimy, że mowa przeciwnika uczyniła mocne wrażenie, i że dowody, gdyby wprzód uprzedzenie rozproszone nie było, źle przyjęte byćby mogły.

Co się tyczé porządku dowodów, porządek uszykowanego wojska, zdaniem retorów wzorem dla nas być powinien. Najmocniejsze staną w piérwszym szeregu, mniéj ważne zajmą środek, a dla zadania ostatniego razu wybor umieści się na końcu. Lecz taki porządek, skuteczny w niektórych względach, często w wykonaniu podług okoliczności odmieniać należy. Radzić się w tém najwięcéj należy roztropności i zdrowego rozsądku. Wszystkie w tym względzie przepisy w tym jednym zamknąć można, aby dowody były jasne, i z całą ścisłością stylu wyrażone.

Możnaby porównać mowcę w dowodzeniu do współzawodnika, biegącego do mety. Widzimy tego ostatniego, jak się nachyla ku przedmiotowi, do którego dąży: uniesiony własnym swoim ciężarem, który się zgadza z natężeniem żył i nóg ruchem, wszystko się przykłada do powiększenia prędkości jego. Demostenes i Cycero, jak w innych częściach, tak i w téj są najdoskonalszemi wzorami. Czytając ich mowy, rzucamy się z nimi w tenże sam zawód, i z nimi bieżymy. Myśli nasze są uniesione gwałtownością nieujętą ich rozumowań, i gdybyśmy nawet zapomnieli o dowodach, których użyli, sądzimy o ich mocy z przekonania, które w nas pozostało.

Zbijanie (*refutatio*) trudniejsze jest, i potrzebuje więcéj sztuki; albowiem trudniéj jest uleczyć ranę, a niżeli ją zadać. Często pogarda sama zwycięża przeciwnika, często zwrócenie na swoję stronę jego dowodów: żart dowcipny i stosowny osłabia je, lub niszczy. Mamy tego wiele w historyi starożytnéj wymowy przykładów. Lecz gdy niepodobna odwrócić wymierzonego razu, gdy wyznać potrzeba winę, udajemy się do łez i błagania, i tym ostatnim środkiem staramy się oddalić burzę.

4. Domówienie.

We wszystkich rodzajach wymowy, gdzie wiele zależy na wzruszeniu serca, domówienie (*peroratio*) jest częścią istotną mowy. Tu albowiem daje się ostatnie uderzenie, które skłania wolą słuchaczów. Gdzie wzruszenie namiętności mniéj jest potrzebne, a idzie tylko o przekonanie rozumu, tam wystawienie w ogólnym widoku rzeczy i powtórzenie krótkie dowodów trzymać powinno miejsce domówienia. Prawidło, które w tym względzie przepisuje Cycero, jest, aby przypominając ważniejsze tylko punkta sprawy, nadać im najwięcéj, ile można, mocy, a najmniéj rozciągłości, (*ut memoria, non oratio renovata videatur*).

W domówieniach patetycznych czyli wzruszających wystawia się to wszystko, co może wzniecić nienawiść lub politowanie. Gdy idzie o to ostatnie, porównywa się stan teraźniejszy nieszczęścia ze stanem przeszłym pomyślności. Wystawia się, jak grożąca kara albo obelga byłyby niegodne wieku i stanu osoby, którą bronimy. Stawiamy słuchaczów lub sędziów w podobnych okolicznościach, odwołujemy się do najmilszych im związków i uczuć, zaklinamy na ich rodziców, dzieci, krewnych, przyjaciół; zwracamy mowę do Boga, wzywamy jego sprawiedliwości i miłosierdzia; świadczymy się częstokroć rzeczami nieżyjącemi, i innych tym podobnych używamy środków. Domówienia Cycerona za Plancyuszem, za Milonem, i inne dostarczą nam w tym względzie najlepszych wzorów.

C) Wysłowienie (*Elocutio*).

Gdy mowca wynalazł rzeczy, które mają składać mowę jego, i gdy je w przyzwoitym umieścił porządku; potrzeba, aby się starał je

ozdobić, i nadać, że tak rzekę, duszę przez moc i wdzięki wyrażenia, i to jest zatrudnieniem wysłowienia czyli elokucyi. Jéjto wymowa najszczególniéj winna tę moc nieodpartą, te powaby zwycięzkie, które w umysły światło i przekonanie zanoszą, i czynią ją serc panią. Malarz, gdy ma wykréślać obraz jaki, wynajduje naprzód przedmiot malowidła, oznacza potém każdéj w szczególności części rozmiary i miejsca, i kończy nareszcie dzieło, przyzwoitemi wszystko objaśniając farbami. Czém są dla malarza farby, tém jest wysłowienie czyli elokucya dla mowcy. Zawiéra ona w sobie postaci mowy, styl, jego rozmaite rodzaje.

Dodamy tu tylko, że aby wysłowienie nasze było doskonałe, potrzeba dobrze myśléć, czuć mocno, i pisać tak, jak się myśli i czuje; że nie należy zbytkować w postaciach mowy, ani ich umieszczać bez porządku: powinny one wynikać z istoty rzeczy, miéć źródło swoje w sercu mowcy, w namiętnościach, które go wzruszają, w uczuciach, któremi jest przeniknięty. Należy nadewszystko wyłączyć nazawsze z mowy krasomowskiéj te myśli próżne, które będąc pełne znikomego blasku, ani wzruszają, ani nauczają słuchacza. Słowem, mowca powinien miéć zawsze przytomną w pamięci tę uwagę Cycerona: „Mowa jest zbiorem rzeczy i wyrazów: wyrazy nie mają zasady, jeżeli nie są wsparte na rzeczach; a rzeczy nie mają wdzięku, jeśli nie są ozdobione przez wyrazy.“

38. Franciszek Zabłocki.

Urodził się dnia 2. stycznia 1754. roku, umarł w Końskowoli dnia 10. września 1821. Najwięcéj zostawił dzieł dramatycznych: pięć komedyj wiérszem, cztéry prozą, wszystkie zaś oryginalne; przeszło dwadzieścia dzieł dramatycznych tłumaczył już prozą, już wiérszem, między któremi celuje wyborny przekład z Moliera Amfitryona.

K. Wł. Wojcicki.

Zabłocki do dokładnéj znajomości sztuki dramatycznéj i serca ludzkiego łączył rzadką łatwość w władaniu językiem podług woli, nie każąc go nigdy sposobami mówienia od obcych przejmowanemi. Wiérsz zaś jego, co do zewnętrznego składu, mimo zadziwiającéj płynności, tak jest kunsztowny i tak daleki od owéj łatwości naszych, zwłaszcza dawnych poetów, że go w tym względzie dotąd za wzór wystawić można.

Bentkowski.

1. Zabobonnik, komedya we trzech aktach, Warszawa r. 1781.

Osoby.

Anzelm.
Filutowicz.
Regina, rządząca domem Anzelma.

Akt I.

Scena V.

Anzelm (blizko kulisy, obracając się tam, zkąd idzie).

Żeby cię kaci wzięli, hultaju! sobako!
Czy się godzi tak panu służyć ladajako?
Za mój chleb, strawne, myto, kolendę, suchedni
Jeszcze się trzeba ugryźć! Ach! jakże my biédni
W téj Warszawie, jaka tu do rozpusty szkoła!
Diabła chwycisz za rogi, gdyś mniemał anioła.
Fort! bo cię staropolskim każę obyczajem
Powiesić w dymie, i ciąć we dwoje nahajem.

Filutowicz (do Reginy).

Cóż mu się znowu stało?

Anzelm (nie widząc ich).

Czy ręce gliniane!
Co u licha? nie umieć z pyłu omieść ścianę,
Aby wnet nie zawadził o co mimojazdem!
Przedongi obalił mi szyszak z myszém gniazdem,
Ongi sahajdak, wczoraj zbrojną rękawicę,
Dziś wystrzelił jańczarkę, i złamał gromnicę.

Regina (do Filutowicza).

Cóż to?

Filutowicz.

Słuchamy daléj.

Anzelm (do siebie).

Ale koniec nie tu;
Trzeba mu było jeszcze mojego portretu!

Właśnie go swym domysłem przenosząc z łamusa,
Rozdarł przy samym uchu, i zrobił Malchusa!
A! to nie naturalnie! ciąg przypadków tyla
Nigdy jedna nie może razem darzyć chwila.
Jestto straszny prognostyk na ten dom, a kto wié,
Jeśli jeszcze na mojéj nie spełni się głowie?

Filutowicz (do Reginy cicho).

Otoż masz zabobony. Korzystajmyż teraz.

(Tu zaczynają udawać, jakoby nie widzieli Anzelma).

Filutowicz (głośno do Reginy).

Wielkie z tego nieszczęścia wynikały nieraz.

Anzelm (postrzegając ich).

Czy oni mnie słyszeli?

Filutowicz (do Reginy).

Dałbym moją szyję,
Że tak jest, że w tém wielkie nieszczęście się kryje:
Ale, kogo ty chłośniesz, straszny boży biczu,
Ach! nikt nie wié!

Anzelm.

Cóż ci to, mój Filutowiczu?

Filutowicz (zawsze udając, że nie widzi Anzelma).

Ilekroć przeznaczenie cios gotuje jaki,
Piérwéj przez te okropne strach posyła znaki:
Takto właśnie, jak niebo, nim rzuci pioruny,
Piérwéj łyska, grzmi, sępi, i swe nieci łuny.

Regina.

Zginęliśmy!

Anzelm.

Drżę cały! całym jest w rozpaczy!
Mówcie.

Regina (niby sobie dodając odwagi).

Ej! może też to wszystko nic nie znaczy.

Filutowicz.

Oj! znaczy, znaczy. Czytaj tylko kalendarze,
Przecież to wielcy ludzie są onych pisarze:
Doczytasz się tam, że kto tylko nogi zadrze,
Zawsze w pełni, na nowiu, albo też na kwadrze.

Anzelm.

Przebóg!

Filutowicz.

Już tu nie będzie pewnie bez kozéry.
Szkoda go; bo pan dobry, miłosierny, szczéry,
Bogobojny. Lecz mimo te serca zalety,
Podobno, to na niego psy wyją!

Regina.

Niestety!

Filutowicz.

I te wrzaski puszczyków, i te straszne głosy!

Regina.

Ach! daj pokój, od strachu powstają mi włosy.

Anzelm.

Drżę wszystek.

Regina.

Ah! nieszczęście!

Anzelm.

Niestety! dla Boga!
Przemówcież aby słówko! zkąd strach, zkąd ta trwoga?

Filutowicz (niby go dopiéro postrzegając).

Czy i pan tu?

Regina.

I pan tu?

Anzelm.

Powiédzcież mi, co tu
Tak wielkiego jest dla was przyczyną kłopotu?

Filutowicz.

Nic.

Anzelm.

Jakto nic? Regino, powiédz mi.

Regina.

Ah panie!

Anzelm.

Mówcie, proszę, co wasze znaczy pomieszanie?

Filutowicz.

Bogdajbym nie wymówił, albo już przynamnie
Niech los swoje wyroki raczy ziścić na mnie!
Lecz darmo! ja chrust drobny! a tu znać dla nieba
Tak wielkich, jak pan, dębów i modrzewi trzeba.

Anzelm.

Co mi ty tam z dębami i swoim modrzewiem,
Kiedy ja, co się dzieje między wami, nie wiém?
Regino!

Regina.

Niech on powié, ja nie mam sił dosyć.

Anzelm.

Proszę, Filutowiczu.

Filutowicz.

Nie chciéj waćpan prosić!
Gdy powiém, zadrżysz cały, albo jak duch mocny,
Osądzisz to za głupstwo, marę i sen nocny.

Anzelm.

Cokolwiek bądź, powiédzcie.

Filutowicz.

Kiedy tak, zaczynam;
Ale też trzeba szczérze odpowiadać i nam.
Nie doszłaż wczoraj pana jakowa nowina?

Anzelm.

I straszna.

Filutowicz.

Względem czego?

Anzelm.

Względem mego syna.
Ten hultaj, ten niecnota wart stryczka, i koła:
Ożenił się.

Regina.

Z bogatą?

Anzelm.

Owszem, pizus zgoła

Regina.

Bez wiedzy pańskiéj?

Anzelm.

Tak jest.

Filutowicz (niby cicho).

Otóż jest sęk godła.
Widzisz, Regino! bojaźń mnie moja nie zwiodła.

Anzelm.

Ale, ale! póki mi z głowy nie wyleci:
Jakiż to dziś prognostyk ustraszył was, dzieci?

Filutowicz.

Zapewne że okropny. Jak się dzisiaj spało
Panu?

Anzelm.

Spałem dość dobrze.

Filutowicz.

Chyba martwe ciało,
Albo duszę mieć trzeba bez czucia i mocy,
Aby nie słyszeć, co to działo się téj nocy.
Przed dwunastą, nim jeszcze drugie piały kury,
W teto mocom szatańskim oddane godziny.
Gdy baby na ożogach lecą przez kominy
Na rozstajne, na bagna i na łyse góry,
(Słuchaj waćpan) okropne stało się milczenie;
Potém straszny szum powstał, potém uciszenie.
Ja nie spałem, strach mię zdjął, zacząłem drżeć cały,
A wtém przed drzwiami domu trzy psy zaskomlały:
Po tém wyciu nastały okropniejsze ryki,
(Już sam nie wiém, czy diabły ryczały, czy byki);
Potém puszczyk, potém znów rzekłbyś, że grobowe
Zmarłych wrzaski składały nocne treny owe;
Potém wiatr w smutne echa strojąc harmonie,
Czasem głosy niedźwiedze, czasem wydał żmije.

Anzelm.

Ale czego tak strasznie przewracasz oczami?

Filutowicz.

Tak zawsze patrzy, kto się znajdował z diabłami.

Regina.

Może téż to nie diabły.

Filutowicz.

Mniejsza o nazwisko,
Biés czy diabeł, wszystko to straszne widowisko.

Anzelm.

Mówię wam, że to bzdury.

Filutowicz.

Lecz co na to powiedzieć, co pomyśléć przecie,
Że puszczyk dwa stłukł okna w pańskim gabinecie?

Anzelm.

Ale ja mówię, że to wszystko bagatela.

Regina.

Pan sam się boi, a nas wrzekomo ośmiela!

Anzelm.

Wszystkie wrogi przyszłości, wszystkie przepowiednie
Są szczére bałamuctwa, są wierutne brednie.
Znajdą się prawda wielkie przykłady w téj mierze,
Wspomniane od Kadłubka, wytknione w Kromerze;
Ale jak ten, tak i ów, bajarz równie stary,
Dobrze pisał na swój wiek, w naszym nie ma wiary:
Diabli teraz nie broją. Komużby, jeżeli
Nie mnie bać się potrzeba? — Gdybyście wiedzieli
Jaki traf dzisiaj miałem, lecz cóż ztąd za wykład?
Przypadek jest przypadkiem.

Filutowicz.

A nam téż naprzykład
Można wiedzieć?

Anzelm.

Czemuż nie? Wszak się wam nadarza
Nieraz widzieć niezręczność mojego szafarza,
Bartłomieja. Cóż z takim poradzisz flejtuchem?
Dziś mój portret przenosząc, rozdarł go nad uchem.

Filutowicz.

Co zaś! los się oznacza nawet przez portrety!
Ach! giniemy, giniemy! giniemy, niestety! (chce odchodzić).

Anzelm.

Gdzież ty idziesz?

Filutowicz.

Ah, panie! nadtoś mi jest luby,
Żebym miał czekać twoich nieszczęść, twojéj zguby!
Pójdę, gdzie mię poniosą oczy.

Anzelm.

Czyś ty głupi?
Poczekaj!

Filutowicz.

Zdaje mi się, że głos słyszę trupi,
Że już śmierć płytką kosę —

Regina (przerywając bardzo prędko).

Ah! ja nieszczęśliwa!

Filutowicz.

Szlufuje, że już parkom nie staje przędziwa.

Anzelm.

Cóż to wszystko ma znaczyć?

Filutowicz.

Im większa odwaga
Jest w panu, tém się bardziéj nasza bojaźń wzmaga.
Rozdarty portret, wycie psów, okna stłuczenie,
I bez wiedzy ojcowskiéj syna ożenienie,
Czyliż może być większa w świecie katastrofa
Na postrach upartego w zdaniu filozofa?

Anzelm.

Wdzięczen wam mocno jestem, i gorliwość chwalę,
Ale ta bojaźń próżna, nadto wczesne żale.

Akt II.

Scena II.

Anzelm (sam).

Razem tylu przypadków w jednym czasie liga!
Strach mi wszędzie przodkuje, okropność mnie ściga.
Gdzie stąpię, smutny szelest, lub echo ponure
W straszniejszym jeszcze stawi obrazie naturę!

Gdy gadam, echo mi się z kątów przekomarza!
Jak na to Duńczewskiego nie mam Kalendarza!
Jeśli w tym roku Wenus władnie nad żywiołem,
Pewniejsze me nieszczęścia! już po mnie! zginąłem!
Jakaż to męka, jakże dolega to srodze,
Kiedy się w sprawiedliwéj znajdzie człowiek trwodze,
A często ladajakim wiedzion punkthonorem
Kryje bojaźń rzetelną odwagi pozorem!
Przebóg! co teraz za świat z swemi maxymami!
Ludzi wierzących bacznie przezwał snowidzami.
O błędzie! o śmiałości! o przeklęte czasy!
Nowe wpośrzód nas, widzę, jawią się gigasy,
Na których, że grom dotąd jeszcze nie wypalił.
Oszczędza liczby, boby świat cały obalił.
Czyż godzi się inaczéj przekonać? Czy można
Mówić, że prognostyków bojaźń w ludziach próżna?
Na cóżby widywano komety? na cóżby
Zdały się przepowiednie, sny, przeczucia, wróżby,
Które mamy z podania naszych poprzedników,
Zaręczone powagą kabał i senników?

---

2. *Żółta szlafmyca albo Kolenda na Nowy Rok, Opera. Wilno r. 1820.*

Osoby.

Czesław.
Jan, sługa Czesława.
Merkury.

Akt I.

Scena VI.

Czesław (sam siada do pisania listów).

Gdy zmłodu bawiłem się rzemiosłem autora,
Pomnę, że noc najlepsza do konceptów pióra;

Wtenczasto lubi władnąć zmysłami obłuda,
Tworzy myśli szczególne, wyobrażeń cuda:
Czego niéma, nie było i nie ma nadzieję,
Żeby być mogło, gdy się łeb pracą zagrzeje,
Musi wreszcie urodzić. W tym przypadku właśnie
Jestem teraz: omal mi łeb z myśli nie trzaśnie!
Potrzeba wygotować na jutro bilety
Do tych, którzy moimi zwą się przyjacioły,
Nie żebym miał im sprzyjać, ale z etykiety.
Jedne zemną częstokroć obsiadali stoły,
Nieraz pobiliśmy się, powadzili z sobą;
Nareszcie zgoda, — co jest najpierwszą serc probą.
Piszmy! Mój Boże! ile, nim jeszcze zaświta,
Dóm mój nie będzie jutro miéć ludzi gatunków!
Nie jednego filuta, zdrajcę, pasorzyta,
Przyjaciół nie osoby, lecz stołów i trunków.
Wszędzie podstęp, nieszczerość, ostrożność i zdrada;
Każdy czém inszém, niż jest, okaże się wcale.
Nie dziw! Ludzie to samo są, co maszkarada, —
Bawimy się na świecie, jak na karnawale;
Nowy Rok go otwiéra, — gdyby kończył stary!
Ale niech mnie to smutne nie utrapia czucie,
Bawmy się z zapomnieniem tak, jak na reducie;
Demaszkować największa zniewaga maszkary.
Ale co słyszę? Szelest jakiś — przebóg! trwoga! —
Strach mnie przejął, jeżeli tylko nie nadzieja
Kolendy sprowadza tu jakiego złodzieja?

Scena VII.

Czesław, Merkury.

Merkury.

Trutniu! gdy nie złodziejów, oszczędzaj ich boga.
Wiész, kto jestem?

Czesław.

Nie chciałbym.

Merkury.

Wznieś oczy do góry.

Czesław.

Widzę, panie, złodziejów bóg jesteś, Merkury.

Merkury.

Przestań lękać się! Słuchaj! zwiastuję ci dziwy.

Czesław.

Słucham! obcować z bóstwy! nadtom człek szczęśliwy.
Ale jak tu wniść mogłeś, gdy izba zamknięta?

Merkury.

Coś ci się być godowe zdają komplementa!
Mizantropeś, Czesławie. Dopiero tu na nie
Sam do siebie gorliwe mówiłeś kazanie:
Gryzły cię głupstwa cudze, śmiał się Jowisz z twego.

Czesław (na stronie).

Ciekawy jestem, co mu z Jowiszem do tego.

Merkury.

„Zdziebło w oku bliźniego, w swym nie widzi belki,
Przecież ten“ mówił Jowisz „Czesław truteń wielki!
Merkury! Leć co prędzéj do tego głupiego:
Ulecz go na tę śmieszną chorobę śledziony,
Zanieś mu dar odemnie.“

Czesław.

Sługa uniżony!
Wdzięczen jestem za pamięć o mojéj kolendzie!
Tymczasem pan Merkury niech sobie usiędzie:
Nim dwunasta uderzy zabawimy siebie.
Chciałbym też dowiedzieć się, co tam słychać w niebie,
Bo u nas nie najlepiéj, — zwłaszcza o obłudzie;
Czyli u was tak chytrzy, jak są u nas, ludzie?

Czyli z sobą obcują, sprzyjaźniają, zwodzą,
Piją, jedzą, winszują, kłócą się i godzą?
Najbardziéj, czy tam zawsze wesoło, nie nudno?
Bo co u nas, to o ten towar bardzo trudno.

Merkury (na stronie).

A cóż to za gaduła! dokończyć mi nie da.

Czesław.

Słowem, ten świat nasz istna maskowana biéda.
Ale — mówiąc o darze, którym mnie obsyła
Jowisz, chcę go co prędzéj obaczyć: musiło
Być coś osobliwszego, — sadzono i lito.
U bogów nic średniego, — i drogo, i siła.

Merkury.

Dajże mi skończyć.

Czesław.

Wdzięczność moja wada,
Trudno ustom zakazać, kiedy dusza rada.

Merkury (wyjmując fmycę).

Ale ciszéj! mówię ci. Otoż ta szlafmyca —

Czesław (śmiejąc się).

Cha, cha, cha, nad zasługi miłościwsze bogi,
Ten dar nie tak wspomaga, jak bardziéj zaszczyca:
Pożal się panie Boże tak dalekiéj drogi!
Żałuję utrudzenia. Czy było potrzeba
Ze szlafmycą na ziemię spuszczać się aż z nieba!

Merkury.

Człeku! bluźnisz.

Czesław.

Panie broń! Znam winny szacunek
Potężnych bogów, wielce poważam ich dary;
I ten zapewne będzie szlafmycy gatunek, —
Jeżeli nie na więcéj, dobry na katary:

Robota w niéj, jak widzę, szczególna, bo dziana;
Musiała ją swojemi rączkami dziwnemi
Robić Juno, Wenera, Pallas lub Dyana.
Ztémwszystkiém, rzecz ta u nas dość tania na ziemi.

Merkury.

Ciemny jesteś! Nie wiesz nic! Ta droższa nad złoto
Szlafmyca nie pozorem, ale swoją cnotą.
Gdy ją włożysz na głowę, wszyscy ci domowi —
Żona, krewni i słudzy, — każdy prawdę powié,
Choćby najsekretniejszą, — ani się spostrzeże.

Czesław.

Mójże ty dobrodzieju! A toć to dar taki
Droższy nad dyamenty, rubiny, kanaki;
Niechże za utrudzenie i chęć tak życzliwą
Wolno mi odwdzięczyć mu. (Chce mu dać piéniędzy).

Merkury (z podziwieniem).

Zapłata dla boga!

Czesław.

Nie zapłata, lecz grzeczność. Nic, tylko na piwo.

(Merkury idzie ku gabinetowi sypialnemu).

Dokądże pan? Jeżeli nazad — tędy droga.

Scena VIII.

Czesław (sam).

A to wcielony diabół ten bożek Merkury!
Z oczu mu złodziéj patrzy, łotr z całéj figury!
Gałgan mi dał w podarku, a może chciał za to
Okraść mnie, doświadczając szczęścia w Nowe Lato.
Rzadki człowiek bezpieczny, który ma piéniądze.
Od wszystkiego opatrzmy kłódki i wrzeciądze,
Żeby, gdy czeladź uśnie, biés nie przyniósł draba:
Często złodziéj znajdzie się, gdy zapora słaba.

Jednak mnie ta misiurka nie pomału dziwi,
Gust chiński, kolor słońca i wraz bezpieczeństwa!
Da się to wreszcie widzieć, — nie najdalszy ranek:
Zobaczę, co będzie mógł ten dziwny gałganek;
Jeśli go tak cudowna, dzielna moc zaléca.
Tymczasem północ, — niechaj to będzie szlafmyca.

(Szmér daje się słyszéć w kulisie).

Otóż znowu przeszkoda wydarza się nowa!
Ani chybi, z kolendą hałastra domowa.

Kolenda (za sceną).

(Wiele głosów).

Nowy rok po starym idzie,
Ludzie radzi biés wié czemu,
Jeden winszuje drugiemu:
Wszyscy jak w biédzie, tak w biédzie.

Za zwyczajem iść nie wadzi,
I my panu winszujemy,
Lecz czego? sami nie wiémy:
Niechaj o tém niebo radzi.

Czesław.

Wdzięczen chęci, nie hałasu,
Dziękuję wam, pomnieć będę;
Przyjdźcie jutro po kolendę,
Teraz chcę spać, nie mam czasu.

(Wiele głosów).

Niech pan żyje wiek Nestora
Do najpoźniejszego czasu.

Czesław (nakrywając głowę szlafmycą).

Wdzięczen jestem, lecz spać pora,
Nie róbcie, proszę, hałasu.

(Wiele głosów).

Liczykrupo! kutwo! żydzie!
Żyj w rozpaczy, umrzéj w biédzie:
Umiéraj nie opłakany,
Liczykrupo opętany!

Akt II.

Scena I.

Czesław.

Całą mi noc szczególne marzyły się bajki:
Ludzie jacyś, w mienione przybrani kitajki!
Choć to wszystko marzenie, jednakże coś znaczy,
Nigdy jeszcze nie miałem snów takich, jak żyję;
Myślę zawsze po prostu, czynię nie inaczéj,
Za cóżby mi się miały śnić allegorye?
Jednakże ta szlafmyca ma jakiegoś w sobie
Kaduka, dlatego téż będzie dziś na próbie;
Spodziewam się dziś różne mieć w domu perory,
Będę je w niéj przyjmował, udawszy, żem chory.
Lecz oto Jan nadchodzi! Zacznijmy od sługi;
Po nim wszyscy wciąż swoje mieć będą koleje,
Dowoli nabawię się, dowoli uśmieję!
Będą bzdurzyć nie wiedząc co, gdyby papugi.

Scena II.

Czesław, Jan.

Jan (peroruje).

Czasy, co się przez różne odmieniają pory,
Słońce, co je dowarza i w kolejach młodzi,
Księżyc, który z gwiazdami —

Czesław (nakrywszy głowę).

Dość, dość téj perory!
Domyślam się, mój bracie, o kolendęć chodzi.

Jan.

Od wszystkiego, czyby mi dano ją, nie dano,
Przyznam się panu szczérze, sam ją wziąłem rano.

Czesław (na stronie).

Czy doprawdy zaczyna skutkować szlafmyca?

Jan.

Dała mi okoliczność do tego piwnica.
Myśląc sobie: „Alboż to lepsze garło czyje?
Zaco ja mam pić wodę, gdy pan wino pije?“
Skoro wszyscy usnęli, wszedłem tam pocichu.

Czesław.

Ale jak to być może, kiedy przy mnie klucze?

Jan.

Dlatego też musiałem wziąść się do wytrychu.

Czesław (na stronie).

O! dusza niepoczciwa, sumnienie hajducze!

Jan.

Wchodzę, jakem powiedział: godny widok człeka!
Stoją szafki pod liczbą, — win biblioteka,
Porządek symetryczny, składnie, gdyby w raju,
Tu krajowe produkta, malinniki, miody,
Stare, trzeźwości dawnych Polaków dowody;
Dalej zacni przychodnie od Renu, Tokaju.
To (pomyśliłem sobie) podniebienia warte
Mojego, i natychmiast wychyliłem kwartę.

Czesław.

I na kwarcie skończyłeś?

Jan.

Wolne pańskie żarty;
Jednąm wypił na miejscu, dwie wyniosłem kwarty.
Omne trinum perfectum! Wszak prawda?

Czesław.

Jak czasem.

Jan.

Opatrzywszy się tedy takowym zapasem,
Po cichu wyniosłem się, a dla niepoznaki
Poukręcałem we drzwiach wrzeciądze i haki.

Służąc lat kilnaście, chociaż zawsze kradnę,
Nigdy na mnie nie pada podejźrzenie żadne.

Czesław (na stronie).

A cóż to za szlafmyca nieoszacowana!

(Głośno zdjąwszy szlafmycę).

Takażto wierność twoja, ty łotrze, hultaju!
Tak dobrego dla siebie oszukiwać pana!
Trzy kwarty uronić mi starego tokaju!

Pieśń.

Pójdź sam, łotrze, pójdź hultaju!
Trzy mi kwarty skraść tokaju!
Oddaj mi je, oddaj mi je. (Bije go).

Jan.

Gwałtu! za co pan mnie bije?
Com winien? — Przy Nowym Roku
Piękna kolenda po boku!

Czesław.

Oddaj wino, poganinie!

Jan.

O jakiém pan mówi winie?

Czesław.

To, co skradłeś.

Jan.

Gdzie? jak! i co?

Czesław.

O święta, droga szlafmyco!
O smutna dla mnie nowino!
Poganinie, oddaj wino.

Jan (na stronie).

Czy mu kto szepnął do ucha?
Czy się radził złego ducha?

(Do niego).

Jakie wino?

Czesław.

A przechéro!

Jan.

Kto to mówił?

Czesław.

Ty dopiéro.

Jan.

Chyba biés w mojéj postaci.

Czesław.

Nie masz służby, fort — fort z domu!

Jan.

Niech mi pan piérwéj zapłaci.

Czesław.

Nie wiém, kto zapłaci komu,
Czyli ty mnie, czy tobie ja:
Chowałem w domu złodzieja:
Mam wielkie szkody w piwnicy,
Szkody warte szubienicy.

Jan.

Czy mu kto szepnął do ucha?
Czy się radził złego ducha?

(Razem).

O! nieszczęśliwa nowino!
Tak dobre, tak stare wino!

(Jan odchodzi).

Scena III.

Czesław (sam).

Pieśń.

O! szlafmyco droga, święta.
Szlafmyco moja jedyna.
W cudach swoich niepojęta!
Nie znałem cię, moja wina.
Bluźniłem, teraz żałuję,
Przepraszam, wielbię, całuję

---

39. Stanisław hrabia Potocki.

Jeden z najznakomitszych uczonych dzieł pisarzów, i którego w epoce orzéźwienia literatury i nauk cała powszechność książęciem mowców polskich nazwała, prezes senatu królestwa Polskiego, minister wyznań religijnych i publicznego oświécenia, członek towarzystwa król. warszawskiego Przyjaciół Nauk i różnych zgromadzeń uczonych, kawaler wielu orderów,— zrodzony ze świetnego domu, oddany został na wychowanie i nauki do owego w Warszawie szkół Popobożnych konwiktu, którego utworcą był mąż nieśmiertelnéj pamięci, Stanisław Konarski. W tym instytucie i pod takim mistrzem ukształciwszy władze rozumu i serca, a szczególniéj rozsądku, wystąpił na świat wówczas, kiedy już poczęły ukazywać się zbawienne skutki poprawy publicznego wychowania. Piérwsze chwile prywatnego swojego życia poświęcił ojczystéj mowy doskonaleniu, a swoich rodaków powszechnemu użytkowi i oświéceniu. Był on jeden z piérwszych założycieli towarzystwa Przyjaciół Nauk; a gdy szkoły od kommissyi edukacyjnéj zaprowadzone, przez zupełne ich zaniedbanie upadły, rząd ówczesny założywszy w Warszawie liceum, nadzor jego zlecił Potockiemu. Jakoż przyjemném dla niego było to powołanie, którego dopełniał z gorliwością, i sam szczególniéj trudnił się urządzeniem i doskonaleniem piérwszéj téj w kraju szkoły, co miała być wzorem szkół wojewódzkich; sam osobiście bywał na wszystkich uczniów jéj popisach, przemawiając do nich ze zwykłą sobie wymową, co winni rodzicom, nauczycielom, rządowi i sobie samym. Z utworzeniem się księstwa Warszawskiego Potocki mianowany był członkiem kommissyi rządzącéj. Wystawił on téj kommissyi smutny stan edukacyi krajowéj, i radził ustanowić niezwłocznie na wzór pamiętnéj kommissyi edukacyjnéj magistraturę nad wychowaniem publicznem. Głos jego łatwo trafił do przekonania wszystkich; zaraz na témże posiedzeniu ustanowiono izbę edukacyjną, a téj naczelnikiem mianowany był Potocki. Pod stérem męża zatrudnionego gorliwie przez lat dwadzieścia tą najważniejszą dla kraju usługą wznosiły się powoli szkoły, wszystkie rozmaite naukowe insty-

tuta, składy, biblioteki, gabinety, i te wspaniałe do ich objęcia gmachy, jedne odnowione, z upadku podniesione, drugie całkiem przez niego wszczęte i uskuteczniane. Oprócz tego on piérwszy zaprowadził kommissye examinacyjne rządowe, i sam piérwszy w nich przewodniczył. Zwrócił także uwagę na dwa zakony, znane z powołania ducha ich założycieli do nauk: najdawniejszy zakon księży Benedyktynów, i szczególniéj zasłużony w Polszcze zakon księży Pijarów. Te starał się on zwrócić do swojego piérwiastkowego powołania wychowu młodzieży: otworzył ich nowicyaty i one uporządkował, a los professorów stanu duchownego polepszył i zapewnił; fundusze ich upadłe podniósł i zabezpieczył. Przekonany, że istotnym warunkiem w oświéceniu publicznem są jednostajnie przepisane i zgodne elementarne książki, ustanowił w tym zamiarze towarzystwo Elementarne. Również przeświadczony, że nauczanie pewnych umiejętności potrzebuje rozmaitych narzędzi, machin, zbiorów historyi naturalnéj, pracowni fizycznéj, chemii i bibliotek, na tych zakładanie i ciągłe powiększanie się przy każdéj szkole, w całym kraju obmyślił ciągły i pewny dochód. Gdy wkrótce ukazała się potrzeba szkoły prawa, zniósłszy się z ówczesnym ministrem sprawiedliwości, uczynili odezwę do znakomitszych urzędników, w nauce prawa biegłych, aby w téj potrzebie kraju poświęcili czas zbywający od urzędowania na dawanie nauki prawa w specyalnéj szkole założonéj w tym celu. Również wezwał on piérwszych lekarzy w stolicy kraju, aby zasiedli w nowo tworzącéj się specyalnéj szkole lekarskiéj jako professorowie nauk lekarskich, i wezwawszy najuczeńszych teologów do dawania nauk teologicznych, utworzył wydział teologiczny. Kiedy kraj polski przeszedł pod berło rossyjskie, Alexander I. wyznania religijne z wychowaniem publicznem połączył, plan ogólnego wychowania i szkoły głównéj w Warszawie z nadaniem tytułu królewskiego uniwersytetu zatwierdził, a na czele nadzorczéj władzy edukacyjnéj mianował Potockiego. Przy tak hojnem wsparciu i pod tak silną opieką podwoił on usiłowania swoje tém więcéj. Ukończywszy kosztowne gmachy dla uniwersytetu potrzebne, powziął jeszcze plan urządzenia stanu nauczycielskiego, czyli hierarchii akademicznéj. Jako naczelnik izby, a poźniéj dyrekcyi edukacyjnéj, sam z członkami tych magistratur pracował bezpłatnie; liczbę podwładnych ograniczył do ścisłéj potrzeby, mieścił się w lokalu szczupłym; a z takich i tym podobnych corocznie oszczędzeń zakładał i pomnażał krajowe szkoły i gmachy. Będąc na czele rady stanu, przodkując radzie ministrów, nie przestawał bynajmniéj również pracować jako dyrektor edukacyi podwładny ministra spraw wewnętrznych. We wszystkich tych wysokich urzędowaniach okazał szczególniejszy rzadki dar przewodniczenia obradom zgromadzeń licznych. Nakoniec był on jednym z piérwszych założycieli w Warszawie towarzystwa Przyjaciół Nauk, któremu, gdy jeszcze nie miało swego schronienia, własny dom swój otworzył, będąc wybrany na przewodnika wydziału nauk. W ostatnich nawet latach znacznie upadły na zdrowiu, jednakże nie opuścił nigdy zwykłego posiedzenia, chcąc być prawdziwie użytecznym i pracowitym członkiem do saméj śmierci, która na dniu 14. września 1821. roku bieg zasłużonego wielce życia jego z nieodżałowaną stratą przerwała.

Literatura polska najwięcéj Potockiemu winna jest utrzymanie dobrego smaku. On pojął ścisły związek sztuk pięknych z poezyą i wymową. On literatom polskim wskazał drogę, kędy dosięgnąć można idealnéj piękności. Dzieła jego, które zapewniają mu w dziejach literatury polskiéj zaszczytne wspomnienie, następujące mamy wyszłe na widok: 1.) *Mowa przy obchodzie pamiątki Stefana de Ricule, gener. maj. w wojsku rzeczypospolitéj, w Warszawie u Grölla 1786.* — 2.) *Mowa przy obchodzie pamiątki Andrzeja Mokronowskiego, wojewody mazowieckiego, w Warszawie u Grölla 1788.* — 3.) *Pożytki uchwalonego prawa zasad o przedaży starostw, w Warszawie u Grölla r. 1792.* — 4.) *Mowa miana przy otwarciu liceum warszawskiego na dnia 2. stycznia 1805 r., w Warszawie.* — 5.) *Mowa miana przy zakończeniu popisu uczniów liceum warszawskiego 1808. r., w Warszawie r. 1807.*— 6.) *Rozprawa o potrzebie ćwiczenia się w ojczystéj mowie, miana na ukończeniu examinu liceum warszawskiego 1811. r., w Warszawie r. 1811.* — 7.) *Mowa miana przy wyprowadzeniu ciała Adama Potockiego, pułkownika, 28. listopada 1812. r., w Warszawie 1812.* — 8.) *Odezwa do sądu najwyższego appellacyjnego księstwa Warszawskiego, wystawująca stan sprawy Alexandry z książąt Lubomirskich hrabiny Potockiéj z sukcessorami ś. p. Cypryana Sowińskiego w tymże sądzie toczącéj się, w Warszawie 1810. r.* —

Oprócz tych znajdują się także drukowane w rocznikach towarzystwa warszawskiego Przyjaciół Nauk: Mowa na obchód uroczystości ustalenia tegoż towarzystwa. — Pochwały: Szymanowskiego, Piramowicza, Czackiego, Matuszewicza, księcia Poniatowskiego; tudzież Rozprawy o sztuce u dawnych, o krytyce, o języku polskim, o sztuce pisania czyli o stylu, o duchu pism Machiawela, a z tych niektóre wyszły także osobno w Warszawie różnemi laty. — Rozprawa o medalach obcych i krajowych*). — Na wezwanie towarzystwa Przyjaciół Nauk wydał Potocki po kilkoletniéj pracy w 4 tomach dzieło wielce pożyteczne: *O wymowie i stylu, w Warszawie r. 1815.* — Zbogacił jeszcze Potocki literaturę polską nowém dziełem, wydaném w 3 tomach: *O sztuce u dawnych, czyli Winkelman polski, w Warszawie r. 1815.*

Ks. Ign. Chodyniecki.

A) Pochwały, mowy i rozprawy. Część I. i II, w Warszawie 1816.

Mowa przy zamknięciu examinów w liceum warszawskiém, miana dnia 30. września 1815.

Różne drogi prowadzą ludzi do zaszczytów i sławy, lecz w każdéj najpewniejszą jest dla nich przewodniczką nauka: bo od niéj nie

*) Te pochwały, mowy i rozprawy wyszły razem w dwóch częściach w Warszawie r. 1816.

odłączam cnoty, najszczytniejszéj człowieka nauki. Zbiéra rycerz wawrzyny w świetnym waleczności zawodzie; wieńczą dębową koroną pokojowe trudy użytecznego ojczyźnie urzędnika; kiedy spokojne uczonego prace, choć mniéj na pozór świetne, nie mniéj trwałą zyskują mu sławę, i imię wielkich pisarzów obok rycerzów i prawodawców kładą. Rzućmy nakoniec okiem na użyteczniejsze może jeszcze ziemianina życie, co w ustroni uprawia przodków dziedzinę, co krzewiąc dobroczynne ziemi płody, nie tylko własną, lecz i publiczną pomnaża zamożność, a łatwo przekonamy się o téj prawdzie, że w każdym z tych zawodów nauki są potrzebą, ozdobą i wdziękiem życia ludzkiego.

Możemyż mniemać, iż dosyć jest wodzowi na odwadze, i że ten przyrodzony popęd, podział każdego prawie żołniérza, połączony z doświadczeniem, całą wartość wodza stanowi? albolitéż, że drobnostkowa służby znajomość, i ta skrzętność, do nabycia tak łatwa, ten podział miernych i podręcznych talentów, jest cechą przymiotów dowódzcy? O jak grubą byłaby takowa pomyłka, jak daleką od tego wizerunku, jaki nam wódz prawdziwie wielki wystawia w czasach, w których sztuka wojny tak złożoną stała się umiejętnością! Prócz ćwiczeń wojennych, znajomość ludzi, rzeczy, miejsc i zdarzeń jest celną wodza nauką. W dziejach uczy on się korzystać z przykładu tylu wielkich ludzi, z doświadczenia tylu wieków, i widzieć przyszłość w przeszłości. W geografii nabywa tych miejscowych znajomości, bez których żadne przedsięwzięcie wodza rządnie powziętém i kierowaném bydź nie może; w głębokiéj matematyce miary, przestrzeni, czasu i stosownych do nich zwrotów wielkiéj, którą rządzi, machiny, praw jéj ruchu, mocy, i działania, zgoła tego wszystkiego, co się najskuteczniéj do zwycięztwa przykłada; w moralności, w polityce, téj znajomości rzeczy i ludzi, bez któréj być nie podobna naczelnikiem tak ogromnego, tak złożonego ciała, jakiém jest wojsko, którego nie tylko poruszeniami, ale i umysłem władać naczelnik powinien.

Nie dość na tém biegłemu wodzowi. Trzeba, by do tych znajomości łączył niespracowaną czynność bacznego na wszystko przewodnika i krew zimną filozofa; często bowiem myśl tylko i oko jego mierzy niezmierną przestrzeń, na któréj umieszcza tysiące ludzi, nawzajem wspiérać się mających, a najmniejszą w tém jego pomyłkę okupują krwi potoki; bo w tém najwyższa sztuka wodza polega, by

rzeź sprawując, ustrzegł się od rzezi. On rządzi temi piorunami wojny, których zabójcza potęga szeregi mężnych obala. burzy najmocniejsze szańce, i dziś prawie wszystkie bitwy rozstrzyga. On im miejsce naznacza, on ich dosiąg zakréśla, w miarę ich szkodliwości wielkim, bo zwycięzcą się staje. — Dajmy, że te wszystkie urządzenia mógł wódz przezorny zawczasu przewidzieć i powziąć, cóż mu jeszcze ich skutek zaręczyć może, kiedy równie baczny przeciwnik zapobiédz wszystkiemu umiał, i próżném wszystko uczynił? Wtedy jakże mu potrzeba zimnego i spokojnego umysłu, jak prędkiéj myśli, jak w środki zasobnéj, by w takowym razie, albolitéż w tych tak częstych, a niespodziewanych zmianach, które lada traf w bitwach przynosi, w jednéj chwili zaradził wszystkiemu, i natychmiast zmienił położenie, porządek, i ruch cały téj machiny, którą zarządza, i któréj jest duszą? Otóż, co wymaga u wodza dwóch przymiotów, które się nader rzadko w jednym łączą człowieku: najwyższéj bystrości i szybkości objęcia, połączonéj z tą krwią zimną, z tą rozwagą, co się od nich tak daleką być zdaje, jak jest piorunowa szybkość od długiego namysłu.

W jakimkolwiek wojennym stosunku wodza uważać będziemy, wszędy w nim uznamy potrzebę czynności rycerza, rozwagi filozofa, nauki mądrego. Czyli mu fortuna sprzyja, czyli mu się przeniewierza, czyli dostrzega chwilę zwycięztwa i z niéj korzysta, czyli mu zagraża przegrana, a on przez zręczne obroty nabywa chwały, zupełnéj uchodząc klęsce; wszystko to wymaga po nim tak szybkich a wraz tak przezornych urządzeń, iż ci, którzy mniemają, że nauka wielkiego wodza jest tylko natchnieniem, lub jedynie doświadczenia skutkiem, pomnąc na to łatwo się przekonać powinni, ile się do jéj wydoskonalenia przykładają wszelkiego rodzaju znajomości, i ich prędkie i zapewnione przystosowanie.

Wspomniawszy o najświetniejszych wodza przymiotach, będęż tu mówił o téj przezorności, o téj skrzętnéj staranności, jakich po wodzu wyżywienie wojska, pochody, przeprawy, leże i samo jego zdrowie wymaga? Jest to nie małą i nie najmniéj trudną częścią starań i nauki jego. Może mnie kto zapyta, jaka jest nauka, jaka umiejętność, jaka mądrość zdolna poskromić nadużycia? Oto, odpowiém, moralność wodza, oto duszy stałość, oto litościwa surowość, co karać umié, oto zbawienna baczność, co tak ważnych szczegółów podręcznym nie opuszcza staraniom, i podéjść się nie daje, oto zgoła rzadka znajomość

rzeczy i ludzi, ta najpierwsza i najważniejsza dla wodza, jak dla wszystkich rządzących, nauka! —

Jeśli łatwo iest dowieść potrzebę i korzyść nauki w wojskowym zawodzie, ileż łatwiéj jeszcze wskazać je w tych, co się tak jawnie obéjść bez nich nie mogą? Czyli je więc uważać będziemy w względzie pożytku, jaki przynoszą w publicznych naradach, czyli w rządowém i sądowém urzędowaniu, czyli w duchownym, czyli w uczonym stanie, znajdziemy wszędzie równą i nieodbitą ich potrzebę, wszędzie złączony w nich osobisty z publicznym pożytek.

Co się najprzód narad publicznych tyczé, możeż ten radzić o kraju, co nie posiada znajomości rządowych i politycznych do tego stosownych, co nie zna dokładnie praw, rządu, dziejów, obyczajów i nałogów narodu swego, stosunków i związków jego z obcemi państwami, wspólnych i przeciwnych interesów, co nie posiada prawdziwego ducha prawodawstwa, nie ma wyobrażenia o środkach dźwignienia zamożności kraju, o podniesieniu przemysłu, rolnictwa i handlu jego, nakoniec któremu jest obcą teorya podatków, i ogólna czasów, w których żyje, polityka? By takowych znajomości dosiągnąć, ileż trzeba nauki i wiadomości posiadać? Łatwo każdy osądzi, a nikt pewnie nie zaprzeczy, że bez nich dobrym prawodawcą, że bez nich dobrym radcą stanu, że bez nich biegłym ministrem, że bez nich dobrym posłem u zagranicznych mocarstw być nie można, a nawet, że biórowy urzędnik, które mu są obcemi, co się w nich nie ćwiczy, nie wart miejsca swego.

Dziś równiejsze wszystkim, do wszystkiego otwartém jest pole, większe do nauki zachęcenie; bo upadły te przesądy, co piérwszość naznaczały losowi, nie wartości. Los sprzyja małéj liczbie, wartość wszystkim sprzyjać może, co się o nią starają. Niémasz w téj szkole żadnego z was, uczniowie! któregoby równie nie wzywał kraj do zaszczytów i urzędów; lecz pomnijcie, że was do tego jedynie pilność w naukach doprowadzić może, i ona jedna nadać wam osobiste prawo do zaszczytów, które jéj są nagrodą.

Równie bez sprawiedliwości, jak bez rządu kraj ostać nie może: ważną nader jest ta część rządowego ogółu, pod któréj opieką spoczywa majątek, honor i życie obywatelów. W czasach szczęśliwéj świata niewinności ojcowie rodzin, potém królowie sędziami bywali, a sprawy ludzi, jak ich obyczaje proste łatwemi do rozstrzygnięcia podług równie prostych zasad i sprawiedliwości, i rozsądku. Lecz z czasem,

z wydoskonaleniem społeczności, z zepsuciem obyczajów wzrósł niezmierny prawności labirynt, a nauka prawa stała się umiejętnością trudną i złożoną, pilnéj i długiéj wymagającą pracy. Do wysokiego doskonałości doprowadzona stopnia, obejmująca w sobie wszystkie prawie przypadki i przystosowania, jakie tylko w sprawach cywilnych i kryminalnych wypaść mogą, stała się nauką tak złożoną, tak wydoskonaloną, iż dziś nie dość światłemu sędziemu na tych rozsądku, na tych prawości zasadach, co się wielu dostatecznym zdają sędziego przymiotem, i co nim w rzeczy bywał w piérwiastkach mniéj ukształconéj społeczności. Być on gruntem jego nauki powinnien, ale jéj zastąpić bynajmniéj nie może; bo przy najczyściejszych zamiarach stałby się często dla niego zrzódłem niesprawiedliwych pomyłek. Prawo jest tedy trudną i głęboką nauką równie dla rzecznika, jak i dla sędziego, któréj często piérwszy dowolnie używa, i użyć może, kiedy sędzia do najściślejszego jéj przystosowania jest z urzędu i sumienia zobowiązany. Ta w nim znajomośc prawa czyni, iż jéj rzecznik nadużywać nie może: ona wyświéca ciemne pieniactwa manowce, ona odkrywa zbrodnią, ona niewinności tarczą staje się, mimo wszelkich prawnictwa, a często i przemocy usiłowań. Równie jest pięknym rzecznika, jak sędziego urząd; bo jeśli drugi wyrokuje, piérwszy mu pobudki wyrokowania wskazuje, i nad nim prawdą i wymową panuje. U Rzymian rzecznictwo do piérwszych prowadziło urzędów, i za najtrudniejszą część uchodziło wymowy. Niém Cycero, niém Hortenzyusz, niém dawni, Krassus i Antoniusz słynęli, niém pierwsi wodzowie, niém najszanowniejsi w rzeczypospolitéj zaszczycali się mężowie. Lecz przemilczéć mi się tu nie godzi, że jeśli wiele na nauce rzecznikowi zawisło, nie mniéj na prawości i cnocie: bez nich biegłość jego szkodliwym, a nawet ohydnym jest darem, przedajnym talentem, którego omamienia są tém szkodliwsze, im wyższą niemoralna przebiegłość. O szkolna młodzieży! jeśli któren zśrzód ciebie czuje się powołanym do tego rzemiosła, niech pomni, iż łzy i złorzeczenia nieszczęśliwych, iż słuszna za nie niebios zemsta będą jego podziałem, jeśli ich niewiernym obrońcą lub podstępnym stanie się przeciwnikiem.

Jest stan, któremu właściwszą jeszcze, jak wszystkim innym, nauka i mądrość zdaje się; bo w ręku stanu tego religia i moralność złożyły najszczytniejsze swoje zasady, i jemu opiekę nad prawdziwém szczęściem powierzyły człowieka, co go drogą cnoty osładzającéj życia

tego ciérpienia, ku lepszemu prowadzi. Oddawna ten stan miéwał światłych mężów, których osobiste zalety na najwyższe w nim wyniosły stopnie. Takimi między innymi byli: Hozyusz, Kromer, Tomicki. Te równie znakomite w kościele, jak w naukach, imiona nie przodków, lecz własna wsławiła wartość. Ci, co się do tak szanownego przeznaczają stanu, jakim jest duchowny, oprócz jemu właściwéj, nie mogą zbyt poszukiwać wszelkiego rodzaju nauki, a nadewszystko téj słodkiéj, téj żarliwéj, téj przekonywającéj wymowy, co władając słowem Boskiém i sumieniem słuchaczów, co głosząc przedwieczne prawdy, co trwogą i nadzieją przyszłego życia napełniając serca słuchaczów, umié godnie dopełniać tak znakomity urząd, jakim jest uczynienia ludzi lepszymi.

Zbytniém byłoby to staraniem dowodzić, że człowiek, co się poświęca naukom, uczonym być powinien; lecz zapewne nie jest obojętném, mianowicie w dniu dzisiejszym i w tém miejscu wskazać, że zaszczyt nauk równa się z temi, których władza i potęga są podziałem, a co tak świetnie w oczach ludzi jaśnieją. Osobną są nauki i mądrość godnością, osobną potęgą, któréj nic pożyć, nic zniszczyć nie może, któréj prawa są wiecznemi, i co nad samym panuje czasem. Dlatego sława wielkich pisarzy równa się sławie największych rycerzy i najpotężniejszych zdobywców. Obok Cezara, co sam był uczonym, kwitnie imię Sallustyusza i Liwiusza, obok Augusta — Horacyusza i Wirgilego, obok Trajana — Pliniusza i Tacyta, a, że świéższych zasięgnę czasów, Aryost i Tass na równi Farnezów i Doryów, Kornel, Rasyn, Molier na równi Kondeuszów i Tureniuszów stoją. Nie ustępuje sława Orzechowskiego Tarnowskiego sławie, ani imię Gornickiego imieniowi Kmity, a Kochanowski nie mniéj nam jest, jak Zamojski, pamiętnym. Niknie z czasem ta chwilowa różnica, która w oczach ludu przedziela rycerzów i możnych świata od wielkiego pisarza; bo niknie z ludźmi pożyczona ich wielkość, a osobista ich wartość zostaje.

Lecz czyjeżby kwitło imię, gdyby mu nieśmiertelności w ludzkiéj pamięci nie nadawały nauki? gdyby go historya, wymowa lub poezya nie wyrwały zapomnieniu i wiecznem nie obdarzyły życiem? Mówią, że Alexander na widok grobu Achillesa wykrzyknął: „Szczęśliwy Achillesie, że znalazłeś Homera, by ciebie opiéwał!“ I w rzeczy, bez téj nieśmiertelnéj Iliady tenże grób, co okrywa zwłoki zwycięzcy Troi, byłby i pamięć jego nazawsze zagrzebał, która dziś jedynie potęgą pieniów Homera tak głośna po całym słynie świecie.

Czuli dobrze wielcy wszelkiego rodzaju ludzie, ile im nauki przyjaznemi,— ile potrzebnemi były: dlatego wspierali je, uprawiali, kochali. Kazimiérz, prawdziwie wielki, bo nad swój wiek wyższy, bo wśród grubéj jego ciemnoty światły, i rzetelne dobro narodu swego znający, ten król opiekun rolnictwa, handlu, rękodzieł, pokoju, ukrócicieł dumy i przemocy możnych, miłował nauki i sztuki. On setne budowy, on setne warownie, on setne warsztaty, on piérwszy założył akademią krakowską. Nadał mu wiek jego imię Wielkiego, a on go u wszystkich zasłużył. Odtąd wszyscy prawie wielcy ludzie i rycerze nasi uczonymi byli: dość z téj liczby Zamojskich, Żółkiewskich, Batorych, i Sobieskich wymienić.

Lecz może mnie kto zapyta, czyli wszyscy znakomici mężowie, których nam nauki dochowały pamięć, sami uczonymi byli. O wszystkich twierdzić tego nie mogę: mniemam nawet, że się nie jeden w ich liczbie znalazł dość szczęśliwie od natury ukształcony, by sam z siebie dążył ku temu wszystkiemu, co jest dobrém i wielkiém, cudzéj do tego nie potrzebując pomocy. Zdaje się to bowiem niezaprzeczoną prawdą, że przyrodzenie jest przez się dzielniejszém, niż nauka bez pomocy jego: ale téż kiedy do darów piérwszego łączy druga to wszystko, co im dodać jest zdolną, ztąd wynika co tylko najpiękniejszego, największego, najdziwniejszego między ludźmi mamy.

Lecz gdybyśmy nie mierzyli korzyści nauk ich użytecznością i ich prawdziwą wagą, gdybyśmy w nich nie widzieli, jak tylko właściwy im wdzięk i zabawę, byłyby one jeszcze tém, co najwięcéj człowiekowi niepospolitemu przystoi, co mu najwięcéj w życiu sprzyja. Inne bowiem starania, jak uważa mowca rzymski, nie przystoją ani wszystkim czasom, ani wszystkim miejscom, ani wszystkim wiekom; lecz nauki podług tych pięknych słów jego „są pokarmem młodości, wdziękiem podeszłego wieku, ozdobą pomyślności, pociechą nieszczęścia; bawią nas w ustroni, nie są obcemi w społeczeństwie, czuwają z nami, podróżują, wieśniaczą *(rusticantur)*.“ Nie podobna w krótszych słowach piękniejszéj i rzetelniejszéj zamknąć nauk zalety, i mocniéj nas ku nim zniewolić zdolnéj!

Nie wszyscy ludzie czynnemu świata poświęcają się życiu! Większa ich część, pędząc je w domowéj ustroni, bawi się najpiérwszém i najszlachetniejszém człowieka rzemiosłem, tém, co wszystkim byt zabezpiecza, co ich opatruje potrzeby, co ród ludzki karmi — wiejskiém

mówię życiem. Lecz i rolnictwo nader pożyteczną stało się nauką, co mnoży korzyści, oszczędzając prace człowieka, co przymusza ziemię do hojniejszego jéj wynagrodzenia, co setne na kraj sciąga błogosławieństwa, powiększając, rozszérzając piérwsze zamożności jego sposoby i śrzodki, z których się wszystkie inne rodzą, niszcząc zadawnione przesądy, równie uprawie ziemi i hodowaniu bydła, jak uprawie nauk i wychowaniu ludzi przeciwne. Otóż i temu wiejskiemu rodzajowi życia nauka nie tylko jest potrzebną, ale nawet konieczną.

Dotego cóż nad nią lepiéj, cóż nad nią przyjemniéj napełnić potrafi te pozostałe od gospodarstwa chwile, tę długą tęsknotę odludnego życia, matkę tylu zdrożności, które zwykle próżnowanie w szkodliwe zamienia przywary? Jestże życie użyteczniejszém, jestże dostojniejszém, jestże szczęśliwszém, jak światłego ziemianina, co część jego gospodarstwu, temu najistotniejszemu dobru kraju poświęca, drugą ludzkości i wydoskonaleniu tych władz umysłowych, które mu wskazując użytek i środki własnéj swobodności, przykładać się do włościan swoich zachęcają i uczą, w niéj mu wyjawiając prawdziwe źrzódło zamożności tak właścicielów, jak kraju? Pięknym i tkliwym jest nad inne obraz ojca rodziny, ojca włościan swoich, czuwającego nad dobrém dzieci wychowaniem, nad oświatą i ulepszeniem losu pracowitych rolników, nad rządnością we wszystko obfitującego za jego staraniem domu. Dostojnym zaiste jestto obrazem, widzieć za jego staraniem zmienioną postać ziemi, puszcze, bagna, lasy, okryte żniwami, łąki trzodami, sady bujnym owocem, zgoła temi wszystkiemi darami przyrodzenia, które powołuje i mnoży opatrzna jego opieka. W każdym inszym stanie uważać można człowieka jako niszczyciela płodów natury; tu on się ich twórcą staje, tu niemi opatruje innych, tu korzyść w przysłudze znajduje, tu szukając własnego pożytku, innym dobrodziejstwo świadczy. Na takiémto życiu nieraz kończyli, i radzi ukończyć bieg wieku swego ci nawet ludzie znakomici, co świat napełnili sławą imienia swojego, lecz którym długie doświadczenie odkryło próżność wielkości, a co się wypłaciwszy czynném życiem z długu należnego ojczyźnie, chcieli żyć dla siebie. Znaleźli oni wśrzód wiejskiéj ustroni, że nauka jest nie tylko pożyteczną, lecz najmilszą jéj zabawą. Wielu z nich, rozważając burzliwy bieg życia swojego, złożyli z niego zbawienną dla następców naukę. Tak między innymi największy może z ministrów, sławny *Sully* życie zakończył.

Nie zawsze los uśmiécha się nawet kochankom swoim: często wzniósłszy ich do szczytu pomyślności, w przygody i nieszczęścia pogrąża. W tym stanie rzeczy cóż jest zdolniejszém pocieszyć, rozerwać człowieka, jak nauki? cóż wzbudzić lub wzmocnić tę stałość duszy, co obojętném patrzy okiem na zmienne losu koleje, jeśli nie one? Wtedy rzetelnie błogosławić mu przychodzi ten smak, tę miłość, którą ku nim z młodości powziął, a co go wyższym czyniąc nad nieszczęście, w własnych wznosi oczach. Ja sam (jeśli mi siebie za przykład przywodzić godzi się) w ostatnim stopniu moralnych i fizycznych cierpień nie znalazłem pewniejszéj pociechy, przyjemniejszéj rozrywki, jak w naukach, i niemi najprzykrzejsze życia mojego osłodziłem chwile. Niech się inni chełpią sławą, którą im zjednały, ja tylko wielbić dobrodziejstwo, które od nich odebrałem, winienem!

Tak więc nauki w każdéj życia chwili są jedyną jego podporą i najużyteczniejszą towarzyszką. Pomnij na to, ćwicząca się w nich młodzieży! a ta uwaga najmocniejszym ku nim stanie ci się bodźcem: jeżeli zaś wdzięczne dla kraju i dla rodziców, jak mniemam, masz serce, pomnij na ich około wychowania twego nakłady i staranność; pomnij na tkliwe prace nauczycielów twoich, co się tobie poświęcili, co w tobie położyli całą chlubę swoję: pomnij nakoniec, coś winna najlepszemu z monarchów i jego wspaniałomyślnéj nad wychowaniem twojém opiece; pomnij, mówię, że z tego wszystkiego wypłacić się nie możesz, jak tylko usposobiając się do cnót domowego życia i do publicznéj posługi pilną nauką, a pewny jestem, że podwoisz ku niéj usilności twojéj, i z nową gorliwością postępować będziesz w tym nauk zawodzie, z którego czyniąc tę publiczną sprawę, nieobojętne dałaś o sobie nadzieje. Cieszy się nią publiczność, cieszą się krewni, rodzice i mistrzowie twoi, cieszy się przełożona nad wychowaniem publicznem zwierzchność; lecz ty uczyń, by nakoniec skutku tych nadziei używać, by się niemi chełpić mogli.

B) O sztuce u dawnych, czyli Winkelman polski. Część I. II. III. w Warszawie r. 1815.

1. Przedmowa (w skróceniu).

Mniéj jest moim zamiarem wystawić historyczny obraz sztuki dawnych narodów, jak pisząc o niéj, dać poznać jéj piękności,

aby ci, którzy nabyć téj znajomości szukają, mogli jéj dostąpić jak najłatwiejszym sposobem. Znać się na sztukach nic innego nie jest, tylko czuć prawdziwe ich piękności, i w tém cała biegłość znawcy polega; sztuka zaś nie jest czém innem, tylko naśladowaniem natury. Wszak nie wolno myśli człowieka przejść za jéj granice, ani imaginacyi wyobrazić mu rzeczy, którejby ona wzorem nie była. Chełpiący się tylą wynalazkami przemysł ludzki, nie wymyślił jeszcze żadnéj postaci, nie dał kształtu ani jednemu nawet atomowi, któryby naśladowniczym nie był. Twory więc jego nie są tworami, ale przetworzeniem, a raczéj ukształceniem i naśladowaniem natury. Są one złym lub dobrym, smakownym lub niewdzięcznym wyborem i stosunkiem niektórych jéj tworów, tak dalece, że w najcelniejszych, jak w najpospolitszych dziełach dobor i naśladowanie do człowieka, wzory do przyrodzenia należą. Rzuciła je przed nami we wszystkich rodzajach twórcza ręka, wolny nam złego, jak dobrego, zostawiwszy wybór: równie jest niemylną fizycznie, jak moralnie ta prawda. Nie są tedy czém inném dzieła sztuki, tylko naśladowaniem natury; co się jawnie w snycerstwie i malarstwie widzieć daje, a dostrzega i w architekturze choć w oddaleńszym nieco stopniu. Jako więc smakowne naśladowanie natury jest przedmiotem sztuki, tak wyśledzenie doskonałości i wad w tém naśladowaniu jest celem sztuk znawcy.

Są ludzie, którym sama wprawa widzenia i przyrównywania dzieł sztuki daje tę znajomość, tojest, którzy z nawyknienia złączonego z naturalnym smakiem sądzą dobrze o nich. Lecz ten sposób zwykle obłąkuje dziesięciu, nim się uda jednemu, i dlatego tak rzadko jest znaléźć ludzi dobrze o sztukach sądzących; bo gdy zawierzają jedynie oczom i smakowi swemu, brak im pomocy rozumowania, ugruntowanego na niemylnych zasadach sztuki. Z drugiéj strony na mało co się przydadzą i najlepsze przepisy, jeśli ich nie wspiéra doświadczenie, które dać jedynie może częsty widok i przyrównywanie dzieł sztuki. Połączyć więc te dwa sposoby należy dla wydoskonalenia się w ich znajomości. Jestto rzecz piszącego o nich, prowadzić do tego czytelnika jak najłatwiejszym sposobem, uprzątając te wszystkie zawady, które do sztuk świątyni przystęp ciężki sprawują, nie dlatego, by takim był w rzeczy, lecz dlatego, że brak wydoskonalonego w téj nauce sposobu takim go czyni.

Wiele o sztukach u obcych pisano narodów, i w téj liczbie znajdują się dzieła co do szczegółów szacowne. Lecz dopiéro za naszych

czasów piérwszy zjawił się Winkelman, który w dziele swojém o historyi sztuki przedsięwziął wystawić obraz wszystkich jéj części, wsparty na pomnikach starożytności, których mu Rzym obficie dostarczał, i z nich wyciągnąć pewne przepisy, do poznania prawdziwych piękności sztuki służyć mające. Bierze on sztukę od samego jéj dzieciństwa, prowadzi ją do doskonałości, a potém wstecznym idąc krokiem, wskazuje jéj upadek, zawsze na oczywistych starożytności dowodach wsparty. Wybrał on sobie za text najpiękniejszą część historyi sztuki, tojest wskazaną od Egipcyan, kwitnącą u Etrusków, wydoskonaloną od Greków, nakoniec wraz ze światem przywłaszczoną od Rzymian, a potém z Rzymem niknącą. Sprawiło dzieło Winkelmana w uczonym świecie to uczucie, którego z tylu miar jest godném. Lecz skutek jego nie odpowiedział ze wszystkiém piszącego zamiarom, tojest, nie stało się ono dziełem, do znajomości sztuki łatwo doprowadzić mogącém. Ze trzech jéj działów objął gruntownie Winkelman jeden tylko, tojest snycerstwo. Prawda, że o malowaniu dawnych dla braku oczywistych dowodów nie mógł mówić z równą pewnością; wszelako zdaje się, że się nie dosyć tym przedmiotem zaprzątnął, i że mógł względem niego więcéj wyczerpać światła z dawnych pisarzów. Zaniedbał ze wszystkiém architekturę, acz go tyle ku niéj zwracało pomników. Posiadał on niezmierną starożytnika erudycyą, i tę biegłość w wnioskowaniu, która za jéj pomocą tajemnice wieków tłumaczy: takie było piérwsze powołanie jego. Zbyt się ubiegając za okazaniem téj swojéj biegłości (którą obcą nazwać można sztuki pięknościom), wprawia często czytelnika w uczone zamieszanie, w które sam się nie w miejscu zacieka. Z drugiéj strony zapęd imaginacyi jego unosi go niekiedy w mistyczny zapał, którego zawiła górność nie zastępuje bynajmniéj prostych dobrego smaku uczuciów, i na nich jasno ugruntowanego sądu. Tu zważyć należy, iż erudycya starożytnika, co była piérwszą Winkelmana nauką, wcale jest oddzielną od znania piękności w sztukach, które smak dobry, wsparty doświadczeniem daje. Starożytnik odkrywa tajemnice wieków, tłumaczy je, i światłem erudycyi oświéca ciemne ich pomniki. Znawca sztuk szuka w nich tylko piękności za przewodnictwem wydoskonalonego smaku przez nawykłość porównywania. Tamten wyjaśnia, co sztuka wyobraża; ten o sposobie wyrażenia sądzi. Nauka bajeczności, historyi, praw,

obyczajów, poezyi, literatury, języków dawnych narodów jest niezmierną starożytnika pracą, która rzadko kiedy łączy się w jednym człowieku z tém uczuciem wydoskonaloném, co piękność sztuki ma za cel jedyny, czego sam Winkelman jest dowodem. Przedarł on się do niéj przez trudności, któremi otacza sztukę pracowita starożytnika nauka, i tąż drogą często czytelnika prowadzi. Wskazała mu teorya zasady piękności, lecz dać nie zdołała téj pewności smaku, która do przystosowania tych zasad jest koniecznie potrzebną.

Otóż przyczyny, dla których dzieło Winkelmana nie ma w sobie tego smaku, téj jasności i porządku, które jedynie naukę sztuk łatwą i przyjemną uczynić mogą; otóż przyczyny, dla których nazwać go raczéj można użytecznym materyałów składem dla ludzi już w sztuce biegłych, niż łatwą skazówką dla tych, którzy dopiéro oswoić się z nią szukają. Otoczona sztuka erudycyi trudnościami, nie wyszła z nich ze wszystkiém pod Winkelmana piórem, i odtąd, jak przedtém, zraża wielu obcą sobie trudnością. Gdy mnie o tém własne przekonało doświadczenie, przedsięwziąłem wystawić w nowém dziele znajomość sztuki tak łatwą, tak prostą, jak czuję, że jest w istocie; a odcinając od niéj trudną starożytnika pracę, podać tylko przyjemną sztuk znawcy naukę. Ale gdym się nią zajął, wnet zmieniłem zdanie, nie co do rzeczy, lecz co do myśli utworzenia nowego o sztuce dzieła. Widząc bowiem, że jakimkolwiek w tym zawodzie pójdę torem, zawsze iść będę musiał w Winkelmana ślady, i jego trzymać się systematu, a zatém, że mi przyjdzie użyć niejakiéj z czytelnikiem obłudy, bym cudzy systemat, bym cudze myśli, sprostowawszy je, niekiedy dopełniwszy, skróciwszy, albolitéż zmieniwszy tylko wyrazy i porządek, za własne dawał; wpadłem na myśl dogodniejszą dobréj wierze pisarza, na myśl, mówię, przełania dzieła Winkelmana, wyżéj odemnie wskazanym sposobem, tojest, odcięcia od niego tego wszystkiego, co jest zbytniém, dodania tego, czego brak sama osnowa rzeczy wskazuje, umiarkowania przesadnéj imaginacyi zapędów, sprostowania niedostrzeżeń, nakoniec uporządkowania całego pasma rzeczy, ile tego dopełnić można zbytnie się nie oddalając od wskazanego przez Winkelmana toru.

Dostrzeżenia powyżéj wyrażone takiéj mi się zdają wagi, że na nich tu przestanę, choćby mi dowieść nie ciężko zgodność czucia

mojego o dziele Winkelmana z powszechném bezstronnych krytyków zdaniem, którzy oddając wszyscy sprawiedliwość historyi sztuki jego, i wszyscy ją za klassyczne uznając dzieło, uporządkowania, dopełnienia, zgoła przerobienia go widzą i czuć dają potrzebę. Tę ja ciężką pracę śmiém przedsiębrać, mniéj przekonany, że jéj celu dosięgnę, jak, że go wskażę i ułatwię bieglejszemu pióru. Zobaczmy, zapomocą jakich środków pokusiłem się o te zmiany.

Chcąc dać wyobrażenie sztuki u dawnych narodów, należy mówić o każdym zosobna wedle czasu, w którym u niego kwitnęła. Chcąc dać poznać prawdziwą piękność sztuki, trzeba się zatrzymać nad jéj wzrostem, postępem i wydoskonaleniem u tych narodów, co ją doprowadziły do najwyższego doskonałości stopnia, i takie nam zostawiły wzory. Ztąd wypada podział narodów na te, u których sztuka nie przeszła pewnego stopnia wydoskonalenia, zamkniętego, że tak powiém, w suchéj i niewolniczéj naśladowania pracy, któréj nie ożywiał geniusz i wdzięki,— i na te narody, co prawdziwe piękności w jedném co tamte czerpając źrzódle, przyprowadziły sztuki do najwyższego doskonałości stopnia, z rozrzuconych w naturze wzorów składając pomysłową piękność, wskazaną raczéj, jak uiszczoną od niéj. Zdaje się, iż jéj ręka ten położyła zakres między wschodniemi i zachodniemi narodami; przynajmniéj pomniki, które nam po nich zostały, tę noszą cechę.

Piérwsze z tych narodów należą tylko do historyi sztuki, któréj drugie są przedmiotem. Dosyć jest więc wystawić wierny obraz sztuki u jednych, kiedy u drugich wymaga ona starownego rozbioru, bacznego nad jéj początkiem, wzrostem, udoskonaleniem i upadkiem zastanowienia się, zgoła poznania jéj treści i ducha; bo ona zawiéra w sobie te wzory, i z nich wyciągnione zasady, które smak dobry i doświadczenie tylu wieków za niezmienne sztuce nadały prawidła: zgoła dosyć jest lubownikowi sztuki — dosyć artyście wiedzieć, jaką była sztuka u piérwszych, kiedy uczyć się jéj u drugich i naśladować ją winien, jeżeli jéj znawcą — jeżeli chce stać się w niéj mistrzem.

Zdaje się, że ten przedział, że te granice między wschodniemi i zachodniemi narodami sama zakréśliła natura. Wszakże, jaką była sztuka u Chaldejczyków i dawnych Persów, jaką u Indów i Chińczyków, taką, lub wiele do niéj podobną trwa dodziśdnia u wszystkich wschodnich narodów. Ogólnie mówiąc, stanęła ona u nich nieruchomą

na pewnym doskonalenia stopniu, na którym, jeżeli dotrwać jak w Chinach zdołała, krokiem się od tylu wieków ku wydoskonaleniu nie posunęła. Uderza w niéj niekiedy ogrom i gruntowność, częściéj ukończenie, lub blask znikomy, zawsze więcéj praca, niż geniusz. Z drugiéj strony daném było Egipcyanom, Etruskom, Feniczykom, a nadewszystko Grekom dosięgnąć całéj wysokości sztuk, Rzymianom zaś przyjąć prawa równie w sztukach jak naukach zwyciężonéj od siebie Grecyi, i w szczęśliwém, choć niewyrównywającém wzorowi swemu, dzierżyć je naśladownictwie. Idąc za tym podziałem, zdaje się, że nie tylko zadosyć uczynię chronologicznemu porządkowi, który Wschodowi piérwszość w sztukach przyznaje, ale i temu, którego sama osnowa pisma tego wymaga; za wstęp bowiem do poznania prawdziwéj piękności sztuki, co się dopiéro u Etrusków i Greków zjawiła, służyć będzie oddzielny obraz nieruchoméj sztuki wschodnich narodów, a za związek między niemi sztuka u Egipcyan, która z przeciwnych składać się zdaje żywiołów, tojest, niepostępności sztuk wschodnich i wyborności zachodnich,— właściwość, która ją, że tak powiém, śrzodkującą między niemi i związkową czyni.

Nie tym poszedł Winkelman porządkiem. Poświęciwszy on trzy piérwsze rozdziały dzieła swego ogólnym sztuki zasadom, w których się zbyt wczesnych szczegółów ustrzédz nie zdołał, zaczyna od Egipcyan, po których do Feniczyków, Żydów i Persów przechodzi, a mało co o tych trzech ostatnich powiedziawszy narodach, zewszystkiém pomija Chaldejczyków, Indów i Chińczyków, te najstarożytniejsze świata ludy, u których sztuka najdawniéj zakwitła. Ważném jest takowe przepomnienie, i koniecznie w dziele o sztuce u dawnych zastąpioném być powinno, bo zostawia w niém słusznie rażącą przerwę. Wiém, że opisanie sztuki tych narodów nie wiele się przyłoży do naprowadzenia jéj miłośnika lub artysty na tor prawdziwéj piękności; lecz zwrócić go może z przeciwnego, wskazując mu, jakim sposobem obłąkała się u nich sztuka. Ale pocóż dłużéj zastanawiać się nad rzeczą tak oczywistą, jak jest to twierdzenie, że w historyi sztuki nie godziło się przepomnieć tak znakomitéj jéj gałęzi? —

2. O istocie sztuki, czyli o piękności.

W dziele poświęconém piękności, bo ona jest przedmiotem sztuki, wypada naprzód uczynić sobie jéj wyobrażenie ogólne. By

tego dostąpić, rzućmy okiem na to, co jest przeciwném piękności: można bowiem o niéj powiedzieć to, co Kotta mówi w Cyceronie o Bóstwie, że łatwiéj wskazać, czém ono nie jest, jak to, czém jest. Piękność i szpetność są niejako, jak zdrowie i choroba: ta dręczy, tamto czuć się nie daje.

Piękność jest jedną z tajemnic natury: widzimy, czujemy jéj skutki, lecz chcieć dać jasne jéj wyobrażenie jest to przedsięwzięciem, o które acz się wielu kusiło, nikt go dotąd nie dopiął. W rzeczy, gdyby to wyobrażenie było matematycznéj oczywistości, sądy ludzkie o niéj nie takby się różniły, i łatwiéjby się o prawdziwéj przekonać; wtedy nie widzielibyśmy ludzi dość źle uorganizowanych, albo dość upartych, by sobie fałszywe tworzyli wzory piękności, lub odrzucali rzetelne jéj wyobrażenie. Cóżkolwiek bądź, zawsze ciężéj będzie przekonać ostatnich, jak sprostować zdanie piérwszych. Wątpliwości, które tak jedni, jak drudzy wznoszą, bardziéj dążą do okazania dowcipu, jak do zaprzeczenia bytu piękności, dlatego też żadnego nie mają wpływu na sztukę. Widok tylu tysięcy dzieł prawdziwie pięknych, które czas nam dochował, sam odpowiada na wszystkie zarzuty: lecz na nieczułość i upór niémasz lékarstwa.

Brak nam na zasadach pewnych piękności, brak nam równie na mierze, podług któréj moglibyśmy, jak mówi Eurypides, sądzić o szpetności. Dla téj przyczyny tak się różnimy i tak mało zgodnymi jesteśmy w wyrokach naszych o prawdziwéj piękności, jak o prawdziwém dobru. Ta różność zdań więcéj się jeszcze w sądach naszych wydaje o pięknościach sztuki, niż o pięknościach natury; piérwsze bowiem mniéj uderzają zmysły nasze, jak ostatnie. Piękność, powzięta podług wielkich sztuki zasad, raczéj szczytna, jak przyjemna, raczéj poważna, jak drażliwa, mniéj się podobać będzie zaślepionym zmysłom, niż świéża i ładna postać. Przyczyna tego jest w popędliwości żądz naszych, które w większéj części ludzi piérwsze wzbudza wejrzenie. Już serce pełném jest przedmiotu, kiedy rozum szuka przyczyny, która go ku niemu pociąga: a tak nie nadobność nas zniewala, ale pożądliwość uwodzi.

Wyobrażenia piękności rodzą się w większéj części artystów z takowych wrażeń młodości powziętych, które piękności wyższego porządku i ich późna znajomość rzadko osłabić zdoływają, osobliwie kiedy oddaleni od wzorów starożytnych, nie mają prawidła zdolnego

do sprostowania mylnego sądu ich zmysłów. Można o rysunku toż, co o pisaniu powiedzieć. Ręka dziecka formuje charaktery, kiedy pojętność jego nie zna jeszcze piękności liter: tak największa część młodych artystów rysować się uczy; a jako w poźniejszym wieku zachowujemy powzięty w młodości sposób pisania, równie wyobrażenie rysownika o piękności wystawuje ją myśli jego taką, jaką oko widzieć, a ręka naśladować od dzieciństwa nawykły. Uczniowie, przyzwyczajeni rysować po mniéj dokładnych wzorach, nie mogą tylko fałszywe miéć wyobrażenie piękności. Są artyści, którym niebo nie udzieliło słodkiego jéj uczucia: jednych, że tak powiém, zatwardziła przeciw niemu sama sztuka, tojest, iż chcąc wszędy okazać umiejętność swoję, nadużyli jéj nawet w składzie wdzięków młodości, i takim był *Buonarotti*; w innych toż samo czucie obłąkaném zostało chęcią pochlebiania zmysłom zbyt wiernym pospolitéj natury wyrazem, przysadnym jéj wdziękiem, takim był Bernini. Taż sama droga zaprowadziła Michała Anioła w miejsca dzikie i przepaściste skały, co wtrąciła Bernina w kałuże i bagna. Piérwszy znał piękność tam, gdzie ona wymaga natężenia i mocy, lecz nie znał jéj słodkiego uczucia; drugi szukał uszlachetnić nadużyciem wdzięków postacie w podłéj czerpane naturze.

Są ludzie, którym się piękność wcale nie zapewnioną zdaje, zgoła którzy wątpią o jéj zasadach. Pironizm ich opiéra się na przeciwnych mniemaniach o piękności oddalonych od siebie narodów, które różniąc się postacią twarzy, wcale odmienne mają o niéj pojęcia. Kolor czarny Murzyna nie więcéj się różni od koloru białego Europejczyka, jak rysy, z których się składa ich piękność. Nos széroki i spłaszczony, wielkie, nabrzmiałe usta, czoło wysokie, twarz széroka, otoż też same oznaki piękności dla Afrykanina, co dla Europejczyka szpetności. Oczy i usta sciągnione ku górze Chińczyków, Japończyków i dawnych głów egipskich są dla nas przywarami natury, a wdziękami dla tych narodów. Nakoniec nos zgnieciony Kałmuków, Chińczyków i innych narodów oddalonych jest podług nas obłąkaniem przyrodzenia, któremu nawyknienie w oczach tych ludów daje przyjemność naturalnéj proporcyi, a najlepiéj ukształconym nosom europejskim nadmiar karykatury. Bardziéj pozornem jak gruntownem jest takowe rozumowanie, i nie to dowodzi, że piękność w rzeczy jest różna, a zatém że jéj określić niepodobna, lecz że nawyknienie zmysłów naszych przyzwyczaja nas do wszystkiego, i w mylne wprawia mniemanie.

Rodzaj ludzki ma sobie właściwą i od natury ustanowioną formę, od któréj im się więcéj oddala, im się więcéj zbliża do zwierzęcéj, tém bardziéj zbocza od piękności człowieka. Wszystkie przywary, któreśmy powyżéj wytknęli, oddalają się od szlachetnych form człowieka, a do zwierzęcych zbliżają. Wargi wyniosłe i nabrzmiałe, wspólne Murzynom z małpami ich kraju, są wyrośnięciem i nabrzmiałością, przez zagorzałość klimatu sprawioném. Podobnież małe oczy zbyt południowych, lub zbyt północnych ludów są niedoskonałością, którą klima zbliża ludzi do zwierząt. Im się bardziéj posuwa natura ku ostatnim granicom swoim, tém więcéj płodzi form tylko obrobionych, i tém więcéj niemi, że tak powiem, oznacza stopniowanie i przechód od ludzkiego do zwierzęcego przyrodzenia. Przymuszona walczyć na przemiany z ciepłem i zimnem, niedoskonałe wydaje twory: tam jéj wczesne krzewy wzrastają zbyt prędko, tu poźne płody do swojéj nie dochodzą dojrzałości. Kwiaty, wystawione na upał słońca, tracą świeżość swoję, a ogołocone z jego promieni, zapachu i koloru nie mają. Lecz regularniejszą jest w formach swoich, dzielniejszą w płodach, im bardziéj ku śrzodkowi swojemu zmierza, i zamieszkuje w umiarkowanym klimacie: tam wszystko postać najprzyzwoitszą bierze, i tam jest zapewnioném rzetelne jéj dostojności siedlisko. Szczęśliwą tą krainą, gdzie się wszystko zbiegało do przysporzenia piękności, Grecya była: jakoż od tylu wieków, i za zgodném tylu narodów przyzwoleniem wzory od niéj nam zostawione stały się wzorami piękności, za któremi idąc sztuka, zawsze wielką i nadobną, odstępując ich, zawsze nikczemną i niewdzięczną była. Możemyż zatém wątpić, że jest piękność rzetelna, mająca niezmienne zasady, która tak nam do smaku naturalnie przypada, tak nam w oczach i umyśle utkwiła, że wszelkie inne jéj wyobrażenie pięknością dla nas być nie może? Twierdzenie zaś, że ona nią być nie przestaje dla narodów, które ją za taką mają, czczym się dla nas staje zarzutem; jasno bowiém wynika, że wyobrażenia nasze o piękności z greckiéj powzięte, i, że tak powiém, wyciśnione na najregularniejszych formach, są daleko sprawiedliwszemi i gruntowniéj zapewnionemi, niż ludów zgruba tylko od natury obrobionych, i więcéj, jak my, oddalonych od przedwiecznego wzoru człowieka. To co nie jest pięknem, mówi Eurypides, nigdzie takiém być nie może: przecież i my sami różnimy się w sądach naszych o piękności więcéj może, jak o smaku i zapachu, acz

o nich mniéj jeszcze jasne wyobrażenie powziąć możemy. Lecz ta uwaga nie sciąga się, jak tylko do tych, co nie rozważają gruntownie piękności; ale ci, których się ona stała przedmiotem, nie mogą być różnego zdania o jéj własnościach, bo ich jednostajność tego im nie dozwala. Zmysły nasze czują i smakują w piękności, ale ją obejmuje i rozpoznaje rozum. Organa nim władane, jeśli tracą nieco z czucia, wiele co do pewności zdania zyskują. Nakoniec, co do kształtu ogólnego piękności, prawie wszystkie narody wycywilizowane, a to we wszystkich częściach świata stale jednego były o nim zdania. Więc wyobrażenia, jakie o piękności mamy, nie mogą uchodzić za dowolne, chociaż zdać sobie dokładnéj z nich nie możemy sprawy.

Kolor przykłada się do piękności, choć nie jest pięknością: nie mało on dodaje blasku i wydatności jéj formom. A jako białość jest ze wszystkich kolorów ten, który najjaśniéj odbija promienie, i który dlatego najwięcéj uderza, ztąd pochodzi, że piękne ciało nadobniejszém w miarę swojéj białości wydaje się. Wszelako Murzyn może być nadobnym, jeśli rysy twarzy jego są pięknemi. Popiersia z bazaltu i bronzu, acz mniéj jak z marmuru białego wydatne, nie szpecą głów dawnych. —

Rozważaliśmy dotąd sprzeczne wyobrażenia piękności, a wskazując fałszywe jéj pojęcie, wskazaliśmy własności, których nie ma; lecz wyobrażenie stanowcze piękności wymagałoby tak wysokiego rzędu znajomości, że ich dosięgnąć rozumowi ludzkiemu nie jest daném; bo jeśli, jak Platon mówi, wrażenie, które piękność sprawuje, jest przeczuciem najwyższéj doskonałości; jeśli, jak temu zaprzeczyć niepodobna, piękność najwyższa przemieszkuje w Bogu; wyobrażenie więc ludzkiéj doskonali się w miarę jéj stosunku z najwyższém jestestwem. Ciężko, a raczéj niepodobna słabym jego oczom takiego jéj dosiągnąć piérwiastkowego wzoru; więc nie pozostaje mu, jak tylko mniemać, że jest łańcuch piękności, co się od jéj boskiego źrzódła aż do ziemi i człowieka rozciąga; którego gdy wyższych ogniw dostrzédz nie może, zastanowić się nad ostatniemi winien, szukać w ich stopniowaniu piękności, jakie nam odkryć jest dozwoloném, i na niéj ludzkiéj dostojności widoczne położyć zasady: inaczéj w próżnéj błądząc metafizyce, tworzyć tylko będzie czcze i niezrozumiałe mniemania. Takowe rysy, takowe zasady piękności, wyczerpała sztuka z najdostojniejszych wzorów natury, i za takie je nawzajem w własnych podała. Dzieła więc

jéj jedynie wyobrażenie piękności dać nam mogą, przystosowanéj do wszelkiego rodzaju postaci; w nich łatwo nam dostrzédz będzie, że prostota, wielkość i harmonia są piękności żywiołami, kiedy głębsze nad niemi zastanowienie się odkryć nam zdoła, przez jaki związek, przez jaką utajoną moc sztuki te połączone jéj własności piękność stanowią.

Filozofowie, którzy się zastanowili nad pięknością powszechną, szukając odkryć ją w rzeczach stworzonych, i starając się dójść do jéj źrzódła, tojest do najwyższéj piękności, osądzili, iż ona polega w doskonałéj zgodności stworzenia z celem jego, w stosunku harmonicznym części, i całości z częściami; lecz jako to określenie piękności jest jednosłownem z doskonałością, która jest przymiotem zbyt wysokiego rzędu, by przystała naturze ludzkiéj, ztąd wypada, że wyobrażenie nasze o piękności powszechnéj, jest niezakréślonem, i że się w nas składa z pewnéj liczby znajomości jednotliwych. Ten ich zbiór, jeśli jest dokładnym, daje nam pojęcie najwyższe piękności ludzkiéj, które wznosi nasz rozum, w miarę zdolności naszéj, do górowania nad materyą; czuć więc piękność jednotliwie jest nam dozwoloném, lecz niezwalczona jest trudność w określeniu ogólném i oczywistém piękności, a to z powodu, iż znajomości nasze pochodzą z porównania wyobrażeń, a że piękność nie może być porównaną do niczego od siebie wyższego. Wszelako dostrzegamy w naturze największe i najdoskonalsze jéj wzory. Dlaczegoż są one takiemi? Dlatego, że każde z nich jest całkowitością, i że ona pracuje podług rysu przedwiecznego, od którego nigdy nie zbacza. Formy od niéj wskazane są proste i bez przerwy, i właśnie dlatego, że są rozmaitemi w swojéj prostocie, znajdują się między sobą w harmonicznym stosunku. Każda piękność nabywa szczytności jednością i prostotą: to co jest wielkiém w sobie, staje się większém jeszcze przez prostotę w wykonaniu. Nie ściska się przedmiot, nie traci wielkości swojéj, kiedy go nasz rozum objąć może jednym widokiem, kiedy go zamknąć może w jednym pomyśle: przeciwnie stawa on przed nami w całéj swojéj wielkości przez same objęcia go łatwość. Dusza nasza, uradowana każdém łatwém pojęciem, powiększa się i wznosi w miarę przedmiotu, co ją zajmuje. To wszystko, co musimy cząstkowo rozważać, lub czego nie możemy zwidzieć jednym rzutem oka dla wielości części z których się składa, traci z swojéj wielkości; dlatego gmach wielki małym nam

się zdaje, kiedy jest obciążonym ozdobami. a dom mierny wielkim, kiedy budowa jego jest piękną i prostą. Piękność jest jak woda, która tém jest doskonalszą, tém zdrowszą, im mniéj ma smaku, będąc oczyszczoną ze wszystkich obcych sobie części.

Tworzenie piękności jest albo jednotliwém, tojest, wzorowaném na jedném jestestwie, albo zbiorowém, tojest, wybraném z najpiękniejszych różnych jestestw części. Powiémy więc, że układ wybranych części ku składowi w całkowitości jest tém, co pomysłowém nazywamy, ostrzegając, że rzecz pomysłową być może, a nie być piękną. Pomysłowém bowiem jest wszystko, co się od prawdy oddala, a ta nad wszystko jest nadobną. Ukształcenie piękności zaczęło się przez piękność jednotliwą, czyli przez naśladowanie jednéj ludzkiéj figury, a to nawet w wyobrażeniu bóstwa.

Piękność do wszystkich wieków należy, ale ma, jak pory roku, różne swoje stopnie. Z większém przecież ulubieniem towarzyszy ona młodości, któréj wyobrazić nadobne formy jest szczytem sztuki. Artyści znajdują snadniéj w młodości, niż w innych wieku porach, przyczynę piękności, pelegającą w jedności, w rozmaitości i harmonii. Formy nadobnéj młodości podobnemi są do spoczynku wód morskich, które w pewnéj odległości jak zwiérciadło zdają się równemi, przecież zawsze w poruszeniu toczą lekkie wały. Jako dla wielkiéj jedności form młodocianych ukończenia ich nieznacznie jedne w drugich niknąć zdają się, i że punkt wysokości jako linia, która go określa, nie może być zawsze dokładnie oznaczonym, ztąd pochodzi, iż rys młodocianego ciała, w którém wszystkie części znajdować się muszą, a nie zupełnie się wydawać, jest cięższym do wyrobienia, jak postać człowieka w mocy wieku, lub starca; w jednéj albowiem, jak w drugiéj z tych ostatnich form natura albo ukończyła rozwinięcie się dzieła swojego, albo zaczęła niszczyć jego budowę. Dlatego w tych dwóch stopniach wieku połączenie części więcéj uderza oczy, kiedy w figurach młodości wykształcenie ich między wzrostem a ukończeniem niepewném zostaje. Jakoż w ciałach mocno muskułami oznaczonych nie jestto znacznym błędem wyjść z obwodu, i zbyt mocy częściom nadać, kiedy w postaci młodocianéj (gdzie, jak mówią, lada cień ciałem się staje) najmniejsze zboczenie szkodzi harmonii i całkowitości. Ta uwaga sprostowaćby powinna zdanie tych, których więcéj uderza sztuka w figurach, gdzie muskuły i kości są mocno ozna-

czonemi, jak w młodości, gdzie wszystkie części są wydane z przyrodzoną im płynnością. Rznięte kamienie i wyciski dostarczają nam dowodów téj prawdy. Jest rzeczą pewną, że artyści dzisiejsi zdoływają przeobrazić doskonaléj głowy starców, niż nadobnéj młodzieży. Wreszcie pomnieć należy, że tu tylko jest mowa o uczuciu i ukształceniu piękności w ścisłém jéj znaczeniu, nie zaś o umiejętności rysunku, który więcéj górować w figurach mocnych, jak w delikatnych, może. Laokoon jest bez wątpienia uczeńszém, jak Apollo, dziełem. Agezander, który tę cudną utworzył figurę, może głębiéj sztukę swoję posiadał, niż snycerz Apollina; lecz ten ostatni mógł nawzajem być obdarzonym czulszą, a może i wynioślejszą duszą, bo Apollo nosi cechę szczytności, jaka w Laokoonie miejsca mieć nie mogła. Wreszcie któżby śmiał zaprzeczyć, że jeden jak drugi z tych mistrzów nie był w stanie oba te cuda utworzyć?

Natura ma swoje zboczenia: nie jest bez nich najdostojniejsze ciało; są często części, które znaleźć można doskonalszemi w pośledniejszych. Zaradzając temu biegły artysta, szczepi jak ogrodnik na drzewie, które staruje, lepszego gatunku gałęzie, albo jak pszczoła miód swój z rozlicznych sączy kwiatów. Tym szli torem artyści greccy: nie ograniczając się w jednotliwéj piękności, zewsząd rozrzucone gromadzili jéj części, jak nam to jasno rozmowa Sokratesa z sławnym malarzem Parazyuszem dowodzi. Takowy wybór nadobnych części, i stosunek ich harmoniczny zrodził piękność pomysłową, która widocznie metafizyczną nie jest.

3. O sztuce u Persów.

Sztuka Persów na szczególniejszą zasługuje uwagę tak dla wielkiéj starożytności swojéj, jak że nam różne pozostały jéj pomniki, które sądzić o niéj dozwalają. Najznakomitszym są Persopolitańskie ruiny, mianowicie zaś ta ich część, któréj Arabowie nazwisko *Tchelminar*, czyli cztérdziestu kolumn nadali, biorąc zwyczajem języka swego pewną za nieograniczoną liczbę.

Piérwszym więc i najważniejszym przedmiotem zastanowienia się naszego będą te zadumiewające ruiny, co tylu wiekom, tylu zniszczeniom przetrwały, i co obecnym są świadectwem potęgi i przemysłu narodu perskiego w czasach, w których historya jego za bajeczną uchodzi. Wszak ich ogrom i wspaniałość, co się zdają możność

ludzką przechodzić, są w oczach dzisiejszych Persów dowodem potęgi tych duchów, których najdawniejszymi mieszkańcami kraju swego mniemają, a te gmachy czarodziejskiém ich dziełem. Jakoż nie dziw, że oziębionym wiekiem i doświadczeniem narodom nadludzkiemi zdają się te prace niezmierne, które w całéj swojéj czerstwości ludzie przedsiębrać mieli.

Ruinom persopolitańskim cztéry oddziały naznaczyć można, zamknięte w rozległości półtrzeciéj mili polskiéj. Miasto, któremu dwanaście parasangów czyli mil niemieckich naznaczono obwodu, mogło całą tę przestrzeń obéjmować w sobie. Naczelna ich massa leży w *Tchelminar:* o półtoréj mili ztamtąd znajdują się te, które mieszkańcy *Istachar* zowią właściwém dawnego miasta *Persopolis* imieniem. Rozwaliny *Nageth - Eradyat,* czyli więzieniem Rudyaka zwane, między *Istachar* i *Tchelminar* leżą. *Nagtschi* zaś *Rustan*, czyli wizerunek Rustana, inny zbiór ruin i grobów o milę tylko ku północy od Istacharu jest oddalonem. Te wszystkie budowy nie ustępują sobie w starożytności, ile po ich widocznych stosunkach sądzić można; lecz nad inne uderzają ruiny *Tchelminar* zwane, jakotéż kute w skałach groby, i ku nim mianowicie powołujemy czytelnika baczność.

Budowy *Tchelminar*'u stoją na pochyłości góry, a raczéj skały, którą w terasy zrównano, chociaż one różnią się między sobą formą, wysokością, miarą, i nie są foremnemi: można powiedzieć, że na trzy dzielą się części, amfiteatralnie jedne nad drugiemi wznoszące się, wschodami między sobą połączone. Najwyższa z nich pięćdziesiąt stopami nad horyzontem panuje. Dlatego mur wspiérający zewnątrz terasę, nie jest wcale równym. Ku południowi ma on od pietnastu do ośmnastu stóp wysokości, ku wschodowi od trzydziestu dwóch do czterdzieści jeden, a ku północy od szesaastu do dwudziestu siedmiu w długości nieregularnéj tysiąca dwóchset stóp, a blizko siedmiuset szérokości. Mury te przypiérają do góry, co nakształt półksiężyca zamyka i opasuje trzecią część terasowéj przestrzeni. Kamienie muru są czarne i nad marmur twardsze, niektóre dotąd wielkiego poloru, a wszystkie ogromnéj wielkości; znajdują się bowiem pomiędzy niemi ciosy pięćdziesiąt dwóch stóp długości, a pospolicie od trzydziestu stóp do pięćdziesiąt dochodzą; zwykła ich szérokość jest stóp sześć. Te kamienie, po większéj części czworoboczne, tak są doskonale spojone, iż od tysiąców lat ciężko dostrzédz ich połączenia.

Dwoje wschodów daje zewnątrz przystęp do piérwszéj terasy: czołowe są podwójnemi, składają się, nie licząc odpoczynków, ze stu-cztérech stopniów z każdéj strony, tak płaskich i szérokich, że podług *Chardin*'a, dziesięciu konnych obok siebie wygodnie na nie wjechaćby mogli; ciosy zaś ich są tak ogromnemi, że zwykle w jednym dziesięć, często dwanaście, a niekiedy ośmnaście stopniów niespełna cztérocalowéj wysokości znajduje się, a to w szérokości półosméj stopy. Lecz całkowitą jakby wykutą w jednéjże skale mają one postać, bo ich spajań dotsrzédz prawie niepodobna. Dodajmy do tego, że te schody, jako téż i reszta budowy (wyjąwszy kolumny) są z najtwardszego marmuru czarnego, co taki bierze połor, że gdzie pozostał, przejrzéć się prawie w nim można, a uczynimy sobie po ich wspaniałości wyobrażenie o okazałości gmachów, do których przystęp dawały. Ale dziwniejszemi prawie są drugie wschody, choć ukryte i dla wygody tylko sporządzone, bo z jednego wykute ciosu, w liczbie trzydziestu ośmiu stopniów. Mur znajdujący się przed naczelnemi wschodami jest tak pełnym figur, że go za jeden z najciekawszych zabytków tych ruin uważać można. Nie ma on dzisiaj jak tylko stóp ośm wysokości, lecz był pewnie wyniośléjszym, jak o tém sądzić można po figurach rzędu wyższego, których tylko dolna pozostała połowa. Z każdéj strony wschodów dwa jeszcze znajdują się rzędy figur półtrzeciéj-stopowéj wysokości. W wielu jednak miejscach wyższych budowów trzy i cztéry rzędy podobnych figur widzieć można, nie licząc większych, co je niekiedy uwieńczają. U góry wielkich wschodów wznoszą się mury, do trzydziestu stóp wysokości mające. O $4\frac{1}{2}$ stóp od ziemi znajdują się na nich wykute dziwotworne zwierzęta, o których wielkości każdy po tém sądzić może, iż mają ośmnaście stóp przestworu między przedniemi a zadniemi łapami; a lubo te figury są nizkorzeźbowéj roboty, głowy ich i przednie łapy wyskakują, i są zupełnie wolnemi. Przedstawiają i dalsze mury podobnegoż rodzaju bajeczne zwierzęta, nad któremi panują napisy najstarożytniejsze oddawna już nieznanych charakterów. Posadzka wszędy jest okryta tablicami marmuru polerowanego niepospolitéj wielkości.

Jużeśmy powiedzieli, że ogólna terasa powiérzchnia jest podzieloną na trzy wznoszące się nad sobą części, połączone wschodami. Średnia zamyka w sobie wszystkie kolumny: są one z marmuru białego, mają między kapitelem i podstawą po cztérdzieści dwie stóp wysoko-

ści, a cztéry średnicy, zdają się być z dwóch sztuk nierównych złożonemi. Są one otoczone cztérdziestą wdrożonemi żłobami, podobnemi do tych, któremi porządki architektury naszéj niekiedy zbogacamy, ale zbyt drobnemi poprzecinane wpoprzek częściami. Wreszcie dzikie w rozmaitości swojéj ich uwieńczenia nie mają żadnego z greckiemi, a nawet i z egipskiemi kapitelami podobieństwa: ale raczéj przypominają te, których dodziśdnia wschodnie używają narody. Ciężko sobie w szczególności wyobrażenie tych stosów ruin uczynić, do których się więcéj jeszcze przyłożyła zapalczywość ludzi, niżeli niszcząca ręka czasu. Składają się one, mówiąc ogólnie, z wielkiéj liczby ścian, i niezmiernych słupów, często z pojedyńczych wykutych ciosów, ktorych piérwiastkowego przeznaczenia zgadnać nie podobna, a pod któremi znajduje sie niezliczone mnóstwo podziemnych pieczar, co prawdziwym labiryntem nazwać można. Wszystkie prawie ściany budów okryte są figurami ludzi, lub zwiérząt, i napełnione napisami, których charakter kludyform, czyli ćwiekowym zwany, nie jest dotąd lepiéj znanym, jak hieroglify egipskie. Ilość figur jest taka, że ich do tysiąca trzechset naliczyli podróżni, praca ich nizkorzeźbowa, a ukończenie jak najstarowniejsze.

4. Kamienie (i bronzy) rznięte, i malowania etruskie.

Znaczną mamy liczbę kamieni rzniętych etruskich, przynajmniéj stylu właściwego narodowi temu. Wszystkie te kamienie są wdrążnie ryte: bo właściwie kameów, czyli wypukło rzniętych kamieni etruskich nie znamy. Te, o których mówimy, noszą postać chrabąszczów, tojest, ż jedna ich strona tego robaka wyobraża wypukle, kiedy druga służy za pole wdrążnéj rzeźbie. Te kamienie są zwykle przewiercane w swojéj długości: lecz nie wiémy, czyli dawni zawieszali je na szyi, lub nosili, jak pierścień ruchomy, co się podobniejszém zdaje z powodu osi złotéj, która się w wydrążeniu takiego chrabąszcza znalazła.

Jeden z najdawniejszych kamieni rzniętych, nie tylko etruskich, ale ze wszystkich, co są znanemi, jest sławny krwawnik gabinetu Stosza. Ten pomnik wyobraża radę wojenną pięciu z owych siedmiu naczelników piérwszéj tebańskiéj wyprawy. Imiona ich literami, podobniejszemi do dawnych greckich, jak do tych, co się na innych dziełach etruskich widzieć dają, są obok figur. Wszystko jak najwyższéj starożytności w tym

pomniku wystawia cechę, jakoto rys i napis. Pracy delikatność, połączona z formami nadobnemi w niektórych częściach, mianowicie w nogach, oznaczają biegłego co do wypracowania mistrza; lecz figury bez żadnego wdzięku wyjawiają wiek sztuki, w którym przepisy proporcyi znanemi nie były.

Wspomnę jeszcze dwa inne kamienie piérwszego między etruskiemi rzędu: jeden, wyobrażający Tydeusza, co sobie wyrywa pocisk z nogi, jak to napis etruski oznacza; drugi wystawujący Peleusza, ojca Achillesa, myjącego w rzece *Sperchion* włosy, a równie własném oznaczonego imieniem. Piérwszy z tych kamieni w gabinecie Stosza, drugi się w Rzymie u partykularnéj znajdował osoby. Posiadam ciekawy tego rodzaju kamień, czyli on jest ręki artysty etruskiego, czyli naśladowcy greckiego, wyobrażający Mucyusza Scewolę, palącego na ołtarzu wraz z puginałem rękę, co pomyłką chybiła Porsennę.

Oprócz sztuki rycenia kamieni, okazali Etruskowie niepospolitą zręczność w rzeźbie bronzów, czego liczne dowodzą patery. Byłyto naczynia, używane do religijnych obrzędów, jakoto do libacyi wina i wody, do skrapiania miodem bądź ołtarza, bądź samych ofiar. Dawano im różne formy, lecz większa część tych nawet, które widzimy na nizkorzeźbach rzymskich, wyobrażających ofiary, są podobnemi do czar płytkich i bez uszów. Gabinet herkulański wskazuje nam różne płytkoczary, co mają rękojeści ukończone najczęściéj głową baranią. Cóżkolwiek bądź, płytkoczary etruskie, przynajmniéj przyozdobione rzeźbami, są nakształt talerzów, otoczonych małym brzeżkiem, i widocznie miały rękojeść przyprawną.—

Mówiąc o sztuce Etrusków, nie można pominąć ich malowań. Jedyny tego rodzaju pomnik dochowały nam groby dawnéj Tarkwinii, jednego z dwunastu stołecznych miast Etruryi. Groby te są wszystkie wykute w dość miękkim ciosie, tufem zwanym, i znajdują sie w Kornetańskiéj równinie, o dwie mil włoskich od morza, a o dwanaście od *Cività Vecchia*. Za wchód tym grobom służy szyja okrągła i równopadła, która się ścieśnia od dołu ku górze. W tym otworze znajdują się dziury, wydrążone w skale prawie o trzy stopy jedne od drugich. Te dziury w liczbie pięciu służą za schody do tych lochów podziemnych. Jeden z nich zamyka w sobie urnę nakształt truny podługowatéj z tegoż co grób kamienia. Sklepienia płaskawe spoczywają, stosownie do obszerności grobów, na większéj, lub mniejszéj liczbie słupów w skale kutych. Sciany i płaskosłupy tych choć ciemnych

pieczar, jakotéż ich sklepienia są przybrane mnóstwem ozdób. W niektórych malowanie nakształt fryzów wkoło krąży; widać tam także płaskosłupy ogromniejszemi figurami okryte. Większa część tych malowań wyobraża walki krwawe i niewolników mordy, mniejsza naukę Etrusków o stanie duszy po śmierci. Wśrzód tych ostatnich uderzają szczególniéj dwa geniusze czarne i skrzydlate, trzymające młot w jednéj ręce, węża w drugiéj, i ciągnące wóz, na którym się znajduje figura albo dusza zmarłéj osoby. Czasem widzieć się dają dwa inne geniusze, co długiemi młotami tłuką figurę z wozu strąconą, i na ziemi leżącą. W jednym obrazie, jak zwykle, srogie wystawującym mordy, widać króla już w wieku podeszłym z koroną zębatą, która może jest najdawniejszą, od sztuki w tym kształcie wydaną. Służy tym malowaniom za dno mocna i gruba wyprawa. Dość się ich jeszcze widocznych znajduje, lecz te, do których powietrze i wilgoć przystęp znalazły, spełzły po większéj części.

5. Kamei, wiédeńska i paryzka.

Uczony Mafei osądził czarę Farnezych za najcelniejszy w swoim rodzaju pomnik; zmienił wszakże poźniéj zdanie, i tę pierwszość kamei wiédeńskiéj słusznie przyznał. Niemniéj jest sławnym ogromny agat, niegdyś w Świętéj kaplicy paryzkiéj, dziś w zbiorze cesarskim się znajdujący. Wyobrażają one obadwa tak zwane apoteozy czyli wniebienia dwóch następnych cesarzów, a raczéj emblematyczne wizerunki ich rodziny, to jest, wiédeński Augusta, a paryzki Tyberyusza. Ostatni jest nieco większym, bo pewnie całkowitéj stopy dosięga wysokością na dziesięciocalowéj szérokości; lecz wiédeński zdaje się jeszcze doskonalszéj pracy. Wreszcie oba są naczelnemi sztuki dawnéj w tym rodzaju pomnikami bądź dla samego ogromu, bądź dla piękności materyału, bądź dla wielości figur i równie doskonałego ich składu, jak pracy. Agat paryzki wyobraża, jakeśmy już namienili, Tyberyusza wśrzód swojéj rodziny i innych figur, których liczba do 24 dochodzi. W czasach grubéj niewiadomości mniemano, iż on przedstawia tryumf Józefa, i z téj przyczyny Karol V., król francuzki umieścił go w Swiętéj kaplicy. Lecz jakożkolwiek ten kamień jest szacowanym, nie wahają się znawcy piérwszeństwa co do sztuki wiédeńskiemu przysądzić.

Rzeźba kamienia tego jest podzieloną na dwie części, z których wyższa przedstawia wniebienie Augusta, albo raczéj rodzinny wizerunek, w którym składające go osoby są wyobrażonemi pod rozmaitemi bóstw dawnych oznakami. Sam August siedzi we środku. Postać jego jest ojca bogów, jako to cały skład figury, i orzeł u nóg jéj umieszczony wskazuje. Gdyby podobieństwo twarzy jego nie było medalami zatwierdzoném, jeszczeby go łatwo poznać po znaku koziorożca, umieszczonym obok głowy jego; wiémy bowiem od dawnych pisarzów, że koziorożec był ulubioną oznaką Augusta. Część niższa kamienia jest obrazem allegorycznym odniesionych przez niego nad barbarzyńskiemi narodami zwycięztw. Kamień ten z dwóch składa się pokładów; spodni jest pięknym nader sardonikiem, na którym spoczywają figury ryte na łożu białości delikatnéj, i prawie przezroczystéj. Wyborność rysunku, doskonałość składu, piękność fałdowań, wysoki ukończenia stopień oznaczają dzieło artysty piérwszego rzędu, i godnym go czynią ręki Dyoskorydesa, sławnego czasów Augusta drogich kamieni rycennika, któremu go przypisuje uczony Mafei. Jakoż prócz epoki, do któréj należy, nie wielka wypukłość figur, słodka ich i w najwyższym stopniu ukończona praca, właściwe temu wielkiemu artyście cechy, nie mało wagi dodają Mafejego mniemaniu. Cóżkolwiek o tém bądź, wiémy, że drogi ze wszech miar ten starożytności pomnik Filip Piękny, król francuzki nabył w Palestynie od kawalerów Jerozolimskich S. Jana, i zapisał mniszkom w *Poissi*, zkąd podczas wojen domowych do Niemiec przeszedł, gdzie go cesarz Rudolf II. kupił za dwanaście tysięcy czerwonych złotych, summę niezmierną na owe czasy, i prawie do wiary niepodobną, gdyby szlachetna miłość książęcia tego ku płodom sztuk pięknych znaną nie była.

6. Laokoon.

Po utracie dzieł sztuki wieku doskonałości, pomnik jéj najdroższy, który nam całkowity pozostaje, jest Lakoonta. Nie mamy atoli innéj przyczyny przypisowania go wiekowi Alexandra, jak jego wyborność. Pliniusz przenosi go nad wszystkie inne płody tak snycerskiéj, jak malarskiéj sztuki. Rzeźbiarze Laokoonta są: Agezander, Polidor i Atenodor, Rodyjczykowie. Mniemanie powszechne czyni piérwszego ojcem dwóch drugich. Jakoż w Willi Albanich znajduje się pod-

stawa statui z tym greckim napisem: Atenodor, syn Agezandra zrobił ją. Grono Laokoonta zdobiło niegdyś pałac Tytusa: niejaki Felix *de Fredis*, Rzymianin odkrył go za Juliusza II., co mu w nagrodę pensyą dożywotnią wyznaczył, w zamian której Leon X. dał mu urząd sekretarza apostolskiego. Pliniusz twierdzi, że Laokoon był wypracowanym z jednéj sztuki marmuru, i rzecz ta tak mu się zdawać mogła, ponieważ wtedy wszystkie jego części doskonale łączyły się: lecz czas odkrył nieznaczne prawie spojenia, które okazują, że starszy z synów był osobno wypracowanym, i do grona przydanym. Ramię prawe Laokoonta, na którém zbywało, z gliny przez Berniniego dorobione, miało być z marmuru ręki Michała Anioła, który go obrobił, ale nie ukończył. To ramię, opasane dwoma wężami, zginałoby się ponad głową Laokoonta, gdyby na swojém miejscu umieszczoném było; przeciwnie Bernin wyciągnął go ubocznie ku górze, aby głowę wolną i niezasłonioną żadną inną częścią ciała zostawił.

Pomiędzy niezmierną liczbą posągów, które Rzym wydarł Grecyi, Laokoon piérwsze trzyma miejsce. Sławne to dzieło, uważane od starożytności jako najdoskonalszy płód sztuki, tém więcéj zasługuje na uwagę i zadziwienie potomności, że od tylu wieków nic nie wydała, coby mu porównaném być mogło. Filozof znajduje w niém obszérne do rozwagi pole, a artysta, niewyczerpany przedmiot nauki. Przecież pilnie uważające go oko łatwo się przekona, iż Laokoon więcéj ukrywa, niż wyjawia piękności, i że pojętność jego mistrza wyższą jeszcze nad dzieło była.

Wystawia nam Laokoon widowisko natury pogrążonéj w najżywszéj boleści, pod postacią człowieka, co gromadzi przeciw niéj wszystkie siły duszy swojéj. Kiedy ciérpienie natęża muskuły i ściąga nerwy jego, jaśnieje umysł uzbrojony stałością, wyryty na pomarszczoném wiekiem czole; pierś jego przyduszona oddechem ściśnionym i przez srogi obarczona przymus, wznosi się z ciężkością, by zawrzéć i w sobie zamknąć boleść, co ją dręczy. Jęczenia, które on tłumi, i oddech, który wstrzymuje, wycieńczają niższe części ciała, zagłębiają biodra, i że tak powiém, widzieć dają wnętrzności. Wszelako własne jego ciérpienia zdają mu się być mniéj ciężkiemi, niż synów, co ku niemu ręce wznosząc, wzywają ratunku. Miłość ojcowska Laokoonta widzieć się daje w wejrzeniu jego: litość osiadła na powiekach nakształt ciemnéj chmury. Twarz wyraża żal i skargi, nie krzyki i bluźnierstwa;

oczy ku niebu zwrócone wzywają najwyższego wsparcia. Usta tchną osłabieniem; lecz w wardze wyższéj, ku górze sciągnionéj do tego osłabienia łączy się uczucie bolesne. Twarz cała wyraża ciérpienie, pomieszane z zadumieniem nad tak niesłuszną karą, i wymawiać zdaje się bogom ich srogość, nie dla siebie, lecz dla dzieci powołując ich litości. Widać w niéj wyobrażoną z najwyższą biegłością walkę między ciérpieniem i odporem, co się jakby w jednym punkcie zgromadzone znajdują; bo kiedy boleść brwi wznosi, stałość nad wyższą częścią oka cisnąc ciało, zniża je ku górnéj powiece, i całkiem ją niém okrywa. Artysta nie mogąc przyozdobić natury, starał się dać jéj mocniejsze rozwinięcie, większe natężenie, moc dzielniejszą. Tam gdzie umieścił największą boleść, tam się najwyższa piękność znajduje. Część lewa ciała, którą wąż rozjuszony śmiertelnym napawa jadem, jest częścią, która się najwięcéj ciérpiéć zdaje dla blizkości serca, lecz tak doskonale wydaną, że ją nazwać cudem sztuki można. Próżno szuka Laokoon ratunku nieszczęściu swojemu, próżno wysila wszystkie części ciała; obarcza go moc wyższa dziwotworu, co krępując Laokoonta i dzieci jego ogromnemi obwodami swojemi, związku i tragicznéj piękności dodaje temu naczelnemu sztuki pomnikowi. Gasną przy ojcu synowie: zdaje się, że sztuka całą moc swoję w téj jednéj figurze zgromadzić chciała, i że myślą jéj było, by się dwie inne przykładały tylko do mocniejszego naczelnéj wyrazu.

7. Apollo belwederski, i tak zwany Gladyator Borgezych.

Ze wszystkich płodów sztuki, które uszły niszczącéj czasu potędze, bez wątpienia najszczytniejszym jest Apollo belwederski. Artysta powziął wyobrażenie pomysłowe dzieła tego, i tyle tylko w nim użył materyi, ile mu jéj trzeba było, aby myśli swojéj widzialną nadał postać. Jak opisanie, które nam Homer zostawił Apollina, przechodzi opisania w ślady jego idących poetów, tak ta figura przewyższa wszelkie inne tego boga posągi. Wzrost jéj przenosi człowieczy, a postawa tchnie boską powagą. Wieczna wiosna, jaka panuje w Elizejskich polach, odziéwa przyjemną młodością męzkie wdzięki ciała jego, i słodko jaśnieje na śmiałéj członków budowie.

Starajmy się wznieść myśl naszę ku nadludzkim pięknościom, usiłujmy stać się tworcami godnéj niebian natury, a zmysłowe uczucia zamieńmy

ku rozwadze tak szczytnéj nadobności w najwyższe duszy pojęcia; bo tutaj nic nie ma śmiertelnego i nic podległego ludzkim potrzebom. Ciało to nie jest ożywione krwią w żyłach płynącą, ani poruszone nerwami; duch niebieski, który się po nim jak słodki strumień rozlewa, krąży, że tak powiém, po całéj jego powiérzchni, sciga Pytona, przeciwko któremu piérwszy raz natężył groźny łuk swój, dosiągnął go w porywczym biegu, i już mu śmiertelny raz zadał. Wesoły wzrok jego zdala przesięga zwycięztwo, i w nieskończoność wdziéra się. Pogarda jest na uściech jego, a wstręt, którym tchnie, nadyma nozdrze, i aż na brwiach jego osiada; lecz wieczny pokój panuje na czole jego, a słodycz oko napełnia. W żadnéj z figur Jowisza, co do nas doszły, nie widzimy ojca bogów zbliżonego do téj wielkości, w któréj się niegdyś objawił piérwszemu z wieszczków, a jaką nam postać syna jego w Apollinie wystawia. Piękności jednotliwe wszystkich innych bogów są połączone w téj figurze, jak w boskiéj p a n d o r z e. Czoło to jest czołem Jowisza, zamykającém w sobie boginią mądrości; poruszenie tych brwi wolą ich oznacza; te oczy w swoim obłąkowatym okręgu są oczami królowéj bogów, a na tych ustach rozkosz i wymowa jakby na wspólnym spoczywają tronie. Podobne do lekkiego obłoku, nadobne włosy krążą około boskiéj jego głowy, tchem zefirów z lekka powiewne, niebieską namaszczone wonią, i zniechcenia ręką wdzięku u wiérzchołka splecione. Na widok tego cudu sztuki zapominam świata i szlachetniejszą biorę postawę, bym go godnie rozważał. Z zadziwienia do zachwycenia przychodzę. Przejęty poszanowaniem, czuję, że się wznosi i przepełnia pierś moja, jak gdybym był wieszczym natchniony duchem. Przenosi mnie do *Delos* i do świętych Lycyi gajów słodkie omamienie, błądzę po nich w ślady Apollina; bo piękność jego w oczach moich tego ruchu nabiéra, co niegdyś ożywiał nadobne Pygmaliona dzieło. Jakże cię opisać, o nieporównany cudzie sztuki! Nie wydoła temu żadne pióro, chyba że go natchnie i prowadzić będzie ta szczytna moc sztuki, co ciebie utworzyć zdołała. Lecz te jakieżkolwiek rysy, słabéj ręki dzieło, składam u nóg twoich, jak ci, co nie mogąc dosiągnąć szanownéj głowy bóstwa od siebie czczonego, u nóg jego składają kwiaty, któremiby ją uwieńczyć radzi.

Statua, znana pod oczywiście fałszywém nazwiskiem G l a d y a t o r a B o r g e z y c h, zdaje się być, sądząc o tém z formy liter napis jéj składających, najdawniejszą z tych, co się w Rzymie z imieniem artysty

znajdują. Nie zostawiła nam potomność nawet wzmianki o Agazyaszu, mistrzu tego naczelnego dzieła, lecz ono najrzetelniejsze świadectwo rzadkiéj jego biegłości oddaje.

Apollo i kadłub belwederski wystawują pomysłową szczytność w najwyższym jéj stopniu, grono Laokoonta naturę wzmocnioną i przyozdobioną pomysłem i wyrazem, kiedy wartość posągu, o którym mówimy, polega w zbiorze piękności przyrodzonych dojrzałego wieku bez żadnéj wymyślonéj pomocy. Poprzedzające figury są nakształt poematu epicznego, które przechodząc od rzeczy podobnych poza granice prawdy, prowadzi do cudotworstwa, kiedy ta, o któréj mówimy, do historyi podobna, jasną prawdę wystawia zapomocą najpiękniejszego wyboru myśli i wyrazów: skład głowy oczywiście dowodzi, że jest wizerunkiem prawdy i natury. Cała fizyonomia oznacza człowieka, co po upłynionym kwiecie młodości doszedł dojrzałości męzkiéj: budowa członków jego odkrywa nam ślady życia ciągle czynnego, i widzieć daje ciało zahartowane pracą.

Dzielą się względem znaczenia téj figury starożytników zdania. Niektórzy widzą w niéj dyskobula, tojest, ciskacza dyska, czyli wielkiego metallowego kręgu, lecz postawa téj figury nie zgadza się z tém mniemaniem; bo ten, co chce krąg rzucić, ciało wtył chyli. Rzeczą bowiem jest pewną, iż w momencie, w którym co ciskamy, moc ciała odpoczywa na prawéj nodze, kiedy lewa w nieczynności zostaje; tu przeciwnie cała figura ku przodowi chyli się, i odpoczywa na lewéj nodze, kiedy prawa wtył sciągnięta, w całkowitém widzieć się daje przedłużeniu. Ramię prawe jest dzisiejsze, a ręka trzyma ułamek dzirydy; na lewém ramieniu widać rzemień od tarczy, co go okrywała. Kiedy uważamy, że głowa i oczy są ku górze zwrócone, i że ta figura zdaje się zasłaniać puklerzem od niebezpieczeństwa z góry jéj zagrażającego, mamy powód do mniemania, iż wyobraża wojownika, co się szczególniéj popisał w jakim niebezpiecznym razie. Dotego, ile wiémy, nigdy żaden gladyator posągiem w Grecyi zaszczycony nie był, a dzieło, o którém mówimy, dawniejszém jest nad poźne wprowadzenie gladyatorskich igrzysk do tego kraju. Podług niektórych domysłu, posąg ten wyobraża sławnego Ifikratesa, wodza ateńskiego, który odniósłszy znaczne nad nieprzyjacielem zwycięztwo, a to zapomocą nowo przez siebie wynalezionego wojennego obrotu, co wraz był obronnym i zaczepnym, otrzymał w nagrodę posąg w téj go wyobra-

żający postawie. Cożkolwiek bądź o tym domyśle, wyznać należy, iż przystosowanie jego z postacią, ruchem, a nawet stylem téj wybornéj figury zgodniejszém jest, niż nadane jéj gladyatora imię.

8. Posąg konny Marka Aureliusza.

Posąg konny Marka Aureliusza, nad któren w swoim rodzaju nic nam doskonalszego nie zostawiła starożytność, ani nie spłodziły wieki następne, świadczy wysoki stopień sztuki za czasów jego. Tu pomysłowa piękność ustępuje naturze: lecz ta natura choć wiernie wydana, jest tak szlachetną, że się w nieporównanéj swojéj prostocie pomysłową zdaje. Figura Marka Aureliusza jest pełną szlachetnéj powagi, co równie panu świata, jak mędrcy przystoi. Ruch zaś i życie konia są tak prawdziwemi, że sławny naczelnik snycerzów dzisiejszych, *Michel Angelo,* przechodząc około niego, zwykł był mówić: „Ruszaj!“ Formy konia w oczach prawdziwych znawców doskonałego toku znalazły w czasach naszych naganę: śmiano nawet z tym szlachetnym koniem nie tylko porównać, ale wyższość nad nim przyznać skoczkom, na jakich podobało się niektórym dzisiejszym snycerzom umieścić rycerzów swoich. Ruch gwałtowny, który im tak nieprzyzwoicie nadać usiłowali, zmuszonym, a nawet zimnym jest w oczach znawcy, przy pełnéj życia, choć spokojnéj konia Aureliuszowego postawie. W piérwszych jezdcę, co niesfornego pędzi lub dociéra konia, tu widzimy cesarza i mędrca, co do świata i wieków mówić zdaje się. Lecz pocóż się dłużéj rozszérzać nad zbyt znaném dziełem, któremu zazdrośna krytyka sławy jego, a co większa rzetelnéj wartości odjąć nigdy nie zdoła? Dość będzie dodać, że ten posąg jest z bronzu, i że był złoconym. Pomścił się czas nad przepychem złego smaku, każącym piękne to dzieło, i zaledwie ślad nad nim pozłoty zostawił. Posąg ten, dziś plac kapitoliński zdobiący, piérwiastkowie na placu S. Jana Laterańskiego wzniesionym był; bo tam stał dom, w którym się Marek Aureliusz urodził. Figura jego poźniéj, niż konia, odkrytą bydź musiała; w pismach bowiem wieków średnich, mianowicie w życiu sławnego *Cola di Rienzo,* o koniu tylko znajdujemy wzmiankę, którego koniem Konstantyna zwano. Wtedy w wielkich uroczystościach nozdrze jego za wytryski wina i wody służyły.

Czuli w grubych nawet owych czasach cenę pomnika tego Rzy-

mianie. Senat ich bowiem rokrocznie ofiarował bukiet kwiatów kapitule S. Jana Laterańskiego, jako daninę, przez którą uznawał starożytne jéj prawo do tego sławnego posągu, a ten gdy do kapitolium przeniesionym został, ustanowiono urzędnika publicznego z płacą miesięczną skudów dziesięciu, pod imieniem stróża konia, *custode del cavallo*.

40. Aloizy Feliński.

W dawnej Wołynia stolicy, Łucku urodził się ziemskiemu sędziemu r. 1771. syn, Aloizy. Sędzia ten, Osowy i Wojutyna właściciel, był Tomasz Feliński. Chował on starannie piérwsze to dziécię. Lubiony w sąsiedztwie, obywatel dobry i biegły prawnik, uczęszczał do Porycka w dom Czackich. Brał z sobą i syna, a młody Aloizy poznał się ze starszym o pięć lat Tadeuszem. Zachęcano ojca, aby chłopca, w którym już wtedy zdolności postrzegano, oddał wcześnie na nauki; zawiózł go więc do Dąbrowicy, i poruczył staraniom księży Pijarów. Uczeń był pilny i pojętny; od książek szkolnych brał się do dzieł słynących w kraju rymotworców, i rwał się w ich ślady. Utyskuje w latach późniejszych na tę skwapliwość, i pali rękopisy z lat owych. Najdawniejszym tworem, który nas doszedł, jest powieść przerobiona z Woltera: Jasio i Mikołajek. Pisał ją zaraz po wyjściu ze szkół dąbrowickich. Kto lubi talent pisarza rozważać w jego pierwocinach, podoba sobie w uwadze, którą jedna z miłych Felińskiemu osób zrobiła: „Osobliwszato“ mówi ona „że w geniuszu świetnym, ale świetnym zaletami całe innego rodzaju, pietnastoletni młodzieniec umiał wybrać płód, tchnący tak czystą i tak ujmującą obyczajnością.“ Wybór ten był przepowiednią talentu, który w tworach swoich moralność i przyzwoitość miał na szczególném baczeniu, i nigdy się niczém nie splamił. Jeszcze przed ukończeniem szkół w Dąbrowicy odumiéra go ojciec. Sam udaje się na nauki do Włodzimiérza. Po ukończeniu nauk wzywa go Tadeusz Czacki ku pomocy w pracach publicznych. Pamiątkę wdzięczności i uwielbienia dla tego męża zostawił w swoich pismach. Rzuciwszy myślą w one lata, mówi:

Czacki, którego czułe nademną staranie
Nigdy zgładzone z serca mego nie zostanie,
A którego zasługi i cnotę niezłomną
Wdzięczni Polacy zawsze z uwielbieniem wspomną;
Czacki, co chęcią sławy zagrzany szlachetną,
Na usługach krajowych spędził młodość świetną;
Przykładem mi do pracy dodając ochoty,
Kierował moje kroki do nauk i cnoty.

Od roku 1791. jako uczyciel Jana Tarnowskiego w Warszawie oddaje się swobodnie pismiennictwu, gromadzi wkoło siebie młodzież, wprowadza miasto

rozrywki zwyczaj czytywania spólnie dobrych pisarzów i robienia nad nimi uwag pisemnych, zachęcając ku temu własnym przykładem. Na jego prożbę wzięty dawniejszy spółuczeń jego w konwikcie dąbrowickim, Łukasz Gołębiowski do Warszawy, zostaje przy Czackim, a w Felińskim znachodzi przyjaciela, dobroczyńcę i opiekuna. Ze zmianą okoliczności wraca do Wojutyna. Podeszła matka, niedorosłe rodzeństwo, gospodarstwo i przyjaciele zajmują go teraz całkowicie.

We wsi Osowie, którą mu matka na własność wydzieliła, urządza małe swe gospodarstwo. Delil wydał Ziemianina; zajął się jego przekładem Feliński. Już w roku 1801. pisze do Wyszkowskiego: „Przeczytaj Dmochowskiemu moje dawne tłumaczenie piérwszéj pieśni *L'homme de champs*; przyślijcie Polesiakowi swoje poprawki, a nadewszystko zdrową radę, czy warto, żebym to przekładał daléj.“ Usłużni przyjaciele podkréślają rymy, przetrącają wyrazy, obstrzygają okresy, łagodzą epiteta, kasują słowa zdrobniałe i t.d. i t.d. Całą ich wybrydność przyjmuje chętnie nasz tłumacz, ściśle się do niéj stosując. W roku 1803. zagrzéwa spółobywateli ku zakładaniu uczelni listem do Czackiego, i zajmuje się na wezwanie petersburskiego Ekonomicznego towarzystwa opisaniem części Polesia w powiecie luckim. Po dziewięcioletniém piłowaniu, gładzeniu i odlewaniu całkowitych pieśni, kończy nareszcie w roku 1809. *Ziemianina*. Towarzystwo Przyjaciół Nauk w Warszawie robi go swoim członkiem. Rzuca się teraz w inne pole. Rasyn, ów niezrównany ideał, o którym od dzieciństwa marzył, uderzył go świéżo przez swoich zwolenników. Bierze się do tragedyi. Jeszcze w tym roku gromadzi materyały do Barbary, a 20. sierpnia 1811. przesłał ją przyjacielowi. Ta robota, jak ją wówczas skromnie nazwał, sprawia na przyjaciołach nadzwyczajne wrażenie. Wyrywają ją sobie, przepisują, uczą na pamięć, i ledwie po kilku leciech chwalenia wypatrują w niéj coś z błędów. Pochwałom nie zewszystkiém dowiérza. Wniknął głęboko w siebie, i napisał przyjacielowi: „Mam już dosyć prac moich na dwa tomiki. Ludwik Osiński mi przygania, że za nadto hybluję moje wiérsze.— Wszystko mrze wokoło mnie, co zemną żyło. Kto wié? — Edycya pośmiertna — Zajmież się mojemi szpargałami kto? i jak?“

Takowe uwagi skłaniają go do wydania pism swoich. Po chwili wahania się co do miejsca druku zgadza się na Warszawę, i pospiesza tam z końcem roku 1815., ukończywszy obszérną rozprawę *O pisowni*, do któréj ze znanéj sobie w rękopismie Rozprawy Franciszka Szopowicza wziął pochop. Świetnie przyjmuje go stolica. Wyrywają go sobie uczeni; zapraszają towarzystwa wyższe; panie ubiegają się o zaszczyt uczenia się od niego języka polskiego; wzywają do swego grona krytycy; kommissya wreszcie oświécenia w królestwie jednocześnie z uniwersytetem wileńskim ofiarują mu nadaremnie katedrę literatury ojczystéj. Byłato sprawiedliwa nagroda pisarza, który obywatelstwem, zdolnościami, a nadewszystko pracowitością o wiele innych przewyższał.

Już dawniéj młodzi pisarze: Sieńkiewicz Karol, Zaborowski Tymon, i inni mieli w nim uprzejmego poradźcę i wyrozumiałego sędziego. Książę Adam Czartoryski wzywa go teraz na dyrektora szkół krzemienieckich, a razem nauczyciela

polskiéj literatury, i oddaje mu dyplom na członka honorowego wszechmi wileńskiéj. —

Omylne są ludzkie sądy. Spółczesny zwał go najpiękniejszym poetą, a jego Barbarę, ile możność ludzka starczy, doskonałą polską tragedyą; niezbyt odległy potomek zwie tę tragedyę zaledwie francuzkopolską, a jéj twórcę najlepszym rymownikiem. Tamten uwielbiał wzniosłość charakterów, szlachetność myśli i niezrównaną doskonałość dykcyi; ten widzi charaktery słabo i jednostronnie schwycone, zarzuca brak zupełny tła wiekowego, niedopatrzenie się w dziejach rodowych, umazanie całego dramatu jednym żywiołem, który wyłącznym nie był, miłością; a w dykcyi nachodzi nierzadko czcze wygłaszanie, przymus i niestowność. Nie jest on twórcą samodzielny, który całemu wiekowi nowy kierunek i barwę nadaje; lecz pisarz zdolny, który w duchu spółczesnych pojęć szereg prac ojczystych do ostatecznych krańców posuwa przez drama.

Dzieła Aloizego Felińskiego (Wydanie nowe), Tom I. i II., w Wrocławiu r. 1840.

(Główniejsze przedmioty w tychże zawarte są: A) wiérszem: 1.) Barbara, tragedya oryginalna; — 2.) Radamist i Zenobia, tragedya, naśladowana z Krebillona; — 3.) Wirginia, tragedya, naśladowana z Alfierego; — 4.) Ziemianin, czyli Ziemiaństwo francuzkie, poema, tłumaczone z Delila; — 5.) Pienia przy mszy świętéj: — B) prozą. 1.) O pisowni; — 2.) O wiérszowaniu, czyli budowie wiérsza polskiego, i o poetach polskich od panowania Zygmunta I. aż do naszych czasów; — 3.) Dyalogi, czyli rodzaj rozmów; — 4.) O listach; — 5.) Listy; — 6.) Wykład sposobu, jakim dawane być mają lekcye literatury polskiéj w Krzemieńcu.

Prócztego wydał: 7.) Opisanie ekonomiczne części Polésia, w powiecie łuckim; 8.) Filozoficzny rzut oka na dzieje starożytne.)

Z życiorysu, umieszczonego na czele tomu I. Dzieł Felińskiego.

A). Barbara, tragedya oryginalna.

Osoby.

August (Zygmunt), król polski.
Barbara, żona jego, córka księcia Radziwiłła (Jérzego), hetmana wielkiego księstwa Litewskiego.

Bona, matka Augusta, z domu Sforcych, książąt medyolańskich.
Izabella, siostra Augusta, wdowa po Janie Zapoli.
Tarnowski (Jan), hetman wielki koronny, kasztelan krakowski.

Akt I.

Scena II.

Izabella, Barbara.

Barbara.

Ach! po wieluż to latach, i w jakiéjże chwili
Zjawiasz się utęskionéj, Izabello droga!
Kiedy mię niespokojność otacza i trwoga,
Kiedy się przeznaczenia mego szala waży,
Niebo mię wraca twojéj opiekuńczéj straży. —
Ach! ileż mię twój odjazd nabawił boleści!
Ileż poźniéj o tobie rozsiéwane wieści
Powiększały drżącego serca niepokoje!
Ileż mi wycisnęły łez nieszczęścia twoje!

Izabella.

Wierzaj mi, w losu mego przemianach ustawnych,
W gmachach królów, w pustyniach mém tułactwem sławnych,
W pomyślności, w niedoli, w blasku i żałobie
Wszystkie się myśli moje zwracały ku tobie:
Dziś odzyskuję, z wami nakoniec złączona,
Szczęście, które mi była wydarła korona.
Nic mię już nie rozdzieli z tobą, z synem, z bratem;
Miejsce, gdzie wy jesteście, będzie dla mnie światem.
Lat kilka, którem w obcéj krainie przeżyła,
Dały mi żywiéj uczuć, jak ojczyzna miła:
Dziś jéj szczęście i moje będzie dopełnione,
Gdy na twych skroniach polską ujrzymy koronę.

Barbara.

Co? gdy w niespokojnościach, w udręczeniach, w trwodze,
Po niebespieczeństw pełnéj postępuję drodze,

Gdy wsparcia i pociechy szukam na twém łonie,
Ty mówisz mi o szczęściu? mówisz o koronie?

Izabella.

Tak, ufam w słuszność niebios i w cnotę rodaków:
Najgodniejszą korony dziś uwieńczy Kraków.
Skoroś piérwszy w Auguście roznieciła płomień,
Błysnął był memu sercu téj nadziei promień:
Lecz go rozprószył w krótce rozsądek surowy.
Ojca mego z cesarzem widziałam umowy;
Już on miał od Elżbiéty obietnicę ręki
Dla syna, który skrycie twe ubóstwiał wdzięki.
Samam się téj miłości przeciwiąc otwarcie,
Chwiejącéj się odwadze brata niosła wsparcie.
Ileż razy gromiłam te łzy i wzdychania,
Uwieńczonego dzisiaj początki kochania!
Wkrótceś ty moją trwogę poznała tajemną,
I przeciw Augustowi złączyła się ze mną.
W dzień spełnienia wzajemnéj królów obietnicy,
Gdy nas wszystkich powołał z Wilna do stolicy,
Z sobą cię wzywającéj, odmawiając Bonie,
Z żalem dworu zostałaś na swych krewnych łonie.
Rozdział ten duszy mojéj długie przyniósł smutki;
Lecz szanowałam twego oporu pobudki,
Zwłaszcza że czytać w sercu Barbary nawykła,
Już byłam twoje walki wewnętrzne przenikła.

Barbara.

Sądź, jak niebespieczeństwa były podwojone,
Kiedym w tobie straciła pomoc i obronę!
Z nieszczęśliwą skłonnością walczyłam usilnie;
Lecz zostałam samotna, i zostałam w Wilnie.
Miejsce, gdzie piérwszy pocisk utkwił w serce drżące
Przeciw mnie uzbrajało przypomnień tysiące.
Opuszczonego miasta ten widok ponury,
Te bezludne ogrody, te milczące mury,

Wieść o związkach Augusta, jego oddalenie,
Rozżarzały tłumionéj miłości płomienie.
Nie dość na tém! Zawzięty los chciał mojéj zguby:
Ledwo zaniósł przed ołtarz święte August śluby,
Z łona rozpaczającéj wydarłszy się żony,
Wraca objąć nad Litwą rząd mu powierzony.
Na ten odgłos drżę, biegnę, sciskam stryja nogi,
I zwierzając się moich udręczeń i trwogi,
Błagam, by mię wgłąb kraju z swą zasławszy żoną,
Przed światem i Augustem chował utajoną:
Oddalam się,— uciekam. W tak okropnym stanie
Dogodne moim smutkom znajduję mieszkanie.
W głębi lasów rozległych, dzikich i posępnych,
Na szumiącego Niemna brzegach niedostępnych
Wznosi się gmach odwieczny, ogromny, ponury,
Wodą i wysokiemi opasany mury:
W tymto grobie żyjących czas długi zamkniona,
Próżnom chciała ten pocisk wyrwać z mego łona.
Wpośród błagań do twórcy, i zatrudnień dziennych,
I wieczorów przewlekłych, i nocy bezsennych
Szukającą pokoju i ulżenia rany
Scigał zawsze i dręczył obraz ukochany.
Ileż razy odwaga, w méj duszy omdlała,
Czuła potrzebę wsparcia, i ciebie wzywała!

Izabella.

Z tobą, z rodem, z ojczystym rozłączona krajem,
Częściéj daleko do was wzdychałam nawzajem.

Barbara.

Wkrótce smutna wieść doszła i w nasze ustronie,
Że ciérpienia skróciły wiek Augusta żonie.
Płakałam czułéj, pięknéj, łagodnéj Elżbiety,
Wielkie z rodu, — z cnot większe mającéj zalety,
W obcy kraj, z łona pieszczot i blasku wyrwanéj,
Kochającéj Augusta, wzajem nie kochanéj,

Dni swoje w samotności ciągnącéj żałośnie,
I nakoniec gasnącéj w saméj życia wiośnie!

Izabella.

Czciłam ją, — nad jéj śmiercią, jak i ty, boleję,
Lecz ta śmierć twą ożywić musiała nadzieję?

Barbara.

Na chwilę (serca mego odsłonię ci skrytość)
Ośmielonéj miłości ustąpiła litość;
Lecz rozwaga na sroższą wydała katuszę
Tak długiemi walkami zmordowaną duszę.
Tych śmiertelnych udręczeń spełniłam dwa lata,
Gdym przed zamkiem ujrzała nagle twego brata:
Na czele twego pułku, świetną stalą zbrojny,
Z moim stryjem z północnéj wracał wówczas wojny.
Jakież uczułam w sobie na ten widok drżenie!
Zapłoniłam się, zbladłam, utraciłam tchnienie,
I zaledwo nieśmiałe mogłam podnieść oko
Na tę twarz, w mojém sercu wyrytą głęboko.
Na jego czole dumném z piérwszego zwycięztwa
Widziałam świtający dla Polski wiek męztwa,
A w uśmiechu łagodnym, co serce porywa,
Szczęście przyszłe rodaków czytałam szczęśliwa.
Ach! jakże trudną wówczas było dla mnie chwałą,
Odrzucić jego miłość tak czystą i stałą!
Bałam się, i pragnęłam usłyszéć wyznanie. —
Usłyszałam! Powinność przemogła kochanie.
Kilką słowy zniszczyłam nadzieje Augusta;
Lecz mój wzrok, mój głos drżący zdradził moje usta.
Odtąd w rosnącéj coraz miłości zapędzie
Śledził mnie, szukał, ścigał, i znajdował wszędzie:
Same trudności zapęd jego natężały.
Wkrótce na swoją stronę skłonił ród mój cały,
Uzbroił się stryjowskim przeciw mnie rozkazem;
Walczyłam z krwią, z przyjaźnią i miłością razem.

Jeszczem mu przywodziła na pamięć sto razy
Ojczyznę, prawo, chwałę, Zygmunta zakazy;
Jeszcze byłam gotowa (ty dasz temu wiarę)
Z uczucia najdroższego uczynić ofiarę;
Lecz nakoniec Augusta rozpacz i cierpienie,
Śmierci nad głową jego rozpostarte cienie,
Przyszłe sieróctwo Polski, przyszłe o tron boje,
Łzy rodziców, jęk ludu, i zgryzoty moje,
Inną powinność drżącéj wskazały Barbarze:
Uległam! naszą wiarę przyjęły ołtarze.

Izabella.

Jakąż ulgę sciganéj bronią zapalczywą
Przyniósł mi wówczas odgłos, że jesteś szczęśliwą!

Barbara.

Śmierć Zygmunta, nad którą płacze Polska cała,
Nadto krótkie dni szczęścia mojego przerwała.
Kiedy August, w najcięższéj pogrążon żałobie,
Jechał oddawać smutną cześć na ojca grobie,
I z bojaźnią przyjmować panowania brzemię
Po królu, co pół wieku naszą wsławiał ziemię;
Drżąca o męża losy, pozostając w Wilnie,
O tę go tylko łaskę błagałam usilnie,
Żeby mię nie otaczał blaskiem majestatu,
I szczęścia swéj Barbary nie ogłaszał światu.
Kiedy powrotu jego czekam niecierpliwa,
Niespodziany mię rozkaz do stolicy wzywa.
Drżąc żegnam drżących, wszystko nieszczęście mi wróży,
Smutną mi wieść przynosi każdy krok podróży;
Z trwogą do nieznanego przybliżam się miasta,
Na widok jego murów przelęknienie wzrasta:
Wjeżdżam, — tłum ludu niemy otacza mię wkoło,
Każde oko mnie śledzi, każde grozi czoło.
Przezcóż mogłam zasłużyć na ziomków nienawiść?
Jeśli w nich blask mój przyszły wczesną rodzi zawiść,

Zrzékam się go, żyć pragnę nieznajoma światu,
Mniéj ziomkom nienawistna, milsza twemu bratu.
Ach! czyliż przyda szczęścia ten blask zazdroszczony,
Dla siostry Izabelli, dla Augusta żony?

Izabella.

Tron ci nie przyda szczęścia, lecz nasze podwoi,
Stałość równie dziś tobie, jak i nam przystoi.
Serce króla przyspieszyć twój tryumf kazało:
Dokona on szczęśliwie, co rozpoczął śmiało.
Już Litwa Polsce cnoty ogłasza Barbary,
Czoło mężów popiéra Augusta zamiary,
Za nim jest wojsko, większa senatu połowa,
Zebrzydowskiego stałość, kanclerza wymowa,
Nadewszystko Tarnowski, — mądra jego rada
Działaniom tronu cechę dojrzałości nada.
Lecz równie, jak nadziei, przeszkód ci nie tają.
Nowy związek w stolicy na króla powstaje:
Mniéj straszne są nikczemnych zwolenników tłumy,
Bona jest najstraszniejszą. Któż nie zna jéj dumy?
Ale niebo za nami, nie trwożmy się niczém.

Scena III.

Bona, Barbara, Izabella.

Bona (do Barbary).

Tyżeś tu? z moją córką? przed mojém obliczem?
I jakiémże się czołem narażasz zuchwale
Na gniéw twojéj królowéj, i na matki żale?
Ty, co z cieniów siéroctwa i ze smutków łona
Do blasku względów moich nagle wyniesiona,
W miejscu wdzięczności podstęp knując przeniewierczy,
W pierś, co cię ożywiła, wlałaś jad morderczy?
Ty, podła zwodzicielko! poddanko zuchwała!
Coś mego syna w miłość podejściem wplątała,

W miłość, co go w dniu jednym pozbawiła chwały,
Jaką lat kilku cnoty były mu zjednały?
W miłość nieszczęsną, któréj wieść serce rozdarła
Konającego ojca, i grób mu otwarła?
Śmierci téj, która Polskę nabawia rozpaczą,
Która zasmuca trony, któréj ludy płaczą,
Tyś pragnęła, ty jedna z téj śmierci się cieszysz;
Cel wzdychań twych zbrodni — tron już osiąść spieszysz!
Nie spiesz się! Umarł Zygmunt, ale Bona żyje!
Ja to pasmo zdrad ciemnych przed światem odkryję,
Te wątłe ślepéj dumy budowy obalę,
Ciebie oddam zgryzotom, i syna ocalę.

Barbara.

Nie, pani! zgryzot serce nie dozna Barbary:
Nie ujdę prześladowań, lecz nie godnam kary.
Próżno się z wyrzutami zbrodni moich szerzysz;
Ja się do nich nie czuję, i ty im nie wierzysz.
Los, tron, i moje życie w rękach może Bony;
Lecz upodlić nie zdoła nikt Augusta żony.

(Barbara odchodzi).

Bona (do Izabelli).

I tyż, coś się z miłości dla twéj krwi wyzuła,
Na matki, brata, własną zniewagę nieczuła.
Śmiész milczeniem Barbary dumę uzuchwalać?

Izabella.

Śmiém, matko, nad niewinnéj losem się użalać.
I onażbyto mogła tronem się omamić,
Upodlić się podejściem, niewdzięcznością splamić?
Zasady jéj są święte, szlachetne, niezmienne,
A jéj serce tak czyste, jak to światło dzienne.
Któréjże córce króla, lub królowéj świata,
Śmielébym powierzyła szczęście mego brata?
Ach! gdyby te łzy moje mogły — ale nie, nie!
Widzę twój wstręt na samo Barbary wspomnienie:
Pozwól przynajmniéj córce —

Bona.

Idź, córko odrodna!
Nie mająca cnót przodków, chwały ich niegodna!
Umysł twój pospolity, słaby i spodlony
Nigdy mi się nie zdawał zdolnym do korony;
Z niéj słusznie dziś wyzuta, knuj zdradę nikczemną,
I za swoję Barbarę, jeśli śmiész, walcz zemną.
Precz mi z oczu.!

Akt II.

Scena II.

August, Tarnowski.

August.

Przyszedł nakoniec moment dla mnie upragniony,
Gdy ciężącą składając powagę korony,
Mogę ciebie powitać po długim rozdziale,
I z przyjacielem serca mówić poufale.
O ty! któryś mi dawał wzory i nauki
Trudnéj bojów, — trudniejszéj panowania sztuki,
Ty, coś mię natchnął cnoty i sławy zapałem,
Ty, którego po ojcu najwięcéj kochałem!
Ach! czemuż, gdym, dotknięty ciosy najsroższemi,
Stracił, com najdroższego posiadał na ziemi,
Gdy mię żal mój obarczył i berło dwóch ludów,
Nie mogłeś wówczas dzielić moich łez i trudów?
Chciałeś być, mimo wiekiem osłabione siły,
Gdzie nam niebezpieczeństwa największe groziły,
Gdzie Tatarzyn, Zygmunta śmiercią ośmielony,
Chciwe łupów i mordów rozpuszczał zagony:
Dopiéro, wybawiwszy przelękłe Podole,
Wracasz o państwie radzić w prawodawczém kole.
Jakiż tu opiekuńczy anioł ciebie zsyła?
Nigdy mi potrzebniejsza twa pomoc nie była;
Co mówię? gdym już królem, i zawsze, i wszędzie
Obecność Tarnowskiego potrzebną mi będzie.

Od twojéj dziś mądrości wsparcia tron mój czeka:
Szczęściem królów jest przyjaźń wielkiego człowieka.
Prowadź serce Augusta dla ciebie wylane,
Bądź mi ojcem, ja ojcem narodu zostanę.

Tarnowski.

Co? panie! twoja dusza mojéj się udziela?
Jesteś królem, i kochasz jeszcze przyjaciela?
Łzą radości napełniasz jeszcze starca oko,
Który już myślał, w żalu pogrążon głęboko,
Że jego całe szczęście, i nadzieja cała
W grobie razem z Zygmuntem zamkniętą została?
O ty! osierociałych nadziejo jedyna,
Auguście! ty utrzymasz sławę jego syna.
Te wylania się twoje, te gorliwe chęci,
Te łzy, któremi składasz hołd ojca pamięci,
Wskazują w tobie duszę królowania godną,
I są rękojmią szczęścia ludu niezawodną.
Ach! nie ostygaj nigdy w tym świętym zapale,
I panuj tak chwalebnie, jak myślisz wspaniale:
Niechaj król królów twoje przedsięwzięcia ziści,
I długo da ci zbierać prac twoich korzyści!
Wszystko ci sprzyja. Z sercem zrodzonem do cnoty
Łączysz męztwo rycerza i króla przymioty:
I oręż, i rząd w Litwie młodość twoją wsławił.
Ojciec po długoletnich trudach ci zostawił
Kraj rozszérzony, żyzny, ludniejszy, spokojny,
Wojsko wierne, waleczne, nawykłe do wojny,
I dziedzictwo ci droższe, niźli to oboje, —
Przywiązanie narodu i przykłady swoje.
Dotąd po nim łzy ludu jeszcze płyną, panie!
Osuszać je powinno twoje panowanie:
A, jeśli być nie może Zygmunt zapomniany,
Niech pod tobą nie czuje Polska króla zmiany.
Ten jest, panie, cel główny twojego zawodu!
Poprzysiągłeś w obliczu Boga i narodu —

August.

Ach! jeszcze poprzysięgam tobie, przyjacielu,
Że mając tylko dobro powszechne na celu,
Nie przestanę być nigdy wierny twoim radom,
Świętym państwa ustawom, i ojca przykładom.

Tarnowski.

Wiém ja, że twoja dusza tkliwa i wspaniała
Chęcią uszczęśliwienia ludu swego pała;
Lecz jakże rzadko ciągła wytrwałość ją wieńczy!
Na jakież wystawiony burze wiek młodzieńczy!
Ileż walk, trudów, ciérpień, ofiar i przymusów
Kosztuje piękny wieniec Trajanów, Tytusów!
Ten, komu milionów oddana opieka,
Równie być winien cnotą wyższym nad człowieka;
Musi często poświęcać narodu potrzebie
Najdroższą skłonność serca, i zrzéc się sam siebie.
Miałżebyś więc odwagę?

August.

Tak jest! mam ją stałą;
Spełnię wszystko, co z moją zgodném będzie chwałą,
Wszystko, czegoby tylko kraj przez twoje usta
Słusznie dla szczęścia swego żądał od Augusta.
Lecz się nie boję, — tak jest, tego się nie boję,
Żebyś ty mi wydziérać chciał Barbarę moję,
Ty, coś był dla jéj wsparcia, pomocy, obrony,
Jak anioł pocieszyciel od nas upragniony,
Którego od przesądów gminnych umysł wolny
Mój wybor i jéj duszę sam cenić jest zdolny,
Któryś ją cieszył, wspiérał w nieszczęściach, żałobie. —

Tarnowski.

Oddaję hołd jéj cnocie, przymiotom, osobie.
Księżniczka, któréj mężny ród w dziejach się wsławił,
Któréj ojciec chwalebną śmiercią naród zbawił,

Chlubna siostry przyjaźnią i brata wyborem,
Jest zapewne płci swojéj ozdobą i wzorem.

August.

Ach! znać ją, z nią żyć, myśli jéj przenikać trzeba,
By wierzyć, jak do bóstwa zbliżyły ją nieba!
Ta postać, co zachwyca i zniewala razem,
Jeszcze słabym jéj pięknéj duszy jest obrazem.
Gdziekolwiek zwróci jasne i łagodne czoło,
Ulgę, radość i szczęście rozlewa w około.
Jéj życia jest potrzebą cnoty miłość święta,
Namiętnością jest przyjaźn, jéj głosem natchnięta:
Ufność bez granic, szczérość i zbytek tkliwości
Są téj wyniosłéj duszy niedoskonałości.
Gdyby mi dziś wybiérać jeszcze było trzeba,
Gdyby piérwszy raz widziéć dały mi ją nieba,
Ty, co ją znasz, ty, pełen czci cnotom jéj winnéj,
Życzyłżebyś mnie żony, Polsce matki innéj?
Cóż gdy związki —

Tarnowski.

Te związki —

August.

Są prawe, są święte,
I z pasmem chyba moich dni będą przecięte.
Nic nie zdoła do podłéj zniewolić mię zdrady,
Łzy matki, wyrok sejmu, twoje nawet rady.
Lecz ty, coś wléwał we mnie twą cnotę surową,
Samżebyś mnie gorszącą skłaniał dziś namową,
Abym tę, co się dla mnie poświęciwszy cała,
Swój byt, swój los, swą sławę w ręce me oddała,
Skazując na nieszczęście, rozpacz i sromotę,
Za to karał, że w moją śmiała wierzyć cnotę?
Byłżeby godzien twego szacunku i serca
Król, gnębiący niewinność, i mąż przeniewierca?
Ale nie! ufam twojéj cnocie i przyjaźni,
Ty pochwalisz mą stałość, zniszczysz me bojaźni,

Ubespieczysz niewinność, zwyciężysz przeszkody,
I pod stopy Barbary schylisz dwa narody.

Tarnowski.

Gorliwości méj, królu, doświadczysz w potrzebie;
Nie lękaj się, bym ofiar wymagał od ciebie,
Jakichby dobro ludu i Augusta chwała
Nie koniecznie po sercu twojém wymagała.
Królowa wchodzi! Pozwól —

August.

Idź, idź na obrady;
Wyrozumiéj umysły, uprzątnij zawady
Tobie mojego szczęścia poruczam staranie.

Scena III.

August, Barbara.

Barbara.

Wszędy cię niespokojność moja ściga, panie!
Odtąd jak drżącą w mury te wstąpiłam nogą,
Wszystko mię okropnością przeraża i trwogą:
Bezpieczniejsza na chwilę, gdy ciebie oglądam,
Ledwo cię stracę z oczu, znowu widzieć żądam.
Nawet gdy zwracasz na mnie wzrok twój rozczulony,
Czarne przeczucia trują szczęście twojéj żony:
Wszystko mi wróży blizką losów moich zmianę,
Wszystko, że się na zawsze z Augustem rozstanę.
Ale pocóż te lube miejsca opuszczałam,
W których piérwszy raz słońce i ciebie ujrzałam,
Gdzieśmy złączyli serca i jestestwa swoje,
I gdzie tak szczęśliwymi byliśmy oboje?
Tu, w którą stronę spojrzę, w którą zwrócę kroki,
Same zastraszające rażą mię widoki:
Wszędzie na nowych twarzach czytam smutek blady,
Wszędzie zmawiających się spotykam gromady.

Ród mój o mnie się lęka, tłum szpiegów mnie zważa,
Tarnowski mię unika, Bona mi zagraża:
Twa siostra, co chce moje ożywiać nadzieje,
Uczy mię przez łzy częste, które skrycie leje,
Że same okropności dla mnie przewidywa,
Którym zabiédz nie może jéj przyjaźń gorliwa.
O! ty najczulszy mężu, ty kochanku drogi!
Władzco mojego losu, celu mojéj trwogi!
Nie odstępuj Barbary, ośmiel duszę moję!
Ja nie życia, lecz ciebie utracić się boję.
Jeżeli trzeba umrzéć, umrę niezachwiała;
Lecz pozwól, bym na twoich rękach umiérała.

August.

Co mówisz? żyjmy raczéj, i żyjmy dla siebie.
Jażbym cię nie obronił? jażbym przeżył ciebie?
Lecz pocóż niepewności mękę jeszcze wznawiasz?
Kocham cię, i panuję, a ty się obawiasz?
Niech się przeciw nam ziemia i piekło sprzysięga,
Żadna już nas rozłączyć nie zdoła potęga;
Dzień ten niebezpieczeństwa będzie dniem radości,
Tryumfem twojéj cnoty, tryumfem miłości.
Dziś twoje piękne czoło koroną ozdobię,
Lub dam za ciebie życie, którem winien tobie:
Dziś dwa narody będą świadkami twéj chwały,
Dziś o szczęściu Augusta świat się dowié cały.

Barbara.

Toż myślisz, że mnie może być miła ta chwała,
Którejbym z narażeniem dni twych nabywała?
Gdy niebo mi pozwala twe serce posiadać,
Nic już nie mogę zyskać, a wszystko postradać.
Zdołaż który z śmiertelnych, zdołająż niebianie,
Pomnożyć moje szczęście i moje kochanie?
O mężu! jeśli moje łzy cię zmiękczyć mogą,
Opuść ten zamysł, odwróć tę nawalność srogą,

I pozwól, niechaj, w mojém szczęśliwa ukryciu,
Nie drżę o wszystko, co mam najdroższego w życiu.

August.

I jaż mógłbym ukrywać światu bez sromoty
Tyle doskonałości, powabów i cnoty?
Jażbym zniósł, żeby na tron nie była wzniesiona
Przyszła matka Jagiełłów i Jagiełły żona?

Barbara.

Błagam cię więc, przynajmniéj odłóż te zamysły!
Pozwól, niech czas wzburzone ostudzi umysły.
Niechaj mię naród pozna wprzód, nim da wyroki,
Czym warta z tobą dzielić ten stopień wysoki;
Niechaj piérwsze twojego panowania lata,
Odkrywając tę boską duszę w oczach świata,
Natchną w lud, łaskawością twoją zwyciężony,
Że ta, którą ty kochasz, jest godną korony.

August.

Nie! dziś — umrzéć, lub stwierdzić trzeba nasze śluby.
Sama zwłoka byłaby krokiem do twéj zguby.

Barbara.

Z odwagą przyjmę niebios wyroki surowe:
Lecz zniosęż, byś ty za mnie swą narażał głowę?
Zniosęż, by moje smutne losy tamowały
Bieg świetny bohatéra w saméj wiośnie chwały?
Którego dwa narody ojcem swoim głoszą,
Który był ich obroną, i ma być rozkoszą?
Ach! opuść nieszczęśliwą.

Scena IV.

Bona, August.

Bona (do Barbary).

Zostaw nas. (do Augusta) Chcę na chwilę mówić sama z tobą.
(Barbara odchodzi).

Zbliż się, synu! i matki posłuchaj ciérpliwie.
Szczérą i śmiałą mową może cię zadziwię;
Nie przerywaj mi jednak, mając to na względzie,
Że ten mój głos do ciebie ostatni już będzie.
Ledwieś objął na grobie ojca panowanie,
Zaraz o twojéj ku mnie przeświadczam się zmianie:
Już od moich usciskań powoli odwykasz,
Taisz mi swe zamysły, moich rad unikasz,
Oburzasz się na mego znaczenia ostatki,
Masz nawet w podejrzeniu przywiązanie matki!
Co mówię? pochlebnicy chcąc twe serce skazić,
Śmieli mnie za szkodliwą tobie wyobrazić.
Niewinna, nic nie powiém na obronę swoję,
Gardzę potwarzą, gniewu twego się nie boję;
Moich tobie dobrodziejstw nie będę wyrzucać:
Nacóż cię mam zawstydzać, i siebie zasmucać?
Nie przychodzę tém bardziéj łaski twojéj żebrać:
I to, co dał twój ojciec, możesz mi odebrać.
Godniejsze ma pobudki kroku swego Bona:
Czy kochana od ciebie, czy nienawidzona,
Matką jestem, na tysiąc śmierci biegnę śmiała,
Bym w przepaść lecącego syna zatrzymała.
Lecz jeśli twoja dusza na głos prawdy głucha,
Z ust ci niemiłych rady zdrowéj nie usłucha,
Wzięłam już przedsię zamiar, i tego nie zmienię:
Nie będę dłużéj patrzyć na syna zhańbienie!
Dziś o losie Barbary ma być wyrok dany,
Dziś usłyszą odpowiedź twoje państwa stany,
Która twoich przeznaczeń szalę ustanowi.
Długoś tając twą miłość mnie i Zygmuntowi,
Sam poddankę niegodną wiecznych związków sądził,
I błądząc sam, przynajmniéj czułeś to, żeś błądził:
Teraz mówisz, żeś zawarł śluby z nią tajemne.
Czy tak jest, lub nie, w spory nie wchodzę daremne:
Łatwo się uwieść daje młodość nieostrożna,
Większyto błąd, lecz jeszcze poprawić go można.

Dziś dopiéro twój upor występkiem się stanie:
Okropne jego skutki zważ, i zadrżyj na nie.
Zaklęć i łez rodziców nie wspominam tobie;
Na matkę mało zważasz, a ojciec już w grobie.
Wymowniejsze od moich wystawią ci usta,
Ile krzywdzi ten związek Polskę i Augusta.
Wiész, jak się nań sąsiedzkie oburzają trony,
Wiész, że krwią i przyjaźnią z nami połączony
Cesarz, chce z Izabellą dzielić tron Zachodu,
Jeśli ty Jagiellonów sam nie splamisz rodu:
Wiédz jeszcze (co mi teraz powierza tajemnie),
Że córkę swego brata daje ci przezemnie.
Mamże ci świetność tego wystawiać małżeństwa?
Znasz ją sam; waż korzyści i niebezpieczeństwa.
Smutnym ojca twojego naucz się przykładem,
Jak straszna z tak potężnym nieprzyjaźń sąsiadem.
Cóż on zyskał, ślubując piérwszéj żonie wiarę,
Że nad krewnę cesarską przeniósł swą Barbarę?
Walczył odmiennem szczęściem i nierówną mocą
Lat cztéry nieprzerwanie z Wschodem i Północą:
Okrył kwiatem swéj młodzi utarczek plac krwawy,
Stracił Smoleńsk, i swojéj nadwerężył sławy.
Nakoniec z roztropności, z musu, czy z bojaźni,
Którego sam obraził, sam błagał przyjaźni;
I w murach Wiédnia pokój wznawiając przerwany,
Podwójnym związkiem Słowian połączył z Germany.
Odtąd zaczął dopiéro dni szczęścia i chwały,
Które mu ojca ludu imię pozyskały.
Lecz błądzisz, jeśli mniemasz, że podobna wina
Równeby tylko klęski sciągnęła na syna.
Zygmunta osłaniała dzieł i lat powaga,
Twój wstęp do królowania baczności wymaga:
Ojca tron był wzmocniony, twój się jeszcze chwieje;
Za nim były zasługi, za tobą nadzieje;
On zaślubił księżniczkę udzielnego państwa,
Twoja Barbara w jarzmie zrodzona poddaństwa.

Wówczas król Czech i Węgier był z krwi Jagiellonów,
Dziś brat cesarza obu posiadaczem tronów;
Maxymilian tylko był Germanów głową,
Karol dziś nad Europy panuje połową.
Toż ci Rusinów, Szwedów i Tatarów mało?
Jeszcze na bój z Germany narażasz się śmiało?
W cóż ufasz? Przez małżeństwo, coś nowe skojarzył,
Potężnym sprzymierzeńcem pewnieś kraj obdarzył?
Nie! i owszem z monarchów dawniéj Polsce chętnych
Zrobiłeś nieprzyjaciół, albo obojętnych.
Związki te więc gorliwość ziomków ci zjednały?
Nie! przeciwko nim naród oburza się cały.
Lecz na tyle walk, ciérpień, i zgryzot niestety,
Dla kogoż się narażasz? Dla jednéj kobiéty!
Dla niéj poświęcasz swoje obowiązki, chwałę,
Swój ród, swych sprzymierzeńców, tron i państwo całe!

August.

Jakże? to gdybym zgwałcił najświętszą powinność,
Stargał ślub, zdradził ufność, pognębił niewinność;
Gdybym tę przeniewierstwem sam zgubił zbrodniczém,
Któréj bronić przyrzekłem przed niebios obliczem;
Gdybym krzywoprzysięztwem podwójném zhańbiony,
Wyrzekł się kochającéj i kochanéj żony,
I zaraz inną kochać obiecywał śmiało,
Przeciw któréjby serce me się oburzało;
Gdybym w zakamieniałych piersiach na zgryzotę
Utłumił wstyd, i czułość, i wiarę, i cnotę;
Wówczasto byłbym godzien władać państwa stérem,
Byłbym wielkim człowiekiem, byłbym bohatérem?

Bona.

Nieprawne próżno prawem upoważniasz śluby,
Za hasło bierzesz cnotę, i z niéj szukasz chluby:
Miłośćto, miłość swemi uroki łudząca,
Zaślepia twoję młodość i w przepaść cię wtrąca.

Onato cię pocieszać przyrzeka do zgonu
Ze wszystkich klęsk narodu, z nieszczęść wszystkich tronu.
Ach, synu! i tyż ufasz w szczęścia tego trwałość,
Które czczym omamieniom powierzać masz śmiałość?
Zawszeż u nóg Barbary czekając wyroku,
Będziesz czytał zbawienie, albo śmierć w jéj oku?
Czyż nie zadrżysz naówczas, gdy ten blask zwodniczy,
Który ci w drodze życia sam dziś przewodniczy,
Gasnąc nagle na ciemnym obłąkań przestworze,
Wskaże ci samo ciérpień, nieszczęść, zgryzot morze?
Obyś za błąd przynajmniéj sam ponosząc karę,
Szczęśliwą przez ten związek uczynił Barbarę!
Ale, niestety! synu! mimo twojéj woli,
Ty sam sprawcą i świadkiem byłbyś jéj niedoli.
Czyżby jéj niespokojność szczęścia jéj nie strula?
Czyżby ciebie kochając, mogła być nieczuła
Na twoję hańbę jawną, na tajone smutki?
Wróć jéj, wróć to, z któregoś ją wydarł, ustronie,
A stokroć w niém szczęśliwszą będzie, niż na tronie.
Los i dni jéj ubespiecz, zapomnij o wdziękach;
Wszystko jeszcze poprawisz, wszystko w twoich rękach.
Jednego mi niebiosa dały tylko syna!
W nim moja rozkosz, chwała, pociecha jedyna:
Jakież, prócz jego szczęścia, znam szczęście, o Boże?
On mi sam łzy wycisnął, sam je otrzéć może.
Wzrok mój, który okryją wkrótce wieczne cienie,
Oby jeszcze — lecz widzę twoje rozrzewnienie.
Idź, idź! głos cię narodu zmiękczy doostatka:
Samo niebo dokona, co zaczęła matka.
Niech wyrok twój uśmierzy wzburzone umysły:
Pomnij, że dwóch państw losy od niego zawisły.

(August wychodzi).

B).

1. O wiérszowaniu, czyli budowie wiérsza polskiego.

We wszystkich językach, które nie mają na każdą zgłoskę wyraźnego i pewnego iloczasu (jaki mieli harmonijni Grecy i Rzymianie), skoro tylko zaczęto składać wiérsze, zaczęto używać rymy. Przypuściwszy (podług niektórych mniemania), że Francuzi wzięli rym od Prowansałów, Prowansale od Maurów, Maurowie od Arabów, wypadałoby jeszcze dochodzić: zkąd go miały północne narody przed wtargnieniem do Europy Arabów? zkąd miało tyle krajów i wysp nieznanych Arabom? zkąd go nakoniec wzięli Arabowie sami? Lecz nie zaciekając się w niepewne śledzenie ciemnych rymu początków, dość nam wiedzieć, że ślady jego bardzo dawne znajdujemy po rożnych stronach świata w grubych piosnkach i w najniezgrabniejszych zarodach poezyi najdzikszych nawet ludów. Natchnienie to, że tak powiém, natury, potwierdził poźniéj gust i rozsądek, potwierdziło doświadczenie wieków. Daremnie usiłowano u nas i we wszystkich prawie narodach Europy albo wprowadzić wiérsze metryczne czyli miarowe, jakie były u Greków i Rzymian, albo przestać na wiérszach białych czyli bezrymowych, jakie u nas pisał Opaliński. Obie te nowości upadły. Piérwszą uznano za płonny wymysł głów zapalonych, drugą za maskę lenistwa, lub niezdolności. Dzisiaj po Tassie, Rasynie, Popie, Trembeckim któżby chciał pisać wiérsze białe, a nadewszystko któżby chciał je czytać? Według wszelkiego więc podobieństwa wiérsz, jaki stał się już pospolity w Europie, zostanie takim na zawsze: dosyć obszérny będzie dla nowych poetów zawód chwały, uczynić go, jak tylko być może, najdoskonalszym. Lecz w jakimże języku wiérsz rymowy przyjść może do najwyższego doskonałości stopnia? Na to pytanie odpowiadam śmiało: w dyalektach słowiańskich. Wszystko, cokolwiek napisano i napisać jeszcze można na dowód, że mechanizm tych dyalektów jest bez porównania doskonalszy, a niżeli mechanizm wszystkich innych języków nowotnych, służy razem za dowód mego twierdzenia. Dyalekta słowiańskie, przypadkując przez odmiany zakończeń, mając więcéj rozmaitości w czasowaniach, i nie potrzebując za każdém słowem *(verbe)* ciągnąć tak często, tak długich i z kilku jeszcze złożonych słów posiłkowych, mając trzy rodzaje, które nie tylko w przymiotnikach, ale czasem i słowach *(verbes)* przy-

biérają osobne zakończenia, mogąc stopniować przymiotniki, przysłówki bez dodawania jednego lub dwóch przysłówków, słowem, dyalekta słowiańskie, mając w składni, w szyku, i we wszystkich odmianach grammatycznych wiele podobieństwa z językiem łacińskim i greckim. a nadto mając wiele bogactw i korzyści im samym tylko służących, nie krępują wiérszopisa temi więzy, nie zastawiają mu tych zawad i przeszkód, na jakie poeci innych narodów słusznie się skarzą.

Ztąd wypada, że wiérsz w dyalekcie słowiańskim mógłby połączyć do wyższego stopnia, niż w innych językach, moc, jasność i harmonią, i najbardziéj unikać monotonii, téj wady nieznośnéj, do któréj wiérsze rymowe mają najwięcéj skłonności. Jaśniéj się to okaże, kiedy mówić będziemy o wiérsza naszego mechanizmie, i przebiegać epoki jego udoskonalenia. Chociaż wymownemi usty powiedziano, że język polski jest najokazalszą i najbardziéj wydoskonaloną słowiańskiego szczepu gałęzią; chociaż wielkie są podobieństwa, że w naszym dyalekcie poezya wyżéj posunięta być może, i nawet istotnie wyżéj się już dzisiaj posunęła, niżeli w innych: ja (zostawując tę materyą biegłejszym odemnie) nie chcę między pobratymczemi językami sporu wszczynać. Przestaję na tém, że język nasz będąc jednym ze słowiańskich dyalektów, więcéj ma sposobności do poezyi, a niżeli wszystkie inne nowotne Europy języki.

Piérwsi, którzy doskonalić zaczęli polskiego wiérsza mechanizm, powszechnie zgodzili się na to, że rym będzie istotną jego ozdobą. Uważając daléj, że podobne zakończenia naszych przypadkowań i czasowań dają nam większą łatwość znalezienia rymu; dla zapobieżenia więc wyniknąć ztąd mogącéj monotonii, kilką sposobami tę zbyteczną ścieśnili łatwość. Naprzód chcieli, żeby rym nasz miał jednostajność brzmienia nie do jednéj tylko, ale do półtory zgłoski. Powtóre, zakazali sobie rymów na wyrazy jednozgłoskowe (*monosyllaby*). Potrzecie, wyłączyli rymy łatwe, to jest rymy na te zgłoski, które się często u nas powtarzają, jakoto: go, ści, szy, ła, jąc. Jeszcze, bądź to dla przerwania, jak im się zdawało, monotonii, bądź idąc ślepo za przykładem Łacinników, pozwolili sobie częstszego przenoszenia sensu z wiérsza do wiérsza (*enjambement*). Odtąd ściśléj zaczęto przestrzegać średniówki, na którą przedtém rzadko uważano. Co do wiérsza gatunków, które zależały tylko od liczby zgłosek, od rymów po sobie zaraz idących, lub przekładanych, i od strof złożonych

z większéj lub mniejszéj liczby wiérszów; tych gatunków już było mnóstwo, i każdy jeszcze wiérszopis mógł wymyślać nowe. Jan Kochanowski pisał czasem wiérszem cztérnasto-zgłoskowym, bardzo nieprzyjemnym. Piotr Kochanowski, tłumacz Jerozolimy wyzwolonéj, wprowadził do nas gatunek wiérsza strofowego, który przez nudną jednostajność niemiły dla uszu, przez niedostatek powagi, i przez niejaki przymus rozwlekania myśli, i nadawania peryodom równéj prawie zawsze rozciągłości i podobnéj formy, poematowi epicznemu nieprzyzwoity, a przez potrzebę szukania w każdéj strofie nie dwóch, ale trzech wyrazów z sobą rymujących niezmiernie dla poetów jest trudny. Taki był piérwszy stopień poprawy w mechanizmie wiérsza polskiego, a i w tych nawet słabych początkach już można postrzegać ślady wyższości, jaką wiérszowi naszemu nad wiérszem cudzoziemskim nasz język nadaje.

W poźniejszych czasach Teokryt polski, Szymon Szymonowicz, a po nim Zimorowicz, Gawiński i niewielu innych znacznie wygładzili tok naszéj poezyi. Wiérsz długi czyli bohatérski nie był już inny, jak trzynasto-zgłoskowy ze średniówką na siódméj zgłosce, co w nim przerywając monotonią, uczyniło go daleko piękniejszym, niż wiérsz bohatérski francuzki (*alexandrin*) dwunasto-zgłoskowy, w którym średniówka przypadając na szóstéj zgłosce, dzieli go na dwie równe połowy. Lecz piérwszy Krasicki najlepiéj z wiérsza tego umiał korzystać; a chociaż nie dał mu całéj powagi, pełności i wyniosłości, jaką mu poźniéj nadano, udoskonalił go z wielu innych względów. Nie tylko że zniósł do reszty przeskakiwanie częste sensu z wiérsza do wiérsza, które (wyjąwszy rzadkie przypadki, kiedy poeta ma cel pewny i wyraźny) odejmuje cały wdzięk wierszom rymowym, i robi z nich tylko nudną i łamaną prozę; ale jeszcze dla zapobieżenia monotonii użył on zręczniejszego sposobu, którego się nauczył od wielkich mistrzów, Boala i Rasyna. Uważał on, jak osobliwie Rasyn to już sens zawieszał, lub kończył na półwiérszu, to zamykał go w jednym, trzech lub pięciu, to czasem we dwóch lub cztérech, to nakoniec peryod gładki, okrągły i pełny tocząc bez przymusu i zawikłania, do kilkunastu wiérszy przeciągnął. Uważał, mówię, tę doskonałość, i starał się ją naśladować. Starał się Krasicki jeszcze, żeby wyraz rzecz stanowiący, albo przynajmniéj bardzo potrzebny na rym przypadał. Nakoniec zaczął być daleko trudniejszy w rymach, a niżeli starożytni wiérszopisowie nasi. Te udoskonalenia mniéj lub więcéj dają się postrzegać w celniejszych

swego czasu poetach. Zabłocki celował w sztuce zręcznego łamania wiérszy; Szymanowski jéj nie umiał, lecz piérwszy w polską poezyę wlał miękkość i delikatność. Pomimo jednak znacznych postępów téj i drugiéj epoki, najlepsi wówczas poeci nasi, nie wyłączając i Krasickiego, dopuszczali się jeszcze wielu zaniedbań i błędów nie tylko przeciw stylowi poetycznemu, ale przeciw mechanizmowi wiérsza, a osobliwie upowszechnili wiele wolności szkodliwych, a między niemi wolność rymów niedokładnych w ostatniéj nawet zgłosce, równie oko jak i ucho rażących.

Chociaż współczesny z Krasickim, we względzie jednak udoskonalenia mechanizmu wiérsza polskiego nową epokę zaczyna Trembecki. Uczuwszy on całą wyższość języka naszego nad innemi, słusznie osądził, że ta wyższość powinna się wydać najbardziéj w poezyi. Surowym systematem wydoskonalił mechanizm wiérsza polskiego, a przewidując, że ta surowość nie łatwo byłaby powszechnie przyjętą, dał nam nie prawidła, ale wzory. Zamknął wrota nazawsze tym wolnościom, a raczéj rozwolnieniom poetyckim, które, zagęszczone przez lenistwo czy lekceważenie dobrych poetów, pomnażały ustawnie liczbę złych lub miernych. Doskonały ten mistrz w trudnéj rymowania sztuce, uważając, że rym u nas samych do półtory zgłoski, a u cudzoziemców do jednéj, a czasem do jednéj ostatniéj samogłoski tylko się rozciąga, lecz że natomiast cudzoziemscy poeci w jednostajności dźwięków, kończących wiérsz, chociaż krótkich, żadnéj już wolności sobie nie pozwalają, osądził, że ostatnia zgłoska jest istotną rymu częścią, i główną wiérsza nowotnego ozdobą; dla téj przyczyny pozwoliwszy sobie rzadkich i małych niedokładności (daleko mniejszych, niż dawne) w przedostatniéj tylko zgłosce rymu, w ostatniéj zachował największą ścisłość. Zrzekł się nadto mnóstwa rymów, które z jednostajności na półtory zgłoski zakończeń w przypadkowaniach i czasowaniach wynikają; bo czuł, że takie rymy nie tylko same przez monotonią ucho rażą, ale jeszcze monotonią i w toku tych dwóch wiérszów, do których należą, najczęściéj zą sobą ciągną: nawzajem zaś, ponieważ téj monotonii niéma między dwoma imionami, których rodzaj, liczba, albo przypadek jest różny, równie jak i między dwoma słowami, położonemi w różnym czasie, liczbie lub osobie; dlatego rymy pomiędzy niemi uznał za tak dobre, jak pomiędzy dwoma odmiennemi częściami mowy.

Ilekroć zaś lub dla uniknienia większego błędu, lub dla zachowania większéj piękności użyć monotonicznego rymu był przymuszony, starał się, żeby dla zmniejszenia monotonii z dwóch wyrazów, pomiędzy sobą rymujących, jeden nie był dłuższy, jak na dwie zgłoski, n. p. było, zdarzyło, — drżącą, strotującą, — tchnęła, zamknęła, owszem i w innych przypadkach kłaść na rymie dwóch wyrazów długich, równą liczbę zgłosek mających, unikał. On piérwszy jeszcze oszczędził uszom naszym bardzo niemiłych rymów, gdzie w jednym przedostatnia zgłoska jest długa, a w drugim krótka np. dotyka, polityka; rozwija, Francya, i t. p. On wywołał nadto wprzód częste rymy wyrazu piérwotnego ze swoim złożonym, albo dwóch złożonych z jednegoż piérwiastka. Chociaż nie sądził błędem (jak niektórzy mniemają), rymować na przymiotniki, byleby nie były czcze, lub naciągnięte: jednak strzegł się mieścić na rymie cztérozgłoskowych przymiotników, i nigdy nie rymował na przymiotniki więcéj nad cztéry lub sześć wiérszy *), po sobie bezpośrednio następujących. Nie dość miał jeszcze na tém. Uważając, jak wiérsze cudzoziemskie szpeci tyle natłoczonych przedimków, zaimków i partykuł jednozgłoskowych, a chcąc okazać na oko naszego języka wyższość, nie tylko sobie nie pozwolił, żeby jaka czcza monosyllaba dla miary tylko w wiérsz się wcisnęła, lecz nawet i mniéj potrzebnych jak najstaranniéj unikał, składając wiérsz najczęściéj ze cztérech albo pięciu wyrazów rzecz stanowiących, treściwych i harmonijnych. Zaczął nareszcie śmieléj używać przekładni, wyrzutni i wszelkich postaci słownych, które zgodne są z tokiem naszego języka, i dodają mocy, wdzięku, albo zwięzłości wiérszowi, ilekroć nie ćmią sensu, i gustu nie obrażają. Tak Trembecki samym wydoskonalonym tylko mechanizmem wiérsza polskiego zniszczył w nim nudną monotonią, nadał mu szlachetność, pełność i powagę, i uczynił prawie niezdolnym wady prozaizmu. Nagły ten i wielki postęp w zewnętrznem wiérszopistwie sprawił, że tak powiém, rewolucyą. Skoro się zjawiły wiérsze Trembeckiego, powtarzano je po stolicy i po całym kraju z zapałem podziwienia.

*) Dmochowski dodawał jeszcze prawidło, żeby wciąż więcéj wiérszów nad cztéry nie kończyło się na jedną literę. Trembecki przecież kładł wciąż aż do szesnaście rymów na tęż samą literę zakończonych, i byleby więcéj nad jedną ostatnią literę w rymie nie było liter podobnych, nie zdaje się, żeby to robiło monotonią. Więcéj może ją robi kładzenie wciąż rymów na podobne syllaby np. nia, nie, ni, niu, ła, łą, łe, ło, ły, i t. d.

Mechanizm wiérsza polskiego nie już prawie nie mógł być udoskonalony po Trembeckim. Byli jednak tacy, którzy jego roztropną surowość jeszcze daléj chcieli posunąć. Jedni, ubiegając się za szukaniem samych trudnych i rzadkich rymów, zewsząd sciągali na koniec wiérszów słowa podłe, przestarzałe, lub dzikie: drudzy gwałt czynili myślom i językowi, lub dorabiali piérwszy wiérsz niepotrzebnie, żeby tylko w drugim umieścić rym ulubiony: inni znowu, zabraniając sobie najmniejszéj wolności, odrzucając nawet najlepsze rymy, jeśli tylko wyrazy, które miały z sobą rymować, z równéj liczby zgłosek były złożone, musieli (w obszérniejszych osobliwie dziełach) wracać się koniecznie do jednych rymów, i do podobnych obrotów mowy, a tym sposobem strzegąc się niby monotonii. wpadli w gorszą daleko: wielu nakoniec (zwłaszcza tłumaczów), nie śmiejąc nigdy użyć rymu pochodzącego z jednostajności zakończeń w przypadkowaniach lub czasowaniach, pozbawiało dzieła dramatyczne największéj dyalogu zalety, która zależy na tém, żeby osoby rozmawiające najzwięźléj, najnaturalniéj i zawsze wprost odpowiadały. Tym sposobem ci niebaczni rygoryści, pochlebiając sobie, że wzbudzać będą podziwienie, śmiéch wzbudzali.

Obdarzeni trafniejszym rozsądkiem i pewniejszym gustem przekonali się, że nie można zyskać chwały, przesadzając roztropną Trembeckiego surowość. Lecz poznawszy, jak doskonale zastósowany do naszego języka, i jak zewszechmiar wyborny był mechanizm jego wiérsza, postrzegli razem, jak styl czyli język poetyczny najlepszych poetów naszych, i samego Trembeckiego był jeszcze dalekim od téj doskonałości, do jakiéj dawniéj Grecy i Rzymianie, a swiéżo Włosi, Anglicy i Francuzi podnieśli.

„Znaleźć zawsze wyraz właściwy“ mówi Laharp „umieścić go dobrze w wiérszu, nadawać słowom ceny przez ich szykowanie, szczegóły najdrobniejsze podnieść i uszlachetnić: starać się, żeby się do wiérsza nie wcisnęła żadna składnia nieregularna, żaden sposób mówienia podły, żaden zbieg dźwięków nieprzyjemny: strzédz się obrotów mowy zawiłych, dwuznacznych, prozaicznych, albo wyszukanych: nigdy nie dopuścić się wyrazów przyczepionych i szpuntów: umiéć dać tok najlepszy i spadki najwdzięczniejsze peryodowi poetycznemu, umiéć go zawiesić i rozmaicić, umiéć naśladować samym słów dźwiękiem, używać postaci z wyborem i oszczędnością; dokazać żeby rym i miara

wiérsza nie tylko nic nie ujęły i nie szkodziły myslom, ale żeby jeszcze pomnożyły ich skutek, i dodawały im wdzięku i blasku, a, co jest największą sztuką, ukryć sztukę, i zwyciężywszy trudności wszystkie, nie dać domyśléć się nawet, że jakie były, owszem, podług Horacyusza, wmówić niejako w każdego czytelnika, że on sam takby to powiedział i napisał: słowem łączyć zawsze w wiérszu czystość, jasność, gust, precyzyą, harmonią i naturalność prozy, z większą śmiałością w postaciach i składaniach, i z większą energią w wyrażeniach: jestto umiéć język rymotworczy."

Nadać jednak wiérszowi dobry mechanizm, i umiéć język poetyczny, jestto dopiéro spełnić swoję powinność, jestto być wołem, jak nazywano Boalego, który dobrze składa skibę, słowem jestto ujść tylko nagany, ale nie na chwałę zasłużyć. Jeśli bez doskonałego mechanizmu wiérsza i bez stylu poetycznego nie można być poetą wzorowym; z jednym i z drugim można jeszcze nie być poetą. Nie tylko usta, godne spiéwać wielkie rzeczy, jak Horacy mówi, ale geniusz i myśl boską miéć trzeba, żeby imienia tego zaszczyt osiągnąć. Nie dość, żeby każdy wiérsz (jak chce Wolter), będąc rozrzuconym i z ozdób swoich odartym, miał całą dokładność dobréj prozy; trzeba jeszcze (jak uczy rzymski prawodawca Parnasu), żeby w rozrzuconych nawet jego częściach wydał się duch i ogień poety.

2. Dyalogi, czyli rodzaj rozmów.

Dyalog, z greckiego *διαλογος* znaczy rozmowę między dwiema lub więcéj osobami: jestto rodzaj pisma najdawniejszy, używany przez Platona, Cycerona, równie jak przez ojców świętych, Atanazego, Bazylego, Chryzostoma, i innych.

Osoby rozmawiające mogą być bogowie, duchy, ludzie umarli lub żyjący, nawet zwiérzęta. Jest dyalog Lucyana pod tytułem Sen, w którym rozmawia kogut; lecz takie oczywiście są w tonie żartobliwym.

Przedmiotem czyli materyą dyalogu musi być jaki artykuł filozofii, teologii, polityki, moralności, literatury, obyczajności i t. p.

Celem jego powinno być zawsze, wyjaśnić albo odkryć jaką prawdę pożyteczną, lub zapalić do cnoty. Kto gromi zbrodnie, wyświéca hypokryzyą lub zdradę, wyszydza szkodliwe społeczności przy-

wary, nie obrażając osób, przystojności, rządu, i religii, odpowiada temu celowi.

Kształt dyalogu może być dwojaki: albo wprowadzamy same osoby, między sobą rozmawiające, albo opowiadamy ich rozmowę, jak gdybyśmy byli jéj świadkami. Oba te kształty są przez mistrzów używane: piérwszy jednak zdaje się mieć więcéj dogodności, gdyż uwalnia od częstego powtarzania słów niepotrzebnych; „Ten mówi; tamten odpowiada,“ i t. p.

W obu tych kształtach autor może i powinien opisać miejsce sceny, portrety, położenia osób rozmawiających i przemiany, jakie się w ciągu dyalogu zdarzają, ilekroć to, przydając podobieństwa do prawdy, pomnoży interes.

Rzecz przydłuższa może się podzielić na kilka, i kilkanaście rozmów. Nie należy, aby jedna osoba mówiła wciąż zbyt długo: gdyżby to miało podobieństwo rozprawy.

Styl powinien się stosować nie tylko do rzeczy, ale i do tonu, jaki raz już obrał sobie autor. W żartobliwych dyalogach Lucyana żleby się wydała Platona powaga, i nawzajem.

Korzyścią tego rodzaju pisma jest to, że kilka osób, które autor trafnie wybrać powinien, jednę rzecz uważając, z różnych stron ją widzą, czynią sobie nawzajem zarzuty, i na nie odpowiadają. Prawda zaś najlepiéj się wyświéca wtenczas, kiedy jest przeciwnik, co jéj zaprzecza. W istocie, piękność dyalogu wynika nie tylko z ważności rzeczy, lecz i z mocy dowodów ze strony przeciwnéj, nad któremi prawda nakoniec tryumfuje.

Jeśli jednak dyalog bardziéj jest lekcyą, niż dysputą, jeden z mówiących może nie być bardzo biegłym: lecz jednak nie powinien być bez rozsądku, i popełniać błędów zbyt grubych, ani okazywać takiego gatunku ciekawości, przez którą dałby poznać, że nie jest zdolnym niczego się nauczyć.

Drugą kształtu tego pisma korzyścią jest wdzięk, jaki ma zawsze wystawienie na scenę ludzi znakomitych, malowanie ich obyczajów i charakterów, sposobu myślenia a nawet tłumaczenia się, i zgadzanie niejako ich znanych czynów i życia z ich słowami. Kto trafnie naśladuje naturę, może być zawsze pewnym, że się podoba.

Wadą dyalogu jest: 1.) Kiedy przedmiot i cel jego jest płochy, nieużyteczny, lub szkodliwy. 2.) Kiedy pytanie, chociażby i ważne, ale

nie zupełnie, lub źle jest rozwiązane. 3.) Kiedy każda osoba nie nosi piętna sobie właściwego, lecz wszystkie są do siebie podobne, czyli raczéj do autora, który sam ich imieniem mówi. 4.) Kiedy osoby nie wprost sobie odpowiadają, lecz odbiegają od rzeczy. 5.) Kiedy dyalog nie będzie ożywiony nowością rzeczy, gruntownem rozumowaniem, ani dowcipem, staje się nudnym, i nie zachęca do czytania. Lecz więcéj może, jak niedostatek, szkodzi tu zbytek dowcipu, albo raczéj dowcip subtelny, powierzchowny i fałszywy. Zbliżać, naciągać do siebie dwie ostateczności, dawać pozór podobieństwa rzeczom wcale niepodobnym, i utrzymywać paradoxa przez sofizmata, nie jestto uczyć, nie jestto nawet bawić; bo jeśli się wtenczas rozsądny czytelnik śmieje, to chyba z autora.

Dawni pisarze polscy w tym rodzaju warci są czytania dla polszczyzny złotego wieku: lecz żadnego dzieła nie znam, coby mogło być na wzór wystawione, prócz Krasickiego, który napisał trzydzieści dyalogów. Tłumaczyli Polacy dawni: Łukasz Górnicki Dworzanina, z włoskiego przez Kastyliona, dobrą polszczyzną i bardzo szczęśliwém przystosowaniem do obyczajów krajowych. Bieniasz czyli Benedykt Budny roku 1593. przełożył Rozmowę Cycerona o starości, Daniecki Jan 1608. Rozmowę Lucyana pod napisem: Tymon.

Z nowożytnych Karpiński przełożył niektóre rozmowy Platona, Krasicki piętnaście dyalogów Lucyana dobrze.

3. O listach.

„List“ powiada Cycero „jestto pismo, przez które uwiadamiamy kogo, o czém on nie wié.“ Definicya ta, chociaż przez mistrza nam zostawiona, nie zdaje się być dostateczna: wiele jest rodzajów listów, którym ona nie służy. Trafniéj więc będzie powiedzieć: jestto rozmowa między nieprzytomnymi. W saméj rzeczy, list i odpowiedź jestto rozmowa między dwiema osobami, zostawiona na pismie.

Przedmiotem listu może być wszystko, cokolwiek tylko piszącego lub odbiérającego list obchodzić może. Piszą się listy z powinszowaniem, prośbą, uwiadomieniem, radą, wymówką, zezwoleniem, ubolewaniem, zaleceniem, albo z kilką temi rzeczami razem, lub tylko z oświadczeniem swoich uczuć, i t. d

Celem listu jest, uczynić na osobie, do któréj piszemy, takie, i jeśli można, w takim stopniu wrażenie, jak sobie życzymy. Kilka tych słów zamyka wszystko, czego dobry list wymaga; lecz wykonać to nie jest tak łatwa, jak się zdaje. Trzeba znać tego, do którego piszemy, a nadewszystko samego siebie. Wzory w tym rodzaju więcéj daleko mogą dopomódz, niż przepisy. Kobiéty lepiéj pospolicie piszą listy, bo są bliższe natury, idą za piérwszém natchnieniem, i nie mają myśli skrępowanéj mnóstwem uwag, lub nauk. Najkorzystniéj, rozumiem, będzie odczytać uczniom po kilka listów każdego z celniejszych w tym rodzaju pisarzów, porównać ich z sobą, i uczynić nad nimi potrzebne postrzeżenia.

Styl w listach powinien być łatwy i naturalny: przymus, przysada, zbytek nawet staranności jest ich wadą. List poufały jest może jednym rodzajem pisma, który nie potrzebuje planu, tojest, że można go zaczynać, nie ułożywszy sobie, jak będzie daléj prowadzony, i na czém się skończy. Nie powinien różnić się od rozmowy, tylko wyborem przedmiotów, i większą trochę poprawnością. Mówiąc używamy piérwszych słów i obrotów, jakie nam przyjdą na myśl; pisząc mamy czas wybrać. Słusznie więc czytelnik nie jest równie pobłażającym, jak słuchacz; lecz żeby być naturalnym, trzeba być sobą samym. Godzi się w liście być wesołym, ale nie trzeba z czołem zmarszczoném przymuszać się do pisania żartów. Toż samo mówić można o wszystkich innych uczuciach i poruszeniach, których udawanie nikogo nie oszuka. Równie przywarą jest listu rozwlekłość, jak i suchość: piérwsza nudzi, druga odstręcza; trzeba szukać tego szczęśliwego środka, który we wszystkiém tak jest trudny.

Kształt listu jest trojaki. W liście formalnym, który się pisze do osób wyższych od nas, lub do takich, z któremi nie mamy poufałości, odstąpiwszy dwa lub trzy cale od brzegu papiéru, zaczynamy od tytułu: Jaśnie Oświécony Mości Książę Dobrodziéju! lub: Jaśnie Wielmożny i t. d.: przy tym tytule zostawi się mniéj lub więcéj białego papiéru, w miarę uszanowania, jakie chcemy okazać dla osoby, i dopiéro sam list się zaczyna. Na drugiéj stronie karty w takiéj wysokości się pisze, jak na piérwszéj umieszczone wyrazy: Wielmożny Mości Dobrodziéju!, i tak następuje aż do końca listu. W środku żeby uniknąć częstego powtarzania JWW. lub Pana Dobrodzieja, co sens wikła i styl szpeci, używamy

zaimków Jego, Mu. które większą literą trzeba odznaczyć. Krócéj jest także używać Pan, które słowo dzisiaj nie znaczy już tak wielkiego uszanowania, jak dawniéj, i lepiéj się z osobą drugą, niż trzecią kładzie, np. Pan uczynisz, nie zaś: Pan uczyni. Można i daléj pisać w drugiéj osobie nie powtarzając nawet zbyt często Pan, lub JWWMĆPan Dobrodziéj. Lekarstw tych używać musimy dotąd przynajmniéj, póki zwyczaj powszechny nie zwróci nas do rozsądnego, prostego i szlachetnego sposobu Greków i Rzymian. Dawniéj łamano nad tém głowę, aby naprowadzić, albo raczéj nakręcić sens dla umieszczenia swego podpisu przy końcu listu; dziś kończą po prostu przez te słowa, które od ustępu się piszą: Jestem —, Mam zaszczyt być — i t. d. Trzeba uważać, żeby nie dokładać: z szacunkiem do osób wyższych, lub: z uszanowaniem — do niższych. Chociaż roztropniéj jest przydać komu honorów, niż ująć, i w tém jednak przesadzać jest albo niezgrabnością, albo, co gorzéj, podłością: na cóż np. człowiek do człowieka ma pisać: Mam honor być z najgłębszém uszanowaniem WWMĆPana Dobrodzieja najniższym podnóżkiem? Jest zwyczaj po skończonym liście pisać niżéj od linii w połowie karty: JWWMĆPana Dobrodzieja, a jeszcze niżéj: najniższym sługą, tak, ażeby podpis wypadł przy samym końcu karty, jeżeli to być może bez przysady. Data kładzie się przy końcu listu, co jest znakiem uszanowania. Wykroczyłby także przeciw niemu, ktoby dołączał ukłony dla drugich w liście do osoby wyższéj: trzeba to przynajmniéj ułagodzić wyrazami: Ośmielęż się — Pozwolisz i t. p. Przypisy na marginesach, *post scripta* dowodzą małéj baczności w pisaniu; przez grzeczność więc trzeba się ich wystrzegać.

List formalny powinien się pisać na półarkuszu, lub na arkuszu całym czytelnie i czysto, i pospolicie zamyka się w kopertę.

List poufały może się obéjść bez tych wszystkich ceremonij. Na górze kładzie się data, co jest najdogodniéj; potém zaraz bez odstępu zaczyna się list, dodawszy zgóry, lub we środku: Panie Jędrzeju! — Kochany kumie! — Dobry sąsiedzie! — Dawny kollego! — Drogi przyjacielu! — czém ostatniém nie trzeba szafować i t. p. W ciągu listu pisze się: Ty, Ciebie, a czasem Pan. Sposób taki pisania bardzo jest naturalny i wygodny; ale nie trzeba go używać nadto skwapliwie, zwłaszcza z osobami wyższemi, póki sami nas do tego nie ośmielą.

Bilet należy do trzeciego kształtu listów. Powinien być krótki, łatwy, delikatny, i miéć tylko jeden przedmiot w celu.

Oto są wzory biletów:

„Czwartek o południu.“

„W tym momencie tu przyjechałem. Odbyłem sto mil drogi: jestem utrudzony i chory. Odwiédź i pociesz starego przyjaciela, jeżeli możesz.“ „Kołłątaj.“ —

„Mam dziś na obiedzie Trembeckiego i Miéra. Jeśli chcesz, abyśmy byli wszyscy i kontenci, przypisz tylko na tym papiérze: „Będzie tam i Szymanowski.“ „Chreptowicz.“ —

Można czasem swoje imię na początku położyć, osobliwie w biletach zapraszających. Francuzi w tym łatwym rodzaju celują dowcipem, delikatnością i rozmaitością zwrotów szczęśliwych i grzecznych.

Wadą listu jest: 1.) Kiedy w nim widać przysadę, przymus, a nawet zbyteczną staranność. Literaci powinni się tego strzédz najbardziéj; gdyż nawet Pliniusz, Russo, nie są od téj przywary wolni. 2.) Kiedy list nazbyt jest rozwlekły, lub nazbyt krótki i suchy. Z osobami obojętnemi, zatrudnionemi, i wyższemi lepiéj wpadać w drugą ostateczność: z rodzicami, krewnymi, przyjaciołmi lepiéj w piérwszą, jeśli kto na szczęśliwy środek natrafić nie umié. 3.) Kiedy list w nadto ogólnych wyrażeniach jest napisany, i nie zawiéra nic takiego, coby odkryło stosunki zachodzące pomiędzy korespondującemi osobami, tak dalece, że ten list mógłby służyć kilkunastu, lub kilkudziesiąt osobom, albo czasem i każdemu, do kogo byłby podpisany. Ta wada jest nieznośną i odéjmuje cały wdzięk listom, w których się chcemy nauczyć charakteru, sposobu myślenia autorów, i wszystkich drobnych okoliczności, które się ich tyczą. Przywara ta jest nieuchronną w licznych zbiorach listów, na wzór niby służyć mających, gdzie w materyach urojonych do osób się pisze. Biada młodzieńcowi, który się kształci na takich wzorach! Pisząc tylko w interesie, dość jest, jasno, zwięźle i porządnie go wyłożyć, a nie zapomnieć przynajmniéj dodać w końcu, czego żądamy. 4.) Przywarą także jest listu, kiedy sam autor waha się, jaki ma ton wziąść z osobą wyższą, do któréj pisze, i raz się nadto zpoufala, drugi raz nadto poniża. 5.) Ostatnią i najszkaradniejszą wadą listu jest to, kiedy się w nim zupełnie przeciwnie pisze, niżeli się myśli i czuje. Są przypadki, w których roztropność nie jest szkodliwą cnocie, w których można ukryć, tojest zamilczéć nasze zdanie lub poruszenie; lecz chwalić tego w oczy, czyli w liście (co jest jedno), z którego się na boku szydzi, wynosić tego

nad ludzi, którym się w duchu pogardza, wynurzać się z przyjaźnią przed tym, którego się w sercu nienawidzi, to nigdy nie może ujść uczciwemu człowiekowi.

4. Listy.

a) Do Michała Wyszkowskiego.

1. marca 1815. z Wołosowa.

Kilka dni już temu, jak obadwa twoje listy razem odebrałem; alem nie mógł się odważyć na nie odpisywać, pókim nie przetrawił cokolwiek w sobie okropnéj wiadomości, którą mi doniosły. Już go więc niéma! niéma naszego Tymienieckiego! Co za strata! ile słodkich i smutnych wspomień! ile znikłych nadziei! Ach! czemuż z Warszawy nie pobiegłem do jego domu? Jeszczebym go był widział raz ostatni, jeszczeby się były nasze dusze poruzumiały. Nie, nie! on nie był stworzony na nasz wiek nieszczęść i otrętwienia; nadto był czuły, szlachetny i dumny. Jego pisma noszą na sobie tę cechę oryginalności, jak i jego duszą! Co za pisma! co za dusza! Niestety! żył i umarł nie dosyć znany, nie dosyć ceniony od niewielu dobrych; umarł ofiarą prześladowania złych i przewrotnych. Tak być musiało! Ich jest tak wielu, tak potężnych, tak zazdrośnych prawéj zasługi i cnoty. Czegoż miał żyć? Zachowaj, zachowaj przynajmniéj jego pamięć, imię i sławę, lepszym daj Boże wiekom. Przedsięwzięcie wydania pism jego jest godne jego, godne ciebie. Ale pomnij, że względem przyjaciela, którego dusza, leniwa może, kiedy szło o siebie, zawsze ognista była, kiedy szło o przyjaciół: najmniejsza oziębłość, opieszałość byłaby zbrodnią. Jeśli chcesz, wydziel mi jaką część pracy, która ci się zda najnudniejszą, i przyszléj, a obaczysz. Czemuż teraz nie jestem w Warszawie, czemuż nie jestem z tobą?— Zasmuciłeś mnie wiadomością o twojém zdrowiu; jedź do wód, kuruj się, a nadewszystko mniéj się gryź. Trudnato rada do wykonania, osobliwie teraz! wielka prawda. Ach! czyż i ja nie cierpię? czyż nie czuję? ale jest u mnie na to lekarstwo łatwe i skuteczne: ciągła praca, przyjemniejsza może od twojéj, bo z własnego wyboru; ale też miasto dostarcza ci przyjemności i roztargnienia, których ja nie mam. Krzepmy się, ile sił staje, a może *grata superveniet, dum non sperabitur hora*, albo śmierć.

Nim doczekałem się waszych uwag nad Barbarą, skończyłem już drugą tragedyą; ale wam ani powiém jaką, ani pokażę, póki nie odbiorę krytyk nad piérwszą. Że są długości w Barbarze, zgadzam się chętnie: czułem to i zostawiłem umyślnie dla was, żebyście kierowali mój wybór, co mam przekréślić. Co do drugiéj krytyki, że w niéj nie ma dosyć akcyi, ani sam się poczuwam, ani nikt mi tego jeszcze nie zarzucił: — może się nie rozumiémy. Czekam dowodów z rozbioru, i albo ulegnę, albo was inaczéj przekonam.

b) Do tegoż.

24. siérpnia 1816. z Warszawy.

Opuszczając Warszawę, zostawiam u naszego poczciwego Kopczyńskiego list ten do ciebie, i piérwszy tom moich ramot. Nasz staruszek długo był słaby na nogi: dowiész się od niego, czym go nie dość często odwiédzał. Medal już się robi. Poczciwy Kopczyński będzie miał pociechę go oglądać, a ty patrzéć na jego radość. Obyśmy jeszcze mogli długo się nim cieszyć! — Ja zagrzebię się na wsi, gdzie radbym dowiadywać się czasem, co się na świecie dzieje, przynajmniéj w rzeczypospolitéj literackiéj. Muszę ci wyznać, że teraz dopiéro, posiedziawszy czas jakiś w Warszawie, umiém cenić twoję dobroć w pisywaniu do mnie tak często. Chociaż nie siedziałem po kilka godzin codzień w biórze, czułem to jednak zawsze, że mi brakuje czasu, albo raczéj swobodnéj chwili, i spokojnéj głowy. Trzeba pisać na wsi, a poprawić w Warszawie, bo na krytykach tu nie zbywa.

c) Do tegoż.

11. siérpnia 1817. w Wołosowie.

Jeszcze w kwietniu wyjechawszy z domu, włóczyłem się więcéj niż przez trzy miesiące po Wołyniu, i nawet po brzegach Litwy za interesami prawnemi familijnemi. Przedałem Osowę dla spłacenia posagów siostrom, i dla uniknienia szkód nieuchronych, jakich przez zadzierżawienie, albo przez odległe gospodarstwo ciągle doznawałem. Ja nie odmówiłem jeszcze wyraźnie katedry literatury w naszym uniwersytecie, ale więcéj jednak jest podobieństwa, że się nie podéjmę. Odczytałem po kilka razy, co mi piszesz o ostatnich chwilach Kopczyńskiego. Nie dziwi mię jego śmierć tak spokojna, bom był świadkiem

jego starości, w której zatrzymał wszystkie władze umysłowe, i nawet wesołość. Jeśli pisma jego przed zgonem są słabsze, pochodzi to, zdaje mi się, ztąd tylko, że pisanie wymaga ciągłego natężenia i wytrwałości, do których ten wiek przestaje być zdolnym; lecz w jego rozmowach potocznych widać było jeszcze iskry tego geniuszu i trafnego rozsądku, jaki ciągle się wydaje w jego pierwszéj grammatyce. Ufam twojéj gorliwości, że uprosisz kamień z napisem dla prawodawcy języka, któryby w Anglii obok królów był pochowany.

d) Do tegoż.

3. Grudnia 1818. w Wołosowie.

My teraz wszyscy zdrowi jesteśmy, ale jak wiész, od wiosny kilkomiesięczna choroba córki mojéj dała mi uczuć gatunek zmartwienia, którego jeszcze nie znałem. Nakoniec Bóg nas pocieszył, pozwolił nam pobłogosławić związkom naszéj Heleny z Edmundem Michałowskim, który pozyskał jéj serce i nasz szacunek. Słyszałeś już może, że książę Czartoryski wzywał mię kilkakrotnie i przez listy, i ustnie na dyrektora przyszłego liceum w Krzemieńcu, i nauczyciela literatury polskiéj. Oba te miejsca ciągną za sobą wiele zatrudnień i kłopotów, lecz mają i ten powab. że stosownie do moich skłonności i usposobienia mógłbym stać się użytecznym, nie oddalając się od familii. Zdecydowałem się więc przyjąć. Książę porobił już poprzednie kroki, i oddał mi dyploma na członka honorowego uniwersytetu wileńskiego, oświadczając, że będzie się starał o najprędszy skutek jego (jak mówi uprzejmie) najgorętszych życzeń.

e) Do tegoż.

29. Września 1819.

Piszę więc już do ciebie z Krzemieńca, gdzie już od dwóch miesięcy bakałarzuję. Jestem zdrów i wesół. Dotąd mi rzeczy pomyślnie idą; nie wiém, jak będzie daléj. Dając teraz lekcye literatury polskiéj, potrzebuję najwięcéj pięknych kawałków; przyszléj mi więc swoje rękopisma, i innych pisarzów, których wiész, że szacuję. Nie uwierzysz, jakich mam tu chłopców, jak wszystko pięknie umieją czuć, i jak niektórzy pragną sami dobrze pisać.

f) Do tegoż.

31. Grudnia 1819. z Krzemieńca.

Przez wyjeżdżającego nagle Felicyana Drzewieckiego ledwie mam czas przesłać ci moje uściskania, i powinszować Nowego Roku. Ja, jak wiész, ze wszystkiego kontent jestem, a tém bardziej z Krzemieńca. Kocham piękną, szlachetną i wesołą młodzież, która mnie otacza, i żyję z dawnymi przyjaciołmi. — Przypomnij mnie naszym dawnym łaskawym w Warszawie, i napisz czasem do mnie. Zawsze twój z całego serca.

---

41. Stanisław Staszyc (Staszic),

Prezes towarzystwa król. warszawskiego Przyjaciół Nauk, wzorowy pisarz w języku polskim dzieł uczonych wiérszem i prozą w epoce orzeźwienia literatury krajowéj. Urodzony roku 1755. w mieście Piła z rodziców powszechnie szacowanych, którzy chcąc go mieć w stanie duchownym, dali mu najstaranniejsze wychowanie, i skoro tylko zakończył krajowe szkoły, widząc w młodzieńcu rozsądek i statek nad lata, oddali mu przypadającą nań część majątku, i wyprawili go do zagranicznych akademij. Zwiédził tedy nasamprzód szkoły główne w Gettyndze i Lipsku: w Paryżu bawił dwa lata, gdzie przykładał się szczególniéj do fizyki i do historyi naturalnéj. *Buffon*, *d'Alembert*, *Raynal*, sławni mężowie z nauk, przypuścili go do swojéj poufałości; rozmowy z nimi oświécały umysł Staszyca, i w dowód uszanowania swego dla *Buffon*'a przełożył na język ojczysty, dzieło jego O epokach natury. W chęci nabycia potrzebnych wiadomości, poznania obyczajów, narodów i płodów natury, odbył jeszcze podróż do krain włoskich, i na same szczyty gór Alpejskich, których jako pilny badacz natury uważał budowę, mierzył wyniosłość, śledził rozmaite pokłady. Odważnie wdarł się na zionące płomieniem wiérzchołki Etny i Wezuwiusza, gdzie znalazł nowe pole do postrzeżeń i uwag. Tak zbogacony licznemi wiadomościami, mianowicie w geologii i geognozyi, powrócił do kraju, w którym zamiast uprzejmego przyjęcia, jakie sobie tuszył, nie zastał, jak tę odpychającą oziębłość, którą naówczas wyniosła duma stawiała między sobą a upośledzoną w urodzeniu zasługą. Postanowił odosobnić się całkiem od społeczeństwa, i poświęcić się naukom. Napróżno atoli chciał się usunąć od towarzystwa; same bowiem jego wysokie zalety dały go poznać światu. Andrzej Zamojski, kanclerz wielki koronny, mąż nieskażonéj cnoty, obywatelstwa i godności powierzył mu wychowanie zwych synów. Ciągłe przebywanie młodego Staszyca w domu tak zasłużonego dla kraju męża stało się najlepszą dla niego szkołą. Słuchał on chciwie poważnych rozmów sędziwego starca,

i był świadkiem, kiedy pracował nad powierzonym sobie układem praw krajowych, tak długo zaniedbanym, lecz koniecznie potrzebnym. Odmieniona nareszcie postać polityczna wypadków do innych powołała go obowiązków, a z utworzeniem księstwa Warszawskiego król saski wezwał Staszyca, już natenczas członka izby Edukacyjnéj, i po zejściu Albertrandego prezesa towarzystwa król. warszawskiego Przyjaciół Nauk, do zasiadania w radzie stanu w urzędzie referendarza. Od téj chwili wszedł on w zawód politycznego urzędowania, spiesznie przechodząc wszystkie stopnie hierarchii cywilnéj. Alexander I., cesarz rosyjski i król polski nie mało także zlał na niego łask i zaszczytów. Radca stanu, dyrektor generalny kommissyi wychowania publicznego, te były liczne zawody, którym niezmordowany Staszyc dni i nocy poświęcał: szczególniéj atoli zwracał usiłowania swoje na wychowanie publiczne, na którém, jak powiadał, spoczywa każdego kraju pomyślność. Nie miał także król nadeń wierniejszego w poddaństwie, a rząd posłuszniejszego swych zleceń wykonawcy. Mnogie nieustanne prace, chylący się wiek i osłabione zdrowie zmusiły go nakoniec w roku 1824. do uwolnienia się od obowiązków. Cesarz i król nie tylko zezwolił na jego prośby, ale nadto wysoko ceniąc zasługi męża, ozdobił go orderem orła białego, i mianował ministrem stanu, poźniéj zaś prezesem kommissyi emerytalnéj. Podeszły w wieku, stargany na siłach, spędził Staszyc ostatnie lat 20 swojego życia na pracach użytecznych krajowi. Przez lat 50, nie pozwalając sobie żadnego zbytku, i wielu przyjemności, by grosz ochroniony uldze bliźniego poświęcić, zebrał fundusz wystarczający na kupienie włości Rubieszów, i urządził ją dla szczęścia i swobód kilkuset familij, nadawszy im grunta z prawem dziedzictwa. W liceum warszawskiém, nim jeszcze uniwersytet był założony, zaprowadził szkołę lekarską. Piérwszy on był założycielem i twórcą krajowego górnictwa, któremu dał pewny ruch i czynność. Za jego staraniem wzniesione zostały po większéj części gmachy, w których towarzystwo król. warszawskie Przyjaciół Nauk odbywać zwykło swe posiedzenia. On piérwszy powziął myśl wystawienia posągu ziomkowi naszemu Kopernikowi, piérwszy ogłosił składkę na niego, i sam w połowie prawie przyczynił się do niéj. Nie dosyć zaś było dla męża tego, wszystkie dni swoje usługom ojczyzny poświęcić, chciał nawet i po śmierci (która dnia 20. stycznia 1826. roku, a 72. jego wieku zabrała go zpośród żyjących) zostawić dobroczynności swojéj dowody. Jakoż czując się już nachylonym ku zachodowi, napisał testament ostatniéj woli, mocą którego wszystek majątek swój tak ruchomy, jak nieruchomy przeznaczył na wsparcie ciérpiącéj ludzkości, tudzież na inne pożyteczne dla całego kraju zakłady.

W przedmiotach nauk przyrodzonych pisał Staszyc: 1.) *Epoki natury*, przez *p. Buffon wydane w języku francuzkim, przez Stanisława Staszyca wytłumaczone na język polski, z dodaniem myśli i niektórych uwag, w Warszawie u Gröllа 1786.* Dzieło to poźniéj pomnożone nowemi uwagami nad ziemią polską, po dwakroć przedrukowane zostało. Przekonanie, że teorya epok natury jest dowcipną, lecz niezgodną z naturą, pobudziło autora do wydania nowego dzieła z napisem:

2.) *O ziemiorodztwie gór dawnéj Sarmacyi.* Sąto rozprawy, czytane na publicznych posiedzeniach towarzystwa warszawskiego Przyjaciół Nauk, i drukowane w Rocznikach jego; z których piérwsza wyszła także osobno w Warszawie u Pijarów 1805. Ważném jest z wielką pracą i nakładem wydane to dzieło Staszyca, ozdobione także kosztownemi mapami, które chcąc dokładném uczynić, zwiédzał on Polskę całą, wdziérał się na szczyty gór, oznaczał, które są piérworodne, które przedwodowe, jakie spławne; spuszczał się w przepaści ziemi, śledził jéj pokłady, wskazał, jakie są w każdéj krainie zawarte kruszce, jakie ziemie, skamieniałości, części roślinne, ślady pobytu wód morskich, marmury, granity, porfiry, wody mineralne i t. p. — Inne dzieła Staszyca tyczą się wypadków i stosunków politycznych kraju. Przełożył prozą z francuzkiego piérwotworu wiérszem pisanego: 1.) *Religia, poema P. Rasyna, w Warszawie r. 1779.* — 2.) *Numa Pompiliusz, drugi król Rzymu, w Warszawie r. 1788.*

W chwilach wolnych od obowiązków ważnych, szukał Staszyc wytchnienia w poezyi, i zostawił nam wiérszem niewiązanym *tłumaczenie Iliady Homera*, czytane na posiedzeniach król. warszawskiego towarzystwa Przyjaciół Nauk.

We wszystkich tych wymienionych dziełach (nie wspominając licznych zagajeń przy otwarciu posiedzeń towarzystwa Przyjaciół Nauk, i bezimiennie wydanych pism ulotnych) maluje się obywatelstwo i gorąca dusza Staszyca: wszędy na piérwszym celu moralność i użyteczność publiczna, oddychają w nich szlachetne uczucia, w niczém nieobrażona pobożność, obyczajność i miłość ziemi rodzinnéj. — Co do stylu, ten często dobitny i jędrny, czasem się w niegładką twardość zamienia. Chęć wydoskonalenia mowy ojczystéj ośmielała go do tworzenia nowych, nie zawsze szczęśliwych wyrazów, a nawet nowéj pisowni, co jednakże naśladowania w nim nie zasługuje.

Bentkowskiego Historya literatury polskiéj; Roczniki towarzystwa warszawskiego Przyjaciół Nauk.

O ziemiorodztwie gór dawnéj Sarmacyi (Roczniki towarzystwa warszawskiego Przyjaciół Nauk T. VII. z rozprawy trzeciéj)

Z Mietuskich gór w zamiarze zwiédzenia Rybiego jeziora i Morskiego Oka przeszedłem przez Wołoszynię. Jestto góra najrozleglejsza ze wszystkich Tatrów. Cała z granitów jednostaléj bryły. Ma liczne wyniosłe karpy. Jéj granitów skała, od dołu mniéj porozrywana, ukazuje położystość miernie spadzistą: i przeto do znacznéj wysokości utrzymuje się po niéj ziemia.

Z tych przyczyn na Wołoszyni dla okolicznych goralów znajdują się najwygodniejsze polany. Te, które są stałe, i na których są pobu-

dowane hotary, zachodzą tu, chociaż ze strony północnéj do wysokości 4.200 stóp.

Porównywając najwyższą wysokość, do któréj polany zachodzą w Alpach, z najwyższą wysokością, na któréj znajdują się w całych Karpatach, następujące wypadły wnioski. W Alpach na górze *Buet* o 4.026 stóp wysokości leży wieś *Touterai*, a w téj okolicach wyżéj jeszcze zachodzą życzne polany. A *Montavert*, polana do wsi *Chamouni* należąca, znajduje się na 5.724. stóp wysokości. W Tatrach zaś, i w całych Karpatach najwyższe stałe polany nie zachodzą wyżéj, jak do 4.400 stóp. Ale pasowiska, na które górale w lecie wypędzają woły i owce, wznoszą się daleko wyżéj. Tu na Wołoszyni, na Babiéj górze, i ogólnie w Karpatach przeszło do 5.300 stóp, a w okolicach Kiesmarku na górze piérworodnéj wapiennéj, dawniéj Reziławnia, a teraz pospolicie *Fleischbank* zwanéj, bydło do 5.600 stóp wychodzi, i ma w lecie pasowisko.

Przeszedłszy lasy, które na pewnéj kresie wysokości Tatrów zawsze razem ustają, tak iż patrząc na nie z góry, widać wszędzie jednostałą linią, po którą tylko lasy zachodzą, a za którą żadne dzewo nie przekracza. I ten modrzew nawet, który wiekom w swéj trwałości śmié stawiać się nietykalnym, i on przecież tę kresę wysokości nie śmié tu przekroczyć nigdy. Kozodrzew tylko jeszcze za tą miarą, chociaż się do góry podniéść nie waży, to przecież po wyższych skaliskach czołga się, i plezie razem i korzeń, i swe gałęzie. Kwiaty zaś i zwiosenne zielenią trawniki, nawet wśród śniegów wieńczą prawie do ostatniéj wysokości Wołoszyni szczoty.

Pominąwszy lasy, razem ukazują się naokoło podarte rozmaite granitów turnie. Zdaje się na oko, iż niektóre z nich rypy równają prawie wysokości Kolibaha, lub Krywana.

Przedsięwziąłem zwiédzić i zmierzyć z tych szczytów najwyższy. Godzina dwunasta. Dzień piękny. Cztérech jeszcze godzin potrzeba było do wyjścia na najwyższy cypel. Ciepłomiérz skazywał 15, piorunomiérz żadnych znaków nie dawał. Po trzech godzinach czasu naszego wychodu do góry nagle ciepłomiérz podniósł się do 17.—

Uważałem to na górach bardzo często, że krótko przed dészczem ciepłomiérz zwykł się nagle podnosić i znaczyć zwiększone ciepło. Piorunomiérz zaczął wydawać wielkie znaki elektryczności śklannéj (*electricité vitreuse*). Wiatr powstał silny od północy. Gęste zaczęły prze-

ciągać chmury. Wkrótce cały wiérzch cypla, na który wyjść chciałem, znikł w ciemnych chmurach. Te wszystkie, jakoby wychodząc z gór Tatrów, zdawały się wydobywać dymem z stérczących najwyższych rypów, a potm staczać bałhanami w ostatnie holic równiny. Ale to było przywidzeniem tylko oka. Rzeczywiście chmury te były pędzone przez wiatr od północy w strefach parokrugu, stosownych do ich ciężkości znoszenia, a tak nie równie niżéj, jak zachodzi tutejszych Tatrów grzbietu wysokość. Uderzając więc o zaporę granitów od nich wyższą, zbijały się coraz gęściéj, i opadały swoim ciężarem coraz niżéj. Nie zadługo straciliśmy wszystko z oczu: znikło nawet i skalisko, co nas na téj wysokości unosiło. Została się tylko zgroza otaczającéj nas niczości. Jak ona tu okropna! jeszcze bardziéj przeraża, jak przepaść otwarta; bo nie gubiąc bynajmniéj, lecz ożywiając pamięć tych bezdennych jarzysk, co nas na wsze strony otaczały, ma z sobą tę nieodstępną myśl ginienia na wystrychłym cyplu wśród ukrytych wkoło przepaści. Wreszcie tak się zaciemniło, iż o krok ledwo widział z nas jeden drugiego; każde więc stąpienie równym było w przepaść, jak na skałę. Ogarnieni przez tak straszne ciemno; dészcz lał wielki, a wyżéj nad nami spadł śnieg znaczny, który do reszty zasypał wszystkie między skałami rozłopy i przepaści. Okólnie zaś czuć drżenie skał, słychać nieprzyjemny huk, nieustanne błyskanie, i piorunów bicie. Tych zdawało się więcéj ostrzem skał wypadać w górę, niżeli z góry uderzać w skały. Te zaś grzmoty i błyskania jak po równinach, prócz rażenia wzroku przedstawiają widok zajmujący, gdy rozdziérając czarną chmurę, ukazują nad głową niebo, czyli nieskończone światło, tak przeciwnie tu każde błyśnienie było widokiem zgrozy. Bo rozdziérając ciemność, odkrywało pod nami bezdenną chropowatych skalisk przepaść. Nadto słychać obrywanie się wgórze z cyplów kamieni, spadanie całemi gwałtownemi rzékami wód naokrom z wszystkich stron razem, a przytém rozwalanie, burzenie się z gromem zwalisk opłazowych, co na kilka sążni grubo od dołu do najwyższego góry strychu są usłane. Z samych granitu rumowisk, które przypadkiem tylko zwalone, i przypadkiem, zaparte, gdy nawalne wody od dołu je wzruszą, wnet całe takie na upłazach kamieni zwalisko razem zsuwa się, i ze straszną gwałtownością leci ku dołowi. Wtenczas dla stojących na takim skały upłazie do ratunku niéma żadnego sposobu.

Burza w Tatrach dla znajdującego się w taki moment na pewnéj wysokości jest nad wszystkie wyobrażenia straszniejszą. Niepodobieństwo sobie wystawić gwałtowności wzruszeń powietrza na ich wysokości. Wiatr nie jest tak ciągłym, jednostałym, jak po równinach, ale bywa przerywany; prawie w kilka minut się zwolnia, znowu w kilka minut jakby z nowym gwałtowniejszym miotem wypada. Ten wleciawszy w zakręte skał wądoły, nabiéra tam takiego pędu, takiéj gwałtowności, iż najsilniejszy człowiek oprzéć mu się nie jest mocen. Trzeba się kłaść na skałę, jeżeli szczęściem jest do tego miejsce. Zwrot zaś tychże wiatrów po ich odbiciu się od skał jeszcze bywa straszniejszy, jeszcze nierównie więcéj gwałtowny i silny. Wiatr ten odbity, powraca najczęściéj z wirem, który nie tylko porywa, unosi, ale nawet tak zadusza, że przytomność ginie. On z chodników kozy, owce i woły często strąca.

Przeczucie takich burz postrzegają w zwiérzętach górale na godzinę wprzódy. Widać w trzodach jakąś niespokojność, paść się przestają: becząc, rycząc, zaczynają upornie z gór spuszczać się ku polanom. Te zaś, które na skałach wiatr zachwycił, przez wrodzoną wszystkim zwiérzętom własność porównywania pewnéj miary czuciów, gdzie zachodzi zachowanie ich życia, lub ich plemion, czyli może dogodniéj choć niezrozumialéj powiém, przez instynkt, te zwiérzęta burzą zachwycone, stawają nagle w miejscu, przykładają się bokiem silno do skały, mrużą oczy, a głowy zawsze chowają pod siebie, i już do końca burzy żadnym sposobem nie dają się wyruszyć z tego miejsca.

Skutki, które często uważałem w Karpatach po takich burzach, przekonywają mię, że natura prócz wielu innych sposobów, używa także nawalnic i piorunów dla zniżenia, dla zmiany, dla rozburzenia tych tu swoich dzieł najdawniejszych.

Nigdy ulewa tak nagła, nigdy tak ogromna razem massa wód nie spada po równinach, jaką widziałem bardzo często spadającą razem w Karpackich górach, i jakiéj tą razą byłem tu świadkiem. Wołoszyni góra na pół mili rozległa, w godzinę tak niezmierne zlała wody, iż wszystkie jéj wądoły, wszystkie po jéj liczu wydrożenia, wezbrniały nagle ogromem wód do największych rzék podobnych.

Są w górach Karpackich pewne stałe przyczyny tych nagłych i wielkich ulewów wód. Tych przyczyn dzielność największa ukazuje się w ramieniu, które do Szlązka wychodzi. Tam ich skutkiem są te czę-

KATOLICKIE STOWARZYSZENIE ROBOTNICZE „PRZYJAŹŃ"

ste zalewy krajów nad Odrą i Wartą. Tam ich skutkiem jest w chmurach, czyli w skupieniu się żywiołów wody to nagłe, gwałtowne zsadzanie się i opadanie ogromnéj massy wód, co góralе nazywają oberwaniem obłoku.

Ta nawałnica przeszkodziła mi dokończyć tą razą moje przedsięwzięcie, osobliwie, że wyżéj spadły wielkie śniegi, i zakryły wszystkie przerwy i rozpadliny skał; zasypały także zupełnie ten grzbiet upłazów, po którym tylko można się było piąć wgórę. Nadto czas także spóźniony przymuszał do powrotu. Uczyniłem więc tylko potrzebne uwagi barometru. Godzina była szósta po południu. Merkuryusz spadł na calów 21 i 9 linij. Ciepłomiérz skazywał 10, stosunkowy barometr, stojący 384 stóp wyżéj od morza, znaczył 27 i 10 linij, termometr 17, a jeszcze do wiérzchołka cypla mieliśmy około dwóchset sążni.

Spuszczając się z góry, już późno wwieczór stanęliśmy na polanach, gdzie były koliby joasów. Tak góralе w Tatrach nazywają pastérzów, którzy na całe lato wychodzą na góry z owcami i z bydłem. Po tlejących się jeszcze ogniach miarkując, która z koszar bliższą, do téj dążyliśmy. Na wejście nasze do koliby starszy z góralów tam spiących zaraz się porwał z ziemi, i z tą zawsze gotową ludzkością podając nam rękę jednemu po drugim, „Witajcie!“ rzekł „ale cóż wam damy? Nie mamy tylko mléko i sérki młode.“ Nie czekając mojego podziękowania, zaraz, co miał, stawia na ławicy. Potém, porwawszy z drugimi siekiérki, pobiegli rąbać pobliższéj kozodrzewiny gałęzie, dla rozpalenia nam wielkiego ognia, abyśmy się obsuszyli.

Uderzyła mię tych ludzi zręczna i zwinna postawa, a nad wszystko zastanowił bardzo ich ubior. Jest on zupełnie różny od tych góralów, którzy mieszkają w górach Bielawskich i w Bieskidach, a których strój już powszechnie jest znany. Lecz ubior góralów w Tatrach jest bardzo różny, i nie ma żadnego stosunku z nakolnych narodów sławiańskich strojem. Ma zaś niektóre podobieństwa z ubiorem góralów wysp południowych. Joas, góral Tatrów ma wzrost wielki, cała postawa umierzona w dobrym stosunku. Powszechnie włos czarny, naturalnie opuszczony, oko żywe i czarne, twarz podłużna, w niéj rysy znaczące. Na nogach boćkory, czarnym rzemieniem do łyst w pleciankę różną przypasywane. Nogawice długie, opięte, białe, zwiérzchu półkoszule całe czarne, ztłuszczone, mocno lśnące, u niektórych tak cienkie, iż zdaleka ukazują podobieństwo do glansowanéj kitajki. Na szyi gąbice, tojest,

kilkanaście sznurków śkiełek rozmaitych okrągłych różnéj wielkości i różnéj farby: czasem mają opustki z gęstych strzępów od góry i od dołu, natkane takoż rozmaitemi śkiełkami. Takie gąbice zpina pod brodą albo jaki kamień z dziurkami, przez które przeciągane sznurki, albo też sprzęga mosiężna, w czworogran zmiennokątny robiona. Zpod téj suto kilka łańcuchów mosiężnych opada mu na piersi. Przy tych wiszą czasem u dołu kamyki różnego kształtu, różnéj farby i rozmaitych zabobonnych znaczeń. U innych przy uszach wiszą pęki różnych śkieł łysnących. Na głowie kapelusz, którego głowica nizka, a ma naokoło osadzone stérczące wielorako pióra.

Wpoczątku października, kiedy górale nadół spędziwszy trzody, powracają do domów, natenczas w całéj pod Tatrami krainie powszechna wesołość, zabawy, gry i sielskie spiéwy; natenczas kiermasze gęste i najludniejsze. W tymto czasie tutejszych góralów strojom przypatrzyć się najlepiéj.

Nawschód Wołoszyni niedaleko rypu, który się zowie Siodło, wyszedłem między ogromne skały, a w tych pośrodku leży pięć jezior, górale nazywają je Pięć Stawów. Te znajdują się na górach wysokości 4.200 stóp. Naokoło są otoczone skałami piérworodnego w jednolitéj massie granitu. Od zachodu wołoszyńskie szczoty, od południa mury liptowskie, od wschodu skała, Nadstawnica. Wszystkie te okolne granitów turnie jeszcze na 3,000 stóp są wyższe od położenia Pięciu Stawów. Widać tu dowodnie, iż te wszystkie nakoło granitów szczyty stykały się z sobą w początkach, i zamykały wśrzód siebie całkiem to głębokie miejsce, w którém teraz leży Pięć Stawów. Od północy wiekami robiła się w granitach przerwa, którędy wody z tych jezior uchodząc, coraz niżéj sobie tę północną ścianę z granitów rozrywały, i dotąd jeszcze rozrywając, uchodzą z wielkim z góry spadkiem i szumem.

Wody tych Pięciu Stawów dawniéj łączyły się z sobą, i robiły tylko jedno wielkie tu jezioro; które naokoło więcéj mili zajmując, przypiérało do samych prostopadłych ścian granitowych. Czego dowodem teraz wszędzie od brzegów niezmierne zwaliska różnych rypów oberwanych i rozwalonych.

Tegoż jeziora wody wznosiły się niegdyś, jak to widać po różnych pewnych starych znakach na okolnych skałach, do kilkuset stóp wysoko. A z wiekami przekowując coraz niżéj od północy porog gra-

nitu, spadały także coraz niżéj, aż opadły do tego poziomu, że wody jeziora zostały podzielone na pięć stawów przez pewne wyższe ich dna, granitowe grzbiety, i przez zwaliska między niemi skupionych granitowych rumów; co teraz między stawem a stawem robi mniéj więcéj szérokie przedziały, w których wązkim tylko strumykiem, kiedy niéma powodzi, z jednych stawów do drugich wody spadają, dopokąd z ostatniego nie zlecą ze strasznym pędem w wądół, którym jeszcze na tysiąc stóp coraz niżéj spadając, uchodzą w końcu do rzéki Białki.

Holica, którą te wody z takiéj wysokości spadając, uchodzą, ciągnie się między górą granitową, Opalma zwaną, i między ścianą wołoszyńskich granitów. Te ogromne, do 5,000 stóp tak z jednéj, jak z drugiéj strony odkryte granitów ściany, są wszędzie jednostałe, niéma w nich żadnych ławic. Widać tylko w różnym kierunku przez całe skalisko rysy. Z tego miejsca, gdzie zbiegają się wody z Wołoszyni z Pięciu Stawów, i od Rybiego jeziora, idąc na południe ku najwyższym Tatrów strzychom przez kilka godzin ciągło a zawsze wgórę, na wysokości cztérech tysięcy kilkaset stóp razem ukazuje się wielki plac, miejsce na pół mili rozległe, a całe jakoby zapadłe, lub wykute wśrzód samych granitowych skał, których widać ogromne, i jeszcze na kilka tysięcy stóp wyżéj na koło stérczące wielorakiego kształtu cyple. Tych podobieństwem do różnych posągów uderzona, dzielniejsza w góralach, niż w gminie po równinach, wyobraźni władza różnemi je poznamieniła nazwiski: Zbójów, Pielgrzymów, Starców, Mnichów.

Wpośrzodku takich granitowych cyplów leży w dole obszérne jezioro, Rybiém zwane: z dwóch pobocznych skał, prosto naprzeciw siebie stojących, spadają do tegoż jeziora dwie wielkie rzéki, które na pięćset stóp z góry do dołu lecąc z strasznym hukiem, rozbijają po skałach swe wody, i stawiają zachwycający widok. W tém miejscu ogromność wszystkich razem przedmiotów nieustannie oszukuje oko, tak w stosunkach ich oddaleń, jak w mierze wielkości. Wszystko, wogół obejmowane okiem, zdaje się blizkie i niewielkie, a przyłożona w szczegółach miara zdumiéwa, odkrywając wszędzie nadspodziéwaną i odległość, i wielkość.

Jezioro na piérwszy miot oka wystawia się bardzo małe. Zmierzone zawiéra przeszło 8,000 stóp nakoło. To w piérwiastkowych początkach musiało być nierównie rozleglejsze.

O tego jeziora głębi, o mających się w nim znajdować wielkich rybach, i jakichsiś potworach nieznajomych, które czasami wyrzucają do góry wodę, i porywają pastérzom nadto zbliżone do brzegów owce i kozy, są liczne między góralami tutejszymi powieści.

Pilne uważanie i użyte przezemnie różne sposoby dla złowienia ryb, lub spostrzeżenia ich gatuków, bądź w Rybiém jeziorze, bądź w innych górzystych Tatrów stawach nie odkryły nic innego, tylko gatunek pstrągów, zbliżający się najwięcéj do gatunku ryb Laponii, które prawie jedyną są karmią Lapończyków w górach. Jestto ryba, mająca długości na stopę jednę, głowę ma owalną, i gładką, ogon widełkowaty, łuska po całéj rybie bardzo drobna, a po obudwóch stronach żółtemi kropki popstrzona, skrzele czerwone, grzbiet zupełnie czarny, boki niebieskawe, a brzuch żółty. Mięso wskróś czerwone. Jestto gatunek najbliższy tych, które Lineusz mianuje *Salmo alpinus*. Ja nie znalazłszy ich nigdzie u nas po wodach niższych, ale tylko w najwyższch jeziorach Tatrów, nazywam je pstrągi tatrowe. Znajdują się także pstrągi, mające na dwie stopy długości, i przeszło. Są one wyżéj opisanym podobne, ale różnią się przez wężykowate pręgi po obudwóch bokach, i są gatunku *Salmo mubla Linnei*.

Wyszedłszy jeszcze wyżéj na te skały, z których owe dwie rzéki do jeziora Rybiego spadają, znalazłem na wysokości odtąd 500 stóp jeszcze dwa drugie jeziora, z których wody lecąc nadół, rozbijają się po skałach.

Jedno z tych jezior leży pod Liptowskiemi mury, i zowie się Czarny staw; drugie leży na wschód między najwyższemi i najostrzejszemi cyplami w téj tu stronie Tatrów, i nazywa się Morskie Oko. To otoczone jest wkoło przez skały granitów jednostajnéj massy, na kilka tysięcy stóp wyżéj jeszcze stérczące. Trzy granitowe ściany od północy, od wschodu i od południa są całe, gładkie, prostopadłe, żadnych w sobie nie ukazują poburzeń, ani rozpadlin. W górze tylko, i to w ostatnich cyplach spostrzegać przerwy i rozłopy. Czwarta zaś ściana, która kiedyś od zachodu tę całą przepaść, i w niéj wody Oka Morskiego zamykała, była dawniéj prawie równo z innemi bocznemi skał karpami wysoką. To okazują pozostałych skalisk węgły, zwalonéj ściany dotąd stojące jeszcze reszty, i ogromne z téjże saméj ściany na zachód rozwaliska, które zasypały wielką część Rybiego jeziora.

O tém Oku Morskiém, że jest nie zgruntowane, że wody jego mają podziemne swoje połączenia z morzem, że wody jego w pewnych czasach do góry się podnoszą, i w pewnych czasach nadół opadają, znalazłem między góralami liczne gminne wieści. To wzbiéranie i opadanie wód w Oku Morskiém, które tutejszych góralów tak zadziwia, jest jedynym skutkiem nawalniczych ulew i roztopień śniegów. Wtenczas wody jego wznoszą się nagle, dopokąd nie przebiorą pozostały grzbiet z rozwalonéj ściany, a w całéj szerokości na kilkaset stóp przewaliwszy się tamtędy, robią widok ogromnéj rzéki, na kilkaset stóp wysoko i széroko lecącéj po skałach w Rybie jezioro. Mimo braku w tém miéjscu czółna, i wielkiego na tutejszéj wysokości drzewa, starałem się przecież w kilku miejscach zmierzyć Oka Morskiego głębokości, i poznać jego wód najgłębszych stopnie ciepła, lub zimna. Rzucana kula ołowiana na sznurze do 583 stóp najgłębiéj spadła.

Oko Morskie leży z strony północnéj Tatrów na wysokości 4.500 stóp. Już przy niém nie znalazłem żadnego drzewa, i nie widziałem nic żywego ani z ptaków, ani z płazów ziemskich. W wodach Oka Morskiego żadnych niémasz ryb. Naokoło po rozłopach skał śniegi i lody.

42. Wawrzyniec Surowiecki.

Urodził się roku 1769. pod Gnieznem, umarł 1827. roku.

Pisał: 1.) *O wadach wychowania młodzieży polskiéj, w Warszawie u Le Brun 1806.* — 2.) *Uwagi względem poddanych w Polszcze, i projekt do ich uwolnienia, w Warszawie u Le Brun 1807.* — 3.) *O upadku przemysłu i miast w Polszcze, w Warszawie u ks. Pijarów 1810.* — 4.) *O rzékach i spławach krajów księstwa Warszawskiego, w Warszawie w drukarni rządowéj 1811.* — 5.) *Śledzenie początku narodów słowiańskich, w Warszawie u ks. Pijarów 1820.* — 6.) *Recenzya na pismo Zoryana Chodakowskiego: O Sławiańszczyznie przedchrześciańskiéj.* —

Przeznaczony Surowiecki do stanu duchownego, po trzechletnim pobycie w seminaryum księży Missyonarzy, wystąpił dla słabości zdrowia. Następnie był nauczycielem prywatnym, poźniéj urzędnikiem w wydziale oświécenia. Należy on do małéj liczby pisarzy, którzy w czasach księstwa Warszawskiego, wśród ciszy literackiéj, przygłuszonéj szczękiem oręża, jako pisarz poświęcając pióro swoje historycznym badaniom, obéjmował zarazem, i rozbiérał potrzeby społe-

czeństwa. Zasady w znacznéj części, które rozwinął o poddanych, w Poznańskiém wykonane zostały.

Prócz pism powyżéj wymienionych, napisał rozprawę *O cechach*, gdy usłyszał silne głosy za zupełném zniesieniem stowarzyszeń rzemieślniczych; napisał drugą *O charakterach runicznych*, gdy postrzegł wątpiących o ich bytności u ludów słowiańskich.

W śledzeniu początku narodów słowiańskich, zapatrując się z nowego stanowiska, czerpając z mało używanych i mniéj znacznych źródeł, wywołał dzieło uczonego J. Szafarzyka p. n. Ueber die Abkunft der Slaven nach Lorenz Surowiecki, Pest und Wien bei Schäffer 1828.

Umiérając w 58. roku życia, zapisał 36.000 złp. na stypendya dla biédnéj młodzieży, kształcącéj się na b. uniwersytecie warszawskim.

K. Wł. Wojcicki.

Śledzenie początku narodów słowiańskich, rozprawa, czytana na publicznem posiedzeniu królewsko-warszawskiego towarzystwa Przyjaciół Nauk, w dniu 24. stycznia r. 1824. (Roczniki towarzystwa itd. T. VII.).

Religia dawnych Słowian.

O religii dawnych Słowian mamy podanie Prokopa: *Sclavini et Antae unum deum, fulguris effectorem, dominum hujus universitatis solum agnoscunt, eique boves et cujusque generis hostias immolant. Fatum minime norunt, nedum illi in mortales aliquam vim attribuunt; ut cum sibi vel morbo correptis, vel praelium ineuntibus jam mortem admotam vident, deo vovent, si evaserunt, continuo victimam pro salvo capite mactaturos; elapsi periculo, quod promisere, sacrificant, eaque hostia vitam sibi redemtam credunt. Sylvas praeterea et fontes colunt, et alia quaedam numina, hisque sacrificia peragunt, et intra sacrificandum vaticinantur.*

Z tego świadectwa okazuje się, że Słowianie uznawali jednego najwyższego boga, udzielnego władcę całego świata; że dla oznaczenia niezmiernéj i strasznéj jego potęgi uzbrajali go piorunem; że na ofiary zabijali mu jedynie bydlęta, i inne gatunki zwierząt. Oprócz tego czcili różnych bożków niższego rzędu, a z czynionych im ofiar wróżyli o skutku swych żądań. Tym bóstwom poświęcali gaje, zrzó-

dła, i wody. Przypisując wszystko samym dopuszczeniom bogów, w każdém grożącém niebezpieczeństwie, lub chorobie czynili im śluby, i z tych, skoro złe przeminęło, uiszczali się niezwłocznie.

Takie zasady religii dochowali Słowianie do dwunastego wieku. Pisarze ówcześni toż samo powiadają, że między wielu bóstwami różnego stopnia, którym poświęcali gaje, dąbrowy, wody i zrzódła, uznawali nad niemi jednego, najwyższego trudniącego się niebem. *Slavi habent unum deum in coelo imperantem caeteris... hic coelestia tantum curat.*

Prócz bóstwa piorunów, greccy pisarze nie spominają, jakie były inne, które czcili Słowianie, lub czyli je, i w jakich postaciach wyobrażali. Te szczegóły przez Prokopa i spółczesnych łatwo mogły być pominione, częścią dlatego, że religie pogańskie w ogólności wszystkie do siebie były podobne, częścią, że Słowianie, znajdując się podówczas na wędrówce, nie mieli potrzebnéj spokojności do wystawiania swoim bogom gmachów i posągów. Wyjaśnienie tych wątpliwości zostawione było następnym pisarzom. Z ich świadectw, i z pozostałych zabytków okazuje się, że jak sama religia słowiańska, tak bóstwa i ich obrazy nosiły jeszcze niezatarte piętna piérwotnéj, i że należała do rzędu tych, które poprzedzały zepsutą u Greków, Rzymian i innych.

Ponieważ w religii słowiańskiéj dają się postrzegać niejakie podobieństwa do indyjskiéj; ztąd niektórzy chcieli ją bezpośrednio wyprowadzać z Indyj. Jużeśmy namienili wyżéj, że wszystkie dawne religie miały wiele zabytków spólnego niegdyś zrzódła: zkąd, kiedy, i przez kogo te rozniesione zostały po ziemi, nie zasięga żadna pamięć ludzka. Najpozorniejsze podobieństwo religii słowiańskiéj do indyjskiéj znajduje się w wielogłównych obrazach bogów; ale ktoby za temi śladami chciał szukać jéj początku w Indyach, musiałby równie szukać tam początku egipskiéj, perskiéj, greckiéj, rzymskiéj, kieltyckiéj i innych. Nie tylko Słowianie wyobrażali swoje bóstwa w dziwotwornych postaciach z zwiérzęcemi, i z wielą głowami; wszystkie narody starożytnego świata czyniły toż samo. Jak u Indyan naczelne bóstwo, *Brahma* miało głów cztéry, *Bhahawedi*, czyli Księżyc trzy, *Kartigea*, bożek wojny sześć; tak podobnie Persowie dawali między innemi swemu Mitrze albo Słońcu głów lub twarzy trzy, bóstwu Księżyca także trzy, Egipcyanie Słońcu pod postacią Serapisa trzy, — Grecy Cekropsowi dwie, — Hetrury i Latyny Janusowi dwie, a cza-

sem cztéry, Hekacie trzy: prócz Indyan Persowie przy ludzkiéj postaci dawali Mitrze skrzydła i głowę lwa; Egipcyanie Serapisowi razem głowy, lwią, wilczą i psią, swemu Merkuremu podobnież psią, Jowiszowi amońskiemu baranią, Izydzie bydlęcą i t. d. — Japony dotąd wyobrażają bóstwo małżeństwa w postaci kobiéty z psią głową. Pies był zwyczajném godłem przywiązania i niezmiennéj wierności. U Kieltów, podobnie jak u Słowian, aż do rozkrzewienia chrześciaństwa wyobrażano bóstwa z wielą głowami. Gnostycy i Bazylidyanie od drugiego wieku byli najgorliwszymi obrońcami zwiérzęco-potwornéj symbolologii, a na niéj gruntowali swoje nauki tajemnicze.

Kto tylko rozważy właściwe obrazy bóstw indyjskich, i porówna je ze słowiańskiemi, znajdzie między niemi takie różnice, któreby się w żadnym względzie pojednać nie dały. Tamtych poczwarność w postaciach, w składzie, w postawie i niezliczonych godłach doprowadzona była do najwyższego stopnia wymysłów przesadnéj wyobraźni; przeciwnie słowiańskie nosiły jeszcze cechy prostego połączenia piérwotnych symbolów.

Słowianie dzielili swoje bóstwa na dobre, i na złe; piérwsze zwali białemi, drugie czarnemi lub czartami. Starożytności prylwickie dowodzą, że jedno bóstwo bywało i dobrém i złém, że piérwsze często lane były z kruszcu żółtego, a drugie z białego. Ta niejednostajność, która się wielu wydawała sprzeczną, i saméj tylko religii słowiańskiéj właściwą, znajdowała się i w innych religiach. U Greków i Rzymian między innemi *Hecate trivia* była to *coelestis*, to *terrestris* i *infernalis*; w zabytkach starożytnych znajduje się często Izys, Juno, Wenus, Merkury, Mars i t. d. z napisem *infernalis*. Indyanie, Persy, Egipcyanie i Normany, równie jak Słowianie, dzielili swoje bóstwa na dobre, i na złe: piérwsze, podobnie lane z kruszcu żółtego, zwano białemi, drugie, z kruszcu białego zwano czarnemi.

Te i liczne im podobne ślady spólności dawnych religij każą się domyślać z pewnością, że między innemi Apollo grecki, Belen kieltycki, Belbog, Niebo, Dusza i Raj, słowiańskie — z tego samego pochodziły zrzódła, co Belus syryjski, wyobrażający słońce, — Niebo — znaczące u nich księżyc, — Raj ogród rozkoszny, *Budh*, główne bóstwo, *Wishnu*, najwyższa istność u Indyan, *Dusi*, duchy trapiące, lub obcujące z ludźmi żyjącemi (upiory, *incubi*) u Kieltów i t. d.

Główniejsze bóstwa słowiańskie, których imiona, opis i wyobrażenia doszły do naszéj wiadomości, są następujące: Perun, Prowe, Światowid, Radogost, Dziewa, Trzygłów, Rugiewid, Gerowid i Porenut.

Chociaż jedne i te same bóstwa rozmaicie bywały wyobrażane, i chociaż o właściwém znaczeniu ich piérwotném nie mamy dostatecznych podań; z niektórych jednak godeł, z attrybucyj i obrządków szczególnych możnaby w znacznéj części rozwiązać wątpliwości. U późniejszych pisarzów wschodnich te tylko znajdujemy zmianki w ogólności, że Słowianie czcili Apollina, słońce i ogień.

O Perunie, głównem bóstwie, władającém piorunami to tylko wiémy z podań spółczesnych, że go wyobrażano w postaci ludzkiéj, i że w ręce trzymał strzałę czyli grot ognisty. Wszystko dowodzi, że Prowe Słowian zaodrzańskich, zwany także Prone, Perone, nie był niczém innem, jak tylko Perunem, tak przezwanym ze względu na przyznane mu attrybucye wymierzania kar i sprawiedliwości. W starożytnościach prylwickich znajduje się wyobrażony w postaci ludzkiéj, trzymający w lewéj ręce narzędzie w ostry trójkąt, podobne do lemieszy pługa. W przypisach do Helmolda Prowe jest także wystawiony w ludzkiéj postaci z długiemi, do końskich podobnemi uszami, z koroną na głowie, w prawéj ręce trzymający ostre, niby rozpalone żelazo (*ferrum rubrum et candens*), w lewéj okrytéj tarczą, włócznią z chorągwią. Cała jego postawa jest jak w biegu, i jedną nogą zdaje się posuwać przed sobą gruchawkę (*tintinnabulum*). W poświęconych mu gajach w dnie oznaczone, odbywały się zwyczajne obrady i sądy, złożone z miejscowego kapłana, naczelnika pokolenia i przybranéj starszyzny.

Świątowida arkońskiego Saxo, naoczny świadek tak nam opisuje. Posąg jego z drzewa olbrzymiéj postaci na cztérech szyjach miał tyleż głów patrzących w cztéry strony świata; włosy na głowach i brodach zwyczajem Słowian były podstrzyżone; w prawéj ręce trzymał róg kruszcowy, w lewéj łuk ze strzałą nabok wymierzoną. Odzież jego krótka do kolan, z rozmaitego gatunku drzewa z zadziwiającą doskonałością była wyrobiona. Blizko posąga złożony był ogromny miecz w bogatych pochwach, daléj siodło na konia poświęconego, uzda, i różne sprzęty do usług bóstwa. Wewnętrzny przybytek zakrywały purpurowe zasłony.

Między starożytnościami prylwickiemi znajdują się posążki Światowida o jednéj głowie, czasem z promieniami; na piersiach piękne głowy łysego starca z długą brodą; odzież do kolan. Niektóre są uzbrojone.

Radogost zwykle wyobrażany bywał w ludzkiéj postaci, z twarzą wdzięczną, nago, z ptakiem na głowie. W Retrze, gdzie miał ozdobną bożnicę i posąg lany ze złota, stojący na tronie okrytym purpurą, trzymał w jednéj ręce włócznią, a drugą podpierał na swych piersiach głowę wołu, czy żubra z rogami zagiętemi w półksiężyca. Nie mamy żadnego bóstwa słowiańskiego w tak rozmaitych obrazach, jak Radogosta. Często dawano mu głowę lwa, a podobno i ptaka: zwano go także Lwaradzicem.

Sieba czyli Dziéwa wyobrażana była w postaci kobiéty z twarzą wdzięczną, nago, lub całkowicie od głowy do stóp obwinięta odzieżą. Czasem dawano jéj głowę psią, albo na ludzkiéj sadzano psa czy małpę. Dawni kronikarze świadczą, że Siewa raciborska w dzisiejszym Meklemburskiém wystawiała piękną kobiétę nago, z włosami rozpuszczonemi długo i szeroko na plecy, z głową uwieńczoną laurem czy bukszpanem: w prawéj ręce spuszczonéj trzymała jabłko, albo owoc granatu, w lewéj, wyniesionéj do ramienia, winogrono z liściem. U *Montfaucon'a* znajduje się podobna Wenus kieltycka, która w jednéj ręce trzyma winogrono, a w drugiéj kłosy.

Trzygłów, bóstwo pod tém imieniem, miało trzy głowy ludzkie, z których jedna patrzyła wgórę, a dwie nadół. Posąg jego w Szczecinie był ze złota, twarze zakrywała zasłona tkana podobnież ze złota. Przypisywano mu panowanie na niebie, na ziemi, i pod ziemią. Jak Światowidowi biały, tak Trzygłowowi kary koń był poświęcony, którego ciągle utrzymywano przy bożnicy.

Rugiewida wyobrażano w olbrzymiéj postaci ludzkiéj z siedmią głowami na jednym karku, czasem pod jedną czaszką. U jego pasa wisiało siedm mieczów, a ósmy trzymał w prawéj ręce wyniesiony. Miało to być Mars słowiański: jakoż cała jego postać była groźna i przerażająca. To bóstwo między starożytnościami prylwickiemi znajduje się tylko z sześcią głowami nierównego wieku; na piersiach trzyma głowę lwa.

Gerowid, Herowid czy Porewid wyobrażany był z pięcią twarzami.

Porenut z cztérma głowami, na piersi miał piątą, któréj czoła dotykał się lewą, a brody prawą ręką.

Wiele tych bóstw słowiańskich, które inni pisarze jeszcze wymieniają, jakoto: Jessen, Nija, Ladon, Dziewana, Marzanna, Barowid, Wołos, Krasopani, Stryb, Horsz, i t. d., zapewne się nie różniły od wyżéj opisanych, tylko inakszém przezwiskiem.

Słowianie liczne bóstwom swoim wystawiali przybytki, zwane kontynami: niektóre z nich zewnątrz ozdobione były malowaniem i płaskorzeźbami rzadkiéj doskonałości, a wewnątrz przy bogatych zasłonach stały liczne i rozmaitéj wielkości posągi ze złota i innych kruszców. Główne bożnice, gdzie zwyczajnie odbywano walne obrady narodowe, łatwo mogły przyjść do takiego przepychu i bogactw; gdyż z wojny pewna część zdobyczy była im poświęcana, i majętni, podobnie jak u Greków, składali tam swoje skarby i klejnoty. Światowid arkoński, który słynął po całéj Słowiańszczyznie, i któremu obcy nawet królowie posyłali ofiary, miał prócz tego trzysta konnych wojaków, którzy służąc mu wyłącznie, oddawali wszystkie swoje łupy. Normany i inni cudzoziemcy, zawijający do lądów Arkony dla handlu lub połowu śledzi, winni byli składać także pewne dary. W czasie pokoju chowano przy głównem bóstwie pokolenia znaki wojenne narodowe, dla których miano religijne poważanie. Kontyny, gaje, źródła i inne miejsca bogom poświęcone, wraz z oznaczonym swoim obwodem, w wielkiém były poszanowaniu; prócz dni uroczystych, i obradowych nikomu nie wolno było zbliżać się do nich. W niebezpieczeństwie jednak zdrowia i życia, swój, czy obcy, nawet nieprzyjaciel mógł tam w każdym czasie dla siebie szukać schronienia, i był nietykany.

Przy każdéj bożnicy był osobny kapłan, który przeciw obyczajom narodowym nosił długie włosy, zapuszczoną brodę, a na głowie nizką czapkę. Do niego należało oznaczać dnie uroczyste, sprawować obrzędy ofierne, wyrokować w imieniu bóstwa, czynić wróżby, przestrzegać nienaruszalności obwodu miejsc poświęconych, mieć staranie o ogniu nieustającym, i o koniu boskim, gdzie jedno lub drugie było utrzymywane; nareszcie jego było obowiązkiem błagać bogów o udzielenie ludowi swoich dobrodziejstw, i nietrapienie go swoim gniéwem.

Kapłani ci różnili się w swoich stopniach i znaczeniu; niektórzy większą mieli powagę od naczelników i książąt narodu *).

Że Słowianie wierzyli w zjawienia swoich bogów, wnosić można ztąd, iż gdy Wologostanie zaodrańscy chcieli przyjmować chrzest, przestrojony kapłan w postaci Herowida ukazawszy się w gaju, tak wyrzekł do przechodzących: „Ja pola okrywam urodzajami, drzewa zdobię w gałęzie i liście: plony ziemi, rośliny, płód zwierząt, i to wszystko, czém ludzie żyją, jest w mojéj mocy; to daję moim czcicielom, a odbiéram tym, którzy mną pogardzają. Idźcie, powiédzcie Wologostanom, aby nie przyjmowali cudzego boga, który się im na nic nie przyda; niechaj posłańców obcéj wiary, którzy do nich przybyć mają, żywo nie ciérpią.“ —

Na główne uroczystości narodowe zbiérał się wszystek lud obojéj płci wraz z dziećmi w miejsca poświęcone, tam zabijano bydło, owce i inne zwiérzęta. Kapłan zebrawszy cząstkę krwi na czarkę, czynił z niéj naprzód wróżby, a potém stawiał przed bóstwem jako ofiarę. Przez cały ten czas lud z żebrzącą pokorą stał w głębokiém milczeniu. Następnie gotowano mięsiwa dla zgromadzonego ludu, który resztę dnia przepędzał na uczcie, zabawach, wesołości i pląsach.

Słowianie obchodzili w roku cztéry wielkie uroczystości, tojest: około końca grudnia, z początkiem wiosny, w czerwcu, i po skończonych żniwach. Ta ostatnia między innemi u Rugian odbywała się w ten sposób. Lud zgromadzał się zewsząd w obwód bożnicy Światowida, jako sprawcy urodzajów. Tam kapłan, wziąwszy z rąk bóstwa róg, winem nalany przed rokiem, przepowiadał z niego obfitość lub niedostatek na przyszłość. Następnie dając ludowi stosowne nauki, ostrzegał, czy ma zbiorów swoich używać szczodrze, czyli oszczędnie

*) Niéma pewności, jak Słowianie zwali swoich kapłanów. Jeźli im służyło imię knez jak jest podobieństwo, tedy mało różne od nazwiska kapłanów kieltyckich i germańskich, *sines*, mogło równie pochodzić z tego samego źrzódła, co łacińskie *senex* (starzec), u Persów mędrzec. Ponieważ kapłani słowiańscy byli tłumaczami praw, uczonymi, i więcéj mieli powagi, niż żupany, i inni naczelnicy narodu, ztąd za zmianą religii i rządu, nazwisko knes (książę) łatwo przejść mogło na tych ostatnich, jako zastępujących w niektórych względach władzę dawnych kapłanów. *Kniar* u dawnych Normanów znaczyło człowieka, który się wzniósł do znaczenia i powagi.

ze względem na niedostatek. W końcu składając ów róg, świeżo winem nalany napowrót w ręce bóstwa, stawał za ogromnym kołaczem, czyli bochenkiem chleba pieczonego na miodzie, pytał się, czyli go ten zasłania, a za daną odpowiedzią, błagał o większy jeszcze na przyszłość, i o wszelką pomyślność dla ludu i całego kraju *).

Uroczystość wiosenna odbywała się na cześć Herowida. Miejsce zgromadzonego ludu obstawiono w ten dzień naokoło po polach chorągiewkami. Z początkiem lata obchodzona była uroczystość przy wysokiéj kolumnie, na któréj wiérzchołku utkwiona stała włócznia. Podobne kolumny, i obrzędy przy nich religijne mieli między innemi dawni Trakowie, mianowicie Koralle, toż Germany pod imieniem *Irmensul*. Niektórzy mniemali, że były wystawiane na cześć bóstwa wojny; ale podobniejsza, że miały znaczenie, sciągające się do letniego zwrotu słońca.

W głównych sprawach narodowych, w ważnych przedsięwzięciach nic Słowianie nie rozpoczynali bez poprzedzającego wyrozumienia woli bogów. Tę objawiali im kapłany, rokując albo z krwi ofiar, albo z innych znaków. Gdy się zabiérano do wojny, oni przeganiali konia poświęconego przez włocznie, nakrzyż pochyło utkwione, i z jego kroków przepowiadali dobry lub zły skutek z przedsiębranéj wyprawy. W mniéj ważnych zapytaniach wróżyli z rzucanych prątków, ostruganych z jednéj, a całych z drugiéj strony. Dla ubłagania bóstw zwykli byli dzwonić we dzwony.

Twierdzenia kilku poźniejszych pisarzów, jakoby Słowianie, podobnie jak inne dawne narody, zabijali ludzi na ofiary swoim bogom, są bezzasadne. Nikt nie znał ich bliżéj, lepiéj i dłużéj, jak Grecy i Włochy; jednak w mnóstwie podań, które nam o nich zostawili, nie ma o tém najmniejszéj zmianki, ani śladu. Kiedy Jornandes i Prokop nie mogli zamilczéć podobnych ofiar u odległych Skandynawców, nie byliby ich zapewne pominęli i u Słowian, których w własnym kraju, i szczególniéj opisywali. Sam tylko Dyttmar, znany z jawnéj niechęci przeciw niektórym sąsiedzkim Słowianom, i przekonany o liczne na nich potwarze, powiedział, że Radogostowi retrejskiemu zabijano bydlęta na ofiarę, a niekiedy i ludzi. Za nim powtórzył to samo, do-

*) U Prusów podobna była uroczystość po żniwach. Chléb poświęcony zwali *karcho*, i ten był łamany i rozdawany ludowi. *Hartknoch*.

dając: *hominem Christianum* pilny jego przepisywacz, Helmold, a nikt więcéj. Wszyscy inni spółcześni, począwszy od Eginharta, Konstantyna, Anny Komneny, Witychinda, Adama bremeńskiego, Saxa Grammatyka, pisarzów życia Ś. Ottona, Bernarda, Ś. Benona i t. d., którzy znali zblizka Słowian bałwochwalskich, zwiedzali ich kraje, opisywali bóstwa, obrządki, wytykali wszelkie wady i nagany, nie uczynili przecież najmniejszéj zmianki o tym rodzaju ofiar u nich. Co Nestor powiada, że za Włodzimiérza W. na cześć Peruna matki oddawały własne dzieci, można także uważać albo za powieść użytą dla obrzydzenia pogaństwa, co przytoczone przez niego zdarzenie z Waragiem zdaje się potwierdzać, albo za zwyczaj nowo wprowadzony do Słowian przez panujących nad nimi podówczas skandynawskich Rossów.

Jakie Słowianie mieli wyobrażenie o nieśmiertelności duszy, nie wiémy z pewnością: widać tylko, że śmierć uważali za przejście do drugiego życia, w którém czekał ich podobny los, i podobne potrzeby, jak w doczesném. Mniemaniem ich było, że jak na tym, tak na przyszłym świecie mogą za ciężkie przewinienia zostać niewolnikami, i podlegać karom. U dawnych Indyan n e b a n było miejsce, gdzie się dostawały dusze, wolne od dalszych przechodów z jednego ciała w drugie; być może, że i Słowianie dochowali względem swego n i e b a toż samo mniemanie. Umarłego opatrywali w to wszystko, czego pospolicie używał w tém życiu, i co mu służyło w jego powołaniu i przemyśle, jakoto: z przyjstoną odzieżą, mężczyznę w oręż, nóż, siekiérę, krzesiwo; — kobietę w igłę, nici, nożyce i t. p. Krewni najbliżsi zwykle nosili przez czas niejaki na grobowiec potrawy, któremi się dusza zasilać miała. Dopóki zmarły nie został pogrzebany, dopóty duch jego błąkał się po lasach między gałęziami, gdzie mu smutne towarzyszyły sowy. Zwyczaj opłakiwania umarłych z wielkiém wyrzekaniem, wyliczania ich pochwał, i wyprawiania w końcu hojnéj stypy, na któréj się zwykle upijano, był powszechny u Słowian. Jedni ich palili, drudzy grzebali po lasach i miejscach odosobnionych, gdzie przechodnie mieli rzucać kije (*fustes*) i gałęzie. Niektóre pokolenia, zebrawszy popioły po spalonych w urny, stawiały je na słupach przy rozstajnych drogach.

43. Tymon Zaborowski.

Urodził się d. 18. kwietnia 1799. w Galicyi, w obwodzie czortkowskim, we wsi Liczkowcach, u podnóża gór Miodoborskich. Nauki ukończył w gimnazyum krzemienieckiém. W roku 1817. udał się do Warszawy; tam przez dwa lata pracował w biórze rady stanu. Resztę życia przepędził w domu rodziców. Roku 1828. d. 20. marca żyć przestał.

Posiadał niezaprzeczony talent poetyczny, a rzadki poeta, któryby z większym zapałem kochał swoję sztukę, i jéj tak wszystko, jak on, poświęcał.

Zostawił pisma następujące: 1.) *Bohdan Chmielnicki, tragedya;* — 2.) *Tajemnica, czyli Borys i Milwiana, tragedya z dziejów kijowskich za synów Włodzimierza IV.;* — 3.) *Umwid, poema dramatyczne z czasów Mieczysława;* — 4.) *Dumy podolskie.* — Tylko te ostatnie ogłoszone były drukiem w Puławach roku 1830., reszta zostaje dotąd w rękopismie.

Dumy podolskie za czasów panowania tureckiego. W Puławach, staraniem i nakładem wydawcy (Karola Sienkiewicza) r. 1830.

1. Potyczka.

To bracia nasi! spiéw do Boga wojny
Wznoszą, i dzidy na polu utkwili:
Ustał ruch nawet powietrza spokojny
W téj przed potyczką uroczystéj chwili.

Umilkli znowu, i pilnują drogi,
Wiodącéj zapęd barbarzyńskiéj dziczy:
Nie zajmie pola poczet ich nie mnogi,
Oręż ich zdala łatwo wróg policzy.

Dzikiego ptastwa spłoszonego z niwy
Skrzydlate roty przeciągają jeszcze,
A już bezbożnych tłumów krzyk sztraszliwy
Do nas uprzedzał wrzaski ich złowieszcze.

Grzmi po równinie tętent wartkich koni,
I z chmury kurzu miecz turecki błysnął,
Zabrzmiał trzykrotnie po szérokiéj błoni
Twardy dźwięk trąby, i o góry prysnął.

Starły się hufce! Płomieniste strzały
Dymem śmiertelnym pole walki chmurzą;
Trąby mierzonym głosem brzmieć przestały,
Niezgodnych dźwięków zatłumione burzą.

Jak piorun, kiedy z niebios się wyporze,
Tak złość bezbożnych niepamiętna na nic;
Wściekłość ich w boju, jak wzburzone morze,
Przeciwko niebu nie znające granic.

W jakiéj dąb z wichrem bije się postaci,
Gdzie się potrójnym rozkorzenił wiekiem;
Taki jest mężny odpór naszych braci
Na ziemi, któréj wykarmieni mlékiem.

Nie zawsze bułat poganina krzywy
Daremném cięciem na powietrzu dzwoni;
Nie jeden z naszych poległ — i nieżywy
Broń groźną jeszcze w martwéj trzyma dłoni.

Nie wszystka naszych stal nieczynnie błyska,
I same razi barbarzyńców oczy;
Często jéj ciosem strumień krwi wytryska,
I wróg bluźnierczym łbem po ziemi toczy.

Spieszmy! braterskie niech się złączą siły!
W ręku żelazo drży już za żelazem:
Czy o zwycięzkich wieńców zaszczyt miły,
Czy o śmierć chlubną, wszyscy walczmy razem.

Rumak do swoich towarzyszów boju
Rwie się, kopytem iskry krzesze z głazu,
Rży, wojennego nieciérpliwy znoju;
Żelazo z ręki rwie się ku żelazu!

2. Pogoń.

Ścigajmy pohańców roty!
Puśćmy wolne koniom wodze,

Póki nam dzień jeszcze złoty
Świéci na zwycięztwa drodze!

Mży odgłos wojennéj wrzawy,
I księżyców blask zamiérzcha;
Równie z tumanem kurzawy
Tłum dziczy rozbitéj piérzcha.

W zdobyczy tureckich łupów
Mieć nie będziemy korzyści;
Z ich broni razem, i z trupów
Tę ziemię ogień oczyści.

Z jadowitéj wrogów stali, —
Z niéj ślady nawet niech zetrze,
I niech zewszystkiém wypali
Tchem ich zatrute powietrze.

Gdzie tylko bezbożne plemię
W naszym się kraju rozrasta,
W step się mienią żyzne ziemie,
I w gruzy walą się miasta.

Od naszych ojców zagrody
Oddalmy strasznego węża,
Który pożéra narody!
Nie puśćmy go zpod oręża.

Ścigajmy pohańców roty!
Puśćmy wolne koniom wodze,
Póki nam dzień świéci złoty
Na krwawéj zwycięztwa drodze!

44. Franciszek Wężyk.

Urodził się dnia 10. października 1785. roku we wsi Witulinie na Podlasiu. W akademii krakowskiéj skończył nauki.

Pisał on: 1.) *Okolice Krakowa, poemat. Kraków 1820., (1823. i 1833. r.)*; — 2.) *Barbara Radziwiłłówna, trayedya, Kraków r. 1822.*; — 3.) *Bolesław Śmiały, tragedya, Kraków r. 1822*; — 4.) *Gliński, tragedya, Kraków r. 1822*; — 5.) *Wanda tragedya, Kraków. 1826.* —

Pisał i powieści historyczne: 6.) *Władysław Łokietek, Warszawa r. 1828*;— 7.) *Zygmunt z Szamotuł, Warszawa r. 1828.* trzy tomy.

Wężyk bezsprzecznie należy pomiędzy klassykami do najlepszych wierszopisarzy. W dramatach swoich ściśniony koniecznemi formami jedności miejsca i czasu, których żaden z artystów przestąpić nie miał odwagi, przedmiotów wybranych rozwinąć nie mógł dostatecznie. Treść tych tragedyj narodowa zajmowała żywo ówczesną społeczność, nazwyczajoną do niewymagań od pisarza ani charakterów prawdziwie historycznych, ani barwy zupełnéj wieku; budziły one zapał, jakkolwiek dziś nie odpowiadają żądaniom sztuki.

W powieściach historycznych brak znajomości opisywanych czasów. Powieści te przecież i dramata Wężyka zaleca język wyborny i czysta polszczyzna. Włada on ojczystą mową dzielnie, i w tém stoi wysoko między współczesnymi sobie.

K. Wł. Wojcicki.

A.) Bolesław Śmiały, tragedya, Kraków r. 1822.

Osoby.

Stanisław Szczepanowski, biskup krakowski.
Bolesław, król polski.
Wisława, żona jego.
Śrzeniawita, **Mścisław**, } pan polski.
Krystyna, żona jego.

Akt III.

Scena VII.

Stanisław.

O niebaczny na własne i ojczyzny losy!
Srożejesz, a wiatr szybki twe rozprasza głosy;
Grozisz, a nikt na płonne nie zważa przestrachy;
Chcesz działać, a Bóg płoche przewraca zamachy.
Już słońce swe promienie ku ziemi przychyla,
Spieszy na skrzydłach gromów strasznéj zemsty chwila.
Wkrótce noc przy grobowych zawita pochodniach;
Ostatni czas upływa, a upływa w zbrodniach.
Ostatnia dziś z ust moich wychodzi przestroga,
Pomnij na gniéw straszliwy srogiéj zemsty Boga!

Bolesław.

Nie wzmiankuj mi o Boga groźnéj zemsty dłoni:
Kogo gniéw mój dosięgnie, Bóg go nie uchroni.
Już ón wre, już mu złość twa piorunów użycza,
Uciekaj więc natychmiast zprzed mego oblicza!
Bo jeźli się w buntownéj nie powściągniesz pysze,
Jeźli raz głos zniewagi z ust twoich usłyszę,
Lub jeźli nowych obelg rozjątrzysz mnie grotem;
Natychmiast przeniewierczém odpowiész żywotem.

Stanisław.

Stało się! za nic groźby, za nic napomnienia!
Rozbił się głos przestrogi o serce z kamienia.
Czyniłem to, co tylko człowiek zdziałać może,
Resztę tobie poruczam, sędzio królów, Boże!

(Do króla)

Niech więc się teraz spełnią gniéwu twego słowa!
Grozisz śmiercią, mękami, — oto moja głowa!
Wyższy nad marną zemstę i błaski niestałe,
Czuję — czuję méj duszy zgotowaną chwałę.
Do lepszego mię życia śmierć przyzywa blada:
Już Bóg wieniec męczeński na me skronie wkłada.
Nieprzeżytą wiekami jaśnieję ozdobą,
I widzę wszystkie nieba otwarte przed sobą.
Uderz więc, i za prawdę pomścij się sowicie!
Umrę,— lecz jakież odtąd będzie twoje życie?
Potępiony od Boga, od ludzi przeklęty,
Coraz większe do przestępstw uczujesz ponęty.
Ileż klęsk twojéj w spadku zostawisz rodzinie!
Ileż krwi i łez rzewnych po téj ziemi spłynie!
Gdzie nie dójdą zatargi twojego plemienia,
Ciężka kara z pokoleń przejdzie w pokolenia.
Ty sam, tułacz z monarchy, z bogacza ubogi,
Będziesz po obcych ziemiach błędne zwiédzać drogi,
Ścigany przekleństwami, zgryzotą i nędzą:
Ci, którym dałeś domy, z domu cię wypędzą;

Ci, dla których podbiłeś kraje i narody,
Wzbronią ci w własnym kraju i ognia, i wody.
Niepozbytych męczarni przenosząc narzędzie,
Wszędzie będziesz uciekał, i znajdą cię wszędzie.
W sprzeczności, której skutków nigdy nie pominiesz,
Zechcesz umrzéć, nie zdołasz; zechcesz żyć, i zginiesz!
Zginiesz, a syn twój przodków tronu nie osiędzie!
Zginiesz, a nikt cię z ludzi żałować nie będzie!
Zginiesz, a nikt zwłok twoich nie zechce pochować!
Nieszczęsny Bolesławie, przestałeś panować! —
Ty, która w pieczy męża masz najświętsze prawo,
Zbłąkanego w twe ręce oddaję, Wisławo.

(Do Mścisława i Krystyny).

Wy oddalcie się za mną.

Scena VIII.

Wisława, Bolesław, Śrzeniawita.

Wisława.

Już odszedł, — truchleję! —
O mój mężu!

Bolesław.

Gdzie jestem? — cóż się zemną dzieje? —
Któż me zmysły z głuchego budzi otrętwienia?
Byłżem świadkiem na jawie własnego zhańbienia?
Pomnę, jak ognie zemsty w mém sercu zawrzały;
Widziałem ciało moje szarpane w kawały,
Czułem, jak we mnie zbójcze topiono dziryty;
Spełniałem kielich obelg, i stałem jak wryty!
Com wyciérpiał w téj chwili, przez wiek nie wyrażę.
Gdzież jesteś, Śrzeniawito? Przybliżcie się straże! —
Czegoż drżący stoicie, gdy was król przyzywa?

(Do Wisławy).

Ktoś ty jest?

Wisława.

O mój mężu!

Bolesław.

Chroń się, nieszczęśliwa!
Ach! chroń się, albo zginiesz zemście méj oddana.

(Wisława oddala się). — (Do Śrzeniawity).

Widziałżeś, Śrzeniawito, hardego kapłana?
Czułżeś ty, gdy okropnym przegrażał mi losem,
Jak się łączył huk gromów z strasznym jego głosem?
Dałżeś baczność, gdy na mnie gniewném okiem błyskał?
Jak krew wrzącą w mych żyłach mróz śmiertelny sciskał? —
Któż moje poniżenie wyobrazić zdoła?
Nie śmiałem ugiętego podnieść wgórę czoła,
A morderczych pocisków obarczon nawałem,
Chciałem mścić się, — nie mogłem; chciałem odéjść, — stałem;
I zaledwie w téj chwili swobodniejsze tchnienia
Zdejmują z moich zmysłów ciężar otrętwienia.
Jakieżto obelg pasmo dręczy pamięć moją?
Jakież widma klęsk przyszłych przedemną się roją? —
O hańbo najdotkliwsza! o boleści nowa!
Cóżem widział? Zuchwalca! — Cóżem słyszał? Słowa! —
I słowa męztwo moje w podłość zamieniły?
Tak jest! Strasznéj dla zbrodni czuję powrót siły:
Wraca z nią w chwili błędu zachwiana odwaga,
I pamięć krwawych obraz zemstę moją wzmaga.

Śrzeniawita.

O mój królu! wyjdźmy ztąd.

Bolesław.

Któżto w obłąkaniu
Śmiał koniec zapowiadać memu panowaniu?
Czyjeżto wybluźniły usta nieobaczne?
Chcę panować, i będę: jeźlim przestał, zacznę!
Zacznę, a miecz ten, którym ręka moja włada,
Stwierdzi moc tego hasła: Biada tobie! biada!

Akt V.

(Teatr wyobraża widok kościoła na Skałce, otoczonego strażą).

Scena I.

Wisława, Krystyna.

Krystyna.

Tędy biegli. — O pani! spieszmy bez odwłoki.

Wisława.

Krystyno! wiedź, przewodnicz, kieruj memi kroki.

Krystyna.

Oto jest do świątyni prowadząca droga!
Gdzie biskup z wiernym ludem wznosi głos do Boga;
Tam pójść musiał Bolesław. — Ale cóż to baczę?
Kościół ten otoczyły ze wszech stron siepacze.

Wisława.

Idźmy śmiało, siepaczów nie ulękło tłuszczą,
Aliż może bezbronne kobiety przepuszczą!
Idźmy! — Jako? nie wolno! Losie nieużyty!
Po cóż te nastawione ku sercom dziryty?
Raczéj wraz z nami króla i Polskę ratujcie.
Puśćcie nas do kościoła, potém zamordujcie!

Krystyna.

Puśćcie! lub niepozbędnéj ulęgniem obawie;
Puśćcie! lub się najsroższe dopełni bezprawie. —
Nieba! jakiżto jęk się z tych murów odzywa?
O pani! — Lecz co widzę?.. Chroń się, nieszczęśliwa.

Scena II.

Wisława, Krystyna i Bolesław (wchodząc na scenę z zakrwawionym orężem w ręku, w najwyższém pomieszaniu).

Bolesław.

Dokądże mię, okropny ścigać będziesz cieniu?
Tyżto każesz mi broczyć w czarnéj krwi strumieniu?

Kto tu jest?— Ach słuchajcie! grzmi niebo, grom błyska!
Uciekajmy bez zwłoki z morderców siedliska.
Najstraszniejszą w tych miejscach popełniono zbrodnię!
We krwi życia świętego zgaszono pochodnię!
Szczękła ostrzem zabójczém śmierć nielitościwa;
Zbroczone ciało głową opuszcza sędziwa,
Tarza się w piasku cnotą promieniste skronie! —
Ach! chodźcie! lub wraz zemną ziemia was pochłonie;
Chodźcie, a tam nas oko nie dojrzy niczyje!

Wisława.

Gdzież nas wleczesz, nieszczęsny? —

Krystyna.

Więc biskup nie żyje?

Bolesław.

Któż to śmié zdzierać z zbrodni zasłonę tajemną?
Zginął biskup! — Nie zginął — Oto jest przedemną!
Oto pośrzód zaciętéj na mą zgubę rzeszy
Z mieczem i krzyżem w ręku prosto ku mnie spieszy!
Bezwzględny na mą prożbę, głuchy na błagania,
Ściga mię, prześladuje, i jużjuż dogania.
Stój! wstrzymaj się! lub krew twa na mą głowę spłynie.

Wisława.

Więc już wątpić nie można o najsroższym czynie!
Także daleko w tobie zemsta się zaciekła!

Bolesław.

Cicho! — Jeszcze spią ludzie, milczą nawet piekła.—
Wpadłem, wzniosłem miecz ostry, trafiłem przypadkiem,
Lecz noc jedna téj zbrodni niemym była świadkiem:
Jakiś szał wzburzył we mnie bezprzytomne zmysły.
Chodźmy! wywleczmy trupa, rzućmy w nurty Wisły!
Blizko ztąd szumi rzéka, — w bezdennéj głębinie
Razem z trupem ślad zbrodni na wieki zaginie.
Nikt z ludzi słabym mordu nie docieknie wzrokiem.

Wisława.

Dobrze, lecz gdzież przed Boskiém ukryjesz się okiem?

Bolesław.

To jest mowa Wisławy! Poznaję cię, sroga!
Po cóż ty mi przywodzisz zawsze na myśl Boga? —
Lecz jakiż okrzyk nową przeraża mię trwogą?
Lud z Mścisławem w te miejsca prostą spieszy drogą.
Patrzcie, jak strasznym gniéwem, jaką zemstą pała!
Więc już zbrodnia najsroższa odkrytą została!
Ach! nim ludu własnego widok przeraźliwy
Dobije mię, uchodźmy! — Spieszmy!

Scena III. i ostatnia.

(Ci sami i Mścisław na czele ludu).

Mścisław.

Nieszczęśliwy!
Zapalony złéj żądzy morderczém zarzewiem,
Cóżeś uczynił? dokąd chcesz się chronić?

Bolesław.

Nie wiém.

Mścisław.

Gdzież jest mąż, który prawdę objawiał ci śmiele?
Gdzie jest biskup Stanisław? Odpowiédz.

Bolesław.

W kościele.

Mścisław.

Więceś nie w jego łonie twe ręce zakrwawił?

Bolesław.

Jam go u stóp ołtarza przed chwilą zostawił.

Mścisław.

Któż przeto serce jego ostrym grotem przeszył?

Bolesław.

Wszakżeś sam do kościoła w tropy moje spieszył?

Mścisław.

Tak jest! Długo wstrzymując rękę śmiercią groźną,
Biegłem, chciałem obronić; — przybyłem zapoźno.
Widziałem dni najświętszych starganą osnowę,
Widziałem siwą mieczem potrzaskaną głowę,
Widziałem ją od tego oderwaną ciała,
W którém ludzkość, pobożność i cnota mieszkała!
Naprożno duszę czystą, spieszącą w obłoki
Chcąc wstrzymać, wstrzymywałem hojne krwi potoki;
Jeszcze raz promień światła Boski mąż zobaczył,
I — skonał, prosząc Boga, aby wam przebaczył.

Bolesław.

O mordercze wyrazy! okropne wspomnienia!
Jam nie wart jego modłów, nie wart przebaczenia!
Mścisławie! ludu polski! wykonawcy prawa!
Oto przed waszym sądem król nieszczęsny stawa;
Zadrżyjcie nad mym losem! W zaślepieniu srogiém,
Zgwałciłem świętość ustaw, pogardziłem Bogiem;
A zgubnym przeciw cnocie wzburzony zapałem,
Pobiegłem, wzniosłem oręż, i zamordowałem!
Ledwie padł letni kapłan u stopni ołtarza,
Zagrzmiały gniewne nieba nad głową zbrodniarza:
Cały kraj widzę czarną okryty żałobą,
Drżę przed Bogiem, i ludźmi, i przed samym sobą.
Rozwiéra się okropna z oczu mych zasłona
I krew na moją duszę spada przetoczona:
A w mękach, co mię zewsząd swém brzemieniem gniotą,
Brzydzę się domem, tronem, i własną istotą.
Patrzcie! znowu mię ściga jędz piekielnych rzesza,
I strasznéj pomsty władza zmysły moje miesza!
Jużem przestał panować. — Gdzież jestem? co czynię?
Któreż zbiegłego z tronu przyjmą mię jaskinie?

Któreż morza mych dręczeń zagaszą pożogę?
Puśćcie mnie! już tu dłużéj pozostać nie mogę.
Żegnam was, żono, ziomki, ojczyzno strapiona!
Oto jest dla zbrodniarza jedyna uchrona!

(W pomieszaniu i obłąkaniu, chcąc wyjść z miejsca sceny, otwiéra Bolesław podwoje kościoła, w którym widać zwłoki Stanisława, otoczone kapłanami i oświécone od pochodni. Na ten widok pada Bolesław na klęczki, i mówi):

Lecz co widzę? o nieba! okrutne wyroki! —
Twojeżto, święty mężu, krwią zbroczone zwłoki
Widzę? widzę straszliwych przed tobą mścicieli!
Ducha twego w obłoki unoszą anieli;
A przedemną, którego niebo się wyrzekło,
Chciwe dręczeń szatany otwiérają piekło! —
Wstrzymaj do krwawéj zemsty pioruny gotowe!
Nie wysypuj klęsk wszystkich na bezbożną głowę!
Nie wstrząsaj tak okropnie zagniéwaném czołem!
Lecz nie zważa; — zbliża się; — chce nękać. — Zginąłem!

B) Okolice Krakowa, poema, w Krakowie 1833.

1. Bielany.

Idźmy ponad wspaniałą szumnéj rzéki wodą,
Gdzie nas kręte jéj nurty zbłąkanych zawiodą.
Oto jawi się zblizka kościoł okazały,
I gmach, tkwiący na grzbiecie nieprzełomnéj skały!
To miejsce z dawnych wieków Zwierzyńcem się zowie.
Tu w myśliwych gonitwach najpiérwsi królowie,
Pozbywając swych trudów, niedorosłe syny,
Zaprawiali do bojów na zgonach zwiérzyny;
Tu pod cieniem ku niebu wyniosłych topoli
Dumali w samotności o swych ludów doli.
Zajęły kształtne domy miejsce gajów z czasem,
I Wisła się z sąsiedzkim pożegnała lasem.
Dotąd kilka drzew starych podle wody stoi,
Często je wdzięczna rzéka swemi nurty poi,

A corok odwilżając łono wspólnéj matki,
Krzepi gaju pysznego niknące ostatki.
O drzewa! których widok wabił mię zdaleka,
I was wkrótce, niestety! zgon niezbędny czeka.
Te wiekiem przyciśnięte do ziemi konary,
Ten ogrom, co go ledwie pień unosi stary,
Te liście rdzą pożerczą i śrzonem okryte,
Sąto czarnéj przyszłości wróżby nieodbite.
Tak niszczącego czasu zgłębiając igrzyska,
Wszedłem w gmach, który miedzią z swych szczytów połyska:
Ta w kształt grodu mocnego wzniesiona budowa
Od wieków sobie daną dotąd postać chowa.
Jaxów dom, równie z męstwa, jak cnót rzadkich znany
Poświęcił Boskiéj chwale te wspaniałe ściany.
W nich od świata daleki skromny zakon mieszka.
Ta na skale wykuta i pochyła ścieżka,
Ta drożyna przez twarde wiedziona opoki,
Gdzież nakoniec ciekawe wyprowadzi kroki?
O jak wdzięcznie nad brzegiem coraz węższéj wody
Wznoszą się chatki wiejskie, role i zagrody!
Z tak bujnego dokoła, i rychłego żniwa
Pyszni się złotym plonem przyodziana niwa.
Powabniejsze nad gmachy dźwignięte ze skały
Przynęcają wędrowca piękne Przegorzały;
Rozkoszniejsza przez kręte po łąkach obiegi
Nad zarosłe wikliną wzywa Wisła brzegi:
Lecz najobfitszy widok w bogate odmiany
Wzorową wdzięków cechą oznacza Bielany.
Gdzie tylko zwrócę oko, widzę kraj wesoły;
Tu wszystkie w jeden powab zbiegły się żywioły,
Tu stalsza piękne niebo rozjaśnia pogoda,
Tu jest lżejsze powietrze, przezroczystsza woda;
Tu warowne schronienie od słonecznéj spieki,
Tu drzewa, których pożyć nie zdołały wieki,
Godząc się bez oporu z posępną zaciszą,
Nigdy bujnemi szczyty z szumem nie kołyszą;

Tu Wisła, u stóp góry poważnie płynąca,
Rzadko nurty spienione o brzegi roztrąca.
Wyższość miejsca przedmiotom wyższości przyczynia,
Las panuje nad górą, nad lasem świątynia.
O poważne Bielany! pustynio wspaniała!
Jakaż twoim pięknościom wyrówna pochwała?
Kto z czułych, zapędzony do twojéj ustroni,
Słodkim myślom do serca przystępu zabroni?
Ileż ich bez zamiaru, ładu i różnicy
Przebiegło przez mój umysł lotem błyskawicy?
Ileż razy chcącego rzucić pobyt błogi
Mimowolnie leniwe wstrzymywały nogi?
Już obiegłszy piękności dokoła rozlane,
Wyglądały spoczynku oczy zmordowane:
Wtém postrzegam otwarte świątyni podwoje!
Porzućmy u tych progów świata niepokoje,
A pomnąc, że przed Bóstwa stanąć mamy tronem,
Z sercem od żądz natrętnych wnijdźmy oczyszczoném.
Jakaż cichość kościelne osiadła sklepienie!
Nigdy w nim głosów ludzkich uroczyste brzmienie,
Ni dźwięki, które organ roztacza wspaniały,
Przesyłanych do niebios modłów nie przerwały;
A nie dufając dosyć samych miejsc wrażeniu,
Każda ściana w napisach wzywa ku milczeniu.
Przebieżmy te siedliska smutku i żałoby!
Tu widzimy umarłych, tam żyjących groby.
W nich zakonnik od zgiełku i ludzi daleki,
Słodzących życie związków zrzekłszy się na wieki,
By żadném ich wspomnieniem nie był udręczony,
Od własnych nawet braci mieszka odłączony,
Rozmyślaniem o śmierci bez przerwy zajęty.
I śmierć wszystkie na pamięć przywodzą mu sprzęty:
Codzień gotów doczesne w wieczne zmienić życie,
Trumnę ma on za łoże, a kir za pokrycie.
Jedna rozkosz, niewzbronna surowemi prawy,
Wynika z pracowitéj ogródka uprawy.

Tak wzniesiony nad wszystkie tego świata burze,
Po Bogu saméj tylko hołduje naturze,
I zda się, że w jéj dary nadto jest bogaty,
Gdy ma z pracy rąk własnych owoce i kwiaty.

2. Ostatni Tęczyński.

„Cóżto jest za młodzieniec powabnéj urody,
Któremu tęskność blade pokrywa jagody?“ —
Na to z ciężkiém westchnieniem rzecze głos nieznany:
„Zacóż krwawe w mém sercu chcesz odnawiać rany?
Jak pod gradem upada kłos ledwie poczęty;
Jak liść ostrzem zabójczém przed czasem ucięty;
Tak zniknął ten młodzieniec, mnogich łez przyczyna,
A z nim dawna Tęczyńskich wygasła rodzina.
Już był doszedł téj pory, w któréj młodź zuchwała
Nienasyconą żądzą do myśliwstwa pała;
Już téj chuci zgubliwéj niepozbędna siła
W piersiach jego młodzieńczych w pożar się zmieniła:
Na głos trąby przed świtem rzucał próg domowy,
Zaledwie z ciemną nocą kończyły się łowy.
Gdy jesień hojnych łupów przyniosła nadzieję,
Bezustannym psów dźwiękiem wszystkie brzmiały knieje;
Na łowy, które szybka rozgłaszała slawa,
Z odległych krain młodzież zbiegała się żwawa.
Tęczyński był jéj wodzem, a czy zwiérza ślady
Tropić przyszło, czy sypać ołowiane grady,
Czy ścigać w rączym biegu posuwiste łanie,
Nikt go nie śmiał wyprzedzić, nikt iść w porównanie.
Raz więc dali znać panu myśliwcy struchleli,
Że niezmiernéj wielkości odyńca ujrzeli,
Który mordy licznemi srodze rozbestwiony,
Krwią i trwogą napełniał okoliczne strony.
Zawrzał na to młodzieniec złéj chęci pożogą;
Wypada, zbledli słudzy powściągnąć nie mogą.
Zrzucają mocne sieci, do walk wprawne sfory
Zapuszczono w las gęsty, i zadrżały bory.

Poczuł dzik srogi zamach, zrywa się z łożyska,
Leci, gniew nim pomiata, ogień z nozdrza pryska:
Już go zmyślnych ogarów zwietrzyła gromada,
Już sfór piérwszych dziesiątek pod kłem jego pada;
Wtém z Cerbera plemienia puszczono brytany.
Stanął, — z krwią pomieszane zalały go piany:
Przypada mężny młodzian, i dzielnie uderza,
Utkwił strzał w ślizkim grzbiecie ogromnego zwiérza.
Ryknął, z rany głębokiéj czarna krew wytryska;
Wnet się oślep na łowca wściekły z bolu ciska.
Nie odbiegło go męztwo, dobywa oręża,
I przeciw paszczy dzika ostry miecz natęża.
Już się nań cała zwiérza zaciętość wywarła,
Już miał oręż utopić w saméj głębi garła;
Wtém zwodzi śmiałą rękę cios za nadto skory,
Ginie, a jęk ostatni powtórzyły bory!

Tak poległ mężny młodzian, z nim wszystkie zaszczyty,
Z nim zgasło dawne imię i ród znamienity.
Długo kraj ten bolesną opłakiwał stratę,
Przeszły w obcy dom zamki i włości bogate,
To siedlisko odwieczne wsławionéj rodziny:
Gród, którego ztąd widzisz smutne obaliny,
Wieże wzbite ku niebom, okazałe progi,
Osiadły dziś puszczyki i zarosły głogi;
A rodak, sławnych gmachów ogląda jąc szczęty,
Depce gruzy Tęczyna ciężkim smutkiem zdjęty."

3. Duma o Żegocie Szafrańcu.

Ledwie Szafraniec w wieku swego wiośnie
Poczuł ducha męzkiéj siły;
Już żądza sławy w piersiach jego rośnie,
Już mu spoczynek nie miły.
Syty lat, trudów, dostatków i chwały,
Żył w domu ojciec sędziwy;
Zaszczytne blizny czoło mu zorały,
Do czci przymuszał włos siwy.

Dwóch synów wysłał na sąsiedzkie wojny,
W trzecim podpora starości:
I tego dręczy zapał niespokojny,
I sławy przodków zazdrości.
„Ojcze!“ zawoła „jak chwalebne sprawy
Wynoszą twoją rodzinę!
I mnie podobnéj dozwól szukać sławy,
Niech ją pozyskam, lub zginę.“

Nie mógł się oprzéć starzec prośbom syna;
Wiedzie do przodków komnaty,
Podaje tarczę, pancerzem opina,
I wkłada szyszak bogaty.
„Piastuj w tych znakach rodu twego cnotę,
Nie zhańbił jéj żaden zakał.“
Te słowa mówiąc, lubego Żegotę
Uzbroił, ścisnął, — zapłakał. —

Jedzie młodzieniec, z naddziadów siedliska
Unosi ojca nadzieje,
Niebieskie oko zpod szyszaka błyska,
A z twarzy radość jaśnieje.
Na piersiach błyszczą rycerskie ubiory,
Kirys jak tęcza w obłoku,
W tarczy znak rodu, dwa dzielne topory,
Świécący oręż przy boku.

Już zwiedził Włochy, Niemcy i Batawy,
Ludy z rycerstwa wsławione:
W nim pogrom srogi znalazł gnębca krwawy,
Zgnębiona cnota obronę.
Któż przebieżone kraje i stolice,
Kto dzieła jego wypowie?
„Jak jest powabny!“ wołały dziewice;
„Jak dzielny w boju!“ mężowie.

Długo chęć sławy, waleczność i cnota
W różne go niosła zawody;
Wtém niepozbędna opada tęsknota
Do lubéj przodków zagrody.

Wraca mąż dzielny w znane sobie kraje,
Gdzie niegdyś igrał, przebywał:
Wraca w dom własny, — nikt go nie poznaje:
Ojciec już w grobie spoczywał.

Nadto (o zbrodnio chciwego plemienia!)
By dział puścizny wydarli,
Mimo dowodów, serca przeświadczenia,
Bracia się brata zaparli.
Jakże złośliwe przewrócisz zamiary?
Jak zmieszasz spisek nieprawy?
Z całéj dziedziny koń ci został stary,
Towarzysz trudów i sławy. —

Zasiadł Bolesław na przodków stolicy.
Złożono świętych praw księgi;
Wzajemne spory wywiedli rzecznicy,
Pisma, dowody, przysięgi.
Słuchał w milczeniu naród zgromadzony.
Zapada wyrok słuszności:
Do ziemi przodków wraca pokrzywdzony.
Cały lud płacze z radości.

Płakał wraz z ludem Żegota waleczny,
Gdy ujrzał ściany domowe;
I zmienia, rozdział czyniąc z bracią wieczny,
Dawne swe herby na nowe.
Ten co dochował nieskażonéj wiary
Na tarczy cudnéj roboty,
Miejsce Topora Koń zastąpił Stary,
Przykład wdzięczności i cnoty.

4. Mogiła Krakusa.

Duchu męża dzielnego! Ciebieżto ja słyszę
Z chmury, co nad grobowcem w wiatrach się kołysze?
Tyż to naglisz mię spiéwać tego wodza dzieła,
Którego cześć za życia szeroko słynęła?

A który między blade potrącony cienie,
Uniósł z sobą żal długi, łzy, i podziwienie!

Już lud mężny, od wiernéj ukochany sławy,
Rozległe w żyznych niwach zajmował dzierżawy;
Już waleczni królowie i przedniejsze pany
Kilkakroć stérem państwa władli na przemiany;
Popadły w niesmak rządy słabo ustalone;
Z wstrętem Krakus cnotliwy przyjmuje koronę:
Objął berło mąż dzielny. Szczęście zewsząd płynie,
Zamieniają się w grody lasy i pustynie,
Oczyszczony kraj z łotrów, bezpieczne granice,
I Kraków się w królewską przekształca stolicę.

Lecz gdy z grzbietu twardego Wawelskiéj opoki
Chciano zamek monarszy wywieść pod obłoki;
Znagła w gruncie zachwiane rozpękły się skały,
Wyszła na jaw potwora, i ludy zadrżały.
Nic groza srogich niebios, w swym gniewie zaciekła,
Nic równie okropnego nie wydały piekła.
Syk padalca, złość żmii, krwią nadęte oczy,
Paszczę lwa, kadłub wilka, ogón miała smoczy;
A buchający z nozdrzy oddech zaraźliwy
Przeistaczał w pustynie najżyzniejsze niwy.
Codzień, gdy wyszła z pieczar głodem przyciśnięta,
Ginęli w ciężkich mękach ludzie i zwierzęta;
Codzień piekące w gardle chcąc zalać pragnienie,
Krwi hojnie przetoczonéj chłonęła strumienie.

Już lud, przez nieustanny nękane rozboje,
Drogim z bydła okupem dni ocalał swoje;
Już z trzód nieprzeliczonych padał wół po wole,
Już leżały odłogiem bezuprawne role;
Wtém Krakus, gdy kres nadszedł opłakanéj chwili,
W któréj haracz potworze ziemianie znosili,
Kazał rzucić przed jamę bydlęta udane,
Węglem, siarką i smołą obficie wypchane.

Smok, którym sprośność głodu pomiatała dzika,
Mniemane ciała zwierząt z chciwością połyka.
Wnet poczuł zgubny podstęp: wściekłość go ogarnia,
Ryk okropny straszliwa wyciska męczarnia.
Nadaremnie, chcąc ogień w swém zagasić łonie,
Paszczą żarem zionącą nurty Wisły chłonie:
Naprożno blady postrach rozsiéwa dokoła,
Wre siarka, płoną węgle, roztapia się smoła.
Wtenczas wyszedł mąż dzielny, na dni swe niepomny,
Dłoń jego pewną dziryt uzbroił niezłomny,
Pierś obcą wszelkiéj trwodze pancerz okrył twardy.
Na ten widok smok wściekły cofa się ze wzgardy:
Już miotając ogniami, co w nim wiecznie płoną,
Roztworzył krwawéj paszczy otchłań niezgłębioną;
Już okiem roziskrzoném lekką zdobycz tropił;
Wtém Krakus ostry dziryt w gardle mu zatopił.
Rykuął z gniewu, z wściekłości wszystkie zebrał siły;
Leci, — wtém nowe ciosy w piersiach mu utkwiły,
A gdy go dzielność męża, gdy boleść zajątrza,
Roztłony sztucznie pożar przenika mu wnątrza.
Jeszcze resztę sił zbiéra potwora obrzydła,
Lecz ją ciężkie bez ruchu powściągają skrzydła,
Martwieje długi ogón, zatacza się szyja:
Tak osłabioną Krakus żelazem dobija.
Zaczerniła się ziemia od brudnéj posoki,
A całą milę sprośne przywaliły zwłoki.

Tej sprawy wiekopomnéj nieśmiertelna chwała
Boską cześć Krakusowi od ludu zjednała:
Z Wawelowego szczytu powstał gmach wyniosły,
I mury miasta królów pod obłoki wzrosły.

Gdy Krakus w poźnéj chwili mądrego władania
Przeszedł z panów przybytku do bogów mieszkania;
Wspaniały ku czci jego pogrzeb wyprawiono.
Ziemia ojców zgasłego w swe przyjęła łono;
A lud płaczem swych uczuć wynurzając siłę,
Własną ręką wyniosłą usypał mogiłę.

Ztąd nazwisko Rękawki, ztąd ten dzień w pamięci,
Co go Kraków dotychczas uroczyście święci.
Nie wzniosła grobu tego olbrzymia potęga,
Ani gwiaździstych sklepów czołem swém dosięga;
Lecz trwa w nim dotąd pamięć wiekom przekazana,
Co może miłość ludu dla dobrego pana.

45. Wojciech Bogusławski,

Dyrektor teatru narodowego w Warszawie, jeden z celniejszych dramatyków polskich, od początku odrodzenia się u nas nauk zachowawca języka narodowego w swojéj czystości, upowszechniciel dobrego gustu, zmarły w roku 1829. Ciosy nieprzyjaznéj fortuny stan aktorski poniewolnie obrać go przymusiły; a gdy król Stanisław August wspierał opieką swoją scenę, która pod jego panowaniem znacznie poczęła wzrastać; w kwiecie młodości swojéj wprowadzony do teatru przez szambelana dworu, Wojnę, w przełożonéj przezeń komedyi z francuzkiego języka: *Fałszyce niewierności*, r. 1778. piérwszy raz ukazał się na scenie. — Ówczasowy przedsiębierca teatru warszawskiego, *Montbrun*, powziąwszy ku niemu przywiązanie, obznajomił go ze sztuką dramatyczną i początkami muzyki; a dostrzegłszy w nim cokolwiek umiejętności języków obcych, zachęcał go do przekładania pism teatralnych na swój własny. Piérwsza komedya jego *Amant, autor i sługa*, dobrze od publiczności przyjęta, ośmieliła go do przerobienia komedyi ks. Bohomolca *Nędza uszczęśliwiona*, na operę. Ta sztuka wszystkich zadziwiająca, gdy powszechne pozyskała oklaski, była powodem do zaprowadzenia przez niego na scenę polską włoskiéj opery. Wystawienie jéj w sztuce *Dla miłości zmyślone szaleństwo*, przekładu Bogusławskiego, tudzież w oryginalnych operach wielu uczonych, zdawało się zapowiadać wzrost i pomyślność narodowych widowisk. Nie zadługo jednakże odmienił się stan rzeczy. W roku 1780. po wyjeździe z Warszawy do Lwowa kilku artystów, w najlepszych sztukach główne role grających, *Bizesti*, przedsiębierca teatru z resztą pozostałymi zrobione umowy zerwał, i Bogusławskiego przez to samo do opuszczenia Warszawy zmusił.

Niepomyślne powodzenie się sceny lwowskiéj, będąc dla niego wielu przykrości przyczyną, skłoniło go już stan aktorski zupełnie porzucić; wyjechał więc ze Lwowa do Warszawy, gdzie hrabia Moszyński, podtenczas najwyższy teatru rządca, namową swoją tyle dokazał na nim, że postanowił nareszcie w zawodzie dramatycznym dla dobra publiczności daléj pracować. Chciał on zaraz na wstępie swoim roku 1782. operę włoską mowie ojczystéj przyswoić, i pomimo niepodobieństwa wystawienia téj sztuki, przyznanego od samych nawet artystów, przełamał wszelkie zawady, a w dawanych tego rodzaju wystawach zapewnił dla sceny warszawskiéj znaczne korzyści. W następującym roku książę Marcin Lubomirski ogłoszony został przedsiębiorcą widowisk polskich, niemieckich i nowo zebranego ba-

letu, a Bogusławski uproszony był przyjąć na siebie urząd dyrektora tych wszystkich razem artystów: wkrótce atoli książę Lubomirski złożył przedsiębiorstwo, artyści niemieccy rozjechali się, a scena warszawska, połączona z baletem, za wyraźną wolą królewską ujrzała nowym przedsiębiorcą Bogusławskiego, z dodanym mu za wspólnika kompozytorem Kurcem. Ta spółka nie długo się mogła utrzymać: lecz Bogusławski nie ulegając przeciwnościom, otwartém i śmiałém postępowaniem swojém zwrócił uwagę monarchy, bawiącego w roku 1784. w Nieświeżu na blizki upadek tyle już wydoskonalonéj sceny polskiéj. Za rozkazem jego, aby teatr polski był otworzony podczas sejmu w Grodnie, Bogusławski udał się tamże, i z dobrém, chociaż nieliczném towarzystwem artystów usiłował wskrzesić nanowo ojczystą scenę.

Powróciwszy do Warszawy w następnym roku, nie mógł żadnych dawać widowisk z powodu processu nieszczęśliwego, w który właściciel przywileju na teatr wplątany został; udał się więc do Wilna ze swojém towarzystwem, gdzie szanujący nauki naród litewski, zaszczycał go dobroczynnemi względy. Przedsięwziął już był Bogusławski nazawsze w Litwie pozostać, a gdy z gronem swojém miał wyjechać do Dubna, obrócił podróż swoją z początkiem roku 1786. na Warszawę. Uwiadomiony o przybyciu jego Ryx, przedsiębiorca teatru, namówił go do połączenia wileńskich artystów z warszawskimi, przyrzekł największą dla nich płacę, i zrobił z każdym zosobna imieniem Bogusławskiego roczny kontrakt; prócz tego zapłacił mu koszta łożone na budowę teatru w Wilnie. W maju przysłał on pełnomocnika swego do zabrania artystów: lecz Bogusławski żądał piérwéj, aby się z nim ułożył o zapłatę teatru i wszelkich ruchomości. Na co gdy tenże oświadczył, że nie miał żadnego zlecenia, a Bogusławski opierał się zabiéraniu swoich artystów, pełnomocnik zapozwał go do sądu, który wójtowską powagą swoją nakazał mu wydać zakontraktowanych aktorów. Naród litewski, znając Bogusławskiego w służeniu mu gorliwość, a wyrządzonéj mu krzywdy poznając niesprawiedliwość, nagradzał ją wspaniałe uczęszczaniem na dawane przezeń z niewielkiém gronem artystów widowiska. Tychże samych względów doznał on roku 1787. od publiczności Dubna, Lwowa i Grodna. W r. 1790. wezwany rozkazem królewskim do Warszawy, wyrobił od monarchy dla grona swego tytuł narodowych aktorów, i otrzymał zaszczytny urząd dyrektora królewskiego widowisk, a widząc dla sceny pochlebne nadzieje, wziął sam na siebie bez żadnéj spółki przedsiębiorstwo. W trzech latach następujących coraz lepszemi sztukami i upodobaniem w nich widzów przybliżył scenę polską do wyższéj doskonałości, a teatr zagrażający upadkiem, za jego staraniem znacznie był odbudowany.

Zaburzenia krajowe były przyczyną, że scena polska w Warszawie upaść musiała. Bogusławski opuściwszy stolicę, zmuszony był ze swoim księgozbiorem scenicznym udać się do Krakowa. Tam uwiadomiony, że artyści warszawscy zgromadzeni byli we Lwowie, pospieszył za nimi do tego miasta, gdzie za dozwoleniem *p. Kalli*, przedsiębiorcy niemieckiego teatru, najpiérwéj wystawą naj-

lepszych sztuk dramatycznych bawił publiczność, poźniéj zaś uczynił z tymże sześcioletnią umowę na dawanie polskich i niemieckich widowisk. Odnowił oprócz tego zupełnie teatr publiczny w letniéj porze roku 1796., w przeciągu któréj, wsparty dobroczynnością Kazimierza hr. Rzewuskiego, i innych mieszkańców Lwowa, wystawił obszérny amfiteatr w licznie odwiédzanym naówczas ogrodzie książąt Jabłonowskich. Dawane w nim widowiska na żądanie publiczności powtarzał Bogusławski i na miejskim teatrze aż do połowy roku 1799., w którym niepomyślne nader okoliczności dla sceny polskiéj zmusiły go rozstać się z nią nazawsze, gdy już więcéj nie mógł jéj nadal usług swoich poświęcać.

Powróciwszy do Warszawy, objął przedsiębiorstwo teatru tamecznego, na którym wystawił w przeciągu dziewięciu miesięcy przeszło 30 sztuk nowych, i dawał potém widowiska polskie w Poznaniu i Kaliszu, gdzie wygodniejszy i trwalszy postawił teatr; w roku 1804. nabył od rządu trzyletnie pozwolenie dawania także widowisk niemieckich. Te w krótkim czasie doznawszy niepomyślności, musiały być przerwane, a Bogusławski, nie mogąc nawet przedłużyć jeszcze utrzymania się sceny polskiéj w roku 1807., zmuszony został z kompanią swoją wyjechać do Poznania. Przeszkoda, jaką znalazł od będących już tamże, chociaż nie długo, aktorów teatru francuzkiego, była przyczyną, że tegoż roku powrócił do Warszawy, w następującym zaś udał się do Białegostoku, dokąd wezwany dał kilkanaście widowisk. Pobyt króla saskiego z początkiem roku 1809. w Warszawie, wezwał go znowu do stolicy dla bawienia monarchy, i licznéj publiczności teatrem polskim.

Bogusławski dnia 30. kwietnia 1814. zamknął widowiska teatralne, i przedsiębiorstwo sceny przedał prywatnemu obywatelowi, zdolnemu prowadzić ją do coraz wyższéj doskonałości.

Resztę lat wieku podeszłego, stargany ciągłemi zgryzotami na siłach, spokojnie przepędził aż do roku 1829., w którym zakończył pełne sławy, i dobru powszechnemu oddane życie. Liczba napisanych tak oryginalnych, jak też tłumaczonych z różnych języków przez tego artystę wszelkiego rodzaju sztuk dramatycznych dochodzi do 80. Z tych 60 wydane są w jednym zbiorze pod tytułem: *Dzieła dramatyczne Wojciecha Bogusławskiego*, tomów 9, *w Warszawie w drukarni Glücksberga r. 1820*, chociaż kilka z nich i osobno także były drukowane.

Ks. Ign. Chodyniecki.

Henryk VI. na łowach, komedya.

Osoby.

Henryk VI., król angielski.
Milord Rydyng, synowiec piérwszego ministra.
Trzech innych milordów.

Lurwell, służący milorda Rydyng.
Ferdynand Kokl, strażnik lasów królewskich.
Małgorzata, jego żona.
Ryszard, ich syn.
Robert, młynarz.
Betsy, jego córka.
Dwóch gajowych.
Służba królewska.

Akt II.

(Część lasu bardzo zarosłego. Na boku widać pień ściętego drzewa, wypalony w środku. Burza ustaje ku końcowi symfonii, słychać tylko czasem zdaleka grzmoty i deszcz. Noc bardzo ciemna).

Scena I.

Trzech milordów, (którzy błądzą szukając drogi).

Piérwszy milord.

Jeszcze przez życie moje w tak czarnéj nie błądziłem nocy: zdaje się, że ten las nie ma ni początku, ni końca.

Drugi milord.

To prawda, że koniec nie tak prędko podobno znajdziemy, ale co początek bardzośmy łatwo znaleźli, wjeżdżając wczoraj do niego.

Trzeci milord.

Niech wszyscy kaci porwą wasze polowanie i wasze jelenie! Wolałbym ja być w Londynie; spałbym noc całą na miękkiéj pościeli, a tu przemokłem do nitki. Ale mniejsza o mnie: to gorzéj, gdzie się podział w téj strasznéj burzy nasz dobry król?

Drugi milord.

Ja nie wiém, w którą stronę król się obrócił, i czy tam został, czy ma kogo przy sobie: ale co my, nie rozłączajmy się, proszę, idźmy zawsze razem dla bezpieczeństwa.

Piérwszy milord.

Oj tak! czyńmy jak prawdziwi dworacy.

Trzeci milord.

Ależ bo po cóż się do licha tak daleko w las zapędzał? Więcéj dwie mile biegliśmy za tym przeklętym jeleniem. Już i psy nawet zgubiły były trop jego, a król i jeszcze, i jeszcze! Koniecznie chciał go dziś zabić, i nie czekając nawet, aż mu go napędzą, sam pobiegł przejmować go w gęstwinie.

Drugi milord.

Przyznać jednak potrzeba, żeśmy króla sami namówili do tego, zapewniając, że jeleń jest przecudnéj piękności, chociaż go podobno żaden z nas nie widział. Henryk lubi niezmiernie tego zwierza, i tak się zapalił, że kto wié, jeżeli téj straszliwéj nie wytrzymał nawalnicy, a może i dotąd błądzi po lesie.

Piérwszy milord.

Otoż znowu! Naganiając króla, i wtém postępujemy sobie jak ci ludzie, którzy wszystkie dobre wypadki przypisują swemu rozumowi, a nieszczęśliwe dla kraju zdarzenia na samych królów zwalają.

Drugi milord.

Ej, dajmy teraz pokój i im, i królowi! Wiécie co? Trzebaby nam wystrzelić z fuzyi: może na ten odgłos odezwie się kto, albo przyjdzie do nas.

Piérwszy milord.

Ja wszystkie naboje wystrzélałem.

Drugi milord.

Otóż ja wystrzelę, bo mam jeszcze nabitą fuzyę. (Wystrzela z fuzyi, a po niejakiém milczeniu:) Nie! nic nie słychać, nikt się nię nie odzywa.

Trzeci milord.

Niéma innego sposobu, tylko ciérpliwie czekać rannéj jutrzenki. (Postępując daléj). Zdaje mi się, żem namacał jakieś wielkie drzewo; stańmy pod niém, może nas zasłonić od dészczu.

Piérwszy milord.

Usiądźmy raczéj, bo już ustać nie mogę na nogach. (Siadają).

Drugi milord.

Co to jednak za fatalna rzecz znajdować się w tak strasznéj ciemności!

Piérwszy milord.

Bez wątpienia; a przecież to jest rzecz tak powszechna na świecie, że my się już dawno do niéj przyzwyczaić byli powinni. Jestże bowiem choć jeden dzień w życiu naszém, żebyśmy w jakich nie błądzili ciemnościach? Okrywają nas niemi filuci przez swoje wybiegi, głupcy przez niewiadomość, patronowie przez potwarze, a ludzie dworscy przez intrygi. Ten rozum nawet, z którego się tak bardzo chełpimy, niczém więcéj nie jest, tylko bladym promykiem, który nam tyle pomódz nie może, ileby nam pomogła teraz do wyjścia z tych lasów jedna maleńka gwiazdeczka na niebie.

Trzeci milord.

Ale, mój milordzie, nie jest teraz czas morały prawić, i mimo ślicznego twojego rozumowania, ja wolałbym przecież choć jednę gwiazdeczkę na niebie, niżeli tę ciemność, w któréj jesteśmy. — Ale — czy mi się zdaje, czy kogoś słyszę idącego?

Drugi milord.

Ktoś się tu drapie przez krzaki. (Słuchają).

Scena II.

Ciż sami i dwóch gajowych.

Piérwszy gajowy.

Otożto właśnie w tém miejscu słychać było strzelenie.

Drugi gajowy.

I mnie się tak zdaje. Ale to niepodobna, mój bracie, żeby w tak ciemnéj nocy mógł kto strzélać zwiérzynę.

Piérwszy gajowy.

A w którą stronę dziś uciekły sarny?

Drugi gajowy.

Jelenie poszły na południe, i powiadano, że król udał się za niemi, a sarny wszystkie w tę tu krzewinę pierzchnęły.

Piérwszy gajowy.

Otożto ani chybi, panowie strzelcy wyszpiegowali je tutaj, i na imię królewskie chcą sobie kilkoro rogaczów ubić, a jutro na rynku przedać. O! wolę sam wpędzić którego do sieci.

Drugi gajowy.

Ale w takiéj ciemności czy możnaby nawet zobaczyć zwiérza?

Piérwszy gajowy.

A krzesiwko od czego? Alboż to oni nie umieją rozpalić ognia, który im zdaleka wszystko oświéca? Idźmy daléj. (Postępują trochę).

Drugi gajowy.

Słuchajno, bracie! jeżeli czasem będzie ich kilkunastu, a nas tylko dwóch, to nas poduszą.

Piérwszy gajowy.

O jakiżeś tchórz! Złodziéj nigdy nie ma śmiałości: gdyby ich i dziesięciu było, wszystkich połapiemy. Ale cicho! — Słyszę kogoś — tu się rusza.

Drugi milord.

Wyraźnie słyszę, że ludzie jacyś gadają. Na honor, bać się zaczynam. Jeżeli to są zbójcy, to nas do nitki obedrą, bo nawet żaden z nas nie ma czém strzelić.

Trzeci milord.

Gdyby nam zabrali to co mamy, ślicznie byśmy zarobili na polowaniu.

Piérwszy gajowy.

Słyszysz? (Skradają się zwolna).

Drugi milord.

Wstańmy lepiéj, i przejdźmy pocicho na drugą stronę. (Wstają, a gdy postąpią kilka kroków, wpadając między nich gajowi, chwytają ich).

Piérwszy gajowy.

Aha! — A tuście, złodzieje! nauczę ja was polować po nocy.

Drugi gajowy.

Oddajcie, co macie, drapichrósty, bo was do nitki obedrzemy.

Trzeci milord.

Ach, moi panowie! z całego serca oddamy wam wszystko, co mamy przy sobie, tylko nie chciéjcie z nami po grubiańsku postępować.

Piérwszy gajowy.

O tak! grzecznie z wami postępować należy: właśnieście na to zasłużyli, hultaje!

Drugi gajowy.

Próżne wymówki, oddajcie zaraz, co macie.

Trzeci milord.

Ja nie mam więcéj, tylko trzy luidory przy sobie.

Drugi milord.

A ja mam pięć gwineów i zégarek złoty: proszę to przyjąć.

Piérwszy milord.

Ja wcale nic nie mam oprócz papiérowéj tabakierki: weźcie ją, a puśćcie nas.

Piérwszy gajowy.

A cóżto, do krocset diabłów! Te niecnoty rozumieją podobno, że my się damy przekupić? Nie, złodzieje, nie! Jutro rano musicie stanąć przed sądem w Londynie.

Piérwszy milord.

My przed sądem? za to, że nas w lesie obdarto?

Drugi gajowy.

Jakto obdarto?

Drugi milord.

Alboż nas wwmćpanowie nie chcecie obedrzéć?

Piérwszy gajowy.

Otoż widzisz, bracie, co to za kłamstwo bezczelne! Oni jutro gotowi przysiądz, żeśmy ich chcieli obedrzéć.

Trzeci milord.

Zapewne, że przysiężemy, a to sprawiedliwie.

Piérwszy gajowy.

Nie, złodzieje! nie waszych pieniędzy my chcemy od was, oddajcie nam tylko zwiérzynę królewską, którąście ukradli.

Piérwszy milord.

A niech tam szatan porwie swoję zwiérzynę! Goniliśmy ją przez dzień cały, aleśmy i zająca nawet nie ubili.

Drugi gajowy.

Dosyćże już tych drwinek, panowie oszusty! Albo my to nie wiémy, żeście tu umyślnie czatowali na sarny? Czy nie słyszeliśmy, jakeście niedawno strzelili? Czy nie mówiliście sami do siebie, że gdyby wam zabrano to, co macie, ślicznieby ście wskórali na polowaniu? A co? nieprawda?

Drugi milord.

My to mówiliśmy o naszych pieniądzach.

Piérwszy gajowy.

Próżne wykręty. Pewno wisieć będziecie, daję wam moje słowo na to. Daléj, bracie! prowadźmy ich naprzód do domu, a jutro oddajmy ich do Kokla, strażnika. Wieczorem zawiozą ich w dybach do Londynu, we czwartek po południu stawią ich przed sądem, a w piątek rano daléj na szubienicę!

Piérwszy milord.

Idźmy, bracia. Niéma czasu z nimi rozprawiać. Na miejscu przyzwoitém oczyścimy się z tego; a tymczasem dobrze, że nas wyprowadzą z téj puszczy. Idźmy tedy, moi panowie.

Piérwszy gajowy.

Trzymajże ich dobrze za szyję, żeby ci który kryzy w ręku nie zostawił, a sam nie uciekł. Daléj, daléj do klatki, panowie ptaszki! (Wychodzą).

Scena III.

Henryk sam.

(Wchodzi z przeciwnéj strony, szukając przejścia w gęstwinie).

Nie! to niepodobna, żeby to miał być publiczny gościniec. Zgubiłem drogę, zabłąkałem się zupełnie. Nie wiém, w którą stronę się obrócić, dokąd się udać. (Stawa pod drzewem). Mój Boże! Człowiek zostawiony sobie samemu, o jakże jest słabém stworzeniem! Na cóż mi mi się teraz może przydać królewska moja dostojność? Noc żadnego nie ma względu dla mnie. Nie mogę ani jaśniéj widzieć w téj ciemnocie, ani śmialéj postępować, jak najlichszy z moich poddanych. O jak wiele razy, siedząc na moim tronie, słyszałem około mnie powtarzających pochlebców: „Król nasz jest mądry, — jest potężny, — jest wielki!“ Ależ ten król, obłąkany w nocy, wśród lasów, choćby miał największy rozum, rozeznać przecież nie potrafi, gdzie jest północ, a gdzie południe! Potęga jego nie wstrzymuje dżdżu, ni grzmotów; wielkość jego niczém jest w porównaniu jednéj piorunowéj iskierki. Mojém zdaniem król jest mądrym przez mądre ustawy, jest potężnym w potędze narodu, jest wielkim tylko przez wielkie cnoty! (Otrzepując płaszcz). Przemokłem wskróś, i piérwszy raz w życiu doznałem strachu, niewygody, i utrudzenia. (Tu słychać strzélanie). Cóż to jest? Czy nie zbójcy tu się znajdują? Cóż mam począć? Moja królewska mość zapewneby mnie nie obroniła od nich. Odłóżmy więc dostojność na stronę, i schowajmy się pod drzewo. (Chowa się za drzewo, przy którém stanął).

Scena IV.

Henryk (w ukryciu), **i Ferdynand** (z fuzyą i torbą myśliwską).

Ferdynand (mówiąc za kulisą).

Widzisz go, co za zuchwała bestya ten pan niedźwiadek? Chciał sobie ze mnie bankiecik sprawić! Ale poczęstowałem ja go podobno, bo zemknął zaraz, tylko sobie coś pomrukiwał pod nosem. — Jeden raz w życiu mojém trafiło mi się stać na straży przy drzwiach sali akademii naszéj w Londynie. Słyszałem, jak kilkudziesiąt mędrców w czarnych płaszczach i wielkich perukach utrzymywali w publicznéj dy-

spucie, „że człowiek jest panem i królem wszystkich zwierząt na świecie.“ Ja to samo już nie sto razy chciałem wmówić niedźwiedziom i wilkom, kiedy mię obskoczą; ale te głupie bestye nie chcą temu wierzyć. Oj żebym ja mógł choć raz wpuścić do sali akademicznéj ze cztérech przynajmniéj niedźwiadków! Obaczyłbym, ktoby się téż przy swojém zdaniu utrzymał, czy moje zwierzątka kosmate, czyli tamci panowie w dużych perukach! Nawet te bestye nie mają względu i na mój medalik, a on może kiedy i króla nawet samego oczy sciągnąłby na mnie; i spodziéwam się, że widząc mnie wyciągającego rękę pod murem, kazałby mi dać przynajmniéj choć tuzin gwineów, a jego kamerdynery dałyby mi z tego tuzin szylingów.

Henryk (na stronie).

Nie! to nie zbójca, jak widzę. Musi to być jeden z strażników leśnych. Słuchajmy daléj. Dowiém się może różnych nowin, o którychbym w pałacu moim nigdy nie słyszał.

Ferdynand.

Ale przypomniawszy sobie o królu, już mam dla niego upatrzonych sześciu wilków białych, dwa niedźwiedzie srebrnego włosa, i ślicznego jelenia z koroną.

Henryk (na stronie).

To jakiś osobliwszy człowiek!

Ferdynand.

Teraz trzeba mi jeszcze z pół godziny tu się zatrzymać. Sarny najczęściéj około północy zbiegają się w te strony. Jeżeli je wytropię, jutro rano najprzód damy dworskie poprowadzę na nie, bo nasze damy bardzo lubią polowanie na sarny, i chociaż płaczą widząc pobite te niewinne zwierzątka, jednakże same strzélają do nich. Ale coś ten dészczyk zakaty ochłodził powietrze! Dreszcz zimny po mnie przechodzi, moje rany zaczynają wilgoć uczuwać. Muszę sobie trochę ognia napalić. Gdybym tylko mógł znaléźć moje ognisko, które sobie zawsze w jednym pniaku zakładam: ale — zda mi się, że muszę być nie daleko od niego. (Maca wokoło siebie, i natrafia na wielkie drzewo). Aha! mój stary dąb, na który zawsze przed dzikami rejteruję się z honorem: tu po lewéj stronie stoi mój pniak. (Maca, i znajduje go).

A! otoż jest! (kładzie rękę do środka) jeszcze widzę popiół nie ostygł od wczoraj. Zapalmy hupkę, są tu drewka, będzie i ogień za chwilę. (Krzesze ogień, zapala łuczywo, kładzie drewka, ogień się pali). Otóżto mój zwyczajny kominek! wyśmienity jest, nigdy nie dymi, chociaż i architekta nie używałem do niego. (Patrząc na ręce). Tam do licha, uczerniłem sobie ręce, jak ów stary lichwiarz, który liczy swoje złoto na pięćdziesiąt od sta procentu. Zapalmy lulkę, to wzrok przeczyszcza, i myśl wesołą sprawia. (Siada i pali tytuń). Nic mnie tak nie bawi, jak ten dym, który z mojéj lulki wychodzi. Uważam sobie, jak on to najprzód gęsto paruje od dołu, daléj przerzedza się w powietrzu, a nareszcie niknie w obłokach. Żywy obraz ludzkich nadziei na świecie! W młodości układamy sobie wielkie widoki, spodziéwamy się wielkich godności, wielkich dostatków. Gdy to nas minie w dojrzałym wieku, radzibyśmy już i na pomierności przestali: kawałek chleba spokojny, maleńki domek, byłby dla nas szczęściem zupełném, ale i to nas równie jak piérwsze omija! Nakoniec przychodzi starość, a z nią choroby i niedostatek; umiéramy w nędzy, i nikniem jak dymek w powietrzu! (Wstaje). Otoż to właśnie historya mojego życia! Lat dwadzieścia służyłem w wojsku; w trzech kampaniach popisałem się z honorem; azardowałem życie, chcąc albo zginąć, albo się czego dosłużyć. Nie! ani tego, ani owego. W piérwszéj kampanii krzyknąłem na kamratów: uderzyliśmy plutonem w skrzydło nieprzyjaciół, pomięszaliśmy linią, wpadła kawalerya, wygraliśmy batalią. W drugiéj potyczce, odebrałem bateryą, i chociaż okryty ranami, nie ustąpiłem z walu, póki nasi nie wyparowali Francuzów, i za to zostałem sierżantem. W ostatnim nakoniec ataku piérwszy wdrapałem się na mury. Pomięszany nieprzyjaciel uciekł od armat: kamraci widząc mnie na murze, rzucili się do drabin, wpadli hurmem. Odebrano fortecę, która decydowała cały los wojny! Wpół roku potém skończyła się wojna, zwinięto wojsko, i ja żyję z niedźwiedziami wśród lasów, i ledwie mam kawałek suchego chleba. — O dziwne losów zrządzenia!

Henryk (na stronie).

Co słyszę? Ktoby się spodziéwał, aby w tych lasach znajdował się człowiek tak zasłużony? ani wzmianki po ostatniéj wojnie nie uczyniono mi o nim.

Ferdynand.

Ile razy rozpamiętywam sobie życia mojego przypadki, przychodzi mi zawsze na myśl piosneczka, któréj jeszcze od mego bakałarza nauczyłem się w szkołach. Byłto człowiek bardzo uczony. Rozgniewany na świat, osiadł w miasteczku, i dzieci tylko abecadła uczył. Często sobie spiéwywał wieczorem, siedząc na kamieniu pod lipą. Nigdy téj nóty zapomnieć nie mogę, choć już temu lat trzydzieści zgórą minęło. Muszę ją sobie zaspiéwać. (Spiéwa).

Piosnka.

Kto żąda szczęścia od świata,
Niech się do świata stosuje,
Niech się przemysłem kieruje,
Niech nie ma względu na brata:
Bo tam, gdzie cenią pozory,
Tam szczérość nie wiele nada;
Intryga idzie do góry,
A zasługa upada.

Ani cię rozum zaleci,
Ani cię cnoty wzbogacą;
Kto nie ma piérza, nie wzleci,
Gdyś biédny, zawsześ ladaco.
Ten błyszczy, ten ma honory,
Kto liczne złoto posiada;
Intryga idzie do góry,
A zasługa upada.

Oj prawdę spiéwał mój bakałarz! Świat rzadko kiedy sprawiedliwy bywa. (Spostrzegając króla za drzewem). Ale cóż to? Czy mi się zdaje, czy tam ktoś rusza się za drzewem? Ani chybi, strzelec jakiś z miasta zaczaił się tu na sarny: idąc słyszałem strzelenie. Pewniuteńko ubił już którą. (Wyjmuje pistolet z tasaka, i naciągnąwszy kurek, przybliża się do drzewa). Kto tu jest? Odzywaj się zaraz! Czego się tu skradasz? niecnoto.

Henryk (wychodząc).

Przyjacielu, nie jestem zły człowiek.

Ferdynand.

Zapewneś nic lepszego, hultaju! A kto tu strzelił niedawno?

Henryk.

To nie ja, na honor przyrzekam.

Ferdynand.

Na twój honor? daj go katu! Kłamiesz, filucie, i jeszcze ci raz powiadam, że kłamiesz!

Henryk.

Ja kłamię? ja zaś mam kłamać? (na stronie). O jak mi się dziwno zdaje słyszéć podobne wyrazy! (Głośno). Nie kłamię wcale, mospanie, daję ci na to słowo moje.

Ferdynand.

Ja równie wierzę słowu, jak i honorowi twojemu. Daléj, przyznaj się zaraz, czy zabiłeś którą sarnę królewską?

Henryk.

Nie zabiłem żadnéj. Nadto wiele mam uszanowania dla jego królewskiéj mości, abym śmiał się na to odważyć. Słyszałem i ja niedawno to samo strzelenie, a obawiając się, aby to nie byli zbójcy, skryłem się pomiędzy te krzaki.

Ferdynand.

Nie bardzo mi się chce wierzyć waścinéj mowie. — Ale powiédzno mi, kto jesteś? jak się nazywasz?

Heyryk.

Jak się nazywam?

Ferdynand.

Tak jest! Przecież musisz miéć jakowe nazwisko. — Jakże? czy się nijak nie nazywasz? Zkąd tedy idziesz! co tu robisz?

Henryk.

Prawdziwie, mój panie, do podobnych pytań nie jestem przyzwyczajonym.

Ferdynand.

Być to może, ale to są pytania, na które poczciwy człowiek nie lęka się odpowiadać. A zatém ponieważ nic lepszego na twoją obronę powiedzieć mi nie możesz, proszę waszmości z sobą. Za pozwoleniem jego wsadzę waszmość do turmy aż do jutrzejszego poranku.

Henryk.

Mnie do turmy? jakiémże to prawem mospanie?

Ferdynand.

Prawem nadaném mi przez samego króla, kiedy ci mam mówić wyraźnie. Jestem Ferdynand Kokl, strażnik lasów tutejszych, i mam rozkaz aresztować wszystkich włóczęgów, którzy kradną zwierzynę królewską.

Henryk (na stronie).

Niéma sposobu, muszę się poddać, jak widzę, pod własne moje rozkazy. (Głośno). Bardzo mnie to cieszy, mospanie strażniku, że król ma tak wiernego officyalistę w osobie wmćpana; a ponieważ wiém teraz, że masz od niego powierzoną sobie władzę w tych miejscach, chcę się wmćpanu dać lepiéj poznać, jeżeli będziesz raczył posłuchać mnie ciérpliwie.

Ferdynand.

Zdaje mi się, żeś nie bardzo godzien tego. Ale no, słucham.— Co mi powiész na twoją obronę?

Henryk.

Powiém mu tedy, że i ja także należę do króla, i równie jak wmćpan nie sciérpiałbym, gdyby mu jakową szkodę wyrządzono. Przyjechałem tu z nim razem na polowanie, ale zapędziwszy się głęboko w puszczę za jednym jeleniem, dla zaszłéj nocy i burzy straszliwéj zbłądziłem z drogi, i sam nie wiém, jak się w tę gęstwinę dostałem.

Ferdynand.

Oj! coś to fałszywie brzmi, mój mospanie. Jeżeliś z królem przyjechał, a gdzie jest twój koń?

Henryk.

Zostawiłem go z moim masztalérzem, a sam piechotą zabiegałem jeleniom.

Ferdynand (na stronie).

Byćby to mogło, właśnie też król nad wieczorem nie daleko ztąd polował.

Henryk.

Wierz mi, mój przyjacielu, że nie umiém kłamać.

Ferdynand.

A żartuj zdrów, dobrodzieju.

Henryk.

Mów sobie wreszcie, co ci się podoba, wkrótce się przekonasz, że jestem poczciwy człowiek, i na dowód tego, gdybyś mnie chciał przeprowadzić do Mansfild, albo pozwolił mi przenocować w twoim domu, ofiaruję ci tymczasem tę bagatelę (daje mu worek), a jutro daleko większą odbierzesz nagrodę.

Ferdynand.

Schowaj, mój panie, twój worek. Ferdynand Kokl nie umié żyć po waszemu, i nie trzeba go przekupować, ażeby dopełnił swoję powinność.

Henryk.

Prawdziwie, ty jesteś osobliwszy człowiek. Cieszyłbym się bardzo, gdybym mógł ściślejszą zabrać znajomość z tobą.

Ferdynand.

Ty jesteś, — z tobą — ach, jak ja tego tykania nie lubię. Zdaje mi się, mój panie, nie podchlebiając sobie, żem wart waszmości.

Henryk (z uśmiéchem).

Ach wybacz wmćpan, przepraszam.

Ferdynand.

No, mniejsza oto, ja się nie gniewam; tylko nie lubię być z nikim w poufałości, póki nie doświadczę, czy tego godzien, albo nie.

Henryk.

Rostropnie wmćpan czynisz, — ale powiédz mi, proszę, jak się mam teraz obrócić?

Ferdynand.

Wolno wmćpanu obrać, co mu się podoba. Znajdujesz się teraz o półtrzeciéj mili od Mansfild, i masz do przebycia bardzo gęste bory. Jeżeli jednak jeszcze téj nocy chcesz tam być koniecznie, wyprowadzę wmćpana na drogę, i rozpowiém mu gościniec, jak będzie można najlepiéj. Gdybyś zaś wolał przyjąć cieniuteńką wieczerzę, jaką ubogi strażnik dać może, i łóżko dosyć twarde w mojéj chałupie, proszę jegomości, będę mu rad z całego serca, a jutro rano każę wmćpana odwieść do miasta.

Henryk.

A nie mógłbyś mnie teraz sam zaprowadzić do Mansfild?

Ferdynand.

O! co tego, to nie uczynię.

Henryk.

A kiedy tak, to już wolę przenocować w domu wmćpana.

Ferdynand.

Bardzo dobrze. Pójdziemy tedy, ale muszę wprzód przysypać mój ogień, bo się jutro łatwiéj rozżarzy, kiedy będą gorące węgle. (Gasi ogień). No, teraz poprowadzę wmćpana z sobą.

Henryk.

Mój przyjacielu, bądź pewnym za to wdzięczności odemnie.

Ferdynand.

Tylkoż bardzo proszę nic mi nie obiecywać, bo zaraz gniewać się zaczynam. — Daj wmćpan rękę, nie obawiaj się niczego, bo ja tu znam wszystkie drożyny. (Odchodzą).

Scena VI.

Henryk, Ferdynand, Robert, Małgorzata, Ryszard.

Małgorzata.

Kogoż tam prowadzisz, mój mężu?

Ferdynand.

Mamy tu gościa, Małgosiu; trzeba mu dać wieczerzę i łóżko, bo tu będzie nocował.

Małgorzata.

Mamy tu lepszego gościa. Oto Robert przyjechał z synem naszym!

Ferdynand (puszcza rękę Henryka).

Co! nasz staruszek, Robert? A! jak się masz, mój bracie najmilszy? (sciskają się).

Robert.

Wiadome ci są dobrze zgryzoty moje.

Henryk (do Ferdynanda).

Żeby trochę mocniéj, bylbym zapewne na ziemi.

Ferdynand.

Oh do kata! przepraszam bardzo jegomości. Takem się ucieszył, zobaczywszy poczciwego mego przyjaciela, żem się do szczętu zapomniał. Mospanie! ten oto nieszczęśliwy staruszek już od pół roku porzucił swój młyn, przyjaciół, i całą chudobę.

Henryk.

Dla jakiéjżeto przyczyny? czy możnaby wiedzieć?

Robert.

Nie jest teraz czas zatrudniać wmćpana opowiadaniem nieszczęśliwości moich: potrzebujesz wywczasu, wypocznij sobie.

Ferdynand.

Tak, tak, rozgość się wmćpan. (Zdéjmuje mu płaszcz, i odpina pałasz). Usiądź sobie, proszę. — Nasz król polował dziś w tym lesie. Jegomość jest dworzaninem u króla, i przyjechał z nim na łowy, ale że się daleko zapędził za jeleniem, noc go zaszła, i zabłądził w gęstwinie.

Małgorzata (przypatrując mu się).

Nieboraczek!

Ferdynand.

Gdybym go był szczęściem nie spotkał, możeby mu wilki skórę poturbowały.

Małgorzata.

Nieboraczek!

Ferdynand.

No, jeno, Małgosiu, zakrzątnij się około kuchni, żebyśmy się mieli przecież czém posilić, bośmy się przeszli potężnie. Zabij parę kurczaków, i ugotuj nam kopę pierogów.

Małgorzata.

A dla sampana zrobię poléweczkę z jajek na mléku, bo to ludzie dworscy lubią delikatne potrawki.

Henryk.

Dobrze, moja matko, będę wam bardzo wdzięczny za to.

Małgorzata (odchodzi, i wraca się nazad).

Albo téż, może wmćpan lubisz małdrzyki? albo sielankę ze słodkiéj śmietany? bo ja to umiém bardzo smaczno robić.

Henryk.

Co wam się podoba, wszystko z ochotą przyjmę.

Małgorzata.

Albo téż może — czekajno wćpan. — Cóżto ja jeszcze umiałam gotować? — (myśli).

Ferdynand.

Nie bawno dłużéj, moja Małgorzato! Nie przykrz się jegomości twoją grzecznością. Idź, a gotuj, co masz pod ręką.

Małgorzata.

O, mój mężu, dajcież mi pokój! żebym ja nie miała więcéj polityki, jak wy, toby ten jegomość mógł rozumiéć, żeśmy jakie bydlęta.

Ferdynand.

Oh! ja rozumiém, że człowiek szczéry więcéj wart, niżeli grzeczny. Idź jeno, idź, porzuć tę politykę, a weź się do kuchni.

Małgorzata.

Idę już, idę; ale przy wieczerzy opowiém jegomości całe moje życie. O! bo i ja także nie w lesie tylko się chowałam. Oj! bywałam i ja po dworach, i wiém dobrze, coto są wielcy panowie. (Odchodzi).

Ferdynand.

A ty, Ryszard, idź przynieś nam dzbanek cienkuszu (Ryszard odchodzi); bo my tu, mospanie, bardzo sławne mamy cienkusze, a osobliwie w Mansfild przednio się udają. Mój, prawda, trochę mi już nadkwaśniał, ale to nie szkodzi, tém podobniejszy ma smak do starego wina. (Zdéjmuje z siebie pistolety i torbę).

Henryk.

Napije się go bardzo chętnie, bo pragnienie mocno mi dokucza. (Na stronie). Dzięki niebu, będę miał choć raz w życiu tę rozkosz, być traktowanym jak człowiek pospolity, i widzieć ludzką naturę bez żadnéj pokrywki.

Ferdynand.

Przyjacielu! usiądźcie tu znami: jegomość zapewne gniewać się nie będzie, że się napijemy razem, i zjémy wieczerzę.

Henryk.

I owszem, proszę. Usiądźcie tu przy mnie, staruszku.

Robert (siada za stołem).

Dziękuję wam za tę grzeczność, mój panie.

Ferdynand.

Nie smućcie się, przyjacielu. Mam nadzieję, że waszą sprawę uda mi się jutro wykierować. — Ale gdzież się wasza córka podziała?

Robert.

Już poszła spać, słabo jéj się trochę zrobiło.

Ryszard (przynosząc piwo).

Otóż jest, ojcze! Natoczyłem z pełnéj baryłki, ale i ten widzę nadkwaśniał.

Ferdynand.

Nic to, wypije on się, kiedy jest pragnienie. (Bierze dzbanek). Do wmćpana, mospanie! Wasze zdrowie, Robercie. (Pije).

Henryk (na stronie).

Ta prostota obowiązująca jest rozkoszą nieznaną u dworu.

Ferdynand.

No, mospanie! proszę teraz wypić za nasze zdrowie.

Henryk (bierze dzbanek).

Z ochotą. Do was, Robercie! Wasze zdrowie, panie strażniku! (Pije).

Ferdynand.

Sługa jegomości.

Henryk (napiwszy się).

Proszę przyjąć, panie Robercie.

Robert.

Ryszard, do ciebie! Wmćpanów zdrowie!

Ryszard.

Pijcie, ojcze! a przestańcie się smucić. Ah! (Westchnienie mocne).

Henryk.

Moi przyjaciele! uczyńcież mi tę grzeczność, a powiedzcie mi, co jest przyczyną nieszczęścia tego staruszka. Mimo dobréj ochoty, z jaką staracie się mnie przyjąć, widzę w was pomięszanie i smutek. Ryszard jest podobno waszym synem, panie strażniku?

Ferdynand.

Tak jest, mospanie.

Henryk.

Ten młodzieniec musi ciérpiéć jaką dolegliwość. Oczy jego pełne są łez, i słyszę go, bolesne wydającego westchnienia.

Ferdynand.

Jakże nie, kiedy ten fatalny przypadek jego najwięcéj obchodzi.

Henryk.

Zwierzcie mi się wszystkiego, a obaczycie, że wam to na dobre wyjdzie. Któż to wié, jeżeli ja nie będę w stanie dopomódz wam w tym przypadku, który was trapi.

Ferdynand.

Mój przyjacielu! Nie szkodzi posłuchać, co nam jegomość poradzi: wszak beztego jutro cały dwór o tém się dowié, kiedy się będziemy skarżyć królowi.

Henryk.

Aż królowi chcecie się skarżyć? to musi być jakiś ważny interes! Jeżeli mi go powierzyć piérwéj zechcecie, upewniam was, że król dowié się przezemnie tak dokładnie o wszystkiém, jak gdyby to sam od was słyszał. Ja wam najlepszy przystęp wyjednam do niego.

Robert.

Dobrze, mospanie. Opowiém ci wszystkie nieszczęścia moje: a chociaż żyjesz na dworze, rozumiém jednak, że nie chcesz się z pohańbienia mojego urągać. — Urodziłem się w szlacheckim stanie, ale straciwszy rodziców i majątek, umyśliłem zapomnieć o urodzeniu, a chwycić się jakiegoś sposobu do życia. Kupiłem młyn niedaleko od tego domu, ożeniłem się z córką jednego mieszczanina z Mansfild, i żyłem z pracy rąk moich. W rok potém żona moja umarła, zostawiwszy mi córeczkę, jedyny owoc małżeństwa naszego. Piętnaście lat przepędziłem w tym stanie, wszystkie moje starania obracając na wychowanie tego dziécięcia, które kiedyś, niestety! miało być przyczyną najsroższych dla mnie boleści. Dnia jednego, powróciwszy już pozno z miasta, dowiaduję się od jednego od czeladzi mojéj, że jakiś pan, wpadłszy do młyna z kilkunastu służących, porwał moją córkę. Nie potrafię wmćpanu opisać, jaką rozpacz ta nowina w sercu mojém sprawiła. Straciwszy jedyną pociechę starości mojéj w tém ostatniém dziécięciu, przedałem dobytek, opuściłem młyn, i udałem się do Mansfild, gdzie rok cały przeżyłem w boleściach, wołając codziennie do nieba o pomstę za krzywdę moją, i o śmierć, któraby koniec zgryzocie mojéj przyniosła.

Henryk.

I któżto jest, który wam takową krzywdę wyrządził?

Ryszard.

Jestto pan wielki, i to nas też najwięcéj dolega: gdzież bowiem sprawiedliwość znajdziemy na niego?

Henryk.

Albożto dlatego, że jest wielkim panem, ma mu być wolno bezkarnie popełniać występki? Jakże się nazywa? może ja go znam.

Ryszard.

Jestto jakiś milord, ale zapomniałem jak się nazywa, bo go tylko raz w życiu widziałem, i to w wielkim strachu byłem naówczas.

Ferdynand.

Ale ja nie zapomniałem napisać sobie jego nazwisko. Poczekaj! (Patrzy w pugilares) Jestto milord Rydyng.

Ryszard.

Kiedy ją wykradli z młyna, milord dał jéj na pismie przyrzeczenie zaślubienia jéj sobie. W pół roku potém umyślił wysłać ją na okręcie do jednéj z osad amerykańskich, gdzie miała być zaprzedana w wieczną niewolę. Takimto szkaradném okrucieństwem chciał ten zdrajca uwolnić się od danego przyrzeczenia małżeństwa! Ale Betsy, dowiedziawszy się o tém od jednego z służących, uciekła natychmiast, zostawiwszy wszystko, co od niego miała, i wczoraj nad wieczorem przybiegła do nas.

Ferdynand.

Nie przestał jeszcze na tém. Obawiając się, aby dziewczyna, mając przy sobie przyrzeczenie małżeństwa na pismie, nie upomniała się w czasie krzywdy swojéj przed sądem, rozesłał szpiegów, aby jéj wszędzie szukali. Musiał on się od nich dowiedzieć, że do nas uciekła, bo wpadłszy tu z jednym swoim służącym, chciał ją gwałtem porwać z mojego domu. Stawiłem mu się, i odparłem przemoc przemocą. Porwał się na mnie do szpady, a ja mu pistoletem błysnąłem w oczy; i nie wiém, do czegoby przyszło, gdyby niebo łaskawe nie nadesłało mi było sukursu w obłokach. Błysnęło szczęściem, i zagrzmiało ogromnie. Artylerya niebieska tak gęstą kanonadę zaczęła z górnéj swojéj bateryi, że mój pan zuchwalec rejterował się natychmiast, zostawiwszy na placu batalii swój oręż, który ja jutro jako znak zwycięztwa samemu królowi pokażę.

Henryk.

Bardzo dobrze uczynisz, mój przyjacielu.

Ferdynand.

Ale co wmćpan myślisz, mospanie? Czy my wskóramy przecież co u króla? Żyjąc u dworu, musisz znać jego charakter, jego sposób myślenia.

Henryk.

Nikt go lepiéj nie zna nademnie, i dlatego zapewnić was mogę, że król nie sciérpi, aby największy pan pokrzywdził bezkarnie najlichszego z jego poddanych. Ręczę wam, że go surowo ukarze, i krzywdy wasze nadgrodzić wam rozkaże.

Ferdynand.

Doprawdy? tak wmćpan rozumiész?— No! kiedy tak, to przestańmy się smucić, Robercie, i wypijmy za zdrowie dobrego króla. Ryszard, podaj tu dzbanek. (Ryszard podaje, a Ferdynand wstaje, i zdejmuje kapelusz). Do wmćpana! Niech żyje, Henryk dobry nasz i sprawiedliwy król!

Robert i Ryszard (zdéjmując kapelusze).

Niech żyje w najdłuższe lata!

Henryk (zapominając się).

Dziękuję wam, moje dzieci.

Ferdynand.

A to za co? wszak my nie wmćpana zdrowie pijemy? Jakto zaraz znać człowieka dworskiego! Dziękuje za pana, kiedy mu kto co dobrego życzy, a sam często nie najlepiéj mu sprzyja. No, wypij jeno i wmćpan za zdrowie królewskie. (Daje mu dzbanek).

Henryk.

Z całego serca. Niechaj żyje król Henryk!

Ferdynand (zatrzymując mu dzbanek).

Ale — mospanie! za pozwoleniem jego! królewskie zdrowie pije się stojący, zdjąwszy kapelusz z głowy. Ja nie wiele umiém waszéj polityki, ale to wiém, że monarchom należy się poszanowanie wszędzie, i od każdego.

Henryk (wstaje, i zdejmuje kapelusz).

Niech i tak będzie. Piję więc zdrowie królewskie!

Wszyscy.

Niech żyje w jak najdłuższe lata!

Robert (odbiéra dzbanek).

Ja to samo powtarzam, niech żyje nasz król! (Pije).

Henryk.

Powiédzże mi, mój panie strażniku, do jakiego stanu przeznaczyliście waszego syna?

Ferdynand.

Hrabia Morlej, należący niegdyś matki mojéj, obiecał był umieścić go w skarbie; ale się nieborak na téj nadziei zawiódł. Straciwszy więcéj pół roku na próżném oczekiwaniu, powrócił z niczém do domu, i więcéj już nie chce słyszéć o Londynie.

Ryszard.

Hrabia, zamiast o mnie myśléć, cały ten czas strawił na staraniu się u dworu o urząd dla siebie samego.

Robert.

O mój Ryszard! widać tedy z twojego przykładu, że cnotliwe obyczaje i prosta rzetelność bardzo mało mają zalety u panów.

Ryszard.

Obyczaje i rzetelność mogą wam posłużyć do wykierowania się na — piwnicznego naprzykład, ale nic więcéj.

Henryk.

Ale, jak uważam, pan Ryszard zapomina wcale, że i ja dworskim człowiekiem jestem.

Ryszard.

Proszę mi wybaczyć, mości panie. Jeżeli to opisanie dworów nie podoba się wćmpanu dlatego, że jest prawdziwe, to nie moja wina. Przyznaję ja, że i tam znajdują się poczciwi ludzie, i chcę wierzyć, że wmćpan jesteś z téj liczby.

Henryk.

Dziękuję ci, przyjacielu, za to dobre o mnie rozumienie, i daję ci słowo, że gdy zechcesz znowu do Londynu powrócić, droga twoja nie będzie daremną. Wkrótce się szczęśliwym zobaczysz.

Ryszard.

Dziękuję uniżenie wmćpanu. Już nie mam ochoty powracać więcéj do miasta.

Scena VII.

Ciż sami i Małgorzata (z serwetą za pasem).

Małgorzata.

Proszę przyjść do naszego alkierza: tam nakryłam stół, i już wieczerza gotowa. Będziemy mieli leniwe pierożki, kaszę jajeczną, i dwa spore kuraki: a dla jegomości maldrzyki mi się udały gdyby pomarańcze. Jam się tego nauczyła smażyć, kiedy jeszcze byłam pokojową u kuchmistrzowéj jednego książęcia. Ale jakem oto poszła za mojego, to człowiek zaraz przy tém gospodarstwie —

Ferdynand.

No, no, no! Obéjdzie się jegomość bez wiadomości naszego pożycia. Idźmy wieczerzać. Proszę, mości panie. Zjémy, co Bóg dał, a potém się wmćpan położysz, i wypoczniesz sobie.

Małgorzata (bierze swiécę ze stołu).

Służę jegomości, a przy wieczerzy opowiém mu resztę mojego życia. Robercie, prosimy z sobą. (Odchodzą).

Ferdynand (który pozostaje).

Ryszard! ty potém pójdziesz; idź piérwéj do komory, i pościel mu łóżko. Wyjmij moją pierzynę, i weź matczyne poduszki, bo ten dworski delikacik nie usnąłby na twardém posłaniu. My tę noc i na słomie przespimy, a jemu trzeba uczynić wygodę. Któż wié? Może on się za nami przyczyni do króla; a choćby i nie chciał nam za to odwdzięczyć, powinnością jest poczciwego człowieka, nie odmawiać przytulenia bliźniemu. (Odchodzą — Ryszard do komory, a Ferdynand za drugimi).

Akt III.

Scena III.

Henryk. Małgorzata.

Henryk.

Moja matko! Chcę się trochę przejść po świéżém powietrzu.

Małgorzata.

Proszę wybaczyć, mości panie, że mi się dziś poléweczka trochę nie udała, jajko musiało być zatęchłe: ale jeżeli jegomość do obiadu u nas zabawisz, zrobię wcale nową potrawkę, która mu się zapewne zpodoba.

Henryk.

Czas mi nie pozwala dłużéj bawić u was, moja gosposiu; jednakże za waszą dla mnie gościnność będę wam umiał być wdzięcznym. Poszukajcie teraz waszego męża, bo chciałbym, żeby mnie jeszcze przed wschodem słońca zawiózł do Mansfild.

Małgorzata.

Musi jegomość chwilkę zaczekać, aż powróci do domu: wyszedł równo ze dniem obéjść stanowiska, żeby króla mógł naprowadzić na pewną zwiérzynę. Ale spodziéwam się, że niebawem nadéjdzie.

Henryk (na stronie).

Muszę jaki czas postać na wielkim gościńcu, może kogo z moich dworskich zobaczę przejéżdżającego. (Do Małgorzaty). Idźcie, matko, do waszego gospodarstwa, a ja się trochę przejdę nad tą rzéką, nim pan strażnik z kniei powróci.

Małgorzata.

Bardzo dobrze, niech jegomość czyni, co mu się podoba, a ja tymczasem pójdę moje krówki wydoić. (Odchodzi, i zaraz powraca). Ale, ale! Proszę jegomości, żebyś ztąd nie odjéżdżał, nie pożegnawszy się ze mną, bo bym się bardzo gniéwała.

Henryk.

Obaczymy się jeszcze.

Małgorzata.

Bo ja jegomości będę bardzo prosić o jedną łaskę. (Odchodzi).

Henryk.

Dobrze, wszystko uczynię dla was.

Małgorzata (wracając się).

Albo téż — wolę już od razu oświadczyć jegomości moje żądania, póki niéma w domu mojego; bo to przy tym starym gdéraczu człowiek nic zrobić nie może.

Henryk.

Cóż to takiego? Powiédzcie mi poufale, moja gosposiu.

Małgorzata.

Tylkobo nie wiém, — czy to być może. — To będzie zapewne bardzo trudném dla jegomości. —

Henryk.

Zobaczymy, chciéjcie tylko przedłożyć wasze żądanie.

Małgorzata.

Oto ja bym chciała, żebyś mnie jegomość — Ale to ani myśléć o tém. —

Henryk.

Cóż przecież? Mówcież.

Małgorzata.

Oto żebyś mnie jegomość — żebyś mnie prezentował królowi, jak tu przyjedzie.

Henryk.

Chętnie bardzo; będziecie go zapewne widzieli.

Małgorzata.

Ale czy będę ja mogła przystąpić do niego? Może on nie zechce ze mną rozmawiać.

Henryk.

I owszem, król z wszystkimi poddanymi rozmawia, i wolno wam będzie tak poufale z nim mówić, jak teraz zemną.

Małgorzata.

Czy podobna? Ach cóż to za dobry panisko musi być nasz król! Jeżeli się wam dobrze uda polowanie, a wmćpan zobaczysz, że król będzie w dobrym humorze, to przyczyń się, proszę, za nami, żeby nas król wziął z téj smutnéj pustyni, i żeby nas u swojego dworu umieścił. Mój mąż mógłby być naprzykład nadwornym strzelcem, a ja bym się zdała za kucharkę do królewskiéj kuchni. Proszę bardzo, uczyńże to wmćpan.

Henryk.

Przełożę ja to królowi, i spodziéwam się, że uczyni zadosyć waszemu żądaniu.

Małgorzata.

Mój mąż zapewne nie zechce służyć na dworze; ale król niech na to nie zważa, i niech mu surowo przykaże. Ja nie pojmuję, co u tego starego mędziarza w głowie! cała jego zabawa z niedźwiedziami. Nie wolę ja żyć u dworu? Ach! co tam za parada, jakie czuby na głowach! O! dotychczas zapomnieć nie mogę, żem za młodu była u dworu. Zdaje mi się, że w mieście byłoby mi weseléj nawet umiérać.

Henryk.

Kiedy wam się tak bardzo dworskie życie podoba, daję wam słowo, że tam jeszcze dzisiaj będziecie.

Małgorzata.

Doprawdy? Czy nie żartujesz jegomość?

Henryk.

Na honor wam to przyrzekam.

Małgorzata.

Oj teraz dopiéro zupełnie szczęśliwą zostanę! (Na stronie). Pójdę czémprędzéj ułożyć moje manatki, i dobędę mój garnuszek z pieniędzmi, którem w lesie zakopała. Najniższa sługa jegomości! — Ach! do dworu czémprędzéj! (Odchodzi z radością).

Scena IV.

Henryk (sam).

Niéma człowieka, któryby ze swojego stanu był kontent! Ten, któremu nędza doskwiéra, zazdrości królowi jego dostatków; ale ah! jak wielu królów zrzekliby się berła i bogactw, aby w spokojności ostatki życia przepędzić! — Ta uczciwa familia godna jest lepszego losu. Ten strażnik, zasłużony w wojsku, pokrzywdzonym został przez jego zwierzchników. Dochodzić téj prawdy otwarcie, byłoby to narobić mu nieprzyjaciół u dworu, do którego chcę aby się przeniósł.

Umieszczę go w cywilnym urzędzie, i starać się będę, aby dochody jego zatarły w nim pamięć krzywd poniesionych. — O jak wielu może nieszczęśliwych użala się na niesprawiedliwość, o któréj ja wiedzieć nie mogę! Boże! dlaczegoż to królom, którzy ustawnie nad uszczęśliwieniem ludu czuwać powinni, — dlaczegoż nie dano im wzroku tak bystrego, aby w każdym zakącie państwa widzieć mogli istotną prawdę! — Ale — zdaje mi się, że widzę moich dworzanów.

Scena V.

Henryk, trzech Milordów i dwóch gajowych, (którzy ich prowadzą).

Piérwszy gajowy.

Hola! héj! panie Kokl! A wyjdźcieno tu waszeć! Prowadzimy wam całą bandę hultajów, którycheśmy wczoraj na uczynku złapali.

Henryk (ze śmiéchem).

A! jak się macie? milordowie. Jak widzę, zostaliście złodziejami, czy też rozbójnikami leśnymi?

Piérwszy milord.

Ach! najjaśniejszy panie! Co za szczęście, że w. król. mość znajdujemy w tém miejscu!

Drugi milord.

Byliśmy téj nocy w bardzo wielkiém niebezpieczeństwie; ale zapominamy łatwo wszystkiego, kiedy mamy rozkosz oglądać w. król. mość w dobrém zdrowiu, i w tak dobrym humorze. Prawdziwie, całą noc przemyśleliśmy o w. król. mości.

Henryk.

Spałem dość wygodnie w tém tu domostwie. Rozstawszy się z wami, tak się daleko za jeleniem w las zapędziłem, że zupełnie obłąkałem się w gęstwinie. Byłbym może całą noc przepędził na dészczu, gdyby mnie był tutejszy strażnik nie spotkał. Nocowałem u niego.

Piérwszy gajowy.

Tożto mają być milordowie, którycheśmy wzięli za strzelców?

Drugi gajowy.

A to ma być król najjaśniejszy? — Oj! będzież nam licho!

Henryk.

Jak miarkuję, ci ludzie musieli was także w nocy napotkać, i zapewne wzięli was za leśnych włóczęgów?

Piérwszy milord.

Nie inaczéj, najjaśniejszy panie! wzięli nas za kradnących zwierzynę w. król. mości, i właśnie teraz chcieli nas prowadzić do sądu.

Piérwszy gajowy.

Przepraszamy jjwwpanów. Nie dziwota, że człek w nocy dobrze nie widzi. Rozumieliśmy prawdziwie, miłościwy panie, że ci panowie godzą na dobro wasze. Otożto, myśmy rozumieli, że ichmość są strzelcy, co biją nam sarny. Zgrzészyliśmy, to prawda, ale też i sampanowie uczynili nam krzywdę; bo nas wzięli za zbójców leśnych, i chcieli nam oddać wszystkie swoje piéniądze, byleśmy im życie darowali. Tak więc wszyscyśmy się nie poznali na sobie. Niechże tedy będzie kwita jedno za drugie. Wszak beztego, miłościwy panie, tak powiada przysłowie stare, że „w nocy wszystkie koty są szare.“

Henryk.

Przez wzgląd na pilność w powinności waszéj, spodziéwam się, że milordowie darują wam swoją urazę.

Milordowie.

Z całego serca, najjaśniejszy panie!

Drugi gajowy.

Dziękujemy ichmościom za przebaczenie.

Piérwszy gajowy, (kłaniając się milordom).

I my także przebaczamy, żeście nas ichmość zbójcami nazwali.

Henryk (do gajowych).

Pospieszcie teraz do mojego dworu z oznajmieniem, że tu się znajduję. Niechaj całe myśliwstwo sciąga się w to miejsce: dziś od téj kniei zaczniemy polować.

Piérwszy gajowy.

Biegniemy co tchu, miłościwy panie.

Henryk.

Podobna omyłka i mnie się zdarzyła. Mieszkający tu strażnik rozumié mnie być dworzaninem królewskim. Dla mojéj uciechy nie przyznałem mu się, kto jestem, i bardzom z tego kontent, bom się dowiedział wiadomości, o którychbym w zamku moim nigdy nie usłyszał. (Tu słychać Kokla wrzeszczącego w lesie:) Nie przystępujcie do mnie, bo w łeb któremu wypalę! (Henryk) Cóżto za hałas? Zdaje mi się, że kogoś napastują w lesie.

Scena VI.

Henryk, Milordowie, Ferdynand, cztérech żołniérzy z bronią, potém **Robert, Małgorzata, Betsy**, nakoniec **milord Lurwel, i dwóch gajowych.**

Milord.

Poddaj się zaraz, hultaju! albo natychmiast — (spostrzega króla, cofa się przelękniony, i upuszcza pistolet). Ach! miłościwy królu! —

Robert i Ferdynand (zdziwieni, chwytając kapelusze z głowy). Król!

Lurwel (cofa się, upuszcza harapnik, a żołniérze broń na ramię biorą).

Małgorzata (do Betsy).

To ma być król?

Betsy (do Małgorzaty).

Tak jest, król; widziałam go nieraz w Londynie. (Długie milczenie, — wszyscy stoją w zadumieniu).

Henryk (do milorda).

Daléj, mości panie! Cóż cię wstrzymuje od wykonania zaczętego gwałtu? — Człowiek, który się odważył zdeptać prawa krajowe, łatwo potrafi i w obecności monarchy dopełnić zbrodniczych zamiarów.

Milord.

Miłościwy panie! Nigdym się nie spodziéwał, abyś w. król. mość był tu przytomnym, a zuchwałość tego człowieka była tak wielką, —

Henryk.

Jak jest wielką w każdym człowieku, kiedy broni swojéj własności.

Milord.

Dnia wczorajszego tak obelżywym sposobem postąpił sobie zemną —

Henryk.

Że ci się zabić nie dozwolił, i dopełnić gwałtu w własném jego mieszkaniu?

Milord.

Najjaśniejszy panie! Jestto potwarz; nigdy na życie jego nie nastawałem.

Henryk, (biorąc pałasz od Roberta, i pokazując go milordowi).

A tenże oręż czyj jest? na kogo był dobyty? kto go tu zostawił? O nierozsądny młodzieńcze! Na tożto przodkowie twoi odebrali niegdyś od ojczyzny ten znak szlachectwa, aby go ich prawnuki przeciwko własnym obrócili rodakom? I jeszczeż po tak czarnych czynnościach będziesz się z urodzenia twojego wynosił?

Milord.

Ale ten oręż — przez przypadek — upuszczony w tém miejscu. —

Henryk.

Przestań szalbiérstwa do zuchwałości przydawać: próżne są twoje wymówki, — wiém o wszystkiém.

Milord (klękając przed królem).

Miłościwy panie! Racz mi przebaczyć, że przez prędkość —

Henryk.

Wybaczam ci występek przeciwko powadze mojéj; daruję ci nawet karę za gwałt, ponieważ, szczęściem dla ciebie, nie został spełnionym: ale ci darować nie mogę krzywdy, którąś ludzkości wyrządził. Wstań, i spojrzyj na tę panienkę. — Czy znasz ją? — Może jéj nigdy nie widziałeś?

Milord.

Ponieważ już wszystko wiadome w. król. mości, przyznaję się, że przed pół roku —

Henryk.

Ludzie, choćby na najwyższych zostawali urzędach, skoro poniżają się do czynów podłących ich wielkość, sami się obnażają z zaszczytów swoich. Familia twoja, chociaż znakomita w tém państwie, nie różni się przecież w szlachectwie z tym poczciwym człowiekiem: a jeżeli dla tego, że jesteś bogatym, sądzisz się być godniejszym nad innych, to więc i ten lotr, któryby ci przemocą wydarł twoje skarby, byłby naówczas szlachetniejszym nad ciebie. — Nie! milordzie. Prawdziwa wielkość człowieka zależy od wielkości spraw jego. Nie upodlisz się więc, zaślubiając tę szlachciankę, a ja rozkazuję ci, abyś to uczynił.

Betsy, (padając do nóg królowi).

Miłościwy monarcho! Niechaj łzy moje będą dowodem wdzięczności za dobroczynne względy twoje, na które nie zasłużyłam bynajmniéj. Ale pozwól mi w. król. mość nie przyjmować ręki tego przewrotnego człowieka, który mną wzgardził. Nie! nigdy żoną jego nie będę. Człowiek, który chciał mnie zaprzedać w wieczną niewolę, z żoną, do któréj mieć będzie prawo, obchodziłby się jak z najpodlejszém zwierzęciem. — Poznawszy czarność jego duszy, wolę umierać w ostatniéj niedoli, niżeli dzielić z nim największe bogactwa. (Oddając papier). Składam w ręku w. król. mości to świadectwo przyrzeczeń jego, a mojéj łatwowierności. Niech je odbierze, niech się zawstydzi, czytając własne wyrazy. Całą nadgrodą nieszczęśliwości moich niech to będzie, żeby o mnie zapomniał nazawsze.

Henryk.

Patrzaj, do jakiego upodlenia przywiodły cię bezwstydne twoje występki! (Do Betsy). Moje dziecię! nie chcę ja być przyczyną nieszczęśliwości twojego życia. (Do milorda, oddając mu papier). Odbierz więc ten dowód wspaniałości jéj duszy, a szalbiérstwa twojego: przykazuję ci tylko, abyś uczynił jéj natychmiast zapis wypłacania corocznie aż do śmierci tysiąc gwineów; temu zaś poczciwemu starcowi abyś wybudował młyn nowy, i całe jego gospodarstwo do dawnego przyprowadził stanu.

Robert (padając do nóg).

Niechaj, najjaśniejszy panie, odbiorę tylko to, com utracił z jego przyczyny: wstydziłbym się bowiem przyjmować dary od tego, który mnie wieczystą hańbą przyodział.

Henryk.

Nadgroda pokrzywdzonym, a kara występnym należy.

Milord (padając do nóg króla).

Sprawiedliwy królu! Zasłużyłem i ja na surową karę, ale przez wzgląd na żal mój szczéry i obietnicę zupełnéj poprawy daruj młodości mojéj, i przywróć mi dawny szacunek.

Henryk.

Dla zasług twojego stryja wybaczam ci ten raz ostatni: nie chcę nawet, aby ten poczciwy starzec wiedział o tym wypadku; mógłby przynieść zgryzotę starości jego. Wstań, a pamiętaj, że tylko dobre obyczaje i ludzkość są prawdziwym dowodem szlachectwa.

Ferdynand.

No, teraz na mnie kolej. (Klękając przed królem). Miłościwy panie! Łaskawość, któréj tu w. król. mość tak wiele dałeś dowodów, spodziéwać mi się każe, że i mnie darować raczysz, że tak po grubiańsku postąpiłem sobie z w. król. mością dzisiejszéj nocy. (Henryk dobywa szpady, a Ferdynand porywa się przestraszony). Ach! miłościwy panie! nie zasłużyłem, zdaje mi się, na tak srogą karę.

Henryk.

Zostań na kolanach, i nie obawiaj się niczego. Tak! mój poczciwy strażniku, a teraz (uderza go szpadą po ramionach) pasowany rycerzu! Nie tylko nie mam ci nic do przebaczenia, ale nadto czuję, że bardzo wielem ci winien. Odbierz więc nadgrodę zasług mnie tylko wiadomych, i twojéj gościnności dla mnie. Milordowie! Ferdynand Kokl, jest teraz wielkim łowczym moim, a dla utrzymania dostojności tego urzędu sto tysięcy gwineów wyznaczam mu corocznie. Wstań, i w pomyślności używaj mych darów.

Ferdynand.

Najłaskawszy monarcho! Wdzięczność moja dopiéro się wraz z życiem zakończy. W jakimkolwiek stanie umieści mnie dobroczynność twoja, zawsze mnie równie wiernym znajdziesz poddanym.

Małgorzata.

Ach niechże nieba życie w. król. mości w setne lata przedłużą! (Sciska go za nogi).

46. Jan Paweł Woronicz.

Urodził się roku 1757. na Wołyniu, umarł dnia 4. grudnia 1829. roku w Wiédniu. Uczęszczał do szkół jezuickich w Ostrogu, i w piérwszych latach młodości wstąpił do ich zakonu. Po upadku Jezuitów przeniół się do seminaryum missyonarzy w Warszawie. Od Stanisława Augusta otrzymał probostwo liwskie. Za sejmu cztéroletniego używany był pod podkanclerzym Garnyszem do spraw, tyczących się całego duchowieństwa. W towarzystwie Przyjaciół Nauk był jednym z piérwszych członków: za czasów księstwa Warszawskiego mianowany biskupem krakowskim, poźniéj arcybiskupem warszawskim.

Zajmuje on w dziejach literatury naszéj miejsce i jako jeden z wielkich poetów, i jako najznakomitszy mowca. W kazaniach swoich umiał Woronicz i zniżyć się do prostoty wiejskiéj, która skromny kościołek sielski napełniała, i podnieść mowę swoję do podziwu wykształconych słuchaczy. Od Skargi, Birkowskiego, do Woronicza niémasz żadnego kaznodziei, któryby mógł obok stanąć. Jako poeta, który wyprzedził okres nasz ostatni tak zwanéj literatury romantycznéj, oddzielne zajmuje stanowisko jako spiéwak religijny i historyczny. Nie znalazł on naśladowców, jakich mieli inni wielcy poeci nasi: a to łatwo pojąć, zważając przedmioty, którym poświęcał swe pióro. Język jego pełen nieznanéj dotąd potęgi, w jaki przystroił wzniosłe i upromienione prawdziwą poezyą swoje utwory.

K. Wł. Wojcicki.

A) Poezye Jana Pawła Woronicza, arcybiskupa warszawskiego, (Tomik I. i II.), w Krakowie 1832.

1. Sybilla *), poema historyczne.

a) Swiątynia Sybilli. (Pieśń I. skrócona).

Już dwadzieściaset razy świat przeradza siwy
Nieznane za twych czasów narody i dziwy:
Jak twe imię, i głośne przed laty wyroki
Uspił w nieocuconych kartach sen głęboki;

*) Swiątynia Sybilli, gmach okazały w ogrodzie puławskim, nawzór starożytnéj we Włoszech nad Teweroną tyburtyńskiéj Sybilli ręką ks. Czartoryskiéj dźwigniony, wznosi się ponad lachą od Wisły, od stoku góry w ustępie drzew, gęstym uwieńczających ją wawrzynem.

Kiedy cię nagle jedna z nimf sarmackich grona,
Nieścigłym sławy lotem nad wieki wzniesiona,
Jednakim zawsze blaskiem jaśniejąca zorza,
Bądź rankiem świat odmładza, bądź zapada w morza,
Tworczym głosem wskrzeszając z klozów *) niepamięci,
Na tym brzegu sadowi, i kościołem święci.
Jestto dzieło i miejsce was obydwu godne,
Drogiemi dla serc czułych widokami płodne,
Słodki przybytek cnoty, światła, odetchnienia,
Zdrój pociechy, i czarnych trosków zapomnienia;
Gdzie cudzoziemiec, dziwu zachwytem przejęty,
Znajdując wszystkich krajów rozkoszne ponęty,
Chociażby był z Ulissa rodu, lub Eakiem,
Pragnie zostać zaszczeptym téj ziemi rodakiem;
Gdzie droższego nad życie wychowu nakładem,
I starożytnych wzorów obecnym przykładem,
Ukształcone wracając do swych matek dziatki,
Roznoszą ulubione imię wspólnéj matki**):
A gdzie tylu cnót razem gniazdo i schronienie,
Możeż tam się nie wdzięczyć całe przyrodzenie?
To nadbrzeże, zatoków nadwiślańskich czoło,
Pasmem gór i pagórków uwieńczone wkoło,
Gdzie natura zasiadłszy z wszystkich wdzięków zbiorem,
Ożenia swe powaby ze sztuki wytworem,
A Wisła, niosąc życie zamorcom zgłodniałym,
Zarzuciwszy wędzidło nurtom niewstrzymałym,
Igra z rozkosznym brzegiem strzępem swym srebrzystym,
Malując piękność jego na łonie przejrzystém,
I całą tę posadę wśród widoków mnóstwa
Zdaje się na mieszkanie przeznaczać dla Bóstwa.
Te zawrotne manowce, ścieżki i uchyłki,
Śmiejące się z niewinnéj przechodnia pomyłki, —
Te niedostępne skwarom słonecznym chłodniki,
Różnowzorym kobiercem usłane trawniki,

*) Kloza (kluza), jama, turma, więzienie.

**) Księżny Izabelli Czartoryskiéj.

Te klomby, w tysiąc piąter uwieńczywszy skronie,
Gasnące na omdlałém swych wawrzynów łonie;
Te ręką przyrodzenia usklepione groty,
Obraz twoich, Kalipso! ponęt i pieszczoty,
Przybrane w sławne łupy morskich dziworodów,
Słodkiém ziejące tchnieniem upragnionych chłodów:
Podle nich u podnóżka panującéj skały
Żywy strumień przetapia czyste swe krzyształy,
I znowu przymuszony nieznanym gościńcem
Piąć się w górę, i igrać na powietrzu młyńcem,
Gniewny za gwałt przyrodnim prawom swym zadany,
Ciska w same obłoki niezbłagane piany;
Te ulice, szykownym wieńcem umajone,
Tysiącami widoków nie ograniczone;
Te gmachów okazałych rozległe przestwory,
Koryntu i Dorydy dochowane wzory*);
W nich starożytne bogactw i gustu pamiątki,
Od pożogi scytyjskiéj oszczędzone szczątki;
Te błyszczące ustronia kunsztem różnych krajów,
Podziwne Azyanom wzory ich zwyczajów;
Wszędzie z gustem, z powagą połączone wdzięki,
Drogie ślady uczonéj i zamożnéj ręki,—
Łatwym wnioskiem dowodzą, czém te kraje były,
Które takich mieszkańców w łonie swém rodziły.
A to wszystko, świątyni swéj kréśląc przedmurze,
Znajomy tylko saméj sztuce i naturze
Labirynt, zgromadzonych piękności wskazuje,
I po nim obłąkaniem słodkiém myśl zajmuje.
Kogoż najprzód nie zwabi ten portyk na wzgórzu**),
Który tu rozkosznemu panuje podwórzu!
Sto kolumn go hetruskich wdzięczném zdobi kołem,
Tysiąc nieznanych roślin wonném wita czołem.

*) Dom gotycki, odpowiadający Sybilli, budowy kształtnéj i wytwornéj, poświęcony wszystkich wieków i krajów starożytnym i zachowania godnym pamiątkom, jest skarbem, równie jak Sybilla, szacownym.

**) Portyk, przysionek na kilkunastu wspaniałych kolumnach wsparty, który wnijściem jest do ogrodu puławskiego.

Twój tu dwór i mieszkanie, wieczna wiosny córo,
Szérokowładna berłem kwiatorodém Floro!
Tu całe twe królestwo z cztérech końców świata
Oddycha wpośrzód lodów słodkiém tchnieniem lata;
A czyto od Gangesu, czy z piasków Afryka,
Czy z wyspów niedostępnych, czy z brzegów Mexyka,
Osiadłe na tym gruncie zbiegłe twe narody,
Łączą z prawem krajowców ojczyste swobody.
Któż was nieoswojonym językiem wymieni?
Kto ród wasz wyprowadzi, i piękność oceni?
Różnych ziem, różnych zorzów krasne wychowanki,
Dziś przyrodném zamęźciem kwitnące Słowianki!
Ty czołem i ozdobą jesteś tego grona,
Królowéj Albionu imieniem uczczona,
I darów jéj gościnnych pamiątko szacowna,
Od starych Garamantów Strzelico wędrowna *)!
Dotąd radośne siostry w zadumieniu stoją,
Zajęte i pięknością, i pielgrzymką twoją.
I ciebie kto nie uczci w tém rozkoszném gronie,
Na skalistém Przylądka wychowany łonie,
Strojny w białą niewinność i najczystsze złoto,
Kaktusie, Hotentotek nadmorskich pieszczoto!
Twym pologiem Lucyna sama się zajmuje **),
Sama twoich narodzin godzinę zgaduje;
Zbiegłe nimfy widzenia ciebie żądzą zieją,
Zefirki lekkiém skrzydłem powionąć nie śmieją;
Ty się rodzisz, — powietrze twym balsamem dysze,
Podziwem i radością całe tchnie zacisze:
Lecz cóż? W trzechset minutach wiek się twój zawiéra,
Wzrasta, — kwitnie, — panuje, — dziwi, — i umiéra! —
Już cię niéma! ponura plasła w ręce żałość:
O piękności! i czemuż działem twym nietrwałość!—

*) Strzelica (*Strelitzia Reginae*), kwiat zachwycającéj piękności, pochodzący z Afryki, gdzie niegdyś na południe Getulii naród Garamantów, jeden z najodleglejszych od Rzymu, miał swoje siedlisko.

**) Lucyna, Dyana.

I ty się od niéj twemi nie odkupisz skarby,
Ni rąbkiem złotolitym tkanym w różne farby,
Hidrango!*), strojna córo tęczy i Tytana,
Ile w świetle promieni, w tyle szat przybrana!
Za szmarag twéj zawójki, za ten rubin lica
Któraż ci nie odstąpi swych pereł dziewica?
Najuprzejmiéj nas witasz jako twoich braci,
Nadobna Azalio z wdzięków, i postaci**)!
Długo po dzikich wyspach i morzach burzliwych
Szukana od żeglarzów twéj piękności chciwych;
Nim uczony nasz Sawacz światu cię objawił***),
I w rzędzie starożytnych Sarmatek postawił. —
Ale gdzież się zapędzam nietkniętemi ślady
Przebiegać tylu krajów rozkwitłe osady,
Was, śniadawe Wejmuty, białe Anemony,
Ogorzałe Panamy, i Rododendrony,
Dzikich wysp i przylądków mieszkańcy nieznani,
Zgromadzeni pod słodkie berło jednéj pani?
I was, słońca i rosy córy rozpieszczone,
Nektarem nakarmiane, balsamem pojone,
Tyle stopniów pokrewieństw liczące po świecie,
Ile kwiat podobieństwa znajdzie w drugim kwiecie?
Wszystkie tu pokolenia wasze, — wszystkie domy
Rozkoszą i podziwem pojąą zmysł łakomy,
Aż do ciebie, drobniutki mój niezapominku,
Czułym sercom nad skarby droższy upominku!
Nie wysłowią ni imion waszych, ni urody
Kwiecistego Harlemu zazdrośne ogrody****):
I ty stałbyś jak wryty wśród piękności tylu,
Niezrównamy ogrodów spiéwaku, Delillu*****)!

---

*) Hidranga, *Hydrangena hortensis*, róża japońska, więcéj znana pod nazwiskiem Hortenzyi.

**) Azalia, Wejmuty, Anemony i t. d. kwiaty znanéj piękności.

***) Sawacz, niegdyś dozorca ogrodu puławskiego.

****) Harlem, miasto w Hollandyi, leżące niedaleko morza, wpośród wesołych ogrodów.

*****) Jednym z naczelnych płodów wzorowéj muzy Delilla jest poema Ogrody.

Odrywając niechętną myśl z tego przedmurza,
Jakaż nowych widoków przestrzeń się wynurza!
Wkoło włości kwitnące, ozdoba téj ziemi,
Żywe świadki opieki ojcowskiéj nad niemi,
Pływające po niwach rozbujanych plonem,
A Ceres im panuje siérpem zakrzywionym:
Daléj smugi i błonia nieprzejźrzane okiem,
Igrające z trzodami nad bieżącym stokiem:
Wszystko się wesołością i szczęściem ozywa,
Mądrym rządem zakwita, wzrasta i dojźrzéwa.
Na mile téj przestrzeni legła droga nowa,
Niezrównana gościńców publicznych królowa;
Gdzie wędrowiec tysiącem stajów oddalony,
W piękności tych okolic gubi wzrok olśniony:
Swym ją cieniem osklepia ten tu gaj pamiętny,
Rozkosznego Elizu ustronek poświętny,
Odgrodzony letejskich strumieni obwodem
Przed pełznącym po ziemi skazitelnym rodem.
My tu wasze spocznienie zmysłom niepojęte
Kréślimy jako dzieci, o wy duchy święte!
Coście po całym świecie braterstwem spojeni,
Wyższym lotem nad gminną sferę uniesieni;
Którzy nie uwieczniwszy prac uczonych sławą,
Rozum i serce ludzkie przetarli uprawą*)!
Nie godni widzieć waszą istność nieśmiertelną,
W tych tu ogrodach ręką święcim skazitelną
Zwłokom waszym, i w sercach i granitach ryte
Te mauzole, szacunkiem wdzięczności okryte,
Laurom, mirtom, cyprysom w smutną straż oddane,
Roztarganym warkoczem od nich opłakane.
A teraz, was żegnając, zwróćmy w owe gaje,
Którym sama natura wzrost i szyk nadaje!
Te pyszniąc się posagiem matki wielowładnéj,
Nienałożne niewoli i przemocy żadnéj,
Same sobie stanowią prawa i granice,
Skrzydlatego narodu wierne sojusznice.

*) Ustęp poczesny w lasku, poświęcony pamiątce sławnych ludzi.

Z nim jednym swéj wolności drogie zyski dzielą,
Wspólną żyją swobodą, wspólnie się weselą,
Kołysane miłostek różnogwarém pieniem,
Kryją swych sprzymierzeńców przed zabójcy cieniem.
Ta topola nad niemi wiek panuje drugi
Starszeństwem, i urodą, i prawem zasługi;
Nie zachwiana powodzią wiślanych zalewów,
Starożytna prababa tych roślin i krzewów,
Wśrzód licznego prawnucząt gałęzistych grona
Odmłodniałym w siwiźnie czepcem umajona:
Już siódme pokolenie téj ręki pamięta,
Od któréj za włościankę była tu przyjęta.
I ten wiąz, sążnistemi rosochami dumny,
Nie pożyty szturmami, kark potrząsa szumny,
Że z synami Eola wygrał walki mnogie,
I nie jednéj potargał zimy pęta srogie:
Liścia jego obsiadły Snów przelotnych roje,
Usypiając podróżnych kłopoty i znoje.
A te dęby, szelestem powiewnym odzowne,
Młodniejące starością, siwym mchem szanowne,
Zastąpią starożytną Dodony dąbrowę,
Gdzie cię czciły, Sybillo! wnuki Chaonowe.
Sadził ją własną ręką dla swojego syna
Nestor nasz, poźne plemię rodu Giedymina *),
Który się kilka wieków laurami zielenił,
A ojczyste i obce trony krwią zaplenił,
Nestor, który i wziętość, i sławę dziedzicząc,
A wiek dobrodziejstwami, nie latami licząc,
Piérwszy z ludzi zasłużył być stale kochanym,
A po zgonie powszechną żałobą płakanym.
Ile strumieni z Wisłą do Baltyku płynie,
Ile z Dnieprem, i z Dniestrem tonie ich w Euxynie,
Tyle nam z włości jego szérokich spływało,
I chlebem nieprzerodnym ludzi nakarmiało.

*) Miejsce to jest wspomnieniem sławnéj pamięci księcia Adama Czartoryskiego, c. k. polnego marszałka austryackiego, dawniéj jenerała Ziem Podolskich.

A gdzie świątynie pańskie ozdobą jaśniały,
Gdzie rządu i zapasu wił się wątek stały,
Gdzie gmachy najwspanialsze, najżyźniejsze niwy,
Gdzie rolnik w gronie dziatek oddychał szczęśliwy;
Znak to był jego włości, rządu i opieki,
Którą łzami podawać będą poźne wieki.
To właśnie miejsce, cieniom jego poświęcone,
Gdzie wdzięczne dziatki, wnucząt gronem otoczone,
Drogi rys twarzy ojca uwieczniając głazem,
Przysięgły duszy jego żywym być obrazem:
A ta brzoza, pamiątek tych wierna strażnica,
Nieutulona straty takiéj płaczelnica,
Zasłoniwszy nazawsze twarz niegdyś nadobną
Rozpuszczonych kędziorów powłoką żałobną,
Przy każdym ponowionych tych ślubów obrzędzie
Następnym pokoleniom przypominać będzie:
„Oto twarz tego ojca, którego płaczecie!
Nie prędko taki człowiek zjawi się na świecie!“
Ten wysep nas pocieszy, zabaw mistrz uczony,
Wiszącym mostu łukiem z lądem spokrewniony,
Obraz śmiejącego się w swéj kolébce świata,
Przytułek wdzięcznéj wiosny, i skwarnego lata,
Który tu Arkadyjską krainę zasadził,
I piérwszéj niewinności powaby zgromadził.
Ty odbiérasz tu dotąd czysty hołd w ofiarze,
Pieśniotworcza niebianko! drogi bogów darze,
Jakim cię w piérwszych wiekach wdzięczni czcili ludzie,
Kiedyś najprzód w pastuszéj zamieszkała budzie.
Ty tu białą niewinność, tlejącą rumieńcem,
Umaiwszy nad stokiem wawrzynowym wieńcem,
Uczysz przelewać serce, czuciem przepełnione,
W odpowiedne fujarki, i fletnie uczone:
Te drżącą tknięte ręką na twoje natchnienie
Odradzają ocknione ze snu przyrodzenie.
Na ich głos i te gaje weselej się śmieją,
I strugi żywszym ruchem czysty krzyształ leją,

I trzody raźniéj skaczą po kwiecistém błoniu,
I srogość swą łagodzi dziki zwiérz w ustroniu.
A te wędrowne branki z Alpów i Żuławów,
Dumne wychowanice Helwetów, Batawów,
Znajdując wszystkie wdzięki swéj ojczystéj ziemi,
Darzą nowe siedziby skopcami pełnemi.
Tu zebrana z okolic pastuszków drużyna
Piérwsze szczęście staremu światu przypomina,
Że imię szczęśliwego ten niegdy posiadał.
Kto nie światem, lecz sobą samym mądrze władał;
Kto ojcem, przyjacielem umiał być prawdziwym,
I najwięcéj łez gorzkich otarł nieszczęśliwym;
Kto trzodą i snopkami swe bogactwa liczył,
Cnotliwéj Amarylli rękę odziedziczył,
I z nią żadną przygodą niezmącone chwile
Na zgody i pokoju łonie przeżył mile;
Kto na swym losie przestał, cudzego nie żądał,
I wnuki wnuków swoich w starości oglądał;
A do grobu swych ojców najpoźniéj wezwany,
Szedł spokojnie, choć rzewnie od wszystkich płakany.
Tym się pieśniom przyległe góry ozywają,
I wiślane syreny na ich głos zbiegają.
Cóż dopiéro, gdy sama pani téj osady
Ożywi swém obliczem te nowe Arkady?
Wszystko tu jéj przybycie pożądane czuje,
Jéj widokiem zakwita, wdzięczy i raduje:
Każde drzewo coś mówi, uczy, przypomina
Ojca, matkę, sąsiada, przyjaciela, syna;
Każdego czeka wieniec czułą wity ręką,
Wszystko dysze szacunkiem, wdzięcznością, podzięką.
Zebrana zewsząd kmiotków dobroczynna rzesza
Wykrzykując swą dolę, zbawców jéj pociesza.
Szczęśliwy! kogo uczy téj wyspy ustronie
Na niewinném natury słodko spocząć łonie;

A zamiast zwodniczego czczych omamień blasku
Szczęście ludzi mieć w zysku, a wdzięczność w poklasku*).
Daléj pasmem zaległy nieprzeżyte góry,
Płód olbrzymi piérwszego połogu natury,
Wiecznością przywalonych wieków potomkowie,
I dziejów zapomnianych obecni świadkowie.
Oni na to własnemi oczyma patrzali,
Co nam starzy z powieści niepewnych podali:
Jakie najprzód narody zasiadły tę ziemię,
I jakich poźniéj ludów wyroiły plemię;
Jak te znowu napływem zmięszane wędrowców,
Napłodziły w jednymże kraju różnomowców;
Którędy Wandalowie Wisłę przebywali,
Kiedy się z Genserykiem zburzyć Rzym zbiérali;
Wreszcie, jak tu zasiadłszy stare Sauromaty,
Podzielili swym wnukom te żyzne powiaty.
Tych plemię, przyswoiwszy sławę za rzemiosło,
Wzięte imię Sławaków széroko rozniosło;
A od nich rozrojone sławiańskie narody,
Rozsiały na pół świata swe państwa i grody.
Wy, góry! nam to wszystko powiedzieć możecie,
Które tym brzegom równo z światem panujecie:
Naszych proszków nie stanie, wasz tron niezachwiany
Konającego świata widzieć będzie zmiany!

b) Bitwa (z pieśni III.).

Tak właśnie kiedy chmury, wzdęte flag brzemiony,
Zgromadziwszy się w jeden bałchan ukirzony**),
W pośrzód skwaru południa rykną srogim gniewem,
Grożąc struchlałéj ziemi ogniem i zalewem;
Warczy niebo w zamglonéj pomrokiem naturze,
Wydziérając przelotny ogień chmura chmurze,

*) Na kępie obok krzyża Maryi odbywała się corocznie uroczystość rozdania nagrod zaleconéj nad innych pracowitością i cnotami domowemi drużynie obojéj płci gromadki puławskiéj.

**) Bałchan, zamiast wał, czyli bałwan.

Tłuką się srogim chrzęstem obłoki błyskotne,
Swiszczą trójzębe bełty, gońce gromu lotne:
Równa wrzawa przez całe dwa dni śmiercią ziéwa,
I wąwozy Zborowa powodzią zaléwa;
Piorunuje śmiertelny grad z spiżów nabitych,
Szumią chmury skrzydlate grotów jadowitych;
A ilekroć z napadem ta się dzicz zaniesie,
Garstkę naszych rycerzy pochłoniać zdaje się.
Lecz jako gdy Ocean na łódź rozgniewany,
Poruszywszy z bezdennych głębiów swe bałwany,
Rozumié, że ją swemi górami zagniecie,
A ona mu panuje na wyniosłym grzbiecie;
Tak ta powódź tysiącznych hord nieprzeliczona,
Złamawszy kark, klęskami wielą przerzedzona,
Piérzcha w trwożnym popłochu na scytyjskie pola.

2. Ślubny upominek.

Anielo! król aniołów, Bóg i człowiek razem,
Niech cię w tajnikach serca uczy tym obrazem,
Ile go kosztowało ród człowieka zbawić,
Odziać go swojém bóstwem, obok siebie stawić.
Chceszli wiedzieć, co prawda, rozum, szczęście, chwała?
Zkąd się powódź nędz ludzkich po świecie rozlała?
Gdzie wpośrzód łez i smutku płynie zdrój wesela?
Wszystko to u nóg twego pojmiesz zbawiciela!
W jego szkole zrozumiész, na czém wielkość stoi!
Świat ją w dumę, bogactwa, i rozkosze stroi;
Ten mistrz uczy, że żadna znikomość przechodna
Ani ciebie ukoi, ani ciebie godna.
On ci wytknął wszelako i doczesne szranki
W obowiązkach małżonki, matki, i ziemianki,
Abyś za trochę trosków w tym wędrownym stanie
Zasłużyła z nim wieczne dzierżyć panowanie.
Bez niego w tym zawodzie nie postąpisz nogą,
On sam jeden jest światłem, prawdą, życiem, drogą:
Kto go nie zna, po zgubnych przepaściach się miota,
Bez zarzewia rozumu, pociechy żywota.

On jeden cię przewiedzie przez labirynt kręty,
Wskaże zbójcze ustronia, zdrady i ponęty:
Jak w prawości zachować i miarę, i śrzodek,
Na wywrocie prawideł szczepić cnót zarodek;
Jak z pożérczych płomieni wyniść bez obrazy,
Tonąć w świecie, i świata nie zaciągnąć skazy,
Próżności się uśmiéchać, i od niéj odwykać,
Nogą poziom pomiatać, sercem niebios tykać;
Jako siebie nie przeżyć, mieniąc się nie mienić,
I krzepkości młodziańskiéj świeżością zieleniéć;
Z wdziękami lat porannych zmiérzchły wiek pogodzić,
Codzień z słońcem zapadać, codzień z zorzą wschodzić.
Masz być matką, i piérwszéj matki łez zkosztować!
Więc nawykaj przygodom umysł twój hartować.
Niech cię uczy pod krzyżem Matka zbawcy Boga,
Że dla niego ofiara żadna nie jest droga.
On jest panem, więc wszystko dać i odjąć zdoła;
Jest ojcem, więc nań próżno dziécię nie zawoła:
Nie zna smutku, kto usnął w cieniu jego woli,
Która dobro wyprzędza z każdéj człeka doli.
Wszystko więc, co ci przyjdzie z możnéj jego ręki,
Zapisz do cyrografu długów i podzięki.
Przyjdzie on po swą własność w nędzarza postaci,
Otoczony podobnych sobie gronem braci;
Bądź gdy ciebie o złomek chleba prosić będzie,
Bądź znękany uciskiem na twym progu siędzie,
Bądź łzami się zapłoni przed twojém obliczem:
Poznaj go wtedy dobrze, nie odprawiaj z niczém!
Jestto matka, co igra z sercem swéj dzieciny,
Targując się o udział słodkiéj okruszyny;
Jestto probiérz twéj głowy, czy za kroplę wody
Umiész u niego kupić wiekuiste gody.
Niechaj w sercu utkwiony przestróg tych wspominek,
Błyszczy w twym ślubnym wieńcu za mirt i barwinek:
Jeźli chcesz, by się zawsze szczęściem twém zielenił!
Jam go na to w Chrystusie z wiecznością ożenił.

On jest piérwszym małżeńskich związków fundownikiem,
Ich trwałości niezmiennéj sprawcą, zakładnikiem:
Kto je targa, tajemnic znieważa zasłonę,
Gdzie on swe bóstwo pokrył, z naszą krwią spojone. —
Przenikniona świętością tak ważnego czynu,
Niedostępna przykładom obłędnego gminu,
Ucz się zgłębiać rad Bożych tajemnicze szranki,
I wcześnie się przestrajać w dostojność niebianki.
Tą wiarą się ukrzepiaj, ona świat przestoi,
I na wszelkie cię szturmy paiżą uzbroi.
Na jéj łonie złożyłaś przysięgę niezłomną,
Bóg ją zręczył, i w księgę przyjął wiekopomną;
Więc cię pod skrzydła możnéj przytulił opieki,
Nie zachwieją jéj żadne i zmiany, i wieki.
On sam będzie ci ojcem, matką i rodziną,
Gdziekolwiek przeznaczenia łódką twą powiną.

B) Kazania tudzież nauki parafialne (Tomik 1. 2. 3.), w Krakowie 1832.— (Homilie, nauki i przemowy dotąd drukiem nie ogłoszone, w Krakowie 1852.).

Homilia na Nowy Rok.

(W Warszawie 1829. miana).

Obchodziliśmy, najmilsi bracia! przez ten tydzień ze wszystkiemi narodami chrześciańskiemi drogą pamiątkę narodzin zbawiciela naszego, w których on człowieczeństwo nasze w jednéj osobie Syna Bożego wiecznie spajając ród nasz grzéchem piérworodnym pychy i nieposłuszeństwa zatracony, do godności przybranych synów Bożych wywyższył, i prawem oném do swego dziedzictwa przyłączył.

W ciągu tych rozwag święcimy dzień dzisiejszy, w którym ten współbrat i miłośnik plemienia naszego, w pierwszém niemowlęctwie swojém dopełniając ustawy starego zakonu w przyjęciu bolesnéj cechy potomka Abrahamowego, przyjął to imię najświętsze Jezus, to jest Zbawiciel, i zaraz urząd jego w sprawowaniu zbawienia naszego rozpoczął posłuszeństwem i ciérpieniem.

Od tego dnia wszystkie ludy chrześciańskie oznaczyły początek każdego roku nowego, który i my dziś zaczynamy, a który każdemu z nas w kalendarzach życia naszego zbiegłych lat kréskę dopisał, a na liczbę następnych przywileju nie niosąc, wieczne dni nas czekające, szczęśliwe lub nieszczęśliwe, bliżéj zapowiedział.

Był czas, kiedy rozwaga tych tajemnic świętych zajmowała prawowierne serca ojców naszych, a rodząc w nich uczucia prawdziwéj pociechy, rozlewała po wszystkich rodzinach rzetelną radość i wesele, czego zabytek wszystkiego oto w dzisiejszych powinszownych listkach jeszcze się między nami kołace, acz korzeń ich, prawdziwa szczérość i chrześciańska miłość dzień za dniem bardziéj usycha.

Zkądże jeszcze ta zmiana rzeczy, że te prawdy nigdy niezmienne, zawsze pocieszające, nieuchronne i konieczne tak nas mało dotykają, że ledwie im kiedy zimnego posłuchania, jak powieściom przegadanym, udzielamy? Na cóż się przyda święcić tam i rozgłaszać dobrodziejstwa zbawiciela, gdzie skutek ich, zbawienie dusz naszych będzie gadką, życiem i postępkami zaprzeczoną?

Nie będzież godna rzecz, najmilsi bracia! zastanowić się na tym progu nowozaczętego roku, a wyjrzawszy za siebie, ile już latek z płochym wiatrem uleciało, zapytać szczérze: Pocośmy na ten świat przyszli, i dokąd daléj wędrujemy?

Jeżeli wierzymy szczérze temu wyrokowi: Co pomoże człowiekowi, choćby cały świat zyskał, jeżeli duszę utraci? łatwo osądzicie, jaką wam korzyść na żywot wieczny zbiegłe lata przyniosły, i jak resztę urządzić macie, aby nagle nas nie okrzyczano: Już niéma czasu! Nie uderzaj nas, panie, tym gromem ostatnim! acz ty sam jeden wiész, wielu nas w tym jeszcze roku tym ciosem polegnie. Pozwól więc nam dziś przynajmniéj jeszcze z sobą się policzyć, jak upłynionego czasu na zbawienie nasze użyliśmy, i jak tę nieprzeplakaną stratę nagrodzić należy.

Nie potrzebujecie, bracia najmilsi! piérwiastkowych wywodów, jaki cel i koniec krótkiego pobytu naszego na ziemi. Jeszcześmy nie zapomnieli nabytéj w dziecinnym wieku wysokiéj i głębokiéj mądrości w tych kilku słowach: Wierzę w żywot wieczny! a wiek dojrzalszy, i w nim przyjęte różne obowiązki, stosunki, położenia przekonały nas, że wszystko próżność i udręczenie ducha, że jedném prawdziwém dobrem jest Bóg, a piérwszą przyrodzoną powinnością

człowieka, z nim się połączyć, co nazywamy zbawieniem. Przebieżcie piérwsze lata młodości waszéj, owe związki, zabiegi, ustérki po których was zapał namiętności w omamieniu miotał, a zapytajmy siebie, azali ten szał i sytość upragnionych uciech nasyciły kiedy głodne i niesyte niczego serce człowieka? Cóż nam z tych przypomnień na żywot wieczny zostało? Obliczmy się między sobą! Wielużto rówieników, towarzyszów i uczestników wspólnych zawodów, urzędów, zażyłéj przyjaźni, w księdze żyjących nie widzimy? Ja piérwszy, znaczną część wieku mego w tém mieście przeżywszy, na ileż już siérocych domów z żalem poglądam, w których dawnych znajomców i przyjaciół dopytać się nie mogę? A to wszystko zgromadziwszy, nie wartoż pomyśléć: za co nam jeszcze czasu pozwolono, którego tylu innym odmówiono? Mamyż od nich lepiéj przygotowane rachunki z tylu darów i dobrodziejstw opatrzności, jedynie na zarobek żywota wiecznego udzielonych? Ileż pokażem na téj roli zbawienia wyplenionych nałogów? poskromionych namiętności? zaprzysięganych, a nigdy niedotrzymanych Bogu obietnic? Cóż dopiéro postąpiwszy głębiéj z pochodnią wiary w niedostępne tajniki sumienia, o ileż tam może okropnych smoków w ukrytych nórach zaległo, z któremi oswojeni, przed ich paszczą piekielną spokojnie zasypiamy! — Ileż krzywd do nagrodzenia! zgorszeń do naprawienia! ile zabójczych ztąd skutków na przyszłe pokolenia széroko rozlanych! Bylibyśmyż w stanie dziś naprzykład stanąć przed obliczem tego wiecznego sędziego, który nie uczynki tylko, ale ich zapragnienia, same nawet skłonności nieukrócone podług wyroków swoich rozsądzać będzie? A jeżeli żyje w nas jeszcze nasionko jakie bojaźni Bożéj, możemyż się nie ocknąć z tego letargu, którym poprzednie lata oznaczyliśmy? Lecz będą, niestety! i następne takie, jeżeli jednakiém okiem na dzieło zbawienia naszego spoglądać będziemy. Ostrzega nas o tém zbawiciel nasz: Królestwo niebieskie gwałt ciérpi, i mocą porywają je. Dostojność i powołanie chrześcian dusz wielkich i wyniesionych potrzebuje; nikczemnym i samą ziemskością ziéwającym nigdy do smaku nie przypadnie. Ich to rzemiosło poniżać i zaciérać znamiona téj heroicznéj wielkości, do któréj się podnieść ani serca, ani wyobrażenia nie mają. Większyto bohatér, który siebie pokonał, niż ten, który świat pokonawszy, pod swoją nikczemnością upadł. A następnie, jeżeli dziś chcemy pomyśléć szczérze o sprawie zbawienia na-

szego; umiéjmy mu naprzód nadać cechę piérwszeństwa i szacunku, któremu wszystko ustąpić powinno. Zapowiada nam o tém prawdziwy nauczyciel i zbawca nasz: O wiele się troszczycie, a jedno tylko jest koniecznie potrzebném. A w tém jedném, tojest w zbawieniu jestże cokolwiek małém i drobném, skoro się dotyczy Boga? skoro o wiecznéj szczęśliwości naszéj stanowi?

Tą prawdą przeniknieni, możemyż w téj sprawie działać gnuśnie, oziębłe, z przymusu, z przyzwoitości, i tylko dla oka ludzkiego? Jeżeli w ludzkiém pożyciu niéma nic zmierzlejszego nad przyjaciela, w szczérości i obłudzie połowicznego, jakże ten niepodzielny miłośnik dusz naszych sciérpi tych, którym zapowiedział: O gdybyś był zimnym, lub gorącym! ale żeś jest z obojga mieszańcem, tojest, oziębłym; — wymiatam cię z uczt moich! O Boże! cóż jest okropniejszego, jak być wymiecionym z twoich uczt, i serca ojcowskiego! A jeźli ta pogróżka budzi nas do szczéréj i ochoczéj pracy około zbawienia; sama tylko stałość i wytrwałość, żadnemi przeszkodami nie pokonana, pewność jego zaręcza. Stoi ta prawda na wyroku zbawiciela: Kto się imie pługa roboty wiecznéj, a wstecz się obraca, taki nie jest nawet sposobny do królestwa niebieskiego. — Któż więc, panie! będzie sposobnym? Kto wytrwa do końca, odpowiadasz nam, ten będzie zbawiony. Sąż to próżne słowa i pogrożki? O bracia! jeśli was jednych to nie ocuca, jeśli wszystko, cośmy dotąd rozważali, przeleci mimo uszów, jako gadka nudów i zmierzenia, zadrżyjmy na ostatni pogrom tego zbawiciela, którym on niegdy staréj owéj synagogi pismaków, i wszystkich im podobnych na wszystkie wieki napiętnował: Odchodzę, szukać mię będziecie, i w grzéchu waszym pomrzecie. Tak jest! w grzéchu ślepoty, złośliwości i zatwardziałości!

Ale nie po toś mię, panie, z księgą twojéj ewangelii na tę ziemię wysłał! Zguba i jednéj duszy w powierzonéj mi owczarni twojéj, i mnie nędznika za sobą pociągnie, jeźli czegokolwiek dla jéj ocalenia zaniedbam. Jeszcześ ty dobry, miłosierny, przewładny, gdy nas dotąd jak nieużyteczne drzewa wyciąć nie kazałeś; jeszcze nam nowy rok łaski i miłosierdzia podrzucasz! A kiedym prosić za sobą niegodny, prosić za tym ludem urzędowi memu prawo nadałeś.

Spuść więc przez ręce moje i przy téj świętéj ofierze owe wiano i kolendę na wszystkich tych, których do serca i urzędu mego przypoiłeś. Pojźrzyj na cały twój kościoł święty, z tylu ludów i narodów chrześciańskich spojony, aby w nich to imię najświętsze, które dziś dla nas przyjąłeś, było hasłem i orężem poniżenia twych nieprzyjaciół! Pojźrzyj na nasze pany i urzędy, aby wspólne dobro sprawując, pamiętali, że w tobie mają pana nad sobą! Pociesz zasmuconych, wzmocnij chwiejących się, oświéć zaślepionych, sprostuj obłąkanych! A gdy temi darami najprzód sypniesz; na czémże nam zbywać może? Oto poganom, bezwiercom, złośliwcom, bluźniercom imienia twego dostatków, zdrowia i obfitości nie skąpisz, a dziatkom twoim odmówisz? Zgoła pobłogosław, panie, wieńcowi roku tego i spraw, abyśmy się szczérze z tobą pojednać mogli, a wszystkie rody i pokolenia téj ziemi błogosławieństwem twojém rozjaśnieją.

47. Jan Śniadecki,

Sławny matematyk, astronom, filozof, i wzorowy pisarz dzieł uczonych w epoce odżycia literatury i nauk w Polszcze. Urodzony w byłém województwie gnieźnieńskiém roku 1756., skończywszy początkowe nauki w Poznaniu w sławném naówczas gimnazyum Lubrańskiém, przybył roku 1772. do akademii krakowskiéj dla ćwiczenia się w matematyce i filozofii. W téj drugiéj zaszczycony godnością mistrza, zaczął swój zawód naukowy od publicznego wykładu algebry w akademii, za wprowadzeniem zaś nowego systematu w instrukcyi publicznéj przez kommissyą edukacyjną, uczył szóstéj klassy w szkołach akademickich, zwanych Nowodworskiemi. Przy końcu roku 1778. przedsięwziął podróż naukową do Niemiec, Hollandyi i Francyi: uczył się najprzód w Gettyndze pod Kastnerem, potém w Utrechcie pod Hennertem, a nakoniec w Paryżu pod *Cousin*'em w kollegium francuzkiém. W tém ostatniém miejscu roku 1780. hrabia Aranda, minister hiszpański, za poruczeniem *d'Alembert*'a, ofiarował Śniadeckiemu za dziesięcioletni pobyt przy urządzonéj piérwéj przez siebie uważalni astronomicznéj w Madrycie najprzód koszt od rządu hiszpańskiego na dwuletnią naukową podróż, powtóre tytuł astronoma-obserwatora w Madrycie z roczną pensyą 1,000 czerw. zł., i nakoniec po upłynionym czasie służby 6.000 czerw. zł. honoraryum. Lecz on pałając szlachetną żądzą poświęcenia własnemu krajowi nabytych pod sławnymi mistrzami za granicą wiadomości, odrzucił to bardzo korzystne i świetne przełożenie, i wyjechał z Paryża, wezwany będąc od kommissyi edukacyjnéj dla objęcia katedry wyższéj matematyki i astronomii w akademii krakowskiéj. Jakoż przy końcu roku 1781. rozpoczął w niéj kurs matematyki, a w następnym lekcyą

astronomii; oprócz tego miał także poruczoną sobie od rządu organizacyą 70 szkół prowincyonalnych w ówczesném królestwie Polskiém.

Roku 1787. dla poratowania nadwątlonego ciągłemi pracami zdrowia wyjechał do Anglii, i rok cały tamże przepędził, zwiédzając zakłady astronomiczne w tym kraju. Za powrotem do Krakowa, poświęcił się cały uważaniom astronomicznym, których zbiór dziewięcioletni ogłoszono w Efemerydach wiédeńskich, wychodzących w języku łacińskim od roku 1798. do roku 1805., i w dzienniku barona *Zach* z napisem: Monatliche Korrespondenz 1802.

Kiedy w roku 1801. zawiązało się w Warszawie towarzystwo królewskie Przyjaciół Nauk, Sniadecki był jednym z najpiérwszych mężów, którzy uzyskali zaszczyt chlubnego wyboru na członków jego. W roku zaś następującym rząd uwolnił Sniadeckiego od wszystkich obowiązków w akademii krakowskiéj pochlebném świadectwem jego prawdziwych zasług, jakie położył w zawodzie nauczycielskim. Właśnie podtenczas mąż ten, słynąc równie za granicą, jak i w kraju, z nauki, prawości charakteru, i rzadkiéj wyższości umysłu, dwoje razem wezwań otrzymał, z których jedno na astronoma do Bononii natychmiast odrzucił, względem zaś drugiego, przez które ofiarowano mu posadę obserwatora w Wilnie, determinacyą swoję odłożył do powrotu swego z dwuletniéj podróży do Niemiec, Hollandyi, Francyi i Włoch, którą odbywszy w roku dopiéro 1806., przyjął dostojność astronoma-obserwatora w Wilnie. Pragnąc atoli zrazu oddać się samym tylko zatrudnieniom naukowym, nie chciał przyjąć dawanego sobie urzędu rektora akademii; za usilném jednakże naleganiem jéj kuratora, przyjął na siebie ten ważny i trudny obowiązek. Jak zaś dopełniał go przez lat ośm w najprzykrzejszych okolicznościach, z jaką stałością umysłu zwalczył wszystkie przeciwności, grożące nawet upadkiem całemu zakładowi, i do jakiego stopnia chwały doprowadził instytut, któremu przewodniczył, świadkiem był cały kraj, i ci, którzy do akademii wspomnionéj należeli.

Pracowity urząd rektora tak obszernego wydziału edukacyjnego, jakim był wtenczas wileński, nie oderwał bynajmniéj Sniadeckiego od ciągłych zatrudnień w uważalni astronomicznéj. Długi szereg jego postrzeżeń, uczynionych od roku 1807. do roku 1824., ogłoszony jest częścią w Nowych Pamiętnikach akademii nauk petersburskiéj, a corocznie wydawany był w niemieckich Efemerydach berlińskich. Alexander I., cesarz rossyjski, nadgradzając niezliczone zasługi jego w urzędowaniu publiczném, mianował go radcą stanu, oraz kawalerem orderów Ś. Włodzimiérza i Ś. Anny, akademia zaś nauk petersburska policzyła go między swoich korrespondentów, a towarzystwo naukowe krakowskie przyjęło go między swych członków.

Polubieniec *d' Alembert*'a, ścisłym związkiem czci i uwielbienia połączony był zawsze z opiekunem nauk, niewygasłéj pamięci księciem generałem Czartoryskim, stateczną przyjaźnią z Czackim, i wielą znakomitymi ludźmi. Przez kilka lat urzędował jeszcze Sniadecki w kommissyi rządowéj edukacyjnéj litewskiéj, a w roku 1825. otrzymał nakoniec żądane uwolnienie od wszelkich obowiązków,

i resztę życia przepędził w wiejskiém ustroniu na łonie swojéj familii. Nieograniczona jego dobroć i uprzejmość towarzyska zniewalała wszystkich, co go otaczali i znali w tém zaciszu; a skon jego niespodziany dnia 21. listopada roku 1830. w 74. wieku życia, napełnił srogą boleścią i najdotkliwszym żalem przyjaźne jemu serca. Bibliotekę swoją, wiele szacownych dzieł w matematyce i astronomii zawiérającą, i niektóre rękopisma przeznaczył akademii wileńskiéj, a na fundusz ubogich studentów, dla towarzystwa dobroczynności, i dla siérot płci żeńskiéj w Wilnie pewne summy zapisał.

Prace naukowe Sniadeckiego, które słusznieby nazwać można pomnikami jego sławy na zawsze ugruntowanéj, oprócz mnogich postrzeżeń gwiazdarskich, umieszczonych (jak się wyżéj mówiło) w Efemerydach zagranicznych, następujące mamy z druku wydane: 1.) *Rachunku algebraicznego teorya, przystosowana do linij krzywych*, 2 tomy *w Krakowie w drukarni szkoły głównéj koron. 1783.* — 2.) *Rozprawa o Koperniku, w Warszawie u Pijarów 1802.* — 3.) *Geografia czyli opisanie matematyczne i fizyczne ziemi, w Warszawie u Pijarów 1803.* — 4.) *Trygonometrya kulista, analitycznie wyłożona, w Wilnie u Zawadzkiego 1817.*

Świetne pociągającą wymową, i pełne zajmującéj treści zagajenia publicznych posiedzeń uniwersytetu wileńskiego, ważne i głęboko pomyślane rozprawy o matematyce, języku literaturze i polskiéj, żywoty uczonych mężów, i wszystkie Sniadeckiego pisma krytyczne, różnemi czasy w dziennikach umieszczone, zebrane razem wyszły nakoniec w jedném dziele pod tytułem: *Pisma rozmaite*, którego 2 piérwsze tomy w Wilnie u Zawadzkiego roku 1814. opuściły prasę, a poźniéj też same tomy powtórnie z przydaniem trzeciego wydane zostały w Wilnie u tegoż roku 1818.; tom zaś czwarty, same pisma filozoficzne w sobie mieszczący, wyszedł naostatek roku 1822.

Sniadecki, kilkadziesiąt lat nauki i doświadczenia mający za sobą, chciał nakoniec, jak sam powiada (Pisma rozm. Tom IV. str. 175.), po długiéj i pracowitéj podróży w nabywaniu nauk, zastanowić się, wejrzéć w samego siebie, i rozważyć umysł ludzki jako tworcę wszystkich umiejętności i nauk, a owoc téj rozwagi jest jego ostatnie dzieło, obéjmujące większą połowę czwartego tomu pism rozmaitych, równie umysłowi, tak dzielnie wszystko ogarniającemu, jako i sercu jego największy zaszczyt przynoszące, tojest: Filozofia umysłu ludzkiego.

Ks. Ign. Chodyniecki.

Jana Sniadeckiego pisma rozmaite (Tom I — IV), w Wilnie r. 1814—1822.

1. Filozofia umysłu ludzkiego, czyli rozważny wywód sił i działań umysłowych.

a) Baczność, uwaga *(attentio)*.

Rzeczy zewnętrzne, działając bezprzestannie na nasze zmysły, wzbudzają czucia i pojęcia w naszym umysle, ustawicznie się tam

cisnące i przemijające. W tym tłumie rzeczy i pojęć umysł może puszczać mimo siebie, i odsuwać jedne, a zatrudniać się szczególnie drugiemi: to natężenie i zastanowienie umysłu nad rzeczą i pojęciem sobie przytomném nazywa się baczności ą, albo uwagą (*attentio*). Baczność obrócona do rzeczy zewnętrznych, nazywa się postrzeganiem, obserwacyą, obrócona zaś na działania umysłu, i na to, co się w nim dzieje, zowie się reflexyą. Baczność jestto najważniejszą władzą duszy i do poznania rzeczy, i do zatrzymania ich w pamięci. Przez baczność przeglądamy pojedynczo, i roztrząsamy nasze pojęcia, zbiéramy szczegółowe ich postrzeżenia, szykujemy je porządnie, i nadajemy umysłowi pewny kierunek, ład i stałość w swojém działaniu.

Uwaga daje się skupić i dzielić. Jak skupiona, tak rozdzielona, w różnych ludziach jest różna: przywiązana do jednéj pewnéj rzeczy, wydaje téjże rzeczy pojęcie w jednych ludziach bystrzejsze i głębsze, niż w drugich; daje im postrzegać stosunki, których nie postrzegają drudzy. Newton, patrząc na kolory światła, przez szkło złamanego, dostrzegł tego przyczyny, któréj nie dostrzegli inni, od wieków na ten fenomen patrzący. W jednych ludziach skupiona i wytężona uwaga czyni ich całe niebacznymi na to wszystko, co się około nich dzieje; w drugich, nie daje się tak skupić, żeby się choć słabo innym nie udzielała wrażeniom. Są ludzie, którzy w różnych materyach z różnymi ledwo nie razem rozprawiać mogą, od jednéj rozprawy przerwanéj przechodzić zaraz do drugiéj, wracać znowu do tamtéj, nie tracąc baczności na to, co mówili, i co im jeszcze do mówienia zostaje: są znowu tacy, którzy w ciągu jednéj tylko rozprawy za najmniejszą przeszkodą, za wtrąceniem czasem obcego słowa, tracą pamięć i uwagę tego, o czém mówili.

Udzielająca się ledwo nie w jednym czasie wielu rzeczom uwaga może być skutkiem albo tęższéj siły umysłowéj, albo przywyknienia i nałogu, albo obojga razem. Juliusz Cezar mógł razem wydawać rozkazy wojskowe, i kilka listów dyktować: wśród szczęku wojny domowéj i zagranicznéj pisał rozprawy i książki. W rzeczach tak trudnych i zawiłych, wyciągających natężenia umysłu i przewidywania wypadków przenosić z taką szybkością uwagę od jednych do drugich, i utrzymać ją bez zamieszania, jestto zaiste znakiem tęgiéj i rzadkiéj dzielności umysłowéj. Kupiec, wielki odbyt na towary mający, w ciżbie kupu-

jących, jednym towary pokazuje i rozkłada, z drugimi się o cenę umawia, mierzy, waży, rachuje bez żadnéj omyłki, i bez stracenia na wszystko, jak mówimy, przytomności. Tancerze na linach z rozmaitém wykręcaniem ciała, muszą na wszystkie jego poruszenia mieć uwagę, żeby w żadném nie chybić miary, i nie stracić równowagi. Są, którzy równoważąc się sami na linie, utrzymują jeszcze na ręku równoważącą się machinkę, któréj wszystkich poruszeń pilnuje oko, żeby machince, tracącéj wagę z jednéj strony, nadać z pewną miarą ruch w stronę przeciwną. Takich uwaga dzieli się razem na poruszenie własnego ciała, na poruszenie machiny, i na wytężenie wzroku. Wszystko to jest skutkiem rozdzielonéj na wiele rzeczy, a w niczém nie straconéj uwagi: uwaga zaś ta jest nałogiem przez długie ćwiczenie nabytym. Ale ponieważ nie wszyscy przy największéj usilności tego nałogu nabyć mogą; więc zdaje się jeszcze do tego wchodzić pewna umysłowa sposobność.

Jeżeli to jest prawda, że w jednym czasie nie możemy uważać tylko jednę rzecz, albo jeden dwóch rzeczy stosunek; jeżeli poznanie dokładne całości wypada z uwagi wszystkich jéj części; dopiéro wyliczone fenomena pokazują nieporównaną szybkość, z jaką umysł może uwagę swoję przenosić od jednéj rzeczy do drugiéj w przeciągu czasu niepodobnym do ocenienia. Momenta więc najmniejsze czasu, jak n. p. mgnienie oka, są dla umysłu trwałością, jeszcze dzielić się mogącą, choć grubym naszym zmysłom do dostrzeżenia nie podobną. Nałóg dla umysłu, jak mówi Dugald Stewart, ledwo nie jest tém, czém mikroskop dla oka. Niknące dla gołego wzroku robaczki pokazują się przez mikroskop ogromne i rozległe, i wystawiają nam jak nowy świat drobniutkich stworzeń z oddzielnemi swemi członkami: podobnie dla włożonego do uwagi umysłu chwile i momenta są jeszcze szeroką przestrzenią czasu. Ale tu zachodzi jeszcze walny przymiot nałogu. Wrażenia i pojęcia, im się częściéj powtarzają, tém stają się łatwiejsze i prędsze, ale też tém mniéj się uważają, tak dalece, że uwaga na nie zmniejsza się coraz bardziéj, i wreszcie niknie, choć te wrażenia nie ustają. Ztądto w zwiérzętach dziwimy się niektórym ich czynnościom, które nam się zdają wiele potrzebować nauki i zdatności, a które przez nie wykonywają się z nałogu. Ztądto jeszcze pochodzi, że myśli i sposoby najprostsze nie zaraz się spostrzegają; bo nie uważamy albo całe, albo dostatecznie tego, do czegośmy przy-

wykli. Nałóg więc zmniejsza, i prawie niszczy uwagę w często powtarzanych działaniach; ale też tę uwagę wprawia i przywięzuje do często odnawiających się robót. Co innego jest przywyknąć do uwagi wszystkiego, a co innego uwięzić uwagę w tych samych powtarzających się działaniach, po których się ślizga i przelatuje. Nałóg więc nadać może uwadze ludzkiéj albo wielką wytrzymałość, albo wielką lotność, podług tego, do czego ją chcemy przyzwyczaić.

Nałóg jeszcze ma to do siebie, iż roboty, do których przywykliśmy, wykonywamy z wielką łatwością, i że nawet lubimy je wykonywać: siłom i członkom ciała we wszystkich rzemiosłach i rękodziełach nadaje machinalną, czyli automatyczną zgrabność i szybkość, w siłach umysłowych wydobywa naturalną bystrość, wprawia je do gotowości i łatwości w działaniu. Nałóg w rzeczach szkodliwych, pociągając nasze skłonności, staje się nieszczęściem człowieka, w rzeczach potrzebnych i zbawiennych jest nabyciem i przymiotem dobroczynnym.

Uważamy tylko to, co chcemy,— a odwracamy baczność od tego, czego nie chcemy uważać; więc baczność jest czynnością wolną umysłu, i tém się różni od czucia i sumienia. Z jaką więc szybkością przelatuje uwaga od jednych rzeczy do drugich; z taką przechodzą towarzyszące jéj czynności woli.

Ponieważ uwaga jest najważniejszą siłą i istotnym warunkiem poznawań ludzkich; ponieważ sprawy życia kierowane być powinny gruntowną znajomością rzeczy, i dobrze zrozumianym pożytkiem; tak w myśleniu, jak postępowaniu jest nam uwaga koniecznie potrzebna; a zatém należy do niéj wprawiać i przyzwyczajać zawczasu umysł. Nauka, w któréj nic zrobić bez pilnéj i porządnéj uwagi nie można, jest do téj wprawy dla młodego wieku najprzydatniejszą: i taką jest geometrya Euklidesa. Wyłożone do dowodzenia podanie zastanawia umysł nad tém, o co idzie, i jaki jest cel naszéj uwagi; w dowodzeniu zajęta być musi baczność na mechaniczne wykréślenie figury, na znane nam już prawdy, na porządne ich uszykowanie, na wnioski wiążące jednę prawdę z drugą, i prowadzące do celu, któryśmy sobie zamierzyli. Jest więc ta nauka ciągłém zatrudnieniem i uporządkowaniem baczności, nadaje umysłowi stałość i wytrzymałość w uważaniu szczegółowém każdéj prawdy, a razem lotność i porządek w przebieganiu od jednéj prawdy do drugiéj, — wszystko zaś z przekonaniem i oczywi-

stą pewnością. W całém zaś myśleniu i postępowaniu o to najwięcéj idzie, aby miéć baczność na cel, środki, i na porządek w ich użyciu. Że zaś w sprawach życia, a nawet w rozmaitych rodzajach poznawania nie można zawsze miéć téj pewności i przekonania, jakie panują w geometryi; zachodzą tu jeszcze dla umysłu inne potrzeby i warunki. Zawsze jednak zgodzić się na to musimy, że wprawę i ćwiczenie uwagi trzeba zaczynać na drodze pewnéj, żeby jéj nadać grunt i wagę, a zatém przezorność i ostrożność w rzeczach wątpliwych. —

Wykładanie nauk powinno ułatwiać ich pojęcie dla wszystkich: aże nie wszyscy mają równą baczność, cokolwiek więc tę baczność osłabia i miesza dla wielkiéj liczby, a nie jest istotnie nauce potrzebne, chronić się tego należy. Zbytnie podziały osobliwie słów i myśli oderwanych, i znowu tych podziałów podziały są prawdziwém mordowaniem i zagmatwaniem uwagi; dlatego sprawiedliwie się mówi, że zbyt drobiazgowy porządek jest sprawcą nieładu i zamieszania. Ale znowu z drugiéj strony zbytnie skupianie rzeczy, wymyślanie jedności tam, gdzie jéj niémasz, jest drugą wadą, albo zatrzymającą w swéj dzielności uwagę, albo mogącą ją obłąkać w domysłach. Kondyllak wszystkie władze duszy nazywa czuciem dlatego, że czucie jest piérwszym początkiem wszystkich myśli i działań umysłowych, tak właśnie, jak gdybyśmy wszystkie rzeczy pod oko podpadające nazywać chcieli światłem dlatego, że światło jest początkiem widzenia.

Brak czyli niedostatek uwagi nazywamy roztargnieniem, nieprzytomnością (*distractio*). Człowiek bez uwagi czuje, ale nie rozeznaje, i nie szykuje swoich czuci i pojęć, i jest zawsze w zamieszaniu. Widzi przed sobą gadającego mężczyznę, a odpowiada kobiécie; słucha mówiących, a przymawia się całe nie do rzeczy; szuka czapki, którą ma na głowie, albo chustki, którą trzyma w ręku; czeka do stołu żony, z któréj pogrzebu dopiéro powrócił; dóm cudzy bierze za swój, a gospodarza za gościa, któregoby się rad pozbyć; zgoła jestto człowiek jak wpół uspiony, bez ciągłéj przytomności i pamięci. Nazywam to kaléctwem umysłowém, dotykającém ludzi w mniejszym lub większym stopniu, i pokazującém nam, czémby był człowiek bez uwagi. Dziwna rzecz, że o tak ważnéj władzy duszy Lokk ledwo wspomniał. Nieuwaga atoli nie zawsze jest kaléctwem, ale może być wadą nałogową. Człowiek lubiący się pewnym tylko rodzajem myśli zajmować, topi wnich i pogrąża swoję uwagę, a przez to traci baczność na to,

co się około niego dzieje. Wśród rozmowy, zabawy i towarzystwa wciska się w jego uwagę myśl ulubiona, i robi mu roztargnienie: może to być skutkiem albo narowu, albo głębokiego myślenia.

Jak uwaga we własnych nałogowych robotach jest lotna, tak cudzych nie może z tą samą ścigać szparkością; i dlatego można ludzi zdrowych, przytomnych sobie, i na wszystko z bacznością patrzących wprawić w nieuwagę przez mnóstwo rozlicznych, szybkich i ciekawych obrotów, rozrywających baczność, i sprawujących roztargnienie. I na tém zależy zręczność, owych w kubki grających kuglarzy i sztukmistrzów, którą nazywają Francuzi *tours de main*, a my zamydleniem oczu.

Reflexya jestto jak uwaga odbita od rzeczy zewnętrznych do pojęć, i do tego, co się w nas dzieje; i jak przedmiotem uwagi są rzeczy zewnętrzne, tak przedmiotem reflexyi są pojęcia i działania umysłowe: jestto więc rozważanie myśli i działań, rozbiéranie ich na myśli proste, z których się składają, ważenie każdéj zosobna, śledzenie dróg, sposobów i praw myślenia. Różni się od sumienia; bo to ostrzega nas tylko o bycie pojęć, reflexya zaś roztrząsa rzeczy, których byt okazuje sumienie. Sumienie być może bez reflexyi, bo nie zawsze chcemy rozważać i troskliwie rozbiérać stawiające się w umyśle pojęcia: jestto praca umysłowa, któréj często unikamy, ale reflexya bez sumienia być nie może, i częstokroć z nim się łączy, rodząc zastanowienie się i namyślanie. Reflexya dochodzi podobieństwa i różnicy, zgody, lub sprzeczności w naszych pojęciach, a zatém co im jest spólne, a co każdemu właściwe; przezco gotuje materyały dla abstrakcyi, i jest nieodstępną towarzyszką rozumu.

b) Pamięć *(memoria)*, przypomnienie *(reminiscentia)*, rozpamiętywanie *(recordatio)*.

Na nicby nam się nie przydało pojmować, uważać i odrywać, gdybyśmy nie mieli w sobie siły zatrzymania i dochowania tego, cośmy pojęli, uważali i oderwali. Natenczas same tylko rzeczy przytomne zatrudniałyby nasz umysł, od których odwróciwszy się, wszystkoby znikło i zginęło; a na nowe znowu rzeczy obecne trzebaby to samo rozpoczynać, i powtarzać bez żadnego nadal pożytku. Władza więc najpotrzebniejsza dla umysłu jest ta, która zatrzymuje, chowa

i przywodzi w potrzebie już nabyte pojęcia i wyrobki umysłu, i tę władzę nazywamy pamięcią *(memoria)*. Przez nię wystawiamy sobie te uczucia i pojmowania rzeczy nieprzytomnych, którycheśmy kiedyś doświadczyli: rzeczy nieobecne stawiają nam się jak obecne, i to, co było i przeszło, staje się jak teraźniejszém przez usługę pamięci. Jestto jak skarb zarobków umysłowych, otwarty na nasze zawołanie. Że zaś władze umysłowe człowieka jedne mu są spólne ze zwierzętami, jak n. p. czucie i prosta uwaga, drugie właściwe jemu samemu, i rozróżniające go od zwierząt, jak n. p. odrywanie; dlatego pamięć, sciągająca się tylko do uczucia i prostéj uwagi, jest władzą zwierzęcą niższego rzędu, pamięć zaś pojęć oderwanych słów i ich znaczenia, myśli i prawideł ogólnych, jest pamięcią wyższego rzędu, samemu tylko człowiekowi właściwą. Aże powiedzieliśmy wyżéj, że czucie jest władzą konieczną, a uwaga jest władzą wolną: pamięć, zachowując i przywołując wyrobki tak czucia, jak uwagi, jest czasem konieczną, a czasem wolną. Dlatego doświadczamy w sobie, że przeszłe pojęcia, jedne stawiają nam się, i cisną mimo naszę wolą, drugie nie przychodzą tylko na nasze zawołanie, i kiedy je sobie chcemy przypomnieć.

Do przywiedzionego przez pamięć obrazu lub pojęcia mieszają się zaraz inne władze umysłu, a szczególniéj pojmowanie, uwaga i immaginacya. Pamięć, złączona z pojmowaniem i krótką uwagą, robi przypominanie *(reminiscentia)*: złączona zaś z uwagą dłuższą i wytrzymalszą, stanowi rozpamiętywanie *(recordatio, recognitio)*. Malarz przez przypominanie robi portret nieprzytomnego przyjaciela, a przez rozpamiętywanie dochodzi jego podobieństwa. Domyślanie się odległości ciał zapomocą wzroku jestto także pamięć długiego doświadczenia i nauki, któréj oko nabywa od zmysłu dotykania.

Im zmysły czulsze i żywsze, im wrażenia, na te zmysły wywiérane, były mocniejsze i liczniejsze, tém lepsza i dłuższa rzeczy pamięć: dlatego sprawy, nauki i dzieje naszéj młodości długo pamiętamy; lepiéj pamiętamy to, cośmy widzieli, jak to, cośmy słyszeli, albo czytali. Starzy ludzie pamiętają i opowiadają przygody dawne, i powieści w młodości nabyte, a zapominają świeżych; gdyż powtarzając się kilkakrotnie, zapominają, że to samo dopiéro mówili. Ponieważ stan i organizacya ciała ledwo nie najwięcéj wpływa na dzielność i upadek pamięci, chciano ją przez fizyczne poruszenie nerwów wytłumaczyć. *Mallebranche* dosyć się długo nad tém rozwodzi, ale to wszyst-

ko tłumaczy nam tylko warunki, pobudzające umysł do wywiérania swych sił, ale nam pamięci nie tłumaczy. Wiémy tylko, że umysł, wywarłszy jaką siłę, może działanie i wyrobki téj siły zatrzymać, dochować i przywodzić, jedne wtenczas, kiedy chce, drugie poniewolnie. Pamiętamy to, cośmy pojmowali i uważali, i im pojmowanie było wyraźniejsze, im uwaga pilniejsza, tém lepsza tego pamięć. Uwagę bardziéj obudza i trzyma ciekawość, rozkosz lub boleść, zgoła to, co mocniéj zajmuje naszę czułość i skłoności; pamięć więc takich rzeczy, które nas obchodziły i wzbudzały naszę ciekawość, jest trwalsza i mocniejsza. Starzy ludzie nie pamiętają rzeczy świeżych; bo w ich wieku mało ich co obchodzi dla przytępionéj czułości. Zatrzymanie w pamięci zdarzeń, i przygód, na któreśmy patrzali, albo przez któreśmy sami przeszli, albo któreśmy czytali w dziejach ludzkich, składa dla nas bardzo ważną naukę doświadczenia, niezmiernie przydatną i potrzebną w biegu życia, która nam nadaje w postępowaniu przezorność i ostrożność.

Pamięć przywodzi nam rzeczy przeszłe; przez pojmowanie i uwagę dochodzimy rzeczy teraźniejszych: między tém, co było, i tém, co jest, znajduje się przeciąg dłuższy lub krótszy, który się nazywa trwałością (*duratio*). Wymierzanie tego przeciągu, czyli porównanie jednéj trwałości z drugą, daje nam pojęcie czasu. To pojęcie jest oderwane; alebyśmy do niego nigdy nie przyszli bez pamięci. Jestto wyrobek abstrakcyi z pamięcią razem, wyrobek niezmiernie ważny i dla nauk, i dla spraw tak domowych, jak towarzyskich. Do mierzenia czasu trzeba było znaléźć trwałość jednostajną, nigdy nieustającą, i dla wszystkich ludzi powszechną: i taką jest obrot ziemi około swojéj osi, stanowiący dzień, który podzieliliśmy na godziny, minuty, sekundy, wymierzając temi podziałami trwałość i czas wszystkich spraw ludzkich, towarzyskich, i dziejów całego przyrodzenia.

Trzy rzeczy zachodzą w pamięci, stanowiące jéj własności i znamiona: łatwość w przyjęciu, tęgość w utrzymaniu, i gotowość w przywołaniu rzeczy i pojęć. Z tych własności wynikają wielkie między ludźmi różnice co do pamięci. Są ludzie, którym wszystkie rzeczy łatwo się wrażają w pamięć, i łatwo dają się przypomnieć, ale téż prędko się zaciérają i giną: tacy mają piérwszą i trzecią własność, ale nie mają drugiéj. Jestto pamięć przemijająca, dosyć po-

spolita, która często daje się postrzegać w dzieciach, a które w nich pochodzi od niedostatecznéj i niewytrzymałéj uwagi w pojmowaniu. Są znowu ludzie, którym z ciężkością przychodzi wpoić sobie co w pamięć, ale za to długo pamiętają, i łatwo sobie przypominają to, czego nabyli. Taka pamięć jest trwała; pracowita wprawdzie, ale bardzo usłużna i pożyteczna. Są nareszcie, którzy łatwo i długo pamiętają, ale nie szybko sobie przypominają to, co wiedzą.

W trzech wyliczonych własnościach zachodzą jeszcze rozmaite stopnie większéj, lub mniejszéj sposobności, a ztąd różnice ludzi co do pamięci, tak dalece, że ta siła umysłowa prawie najbardziéj rozróżnia ludzi między sobą. Najszczęśliwsza pamięć jest ta, która wszystkie te własności w znakomitym stopniu posiada, i wydaje zadziwiające fenomena w ludziach nią celujących. Za świadectwem Pliniusza Cyrus w swojém wojsku wszystkich żołnierzy, a L. Scypio wszystkich Rzymian znał i nazywał po imieniu. Karneades mógł całą książkę raz czytaną z tą płynnością, jak czytający, wypowiedzieć na pamięć. Sławny geometra angielski, Walis mógł wszystkie działania arytmeczne w bardzo zawiłych liczbach na pamięć wykonywać bez pióra i ołówka. Raz w nocy bez światła zadał sobie liczbę z pięciudziesiąt trzech cyfer, czyli liczb pojedynczych złożoną, i wyciągnął z niéj na pamięć piérwiastek kwadratowy we dwudziestu siedmiu cyfrach, i to przybyłemu do siebie zrana przyjacielowi do napisania podał. We dwadzieścia dni, gdy mu o tém znienacka tenże przyjaciel wspomniał, Walis tę samę liczbę i jéj piérwiastek z pamięci mu powiedział; co dowodzi zadziwiającą dzielność pamięci i uwagi.

Pamięć może nawet być bez pojmowania; bo są ludzie, którzy wielką liczbę słów bez związku, z różnych języków sobie nieznanych zebraną i powiedzianą, mogą długo zatrzymać i wypowiedzieć w tym porządku, jak je słyszeli, idąc albo od piérwszego do ostatniego, albo od ostatniego do piérwszego. Znaczenia tych słów nie wiedzą, a zatém jestto pamięć samego głosu i dźwięku.

Że przy nadzwyczajnéj sile pamięci inne siły wyższe umysłu słabieją, jestto mniemanie ledwo nie powszechne, z wielu przykładów szczególnych zebrane. Ludzie ogromem erudycyi celujący mało pokazują talentu, a nawet rozsądku: ale to jest wadą błędnéj i nieporządnéj edukacyi i nauki, tojest, że tacy ćwiczyli i doskonalili swoję pamięć, z zaniedbaniem innych władz umysłowych; byli bowiem wielcy

ludzie i z pamięci, i z rozumu, jak: Seneka i Leonard Euler. Zdaje się jednak, że zbytni ładunek pamięci przeszkadza siłom wynalazkowym człowieka do widoków oryginalnych i nowych, bo w wielkiéj ciżbie cudzych myśli ciężko jest roztargnionemu umysłowi zająć się knowaniem swoich własnych. Przykładem tego jest sławny pisarz francuzki, *Montaigne,* niezmiernie słabéj, jak sam o sobie pisze, pamięci, ubogi w erudycyą, ale bogaty w głębokie oryginalne myśli i uwagi. To, co nas zadziwia w Szekspirze, i nawet to, co nas dziś nudzi w nim i odraża, jest oryginalnością i dziełem nadzwyczajnego talentu, malującego ludzi z szczupłym zapasem erudycyi i nauki. Ale w zamiarze poznania i doskonalenia człowieka te rzadkie i nadzwyczajne fenomena nie stanowią przepisu. Chcieć być oryginalnym na złość przyrodzeniu, jestto droga do dziwactwa i szaleństwa. Każdy w swojéj zagrodzie jest oryginalny, kiedy nie jest małpą cudzych własności, ale zawsze sam sobą, tojest, kiedy swoich sił, przez zdrową i porządną naukę wyćwiczonych dobrze i właściwie używa. Wiadomości rzeczy i myśli są nam w życiu domowém i towarzyskiém nieodbicie potrzebne; a składem tych wiadomości jest pamięć, którą należy, tak jak inne siły umysłowe, ćwiczyć, doskonalić i wspiérać.

Ćwiczy się pamięć nabywaniem rozmaitych wiadomości. Jest ona najmocniejsza w wieku młodym, który w świecie umysłowym jest wiekiem zarobku i zapasów. Tę więc władzę szczególniéj w dzieciach ćwiczyć należy przy czuciu i uwadze, nie budząc nadto skoro wyższych władz umysłowych w dzieciach osobliwie bystrych i żywych; bo te władze, natężając i mordując umysł, osłabiają wzrost sił cielesnych, tak istotnie do spraw życia i do myślenia potrzebnych. Bujanie umysłu, wziąwszy zawcześnie górę nad siłami organizacyi, przesila się, a w tém przesileniu słabnie i upada. Jestto drzewko, mocą sztucznego ciepła przymuszone do wydawania owocu nie w swojéj porze, po którym niszczeje i umiéra: dlategoto z dzieci nadto rozumnych robią się częstokroć ludzie niedołężni i tępi.

Doskonali się pamięć częstém przypominaniem, rozpamiętywaniem, opowiadaniem i zapisywaniem nabytych wiadomości: bo wtenczas do pamięci przywiązujemy uwagę, rozjaśniamy pojmowanie, i wprawiamy je do coraz wyraźniejszego i rozmaitego widoku rzeczy; wreszcie zaszczepiamy ciekawość do tego, czego jeszcze nie umiémy, a co ma jakie powinowactwo z rzeczami już

od nas pojętemi. Niedostatek ciekawości prowadzi zwyczajnie do nieuwagi.

Wspomaga się i utwierdza pamięć szykiem, porządkiem i związkiem. I tak, ogrom jestestw przyrodzonych w historyi naturalnéj, do spamiętania niepodobny, szykuje się w szereg gatunków, rodzajów, klass i t. d., zachowując w tym szyku pewne następstwo i porządek, a idąc od liczby wielkiéj do co raz mniejszéj, i do spamiętania łatwiejszéj. W dziejach ludzi i przyrodzenia ułatwiamy sobie pamięć czasu przez lata, wieki, cykle, czyli periody lat i wieków, przez epoki,— pamięć miejsca, dzieląc ziemię na kraje, a te na prowincye, powiaty, parafie, gminy. Zgoła we wszystkich naukach i wiadomościach systematyczny szyk i porządek jest wielką pomocą i wsparciem pamięci. W głębszych zaś pojęciach i myślach tę samę pomoc upatrzono w związku, kiedy myśl lub pojęcie świéżo nabyte, przywięzuje się i przyczepia do innéj myśli, albo do jakiéj prawdy dobrze nam znanéj, i często przytomnéj. W czém wszystkiém widzimy przysługę, jaką czyni pamięci abstrakcya i rozum, i jak siły umysłowe wspiérają się nawzajem. Wszystko to zaś funduje się na téj prawdzie, że łatwiéj jest pamiętać ogół, niż drobiazgi, łatwiéj rzeczy spojone w ciągły łańcuch, niż rozproszone i osobne. Tu pokazuje się różnica między pamięcią mechaniczną i systematyczną, między pamięcią mędrca, w ogólnym i porządnym widoku rzeczy ogarniającego, a pamięcią prostaka bez ładu i związku.

2) Rozprawa o Koperniku.

(Rozwiązanie zadania, które towarzystwo warszawskie Przyjaciół Nauk do odpowiedzi w roku 1801. ogłosiło: Oddając hołd winnéj pochwały Mikołajowi Kopernikowi, pokazać, jak wielemu winne były nauki matematyczne, mianowicie astronomia w wieku, w którym żył, z których poprzedników, jak wiele, i jakim sposobem korzystał, i jak wiele mu są winne w czasie teraźniejszym?)

Opinionum commenta delet dies, naturae judicia confirmat.
Cicero de Natura Deorum.

a) Stan astronomii przed Kopernikiem.

W drugim wieku ery chrześciańskiéj sławny szkoły alexandryjskiéj astronom, Klaudyusz Ptolomeusz zrobił rozległy i szacowny zbiór myśli i postrzeżeń astronomicznych, rozrzuconych po wielu pismach, a zostawionych od Chaldejczyków i poprzedników swoich w téj saméj szkole. Lubo na dwieście kilkadziesiąt lat przedtém Hypparch, Bityńczyk przez nieśmiertelne swe prace, przez głębokie i piérworodne myśli o uwadze nieba skazał nie tylko szkole alexandryjskiéj, ale całéj po nim potomności prawdziwą drogę obserwacyj niebieskich, odkrył sztukę znaczenia położeń gwiazd, którą stosując do ziemi, piérwszy stworzył gruntowne geografii początki; te atoli wszystkie pojedyncze, i, że tak powiém, odosobnione obrazy i wiadomości składały tylko prostą i niezwiązaną historyą skutków i biegów niebieskich. Ptolomeusz złożywszy te piérwiastki w jedno ciało, zbogaciwszy je własnemi pracami, nadawszy pewny szyk i związek tym wszystkim wiadomościom i myślom, rzucił w dziele swojém piérwszy rys porządnie ułożonéj nauki.

Srogość Omara przez spalenie biblioteki alexandryjskiéj, podług powszechniejszego mniemania, zagubiła ledwo nie wszystkie pamiątki prac starożytnych, i byłaby jeszcze na kilka wieków spoźniła postępek astronomii w Europie, gdyby to piérwotne dzieło nie było ocalało w tym pamiętnym czynie dzikości.

Nie zważając na trafniejsze myśli dawnych Egipcyanów o porządku świata, którzy mieli Merkuryusza i Wenusa za nieodstępne od słońca, i około niego krążące gwiazdy, Ptolomeusz sam się odważył przez własny swój układ rozmaite biegi ciał niebieskich tłumaczyć, a wystawiwszy sobie, że niebo jest prawdziwą kulą, na któréj sklepieniu osadzone są gwiazdy, że doskonałość dzieł natury zależy na biegu jednostajnym, i na figurze koła tym biegiem opisanego, osądził, że ziemia jest środkiem tych wszystkich biegów, około któréj niebo gwiaździste kręci się w przeciągu 24 godzin od wschodu na zachód; że oprócz tego słońce i wszystkie planety krążą około ziemi w biegach swoich peryo-

dycznych, naznaczając w takowym biegu miejsca planetom, położył zaraz po księżycu Merkuryusza, a po nim dopiéro Wenusa i słońce. Wielki ten z niektórych względów człowiek ustanowił w swojém dziele za piérwszy fundament astronomii, że ziemia biegu żadnego miéć nie może; a chcąc pogodzić z temi myślami obserwacye tak swoje, jak swych poprzedników, które mu pokazywały biegi niejednostajne, i znowu raz kierunkowe, drugi raz wsteczne wszystkich planet, każdemu kołu, od słońca lub planety około ziemi opisanemu, stosownie do myśli i nauki Apolloniusza, przydawał podług potrzeby i upodobania większą lub mniejszą liczbę kół i kółek, tak, że środki jednych ślizgały się i ruszały po obwodzie drugich, i służyły do tłumaczenia przyspieszonych lub spóźnionych, kierunkowych lub wstecznych biegów w ciałach niebieskich.

Nigdy złudzenie nie zaślepiło silniéj uwagi i rozsądku człowieka. Obłąkany po rozległéj krainie pozorów i omamienia Ptolomeusz, zbudował świat na wywróceniu początków prawdziwéj fizyki, a zwikławszy wszystko w swojém nietrafném tłumaczeniu, zrobił dzieło obrazy, i ledwo nie bluźnierstwa przeciwko prostocie i przedziwnemu szykowi dzieł przyrodzenia. Gdy potém w tysiąc sto lat tłumaczono takowy układ świata Alfonsowi X., królowi Kastylii, obruszony tak grubym mechanizmem, powiedział, „iż, gdyby był przy stworzeniu świata wezwany do rady, byłoby wszystko i prościéj, i porządniéj urządzone.“ Zdanie to wzięto za bezbożne, kiedy ten dobroczynny dla astronomii, a razem nieszczęśliwy monarcha nic więcéj w tém nie powiedział, tylko że świat Ptolomeusza nie może być światem przedwiecznéj mądrości. Wszelako to tylko jedno zdanie przytoczyć można na obronę rozsądku ludzkiego, przez cztérnaście blizko wieków w astronomii uspionego.

Książka Ptolomeusza, przełożona z greckiego od Arabów, rozeszła się od brzegów Nilu do brzegów Oxu i Gangesu, przyniesiona przez Arabów do Hiszpanii, rozszérzyła ten układ świata po reszcie trudniących się naukami krajów europejskich. Przez cały ten przeciąg wieków wszystkie usiłowania uczonych Arabów i Europejczyków wytężone były na tłumaczenie, szérzenie i objaśnienie nauki Ptolomeusza. Zadziwienienie tak upoiło umysł ludzki, iż ten granice wzroku wziął za granicę świata, siebie za cel najokazalszych dzieł stworzenia, a siedlisko swoje za środek i niby za stolicę tych niezliczonych światów, w których ogromności ziemia ginie i niknie.

W tym zapędzie nieuwagi i próżności zatamowany był prawdziwy wzrost nauki: i kiedy człowiek, chodząc tak długo po sidłach złudzenia i pozoru, nie mógł żadnego zrobić znacznego kroku do prawdy: wyszedł z łona narodu polskiego Mikołaj Kopernik, który stargał zasłonę błędu i omamienia, naprowadził rozum ludzki na drogę prawdy, wytłumaczył rzetelny układ świata, i rzucił pierwsze fundamenta i zarody tych wielkich prawd i wynalazków, które dziś astronomią postawiły w rzędzie najdoskonalszéj z nauk fizycznych umiejętności, a rozum ludzki okryły rozległą chwałą i zaszczytem.

Zatrzymajmy uwagę nad tą sławną epoką w dziejach nauk, i przypatrzmy się, jak rozum ludzki, odebrawszy nad brzegiem Wisły wielki zwrot i kierunek do prawdy, zaczął się po reszcie Europy szczęśliwie prostować i odradzać w swoich działaniach.

b) Krótkie opisanie życia Kopernika.

W dwudziestym szóstym roku panowania Kazimiérza Jagiellończyka, ery zaś chrześciańskiéj 1473. dnia 19. lutego urodził się Kopernik w Toruniu, z ojca Mikołaja, i z matki Barbary Watzelrod, siostry biskupa warmińskiego. Odesłany na nauki do akademii krakowskiéj, i w regestr jéj uczniów roku 1492. zapisany, czerpał w téj jedynéj podówczas polskiéj szkole przez lat pięć wiadomości literatury greckiéj, łacińskiéj, i nauk matematycznych. Tym trojakim rodzajem nauk słynęła podówczas w Europie szkoła krakowska. Jakób z Kobylina, Mikołaj Szadek, Marcin z Olkusza, sławni potém matematyki professorowie, byli współuczniami Kopernika, wszyscy zaś w matematyce i astronomii uczniami Wojciecha Brudzewskiego: i kiedy za naleganiem książęcia kardynała Fryderyka Jagiellończyka Brudzewski wyjechał do Litwy na urząd sekretarza przy księciu litewskim, Alexandrze, królu potém polskim, Kopernik w roku 1497. przeniósł się do Bononii, gdzie pod astronomem Dominikiem Marya z Ferrary, jak świadczy Retykus, nie jako uczeń, ale jako świadek i pomocnik nad obserwacyami gwiazd pracował.

Wyjechał więc z ojczyzny swojéj Kopernik już opatrzony w wiadomości astronomii i matematyki, któremi tak słynął we Włoszech, iż w dwudziestym siódmym roku wieku swego, ucząc publicznie matematyki w Rzymie, liczne bardzo zgromadzenie uczniów na swoje

lekcye sciągnął. Tam w ciągu swego nauczycielstwa, nie zaniedbując obserwacyj gwiazd, uważał zaćmienie księżyca w roku 1500. Wracając z Włoch do Polski, w Padwie popisywał się z swego w anatomii postępku, i stopień doktora medycyny otrzymał. W Krakowie zaś w liczbie akademików roku 1504. jest zapisany, i zdaje się, jak gdyby było jego przedsięwzięciem zostać przy akademii, gdyby go był wuj jego, biskup warmiński, dawszy mu kanonią, do Warmii nie zawołał.

Ale nie zapuszczajmy się w dociekania i domysły o drobnych zdarzeniach, i znikomych dziejach jego życia, bo historya człowieka, który piérwszy założył niewzruszone grunta nauki, i stał się, że tak powiém, nauczycielem wieków i narodów, być powinna historyą jego rozumu. Zamiast więc szpérać za przykładem niektórych po jego rodzie i pokoleniu, wnidźmy raczéj w genealogią wielkich o budowie świata myśli i wynalazków, żeby się przekonać, iż Hypparch, *Philolaus, Apollonius,* i inni wielcy w starożytności ludzie, byli godnymi przodkami, — Galileusz, Kepler i Newton potomkami Kopernika.

c) Jak szedł do poznania dawnych błędów, i ich poprawy.

Co tylko osiadł w Frauenburgu, pilne uważanie biegów niebieskich, doskonalenie istotnych do tego pomocy, a najbardziéj, jak się Pawłowi III., papiéżowi spowiada, scisłe roztrząsanie wykładu, i wszystkich astronomii początków, cały jego umysł zajęło. Chcąc odkryć i pokazać dzieło natury, zaczął naprzód być surowym sędzią tego, czego się nauczył. „Wystawmy sobie“ mówi Kopernik w przedmowie do Pawła III. „członki ciała ludzkiego rozrzucone, pochodzące od osób różnego kształtu, urody i wielkości! Gdyby kto, pozbiérawszy te tak różnorodne części, do siebie źle przystające, w proporcyi niezgodne, w stosunku nieforemne, uwziął się połączyć je razem i złożyć, wystawiłby zapewne raczéj poczwarę, jak postać szykowną człowieka. Taką budową wydała mi się w scisłém roztrząśnieniu dawna nauka astronomii. Widziałem w tłumaczeniu biegów niebieskich mniemania, naciągane do jednych przypadków, odmieniane lub odrzucane w drugich, tam wiklące porządek rzeczy, tu mieszające pojęcie, a nigdy prawie nie dogadzające przekonaniu, w dziełach zaś natury więcéj okazujące dziwactwa i zamieszania, niż szyku i porządku. Cóż wypadało sądzić o całym tym gmachu, okrytym chmurą ciemności, i chwie-

jącym się pod ciężarem zarzutów i trudności? Oto, że cały fundament, na którym osiadł, musi być nieugodzony, słaby i fałszywy."

To surowe o nauce Ptolomeusza zdanie, mające dziś za sobą całą moc ściśle dowiedzionéj pewności, powiedziane na początku XVI. wieku przed głową naówczas całego chrześciaństwa, wystawia nam w Koperniku człowieka, który natchnięty mocą przekonania, wynosi się piérwszy nad powagę cztérnastu wieków, nad uprzedzenia uporczywe i powszechne uczonych, wreszcie nad pozorne zmysłów świadectwo, i w rzeczach dociekaniu ludzkiemu zostawionych oddaje cześć prawdzie mężną, ale przystojną odwagą. Wyćwiczony przez nauki matematyczne w sztuce gruntownego, czystego i porządnego myślenia, którego wzorem były i będą zawsze pisma geometrów dawnych, poniósł ten wielki człowiek w naukę astronomii tę głęboką i skupioną uwagę, tę skrzętną i surową ścisłość w równaniu, wiązaniu i dowodzeniu myśli, a nie mogąc zaspokoić swego przekonania tém, co się w oczach innych wydawało pewnością, odważył się wnišć w źródło wątpliwości, i sądzić mniemania ludzkie, równając je z widowiskiem biegów niebieskich.

d) Zbiór i widok ogólny jego nauki i wynalazków.

Trafność w myśleniu i stosowaniu, utrzymanie pewnéj wagi między usługą zmysłów i władzą rozumowania, uspienie miłości własnéj przez wygórowaną miłość prawdy, te są wielkie i rzadkie przymioty, które doprowadziły Kopernika do odkrycia porządku świata, i które on w jego wyłożeniu za prawidło myślenia potomności zostawił.

Że słońce jest gwiazdą nieruchomą, otoczoną szeregiem planet około niego krążących, których jest i środkiem biegu, i pochodnią oświécającą; że oprócz planet głównych są planety drugiego rzędu, czyli księżyce, naprzód około swych planet, a potém wraz z niemi około słońca bieżące; że ziemia jest planetą głównym, bieg trojaki mającym; że wszystkie widowiska biegu dziennego i rocznego, wszystkie pory roku, i z nich wypadające odmiany w świetle i powietrzu są rzetelnemi skutkami biegu ziemi wirowego około swéj osi, i peryodycznego około słońca; że wszystkie biegi gwiazd stałych są tylko złudzeniem oka naszego, a prawdzi-

wym wypadkiem biegu ziemi; że nakoniec w biegu wszystkich planet tak piérwszego, jak i drugiego rzędu zachodzą dwojakie skutki, bacznego rozróżnienia wyciągające, to jest, jedne, które pochodzą od biegu ziemi, drugie, które wypadają z ich własnego około słońca obrotu, te są niewzruszone i wieczne w fizyce niebieskiéj prawdy, które Kopernik piérwszy światu objawił, i wyłuszczył w swém nieśmiertelném dziele o obrotach niebieskich.

e) Układ świata, na biegu ziemi zasadzony, jest własném dziełem i wynalazkiem Kopernika.

Jakież miał do tego z prac i dzieł starożytnych pomocy? Co w tych myślach jest prawdziwym jego tworem, co zaś dziełem jego poprzedników? Na to zapytanie ani historya astronomii, ani najsurowsza krytyka wierniéj i dokładniéj nie odpowiada, jak sam Kopernik. Każdy prawie rozdział jego książki jest wierną historyą, i razem dowodzeniem zdań i myśli w nim zawartych. Wielki ten człowiek w każdym kroku, sądząc swych poprzedników albo rozwija i utwierdza ich myśli, albo je prostuje, albo swoje na miejsce tamtych kładzie i przytacza. Ani praw własności, które ma do swych wynalazków żadném przywłaszczeniem, ani swéj chwały żadną nie skaził próżnością. Wylany na dobro prawdy i nauki, stał się tym wszystkim drobnym poruszeniom niedostępny: i dlatego, żeby z nauką tak śmiało oswoić uprzedzone umysły, stara się prawie odjąć jéj postać nowości, a przytaczając to wszystko, cokolwiek starożytność o biegu ziemi pisała, ledwo się nie zdaje swoich piérworodnych zapiérać myśli. Wszedłszy atoli w bezstronne i ścisłe roztrząśnienie jego nauki, okazuje się, że układ świata przez Kopernika wytłumaczony, nie jest nauką ze szczątków starożytności wydobytą, jak sądzą niektórzy, ale jest cały jego dziełem i stworzeniem.

Prawda, że szkoła Pitagoresa, a z niéj szczególnie Heraklides, Ekfantus, i Nicetas, Syrakuzańczyk, utrzymywali bieg dzienny ziemi za świadectwem Cycerona; że *Philolaus*, umiejętnością matematyki sławny, którego Plato jeździł do Włoch odwiédzać, roczny nawet bieg

ziemi przypisywał, podług twierdzenia Plutarcha; że Arystarchus z Samos, który blizko na cztéry wieki poprzedził w szkole alexandryjskiéj Ptolomeusza, przyznawał bieg roczny ziemi, jak nas uczy Archimedes. Ledwo nie wszystkie te zdania i świadectwa sam Kopernik w dziele swojém wspomina i przytacza. Biorąc atoli pod sąd i uwagę wszystkie te z Plutarcha, Cycerona i Archimedesa wypisy, nic więcéj z nich nauczyć się nie można, tylko, iż byli między mędrcami greckimi niektórzy, osobliwie ze szkoły Pitagoresa, którzy mieli myśl, a raczéj mniemanie o biegu ziemi tak dziennym, jako i rocznym; ale ta myśl w żadnym pisarzu i filozofie dawnym nie jest ani żadném wyłuszczeniem objaśniona, ani żadném przystosowaniem do fenomenów ugruntowana. Bylato więc myśl, albo raczéj mniemanie jak nawiasem rzucone, obłąkane w swojém znaczeniu, i w niczém nie zgłębione; więcéj powiém, zmieszane z wielą fałszywemi o ciałach niebieskich wyobrażeniami, któremi się szkoła Pitagoresa skaziła. O takowéj myśli wiedział Ptolomeusz, wiedzieli wszyscy jego tak arabscy, jak europejscy tłumacze, kiedy jak piérwszy w swoim Almageście, tak drudzy w swoich kommentarzach usiłują dowodzić, że ziemia żadnego biegu mieć nie może, a zatém zbijają tę myśl, i starają się wystawić jéj błahość i mylność. Gdyby się był znajdował jakikolwiek ślad wyłuszczonéj téj myśli, i przystosowanéj do biegów niebieskich, zapewne Ptolomeusz i jego następcy byliby roztrząsali to przystosowanie; kiedy oni same tylko metafizyczne, a najczęściéj fałszywe początki za dowód swych zaprzeczeń przywodzą, jak to Kopernik dobrze wytknął i pokazał.

Wiémy z dziejów ludzkich i z dziejów filozofii, że narody greckie, zamiłowane w igrzyskach, gonitwach, świętach i uroczystościach, i w tém wszystkiém, cokolwiek podnosiło entuzyazm i karmiło imaginacyą tego sławnego dowcipem, czułością i zabobonnością ludu, który sobie nawet bogów stwarzał z swych własnych namiętności, że, mówię, narody greckie, mniéj się troszcząc o wzrost umiejętności, doskonaliły najbardziéj piękne sztuki i kunszta, dogadzające swemu smakowi i poruszeniom; że ich filozofowie, wędrując po Chaldei, Indyach, Włoszech i Egipcie, czerpali od kapłanów, osobliwie egipskich wiele nauk, jako tajemnice ukrywanych, a wracając do Grecyi, więcéj się trudnili subtelnością metafizyczną, dzielącą ich na sekty, i tém uczoném szermierstwem, które zwano dysputami, niż uwagą skutków i dzieł

natury; wiémy, że szkoła alexandryjska, mnóstwem wielkich ludzi znakomita, wsławiła się piérwsza sztuką obserwacyi, i poznawaniem ziemi i nieba. Myśl więc o biegu ziemi, rzucona tu i owdzie po pisarzach greckich, może była wyczerpana w wędrówkach filozofów między naukami bardzo odległéj starożytności; ale jéj wyłuszczenie, kiedy w szkole alexandryjskiéj przy obserwacyi nieba nie nastąpiło, nie mogło być dokonane przez sekty filozofów, samą prawie metafizyką zajęte, albo należało do owych tajemnic, z któremi się ciż filozofowie ukrywali przed ludem porywczym i zabobonnym, a które tajemnice wieków chrześciaństwa nie doszły. Nie mógł więc Kopernik wskrzeszać i wydobywać tego, czego w żadném pismie starożytném nie było.

W téj myśli od wszystkich lekce ważonéj on piérwszy uczuł światło prawdy, on piérwszy stworzył jéj wielkość i rozległość; kiedy całą budowę i mechanizm świata słonecznego z niéj wydobył; kiedy wszystkie odmiany i przypadki biegów niebieskich z niéj wytłumaczył; kiedy stosy obserwacyj dawnych i świéżych, to jest, prace kilkudziesiąt pokoleń ludzkich na jéj objaśnienie i poparcie przystosował; kiedy tak trafnym, głębokim i ledwo nie wieszczym dowcipem rozróżnił skutki złudzenia od rzetelnych, i oddzielił, że tak powiém, światło od ciemności. Przeniosłszy się myślą do czasu, w którym żył, i nawet do wieków, które go poprzedziły, nie można bez podziwienia i rozkoszy czytać jego wykładu o biegu rocznym ziemi, gdzie nadając położenie ciągle równoległe osi ziemskiéj, tak gruntownie, trafnie i dowcipnie odmiany pór roku tłumaczy. W tém tłumaczeniu, do którego nikt mu z dawnych nie pomógł, a wieki poźniejsze nic przydać nie potrafiły, w tém, mówię, tłumaczeniu sama natura zdaje się odsłaniać człowiekowi cuda swojéj prostoty.

Początki mechaniki, tojest nauki o prawach, własnościach i przyczynach biegu, które się dopiéro poczęły w głowie Galileusza, a wzrosły przez Keplera, Hughensa i Newtona, były całe w wieku Kopernika nieznane: cóż tedy znaczy ta uwaga, którą robi *Bailly* w historyi astronomii nad tym najszczęśliwszym płodem dowcipu Kopernika, niby mu wyrzucając, że on o tém nie wiedział, „iż bieg ten równoległy osi nie jest biegiem trzecim, i oddzielnym, bo on wypada z dwóch piérwszych biegów ziemi pod pewnemi warunkami uważanych?“ Wszakże do téj wiadomości dopiérośmy przyszli w wieku, który ledwo upłynął. Kopernik dlatego właśnie, że nie wiedział tych

praw, że był obrany z ich światła i pomocy, a przecież żadnego z nich w swojém tłumaczeniu nie obraził, pokazał się owym rzadkim i nadzwyczajnym duchem, który tworząc rzeczy z niczego, ocala wszystkie prawdy, zostawione do odkrycia następnym pokoleniom. Powinien się był ten sławny astronomii dziejopis zastanowić, że tu o nic więcéj nie idzie, tylko żeby pokazać, jakie miéć powinna położenie oś ziemi, żeby bieg jéj roczny i dzienny takie sprawił skutki i odmiany, jakich w różnych porach roku doświadczają mieszkańcy tego planety. To najtrudniejsze, a dogadzające wszystkim odmianom tłumaczenie znalazł Kopernik w biegu równoległym osi ziemskiéj, którego myśl całkiem mu jest właściwa; bo ta nigdy przez głowę nikomu nie przeszła; bo o niéj żadnéj wzmianki w pismach starożytnych niémasz, a bez niéj w owym czasie piérwsze myśli z Cycerona i Plutarcha wyjęte prawieby się na nic nie zdały, boby do wyłożenia najważniejszych skutków nie były dostateczne.

Z przytoczonych dopiéro rzeczy i uwag wypada, że przed Kopernikiem wszystkim znana była myśl o biegu ziemi nawiasem tylko w pismach starożytnych, bez żadnego dowodu i wyłuszczenia rzucona; ale układ świata i porządek z niéj wyciągniony całe był nieznany. Owszem, co wszyscy mieli za dziwaczne przywidzenie, w tém piérwszy Kopernik upatrzył dzieło mądrości. Wynieść się zaś nad wszelki wpływ panującego uprzedzenia, widzieć w myśli wszystkim wiadoméj to, czego tam nikt nie postrzegł, ogarnąć całą jéj, że tak powiém, brzemienność i z téj wyprowadzić wielkie pasmo i pokolenie prawd od nikogo nieznanych, jestto bez wątpienia dzieło nadzwyczajnego i tworczego umysłu, którego Kopernik przy całéj w pismach swoich skromności zostawił niezatarte ślady i dowody. Ten, ktoby naukę Kopernika brał za naukę Pitagoresa, trzeba, żeby fizykę Newtona wziął za fizykę Lukrecyusza, dlatego, że i tam spotka się z myślami i wyrazami attrakcyi: a przecież to fałszywe zdanie nikomu jeszcze przez głowę nie przeszło; bo w fizyce myśli ludzkie nie nabywają wagi i ceny, tylko z wielkich i ważnych prawd, które z nich rozum wydobędzie, i szczęśliwszego ich do dzieł natury, lub do użytków społeczności przystosowania.

f) Porządek odkryty w ciałach niebieskich przez Kopernika.

Uszykowanie ciał niebieskich w tym porządku, jaki im przyrodzenie naznaczyło, jest także jednym z walnych wynalazków Kopernika. Skazawszy prawie jak plan ogólny stworzenia, nauczył potomność, gdzie, i jak ma umieszczać te nawet ciała niebieskie, które kiedyś oko ludzkie, narzędziami rozciągnione i wsparte, wynaléźć może. Wczém nauka Ptolomeusza, całkiem fałszywa pomódz mu nie mogła. Było, prawda, zaniedbane systema dawne egipskie, które *Vitruvius* i *Martianus Capella,* Rzymianin w piątym wieku przypomnieli: ale to wystawiało słońce jako środek biegu dwóch tylko planet, Merkuryusza i Wenusa. Kopernik rozciągnął tę myśl do wszystkich planet tak piérwszego, jak drugiego rzędu. Skazały mu ten porządek nie domysł i mniemanie, ale długa i głęboka reflexya nad biegiem tych ciał, nad rozległością dróg, które opisują, nad stosowaniem czasów, w których obroty swoje kończą, nad różną wielkością, pod którą się mieszkańcom ziemi pokazują, nad odmianami w świetle i biegu, którym podlegają. Stosy obserwacyj starożytnych i nowych, cudzych i jego własnych, służyły mu za materyały do téj wielkiéj budowy świata słonecznego, któréj nie można było złożyć bez długiéj i uporczywéj pracy, bez nadzwyczajnéj bystrości rozumu, i bez rzadkiéj trafności rozsądku. Źle więc jeszcze sądzą Kopernika ci, którzy rozumieją, że ustanowiony przez niego między ciałami niebieskiemi porządek jest wskrzeszeniem dawnéj nauki Egipcyanów, któréj tylko została się wzmianka i przypomnienie, i która, mówiąc jedynie o dwóch planetach najbliższych słońca, jest małą tylko cząstką rozległéj Kopernika myśli.

Całe dzieło o obrotach niebieskich zawiéra dowody i wykłady tego porządku. Ztego się uczymy, że uwaga nad porządkiem i biegiem planet była piérwszą i najsilniejszą pobudką Kopernikowi do zburzenia nauki Ptolomeusza. Obaliwszy ten gmach nieładu i zamatwania, nie pozostały w nauce gwiazd tylko gruzy i znaki spustoszenia. Rozum Kopernika unosił się, i panował nad tém prawdziwém chaos, i nie z tego, co powiedzieli kiedyś Egipcyanie, ale z wielkiego zbioru obserwacyj dawnych i swych własnych, z ich obrachowania i stosunku, i z ustanowionego biegu ziemi, porządek ciał niebieskich wyciągnął. Przewidując zaś trudności, któreby mu kiedyś przeciwko téj nauce zarzucić można, odległość gwiazd stałych tak niezmierną

uznaje, iż w jéj porównaniu cała przestrzeń między ziemią i słońcem staje się punktem. Tę prawdę wszystkie następnych wieków obserwacye stwierdziły: ale w téj prawdzie odmalował Kopernik najokazalsze dziwy stworzenia. Tą jedyną myślą zniósł granice w przepaściach nieba, i skazał roje niezliczone słońc i światów, podobnych do naszego świata słonecznego, w którego ogromności cała ziemia staje się punktem. Słusznie więc sądzi *Bailly*, że cała matematyka winna Kopernikowi piérwszą myśl ilości nieskończonéj, która potém staje się źródłem największych w téj umiejętności wynalazków.

g) Walne wynalazki Kopernika.

Jeżeli porównamy rzucone piérworodne myśli z dzisiejszym stanem wiadomości astronomicznych: zobaczymy nie bez zadumienia, że bystrością tych myśli Kopernik prawie zmierzył całą przepaść wieczności, kiedy zgadł najtrudniejsze wynalazki potomności, kiedy przepowiedział najleniwsze w biegach niebieskich odmiany, w ciągu tylko wieków czuć się dające, i sposób ich wytłumaczenia zostawił. Wykładając wszystkie przypadki biegu rocznego ziemi, wypadało mu przebieżéć i zgłębić drogę, którą nasz planeta około słońca opisuje, czas na jéj opisanie strawiony, czyli długość roku, różne odmiany w chyżości tego biegu, pochyłość drogi rocznéj do równika, czyli koła, obrotem dziennym ziemi zrodzonego, wreszcie punkta te, w których się te dwa koła przecinają, nazwane punktami równonocnemi. Położenie tych punktów jest najważniejszym rachuby astronomicznéj i cywilnéj piérwiastkiem, bo od ich miejsca zawisły pory roku, i ich powrót; od nich jeszcze zależą wszystkie położenia ciał niebieskich względem wschodu i zachodu, a zatém ledwo nie cała massa wiadomości ludzkich w astronomii. Idzie tu więc o dochodzenie piérwszych i najwalniejszych fundamentów całéj nauki i rachuby; wczém nie można miéć za przewodnika, tylko obserwacye najodleglejszych wieków, teto szacowne plony usilności ludzkiéj, uwadze gwiazd poświęconéj, i trafną bystrość dowcipu w naznaczeniu początku i przyczyny takowym skutkom.

Począwszy od Tymocharysa, jednego z piérwszych astronomów szkoły alexandryjskiéj na 294 lat przed erą chrześciańską, przebiega i roztrząsa obserwacye téjże saméj gwiazdy przez Hypparcha, Ptolomeusza, Albategniusza Araba, i przez siebie w Frauenburgu czy-

nione, obejmujące przeciąg tysiąc ośmset dziewietnaście (1819) lat, z których mu wypadło, że gwiazdy, zachowując tę samę odległość od drogi ziemskiéj, odmieniają na niéj długość, czyli odległość od punktów równonocnych: aże też gwiazdy względem siebie samych to samo stateczne zachowują położenie: więc ta odmiana długości nie pochodzi od biegu gwiazd, ale od tego, że się punkta równonocne cofają wstecz od wschodu ku zachodowi. Skutek ten znany jest w astronomii pod imieniem: poprzedzanie punktów równonocnych (*praecessio aequinoctiorum*). Roztrząsając znowu obserwacye nad pochyłością drogi ziemskiéj do równika przez Arystarcha z Samos, Ptolomeusza, Arabów, i przez siebie czynione, wyciągnął z nich odmianę téj pochyłości. Kopernik więc z swoich własnych, przez trzydzieści lat ciągnionych, i z dawnych obserwacyj wniósł naprzód to, co Hypparch najpiérwszy dostrzegł, i co wszyscy po nim astronomowie wiedzieli, że punkta równonocne mają bieg wsteczny: wniósł powtórnie to, czego nikt przed nim nie postrzegł, że ten bieg punktów równonocnych jest nierówny, i że pochyłość drogi ziemskiéj podlega odmianom peryodycznym, tojest, w pewnym przeciągu lat się wracającym. Nie jest tu miejsce ścigać go w niezmiernie pracowitym rachunku tych odmian, i ich powrotu.

Gdy przyszło do oznaczenia początku i przyczyny, z których takowy bieg i odmiany wypadają; wszyscy, co poprzedzili Kopernika, matwali się i gubili w różnych powymyślanych sferach i kołach, które były tylko rusztowania uwikłanéj w trudnościach i pasującéj się z sobą niewiadomości; ale to nie były ani objawienia prawdy, ani widoki rozsądku. Kopernik skruszył tę lepiankę kół i sfer, na niczém nie opartą, i jak gdyby świadek stworzenia, wyciągnął z biegu ziemi ten tak delikatny mechanizm świata. Uczy on nas, że oś ziemi, mimo jéj równoległe co do pór roku położenie, podlega dwom bardzo leniwym biegom: najprzód punkt jéj ostateczny, czyli biegun świata od wschodu na zachód krąży około bieguna ekliptyki; aże za biegiem osi idzie koniecznie bieg równika, więc punkta równonocne, ślizgając się po ekliptyce, cofać się corocznie muszą o łuk blizko pięćdziesiąt sekund: powtóre, że taż oś ziemi nakształt linii ważącéj się kołysze się i waha w tym niezmiernie leniwym ruchu, a przezto wahanie zbliża się lub oddala od osi ekliptyki: aże znowu za pochyłością osi idzie koniecznie po-

chyłość kół i płaszczyzn; więc kołysanie się osi ziemskiéj sprawiać musi odmianę w pochyłości równika do ekliptyki: z czego wypada, że cofanie się punktów równonocnych, wszystkie odmiany w położeniu gwiazd są skutkiem dwóch tych niezmiernie leniwych i małych ruchów, którym oś ziemi w biegu rocznym podlega; że te dwa biegi osi ziemskiéj tak są od siebie zawisłe, iż jeden wpływa w powiększenie lub zmniejszenie drugiego; że nakoniec małe odmiany w tych dwóch biegach są peryodyczne, i mają swoje granice, których dosiągłszy, wracają się i odnawiają w pewnym lat, lub wieków przeciągu. Podług téj Kopernika nauki, równik z ekliptyką ani się kiedy zeszły, ani się nigdy zniść z sobą nie mogą, jak sobie roili niektórzy, chcąc przez to tłumaczyć rewolucye fizyczne ziemi, albo przepowiadać przyszłe jéj klęski i odmiany.

Te wszystkie Kopernika myśli, z głębi skrytości wydobyte, tak mocno rozważone, tak szczęśliwie stosowane i związane, nabyły w wieku naszym tego piętna pewności, iż są policzone w rzędzie prawd najściśléj dowiedzionych. Newton, Bradlej, Euler, *d'Alembert* i wszystkie najświetniesze wieku dopiéro skończonego i płynącego umysły, ugruntowały wiecznie i tę naukę, i sławę Kopernika; bo prawda utwierdza się i szérzy pracami i nowemi wynalazkami wieków, kiedy błędy i przywidzenia, podobne przemijającym na powietrzu widowiskom, błyszcząc się i łudząc do czasu, wreszcie giną i nikną przy massie światła wzrastającego rozumu.

Po wytłumaczonéj odmianie punktów równonocnych wypadało ustanowić trwałość biegu rocznego ziemi, czyli długość roku. Bez téj wiadomości ściśle wyrachowanéj gdy za Leona X. na zborze lateraneńskim poprawa kalendarza nastąpić nie mogła; zlecone było od dworu rzymskiego Kopernikowi, aby z pewnością ustanowił i oznaczył ten istotny piérwiastek rachuby cywilnéj i astronomicznéj. — Kopernik odrzuca i w tém naukę Ptolomeusza, dowodzi, że obrachowanie roku cywilnego, zaczynającego się od powracających pór roku, jest wątpliwe i niestałe, bo się odnosi do punktów równonocnych, które są odmienne i ruchome; wprowadza rachubę roku peryodycznego, wymierzającego się od powrotu słońca do téj saméj pewnéj jakiéj

gwiazdy, jako do punktu niewzruszonego. Chaldejczykowie trzymali się dawniéj tego rachunku, który był odnowiony na końcu IX. wieku przez Tebita, Araba. Kopernik idąc za jego przykładem, zasiągnął najdawniejszych obserwacyj, i to z sobą, i ze swemi stosując, wyciągnął z nich długość roku, która się dziś pokazuje o dwadzieścia ośm sekund nadto wielka. Na tak ustanowionych zasadach gruntuje uwagi swoje nad biegiem rocznym ziemi, i ułożone tablice do rachowania tego biegu.

h) Wpływ nauki Kopernika na wynalazki poźniejsze, i stan dzisiejszéj astronomii.

Jako po wytrzymanéj zimie podniesione ku wiérzchołkom naszym słońce, budząc zwolna strętwiałą naturę, wléwa jéj z początku leniwém działaniem nowe życie, potém siłą dojmującą wszystko do odradzania się, wzrostu i dojrzałości porusza; tak dzieło Kopernika na samym schyłku jego życia wydane, naprzód słabém wrażeniem działać zaczęło na umysły, uspione w uprzedzeniu wiekami poświęconém, wciągać potém dzielniejsze głowy w zbliżanie tych nowych myśli do biegów przyrodzenia; aż nakoniec rosnące téj nauki światło, jéj pewność, świadectwem nieba poparta, sprostowawszy uwagę, rozciągała i prowadziła stopniami wiadomości ludzkie aż do téj massy myśli i wynalazków, które czynią wiek ostatni w dziejach astronomii najświetniejszym. Kopernik, sciągnąwszy z oczu ludzkich zasłonę złudzenia, pokazał im świat i jego porządek rzetelny, gdzie zatrzymany człowiek zaczął i lepiéj widzieć, i trafniéj pojmować biegi niebieskie. W tym nowym zawodzie już nie można było postąpić bez nowych sposobów i pomocy, które się szczęśliwie wywijały z usilności i talentu sławnych ludzi, koleją wstępujących na ten wielki teatr nowych widoków.

Tycho wydoskonalił narzędzia, odkrył i ocenił skutki łamiącego się światła, poprawił sztukę postrzegania, przeszło dwudziestoletnią pracą sporządził doskonalszy regestr gwiazd stałych, w licznym zbiorze ważnych obserwacyj zostawił szacowne plony astronomii praktycznéj, przez siebie poprawionéj. Galileusz wynalazł i złożył teleskopy, piérwszy pokazał użycie wahających się zegarów, które, wydoskonalone przez Hughensa, stawiają nam przed oczy bieg ziemi, i razem miarę

powszechną innych biegów i odmian. Łuki koła do mierzenia wysokości gwiazd drobniéj i dokładniéj podzielone, teleskopy złożone ze szkieł rozciągnęły granice wzroku, a zegary obraz metafizyczny czasu, zrobiły, że tak rzekę, dotykalnym. Człowiek rozprzestrzeniony w swojém czuciu, nauczył się odmiany w biegach niebieskich pewniéj ścigać, i z większą, jak przedtém, znaczyć dokładnością.

Za powiększeniem atoli władzy zmysłów, nie zaraz skorym krokiem następował wzrost myśli i rozsądku. Tycho obdarzony sztuką dokładniejszego widzenia, nie był trafny w tłumaczeniu tego, co widział. Jak odurzony śmiałością myśli Kopernika, oddał prawda hołd jego wynalazkom, przyjąwszy w części pokazany przez niego, a własnemi Tychona obserwacyami poparty porządek i bieg planet około słońca; ale nie chcąc policzyć ziemi między planety, ani jéj biegu przyznać, sam zrobił inszy układ świata, który będzie w historyi nauk wieczną satyrą na czas i na rozum autora. Nie uwłaczając znakomitym Tychona w astronomii zasługom, dziwić się nie można, iż ten, który wszystkie niedołężności alchymii i astrologii popiérał, nie był obrońcą nowéj nauki.

Rozum ludzki, jak gdyby się wysilił na wielkie myśli w głowie Kopernika, zrobił sobie przerwę, i spoczął przez lat kilkadziesiąt. Tym czasem doskonaliły się posiłki zmysłów, sztuka postrzegania; a przez nię sposobiło się pojęcie ludzkie do tych wysokich prawd, których wielu zarody rzucił w swém dziele Kopernik, a które się nie mogły rozwinąć, krzewić i dojrzéwać, tylko w rozumach téj saméj tęgości, i tego samego rzędu.

Kiedy Ptolomeusz z całym orszakiem swych naśladowników i uczniów zbijał bieg ziemi, przywiódł między innemi przyczynami i tę, że ponieważ wszystkie ciała ciężą do jéj środka, gdzie spocząć usiłują; więc ten środek, tém bardziéj ziemia go zawiérająca ze wszystkiemi ciałami być powinna w spoczynku. Na ten zarzut odpowiadając Kopernik, piérwszy objawił myśl czystą o attrakcyi, i opisał ją dokładnie. „Ciężkość“ mówi on „nic innego nie jest, tylko naturalne dążenie, od twórcy wszech rzeczy cząstkom materyi nadane, do kupienia się razem i łączenia: tą własnością nie tylko ziemia, ale równie są obdarzone słońce, księżyc, i wszystkie planety; ich cząstki siłą ciężkości zebrały się i skupiły w bryły okrągłe; tą jeszcze siłą utrzymują się w téj postaci, pod którą ją widzimy. Na każdém

z tych ciał niebieskich wszystko także cięży i dąży do jego środka; a przecież to nie zatrzymuje tych biegów, które w nich widzimy. Dlaczegożby więc to ciężenie przeszkadzać miało biegowi ziemi? Albo jeżeli środek ciężkości być koniecznie ma środkiem wszystkich biegów, kiedy słońce i każdy planeta ma także swój środek ciężkości, jak ziemia, czemuż za środek wszystkich biegów nie mamy raczéj obrać słońca, kiedy przez to jasno i łatwo wytłumaczyć się dają wszystkie skutki i widowiska w biegu gwiazd i planet?“

W tém porządném i mocném rozumowaniu Kopernik wyrzekł najpiérwszy, że ciężkość jest własnością powszechną materyi, każdéj jéj cząstce służącą; że ta rozciąga się do słońca, księżyca i wszystkich planet; że jéj siłą cząstki słońca i planet zrosły się w massy okrągłe, i że mocą téj saméj ciężkości utrzymują się w swych postaciach kulistych.

i) Wynalazki w ciałach niebieskich i w teoryi ich biegu, do których prowadziła astronomów nauka Kopernika.

W téj ogromnéj i cale nowéj podówczas myśli jeden tylko krok został się do zrobienia, który uczynił nieśmiertelnym Newtona. Liczne i dokładniejsze obserwacye Tychona stały się nowym i szacownym materyałem, z którego Galileusz, Kepler i Newton, idąc za myślami Kopernika, budowali w astronomii okazały gmach wiadomości ludzkich. Zapomocą nowych narzędzi i sposobów albo szukano nieznanych przedtém na niebie ciał i odmian, albo się ubiegano za odkryciem oczywistych dowodów biegu ziemi i wielu myśli, w dziele Kopernika rzuconych: obadwa te zamiary zbogacały astronomią nowemi wynalazkami, i utwierdzały coraz bardziéj naukę Kopernika. Księżyce Jowisza, odkryte przez Galileusza, księżyce znowu Saturna, postrzeżone najpiérwéj przez Hughensa i Kassyniego, pokazały zaraz podobieństwo między temi planetami i ziemią, i potwierdziły naukę Kopernika o planetach drugiego rzędu. Galileusz, przypatrując się biegowi księżyca ziemskiego, postrzegł wahanie się i ważenie jego kuli: to utwierdziło jego przekonanie o biegu ziemi, pokazało podobieństwo tego skutku z tym, którego się nauczył w Koperniku o kołysaniu się osi

ziemskiéj, i przywiodło astronomów do odkrycia biegu wirowego księżyca około swojéj osi.

Hughens, spostrzegłszy pierścień Saturna, jego pokazywanie się i niknienie peryodyczne, wytłumaczył zaraz odmiany tego nadzwyczajnego widowiska przez bieg roczny ziemi. Roemer, Duńczyk, uważał wielką liczbę zaćmień księżyców Jowiszowych, widział w pewnych czasach znaczne opoźnienie w momencie ich niknienia i pokazywania się, i znalazł tego przyczynę w biegu ziemi, a ztąd odkrył i zaraz wymierzył chyżość światła. Ważny ten wynalazek nie może być bez zadumienia uważany przez rozległy wpływ, jaki miał i na dalszy postępek astronomii, i na rozszérzenie widoków naszych o składzie i budowie świata. *Richer*, wysłany od rządu francuzkiego w roku 1672. na obserwacye paralaxy Marsa do *Cayenne*, doświadczył, że jego zegar dobrze idący w Paryżu, spoźniał się w swoim biegu na téj wyspie blizko trzy minuty na dzień: pokazało się z tego doświadczenia, że ciężkość odmienia się na ziemi, rosnąc od równika ku jéj biegunom, a zmniejszając się od biegunów ku równikowi. Ten wielki wynalazek, zdziwiwszy Europę, dowiódł obrotu dziennego ziemi około swojéj osi, pokazał nam figurę naszego planety, i stał się źródłem wielu nowych prawd, które poźniéj z niego wynikły.

Kiedy z tylu wielkich i nowych prawd, z tylu zadziwiających wynalazków jedne gruntowały naukę Kopernika, drugie były jéj oczywistemi wypadkami, Bradlej chciał się jeszcze przekonać, czyli podług myśli Kopernika odległość ziemi od słońca jest punktem niknącym w porównaniu z odległością gwiazd stałych: i nie tylko doszedł oczywistości téj prawdy, ale szukając jéj, odkrył wahanie się osi ziemskiéj i aberracyą światła, przezco dokończył demonstracyi biegu rocznego ziemi, ułatwił tłumaczenie wielu skutków, i jeszcze posunął znacznie wiadomości ludzkie w astronomii praktycznéj. Ten szereg nowych i licznych prawd, który się snuł i wywijał z myśli Kopernika, nie tylko jego naukę osadził na wiecznie niewzruszonych fundamentach pewności, ale jeszcze posłużył do odkrycia i stworzenia innéj całe nowéj nauki.

Miłość prawdy była i będzie zawsze panującą namiętnością tworczych umysłów, a razem źródłem tych nadzwyczajnych odmian, któremi świetnieją myśli ludzkie w umiejętnościach. Tą zachwycony Kepler, popiérał naukę Kopernika z zapałem i gorliwością: jéj torem,

idąc za porządkiem i biegiem planet około słońca, i ścigając z uporczywą pracą Marsa w swoich obrotach, roztrząsając i rachując dziesięcioletnie tego planety obserwacye, przez Tychona robione, piérwszy wynalazł i ogłosił, że planety opisują ellipsy około słońca; a w proporcyi, odkrytéj między płaszczyznami dróg, i czasem, na ich opisanie strawionym, i znowu między czasami peryodycznemi i odległościami planet od słońca, objawił sławne prawa biegów niebieskich. Newton do myśli Kopernika o ciężkości przydał jeszcze to, że ta siła jest powszechną przyczyną wszystkich biegów w planetach, a przystosowawszy do niéj prawa Keplera, początki Galileusza, i ogłoszone już przez Hughensa prawdy o sile odpychającéj (*vis centrifuga*), wydobył z nich prawa attrakcyi, i stworzył nową naukę, którą astronomią fizyczną nazywamy. Wszystkie skutki i odmiany w biegach niebieskich trzeba było z téj jednéj siły wydobyć, ogarnąć pod jeden widok tyle rozlicznych i na oko różnorodnych przypadków, upatrzyć, jak te między sobą trzymają się i wiążą, i jak jedne zawisły od drugich; trzeba było jeszcze ocenioną ich wartość z obserwacyami porównać, a wyniósłszy się od skutków do przyczyn, wrócić znowu od przyczyn do skutków, i tym zwrotem, i mocą myśli opanować przekonanie.

Całe to wielkie przedsięwzięcie dążyło do tego, aby z małéj liczby założonych początków wyciągnąć ogromny zbiór wniosków i wypadków; czegoby prawie niepodobna było dokazać bez nowych pomocy, albo lepiéj mówiąc, bez nowego języka, wspiérającego reflexyą w przebieganiu niezmiernego łańcucha skutków: w ich uwadze i roztrząsaniu trzeba było, że tak powiém, przeskakiwać tłum środkujących wyobrażeń, aby się wynieść do stosunku samych myśli ogólnych, a w ich związku widzieć i czytać związek odmian i biegów niebieskich. Taki język wynalazł Newton. Sztuką tego języka zamieniła się cała nowo stworzona nauka przyczyn i praw fizycznych na jedno zagadnienie mechaniki. Ogólność myśli jest prawdziwą miarą rozumu, i głębokiego pojęcia. W ich postępku wszystko prawie zawisło od języka: pomyślność więc w rozwiązaniu tego zadania zależała od doskonałości nowego rachunku. Wszystkie przeto najdzielniejsze po Newtonie umysły obróciły swój talent i usilność na doskonalenie i szérzenie tego rachunku, z którego wzrostem, powiększając ciągle massę wynalazków w astronomii fizycznéj, postawiły naukę gwiazd w tym stopniu chwały i doskonałości, w którym ją dziś widzimy. Niezmierna ta prze-

strzeń nowych prawd i widoków, przebieżona lotem rozumu w jednym prawie wieku, zaczęła się dopiéro wtenczas odkrywać, kiedy przy głębszéj uwadze nauka Kopernika szérząc się i utwierdzając, sięgała ostatniego stopnia pewności.

Bieg ziemi i porządek ciał niebieskich, przez Kopernika skazany, albo prowadził do nowych prawd i wynalazków, albo podsuwał trafne i prawdziwe tłumaczenie nowych fenomenów na niebie dostrzeżonych, którychby niepodobna było pojąć i wytłumaczyć bez téj nowéj nauki. Bez niéj Kepler byłby praw na biegi ciał niebieskich nie odkrył, a bez praw Keplera nie byłby Newton praw attrakcyi wynalazł. W szeregu myśli ludzkich pochodnią prawdy oświéconych, tak się wszystko wiąże i trzyma, jak w odwiecznych dziełach natury. Człowiek naprowadzony na prawdziwą drogę, wszystko szczęśliwie pojmuje, rozwija i tłumaczy, wszystko w jego uwadze pokazuje się proste i porządne: zszedłszy z téj drogi, gubi się w manowcach nieładu i zawikłania, jak żeglarz zapędzony nawalnością wiatrów w przestrzeń morza, kiedy mu słota i chmury widok nieba zasłonią, póty się wałęsa, gubi i błądzi, póki mu nie zabłyśnie znana jaka gwiazda, nie skaże mu miejsca obłąkania, i prawdziwéj drogi do podróży. —

Skoro Kopernik pokazał prawdziwy porządek świata, i bieg planet około słońca; wypadało po wynalazkach Galileusza koniecznie dochodzić własności i praw tego biegu, a przytém oznaczyć drogi, jakie ciała niebieskie opisują, — i to był plan robot Keplerowi skazany.

Skoro Kopernik powiedział, że ziemia jest planetą głównym, że ciężkość jest własnością powszechną materyi, rozciągnioną do słońca i wszystkich planet; skazał podobieństwo, że tak powiém, rodu i składu między ziemią i innemi planetami; cokolwiek więc doświadczono na ziemi, wypadało tego samego dochodzić w innych planetach, i co znowu postrzeżono w innych planetach, tego szukać należało na ziemi. Ta droga analogii czyli dochodzenia z podobieństwa składu podobnych skutków, i znowu z podobieństwa skutków wniesienia podobnych przyczyn, przywiodła Newtona i tylu po nim wielkich ludzi do najwalniejszych w składzie świata słonecznego wynalazków. Cokolwiek dziś wiémy o figurze planet, o ich biegach wirowych, o ich atmosferach, i o tych delikatnych peryodycznych ruchach, którym podlegają cząstki płynów, obléwających ich powiérzchnie, wszystko to prawie tą drogą dociekania odkryte.

Skoro Kopernik pokazał i wytknął trzy walne biegi ziemi, po wynalezionych mechaniki początkach pokazać się powinny były skutki, jakie z każdego tego biegu wypadają na powiérzchni naszego planety: to prowadziło koniecznie do doświadczeń o odmianie ciężkości. Z tych doświadczeń na spóźniających się, lub przyspieszających zegarach pokazało się spłaszczenie ziemi przy biegunach, jéj zaś wyniosłość przy równiku: z czego znowu wypadły te sławne i kosztowne wymiary łuków południka dla oznaczenia z dokładnością figury ziemi. Idąc jeszcze stopniami od jednych prawd do drugich z niemi związkowych, z figury ziemi odkryto fizyczną przyczynę cofania się punktów równonocnych, i pokazano piérwiastkowy stan wszystkich planet, to jest, że to musiały być massy albo ciekłe, albo miękkie, które twardniejąc z czasem, przez bieg wirowy około swych osi ukształciły się w tę postać, pod którą je widzimy. Z biegu jeszcze trojakiego ziemi wypadł wynalazek podobnych biegów w innych planetach, i nadto cały porządek i podział astronomii fizycznéj na biegi peryodyczne, biegi wirowe, i na kołysania się, czyli leniwe ruchy, którym osi biegów dziennych w ciałach niebieskich podlegają. Zgoła cały porządek prac i dociekań snuł się i wywinął z nauki Kopernika dobrze rozważonéj i zgłębionéj.

Winien więc wiek teraźniejszy Kopernikowi nowy ruch i prawdziwy kierunek nadany myślom ludzkim w poznawaniu ciał niebieskich; winien mu wiele najwalniejszych wynalazków, które z dochodzenia i uwagi biegu ziemi wypadły; winien mu drogę analogii w fenomenach i przyczynach, z któréj powstała największa część wiadomości dzisiejszych; winien mu nakoniec cały plan i porządek nauki, podług którego ułożyły się w astronomii i prace dzisiejsze, i prace nastąpić mających wieków.

Kiedy więc z chlubą i zadziwieniem zatrzymamy dziś uwagę w astronomii nad pojęciem ludzkiém, okrytém blaskiem wiadomości, daleko i szybko się rozchodzącém; w przybytku chwały i nieśmiertelności zobaczymy Keplera, Newtona, i cały po nich idący szereg wielkich ludzi, jako rozniecających piérwszą iskrę światła, którą Kopernik rzucił w ciemnościach fizyki niebieskiéj. Dzięki kardynałowi *Schönberg!* dzięki Tydmanowi Gizyuszowi, biskupowi chełmińskiemu, że

oni natarczywemi naleganiami wydobyli to nieśmiertelne dzieło z cieniów skromności, i z tych kryjówek, w których je zamknąć chciało przywiązanie do spokojnego życia! Wyznając to Kopernik, zapewnił dla nich niewygasłą wdzięczność w pamięciach ludzkich.

3. Zagajenie sessyi publicznéj uniwersytetu.

Otwieramy dziś bieg roczny nauk i prac szkolnych w dzień pamiętny koronacyą Alexandra I., który być powinien wielkiém świętem całéj Europy! Podawać go będą do uwielbienia potomności nie pochwały mowców i poetów, ale wrócona po dwudziestopięcioletniéj walce Europy spokojność, oswobodzone od ucisku kraje, wyprowadzone z grobu narody, zatamowane przewinienia polityczne, przywołana z długiego po wywróconym traktacie westfalskim wygnania sprawiedliwość i porządek do społeczności europejskiéj. Zgoła dzień dzisiejszy jako wschód panowania dobroczynnego dla całéj Europy, nie przestanie być dla wielkiego naszego monarchy świętem powszechnéj wszystkich ludów wdzięczności, i razem świętem stworzenia i szczęśliwego odnowienia porządku w towarzystwach, rządach i narodach. Po tylu dziełach waleczności, zwycięztw i tryumfów, rozpoczynają się dzieła rady i mądrości, które mają uwieńczyć nieśmiertelną chwałą jego trudy, dobroczynne zamiary, i zbawienne przedsięwzięcia. Ile świetniał Alexander I. w sławie i pomyślności oręża wspaniałomyślnością, tyle słynąć będzie mądrością i sprawiedliwością w zagruntowanym Europy pokoju. Nigdy moc i potęga nie miała tak cnotliwych i szlachetnych pobudek, ani nie sprowadziła pożądańszych wypadków. Przed tą wielkością dzieł i chwały drobnieją i nikną wszystkie uwielbienia, słabieje moc myśli i wyrazów, i cały umysł słupieje w podziwieniu. Same tylko serca niepowściągnione w swéj wdzięczności okrywają monarchę błogosławieństwy i życzeniem. Oby płynęły długo i pomyślnie te dni drogiego życia i panowania, które zamienił na dni ratunku, swobody i szczęśliwości powszechnéj!

Ale, młodzi szkolna! nie na tém przemijającém wezbraniu czucia kończyć się powinny wasze obowiązki dla monarchy: trzeba je zrobić trwałemi i niewygasłemi w naszych sercach i umysłach. Panowanie Alexandra I. nie tylko zostać powinno w dziejach narodu sławną epochą starannego młodzi wychowania; ale jeszcze ta epocha

świetnieć i uwieczniać się powinna w pożytkach, w usługach krajowych, w sprawach i obyczajach tak waszych, jako i tych, co po was następują.

Dwa są, młodzi szkolna, walne zamiary instrukcyi szkolnéj: opatrzyć wasz umysł w potrzebne prawdy i wiadomości, i nadać taki kierunek waszym żądzom, skłonnościom i siłom, jaki w stosowaniu i użyciu tych wiadomości jest potrzebny do wiernego, umiejętnego i pożytecznego pełnienia tych obowiązków, które was czekają względem rządu, ojczyzny, towarzystwa, familii i domowników w każdém waszém położeniu, i w każdéj przygodzie życia. Tu zachodzą ważne przestrogi i prawidła i dla tych, którzy chodzą około waszego oświécenia, i dla was samych. Przyrodzenie udarowało człowieka siłami ciała, i siłami umysłu, które mają swoje pory wschodu, wzrostu, dojrzałości, a wreszcie upadku i niknienia. Znajdujecie się w porze pracy i uprawy, otoczonéj licznemi niebezpieczeństwy; jeżeli w wydobywaniu, ćwiczeniu i w doskonaleniu waszych sił nie zachowa się pewny porządek, pewna miara i proporcya, i rozsądna harmonia, czyli zgoda sztuki z przyrodzeniem. Bo, jeżeli damy wygórować siłom ciała z zaniedbaniem i przytłumieniem władz umysłowych; usposobimy ludzi do twardych prac ciała w życiu społecznem, klassę niezmiernie ważną i potrzebną: ale tę sztukę rozciągnąwszy na całe towarzystwo, prowadzimy naród do zdziczałości. Jeżeli znowu zawcześnie i nadto damy bujać władzom umysłu z zaniedbaniem sił ciała; tworzyć będziemy mądre dzieci, a niedołężnych ludzi z niedolą indywidualną i krajową. W doskonaleniu jeszcze rozlicznych władz duszy pielęgnować jednę, a zostawić odłogiem drugie, jestto mnożyć półmędrków, pedantów, albo zagorzalców i uczonych szaleńców.

Rozsądne więc kierowanie młodością, porządne nauk rozłożenie i poddawanie jest piérwszym warunkiem gruntownego oświecenia i dobrego wychowania. Zkąd łatwo wyprowadzić i niebezpieczeństwa instrukcyi prywatnéj, i pożytki szkół publicznych, i potrzebę, aby w bieg i porządek nauk pilnie wglądała zwierzchność krajowa. W ciele czérstwém i zdrowém umysł obeznany z własnościami rzeczy, umiejętnie i trafnie o nich sądzący, głębokie czucie sprawiedliwości, skłonne do uniesień uczciwych i szlachetnych, miłość prawdy i porządku, nawyknie-

nia przyjemne, obyczajne i cnotliwe, oto są owoce dobrze usposobionego przez instrukcyą człowieka. Żebyśmy wyszli na takich ludzi, potrzeba ze strony waszéj pracy i usilności. Próżniactwo jest nie tylko szkodliwą przywarą młodości, ale obrócone w nałóg, jest jeszcze na całe życie gniazdem wielu nieszczęść, zdrożności i zbrodni w towarzystwie: czego dowodzą i obyczaje żyjących, i dzieje wszystkich narodów. Przez nie człowiek wszystko w sobie doskonalić zaniedbuje, staje się niewdzięcznym twórcy i przyrodzeniu, zakopując dary ciała i umysłu, wyrasta na nieużytecznego, a częstokroć na szkodliwego członka społeczności, przywyka do opuszczania i do lekceważenia obowiązków, od których nikt w życiu wolnym być nie może, gotuje sobie nudę, nieodstępną całego życia męczarnią i towarzyszkę, od któréj uciekając, rzuca się w nałogi i roztargnienia, rujnujące jego zdrowie, fortunę, a czasem dobrą sławę i uczciwość. Nie trzeba się więc dziwować, że piérwszy a surowy Ateńczyków prawodawca, Drako, położył próżniactwo w liczbie najszkaradniejszych zbrodni, i na nie, jak na ojcobójstwo, równe kary rozciągnął.

Praca i usilność doprowadzi was do pomyślności w robotach, a pomyślność do polubienia nauk. Jest zaś pomyślnością w nauce każda pokonana trudność, każda nowa myśl i postrzeżenie odkryte zagłębioną uwagą, każde czyste i szczęśliwe rzeczy poznanych wystawienie: co wszystko ćwiczy pojęcie i talent, napełnia nas rozkoszą i pociechą, zapala chęcią do nowych usiłowań, tak, że praca pomyślna rodzi z siebie i miłą nadgrodę, i dzielne nadal zachęcenie. Do osiągnienia téj pomyślności trzeba czuć szacunek czasu, i wprawiać się w gospodarne jego użycie. Bez tego prawidła można się dużo krzątać i trudnić, a nic pożytecznego nie zrobić: co prowadzi do marudztwa, do trwonienia sił, zdrowia i życia. Człowiek z przepisu natury jest stworzeniem czynném; jego siły i władze raz odsklepione i wydobyte potrzebują ruchu i użycia. Zmordowanie jednéj a niezaspokojenie drugiéj sprawuje nieprzyjemność. Przez niebaczność na to prawidło w urządzeniu czasu do pracy i spoczynku, do zatrudnień i zabaw, zaprawiamy spoczynek tęsknotą, zabawę nudą, pracę udręczeniem, a rozrywkę niesmakiem. Życie więc przyjemne, swobodne i użyteczne, ile to od nas tylko zależy, ledwo nie zupełnie jest wypadkiem dobrze urządzonego czasu. Przez zachowanie tego przepisu byłoby w sprawach domowych więcéj porządku, w obowiązkach więcéj

dokładności, więcéj korzyści w pracy i zabiegach, w naukach więcéj zgruntowanych rzeczy, w zabawach i rozrywkach więcéj przyjemności. W wieku waszym, który jest porą uprawy i zarobku, starajcie się nie tracić go marnie. Trwoni się czas zaprzątaniem głowy urojeniami obcemi nauce, opuszczeniem chwili, w któréj myśl jest swobodna i do pracy ochocza, odkładaniem robót na ostatni moment, a potém nagłém ich i bez dostatecznéj uwagi wykonaniem: trwoni się czas nieporządném pracy rozłożeniem, przelatywaniem częstém i nagłém od jednego rodzaju robót do drugiego. Taki nieład pracy, nie prowadząc do żadnéj pomyślności i zarobku, nie może do niczego przywiązać. Niémasz zaś biédniejszego stworzenia, jak człowiek młody, do niczego nie przywiązany. Wszystko mu się wydaje obojętne i nudne: dorywcze zabawki są tylko dla niego przemijającém roztargnieniem na zgubę czasu. Dla niego świat cały trzeba żeby jak Proteusz ustawicznie się odnawiał i przemieniał, żeby latające jego żądze mógł rozerwać, i zatrzymać. Do uniknienia téj zgubnéj przywary trzeba szanować czas, i być rządnym w jego użyciu. Nie przestawajcie na tém, co usłyszycie od nauczycielów, albo co przeczytacie w książce, ale starajcie się to pilnie sami rozważyć i opisać; bo dobrze powiedział Bakon, że czytanie czyni człowieka zamożnym, obcowanie rozmownym, a pisanie dobitnym i gruntownym. Tą drogą nie tylko odniesiecie rzetelną z nauki korzyść, ale jeszcze nawykniecie zmłodu do pracowitości, która jest zbawiennym na resztę życia, i najpiękniejszym przymiotem dobrze wychowanego człowieka.

Powinienem was jednak ostrzédz, że złość, przewrotność, szkodliwa a wygórowana namiętność są także pracowite. Wytężona duma i chuć panowania, niepowściągniona żądza znaczenia, chciwość nieumiarkowana dostatków, pieniactwo z całą czeredą szalbiérstwa i wykrętarstwa, wyuzdana zazdrość i zawziętość, w jakież nie rzucają się trudy, mozoły i niebezpieczeństwa, żeby mnożyć cudze nieszczęścia, uciski i niepokoje? Młode wasze i niewinne serca, wzdrygnąwszy się na te okropne zdarzenia świata, tém mocniéj zapalać się powinny do dobrego. Przyrodzenie wśród nadobnych stworzeń wydaje także potwory i straszydła, a towarzystwo ludzkie ciérpić musi klęski zaniedbanego wychowania, i złego prawodawstwa. A jeżeli są ludzie, będący biczem i obelgą społeczności; są także drudzy, będący jéj przykładem i ozdobą: tamtych ściga wśród samych powodzeń przeklęctwo i pogarda, tych otacza cześć, błogo-

sławieństwo i szacunek. Dobroczynne nauk światło, prawe i nieskażone wasze skłonności nie dadzą wam zapewne zboczyć z drogi honoru i cnoty: a spotykane w towarzystwie występki ostrzegają nas, że kiedy źli pracują na hańbę i pogardę, wy pracować macie na dobrą sławę i szacunek, a zatém, że podnietą pracy być powinna żądza szlachetna i uczciwa, wam samym i społeczności pożyteczna. Pracujcie na to, żebyście wspiérali, zdobili i uzacniali swój naród gruntownemi wiadomościami, dojrzałym rozsądkiem, okazałością talentów, i niepokalaną wiernością prawom honoru, sprawiedliwości i cnoty. A jeżeli byli i są ludzie, których imię i wspomnienie jest zawstydzeniem: niech imiona wasze staną się jego chlubą i zaszczytem. Obmyślił wam do tego w instrukcyi publicznéj sposoby wspaniałomyślny monarcha: budujcież mu na waszych korzyściach z nauk, na waszych sprawach, cnotach i talentach pamiętnik nieśmiertelny wdzięczności.

48. Jędrzej Sniadecki.

Doktor medycyny i filozofii, mąż znany uczonemu światu, urodził się w wielkiém księstwie Poznańskiém, we wsi rodzicielskiéj pod miastem Zninem dnia 30. listopada roku 1768. Nauki początkowe odbył w Trzemesznie, zkąd do krakowskich szkół oddany, celował bystrością i wielkim zapałem do pracy. Roku 1787. król Stanisław przytomny na popisie, uznając Jędrzeja Sniadeckiego zdatność i pilność, udarował go złotym medalem z napisem: *Diligentiae*. Po ukończeniu z wielką chlubą nauk gimnazyalnych w Krakowie, rozpoczął tamże nauki lekarskie, i przykładał się do takowych przez trzy lata z największą gorliwością. W zamiarze dalszego się w naukach lekarskich wydoskonalenia opuścił Jędrzej Sniadecki roku 1791. Kraków, udając się przez Wiedeń do Pawii, gdzie pod stérem Galwaniego, Wolty, Spałanzaniego, *Moscati*, i Jana Piotra Franka, blizko przez dwa lata doskonalił się w rzeczy lekarskiéj. Tu obeznał się uczony Jędrzej Sniadecki z doświadczeniami Galwaniego, które nawet sam w liście do swego brata, Jana, z Pawii dnia 12. kwietnia roku 1792. datowanym obszérnie opisał. Roku 1793. dnia 16. maja, złożywszy Jędrzej Sniadecki w Pawii przepisane examina, uwieńczony został stopniem doktora medycyny i filozofii: poczém opuścił Pawią, chcąc się udać do Paryża dla wydoskonalenia się w chemii pod sławnym *Fourcroy*, i w chirurgii; lecz z powodu burzliwéj wojny nie mógł tego dopiąć, i dlatego z niebezpieczeństwem życia puścił się do Londynu, gdzie nie bez wielkich korzyści czas przepędził, mając przez Bukatego, posła polskiego do zwiedzenia wszelkich zakładów naukowych przystęp ułatwiony. Z Londynu przeniósł się nasz, naówczas znakomitą już sławę posiadający Snia-

decki do Edynburga, gdzie szkoła lekarska najpiérwszych uczonych owego czasu posiadała, jakoto: *Gregory, Monroe, Duncan,* których wszystkich przyjaźń i zamiłowanie genialny Sniadecki wkrótce sobie zjednał. Pod takimi sławnymi professorami wydoskonalił się głęboko młody ten lekarz w sztuce lekarskiéj, i nabrał bardzo wiele doświadczenia. Szkoci chcieli Jędrzeja Sniadeckiego wysłać do Kompanii Wschodnio-Indyjskiéj jako lekarza, czego jednakowoż nie przyjął.

Wracając Jędrzej Sniadecki do Polski, zwiédził jeszcze Anglią północną i i środkową, a roku 1795. Londyn, potém Hollandyą, Wiédeń. Z Wiédnia wezwany ten uczony mąż na professora chemii i farmacyi przy akademii wileńskiéj, dokąd przybywszy, otworzył roku 1797. kurs tych nauk, i doprowadził swoją głęboką znajomością rzeczy do najwyższego stopnia zamiłowanie słuchaczy. Za staraniem tego uczonego męża zaczęto roku 1805. wydawać Dziennik wileński, do którego wiele rozpraw lekarskich i chemicznych napisał. Roku 1806. mianowany był Jędrzej Sniadecki prezesem nowo założonego cesarskiego towarzystwa medycznego w Wilnie.

Pomimo tylu zatrudnień naukowych nie wzdrygał się niéść pomoc lekarską rannym w szpitalach wojskowych, zaco w darze otrzymał od cesarza Alexandra pierścień dyamentowy, a poźniéj stopień kollegialnego radcy. Rząd nadał mu roku 1816. stopień radcy stanu. Przez 25 lat sprawując z jak największą gorliwością urząd professora chemii przy uniwersytecie wileńskim, wziął nareszcie roku 1822. uwolnienie ze służby jako emeryt; lecz zaledwo dwa lata upłynęły, a już był Jędrzej Sniadecki powołany na professora kliniki lekarskiéj przy tymże uniwersytecie, któremuto powołaniu jak najchlubniéj odpowiedział; zpod jego albowiem mistrzowskiego przewodnictwa wyszli biegli i dla kraju użyteczni lekarze. Po zamknięciu uniwersytetu wileńskiego a utworzeniu medyko-chirurgicznéj akademii w Wilnie, Jędrzej Sniadecki objął roku 1832. nanowo katedrę professora kliniki medycznéj. W dowód szacunku i uznania zasług tego niezmordowanego w pracy męża rząd zaszczycił go rozmaitemi orderami i tytułem akademika, co było najwyższym zaszczytem przy akademii wileńskiéj. Tak przepędziwszy ten wielki mąż, który był i będzie zaszczytem i chlubą dla narodu polskiego, cały swój żywot na pracy literackiéj, zakończył życie pełne sławy dnia 11. maja roku 1838. Zwłoki jego pochowane są we wsi Bołtup, w powiecie oszmiańskim, milę od Oszmiany.

Zbiór wszystkich pism Jędrzeja Sniadeckiego porozrzucanych po rozmaitych pismach czasowych, z wyjątkiem *Teoryi jestestw organicznych i chemii*, zebrał i wydał w sześciu tomikach, *w Warszawie nakładem Augusta Emanuela Glücksberga r. 1840, a drukiem M. Frydlendera w Wrocławiu, Michał Baliński.* T. I., II. i III. obejmują pisma lekarskie, inne zaś tomy rozmaite pisma tego pełnego nauki i dowcipu męża z popiersiem autora.

O dziele Teorya jestestw organicznych uczony Michał Baliński słusznie się w następujący sposób wyraża: „Wszystkie jednak tytuły niezaprzeczone Jędrzeja Sniadeckiego do sławy i wdzięczności rodaków, prześcignęła da-

leko pod względem powszechnego użytku w rozszérzeniu granic umiejętności fizycznych i lekarstw Teorya jestestw organicznych, dzieło, któremu najpiérwsi uczeni cudzoziemscy nie wahali się przyznać prawdziwie genialnych widoków w fizyologii. Ogłoszenie tomu piérwszego Teoryi postawiło go od razu w rzędzie najznakomitszych fizyologów, i w całéj Europie imię jego głośném uczyniło. Piérwszy tom tego wielkiego utworu wyszedł w Warszawie roku 1804. Wystawił w nim autor ogólny widok praw organizacyi życia istot ożywionych; ustanowił początki i zasady, na których teorya jestestw organicznych ma się opiérać; rozważył z rzadką przenikliwością cały bieg życia materyalnego zwiérząt i roślin, wykładając właściwym sobie sposobem działanie i wpływ różnych ciał w naturze na jestestwa, życiem organiczném obdarzone.“

W Tomie II.*) rozbiéra autor szczególną fizyologią organizmu ludzkiego.

Na język niemiecki było to dzieło przetłumaczone, i pod następującym tytułem wydane: A. Sniadecki's Theorie der organiſchen Weſen, aus dem Polniſchen überſetzt von J. Moritz. Königsberg bei Unzer 1810. Inne tłumaczenie niemieckie jest jeszcze: A. Sniadecki's Theorie der organiſchen Weſen aus der polniſchen Urſchrift von Andreas Neubig Dr. der Philoſophie, königl. Profeſſor und Rector des Gymnaſiums zu Hof in Ober-Mainz-Kreiſe überſetzt. Nürnberg 1821.

Na język francuzki było przełożone przez *Bellard* i *Decaix*, lekarzy wojskowych, którzy nie tylko język polski, ale i samego autora znali, i wydane pod tytułem: *Théorie des êtres organisés. Paris chez Gabon et Comp. 1825.*

Ludwik Gąsiorowski.

A) Teorya jestestw organicznych, Tom I., w Warszawie r. 1804.

1. Wstęp.

Wszystkie rzeczy przyrodzone, których zmysły nasze dostrzegać mogą, na dwa wielkie podziały rozłożyć się dają. W jednym z nich widzimy ciała bezwładne, zajmujące miejsce, i wszystkim popchnięciom zewnętrznym równie posłuszne, ale same, w sobie żadnego wewnętrznego ruchu, żadnego źródła odmian nie mające, a zatém takie, że i same przez siebie exystowaćby mogły, i zostawione sobie samym, w nieskończone pasma wieków trwaćby nienaruszone i niezmiennne musiały. Takowe ciała zaj-

*) Wyszedł roku 1811: powtórne zaś wydanie całego dzieła w trzech tomach wyszło w Wilnie roku 1838.

mujemy pod nazwiskiem ciał martwych. W drugim wydziale widzimy ciała takie, w których oczywiście wewnętrzny jakiś ruch i pasmo ciągłych odmian ma miejsce; widzimy, że exystencya tych ciał jest przemijająca, że się poczynają, rosną, do pewnéj doskonałości dochodzą, i nareszcie giną, zostawując po sobie, i z siebie wydając ciała inne sobie podobne, które ich zastępują miejsce. Takowe ciała nazywamy ożywionemi, żyjącemi, lub przez wzgląd na ich ukształcenie organicznemi.

Istotna między ciałami żyjącemi i nieżyjącemi różnica jest ta, iż te ostatnie znajdują się w doskonałym stanie spoczynku, i dlatego oddzielone od wpływu ciał innych, pasmem wieków swój właściwy i charakterystyczny stan zachowują: drugie znajdują się w stanie ruchu, który za wyłączeniem ich od ciał innych natychmiast ustaje nazawsze, i nigdy rozpoczętym nanowo być nie może. Cała treść następującéj nauki różnicę tę jak najjaśniéj okaże.

Ciała organiczne dzielić zwykliśmy na dwie klassy, z których jednę oznaczamy imieniem roślin, drugą imieniem zwierząt. W piérwszéj ciała te przywiązane są do miejsca, w którém rosną, doskonalą się, wydają owoc, i giną, nie mając władzy przenoszenia się same przez się z tego miejsca na inne: dla drugich wolne są poruszenia, mocą których położenie swoje i miejsce odmieniać według poruszeń zewnętrznych lub wewnętrznych mogą. W ciągu téj nauki okaże się, iż rośliny przywiązane są do ziemi, powietrza i wody, zwiérzęta do ziemi, powietrza, wody i roślin.

Mówimy nadto, że wszystkie jestestwa organiczne żyją. Życie to w całym ożywionym świecie zależy na wzroście i doskonaleniu się organizowanych jestestw, przez przybiéranie sobie, i wyrabianie szczególne niektórych ciał otaczających; w niektórych nadto roślinach i w zwiérzętach wszystkich na poruszeniu i czuciu. Niektórzy nawet poruszenie i czucie do samych tylko zwiérząt ograniczyć chcieli; lecz niesłusznie, gdyż ruch oczywiście i w roślinach ma miejsce, lubo nie we wszystkich równie widoczny. O czuciu innych jestestw zaledwo z jakąśkolwiek pewnością sądzić możemy. Wreszcie wyobrażenie czucia wzięte jest z nas samych, i zastosowane do zwiérząt, w których fenomena życia bardzo są do naszych podobne. Lecz fenomena życia roślinnego więcéj się od nas oddalają: a zatém gdyby nawet istoty te czuły, wszelako sposób, którymby czucia swoje wyrażały, musiałby

być całkiem różny od tego, jaki w nas samych postrzegamy, i jaki w zwierzętach widzieć się daje.

Dwa zatém są fenomena ożywionemu światu właściwe, tojest: organizacya, i życie. Obadwa lepiéj się czuć, niżeli opisać dają. Mamy ich w nas samych, mamy w tysiącznych otaczających nas jestestwach przykłady. Od czego zawisły, jakim są prawom i siłom przyrodzonym posłuszne, w ciągu następującéj nauki dochodzić mamy.

2. Ustanowienie ogólnych początków i zasad, na których teorya jestestw organicznych ma się opiérać.

Wszystkie ciała ożywione są częścią stworzonego świata, i jako część do całości swojéj należą. Wszystkie, pod uwagę naszę podpaść mogące, przywiązane są do kuli ziemskiéj, jako wchodzące do ogólnego jéj układu, a tém samém związane są ze wszystkiemi innemi ciałami ziemskiemi, które na ich stan i bytność wpływać koniecznie muszą. A tak, nie mogąc się z tych związków wydobyć, muszą najprzód wszystkim prawom fizycznym, ciałom ziemskim w powszechności służącym, ulegać.

Lecz oprócz tego najogólniejszego związku, który służąc materyi w powszechności, nic do samego życia nie należy, bliżéj daleko i mocniéj wiążą się ożywione jestestwa z innemi otaczającemi je ciałami przez to, iż żyć bez ich przytomności i pomocy nie mogą. Niemasz albowiem, jak nas powszechne i codzienne uczy doświadczenie, żadnego żyjącego jestestwa, któreby samo przez się od wzmiankowanych oderwane związków, zostać się przy życiu mogło.

Atoli nie wszystkie otaczające ciała tak mocny i oczywisty wpływ na ożywione istoty mają; owszem większa daleko ich część zdaje się całkiem żadnego z niemi nie mieć związku: a te, do których wpływu życie koniecznie jest przywiązane, są: powietrzo, woda, ciepło, światło i pokarmy. Pozbawiwszy jakąkolwiek istność żyjącą ich wszystkich razem, życie jéj kończy się natychmiast: lubo i każda z nich w szczególności przez usunięcie swoje równie nieuchronną zgubę ciągnie za sobą.

Ta prosta i każdemu żyjącemu pod zmysły podpadająca uwaga uczy nas, iż wzmiankowane istoty muszą mieć pewny na ciała ożywione wpływ, pewną czynność, mocą któréj

takowe skutki sprawować są zdolne. Ta czynność, jakakolwiek ona jest, może w każdym z wspomnionych ciał być szczególną, jemu tylko właściwą. W tém zaś wszystkie wspomnione ciała są sobie podobne, iż każde z nich równie jest do życia nieuchronne. Bez żadnego zatém na szczególne ich czynności względu uważając, iż w koniecznéj do życia potrzebie wszystkie się z sobą zgadzają, można im naznaczyć w umysle pewną władzę albo własność wspólną, którą władzą odżywiającą nazwiemy.

Ani może kto ustanowienie takowéj własności za nieugruntowane i niedowiedzione poczytać; gdyż ona w rzeczy saméj tyle tylko wyraża, iż istoty wzmiankowane potrzebne są do życia; a zatém wyraz ten nie sciąga się bynajmniéj do szczególnych czynności, jakieby też same istoty na ekonomią żyjącą wywiérać mogły; ale tylko postrzeżoną niewątpliwą prawdę o ich do życia potrzebie oznacza.

A lubo każde z tych ciał ma niewątpliwą władzę odżywiającą, wszelako ta władza nie w każdym z nich równie jest mocną. Światło naprzykład zdaje się nie tak być nieuchronnie do życia potrzebne, jak ciepło, powietrze, woda, i pokarmy, a zpomiędzy tych odjęcie wody i pokarmów nie tak prędko życie kończy, jak odebranie ciepła i powietrza. Inne władze odżywiające, niektórym tylko żyjącym jestestwom właściwe, zdają się mniéj jeszcze mieć na same życie wpływu.

Zdarzenie zatém to przyrodzone, albo raczéj zbiór ów zdarzeń czyli fenomenów w jestestwach ożywionych, do których przywiązujemy wyobrażenie życia, musi oczywiście być przynajmniéj po części skutkiem téj władzy, którą odżywiającą nazwaliśmy, a wszystkie istoty ożywione, ażeby życie zachować i utrzymać mogły, ciągle ożywianemi być powinny.

Przez wzgląd na materyą, w skład wszystkich ożywionych jestestw wchodzącą, tudzież na ich położenie, należy jestestwa te uważać za ciała fizyczne: a ponieważ i ciała odżywiające także niewątpliwie do istot fizycznych należą; więc życie w najogólniejszém znaczeniu będzie wypadkiem pewnych stosunków fizycznych, jakie między materyą martwą a ożywioną zachodzą, będzie pewnym exystowania materyi sposobem, i w niéj tylko miejsce mieć może *).

*) Ta uwaga należy tylko do życia fizycznego w scisłém znaczeniu, i nie spodziéwam się, ażeby był kto tak mało rozsądny, iżby to, i jakikolwiek

KATOLICKIE STOWARZYSZENIE ROBOTNIKÓW „PRZYJAŹŃ" W NOWYM SĄCZU

Wszelako sama istot odżywiających czynność życia nie stanowi; gdyż oprócz tego, że ich wpływ na inne ciała nieożywione podobnego nie sprawuje skutku, same nawet jestestwa żyjące, skoro raz choć na czas najkrótszy życie utracą, odżywianemi więcéj być nie mogą, i władze odżywiające zwyczajny swój wpływ zupełnie na nie tracą. Niémasz albowiem przykładu, żeby jakieżkolwiek jestestwo raz martwe, naturalnym sposobem powróciło do życia, tak, że do utrzymania życia i samo, że tak rzekę, życie jest potrzebne. Która uwaga tyle nas uczy, że czynność istot odżywiających nie na tém zawisła, ażeby jestestwom jakimkolwiek życie dawały, albo dawać mogły, ale na tém, ażeby w ciałach, którym raz jest nadane, i w których było rozpoczęte, utrzymywały je ciągle, i wygasnąć mu ani na moment nie pozwoliły, tak, że możemy raz na zawsze, następujący ogólny ustanowić początek, iż rozpocząwszy raz w jakiémkolwiek jestestwie życie, zachować go i utrzymywać inaczéj nie można, jak tylko przez nieprzerwany ożywionéj istoty z ciałami zewnętrznemi odżywiającemi związek.

3. Zagrzebanie materyi odżywnéj we wnętrznościach ziemi: jéj na powiérzchnią powrót.

Natura, która jedném swojém dziełem wielu razem największym zadość czyni zamiarom, częstokroć ogromne istot organicznych, lub ich zwłok massy pasmem wieków w wnętrznościach ziemi grzebie i ukrywa. Oprócz tego albowiem, że cała powiérzchnia kuli naszéj warsta całkiem niemal istotom organicznym winna swój początek, i ze zwłok ich nawpół rozrobionych po większéj części się składa, nieskończone istot takowych, lub pokruszonych ich części mnóstwo codziennie się dosyć głęboko pod ziemię dostaje. Morze, obléwając większą część ziemi, nieokréślone mnóstwo istot organicznych w sobie mieści, które codziennie kończąc kres życia swojego, na dnie się morskiém gromadzą, i nawzajem z sobą mięszają. Oprócz tego, wszystkie wody powiérzchnią ziemi obmywające: deszcze, wylewy, potoki, zbiégając się do wspólnych koryt czyli rzék, zewsząd części organiczne, lub ich ułamki w znacznéj obfitości z sobą

---

inny wniosek następującéj nauki mógł do tego stosować, co nam religia o życiu duchowém objawia.

toczą, i do morza spławiają, którego dno wyściela się zwolna takowemi pokładami. Dodać należy, że taż sama woda razem przynosi i składa ułamki gór i koryt rzecznych, przezco dno morskie podnosi się zwolna i nieznacznie, kiedy wyniosła powiérzchnia ziemi coraz się bardziéj zniża. Ztąd wypada, że morze po upłynieniu wielu wieków, przymuszone jest dawne swoje siedliska opuszczać, i coraz inne części ziemi zalewać, a im większa była w miejscach, które niegdyś zalewało, wody głębokość, tém osadzone najprzód istot organicznych zwłoki głębiéj się w ziemi pochowane znajdą. Do téj codziennéj, lecz nieznacznéj pracy wody przydać należy nagłe i ogromne rewolucye, którym ziemia nasza po kilkakroć, jak się zdaje, ulegała. Do takich rewolucyj liczyć należy nagłe i obszérne wystąpiene wód z swoich brzegów, czyli potopy, obszérne i gwałtowne trzęsienia ziemi, wichry, czyli gwałtowne poruszenia atmosfery, przez które częstokroć całe lasy pokładane bywają, i t. p.

Takowe składy organiczne, bądź na dnie morskiém osiadające, bądź przez gwałtowne wzburzenia ziemi w jéj przeniesione wnętrzności, znajdują się w zupełném niepodobieństwie doświadczenia dobrowolnego rozkładu. I temperatura albowiem miejsc, w których osiadają, nadto jest nizka*), i przystęp powietrza niepodobny. Zaczém wodą zalane, jéj tylko jednéj, i niektórych istot kopalnych poblizkich doświadczać mogą czynności. Woda wszystkie najprzód słodkie, kléjowate, solne, i extraktowe części w sobie rozpuszcza i unosi; potém zwolna części włókniste odmiękcza, rozrabia, drobni i rozprasza; przezco części roślinne i zwiérzęce przywodzą się zwolna do samych olejów, żywic, siarki i tłustości, na które woda żadnéj nie ma mocy. Takowe piérwiastki żywiczne i tłuste, ostateczne zepsutych istot organicznych w królestwie kopalném zabytki, znajdujące się w tychże samych, lub poblizkich pokładach istoty ziemne napawają i przejmują, albo zgromadzając się na dnie twardém i skalistém, tu i owdzie z wodami razem na powiérzchnią ziemi wytryskują. I ten jest prawdziwy początek tak zwanego węgla ziemnego, i wszystkich tłustości ziemnych. Że ciała te kopalne niczém się istotnie od olejów i żywic nie różnią, a zatém z tego samego źródła pochodzą, pokazuje ich rozkład chemiczny. Że zaś przez takowe psucie jestestw organicznych zapomo-

*) Temperatura ta jest statecznie + 10° *Réaumur*'a.

cą wody z tłustościami i żywicami razem wydobywa się znaczna część siarki; zatém nie dziw, iż we wszystkich pokładach węgla ziemnego tak wielka się znajduje obfitość pirytu.

Te zabytki jestestw organicznych w królestwie kopalném tak są w czasach naszych obfite, iż, wyjąwszy samo jądro kuli ziemskiéj, które całkiem z granitu uformowane się być zdaje, reszta ziemi zupełnie się z warst, w pamiątki organiczne mniéj lub więcéj bogatych, oczywistego dzieła wody, składa. Węgiel ziemny wszystkie inne tłustości mnóstwem przechodzi, tak, że ledwo jest kraj jaki, któryby w pewnéj głębokości ziemi w wielu miejscach ciałem tém nie był podesłany. Tak wielkie zaś mnóstwo ciał tłustych i zapalnych pomiędzy warstami ziemi ukrytych, a szczególnie pirytów, które wszędzie w takowych pokładach nader są obfite, zapaleniu się niekiedy podpadać może. Ponieważ albowiem woda wszędzie się pomiędzy takowemi pokładami sączy i zbiéra, musi nakoniec sama rozkładowi ze strony pirytów podpaść. Tym sposobem kwasoród przechodząc do związku z siarką, opuszcza znaczną część materyi ciepła; przezco całe takowe pokłady rozgrzéwają się zwolna. Wzbudzone ciepło tém bardziéj rozpoczęty rozkład wody przyspiesza, przyspieszony tém większe i gwałtowniejsze wzbudza ogrzanie. Wszystkie te odmiany nieznacznemi wzmagają się stopniami, aż nakoniec ogromne owe istot zapalnych magazyny rozgrzéwają się mocno, całą znajdującą się przy sobie wodę albo rozkładają, albo zamieniają w parę, i jeżeli naówczas otworzą sobie kommunikacyą z morzem, jeziorami, lub znacznemi rzékami, rozpalenie ich, rozkład, i zamiana w parę wody posuwają się nagle do najwyższego stopnia. Naówczas uformowana niezmierna gazu wodorodnego i pary wodnéj ilość, nie mogąc się w żadnych podziemnych wydrożeniach, rozpadlinach i jaskiniach pomieścić, nieopisanym, nieograniczonym, zaledwo pojętym gwałtem na wszystkie się strony rzuca i rozpiéra, naujuporczywsze i inaczéj nieprzełamane przeszkody targa i roznosi, całe wnętrzności ziemi wstrząsa i kołysze, całą jéj powiérzchnią porusza i trzęsie, a natężając usiłowania swoje w proporcyi oporu, wszystko nakoniec łamie, rozrywa i znosi, dopóki sobie na powiérzchnią ziemi wolnéj nie utoruje drogi. Tak dopiéro, otworzywszy powietrzu atmosferycznemu wolny do ogromnych owych zapalnéj i rozżarzonéj materyi składów przystęp, całe wnętrzności ziemne płomieniem zapala. A tu przez wzmaganie się je-

szcze większe mocy ognia, zamiana wody w parę i formowanie się gazu wodorodnego natęża się i rośnie; przezco nowe częstokroć powstają trzęsienia, znaczną powierzchnią ziemi, prowincye, państwa niekiedy całe zajmujące, dopóki sobie uformowane istoty lotne do piérwszego ogólnego otworu wolnéj nie utorują drogi. Tutaj zaś znosząc i gromadząc to wszystko, cokolwiek im opór czynić mogło, mnóstwo ognia, wody, popiołów, ziem, kamieni, ciał stopionych, lub nawpół ogniem strawionych z niezmiernym hukiem i impetem na wiérzch wyrzucają. Piérwsze takowe gazu wodorodnego i pary wodnéj do wybuchnienia usiłowania dają początek trzęsieniom ziemi, samo wybuchnienie wulkanom.

Do trzęsienia zatém ziemi dosyć jest, ażeby woda, warsty pirytów lub węgla ziemnego w piryt bogatego obmywająca, rozłożyła się po części, i początek gazowi wodorodnemu dała; do wulkanów i przystęp powietrza jest potrzebny. I ponieważ rzadka jest część ziemi, któraby w głębszych swoich warstach pirytów i węgla ziemnego nie miała; dlatego i trzęsienia ziemi wszędzie się zdarzyć mogą, i wulkany albo się w każdéj części ziemi znajdowały, albo pokazać się na przyszłość mogą. Jakoż w saméj rzeczy, każda część kuli ziemskiéj ma swoje wulkany, że nic nie wspomnę o wygasłych, których ślady w każdym niemal kraju natrafić można.

Trzęsienia ziemi naówczas się tylko zdarzyć mogą, kiedy uformowane pod ziemią istoty lotne wyjścia wolnego nie mają; dlatego albo bywają w miejscach od wulkanów odległych, i wybuchnienie ich kiedyżkolwiek obiecują, albo w miejscach blizkich wulkanów: jeżeli zniesiona jest przypadkiem miejsc tych z otworem wulkanu kommunikacya, naówczas samo wybuchnienie poprzedzają, i nim się kończą.

Ta nauka wszystkie fenomena wulkanów jak najjaśniéj tłumaczy, lubo w tém miéjscu wchodzić w żadne obszérne tłumaczenia nie mogę.

B) Mowa o niepewności zdań i nauk, na doświadczeniu fundowanych, przy otwarciu nauk w szkole głównéj litewskiéj z roku 1799. na rok 1800. (Tom III).

Taki jest chwalebny, wprowadzony do téj prześwietnéj szkoły głównéj zwyczaj, ażeby jeden z jéj członków corocznie rozpoczęcie

nauk uczoném pismem otwiérał. Do czego kiedy się wam, przezacni kolledzy, dzisiaj mnie wezwać podobało; winienem naprzód publiczną za ufność, którą niezdolność moję zaszczycić raczyliście, oświadczyć wdzięczność, winienem oraz zamówić sobie łaskawe oświéconych słuchaczów zdanie. Gdyż mówić do zgromadzenia uczonych, wszystkie wydziały umiejętności przez szczegóły obéjmujących, do mężów, z których każdy wiek swój szczególnéj jakiéjś nauce poświęcił, i w niéj się uczonéj publiczności godnym szacunku okazał, ważném zapewne i trudném być musi przedsięwzięciem. Rozumiém zaś, iż lepiéj zamiarowi mojemu zadosyć uczynić nie mogę, jako gdy to za cel mowy mojéj wybiorę, co wszystkie nauki równie, a zatém i nas wszystkich interesować potrafi.

Wiadomy wam jest, oświéceni słuchacze! początek, wzrost, zamiar i los wszystkich umiejętności. Mają one piérwsze swoje początki, dzieciństwo i piérwszą młodość: a usiłowaniem uczonych wszystkich wieków było, jest, i będzie doprowadzić je do zupełnéj dojrzałości. Człowiek od piérwszego początku exystencyi swojéj czuje, postrzega i sądzi, i tym sposobem przychodzi do poznania rzeczy. Czucie więc, i władza myślenia, czyli, jak mówią, doświadczenie i rozum, miane są za jedyne wszystkich naszych wiadomości źródła. Od najdawniejszych czasów ścisła nad samym sobą uwaga nauczyła człowieka, iż nie zawsze bez błędu na wyrokach ludzkiego umysłu polegać można; a uczeni starali się pewne rozumowaniu przepisywać granice, za które w naukach wykraczać nie godziło się. Ale nie pojmuję, dlaczego ciż sami, którzy władzę myślenia tak surowemi obostrzyli prawidłami, przypisywali zupełną niemylność doświadczeniu, i jego się wszędzie nieodstępnie trzymać kazali. Nie tykając albowiem bynajmniéj nauk moralnych, które nie mogą być celem zastanowienia mojego, widzę, iż wszędzie w naukach fizycznych i kunsztach doświadczenie miane jest za jedyne nieomylne źródło wszystkich wiadomości naszych; że go się wszędzie nieodstępnie trzymać tak dawniejsi, jako i najnowsi uczeni każą, i że cały niemal rodzaj ludzki zgadza się jednomyślnie na to, iż wszędzie rozum przed doświadczeniem milczéć powinien. Nie śmiałbym przeciw tak powszechnemu powstawać mniemaniu, gdybym nie mówił do światłych i na złamanie każdego szkodliwego przesądu gotowych mężów, i gdybym nie był zupełnie u sie-

bie przeświadczonym i o błędzie takowego zdania, i o ciężkim uszczerbku, jaki ztąd nauki odnoszą. Rozważając albowiem częstokroć sam w sobie smutną niepewność wielu naszych wiadomości fizycznych, i starając się wchodzić ile możności w jéj przyczyny, zdawało mi się, jakoby większą ich część przesąd, o którym mówię, obéjmował. Przeświadczony jednakże, że obserwacya i doświadczenie, na prawidłach zdrowéj krytyki wsparte, są piérwszém źródłem wiadomości naszych, nie chciałbym dać przyczyny mniemaniu, jakoby ich zupełnie w naukach fizycznych odstąpić należało, będąc owszem przekonany u siebie, że każda takowa nauka od nich się zaczynać, i na nich zasadzać powinna; ale że doświadczenie jest nieomylne, że pewność przez nie nabyta, większa jest od téj, którą nam czysty rozum odkrywa, a za tém że wszędzie rozum przed doświadczeniem milczéć powinien, jest mniemanie błędne, które starać się będę wywrócić.

Ponieważ uwagi takowe do wszystkich się fizycznych nauk rozciągają zarówno, zatém wszystkie te nauki mniéj lub więcéj celem zastanowienia się mojego będą, z szczególniejszym jednakże względem na te, któréj uczenie w téj prześwietnéj szkole głównéj mnie jest poruczone.

Wszędzie przesądy i uprzedzenia trudne są do pokonania, ale zawsze najtrudniejsze w naukach; nikt albowiem więcéj nad uczonych zdań swoich cenić i poważać nie umié. Jednakże często wyśliźnie się zpod uczonego pióra nieostrożna opinia, która zwolna albo ujmując, albo ślepo za sobą pociągając, rośnie, i zamienia się nieznacznie naprzód w zdanie większéj części, potém podnosi się nagle i rozszérza, a nakoniec staje się mniemaniem powszechném, które zuchwale osiada tron prawdy, i wkłada na nią obowiązek milczenia. Ten jest statecznie początek, wzrost i los fałszywych mniemań, któremi nauki zarzucane bywają, a z których się zaledwo w poźnych wiekach otrząsnąć mogą. Niémasz zaś przesądu, któryby dawniéj i powszechniéj uczonemi umysłami władał, nad ów, który zdaniom, doświadczeniem nabytym zupełną przypisuje pewność. Wszyscy odwołują się jednostajnie do obserwacyj, do doświadczenia, do faktów, i niemi naczęściéj przytłumiają głos zdrowego rozsądku, a nikt się nie zastanowi, czyli doświadczenia, obserwacye, i tak nazwane fakta dają nam pewność taką, którąby wszędzie głos rozumu była w stanie przytłumić. Wziąwszy albowiem doświadczenie pod rozbiór, jeżeli je uważam teoretycznie

tylko; wszakże doświadczenie jestto czuć, czyli odbierać impressye od objektów zapomocą zmysłów: czucie jestto wypadek z akcyi objektu, czucie sprawującego, na zmysły czyli czułość naszę. Takowy tedy wypadek, będąc złożonym, nie może nigdy być w stosunku prostym objektu, ale w stosunku złożonym objektu i czułości. Zkąd wywypada, że nigdy nie będziemy czuć i pojmować rzeczy tak, jak w istocie swojéj exystują, ale tak, jak nam exystencyą ich czułość nasza wystawia. Aże władza czucia, jak wszystkim wiadomo, nieograniczonemi sposobami odmienianą i modyfikowaną być może; więc i pewność tym sposobem nabyta, wątła i najniestalsza być musi. W saméj istocie, niémasz żadnego rodzaju czucia, żadnego objektu obserwacyi i doświadczenia ludzkiego, na któreby się wszyscy jednostajnie zgadzali: każdy czuje i postrzega swoim sposobem. Więc pytam się, czyli z różności téj i niezgody może wyniknąć jakażkolwiek pewność? Że zaś o samę tylko pewność w naukach nam chodzi, więc wypada, że jéj tam nigdy nie będzie, gdzie się wszystko na doświadczeniu funduje. Wreszcie, ażeby obserwacya i doświadczenie były pewnemi i częstemi źródłami wiadomości naszych, gdyby nam dawały poznać prawdziwą naturę i sposób exystowania rzeczy; czegożby nas nauczyć mogły, jeżeli nie saméj tylko historyi ciał i fenomenów, któreby się nam postrzegać i doświadczać zdarzyło, którato historya, kończąc się na szczegółach, niczém nawzajem nie sklejonych, i do niczego nie przystosowanych, byłaby tylko nieużytecznym ciężarem pamięci; gdyż osądzić, rozróżnić, zastosować i użyć wypadków doświadczenia i obserwacyi, postrzeżenia takowe w jedno ciało złączyć, i do jednéj wspólnéj odnieść przyczyny, jest dziełem samego rozumu. Doświadczenie, potém i obserwacya zgromadzać tylko i rzucać materyały mogą, z których sam dopiéro zdrowy rozum budować naukę potrafi. Cała tedy budowla nauk jest jedność, piękność, przystosowanie do użytku są dziełem umysłu ludzkiego, i jeżeli w nich pewność i gruntowność jaka być może, jego podobnie dziełem być musi, a doświadczenie tak jest dalekie od dania lub powiększenia pewności w naukach, że gdzie się tylko jego potrzeba nieuchronna przyłączy, tam pewność objektów umysłowych zmniejsza się statecznie. I w saméj rzeczy, rzućmy tylko okiem na znajome nam dzisiaj nauki fizyczne, i porównajmy pomyślność i wzrost tych, które są dziełem czystego rozumu, z owemi, które albo samo doświadcze-

nie, albo przynajmniéj po większéj części budowało, a postrzeżemy natychmiast, że kiedy piérwsze od dawnego już czasu do wielkiéj posunęło się doskonałości, drugie albo nie wyszły jeszcze z piérwiastkowéj niedołężności, albo bardzo mało postąpiły, i to tyle tylko, ile im czysty rozum dopomógł.

Matematyka, razem zaszczyt, podpora i rozkosz ludzkiego umysłu, dlaczegoż do tak wielkiego stopnia doskonałości, dlaczego wszędzie do tak dokładnéj, do tak nasycającéj, że tego użyję wyrazu, przyszła pewności, iż nie było jeszcze najkrzywszego umysłu, któryby się jéj wyrokom ważył sprzeciwiać? jeżeli nie dlatego, iż oderwana zupełnie od wszelkiéj doświadczenia potrzeby, i poruczona zaraz w piérwszych swoich piérwiastkach zdrowemu rozsądkowi w opiekę, na jego się wszędzie opiérała wyrokach, i nigdy z drogi prawdy zwróconą nie była ani mylnością i niepewnością zmysłów, ani doskonałością narzędzi i doświadczenia sposobów. Zpomiędzy nauk fizycznych te, które mogły się od doświadczenia oddzielić, i którym jedna powszechna i niewątpliwa prawda służyć mogła za zasadę, na któréj rozum wsparty językiem matematycznym, wszystko budował, stały się wkrótce i doskonalemi, i najpewniejszemi umiejętnościami. Taką widzimy dzisiaj astronomią, optykę i mechanikę we wszystkich swoich częściach. W naukach tych, które sam umysł ludzki tworzył, jedna prawda wiąże się jak najściśléj z drugą, jedna z drugiéj wypływa, i wszystkie razem służą sobie nawzajem za źródło i dowód. Przeciwnie umiejętności te, których wzrost i postępek samemu doświadczeniu i obserwacyi był zostawiony, albo powoli bardzo, i z trudnością wzrastały, albo dodziśdnia zarzucone tysiącznemi błędami, suppozycyami, okryte niepewnością, znieważone kłótniami i szykaną, noszą na sobie piérwiastkowéj niedołężności cechę. Pytam się albowiem każdego, bez uprzedzenia o rzeczach sądzącego: Jaka dziś jest pewność w meteorologii, magnetyzmie, elektryczności, fizyologii, patologii, i saméj nawet chemii? Wszystkie te nauki, które powierzyły się zupełnie doświadczeniu, długo naprzód będąc ubogie i szczupłe, poźniéj zawalone zostały teoryami, mnóstwem mniemań i arbitralnych przypuszczeń, i jeżeli się gdzieniegdzie czysty rozum nie przedarł, i podciągnąwszy doświadczenia pod swój sąd, śladów pra-

wdziwego światła po sobie nie zostawił, tedy dodziśdnia bardziéj są zbiorami i składami różnych mniemań i przywidzeń, niżeli prawdziwemi naukami.

A zacóż, pytam się z drugiéj strony, Newton, stwórca tylu najpiękniejszych prawd w fizyce, wszystkich natychmiast przekonanie uzyskał? Zacóż nikt wynalazków jego pod wątpliwość nie podciągnął? Cała przyczyna, zdaje się, w tém zamykać i kończyć, że Newton, mówiąc językiem matematycznym, pracował w naukach czystego rozumu, inni w naukach doświadczenia; a zatém, że te ostatnie niesposobne są przyjąć stopnia pewności, który można dać piérwszym.

Ale, odpowié mi kto, że żadnéj prawdy, a tém bardziéj żadnéj nauki sam rozum bez doświadczenia budować nie może, ale owszem na niém się zawsze wspiérać i gruntować musi; inaczéj takowa budowa, będąc bez fundamentu i za granicami natury, byłaby czystém urojeniem, czystą fabryką przywidzenia i imaginacyi; że nakoniec wszystkie teorye i błędne mniemania, jakiemi napełnione są nauki fizyczne, nie pochodzą prosto z doświadczenia, i nie są jego dziełem, ale raczéj dziełem rozumu, który sobie więcéj pracować pozwala, niżeli go doświadczenie naucza, i że dlatego życzeniem jest lepszéj części uczonych, ażeby rozum nigdy od doświadczenia nie odstępował. Ale takokowa właśnie opinia, wszędzie w dawniejszych pismach rozsiana, powtarzana co moment, i służąca za tarczę i pewne schronienie wszystkim słabym umysłom, ile ma łudzącego pozoru prawdy, tyle sama w sobie, owszem w najgłębszych swoich fundamentach słaba jest i fałszywa.

A najprzód nie wszystkie prawdy, których umysł człowieka dochodzi, biorą początek z doświadczenia, ale najczęściéj piérwszy grunt ich położony jest, że tak rzekę, w nas samych i w czuciu naszém; a takiemi jest największa część prawd matematycznych, wielka część najpiękniejszych prawd moralnych, i wszystkie niemal fundamentalne prawdy, na których się zasadzają nauki. I tak, mogłoż, pytam się, być kiedy objektem doświadczenia ludzkiego, że dwie linie równoległe, w nieskończoną nawet odległość przeciągnione, nigdy się z sobą nie zéjdą? że wszystkie promienie koła są sobie równe? i t. d. Słowem, wszystkie prawdy matematyczne o liniach i płaszczyznach, nie mogły być brane z doświadczenia, linie i płaszczyzny będąc tylko objektami

umysłowemi; a przecie żadne prawdy większego w nas przekonania nie rodzą. Nie mogło podobnym sposobem być objektem doświadczenia, że wszystkie ciała ciężą; bo nie wszystkie nam nawet są znajome: ani możemy to z doświadczenia twierdzić o ciałach znajdujących się na innych planetach; a przecież zdanie to, ledwo wyrzeczone, każdego człowieka przekonywa, i jest zasadą jednéj z najpiękniejszych i najpewniejszych nauk fizycznych. Toż samo, nieograniczona podzielność, i wszystkie tak nazwane ogólne ciał własności mówią natychmiast do przekonania każdego, lubo nigdy, ściśle mówiąc, objektem doświadczenia nie były. Że ciało jakie rzucone, nie znalazłszy oporu, bezprzestannie i w nieskończoną odległość ruszać się powinno, nikt z ludzi ani doświadczył, ani doświadczyć może, a przecie każdy obdarzony zdrowym rozsądkiem, natychmiast się o tém najmocniéj przekonywa. Krótko mówiąc, kiedy w naukach fizycznych, które dziś mamy za najpewniejsze fundamentalne, rozważymy początki, znajdziemy, iż każdy z nich w ścisłém znaczeniu, nie tak z doświadczenia, jako raczéj z wewnętrznego czucia, które w każdym człowieku głos prawdy roznieca i odżywia, pochodzi. Zkąd znowu wpadamy na nieodbity wniosek, że nie tylko prawdy mają zupełną i nienaruszoną pewność, których źródłem i twórcą jest czysty rozsądek człowieka.

We wszystkich błędnych teoryach, jakie tu i owdzie w naukach fizycznych panowały i panują, nie może być błąd czystego rozumu, jeżeli się w autorze téj teoryi i jéj wierzycielach znajdował; bo niepodobieństwem jest nawet, takowy błąd sobie wystawić dokładnie, tak, jak niepodobieństwem jest, wystawić sobie w matematyce błąd dobrego rachunku, który także nie co innego jest, jak czyste i związłe rozumowanie; ale błędny może być fundament, na którym takowe nauki wspiérają się, i z którego rozumowanie wypływa; podobnie, jak błędnym może być wypadek najlepszego rachunku, jeżeli się ten na fałszywém przypuszczeniu zasadzał.

Jedném słowem, może najlepsze rozumowanie utworzyć naukę błędną i niestosowną do natury, jeżeli na niepewnych opiérać się będzie fundamentach, wczém jednakże nie będzie wina rozumowania, ale raczéj niepewności źródła, z którego wypływa; a takie niepewne ludzkiego umysłu podpory daje nam zawsze doświadczenie. I dlatego wszystkie fałszywe zdania i opinie, jakie kiedykolwiek w naukach powstały, fundowane zawsze były na doświadczeniu, i przez nie demon-

strowane. Zdrowa dopiéro krytyka i reflexya mogła za czasem niepewność lub niedostateczność takowych doświadczeń okazać, i wsparte na nich gmachy powalić.

49. Ludwik Osiński,

Za czasów księstwa Warszawskiego sekretarz jeneralny w ministeryum sprawiedliwości, poźniéj pisarz sądu kassacyjnego, następnie dyrektor teatru w Warszawie, i professor literatury w uniwersytecie warszawskim, wydał: 1.) *Horacyusze, przekład z Kornela r. 1802.* — 2.) *Andromeda, drama liryczne, w jednym akcie wiérszem, Warszawa r. 1807.*

W rękopismie zostały przekłady dramatów: Cyda, Cynny, Kornela, Alcyry, Woltera, kilka oper dla teatru warszawskiego. Po pismach peryodycznych rozrzucone są wyjątki z tych tłumaczeń, jak i sławne w swym czasie ody, wiérsze *), i małe ułamki prelekcyj, które zwabiały licznych słuchaczy. Osiński jako tłumacz dramatów francuzkich jest doskonałym, w odach swoich pokazał tchnienie poetyckie.

K. Wł. Wojcicki.

Wiérsz na pochwałę Kopernika **).

Najwyższy zakres śmiertelnika chwały,
Wydarte niebu tajniki stworzenia,
Olimpu godne przedsiębiorę pienia!
Ty, Uranio! wspiéraj lot zbyt śmiały.

Niestała ludzi znana mi potęga,
Ani się nad jéj wielkością zdumiewam;
Wyższych myśl moja obrazów dosięga,
Świat mym zawodem, — Kopernika spiewam.

Po jego śladach, wolen ziemskiéj trwogi,
Odwiédzam ciał niebieskich nieomylne drogi;
Mierzę wielkość natury, — w powietrzu wiszące,
Tajną siłą ruszone śledzę brył tysiące:

*) Drobniejsze jego poczye wyszły pod tytułem: *Zbiór zabawek wiérszem, Ludwika Osińskiego, w Warszawie r. 1804.*

F. Bentkowski.

**) Z Roczników towarzystwa warszawskiego Przyjaciół Nauk.

Jak się unoszą, toczą, przyciągają, krążą,
I do jednego celu zgodnym biegiem dążą.
Tam wreszcie dójdę, gdzie potężne Bóstwo,
Wszystko na swojéj utrzymując straży,
Niezliczone światów mnóstwo
Na łonie wszechmocności piastuje i waży.

Zuchwałe ludzi i znikome plemię,
Proch, dumą wzniesion, chciał władać na niebie:
Za cel natury poczytał swą ziemię,
I resztę światów przeznaczył dla siebie.

O nadto mylne śmiertelników sądy!
Dzikie marzenia wiek do wieku składał;
Człowiek tam niknął, i mędrzec upadał,
Kędy się Boskie zaczynają rządy.

„Próżnoż się mamy na ten zamiar silić?
Wszakże tu, Boże, twa wielkość prawdziwa
W ogromie niebios przebywa!
Pozwól tę świętą zasłonę uchylić. —
Godniśmy cudów twoich! — ta istota drobna,
Kiedy w niéj duch twój działa, tobie jest podobna.“

Tak mówił człowiek, nie mając nadziei
Poznać, co przed nim noc zazdrośna kryła;
A w długiéj wieków kolei
Powstał Kopernik! — ciemność ustąpiła!

Jak słowo Wszechmocnego, życia, śmierci źrzódło,
Dzieląc zmieszane natury zarody,
Z łona zamętu cały świat wywiodło,
Wielki obraz porządku, jedności i zgody;
Równie stuwiecznéj nocy rozpędzając cienie,
Kopernik iskrę niebieską rozniecił,
Odróżnił boską prawdę i złudzenie,
Zwyciężył przepaść, i ziemię oświecił.

Noc była, — księżyc toczył swój wóz złoty,
Człek we śnie lubym z trosków się wyzuwał,
Tchnęły spoczynkiem ziemiańskie istoty;
Bliższy niebianów sam Kopernik czuwał.

Uciszone Baltyku przyjęły go brzegi;
Tam zważał układ świata, mierzył planet biegi:
Nigdy go tak nie zajął ten widok wspaniały,
Zdało się, że ogląda miejsca swojéj chwały.

Jaka myśl — jaka chwila w Kopernika duszy!
Jeden przelot rozumu błędy wieków kruszy.
O nagła zmiano! Czy moc przyrodzenia
Cuda mu swoje objawia?
Czy się porządek świata nanowo odmienia?
Czy to człowiek zgaduje, czy sam Bóg przemawia?

Światłem jaśnieje szyk wiecznéj budowy,
Czego nikt nie mógł dociéc, staje się wiadomém;
Jużto świat jego — świat nowy,
Dziwniejszy swą prostotą, niż samym ogromem.

Z nieskończoności w jedném oka mgnieniu
Powstaje jasna przyrodzenia postać:
Mów, powiédz, szanowny cieniu!
Jak wielki moment, drugim twórcą zostać.
Zdumiony Bóstwa obrazem,
Kiedy twój umysł stworzenia docieka;
Objaw to czucie, kiedyś ujrzał razem
Tryumf natury, prawdy i człowieka.

Na cóż się ludzki dowcip nie ośmieli?
Nad przyrodzenie wyższa sztuki władza
Skraca rozległość, która światy dzieli:
Ta słońca żary do oka sprowadza,
Ta pył olbrzymią obdarza postawą;
Słabe doskonaląc zmysły,
Zda się, że jakąś czarodziejską sprawą
Postaci rzeczy już od nas zawisły.

Nie miał Kopernik tych ziemskich pomocy;
Zewnętrznéj siły duch nie potrzebuje.
Sam sobą rozjaśniając cienie czarnéj nocy,
Ciężkie opuszcza więzy, w niebo ulatuje,
I wyszedłszy nad zmysłów ścieśnione granice,
Tam zdobywa nieznane ludziom tajemnice.
Jakby miał wyższość nad śmiertelnym rodem,
On zaczął, — on dokończył to dzieło ogromne:
Co kiedyś wieki wynajdą potomne,
To tylko jego myśli stanie się dowodem.

Jako w zuchwałych Tatrach wicher nieużyty,
Silniejszy nad te głazy, nad wieczne granity,
Codzień i codzień swą wściekłość wywiéra,
I gwałtownem natarciem więzienia rozdziéra;
Każda chwila zniszczenia zostawuje znamię,
Rozdęta burza górne szczyty łamie,
Prze, — walczy, — roztrąca, — ciska,
Z ciągłym łoskotem lecą skał urwiska;
Tak bystrym pędem wiek za wiekiem płynie,
Rodzą się, moment żyją, nikną pokolenia:
Ziemia swą postać odmienia.

Ileż dzieł wielkich w niepamięci zginie!
Lecz, Koperniku, twoja — nasza chwała
Czasy zwycięży, równie jak świat trwała.

---

50. Samuel Bogumił Linde

Był potomkiem rodziny szwedzkiéj, która niegdyś z Dalekarlii przeniosła się do Polski, i tu się osiedliła. Urodził się w Toruniu dnia 24. kwietnia roku 1771. z rodziców wyznania ewangelicko-auszpurskiego. Ojciec jego, ubogi artysta, wcześnie go odumarł, zostawiwszy żonę i kilkoro dzieci w ostatniéj prawie nędzy. Z dzieci tych wychowali się tylko dwaj synowie, z których starszym był Jan, poźniéj pastor przy kościele Ś. Ducha w Gdańsku, młodszym nasz Samuel. Początkowe, jak i gimnazyalne nauki pobiérał w rodzinném swojém mieście Toruniu, walcząc z ostatnim niedostatkiem, i uczeniem dzieci piekarza na chléb codzienny sobie zarabiając.

Dalsze swoje przygody tak opowiada sam autor:

„Po skończonych w mieście ojczystém, Toruniu naukach gimnazyalnych pod uczonymi: *Sammet, Germar,* Jezewiusz, *Hennig* i *Kriese,* którym dozgonną zachowuję w sercu mojém wdzięczność, udałem się za radą i pomocą naukochańszego brata mego, teraźniejszego kaznodziei w Gdańsku w r. 1789., lat 18 mając, do uniwersytetu lipskiego. Przeznaczony do teologii wyznania mego ewangelicko-auszpurskiego, uczęszczałem na lekcye tego wydziału, osobliwie zaś na filologiczne, do których najwięcéj czułem w sobie skłonności, uważając je za zasadę wszelkich innych umiejętności. Sławny teolog, Morus, wykładając hermeneutykę, sciągnął na siebie moją uwagę, jak gruntowny filolog. Onto szczególniéj naprowadzał mnie na sposób odróżniania znaczenia pojedyńczego słów od znaczenia, czyli sensu, z składu ich wynikającego, któryto do sprostowania języków tak ważny sposób w Słowniku moim tam się osobliwie pokazuje, gdzie po położonym przykładzie dodane jest objaśnienie jego treści. Lekcye łacińskie i greckie Krystyana Daniela Beka, Reiza, Ernestego, filozoficzne Cezara, Platnera, wprawiały mię w logiczne wyprowadzanie znaczeń jednego z drugiego; historyczne zaś Beka wzniecały ciekawość tropienia w kształceniu się języka śladów postępu cywilizacyi; oryentalnych języków lekcye, przez *Dathe* dawane, prowadziły najwięcéj do postrzeżeń etymologicznych, i im niejako za zasadę służyły.“

„Niedostateczność sposobu utrzymywania się, pomimo wsparcia, które odbiérałem od zacnego brata i od magistratu toruńskiego, zmusiła tak w gimnazyum, jak i w uniwersytecie bawiącego do odrywania części czasu, własnemu uczeniu się koniecznie potrzebnego na dawanie innym początków, jakie sam mogłem posiadać, by tym zarobkiem zasilić niedostatek majątku. Jeżeli to z jednéj strony było na zawadzie do skorszego postępu mojego, tedy zkądinąd wprawiło wcześnie i ciągle w sposób udzielania drugim, czego mnie nauczono, przygotowało do powołania szkolnego, natchnęło ufnością w skuteczność własnego usiłowania, tak potrzebną do ośmielania się na większe przedsięwzięcia.“

„W zupełnéj niewiadomości, jakie przeznaczenie w przyszłości mnie czeka, poczytałem sobie za wielkie szczęście i znakomity zaszczyt, gdy po upłynionym trzecim roku pobytu w uniwersytecie szanowny professor języków oryentalnych, sławny *Dathe* ofiarował mi umieszczenie u siebie z widokiem ułatwienia całkowitego poświęcenia się językom oryentalnym i ich literaturze. Już miał wziąć swój skutek układ, któryby mię może był doprowadził do dzisiejszéj sławy Gieseniusza, autora Słownika porównywającego dyalekty oryentalne, kiedy opatrzność inaczéj mną rozrządziła.“

„Do professorow lipskich, najczynniéj opiekujących się młodzieżą, wsparcia i zachęty potrzebującą, należał nieśmiertelny wydawca Liwiusza, Tacyta i innych klassyków, August Wilhelm Ernesty. Ten szanowny mąż, poznawszy mnie zblizka w domu zacnego ks. Weissa, archidyakona kościoła Ś. Mikołaja w Lipsku, który przez cały czas pobytu mego w tamtych stronach, uszczęśliwiał mnie prawdziwie ojcowską pieczołowitością, Ernesty mówię, dawniéj jeszcze i bez wiedzy

mojéj zamyślał o otworzeniu mi w zawodzie uczonym drogi, jaką osądził dla mnie najdogodniejszą. Zszedłszy się ze mną właśnie wtenczas, gdym się miał oddać oryentowi, oświadczył mi, z największém mojém zadziwieniem, iż napisał przed kilką tygodniami do Drezna, żeby mi katedra języka i literatury polskiéj w uniwersytecie lipskim powierzoną była. Na skromne moje, a razem bojaźliwe oświadczenie, że nie znam dobrze języka polskiego; że tylko tyle z niego umiém, ile mi z używania potocznego w Toruniu, gdzie za moich czasów bardzo był zaniedbany, w pamięci mojéj utkwiło; że musiałbym od piérwszych początków sam dopiéro zacząć się go uczyć; odpowiedział mi przysłowiem:

„„Ein Knabe ſehr viel lernen muß,
Eh' aus ihm wird ein *dominus*.““

„Daléj gorliwy ten młodzieży opiekun wciągnął w swój układ i powolnego *Luthe* tak dalece, iż ten wytłumaczył mi się temi słowy: „„Prawda, że mało jest poświęcających się oryentalnym językom, i dlatego życzeniem mojém było, żebyś się wmćpan im oddał; lecz daleko jeszcze mniéj widzę dbających o sławiańszczyznę: a nam idzie o to, żeby żadna niwa naukowa nie odłogowała.““ Przystając na zdanie tak poważanych odemnie mężów, i upatrując w niém wolą opatrzności, poszedłem za radą Ernestego, który mi zwyczajem swoim częstokroć powtarzał:

„„Schick dich in die Welt hinein,
Denn dein Kopf iſt viel zu klein,
Daß ſich ſchick' die Welt hinein.““ —

„Nalegał on na mnie, abym się najspieszniéj wziął do grammatyki i do słownika; ledwie nie codzień dowiadywał się o postępku moim w nowéj téj dla mnie nauce, i po niejakim czasie przyniosł mi sam z niewymowną radością nadeszłe z Drezna mianowanie mnie do katedry polskiéj.“

„Przysiedziawszy więc nad Grammatyką polską Monety wydania Vogla, nad Książką do czytania tegoż Vogla, i nad Słownikiem Troca, bo to jedynie były książki polskie, na ktore się wówczas w Lipsku zdobyć mogłem; nabywszy prawa akademicznego do dawania publicznych lekcyj, osiągnieniem po złożonym examinie, oraz wydanéj i bronionéj rozprawie: ***De solatiis adversus mortis horrores, in Platone et Novo Testamento obviis***, stopnia doktora filozofii, wykładałem niektóre księgi Platona, Cycerona, i otworzyłem kurs lekcyj języka polskiego, do czego mi Ernesty własnego swego audytoryum pozwolił. Dla lepszego objęcia Troca, i nabycia z niego potrzebnéj ilości wyrazów, rozłożyłem sobie cały jego słownik sposobem etymologicznym. Rękopism ten chowam, i wielką z niego miałem pomoc, kładąc w Słowniku moim po słowach piérwotnych w nocie szereg słów pochodzących.“

„Zbrzydła mi prędko książka Vogla, utkana dopadkowo z pism bez wyboru, bez stylu, bez gustu. Byłem bardzo szczęśliwy, gdy mi wpadły w ręce Powrót posła, i Mikoszy Opis państwa Tureckiego. Wziąłem się zaraz do przeło-

żenia tych dwóch książek na język niemiecki. Pracowałem właśnie nad piérwszą (byłoto w roku 1792.), gdy wchodzi do mnie dwóch znakomitych Polaków, którym leżący na stoliku moim Powrót posła, obok próbki mego przekładania natychmiast wpadł w oczy. Na zapytanie moje, czy może nie jest im znany osobiście autor tak dowcipnego dzieła, usłyszałem z wielkiém mojém ukontentowaniem z ust jednego odpowiédź: „„Jam to pisał,““— i od téj chwili, która w życiu i przedsięwzięciu mojém była stanowczą, swoją mnie zaczął zaszczycać przyjaźnią znakomity nasz ziomek, Niemcewicz. Wprowadzony przez niego i szanownego jego kollegę, ś. p. Weissenhofa do domów najznakomitszych Polaków, wówczas w Lipsku przebywających, żyłem w Lipsku jak w Polszcze.“

„W tymże czasie miałem sposobność uczęszczania w Dreznie do sławnéj nawet i co do polszczyzny biblioteki publicznéj, gdzie mi ś. p. Adelung i Dosdorf wszelkiéj przyjacielskiéj pomocy dodawali.“

„Aliści wkrótce nastąpił bolesny dla serca mojego odjazd tych znakomitych osób, z któremi żyć nawykłem: i pospieszyłem niezwłocznie, aby znowu żyć z tymi, do których mię skłonność serca ciągnęła. W Warszawie korzystałem z każdéj spokojnéj chwili dla zbliżenia się do mego celu. Grono dawnych przyjaciół, rodaków powiększyło się tu znacznie: poznałem, czego od momentu, jak mi się nadarzyła Grammatyka narodowa, żywnie pragnąłem, szanownego jéj autora ks. Kopczyńskiego; i jak dotąd jego pisma, tak teraz częsta z nim rozmowa stała mi się nauką. Mając tu wszystkie biblioteki dla siebie otwarte, byłem w stanie robienia do Słownika wypisów z dzieł bardzo rzadkich i ważnych. Upodobałem sobie w Warszawie, bo wpośród najmilszych mi przyjaciół, i mniemałem, że stolica ta Polski jedyném była miejscem, gdzie dzieło moje jeszcze nie tak w obszérnych widokach przedsięwzięte, mogło być najdokładniéj zebrane, wypracowane i wydane. Lecz podobało się opatrzności inny mi na niejaki czas pobyt przeznaczyć.“

„Za radą ś. p. Ignacego Potockiego, marszałka, udałem się do Wiédnia, gdzie mi szczęście zdarzyło spokojne schronienie przy boku i w domu gorliwego o nauki zwłaszcza ojczyste Józefa hrabi Ossolińskiego. Biblioteka jego podówczas nie była liczna, lecz wyborowa. Wkrótce skończyłem i uporządkowanie jéj, i wypisy do mojego dzieła z niewielu pism polskich tam się znajdujących. Oświadczył mi zatém zapalający się coraz więcéj gorliwością o pomnożenie literatury hrabia, że zamyśla nie tylko resztę książek w dobrach pozostałych w jedno zebrać, ale téż i na dalsze zbiory nie żałować. Przedsięwziąłem więc w tym widoku podróże, zwidziłem siedmiokrotnie różne strony dawnéj Polski. Owocem tego zwidzenia, a poźniéj osobistych trudów samego hrabiego jest biblioteka tak zamożna w najrzadsze płody literatury polskiéj, że dziś jest jedną z najpiérwszych; chociaż mnie raz nieszczęśliwa przez Dunajec przeprawa kilku rzadkich dzieł i paki licznych wypisów pozbawiła.“

„W tych podróżach zaprzyjaźniłem się z biegłym literatury ojczystéj badaczem, ks. Juszyńskim, przez którego nie jedno rzadkie dzieło polskie poznałem;

z Janem Mieroszewskim, którego objaśnienia górnicze z rękopismu jego cytuję; z rodzonym jego bratem, Hiacyntem Mieroszewskim, któremu wypisy z ważnego rękopismu Andrzeja *della Aqua* o dziełach, tudzież z aktów sądowych wiejskich winien jestem.“

Tak w ogólnych wyrazach skréślił autor piérwsze swoje stosunki z Ossolińskim, zlekka tylko o zasługach swoich około pomnożenia biblioteki jego napomykając. Zasługi te są istotnie wielkie. Nie jedna rzadkość, należąca dziś do piérwszych ozdób biblioteki zakładowéj, winna jest byt swój jedynie znawstwu i gorliwości Lindego, który ją wynaléźć, ocenić, i dla użytku powszechnego pozyskać umiał. Wynachodził on tak zwane b i a ł e k r u k i tam, gdzie ich nawet Juszyńskiemu z Czackim wynaléźć nie powiodło się.

Jak przez zetknięcie się z Ossolińskim przybrała myśl piérwotna Lindego wielkie rozmiary, tak stosunki za pośrednictwem jego z najuczeńszymi i zamożnymi rodakami zawiązane, i ich pomoc postawiła go w możności wykonania Słownika swego tak, iż słusznie przechodzić się zdaje siły jednego człowieka, a być raczéj pracą zgromadzenia uczonych. Nakoniec pracowanie nad nim w Wiédniu, stolicy państwa, które mnóstwo ludów słowiańskich w sobie jednoczy, nadało temu polskiemu głównie Słownikowi charakter porównawczości dyalektów słowiańskich.

Wpływy te różnostronne tak autor opowiada:

„W stolicy Rzeszy Niemieckiéj żyłem jak wśród Polski, bo prawie z samymi ziomkami, w domach ś. p. Stanisława Małachowskiego, marszałka, ś. p. Ordynatowéj hr. Zamojskiéj, gdzie się ta zawiązała przyjaźń, którą mnie dotąd szanowny prezes królewskiego towarzystwa Przyjaciół Nauk, radca stanu, ks. Stanisław Staszic zaszczyca, hrabiny z Bielskich Worcellowéj, księżny podkomorzyny Poniatowskiéj, hrabiny Tyszkiewiczowéj, hr. Lanckorońskiego, ś. p. Seweryna hr. Rzewuskiego, wszystkich wówczas w Wiédniu bawiących. Lecz stanowczym dla szczęśliwego uskutecznienia przedsięwzięcia mego był wtedy przyjazd do Wiédnia księcia Adama Czartoryskiego, j. Z. P. Najznakomitszy ten w kraju naszym opiekun nauk, roztrząsnąwszy zebrane przezemnie materyały z właściwą sobie przenikłością, udzieliwszy mi uwag i światłych rad swoich, wyznaczył natychmiast fundusz na utrzymywanie pomocnika w pisaniu, po wyjeździe zaś swoim z Wiédnia, otworzył zemną korrespondencyą literacką, któréj dzieło moje tyle objaśnień, mianowicie co do języków oryentalnych i dawnych zwyczajów słowiańskich jest winno. Tegoż właśnie czasu wszedłem w ciągłą korrespondencyą literacką z uczonym ś. p. Czackim, starostą nowogrodzkim, z któréj nie jedno ważne objaśnienie do dzieła mego weszło.“

„Ośmielony tylą pomyślnościami, odrzuciłem projekt sławnego księgarza wrocławskiego, jp. Korna, gdy mnie ten co do wielkości dzieła, i co do czasu jego wydawania zbyt ograniczał; zkąd poszło, że myśl jego uskutecznioną poźniéj została przez zacnego Bandtkiego, który w następnym czasie tyle mi dawał dowodów uprzejméj i gorliwéj przyjaźni.“

„Wiédeń ważnym był do mego celu pobytem nie tylko dla zamożnéj biblioteki hr. Ossolińskiego, dla związków z tylą najznakomitszymi ziomkami, ale téż że mi się tu nowe, a bardzo obszérne otworzyło pole słowiańszczyzny. Ponieważ monarchia austryacka tyle różnych plemion słowiańskich obéjmuje; przeto w stolicy jéj nie trudno natrafić na pobratymców naszego narodu najuczeńszych, i nie tylko do szczególnych dyalektów swoich, ale téż do ogółu słowiańszczyzny wiele przywiązanych, tudzież na zbiory, w téj mierze jedyne na świecie.“

„Korzystałem z obcowania z uczonym ś. p. Englem, ze Złobickim, professorem języka czeskiego i sekretarzem kancellaryi czeskiéj, z professorem Dollinerem, z ks. Herbicem, bibliotekarzem w Terezyanum, z Durichem, autorem Biblioteki słowiańskiéj, z *Voltiggi*'m, wydawcą słownika illiryjskiego. Szczęście zdarzyło, że właśnie wtenczas zjechał do Wiédnia z Pragi naczelnik całéj literatury słowiańskiéj, sławny ks. Dobrowski. Jak przez nader krótką dla mnie podówczas chwilę z ustnéj jego nauki wiele pożytkowałem, tak dotąd przyjacielska jego korrespondencya, i rozmaite a gruntowne o słowiańszczyźnie pisma są dla mnie skarbem nieocenionym. W zbiorach zaś słowiańskich bogatéj biblioteki cesarskiéj, biblioteki uniwersytetu, i Terezyanum, a nadewszystko w prywatnym zbiorze ś. p. Złobickiego znalazłem prawie to wszystko, czegom potrzebował. Pobyt zatém w Wiédniu był dla mnie trzecim w życiu kursem naukowym, tojest, polsko-słowiańskim.“

„Postępowałem tedy w pracy, a to już w obszérniejszym ogólnéj słowiańszczyzny zakresie, zachęcony częścią odezwą towarzystwa Przyjaciół Nauk, wtedy w Warszawie się zawiązującego, i w samych swoich zawiązkach mnie za czynnego członka do grona swego przybiérającego, częścią odezwami różnych pobratymców słowiańskich, jakoto: ś. p. Japla, i uczonego Vodnika, nalegających, abym dyalekty ich jak najdokładniéj zbiérał i umieszczał. Doprowadziłem rzecz tak daleko, żem nie tylko poprzednicze ogłoszenia planu téj roboty do różnych dzienników uczonych popodawał, i Seweryuowi hr. Potockiemu, senatorowi imperyum Rossyjskiego, wtenczas w Wiédniu przytomnemu, na jego żądanie rys dzieła z niektóremi wyjątkami na odjézdném jego do Petersburga złożył, ale téż zaczynałem już wchodzić w układy o wydawanie dzieła w Wiédniu; albowiem do tego spodziéwałem się miéć łatwość pod okiem i przy boku zacnego hrabiego Ossolińskiego.“

Tymczasem rozgłoszone o dziele tém wieści zjednały taką sławę autorowi, że w roku 1803. wezwany został do Warszawy, gdzie podówczas rząd pruski, liceum nowe zakładając, poruczał mu jego urządzenie i dyrekcyą nad niém. Miał Linde zabezpieczoną dogodną posadę dla siebie u Ossolińskiego; stosunki téż, jakie w Wiédniu zawiązał, były mu nader cenne: długo więc wahał się, czy ma przyjąć wezwanie rządu pruskiego, lub nie. Bolesna takoż była to dla Ossolińskiego, rozłączyć się z Lindem, do którego światłego obcowania nawykł był silnie, i takowe stawało się nieodzowną dlań potrzebą. Ztémwszystkiém widząc on, iż na owéj posadzie Linde może być użyteczniejszy narodowi, jął go

wraz z Czartoryskim, jenerałem Ziem Podolskich namawiać, aby wezwanie przyjął. Co też Linde uczynił.

Z końcem tedy roku 1803. stanął nasz autor powtórnie w Warszawie, i zajął się przygotowaniem wszystkiego, co było potrzebne do urządzenia liceum, którego rys uprzedni przez rząd mu był udzielony.

Zajmowanie się od młodości swojéj uczeniem drugich, i baczne przypatrywanie się rozmaitym szkołom i zakładom naukowym to w Saxonii, to w Wiédniu, przydało się teraz bardzo Lindemu, jako dyrektorowi liceum warszawskiego. Z początkiem października roku 1804. już było liceum urządzone i otwarte; chociaż sama uroczystość otwarcia dopiéro w styczniu roku 1805. obchodzono. W pół roku po jego urządzeniu odbył się popis publiczny, a rząd okazał urządzicielowi i dyrektorowi jego zupełne zadowolnienie, mianując go członkiem eforatu. Tymczasem prace jego około Słownika musiały pójść na stronę, o co się słusznie przyjaciele jego w Wiédniu obawiali. Przypomniał sobie teraz autor słowa, któremi go żegnał w Wiédniu Seweryn hr. Rzewuski: „Przewiduję, że w Warszawie Słownik twój w odłóg pójdzie, a może i wcale nie przyjdzie do skutku," i nie mogąc sam się nim zająć, szukał kogo, coby się podjął dzieło już ułożone ostatecznie przygotować do druku. Rękopism w Wiédniu wypracowany doszedł tylko do początku głoski W, mianowicie do słowa Wieża. Reszta składała się z samych tylko materyałów: lecz i do głosek poprzednich było jeszcze niezliczone mnóstwo przykładów spisane na osobnych karteczkach, z których każdy potrzeba było wciągnąć we właściwe swe miejsce. I w téj jednakże mechanicznéj pracy nie znalazł autor wyręczyciela, i musiał niebawem sam tak tém, jako i wykończeniem głosek brakujących zająć się.

Dodały mu do tego bodźca liczne nadsyłki pieniężne z różnych stron, na pokrycie kosztów druku odbiérane. Rozpoczęły się one z rokiem 1804., któryto rok zowie sam autor rokiem funduszowym. Wyszczególnili się w takowych datkach: książę Adam Czartoryski, j. Z. P., Stanisław ordynat Zamojski, hrabina z Bielskich Worcellowa, ks. Kossakowski, biskup wileński, i Józef hr. Ossoliński.

Prócz zasiłków od osób prywatnych, wsparty był hojnie nasz autor w przedsiębierstwie swojém od rządów, osobliwie od cesarza rossyjskiego, Alexandra, który na przedstawienia bawiących przy nim Polaków kazał zaliczyć autorowi 500 czerwonych złotych na druk jego Słownika. W tym też roku ożenił się autor z panną Burger, Warszawianką, osobą nie majętną, ale dobrze wychowaną. Sprowadził też i matkę swoją z Torunia na mieszkanie do siebie; lecz ta nie mogąc nawyknąć do życia warszawskiego, wróciła po kilku miesiącach pobytu w Warszawie do miasta swego rodzinnego, i tam kilka lat poźniéj życie zakończyła. —

Druk Słownika rozpoczął autor dopiéro roku 1806., a miał mnóstwo przeszkód do zwalczenia, nim go ukończył. Rozpoczął go w drukarni pijarskiéj, lecz wkrótce postrzegł, że idzie bardzo opieszale; zabrał więc drukarnię i drukarzów do siebie, i od połowy tomu piérwszego odbijano Słownik w własném jego mieszkaniu, w pałacu Saskim. Tymczasem wybuchła wojna; Francuzi weszli

do Warszawy. Dano rozkaz, aby w ośmiu godzinach liceum, i wszystko, co do niego należy, z pałacu Saskiego ustąpiło. Na wdanie się Stanisława hr. Potockiego cofniono rozkaz, a cesarz Francuzów kazał oznajmić, że bierze liceum pod swą protekcyą. Jednakże tak ta, jak i następne dwie wojny, w latach 1809. i 1813. wybuchłe, stawiły największą zawadę drukowi tém, że za żadne wynagrodzenie nie można było utrzymać w ciągłéj robocie drukarzów i czeladzi, a przerwane z zagranicą związki tamowały sprowadzenie potrzeb drukarskich. Powiększyła trudności nadzwyczajna drożyzna, która sprawiła, iż wszystkie umowy dawniejsze upadły, a zasiłki pieniężne wyczerpały się. Ordynat Zamojski, chcąc przedsiębierstwo ratować, puścił na loteryą jednego z najpiękniejszych swoich wierzchowców. Osoba, która go wygrała, darowała go znowu naszemu autorowi. Takim sposobem zebrane pieniądze pokryły na czas jakiś dalsze wydatki. Nakoniec na przedstawienie Jana Sniadeckiego zaliczył autorowi bardzo znaczną kwotę Wincenty hr. Tyszkiewicz na wydanie szóstego i ostatniego tomu, którego druk dopiéro roku 1814. w drukarni pijarskiéj był ukończony.

Sława literacka naszego autora wpłynęła stanowczo na jego los. Ona mu otworzyła drogę do świetnych posad, i liczne naukowe zaszczyty zjednała, a charakter jego osobisty okazuje się najlepiéj w tém, jak się zachował na piérwszych, i z jakim umysłem te ostatnie przyjmował.

Powołany przez rząd pruski do Warszawy, urządzał tamże liceum. Dyrektor tegoż, a wkrótce efor, drukuje programy szkolne sposobem Kommeniuszowym, w języku polskim obok niemieckiego, do których takimże kształtem Prawidła etymologii i swój Wstęp do Słownika załącza. Tymczasem w miejscu pruskiego rządu powstaje księstwo Warszawskie, a dawny dyrektor jest teraz rektorem liceum, członkiem izby edukacyjnéj, i członkiem rady dozorczéj szkoły prawa. Izba edukacyjna zmieniona zostaje w dyrekcyą edukacyi narodowéj. Linde jest jéj członkiem, a wkrótce jéj dyrektorem, zasiada jako prezes w towarzystwie do ksiąg elementarnych, a nadzoruje wszystkie szkoły w księstwie Warszawskiém z zadowolnieniem tak powszechném, że publiczne za to odbiéra podziękowanie. Księstwo Warszawskie przedziérga się w królestwo, a autor nasz piastuje te same dostojności z nadwyżką: jest on radcą kommissyi rządowéj wyznań religijnych i oświécenia publicznego, i kommissarzem rządowym przy konsystorzu ewangelicko-auszpurskim: jest oraz jeneralnym dyrektorem bibliotek i gabinetów, i korespondentem imperatorskiéj kommissyi praw w Petersburgu. Zaprowadzają uniwersytet w Warszawie roku 1817., autor nasz jest znowu najczynniejszym. W jego mieszkaniu odbywa posiedzenia swoje kommissya, do ułożenia statutów uniwersytetu przez Stanisława hr. Potockiego, ministra oświécenia mianowana. W nowourządzonym uniwersytecie, professora filozofii, Zabellewicza zastępując, wykłada nasz autor psychologią empiryczną w języku polskim według Kizewettra, i grammatykę powszechną według Sasego, Vatera i Harisa. Jest też piérwszym rektorem tego uniwersytetu, a zbiory naukowe, biblioteczne i muzealne staraniem jego znacznie się powiększają. W roku 1819., skoro się dowiedział,

że klasztory w królestwie mają być zniesione, podejmuje się z własnego popędu, zwiedzić ich biblioteki. Puszcza się więc w podróż, i przez cztery blizko miesiące z wózka nie zsiadając, zrobił około 300 mil, przejrzał do 50 bibliotek, a w skutek tego zwieziono z pomienionych klasztorów do Warszawy około 40,000 tomów dzieł różnych, między któremi znajdowało się mnóstwo najrzadszych rękopismów. Był piérwszy zamiar rządu, formować z tego bibliotekę. W roku 1833. był dyrektorem gymnazyum, prezesem komitetu czuwającego nad szkołami i zakładami panieńskiemi, i członkiem rady wychowania publicznego; nakoniec kawalerem orderu Ś. Stanisława I. klassy, i orderu Ś. Włodzimiérza III. klassy.

Niemniéj znakomite, ani mniéj liczne były téż naukowe jego zaszczyty. W roku 1810., po ukazaniu się trzech piérwszych tomów Słownika, król saski i książe warszawski obdarza go wielkim złotym medalem z napisem: *Virtuti et ingenio.* Ukończenie Słownika opiéwane było przez najznakomitszego poetę podówczas, Kazimiérza Brodzińskiego, a towarzystwo Przyjaciół Nauk warszawskie, wyprawiło z tegoż powodu wspaniałą ucztę, na któréj naprzeciw autora wznosił się Słownik jego, gałązkami wawrzynu uwieńczony. Pod koniec uczty zebrano piérwszą składkę na pomnik Kopernika, spółrodaka Lindego. Niebawem otrzymał autor wielki medal złoty, na cześć jego wybity, i złożony mu w imieniu narodu, z napisem: Za Słownik polskiego języka, Ziomkowie 1816. Dwaj znakomici pisarze polscy, Ossoliński i Stanisław hr. Potocki, poświęcili mu dzieła swoje. Towarzystwa uczone i akademie ubiegały się o zaszczyt liczenia go między swemi członkami. Towarzystwo warszawskie miało go już w swém gronie od piérwszego swego zawiązku. Zaraz po ukazaniu się piérwszego tomu Słownika przysłała mu dyplom na swego członka królewsko-czeska akademia w Pradze; następnie akademie, getyngska, wileńska, berlińska, królewiecka, i instytut francuzki w Paryżu. Poźniéj został członkiem uniwersytetu w Kazaniu, i członkiem cesarskiéj akademii petersburskiéj: dyplom, który mu ta akademia przysłała, był po raz piérwszy dany cudzoziemcowi. Odtąd naukowe jego zaszczyty z każdym niemal rokiem wzrastały: mianowały go członkiem swoim prawie wszystkie uniwersytety w państwie Rossyjskiém, równie jak i towarzystwo Starożytności północnych w Kopenhadze. W roku 1842. obchodzono w Warszawie uroczystość 50-letniéj rocznicy jego doktoratu filozofii. Uniwersytet lipski nadesłał mu przy téj sposobności nowy dyplom wraz z swemi życzeniami, a jenerał Okuniew, dyrektor rady edukacyjnéj w królestwie Polskiém wręczył mu na dniu 4. czerwca z upoważnienia namiestnika medal złoty, na cześć naszego autora bity, po którego jednéj stronie jego popiersie, po drugiéj zaś następujący napis: *Viro Clarissimo — De Re Literaria Slavorum — Optime Merito — Socio Suo Honoratissimo — Philosophiae Doctori, — Solemnia Semisaecularia Celebranti — Collegium Praefectorum Educationis Publicae — In Provin: Scholar: Varsavien. — Gratulatur — D. X. Februarii 1842.*—

Jakkolwiek wszystkie te odznaczenia były dla autora schlebiające, jednakże one ani skromności, ani pracowitości jego nie zmniejszyły. Oddawał on się ciągle z jednakiém zamiłowaniem pełnieniu swoich obowiązków, i chwytał każdą

chwilę, jaka mu od nich pozostała, aby się naukom i krajowi czém pożytecznem przysłużyć.

Ledwie był skończony druk Słownika, gdy mu wpadło do ręki dzieło Wasyla Sopikowa: Opyt rossyjskoj bibliografii. Znalazłszy w niém mnóstwo ciekawych szczegółów, wiążących się ściśle z literaturą polską, zrobił treściwy przegląd dzieła, ubogaciwszy go własnemi postrzeżeniami.

Przypadek nasunął mu wktótce pracę nierównie ważniejszą. Felix Bentkowski, autor Historyi literatury polskiéj, i wydawca Pamiętnika warszawskiego podówczas, wykrył był właśnie w bibliotece Jana hr. Suchodolskiego statut wielkiego księstwa Litewskiego, w języku ruskim drukowany. Udzielił on go Lindemu z prośbą, aby mu opis téj rzadkiéj książki wygotował do Pamiętnika. Nawykły do badań gruntownych, a z dyalektami słowiańskiemi oswojony, poznał wnet całą ważność téj księgi, i zajął się ściśłém jéj rozpoznaniem. Statut ten, jeden z najpiękniejszych pomników krajowéj literatury i cywilizacyi, bardzo mało dotąd był znany. Wytracone niemal do szczętu oryginalne jego exemplarze nie dozwoliły i najbystrzejszym badaczom przejrzéć mgły, która kolébkę jego osłaniała. Nie widział oryginału Czacki, skrzętny pomników tego rodzaju poszukiwacz, i właściciel jednéj z najzamożniejszych bibliotek. Z łacińskich i polskich przekładów rozpoznawał text, i wyprowadzał swe wnioski. Były one niekiedy bardzo trafne, ale nie były niczém więcéj, jak tylko domysłami. Linde jedne z nich dowodami wsparł, drugie sprostował. Wszystkie trzy redakcye statutu okazały się piérwotnie w języku ruskim; chociaż liczne pozory język polski w drugiéj redakcyi, nawet w mniemaniu Lindego, czas jakiś jako piérwotny podtrzymywały. Zachwiana już tém samém textu polskiego powaga, wywrócona została do reszty odkryciem, że przekład ten, który niebacznem przyznaniem go Lwowi Sapieże przybiérał cechę urzędowości, był prywatną i pełną myłek robotą. Następnie zapuścił się nasz autor w porównanie textów, w których ogromne wykryły się różnice. Tym sposobem, w miejscu zakréślonego piérwotnie artykułu do Pamiętnika, urosło spore dzieło, nie zaletne wprawdzie układem, bo autor z powodu zwolna nadchodzących mu nowych materyałów, a spiesznego rozpoczęcia druku razwraz się poprawia, i twierdzenia swoje odwołuje; ale bogactwem odkryć znakomite. Okazując on w niém z całą ścisłością czas trzech statutu redakcyj, język ich piérwotny, i stosunek, w jakim tak do siebie, jako i do przekładów swoich zostawały, wniósł nowe światło nie tylko na dzieje i biografią tego pomnika, ale i prawniczą stronę jego wyjaśnił.

W parę lat poźniéj jeden z przyjaciół jego nadesłał mu rękopism trzeciego tomu Janocyanów. Linde zajął się niezwłocznie jego wydaniem, i uzupełnił tém jedno z najlepszych dzieł Janockiego. Z namowy jego wydał był J. M. Ossoliński dwa piérwsze tomy Wiadomości historyczno-krytycznych, i przesłał exemplarz ich towarzystwu Przyjaciół Nauk na jego ręce. Drugi tom poświęcony był właśnie Lindemu. W przypisaniu pełno najtkliwszych wynurzeń przyjaźni.

„Myśliłem“ powiada „zebrane zapasy Wiadomości bibliotece do dalszego użycia odkazać; przypadek zdarzył, że wychodzą na światło publiczne, popchnięte mimo méj chęci ręką przyjaciela, któremum ich do przejrzenia był użyczył.“

„Z tych samych dzieł zbiérałeś skarby języka naszego, które w celu politycznéj i literackiéj historyi przebiegłem. Przykład nieporównanéj twojéj pracowitości pobudzał i zagrzéwał moją usilność: nieraz poddawałeś mi myśli, nie żałowałeś i osobistych trudów dla zgromadzenia ksiąg obydwóm nam przydatnych. Zapuściliśmy się razem w niezmierną, nieutorowaną, tysiącami przeszkód zatrudnioną przestrzeń. Tyś twoją z chwałą odbył. Wykonałeś przedsięwzięcie wdzięcznością spółziomków uwieńczone, z którego już obfitą korzyść nauki krajowe odnoszą; jam się zadał między manowce, ledwo jakąś nadzieję wyjścia tuszące.“

„Najmiléj upłynęły mi lata, w zaufałém z tobą obcowaniu przepędzone. Łączył nas smak jeden; udzielaliśmy sobie wzajemnych postrzeżeń, ulżywaliśmy jeden drugiego pracy. Nie odmieniłeś dla mnie życzliwości; miałem tego świeże dowody. Nawzajem serce moje dla ciebie jest nieodmienne. Miło mi podsycać się twém oświéceniem; cieszę się — pysznię się z twojéj sławy. Dzieli nas odległość. Już od niewidzenia się z tobą czas okrył głowę moją siwizną. Dochowam ci do mego zgonu szacunku i przychylności, których pragnę, żebyś z tych moich wyrazów poznał miarę.“ —

Oto jest poczet dzieł Lindego: 1.) *Prawidła etymologii, przystosowane do języka polskiego, Warszawa r. 1806.* — 2.) *Słownik języka polskiego, Warszawa r. 1807.—1814.* 6 tomów. — 3.) *O literaturze rossyjskiéj, podług dzieła biblioyraficznego Sopikowa*, (w Pam. Warsz. z r. 1815. T. II.). — 4.) *O statucie litewskim, ruskim językiem i drukiem wydanym, Warszawa r. 1816.* — 5.) *Zdanie sprawy o dwóch dziełach ks. Rhesy z Królewca.* (W Roczn. t. P. N. tom 15.) — 6.) *O języku dawnych Prusaków, rozbiór dzieła professora Vatera, Warszawa roku 1822.*

W rękopismach pozostało: 1.) Bibliografia polska w 22. tomach, własnoręcznie przez autora pisanych. — 2.) Słownik porównawczy dyalektów słowiańskich.

Był Linde biegłym bibliografem, pedagogiem gruntownym, w dziele *O statucie litewskim* okazał niepospolitą znajomość prawnictwa, a nadzwyczajną trzeźwość umysłu w historycznych swych pracach; atoli głównym i najulubieńszym zawodem jego była filologia, i w niéj górował. Łączyły się w nim wszystkie znakomitego filologa warunki: talent badawczy, rozległe, od młodości w jeden cel główny kierowane studya, a nadewszystko silna wola i wytrwałość, która jedynie zdolności i naukę wielkiemi skutkami uwieńcza. Z temi własnościami i gorącą miłością swego przedmiotu zwrócił się do języka polskiego. Twardziéj, niż każdemu innemu Polakowi stawił mu się zawód jego początkowy. W Toruniu urodzony, śród obcych nauczycieli, i na obcym uniwersytecie, zaledwie cokolwiek przypomnieć sobie może z mowy rodzinnéj, gdy ma rozpocząć wykłady jéj w Lipsku. Wszystko więc przyswajać sobie musi na nowo, i materyał i formę, zapasy

słów, ich nagięcia, obroty mowy i składnię; a rad niezmiernie, gdy mu przyjezdny gość z Polski żywą rozmową zastąpi suchą książkę Vogla lub Troca. Trudności te łamie, i doprowadza do tego, że nie tylko pisze dobrze i złatwością po polsku, ale podaje ziomkom swoim dzieło, w którém i najbieglejsi Polacy uczeni nieznane sobie aż potąd skarby języka swojego wykrywają. —

W domowém życiu znamionowała naszego autora łagodność charakteru, i przywiązanie do żony i dzieci. Klęski, jakich w téj mierze doznawał, nie były bez wpływu na prace jego umysłowe, a jakkolwiek głęboko je czuł, znosił jednak z rezygnacyą. Zapadała też często i ich matka. „Teraz oto gdy słowa te piszę“ powiada w swém sprawozdaniu Słownika „drżéć mi znowu przychodzi o życie najdroższéj dla mnie w świecie osoby, która z największém przywiązaniem wszystkie trudy, i wszystkie życia słodycze zemną uprzejmie dzieli...“ Umarła w roku 1823. Ożenił się powtórnie. W roku 1836. umarła i druga jego żona.

Mimo prac poważnych umysłowych i obowiązków pedagogicznych, był nasz autor bardzo towarzyski i wesoły. Najmiléj wspominał chwile życia spędzone w domu Ossolińskiego w Wiédniu. Bawiąc tam jako bibliotekarz, i nad Słownikiem pracując, nie unikał zabaw i zgromadzeń ówczesnych, i nieraz ożywiać je umiał. Miał silną wiarę w opiekę opatrzności, i w najprzykrzejszych chwilach życia nigdy o niéj nie wątpił.

Nauczycielstwu oddawał się z zamiłowaniem. Przystępny i wyrozumiały dla młodzieży, lubił przedsiębrać w jéj towarzystwie przechadzki, zajmować jéj umysł zdarzeniami z własnego, lub téż cudzego doświadczenia, które wybornie opowiadać umiał, i przypatrywać się wesołym i niewinnym jéj zabawom. Obowiązków ściśle dopełniał. W roku 1835. zwątlony znacznie na siłach, prosił o uwolnienie od służby publicznéj, i takowe otrzymał. Usunąwszy się od obowiązków urzędu, zerwał stosunki ze światem, oddał się całkowicie naukom, szukając tylko od czasu do czasu w towarzystwie dzieci swoich rozrywki. Zwykle pracował od szóstéj z rana do czwartéj po południu nad Słownikiem porównawczym dyalektów słowiańskich. Pracownia jego była dla rodziny jakby świętym przybytkiem. Porządek w niéj i czystość wyszukana. Nikt nie śmiał tam najdrobniejszéj rzeczy ruszyć, gdyż każda miała swe miejsce, a autor mógł trafić do niéj w każdéj chwili.

Bardzo lubił kwiaty: wartości pieniędzy zdawał się nie znać, i o przyszłości nie myślał. Dopiéro gdy blizkim zgonu się ujrzał, przypomniał sobie, że jego pensya dożywotnia wraz z życiem jego ustaje. Wtedy cierpienia starca były okropne. Zalewał się rzewnemi łzami na myśl, że córki swoje bez widoków i bez majątku zostawi. „Moje dzieci! moje kochane dzieci!“ mówił do nich na kilka dni przed śmiercią „darujcie mi, że was bez majątku zostawiam. Umiałem pracować dla pożytku kraju i dla nauki; ale majątku robić, jak was kocham, nie umiałem. Biédne dziatki! jak mnie przykryją ziemią, nic im na ziemi nie zostanie.“ Chociaż trawiony gorączką, zachował aż do zgonu przytomność. Kazał się pochować w czarnéj trumnie z biblią, mówiąc, iż nie chce się rozłączyć z tą księgą świętą:

„Była ona za życia mojém prawem najwyższém, i będzie największą ozdobą po śmierci.“ Wykonały święcie tę jego wolę dzieci, które do ostatniéj chwili go nie odstępowały. Umarł dnia 8. sierpnia roku 1847.

Aug. Bielowski (Wstęp do 2. wydania Słownika pol.).

Słownik języka polskiego przez M. Samuela Bogumiła Linde, filozofii doktora, członka najwyższéj izby edukacyi publicznéj, rektora liceum warszawskiego, członka towarzystwa Przyjaciół Nauk, Tomów 6., *w Warszawie 1807—1814.*

Wstęp do Słownika polskiego.

Mowa ludzka, ten najdoskonalszy tłumacz wyobrażeń i uczucia człowieka, choć na tak rozliczne, tak znacznie między sobą różniące się języki rozdzielona, jednakże po wszystkich częściach świata jest w pewnym względzie jedna: bo jest zasadzona na jednychże prawidłach rozumu, stósownych do natury rzeczy, na jednakim sposobie myślenia i uczucia serca ludzkiego. Chociaż, podług dawnego, a prawdziwego przysłowia „co głowa, to rozum“ każdy człowiek ma swój szczególny sposób myślenia w miarę wyobrażeń swoich; atoli każde jestestwo, imieniem człowieka zaszczycone, ma ogólne a niezaprzeczone prawidła rozumowania, które stanowiąc osnowę logiki i filozofii, są duszą wszystkich nauk i umiejętności. Na te ogólne prawidła rozumu, rozbiérając w szczególności pojedynczy jaki język, wciąż natrafimy jako na spólną zasadę wszystkich języków, a w ogólności całéj mowy ludzkiéj. Dochodzenie onych właściwie jest dziełem grammatyki uniwersalnéj; lecz i w tym Słowniku znajdą się na jedném miejscu prowadzące do tego celu skazówki.

Między językami europejskiemi jednym z tych, które najobszérniéj się rozciągają, jednym z najbogatszych jest język słowiański. Od Kamczatki albowiem aż do Elby, od morza Bałtyckiego aż po odnogę Adryatycką ciągnie się jeden i tenże język, atoli na wiele szczególnych gatunków mowy rozgałęziony. Wszystkie te mają do siebie takie podobieństwo, jakie jednéj matki potomstwo, po rozlicznych krainach rozsadzone. Zbyt długie oddalenie, zrywając związki wzajemnego obcowania, czyni nas jednych dla drugich obcymi, a to sprawuje, że nakoniec i zapomina brat o bracie. Odmienność miej-

sca, sąsiedztwa, religii, rządu, sposobu życia, a do tego zdarzenia losu, tak działają na odosobnienie od spólnego szczepu rozłączonéj gałęzi, że z wiekiem spólny ich ród wątpliwości nawet podpadać może. Atoli śladów spólnictwa rodu słowiańskiego czas, choć wszystkożerny, nie potrafił dotąd zatrzeć; i podziśdzień jeszcze jawnie i niezaprzeczenie widać liczne to pobratymstwo.

Zpomiędzy języków, czyli raczéj gatunków mowy, albo dyalektów słowiańskich, niepoślednie zajmuje miejsce język polski, tyle wyobrażeń obéjmujący, język polerowny, bo od osób polorem słynących używany, język do udoskonalenia łatwy, bo wzrosły na wybornym gruncie owéj starożytnéj słowiańszczyzny. Mieliśmy wiek Zygmuntów, mieliśmy wiek ośmnasty, który utworzył sławną działaniem swojém kommissyą edukacyjną: otoż dwie najświetniejsze epoki języka naszego. Na pośredniczéj między niemi przestrzeni jaśniejące płody w języku łacińskim przyciemniały ojczysty.

Znaczne odmiany, zachodzące w rządach krajowych, znacznie téż i na język działają, podług zachodzących okoliczności, mniéj lub więcéj mu sprzyjających. W takim razie ten największą językowi robi przysługę, kto go w całéj obszerności w jedno zebrawszy, podaje do potomności. Jeżeli upadnie, potomni będą mieli zkąd go podsycić; jeżeli wzrostu nabierze, będą mieli pamiątkę tego, czém był, a nazawsze skazówkę, czém być może i powinien.

Rozważając, jakimby sposobem ułożyć księgę, obéjmującą cały, ile możności, język, ze wszystkiemi składającemi go szczegółami, tak, żeby i wygodna była do użycia, i celowi swemu, jako skład czyli skarbiec jego odpowiadała, snuły mi się następujące uwagi.

Z pamięci nikt nie potrafi napisać zbioru wszystkich wyrazów, bo, naprzód, nikt się prawdziwie tém poszczycić nie może (słowa są nieśmiertelnego autora Grammatyki polskiéj), żeby cały swój umiał język. W jednym narodzie polskim tyle prawie różnych języków liczyć trzeba, ile w nim jest stanów, kondycyj, professyj, ile kunsztów i rzemiosł, że zamilczę różność prowincyj, różnemi wyrazami jednoż wyobrażenie malujących. Któż tę całą rozległość wyrazów polskich ogarnął pamięcią? Ja to jeszcze dodam, że gdyby téż nawet kto i znał wszystkie szczegóły języka w rozlicznych gatunkach potrzeb i sposobu życia, nie bę-

dzie ich sobie tam przypominał, gdzie które wyłuszczać wypadnie; a zatém wprzód potrzeba zbiérać zapasy, a potém samo dzieło układać.

Dwoista jest niwa, na któréj pojedyncze te kłosy zgromadzać można, z pism, i z mowy potocznéj: ta jest obszérniejsza, bo się rozciąga wszędzie, gdzie tylko językiem naszym mówią; tamta uprawniejsza, a zatém w lepsze urodzaje płodniejsza, bo z większą pieczołowitością pielęgnowana. Zachodzi między niemi w ogólności takaż różnica, jaka w szczególności pokazuje się między zwyczajną rozmową, a mową krasomowcy starannie wypracowaną. Łatwo teraz wnosić można, która z tych niw zbiéraczowi języka korzystniejsze obiecywała żniwo: łatwo się można domyślać, że chyba w takim przypadku, gdy w pismach czego nie znalazł, udawał się do mowy potocznéj.

Wziąłem się więc do czytania pism narodowych: czytałem, com miał, i na co czas mi wystarczył. Myśliłem wprawdzie pewny sobie plan czytania ułożyć: lecz gdym zaczynał tę pracę, nie miałem jeszcze przed sobą zbioru wszystkich książek do niéj mi potrzebnych; trzeba mi było i te dopiéro zbiérać, trzeba było po nich jeździć, trzeba było sześciokrotnie wszystkie prawie znaczniejsze biblioteki po Galicyi aż do granicy wołoskiéj zwiédzić. Biblioteka jw. hr. Ossolińskiego w Wiédniu, wtedy gdy mi dozór jéj powierzono, nie była tém, czém się pokazała, gdym się z nią rozstawał. — Ale wreszcie, jakiby téż plan czytania tego ułożyć? Słownik powinien obéjmować wszystkie słowa, język składające, każde we wszystkich jego znaczeniach. Gdyby kto był w stanie przeczytać i wypisać w téj mierze wszystkie polskie księgi i książki drukowane, zebrałby może wszystkie wyrazy, które tylko są drukowane, a czyż nasza literatura znowu tak jest rozciągła, żeby wszystkie gatunki życia, i potrzeby jego obéjmowała? Dlatego właśnie wyżéj wystawiłem dwoistą niwę zbiorów, żeby na jednéj ratować się przez drugą; dlatego śmiém utrzymywać, że zbiéracz szczegółów języka żadném pismem narodowém pogardzać nie powinien. Wada dzieła co do rzeczy, we względzie języka i wyrazów stanowi nieraz jego zaletę. Nie byłbym znalazł słów potocznych, powszednich, wiejskich, rubasznych, swywolnych, gdybym przestał na samych wzorowych pisarzach. Nie tak o wybor pism tu szło, jako raczéj o jak największą ich w każdym względzie rozmaitość i rozli-

czność. Ponieważ język obéjmuje wszystkie czucia, potrzeby, działania, wiadomości i wyobrażenia ludzi, a ludzi wszelakiego stanu, powołania, wychowania, oświécenia: równie byłoby przeciw zamiarowi mojemu, nie pójść do najuczeńszego w jakiéj nauce dzieła, jak ominąć najdrobniejszą fraszkę. Krótsza, łacniejsza, przyjemniejsza byłaby zaiste dla mnie praca, gdybym był przestał na samych wzorowych pismach: bo liczba ich, tak dawnych, jak teraźniejszych, jest szczupła. Dotego na starożytnych Skargów, Wujków, Birkowskich, Gornickich, i t.d. zgadzamy się, że są wzorowymi; lecz co do teraźniejszych, kto będzie śmiał wyrok uczynić, żeby zpomiędzy nich nie miał być który klassykiem? Ztémwszystkiém było staraniem mojém, rozłożyć sobie pisma na gatunki co do materyj, żebym, nie mogąc czytać wszystkiego, w każdéj materyi przynamniéj czytał, com miał, i com mógł czytać najważniejszego.

W czytaniu zaś pism narodowych co do mego celu, za ogólne założyłem sobie prawidło, śledzić i wypisywać wszystkie takowe miejsca, które lub objaśnienie jakiego wyrazu zamykają, lub go potrzebują. Nie szło mi albowiem o to, żeby pod słowem jakiém lub znaczeniem wymienić tylko autora, w którym się ono znajduje; chciałem oraz z niego własnemi jego słowami to wypisać, co było potrzeba do przekonania się o znaczeniu tego wyrazu. Starałem się wprawdzie ile możności o krótkość w przytaczaniu; taka atoli zdawała mi się być wadą, którąby nie była dostateczną do objaśnienia i udowodnienia słowa jakiego. W przytaczaniu pism narodowych, wytykałem nawet i kartę, na któréj się jakie miejsce znajduje; gdzie zaś, jak częstokroć w dawnych drukach się trafia, liczb na kartach nie było, cytowałem wypisy podług liter arkuszowych, na dole kart się znajdujących, n.p. Rej Post. B bb. 4. znaczy: W Rejowéj Postylli na arkuszu literami B. b b. oznaczonym na 4. karcie. — Każdy tutaj oczywiście poznaje, ile przezto zatwierdza się pewność i niezaprzeczoność wyłuszczonego znaczenia. Już albowiem nie pisarz Słownika każe wierzyć, że jakie słowo pewne ma znaczenie, ale Skarga, Wujek, Kochanowski, Bielski, Gornicki i t. d. Niejeden piękny przykład przywodzi też i Troc z Gornickiego, z Kłokockiego, z Haura, z Wolumnów *Legum*; lecz że go nie stwierdza powagą, nie każdy mu wierzy.

Nadto, żeby więcéj jeszcze udowodnić wyłożone znaczenia, dodałem, gdy wypis był z jakiego na polskie tłumaczenia, gdzie potrzeba

było, słowa oryginału. Równie pożyteczną rzeczą sądziłem, znosić z sobą rozmaite biblij polskich tłumaczenia. Tym sposobem zjawia nam się ślad postępującego z czasem poloru naszego języka. Nie wiém, czy się nie mylę, lecz zdaje mi się, że tak ułożony słownik zawiéra niby biografią każdego wyrazu: wyprowadzając go albowiém z kolébki słowiańszczyzny, a czasem i z zapadlejszéj jeszcze starożytności, stawia świadków na to, co się z nim działo w każdym wieku tak co do formy, jak co do znaczenia, i czy już jako obumarły poszedł teraz w niepamięć (w takim przypadku oznacza się gwiazdeczką lub asteryskiem); czy też jeszcze żyje w dzisiejszém używaniu.

Kiedy więc zbiór ten co do gatunku swojego jest historyczny niejako, t. j., że daje wiadomość o każdym wyrazie, w jakim stanie znajdował się dawniéj, i dziś się znajduje; czyż wolno było zbiérającemu tylko wyrazy, nowe słowa podług upodobania tworzyć i składać? Historyk, tworząc osoby i zdarzenia, nie historyą pisze, lecz romans; zmyślający samowolnie słowa podobną powoduje się nierzetelnością. Łacno pomnażać liczbę słów składanych, sklejając każde z każdym kolejno przyimkiem, nie oglądając się zwłaszcza ani na potrzebę, ani na brzmienie, ani na logiczną wartość ztąd wynikłego znaczenia.

Prawda, że i w tém dziele znajdują się słowa, a niektóre nawet i dosyć dzikie, nie wsparte powagą pism narodowych, ani mowy potocznéj, lecz zrobione z powodu dyalektów, a zatém gwiazdeczką albo asteryskiem oznaczone, n. p. *)bezosądny, *)bezopalny, *)bezodpowiedny, *)bezojczy, i t. d.; inaczéj albowiem nie byłbym miał gdzie umieścić bogactw, któremi nas tu i owdzie inne dyalekty przewyższają: gdyż zamiarem moim było, wszystko, cobykolwiek tylko znajdowało się na przestrzeni słowiańskiéj, wcielić do tego zbioru. Takie przeto wyrazy wolno Polakom przyjąć, wolno odrzucić; ja za powinność sobie poczytałem, donieść o nich, że się znajdują w pobratymczych językach. Podług zdania mojego, autor słownika nie powinien tworzyć, nie powinien narzucać, ani praw przepisywać, lecz zbiérać, donosić, wyłuszczać, spostrzeżenia czynić, i z nich uwagi przekładać: pisarze, a pisarze, których naród czyta z upodobaniem, mogą i powinni doskonalić język; Słownik zaś będzie służył piszącym tu i owdzie za skazówkę, zwłaszcza że imię zacytowanego autora wskazuje im różnicę co do stopnia, w jakim słowo jakie ze swojém znaczeniem i użyciem jest upoważnione.

Lecz i czytającym pisma narodowe, osobliwie starożytne, zbiór takowy służyć może za klucz niejako, otwierający im przystęp do snadniejszego i pewniejszego objęcia myśli, obwiniętéj w niezrozumiałą polszczyznę. Starałem się albowiem o to, żeby, ile możności, każdy autor sam siebie, albotéż i jeden drugiego objaśnił; do czego nieraz i pobratymcze, nawet i obce języki, tak dawne, jak żyjące, były pomocą. Jednakże nie wstyd mię wyznać, żem nie doszedł w dawnych pismach wszystkiego; i wolę niewiadomości nie zatajać, niż niegruntownym domysłem omamiać. Nie jedno miejsce, nie jeden wyraz znajduje się w mojém dziele zostawiony bez wszelkiego objaśnienia, że mi się nie zdarzyło go dociéc. Osądziłem zaś za rzecz pożyteczniejszą, kłaść go choć bez objaśnienia, bo może z czasem ktoś mię o nim oświéci, jak go wcale ominąć, a zatém puścić w niepamięć.

Aże nie mamy we wszystkich materyach pism narodowych, założyłem wyżéj za drugie źródło do czerpania szczegółów języka mowę potoczną. Wielki brak w języku naszym książek o pojedynczych kunsztach i rzemiesłach wskazywał mi potrzebę szukania ich po warsztatach. Rzadko mi się kiedy zdarzało, abym widział potrzebę zastępowania brakującéj mi cudzéj moją własną powagą; tam jéj tylko użyć pozwoliłem sobie, gdziem aż nadto był pewny i słowa, i znaczenia.

Zebrawszy tedy z pism narodowych i z mowy potocznéj potrzebne materyały, zachodziło nowe zapytanie: jakim sposobem je ułożyć, urządzić i przepracować, żeby zbiór takowy i wygodny był do użycia, i celowi swemu jako skład języka odpowiedział. Ponieważ nie jest przeznaczeniem takowego dzieła, żeby go wciąż czytano, lecz żeby go się przy zachodzącéj wątpliwości o pojedynczém słowie jakiém można poradzić; pozostaje więc jedynie, wszystkie słowa w niém się zawiérające ułożyć porządkiem abecadłowym, aby łatwiéj znaléźć to, którego szukać komu wypada; chociaż nieraz życzył sobie autor mniéj być skrępowanym przez abecadło, aby można nie przerywać łańcucha myśli, snujących się ciągem z jednego jakiego, zwłaszcza piérwiastkowego wyrazu. Większa atoli trudność zachodzi w tém, jak uszykować liczne częstokroć znaczenia i cienie jednego słowa, oraz służące na ich udowodnienie wypiski. W ogólności ma tu miejsce prawidło, aby zwrócić cały szereg następnych do piérwotnego fizycznego, czyli zmysłowego znaczenia, a z niego stopniami tamte wywodzić podług tego, jak się zdają z piérwotnego wywijać.

Niemniéj wielka trudność w tém zachodziła, jak spotrzeżone cienie znaczeń tak dobitnie wyrazić, żeby je i czytelnik należycie uczuł, i rozpoznał. Nieraz musiano się tu łatać łaciną, gdyż zdawało się, że nią najsnadniéj wyrazić można, co się w myśli snuło.

Łącząc wszędzie polszczyznę z słowiańszczyzną, snuł mi się ustawicznie przed oczami rys niejakiś zjednoczonego w myśli mojéj powszechniejszego języka słowiańskiego z stosunkami jeszcze rozciąglejszemi co do ogółu mowy ludzkiéj. Uformowała mi się prawie mimowolnie, iż tak rzekę, algebra słów i języków, podciągająca wszystko pod powszechniejsze prawidła, obéjmujące sam ogół, gdzie potrącić wypada tak z jednéj, jak z drugiéj strony szczegóły, w całość ogólną nie wchodzące. Postrzegłem, że dążąc do ogólnego a piérwotnego źródła, nie wszystkie głoski czyli litery słowo składające są równie istotnemi; że je w tym względzie koniecznie potrzeba jak najściśléj rozróżnić, i przemiany ich wzajemne między sobą podług nieomylnych spostrzeżeń udowodnić; że tak wynalezione treści, czyli piérwiastki słów znosić należy z piérwiastkami inszych dyalektów i obcych języków, a tak dopiéro okazać, że źródłem wszelkich na świecie języków jest rozsądne natury naśladowanie w wyrażeniu tych poruszeń, które ludziom uczuć się dały, i ztąd wznieconych wyobrażeń; okazać potrzeba na szczególnych językach, jak mowa ludzka z niewielu drobnych piérwiastków wywiedziona, podług pewnych prawideł, przyzwoitych umysłowi ludzkiemu wzmogła się w niezmierne bogactwa. Otóż ten jest cel nauki nazwanéj etymologia: prawidła jéj starałem się wyłożyć w Rozprawie, w Słowniku zaś przy pojedynczych słowach, gdzie mi się rzeczą potrzebną zdawało, umieściłem etymologiczne, bądź uwagi, bądź skazówki. Żeby zaś wystawić całkowity obraz ciągłego rozradzania się słów naszych ze źródłosłowowych piérwiastków, pod piérwotnemi słowami w nocie wypisywałem szereg pochodnych, których bynajmniéj dlatego nie opuszczałem w szyku abecadłowym, gdzie każde z nich, podług kolei należycie objaśnione, położyć przypadało. Tak czytający ma przed oczyma razem i rozległość, i treść języka.

Lecz w tych badaniach etymologicznych zawiérają się mnogie nasiona rozmaitych zagadnień, których rozwiązanie zostawmy dalszemu czasowi, mianowicie po ukończeniu całkowitego dzieła; jakoto: 1.) o piérwszéj zasadzie mowy ludzkiéj na poruszeniach i postrzeżeniach zmysłowych; 2.) o wpływie postronnych, osobliwie sąsiedzkich ję-

zyków na nasz polski; 3.) o odmianach w tymże zaszłych; 4.) o rozmaitych sposobach bogacenia i doskonalenia języka naszego; 5.) o chronologii i różnych epokach słów polskich; 6.) o stosunkach polszczyzny do innych słowiańskich dyalektów, z podaniem osnowy powszechnéj grammatyki, i powszechnéj synonimiki słowiańskiéj, a zatém uniwersalnéj grammatyki filozoficznéj mowy ludzkiéj; 7.) o śladach dziejów życia domowego w języku.—

Jeszcze z jednéj okoliczności tu się wytłumaczyć muszę, w którejby mógł kto uczynić zarzut dziełu mojemu, gdybym ją mimo się puścił, t. j. z pisowni czyli ortografii w niém użytéj. Jak w każdym, osobliwie żyjącym języku, tak i w polskim niémasz powszechnéj zgody na prawidła ortografii: co zdaje mi się ztąd pochodzi, że różne dalekie od siebie, nawet sobie wprost przeciwne stanowi każdy źródła, z których też czerpa prawidła ortograficzne. Jeden n. p. raz każe pisać tak, jak się mówi; inny znowu pisać, jak dawniéj pisywali; gdzieindziéj stosować się do teraźniejszego trybu; raz każą się ściśle trzymać etymologii, drugi raz bez potrzeby wcale ją krzywdzą. Najnowszych przepisów ortograficznych najlepsi nawet pisarze nasi nie zachowują. Cóż tedy w takiéj sprzeczności zdań autorowi Słownika pozostawało? Uważając, że dzieło jego wystawia niejako historyą języka, że w nim żywcem przytacza wyimki z pism rozmaitych wieków, nie potrzeba się dziwić, że zostawując ortografią każdego z autorów, nie zachowuje w niéj jednostajności. Byłbym to sobie poczytał za niejakie zgwałcenie textu pisarzów, i zfałszowanie historyi języka, gdybym przekształcał w wyimkach w nich przytoczonych sposob ich pisania na teraźniejszą ortografią. Tego tylko pozwoliłem sobie względem nich, żem naddatki dawnéj ortografii uchylił. Nie pisałem then, tho, ani używałem y zamiast i, n. p. chłopyątko zamiast chłopiątko. Z resztą co do mojéj własnéj ortografii, założyłem sobie za główne prawidło, trzymać się, ile tylko można, etymologii: ponieważ tém jedynie dogadza się słowiańszczyźnie, i przepisy jéj sprostowane już nie będą dla cudzoziemców tak uciążliwemi.

51. Julian Ursyn Niemcewicz.

Urodzony roku 1757. w Skokach, województwie brzesko-litewskiém, pobierał nauki w korpusie kadetów. Podróżował poźniéj po Francyi, Niemczech i Wło-

szech, a w roku 1788. był posłem na sejm wielki. Służył też wojskowo, i w roku 1794. dostał się do niewoli. Następnie przez kilka lat zostawał w Ameryce, i ożenił się z Amerykanką: nakoniec do ojczyzny wróciwszy, był przez długi czas sekretarzem stanu, a od roku 1828. oraz i prezesem towarzystwa Przyjaciół Nauk warszawskiego. Umarł w Paryżu dnia 20. maja 1841.

Do najznakomitszych dzieł jego należą: 1.) *Dzieje panowania Zygmunta III.* w trzech tomach, *Warszawa r. 1819.* — 2.) *Zbiór pamiętników historycznych o dawnéj Polsce.* — 3.) *Jan z Tęczyna, powieść historyczna,* w trzech tomach, *Warszawa r. 1825.* — 4.) *Bajki i powieści* w dwóch tomach, *Warszawa r. 1820.* — i inne.

Prócz poezyj pomniejszych, które mu u spółczesnych wielką sławę jednały, pisał też tragedye i komedye, z których część znaczna ogłoszona została w Wyborze pisarzów polskich przez Mostowskiego w latach 1803. i 1805., w Warszawie. Nie równie jednak większa ilość pism jego tak prozą, jak i wierszem drukowana była pojedynczo w różnych miejscach, począwszy od roku 1788.

A) Bajki i powieści, Tom I. i II., w Warszawie r. 1803.

1. Myśl o szczęściu.

Szczęśliwość się kryje w cieniu,
Bliżéj człeka, niż rozumié,
Podział tego, co życzeniu
Założyć granice umié:
Każdy jednak ślepo goni
Za obłudą, co ucieka,
A tymczasem szczęście trwoni,
Które jest w ręku człowieka.

Drogo się nędza kupuje,
Drogo zgryzota opłaca,
Chęć lepszego dobro psuje,
I to szczęście, co nie wraca.
Niech fortuna sprzyjająca
Okrywa się skarbem drogim;
Gdy twa cichość nie ma końca,
Ty zawsze będziesz ubogim.

Komu wiele dały nieba,
Więcéj jeszcze sobie życzy;
I tak zbytek, jak potrzeba,
Zarównie z nędzą graniczy.

Wszystko swoim struła jadem
Niespokojna chęć człowieka;
Szczęście jego idzie śladem,
A on przed niém sam ucieka.
Tak niezwrotny w swoim biegu,
Gaje, łączki, choć im sprzyja,
Niespokojny strumyk mija.
By na dzikim ginął brzegu.

2. Życzenia w samotności.

Szczęśliwy, kto samotném ciesząc się schronieniem,
Dzieli swe chwile mądrym znaną tylko sztuką,
Między lubą nadzieją, i tkliwém wspomnieniem,
Między spoczynkiem — nauką.

Szczęśliwy, kto zasypia z wolną trosków głową,
Ani, co jutro będzie, tém się we snach trudzi,
Którego nudnik ciężką nie usypia mową,
Anitéż natręt przebudzi.

3. Obraz (Bajka).

Raz przyszedłem do obrazu
W ramach przepysznie złoconych:
W rysach jego podrobionych,
Nie było życia wyrazu.
„Czemuż“ wołam „tę chudobę
W taką przybiérać ozdobę?“ —
„Mnie ta przymówka nie wstydzi
„Rzeknie obraz“ nie mróż powiek!
„Gorzéj, kiedy się to widzi,
Że lepsza suknia, niż człowiek.“

4. Gęś i osioł (Bajka).

Choćbyś miał siłę równą lwu samemu,
Lub największemu z niedźwiedzi,
Gdy na rozumie Bóg cię upośledzi,
Ulegniesz nawet słabszemu.

Na kępie, kędy chłód i dni gorące,
Gdzie bujna topol srebrnym liściem trzęsie,
Porozrzucane po niezmiernéj łące,
Pasły się gęsie.
Zdaje się dla nas rzecz niepojęta,
By trawa była do jedzenia zdatna:
Jednakże wszystkie zwierzęta
Twierdzą, że jest delikatna.
Jedna więc z gęsi zieloną murawę
Jadła, jak gdyby najlepszą potrawę;
Osioł wiedziony tymże apetytem,
Gardząc respektem damom należytym,
Zaczął gryźć trawę między małym wrzosem,
Tuż gęsi naszéj pod nosem.
Rozgniéwała się gęś strasznym sposobem,
Wszczęły się żywe kłótnie i zatargi:
Gdy to napróżno, czerwonym swym dziobem
Szczypnęła osła w koniec grubéj wargi.
Lecz zwierzę, cierpiąc ból srogi,
Tyle rozumu nie miało,
Że się przedniemi bronić trzeba nogi,
Zawsze tylnemi wiérzgało,
To jest, nie w stronę, kędy ból przenikał,
Ale w tę stronę, gdzie go nikt nie tykał;
I ztąd wypadło, że pomimo mocy
W końcu walki i gonitwy,
Za nadejściem ciemnéj nocy,
Przy gęsi został plac bitwy.
Precz uszedł osioł; — gęś szczęściem zuchwała,
Z radości strasznie wrzeszczała.

5. Kominek (Bajka).

Na kominie marmurowym
Wśród zimy ogień palił się wyborny:
Gospodarz domu przezorny
Hojnie go drzewem podsycał olszowém.

Pokój był duży, a zatém i chłodny;
Wszyscy więc, księżna, hrabina,
Poważny starzec, i elegant modny,
Cisnęli się do komina.
Skoro się ogień zaświecił,
Z rannéj do wieczornéj doby,
Szczęśliwy, kto go choć na pięć zachwycił.
Przez piérwsze z gości osoby
Komin był ciągiem wkoło otoczony:
Ileż on słyszał szeptania!
Zwad, miłości, pojednania!
Ztąd więc dumą napuszony,
Wszystkie do ciepła zapędy
Brał za powinne swéj wartości względy,
Patrzał z pogardą i wielkiemi fochy
Na krzesła, stołki i sofy.
Trwało głupie zaślepienie,
Aż póki lubéj wiosny słodkie tchnienie
Nie jęło ziemi przygrzéwać i świécić:
Wtenczas, gdy ogień zaprzestano niecić,
Każdy, chcąc wiosny chwycić oddech świéży,
Porzuca komin, i do okna bieży.
Nikt się przy nim nie został, — ale co się zowie
Nikt, porzucili nawet froterowie:
Opuszczon zewsząd, na niewdzięczność tkliwy,
Poznał komin nieszczęśliwy,
Że zgraja, co go chciwie otaczała,
Nie jemu, lecz się ogniowi kłaniała.
Gdy stracisz, co ci fortuna udzieli,
Dopiéro poznasz, czy masz przyjacieli.

6. Wiewiórka i niedźwiedź (Bajka).

Żywa, wesoła, zgrabna całym tokiem,
Z gęstym ogonem i wypukłém okiem,
Gdzie leszczyna rosła krzywa,
Żyła na dębie wiewiórka szczęśliwa.

Ani się temu przynależy dziwić;
Wszystko, co zwierzę może uszczęśliwić,
Wiewiórce dali bogowie,
Rozum, wesołość, i zdrowie,
I miłość pracy, starania przezorne,
Czyste sumienie, i serce wyborne:
Nie mógł oszczerca dowieść mową srogą,
Żeby choć na włos ukrywdziła kogo.
Posiadała przymiot rzadki,
Przymiot, co mędrzec za piérwszy policza,
Oddalonemi nie gryźć się przypadki,
Korzystać z chwili, któréj los użycza:
Z téj przyczyny w każdéj porze
Zawsze w przedziwnym humorze,
W ciągłéj przemianie, pracy i zabawy
Życie pędziła. Zielone murawy
Z lubym małżonkiem przelatując szybko,
Suwała z lipy na topolę gibką.
Baczna na przyszłość, póki wiek i siła,
Do wydrążonéj swéj strzechy
W pyszczku i w łapkach znosiła
Dojrzałe zewsząd orzechy.
Te prace, i to na przyszłość baczenie
Nagrodziło dobre imienie;
Bo kiedy zima obnażyła lasy,
I zwierz niejeden obumierał z głodu;
Wiewiórka miała obfite zapasy
Dla siebie, i dla maleńkiego rodu.
Wszystko w jéj domu czysto i wygodnie,
I mówić można, że żyła swobodnie.
Widok prawdziwie był rozrzewniający,
Kiedy śnieg padał, albo grad bijący,
Jak od téj słoty bezpieczne,
Piękne wesołe, i grzeczne
Dzieci przy matce siedziały wokoło,
Gęstym ogonem zasunąwszy czoło:

Muskając pyszczek przedniemi łapkami,
Ciekawie strzygąc uszkami,
Słuchały, co im matka rozprawiała,
A ta, przygody gdy spomina walne,
Wszędzie nauki moralne
Do swéj rozmowy mięszała;
Mówiła, jakto, nim czas nadszedł śnieżny,
Nie raz na okno biegała do księżny:
Jakie to państwo, jakie pokoje ozdobne,
Jak zacne syny i córki nadobne
Już naśladować umieją rodzice;
Słowem, że nie ma różnice,
Że tam, jak u nich, w czynie i powieści
Cnota, wesołość i dowcip się mieści.
„Nikt tam“ mówiła „nie odchodzi próżno,
Ilekroć biédnych darzyli jałmużną:
I ja, choć wiewiórka mała,
Kilkam orzechów dostała.“ —
Tak używała wieczorów zimowych,
Aż póki wiosna, ogrzéwając ziemię,
Czynne i wesołe plemię
Do zabaw i prac nie wróciła nowych.
Lecz nie ta jeszcze treść powieści cała.
Na wiérzchu dębu wiewiórka mieszkała: —
To wiémy, ale któż mieszkał u spodu?
Stworzenie wcale przeciwnego rodu.
W zapadłéj jamie, głuchéj, niedostępnéj,
Zwiérzę, postaci srogiéj i posępnéj,
Niedźwiedź, co zawsze rzucał się i srożył,
Mieszkanie swoje założył.
Nie wylazł, tylko, żeby czynić szkodę;
Czyli się dostał w rolniczą zagrodę,
Tratował grykę, i ule wydziérał,
I nieraz pszczoły niewinne pożérał:
A gdy zjadł zboże, drzewa pootrząsał,
Jeszcze się gniéwał i dąsał.

Przez całe życie smutny i leniwy,
Nie znał, co moment szczęśliwy;
Z niezgrabną żoną żyjąc chwilę małą,
Nie wiedział, co się z nią i z dziećmi stało:
Latem po puszczy i mruczał, i psował,
A gdy mróz już następował,
Gdy śnieżna flaga już zaszła na niebie;
Nie kontent z drugich i siebie,
Las obnażony porzucił,
I do smutnéj jamy wrócił.
Bez zapasu, nie mając co psuć i ogryzać,
Nędzny, przez zimę musiał łapę lizać. —

Uczcie się, młode panięta,
Nauki, co wam te dają zwierzęta;
Wiédzcie, że jak praca czynna,
Słodycz w obejściu, wesołość niewinna
Życie nam czynią przyjemném:
Tak dzika śrogość z wejźrzeniem podziemném,
Lenistwo, choćby przy największéj sile,
I serce, co nic nie czuje,
Rozlewa gorycz na młodości chwile,
I przykrą starość gotuje.

7. Paw i sowa (Bajka).

Często przymioty, na których nam zbywa,
Przez zawiść, co się tajemnie odzywa,
Bierzem u drugich za błędy i wady.
Tę prawdę setne dowodzą przykłady.

„Co za twór brzydki!“ zawoła na pawia
Sowa dumą napuszona:
Naprożno biédny nadstawia
Złoto swojego ogona;
„Jakie ruszenia niezgrabne!
Słowem wszystko niepowabne.“ —
„Prawda“ paw rzecze „i przyczyna snadna,
Dlatego brzydki, że ty jesteś ładna.“

8. Małpa i jéj dzieci (Bajka).

Dwóch synów małpa powiła, —
Razem matka i macocha:
Jednego bardzo lubiła,
Lecz drugiego ani trocha.
Dla faworyta wszystkie starania:
Byle deszcz mały, albo chmura lada,
Ona już nad nim przepada,
Tuli do łona, i zewsząd ochrania,
Żeby wśrzód wilgotnéj doby
Nie dostał kaszlu, lub innéj choroby;
Lecz skoro ustał czas chłodny,
I zawiał Zefir łagodny,
Nie lękając się zasadzki,
Schodzi z drzewa dla przechadzki,
Trzymając synka na ręku,
(Byłto syn starszy, zbyt dziecina luba,
Małpiego rodu nadzieja i chluba).
Matka nań patrząc wzrokiem pełnym wdzięku,
Cudo w nim świata widziała,
Sciskała i całowała.
Lecz gdy go pieści, drugi syn wzgardzony,
Własnym siłom zostawiony:
Dlatego może od brata zręczniejszy,
I przytomny, i silniejszy,
Sam za matką szedł dość śmiało.
Gdy tak po lesie *trio* się błąkało,
Wilk żarłoczny z boku wpada:
Strach okropny! Matka blada,
Nie wié, co robić, widok srogi ją zdumiewa,
Trzeba koniecznie było dopaść drzewa,
Lecz z dzieckiem w ręku nie mogła.
Nakoniec całość życia własnego przemogła:
Rzuca synka na ziemię, gałęzi się chwyta:
A wilk pożarł faworyta.

Inny los młodszego syna,
Co mokł na dészczu, na słońcu się palił:
Temu nie była potrzebną drabina,
Sam wskoczył na dąb, i życie ocalił.

9. Szczur miejski i wiejski (Bajka).

Niegdyś szczur wiejski do swéj w polu nóry
Miejskiego szczura zaprosił,
A chociaż skrzętny, kiedy szło o zbiory,
Co z potem czoła przynosił;
Jednak dawnego widząc przyjaciela,
Co miał w komorze, hojnie mu udziela:
Stawia przed gościem wszystkiego po trochu,
Kilka ziarn owsa, przy nich kilka grochu,
Inne polowe jarzyny,
Nawet kawałek ogryzłéj słoniny:
Rozmaitością chcąc mierność zastąpić
Nie znał, co to jest dla sąsiada skąpić.
Ale szczur miejski, w zbytkach nauczon smakować,
Gardzącym zębem ledwie coś raczył skosztować.
Nakoniec tak mu rzecze: „Na co ci się przyda
To nędzne życie i biéda? —
Mieszkanie w głuchym lesie, w téj poziomej budzie?
Chceszże poznać, coto są i miasta i ludzie?
Pójdź zemną! Życie krótkie! czy wielki, czy mały,
Umiérać musi; — więc te, co nam dały
Dni, dobre nieba, wesoło spędzajmy,
Jédzmy smaczno i hulajmy;
Nic się po nas nie zostanie!“ —
Takie rozumowanie
Przekonało wieśniaka. Skoro nocne cienie
Okryły ziemię, a głuche milczenie
Panowało po mieście, oba nasze szczury
Dość sporym krokiem
Ruszywszy mrokiem,

Bezpiecznie przeszły bramy i obwodne mury.
Już i dostatnie gmachy mieszczą naszych gości,
Kędy na łożach ze słoniowéj kości
Błyszczy jasna purpura, jak oko zamierzy,
I gdzie obfite reszty z wczorajszéj wieczerzy
Stały w złocistych koszach. Przez poszanowanie
Sadza szczur miejski gościa na pięknym dywanie,
Krząta się, biega, sam półmiski stawia,
Sam różne sosy zaprawia:
Każdéj potrawy dobroć mu wykłada,
A nasz wieśniak wszystko zjada.
Gdy się unosi i chwali,
Alić hałas drzwi skrzypiących
Spędza u stołu siedzących.
Przejęci strachem latają po sali,
Ledwie dyszą z bojaźni; wkrótce pomieszanie
Powiększa straszne brytanów szczekanie.
Wtenczas rzekł wieśniak: „Bądź zdrów, mój sąsiedzie!
Nie chcę ja życia takiego,
Gdzie szczur niepewien nawet przy obiedzie.
Wracam do lasu mojego:
Wolę w pokoju jeść groch mój suszony,
Niżli w bojaźni kapłony.“

10. Wytrysk i strumień (Bajka).

Z śnieżną pianą, z wrzącym szumem,
Gdzie pyszne były ogrody,
Między gęstych widzów tłumem
Wytrysk wyrzucał swe wody.
Gdy szklanne pasmo podnosił do góry,
Słoneczne farby, złoto i lazury,
Obijając się o jasne krzyształy,
Zwodniczym blaskiem igrały.
Każdy patrzył z uniesieniem,
I choć czas daremnie trawił,
Przecież się dziwił i bawił

Wyskokiem iskier srebrzystych.
Obok ogródka, między gajów cieniem,
Wpośrzodku smugów kwiecistych
Cichym nurtem strumień płynął
W spokojném swojém korycie:
Ni to on szumem, ni szparkością słynął,
Lecz za to skrapiał obficie
Pobliższe pola, i łąki, i krzaki.
Pewny w swym biegu, i zawsze jednaki,
Choć nikogo nie zadziwiał.
Ani czynów swoich głosił,
Wszystko atoli wilgocią zażywiał,
Wszędzie pożytek i żyność roznosił.
Jakie imiona te nosiły wody,
Jeśli objawiać wymaga porządek:
Powiém bez żadnéj dla nikogo szkody:
Wytrysk był dowcip, a strumień rozsądek.

11. Lew, niedźwiedź i komar (Bajka).

Z krajów szczęśliwych, gdzie ni mniéj ni więcéj
Zima trwa dziesięć miesięcy,
Niezgrabny niedźwiedź, znudziwszy się w borze,
Ni pytany, ni proszony
W ciepłejsze przywlókł się strony;
(Było to właśnie w téj porze,
Gdzie dnie pogodne i ciepłe wieczory
Zażywają wszystkie twory;
Gdzie skrzydlate robaczki, ujęte rozkoszą,
Tłumem się wkoło unoszą,
Wolno się bawić każdemu).
Nie tak się stało gościowi nowemu.
Jął więc machać łapami i rzucać się cały;
Wtém go spotkał lew wspaniały.
„Na kogoż“ pyta „tak okropna kara?
I któż śmiał waszą niezgrabność obrazić?“
Niedźwiedź odpowie: „Zabijam komara,
Smiał po uchu mojém łazić.“ —

„A jam rozumiał“ rzecze lew otwarty,
„Że tygrysy lub lamparty
Gotujesz się wpół rozdzierać!
Możeszże gniéw twój wywiérać
Nad robakiem, co nawet nie wié o swym błędzie?
Na mnie gdy komar usiędzie,
Zemsty to mojéj bynajmniéj nie wznieci:
Wstrząsnę grzywą, i uleci.
Lecz każdy podług siebie postępuje:
Pastwi się dziki, wspaniały daruje.“

12. Jabłoń i poeta (Bajka).

Po ciężkich troskach, długiém oddaleniu,
Nie wiedząc jeszcze, gdzie mu życia meta,
Świat zwędrowawszy, siadł w ojczystym cieniu
Sześćdziesiątletni poeta.
Smętną źrzenicą gdy wszędy prowadził
Po okolicach zbyt lubéj zagrody,
„Kędyż“ zapyta „szczep jabłoni młody,
Com go w dzieciństwie posadził?“
Wskazano drzewo za ogrodu wniściem:
Na pozór rosłe, ogromne;
Ale gałęzie już suche i łomne,
Z rzadkim owocem, rzadkim nawet liściem.
Jam się zbliżając z westchnieniem zawołał:
„I tyśto szczep ów, tak bujny, tak gładki,
Com z tylą czułych starań wyhodował?
Jakież cię straszne zmieniły przypadki!“ —
„Te, co i ciebie“ drzewo odpowiada,
„Jedna dola nami włada:
Obydwa czasu przygnieceni dłonią,
Tyś był młodzieńcem, ja hożą jabłonią.
Tobie włos czarny krył kształt czoła wązki:
Liść gęsty moje okrywał gałązki.
Ty hożą piękność nuciłeś rymami,
Ja świeżych kwiatów zionęłam woniami:

Krótka ta pora, luba i miłośna,
Krótka nasza była wiosna!
Nadeszły burze i srogie przygody:
Tobą miotały rozhukane wody,
Zbielał włos rzadki, zapadły źrzenice,
I rylcem smutku naznaczone lice.
Z ciałem umysłu gdy się siła skraca,
Pierzchają muzy, piękność się odwraca.
I we mnie ciosy swoje wiek jednoczy!
Więdnieją liście, owoc robak toczy;
Szalony wicher czoło nadół zgina,
A czas obudwom zachód przypomina.
Po burzach życia, gdy nastąpi cisza,
Miło młodości znaléźć towarzysza,
I na téj ziemi, pod przyjaznym cieniem
Weselić starość przeszłości wspomnieniem.
Tyś szczep mój krzepił, użyczał mu wody,
Ja ci użyczę schronienia, ochłody:
W niegładkich rymach próżno myśl się więzi;
Zawieś twą lutnię na uschłéj gałęzi.
Znikomych rozkosz niech się żal ukoi:
Tobie już w cieniu spoczywać przystoi,
Aż póki życie, co zmęcił los sprzeczny,
Zamknie sen wieczny."

B) Dzieje panowania Zygmunta III., Tom I., II. i III., Warszawa r. 1819.

1. Rokosz po odjeździe Zygmunta ze Szwecyi.

Zwróćmy uwagę na sprawy szwedzkie. Po ostatnim odjeździe Zygmunta ze Szwecyi zostawione przez niego urządzenia wewnętrzne, poruczona Karolowi władza, dostatecznemi były, by przynajmniéj państwo to w pokoju utrzymać. Lecz pokój i pomyślność nie odpowiedziały celom Karola; najwyższe dostojeństwo, co mówię? korona tylko wyniosłość jego nasycić mogły. Do dopięcia tych celów podawały mu łatwości, prawego pana oddalenie, jego powolność i opie-

szałość, skłonny do poburzenia narodu szwedzkiego umysł, zapalczywość duchowieństwa i ludu w dogmatach swoich, nienawiść ku różnemu od nich wyznaniu, ta nakoniec, acz występna, w kierowaniu zdarzeniami zręczność i wyższość, przez którą nieszczęściem dla ludzi, więcéj, niż cnotami rządzący dopinają swych celów.

Ledwie Zygmunt od szwedzkich oddalił się brzegów, gdy Karol z zamysły swemi taić się przestał. Duchowieństwo polepszeniem dochodów, wodzów żołnierstwo darami, lud zwodniczą poufałością ująwszy sobie, wszystkie królewskie ustawy pogwałcił i zniszczył.

Pozyskanie przyjaźni postronnych monarchów nie uszło jego baczności: darami, pochlebnemi poselstwy wcześnie ich dla siebie pociągnął.

Przy końcu roku 1594. urodził mu się syn, ów Gustaw Adolf, który przez wielkie swe dzieła zagładził u świata pamięć, jakiemi sposoby ojciec jego berło osiągnął. Karol, prosząc króla duńskiego, by synowi jego ojcem chrzesnym być raczył, obyczajem wieku owego kazał posłom swoim badać sławnego astronoma *Tycho Brahe*, jakie przeznaczenie bieg gwiazd niebieskich obiecywał synowi jego. Nie wiedzieć, czy astronom przepowiedział mu osiągnienie korony: lecz Karol przepowiedzenie takie rozgłosił, a to, by wszelki opór zamiarom swoim, jako opór woli samego nieba w umyśle ludu wystawić.

Dla usprawiedliwienia poczynionych odmian i wyprowadzenia ważniejszych jeszcze, zwołał Karol sejm do *Suderkoping*. Protestował Zygmunt przeciw zwołaniu, jako przeciw krokowi, uczynionemu nad władzę udzielną książęcia, i przeciw woli królewskiéj. Wniesione przez Karola do stanów materye zbyt były do smaku większości, by większość ta nad zgwałceniem form zastanawiać się miała. Zniesiono na tym sejmie zupełne katolickiéj religii ciérpienie. Eryk *Brahe*, rządcą Sztokolmu przez Zygmunta wyznaczon, jako sprzyjający religii téj, złożony z urzędu. Ogłoszono Karola rządcą państwa, i aż do powrotu króla poprzysiężono mu posłuszeństwo i wiarę. Zakazano wszelkich appellacyj do Polski: dano moc książęciu na wszystkie urzędy mianować; nakoniec przeciwiających się ustawom tym za niespokojnych i nieprzychylnych ojczyźnie ogłoszono.

Nieprawnie uchwalone ustawy gwałtowniéj jeszcze wykonanemi były. Z podwojoną żarliwością zaczęto rzymskie duchowieństwo prześladować i wytępiać. Pozostało jeszcze w klasztorze *Wadstona* jedynaście zakonnic, oddzielonych od świata [illegible] i modlitwie oddanych.

KATOLICKIE STOWARZYSZENIE PRZYJAŹŃ W NOWYM

W oczach zapalczywego fanatyzmu klasztor ten stał się niegodném ciérpienia zgorszeniem. Duchowieństwo protestanckie, sam nawet Karol, udali się do zakonnic, i by je nawrócić, groźb i namowy użyli. Lecz gdy siła nie miała na słabość względów, zdołała słabość z rozpaczy wznieść się do męztwa: oświadczyły zakonnice, że groźby, nędza, śmierć nawet nie potrafią je odwrócić od wiary przodków ich. Rozgniéwany Karol złote i srebrne do ofiar naczynia, ozdoby kościelne, złupić rozkazał: wygnano zakonnice, świątynie i klasztor zrównano z ziemią. Wyrzuconym z kraju w Gdańsku dał Zygmunt schronienie. Przejeżdżał się Karol po całém królestwie: wypędzając pozostałych katolickich księży, burzył świątynie i przedmioty uszanowania przez tyle wieków, posągi ich i obrazy wywracał i niszczył. Nie dosyć na tém. Wielu przywiązanych do Zygmunta urzędników z miejsc swych zepchnięto; przeszło 2.000 folwarków chciwości Karola stały się łupem.

Skoro te gwałty i bezprawia doszły uszu Zygmunta, wysłał poselstwo do Szwecyi z upomnieniem Karola, by się w gwałtach swych upamiętał, i do powinności powrócił. Składali poselstwo to z strony króla *Brahe, Stenbak* i *Lindom Bonde;* z strony stanów polskich i litewskich Stanisław Działyński, kasztelan elbłondzki, Stanisław Czyżewski, podkomorzy koronny, i Mikołaj Sapieha. Zbyt okazałe zaiste od pana do niższego uczczenie! Przecież przybyłe do Sztokolmu poselstwo przez cztéry niedziele posłuchania czekać musiało. Szwedzi najprzód skargi królewskie na pismie podali, we trzy dni po nich przywołani Polacy. Działyński rzecz czyniąc, oświadczył nieukontentowanie stanów polskich z czynów książęcia, i nieprawnie złożonego sejmu w *Suderkoping*. „Acz w wolnym naszym narodzie," przydał „nikt jednak prócz króla sejmu zwołać nie może: nie waż się, książę," rzecze „przywłaszczać władzy udzielonéj królowi samemu, popełniać bezprawiów i gwałtów, tykać się dochodów królewskich, i królewnéj siostry jego: pomnij na niebezpieczeństwa, zaburzenia, ztąd i wojny domowe; wiédz nakoniec, że Polacy, przyzwyczajeni oddawna za powagę królów swoich łożyć krew i majątki, nie ściérpią i dzisiaj, by kto powadze téj ubliżać, gdyby kto osobę lub władzę jego miał zuchwalstwo obrażać."

Z nieciérpliwością słuchał Karol téj mowy; lecz cały swój gniéw wywarłszy na Szwedów, odpowiedź Polakom do dnia innego odłożył. Tymczasem przedniejsi panowie, sam nawet arcybiskup upsalski, widząc, że nie przywileje mieszkańców, nie wiara, lecz osobista pycha,

żądza korony, były Karola celem, przekładając prawego króla powolność nad niepowściągniętą przywłaściciela wszechwolą, potajemnie przed posłami polskimi skargi swe zanosić, z nimi się łączyć, gotowość do rządzenia się podług przepisów królewskich jawnie okazywać jęli.

Niespokojny Karol, widząc te niepomyślne dla siebie umysłów skłonności, jak drugi Tyberyusz, do chytréj udał się pokory; w publicznéj odpowiedzi swojéj posłom królewskim usprawiedliwiał się z czynionych przeciw sobie zarzutów: dowodził, że w *Suderkoping* nic przeciw prawom królestwa postanowioném nie było, że uchwały na nim nie przez niego, lecz przez wolą stanów pisanemi były; że jeżeli co dla dobra kraju sam naprędce wykonywać musiał, oddalenie ztąd króla, zwłoki w oczekiwaniu odpowiedzi, lądem i morzem idących, przynaglały go do tego; że jeżeli użył dochodów królewskich, nie obracał ich na własne potrzeby, lecz na dobro królestwa Szwedzkiego: nakoniec, chcąc doświadczyć opinii publicznéj i stronników swoich zastraszyć, tak mowę swę kończył: „Od dawna już ciężar publicznego zawiadywania stał mi się nieznośnym; za tyle trudów i goryczy niewdzięczność tylko, oskarżania i niesprawiedliwe odbiéram zarzuty. Acz blizko berła zrodzony, nie jestem wyniosłym, i spokojność domową nad blask władzy przenoszę: niech kto bieglejszy odemnie, zwłaszcza w teraźniejszych trudnościach, w teraźniejszych o religią sporach, sprawami królestwa tego zarządza.“ To mówiąc, w przytomności radnych panów i posłów polskich złożył rządy królestwa, i do *Abroga* udał się: osobnym listem o kroku tym uwiadomił Zygmunta.

Zawiedzionemi zostały skryte Karola nadzieje: spodziéwał się, że panowie radni, duchowieństwo, lud nakoniec usilnie go błagać będą, by rządy zatrzymał. Lecz gdy piérwsi milczeli, drudzy, widząc, że rządzonymi być muszą, mniéj dbali, przez kogo; gdy Zygmunt odpisał, że przyjmuje złożenie jego, i od dalszego uwalnia go ciężaru; upokorzający zawód rozjątrzył serce, rozniecił dumę człowieka. Widział on niebezpieczeństwo utracenia wszystkiego; wiedział, że przez wzięcie tęgich środków, przez szybkość w wykonaniu ich mógł sprostować krok zbyt porywczo powzięty, i dawne uiścić zamiary. Łatwowierne pospólstwo za narzędzie zamiarów tych wybrał. Był właśnie wtenczas w mieście *Eskilstona*, w prowincyi *Sudermanland*, sławny jarmark, na który ze wszystkich prawie stron Szwecyi lud zwykł się był zbiérać. Spieszy tam Karol, staje wśrzód zgromadzonego mnóstwa, usprawiedli-

wia się z czynionych sobie zarzutów, wystawia korzyści, które pod rządami jego duchowieństwo, lud, uczeni, cała nakoniec Szwecya odniosła; ludzi obietnicami, pochlebstwem umysły pociąga. Ujęty lud łagodnością mowy, nauczyciele z Upsali zaborami po katolikach zbogaceni najbardziéj, wszyscy nalegają na księcia, by od stéru rządu nie oddalał się. Jak gdyby przymuszony ich naleganiem, rozsyła obwieszczenie po całéj Szwecyi, że powolny żądaniom narodu, troskliwy o całość jego w położeniu tak trudném, widzi się przymuszonym wodze rządu znów w ręce swe ująć; zaleca wszystkim państwa przełożonym, i rządcom, by jego tylko słuchali zleceń, i mimo świeżo przysłanych od Zygmunta zakazów, sejm w Abrogu zwołuje.

Dawno już Karol byłby koronę na skronie swe włożył, gdyby nie nieprzelamana wierność Fleminga, któremu Zygmunt rządy Finlandyi poruczył: dary, pogróżki, znowu oświadczenia najszczérszéj przyjaźni nie potrafiły zachwiać stałości męża. Napróżno Karol w najpochlebniejszych wyrazach zapraszał go do siebie, wyzywał na sejm w *Suderkoping*. Fleming, sejm przeciw woli króla za nieważny uznając, pozostał w prowincyi swojéj, nie dozwolił nawet, by kto nań jechać ważył się. Wtenczas gniéw Karola nie znał już granic: nie chcąc dłużéj najpiękniejszéj królestwa prowincyi oporną woli swéj widzieć, umyślił użyć siły i gwałtu. Na wieść czynionych przygotowań, Zygmunt dał rozkaz Flemingowi siłę siłą odeprzeć. Wódz liczne zbiéra szyki: te wieśniakom uciążliwemi stają się. Podniecony przez Karola lud burzy się, i ze skargami pełnomocników do Sztokolmu wysyła: Karol im odpowiada, by się wzięli do broni, i ciemiężycielów wyparli. Zapala się wojna z całą wściekłością wojny domowéj; przedłuża ją Karol popiéraniem rokoszu z taką zawziętością, że księdza, który mieszkańców do pokoju i posłuszeństwa Zygmuntowi zachęcał, sciąć kazał publicznie. Fleming przez odwet pełnomocników wiejskich za ich powrotem ze Szwecyi obwiesił; 11,000 ludu wiejskiego poległo w tych walkach. Lecz gdy Fleming rokosz uśmierza, i dzięki od Zygmunta odbiéra, śmierć zbyt wczesna, odéjmując w nim Zygmuntowi bitnego i wiernego wodza, ułatwia drogę książęciu Sudermanii do uiszczenia wyniosłych swoich zamysłów.

2. Zgon Zygmunta III.

Cztérdziesty szósty rok panowania dopełniał już Zygmunt; ucichły zawzięte niechęci, sama sędziwość, długo doznawane przykrości,

łagodziły serca dla niego: zaczynał król ten patrzyć spokojnie na zbliżający się zachód życia, gdy nieba raz jeszcze bolesnym ugodziły go ciosem. Ulubiona małżonka, matka licznego rodu, Konstancya Austryacka, nagle porwaną mu była. Domowe jéj cnoty, przystępność, godność, nadewszystko myśl, że ona jedyną była pociechą wiekiem i chorobą znękanego króla, sprawiały, iż żal po niéj był powszechny i szczéry *).

Nic atoli wyrównać nie mogło rozpaczy i tęsknoty króla samego. Dwadzieścia i sześć lat spędzonych w miłości i zgodzie, słodki obyczaj wspólnego znoszenia i dobrych, i przeciwnych kolei, niedostatek ufnego powierzania się, którego nic już zastąpić nie mogło, widok nakoniec tylu osierociałych dzieci, napełniały serce Zygmunta goryczą, i ciężkim żalem.

Zmieniła się odtąd postać dworu całego. Król we łzach i smutku rzadko kiedy dozwalał się widzieć; nie wchodzili do komnaty, jak poufali ze sług i urzędników.

Tymczasem starania lekarzy, szczególniéj użycie zawłok do sciągnienia humorów, pokrzepiło nieco zdrowie królewskie: użył król polepszenia tego, by raz jeszcze ze stanami o sprawach publicznych, i o zapewnieniu losu licznego potomstwa naradzić się. Zwołany więc sejm nadzwyczajny trzyniedzielny na dzień 1. kwietnia 1632.

Gdy się już stany do izby senatorskiéj zebrały, a król dla ciężkiéj niemocy wśrzód ministrów i dygnitarzy koronnych na krześle do tronu był przyniesiony, smutek na bladéj twarzy wyryty, schorzała postać jego, tkliwém politowaniem ścisnęły serca wszystkich. Nigdy izba sejmowa w smutniejszéj nie okazała się postaci: senat i posłowie czarną po królowéj okryci żałobą, na wszystkich twarzach żałość i boleść.

*) Pobożna ta pani w dzień Bożego Ciała, w największy upał z odkrytą głową szła z królem po mieście całém za processyą, a że była krwistą i otyłą, dostała zapalenia, które nieumiejętność lekarzy uczyniła śmiertelném. Włożyli oni królową w kąpiel zimną: powiększyła się gorączka. O świcie, gdy powiernica królowéj, Urszula Mejerin weszła do pokoju, już panią tę bez duszy zastała. Żyła lat 44, w małżeństwie 26. Prócz zmarłych w dzieciństwie syna i córki, zostawiła żyjących: Jana Kazimierza, Jana Albrychta, Karola Ferdynanda, Alexandra Karola, i córkę, Annę Katarzynę, zaślubioną w roku 1642. Filipowi Wilhelmowi, księciu wojewodzie reńskiemu, z linii neiburgskiéj. Piasecki *pag. 421.* — Kobierzycki *pag. 934.*

Zaledwie wniesiono projekt opatrzenia rodu królewskiego, gdy stany głośno króla prosić zaczęły, by królewicowie i królewna wezwani, i obradom publicznym obecnymi być mogli. — Nieprzytomnym był królewic Władysław; lecz weszli, królewic Jan Kazimiérz, młodzi bracia jego: Jan Albrycht, Karol Ferdynand, Alexander Karol, i młoda infantka, Katarzyna. Zasiedli miejsca niżéj tronu. Widok licznego w piérwszéj młodości, na ziemi polskiéj zrodzonego królewskiego plemienia, plemienia, co dziś w połowie, w krótce całkiem osiéroconém być miało: widok rodu, któren rzeczpospolita przyjmowała na łono swoje, tkliwą radość wzbudził na twarzach wszystkich: wypogodziło się zachmurzone Zygmunta czoło. Król, acz słabym głosem, w te słowa odezwał się do stanów.

„Przy jawnéj wszystkiemu światu wierze narodu, nam od Boga za wolnemi głosami poddanego, zawsze ta bywała *pietas* i życzliwość ku królom i panom swym, iż potomstwa ich, pomniąc na zasługi przodków, nie opuszczali. Oto są te dzieci, zrodzone na ziemi polskiéj, oto potomstwo razem moje, i wasze! nie ma ono już matki, a wkrótce i ojca postrada! Poruczam je rzeczypospolicie całéj, kiedy mnie nie stanie, niech troskliwość wasza czuwa nad nimi, niech hojność wspiéra!“

Tkliwe, pocieszające głosy napełniły gmach cały obrad publicznych. Wśrzód powszechnego wzruszenia nie było oporu, gdy czytano ustawę, opatrującą potomstwo królewskie. Lecz gdy Zygmunt, czylito z szczéréj troskliwości o spokojność wewnętrzną, czyli z chęci wiedzenia przed zgonem, kogo mu Polacy za następcę przeznaczają, projekt względem poprawy trybu elekcyi królów wnieść zalecił: dotknięcie tak tkliwéj dla silnych przesądów materyi żywy opór wznieciło. Nie rozumiéjmy atoli, by zbywało na światłych, bezstronnych, nieuprzedzonych mężach, którzy silnie popiérali obostrzenie srogich bezkrólewiów nadużyć: lecz ci przemagającemu mnóstwu ulédz musieli. Spory w téj sprawie cały czas sejmowania zajęły: nieraz zbolały król do drugiéj i trzeciéj z północy przysłuchiwać się im musiał. Przyszedł nakoniec dzień zawarcia sejmu, i posłowie raz ostatni pożegnali króla. Rzadko bowiem był taki, któryby patrząc na ustające siły jego, najmniejszą mógł karmić nadzieję, że go raz jeszcze ujźrzy.

Sprawiedliwą troskliwość ta była: zbytnie dla tak słabego już ciała trudy sejmowe stan zdrowia królewskiego pogorszały codziennie. Zapadł nakoniec król niebezpiecznie dnia 23. kwietnia r. 1632., a 30. t. m. przeniósł się do życia lepszego.

Niechaj mi wolno będzie ciąg choroby i ostatnie dni życia Zygmunta opowiedzieć z tą dokładnością, z jaką ją nam przytomny naówczas świadek, książę Albert Radziwiłł, kanclerz w. litew. w łacińskiém rękopismie swoim zostawił. Jeżeli szczegóły podobne zbyt drobnemi, mniéj zgadzającemi się z powagą dziejopistwa w oczach surowych zdadzą się; przebaczą je ci, którym ostatnie chwile wchodzącego w bramy wieczności człowieka być obojętnemi nie zwykły.

„Skończył się sejm na samym wstępie wielkiego tygodnia: pobożny król, wedle zwyczaju, noszony na krześle, groby Pańskie odwiedzał. W dzień wielkonocny król całemu nabożeństwu chciał być przytomnym, aże nie miał już dość władzy, by ręce podnieść w czasie ewangelii, podnosili mu je królewic Jan Kazimiérz, lub kto z bliżéj stojących, jakoto: Denhoff, wojewoda derpatski, Jerzy Ossoliński, podstoli koronny, lub Gembicki, podkomorzy i starosta gnieźnieński. Po świętach jeszcze król spraw kilka odsądził.“

„Mimo słabości swojéj, król całkiem zajęty był pogrzebem królowéj małżonki, któréj ciało sam chciał do Krakowa prowadzić. Dla doświadczenia więc, czyli tę podróż będzie mógł odprawić, dnia 22. kwietnia wybrał się na obiad o milę od Warszawy do Opacia, wsi Opackiego, podkomorzego warszawskiego. „Byłem i ja proszony“ mówi Radziwiłł, „lecz dla febry jechać nie mogłem; posłałem tylko moją żonę, by towarzyszyła infantce naszéj.“ Przejazdka ta udała się dobrze, król był wesoły, spełnił kilka kieliszków, i około siódméj wwieczór powrócił do zamku.“

„Dnia 23. nuncyusz papiézki miał posłuchanie u króla: rozmawiając dość długo, postrzegł w twarzy królewskiéj zatrważające znaki, których wprzódy nie uważał.“

„Dnia 24., gdy doniesiono królowi o śmierci ojca Walentego *Seidel*, Jezuity, spowiednika królowéj, wieść ta pomieszała go niepomału! Zapłakawszy, rzekł: „„I ja nie długo pójdę za nim.““

„Dnia 25. kwietnia w niedzielę w dzień S. Marka, miałem mieć u siebie“ mówi daléj Radziwiłł „na obiedzie nuncyusza apostolskiego, i innych gości. Gdy z południa nikt z dworu nie przychodził, zacząłem się niespokoić. Przybył nakoniec podstoli koronny, Ossoliński, i wziąwszy na stronę, ze smutkiem rzekł mi do ucha, że król o godzinie ósméj z rana paraliżem był tknięty, i byłby może pożegnał nas na wieki, gdyby szczęściem wojewoda derpatski nie wszedł, gdy mu

opatrywano zawłokę, a gdy po dwa- i trzykroć zapytał o zdrowie, i nie odbiérał odpowiedzi, zbliżył się, i przypatrując się bardziéj, postrzegł, że jedno oko i część twarzy już były nieruchome. Zawołał natychmiast na medyków, którzy różnemi wodami i lekarstwy po dwóch godzinach przywrócili go do zmysłów: piérwsze słowa, które król wyrzekł, były: „„Na śmierć nie ma lekarstwa, potrzeba umiérać.““ — Ta wieść, zasępiła obiad mój, lubo jak gdyby z namowy, przychodzono coraz z doniesieniami, że król miał się lepiéj. Przeciwnie atoli było; gdyż coraz czując się gorzéj, przywołał spowiednika swego, Jezuitę, księdza *Marquat*, przed którym ze łzami długo się spowiadał. Przyjąwszy Najświętszy Sakrament, spoczywał spokojnie, a gdy nawet przemówił słowo, ciężko go było rozumiéć. Wtenczas, prócz kilka osób, nie wpuszczano nikogo, ani nawet królewiców.“

„W poniedziałek dnia 26. również pokoje królewskie zamknięte były: mówiono, że król wstał był z łóżka, i do okna przyszedł; że nawet, choć krzywo kilka przywilejów podpisał. Ku wieczorowi przybywam do zamku, pytam o zdrowie królewskie, nic pewnego dowiedzieć się nie mogę; proszę, by wywołano wojewodę derpatskiego. Ten powiada, że król ma się nieco lepiéj, że teraz spoczywa, lecz że nazajutrz będę mógł go odwiedziéć. Nie chcąc się stać natrętnym, dowiedziawszy się od żony mojéj, że król miał się gorzéj, powróciłem do domu.“

„Dnia 28. przez dzień miał się król nieco lepiéj, lecz ku wieczorowi już konać zaczął. Gdyśmy z kanclerzem koronnym weszli do komnaty, już prawie znaleźliśmy go bez duszy. Kilkunastu Jezuitów stało wokoło łoża. Po absolucyi przybliżaliśmy się kolejno ze łzami, raz ostatni rękę jego całując. Wpuszczani potém wszyscy urzędnicy, aż do sług i hajduków, do pocałowania ręki i pożegnania pana. Lubo król wszelkiéj pozbawiony był przytomności, jeszcze przez dzień następujący oddychał. Marszałek atoli wielki koronny, Opaliński, przyzwał do siebie gwardyą węgierską i niemiecką, i na posłuszeństwo sobie przysiądz rozkazał. Wtenczas kanclerz w. kor. oświadczył królewicom i nam wszystkim, iż ostatnią wolą królewską było, aby pozostała infantka Katarzyna nie innemu książęciu, jak wiary katolickiéj w małżeństwo oddaną była, co królewicowie, równie jak i wszystkie zlecenia ojca, wiernie dotrzymać przyrzekli. Ku wieczorowi odwiedził króla nuncyusz apostolski, i przy zapaleniu loretańskiéj gromnicy długo się modlił nad nim.“

„Dnia 30. kwietnia przed trzecią godziną z północy dobry król w ręce Boga duszę wyzionął. Gdym wszedł do sypialnego pokoju, znalazłem obumarłe ciało, do niepoznania zmienione: cały zamek we łzach; nie słychać, jak płacz i narzekania kobiét; miasto rozlegało się smutném we wszystkie dzwony biciem. Ksiądz *Marquat* miał mszą o samym świcie przy oknach otwartych: podczas podniesienia nie pomału wszyscy zachwyceni byliśmy, gdy promienie wschodzącego słońca uderzyły na głowę królewską, i długo zastanawiając się nad nią, sprawiły ten okrąg jasności, z jakim Świętych jest zwyczajem malować. My senatorowie pocieszaliśmy królewiców i infantkę.“

„Po otwarciu i nabalsamowaniu złożono ciało na katafalku, ubrano je w ubior królewski, tojest, w kapę z białego jedwabiu, przetykanego złotem, białą dalmatykę, trzewiki biskupie, na głowie korona niezmiernéj wagi, berło i jabłko w ręku. Katafalk szyty w perły i kamienie, cały był z lamp złotych i srebrnych. Potężny szczérozłoty krzyż stał u nóg, takichże sześć świeczników wkoło, na palcach dwa niezmierne dyamentowe pierścienie, jeden ostrowysoki, czworograniasty drugi. Korona i insygnia szwedzkie leżały na boku. Odprawiano bez przestanku ofiary Pańskie przy liczném zgromadzeniu pobożnych.“

Gałkiewicz. VII kl. 889

45-
281217
1 ii 4

WYŻSZA S
A
Biblioteka WSP Kielce
0320142